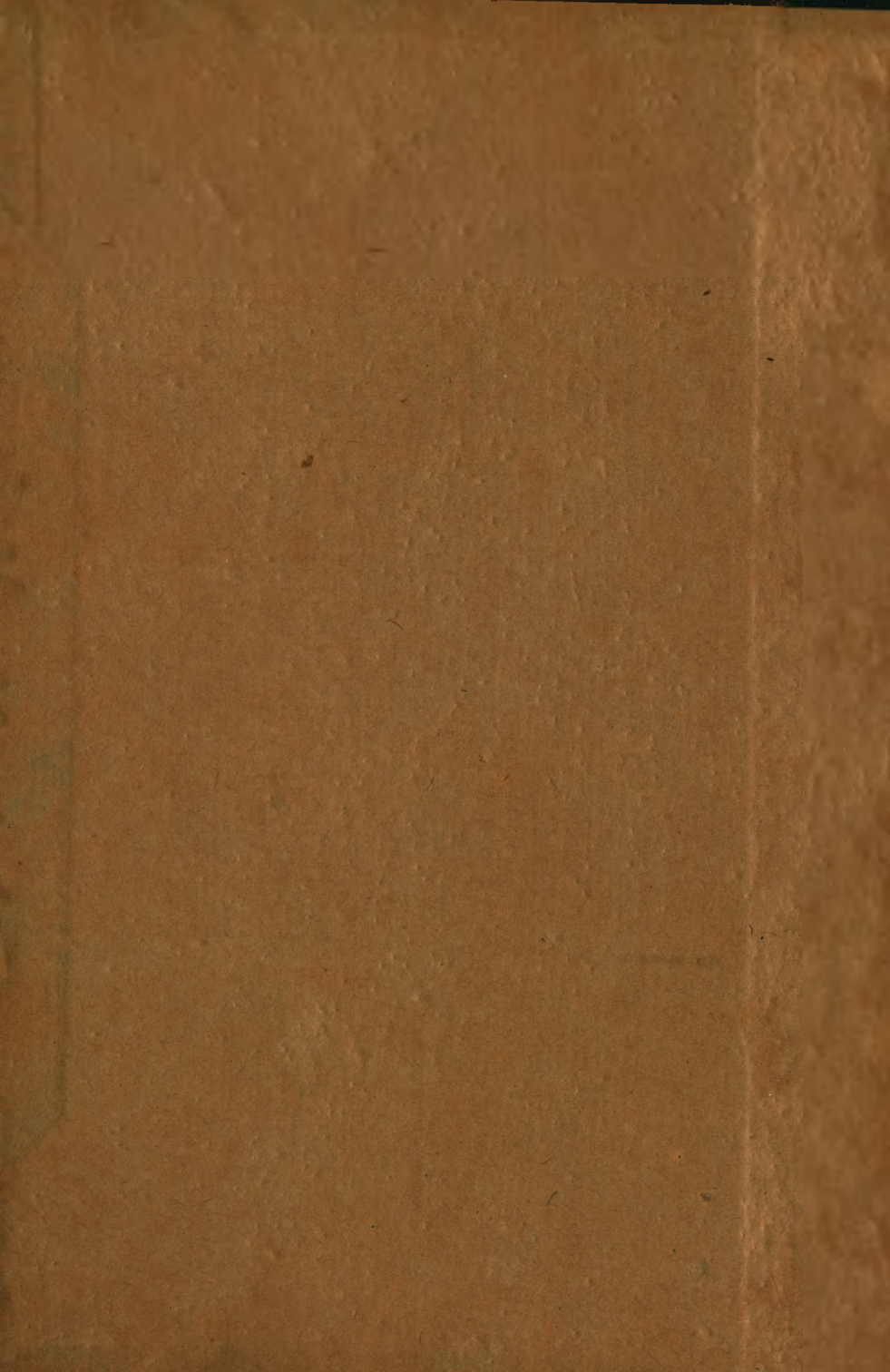


WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA w KIELCACH
BIBLIOTEKA

L-H
821



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKIEGO UNIWERSYTETU

WYDZIAŁ HUMANISTYCZNY

WARSZAWA

1917

WYDZIAŁ HUMANISTYCZNY

WARSZAWA

1917

BIBLIOTEKA
NAJCELNIEJSZYCH UTWORÓW
LITERATURY EUROPEJSKIEJ.

LITERATURA NIEMIECKA.

WARSZAWA.

WŁASNOŚĆ, NAKŁAD I DRUK S. LEWENTAŁA.

Nowy-Świat № 41.

—
1896.

DR. LUDWIK GEIGER.

ODRODZENIE I HUMANIZM

WE

WŁOSZECH I NIEMCZECH.

PRZEŁOŻYŁ Z NIEMIECKIEGO

Stanisław Mieczynski.



WARSZAWA.

WŁASNOŚĆ, NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.

Nowy-Swiat Nr. 41.

1896.

3047



109968 L-H
821

Дозволено Цензурою.

Варшава, 16 Августа 1896 года.

**TOWARZYSTWO
PODEJLANSKIEGO UNIWERSYTETU LUDOWEGO
w Nowym Targu**

L: 161

WIADOMOŚĆ O AUTORZE.

Życie uczonego nie obfituje zazwyczaj w zaciekawiające przygody, któreby mogły rozbudzić i zająć wyobraźnię; upływa ono wśród jednostajnych mniej więcej prac, zwłaszcza w czasach dzisiejszych, kiedy specjalizacya wiedzy wymaga całkowitego oddania się jednemu przedmiotowi, by w nim dojść do możliwej doskonałości. Ogłaszanie dzieł stanowi w życiu takim szereg wypadków, które za najważniejsze uważać można.

Takiem też jest życie autora dzieła, które dajemy obecnie w przedkładzie polskim. Poświęcił się on zbadaniu krytycznemu epoki niezmiernie ciekawej i bardzo ważnej w ogólnym rozwoju ludzkości epoki, którą nazwano Odrodzeniem (Renesansem) sztuk i nauk po wielowiekowym ich zaniedbaniu; wyniki swoich poszukiwań złożył w szeregu rozpraw specjalnych, a obraz jednolity całości dał w książce niniejszej, pisaną dla ogółu oświeconego.

Ludwik Geiger, syn Abrahama, urodził się 5 czerwca 1848 roku we Wrocławiu; studia uniwersyteckie odbywał w Heidelbergu, Getyndze i Bonn, słuchając głównie wykładów historii politycznej i literackiej; w r. 1870 przeniósł się do Berlina, gdzie od r. 1873 zaczął działać jako docent, a od r. 1880 jako profesor. Już w rozprawie napisanej celem osiągnięcia stopnia doktora filozofii, widać zajęcie się przedmiotem, który miał się stać głównym zadaniem jego pracy naukowo-literackiej. Rozprawa ta, wydana we Frankfurcie r. 1868 ma tytuł: „Ueber Melanchtous Oratio continens historiam Capnionis”, a zajmuje się rozbiorem Mowy Melanchtona poświęconej znakomiteму działaczowi humanizmu, Reuchlinowi. Za dopełnienie tej pracy, uważać można artykuł p. t. „Johannes Reuchlins Briefwechsel”, pomieszczony w „Bibliothek des litterarischen Vereins in Stuttgart” (Ty-

binga, 1875). Do tejże dziedziny badań należy rozprawa p. n. „Das Studium der hebräischen Sprache in Deutschland vom Ende des XV bis zur Mitte des XVI Jahrhunderts” (Wrocław 1870). Ogłosiwszy r. 1871 w Berlinie książkę odrębnemu poświęconą przedmiotowi, mianowicie historii Żydów w stolicy pruskiej („Geschichte der Juden in Berlin”); zwrócił się ponownie do czasów odrodzenia i wydał dzieło o Petrarce (Lipsk 1874, tłumaczenie włoskie w Medyolanie, 1877), a w r. 1882 ten właśnie utwór, który czytelnicy nasi mają przed sobą, p. t. „Renaissance und Humanismus in Italien und Deutschland”; w r. 1885 ogłosił nowe wydanie znakomitego dzieła Burckhardta „Kultur der Renaissance in Italien”, opracowane i dopełnione przez siebie. W r. 1886 wydał w Berlinie zbiorek drobniejszych prac do historii humanizmu odnoszących się p. t. „Firlifimini und andere Curiosa”. Ogólniejszej treści są jego: „Vorträge und Versuche. Beiträge zur Litteraturgeschichte” (Drezno 1890). Do dziejów kultury niemieckiej dał obszerny przyczynek w książce p. t. „Berlin 1688 — 1840. Geschichte des geistigen Lebens der preussischen Hauptstadt” (Berlin 1892—93).

Oprócz ogłaszania tych dzieł i rozpraw, oprócz wykładów w uniwersytecie, działalność Geigera przejawiała się także i przejawia na polu publicystyki naukowej. Od r. 1880 wydaje on we Francurcie „Goethe-Jarbuch”, łmieszczący wiadomości o życiu i utworach wielkiego poety niemieckiego. Do r. 1892 był wydawcą i gorliwym współpracownikiem czasopisma p. t. „Zeitschrift für Geschichte der Juden in Deutschland” (w Brunświku od r. 1886), oraz spółwydawcą „Berliner Neudrucke” i „Zeitschrift für vergleichende Litteraturgeschichte und Renaissance-Litteratur”.

Zaletą ogólną prac Geigera jest przedewszystkiém dokładna znajomość przedmiotu po większej części na podstawie własnych gruntownych studyów zdobyta, a powtóre wykład jasny, nie przeciążony nadmiarem zdań wtrąconych, styl jędrny, nie ubiegający się za kwiatami poezyi, lub zwrotami retorycznymi, lecz żywo i dobitnie charakteryzujący ludzi i stosunki. Wielkim pisarzem, torującym nowe drogi, lub w sposób świetny wyrażającym swe pomysły, nazwać go nie można; lecz jest on bezwątpienia jednym z tych uczonych, którzy dla oświaty ogólnej, dla rozpowszechnienia zdobyczy specjalnych, zrobili bardzo dużo, pisząc przystępnie, jasno, a jednak gruntownie i ściśle.

Przyswojenie językowi naszemu dzieła jego, przedstawiającego dzieje Odrodzenia i Humanizmu we Włoszech i Niemczech, było niezmiernie potrzebném; literatura bowiem nasza nie posiadała żadnej książki, z którejby czytelnik mógł się zapoznać z dziejami doby tak ważnej w rozwoju cywilizacyjnym. Mieliśmy tylko jedną książeczkę

wydaną przed laty 60 przez hr. Stadnickiego („Włochy w wieku XIV”), a zresztą w historyach tylko literatury i w dziełach Kremiera znaleźć było można wiadomości o poezyi i sztuce włoskiej z wieku XIV—XV; o Niemczech i tego nawet doczytać się w naszym piśmiennictwie niepodobna było. A przecież do zbadania historii humanizmu u nas, do przeprowadzenia jakichkolwiek porównań oświaty naszej z oświatą innych narodów w. XVI niezbędną było rzeczą mieć dokładne informacye o ruchu humanistycznym we Włoszech i Niemczech, skąd do nas właśnie przedostawały się nowatorskie idee.

Przed rokiem przełożono na język polski pierwszy tom dzieła Burckhardta: „Kultura Odrodzenia” (drugi tom ma się ukazać w roku bieżącym). Jestto nabytek ważny i cenny; książka Geigera jest w pewnym względzie uzupełnieniem téj pracy nie tylko co do Niemiec, o których Burckhardt nie pisał, ale i co do Włoch samych. Obie te prace razem wzięte dadzą jasny i zajmujący obraz ruchu umysłów, jaki od XIV stulecia wszczął się w Europie z hasłem powrócenia do czysto-ludzkich ideałów (humanizmu), które widziano w cywilizacyi starożytnych Greków i Rzymian. Obie prace nie są zbiorem uwielbień dla objawów owego Odrodzenia, lecz wraz z przedstawieniem stron dodatnich łączą téż krytyczny pogląd na ujemne; a w ten sposób przyczyniają się do wyrobienia poważnego i bezstronnego pojęcia o tych czasach.

P. Ch.

KSIEGA PIERWSZA.

WŁOCHY.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Wstęp.

Przejście od wieków średnich do nowożytnych dokonywa się tak powolnie i stopniowo, że nie podobna oznaczyć pewnego okresu, tém mniej jakiego wydarzenia jako granicy między obu epokami. Ten tylko, kto nie chce się pozbyć stariej terminologii szkolnej, prawieć jeszcze będzie, że starożytność kończy się ze zburzeniem cesarstwa rzymsko-zachodniego, a czasy nowe poczynają się z przybicciem tez luterskich 31 października 1517 r. Kto zaś stara się ująć wątek idei dziejów, musi przyznać, iż epoka przeszło tysiącoletnia nie może zawierać treści jednolitej, lecz rozpada się na okresy o charakterze różnorodnym i dążeniach wręcz sobie przeciwnych. Z pomiędzy owych dążeń, które usiłują wyprowadzić ludzkość z koła idei średniowiecznych, nawiązać nić łączności ze starożytnością pod względem umysłowym i artystycznym a zarazem wykazać własną twórczość i samodzielność, najważniejsze są te, co, pochodząc z Włoch, osiągnęły tam i w Niemczech najbujniejszego rozwinięcia. Przypadają one na stulecie 13, 14 i 15 i stanowią osnowę epoki ruchliwej, której do wieków średnich wcielić nie można, chociaż pod względem czasu o nie zahacza: nie godzi się też uważać jej za nierozdzielną cząstkę czasów nowszych, lubo z nimi co do treści jest spowinowacona. Dla tej przyczyny bierzemy okres przejściowy za całość odrębną, poświęcamy mu szczególną uwagę i oznaczamy samoistném mianem *renesansu*, t. j. Odrodzenia starożytności w sztuce, nauce i życiu, oraz mianem

humanizmu czyli kształcenia człowieczeństwa, całkowitego rozwinięcia wewnętrznych i zewnętrznych zdolności i talentów człowieka.

Same już nazwy wyjaśniają po części treść i charakter okresu. Co do treści — wskazują, że wyrasta ona przeważnie z historii kultury; z dziejów zaś politycznych obejmuje nie tyle przewroty państwowe i zmiany terytoryalne, spory stanów i t. p., chociaż wypadków tego rodzaju nie brak bynajmniej, ile raczej przeobrażenia w teoriach politycznych, oraz poglądy na zakres działalności i energii państwa; co do charakteru, — że pokrewny znamionom starożytności, wpływa z ukształcenia czysto ludzkiego, że jest, jeżeli nie wprost wrogi, to jednak obcy kościołowi i silnym dawniej potęgom. Mianowicie przeciw usiłowaniom uniwersalizującym, co jest rysem zasadniczym rozwoju średniowiecznego, występuje dążenie indywidualizujące w okresie, który wszystkim dokłada starań, by nowe zaprowadzić porządki. Mimo bowiem żądę walk i samoistności panował w wiekach średnich popęd do działania wspólnego, panowała formalna potrzeba łączności. Stąd więc narody zachodnie przedsiębrały spolem wielkie wyprawy, tak zwane *krzyżowe* i wyteęzały siły zjednoczone, aby odzyskać miejsca święte na Wschodzie. Teraz zaś, obok naturalnego znużenia owymi zapasami, przeniknionymi idealizmem a prowadzonymi słabo i w końcu tak niedołąźnie, że chrześcijanie ostatnie utracili miasto (zdobycie przez mahometan Ptolemaidę 1291 r.), ujawnia się odosabnianie narodów oraz świadomość, że rozbrat to słuszny i konieczny; objawia się dążenie, aby wielkie poczucie siły uwydatnić w walkach, aby zaniechać działań wspólnych, które podnosiły dawniej powagę wszystkich, a zdobywać natomiast pracą samoistną większą część imieniu własnemu ze szkodą innych.

Cesarstwo wyobrażało ongi świadomość potęgi wszechświatowej; było wyższą jednością, która ogarniała wielość państw oddzielnych i prześcigała je swą potęgą; było władzą centralną wieków średnich mimo oporu książąt niemieckich i separatystycznych zachceń władców nie-niemieckich. Teraz zaś znalazło ono we *Fryderyku II* (1215—1250) przedstawiciela, który znamionuje największą świetność, ale zarazem i upadek. Fryderyk II jest wprawdzie panem świata, lecz z zamiłowaniem władcą jednego tylko państwa, Sycylii, któremu nadał ustawę rządową i prawa osobne, a postępowaniem takim otwiera szereg monarchów czasów nowych. Monarchowie ci nie znajdują już cię upodobania w pragnieniach konstytucyjnych i nie uwzględniają woli ludu, przeciwnie ożywieni są uczuciem władzy najrozleglejszej. Pomimo to przeciw zrastają się ze swym krajem i narodem, podźwigają państwo jednostkowe wobec potęgi powszechnej, wzmacniają świadomość narodową, ażeby zdławić wszelkie uczucie spójności uniwersalnej, i swe uroszczenia monarsze podnoszą do

granic niezmiernych, ażeby urojeniu cesarstwa przeciwstawić realne znaczenie władzy książęcej.

Jeżeli cesarstwo jednocy w sobie władzę świecką wieków średnich, to *papiestwo* — duchowną. Na usiłowaniach osłabienia papieżstwa nie zbywało od tej pory, kiedy cesarstwo, zrozumiałwszy swoje znaczenie, przekonało się niebawem, że ze współzawodnikiem paktować nie może, lecz że musi mu uleść lub nad nim zatryumfować. Usiłowania takie powtarzają się i po upływie wieków średnich. Nie one jednak stanowią istotę czasów nowszych, ale walki prawdziwie wierzących, którzy ufają, że i w nich żywie duch boży, ufają przeświadczeniu wewnętrznemu i występują przeciw skostniałym przykazaniom ustawy kościelnej (Waldensowie, Albigenowie, Wiclef, Husyci); obok tego znamieniem czasów nowszych są dążenia umysłów wolnych, niezależnych, które na miejsce chrześcijaństwa stawiają pogaństwo a miasto religii — filozofię. Napaściom tej natury, podejmowanym ze stron różnych i dokonywanym z wielką siłą, nie uległo papiestwo w epoce przeobrażeń i nowego kształtowania. Otrzymało ono raczej pierwszy cios potężny od narodu, który wcześniej niż inne doszedłszy do skupienia wewnętrznego i przeniknąwszy się poczuciem swego znaczenia, zapragnął tak dzielnie bronić swej samodzielności w sprawach kościelnych, jak ją sobie już zdobył w rzeczach polityki. Oto *Bonifacy VIII* (1294—1303), z pomiędzy papieżów posiadających taką potęgę, jak z pośród cesarzów *Fryderyk II*, dożył upadku swój władzy bardziej stanowczego niż Hohenstauffen. On, co w bulli *Unam sanctam* głosił nietykalność autorytetu papieskiego; on, co w walce przeciw *Albrechtowi I*, cesarzowi niemieckiemu, występował jako rozjemca każdego zatargu i jako dzierżyciel dwu mieczy, duchownego i świeckiego, uległ w boju z jednym mocarstwem i zmarł w smutnym przekonaniu, że wszechświatowemu znaczeniu papieżstwa zaszkodził i że wyrwał papiestwo z korzenia narodowego.

Wreszcie nauki także i życie umysłowe miały jedyne źródło i jednego pana w *kościółce*. Treść i formę, kierunek i szatę zewnętrzną narzucił literaturze *kościółce*. Teologia ogarniała wszystko, a była zarazem umiejętnością najprzedniejszą, jedyną; do wyrażania myśli naukowej służył również język *kościółce*, język łaciński. — Teraz zmienia się i treść i forma. Bo przeobraziła się i forma, lubo język pozostał ten sam. Ale język łaciński stał się najzupełniej niepodobnym do zepsutej łaciny średniowiecznej. Odtąd bowiem doznaje troskliwej opieki i uprawy, pragnie dorównać w najdrobniejszych szczegółach wzorom klasycznym, z miłością i czcią używany jest w mowie i w piśmie. Ze względu na treść wyswobodziła się nauka całkowicie z pod panowania teologii, a umiejętności świeckie zajęły jej miejsce. Obrona poezji i nauk starożytnych przeciw teologii, dążenie, aby

oboju zapewnić przynajmniej równouprawienie — oto momenta w rozpoczynającej się teraz walce. Nie wymowniej nie świadczy o zwycięstwie, wywalczonóm ciężkimi trudami przez nową partję, jak ta okoliczność, że teologowie, nienawidzący czas jakiś poezyi, chcą w końcu sami być poetami, że starają się sami mówić i pisać wytwornie, a w skutek tych usiłowań mimowiednie i prawie niepostrzeżenie przejmują niejedno od owych pisarzów, których zrazu zakazywali pod karą lub, co najmniej, lekceważyli. Naostatek treść stwarza sobie i formę odpowiednią. Duch bowiem narodowy i indywidualny, który okazał się wrogim nienaturalnemu łączeniu ludów, który z wielką stanowczością odparł pochłaniającą wszystko władzę świecką i duchowną, nie mógł też ścierpieć panowania jedyne go języka. Język oczysty przekradał się bojaźliwie do piśmiennictwa w niektórych krajach podczas wieków średnich lub występował jako własność jednego stanu, np. w epoce rycerstwa niemieckiego; teraz zaś wkracza do literatury jako zwycięzca i jako drogocenne dobro całego narodu. *Dante*, *Petrarka*, *Boccaccio*, znamionując początek i zarazem wspaniały rozkwit literatury odrodzenia we Włoszech, stwarzają również przedziwną literaturę narodową i doskonałą język macierzysty. Chociażby mężowie ci i ich współcześni nie rozumieli dostatecznie tej roli doniosłej lub — jej nawet nie uznawali, to jednakże nieświadomie, ale skutecznie działając, stali się przez oną podwójną pracę reprezentantami imponującego ducha czasu.

Epoka z tak wybitną cechą ducha indywidualnego wkłada i na dziejopisa obowiązek, aby, jeśli nie wyłącznie, to wszelako głównie zaprzętał się indywidualnościami, aby nie tyle rozprawiał o prądach czasu i ducha, ile raczej o przedstawicielach ruchu umysłowego. Nie jestto więc przypadkiem ani samowolą, ale koniecznością, z przedmiotu wynikającą, że traktując literaturę Odrodzenia, przedewszystki em zapoznamy się z trzema mężami, przywódcami i koryfeuszami nowego kierunku: z *Dantem*, *Petrarką* i *Boccacciem*.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Dante.

Za przesłańców Dantego w literaturze Odrodzenia uważają słusznie dwu mężów: *Albertyna Mussato* i *Brunetto Latini*'ego.

Mussato urodził się w Padwie 1261, umarł 1330 r. Jest politykiem, dyplomata, dziejopisem i poetą. Zapewne wysoko sobie cenil zaszczyty, jakich za służbę polityczną doznawał od miasta ojczystego, które zresztą skazało go na wygnanie i w nędzy pozwoliło zginąć, oraz od wdzięcznego *Henryka VII*. Większą jednak ucuwał dumę, kiedy wypisywał cały swój tytuł: *historicus et poeta Paduanus*, kiedy przyjmował uroczyste pochody obywateli i uniwersytetu, czcących go w ten sposób corocznie jako pierwszego uwieńczonego poetę. Na honory był wrażliwy, ale brał je za daninę sobie należną. „Jak wawrzyn“ — pisze *Mussato* — „zielenieje wiecznie a liść jego nigdy nie więdnie, tak wiekiustą również obdarza sławą; dlatego więc są poeci wieńczeni wawrzynem.“ Już owe hołdy dowodzą pośrednio, że dzieła *Mussata*, mimo iż posługiwał się językiem łacińskim, były zrozumiałe nie tylko uczonym, ale i znacznej części narodu; dowodu zaś bezpośredniego dostarcza zadziwiająca prośba notaryuszów padewskich, zanesiona do dziejopisa, aby swe dzieło historyczne, napisane prozą, przelał w formę poetyczną i uczynił je przez to dostępniejszem narodowi. Na prośbę tę miał *Mussato* odpowiedzieć słowy natchnionymi dumą uczonego: „Będę prostaczkiem z prostaczkami”.

Trzy obszerne prace historyczne *Mussata* obejmują dzieje współ-

czesne od 1310 do 1329 r. ze szczególném uwzględnieniem stosunków włoskich i losów rodzinnego miasta autora. Wyczerpująco też przedstawione są czyny królów niemieckich: *Henryka VII* i *Ludwika Bawarskiego*. Opowiada *Mussato* wyłącznie tylko wypadki swego czasu i tęp właśnie wyróżnia się od historyków średniowiecznych. Nie rozpoczyna od stworzenia świata, lecz od narodzin *Henryka* i mówi o tęp jeno, czego był świadkiem lub w czém nawet brał udział. Ilekroć powołuje się na świadectwo innych, jest chwiejny i niepewny; dopóki snuje opowieść tonem mówiącego o rzeczach sobie znanych, zasługuje na wiarę i zaufanie. *Mussato* opowiada, ale nie wyrzeka się własnego sądu. Wygłosił wprawdzie zdanie (*Hist. Henr. VII*, początek 8 ks): wolę raczej być ganionym, żem niejedno opuścił, aniżeli, żem lżył: odrzekł tęp pewnej znakomitości, która skarcić go chciała za dane jęp miano zdrajcy, że nie jest sędzią, lecz świadkiem, że zostawia potomnym rozdawnictwo nagan i pochwał. Mimo to przecież w ustępach, traktujących o owęp znakomitości, *Marsyliusza z Karrary*, przekroczył granice prawdomównemu historykowi zakreślone i w gwałtownęp napaści zwróconęp do ludu padewskiego dał upust cierpkim uczuciom, jakie go opanowały po zgonie *Henryka*. Spodziewał się bowiem, jak *Dante* i tylu innych, idealnego połączenia cesarstwa z Włochami, a w *Henryku* upatrywał męża odpowiedniego do przeprowadzenia takiego zjednoczenia. Stał więc po jego stronie, wyśmiewając przesady swęp epoki i swych współobywateli, którzy pragnęli utrwalenia przestarzałych zatargów partyjnych Gwelfów z Ghibelinami.

Jako poeta zdobył *Mussato* rozgłos elegiami, eklogami i listami poetyckimi, a przedewszystkięp dwiema tragiedyami: *Achilleis* i *Eccerinis*. Osnową pierwszęp jest zabicie Achillesa przez Parysa. Dramat to bez znaczenia; niektórzy zresztą odmawiają jego autorstwa *Mussato'wi*. O wiele ważniejsza jest druga. Język i sposób obrobienia przejął poeta od starożytnych. Goniec opowiada wypadki najgłówniejsze; kilka tylko osób znajduje się równocześnie na scenie; chór występując w końcu aktów, wyraża w słowach nastroj zarównu uczestników, jak i ludzi nie biorących udziału w sprawie. Mimo tęp pożyczkę klasyczną treść wszelako jest zaczerpnięta niemal bezpośrednio z historii epoki współczesnej; traktuje albowiem dzieje okrutnego *Ezzelino de Romano*. *Ezzelino* i brat jego *Alberyk* dowiadują się od matki *Adelajdy*, że są spłodzeni przez nią i szatana; pragną więc okazać się godnymi pochodzenia dyabelskiego i przypodobać się ojcu, „który błogą znajduje rozkosz w oszustwie, niszczeniu, wojnie, podstępach i tępieniu rodu ludzkiego.” *Alberyk* jest tylko karykaturą brata, *Ezzelino* zdobywa Padwę, zamierza całe ujarzmić Włochy, porburzyć miejsca, skąd wyszło tryumfujące po wszem świecie chrześci-

jaństwo, nie da się zmiękczyć mnichowi *Lukasowi*, błagającemu w imieniu religii o oszczędzanie uciśnionych, lub grozi mu, iż pała żądzą stania się podobnym „błogosławionej pamięci” Neronowi. Bluznierstwo spotyka natychmiast kara. Za ledwie rozniosła się wieść o odebraniu Padwy przez wygnańców, Ezzelino ciągnie na nowe boje i pada u brodu pod Cassano; pada nie przeto, że jest słabszy od wroga, ale ponieważ przypomina sobie wróżbę matki, że ów bród będzie zgubą jego. Tyran kona; kona jednak nie w bojaźni przed Bogiem, nie w bojaźni przed ludźmi, lecz w trwodze przed tajemniczą potęgą wieszczby i przerażającą siłą losu.

Poezyę uprawiał *Mussato* nie tylko dla siebie, ale zalecał ją także innym, i dlatego starał się osłabiać wymierzane od teologów przeciw niej napaści, które lęklivych napchniały strachem. Jest więc *Mussato* pierwszym między bojownikami w walce nauki z opieką duchowną. Występował przeciw *Giovannino'wi*, ponieważ ten w śmiesznym tonie wielkopańskim poezję zrazu pomijał milczeniem, a potem przedstawiał ją jako sztukę godną potępienia ze strony teologa. Ten *Giovannino* jest jednym z najdawniejszych nieprzyjaciół humanizmu; zresztą w wiekach następnych miał nawet niezliczonych naśladowców. Wielu pisarzy późniejszych w sposób podobny jak *Mussato*, ale z większą wymową i głębszą znajomością rzeczy posługiwało się dowodami, przy których pomocy *Mussato* usiłował wykazać, że poezja jest częścią teologii i nie mniej jak ona „sztuką boską.”

Brunetto Latini należy do generacji nieco starszej niż *Mussato*. Urodził się 1230, umarł 1294 r. Podług *Villani'ego* był to *mundano huomo*, t. j. mówiąc w duchu historyka, człowiek splamiony szpetnymi, przeciwnymi naturze występkami, ale zarazem, gdyby można dać inne znaczenie owemu orzeczeniu, mąż nowego świata, mąż, co przedsięwziął wykształcić swą indywidualność, rozwinać się w sposób samostatny. Posiadał on, jak mówi dalej *Villani*, który skreślił przesłiczną jego charakterystykę, trzy głównie zalety. Pierwszą stanowiło pragnienie *digrossare*, t. j. z grubsza okrzesać Florentczyków, wywieść ich z ciemnoty i ogładzić; drugą była zdolność pięknego mówienia i pisania; trzecią to, że umiał innym doradzać rozumne środki polityczne i sam potrafił mądrze działać, skoro się tylko znalazł na stanowisku odpowiedni. Rozpatrując się bliżej, znajdujemy, że właśnie te trzy zalety są charakterystycznymi znamionami wykształcenia renesansowego. *Brunetto Latini* był uczonym. Język łaciński znał o tyle, że mógł czytać utwory starożytnych i niektóre z nich tłómaczył; mimo to w dziełach swych łączy się nie. posługiwał, lecz jedno napisał po włosku, drugie po francusku.

Pierwszą jego pracą, co do czasu wcześniejszą, a ze względu na objętość szcuplejszą, jest poemat allegoryczno-dydaktyczny: *Il tesoro*

retto (Skarbeczyk). Miał to być rodzaj encyklopedyi, ale ukazał się zaledwo jęj początek. Opowiada poeta, iż za powrotem z Hiszpanii, zgryziony klęską Gwelfów, przechodząc się po lesie, spotkał Naturę, która udzieliła mu gruntownych wiadomości o przedmiotach fizycznych. Następnie zdybał Cnotę z czterema jęj córami: mądrością, walecznością, umiarkowaniem i sprawiedliwością, które wygłaszały mu odczyty treści moralnej. W końcu zetknął się z Amorem, który poetę odrażą przeniknionego chciał przyjąć na naukę; z siideł Erosowych oswoodził go jednak Owidyusz. Później udał się autor do Montpellier, aby wypowiedać się z grzechów i, znowu w lesie dopędzony przez *Ptolemeusza*, miał pod jego kierunkiem studyować resztę umiejętności. Otóż nie dostaje właśnie tych wiadomości, które wraz z naukami Natury i Cnoty powinny były utworzyć całość. Jednakże i w tęg postaci, lubo ułamkowej, poznajemy zewnętrzny wzór poematu Dante'go. Wskazują go wyraźnie: forma, dalej przyjęcie przewodnika ze świata starożytnego (u *Latini'ego Owidyusza*, u *Dante'go—Wergiliusza*), wreszcie ucieczka od zamieszek politycznych do spokoju spekulatywnego.

Od *Tesoretto* nie wiele się różni osnową *Tesoro* (Skarbiec), ale co do formy przedstawia rozmaite odstępstwa. Nie jest alegoryczny, nie jest przyodziany w kształt opowieści, zadawalnia się wysłowieniem prostém, prozaicznym, posługuje się językiem francuskim miasto włoskiego. Ażeby usprawiedliwić wybór tego języka, przytacza autor słowa wielce godne uwagi na owe czasy: *parce que cette langue est plus delicate et plus commune à toutes gens et court parmi le monde*. Dzieło to prozaiczne jest encyklopedyą. Obejmuje zarys kosmologii, nauki przyrodniczej, historii i geografii, moralności, retoryki i polityki. Dzieł podobnych istniało wtedy wiele a znaczenie ich nie polegało bynajmniej na samodzielnych badaniach naukowych, lecz raczej na zestawieniu znanych owęg epoce skarbów wiedzy. Praca *Latini'ego* wiąże się ściślej, aniżeli by to godziło się dla płodu umysłu samodzielnego, z dziełami pokrewnymi owego czasu, np. z książką uczonego *Alfonsa X*, króla kastylskiego. Mimo tęg zależności pozostaje zjawiskiem osobliwszém, częścią dlatego, że napisana jest w języku francuskim, aby być zrozumiałą i nieuczonym, częścią dlatego, że poświęca wiele miejsca nie tylko wiadomościom naukowym, ale i umiejętności dnia — polityce. Właśnie swemi roztrząsaniem politycznemi stanowi *Brunetto Latini* uderzające przeciwieństwo do wieków średnich. Zdanie jego: „Polityka jest najszlachetniejszą i najwyższą umiejętnością, obejmuje największe czyny na ziemi, albowiem zawiera w sobie wszystkie sztuki, jakich potrzeba w społeczności ludzkiej i dla społecznej ludzi egzystencyi — czyta się jako bezpośredni protest przeciw teologii. Wykłada więc autor nie nauki

abstrakcyjne, mogące znaleźć zastosowanie w każdej epoce, ale wygłasza uwagi porównawcze o stosunkach politycznych Francyi i Włoch, dwu krajów, do których należał z urodzenia i skłonności, (z uwag tych nie można jednak stanowczo wymiarkować, jakiej formie rządu bardziej sprzyja, rzeczypospolitój, czy monarchii). Wymaga on od monarchy nie tylko mądrości i wielkości moralnej, lecz także — i właśnie to żądanie jest nadzwyczaj charakterystyczne dla czasów, w których żyje i pisze — dzielności umysłowej; mianowicie zdolności oratorskiej, chce, aby władca mówił lepiej, niż większość jego poddałych. Spotyka się wreszcie z umysłami niezależnymi doby w zapatrywaniach na szlachtę. Przyzwala, aby szlachta wówczas jeno zażywała dużego poważania, kiedy krom imienia starożytnego posiadać będzie cnoty rzeczywiste i kiedy wzniosłymi czynami nieustannie dobijać się będzie pierwszeństwa przed innymi. Takie spostrzeżenia, wysoce znamienne, nie wykluczają bynajmniej mnóstwa błędów i zdań powierzchownych. Cytuje np. *Latini* „wielką księgę o Troi” jako źródło do wojny trojańskiej; przyjmuje nieprzerwaną szereg królów greckich (mianując ich w końcu cesarzami) poczynając od *Nemroda*, którego za *Józefem* nazywa założycielem wieży babilońskiej; wyraz rzymski *forum* wywodzi od *Foroneusa*, króla belleńskiego. Jak w kwestyach naukowych, podobnież i w innych okolicznościach okazuje się nieodróżnionym dzieckiem swego czasu. Mówiąc np. o astrologii, waha się wprawdzie uznać siebie za istotnego jej adepta, ale zwalcza ją tak mdło i tak obojętnie mieni ją wykroczeniem przeciw mądrości bożej, że możnaby go raczej wziąć za jej zwolennika, niż wroga.

Pomimo wszystkie usterki i strony ujemne pozyskał głośną sławę i zasługuje na nią przez to, że był nauczycielem Dantego. Sławę *Latini*'ego obwieszcza *Ugolino Verino* (De illustr. urb. Flor. 1545, str. 12 ns.) w pięknych wierszach: „Pod Twoim przewodem odrzuciła młodź tuscycyjska dawne barbarzyństwo a przywróciła mowie łacińskiej cześć słusznie przynależną i blask starożytny; z Twego bowiem źródła czerpał Dante.” Sam Dante wreszcie, aczkolwiek dla występków wyznaczył mu miejsce w piekle, z radosną przecież wdzięcznością śpiewa jego chwałę (Piekle, XV, 82 ns.):

Wierzaj mi, zawsze w pamięci mój stoi
 Drogi ojcowski obraz twarzy twojej,
 Gdy mnie uczyłeś, jak dzieli wielkiemi
 Unieśmiertelnia człek imię na ziemi.
 Za to ci wdzięczność serce me przechowa,
 Rad, póki żyję, wyznam ją przez słowa.

(Tłóm. J. Korsaka).

Dante jest obywatelem dwu światów; jedną stopą tkwi jeszcze w czasach starożytnych, ale mimo to potężnym krokiem posuwa się naprzód jako przywódca nowej epoki. Taka dwoistość prowadzi łatwo do połowiczności: czas jest niby kochanka; pożąda ona mężczyzny albo całego, albo go nie chce wcale i markotna odwraca się od osobnika, który nie oddaje się jój w zupełności. Aczkolwiek więc *Dante* w podziw nas wprawia, aczkolwiek rozległym umysł jego i wielostronnemi wiadomości, aczkolwiek twórczym jego gieniusz językowy, aczkolwiek głęboką i bogatą jego zdolność poetycką; jednakże nie stworzył ani jednego dzieła, któreby potomność przyjęła z niezamąconą radością, któreby ją napawało rozkoszą bez goryczy. Jego bowiem dzieła łacińskie odstręczają językiem niezrozumiałym, mozolnie na pozór walczącym z myślami: odstręczają scholastycznym nawskroś sposobem dowodzenia, Jego zaś wielki poemat, właściwy pomnik sławy, mimo wspaniałego pomysłu, olbrzymiego polotu idei i cudowności języka, jest tworem, do zrozumienia którego potrzeba posiadać nie tylko zdolność rozkoszowania się, ale jeszcze pietyzm i zmysł historyczny. W prawdziwem dziele sztuki pragniemy kosztować uciechy, chcemy go zrozumieć, skoro tylko okiem na nie rzucimy; tymczasem Boskiej Komedyi *Dante*go bez starannych komentarzy czytać nie można. Bez objaśnień będzie ona odmętem dat i nazwisk, odmętem, w którym zorientować się nie podobna. Włoch zachwyca się już samą słodyczą dźwięków i czarującą harmonijnością wierszy, ale cudzoziemiec musi treśćpoematu z ciężkim przyswajając sobie trudem i nigdy nie zażyje czystej rozkoszy użycia.

A z tém wszystkiem jest jednak *Dante* przodownikiem i głową literatury Odrodzenia. Jest twórcą lub co najmniej współpracownikiem innych twórców nowych kierunków, stanowiących właściwość kultury włoskiej w epoce renesansu. *Jakób Burckhardt* odróżnia nader trafnie sześć takich kierunków, a mianowicie: nowe pojmowanie istoty państwa, wykształcenie indywidualności, wskrzeszenie nauk, odkrycie świata i człowieka, przekształcenie stosunków towarzyskich i zabaw, przymiana w obyczajach i religii.

Dante podziela nowe zapatrywania na państwo. Państwo według tego poglądu nie jest pewną liczbą tworów obocznych, odrębnych, wewnętrznie wcale nie spojonych, co najwyżej połączonych zewnętrznie w luźną całość, nie jest instytucją z rozrządzenia boskiego stałą i niezmienną, ale jest organizmem zdolnym do przeobrażeń, zależnie od potrzeb chwili i wymagań ludzi społecznie żyjących. *Dante* kocha swą ojczyznę i bierze udział w pracy nad ustanowieniem konstytucyi, odpowiadającej charakterowi mieszkańców, ale nienawidzi skłonności rodaków do ciągłego wprowadzania nowości i odrzucania tego, co stare, nie przeto, iż się okazało nieprzydatnem, lecz ponie-

waż istniało za długo bez przekształceń żadnych. *Dante* kocha ojczyznę, a jednak oskarża ją o niestałość i niewdzięczność; mając możność, nie chce powrócić do kraju, który go wypędził bez względu na zasługi, mimo pozorną obojętność dręczy go nierzadko bólem i wtedy zagłusza go już to złorzeczeniami, że osławiony i zhańbiony, nigdzie pojawić się nie może, już tanią pociechą, że i gdzieindziej znajdzie kęs chleba; innym znowu razem przytłumia cierpienie, wypowiadając głoszone wówczas często, ale naprawdę niezawsze żywione uczucia kosmopolity, w słowach: „wszędzie mogę oglądać światło gwiazd” albo „moją ojczyzną jest świat.” *Dante* kocha ojczyznę i radby ją, „najpiękniejsze miejsce na ziemi,” uczynić poczesną siedzibą w państwie wszechświatowem, o którym marzy. Politykę swą wyłożył w książce *De monarchia*, a posiłkował się w niej polemiką i doświadczeniami wyrosłymi z kultury średniowiecznej; równocześnie wszakże w tej samej książce wyróżnia się od swych wzorów średniowiecznych, obierając w walce środki inne i stawiając cel inny. Środkami dlań są biblia i pisarze starożytni miasto Ojców kościoła i uniemań szkolarskich, celem zaś władza świecka, którą stawia obok lub nawet zamiast władzy duchownej. Politykę *Dante*go można zawrzeć w trzech zdaniach: 1. Monarchia jest niezbędną dla dobra świata; mocą tej zasady autor, kosmopolita, nie tylko żąda i broni monarchii wszechświatowej, ale nadto, on, urodzony republikanin, twierdzi, że sprawie dliwość i pomyślność — nawet w państwie jednostkowym rozwija się najświetniej wtedy, kiedy na jego czele stoi monarcha. 2. Lud rzymski, lud, zgodnie z dowodami rozumu i objawienia, najszlachetniejszy i najstarożytniejszy, lud, który wcześniej niż inne pracował dla dobra powszechnego, musi być wyobrazicielem tej monarchii. 3. Cesarz rzymski, żywy wyraz myśli monarchicznej, powołany przedstawiciel i posiadacz władzy wszechświatowej, otrzymuje swój urząd wprost od Boga za pośrednictwem elektorów, „heroldów woli boskiej,” i w dostojenstwie zupełnie jest równy papieżowi. Zasady te mają być nie teoryjami, lecz naukami, przeznaczonymi do zastosowania praktycznego. Wyływają one oczywiście z rozważania wypadków współczesnych, wywołane — czy bullą Bonifacego VIII, tchnącą pożądaną chęcią panowania uniwersalnego, czy też wynikły bezpośrednio pod wrażeniem wyprawy rzymskiej *Henryka VII*. Politykę traktuje *Dante* także w listach (najdawniejszych niemal płodach publicystycznych pisarza świeckiego) wystosowanych pod adresem Florentczyków, książąt i ludów Italii, oraz kardynałów włoskich. I w listach i w książce *De monarchia*, postępując w duchu swych przekonań, zwalcza przeciwników, między którymi rozróżnia trzy klasy: papistów, Gwelfów politycznych i dekretalistów. Miota najgwałtowniejsze nociski na wrogów cesarstwa, dobiera najstraszniejszych wyrażań

przeciw miastu ojcystemu, nazywając je np. „owcą parszywą, co swém zetknięciem zaraża stado Pana, węzem, co wysysa pierś swęj macierzy.” *Henryk VII* natomiast wystawia sobie w świetle idealném nawet wówczas, kiedy cesarz osobiście zapoznał się z poetą. Jest on dla *Dante*go władcą najdobrotliwszym i najłagodniejszym, zesłańcem bożym, który powszędę łaskę Pana krzewi; wojownikiem niezwyćionym, któremu książęta i grody bez oporu poddawać się winni.

Dante ma dalej na celu całkowite wykształcenie swęj indywidualności, pragnie rozwinąć wrodzone swe uzdolnienia, ale domaga się zarazem od współczesnych i potomnych uznania dla swych usiłowań i nagrody za to, czego dokonał. Uznaniem jest sława a oznaką sławy wawrzynowy wieniec poetycki. Przecieć *Albertyn Mussato* otrzymał wieniec taki za dzieła niewielkięj doniosłości! *Dante*, chociaż na pewno zawiści próżen, radby sam zaszczytu tego zażywać. On, co był świadom, że jest torownikiem dróg nowych; on, co w pracach łacińskich rad wyznawał, że pierwszy podobnego rodzaju rzeczy pićsać przedsięwziął, — z utęsknieniem pragnął, aby uwieńczono wawrzynem skronie jego w samęj Florencyi, u tego samego źródła, przy którem chrzest otrzymał. Posiadał jednak tyle bystrości, że rozumiał znikomość hołdów podobnych, a zapatrywał się na życie o tyle poważnie, że znał dobrze zgubność dążenia do zaszczytów ziemskich i nagród doczesnych. I tak, miotany różnemi siłami, żądzą sławy i pogardą blasku zewnętrznego, długą toczył walkę, ale nigdy stanowczego nie znalazł rozstrzygnięcia; nigdy bowiem nie zesłabło działanie słodkiego jadu sławy, którego raz zakosztował.

Dante należy także do rzędu najpierwszych i najznakomitszych twórców studyów klasycznych. Ponieważ doznawał czei niezwyklęj, ponieważ ze zdumiewającą gorliwością odważano każde jego słowo i badawczo sprawdzano każde zdanie, łatwo przeto pojąć, że zasługi jego przesadzano. Jakoż istnieją nie tylko pisma przyznające mu gruntowną znajomość greczyzny, ale i takie nawet, co pragnę uczynić go hebraistą. Z drugiejęj jednak strony nie trudno tęż zrozumieć, iż z przecenianiem szło w parze niedocenianie — i to tak dalece, że niektórzy wykreślili *Dante*go z szeregu pisarzów epoki Odrodzenia. Wszelako wolne od uprzedzeń badanie wykazuje, że *Dante* pracował z niemniejszym zapalem i pożytkiem dla Odrodzenia starożytności klasycznęj, jak i dla innych stron kultury renesansowęj. *Dante*, być może, nie zgłębił autorów łacińskich w wyższym stopniu od *Brunetto Latini*ego, ale zasługa jego o wiele jest donioślejszą z tęj mianowicie przyczyny, iż działalnością swą obudzał interes wśród ogółu, gdy tymczasem *Latini* ograniczał się na wybraném tylko gronie. *Latini*, mówiąc o starożytności, przybiera poważną minę profesora, który zamierza udzielić wiadomości nadzwyczajnych o częms zupełnie nowém;

Dante zaś prawi o mężach i niewiastach starożytności jak o znajomych, o których każdy wie, jak o ukochanych i sławnych przodkach, których się chętnie i pomimowoli wspomina. *Latini*, kładąc jednostronnie całą uwagę na naukę, wziął za przewodnika *Owidyusza*; *Dante* zaś wybrał *Wergiliusza* jako wielkiego poetę, jako Rzymianina, który opiewał wyłącznie rzeczy rzymskie, jako pisarza odzwierciedlającego rozwój ludzkości, jako myśliciela filozoficznego, który z pośród poetów rzymskich stanął swymi ideami najbliżej chrześcijaństwa. Oprócz *Wergiliusza*, tego „mądrego poganina, co wszystko wiedział,” oprócz tego „morza ducha” zna *Dante* innych jeszcze autorów rzymskich. Nie tylko ich zna i cytuje, ale ośmiela się nawet ich naśladować; co więcej’ przenosi z owych autorów do swych pism słowa i zdania z zupełną naiwnością, która w postępowaniu podobnym nie widzi nic zdrożnego.

Nie dość na tём; *Dante* nietylko zna pisarzów, ale umie tęż oceniać czasy, w których żyją i które opisują, w taki sposób, że nawet badacze późniejsi uwzględniali i dzielali jego pojmowanie dziejów rzymskich. Państwo rzymskie według zapatrywań *Dantego* jest dziełem Boga, a jego losy są zakreślone wpływem i działaniem Boga. „Żywię to silne przekonanie” — brzmi pełne zachwyty wyrzeczenie — „że kamienie murów miasta nakazują uszanowanie, i że miejsce, na którym się wznosi, jest godniejszém nad wszystko, co ludzie chwalili i wysławiali” (*Convito lib. IV, 5*). Szacunek ten przypada tylko Rzymowi starożytnemu. Rzym nowy piętnuje *Dante* jako zwyrodniałe dziecię grodu dawnego, jako miejsce osławione, którego obywatele niegodni są przeszłości przez swój język i odzież, a zwłaszcza przez swe obyczaje i charakter. Szacunek ten ściąga się do języka starożytnego ze względu na starożytność a nie czasy późniejsze; owszem, w tych czasach późniejszych powinien język włoski otrzymać swe prawa. W polityce występował *Dante* przeciw zasadom średniowiecznym nauki państwowej, utrzymując bowiem monarchię uniwersalną, ów wytwór wieków średnich, pragnie jednak związać ją najściślej z Italią. Podobnież w księdze łacińskiej: *De vulgari eloquio* (o wymowie w języku ludowym), nie obniżając bynajmniej swęj czci dla łaciny, przemawia za uprawnieniem i dostojenstwem języka włoskiego. Dzieło to niedokończone zawiera jeno część mniejszą tego, co *Dante* założył sobie wykonać. Nie opracowane są mianowicie księgi 3 i 4, które miały się zajmować sonetem i balladą, poezją komiczną i elegijną. W przepisach tych właśnie ksiąg miała głównie spoczywać wartość dzieła; braku ich nie wynagradzają wcale rozprawy o początku języka (wbrew późniejszym swym poglądom przyznaje *Dante* duszy człowieka pierwotnego pewną formę mowy wrodzoną) i przedzieraniu się do Europy rozmaitych narzeczy. Na-

tomiast bardzo jest ciekawą krytyka ówczesnych dyalektów włoskich. Żaden z nich nie znajduje uznania w oczach surowego sędziego; ani rzymski, ani spolecki, weroński, medyolański lub bergamski, ani sycylijski lub apulski, ani nawet tokański, „choć szaleni Toskańczycy, upojeni pychą, nadają swemu językowi nazwę i przyznają zaszczyt panującego języka narodowego” (lib. I. c. 13). Sąd ten ostry a zresztą i niehistoryczny, gdyż naprawdę narzecze tokańskie stało się podstawowem i dla samego *Dante* i dla późniejszej literatury włoskiej, nie da się wytłumaczyć, lubo kuśił się już o to nawet *Machiavelli*, małostkowem uczuciem zazdrości. Wpływał on zapewne po części z gwałtownego przeciw Florencyi gniewu, którym wówczas z przyczyny swój banicyi był *Dante* przepelniony, który mu np. wyrwał z piersi słowa o bolesnej rezygnacji świadczące: „ponieważ kochaliśmy miasto, znosimy wygnanie” (lib. I, c. 6); po części zaś wynikał z dość uzasadnionego poczucia wielkiego pisarza, że „dominujący język, główny język dworu i sądu” nie może być wyrobiony przez ludzi, co przypadkowo zamieszkują gród lub prowincyę, lecz musi być ukształtowany przez zespolonych wewnątrznie znakomych poetów i mistrzów słowa jako produkt sztuczny, ale zarazem jako narzędzie przyrodzone, odpowiednie ich gieniuszowi. Nadto twierdzi dalej *Dante*: uprzywilejowany język narodowy nie ma być używany przez wszystkich i dla wszystkich, lecz tylko przez poetów wybitnych i w traktowaniu przedmiotów najpodnioslejszych, jak czyny wojenne, miłość, cnota i zbawienie wieczne. Zaszczytne imię *poeta* niechaj ozdabia tych wyłącznie poetów, którzy posługują się językiem łacińskim; piszący zaś w języku ojczystym powinni zadawałniać się mianem skromniejszém, oznaczającém raczej stronę zewnętrzną rymotwórstwa, aniżeli istotę poety prawdziwego, więc *dicitore per rima* albo *rimatore* (rymotwórca). Toć sam *Dante*, czy to z własnej inicjatywy pragnąc zdobyć owo imię zaszczytne, czy też że, ulegając nawoływaniom niektórych współczesników, a zwłaszcza *Jana Virgilio*, zachwiał się w swych lepszych przekonaniach, gotów był „Boską Komedyę” przyoblec w szatę łacińską i zapewne mało pocieszał go fakt, że on, poeta podniosłych myśli i członek kół znamienitych, jest znany i czytany przez najniższe klasy ludu. Wreszcie wielki Włoch utrzymuje: poeta winien posiadać nietylko, co rzecz naturalna, znajomość przedmiotu opiewanego oraz języka, którym pisze, ale jeszcze i naukę (t. j. zapewne znawstwo starożytności klasycznej); nieuczonemu zasię od poezyi! To właśnie żądanie, aczkolwiek ujawnia zacieśniony pogląd estetyczny, dowodzi lepiej niż wszelkie cytaty z pisarzy starożytnych, że *Dante* przynależy do kultury Odrodzenia. Uczony, co z mozołem zdobył wiedzę, chce też wiedzy tej nadać znaczenie we wszystkich dziedzinach, w których się obraca, a inni mają jej okazywać uznanie, a szacunek dla niej stwierdzać pracami swemi.

Istotę kultury renesansu znamionuje także odkrycie świata i człowieka. Odkrycie świata sprowadziła uprawa nauk przyrodniczych. Znalazły one w *Dantem* żarliwego i rozumnego krzewiciela. Świadczą o tém niezliczone aluzje i porównania z natury, w pismach jego rozrzucone, oraz dzieło samoistne, w którym złożył swe wiadomości i rezultaty swych studyów. Pismo to pochodzi z ostatnich lat życia poety i nosi tytuł: *Quaestio de aqua et terra*, „Pytanie dotyczące wody i ładu”, albo dokładniej treść uwzględniając: „Pytanie, czy woda (morze) w swém zaokrągleniu (sfera) stoi gdziekolwiek bądź wyżej niż łąd, który wylania się z wody”. Zajmuje się tu autor kwestyą sporną, częstokroć wówczas poruszaną, i rozstrzyga ją w sposób przeczący, gdy tymczasem *Brunetto Latini* wypowiada zdanie w duchu twierdzącym. Zgodnie z naturą kwestyi, nader podobnej do szkolarskich sporów średniowiecznych, metoda traktowania jest nawskroś scholastyczna. Mimo to przecież przedzierają się niekiedy jasne błyski po-przez ciemności posępne. Umysł genialny nie mógł się mozolić nad drobnostkami, spuszczać z oka rzeczy ogólniejsze, nie chciał obciążać się troskami bezpotrzebnymi mąż, czujący się może blizkim grobu; stąd wynika napomnienie (§ 22), aby zadawałniam się wiadomościami szczuplejszemi, ale stanowczo pewnemi, a zaniechał szperaniny w przedmiotach, wymykających się badawczym zdolnościom człowieka. Ze szczególną żarliwością oddawał się Dante nauce o gwiazdach czyli astronomii. Nie dzieje się więc przypadkiem, lecz wpływa z uświadomionego zamiaru, że każdą z trzech części „Boskiej Komedyi” kończy słowem *stelle* (gwiazdy) i z lubością rozprawia o gwiazdach zarówno w tym poemacie, jak i w innych dziełach. Wróżenie z gwiazd i wiara we wpływ gwiazd na losy ludzkie były obce jasnemu jego umysłowi. W astrologię nie wierzy a z astrologów szydzi. Małą też chyba przywiązywał wagę do przepowiedni, które, jak mówią, wyczytał dlań z gwiazd *Brunetto Latini*. Poświęcał się *Dante* nauce przyrody, ponieważ naturę kochał, ponieważ zachwycał się pięknosciami krajobrazów. On-to pierwszy może z nowoczesnych wdierał się na góry, aby podziwiać widoki piękne, a przypatrując się naturze uroczej, wchłaniał w swą duszę wrażenia potężne. Odkrywa on i bada naturę nieożywioną, ale bada również istoty ją ożywiają. Byстрыm wzrokiem umie też wydobyć na jaw stronę zewnętrzną rzeczy, powierzchowną. On, myśliciel wielki, którego duch, jak przypuszczać się godzi, bujał tylko w sferach wyższych, miał zmysł dla drobnych wypadków dnia i korzystał z nich w swych obrazach i porównaniach. O darze obserwacyjnym *Dantego* świadczy np. wyrzeczenie, dotyczące jakiegoś skazańca: „spogląda na przechodniów, mrużąc oczy jak krawiec nawlekający igłę”; świadczy budowa piekła

tak przejrzysta, iż można rysować a nawet rysowano mapy jego na podstawie opisu poety. Widzimy wreszcie zdolność spostrzegawczą w wizerunkach potępieńców. Zdaje ci się, że masz przed oczyma ucieleśnione i niemal pochwytnie ich osoby, np. Lucypera, potwora o sześciu skrzydłach, z którego sześciorga oczu ściekają łzy i piana krwawa na trzy szpony, który trzema paszczekami trzech potępieńców „rozmiążdża niby na międlicy”. Kreśląc obrazy innych, nie zapomina *Dante* o samym sobie. Owszem, poczytuje niejako za obowiązek uświadamiać siebie a owoc swych poszukiwań przedstawić bliźnim. Wyznaniem tego rodzaju, rachunkiem sumienia z czynów własnych jest poniekąd jego *Vita nuova* (Życie nowe). Dzieło to obudza zaiste niesmak estetyczny skutkiem dziwacznej mieszaniny poezyi z prozą a malowaniem dusz aż do zbytku drobiazgowym wywołuje prawie podejrzenie nieprawdy; wymusza dalej uśmiech igraszkami cyfr a zwłaszcza z liczbą 9, np. $9 = 3 \times 3$, „która sama jest cudem, ale jęj pierwiastek może być jeno trójcą cudowną”; przytłumia wreszcie uczucie poetyczne zimnem, pedantycznym objaśnianiem poematów. Z tém wszystkiem atoli posiada nadzwyczajną wartość kulturalno-historyczną jako pierwszy wzór autobiografij, wizerunków własnych, dla stuleci późniejszych. Aczkolwiek bowiem ma ono być komentarzem miłości i namiętności poety — miłość stanowczo nie znosi żadnych objaśnień — nie przestaje być przecież wykładnikiem prawdziwego i szlachetnego uczucia oraz świadomości, że jest programem nowych czasów. Kiedy *Dante* przechodzi mimo szlachetnych niewiast, które dawniej znały jego uciechy a teraz frasunek widzą, jedna z nich zatrzymała go i pyta: „Po co kochasz swą Panią, gdy obecności jęj znieść nie możesz? Powiedz nam, albowiem cel ostateczny takiej miłości musi być chyba zupełnie nowym”. Poeta odrzekł: „Celem ostatecznym miłości mojęj było niegdyś pozdrowienie ze strony owęj Pani i w tém pozdrowieniu leżała moja szczęśliwość niebiańska i cel pragnień moich. Skoro jednak podobało się jęj odmówić mi takiego pozdrowienia, wówczas Amor, władca mój, zawarł całą błogość moję w tém, co nigdy dla mnie nie zaginie”. Kiedy zaś owa pierwsza białogłowa z podziwem zapytała, na czém ta błogość niebiańska polega, odparł: „Polega na słowach, wystawiających moją Panią”. (Życie nowe, rozdz. 13). W wyrazach tych zawarł poeta program całej poezyi miłosnej renesansu. Zwiastuje tu uczucie etyczne czyste, obce wszelkiej zmysłowości, nie domagające się wysłuchania swych prośb; przyznaje wyższe stanowisko kobiecie, wobec której stoi kochanek, jak człek modlący się przed Bogiem. Albowiem jak bogomódlca lękliwą prośbą mniema uzyskać spokój wewnętrzny i roi sobie, że wstępuje w jego duszę uczucie radosne, jakie daje pewność, że prośby są wysłuchane, tak zakochany ucuwa bło-

gość największą nie w oczekiwaniu uciech miłości i nie w ich używaniu, lecz tylko w słowach jego pniań wysławiających.

Już w tém zrównaniu czy też wywyższeniu kobiety ukazuje się piątą znaną kulturę renesansu. Jest niém mianowicie dążenie do zbadania istoty społeczeństwa, usiłowanie wyznaczenia każdemu właściwego miejsca w nowo organizującej się społeczności, staranie, aby z samopoznaniem łączyć rzecz niekiedy nawet trudniejszą, t. j. uświadamianie siebie w stosunku do innych. W badaniach tego rodzaju wypowiada już *Dante* zasady, mające dla pokoleń następnych ważność doniosłą. Przygotowuje on, że znów użyjemy wyrażenia *Burckhardta*, teoretyczną negacyę szlachty, będącą znamieniem charakterystyczném całej epoki Odrodzenia. Dawniej już *Brunetto Latini* wygłosił zdanie: „Cnota dała podstawę szlachcie, nie szeregi przodków”; ale *Dante*, traktując tę kwestyę, idzie dalej i śmiej. Mówi jużci, że szlachtę tworzy dzielność osobista wespół ze znaczeniem przodków, przechyla się jednak coraz bardziej do twierdzenia, że szlachectwo nie jest niczém odziedziczoném, ale czémś zapracowaném. Z téj przyczyny wypowiada już w kanzonie, której objaśnieniu poświęcił 4 księgę „*Ucztę*” (*Convito*), słowa:

Władza szlachta zawsze, gdzie władza cnota,
Ale cnota nie zawsze — gdzie ona;

Potém w długiej rpzprawie, następującej po owym poemacie, dochodzi do takiego rezultatu: „nie ród uszlachetnia jednostki, lecz jednostki ród podnoszą”. Co więc, wysnuwa z téj definicyi żądanie, aby każdy zawsze na nowo zdobywał sobie szlachectwo. O szlachectwie w „*Boskiej Komedyi*” (*Raj*, ks. 16), tak się wyraża:

Ty jesteś płaszczem, co szybko się skraca,
Jeśli z dnia na dzień zasługa lub praca
Nowego sukna dla cię nie przykroi.

(Tłómacz. J. Korsaka).

Ostatnią cechą wreszcie istoty kultury renesansowej jest sposób pojmowania obyczajów i moralności, stanowisko względem religii i kościoła. Zaznaczono już wyżej, jak surowo karał *Dante* wykroczenia innych przeciw przykazaniom mądrego i dobrego życia. Byłoby więc źle z jego poczuciem sprawiedliwości, gdyby sobie pozwalał na to, co smagał w bliźnich. Nadto idealizm, znamionujący miłość jego, głęboka powaga przenikająca jego politykę, umysł ścisły uwiadczniający się w jego pracach naukowych — wszystko to musiało go odwozić od próżniaczych rozkoszy życia i wynosić ponad puste

upojenie zmysłów. Faktów tych nie obali ani to, że po *Beatryczy* kochał może inną kobietę, ani to, że mógł w młodości oddawać się nawet uciechom ucztowania więcej, aniżeli by przystało mędroci. Ale nie te z pewnością występki sprawiały poecie ciężkie troski i wywoływały skrupuły sumienia, nie te przejmowały go trwogą o zbawienie wieczne i obawę kar dotkliwych. Przewinienie, o które się oskarża, nie może być cielesnym, lecz musi być raczej duchowym; wyrzuca mu je *Beatrycze*, ale ta *Beatrycze* zapożyczyła li imię i postać od dawniejszej kochanki, w rzeczywistości jest istotą niecielesną, jest istotą czysto duchową. Przewinieniem Danta jest oddanie się filozofii i naukom świeckim, jest badanie pogaństwa, teologii obcego lub nawet wręcz wrogiego. Nie był *Dante* nigdy poganinem; pogardzał z pewnością zawsze Epikurejczykami i wszystkimi nieprzyjaciółmi ważnych i zasadniczych dogmatów religijnych; jakoż z przeświadczenia wewnętrznego a nie dla miłości mniemań kościelnych wyznacza im miejsce w piekle: ale nie wynika stąd bynajmniej, aby nie był dostępnym powątpiewaniom. Owszem, oświadcza sam, że często zajmował się kwestyą, czy materya jest wieczną, czy stworzoną, ale nie zdołał pytania rozstrzygnąć. Wieczność lub doczesność materyi było jednym tylko z zagadnień filozoficznych, nad którymi *Dante* szperał. Ale filozofia wogólności wystąpiła u niego na plan pierwszy i stała się po śmierci *Beatryczy* kochanką; pamięci jej wprawdzie unicestwić nie potrafiła, lecz mogła chwilowo przygłuszyć. „Życie nowe” jest wystawieniem zgasłej kochanki w blasku niebiańskim. Po tém dziele następuje: „Uczta” (*Convito*), co do czasu i treści niby most między *Vita nuova* i *Divina Commedia*. W *Convito* ukazuje się *donna gentile*, szlachecko-piękny, doskonały obraz niewiasty. Nie jest to już kochanka światowa, bez względu, czyby nią była sama *Beatrycze*, czy inna kobieta, która na krótko zajmuje miejsce uwielbionej, lecz jest nią filozofia, którą poeta wysławia, jako wzniosłą i boską, nawet jako wznioślejszą od swego ideału. Mimo iż zatrzymał terminologię szkolną i sposób dowodzenia wskroś średniowieczno-pedantyczny, — wynurza *Dante* gorącą tęsknotę za filozofią nie w mowie uczonych, lecz w języku włoskim; kieruje się więc dobrze rozważonym postanowieniem, aby tego rodzaju myśli nie chować w tajemnicy przed nieuczonymi, przed którymi je dotąd ukrywano.

Do rozpatrywania zagadnień głębszych parł filozoficzny prąd wieku lub upodobanie jednostek w problematach myślowych; ale i badanie starożytności wiodło łatwo do wywnętrzeń kościelowi wrogich lub przez kościół źle tłómaczonych. W tym kierunku trzeba zaznaczyć, iż *Dante* lubi zestawiać przykłady pogańskie i kościelne, jak gdyby obojgu przypisywał podobną lub równą siłę dowodową. Przyczyną dalej wpływ na rządy świata pogańskiemu fatum, potędze

losu, którą starożotni kładli obok bogów lub nawet ponad nimi. Co więcej, raz jeden, za pośrednictwem ulubionego swego poety, *Wergiliusza*, co do którego zresztą rozstrzygnąć się nie da, o ile wygłasza poglądy stare lub nowe, oddaje panowanie nad światem Fortunie, a przeniesieniem władzy na istotę ślepą czyni ujmę mądrości i dobroci bożej, która przecie nie przypadkowym rozporządzeniem, lecz sprawiedliwem odważaniem wyznacza każdemu nagrodę lub karę, stosownie do zasługi lub winy. Wszystko to nie dowodzi wcale odpadnięcia od chrześcijaństwa, ale pewno odstępstwo to wyrzacał sobie poeta, zachodząc w lata sędziwe, i pocztywał je za wykroczenie, które pokutą zgładzić winien. *Dante* bowiem, myśliciel i szperacz, nie był bojownikiem bezwzględny, lecz badaczem rozważnym; ze światem i siłami wyższymi pragnął żyć w zgodzie. Dla ustalenia tego pokoju wprowadza w końcu *Czysca*, drugiej części „*Boskiej Komedyi*,” wspaniałą procesję mistyczną, w której ukazują się poecie: Chrystus, ewangelie, pisma starego i nowego zakonu, kościół ze swymi symbolami—a na ostatek zjawia się *Beatrycze*. Użycie podobnych środków nie miało na celu tylko pojednania kochanka z ukochaną; musi mieć na oku zamiary wyższe. „Jeżeli *Dante*”—rzeknijmy trafniemi słowy *Scartazzini*’ego—„zniechęcił do siebie *Beatryczę*, zniechęcił również i kościół chrześcijański, występujący pod postacią idealną w całej procesji mistycznej. Przedzielony jest bowiem od niego rzeką *Letą*, która nie wcześniej przekroczy, aż łzami szczerego żalu zmyje winę, jeszcze na nim ciążyącą. Procesya idzie na jego spotkanie i staje, skoro się poeta do niej zbliżył; rozpoczyna zaś pochód na nowo, kiedy *Dante* został przyjęty do grona siedmiu dziewic alegorycznych, otaczających wóz mistyczny. Scena ta odtwarza miłość chrześcijańską, szukającą zbłąkanego i marnotrawnego syna. Idzie on, ale musi uczynić pokutę, zanim wejdzie do koła siedmiu dziewic, zanim ośmieli się zbliżyć do wozu mistycznego. Pojednanie z *Beatryczą* jest równocześnie pojednaniem z kościołem chrześcijańskim, reprezentowanym w procesji mistycznej; jego zbliżenie do *Beatryczy* jest równocześnie zbliżeniem do Chrystusa, dokumentów objawienia, cnót chrześcijańskich, ducha bożego i jego darów.”

Nie ta potrzeba pojednania znamionuje wszelako połowiczność *Dante*go; boć można było być wyśmienitym humanistą, żyć całkowicie w puchu renesansu a znajdować jednak upodobanie w pobożności. Połowiczność owę wskazuje urojenie starcia między kościołem a nauką i obawa utraty błogosławieństwa kościoła skutkiem poświęcenia się nauce; porzuca więc poeta czém prędzej naukę i poddaje się kościołowi. *Dante* pozostaje na zawsze poetą nieśmiertelnym i umysłem wielkim, ale zupełnym wyobrazicielem renesansu nazwać go nie podobna.

Pamięć *Dante*go wysoce uczczono zaraz po jego zgonie. Poeci wielcy i mali opiewali na wyciągi sławę jego. Jeden z nagrobków przytaczamy tu w szacie prozaicznej.

„Tu spoczywa wspaniały filar wymowy rzymskiej, tu zaszczyt globu ziemskiego, tu chwała ludu tokańskiego, ozdoba i książę poetów, *Dante Alighieri*. Zawisną z miasta ojczystego wypędzon, przyozdobił swą sławą ziemię całą. Nie były mu bowiem tajne ani gwiazd biegi, ani błyskawice nieba, ani myśli bogów; nie był mu zwodniczym głos przyszłości i nie kłamały mu znamiona czasu. Nikt go nie widział dumnym w szczęściu, ani zniechęconym w nieszczęściu, jak wał niewzruszony stawiał czoło każdemu zrządzeniu; próżen chęci pożądliwych, dążył tylko do cnoty, do wszystkiego, co szlachetne. Więc śmierć zawistna nie zdołała przyćmić jego blasku: imię jego żyć będzie w świętej wiekuistej pamięci, a sława jego trwać będzie po wszystkie czasy.”

Autorem tego nagrobka jest *Francesco Petrarca*.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Franciszek Petrarca.

Pomiędzy *Dantem* a *Petrarką* leży przepaść wielka. Gdyby ktoś zachęcał podług ulubionej manieri mierzyć sławę poetycką obu—jak gdyby takie rzeczy wogóle mierzyć się dawały — łatwo stałby się mogło, że miara sławy *Petrarki* wypadłaby za krótką. Przedmiotu bowiem jego poezyi nie można porównywać ani pod względem rozmaitości, ani wzniosłości z osnową utworów jego poprzednika. Ale jeżeli weźmiemy pod uwagę stanowisko obu względem renesansu, okaże się, iż *Dante* jest zwiastunem tylko, *Petrarka* zaś twórcą i wykonawcą.

Franciszek Petrarca urodził się 20 lipca 1304 r. w Arezzo, gdzie przemieszkiwali wówczas jego rodzice, wygnani z Florencyi. Cztery rzeczy głównie wypada w nim rozważyć: rodzaj jego indywidualności, jego stosunek do nauki, jego traktowanie polityki i obrazowanie miłości.

Petrarkę lubią nazywać pierwszym człowiekiem nowoczesnym. Na miano to zasługuje istotnie, gdyż bardziej niż wielu mężów przed nim lub po nim, pracował nad tém, aby poznać samego siebie, a co poznał, udzielić innym. Dążenie do samopoznania przenika cały żywot jego i nie jest bynajmniej udawaniem, chociaż okazało się w rezultacie bezowocnym lub, co najmniej, nie doprowadziło do zamierzonego celu, t. j. do przeobrażenia wewnętrznego, do oswożenia się od przywar, uznanych za zgubne. O sobie mówi *Petrarka* w kilku dziełach. Mianowicie w listach, podzielonych na: przyjacielskie, starcze i beztym-

tułowe (*epistolae familiares, seniles, sine titulo*); wypełniają one dzieło o 40 księgach. Nie opowiada w nich autor wypadków życia zewnętrznego tak wyczerpująco, jakbyśmy pragnęli, ale rozprawia o stanach swjej duszy z upodobaniem i głębszém rozumieniem. Dalej zajmuje się sobą w liście do potomności (*epistola ad posteros*), który stanowi początek krótkiej autobiografii, obejmującej zaledwie dwie trzecie życia; jako prawdziwy biograf z tą samą co najmniej starannością przedstawia tu rozwój charakteru swego co i zdarzenia szczegółowe. Wreszcie, i to przede wszystkim, spowiada się w wyznaniach osobistych, które i autor sam i pisarze późniejsi pod rozmaitemi przywodzą tytułami, np.: Tajemnica, O pogardzie świata, O walce trosk własnych (*Secretum, De contemptu mundi, De conflictu curarum suarum*), jestto pogląd wsteczny na przeszłość i rzut oka w przyszłość. Wyznania nie są wszelako ani zupełnie bezstronnym obrazem wypadków, ani całkowicie pewnym programem działań przyszłych. Do *Petrarki* też i bardziej może do niego właśnie niż do innych, którzy w skrytości ducha rozmyślali nad sobą i publicznie siebie sądzili, stosują się piękne słowa *Hettnera*: „Dzienniki i wyznania osobiste, prowadzone bez przerwy, zawsze nosić będą na sobie klątwę próżności; piszący je stoi przed zwierciadłem, przybiera sztuczne pozy, w myśli swojej przedstawia i urabia siebie na bohatera romansu.” Bądź co bądź są wyznania *Petrarki* cennym pomnikiem czasu i niezbędnem źródłem do poznania człowieka. Mimo wielu nieprawdziwości i niejakięj próżności zawierają mnóstwo rysów życia rzeczywistego, nieubarwionego. Już usiłowanie poznania swojego ja, lubo podjęte środkami słabymi, jest pracą ponętną nie tyle dla rezultatów, ile raczej dla samego przedsięwzięcia.

W jednym z listów, często przytaczanym, opowiada *Petrarka*, jakim sposobem doszedł do wejrzenia w siebie. Oto mając lat 32, wdzierał się na górę Ventoux wespół z młodszym bratem *Gerardem*, który był mu miłym towarzyszem w życiu i studyach, ale chętnie się upodrzedniał wobec starszego. Dosięgli tedy wierzchołka po wielu uciążliwościach, które więcej się dały we znaki *Franciszkowi*, zajętemu poważnymi myślami, niż *Gerardowi*, baczącemu na drogę i omijającemu starannie wszelkie trudności. „Kiedym stanął zdumiony — pisze poeta (26 kwiet. 1385 r.) do *Dyonizjusza da Borgo San Sepolino*. przed którym rad się spowiadać:—„bujały pod memi stopami obłoki, piętrzyły się przedo czyma mojemi na ukochanych niwach Italii pokryte śniegiem Alp szczyty, dla mnie niedosiężne, a jednak zda się, tak bliskie, że mógłbym ich ręką dotknąć. Wydało mi się, że oddycham powietrzem Włoch; ogarnęła mię tęsknota z niewysłowioną żądzą ujżenia ojczyzny i przyjaciół, ale chęć tę zaraz nazwałem mazgajstwem, tęsknotą—zdrożną. Następnie przypominałem sobie czasy

minione, przenośliem się myślą do studyów odbytych w Bolonii, rozważałem, iż pragnienia i skłonności zmieniły się wprawdzie, lecz wady i błędy pozostały bez zmiany lub spotężniały nawet. I znowu rzuciłem okiem na przecudny widok natury, który mię zwiabił na górę, rozglądałem wyżyny i doliny, przyległe pola i morza, cieszyłem się tym krajobrazem. Podczas, gdy tak rozpatrywał szczegóły, już to kierując wejrzenie na niziny, już to wznosząc oczy i ducha ku niebu, mimowolnie wyjąłem z kieszeni wyzuania *Ś. Augustyna*, księgę, którą zawsze miewam przy sobie, ponieważ mimo szczupłą objętość posiada treść nieskończenie bogatą. Otworzywszy, trafilem odrazu na miejsce: oto idą ludzie, podziwiają gór szczyty, olbrzymie fale morza, szerokie rzek łóżyska, obszary oceanu i krążenie gwiazd, ale zapominają wobec tego o samych sobie.“ Słów tych strwożyłem się, zamknąłem książkę i gniewałem się, iżem podziwiał rzeczy ziemskie; boć oddawna przecie mogłem być nauczyć się od filozofów pogańskich nawet, że jedyną wielkością podziwu godną jest duch; w milczeniu opuściłem więc górę, i zwróciłem wzrok od świata zewnętrznego do mego wewnętrznego.“

Współtwórca takiego narodu, nauczyciel wszystkiego, co dobre, *Augustyn święty* jest tedy słusznie rozmówcą *Petrarki* w owym wyznaniu. On słucha obwinień jakie poeta przeciwko sobie samemu podnosi, a oskarżyciela mocno nieraz karci, ale w głębi serca tak mu przecie sprzyja, że ani go rzuca na pastwę rozpaczy, ani całkowicie potępia. Z pomiędzy wad, do wyznania których skłania młodego przyjaciela ojciec kościoła, najpierwszą, a wedle zdania spowiednika i najgłówniejszą jest „sława u ludzi i pragnienie nieśmiertelności imienia.“ Żądza sławy, owa choroba, właściwa wszystkim znamienitym mężom renesansu, pożerała i *Petrarkę*, podzegała do rozwinięcia sił ducha, lubo nie była zresztą jedyną podniętą do dążeń szlachetnych i nie opuściła go nawet wówczas, gdy poznał jej zgubność, chociaż *Ś. Augustyn* dla unicestwienia téż żądzy, nakazywał znikomość rzeczy ziemskich oraz zawiść współczesnych lub następców bezsilnych, zawiść, która sławę pisarza podkopuje i niszczy szybciej jeszcze, aniżeli ją stworzył podziw poprzedników; chociaż przedstawiał śmierć jako burzycielkę wszelkich skarbów doczesnych a doskonalenie moralne, za które nagroda tkwi w sercu naszym, przekładał nad pracę umysłową, łaknącą bądź co bądź uznania współzawodników: nie zdołał jednak uzdrowić z choroby całego pokolenia lekarstwem niedostatecznym nawet dla jednostek. Jeżeliby tedy był wistocie doradcą, *Petrarki*, nie mógłby się być dziwić, że jego pupil aż do ostatniego technienia pragnął sławy, że najwyższy zaszczyt, jaki pisarza mógł spotkać, wieniec poetycki poczytywał za cel godny zabiegów, za najodpowiedniejszą swych trudów nagrodę, wówczas jeszcze, kiedy dostąpił i owego za-

szczytu, i wraz z nim doświadczył cierpień, zgotowanych mu przez zazdrość małostkowych towarzyszy sztuki lub pogardę pyszałkowskich wrogów nauki. Nie byłby się zdziwił, że *Petrarka* najwyżej cenił te ze swych dzieł, które, będąc uświetnieniem wzniesłego przedmiotu lub badaniem na niwie starożytności, zapewniły mu rozgłos u uczonych, a przez nich i u potomności (np. Afryka, dzieje rzymskie, pisma filozoficzne, sonety); że stawiał niżej te prace, któremi przemawiał do serca współczesnych, któremi własne uczucia miłości i nienawiści rozpalał w innych, któremi zboliałych pocieszał a rozradowanym słów używał do wyrażania radości. Nie mógł *Petrarka* widzieć oka kochanka lżą zwilżonego i z całą wdzięcznością poglądnącego ku wizerunkowi poety; nie mógł słyszeć wybuchów zachwytu, jakie dotkniętemu chorobą miłości wydzierają się ze ściśnionego serca; ale podarki możnych i pełne kadzidel listy towarzyszy pracy; ale zaszczytne wyróżniające uchwały miast i pochlebne starania książąt, aby go do swęj zaprządź służby; ale żarliwość Florentczyków, pragnących nagrodzić krzywdę wyrządzoną ojcu a wielkiego syna powitać swym współobywatelem; ale wjazd miernot tryumfalny, jaki mu zgotowali Aretynowie, chcący zachować jego dom rodzinny dla uwiecznienia sławy własnej; ale radością upojone pozdrowienie ze strony starego, oślepego nauczyciela z Pontremoli i książęce ugoszczenie, jakim uczcił go u siebie pewien obywatel z Bergamo, gorący literatury miłośnik a dawniej złotnik:—wszystko to były świadectwa sławy tak pokrzepiające serce i tak wymowne, iż poeta wolałby raczej utracić życie, aniżeli ich się wyrzec.

Drugą chorobą, z której *Petrarka* radby się uleczyć, jest *acedya*. Ani wyrazu, ani pojęcia nie wynalazł *Petrarka*. Słowa tego użył już *Apoloniusz Rodyjszyk*, filozof i poeta (około 250—200 prz. Chr.) a za pośrednictwem *Cycerona* przyjęli je myśliciele średniowieczni. Zawarte zaś w niem pierwotne, już to chwalone, już ganione, pojęcie bierności, obojętności wobec trosk świata, objaśniała i potępiała katolicka teologia moralna „jako obojętność na dobra duchowe, o ile są one darem Boga.” Następnie w wiekach średnich była *acedya* chorobą klasztorną, której ofiarą stawali się często zakonnicy. Podług analizy pewnego mnicha, jestto „smutek lub niesmak, wypływający z zamieszania w umyśle oraz niepomierny frasunek duchowy, który niweczy wesołość ducha i skutkiem którego duch zwraca się ku sobie niby z otchłani i zamyka się w sobie. *Acedya* nie ograniczyła się jednak na murach klasztornych. Z kultury zakonnej przez renesans zniszczonej ocalała, ale przeobraziła się najprzód u *Dantego*, twórcy nowej epoki, zgodnie ze zmianą wyobrażeń, w chorobę świecką. Tych, co w nią popadli, „ogarniała posępność wśród atmosfery słonecznej, wesołej, słodkiej;” trawił ich „leniwy ogień,” zobojętnienie na to, co

dobrze, mała wrażliwość na uciechy świata. U *Petrarki* doszła choroba fazy trzeciej, najwyższej. Teraz nie jest ona już grzechem duchowym, który pozbawić może wierzącego szczęśliwości wiecznej; nie jest również cierpieniem światowem, któreby podlegającego jej wyłączało z towarzystwa wesołych, bo nie jego w nim miejsce. Staje się natomiast cierpieniem czysto ludzkim i nawiedza osobniki najdzielniejsze; przeradza się w walkę między istotą a pozorem; przeistacza się w dążenie, by czczość powszedniości wypełnić myśleniem filozoficznym; zamienia się w stan nieszczęsny, wywołany oddźwiękiem cierpień minionych a przecuciem męki przyszłej; wzrasta w rozpacz powstającą skutkiem porównania niezakłóconego spokoju większość, z dręczącym niepokojem jaźni własnej; przeobraża się w świadomość, że owoce pracy życiowej nie odpowiadają wysiłkom; uwidatnia się wreszcie jako poznanie, że żywot ludzki jest wiekuistym, marnym i zawikłanym biegiem, w którym gorszy pomyka przodem, lepszy pozostaje w tyle. Gdyby ktoś zamiast słowa *acedya*, zechciał użyć określenia zrozumialszego ludziom nowoczesnym i nazwał stan taki pesymizmem, melancholią lub cierpieniem wszechświatowem (*Weltschmerz*), nie zdoła nigdy wyrazić owego męczącego uczucia, które szydzi z każdej określonej nazwy, które uleczyć się nie da z przyczyny ścisłego zespolenia się z ambitną a błędzącą naturą ludzką. Nie zdoła bowiem wysłowić pragnienia, aby ludzi udoskonalać, a jednak być od nich zdaleka; zwać się pierwszym a jednak w złotej mierności czuć się zadowolonym; zajmować się poważną działalnością, a jednak poświęcać się kontemplacyi.

Inne wady, jak zaufanie we własny umysł, dumę z powodu krasomówstwa, wysokie mniemanie o sile i piękności, uganianie się za rzeczami ziemskimi, wady, których *Petrarka* doskonale jest świadom, poczytuje za mniej doskonałe. Inne zaś jeszcze, jak: zawiść, gniew, rozpusta, o które był pomawiany, są, sam to oświadcza, obce jego naturze. Wyznaje za to otwarcie, że cierpi na chorobę, która ze względu na niebezpieczeństwo i niezwykłość stoi, podług niego, na równi z żądzą sławy i *acedya*; jest nią miłość.

Acedya występuje jako choroba nawskroś nowoczesna, żądza sławy jako właściwość synów Odrodzenia, miłość zaś, pomimo że jest uczuciem tak powszechnem, może być rozumiana w *Petrarce* pod tym jeno warunkiem, jeżeli względni sposób jej pojmowania w późniejszej opoce wieków średnich oraz sposób jej obrazowania przez trubadurów. Wiadomo, że kult Maryi z jednej, a cześć dla niewiasty zamężnej z drugiej strony, cechują poezję miłosną trubadurów. Otóż te same żywioły wywierają wpływ również i na uczucie *Petrarki* i na wysłowienie tego uczucia. Aczkolwiek dziwnem wydać się może, faktem jest wszelako, że przylączyła się do nich jeszcze żądza sławy a *acedya*.

dya, nadając uczuciom poety znamię odrębne. Zaledwie doświadczył wzruszeń miłości, aliści żądza sławy obudza w nim życzenie uniesmiertelnienia imienia *Laury* oraz nadzieję pozyskania tkliwością i wiernością nowego prawa dla rozgłosu własnego. Acedya zaś sprawia, że *Petrarka* szuka nawet w miłości pierwiastków cierpienia, które umie wysnuć z każdego uczucia i wpleść w każde, że delectuje się pewnego rodzaju rozkoszą wyrzekani i stłumia każde kielkujące uczucie wesołości, niby grzech przeciw swemu pojmowaniu miłości. Niemniej przeto miłość jego jest prawdziwa a nie plodem tylko wyobraźni. Ktoby z igraszek z imieniem *Laury* i jego wykładu, że *laura* = powietrze a *lauro* = wawrzyn, zechciał wyprowadzić wniosek, iż cała miłość była zabawką, dopuściłby się błędu podobnego jak ci, co dawniej nie uważali *Laury* za rzeczywistą istotę ludzką, lecz za osobę fikcyjną. Naturalnie, z wpływem szeregu lat niewątpliwie zniyka powoli, ale całkowicie, zmysłowość i namiętność, o ile mogą one wogóle zwracać się ku niewieście zamężnej, która małżonka swego licznem obdarzyła potomstwem. O dziewictwie bowiem *Laury* i mowy być nie może, wobec tego, co wyraźnie mówi sam *Petrarka*: *corpus illud egregium multis partibus (nie perturbationibus) exhaustum*. Miłość pierwotnie ofiarowana kobiecie ziemskiej staje się prózną wszelkiej pożądlivosti i wszelkiej właściwej ziemskości, jeżeli się ją poświęca istocie od lat dwudziestu zgórą w grobie spoczywającej. A jednak wykrzyk serca: „o! gdyby to było udawaniem a nie szaleństwem,” jest wyrazem nastroju poważnego i uczuć prawdziwych. Takimi słowy odparł *Petrarka* szyderczą uwagę jednego z przyjaciół, że *Laurę* wymyślił, aby ją móżdż wysławiać.

Wykroczenia, o jakie *Petrarka* się oskarża lub oskarżenie wkłada w usta *S. Augustynowi*, wypełniają część jego istoty, ale jej nie wyczerpują; wszystkie one znamionują własności, które *Petrarka* mógł wykazać, nie wchodząc wcale w stosunki z ludźmi. Jeżeli wszakże chcemy uchwycić rzeczywistą jego istotę, winniśmy w nim poznać *przyjaciela* oprócz kochanka. *Petrarka* był prawdziwym przyjacielem tych, którzy mu przyjaźń okazywali, którzy się doń zbliżali jako towarzysze stojący na równi lub jako adepci nauki, czy sztuki, szukający u niego pomocy. Prawdziwym był przyjacielem, nie zapożyczał uczucia tego u innych, mimo wzory bezpośrednie, a nie przypadkowe tylko analogie, jakie dla uprawianego przez się kultu przyjaźni znajdował u starożytnych. Kiedy listy swe do przyjaciół jął zgromadzać, a może już wtedy, gdy je zaczął pisać, miał zapewne na myśli zbiór listów *Cycerona* do *Attyka*. Przykład zaiste świetny! Zawierając związki przyjaźni, nie zdołał też zapewne zatrzeć myśli o jakiejś słynnej dwójcy rzymskiej. Ale *Petrarka* posiadał jednak tyle zasobów ducha, iż nie był w konieczności u obcych zapożyczać uczuć naj-

szlachetniejszych, na jakie zdobyć się może mężczyzna względem mężczyzny. Nawet w listach wskroś retorycznych dźwięczy tęsknota za przyjaźnią i wrażliwość na to uczucie. Znamy mężów, którzy stosunkowo dość niskie zajmowali stanowiska a byli przecież przyjaciółmi *Petrarki*; należy więc odrzucić mniemanie z gruntu mylne, jakoby *Petrarka* dobierał na przyjaciół ludzi możnych w nadziei, iż mu łaski świadczyć będą. Wiemy, iż *Petrarka* oddawał rzeczywiste usługi przyjaciołom, więc jesteśmy przekonani, że zupełną wzajemność poczytywał za podwalinę i istotę przyjaźni. To też śmiało ganił przymioty ujemne a uwielbiał dodatnie; to też brzydził się podejrzliwością, niby jadem śmiertelnym, i opuszczał towarzysza, jeżeli się okazał niegodziwcem w skutek czynów szpetnych lub uczuć nikczemnych. Najbardziej stanowcza, za prawdziwością jego przyjaźni przemawiająca bodaj ta okoliczność, że umiał czuć także nienawiść i nieprzyjaźń; że nie znajdując upodobania w sporach, odpowiadał przecież gwałtownem słowem, skoro był napadnięty, a potrafił bez litości obnażać słabe strony przeciwnika, skoro sam napadał.

Zadnej chwili—pisze *Petrarka*—nie uważam za lepiej użytą, jak ta, którą po Bogu poświęcam przyjaciołom. Tak! po Bogu, gdyż nad ludźmi stał u niego Bóg, a kultu Boga nie może wypierać kult dla ludzi. *Petrarka* dzierżył beneficya duchowne i był księdzem. Atoli posiadanie prebend i należenie do stanu duchownego nie były jeszcze warunkiem prawdziwie księzęgo sposobu myślenia. Przekonania swe pod tym względem ujawnił wyraźnie i dobitnie, miotając pioruny przeciw księżom niegodnym i przeciw papieżom, nie mającym w swym charakterze nic papieskiego; a już najlepiej, — stanowczo dowodzą szczerości tych przekonań takie fakta, jak ścisłe przestrzeganie obyczaju duchownych, cześć dla pisarzów kościelnych, układanie pieśni duchownych i religijnych traktatów prozaiicznych dla własnego podniesienia i ku zbudowaniu innych.

Ale wiara kościelna jednoczyła się u niego z przekonaniami naukowemi. Powinny one istnieć obok siebie w pokoju a nie walczyć zawistnie o przewagę. Jeżeli zaś wszczął się między nimi zatarg, w którym nietolerancya tylko i przemoc pragnęły zdobyć sobie panowanie, stawał po stronie uciśnionej lub zwyciężonej. Nauka prawdziwa nigdy nie żywiła chęci ujarzżenia teologii, lecz teologia natomiast uczuwała nieraz żądzę tryumfowania nad nauką. Wobec takiej żądz, umysły niezależne miały drogę zgóry wykreśloną. Do najpiękniejszych więc tytułów sławy *Petrarki* należy to, że mimo panującego prądu czasu, mimo skłonności religijnych, mimo upodobania w zawodzie duchownym, nie sprzeniewierzył się nigdy rzetelnemu kapłaństwu ducha, że chociaż w sporach fakultetów skłonny był może do przyznawania pierwszeństwa teologicznemu, jako najstarszemu,

bronił jednak zawsze nauki, gdy przyszło mu wybierać między samoistną działalnością umysłu a niewolniczą nad nim opieką.

Petrarka jest humanistą, wielbicielem Rzymu, żarliwym miłośnikiem języka łacińskiego. Gorliwość doprowadziła go do jednostronności. Na Greków albowiem nie był łaskaw i, lubo nieraz wygłaszał miłość dla języka i literatury Hellenów, obojga wszelako nie poznał w ciągu życia całego. Usiłowania celem przyswojenia sobie języka greckiego rozbiły się o niechęć własną i niendolność profesorów, wędrownych Greków, których mu nastęrczał przypadek; egzemplarz poezyj Homerowych, otrzymany z ręki przyjaciela, pozostał dlań księgą nazawsze zamkniętą.

Lubił natomiast pisać i mówić językiem łacińskim i nadawał mu nawet formę samoistną, lubo niezbyt artystyczną. *Petrarka* nie jest bynajmniej klasykiem łacińskim; nie jest wzorem stylu w rozumieniu humanistów późniejszych, nazywających wierne odtwarzanie języka rzymskiego pięknem i godnym sławy: ale jest czémś więcej, jest łacinnikiem oryginalnym w mowie i myślach. „Autorowie piszący po łacinie“ — wyrzekł Schopenhauer — „naśladować starożytnych, są podobni maskom; słyhać mianowicie, co mówią, ale nie widać fizjonomii, nie widać stylu. Widzimy wszelako i styl w pismach łacińskich samoistnych myślicieli, co to im owo naśladownictwo nie przypadło do smaku; takim np. jest *Petrarka*.“

Oryginalność autorska *Petrarki* ujawnia się w czworakiego rodzaju tworach łacińskich: w poezjach, dziełach historycznych, w roztrząsaniach filozoficznych i w traktatach polemicznych.

Poezję stawia *Petrarka* bardzo wysoko, poetów nie nazywa kłamcami, jak to czynili niektórzy wrogowie poezyi. Przeciwnie. Porównywa ich z prorokami, a jednych i drugich uważa za zjawiska rzadkie i cudowne. Domaga się dążenia do prawdy, lecz zgodnie z poglądami owego czasu chce prawdę ukryć pod allegoryą. „Rzeczywistość niechaj będzie sztucznemi farbami pomalowana i otulona zasłoną powabnej fikcyi; po usunięciu jej prawda jasnym wybłyśnie promieniem, a działając będzie tém potężniej, im większą spotyka się trudność w jej znalezieniu.

Ten, kto sprostą tak wysokim zadaniom, zasługuje, według *Petrarki*, na najwyższą nagrodę, wawrzynowy wieniec poetycki. *Petrarce*, jak sam opowiada, ofiarowały wieniec w jednym dniu dwa miasta: Rzym i Paryż. Przez chwilę — mówi — nie mógł się zdecydować; długo się jednak nie wahał, gdyż Rzym nęcił go całą swą potęgą. Aby dowieść, że tego zaszczytu jest godzien, o czém wątpił w swęj

skromności rzeczywistej czy udaniej, poddał się egzaminowi u *Roberta, króla neapolitańskiego*, a odbywszy go pomyślnie, dopiero wyruszył do Rzymu. Tam został uwieczony 8 kwietnia 1341 r. przy napływie i owacyjnych okrzykach tłumu, przy entuzjastycznem współuczestnictwie przyjaciół. Najprzód wypowiedział *Petrarka* mowę, od niedawna znaną, w której, nawiązując rzecz do jednego wiersza Wergiliuszowego i z pietyzmem stapiając rzeczy pogańskie z chrześcijańskimi, prawil o trudnych obowiązkach poety, o przeszkodach, jakie czerpał ze wspomnień przeszłości oraz z miłości ku ojczyźnie; wydatnił doniosłość i wysokie zadanie poezji; kreślił z zapalem istotę i chwałę wieńca poetyckiego. Potem nastąpiła koronacja i mowy na cześć uwieczzonego, wygłoszone przez *Orso di Anguillana* i *Stefana Colonne*; dalej pochód z Kapitolu do ś. Piotra, gdzie poeta zawiesił wieniec; wreszcie uczta u *Colonne*. Nie te uroczystości wszelako stanowią ważność wypadku; raczj fakt samego uwiecznienia jest wydarzeniem najwyższego znaczenia historycznego. „Koronacja *Petrarki*“ — tak w podniosłych słowach charakteryzuje *Gregorovius* doniosłość uroczystości — „otwarła na prawdę nowy wiek kultury. Wśród zbrodni walk stronnicych, w chwili ponurego opuszczenia, w jakim się Rzym znajdował, jaśnieje zaszczytny dzień poety świetlanym blaskiem czystej ludzkości. Z wierzchołka Kapitolu przywodzi na pamięć światu, pogrążonemu w nienawiści i przesądach, że zbawcza praca ducha jest wiekuistą jego potrzebą, najwyższem jego powołaniem, najpiękniejszym jego tryumfem.“ Ale na życie duchowe *Petrarki* nie wywarło uwiecznienie wpływu trwałego. Jak szczerze wyznanie błędów i grzechów nie wyswobodziło go od nich, nie uczyniło go doskonalszym, tak również publiczne uznanie ze strony najlepszych nie przyczyniło mu prawdziwego szacunku dla siebie, ani przysporzyło szczęścia. Walczył i teraz, jak dawniej, napróżno przeciw zawiści współczesnych i chwiał się między przecenianiem a niedocenianiem własnych zdolności poetyckich.

Petrarka zawdzięczał wieniec poetycki poezjom łacińskim, a mianowicie: listom poetycznym, poematowi bukolicznemu, Afryce; albowiem łacińskie tylko twory uwzględnili koronujący.

Z pomiędzy nich najpierwsze miejsce zajmują listy poetyczne w liczbie 77. Są one komentarzem poetyckim do życia *Petrarki*. W listach kreśli poeta opisy różnych wypadków i spostrzeżenia nad nimi, pochwały przyjaciół i towarzyszków, wysławia Italię i jej książąt. Obok wydarzeń zewnętrznych, odgrywających w życiu jego oraz innych pewną rolę, zajmuje się i w listach głównie sztuką poetycką. Odróżnia ściśle od sztuki rymowania, a przedstawicielei jęj niezastużonych i nieudolnych, chociażby skądinąd i wysoko postawionych, wypędza z przybytków świętych. Toć nie lękał się ogłosić niegodny-

mi imienia poety *Cola di Rienzi*ego i *Cycerona*, mężów, których szanował i czcił nawet. Patrząc na skażenie literatury i zamieszki w kraju ojczystym, zasępia się wzrok poety; przejęty zgrozą na widok teźniejszości przerażającej, wypowiada *Petrarka* nieziszczalne życzenie, że radby nie należeć do swojej epoki, że wolałby raczej urodzić się w czasach dawniejszych lub późniejszych.

Podobnego rodzaju życzenia i nadzieje, uczucia i obawy spotykamy również w poemacie bukolicznym, który wówczas tak lubiono, że jakiś żarliwy zwolennik wyuczył się na pamięć 12 eklog w dniach jedenastu; obecnie jednak utwór ten mały chyba znalazłby poklask. Szata pasterska poematu, alluzye i napomknienia, w których poeta się lubuje, podnosiły wartość ongi, ale dziś ją obniżają. Nie lękamy się dobadywać w jakim bądź poemacie głębszej nauki mądrości, jeżeli jej nie uchwycimy natychmiast po przeczytaniu powierzchowném, lecz potępiamy słuszenie nagromadzenie trudności zewnętrznych, które na każdym kroku tamują zrozumienie, a których pokonanie nie zwiększa bynajmniej zadowolenia. U *Petrarki* jednym z rozmówców jest zwykle sam poeta, drugim zaś król francuski, angielski, papież, kościół rzymski, kardynał *Colonna*, *Cola di Rienzi* lub inni. Ale co ci mniemani pasterze opowiadają sobie, jest wyrażone tak ciemno i w napomknieniach tak niewyraźnych, że już współcześni domagali się objaśnień. Wielu rzeczy nie zrozumiemy i my, dzisiejsi, mimo nawet komentujących listów autora, mimo wyczerpujących wykładów jego współczesników, mimo staranlych zestawień badaczy nowszych. Treść dzieła jest natury politycznej i moralnej, ogólnej i osobistej. Traktuje tu *Petrarka* zarówno morderstwo *Andrzeja*, króla neapolitańskiego, jak dążenie do cnoty i udoskonalenia; zarówno walki między Francją i Anglią, jak zatargi osobiste z domem *Colonnów*; o przyjaźni i miłości mowa tu nieraz, a oba uczucia tkwią tak potężnie w duszy poety, że poprzez allegoryę występują jasno i silnie.

Miłości poświęcił też *Petrarka* jedno z najpiękniejszych miejsc w eposie *Afryka*. Opis zakochanej pary, *Massynissy* i *Sofonisby*, przypomina najcenniejsze utwory poety. Piękność księżniczki numidyjskiej przedstawia w takich wyrażeniach, że możnaby je wziąć za pożyczki z obrazów, jakie npojony miłością poeta kreśli w Sonetach. Oprócz miłości przebija się i uczucie patryotyczne w tym godnym uwagi poemacie epicznym. W opisach bojów *Scypiona* z Kartaginą opowiada poeta dzieje wspaniałego okresu Romy starożytniej; ukazując świetność Rzymu w czasach przed-Scypionowskich, uwydatniając panowanie wszechświatowe po zakończeniu wojen punickich, rozkoszuje się wielkością miasta, które uważa za ognisko świata i prawdziwą swą ojczyznę. Obrazy uczuć miłości i patryotyzmu zawierają się tylko w epizodach; opowiadać zaś ma sam epos. Ale opowieść z nie-

skończoną ilością mów i niezliczonymi dygresjami mało budzi zainteresowanie; przedmiot nadaje się w zupełności do epopei, lecz sposób obrobienia nie pociąga czytelnika. Wielką więc sławę Afryki można sobie wytłumaczyć nadzwyczajnym jeno stanowiskiem *Petrarki* i bezkrytycznym podziwem wielbicieli, takich nawet jak *Colluccio Salutato*, ba, nawet jak *Boccaccio*. Początkowo cenił sam *Petrarka* swój epos bardzo wysoko. Później wszelako zmienił zdanie; sam mu przyganiał, przeszkadzał jego ogłoszeniu, gniewał się na przyjaciela, który opublikował kilka wierszy, w końcu myślał seryo zniszczyć utwór, nigdy zresztą w całości nie wykończony; przyznać trzeba pocie, że czynił słusznie.

Afryka, mieszanina opowieści dziejowej ze zmyśleniem poetycznym, stanowi przejście do dzieł historycznych. Rozprawia w nich *Petrarka* o dniach ubiegłych trzeźwo, a czasami i krytycznie, trzymając na wodzy fantazyę poetycką; od wydarzeń minionych zbacza najwyżej do współczesników i samego siebie. Niekiedy okazuje zmysł krytyczny. Mianowicie opierając się na dowodach wewnętrznych i zewnętrznych, trafnie rozwiniętych, dowodzi, że wydany niby przez *Cezara* i *Nerona* przywilej austriacki został podrobiony w czasach późniejszych; podobnież usiłowanie *Wergiliusza*, który *Eneasza* i *Dydonę* chce zrobić współczesnymi, obraca w niwecz jako całkowicie niehistoryczne. Kreśli także znamienne rysy ludzi żyjących w jego epoce, zamieszczając anegdoty, jak np. o *Dantem* i *Robercie*, królu neapolitańskim.

Szczegóły tego rodzaju znajdują się w wielkim, ale nieskończonym zbiorze „O rzeczach godnych pamięci“ (*De rebus memorandis*). Miał to być zbiorowy obraz przymiotów i wiadomości ludzkich, odmalowany w wyrzeczeniach charakterystycznych i zdarzeniach osobliwszych z życia mężów niepospolitych. Zadokumentował tu *Petrarka* wiedzę rozległą i zużytkował trafnie historyków rzymskich (nauce pozostaje jeszcze wskazać źródła przywiedzionych przezeń opowiadań). Nieświadomym dał w ten sposób książkę, zastępującą niedostępne im źródła, a świadomym ułatwił powtórzenie tego, co dawniej czytali. Oprócz rzeczy uczonych zawiera dzieło wiele ustępów, które zdradzają chęć *Petrarki* do wyznań osobistych i świadczą o rzadkiej w owych czasach bezprzesadności. Z wynurzeń zaznaczyć wypada szczególnie jedno, że i poeta jest przykładem daremnych wysiłków stawiania oporu naturze. Bo oto zgodnie z wolą rodziców, poświęcał się czas jakiś prawoznawstwu, ale ulegając pociągowi przyrodzonemu, mimo posłuszeństwa synowskiego musiał się oddać studjom humanistycznym. Wyzwolenia się z przesądów dowiódł w walce przeciw wierze w cuda, wróżby, przepowiednie i przeczucia; wiary tej bowiem, choćby miała za sobą liczne świadectwa, nie uznawał, nie ośmielił się jeno

wyszydzać i zbijać wyroczni, może z pietyzmu i poszanowania dla wiary starożytnych.

Główną też część książki *Petrarka* przeznaczył starożytności, względem której z takim zachowuje się pietyzmem. Obok *Romani* i *externi* (Rzymianie i barbarzyńcy) w bardzo umiarkowanej liczbie występują *recentiones* (nowocześni). Starożytności również poświęcił wyłącznie drugie dzieło historyczne, którego przekład włoski znany jest oddawna, ale oryginalny tekst łaciński ogłoszony dopiero przed kilku laty. Są to „Żywotopisy słynnych mężów,“ albo dokładniej rzeczby można „znakomitych Rzymian,“ gdyż z 31 biografij dwie tylko przypadają cudzoziemcom: *Hannibalowi* i *Aleksandrowi* Wielkiemu. Wprowadzenie *Aleksandra* Macedońskiego do koła, tak od niego pod względem przestrzeni a poniekąd i czasu dalekiego, usprawiedliwia historyk niejako przyczepieniem tej biografii do życiorysu *Papiryusza Kursora*; gdyby bowiem *Aleksander* był zechciał, jak chodziły wieści, przybyć do Italii, byłby *Papiryusz*, zdaniem autora, jedynym odpowiednim dlań nauczycielem. Wielbicielem *Aleksandra* nie jest *Petrarka* bynajmniej. Nagania raczej autorów, którzy chcą go zrobić wzorem wielkości, którzy go nazywają „władcą świata“, chociaż nie posiadał ani Rzymu, „wówczas właśnie rozkwitającego“, ani Niemiec, ani innych krajów; gromi tych, co go mianują wielkim, chociaż czyny jego uderzają bardziej ilością, niż istotną walecznością; karcii tych, co go okrzykują przeciwnikiem godnym wojowników rzymskich, chociaż jeden z jego krewniaków, napadłszy Bruttyjczyków tylko i Lukanów, ale ich nie pokonawszy, wyrzekł jakoby: ja trafiłem rzeczywiście na mężów, *Aleksander* zaś na kobiety jeno. Wymienienie drugiego jeszcze cudzoziemca, *Hannibala*, uzasadnia pojmowanie *Petrarki* dziejów rzymskich; epokę bowiem drugiej wojny punickiej poczytuje on za okres świetny czasów starożytnych, a więc przedstawia ją obszernie i z całą lubością. W porównaniu z tą pełnią wiadomości o bojach z Kartaginą, razi niedostateczność danych o walkach domowych. *Sulli* brakuje zupełnie; tylko życie *Cezara* natomiast traktuje tak wyczerpująco, że aż psuje ekonomię dzieła. Niestety i ta biografia nie jest zgola wzorem prac historycznych; głównem jej źródłem Swetoniusz. Właściwość jej stanowi nie obrobienie krytyczne materiału, lecz żywość opowiadania, częste przytaczanie świadków klasycznych, gorące uznanie a nawet podziw dla *Cezara*, wreszcie gwałtowność wycieczek przeciw prawdziwości snów i wartości astrologii. *Petrarka* we wstępie do swego dzieła, wykazując jego znaczenie, mówi o sobie, że chce być twórcą pokoju między dziejopisami, ale naśladowcą tych, co większą zalecali się prawdomównością i posiadali więcej powagi; że nie pragnie opowiadać wszystkiego, lecz przywozić jeno wybitne dowody cnót lub występków. Druga połowa tego

zdania, wyrażając cel, wypowiada zarazem i tendencję: dzieło jego miało nauczać, a mądrość starożytna, miłość ojczyzny, nieskazitelność i waleczność powinny współczesnych zachęcać do czynów, jakimi się wstawili przodkowie.

Filozoficzne pisma *Petrarki* pozostają z historycznymi w bliższym związku, aniżeliby można sądzić na pierwszy rzut oka. Dzieła historyczne mierzą swym charakterem pouczającym o wypadkach minionych do ugruntowania pewnych nauk, filozoficzne zaś do stwierdzenia zasad przytaczaniem licznych przykładów. Mniejszej objętości i wartości są dwa: *De ocio religiosorum* (O wczasach mnichów) i *De vera sapientia* (O prawdziwej mądrości). Większą doniosłością odznaczają się dwie prace obszerniejsze: *De vita solitaria* (O życiu samotnym) i *De remediis utriusque fortunae* (O środkach zbawczych w szczęściu i nieszczęściu); nimi też zajmiemy się wyłącznie.

Nad pierwszym dziełem *Petrarka* pracował lat dwadzieścia (1346—66) i złożył w niem zasady całego żywota. On, „wielki samotnik,” zrazu może powodowany pragnieniem czegoś osobliwszego, później zaś ulegając rzeczywistemu pociągowi, szukał odosobnienia i spokoju nad rzeczką Sorgue w romantycznej Vaucluse, przeniósł nad piękności wszystkich krajów. Osobistą swą skłonność chciał teraz dźwignąć do godności zasady ogólnej i wykazać, że niezbędnym jest dla szczęścia wszystkich to, w czym sam znajdował upodobanie. Na czele skreślił teorię życia samotniczego. Do samotności prze nie nienawidził względem ludzi, lecz przeświadczenie, że najpierwszym i najważniejszym obowiązkiem jest wykształcenie własnego umysłu i charakteru. Atoli uczony tylko zdolen rozkoszować się samotnością; dla prostaczka jest ona śmiercią. Samotność nie oznacza bynajmniej usunięcia się od ludzi. Przeciwnie. Przyjaźń i samotnikowi nie przestaje być potrzebą i przyjemnością. Za teorią idzie zastosowanie praktyczne, sprowadzenie „chmary świadków.” Starożytność klasyczna, stary i nowy testament, średniowiecze chrześcijańskie dostarczają reprezentantów, którzy składają świadectwo za pożytkiem i wartością życia samotniczego. Zresztą, jak w dziełach historycznych *Petrarka* wplata do wspomnień o przeszłości wzmianki, dotyczące jego epoki, podobnie i w pismach filozoficznych, często-kroć w miejscach niewłaściwych, stara się udowodnić, że stosunki współczesne obchodzą go żywo. Zbaczając od wątku rzeczy głównej, porównywa władców ówczesnych z dawniejszymi i przyznaje pierwszeństwo ostatnim, gdyż „królowie nasi lubią prowadzić tylko żywot zmysłowy, a papieże nasi kochają się jeno w bogactwach.” Dalej robi wycieczki przeciwko papieżowi (autor ma na myśli głównie *Klemensa V*), który Rzym opuścił i nad miasto wieczne przełożył obczyznę; przeciw państwu niemieckiemu, „które uzbraja rabusiów

plątnych na zgubę kraju naszego, i ze swych obłoków wyrzuca potoki dżdżu żelaznego na ziemię naszą;” przeciw *Karolowi IV*, „który zagrabiwszy koronę, wyrusza z powrotem do Niemiec, zadowolony z kryjówek ojczystych i czczego imienia władcy.” W wynurzeniach tego rodzaju widzimy gorącego patryotę, zdumiewamy się przeto, spotykając w innych kosmopolitę, który przestrzega, aby się chronić przywiązania do ojczyzny, „jeżeliby ktoś przypadkiem posiadał ojczyznę niesprawiedliwą” i radzi poświęcić życie tylko „niebieskiej ojczyźnie Jeruzalem” (traktat 2. ks. 4).

I w drugiem głównem dziele filozoficznem: „O środkach zbawczych w szczęściu i nieszczęściu,” znajdujemy podobne myśli kosmopolityczne albo raczej myśli pogardzające ziemskością. W obu częściach tej pracy głosicielem mądrości i pojednawcą sporów jest rozum (*ratio*), jego przeciwnikami w pierwszej części są: radość i nadzieja (*gaudium* i *spes*), w drugiej zaś boleść i obawa (*dolor* i *metus*). Tutaj to w dwu dyalogach (II, 67 i 124) rozważa kwestyę wygnania i miłości ojczyzny. Banicya, podług *Petrarki*, nie jest nigdy niesprawiedliwa. Jeżeli bowiem wychodzi od króla, nie może być nigdy oznaką jego niesprawiedliwości; jeżeli od tyrana, to jest tylko zaszczytem dla wypędzonego; jeżeli od zmiennego jak pogoda i ustawicznie dobrym niechętnego ludu, nie jest wcale wygnaniem, lecz pożądanem usunięciem od towarzystwa ze złymi. Obudzają też zajęcie i inne spostrzeżenia polityczne, np. o szlachcie rodowej: „rzadko syn dzielnego człowieka podobien ojcu,” albo: „prawdziwy szlachciec nie rodzi się nim, lecz stopniowo urabia.” Obok uwag politycznych mieszczą się literackie i kulturalno-historyczne: raz (ks. I, dyal. 23) zaznacza autor fakt, że Francuzi są lepszymi myśliczami niż Włosi, innym razem (ks. I, dyal. 42) przytacza z bólem wyrzeczenie znakomitego obywatela, że chętnieby zapłacił wielką sumę pieniędzy, byle przeskodzić przybyciu uczonego (*litteratus*) do jego miasta. Są to wprawdzie rzeczy uboczne, nie charakteryzujące bynajmniej istoty dzieła, ale, być może, są również interesujące, jak i długie rozmowy. Rozmowy te mają za przedmiot cierpienia i uciechy ludzkie, nazywają każde z nich po imieniu i starają się wykazać ich zasadność lub bezzasadność. Napróżno jednak spodziewalibyśmy się tutaj uporządkowania logicznego i głębszego zbadania cierpienia i rozkoszy. Rozum zbyt łatwo odnosi tu tryumf dowodzeniami, że uciechy i dolegliwości ludzkie są przywidzeniem, a radość i nadzieja, boleść i trwoga zbyt szybko się poddają.

Dzieło to zyskało sobie wielką sławę — może największą z pism łacińskich *Petrarki* — i było bardzo rozpowszechnione; na uznanie takie zasługuje nie oryginalnością myśli, ale co najwyżej nieco płaską moralnością, kurs u ogółu mającą. Daleko oryginalniejszym jest na-

tomiasz *Petrarka* w pismach polemicznych. W tój dziedzinie jest on nieraz pierwszym, t. j. tym, który przed innymi po raz pierwszy spostrzega braki poważne i gorąco zachęca do ich usunięcia. Taka działalność polemiczna kryje w swém łonie pewne niebezpieczeństwa, zwłaszcza w czasach, kiedy nowość pragnie przybrać kształty rzeczywistości; z jednéj bowiem strony łatwo powiększyć wady na prawdę istniejące, z drugiejj zaś, wynajdywać nowe, które widzą się polemiście pragnącemu wykazać swą siłę. Tego rodzaju jest wystąpienie *Petrarki* przeciw awerroistom z Wenecyi, o cém będzie zresztą mowa przy innéj okazji; w tym wypadku fantazyja poety i żądza polemiczna zręcznego szermierza podawała zło stanowczo za gorsze, aniżeli było niem w saméj rzeczy. Ale za to trzy inne kategorye walk wymierzane są przeciw złemu istotnemu.

Pierwsza przeciw jurystom. Prawoznawstwo w oczach *Petrarki* i wielu humanistów było nieszczęściem: najprzód dlatego, że często formalne wyrobienie myśli stoi na zawadzie ich skłonnościom idealnym; następnie dlatego, że nieugięte normy prawa częstokroć są w sprzeczności z niejasném ich uczuciem słuszności i sprawiedliwości; nakoniec dlatego, że uczeni prawnicy swym nieklasycznym, barbarzyńskim językiem obrażali klasycznie wykształcone ucho humanisty. Oprócz tego, niektórzy, a między nimi i *Petrarka*, mieli także osobiste powody do nienawiści. Jurysprudencya bowiem była studjum dla chleba; namawiali do niego synów praktyczni ojcowie, a nawet, o ile rozporządzali środkami, zmuszali przemocą. Młodzi zaś humaniści starali się oswobodzić od przymusu, zwracali się do badań ukochanej starożytności i wściekłą pałali nienawiścią przeciw nauce, której ze wstrętem poświęcali się czas jakiś. Niektórzy wymknąwszy się z sal sądowych, pisali namiętne napaści przeciw umiejętności, do której byli znaglani przemocą. *Petrarka* poprzestawał na tém, iż akcentował niemożność pogodzenia natury swéj z wymiarem sprawiedliwości, uwydatniał wielorakie rozszczepienie się pojęć prawnych oraz niemożność poradzenia sobie ze strony tych, co w odróżnieniu słuszności od niesłuszności popełniają błędy. Nie posuwał się tak daleko, iżby prawa nazywał niesprawiedliwemi a wszystkich jurystów głupcami, ale nie żywił przychylnéj opinii dla jurystów swéj epoki i sądził, że niegodziwa manipulacya najlepszemi prawami istniejące dobro w zło przetwarza.

Bardziej stanowczo niż prawników, zwalczał *Petrarka* lekarzy. W wypadkach choroby nie tylko sam nie zwracał się do nich, ale i przyjaciołom odradzał szukać ich pomocy. Nienawidził lekarzy nie z odrazy bezzasadnéj, lecz na podstawie dłuższych studyów i rozważnego zbadania przedmiotu. Nienawidził ich, ponieważ nabył przekonania, że nie oceniali należycie leczniczéj siły natury; że wydawali

sąd o człowieku według ogólnej swój znajomości ciała ludzkiego a rzadko podług indywidualności cielesnej każdej jednostki; że nigdy nie brali pod rozwagę właściwości i sił psychicznych; że nie wskutek lepszego zbadania rzeczy, ale z przyczyny nierozsądnego zaślepienia i własnego przeceniania pogardzali wskazówkami starożytnych, że uroili sobie, iż przepisami i receptami przywracają zdrowie; tymczasem może je człowiek zachować i odzyskać tylko prostotą życia i umiarkowaniem. *Petrarka* uznawał umiejętność medycyny podobnie jak jurysprudeneyi, ale odmawiał współczesnym jęj znajomości. Dzięki żywości swego umysłu i ważności samegoż przedmiotu, nie zadawała się jego obroną i rozszerzaniem wskazanych wyżej poglądów w gronie przyjaciół, lecz starał się wszędzie zjednywać dla nich sprzymierzeńców. Nie lękał się więc, chociaż profan, występować przeciw lekarzom cechowym a zdania swoje o zgubności stosowania ich sztuki uzasadniał coraz gruntowniej i wypowiadał coraz ostrzej. Jak walka z jurysprudeneyą, tak i z medycyną nie jest zresztą wolna od momentów osobistych. Przeciw prawnikom powstawał napastnik młodzieńczy, nie mogąc zapomnieć, że do nauk prawnych chciano go zniewolić; przeciw medykom wystąpił mąż dojrzały, uczuwając do nich żal, że nieraz lekceważyli studia humanistyczne, i że ostrzegali potentatów przed poetami, jako przed prorokami kłamliwymi. Stąd więc jego dzieło polemiczne przeciw łączemu lekarzowi (*Invectivarum libri quatuor contra medicum objurgantem*) jest raczej obroną poezyi i walką ze względów czysto osobistych, aniżeli napaścią na medycynę. A jednak takiego właśnie natarcia spodziewałyby się należało, zważwszy, że podniętą do napisania książki była choroba papieża *Klemensa VI* oraz wystosowane do niego ze strony *Petrarki* ostrzeżenia przed lekarzami. Najlepiej może maluje uczucia jego jeden ustęp listu do papieża; uwagi zrobione najprzód ustnie, wypowiada *Petrarra* i uzupełnia następnie piśmiennie. „Obawę — czytamy tam — jaką mnie i czcicieli twoich przejmuje choroba twoja, wznieca przeważnie tłum lekarzy oblegających łoże twoje. Są oni bowiem między sobą niezgodni, ponieważ każdy radby wskazać coś nowego, chociaż nie zna nic lepszego, niż jego kolega. My zaś, powodując się płochą nadzieją, że szybciej wyzdrowiejemy, zawieramy środkowi nowemu, nie bacząc, iż lekarze, aby się czegoś nauczyć, potrzebują ludzi, a uśmiercenie jednostki uważają za czynność wcale nie zasługującą na karę. Oni, mniemani zbawcy nasi, są wrogami naszymi; słusznie też postąpił ów człowiek, który na grobowcu swym kazał wyręć słowa: przypawił mnie o śmierć tłum lekarzy. Odpraw więc czerń otaczających cię lekarzy, wypędź przedewszystkiem krasomówców, wybierz jednego tylko, zalecającego się sumiennością i nauką, abyś przy jego pomocy wyzdrowiał.”

Lekarz czasów nowszych, wykształcony naukowo, szydzić będzie z takich wycieczek jako z niedojrzałej gadaniny profana, ale w jednem przyznać musi słuszność polemice. Toć lekarze ówczesni byli w większej części astrologami i wierzyli, że mniemaną swą wiedzę o wpływie gwiazd mogą zużytkować w sztuce lekarskiej; ale jasny umysł *Petrarki* pojmował, że astrologia jest urojeniem a astrologowie są głupcami lub oszustami. Przekonanie takie przynosi mu zaszczyt, a żarliwość, z jaką wygłaszał otwarcie swe poglądy, jest jednym z najpiękniejszych tytułów jego sławy; nie zważał bowiem weale na przesady epoki, w której szyderstwo z astrologii poczytywano co najmniej za nierozsądek. Jakkolwiek Cyceron i Św. Augustyn, mistrzowie jego, wykazywali przed nim jeszcze nieprawdziwość wróżb gwiazdziarskich, jednak kto piorunował przeciw fałszywym prorokom z tak nieustraszoną śmiałością, z odwagą tak pewną zwycięstwa, jak on, podobien kaznodziei od Boga natchnionemu. „Nieuniknioną jest śmierć—woła *Petrarka*—ale nie wiadomo, jak, gdzie i kiedy nastąpi; losy ludzi osłania ciemność nieprzenikniona. Czegoż więc chcą wróżbici? Po co się mozolą astrologowie? Przecz trudzą się próżnej ciekawości gwoli? Pozwólcie gwiazdom, o głupcy, po własnych krążyć torach. Chociażby nawet wywierały wpływ na losy nasze i przepowiadały przyszłość, jedno przecież jest pewnem: nie dają się odgadnąć i przed całym światem mówią głośno, że wasze twierdzenia są kłamstwami... Bawicie się nazwiskami Marsa i Wenerę, Jowisza i Saturna, wprowadzacie do nieba istoty i pragniecie je uczynić zbawcami naszymi, istoty, które jako potępieńcy przebywają w Tartarze. Ale my nie chcemy się poddać służebnym gromadom niebieskim, my chcemy służyć Bogu samemu; jemu ufamy, w niego wierzymy, na jego imię przysięgamy, jego tylko słuchamy, jego, który stworzył nas i niebo i słońce, który nie potrzebował gwiazd, aby nas powołać do życia i nami rządzić, ani naszej pomocy, aby biegi gwiazd uporządkować.”

Umysł *Petrarki* obraca się w sferze naukowej, żyje bardziej w przeszłości niż teraźniejszości. Umysłu z podobnemi właściwościami nie można nazwać politycznym, t. j. takim, który wobec natłoku spraw bieżących musi się oryentować szybko a zawsze na nowo oraz co chwila wyrozumiewać, co też nakazują okoliczności czasowe. Nie szukajmy więc u *Petrarki* systemu politycznego, nie spodziewajmy się po nim teoretycznego udowodnienia zasad ogólnych, nie żądajmy od niego odpowiedzi kategorycznych nawet na pewne pytania szczegółowe. Jak w polemice kieruje się częstokroć uczuciem i według tego uczucia wyrabia swe przekonania naukowe, podobnie i w polityce jest zależny od nastroju a nie zawsze od zasad. Stąd wynika, że on, republikanin, czuje się zadowolonym w monarchii: że on, marzyciel

samotniczy, znajduje upodobanie w ludnym dworze książęcym. Nie wiele kosztuje mówić o takich niekonsekwencyach tonem mozolnego oburzenia, ale to w sedno rzeczy nie trafia. Politykiem więc *Petrarka* nie był, jak się rzekło. Pozostawał wprawdzie na służbie u kilku książąt, u Azzo'na w Corregio, u Jana Visconti'ego w Medyolanie a w służbie tej wygłaszał mowy, pisywał listy; jednych i drugich nie należy brać za akta dyplomatyczne, ale raczej za dzieła retoryczne i epistolograficzne. Odbywał też z polecenia książąt podróże, lecz podczas nich stał przy boku rzeczywistego posła jako rodzaj kosztownego dodatku, niby stół paradny obok stołu do pracy. Próbował także, już to z namowy innych, już to z własnej inicjatywy odgrywać rolę pośrednika, godząc np. Genuę z Wenecją; okazywał przytém tyle próżności, iż swoim perswazyom przypisywał zasługę, że państwa te podały sobie ręce; naprawdę zaś, zwycięstwa jednego a wycieńczenie drugiego, doprowadziły do koniecznego pojednania. Wszystko to czynił tedy, ale wszystkie te usiłowania nie są bynajmniej rzeczywistemi czynnościami politycznemi. Pod jednym tylko względem był może *Petrarka* politykiem, ale czysto idealnym; realnych bowiem stosunków nie znając dostatecznie ale nie chcąc dokładnie ich poznać, zmierzał do celu wielkiego, lecz niedoścignego: oto pragnął podnieść Rzym i założyć trwałą podwalinę jego wielkości.

Podupadłe znaczenie Rzymu można było podźwignąć za pomocą trzech różnych potęg: 1. Za pomocą papieżów, t. j. władców, którzy od wieków uchodzili za posiadaczy istotnych, lubo nie dość odpowiadających ideałom narodowym; 2. Za pośrednictwem ludu rzymskiego, który, chociaż lubił występować w roli spadkobiercy Rzymian starożytnych, zachował jednak niewiele z ich zalet; 3. Za pośrednictwem cesarzów, którzy tak mało okazywali się godnymi dawnych cesarów, jak Rzymianie nowocześni — starożytnych; zresztą o uroszczeniach dumnych cesarów prawie już nie myśleli, a nawet gdyby o ich urzeczywistnieniu myśleli, nie mieli sił wystarczających.

W kilka lat po urodzeniu *Petrarki* (1309) przeniósł *Klemens V* stolicę papieżstwa z Rzymu do Awinionu; w niewiele zaś lat po jego śmierci (1378) przywrócił *Urban VI* Rzymowi dostojeństwo rezydencji papieskiej. Niewątpliwie względy polityczne spowodowały zarówno wysiedliny jak i powrót. Nawoływania *Petrarki* natomiast powielekroć powtarzane, nie miały wpływu widocznego,} przynajmniej natychmiastowego. Ale któż ośmielił się powiedzieć, jak i kiedy znalazło dobre przyjęcie potężne słowo w szczęśliwej wyrzeczone godzinie?

Petrarka nienawidzi Awinionu, który poznał z bliska i z własnego doświadczenia; młodzieńcem bowiem udał się tam w towarzystwie rodziców i mieszkał około lat 15 (między 1326 i 1353 z długimi

przerwami), w samém mieście lub w bezpośredniem jego sąsiedztwie. W inwektywach i listach, w spokojnych roztrząsaniach i przepelnionych namiętnością sonetach wybucha gniewem i opisuje miasto w wierszach od śpiżu trwalszych; wypowiada się w nich wybornie żar poety i siła miłośnika prawdy:

Bodajby ogniem z nieb moc boża cię raziała!
Pijałaś ongi z rzek, z żołądzi miałaś strawę;
Dzisiaj krzywdą tyjesz ty, lży cudze pijesz krwawe.
Zbrodniarko! gwałt i kłam, szalbierstwo, złość—twa siła.

Ty gniazdo zdrady, co dzisiejszy świat zmierziła,
Ty lęgniesz złego gad i ziejiesz dole łzawe;
Zresz—pijesz—łoże twe orgjami wciąż plugawe:
Gdzie rozkosz, cobyś jęj w twym szale nie zażyła?!

W komnatach twoich tan za jednym drugi goni:
W wir lecą starce, młódź; belzebub pośród grona —
Z miechami, z ogniem i zwierciadłem w czarnej dłoni.

Cierń ongi bosa kłuł, wiatr kasał nagość łona;
Nie tulił wtedy cię w cienistej puch ustroni...
Do nieba cuchniesz — trup za życia — Potępiona!

(Przekład Kreczmara).

Co prawda, nienawiść ku Awinionowi nie przeszkadzała *Petrarce* bynajmniej, przyjmować beneficyów od niektórych papieży, zawiązywać stosunków przyjaznych z wysokimi dostojnikami kościelnymi, obsypywać pochwałami jednego lub drugiego papieża; mimo to przecież była ona zawsze bodźcem poecie, iż nieustannie wskazywał Rzym, jako właściwą stolicę papiestwa, i zaznaczał idealne zadania, jakie go tam oczekiwały. Zamiarem przeniesienia rezydencji i planem podjęcia krucjaty, niezbyt zresztą znakomity papież *Jan XXII* (1316—1334), pozyskał sobie przychylność *Petrarki* a, wyrzekłszy się ich niebawem, ściągnął gniew poety. Następcy Jana: *Benedykt XII* (1334 — 1342) i *Klemens VI* (1342 — 1352), planów tych nie żywili. Przeciwnie nawet; usadowili się w Awinionie stale, jak gdyby nigdy z miasta tego ustąpić nie myśleli. Uprzejmie słuchali wprawdzie wierszy łacińskich, któremi *Petrarka*, częścią we własnem imieniu, częścią z polecenia Rzymu, nakłaniał ich, aby się przesiedlili do grodu wiecznego, jako do istotnej swęj ojczyzny, ale byli dalecy od spełnienia życzeń poety i niektórych innych patryotów. *Benedykt*, człowiek surowy, lubo nie był wzorem papieżów, pojmował jednak seryo swe zadania i nie odznaczał się zamiłowaniem czczego przepychu. *Klemens* natomiast lubił wystawność i szanował naukę; sprzyjał też *Petrarce* (za to, że był jednym z najgłośniejszych jęj adeptów. *Inocenty VI* (1352—1362), trzymając się niezmiernie tradycyjn nauce wrogich pa-

piezów dawniejszych, okazywał *Petrarce* obojętność, nawet nienawiść; upatrywał w nim i w wysławianym przezeń *Wergiliuszu* czarowników; dlatego też *Petrarka* płacąc papieżowi za rzucone nań podejrzenie, nie uznaje go za powołanego do spełnienia wielkich zadań papieżstwa. Za to *Urban V* (1362—1370), chociaż Francuz, był mężem według serca Włochów, zwłaszcza *Petrarki*. Do niego też wystosował poeta odezwę nader doniosłą i bogactwem dowodów i żywością wysłowienia. Przywodził na pamięć *Urbanowi* własne jego wyrzeczenia. Jedno: „gdyby nie było innych pobudek do opuszczenia Awinionu, wystarczałaby już ta tylko, aby, przeniósłszy się do Rzymu, dźwignąć pobożność wiernych,“ oraz drugie: „z pośród nieszczęść Rzym tłoczących, najgorszym jest odłączenie od papieża.“ Powoływał się na jego imię, przypominając *urbs*, miasto, t. j. miasto wieczne; na smutny stan Rzymu, potrzebującego pomocy; na wielostronność i łatwość zdobycia środków, aby mu pożądaną zapewnić ratunek. Jeżeli w innych orędziach i mowach popierał swe napomnienia zdaniem starożytnych i przyznawał im największą siłę przekonywania, to teraz, przemawiając do naczelnej głowy duchownej i domagając się działań właściwych księciu kościoła, przytaczał z upodobaniem wyjątki z biblii, a wybrał je rozumnie i zęcznie zużytkował. Występuje tedy sam, podobien kapłanowi starożytnemu. W jednem miejscu odzywa się do papieża słowem bożem, zwróconem niegdyś do Abrahama: „Wynijdź z ziemi twój, i od rodziny twój i z domu ojca twego do ziemi, którąć pokażę; a uczynię cię w naród wielki i będąc błogosławił i uwielbiał imię twoje;“ wkraczającego do Italii *Urbana* pozdrowia wyrazami psalmisty: „gdy Izrael ciągnął z Egiptu, dom Jakóbów od narodu obcego, wszędy była uciecha i radość;“ wreszcie ustępującemu z Włoch przeciwstawia przykład św. Piotra, któremu w tchórzliwej ucieczce zjawił się Zbawiciel i na pytanie jego: „dokąd dążysz, Panie?“ odrzekł: „podążam do Rzymu, aby powtórnie przenieść śmierć krzyżową.“ Rzeczywiście bowiem udał się był *Urban* do Rzymu (1367 r.), ale widząc trudności zbyt duże a siły własne za słabe, opuścił Italię i radość poety, zawsze pełnego nadziei, zamienił w bolesć. Bolesci tej nie złagodził i papież *Grzegorz XI* (1370—1378), którego początkowe rządy *Petrarka* przeżył jeszcze; owszem, powiększył ją nawet, pozwalając na ogłoszenie paszkwilu wymierzonego przeciw upominającemu listowi *Petrarki*; w paszkwilu tym wyszydzone i pisarza niezmordowanego, ale nie mającego w swych orędziach powodzenia, i zelżono sam Rzym, święte miasto Rzym.

Nie udały się więc usiłowania *Petrarki*, aby papież powrotem swym wznowił starożytną wielkość Rzymu. Trzeba było odważyć się na drugą próbę—azali zamarłe niemal ciało nie wskrześnie samo,

nie ocknie się do nowego życia. Próbę zrobiono (1347—1353), ale się nie powiodła. Zaiste nie *Petrarka* wywołał śmiało i hazardowne przedsięwzięcie *Cola di Rienzi*, mające na celu przekształcenie Rzymu w republikę pod wodzą trybunów; wszelako jego nieustanne wysławianie świetnych czasów starorzymskich mogło być dzielnemu współwyznawcy tych samych zasad bodźcem do odrodzenia wspaniałej przyszłości. Pieśniami, mowami, listami podniecał lud rzymski do uczestnictwa w dziele bohaterskiem swego wyjarzemia; zachęcał trybuna do umiarkowania w zwycięstwie, a książąt włoskich i zagranicznych do zaniechania wszelkiego sprzeciwienia. Wszystkie te pisma, zawdzięczające byt swój krótkiej epoce rojeń republikańskich, między innymi list zachęcający do *Cola* i ludu rzymskiego, włoska kanzona i ekloga łacińska do męża najwyższą władzę piastującego, orędzia do Rzymian, by trybuna uciśnionego oswobodzić z niewoli papieskiej, tchną entuzyastycznem uczuciem wolności i znamionują polityka o charakterze szlachetnym, nietylko powodzeniom przykła-skującego. Bo oto *Petrarka*, chociaż napomnienia jego nie znajdowały posłuchu, nie odejmuje jednak współczucia nieszczęśliwemu, nie wyrzeka się nadziei ugruntowania republiki, nawet gdy pierwsza ha-niebnie spełza na niczem. Zaiste we wszystkich tych pismach po-etycznych i prozaicznych nie ma mowy o polityce praktycznej, o okre-ślonych szczegółowych projektach do wyświecenia i przeprowadze-nia zasad teoretycznych; nacóżby się zresztą przydały wobec faktów spełnionych? Raz tylko wezwany był *Petrarka* do przedstawienia projektów w sprawach politycznych, dotyczących Rzymu; ale i w tym wypadku okazał się więcej retorem niż praktykiem. Mianowicie w czasie między pierwszym a drugim wystąpieniem *Cola* (1351) głoś-no domagano się w Rzymie nowej konstytucyi; dla zaspokojenia tych żądań utworzyła się, za zgodą papieża, komisya, której jeden czło-nek zwrócił się do *Petrarki* z prośbą o udzielenie swęj opinii. Pi-śmienna odpowiedź *Petrarki* zachowała się, a bieg jęj myśli mniej więcej następujący:

Wielkość i dostojność Rzymu, wiecznie trwała w skutek połącze-nia z nim cesarstwa i papiestwa, nakłania każdego, aby uczestniczył w tém, co dotyczy szczęścia Rzymu. Otóż miasto, przez wszystkich na równi czcig otaczane, szarpie walka dwu partyj szlacheckich; do jednej (*Orsini*) nie czuje autor nienawiści, drugą zaś (*Colonna*) kocha najtkliwiej. Ale Rzym nie po to istnieje, aby zbogacać dwie rodzi-ny, jakkolwiekby one wysoko postawione były. Ponieważ zaś środ-kami umiarkowanemi nie da się zażegnać sporów szlachty, której członkowie są pochodzenia barbarzyńskiego, przeto pozostaje jedyny sposób: szlachtę zupełnie od rządu wykluczyć a senatorami państwem rządzącymi mianować tylko członków ludu rzymskiego, obywateli

czysto rzymskich. Przeciwno tak gwałtownemu środkowi postawiono trzy zarzuty, ale żaden z nich niczego nie dowodzi; ani potęga szlachty, gdyż wywoływała ona dotąd tylko niepokoje i nieszczęsne rozdwojenia; ani bogactwo, gdyż jest ono największym wrogiem cnoty; ani wreszcie tytuł szlachecki, gdyż jest on pustym dźwiękiem i przepaść w łonie państwa rozszerza jeno, zamiast zwęzać.

W dokumencie tym godną uwagi rzeczą jest nie mądrość polityczna, lecz demokratyczny sposób myślenia wskroś go przenikający; jak w Rzymie starożytnym, tak również i w nowoczesnym, mają być obywatele prawdziwymi i jedynymi panami miasta. Jednego tylko pana uznaje nad sobą republikanin: cesarza, który wszechświatem władać powinien i dlatego okazuje się godzien rządzić Rzymem.

Cesarzem był wówczas Karol IV (1347—1378), monarcha umysłu trzeźwego, zmierzający tylko do celów łatwo osiągniętych i przedsiębiorczy takie jeno zadania, które mu bezpośrednio zapewniały korzyść. Cesarstwo uważał za czczy tytuł, nie za najpiękniejszą ozdobę swęj korony; Italia była dla niego krajem, skąd udzielaniem godności i zaszczytów ludziom żadnym rang i tytułów można wycisnąć wiele danin i zasiłków pieniężnych dla innych przedsięwzięć, ale nie prawdziwą ojczyznę, dla rządu którą się urodził. Na Rzym spoglądał, jako na gród starożytny, interesujący swemi wspomnieniami, ale nie uznawał w nim nigdy miasta czcigodnego, swą sławą i swemi nieszczęściami niby świętego. W papieżu, jako katolik pobożny, widział najwyższą głowę duchowną, której kornie ulegał nie tylko dlatego, aby odeń koronę otrzymać, ale i w przekonaniu, że mocą swęj powagi, papież ma prawo domagać się wszelkich ustępstw; nie patrzył nań bynajmniej jak na księżęcia równego sobie lub nawet w rzeczach świeckich podrzędnego, gdyż sądził, że papież nie ma żdanego prawa do posiadłości ziemskich i cesarzowi raczej winien przekazać miecz świecki.

Takiego to monarchę który w wielu sprawach miał głowę jasną, zdolną i rozumną, lecz dla idealnych żądań tego rodzaju żadnego wcale nie posiadał zmysłu, usiłował nieznużony *Petrarka*, w ciągu lat 18 (1350—1368), nawrócić do swoich poglądów ustnemi rozmowami oraz wielkimi orędziami, z których mimo stylistycznego wygładzenia wieje przecie prawdziwe i żywe uczucie, jakie przepełniało autora. Ukazywał w nowych coraz zwrotach, zawsze przecież tę samą myśl wyrażających, Italię żalobną, opuszczoną, wyczekującą jego, oblubieńca; przypominał mu jego przodka, *Henryka*, owego cesarza, przez *Danta* sławionego a potem oplakiwanego cesarza, który, wybrał się z wiarą, że poniesie Italię oswobodzenie, a znalazł w niej śmierć jeno; opisywał mu Rzym niegdyś tak wspaniały, a dziś smutny i bez otuchy na przyszłość; prawil o idealnych zadaniach cesarstwa, które po-

winy być spełnianemi mimo oporu małych i wielkich; starał się przedstawić mu, że podporządkowanie papieżstwa, któremu oddawał jednak cześć wysoką i wyznaczał cele wzniosłe, jest poniżeniem wszechświatowego stanowiska cesarskiego. We wszystkich tych usiłowaniach nie miał *Petrarka* najmniejszego powodzenia. Należy uszanować owo dążenie idealne, od którego był dalekim wszelki interes osobisty; wypada uszanować za to, że *Petrarka* mimo bezowocności swych wysiłków, nigdy nie upadał na duchu, ale z drugiej strony nie widać żadnej oznaki zmysłu politycznego, kiedy domagał się przeprowadzenia swych planów od cudziemca z takimi pojęciami, którego przy okazji nie wahał się nazwać obelżywem mianem barbarzyńcy; toż do urzeczywistnienia takich planów potrzeba było patryotyzmu włoskiego, śmiałego idealizmu i serdecznego uczucia dla dostojnej starożytności.

Ciesząc się poważaniem większej części papieży i czeią przyjacielską *Cola di Rienzi*, doznawał też *Petrarka* życzliwości i ze strony cesarza; opowiadał chętnie, jak podczas kilkudniowego zjazdu w Mantui był przezeń pokilkakrotnie zaszczycony dłuższemi rozmowami. Podanie tymczasem chętniej głosi rzecz inną; opowiada mianowicie barwnie spotkanie, jakiego król *Karol* w Awinionie 1346 r. szukał z opiewaną przez *Petrarkę Laurę*, tudzież o hołdach, jakie potężny władca złożył *Laurze*, podanej przez poetę do nieśmiertelności.

„*Laura*, swemi cnotami głośna, mojemu poezjami szeroko rozślawniona, ukazała się oczom moim po raz pierwszy rankiem 6 kwietnia 1327 r. w kościele awiniońskim św. Klary.” Tak napisał *Petrarka* w należącym do niego rękopisie Wergiliusza, przechowywanym aż potąd w Ambrozyańskiej bibliotece w Medyolanie. *Laura* umarła w Awinionie 6 kwietnia 1348 r. O wypadku tym ciągnie dalej *Petrarka* we wzmiankowanym powyżej rękopisie: „W dniu jej śmierci bawiłem w Weronie i nie przeczuwałem nieszczęścia swego. Wieść żałobną przyniósł mi dopiero list mego przyjaciela, *Sokratesa*, którego spotkałem w Parmie 19 maja. Piękne ciało ukochanej pogrzebiono wieczorem dnia skonu w kościele frańciszkanów, duch jej, wedle mego silnego przekonania, wrócił do nieba, skąd był przyszedł. Wydarzenie to zapisałem na smutną pamiątkę z gorzką słodyczą na tém właśnie miejscu, które często miewam przed oczyma, abym czuł, że nie powinno być już nic, coby mi w tém życiu się podobało, abym teraz, gdy najsilniejszy węzeł został rozerwany, wspominając o tém i rozmyślając nad znikomością życia ziemskiego, opuścił Babilon (Awinion). To przy pomocy łaski boskiej będzie mi pociechą, jeżeli się poważnie zastanowię nad płonnemi troskami przeszłości, czczemi nadziejami i niespodziewanemi następstwami.”

Te dwie notatki są jedynymi wiadomościami statystyczno-historycznymi o miłosnym stosunku między *Laurą* a *Petrarką*, najzupełniej wystarczającymi dla wiarygodności historycznej. Ale rzeczywiste świadectwa o związku miłosnym nie mogą być natury chronologiczno-statystycznej; pisarz bowiem jak o innych uczuciach, musi też mówić i o swęj miłości. Dość liczne wynurzenia *Petrarki* zawierają się w rozprawach i listach, w poezjach łacińskich i włoskich. Powyżęj wymieniliśmy już pisma, w których takie ustępy się spotyka; mimo to przecież trzeba tu powtórnie z naciskiem zaznaczyć, że właśnie utwory łacińskie, zajmujące się przedmiotami poważnemi, mieszczą w sobie wzmianki o jego miłości powszechnie znane i niewątpliwe. Jest to dowód niezbity, gdyż wogóle takiego okazywała się potrzeba, że miłość nie była wcale fikcją, lecz uczuciem, które poetę zawsze z równą przenikało siłą. Prawdziwe uczucie *Petrarki* ujawnia się bardziej w jego poezjach włoskich, specjalnie miłości poświęconych, aniżeli w owych wzmiankach. Są to sonety (ogółem 317; większa ich część, 227, napisana za życia *Laury*), kanzony, sestyny, bałady i tryumfy, z których najważniejszym jest, jak łatwo pojąć, tryumf miłości. Poezje te prócz miłości opiewają też przyjaźń, składają hold naturze, udzielają nauk politycznych i religijnych; obejmują wspomnienia płomiennie i skargi ponure, lecz zawsze i zawsze wracają do przedmiotu głównego, do miłości. Jedność taka przeobraża się łatwo w jednostronność. Dzieje się to tém bardziej, że miłosny żywot *Petrarki* i *Laury* nie obfituje bynajmniej w wypadki różnorodne, coś w rodzaju niby poszukiwania i unikania, gniewów i pojednania, walki z potęgami wrogami i zwycięstwa nad różnorakim oporem. Żyli oboje obok siebie, ale nie z sobą; on trawi się tęsknotą beznadziejną, ona przyjmuje holdy jako dań należną, albo, może w głębi serca i przychylna poecie, odwraca się od niego, słuchając więcej obowiązku niż skłonności. Chromają więc wiersze nużące jednostajnością, jak poeta niedomaga boleścią, która jego samego czyni bezsilnym i mdłym. Twórcza fantazja poety przedstawia wydarzenia naturalne i proste w kształtach osobliwszych i nadzwyczajnych, a wieszcz do szperań pochopny, oddając się aż zanadto bolesnej rezygnacyi i skargom żalonym, nie chce wydobyć się, otrząsnąć z utyskiwań na szczęście—że go nie znał.

Pomimo to wszystko, jest tu uczucie, jest miłość. Twierdzenia tego udowodnić nie można, choćbyśmy sto przytoczyli wyjątków, o prawdziwem uczuciu świadczących, ale nie da się też unicestwić przywiedzeniem frazesów wyszukanych i przesadnych. Kto czyta poezje te jednym tchem, ze zmysłem szperającego krytyka, ten dozna zaiste wrażenia nieprzyjemnego, słysząc ciągle te same rzeczy i w tonach jednakich; kto zaś, do estetycznego patrzenia przywyklszy,

przewraca jeno karty książki i wierszy kosztuje jak łakoci, ten pieścić się będzie pięknem brzmieniem dźwięków wiecznotrwałém, jak wonią słodką i upajającą. Ale krytyk i estetyk nie powinni być w tej sprawie jedynymi sędziami, o pieśniach miłosnych mogą tylko sądzić zakochani. Spytaj szczęśliwca, czy w niewielu pieśniach, rozkoszą i szczęściem wezbranych, własnych nie słyszy radości; spytaj nieszczęsnego, czy w licznych śpiewach, drgających boleścią i smutkiem, własnych nie pozna cierpień? Uszczkniemy choć jeden kwiatek z tryskającego wonią i farbami przepysznego wieńca — któż nie wrzeczce wraz z nami: tu jest uczucie, tu jest miłość?

Gdy to nie miłość — cóż w mój piersi płonie?
 Jeśli nie miłość — cóż to jest? przez Boga!
 Jeśli rzecz dobra — skąd mi przed nią trwoga?
 Jeśli zła — czemuż, cierpiąc, ku niej gonię?

Jeśli jój sam chcę — pocóż łamać dłonie?
 Jeśli jój nie chcę — skąd mi ku niej droga?
 O żywa śmierci! o rozkoszy sroga!
 Możeż być własny wróg mój w mojem łonie?

Tak w zgodzie z sobą, skarżę sam swą nędzę,
 I niby w wichrach, w grzmiące morskie tonie
 Bez wiosła idąc, w kruchą łódź się chronię.

I z wiedzą własną w luby obłęd pędzę —
 I to się lodem stając, to zarzewiem,
 Czego chcieć, czego nie chcieć — sam już nie wiem!

(Tłómaczenie Felicyana).

Poezye *Petrarki* różnią się od utworów innych poetów erotycznych tém przedewszystkiém — i to nadaje im zaszczyt osobliwszy — że są zupełnie wolne od zmysłowości i namiętych porywów, że uczucie miłości przyoblekają w blaski świetlane i unoszą duszę. *Petrarka* nie był wcale zwierciadłem cnoty i był o tyle sumiennym, że się nie przechwala etyczną nieskazitelnością, lecz wyznawał ochoczo, jak człowiek, oczyszczony miłością, w poczuciu odrodzenia nowego wyznawać będzie zawsze:

Od niej ci (płynie) tęsknych technienie dum, za jakim
 Idąc, ku dobru tak wielkiemu droga,
 Że ludzkie żądze masz za rzeczy liche;

Od niej wesołość, która prostym szlakiem
Rzeźwo cię wiedzie wprost do niebios proga.
(Tłumaczenie Felicjana).

Laura umarła. Nieprawdziwość uczucia *Petrarki* wysnuć chciano z faktu, że nawet po jej skonie nie zaprzestał jej kochać i opiewać. Wedle mego zdania, ta właśnie okoliczność znamionuje szczerłość uczucia, świadczącego o tak głęboko weń wrosłych korzeniach miłości, że nawet po jej śmierci jeszcze nie przestaje pragnąć i radować się, skarżyć się i jękami trawić. Żyjącą chce *Petrarka* posiadać lub tylko pozdrowić; do zmarłej przez śmierć własną pożąda się zbliżyć, lub przez poświęcenie życia Bogu stać się jej podobnym. Wzdychając a jednak duchowo zadowolony, woła:

Mniemam wezwany zostac lada chwile
Ku mojej pani —
Uśmiecha mi się dzień ów najprzyjaźniej,
W którym wychodząc z ciasnej ziemskiej kaźni,
Zrzucę doczesną szatę zdartą w szmaty,
I z tej ciemnicy pomknę lot skrzydlaty
W blask, wśród którego mają być wybrani,
Ku memu Panu i ku mojej Pani.
(Tłumaczenie Felicjana).

Częściej wszelako wznosi się do owego czystego i jasnego poczucia, że na pamiętkę zgasłej powinien sobie gotować niebo na ziemi, dążyć do prawdy, przykładać się do dobra powszechnego, kochać piękno.

Dnia 18 lipca 1374 r. umarł *Petrarka*, twórca nowej kultury, mąż, który bez wypoczynku pracuje nad udoskonaleniem własnym, który pragnie poznać siebie, choć często względem siebie się myli, który podejmuje bój z olbrzymiemi potęgami występku, chociaż wśród zapasów słabnie i rozpacza. Taką jest indywidualność *Petrarki*. Oprócz tego, trzy głównie rzeczy znamionują jego istotę: część wielka dla idei patryotycznych, współdziałanie celem wywyższenia i uświetnienia narodu, którego szczył się być synem; dalej, niestrudzone usiłowania, aby pracą umysł swój wykształcić, aby na wieki zapewnić sobie i swym następcom drogocenne skarby, które starożytność przekazała, z należytem zrozumieniem wartości nabytej; wreszcie uwielbienie i wysławianie serdecznego oddania się ukochanej i utajonej za nią tęsknoty. Dlatego więc żyć będzie niezapomniany, dopóki ludzkość ceni trzy owe dobra, które życie jego upiększyły i które istnieć muszą, aby uczynić życie pożądanem; owe trzy dobra nazywają się: ojezyzna, nauka, miłość.

ROZDZIAŁ IV.

Jan Boccaccio.

*Dante*go podziwiają, *Petrarkę* sławią, *Boccaccia* czytają. Niejedna-ki los przypadł po śmierci bohaterom literatury włoskiej, chociaż w życiu ich niejedną dostrzegano wspólność.

Wszyscy trzej nazywali Florencję swą ojczyzną; wszyscy trzej kochali to miasto, a przecież unikali go, dobrowolnie lub z musu; cenili Italię wyżej, niż miejsce urodzenia i smucili się rozszarpaniem kraju ukochanego.

Wszyscy trzej wydarli się z kręgu myśli średniowiecznych, w którym kościół usiłował wymusić jednostajne ukształcenie umysłu i charakteru oraz zdławić każdy objaw indywidualny; wydobyli się przez to, że pragnęli zapewnić zwycięstwo prawu wolnej osobistości.

Wszyscy trzej przez większą część żywota pałali gorącą miłością dla kobiety, miłością, która u każdego uzewnętrzniła się inaczej zależnie od rodzaju jego istoty — u *Dante*go w wzniosłym zachwycie, u *Petrarki* w tklivej serdeczności, u *Boccaccia* w namiętym żarze, miłością, która o tyle była jednaką, że opanowanych przez się nie opuszczała nigdy, że przewodniczyła im zawsze w ich myśleniu i twórczości poetyckiej.

Wszyscy trzej byli poetami, ale zarazem mężami czynnymi w życiu publicznym, pracowali dla książąt i miast, na urządach państwowych i w poselstwach. Jeżeli służyli jednostce, zwracali zawsze

oko na całą ojczyznę, oplakiwali gorzko jej bezsilność i rozdarcie i błagali o wybawienie jej z poniżenia.

Wszyscy trzej byli obywatelami swój epoki i wolnymi od niemęskich pragnień, aby się z niej usunąć, ale mimo całego szacunku dla dni, w których żyli, rozumieli, że podstawa ich ukształcenia spoczywa w przeszłości; mimo czci świętej dla chrześcijaństwa i mimo zachowywania pobożnych przekonań religijnych, nie uczuwali lęku, poświęcając najmilsze chwile pogańskim autorom starożytności; pomimo miłości dla języka ojczystego, z którego właśnie oni umieli najpiękniejsze wydobywać tony, posługiwali się chętnie mową łacińską i żywili wiarę, że tylko pismami łacińskimi zasłużą na wieniec wawrzynowy.

W szeregu wielkich pisarzy włoskich jest *Boccaccio* nie tylko co do czasu ostatnim, ale i najsłabszym pod względem charakteru; atoli jest to mąż tak świetnych uzdolnień, tak przedziwniej wielostronności, że i dziś jeszcze należy mu się sława, którą współcześni rozrzutnie go obspypywali.

Jan Boccaccio urodził się 1313 r. w Paryżu. Ojciec jego, ruchliwy i szanowany kupiec florencki, przybył w sprawach handlowych do stolicy Francji i tu pozyskał miłość pewnej wdowy, która go obdarzyła synkiem. Zniewolony atoli interesami czy też sprzykrzywszy sobie lekkomyślnie zawiązany stosunek, opuścił stary *Boccaccio* Paryż i zabrał z sobą dziecko do Certaldo. Z wypadkiem tym zaznajamia nas syn, który później w dziele Ameto, pod przejrzystą zasłoną allegoryi opowiada smutną historję swój matki. Takim sposobem pozyskał *Jan* imię Certaldyanina i pierwszy uczynił je godnym zaszczości. Niejedno odziedziczył zapewne z krwi macierzystej i niebawem musiał sobie przypomnieć, że matki pozbawion. Ojciec bowiem, nie troszcząc się o przyrodzone usposobienie chłopca, chciał z niego zrobić kupca i trzymał go lat sześć za kantorem wekslarskim, chociaż mógł był dopatrzeć w jedenastoletnim już synu, który nauczył się za ledwie początków łaciny od jakiegoś Toskańczyka, więcej skłonności do wierszy i książek aniżeli do handlu. Przekonawszy się jednak w końcu, że przymusem nie nie wskóra, i obawiając się, by mu się chłopiec całkowicie nie zmarnował, wyprawił go do Neapolu na studia jurysprudeneyi.

Musiał więc *Jan* w młodych już latach podjąć walkę, jaką tyle innych umysłów wolnych w epoce Odrodzenia prowadziło przeciw nauce prawa; walkę tę uczynił sobie wszelako lekką, zgodnie ze swą naturą i odpowiednio miejscu, do którego wysłał go ojciec, w złych wprawdzie zamiarach, ale na szczęście młodzieńca.

Neapol wówczas nawet dla natur spokojniejszych nie był wcale miejscem, coby do studyów usposabiało. Najstraszniejsze wojny domowe zaprzętały i niszczyły krzepkich, a rozkosze i rozrywki gubiły

słabych. Po królu *Robercie*, mecenasie *Petrarki*, zajęła tron młoda, piękna i zmysłowa *Joanna*. Niezadowolona z małżeństwa swego z również młodocianym, ale nieokrzesanym i ociążalym *Andrzejem* węgierskim, tęskniła za innymi uciechami, dawała się powodować ludziom pospolitym, przedewszystkiem zaś swęj mamce, *Filipinie* z Katanii, rzuciła wzrok na pięknego *Ludwika*, księcia Tarentu, i, uwikłana w występnej skłonności, nie sprzeciwiła się bynajmniej zamordowaniu męża (1345). Została wprawdzie uniewinniona i straceniem morderców uczyniła zadość pozornej sprawiedliwości, ale sama wydała na się wyrok, poślubiwszy kochanka i haniebnie opuściwszy kraj, kiedy mściciel zamordowanego, *Ludwik*, król węgierski, podobien wartkiemu i burzliwemu potokowi, wkroczył do Neapolu. Nie na długo atoli zostawiła kraj w rękach tryumfatora; ponownie bowiem przez kardynałów uniewinniona (co prawda, na krótko przedtém sprzedała papieżowi Awinion za znaczną sumę), gdy węgierski najezdnik ustąpił jej miejsca, powróciła w towarzystwie małżonka, którego schlebający poeta nazwał *Alcestem*, t. j. gorliwym cnotliwceem, bo *alce* oznacza cnotę a *aestus* gorliwość. Lecz przed jej ucieczką, podczas jej nieobecności i za jej powrotem, ciągle zresztą, zmienne stosunki pod tym względem były jednakie, że rycerze i rozbójnicy niesłychanych dopuszczali się okrucieństw, a uroczystości marnotrawcze prawie bez przerwy następowały jedne po drugich.

W takie to życie i w taki odmęt wpadł *Boccaccio*, zrazu jako przedstawiciel florenckiego domu kupieckiego, następnie jako student, młody, pełen życia, żądny uciech, dowcipny i bawić umiejący. Według współczesnego opisu jego powierzchowności, był wysoki i silny, usta miał piękne, lubo wargi — nieco za grube, dołek na podbródku, ładnie wyglądającym, zwłaszcza podczas śmiechu, twarz okrągłą i nos nieco wklęsnięty. Powierzchowność oraz znakomici protektorowie utorowali mu wstęp do dworu, dowcipem i zdolnościami umysłowem i zwrócił na siebie uwagę, a wdzięk pozyskał mu przychyłość *Maryi*, naturalnej córki króla *Roberta*.

Marya Fiametta, jak *Boccaccio* zwykle ją nazywa, kobieta młoda, piękna, pełna wdzięków, była od lat kilku żoną znakomitego Neapolitańczyka i żyła z nim szczęśliwie aż do chwili, gdy ją ujrzał *Boccaccio* w wielką sobotę 27 marca 1334 r. w kościele neapolitańskim St. Lorenzo Maggiore. *Dante* i *Petrarka* szczególną zwracali bacność na pierwsze spotkanie z kochankami a miejsce i godzinę wymieniali często; nie omieszkał też mówić o tém i *Boccaccio*. „Stało się to w dniu — pisze — w pierwszej godzinie którego panował (dominował) Saturn, w którym Febus ze swemi rumakami dosięgał szesnastego stopnia w znaku niebieskiego Barana, w którym obchodzono uroczyście powrót syna Jowiszowego z ograbionego państwa Plutona, kiedym

wszedł w Neapolu do świątyni, nazwanej od imienia tego, który dał się spalić na ruszcie, aby być między bogi przeniesionym.⁷ Nie natychmiast oddała się *Marya* swemu miłośnikowi; owszem opierała się prośbom jego, ale ponieważ jej pochlebiali nowe dla niej hołdy słodkie, więc ulegając raczej głosowi skłonności, niż rozkazowi obowiązku, uszczęśliwiła wreszcie młodzieńca, a imieniu swemu zapewniła nieśmiertelność w poezyi. Gdyby poety nie uszczęśliwiła swemi względami, zapewne nie byłaby wysławiana przez niego, człowieka zmysłowego, który nie miał zamiaru naśladować marzycielskiej tęsknoty miłosnej swych poprzedników; ale teraz stała się przedmiotem jego poezyi, nieraz, co prawda, pod osobliwzemi osłonami.

Sławił *Boccaccio* swą ukochaną w sonetach. Mając na oczach zbyt często *Dantego* i *Petrarkę*, opiewa już to zadowolenie kochanka szczęśliwego a rozpacz nieszczęśliwego; już to opisuje z zachwytem odwiedziny pewnego miejsca miłością uświęconego i z całym żarem zmysłowej natury przedstawia piękność oddanej sobie kochanki; już to przeklina niewierną i grozi jej utratą wdzięków, któremi go do siebie przywabiła; to znowu skarży się na okoliczności nieprzyjazne i brak serca kochanki, trzymające go zdala od *Maryi*; to wreszcie, jak soneciści i poeci erotyczni wszech czasów, życzy sobie śmierci, ponieważ musi się z nią rozłączyć.

Ale *Boccaccio* zrobił więcej niż tuzinkowi soneciści włoscy. Ci bowiem, ukuwszy dostateczną ilość sonetów (niektórzy koło kilkuset), zwracali się do innych przedmiotów, gdyż w wypowiedaniu miłości ulegali modzie tylko a nie potrzebie wewnętrznej, *Boccaccio* zaś nieśmiertelniał swą miłość i w innych dziełach. Przez lat 15 jest *Fiammetta* boginią, do której się modli i miłość jest źródłem prac jego. Młodzieńcze bowiem poezye *Jana* pisane po włosku, a już i przez sam wybór języka przeznaczone i dla nieuczonych, albo zajmują się miłością poety, albo też są treści historycznej, do której dostarczały wątku przedmioty ze świata podać; te napisane zostały na życzenie kochanki, powstały więc za jej podniecia.

Filocolo (Przyjaciół trudu) jest najpierwszem dziełem poety, może najobszerniejszem a niewątpliwie najslabszem. Jest to opracowanie zapożyczonęj ze źródeł francuskich historii *Floire'a* i *Blanceflor'y* (u *Boccaccia*: *Florio* i *Biancafiore*), którą o lat sto wcześniej zużytkował już jeden z poetów niemieckich. Ponieważ zasługa poety wogóle nie opiera się na pomyśle, lecz na obrobieniu poetycznym materyału, przeto i u *Boccaccia* leży wada nie tyle w pożyczce, ile raczej w braku biegłości technicznej, w niedoświadczeniu młodzieńczem, nie umiejącem jeszcze ocenić ani miary swych sił, ani znaczenia przedmiotu.

Florio jest synem *Feliksa*, króla hiszpańskiego, *Biancafiore* zaś córką rodziców rzymskich, którzy z okazji pielgrzymki przybyli do

Hiszpanii. Dzieci, urodzone tegoż samego dnia, wychowują się razem, uczuwają wzajemną miłość i przywodzą tém króla do gniewu. Po długich mazołach i zrobieniu przyrzeczeń, których nigdy dotrymać nie myślał, dokazał *Feliks* tyle, że *Florio* udaje się na uniwersytet; przy rozstaniu otrzymuje od kochanki pierścień, za pomocą którego w każdej chwili może się dowiedzieć o jej losach; ojciec korzysta z nieobecności syna, aby dziewczę zgubić. Pierwszy jego zakus spełza na niczém; kiedy bowiem obwiniał *Biancafiore* o usiłowanie trucielskie, nie zdołał przeszkodzić temu, że *Florio* zjawia się na ratunek i w zwycięskiej walce z oskarżycielem udawadnia niewinność ukochanej. Zaledwie jednak *Florio* wrócił do miejsca swego pobytu, alisci zastawiono nań sidła pokusy, którą zwalcza mężnie, ale potem ulega zazdrości i uczuciem tém dręczony, zabija mniemanego a szczęśliwego rywala i do Włoch ucieka. Król korzysta z nieobecności syna, sprzedaje *Biancafiore* rozbójnikom morskim i sądzi, że uleczy młodzieńca, opowiadając mu bajkę o śmierci kochanki. *Florio* atoli dowiadyuje się prawdy, błąka się po różnych krajach, poszukuje dziewoi. Po niejakiem czasie odkrywa miejsce jej pobytu i, niezliczonych doznawszy przygód, zjawia się w Aleksandryi, gdzie *Biancafiore* w smutnej jęczy niewoli. Oswobodzić ją, oto jedyne jego pragnienie; pewien już niemal, że podstępem i śmiałością dopiął celu, został wraz z kochanką pojmany i na śmierć skazany. Ostatecznie przecież oddalają się, tym razem za przyczynieniem bogów; w dozorcę więziennym, którego się lękali jako wroga śmiertelnego, poznają blizkiego krewniaka, biorą ślub, wracają do ojczyzny i po rychłej śmierci *Feliksa* zasiadają na tronie ojcowskim.

Z historyi tej, zawierającej niejednen moment wzruszający, nie umiał *Boccaccio* skorzystać w sposób należyty. Opowieść się wlecze, ponieważ akcyę opóźniają nieskończenie długie mowy i rozmowy, przygody są niewiarogodne, charaktery nieprawdopodobne. Ale niektóre okoliczności pozwalają już przeczuwać poetę i znamionują właściwości, później tak świetnie rozwinięte. Widać tu pierwszy ślad *Dekameronu*: tłum mężczyzn i kobiet gromadzi się dla opowiadania sobie zabawnych historyj. Dalej wspomnienia z życia własnego: *Fiametta* i *Galeone* (tém mianem albo téż imieniem *Panfilo* nazywa *Boccaccio* siebie jako kochanka) znajdują się w Neapolu w towarzystwie, do którego dostaje się *Florio* podczas swj podróży. Wreszcie wplecenie starożytności: zużytkował autor wspaniały aparat mitologiczny, wprowadzając w akcyę, wedle upodobania, boginie i bogów antycznych, których niezawsze ściśle odróżnić można od świętych chrześcijańskich lub cnót uosobionych; naśladuje *Owidyusza*, którego księgę w jedném miejscu nazwał wprost „świętą.”

Drugim dziełem jest *Ameto*, gdzie rozpanoszyła się szeroko alle-

gorya. Główną osnowę stanowi nawrócenie bohatera od miłości zmysłowej do idealnej; nawrócenia tego dokonywa przeważnie sześć dziewic nimf, między którymi *Fiametta*—nadzieja, pierwsza zajmuje miejsce. Obok tej zasadniczej treści, której zrozumienie utrudniają liczne allegorye, snują się uwagi podrzędne również niełatwe do wyjaśnienia. Są niemi napomknienia o wypadkach współczesnych, roztrząsania, rozprawy, dotyczące historyi Neapolu i Rzymu, opowiadania o matce poety i smutnym jej losie, wycieczki przeciw mnikom, tu jeszcze zresztą dosyć przysłonięte. Chociażby allegorya rozmaicie tłómaczoną była—i to dzieło przecieŜ natchnęła miłość; rzadko gdzie oczyszczająca i uszlachetniająca siła miłości przedstawiona jest tak pięknie jak w śpiewie pasterza *Teogappa* po uroczystości Wenery.

I inne jeszcze dzieła zawdzięczają byt swój owym czasom młodości, spędzonej przez poetę w Neapolu, owym latom, podczas których bujał między uciechą a cierpieniem. Z pośród nich zasługuje szczególniej na wyróżnienie *Tezeida*—dla trzech przyczyn. Pierwszą przyczyną jest pobudka do napisania utworu. Pewnego razu *Fiametta* pognięwała się z kochankiem; zgadzała się na pojednanie pod warunkiem, że otrzyma jedną z tych historyj miłosnych, w których wynajdywaniu i opowiadaniu wydał się jej *Panfilo* niedoścignionym, a przy których czytaniu doświadczała wskrósł wszystkich utrapień i rozkoszy miłości. I *Boccaccio* napisał powieść dla ułagodzenia jej gniewu. Druga przyczyna treści. Jest to obrobienie starożytnego podania o *Tezeuszu*. Wtrąca tu wszakŜe autor osobliwsze epizody, wprowadza niewłaściwe dodatki i w sposób nawskroś nieartystyczny zlepia opowieść antyczną z osnową nowoczesną, której źródła dotąd nie odzyskano. Stanowią ją mianowicie walki między dwoma bohaterami: *Palemonem* i *Arcytasem* o piękną *Emilię*, zakończone śmiercią *Arcytasa* i jego uroczystym zrzeczeniem się kochanki na rzecz zwycięscy. Przypomnienie wyobrażeń antycznych, wprowadzenie bogów i bogiń jako potęg czynnych i w akcyi biorących udział, zużytkowanie i naśladowanie znanych miejsc z poetów rzymskich ujawnia się w tym utworze na daleko większą skalę, aniŜeli w dawniejszych pracach *Boccaccia*. *Tezeida* świadczy wprawdzie o brakach w poglądach estetycznych autora, ale zarazem i o znacznym postępie w naukach. Trzecią przyczyną jest stanowisko dzieła w literaturze włoskiej. Oto widzimy w niem nietylko pierwszą obszerniejszą w mowie wiązanej próbę *Boccaccia*, lecz wogóle pierwszy epos włoski i pierwszy utwór, który nadał formę klasyczną stancy ośmiowerszowej (*ottave rime*) i zapewnił jej panowanie w epepei włoskiej.

O wiele większe znaczenie posiadają atoli dwa wreszcie dzieła, które powstały również pod natchnieniem *Fiametty*. Jedno z nich nosi imię samej kochanki, drugie nazwane *Filostrato*. Oba zostają ze

sobą w ścisłym związku. Chociaż różnią się formą i treścią, można je uważać za dwa długie monologi w tragedyi miłosnej i położyć na jednym dziele: „Radość kochanka,” na drugim: „Żale opuszczonój.”

Trudno zrozumieć — rzeknę z *Hettnerem* — czém się to dzieje, że tak świetna perła najczystszej poezyi, jak *Filosttrato Boccaccia*, popadła w zapomnienie. Jest to okrzyk radości szczęśliwego serca, spełnionego miłością najszczęśliwszą. Imię *Filosttrato* jest dziwnym zlepkiem greczyzny i łaciny; znaczy: *miłością rażony*. Treścią poematu jest historia miłości *Troilusa*, księcia trojańskiego, i *Chryzeidy* (*Cressida*), córki kapłana greckiego. Zaczerpnął ją nasz autor z łacińskiego tłumaczenia wielkiego poematu francuskiego *Benoit de St. More*, żyjącego w wieku XII, ten zaś oparł swe opracowanie na podstawie dwu utworów łacińskich o upadku Troi z epoki późnej łaciny. Jeżeli się mówi o treści *Filosttrata*, trzeba się wyrzec wszelkiego porównania z obrobieniem tegoż samego tematu przez *Szekspira*, który mit trojański sparodyował. Związek tu ma poeta angielski z włoskim o tyle, że *Chaucer*, źródło *Szekspira*, wziął za przewodnika, jak dowiedziono, *Boccaccia*. Ale stanowisko obu względem starożytności było zupełnie różne: *Szekspir* czuł się panem i władcą tam, gdzie *Boccaccio* nie mógł zbyć się czei pełnego lęku, przytém *Szekspir* opisuje fakt, że człowiek uczciwy został oszukany przez kobietę przewrotną, raczej przygodnie, mimochodem, jako rzecz uboczną, mając na oku zadanie inne i większe, *Boccaccio* natomiast poczytuje za główne swe zadanie: ze szczęśliwym się cieszyć a z nieszczęśliwym łzawie zawodzić skargi.

Księżę *Troilus* opierał się długo zwycięskim strzałom Amora. W końcu, raniony niemi, rozgorzał miłością ku młodej, pięknej wdowie *Chryzeidzie*, którą ojciec, *Kalchas*, zbiegłszy do Greków, zostawił w Troi. Uczuć swych stłumić nie może i nie posiada dość siły, by się tylko samym zadawalniać widokiem. Ażeby więc celu pożądanego dopiąć, posługuje się *Pandarusem*, swoim przyjacielem, a *Chryzeidy* krewniakiem. Ten, jak u *Szekspira*, tak i tutaj, z upodobania i powołania gra rolę rajfura. Połączenie kochanków nie jest dla *Troila* końcem miłości, lecz źródłem nowej błogości i nowego szczęścia. Niezepsuty młodzieniec jest marzycielem fantastycznym, mimo więc szalu zmysłowości, trwa w swych wyobrazeniach idealnych a porwany pięknnością kochanki, pokłada ufność w jej cnocie i wierności. *Chryzeis* atoli stoi na progu między kobietą uczciwą a ulicznicą. Upodobawszy sobie pięknego syna królewskiego, namowom pośrednika pozorny tylko stawiając opór, w miłości nie znajduje zadowolenia prawdziwie duchowego i, lubo wprost nie obraża wierności, jednak już

w przysięgach miłosnych jest raczej obłudnym echem innych aniżeli wypowiada rzeczywisty nastrój serca własnego.

Szczyście zakochanej pary fatalnie się przerywa; *Kalchas* bowiem pragnie ujrzeć znowu swą córkę, i doprowadza do skutku wydanie jej przy wymianie jeńców. Nieunikniona rozłąka pogrąża kochanków w boleść bezdenną. Wobec utraty występuje pożądanie tęp gwałtowniej, a namiętność kładzie im w usta przekleństwa przeciw rodzicom bluźniercze; nie uznaje ona innych węzłów prócz miłosnych, a w rodzicach i rodzeństwie, o ile ci sprzeciwiają się związkowi, widzi tylko wrogów i to tęp gorszych, im większe roszeżą sobie prawa na mocy pokrewieństwa. Pomimo wszystko, pozostaje *Troilus* cnotliwym i synem posłusznym; nie ośmiela się ani nakłaniać *Chryzeidy* do nieuległości rozkazom ojca, ani tęp uprowadzeniem kochanki odstąpić na zawsze swych krewniaków, gdyż zna nieugięty ich opór. Musi więc rozłączenie nastąpić. Raz jeszcze schodzą się kochankowie, przyrzekają sobie wierność wiekiustą, ślub ten stwierdzają pieśszotami i podarunkami, wreszcie się rozstają, ale przed rozstaniem obiecała *Cressida* swe odwiedzić za dni dziesięć.

Troilus pozostaje sam jeden. *Cressida* nie widując kochanka, chłodnie w swęj miłości, opartej wyłącznie na użyciu zmysłowém; w myśli była już dawno niewierną, czynem stwierdza to teraz, gdy poznała *Dyomeda*, „wielkiego, pięknego, młodego i silnego” bohatera, który z polecenia ojca przywiódł ją do obozu greckiego. *Dyomedes* zastępuje *Cressidzie* *Troila*. Ale *Troilus* nie przeczuwa nawet takiej zmienności. W osamotnieniu swém zawodzi skargi, które cichną niekiedy przy wspomnieniu chwil minionych a tak rozkosznych, ale wnet wzmagają się znowu pod wpływem właśnie tych wspomnień; krzepi go niezachwiana pewność przybycia ukochanej, a gdy i ta nadzieja omyliła, czerpie ukojenie z jej listów, w których zwodnica chce go omamić czczemi uludami. Ufności jego jak skała niewzruszonej nie łamią ani posłuchy, ani poszlaki, dopiero faktami przekonany, uznaje prawdę i musi z owęj wiary zrobić ofiarę. Oto w sprzączce, zdobytej przez *Deifoba* na *Dyomedesie*, poznaje dar, który niegdyś złożył *Cressidzie*. Wypadek ten stanowczo ujawnia zdradę i skłania *Troila* do zemsty nad nieszczęśliwym współzawodnikiem. Nawet i w ostatniej jeszcze chwili obfitego w nieszczęścia żywota jest nieszczęśliwym. Juścić znajduje śmierć upragnioną, ale nie w zaszczytnej walce z przeciwnikiem; ginie bowiem bez chwały z ręki *Achillesa*. Jest więc naprawdę *Filostrato* miłością rażony; męczarnie życia kończy śmiercią udręczeni pełną.

Poematu *Filostrato* nie stworzył *Boccaccio* tylko z upodobania w temacie, ani tęp nie przedstawił w nim osób i wypadków rzeczywistych pod osłoną imion i faktów zmyślonych; boć on tak nie kochał

jak *Troilus* a i *Fiametta* nie zasługuje na oskarżenie o podobną niewierność. Powieść tedy jest marzeniem poety w chwilach rozpaczy, choć tak błogich, usprawiedliwieniem siebie samego, które mógł przedstawić przyjaciołce, gdy ją wątpliwości ogarnęły.

A wątpliwości takie miały zapewne podstawę. *Boccaccio* nie był rozpustnikiem. Rozpustnik opuści kochankę, kiedy mu się uprzykrzy, a zdradę uwieńczy tём, że odepchniętą wyszydzi i publicznej poda pogardzie. *Boccaccio* natomiast wytrwał długo, chociaż owoc zakazanej tajemnej miłości niezawsze nowego dodawał bodźca, chociaż postarzałe rysy serdecznej od lat wielu przyjaciółki nie wabiły z tą samą siłą, co wtedy, gdy je pierwszy raz ujrzał. Wówczas dopiero się cofnął, kiedy przeczuł stygnięcie miłości, ale i wtedy nawet otwarcie napisał kochance, której tyle poświęcił utworów, że dla niej już umarł. W ten bowiem tylko sposób można zrozumieć *Elegię pani Fiametty poświęconą wszystkim niewiastom zakochanym*, utwór prozaiczny małej objętości, rodzaj wyznań z dziennika wyjętych, które poeta kładzie w usta kobiecie opuszczonej, aby tём surowiej się oskarżyć, a może nawet, aby nadmiarem uczuć tu wyrażonych tём pewniej się uniewinnić. W dziełku tём, kreślącém jeno uczucia, nie ma mowy o opowieści; sytuacje zaś, wśród których uczucia powstają, wypadki, którymi zostały wywołane, są mniej więcej następujące:

Panfilo Fiamettę ujrzał, pokochał i opuścił. Podczas tkliwego rozstania przyrzekł jej wrócić po upływie czterech miesięcy, w ciągu których ma nadzieję załatwić polecenia ojca. Dni umówionej rozłąki biegną powoli. Opuszczona tymczasem, w dreszczach wzruszeń potężnych, wyczekuje obiecanego powrotu. Termin upłynął, a zamiast kochanka, przybywa wiadomość, że *Panfilo* zaślubił jakąś Florentynkę. Na wieść o tём, popada nieszczęśliwa w straszną rozpacz; żali się i jęczy, drze jego listy, przeklina pamięć jego, ale uwolnić się odeń nie może, wyszukuje przyczyn jego nieprzybycia, oraz dowodów, że otrzymane wieści są niemożliwe. Ale w skutek takiego pograżenia się w myślach dręczących posępnieje, traci zdrowie i więdnie. Wtedy małżonek, którego dla wiarołomcy zdradziła, nakłania ją do czasowego zamieszkania w Bajach, aby odzyskała pierwotną świeżość przy pomocy rozrywek życia kąpielowego i ożywczego powietrza morskiego. Jednakże niemasz spodziewanego polepszenia; do tęsknoty przybywają udręczenia sumienia a z niemi łączy się jeszcze owo uczucie dokuczliwe, jakie ogarnia nieszczęśliwego na widok szczęśliwców. Z tak wzrastającej męczarni, śmierć tylko wyzwolić ją zdoła; tęskni więc za nią, a gdy nie nadchodzi dość szybko, postanawia sama sobie ją zadać. Ale dokonaniu tak strasznego czynu przeszkadza jej powiernica.

Wadą utworu jest nienaturalność. Polega ona na tём, że autor

przedstawił kobietę nadzwyczaj nieszczęśliwą, śmiertelnie ranioną, zniechęconą do życia, która w takim położeniu zostając, bądź co bądź pisze; bo nie zamierzał przecie wyrazić skargi z późniejszego rozpamiętywania płynącej, lecz chciał wybuchnąć okrzykiem boleści w chwili danej dojmującego bólu. Grzeszą także nienaturalnością długie deklamacye, uczone dygresye i alluzye, niemożliwe wśród cierpień rzeczywistych. Ale to pomijając, co za prawdziwość i tkliwość uczucia, co za potęgą piękna! Rzadko kto wysłowić zdoła rozpaczliwą boleść opuszczoną z taką prawdą a zarazem z taką wzruszającą rezygnacją. Książkę tę można słusznie dla głębi uczucia nazwać poprzedniczką *Werthera*, a z przyczyny skreślenia w niej stanu duszy ogólnie ludzkiego, mimo, że jest zaznaczoną dana epoka, można uznać za dzieło mające wartość wiekuistą.

„Musisz poprzestać na tém — mówi *Fiametta* do książki, w świat ją puszczając — że zjawiasz się podobna epoce mojej, która, będąc naj-nieszczęśliwszą, przystroila cię nędzą, w jaką i mnie pograżyła. Pójdiesz w świat wędrować, dokąd cię posyłam, skalana, z włosiem rozwianym i bladością trupią, abyś mojem nieszczęściem rozniecała współczucie święte w duszach tych, którzy cię czytać będą; a gdyby uczucie takie wyraziło się na jakiémś obliczu pięknem, o, pośpieszaj wówczas raźnie, abyś je uczciła tak godnie, jak tylko potrafisz, albowiem mnie i ciebie nie poniżył jeszcze los do tego stopnia, iżbyśmy nie umiały ocenić tego, co jest najwspanialszém. Nam zaś pozostaje jedno, to, czego nieszczęśliwy utracić nie może, mianowicie: pomyśleć szczęśliwszych, aby ze swém szczęściem obchodzili się ostrożnie, aby unikali losu podobnego naszemu.”

Romans *Fiametta*, lub jakiémkolwiek kto zechce imieniem ochrzcić ten utwór osobliwszy, nie opiera się całkowicie na prawdzie historycznej. Pewnym jest wszelako, że *Boccaccio* po piętnastoletnim pobycie Neapol porzucił (1341) i na życzenie ojca przeniósł się do Florencyi. Pobyt wszakże w Neapolu miał znaczenie stanowcze nie tylko ze względu na rozwój uczucia poety, ale i ze względu na wykształcenie umysłowe. Chociaż bowiem wbrew żądaniom ojca, mało się przykładał do studyów prawnych, jednak pracował poważnie nad językiem łacińskim i literaturą rzymską, złożył nawet dowody wiedzy w pismach poetycznych tego okresu — co prawda, często w miejscach niewłaściwych.

Studia klasyczne prowadził *Boccaccio* dalej nie w ten wprawdzie sposób, jakby może sobie życzył — bez przerwy, spokojnie, wypełniając czas cały nauką, ale bądź co bądź tak, że odtąd stały się one głównym przedmiotem jego zamiłowania. Raz jeszcze zawitał do Neapolu i w ciągu tego pobytu (1345—1348) wykończył może niektóre z dzieł wyżej przytoczonych, może nie wyrzekł się i miłości,

która opromieniała dotychczasowy żywot jego. Lata następne poświęcał przeważnie państwu, przyjaźni i nauce.

Z polecenia rzeczypospolitój florenckiej, *Boccaccio* kilkakroć posłował, załatwiając częścią sprawy literackie, częścią polityczne. Jeździł tedy do Niemiec, Tyrolu, gdzie bawił u *Ludwika*, margrabiego brandeburskiego, starszego syna cesarza *Ludwika*, do różnych okolic Włoch, do Francji, do Awinionu, rezydencyi papieskiej. Poselstwa: (mianowicie podwójna misya 1354 i 1365 do papieża) były uwieńczone rezultatem pomyślnym. Ambasador wywiązał się ku zadowoleniu mocodawczyni, chociaż często nie pochwalał zapatrywań i działań miasta ojczystego, a w skutek tej niezgodności, podejmował zlecenia bardzo niechętnie. Jeżeli zaś, mimo wszystko, obarczał się brzemieniem nieprzyjemnym, robił to jedynie dlatego, że niezbyt wielu znajdowało się we Florencji biegłych w piśmie i języku łacińskim, jeżeli znowu, mimo iż sztychował z mnichów i gardził nimi, jeździł do papieża, mógł odważyć się na coś podobnego z tej zasady, że wycieczki przeciw duchowieństwu żyły u niego jak i u innych humanistów ówczesnych w zupełnej harmonii z pobożnością kościelną i osobistą uległością papieżowi.

Politykiem *Boccaccio* nie był. Posiadał pewne idee o wierności i stałości, przywiązany był do urzędzeń republikańskich swój ojczyzny, marzył o zjednoczonej Italii, żywił nadzieje, jak je starożytność przekazała, co do wspaniałości cesarstwa i odnowienia potęgi starorzymskiej. Poglądami temi nie przejmował się jednak zbyt silnie. Czerpał w nich co najwyżej podniecie do szumnych deklamacyj, ale nie do działalności samoistnej. Mimochodem tylko, zdając sprawę z faktów, wynurza swe uznanie dla kogoś lub zdradza antypatykę; występuje głośno jako stanowczy zwolennik rodziny *Anjou*, pod której rządami żył w Neapolu, a jako wróg zawzięty *Staufów*, zwalczanych przez dom andegaweński; *Manfreda*, wysławianego przez *Danta*, nazywa „bezecnym“ ciemiężcą kościoła. *Henryk VII*, od którego *Dante* wyczekiwał odrodzenia władzy cesarskiej, jest dla *Boccaccia* „rozbojnikiem, co wyruszył z dzikimi brysiami dla pustoszenia krajów cudzych;“ a *Karol IV*, za którym, niby za zbawcą Italii, tęsknił *Petrarka* i nazwał go pożądanym, otrzymuje od *Boccaccia* takie wezwanie: „Wracaj co temu do swych lasów reńskich i bogdajbyś tam znalazł grób dla swych tytułów czczych i dla swego cielska wstrętnego!“

Z pomiędzy poselstw, odbył też jedno do Padwy (1351 r.) w tym celu, aby zaprosić *Petrarkę* do Florencji i nakłonić do przyjęcia katedry w uniwersytecie tamtejszym. Podróż okazała się bezowocną, ale wydała rezultat o wiele donioślejszy, gdyż przyczyniła się do ugruntowania przyjaźni między obu wielkimi pisarzami włoskimi,

a przyjaźń ich może stanąć godnie obok przyjaźni, jaka łączyła Goethego z Schillerem.

Prawdopodobnie *Boccaccio* ujrzał po raz pierwszy starszego o lat 9 przyjaciela 1341 r. w Neapolu; wkrótce wszedł z nim zapewne w stosunki literackie, ale zapoznał się z nim bliżej dopiero 1350 r., kiedy *Petrarka* w podróży do Rzymu odwiedził ojczyste miasto, Florencję. Od tej chwili zawiązała się między nimi żywa korespondencya w języku łacińskim; z listów *Petrarki* zachowało się 20, z *Boccacciuszowych* 4 jeno. W korespondencyi tej ukazuje się *Petrarka* w roli „dającego,” *Boccaccio* — „przyjmującego;” *Petrarka* tu i pod względem zewnętrznych warunków życia występuje jako zajmujący w świecie stanowisko wyższe, przyjaciela do siebie zaprasza, ugaszcza, obdarowywa, *Boccaccio* mniej faworyzowany, „wróg losu” (tak sam siebie nazywa), jest biedakiem, który się cieszy swém ubóstwem. *Boccaccio* w szlachetnej skromności spogląda bez zawiesi na druha, okazuje gotowość do usług mozolnych, dostarcza mu odpisów dzieł rzadkich (a cóż wówczas nie było rzadkością), w każdym dziele przytacza mistrza dla poparcia swych twierdzeń i mianuje go podniętą swych studyów. Uwielbienie swe posuwa tak daleko, że nazywa go „arką prawdy, wzorem świętości, chwałą poetów, mową pełnym słodyczy, który wszystkich ludzi przewyższa rozumem i wiedzą;” wyrzekł, że spodziewa się sławy pośmiertnej od listów *Petrarki* do siebie pisanych. Zachęcał *Petrarkę*, aby wydał swe dzieła, pisywał do ogłoszonych już wiersze zalecające i sprawiał mu radość nie tylko takimi uprzejmościami w literackich stosunkach, ale i grzecznościami osobistemi, za które *Petrarka* wielką okazywał wdzięczność. Między niewielu listami *Boccaccia* jest jeden z Wenecyi, w którym opisuje gospodarstwo domowe córki przyjaciela i kreśli wdzięczny obraz małej wnuczki jego.

Takie dowody czci najserdeczniejszej musiał *Petrarka* przyjmować z wdzięcznością, gdyby nawet pochodziły od człowieka z mniejszym znaczeniem, tém bardziej więc, jeżeli je otrzymywał od przyjaciela, którego zasługi cenił wysoko. Nie ociążał się też nigdy z wyrażeniem swego uznania; skreślił owszem druhowi obraz swego domowego cichego życia, poświęconego wiedzy, posyłał mu swe poezye z dołączeniem objaśnień, z prośbą o poprawki i krytykę bezstronną; nazywał przyjaciela mimo skromnej jego wymówki, poetą, dowodził jemu, nieuwieńczonemu, że nie wieniec wawrzynowy stanowi poetę, że mury nie zamilkłyby, gdyby nawet wszystek laur znikł z oblicza ziemi; nastawał nań, aby współ z nim mieszkał, aby obaj, zapominając o reszcie świata, poświęcili żywot naukom tylko i przyjaźni.

Bez względu na te pochwały wzajemne, wypowiadali obaj z otwartą prawdomównością i nagany, jeżeli zdarzyła się potemu okazy. Więc *Petrarka* czyni *Boccacciowi* wyrzuty z przyczyny życia

zbyt lekkiego; temu przypisuje choroby, które *Boccaccia* trapiły w latach późniejszych; *Boccaccio* zaś w pewnym liście, gdzie wszakże mówiąc o różnych miastach i osobach, używa nazwisk zmyślonych, twierdzi, że od *Petrarki* (*Silvanusa*) „powodowanego jedynie chciwością,“ nie spodziewał się „takiego braku charakteru i takiego zaparcia się zasad swoich,“ zachęcał go, aby unikał służby u *Viscontich* i wogóle u każdego z tyranów, aby zadokumentował republikańskie przekonania trzymaniem się zdala od dworów książęcych. Co się tyczy ostatniego punktu, nie mogło nastąpić porozumienie między obu mężami. *Boccaccio* bowiem wszelką służbę poczytywał za stratę czasu i wolności, gdy tymczasem *Petrarka*, wedle swego zdania, czuł się o tyle na siłach, że godził służbę u panów z niezależnością literacką.

Otwarta nagana małych ułomności jest wielką przysługą przyjaźni; o wiele większą przecież jest uchronienie od niebezpieczeństw, które mogłyby zgotować upadek fizyczny lub duchowy. A *Boccaccio* podobnego rodzaju ocalenie zawdzięcza właśnie przyjacielowi. Był albowiem człowiekiem słabym i łatwo ulegał wpływowi obcym; tę ujemną stronę charakteru okazał mianowicie wśród okoliczności następujących:

Oto 1361 r. przybył doń mnich, *Joachim Ciani*, i w imieniu zmarłego towarzysza klasztornego, *Piotra Petroniego* oznajmił, że objawił mu się Chrystus i polecił zarazem, aby zawiadomił *Boccaccia* i wielu innych, między nimi *Petrarkę*, jakoby pozostawało im tylko kilka lat życia jeszcze; że prócz tego nakazał Chrystus, aby na ten czas krótki zmienili sposób życia i aby zatrudnienia naukowe zastąpili rozmyślaniami i ćwiczeniami pobożnymi. Dla nadania swym ostrzeżeniom bardziej przekonującej siły, odsłonił mnich *Boccacciowi* nader ważne a najskrytsze jego tajemnice. Poeta tak dalece się przeraził, że się zachwiał i przestrogom dał posłuch; zatrwożony przesłał pośpiesznie *Petrarce* obszerną relację o poselstwie zakonnika. Na list ten odpowiedział *Petrarka* d. 28 maja 1362.

Nie zaprzecza w prawdzie, że umierający mogą posiadać zdolność przepowiadania przyszłości, ale twierdzi, że w zawiadomieniu mnicha nie zawiera się nic przerażającego; życie bowiem człowieka jest krótkie, więc mędrzec urządza je tak, iż zawsze na śmierć jest przygotowany. Jeżeli tedy człowiek rozumny po dojrzałszej rozwadze nakreślił sobie tory umysłowe, powinien być przenikniony przekonaniem, że droga jego jest dobra i nie powinien się dać obłąkać ostrzeżeniom przypadkowym. „Dlaczego?—ciągnie dalej *Petrarka*,—mielibyśmy unikać poetów i pisarzy pogańskich, którzy o Chrystusie nie nie wiedzą, jeżeli czytamy bez skrupułu dzieła kacerzów, którzy Chrystusa się wyparli? Wierzaj mi, niejednen chciałby swe tchórzostwo i gnuśność wydawać za mądrą opatrność, powagę w traktowa-

niu rzeczy. Ludzie pogardzają często tém, czego osiągnąć nie zdolają; nieucy właśnie mają zwyczaj potępiać to, co jest im obce, i radziby nie dopuścili nikogo do państwa, sobie zakazanego. Ale my, co naukę posiadamy, wyrzekać się jęj nie powinniśmy, chociażby ktoś usiłował odstręczyć nas od nięj przestrogami cnotliwemi i grozbami śmierci; boć przecież nauka rozbudza w duszy wrażliwej zamiłowanie cnoty a niweczy lub przynajmniej osłabia bojaźń śmierci. Nauka przeto nie sprowadza swych zwolenników z drogi doskonałości się, lecz na tę drogę ich wiedzie i ścieżki im wygładza.“ Wykazawszy następnie, że wielcy mężowie starożytności poświęcali się studyum aż do lat sędziwych, tak kończy *Petrarka* swe uwagi: „Wiem ci ja, że niektórzy dostąpili świętobliwości bez wykształcenia, ale wiem i to, że z przyczyny wykształcenia nikt nie zosał od nięj wykluczony. Jużćie apostoł Paweł oddawał pochwały nieuctwu, lekceważącemu naukę, ale każdy wie, co znaczą te pochwały. Jeżeli otwarcie mam ci wyznać swe zdanie, rzeknę: droga do cnoty przez nieuctwo jest gładka, lecz pogardy godna. Wszyscy dobrzy mają cel *jeden*, tylko drogi różne; i jedną drogą idący bardzo się różnią od siebie. Jeden bieży szybko, drugi idzie powoli, jeden jest wszystkim na oczach, drugi przed wzrokiem ukryty; tu jeden dźwiga głowę wysoko, tam drugi pokornie zgięty. Droga może wszystkich doprowadzić do celu upragnionego; najzaszczytniejszą jednak jest wolna, na wysokości leżąca, ale pnąca się w górę. Toż samo i z nauką. Daleko cenniejszą od prostactwa nawet najświętobliwszego jest nauka, która przebojem przedarła się do wiary; żaden z głupców, co weszli do królestwa niebieskiego, nie stoi tak wysoko, jak uczony, co zbawienia dostąpił.“ List ten wywarł skutek pożądany; oswobodził *Boccaccia* od trwogi i powrócił go nauce. Jeżeli zaś tak pokierowany i nawrócony w 12 lat później, oplakując śmierć mistrza, wyznał, że znajduje się jak okręt bez steru falami miotany, jak statek bez rudla wichrami gnany, to wygłosił zapewne temi słowy coś więcej niż frazes tylko.

Kilkoma laty wcześniej (1359) starał się i *Boccaccio* oczyścić przyjaciela od skazy, jak mniemał, płamiącej go. Wiedział on mianowicie, że *Petrarka* rzadko wspominał imię *Dante*go i o poezjach jego nigdy nie mówił. Sądząc, że nieznanomość albo zawiść są przyczynami milczenia, posłał mu odpis Boskiej Komedyi z własnym wierszem łacińskim, przepelnionym pochwałami dla wspaniałego poematu i wyrażającym w końcu życzenie, aby *Petrarka* go przeczytał.

Żądaniu temu *Petrarka* uczynił zadość. W liście zapewniającym, że dopiéro teraz po raz pierwszy czytał utwór *Dante*go (a nie masz żadnego powodu, aby wynurzeniu temu nie wierzyć), przytacza jako przyczynę dotychczasowego pozornego lekceważenia obawę, iżby,

mając ciągle przed oczyma pisma *Dante*go, nie stał się jego naśladowcą. „Teraz zaś“ — mówi dalej w liście wysoce charakterystycznym — kiedy obawa ta znikła, dzieła *Dante*go przeczytałem i wyznaję chętnie, że jemu przypada bezsprzecznie najpierwsze miejsce między mistrzami języka włoskiego.“ Druhowi swemu wyznacza miejsce drugie a sobie trzecie. „Gdyby *Dante* żył dłużej — kończy *Petrarka* — byłbym niezawodnie najlepszym jego przyjacielem i napewno oceniłbym go lepiej, aniżeli tłum bezrozumny. Ponieważ obcowanie osobiste jest niemożliwe, głosząc ohocho sławę *Dante*go i żałując, że pisał poezye tylko w języku włoskim; przez to bowiem usunął się od wybranego koła wykształconych, a imię i sławę swą wydał na ofiarę ludowi, którego pochwały, aczkolwiek byłyby gorące, nie są tęp uznaniem, jakie się należy Wielkiemu.“

Ale i w czasach późniejszych nie był *Petrarka* fanatycznym wielbicielem *Dante*go. Przeciwiństwo obu natur, w liście powyższym raczej zaznaczone niż wypowiedziane, było za duże, a możność przewyciężenia się ze strony *Petrarki* za mała, iżby brak uznania, dziesięć lat trwający, mógł się przeistoczyć w entuzjazm; gdyby jednak kto zechciał przeciwiństwo takie, jak zresztą często próbowano, objaśniać zawiścią jeno, zastosowałyby do wielkich osobistości dziejowych nader lichą miarę. Z tęp wszystkiem odzywał się później *Petrarka* o *Dantem* wielokrotnie z czcią należną. Chociaż zaś Boskiej Komedyi własną ręką nie przepisał i *Czyśca* nie komentował, co mu niekiedy przypisywano; chociaż wbrew błędnym, jak się niebawem przekonano, przypuszczeniom czasów ostatnich poematu pochwalnego dla *Danta* nie napisał, (autorem jego był *Benvenuto da Imola*); to jednak przywiedzionym powyżej nagrobkiem (ob. str. 22) zdobył sobie miejsce zaszczytne pomiędzy czcicielami boskiego piewcy.

Na tak przygodnej wzmiance o *Dantem* nie poprzestał *Boccaccio*. Uważał on owszem za główne zadanie życia objaśnić *Dante*go a jego pamięć utrwalić w świadomości współczesnych. Spełniając w tym celu swe postanowienie, napisał w młodości poetyczny wykaz treści Boskiej Komedyi, w wieku męskim (1354—1355) wypracował biografię *Dante*go, a pod koniec żywota (1373) rozpoczął komentarz do wielkiego jego dzieła.

Wykaz treści nie ma szczególnej wartości; krótkie rozdziały, z których każdy zaczyna się od tego samego wiersza, co i pieśń odnośna poematu *Dante*go, świadczą chyba tylko o szczęśliwem naśladowaniu wierszy słynnego wieszca.

Biografia natomiast jest dużej doniosłości; możnaby ją nazwać pierwszym żywotopisem w duchu nowoczesnym. Nie rozwija się ona, co prawda, we właściwym porządku, oddziela życie od prac, wprowadza do opowieści osobliwego rodzaju refleksyę, niezupełnie jest

wolna od kwiatków oratorskich, ale jędrnością języka ojczystego odzwierciedla umysł dzielny a niewymuszoną naturalnością prześciga większość biografij wieku następnego, pisanych wedle prawideł sztuki. Aczkolwiek przesadnie brzmi odezwanie się *Boccaccia*, że „Dante stałby się bogiem na ziemi,“ gdyby był żył bez trosk i kłopotów, jest bądź co bądź wyrazem prawdziwego przekonania. Wrogowie *Dante*go są i *Boccaccia* wrogami; Florentczycy więc, którzy *Dante*go wypędzili, musieli teraz nasłuchiwać się wymownych nagan za niewdzięczność swoją. Pragnienia *Dante*go są pragnieniami *Boccaccia*; ich przedmiotem — tryumf poezyi; z żywością broniąc poezyi, uwalnia ją od zarzutu, że jest kłamliwą i zgubną i stawia ją na równi z teologią.

Na komentarz wreszcie składa się 60 odczytów, które *Boccaccio* miewał we Florencyi, będąc powołany przez ziomków do objaśnienia utworów *Dante*go. Roztrząsał w nim jeno 16 pierwszych pieśni *Piekle*. Praca ta między niezliczonymi podobnego rodzaju dziełami zajmuje miejsce poczesne nie tylko dla swęj dawności. „Wielką jęj zaletę — mówi *Hegel* — stanowi zmysł prawdziwie poetycki, który ocenia sprawiedliwie całą poetyczną wartość utworu i doskonale umie rzucić na nie właściwe światło.“ Dziś jeszcze uchodzi ona za najcenniejsze dzieło prozy włoskiej. Imponuje niepospolitą, jak na owe czasy, uczonością, która rzadko przecięz narzuca się nieskromnie; poucza bogactwem wiadomości o współczesnikach; sprawia wrażenie przyjemne łagodnością sądu, nie tą bynajmniej, co osłania zło i bezprawie (*Boccaccio* owszem gani obżarstwo, opilstwo i zawiść, chciwość i inne występki epoki), ale tą, co każe autorowi nazwać przy okazji „ludźmi wysokiego rozumu i przedziwnej bystrości“ tych samych Florentczyków, którym na innych miejscach nie szczędzi ostręj przygany; zdumiewa poglądami politycznymi, w których mimo ukochania Italii przyznaje *Boccaccio* innym krajom takie samo prawie stanowisko jak i własnej ojczyźnie. Wywołuje wprawdzie osobliwsze wrażenie, podnosząc znaczenie i doniosłość astrologii w niemądrem twierdzeniu: „filozofowie i astrologowie nauczają, że gwiazdy płodzą i żywią istoty ziemskie, co więcęj, kierują nawet niemi, jeżeli nie sprzeciwia się temu rozum łaską Boga oświecony.“ Łagodzi jednak powstałe stąd uczucie przykre szczerą czią dla poety oraz śmiałą obroną poezyi, przyczęm odrzuca nawet lub przynajmniej ogranicza zdanie św. Hieronima, że „twory poetów są karmią demonów.“

Najulubiejszym albowiem przedmiotem zajęć *Boccaccia* była własnie poezya, a słowem tęm nazywa on zwykle, jak wogóle i jego współczęsi, studia klasyczne. We wczesnej już młodości przyswoił sobie język łaciński i posługiwał się nim w listach, poezyach i pracach naukowych; pragnął nadto zrobić krok dalej, wyuczyć się języka greckiego. W tym względzie skorzystał z pomocy Greka *Leon*-

cusza Pilatusa, którego poznał prawdopodobnie w podróży 1360 r., zabral ze sobą do Florencyi, długo trzymał gościem w swym domu mimo wielu ofiar i nieprzyjemności. Od nauczyciela otrzymał tłómaczenie Iliady i Odysei oraz zawdzięczał mu, mistrzowi zresztą powierchownemu, na którym nie bardzo można było polegać i niegodnemu zaufania, niemalże wiadomości z archeologii i mitologii; nauki te, za ledwie je zdobywszy, rozpowszechniał następnie w dużych ksiązkach, wśród żadnych wiedzy czytelników.

Z prac tego rodzaju najobszerniejszém (okazały foliant) i najważniejszém jest dzieło *De genealogia deorum* (*gentilium* dodają rękopisy i autorowie współcześni), ukończone zapewne 1359 r. i poświęcone *Hugonowi IV*, królowi Cypru, ale nie pretendentowi tegoż imienia. Król (1324—1361) zostawał już w stosunkach handlowych z ojcem *Boccaccia*, był zaprzyjaźniony z najwybitniejszymi uczonymi włoskimi i, pragnąc z bogactw swą wiedzę, polecił naszemu pisarzowi złożyć owoc swych poszukiwań w osobnym dziele. Rozpada się ono na ksiąg 15. Z wyjątkiem dwu ostatnich, opowiedziane są w nich sprawy wojenne i miłosne przygody bogów, zestawione wedle rodów i familij. Widzimy tu nadto usiłowanie wyjaśnienia mitów starożytnych częścią w sposób fizyczno-astronomiczny, częścią allegoryczny. Ponieważ Grecy i Rzymianie stworzyli ścisły związek między bogami i ludźmi, musiało więc dzieło, przedstawiające genealogię bogów naprzód i wstecz, uwzględnić również pierwotne dzieje wszechświata oraz najdawniejsze czasy bohaterskie rodu ludzkiego, a tym sposobem musiało przeistoczyć się w podręcznik o podaniach heroicznych i w źródłową pracę o archeologii.

Wykład oparł *Boccaccio* na podstawie rozległego użytkowania pisarzy starożytności, co też zaznacza z pewną dumą, zwracając się do swych przeciwników: „Jeżeli niedowierzający mi twierdzą, że nieznanymi im są autorowie, przeze mnie cytowani, to jest wina jedynie ich nieuctwa.“ Równocześnie jednak przemawia nieśmiało i skromnie; jeżeli bowiem nie zgadza się z którymś z autorów starożytnych, dodaje zaraz, że mimo tój sprzeczności, powaga ich zostaje nienaruszoną, albo też—gdzieindziej—otwarcie się przyznaje do braku wiadomości dostatecznych. Oprócz pisarzy klasycznych, przytacza także i zarazem chwali *Petrarkę*, jako „chrześcijanina przed wszystkimi, udarowanego duchem świętym, pamięcią niezawodną i wymową przedziwną, tego, którego pisma nie stoją niżej od cyceronowskich.“

Całe dzieło napisane zresztą ociężale, a częstokroć i niejasno, owiewa powaga tak podniosła, że nie można się nawet uśmiechnąć wobec dziwactw historycznych i przesądnych wyobrażeń. Bo oto np. Francuzów wywodzi od Trojan, w czém przytakuje im samym, tymczasem odpięra podobnego rodzaju uroszczenia Anglików, „którzy

pragną przez to uszlachetnić swą barbarzyńskość;“ objaśnia w igraszce etymologicznej, że *Pandora* jest złożeniem dwu słów: *Pan*—wszystko i *doris*—gorycz (ale nie zgadza się na pochodzenie wyrazu *Centauri* od *Centum aurae*, gdyż, jak mówi, nie wolno wyprowadzać słowa greckiego z łacińskiego); opowiada też, że znaleziono niedawno zwłoki olbrzyma 200 łokci długiego. Jeżeli jednak na tém oraz na innych miejscach podobne wygłasza rzeczy, to złożył tylko daninę nieuctwu swój epoki. Mniej sprawiedliwem byłoby jeszcze robić książce zarzuty z przyczyny niektórych omyłek, przeciwnie, dzieło to trzeba traktować z całym pietyzmem, „z niego albowiem — jak słusznie mówi *Landau*—wszystka niemal Europa uczyła się w ciągu stu-leci mitologii i symboliki narodów starożytnych.“

Podawszy roztrząsania historyczne w pierwszych trzynastu księgach, zamieścił w dwu ostatnich dodatki charakteru ogólniejszego, a mianowicie programową niejako obronę poezyi i dzieła samego. Stara się *Boccaccio* odeprzeć w nią wszelkie zarzuty, jakie stawiała studjom starożytnym teologia chrześcijańska, i zbija mniemanie, jakoby uprawa ich miała podkopywać uczucia pobożności. Nie jest to zbyt głębokie, po części zaczerpnięte z wywodów *Petrarki*, ale uczciwe, szczere wyznanie męża niepospolitego, który widzi, że skarb z takim mozołem zdobyty, skarb, co mu aż dotąd życie umiłał, jest zagrożony, wyteęza więc wszystkie siły ku jego ocaleniu. Obrona ta, jakiej w podobnych rozmiarach nikt przedtém nie podjął, posuwa niejako sprawę o krok dalej w porównaniu z poprzednimi odprawami danemi napaściom średniowiecznym. Chce mianowicie *Boccaccio* wyosobnić *poezyę* z ogólnych ram filozofii moralnej i uczynić z niej sztukę samodzielną. Jeżeli w walce posuwa się może zadaleko, to nie można go winić, gdyż był zaczepiany, a w obronie żarliwy. Jeżeli wyszłszy z jurystów, to w przyganach podziela jeno zapatrywania swych przyjaciół humanistycznych. Pracownicy mogli poprzestać na obronie przeciw niemu swojej łaciny, „barbarzyńską“ nazwanej, on zaś wobec wycieczek teologów musiał dowodzić swój prawowierności. Gdzie tylko więc może, uwydatnia swe uczucia pobożne; tutaj i w pismach innych parafrazuje Credo katolickie; na początku dziewiątej księgi pomieszcza odezwę do wiernych, że należy oswobodzić ziemię świętą — odezwę, której nie powstydziliby się pewnie jaki Piotr pustelnik.

Za dziełem *De genealogia deorum* mieści się w wielu wydaniach (*Hortis* zna. 10 łacińskich i 11 włoskich) książka mniejszej objętości: *O górach, lasach, źródłach, jeziorach, rzekach, bagnach i nazwiskach morza*. Jest to słownik geograficzny w każdej części zosobna ułożony alfabetycznie, mający użyć do objaśniania pisarzy starożytnych. Trzymał się więc ich ściśle — nawet wbrew poglądom własnym i to zasa-

dniczym. *Attilio Hortis*, uczony znawca *Boccaccia*, z wielkim trudem zestawił wszystko, co zapożyczzone u autorów, i wykazał różne omyłki, które pochodzą w części z niedostatecznego zrozumienia, w części stąd, że autor korzystał z rękopisów niepoprawnych. Ponieważ między pisarzami, z których *Boccaccio* sporo zapożyzył, znajduje się także *Vibiusz Sequester*, żyjący w IV (lub VII?) wieku, autor dziełka pod napisem podobnie brzmiącym, przeto nie zbywało na takich, co niesprawiedliwie piętnowali *Boccaccia* mianem plagiatora. Tymczasem mozolna praca naszego autora opiera się, że innych zamilezę, również dobrze na utworach *Pliniusza* i *Pomponiusza Meli* (którego krótki zarys opisu świata *De situ orbis*, uchodził nawet czas jakiś za podrobienie *Boccaccia*). Co zaś dzisiaj nazywają plagiatem i potępiają, poczytywano może wówczas za odkrycie wiadomości niby zaginionych. Zresztą posiłkuje się nie tylko starożytnymi ale i współczesnymi, mianowicie: *Andalon'em di Negro*, któremu w astronomii taką przyznawał powagę jak *Cyceronowi* w wymowie a *Wergiliuszowi* w poezyi, oraz „geometrą” *Pawłem de' Dagomari*, którego już przytoczył i w wielkiem dziele powyżej wymienionem. Przy takim braku samodzielności nie dziwota, że *Boccaccio* powtarza stare bajki lub dodaje niedorzeczności nowe. Często jednak zdumiewa obok tego zdrowe zdanie, a piękne opisy, np. kąpieli w Bajach, odgrywających pewną rolę w roztrząsanych wyżej utworach poetycznych, ulubionej przez *Petrarkę* *Vaucluse* z rzeczą *Sorgue*, oraz dosadne uwagi natury politycznej, np. przeciw okrucieństwu *Wenecyan*, wynagradzają wiele miejsc oschłych lub przytocyń fałszywych.

Do starożytności także odnoszą się nakoniec mimo ogólniejszego i wiele obiecującego tytułu dwa dzieła historyczne, napisane po 1360 r.; zdradzają one pracę mozolną, ale znamionują zarazem bardzo mierną sztukę dziejopisarską.

Jedno z nich pod napisem: *De claris mulieribus* (O niewiastach słynnych) zaczyna od *Ewy*, przedstawia 97 kobiet starożytnych i 7 średniowiecznych, zaczynając od „papieżycy” *Joanny* a kończąc na *Joannie, królowej neapolitańskiej*. Monarchini ta, nie bez znaczenia i w życiu *Boccaccia*, żyła jeszcze wówczas i mimo wszystko, o co ją pomawiać można było, cieszyła się życzliwą opinią u współczesnych. Cóż więc dziwnego, że niepomiarkowanemi pochwałami obsypuje królowę i *Boccaccio*, który dzieło to napisał albo w Neapolu, albo przynajmniej wiedział, iż znajdzie rozpowszechnienie w mieście tak dlań drogiem. Zamyślał nawet dziełko swe poświęcić *Joannie*, promieniejącemu blaskowi Italii, osobliwszej chlubie nie tylko królów, ale i niewiast, wstawionej zarówno cnotami przodków, jak i wawrzynami własnymi, ale się lękał, że „księżniczka jego nie zniesie tego blasku.” Szkodę stąd poniesioną nagrodził sobie w ten sposób, że

w biografii wychwała ją jako królowę najznamiętnszą; ród jej wywodzi aż od Dardanusa syna Zeuszowego, a przezeń więc i od bogów. Odwagą jeno i rozumem, podług *Boccaccia*, rządzi ona wielkiem państwem, przywraca mu bezpieczeństwo i wolność, dzielnością swą jest postrachem złych a pięknoscią i majestatem rozkoszą dobrych. Zresztą — w tém dziele nie jest *Boccaccio* wcale gorącym chwałą płci niewieściej, ale ostrym sędzią jej wad; nie opowiadaczem ślizkim, lecz surowym moralistą. Zrzadka wplata powieści godne nawet Dekameronu, jak np. o *Paulinie*, która sobie roi, że jest kochana przez Anubisa, a w skutek tego uszczęśliwia kochanka, oddawna schnącego z miłości; zrzadka wprowadza opowiadania, które czarem wystownia wielką sprawiają przyjemność, jak np. smutna historia *Tisby*; w większej części powtarza szeroko i niezgrabnie wszystko, co znajduje w biblii lub w źródłach rzymskich. Raz tylko, w ustępie bardzo charakterystycznym, odważył się im sprzeciwić. W biografii Dydony mianowicie wbrew Wergiliuszowi, a w inném miejscu nie uznając otwarcie nawet powagi *Dantego*, twierdzi, że Dydona po śmierci męża została czystą, i że Eneaszowi się nie oddała; być jednak może, iż przykład *Petrarki* ośmielił go do takiego sprzeciwienia.

Mniej jeszcze uwzględnia dzieje spółczesne w drugiej pracy historycznej pod napisem: *De casibus virorum illustrium* (o losach sławnych mężów). Opowiada tu *Boccaccio* o trzech jeno współczesnikach: *Jakóbie de Molay*, wielkim mistrzu zakonu Templaryuszów, którego spaleni (w Paryżu 1314) był obecnym ojciec autora; o *Walterze de Brienne*, „księciu Aten,⁴ którego rządu terorystyczne (we Florencyi 1342 i 1343) przeżył *Boccaccio*, i o *Filipinie z Katanii*, o której intrygach i współudziale w zamordowaniu *Andrzeja węgierskiego* (ob. wyżej str. 51) *Boccaccio* zebrał wiadomości podczas pobytu swego w Neapolu, lecz wiedział zapewne więcej, aniżeli to, co uważał za właściwe opublikować; na koniec jej życia nie patrzył oczyma własnymi, ale dostarczyli mu szczegółów przyjaciele: *Marino Bulgaro* i *Konstantyn della Rocca*. *Filipina* jest jedną z niewielu kobiet i jedyną plebejuszka, która znalazła miejsce w książce; wyprowadza bowiem autor samych tylko książąt i wielkich panów, aby służyli za dowód, że i możni tego świata popadają w nędzę, jeżeli schodzą z drogi cnoty a oddają się występkom. Już ta tendencya pokazuje jasno, że *Boccaccio* nie jest ani panegirystą czasów ubiegłych, ani pochlebcą książąt. Wyzionał on tu raczej, częścią w odosobnionych wykrzykach, częścią w długich demaklacyach, całą gorycz starego republikańskiego, ucznia starożytności, wrogięj władcom-tyranom. Naczytał się przecie w ulubionych pisarzach pochwał dla zbawców ojczyzny a usprawiedliwień dla mordu tyranów. Wierny więc téj nauce, wy-

bucha słynnem zdaniem: *Cum nulla fere Deo sit acceptior hostia tyranni sanguine*, „że żadna chyba ofiara nie jest przyjemniejsza Bogu nad śmierć tyrana.” Oprócz monarchów świeckich, gromi papieżów, nie oszczędza też „grzesznego, niesprawiedliwego” pospólstwa, lży juryistów i potępia kobiety, o których taki wydaje wyrok: „trzeba unikać wszystkich, ponieważ mało między niemi dobrych.” Cnota jest pierwszym i ostatniem jego słowem; zalecaniom jej tyle poświęca miejsca, że wypowiada zaledwie słów kilka dla uczczenia swych bogów: *Dante*go i *Petrarki* oraz dla zbicia zarzutu, że poeci są kłamcami.

Po pisarzu, który tak gruntownie zajmował się autorami starożytności, można spodziewać się, że w taki czy inny sposób postarał się okazać im wdzięczność należną. I rzeczywiście posiadamy dwa tego rodzaju dzieła, przypisywane *Boccacciowi*, ale wątpliwą jest rzeczą, azali był ich autorem. Jednem jest krótka biografia *Liwiusza*. Wartość jej mierna, a całe znaczenie polega na tém, że będąc jedną z pierwszych na tém polu prac humanistycznych, zwróciła na siebie uwagę i podnieciła do naśladowania. Druga stanowi przekład włoski czwartej dekady *Liwiusza*; mimo wadliwości i mimo braku dowodów autentycznych za autorstwem *Boccaccia*, uchodzi powszechnie za jego własność i, nie wcielona do zbioru dzieł jego, była przedrukowana nie mniej niż 13 razy.

Jeżelibyśmy zechcieli scharakteryzować stosunek *Boccaccia* do pisarzy klasycznych, przeciwstawmy go *Petrarce*, weźmy pod uwagę z autorów starożytnych *Cycerona* i powiedzmy: *Boccaccio* zna dużo pism *Cycerona*, ale powierzchownie tylko; cytuje wiele, ale w taki sposób, iż wzbudza podejrzenie, że czytał więcej tytułów, niż pism samych. Sposób jakiś niedbały, w jaki powołuje się na miejsca, rzeczywiście sobie znane, stoi w rażącej sprzeczności z religijną niemal sumiennością *Petrarki* w robieniu cytat. I ocena pisarzy rzymskich ze strony tych głównych przedstawicieli Odrodzenia jest różna, gdyż ich punkt wyjścia jest także różny. *Boccaccio* szuka w dziełach *Cycerona* wiadomości naukowych lub sądów wytrawnych; *Petrarka* zaś nauk moralnych, które poczytuje za obowiązujące i dla siebie i dla wszystkich czasów. *Boccaccio* domaga się od niego potwierdzenia swych wyobrażeń przesądnych, podpory dla swych mniemań, że nie wszystkie sny są zwodnicze; *Petrarka* zaś wysławia go za to, że „pogardza snami,” radby go nawet uczynić zwiastunem chrześcijaństwa, a gromi surowo, jeżeli tylko *Cyceron* nie odpowiada jego oczekiwaniom.

Posługując się językiem rzymskim wyłącznie w pismach poważnych, dotyczących starożytności, raz tylko użył go *Boccaccio* w dziele traktującym stosunki współczesne, w swych *eklogach*. Rozmówcami są w nich pasterze i pasterki. W dyalogach zamierza skreślić obraz

stosunków osobistych i ogólnego stanu epoki. Są one mimo własnych objaśnień *Boccaccia*, któremi utorował przynajmniej niejaką możność zrozumienia, tak niejasne, że sprawiają przyjemność bardzo małą a ich pouczanie osiąga zaledwie skutek połowiczny. Przekonania polityczne *Boccaccia* znamy z innych świadectw; nie potrzeba więc eklog, aby nabyć pewności, że należał do stronnictwa Gwelfów, że wychwalał stosunki neapolitańskie, że nienawidził „dwujęzycznego opoja“ *Karola IV*; aby się dowiedzieć o chęć autora prawienia ziomkom Florentczykom kazań karcących wiarołomstwo i zniewieściałość.

Na podstawie wymuszonych wierszy, nikt nie odtworzy obrazu epoki; zupełnie zaś inaczej dzieje się z owymi swobodnymi, potoczystymi opisami, któremi *Boccaccio* zjednał sobie zaszczytny tytuł „ojca prozy włoskiej.“ Jakże dziwne sądy ludzi o samych sobie, jakże dziwne losy książek! *Boccaccio* spodziewał się sławy od swych poezyj, od dzieł łacińskich, które otrzymała potomność w całości, ale w postaci nadzwyczaj skażonej, utrudniającej zrozumienie—dziś czytają je lub przerzucają uczeni tylko; nieśmiertelność tymczasem pozyskał dziełem włoskiem, które wraz z sonetami, w języku ojczystym pisanemi, najchętniej byłby zniszczył. Kto mówi o *Boccacciu*, chwali lub gani jego *Dekameron*.

Dnia 4 czerwca 1373 r., przysłał *Petrarka* długoletniemu przyjacielowi tłómaczenie łacińskie noweli *Griseldis*, stanowiącej zakończenie *Dekameronu*, wraz z listem, w którym donosi, że otrzymał, nie wiedząc od kogo, jego książkę, a następnie pisze dosłownie: „Skłamałbym, gdybym powiedział, że ją czytałem; objętość tomu, język włoski i przeznaczenie dzieła dla ludu, były dla mnie pryncypalnemi dostatecznemi, żeby się im gwoli nie odrywać od zajęć poważniejszych i donioślejszych.“ Ależ nie wszyscy myśleli wówczas i myślą dziś tak, jak *Petrarka* myślał rzeczywiście, a *Boccaccio* mówił przynajmniej, że myśli.

Dekameron (książka dni dziesięciu) jest zbiorem 100 historyj, opowiadanych w ciągu dni dziesięciu po sobie następujących przez dziesięcioro młodych ludzi (7 dziewcząt i 3 młodzieńców). Uniknąwszy szczęśliwie, jak autor mówi, zarazy grasującej we Florencyi 1348 r., grono to zebrało się na wsi, niezbyt daleko od miasta, skąd jeszcze widać je było i przepędzało czas trwożnego oczekiwania na zabawach i wesołych opowiadaniach. Schadzki podobne zdarzały się w owych dniach zapewne dość często; opowiadanie historyjek było rozrywką towarzyską, o czém wspominają także inni ówcześni poeci i malarze. U *Boccaccia* wszystko jest jednak zmyślone — i miejsce schadzki i osoby. Mało nas też obchodzi, czy *Fiametta* romansu oznacza istotnie neapolitańską *Maryę-Fiamettę* i czy pod przydanym jej

kochankiem *Dioneo*, ukrywa się rzeczywisty jej wielbiciel, *Boccaccio*; obojętnym jest również, azali chciał siebie przedstawić w osobie studenta, który w tak nieładzki sposób ukarał swą kochankę (VIII, 7), gdy został przez nią dotkliwie zwiedziony.

Nie wszystkie powiastki tego zbioru są owocem samoistnych pomysłów *Boccaccia*; przeciwnie, korzystał on z licznych źródeł, bardzo starannie zestawionych w czasach najnowszych przez *M. Landau'a*. Autor wszelako, skutkiem owych pożyczek, nie stracił nic ze swęj sławy poetyckiej, tak samo jak opis zarazy, od którego zaczyna się Dekameron, nie ucierpiał nic na przerażającej piękności, mimo, że jest naśladownictwem słynnego opisu Tuceydydesa, i że pejedynczemi wyrażeniami przypomina Owidyusza.

Aczkolwiek bowiem *Boccaccio* korzystał z innych, daje wszelako rzecz własną, kreśli wierny obraz życia towarzystwa ówczesnego, głównie w Neapolu i Florencyi. Niektóre opowiadane tu historye dzieją się, co prawda, w obcych krajach, we Francyi i Anglii, nawet na Wschodzie, ale właściwą widownią są Włochy, a mianowicie w wymienione dwa miasta. Neapol jest miejscem urodzenia rycerzy i bohaterów, którzy błyszczą czynami śmiałemi, intrygami, poszukiwaniem awantur w roli błędnych rycerzy i przygodami miłosnemi. Florencia zaś i jej okolice są ojczyzną prostaków i chłopów, głupców i frantów—zrzadka kiedy tylko wynurzają się z pośród tego tłumu ludzie znakomici, jak np. *Gwidon Cavalcanti*—którzy daleko po za obręb miasta rozslawili i oslawili swe imię dowcipami i niedorzecznościami, walkami krasomówczemi i kulakiem. Towarzystwo więc, jakie się tu odbija w zwierciadle, aż nadto nieraz wiernym, było zmysłowe, oddane rozkoszy; piło z jej czary, nie uznawało żadnych granic, jakie zakreślił obyczaj i prawo, jawnie gwałciło małżeństwo i rozrywało święte węzły rcdziny; nad cnotą odnosił tryumfy występki obrzydliwie bezczelny, ale powabny, chytry i przebiegły. Społeczeństwo to wyszło z powijaków kościoła, z teroryzmu wieków średnich i pragnęło te powijaki zrzucić; miasto trwogi stawiało śmiech wesoly, miasto czci lękliwą sceptycyzm, nie sceptycyzm uczonego badacza i szpe. racza, ale sceptycyzm zdrowego rozsądku ludowego.

Lubo stan podobny da się objaśnić i usprawiedliwić rozwojem historycznym; nie mniej przecież ujawnia przywary i rany; takim też maluje go i *Boccaccio*. Autor dopuszcza się plochości nie dlatego, że opowiada historyjki sprośne, nie zawsze, jak już rzekliśmy, przez niego wynalezione, ale dlatego, że opowieści swe kreśli w sposób wyraźnie okazujący własne w nich upodobanie, własną uciechę w wyuzdanem panowaniu zmysłowości. Nie godzi się jednak potępiać go za to jak arcykacerza plochości, ponieważ czyni on to samo, co czynią w swych pieśniach trawerowie dawniejsi i współcześni, co *Chaucer*

w niektórych opowiadaniach kanterberyjskich, co w wieku XIV i następnym, niemieccy autorowie uciesznych facecyj. Towarzystwo ówczesne mniej było wybredne niż dzisiejsze, gdyż było naiwniejsze i nie tak wyrafinowane; wówczas mogły wychodzić z ust młodych dziewcząt powiastki, które dzisiejszym słusznie wywołują na twarz rumieniec, i które najchętniej też trzymać od nich zdala. Z tém wszystkiem dzieło nie traci nic na wartości artystycznej z téj przyczyny, że nie jest książką stosowną dla dzieci.

Innym żywiołem w Dekameronie jest niereligijność. W oczach księży, którzy nie tak znów bardzo gorszyli się płocchościami, niereligijność książki uchodziła zawsze za plamę szczególnie brzydką. Chciano więc ją przynajmniej usunąć, ponieważ nie można było całej zniszczyć książki. Tak np. w edycji oczyszczonej z XVI w. przedzierzgnięto pewnego opata, który komuś daje prosek na sen, w czarownika; proboszcza z Fiesole, który miasto piękną wdową, musiał się zadowolnić jęj szpetną służącą, i którego u nięj zdybano, przerobiono na urzędnika podesty; łotrzyka, księdza *Gianni*, który udawał mistrza w egzorcyzmowaniu kobiet, przenicowano na „kogoś, co się *Gianni* nazywał.“ O ile ta bezreligijność ujawnia się w opowiadaniu niecnych czynów księży nieobyčajnych, ciemnych i zepsułych, jest tylko wyrazem usprawiedliwionych skarg, jakie podnoszą śmiało wszyscy szczerzy pisarze wieku XIV, a niektórzy śmielej jeszcze niż *Boccaccio*. Czyż można nazwać naszego autora bezreligijnym wobec oplakanego stanu duchowieństwa, wobec oszustw, dokonywanych przez sprytnych filutów w imieniu religii; wobec niemoralności, której Rzym dawał smutny przykład innym miastom; wobec upodobania papieżów w dobrowolném wygnaniu awiniońskiem? Czyż można czynić zarzut niereligijności *Boccacciowi* za to, iż założył głośny protest przeciw wyuzdaniu? jemu, który dosyć często, i przedtém i później, składał wyznanie wiary chrześcijańskiej i wypowiadał przekonanie, że papież, „posiada prawa niebios i ziemi oraz władzę nad wszystkimi?“ Czyż to nie było prawdą, że niejedyn udając kalekę, jak *Martellino* (II, 1), utrzymywał, iż został nagle uleczony za dotknięciem relikwii św. Eryka, czyż nie było prawdą, że ohydny jaki grzesznik, jak *Ciappelletto* (I, 1), obłudną spowiedzią tak oszukiwał księdza, iż nietylko odpuszczenie grzechów otrzymywał, ale nawet w poczet świętych był policzony? Czyż nie mógł niechrześcijanin, jak żyd *Abraham* (I, 3), uzasadnić swego przejścia do chrystyanizmu gienialnym zwrotem, że „sam Duch Święty musi być fundamentem i kolumną religii,“ która mimo dyabelskiej działalności swych sług najwyższych, coraz jaśniejszym i czystszy przyświeca blaskiem? Nikt też z ludzi trzeźwo myślących nie zrobi *Boccaccio'wi* zarzutu, lecz żywą wyrazi mu wdzięczność za to, że weieliwszy do swęj książki hi-

storie o trzech pierścieniach (I, 4), dawno już przed nim wymyśloną, nadał jej misterném zakończeniem tendencję równouprawnienia trzech religij.

Gdyby nawet ktoś potępił historye płocze, a wątpliwe pod względem religijnym usunął, pozostałaby jeszcze moc wielka powiastek pięknych, przedstawiających czystą miłość, przyjaźń wierną, ofiarne poświęcenie i nieszczęście niezasłużone. Z jakim to talentem umie poeta czytelnika wzruszać i rozweselać, wywabiać z ust okrzyki radości na widok szczęśliwych i głosić, „że jest rzeczą ludzką okazywać współczucie zasmuconemu!“ Dzień pierwszy zaczyna się powątpiewaniem, ostatni zaś kończy się wiarą w cnotę. Nie bez celu także w zamknięciu swego dzieła kładzie poeta przedziwną powieść o wiernej *Gryzeldzie* w usta tego samego młodzieńca, który występuje ciągle w roli wroga kobiet, najzawzięciój z nich szydzącego, *Gryzelda* bowiem z niebiańską cierpliwością znosi niesprawiedliwości i wszelkie próby, a w końcu otrzymuje za swą cnotę nagrodę zasłużoną.

Dziś jeszcze, w lat przeszło pięćset od ukazania się książki, niewiele z wyrażeń przez *Boccaccia* użytych, uchodzi za przestarzałe; dziś jeszcze język jego uważają za wzorowy, chociaż styl jest niejasny i wymuszony, zepsuty niewolniczym naśladowaniem starożytnych, zwłaszcza *Cycerona*.

Mistrzowskie władanie językiem, niepospolita zdolność nowatorska, przedziwnie wierne odzwierciedlenie epoki, piękność wielu oddzielnych powiastek sprawiają, że Dekameron jest drogocennym klejnotem w literaturze powszechnój. Gdybyśmy chcieli jego piękność określić, przytoczylibyśmy słowa dowcipnego Włocha: „jest to piękność *Aspazyi*, która filozofuje nad mądrością, a *Perykles* i *Sokrates* z podziwem jej słuchają.“ *Petrarka*, przełożywszy nowellę o pięknej *Gryzeldzie* na język łaciński, a przez to uczyniwszy ją własnością literatury wszechświatowój, słusznie pisał do autora, przesyłając mu tłumaczenie: „Przejrzawszy twą książkę, nie dziwiłem się ani temu, że ją przeciwnicy tak zjadliwie napadali, ani temu, żeś jej tak wybornie bronił, ponieważ znam zarówno twoje wysokie zdolności umysłu, jak zuchwałość i tchórzostwo wielkiego tłumu, niezdolnego do tego, co dobrém, lecz gotowego tylko do szkalowania.“

Autograf *Boccaccia* zaginął; istnieją jeno trzy odpisy Dekameronu z wieku XIV; drukiem ogłoszono go już w 1471 r., t. j. w sześć lat po przeszczerpieniu sztuki typograficznój z Niemiec do Italii. Od téj pory rozpowszechniły Dekameron niezliczone edycye zupełne oraz wiele „oczyszczonych“ (podobne wydanie sporządzili księża już w wieku XVI); tłumaczono go na wszystkie języki narodów ucywilizowanych (pierwszy przekład niemiecki *Henryka Steinhövela* ukazał się równocześnie z oryginałem); często brano z niego wyjątki. Wielka

mnożość nowelistów wszystkich krajów naśladowała go, lubo nie zawsze szczęśliwie. Wreszcie niedawno przypadł Dekameronowi zaszczyt, jakim w najnowszych czasach czcic zwykli sławnych ludzi i głośne wypadki przeszłości: stał się przedmiotem operety komi-
cznej.

Dekameron został napisany w latach 1348—1358. Po skończeniu dzieła, przepędził *Boccaccio* większą część życia we Florencyi. Mieszkał tu jednakże z pewnemi przerwami. W okresie tym odbywał właśnie poselstwa do różnych krajów; raz, chociaż na krótko, uległ wygnaniu; kilkakrotnie jeździł do Wenecyi i Neapolu, już to dla odwiedzenia przyjaciół, już dla zabezpieczenia starości przy pomocy dawnych protektorów. Jednakże mimo sławy, zdobytej pracami uczonemi i utworami poetycznemi, nie nie wskórał i z ostatniej nawet podróży (1371 r.) do Neapolu powrócił bez żadnego skutku. Tu dowiedział się o wysokim urzędniku, *Jakóbie Pizinghe*, który gorliwie oddawał się studjom; ucieszony tém (wówczas bowiem było wielką rzadkością, aby wysoko postawieni mężowie studjami się takimi interesowali), zwrócił się do niego piśmiennie; w liście obszernym wychwala naukę, której się obaj poświęcają, i ukazuje sławę, którą pozyskali trzej najmłodszy reprezentanci umiejętności: *Dante*, *Petrarka* i *Zenobi di Strada*. „Albowiem — kończy boleścią przejęty — Rzym i Włochy głęboko upadły, znikła nasza sława wojenna, znikła powaga praw naszych, znikły obyczaje, podług których urządziły się niegdyś inne narody; musimy więc dlatego starać się o zabezpieczenie naszej sławy literackiej, ażeby Rzym wśród ludów barbarzyńskich zachował choć nieco ze swego blasku.”

Nareszcie dostąpił tego, czego pragnął. Mianowicie, 25 sierpnia 1373 r. powołany został przez rodaków do publicznego objaśniania „książki *Dantego*.” Stanowisko ofiarowane przyjął i miewał odczyty, o których jużśmy wyżej mówili. Spełniło się więc jedno z życzeń jego. Ostatnie lata życia nie były przecież wolne od przykrości; zakłócały je choroby i cierpienia. Dla usunięcia choroby długo nie wzywał poeta lekarzy, ponieważ od *Petrarki* zaraził się ku nim nienawiścią; w końcu wszelako zmógł to uprzedzenie i niebawem odzyskał zdrowie, ale boleść nieuleczoną sprawił mu skon *Petrarki*, mistrza i przyjaciela. Wiadomością tą strapiony, napisał do zięcia *Petrarki* list smutny i żalony, przepelnięny czcią dla zgasłego i oburzeniem na żyjących, którzy go niedostatecznie ocenili.

Ostatnie miesiące przepędził *Boccaccio* w Certaldo nazwanem przez zeń miastem rodzinnem; żył tam osamotniony, gdyż troje dzieci: *Olimpię* (*Wiolantę*), *Marka* i *Juliusza* utracił był wcześniej; imienia matki jego dzieci nie znamy; umarł 21 grudnia 1375 r.

Długa to droga — od siedmioletniego chłopca, który, wedle własnych zeznań, bez wykształcenia i nauki, ulegając jeno pepędowi wewnętrznemu, spisuje powiastki, jak mu je myśl dyktuje, aż do sześćdziesięcioletniego starca, który z wielkim mozolem i pracą stara się współczesnych zapoznać bliżej z nieśmiertelném dziełem największego poety włoskiego; pojedyncze stacye tego gościńca jasne są i wyraźne, a jego drogowskazy, gdyby nosiły napis, powinnyby te głosić słowa: *Studium fuit alma poesis*; przedmiotem jego trudów była wdzięczna poezya.

To było godłem jego życia i hasłem bojowém pokolenia następnego.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Współcześni oraz następcy Petrarcki i Boccaccia.

Bezpośrednim następcą trzech bohaterów odrodzenia *Danteo*, *Petrarki* i *Boccaccia* był *Colluccio Salutato*. Ścisłej łączności z poprzednikami dowiódł tém, że zaczął tłómaczyć Boską Komedję *Danteo* wierszem łacińskim, że, co wiadomo, niestety, tylko z doniesień późniejszych, kreślił życiorysy *Petrarki* i *Boccaccia*. Ścisłość owego związku wykazał jeszcze w tém, że, co wyczytujemy w listach jego, nieustannie oplakiwał śmierć przywódców, między nimi i *Danteo*, którego godniej umiał cenić od wielu współczesnych, lubo i on nie zupełnie rozumiał jego zasługi, że zachęcał do naśladowania ich, że stawał ich na równi ze starożytnymi—nawet w ich dziełach chybionych lub mniejszej wartości. Dobitniej jednak zaświadczył powinowactwo swoje z twórcami humanizmu przez to, że pracę przez nich rozpoczętą prowadził dalej śmiało i zręcznie.

Wykształcenie naukowe ograniczało się potąd do szczupłego jeno koła. Tu i owdzie okazywali znakomici mężowie zamiłowanie do studyów. W miastach przez się zamieszkiwanych zaintrygowali ludzi i budzili interes dla nauki; książęta, do których się zbliżali, raczyli laskawie zwracać na nich uwagę, ale owo współczucie było owozem ządzy ciekawości i ustawało, gdy ciekawość została zaspokojoną, zainteresowanie się książąt ściągało się jeno do osoby, nie do rzeczy. W takim położeniu groziło niebezpieczeństwo, że studia starożytności zawrą się w niewielkiem gronie; energii więc działają-

cego teraz pokolenia przypadło w udziale uczynić je własnością narodu, wpoić i w szersze koła przekonanie, że w literaturze klasycznej ukrywają się skarby, posiadające ogromną doniosłość dla nowego ukształtowania życia.

Niemieckim mężom stanu poczytuje się za czyn wysoce patriotyczny, iż w stosunkach dyplomatycznych położyli koniec panowaniu niepodzielnemu języka francuskiego i zdobyli równe prawa dla języka niemieckiego. W podobnym rozumieniu można *Colluccio'wi* poczytać za czyn cywilizacyjny, że w listach i aktach państwowych zastąpił barbarzyńską łacinę średniowieczną językiem klasycznym Cycerona. Język bowiem nie jest czémś powierzchowném. Kiedy *Petrarka* wyklada z uśmiechem pewnemu korespondentowi, że uszanowania należnego wysoko postawionej osobie nie obniży, jeżeli przemawiając, używać będzie nie *vos*, lecz *tu*, jak pisali starożytni, to przywróceniem prawidła klasycznego wyświadczył coś więcej, niż przysługę praktyczną; wprowadza on raczej tą pozornie powierzchowną formą do rzeczypospolitej nauk równość, która zrazu niejednemu dostojnikowi zapewne się dziwną wydała. *Salutato* dokonywa rzeczy jeszcze ważniejszej, gdyż jako kanclerz rzeczypospolitej florenckiej (został nim w 45 roku życia, 25 kwietnia 1375 r.) używa stylu listowego klasycznego. Przez to zapłodnił on życie państwowe mądrością starożytnych. Zamiast duchownego, trzymającego pióro podczas wieków średnich nawet w rzeczach bardzo nie duchownych, pisze teraz człowiek świecki. Zamiast urzędnika, biegłego w piórze, ale będącego ślepém narzędziem przełożonych, występuje teraz człowiek świadomy siebie, człowiek przenikniony ważnością swego zadania i wartością osoby własnej; zamiast pacholka książęcego, okazującego chętnie każdej głowie koronowanej wymaganą przez nią czolobitność, staje człowiek wolny, przejęty republikańskim pojmowaniem interesów państwa, które się w nim uosabia i godnie musi być przez niego reprezentowane; zamiast prawowiercy, gnącego się trwożliwie przed dostojnością Rzymu, zjawia się badacz, który i papieża ma za człowieka a dwór papieski za instytucję aż nazbyt ludzką.

Kiedy w korespondencyi nieurzędowej poleca papieżowi *Inocentemu VII Leonarda Aretino*, czyni to już jako człowiek prywatny równouprawniony, mający prawo wymagać uprzejmości, i jakoś lekko traktuje kilka przykrych wyrażen, które był papież źle przyjął; kiedy pewnemu zakonnikowi odradza starać się o wysoki urząd kościelny, nie lęka się dodać, iż z Rzymu płynie tylko brud i hańba a po czterystu jeszcze latach zuchwałém tém wyrzeczeniem tak przeraża pobożnego swego wydawcę *Mehus'a*, że edytor uważał za potrzebne dołączyć odpowiednie sprostowanie.

W publicznych zaś wystąpieniach ujmuje wynurzenia okolicznościowe w system. W rok po objęciu urzędu przez *Colluccia* ogłasza papież *Grzegorz XI* z Awinionu 31 marca 1376 r. Florentczyków za wyjętych z pod prawa; stanęli oni bowiem na czele państw włoskich przeciw papieżom, mieszkającym we Francji i sfrancuziałym, wzywali zresztą napróżno lud rzymski do odzyskania swobody, ale Bolonię oraz inne miasta zupełnie sobie zjednali. Na taki wyrok oni, co prawda, zasłużyli sobie zachowaniem względem papieżów. Bo oto nieśli sztandar czerwony, na którym srebrnemi literami wypisali *libertas* i obwieszczali wolność. Piórem swego kanclerza ostrzegali przed płochością barbarzyńców, i napominali Rzymian: „rozważajcie, bracia drodzy, ich czyny, nie ich mowy. Do Rzymu przyciągnęło ich nie dobro wasze, ale żądza panowania. Nie dajcie się onanić ich słów nektarem; nie pozwólcie, aby Italia wasza stała się niewolnicą barbarzyńców, Italia, którą przodkowie nasi strumieniami krwi własnej uczynili panią świata. Zamieńcie w uchwałę publiczną owo wyrzeczenie słynnego Katona: chcemy być wolni, żyjąc z wolnymi.“

Papież wrócił do Włoch i został przez Rzymian przyjęty mimo przestróg Florentczyków. Na wrogów swych wypuścił już z Francji krwi żądne bandy, dopuszczające się jakoby z jego polecenia okrucieństw niesłychanych. Teraz odbywa dalej pochód mściwy. Ale *Colluccio* i stronnicy jego w zabiegach nie ustają. „Wieny — pisał on — że kościół wiele może. Wierzymy, że papież myśli żarliwie o zemście i spustoszeniu Italii. Lecz Pan unicestwia zamiary niesprawiedliwości i zwraca je na głowy tych, od których pochodzą. Nam droższą jest z trudem wywalczona wolność, niż niewola beczynna. Niechaj wróg grozi, bogatszy a może i potężniejszy; siłę przeciwstawimy siłę i dowiedzimy, że, chociaż zagraża wolności Florentczyków, jednakże nie tak łatwo nas pokona. Zresztą wszystko, co przechodzi siły ludzkie, spoczywa w ręku Boga. On sądzić będzie sprawę ludu swego i w miłosierdziu swém zachowa wolność nam i potomkom naszym.“ Nawet przeciw papieżowi samemu występuje nadzwyczaj śmiało. Śmiałym jest dość odezwanie, kiedy mówiąc do innych o papieżstwie, powiada, że pełnią swęj władzy *ma zwyczaj* przymierza łamać, ale śmielszym jeszcze, kiedy woła wprost do papieża: „Zastanów się, żeś przysiągł, i żeś Bogu nie równien, a przecież o samym Bogu powiedziano, przysiągł i nie żałuje.“ Żadna z obu stron wojnie wydołać nie mogła i zwycięstwa nie otrzymała. Rozpoczęły się układy; nie doprowadziły one wprawdzie do pożądanego końca skutkiem rychłej śmierci papieża (1378), ale i bez zawarcia formalnego pokoju przywróciły stan spokojniejszy.

Nietylko przeciw papieżowi musiał *Colluccio Salutato* bronić niezależności Florencji, ale i przeciw innym wrogom, jak *Janowi Galeazzo*

Visconti, księciu medyolańskiemu. Broniąc ojczyzny, nie miał tu potrzeby stwarzać słowem swém sojuszów, ani się opierał na zbrojnym żołdactwie najemnym, lecz działał piórem do tego stopnia, że ów *Visconti* wyrzekł o nim: więcej mi zaszkodził pismami swemi *Salutato*, niż tysiące rycerzów florenckich. Nie zawsze mógł używać grózb i słów energicznych; musiał też niekiedy uciekać się do pochlebstwa, do sztuki wykwintnego udawania; znał i umiał posługiwać się środkami, któremi rzucała postrach późniejsza sztuka rządzenia.

Ze zgiełku ponurego spraw publicznych uchodził chętnie *Salutato* w czystą atmosferę studyów. Ten sam mąż, co zdawał się być urodzonym do proroczego zwiastowania wolności, wywiadywał się u przyjaciela o znaczenie *aliter*, robił obszerne uwagi o deklinacji i konjugacji. Zamiłowany w naukach, zwracał zarówno uwagę na drobnostki, jak i rzeczy ważne. Skwapliwie umieszczał, gdy się dało, jaki kwiatek retoryczny grecki w liście łacińskim, aby okazać się znawcą greczyzny, chociaż zresztą, idąc torem niektórych humanistów dawniejszej gienieracyi, zawzięcie odmawiał Grecyi pierwszeństwa w naukach, do czego ona rościła pretensye, zapala się, ale cieszy, kiedy może wziąć w opiekę poezję i wymowę, kiedy opornych zachęca do uprawy ulubionych studyów. Studya te nie uczyniły go wszelako poganinem; pobożność jego pozostała, owszem, nienaruszona; zaświadcza on ją chętnie, broniąc dogmatów chrześcijańskich, głosząc nieśmiertelność duszy. Na takich przekonaniach polegając, poświęcił *Salutato* *Fra Giovanni Dominici* obszerne swe dzieło *Lucula noctis* (uważane długo za zaginione, dopiero w ostatnich czasach odkryte, ale jeszcze nie wydane), zawierające gwałtowne oskarżenie przeciwników i przedstawicielom wykształcenia klasycznego; żądał przytém „przechylnéj i pobłażliwéj” oceny. Chrześcijańscy szkalownicy starożytności, jak mnich ów, i chrześcijanie rozmiłowani w starożytności, jak *Salutato*, mogli jeszcze żyć obok siebie spokojnie dopóty, dopóki nie ogarnął ich fanatyzm.

Własną osobą i stanowiskiem swoim dał *Salutato* studjom potężnego bodźca. Ale wyświadczył im jeszcze większą usługę przez to, iż pierwszy zdobył sobie całkowite odpisy listów *Cycerona* przy pomocy *Kacpra de Broaspi*ni z Werony i *Pasquino de'Capelli* z Medyolanu. Znajdują się one w bibliotece Laurentyńskiej we Florencyi. Nie utraciły nic na wartości, chociaż nie można poczytywać ich dalej za autografy *Petrarki*, za jakie uchodziły do czasów najnowszych, kiedy je zbadał przenikliwy *Voigt*; otwiera ją bowiem mimo zepsutego tekstu setkom bogate źródło łaciny klasycznej i dziś jeszcze cieszą się uznaniem i sławą z powodu wybornych marginesowych uwag *Salutata*.

Okrom *Colluccia Salutata*, uczniami *Petrarki* są także *Ludwik Marsiglio* i *Jan Malpaghini da Ravenna*

Marsiglio (ur. 1342, zm. 1394) jest głową pierwszej wolnej akademii, t. j. towarzystwa uczonych jednako myślących, złączonych nie węzłem zewnętrznym, lecz wspólnym kierunkiem w studyach. Aczkolwiek zbierała się akademія w klasztorze San Spirito, mniej przecież w rozmowach swych troszczyła się o Ducha Św. aniżeli o autorów pogańskich i filozofię starożytną. *Marsiglio* wszakże, członek zakonu augustyańskiego i znany kaznodzieja, nietylko zewnętrznie był chrześcijaninem, ale i w duszy pobożnym a został pobożnym nie bez wpływu *Petrarki*. *Petrarka* albowiem, podarowawszy mu Wyznania Św. Augustyna, wyświęcał go niejako i wybrał do walki z pysznymi zaprzającami Boga (Awerroistami). Staje się tedy *Marsiglio* uczonym teologiem, jest wysławiany przez młodzież oddającą się studyom, jako wyrocznia boska. Współobywatele Florentczycy pragną go mieć swym biskupem. Skłonność do teologii nie zobojętniła w nim bynajmniej czci dla starożytności; zamiłowanie łaciny nie wyrugowało przywiązania do języka ojczystego, którym posługiwał się w niewielu swych pismach; stan duchowny, którego nie porzucał, nie przeszkadzał mu wcale miotać gwałtownych gromów przeciw papieżstwu w komentarzach do jednej z kanzon mistrza *Petrarki*. Słuchaczom młodym imponował tak dalece, iż uchodził za źródło wszelkiej wiedzy; jeden z nich odezwał się nawet razu pewnego, że wszystko mu jest doskonale znane, że dzieła najstarożytniejszych pisarzy nie są dlań żadną nowością.

Dokoła *Marsiglia*, który nie opuszczał Florencyi, cisnęła się młodzież miejscowa. Ale *Jan Malpaghini* z Werony, podniecany zapalem i żądzą służenia nowym studyom, musiał sobie wywalczać dopiero możność działania. Całe niemal półstulecie (1365—1412) podaje o nim wiadomości, ale w części niepewne, w części niedostateczne. W roku 1365 jest sekretarzem *Petrarki*, który chce go utrzymać na stanowisku podrzędnem i ciągnąć z niego korzyści za to, że go zachęcił do studyów; w 1412 zaś, jest od lat ośmiu, t. j. od 1404 r. (odrzucawszy pierwsze zaproszenie 1397) wysoce szanowanym i znakomitym nauczycielem we Florencyi. Pomiędzy uczniami jego, oprócz synów najznakomitszych obywateli miasta, którzy następnie sami zajął się na horyzoncie nauki, znajdowali się także postronni, jak *Vittorino da Feltre* i *Guarino* z Werony, którzy ze swęj strony pracowali gorliwie nad wykształceniem nowego pokolenia. *Malpaghini* należał do stanu duchownego, nie doszedł w nim jednak do wyższych godności. Ulegając humanistycznemu pociągowi do wędrówek, poświęcił przeciąg czasu między oznaczonymi wyżej datami, cały wiek męski, podróżom po Włoszech. Zwiedził Rzym, otrzymał stopień

magistra i zdobył moc wiadomości naukowych, aczkolwiek nie zgłębił tajemnic języka greckiego; często musiał przyjmować służbę, uciążliwszą i bardziej jeszcze upokarzającą aniżeli niegdyś u *Petrarki*, był nauczycielem w Udine i kilkakrotnie profesorem w Padwie; tu na dworze książąt z domu *Carrara* przebywał lat osiem, a nie 40 chyba, jak możnaby przypuszczać na podstawie doniesień o pięciu „lustrach”⁴⁾; nareszcie znalazł we Florencyi wypoczynek i możność rozwinięcia świetnej działalności. *Jan da Ravenna* był nauczycielem, nie pisarzem. Celował wyborną pamięcią i gorącą żarliwością dla studyów nowych; te dwie główne zalety uzdolniły go właśnie bardziej do udzielania nauk, które sobie przyswoił od innych, aniżeli do pomysłów własnych i samodzielnego ich opracowywania.

W San Spirito oraz w wykładach *Jana Malpaghiniego*, była mowa wyłącznie o literaturze klasycznej, w ogrodach zaś i willi *Paradiso Antoniego degli Alberti*, bogatego i znakomitego Florentczyka, rozprawiano o rzeczach starożytnych i nowoczesnych, o literaturze łacińskiej i włoskiej. Na szczęście, zapoznaje nas z temi rozprawami i z uczestnikami najprzedniejszymi, książka pod napisem „Raj Albertich” (1889). Sam gospodarz (ur. 1358, zm. 1 września 1415), odznaczał się wykształceniem wielostronnem i działalnością różnorodną. Był kupcem i uczonym, mistykiem, to znowu politykiem praktycznym, pokutnikiem w Rzymie, profesorem w Bolonii, pisał poezye, piastował wysokie urzędy, jadł nieraz chleb banity. Podczas wygnania okazywał się mistrzem w konspiracyjach; usiłowania jego, by przemocą wrócić do zamkniętej dlań ojczyzny, oraz inne przedsięwzięcia rządząca czasowo partya nazywała zdradzieckimi, a spiskowca często dość znacznemi okładała grzywnami.

W domu jego zgromadzała się drużyna wesoło nastrojona. Schadzki umiano przeprowadzać rzeczami żartobliwemi i poważnemi, ożywiona rozmową i opowiadaniem; polityka i moralność, filozofia i literatura stanowiły przedmiot dyskusyi. Badano tam, jaki rodzaj władzy jest lepszy, władza jednostki czy gromady, oraz czy lepiej jest ludziom pod rządem dobrego króla, czy praw mądrych; roztrząsano, jakie środki są dozwolone dla zarabiania pieniędzy i czy można zgodzić się na lichwę; toczono spory, czy zwierzęta posiadają rozum; stawiano na przekór panującym zapatrywaniom renesansu twierdzenie, że mężczyzna jest o wiele doskonalszą istotą niż kobieta, lubo przyznawano, że niektóre białogłowy ujawniały duże postępy w retoryce, w językoznawstwie, logice i filozofii, w przeciwieństwie również z poglądami Odrodzenia, przypisującemi językowi łacińskiemu pano-

⁴⁾ *Lustrum* — okres pięcioletni.

wanie, wprawdzie nie wyłączne, ale przeważne w zastosowaniu do umiejętności, ogłoszono tam, że język florencki jest tak oglądony i bogaty, iż można w nim najdokładniej wyrażać i analizować każdą mądrość abstrakcyjną i głęboką.⁷

Do koła tego prócz gospodarza domu należeli *Salutato* i *Marsiglio*, przywódcy ruchu literackiego we Florencyi; z innych członków wypadła tu choć niektórych wymienić. Uczestniczy więc *Gwidon Tomasz di Neri di Lippo* (zm. 25 sierpnia 1399), człowiek dobrotliwy, dobroczynny, mądrze rozporządzający swém bogactwem, polityk śmiały i dzielny, obrońca niezależności ojczyzstego miasta przeciw najpotężniejszemu nawet wrogowi. Dalej *Frańciszek Landini* (ur. 1325, zm. 1397), od lat dziecińczy ślepy, ale umysłowo rozwinięty i pod względem artystycznym utalentowany; śpiewem i grą na organach budził podziw współczesnych, pisał przytém poezye po łacinie i włosku o miłości i niestałości życia, odznaczał się biegłością w filozofii i astrologii. Wreszcie *Biagio Sernelli* (zm. 19 grudnia 1398), żartowniś towarzystwa, wyborny naśladowca ruchów i mowy kolegów; gdy zmieniał szaty i mowę, nie poznawali go ci, którym w rzeczywiście postaci doskonale był znany, ponieważ widywał się z nimi codziennie; umiał złudzić do tego stopnia, iż zwiedzeni nie chcieli uznawać swój pomyłki nawet wtedy, kiedy dał im się poznać.

Do grona tego należał albo też w blizkich z niem zostawał stonsunkach *Frańciszek Sacchetti*, humorysta znakomitszy od *Sernelli ego*. Alberti i on pozdrawiali się w niejednym poemacie. *Sacchetti* potrafił nietylko odtwarzać właściwości jednostek, ale humorem i satyrą ożywić obraz całej epoki. Dane z życia jego są niepewne i skąpe; nie wiemy dokładnie ani roku urodzenia, ani śmierci (żył mniej-więcej od 1395 do 1405); był urzędnikiem rzeczypospolitej florentyńskiej, przez lat siedem (1385—1392) podestą w Bibbienie; mąż poważany i lubiany, pisarz płodny. Wielkim przedstawicielom literatury okazywał cześć serdeczną; śmierć *Petrarki* i *Boccaccia* oplakiwał w pięknych wierszach, prawdziwie odczuty. Jednakże zamiast oblewać łzami stratę mężów, których kierunki były mu ostatecznie obce, wolał raczej opiewać uciechy życia z rozkoszą nietajoną i aż nadto widoczném upodobaniem, jak np. w poemacie żartobliwym: „Spór młodych i starych kobiet”; wolał uwydatniać swe powinowactwo z wielkimi poprzednikami w ten sposób, iż wzorem *Petrarki* układał pieśni miłosne, które w gronie przyjaciół bodaj sam śpiewał, a wzorem *Boccaccia* pisał nowelle. Z 300 jego nowelli przechowało się 223; mawiał o nich, iż tworzył je w tym celu, aby częścią zadość uczynić ludziom żądnym nowości, częścią rozweselać ziomków dręczonych wojnami i chorobami. Dla osiągnięcia pierwszego celu rozprawiał o współczesnikach i ludziach słynnych, przywodząc historye skandaliczne;

dla dopięcia zaś drugiego przytaczał rysy komiczne, dowcipy, żarty i anedoty. Osobliwszą znajduje przyjemność w przedstawianiu umyślném rzeczy w sposób rubaszny i zwierzęcy. Od naiwności *Boccaccia* bardzo jest daleki; plugawe jego żarty tém większą budzą odrazę, że do powiastek tego rodzaju dołącza morał, który mógłby się wydawać obłudnym, gdyby nie był tak płaskim. Zamiast tolerancyi, głoszonej w Dekameronie, krzewi nienawiść ku żydom, ale na podobieństwo *Boccaccia* żywi zajadłą nieprzyjaźń względem papieżstwa. Lubi szyderstwo i szydzi nader często ze swych współrodaków, Florentyńczyków, ponieważ zna ich najlepiej, szczególnież zaś z nierozsądnych mieszczan, pnących się do zaszczytów i do używania rozkoszy stanu szlacheckiego. Estetyczna wartość jego nowel mierna a językowa wcale nie duża, zwłaszcza że tekst doszedł skażony, ale posiadają znaczną doniosłość kulturowo-historyczną. Polega ona zaś na tém, że zbiór cały jest wierném, lubo nie zawsze piękném, odzwierciedleniem obyczajów i stanu Włoch, mianowicie też Florencyi, w końcu XIV w. Nie mniej wielkim jest także wpływ, jaki na inne narody wywierały te nowelle, rozpowszechnione na setki lat wcześniej w tradycyi ustnej, niż drukiem; niemało z nich przybrało charakter historyj wędrownych; spotykamy je w późniejszych zbiorach różnych ludów w takiej postaci jak u *Sacchetti'ego*.

Nowellista kreśli stosunki, na które patrzył lub które przeżył, niby dodatek jeno do swych opowieści, podobien w tem malarzowi rodzajowemu, rysującemu krajobraz tylko jako stafaż do malowidła; daremnie więc szukać u niego pewnych i dokładnych o daněj epoce informacyj. Gromadzenie takich wiadomości jest raczej zadaniem historyków; renesans na szczęście w nich obfituje. Szereg dziejopisów rozpoczynają trzej *Villani'owie*. Starszy, *Jan* (zm. 1348), zostawił dwanaście ksiąg opowiadań historycznych, jego brat *Mateusz* (zm. 1368) dołączył dziesięć dalszych, a ukończenie jedenastej przekazał synowi *Filipowi*. O życiu tej trójcy rodziny dziejopisów mało co wiemy; podając wiadomości o innych, sami są tak skromni, że o sobie mówią niewiele. Najznakomitszym z nich jest *Jan*.

Trzy okoliczności nadają szczególne znaczenie jego dziełu historycznemu. Pierwszą jest to, że rozpoczyna swą pracę z okazji jubileuszu papieskiego 1300 r. Przebywał naówczas w Rzymie, z którego mimo obecności papieżów jął już ustępować blask dawny; mógł przeto stan wiecznego miasta porównywać z położeniem własnej ojczyzny. Z dumą też zupełnie usprawiedliwioną pisze: „Rzym upada, ale ojczyzna moja się dźwiga i gotowa do spełnienia wielkich rzeczy; z tej więc przyczyny pragnąłem skreślić jēj przeszłość całą i zamierzam doprowadzić opowiadanie aż do czasów teraźniejszych i z przyszłych zachwycić tyle, ile życie pozwoli”. Żywi bowiem

przekonanie, że Florencyjni przeznaczonóm jest zająć stanowisko wszechświatowe. Myśl ta wypływa i z przytoczonego dopiero co zdania, i z faktu, że on sam lub jego spółcześni nazywali dzieło jego jużto „Kroniką florentyńską”, jużto „historią powszechną”, jak gdyby oba wyrażenia były całkiem równoznaczne; ale bardziej jeszcze wydatnia się w gorliwości, z jaką zapisuje najdrobniejszy nawet wypadek, jeżeli tylko przyczyniał się do zwiększenia sławy Florencyjni w oczach spółczesników lub potomków; dodać jednak trzeba, że żarliwość ta nie zaślepiła go na znaczenie miast innych, ani uprzedzała stronniczo na korzyść własnej ojczyzny.

Powtóre *Villani* jest mężem Odrodzenia. Zna historyków i poetów rzymskich, ceni ich i korzysta z nich, lubo po łacinie nie pisze; pragnie utrzymać stosunek do starożytności nie tyle pod względem zewnętrznym, ile raczej wewnętrznym; odmawiając doniosłości Rzymowi nowoczesnemu, przyznaje ją w wysokim stopniu dawnemu: związek jakiegóś miejscowości z Rzymem w epoce bajecznej poczytuje za przyczynę jej wielkości i znaczenia, wyrazom włoskim lub cudzoziemskim nawet pragnie nadać większą niejako powagę, wyprowadzając je od słów łacińskich.

Pomimo to *Villani* nie jest uczonym, podobnie jak jego naród nie jest narodem rycerzów i uczonych, lecz jest — po trzecie — kupcem. Rozumie on, że pisze dla kupców; z tej więc przyczyną, jak i z własnego interesu mówi o sprawach kupieckich. Pojmuje statystykę, gdyż pojmuje życie; nie uważa za rzecz marną rozprawić o cenach i potrzebach życia. Przeciwnie. Handel i ukształtowanie stosunków finansowych, zarówno w życiu jak i w dziejach występuje u niego na plan pierwszy. Opowiada więc o wielkich pożyczkach króla angielskiego, zaciąganych u domów bankierskich *Peruzzi* i *Bardi* we Florencyjni, nie dlatego tylko, że skutkiem bankructwa tych firm stracił majątek i do więzienia się dostał, ale dlatego, że związek potęg pieniężnej i państwowej poczytuje za wypadek największej wagi; informuje o dochodach państwowych, o spisie mieszkańców dokonywanym przez proboszczów, o statystyce uczących się dzieci, kościołów i klasztorów, podaje nawet statystykę żebraków, kreśli wpływ wielkiej zarazy (czarnej śmierci 1348), nie, jak noweliści i moralisci, na obyczajność i życie towarzyskie, ale na stan ekonomiczny.

Szczególny interes obudza naturalnie ta jeno część dzieła, która traktuje epokę autorowi współczesną, mniej więcej od 1286 r.; obejmując ten okres, stwarza *Villani* obszerną kronikę świata, zawierającą prócz wiadomości o mieście ojczystém, historię także królów niemieckich i papieżów. Nie jest to dziejopis wytworny, ale miły gawędziarz. Mimo pozorną pobieżność w opowiadaniu, nader staranny i dokładny w relacjach; tak np. słowa *Karola I Anjou*, wyrzeczone

jakoby na wieść o niesporach sycylijskich, przytacza w języku na pól francuskim, a słowa mieszkańców Sorrento, wypowiedziane do *Karola II*, będącego jeńcem *Ruggieri'ego di Loria*, przywodzi w ich dyalekcie. Jest to człowiek wykształcony wszechstronnie; interesuje się teologią i astrologią, której naogół wierzy, aczkolwiek gromi niekiedy jej wykroczenia. Jako polityk myśli spokojnie, jest raczej gwelfem niż gibellinem, rzadko namiętny, po większej części radzi umiarkowanie, poważa papieża, ale czei nie posuwa za daleko, pragnie dla miasta ojczystego utrwalenia rządów obywateli mądrych i kupców, zapisuje z boleścią wybryki pospólstwa, które podniosło bunt ze straszniemi okrzykami przeciw bogatym, groziło śmiercią priorom, chciało skasować podatki i przemocą wtargnąć do pałacu rządowego.

U *Mateusza* boleść ta przedzierzga się w gniew; piorunuje on przeciw niegodnym, pnącym się do urzędów; wyrzeka, iż zgubne choroby, kary boże na ludzi „nie doprowadziły do pokory i miłości chrześcijańskiej”; konstatuje w osobnym rozdziale, właściwszym raczej teologowi niż historykowi, iż „ludzie są teraz gorsi niż dawniej”.

Udział *Filipa* w historycznym dziele Villani'ch jest tak mało znaczący, że zastanawiać się nad nim nie będziemy; ale pomijać zupełnie *Filipa* nie można, bo tytuł do poważania zjednał sobie zbiorem biografij. Lubił samotność i studia; mniej więc obchodziły go sprawy wszechświatowe owego czasu (lubo wedle pewnego doniesienia miał być długie lata kanclerzem Perugii), niż polityczne losy przeszłości; wskrzeszał pamięć pracowników na niwie umysłowej do jakiegokolwiek należeli kierunku i pozostawił zapiski o mężach najrozmaitszych kategorii; występują więc: poeci, prawnicy, lekarze, filologowie, teolodzy, astrologowie, artyści, nawet niektórzy wojownicy ówczesni i dawniejsi. Życiorysy te nie tyle są biografiami wykończonemi, ile raczej charakterystykami onych ludzi z dołączeniem uwag o ich postawie i powierzchowności. Lubił *Filip* poezję: wielbiciel *Dante'go*, zajmował we Florencyi (od 1401 lub 1404) stanowisko jego komentatora, jako następcy *Boccaccia*. Nie łatwo też szafował nazwą poety; w dziele swém biograficznym wprowadził nawet rozdział *de Semipoëtis* „o pół-poetach”; imieniem tém oznacza wszystkich, którzy pisali już-to wierszem, już prozą oraz tych, którzy oprócz prac zawodowych ogłaszali poezye, lecz tylko łacińskie; do takiej jednostronności doszedł potomek kronikarzy włoskich i objaśniacz Boskiej Komedyi,— zresztą, jak wiemy, w duchu *Dante'go* (ob. str. 27—28).

Pomimo takie przekonania, nie wykluczał przecież *Filip* poetów piszących po włosku; owszem, w charakterystykach znalazł miejsce niejeden z nich, np. *Zanobi da Strada* (1312—1361), mąż, podług *Filipa*, „dziewiczej niemal piękności”. Podobnie jak *Petrarka* uczczony

był Zanobi wieńcem poetyckim; *Filip* i inni dzielający jego zapamiętania uważali jednak Zanobi'ego za odstępcę, ponieważ otrzymał wieniec nie od miasta Rzymu, jedynie uprawnionego nadawcy, lecz został uwieczony, on, „wychowanek Muzy auzońskiej, przez króla barbarzyńskiego” (Karola IV). Przedtem żył w przyjaźni z *Petrarką*, był zaszczycony wielu jego listami i niejedną pochwałą; teraz nie zdołała uchronić Zanobi'ego od potępienia ani wierność poglądom Odrodzenia, ani obrona żądzy sławy i zaszczytów, ani tłumaczenie pisarzy świeckich i kościelnych (oprócz np. Snu Scypiona przełożył dzieła treści moralnej Ś. Grzegorza). Od tego potępienia i my nie możemy ocalić poety; chociaż bowiem to i owo wiadome nam o wypadkach jego życia i stanowiskach przezeń zajmowanych, jednakże nie zachowało się nic z jego poezyj; zaginęły one w skutek nieprzyjaznych okoliczności czasu, lub też, jak głosi stare oskarżenie, z winy krewniaków.

Daleko więcej niż *Zanobi da Strada* zostawił po sobie *Bonifacy degli Uberti*. O życiu jego natomiast posiadamy szczegóły nader niedostateczne. Główne jego dzieło: *il Dittamondo* (Opisanie świata) jest świadomym naśladownictwem *Dante*go: wędrowka po świecie widomym zamiast po niewidzialnym; przewodnikiem *Dante*go jest *Wergiliusz*, *Uberti*'ego *Solinus*. Podobnie jak *Dante* nie jest i *Uberti* wyłącznie uczonym, pragnącym jedynie nauczyć; i u niego przeważa tendencja moralna. O sobie samym powiada, że pragnie z drogi występku wejść na drogę cnoty, i nie daje się odwieść od tego postanowienia chwalebne ani pustelnikowi *Pawłowi*, ani stariej *Laidzie*; w równy sposób radby wskazać światu jego grzechy i skłonić go do nawrócenia. Z przyczyny takiej dążności jego opisanie ziemi i historią świata (historja i geografia idą w tém dziele ręką w rękę więcej aniżeli wypadają) zapelniają obficie uwagi moralne; niekiedy zjawiają się z konieczności niejako, mianowicie gdy autorowi nie dopisuje wiedza; tak np. pytanie o położeniu *Raju* zbywa *Solinus* odmalowaniem szczęścia i niewinności pierwszych ludzi, ponieważ autor nie umiał dać odpowiedzi zaspakajającej. Ale nie brak też i żywiołu ściśle pouczającego. Opisowacz zaczyna od *Azyi*, przechodzi następnie do *Europy* i z widocznym upodobaniem zatrzymuje się dłużej na miejscach w starożytności sławnych, a przez tę sławę niby uświęconych. Rozprawia z uznaniem o *Paryżu*, a wspominając o stanie *Francji*, wykazuje znajomość języków, gdyż kuryerowi każe mówić po *francusku* a *pielgrzymowi* po *prowansalsku*. Wymienia także *Niemcy*, ale jako *Włoch* nie może się powściągnąć od wycieczki przeciw złemu życiu *barbarzyńców*, a jako uczony—od wyjaśnienia etymologicznego *Toryngii* łacińskiem *terra dura*; nie skąpi jednak czasem i uwag pochlebnych, tak np. wychwala *Bawarów* za wierność swym

panom i za bieglność we władaniu orężem. Żaden pisarz, dotykający średniowiecznej historii Niemiec, nie może pominąć milczeniem sporu cesarza z papieżem i nie może uniknąć wypowiedzenia własnych na tę walkę zapatrywań. *Uberti* omija tę trudność krótką jeno wzmianką o *Fryderyku I*, przyczem, aby oznaczyć pierwszy rok jego rządów 1152 = MCLII, posługuje się niepoetyczną igraszką: *In M un C duo I con uno elle*; o *Henryku IV* wyraża się wprawdzie, że był pierwszym królem wyklętym, lecz dodaje zaraz, iż lepij o przyczynach nie wspominać. Okazuje się natomiast prawym pisarzem wieku XIV, gdy, mówiąc o Awinionie, nietylko uwydatnia, jak niesłusznie papież, że zaniedbują Italię, lecz gromi też surowo grzechy papieństwa wogóle. Nagany tego rodzaju są dowodami oburzenia rzeczywiście pobożnego, a nie znamionami bynajmniej przekonania bezreligijnych. *Uberti* bowiem jest człowiekiem bogobojnym: odwiedza szkoły i kaplice, opisuje chętnie miejsca święte. Jednakże i starożytności oddaje cześć niemal taką, jak chrześcijaństwu. Rozprawia o Rzymie obszernie i ze znajomością rzeczy, a ponieważ widział niejedno jeszcze, co wkrótce znikło z oblicza ziemi, kreśli więc obraz nie bez wartości archeologicznej. W opisie Rzymu uderza przedewszystkiem uszanowanie dla tego miasta, cechujące właśnie wszystkich mężów renesansu: Rzym sam, czcigodna matrona, objaśnia wędrowcowi swoje pomniki i opowiada swe dzieje, objawia się sama—owa matrona—w prawdziwej swój wielkości *che comprender potrai quanto fui bella*, „abyś zrozumiał, jak niegdyś byłam piękna”.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Kuźma Medyceusz (Cosimo de Medici).

Wpóśród mieszczan florenckich, którzy przyłożyli się wielce do zaszczerpienia kultury renesansu w mieście ojczystém najwybitniejsze miejsce zajmuje *Kuźma Medyceusz*. Zasłużył się on nietylko jako współpracownik w sprawie szerzenia nowój kultury, lecz także jako założyciel rodu, który przesławną działalność rozwijał daleko po za granicami jednego grodu.

Ojcem jego jest *Jan Averardi*, z przydomkiem *Bicci*, zamożny kupiec florencki. W skutek bogactwa zajął on w mieście handlowém, do którego należał z urodzenia, stanowisko niemal książęce, a podwójne to stanowisko księcia i kupca przekazał w spadku rodzinie. Stanowisko takie stanowi zjawisko w swoim rodzaju jedyne: spotykamy je tylko we Florencyi i przypadło w udziale tylko *Medyceuszom*.

Kuźma urodził się 1389 r. w dzień ŚŚ. Kuźmy i Damiana. Na cześć świętego patrona dnia swych urodzin otrzymał imię *Cosmus*—chrześcijańskie, ale klasycznie brzmiące; było ono niby wróżbą własnej jego istoty i istoty epoki, zdumiewającej osobliwszém skojarzeniem pierwiastków chrześcijańskich ze starożytnymi. Świetne wychowanie uzdalniało go do zostania uczonym, gdyby się nie był urodził na kupca i księcia. Młodzieńcem wyjechawszy z ojcem na sobór konstancyeński, będący raczej zjazdem przedstawicieli całej Europy aniżeli zgromadzeniem kościelném, poznał tu zabiegi świata; zaznajomił się także z papieżem *Janem XXIII*, który już jako *Baltazar Cossa* zostawał w stosunkach z *Medyceuszami*, a później jako książę Kościoła

z tronu złożony, przepędzał u nich i z nimi dni żywota we Florencyi, gdzie też zamknął oczy. Następnie zmuszony olbrzymimi obrotami i stosunkami kupieckimi swego domu, *Kuzma* odbywał podróże; przez małżeństwo z hrabiną *Bardi* wszedł w związki z rodem znakomitym i poważanym; 1429 r. po śmierci ojca stanął samoistnie na czele interesów, — a zarazem na czele rządu. Początek tych rządów zakłóciły burze. Wszczęły się bowiem długie i niebezpieczne zatargi z przywódcą partii przeciwniej, z *Rynaldem degli Albizzi*, zatargi, w skutek których *Kuzma* został aresztowany, ale z więzienia umknął i opuścił Florencję.

W lat pięć, 1434 r., wrócił do ojczyzny i odtąd przez lat 30 kierował losami Florencyi nie bez oporu przeciwników, ale bez dotkliwego uszczerbku dla swój władzy. Wypadło mu sterować miastem wśród niebezpieczeństw zewnętrznych; były nimi wojny z *Filipem Maryą Visconti*, ks. medyolańskim, i *Alfonsem*, królem Aragonii. Ponieważ wojskom najemnym, choćby i najlepiej opłacanym, nie dowierzał, przeto musiał żywić nieraz więcej zaufania do swój zręczności dyplomatycznej niż do siły zbrojnej. Na współobywateli nie mógł też liczyć; przechylali się oni ku Wenecyi lub najchętniej trzymali się zdala od polityki, wierni dachowi kupieckiemu swych przodków. *Kuzma*, postępując raczej jako mąż przewidujący, niż jako republikanin i patryota włoski, nie dbał o zgodę ziomków i cel sobie wytknął wyraźny: dążył do zawarcia sojuszu z sąsiedniem państwem włoskiem oraz do pozyskania życzliwości królów francuskich. Państwem sąsiedniem było księstwo *Franciszka Sforzy*, a królami francuskimi, z którymi zawiązał stosunki, byli *Karol VII* i *Ludwik XI*. Brzmi to zaiste dość upokarzająco, kiedy w jedném orędziu Florentczyków do króla francuskiego czytamy: „Ktoby wątpił o naszej przychylności i miłości, o szacunku, wierności i poświęceniu, niechaj rzuci wzrok na miasto nasze. Starcy i młodzieńcy, chłopcy i dorośli okazują, jak żarliwie czczą imię królewskie; same nawet mury o tém świadczą. Bo czyż znajdzie kto w mieście naszym pałac, portyk, teatr, kościół, na którychby nie wymalowano albo nie wyciosano lili lub gołęf królewskich? Wedle zdania naszego byłoby nietylko niewdzięcznością, ale zbrodnią i bezbożnością, gdybyśmy sprzyjali temu, kto staje w poprzek pragnieniom monarchy tak nam życzliwego”. Inne znowu pismo głosi: „Cześć tę zaszczerpiła każdemu Florentczykowi natura sama; pozostają więc dwie tylko możliwości: albo imię florenckie zaginie do szczytu, albo w sercach naszych tkwić będzie niezapomniana przychylność dla honoru i sławy, dla blasku i potęgi tego tryumfującego domu; my albowiem zawsze spojieramy nań, jako na szczególną i jedyną ucieczkę naszą, pocieszenie nasze i nadzieję naszą”. Atoli takie i tym podobne wynurzenia nie dają prawa do zupełnego potę-

pienia polityki *Kuźmy*. Z jednej bowiem strony podług zwyczajów dyplomatycznych wszystkich czasów nie odzwierciedlają one bynajmniej przekonauń rzeczywistych, z drugiej zaś służą za jeden dowód więcej, jak ówczesne państwa włoskie bez żadnego baczenia zawierały chętnie przymierza z mocarstwami obcemi, niebezpieczne dla wspólnej wszystkich ojezyny. *Kuźma* niebezpieczeństwo takie przeczuwał; nie przyjął też sojuszu formalnego, ofiarowanego przez Francję, oraz realnych dowodów zyczliwości, ale nie posiadał dość siły, aby się oprzeć potężnemu naciskowi przesądów epoki. Trzy złote lilie w polu lazurówem, któremi się *Wawrzyńcic* w swych *Ricordi* przechwala, przyjęła rodzina *Medyceuszów* od Francyi do swego herbu dopiero 1465 r., a więc po śmierci *Kuźmy*.

I w sprawach wewnętrznych działał *Kuźma* na podobieństwo onych licznych tyranów tamtoczesnych. Miłością powszechną się nie cieszył. „Choroba jego — czytamy w jednej relacyi poselskiej — dodaje odwagi wrogiem jego”; ale kiedy był zdrow i silny, występował stanowczo przeciw nieprzyjaciolom. Nie cofał się przed mordem, używał środków gwałtownych, bogatych i znakomitych uciemiezał podatkami do tego stopnia, że niektórzy, jak np. słynny *Gianozzo Mannetti*, poszli z torbami. „Podatki — mówi *Guicciardini* — zastępowały miejsce sztyletów”. Faworyzował wprawdzie swych stronników i przyjaciół, między którymi pierwsze zajmowali miejsce *Lukasz Pitti* i *Neron Capponi*, ale pilnie zważał, aby i ci nazbyt nie spoteężnieli. Urządzenia republikańskie, jak np. wybór czy też mianowanie urzędników przez lud, istniały tylko na pozór. Wynosił więc albo raczej dozwalał wynosić na wysokie stanowiska ludzi miernych, ale bezwzględnych swych popleczników, jak np. owego głupkowatego bogacza, który, nie umiejąc się zachować w nowem dostojenstwie i prosząc *Kuźmy* o wskazanie sposobów postępowania, otrzymał od niego zwięzłą odpowiedź: „przyodziej się strojnje, a mów mało”. Umiał bo ładnie mówić, wyśmienicie szydzić i drwić, jak przystało prawdziwemu Florentczykowi; w gruncie wszelako odznaczał się surową powagą; zabaw i czezych rozrywek nie lubił, co najwyżej niekiedy z upodobaniem siadał do partyi szachów, ale próżniaczych krotocwilników, kuglarzy i błaznów na dworze swym nie znosił.

Sprawę kultury swego czasu popierał żarliwie, entuzjastycznie nawet. Odznaczał się szczególnie namiętnością budowania. *Michelozzo* i *Brunelleschi* byli głównymi jego architektami. Dźwigał pałace i wydawał olbrzymie sumy na dzieła sztuki; ulubioną rezydencję, willę Careggi, urządził jako miejsce rozrywek, któremu żadnej nie brakło ozdoby. Podług świadectwa *Wespazjana Bisticci*, który go znał dobrze, „posiadał głęboką znajomość pisarzyw łacińskich, chrześcijańskich i pogańskich”. Najprzedniejszemu jego dziełem, dokona-

ném dla krzewienia studyów, było założenie biblioteki. Ponieważ nie wiodło mu się z zakupem rękopisów, przeto, zaopatrzywszy się w spis sporządzony przez późniejszego papieża *Mikołaja V*, wspierany przez wymienionego powyż *Bisticci'ego*, kazał małej armii 45 pisarzy przepisywać stare kodeksy; tym sposobem w ciągu 22 miesięcy zgromadził 200 tomów. Znajdowały się tam konkordance biblii z komentarzami, greccy i łacińscy ojcowie Kościoła, jak Orygenes, Ś. Ignacy, Ś. Bazyli i Ś. Grzegorz, oraz średniowieczni ojcowie kościoła: Tomasz z Akwinu i Albert Wielki; z pomiędzy starożytnych filozofowie, jak Arystoteles ze swymi komentatorami; w wielkim wyborze poeci łacińscy; mówcy i historycy greccy i rzymscy. Nie zbywało i na autorach nowszych. Ale obok *Elegantiae Valli* stali spokojnie *Papias* i *Ugutio*, jak gdyby otechła cała nie dzieliła tych autorów, zaledwie kilka setek lat od siebie odległych.

Kuźma przykładem własnym zdziałał daleko więcej, niż humaniści gwałtowném nawoływaniem; dokazał tego, że niechęć, jaką ku nowym studyom żywiły niektóre jeszcze znakomitości, do cna znikła a powszechna żarliwość współzawodnicza zastąpiła panującą przed tém obojętność. Jakoż wróg *Kuźmy*, *Rynaldo degli Albizzi*, pragnął prześcignąć go w gorliwości około nauk i powodował się, co prawda również myślą, aby mu także szkodzić w literaturze, jak i w życiu i dlatego własnoręcznie przepisał paszkwil *Filelfa* na *Kuźmę*; *Roberdi Rossi* kopiował rękopisy i tłómaczył niektóre dzieła Arystotelesa *Palla da Strozziego* pociągnął do badania starożytności późniejszy papiież *Mikołaj V*; *Leonard da' Dati*, *Lapo da Castiglionchio*, tłómacz *Plutarcha*, okazywali wielką wytrwałość w zamiłowaniu i uprawie studyów klasycznych.

Nakoniec lubił *Kuźma* otaczać się uczonymi fachowymi. Postępował zaś w tym razie nie jako chępliwy swém stanowiskiem lub bogactwami mecenas, znajdujący upodobanie w kole ludzi inaczej ukształconych i pragnący czerpać łatwą przyjemność z ciężkiej ich pracy. Przeciwnie! zachowywał się jako towarzysz, który poczytuje sobie za zaszczyt, iż może hojnie nagradzać pracę umysłową, który mimo godności książęcej dumny jest z tego, iż uczeni stawiają go na równi ze sobą.

Jednakże studia klasyczne, obcowanie z ideami starożytnych i życie wśród tych idei nie zrobiły zeń bynajmniej poganina. Owszem, lubił zaznaczać, że jest ebrześcijaninem. Na obrazie *Aleksandra Botticelli*, przedstawiającym pokłon trzech królów, został odtworzony w postawie pobożnej. Posługiwał się chętnie zwrotami biblijnymi; raz np. rzekł pewnemu posłowi, aby napisał swemu panu „to tylko, co Marya i Marta powiedziały Jezusowi: Pauiel oto ten, którego miłujesz, choruje”, czém przynaglił tegoż posła, że tracił w ton podo-

bny: donosząc bowiem o *Kuźmie*, wyraził się: „Chwilowo serce faraona zakamieniało”. Nietylko był przekonany, ale i czuł potrzebę, że z Bogiem swym powinien na dobrej zostawać stopie; posiadał wiarę we władzę i niezawodny udział Boga w rządach świata. Wzmiankowany powyżej poseł przytacza jakoby przez *Kuźmę* wyrzeczone zdanie: że „jedna z największych wątpliwości, podkopujących wiarę a może i największa nawet, z jaką się na tym świecie spotyka, polega na tém, że Pan Bóg pozwala tak długo żyć ludziom występny i oszustom; ale powołał się na owe słowa *Cezara* i *Sallustjusza*, że im późniejszą jest kara, tém zwykle większą bywa jój dotkliwość”. (Jest to zaiste charakterystycznem ze względu na męża renesansu, że dla poparcia zdania religijnego przyzywa świadectwa pisarzy pogańskich). Ażeby swych przekonañ religijnych czynem dowieść, wznosił z wielkim nakładem kościoły i klasztory, urządził instytucje duchowne i dobroczynne, nietylko we Florencyi, ale dla korzyści Florentczyków i w odległych miastach, np. w Paryżu i Jerozolimie.

Jak żył pobożnie, tak i umarł ze spokojnem sumieniem, spoglądając wdzięcznem i zadowolnionem okiem na swe potomstwo, 1 sierpnia 1464 r. Zaszczytny przydomek „ojca ojczyzny” otrzymał po śmierci mocą uchwały rządu. Nie mniej téż zaszczytna jest odezwa *Marsyliusza Ficino*, poświęcona zmarłemu w liście do młodego *Wawrzyńca* (podług przekładu Reumonta): „Mąż pełen rozumu, wobec Boga pobożny, sprawiedliwy i wspaniałomyślny względem ludzi, we wszystkim, co dotyczyło jego własnej osoby umiarkowany, w sprawach prywatnych zabiegliwy, ale w publicznych jeszcze starowniejszy i przezorniejszy. Żył nie dla siebie tylko, lecz dla służby Bogu i ojczyźnie. Nie prześcignął go nikt ni w pokorze, ni w umyśle wzniosłości. Lat dwanaście toczyłem z nim rozmowy filozoficzne i poznałem, że był równie bystrym w dyspacie, jak mądrym i dzielnym w czynach. *Platonowi* zawdzięczam wiele; *Kuźmie* zawdzięczam nie mniej. On pokazywał mi niejako w praktycznem zastosowaniu cnoty, których idee wystawił mi przed oczy *Platon*. Czasu był tak cheiwym, jak *Midas* złotą; mierzył dni i godziny, a skarżył się na stratę minut nawet. W ciągu żywota całego, mimo zatrudnienia sprawami najpoważniejszymi, zajmował się filozofią i za przykładem Solona poświęcał się jój więcéj, niż kiedykolwiek w dni owe, kiedy przechodził od cienia do światła. Jak wiesz przecieć, ponieważ byłeś obecny, nakrótko przed zagaśnięciem czytał jeszcze ze mną księgę *Platona*: O jedynéj zasadzie rzeczy i o dobru najwyższém; rzekłbyś, iż pragnął pójsć używać dobra w rzeczywistości, którego zakosztował w rozmowach”.

Ficino jest tylko jednym z najprzedniejszych w kole literackim, które się skupiało około *Kuźmy*; oprócz niego byli uczestnikami jeszcze: *Niccoli* i *Mannetti*, *Traversari* i *Marsuppini*, *Bruni* i *Poggio*.

Mikołaj Niccoli nr. 1364, zm. 1437. Miał być kupcem, jak i ojciec; dopiero więc po śmierci jego mógł uczynić zadość swym skłonnościom naukowym i literackim. Bogactw odziedziczonych używał dla dobra innych: wspierał ludzi młodych, wyprawiał podróżników dla gromadzenia rękopisów i starożytności. Rękopisów zebrał tyle, iż umierając, zostawił 800 kodeksów; nie uczynił ich wszakże ani własnością rodziny, ani jakiegś jednostki, lecz postanowił, aby tworzyły bibliotekę publiczną, dla wszystkich dostępną. Przedmioty starożytności rozstawiał około siebie, lubił przesiadywać wśród świadków i świadectw wielkiej przeszłości, w czystej białej szacie, przy wyszukanej zastawie stołu, rozkoszując się wykwintną wonią i wytwornym smakiem potraw i napojów, oceniając wszystko estetycznym swym zmysłem; posiadał zaś zmysły tak wykształcone, „że nie znosił ani ryczenia osła, ani zgrzytu piły, ani pisku myszy”. Istny to, wspaniały obraz starożytności (*a vederlo in tavola così antico come era, era una gentilezza*). *Niccoli*'ego trzeba sądzić na podstawie relacji jego przyjaciół i współczesnych (pierwsze z przytoczonych orzeczeń pochodzi od *Gianozza Mannetti*, to ostatnie od *Wespazyana da Bisticci*); sam bowiem nie pozostawił, nie ogłosił, ponieważ zawsze był niezadowolniony z tego, co napisał; mówił rzadko, a jeżeli mówił, to dobrze i pięknie. Jednakże doniesienia o nim współczesnych nie są z sobą zgodne. *Leonard Bruni* np. poświęcił mu był swą biografię *Cicerona* i pisał doń: „Do kogóż miałbym się zwrócić, jeśli nie do ciebie, który celujesz tak wielką znajomością literatury łacińskiej, jak mało kto w czasach naszych”; a później obsypywał go obelgami, mówiąc o nim: „nigdy nie zdołał napisać dwu dzieł łacińskich, z przyczyny nieznamomości języka, mialkości rozumu i stępienia umysłu rozwiązłością” (zarzucano mu mianowicie, że bratu porwał dziewczynę i z nią żył). Wiadomości tego rodzaju nie są wolne od zawiści; sam też *Niccoli* unosił się nieraz w gwałtownych wyrażeniach z zawiści względem uczonych, których się lękał, aby mu nie wydarli pierwszeństwa umysłowego. Zamiast owych relacji sprzecznych posłuchajmy raczej opisów, przedstawiających *Niccoli*'ego w obcowaniu z uczniami jego, którzy byli zarazem i uczniami humanizmu. „Kto nie był u *Niccoli*'ego, jakby nie był we Florencyi”; zdanie to znamionuje sposób myślenia cudzoziemców, czasowo we Florencyi bawiących, jak i obywateli florenckich. Cisnęła się około niego młodzież; miał zawsze 10 lub 12 młodzieńców przy sobie, tworzących pewien rodzaj uniwersytetu wolnego; słuchali oni wykładów już to samego *Niccoli*'ego, już znakomitych profesorów, zapraszanych dzięki jego staraniom do Florencyi. Nie wyczekiwał jednak, aż sami przyjdą, ale uczniów wyszukiwał i znajdował w tém zaszczyt, że próżniaczych birbantów, trwoniących czas na rozkoszach, przedziergał w skrzętnych pracowników i żarliwych adeptów nauki.

Te studia naukowe bywały często dość powierzchowne, ponieważ miały więcej na celu literę niż treść rękopisów; grzeszyły także jednostronnością, gdyż wyłącznie zajmowały się starożytnością. Tylko poetów staro-rzymskich, historyków i mówców poczytywał *Niccoli* za godnych uwagi; natomiast już *Alcimus Avitus* (poeta chrześcijański, zm. 523) i senator *Kassiodor* (dziejopis, gramatyk i dyplomata, zm. około 570 r.) są-to dlań „czcze mary, których nawet uczony średniej miary czytaćby chyba nie pragnął”; pisarzów nowszych wprost lekceważy. *Niccoli* jest w części źródłem nienawiści ku językowi ojczystemu, ponieważ uprawa jego przynosi jakoby uszczerbek umysłowi klasycznie ukształconemu; on jest przyczyną tak silnie charakteryzującej większość nawet florenckich humanistów wieku XV niechęci ku twórcom humanizmu we Florencji, ku *Dantemu*, *Petrarce* i *Boccaccio*'wi, nie dlatego jeno, że nie osiągnęli jeszcze prawdziwej klasyczności, ale dlatego, że pismami włoskimi wystawiali jakoby na szwank sławę pozyskaną pismami łacińskimi. O *Dantem* nie wiedzieć nie chce, ponieważ według niego, nie może być poetą ten, kto łaciny nie rozumie; o *Boccacciu* mówi mało; najwięcej do zarzucenia ma *Petrarce*, „choćaż wie, że wkracza tém na tory niebezpieczne”. Gani jego Afrykę; dzieło to jest *ridiculus mus*, urodzona po długim pologu; różnica między *Petrarką* a Wergiliuszem polega, powiada, na tém, że poeta rzymski rzuca światło jasne na rzeczy i ludzi nieznanych, włoski zaś w swém przedstawieniu do niepoznania zatarł rysy *Scypiona Afrykańskiego*, jednego z najbardziej znanych mężów; jego poemat bukoliczny nie maluje życia prawdziwie pasterskiego, a jego mowy ujawniają wszystko, oprócz sztuki krasomówczej.

W jedném tylko zgadzał się *Niccoli* z poetą, przez się nicowanym, a mianowicie w tém, że badanie naukowe iść powinno ręką w rękę z uczuciem religijném; mimo bowiem wiary we wróżby i prorocstwa zalecał się pobożnością, bronił nieśmiertelności duszy i życie swe prawowierne i dobre spędzone zakończył śmiercią bogobojną. W pokoju, w którym leżał chory, urządził ołtarz a przy nim codzień odprawiał msze *brat Ambroży*, słuchał nabożnie listów Ś. Pawła i wespół z otaczającymi budujące prowadził rozmowy.

Niccoli jest wzorem obywatela bogobojnego, żyjącego jeno dla siebie i dla nauki, jego zaś biograf, *Giannozzo Mannetti* (ur. 1393, zm. 1459) jest ideałem wiernego urzędnika, który rzetelném wykształceniem i surową pobożnością wzniosł się do wysokości moralnej doskonałości. Bywał namiestnikiem w różnych posiadłościach Florencji, z polecenia swego miasta załatwiał często sprawy najnieprzyjemniejsze. Jednakże mimo postępowania, wręcz przeciwnego dążeniom podbitych do samoistności, mimo nieprzedajności i bezstronności, która bodaj wszystkim partyom narazić go mogła, zdobył sobie taki

szacunek i wziętość u wszystkich fakcyj, że po upływie terminu urzędowania chciano go zatrzymać i nadal, a gdy życzenia prowincyi nie zostały uwzględnione, uczczono go kosztownymi podarunkami. I w innych sprawach, np. podczas spełniania poselstw do Wenecyi, Rzymu i *Alfonsa*, króla neapolitańskiego, nader gorliwie i skutecznie reprezentował interesa swój ojczyzny, czuwał troskliwie nad jej honorem, ale odrzucał dowody sobie osobiście okazywanej życzliwości. Roztropną przezornością zjednał sobie przydomek proroka a mowami i układami wielką sławę. Bo był to mówca przedziwniej siły i zręczności. Dzięki talentowi krasomówczemu i wielkiej uczoności mógł wypowiedzieć bez przygotowania mowę cytatai najeżoną, co było ulubionym wówczas zwyczajem. Wyrażał się równie dobrze w języku łacińskim, jak włoskim, ale język uczonych do tego stopnia stawał wyżej, że spisywał zawsze treść po łacinie, ilekroć miał mówić po włosku; świetnością mów tak dalece imponował dość wybrednemu w tym względzie *Mikołajowi V*, iż papież kazał je stenografować.

Ochoczością do występów publicznych i uczestnictwem w sprawach państwa różnił się *Mannetti* od *Niccoli'ego*, lubiącego spokój i zacisze domowe. Nie był też jak tamten przeciwnikiem języka włoskiego, ani przyganiał bohaterom literatury narodowej; owszem, napisał pochwalne biografie trzech mężów, tak ostro przez *Niccoli'ego* gromionych. Był mu jednak podobien z surowej pobożności. Wiara chrześcijańska — zwykł był mawiać — nie jest wcale wiarą, lecz pewnością a nauka kościoła tak prawdziwa jak twierdzenie matematyczne. Ażeby naukę tę zgłębić i bronić jej przeciw inaczej wierzącym, dowodu bowiem prawdziwości dla niego nie potrzeba było, wyuczył się hebrajszczyzny, szukał w pismach hebrajskich wskazówek i przepowiedni o nauce Chrystusa, pisał przeciw żydom jako niewiernym, którzy z przyczyny niewiary zasłużyli na swój los smutny, przełożył psalmy i bronił zasad tłómaczenia, jakich się trzymał. Pośród tylu wielostronnych zajęć, którym nie można odmówić pewnej wzniosłości, miał jeszcze dość czasu i chęci zajmować się drobnostkowemi kwestyami teologicznemi i rozstrzygał je w sposób nader surowy i bezwzględny; tak np. wyłączył od zbawienia dzieci zmarłe przed przyjęciem chrztu, ponieważ zasługi Chrystusa nie są skuteczne dla tych, którzy nie przyjęli jeszcze pierwszego sakramentu.

Takie wyrokowanie mogłoby zadziwiać w *Mannetti'm*, człowieku świeckim, ale byłoby zupełnie naturalnem w słudze kościoła, mnichu *Ambrożym Traversari* (1386—1439), późniejszym (od 1431) generale zakonu kamedułów. Mimo to przecież *Traversari* nie był bynajmniej tylko teologiem ascetycznym. Przeciwnie. Kapłan nadzwyczaj wpływowy, brał czynny udział w zabiegach świata a zwłaszcza w ważnych sprawach kościoła, pracował nad utrzymaniem w zakonie wiel-

kiej pobożności i usunięciem nadużyć. Jednak już w tej działalności publicznej objawiał osobliwą połowiczność. Zachęcał papieża do reform, ale sprzeciwiał się potem każdej, kiedy chodziło na seryo o wprowadzenie jej w czyn, i Bazyleę, gdzie się odbywał Sobór, mający przecie mniemanym jego pragnieniom zadość uczynić, nazywał Babilonem zachodnim (wyrażenie używane niekiedy i na oznaczenie Rzymu brzmi nieco dziwnie w ustach książećcia kościoła); zgromadzonym tamże dla narad rozsądnych nadał miano *irrationabilia monstra*. Był wszelako tak próżny i niesumienny, że główny udział w tém, czego dokonano w Bazylei, przypisywał sobie, a więc wpłynął niby na rezultaty wielkiego pojednania kościołów łacińskiego i greckiego, oraz na inne doniosłego znaczenia wypadki w obrębnie spraw kościelnych. *Traversari* posiadał rozległą naukę. Gruntowny znawca greczyzny, pomagał niejednemu z przyjaciół, mniej w nowej nauce biegłemu; mając bogaty zbiór rękopisów świeckich autorów greckich (w samą Wenecyi zgromadził ich 238), był użyteczny i dla uczonych; uczył się i hebrajszczyzny—pierwszy może mnich, który to czynił w czasach nowszych. A jednakże mimo to wszystko ustawiczną sam z sobą toczył walkę, czy zatrudnieniem świeckiem nie przynosi ujemy swęj godności duchownej, czy zamiłowaniem pisarzów pogańskich nie zaszkodzi zbawieniu duszy. Ścierają się w nim, jak trafnie wyrzekł *Jerzy Voigt*, zasady chrześcijańskie i zachcenia pogańskie, mnichostwo i naukowość. Wobec papieża zachowuje całą pokorę, wyrzeka się zaszczytów świata, ale w celi swojej roi sobie wielką przyszłość, widząc się może ozdobionym purpurą kardynalską. W objazdach urzędowych wizytuje surowo i sumiennie każdy klasztor, a dziennik swój zapelnia starannemi i obszernemi sprawozdaniami o stanie, w jakim je znalazł; obok tego miał atoli tajną rubryczkę dla wiadomości o bibliotekach, które ochoczo przeglądał. Przeraża się, kiedy do jego listów lub pism innych wślizgnie się wiersz świeckiego poety łacińskiego, ale bez żadnego skrupułu z lekliwą niemal troskliwością baczy na to, aby te same listy i pisma były napisane według najściślejszych prawideł języka łacińskiego. Kiedy niektórzy przyjaciele zaproponowali mu, aby przetłómaczył na język łaciński wiadomości *Dyogenesa Laercyusza* o sławnych filozofach, znalazł się w położeniu trudnym; prosi więc o radę przyjaciół uczonych i pobożnych—pozornie, aby tę trudność usunąć, w rzeczywistości zaś, aby usłyszeć od nich to, czego pragnęło serce. Jedni go namawiają, by się wziął do dzieła, drudzy radzą, by unikał pokusy. I cóż? mnich dokonywa pracy wśród częstych wyrzekań na niebezpieczeństwo roboty i ludzi samego siebie, że dzieło jest przecieć moralne, że młodym duchownym może być pożyteczne i zbawienne, ale uświadamia sobie zarazem, że przekładem tym staje na równi z resztą humani-

stów współczesnych, którzy, nie będąc duchownymi, nie potrzebowali też walczyć z wymaganiami urzędu kościelnego.

Trudno sobie wyobrazić większą różnicę, niż między *Ambrozjym Traversari*, człowiekiem głębokiej i czystej pobożności, a *Karolem Marsuppiini d'Arezzo*, jawnym poganinem. A jednak obaj byli członkami tegoż samego koła. *Karol Aretino*, jak go często nazywają od imienia grodu Arezza, miejsca urodzenia wielu znakomych mężów w epoce humanizmu, umarł (24 kwietnia 1463, ur. około 1399) „bez spowiedzi i komunii, jako niedobry chrześcijanin”; jednakże w skutek tego nie ucierpiał nic ani na szacunku, ani na sławie u współczesnych; wyprawiono mu nawet pogrzeb chrześcijański i wzniesiono piękny nagrobek w kościele Ś. Krzyża we Florencyi. Znał on autorów starożytności greckiej i rzymskiej, a obdarzony wyborną pamięcią, cytował ich, zdumiewając współczesników, nawykłych przecież do tego rodzaju błyskotliwej uczoneści. Jako nauczyciel i kanclerz miasta Florencyi był wychwalany i lubiany, jako znawca greczyzny tak ceniony, że papież *Mikołaj V* wezwał go do Rzymu dla dokonania przekładu *Homera*. Propozycyi *Aretino* nie przyjął, a z *Homera* przetłumaczył jeno ułamki. Odznaczał się skromnością; dla wielkich mężów starożytności żywił cześć nadzwyczajną; nie skąpił jej także i prawdziwym znakomitościom współczesnym; powagę *Niccoli'ego* np. stawiał tak wysoko, że króciutkiem zdaniem: „on to powiedział” zagłuszał wszelką wątpliwość, jaką podnosili inni lub on sam żywił w myśli. *Karol d'Arezzo* między wiernymi *Medyceuszom* był najwierniejszym, towarzyszył obu braciom na wygnanie, miał odwagę stanowczych opinij politycznych i swobodnych przekonań religijnych.

Karol d'Arezzo wygłosił mowę pogrzebową nad zwłokami nie mniej słynnego Aretyńczyka *Leonarda Bruni'ego* (ur. 1369, zm. 9 marca 1444). *Leonard* dzieckiem widział najslawniejszego Aretyńczyka, *Petrarkę*, później mężem obwieszczal jego chwałę. Chociaż sam uznawał się niższym od wielkiego ziomka, pod jednym wszelako względem nad nim górował. Gdy bowiem *Petrarka* w ciągu całego żywota, mimo chęć gorącą, nie zdołał sobie przyswoić języka greckiego, *Leonard* tymczasem już w młodych latach miał szczęście słuchać *Emanuela Chrysolorasa*, jednego z pierwszych Greków naukowo wykształconych. Stało się to wówczas, kiedy *Chrysoloras*, wezwany do Florencyi (1396) za podniętą dwu żarliwych wielbicieli starożytności, *Roberta de Rossi* i *Jakóba d'Angelo de Scarparia*, przybył tu, chęcią palając nauczania innych języka ojczystego.

Apostoł ten nowej wszechświatowej potęgi duchowej wywołał swém ukazaniem się i nauczaniem zachwył dla nas dziś niepojęty i do opisania trudny. Sam *Leonard* podaje najlepszą wiadomość o wrażeniu, jakie sprawił „ten najmędrszy i boski filozof swjej epoki,

ten nauczyciel najmilejszy⁷. Pisze on: „700 lat drzemały w Italii studia języka greckiego; alisci przybył *Chrysoloras*, mąż uczony, nauki bardzo świadom—i studia odrodził. Ja zajmowałem się wówczas jursprudenceją; przeszedłszy już inne nauki, wykazawszy skłonność do studyów charakteru ogólniejszego i zamiłowanie szczególne do dyalektyki i retoryki, powziąłem przekonanie, że postąpiłbym niesłusznie, porzucając swój zawód. Ale kiedy się zjawił *Chrysoloras*, uważałem za zbrodnię pominięcie tak wybornej sposobności, pozwalając nauczycielem się greczyzny. I tak mówiłem sam do siebie: czyż potrafiłbyś rzeczywiście tak nie dbać o samego siebie i nie skorzystał ze szczęśliwie nadarzającej się okazji, kiedy możesz podziwiać *Homera*, *Platona* i *Demostenesa* oraz innych poetów, filozofów i mówców, o których rozpowiadają tak wielkie i cudowne rzeczy; kiedy możesz z nimi rozmawiać i ciekawych rzeczy od nich się nauczyć? 700 lat nie było w całych Włoszech nauczyciela języka greckiego, a przecie przyszliśmy teraz do przekonania, że wszelka umiejętność pochodzi od Greków. Nauczyciela prawa cywilnego zdybiesz w każdym mieście włoskiem, ale gdyby ten jedyny mistrz języka greckiego się oddalił, nie znajdziesz nikogo, ktoby cię mógł uczyć. Z tych więc i innych pobudek zwróciłem się do *Chrysolorasa* z taką namiętnością, że nawet we śnie marzyłem o tém, czego w ciągu dnia na jawie od niego się nauczyłem⁷.

Tymczasem zjednał sobie *Leonard* wielką sławę nie tylko samą znajomością języka greckiego, ale także działalnością polityczną i literacką. W owęj epoce, kiedy sławy pożądano goręcej a obdzielano nią szczerzej niż dzisiaj, prześcignął *Bruni* swym rozgłosem zwykłą miarę do tego stopnia, że w każdym mieście, przez które przejeżdżał, spotykał ludzi, przepisujących jego dzieła, że przybywali do niego czciciele zdala, z Francyi, Hiszpanii, i na klęczkach wielbionemu składali hołdy. Przez lat wiele był sekretarzem papieskim w Rzymie, czas dość długi kanclerzem Florencyi, kilkakrotnie sprawował poselstwa, między innemi do papieża *Marcina V*, którego miał uspokoić co do obiegającego po Florencyi szyderczego o nim wiersza: *papa Martino non vale un quattrino, Braccio valente qui vince ogni gente*. Działalność literacką rozwijał *Bruni* nader rozległą. Pisał listy, mowy, dzieła historyczne, rozprawy filozoficzne, tłumaczenia; prace te zapewniają mu dziś jeszcze poważanie, chociaż nie usprawiedliwiają nadzwyczajnej u współczesnych sławy.

Listy jego, zabarwione indywidualnością, zawierają wiadomości o wypadkach życia i o dziełach, podają opisy miejscowości podczas podróży zwiedzanych, między innemi miast niemieckich, przyczém nie pomija *Bruni* sposobności rzucenia Niemcom obowiązkowo niejako obelżywej nazwy barbarzyńców. Treść żywota jego wypełniają

przedewszystkiem zajęcia naukowe; stąd więc i listy, mające to życie odzwierciedlać, obfitują w uczone uwagi. Spotykamy tam pochwały języków, prócz hebrajskiego, gdyż ten z przyczyny nieokrzescania żydowskiego nie sprawia przyjemności; kwestye językowe i syntaktyczne; badania nad powstaniem i stopniowem wyrabianiem się języka ludowego (włoskiego) z uczonego (łacińskiego); wreszcie wynurzenia wzruszającej czci dla pisarzów klasycznych, rozciągającej się nawet do strony zewnętrznej. *Leonard* celuje pobożnością, boleje nad schizmą, pragnie gorąco przywrócenia jedności w Kościele, ale nie zawsze sprzyja sprawie papieża (pewnego razu wyrzekł wprost, że słucha go raczej z obowiązku przyjaźni, niż dlatego, iżby podzielał jego poglądy); wychwala życie klasztorne, lubo nie jest jego uczestnikiem; odmawia poparcia mnichowi, który zamierzał porzucić klasztor, gdyż nie jego są rzeczą takie *velamenta inconstantiae et vacillationis*; zaleca „studya święte”, które, zgodnie ze swym charakterem, między „trudami słodkimi” są najslodsze.

W listach już ujawnia się patryotyzm *Bruni*'ego; wysławia Italię, dając co prawda pierwszeństwo to jednemu, to drugiemu miastu, względnie do osoby, do której list adresuje; ale w daleko wyższym stopniu uwidatnia się miłość ojczyzny w jego dziełach historycznych. Z pośród nich prace drobniejsze, o ile się nie odnoszą do starożytności jako rodzaj odbłysku autorów klasycznych, poświęcił miastu Florency; z dzieł obszerniejszych jedno traktuje w dwunastu księgach dzieje florenckie do 1404 r., drugie zaś w dwu księgach historię współczesną od 1378 do 1440.

W historyi florenckiej głosi *Bruni* często a niekiedy w miejscach niewłaściwych idee patryotyzmu; wychwala Włochy, sławi Florencę, jęj potęgę, piękność i bogactwo; opromienia blaskiem rodzinne miasto Arezzo, na które, lubo w wielkich wypadkach bierze udział nieznaczny, zwraca szczególną uwagę, zdradzającą nieraz bardziej syna niż dziejopisarza. Uprzedzenie takie nie czyni go przecież niesprawiedliwym; owszem, nie przeszkadza mu wcale kierować się względami słuszności i wogóle sąd zachować bezstronny. Stąd też zachowuje pewną swobodę i samodzielność nawet wobec ukochanej starożytności. Stare bajki bez pardonu odrzuca, nadając wagę wiadomościom historycznym, nie zaś podaniom mitycznym. Również wolnomysłnym okazuje się i pod względem politycznym; nietylko żyje w państwie republikańskiem, lecz i jest republikaninem z przekonania. Nad niewolę — brzmi jego twierdzenie — niemasz nic gorszego dla obywateli, mówi bowiem o obywatelach, nie o poddanych; jest zwolennikiem równości obywatelskiej, szlachty więc nie lubi i nazywa ją raz nieznośną a w innem miejscu za główną jęj wadę poczytuje ambicyę i dumę. Pod jednym tylko względem brak

mu niezależności umysłu i samodzielności: wierzy w przepowiednie; uroił sobie np., że komety są niezawodnymi zwiastunami wydarzeń nieszczęśliwych. Po śmierci papieża *Urbana IV*, czytamy u niego, zjawiała się kometa, a potem nastąpiły wypadki, „które niewątpliwymi świadectwami utrwały starą sławę komety, jako prorokini wielkich przewrotów państwowych”. Pod rokiem 1339 opowiada zupełnie w tonie historyka starożytnego albo średniowiecznego kronikarza: „Mnogie i straszne znaki zwiastowały przyszłe klęski; piorun uderzył w wieżę kościoła, w mury miasta, drasnął bramę i trzech ludzi położył trupem”.

W dziejach współczesnych ogranicza się ściśle do przedmiotu traktowanego. Zaczyna od schizmy, którą na równi z innymi rozumnymi poczytuje za wypadek najopłakańszy a kończy zwycięstwem Florentczyków pod Anghiari 1440 r. Zrobił to umyślnie: mógłby być albowiem zakończyć kilku laty wcześniej albo kilka lat dalej snuć opowiadania. Przewodniczyła mu w tém dobrze rozważona tendencya patryotyczna, widniejąca w zakończeniu: „otóż z epoki burz najniebezpieczniejszych, na którą przypadają narodziny nasze, wyłonił się ostatecznie okres szczęścia i pomyślności ku wielkiej sławie i radości miasta naszego”. Podług niego, wogóle ludzie biorący czynny udział w życiu publicznym powinni spisywać dzieje współczesne; upatruje on w tém zasługę; chociaż bardzo kocha starożytnych, skarży się wszelako, że w skutek braku zapisek z wieku XIV lepiej oto zna *Cycerona* i *Demostenesa* aniżeli historję włoską z przed 60 lat. Osnowę tego rodzaju dziejów stanowią według niego: ludzie znakomici, ważne wypadki i rozwój nauk. Mimo takiego programu dzieło *Bruni'ego* jest dość niedokładne. Dzieje florenckie techną życiem i uczuciem, są pracą, w której spotykamy niejedną próbę obrazowania artystycznego; ale historia współczesna, w której, jak mówi sam autor w jednym miejscu, miały być zaznaczone wytyczne jeno punkta, ale nie pisana historia, nie wznoszą się ponad zwyczajną kronikę. Kiedy np. prawi o soborach w Konstancyi i Bazylei, czyni to suchym tonem sprawozdawcy, podając krótkie wzmianki o uchwałach głównych i rezultatach najdonioślejszych, lecz ani śladu nawet zainteresowania się rzeczami opowiadaniem. Charakteru tego nie zmienia wcale okoliczność, że mówi niekiedy o losach osobistych, o niebezpieczeństwie życia, na jakie się naraził w czasie powstania w Rzymie, o swoim wyborze na decemwira i o stosunkach swych z papieżami. Nawet te wprost z życia wyjęte dodatki nie zdołają techną życia gorącego w martwą całość. Z pomniejszych pism historycznych dwa zasługują na wspomnienie: rozprawa o dziejach greckich z wyraźnie wypowiedzianą tendencyą, „aby niebezpieczeństwa innych były dla nas nauką”, oraz biografie *Dantego* i *Petrar-*

ki; przy całym szacunku dla twórców kultury renesansu nie szczędzi im autor wyrzutów, że życie zapelniali miłością, wyrzekaniami i łaźni, ujmę tym czyniąc prawdziwej godności męskiej.

Gdybyśmy usunęli na bok dzieła historyczne i sądzili *Bruni'ego* na podstawie prac pozostałych, trudnooby nam przyszło zrozumieć uwielbienie, jakim się cieszył w swym czasie; otrzymalibyśmy natomiast zupełnie dokładny wizerunek *Franciszka Poggio*, również autora dzieł florenckich, gdybyśmy nawet nie wzięli pod uwagę jego dzieła historycznego. Praca ta, mająca obejmować historię miasta rodzinnego od początków aż do 1455 r., w rzeczywistości zaś przedstawiająca jedno li stulecie od roku 1350, nie jest bynajmniej doskonałością. Zalety jej polegają na tém jedynie, że jest istotnie współczesną, że napisana stylem pięknym, że tchnie duchem szczerze florenckim. Ale dwie ostatnie zalety są bardzo wątpliwéj natury. Bo oto piękny styl, naśladujący *Liwiusza*, uwiódł autora tak dalece, że staje mu się i wewnątrznie podobien i również jak on „przeobraża tradycyę suchą i bezkrwistą w opowieść bogatą i powabną”; ów zaś duch iście florencki usprawiedliwia epigram *Sannazara*: „w swych pochwałach dla ojczyzny i w potępianiu wroga okazuje się *Poggio* świetnym obywatelem, ale historykiem marnym”. Ze stronniczością historyczną pozostaje dalej w związku brak wiedzy politycznéj. W oczach *Poggia*, a po części i *Bruni'ego*, historię stanowi wyliczanie wojen i bitew, wychwalanie sławnych ludzi, lecz nie kreślenie stopniowego rozwoju konstytucyi, nie charakteryzowanie partyj, które w ciągu lat dziesiątków, ba! w ciągu stuleci całych kierowały losami Florencyi. W skutek takiego zamileczenia, jak słusznie powiada *Machiavelli*, dają owi dziejopisarze obraz stosunków niedokładny, jeżeli nie fałszywy. „Poblądzili oni bardzo — mówi słynny Włoch — i dowiedli, że znali niedostatecznie ambicyę ludzi i żądzę upamiętnienia nazwiska. Iluż to ludzi, nie mogąc się odznaczyć czynami chwalebniemi, zmierzają ku temu celowi drogami haniebnymi! Pisarze owi nie zastanowili się, że czyny, zawierające w sobie zadatki wielkości, co się zdarza w działalności rządzących i państw, przynoszą bodaj zawsze więcéj sławy niż nagany, bez względu na to, jaka natura tych czynów i jaki ostateczny ich rezultat”.

Zganiiony w ten sposób historyk *Franciszek Poggio* urodził się 1380 r. w Terranuovo pod Arezzo, a więc mógłby, jak kilku powyż wymienionych, rościć pretensye do nazwy Aretyńczyka. Wcześniej przywdział on szatę duchowną, ale święceń kapłańskich nie otrzymał; był sekretarzem papieskim pod *Marcinem V*, następnie mieszkał długo we Florencyi, potem za *Mikołaja V* w Rzymie, w 72 r. życia powołany został na kanclerza Florencyi, umarł w kilka lat później 1459. *Poggio* był człowiekiem niespożytej siły żywotnéj. Żył z nałożnicą

i spłodził z niej czternaścioro dzieci. Na zarzut, iż, lubo duchowny, ma dzieci, odrzekł, że przecie jest świeckim, i na uwagę, iż żyje z ową niewiastą w stosunku zakazanym, odparł dość cynicznie: naśladując tylko stare obyczaje kleru. W 1433 r. porzucił swą towarzyszkę, pojął żonę legalną i z małżeństwa tego spłodził jeszcze czworo dzieci. Z całego jego potomstwa rozgłosił swe imię jeden syn tylko.

Poggio jest wszechstronnym i nader wpływowym pisarzem renesansu. Zna gruntownie języki klasyczne i świat starożytny, pisze zręcznie i wytwornie, ma odwagę przekonań w nauce i moralności, w polityce i religii. Z właściwości jego są dwie najcharakterystyczniejsze: nieokiełznana żądza sztydzenia i sporów oraz gorąca miłość dla starożytności.

Skłonność ku szyderstwom widoczna przedewszystkiem w jego *Facecyach*. Jeżeli w pośród wszystkich Włochów mawiano wówczas szczególnie o Florenczykach, że mają „bystre oczy i cięte języki”, to *Poggio* zasługuje niewątpliwie na miano Florenczyka. Rzadko kto obserwował z taką bystrością i opowiadał z tak złośliwem upodobaniem, jak *Poggio*, śmieszności, nedorzeczności i zdrożności swych współczesnych. Chociaż na podobieństwo autorów fraszek wogóle wcielił do swego zbioru niejedną powiastkę wędrowną, nie należącą do żadnej epoki ani do żadnego narodu, gdyż gadki takie zjawiają się wszędzie i zawsze, kreśli jednak zazwyczaj takie, które on sam lub wspólnie z innymi wymyślił w łgarskiej izdebce (*bugiale*) dworu papieskiego, albo zaczerpnął z życia własnego, albo wreszcie zasłyszał od innych, co niedawno się wydarzyło. Spotykamy więc tam osobistości Rzymu ówczesnego, po części i obywateli miasta Florencyi, występujących pod imionami rzeczywistemi lub łatwemi do odgadnięcia po za przejrzystą zasłoną—głupców i lotrów, małżonków oszukanych i niewierne żony, rzadziej ucziwe żony i zalotnych mężów. Już ten rodzaj wyboru i opowiadania znamionuje tendencję *Poggia*; uwydatnia się ona dobitniej jeszcze w tém, że osobami działającemi i przedstawianemi są często księża, zwłaszcza mnisi; opisuje i rzuca na łup publicznego pośmiewiska ich nieuczciwość, nieuctwo, nadętość i nieobyczajność.

Przeciw mnichom tedy zwraca *Poggio* w wielu bardzo razach szyderstwo i, rzec można, gniew swój; częste czyni to w listach, mowach i rozprawach, w których najmniej czegoś podobnego należałoby się spodziewać. W dyalogu „O chciwości” (*avaritia*), gdzie potępia tę wadę w sposób najwłaściwszy, gdy tymczasem jej przeciwieństwa, zbytków i marnotrawstwa (*luxuria*) za niegodziwe nie uważa,—czytamy między innemi: „nie gadajcie mi o owych nieokrzesanych gburach, owych obłudnych i krotchwilnych obieżyświatach, którzy

pod pozorem religii prowadzą życie wskroś próżniacze, którzy innym głoszą ubóstwo i pogardę rzeczy ziemskich, a z kazań takich ciągną dla siebie zyski najobfitsze". Inny dyalog „o nędzy ludzkiej” (*de miseria humanae conditionis*), w którym, jak w większości tego rodzaju utworów *Poggia* i społecznych, występuje w charakterze rozmówcy *Kuzma Medyceusz*, zawiera najostrzejsze słowa przeciw niegodziwym hultajom, przeznaczonym na potępienie wieczne a wyobrażającym sobie, że życiem na pozór ubogiem i nędznem zasłużą na niebo. Nie jest-że wreszcie wysoce energicznym protestem przeciw prześladowczemu duchowieństwu wogóle rozprawa, ujęta w formę listu do *Leonarda Bruniego*, o śmierci *Hieronima z Pragi* (1416)? Tytuł jej brzmi: „O potępieniu i ukaraniu kacerza Hieronima”, ale nazwę „kacerza” łagodzi wnet zdanie: „jeżeli prawdą jest, co o nim opowiadają, gdyż nie do mnie należy rozstrzygać tak zawile sprawy”. Istotne zaś przekonanie wypowiada autor w pochwalę wymowy i uczoności skazańca, oraz w pamiętnem zakończeniu, gdzie najprzód usprawiedliwia się, dlaczego nie podobnego nie przytoczył z czasów starożytnych, a następnie uniewinnienie to cofa, mówiąc, iż żadnego zdarzenia w starożytności nie da się porównać z tym wypadkiem, na który własnemi patrzył oczyma. „Ani *Mucyusz Scewola* nie okazał tyle spokoju ducha, gdy palił jeden członek, ile *Hieronim*, gdy całe jego ciało gorzało; ani *Sokrates* nie wychylał czary trucizny z tak szlachetną stałością, z jaką *Hieronim* znosił katusze ognia”.

Z tą samą żarliwością, z jaką wyśmiewa i gani duchowieństwo, zwraca się *Poggio* jużto w nastroju poważnym, już uzbrojony lekką bronią szyderstwa, przeciw niegodziwościom i nadużyciom politycznym. Miota zaś gromy nie na równych sobie, nie na mieszczan, ale na książąt i na tych, którzy samowolnie wynoszą się nad mieszczan, nad szlachtę. W dyalogu „O nieszczęściu książąt” (*de infelicitate principum*), do napisania którego były mu podniętą niepowodzenia *Eugeniusza IV*, wprowadza w roli rozmówców tego właśnie papieża, oraz *Kuzmę Medyceusza* i *Niccoli'ego*. Gani tu *Poggio* nieograniczoną władzę tyranów, t. j. ówczesne rządy książęce; potępia tchórzliwość, która w wysokiem stanowisku książęcia upatruje rękojmię bezkarności jego za zbrodnię; domaga się, aby głowa koronowana dawała świadectwo godności swęj uprawą cnoty, poważaniem nauk i ich krzewicielami. Ostrzój jeszcze niż przeciw książętom występuje *Poggio* przeciw szlachcie. Dyalog jego „O szlachcie” (*de nobilitate*) mógłby słusznie nazywać się „pismem polemicznem przeciw szlachcie”. W utworze tym *Wawrzyniec Medyceusz*, brat *Kuzmy*, broni wprawdzie napastowanych, ale nie tyle ze względu na ich wartość wewnętrzną, ile raczej ze względu na zewnętrzne niejako ulegalizowanie szlachty przez pisarzów starożytnych. Autor uznaje tylko szlachtę

z zasługi, a wydrwiwa szlachtę rodową. „Od prawdziwego szlachectwa — czytamy w jedném miejscu — jest się tém dalej, im dłużej przodkowie czyis byli śmiały mi złoczyncami. Zapał do sokolnictwa i myśliwstwa nie więcéj pachnie szlachectwem, niż gniazda łowionych zwierząt balsamem. Rolnictwo, prowadzone wzorem starożytnych, byłoby daleko szlachetniejszém, niżeli bezmyślna włóczęga po lasach i górach, przyczém staje się człowiek najczęściéj podobien zwierzętom samym. Polowanie może być zaledwie rozrywką, ale nie zatrudnieniem życia” (podług przekładu Burekhardta).

Gniew *Poggia* nie zawsze jest niestety tak przedmiotowy, jak w wystąpieniach przeciw szlachcie, książętom i duchowieństwu. Posługuje się nim owszem dla obrony od zaczepiających przeciwników a częściéj jeszcze, by w sposób najgwałtowniejszy napadać na nieprzyjaciół, przez samego siebie stworzonych, lub aby zmiażdżyć adwersarzy, którzy czy to dla lichoty osobistój, czy dla prac bagatelnych na gniew taki nie zasługiwali zgoła. Między polemistami Odrodzenia jest *Poggio* jednym z najgorszych, jednym z tych, co, najlżejszą obrazą dotknięci, rzucają się namiętnie na najznakomitszych, a pod kupą wyrazów obelżywych tracą z oczu przedmiot sporu. Walczył przeciw antypapieżowi *Feliksowi*, z którego wrogiem, papieżem *Eugeniusem* w dobrych, jak widzieliśmy, zostawał stosunkach, przeciw *Franciszkowi Filelfo'wi* i *Wawrzyńcowi Valli*, którzy (zobaczymy to niżej) odznaczeni są tą samą gwałtownością, ale i temiz samymi szlachetnemi dążnościami umysłowemi, co i ich napastnik. Wcale więc nie pocieszający obraz przedstawiają liczne jego inwektywy. Bo czyż to nie oplakane widowisko patrzeć na blache spory znakomitych mężów o rzeczy marne? Również nędzną, jak niegodne napaści na mężów zasłużonych, jest płaska i nieszlachetna maniera w usiłowaniu, by poniżyć w oczach spólcześników książąt i osoby wysoko postawione, o których łaski może się przedtém ubiegał. Babskie to ujadanie robi w podobnych wypadkach takie wrażenie, jak giesty żebraka z rzemiosła, z miną lekceważącą odrzucającego jałmużnę dla tego, że mu ona za mała.

W pismach pomienionych wykazał *Poggio* gruntowną znajomość starożytności i wielkie dla niej uwielbienie. Ale udowodnił ją nadto w kilku innych dziełach, które już wówczas większą mu zjednały chwałę, niż wszystkie polemiki. Do takich należą przedewszystkiém tłumaczenia niektórych utworów pisarzy greckich, jak np. *Lucyana*, *Dyodora Sycylijskiego*, *Ksenofonta*; do przekładów dołączył niejedno uczone i głębokie spostrzeżenie nad autorem traktowanym. Dalej idzie zbiór i opis zabytków Rzymu starożytnego. Zbierał napisy i ułożył o nich dzieło (niestety zaginione), gromadził popiersia i medale, wydał wreszcie opis ruin Rzymu (stanowiący część obszernego

moralno-historycznego dyalogu *De varietate fortunae*. Opisowi temu nadaje wielkie znaczenie historyczne zrobiony ze znajomością rzeczy wykaz resztek starożytności, które Poggio jeszcze znalazł jako drobne szczątki dawniej wspaniałości i które ocalały przed okrutnym barbarzyństwem czasów minionych; uderza też w opisie owym sentymentalizm autora dla ruin. Najprzedniejszą wszakże zdobył sobie Poggio zasługę jako niezmordowany poszukiwacz rękopisów i szczęśliwy ich odkrywca. W tym celu objechał Francję, Anglię i Niemcy, znalazł *Kwintyliana* i własną ręką skopiował rękopis; napewno wykonał sam lub kazał sporządzić pierwsze odpisy *Lukrecjusza*, *Syliusza Italika* i *Ammiana Marcellina*, a wysoce jest prawdopodobnym, że wytropił pierwsze księgi Roczników *Tacyta*. Zasługi Poggia w tym względzie nie uszczupła zgoła wielka jego chępliwość, gdyż działalność tego rodzaju łączyła się nieraz z wielu utrapieniami, a rezultat jęj z bogactw ów światak własny, wśród którego żyli Poggio i humaniści; nie umniejsza bodaj zasługi jego nawet nierzetelność, jakiej się dopuścił, nie wabając się niektóre rękopisy oswabadzać z więzień (*ergastula*), w których wedle jego opowiadań były u barbarzyńców, to jest u Niemców, zagrzebane w pyłe i rumowiskach.

Barbarzyńców takich znalazł Poggio między innymi w St-Gallen i w Konstancyi, gdzie przebywał podczas soboru i gdzie widział śmierć na stosie Hieronima z Pragi. Być może, iż wówczas już spotkał się z młodym *Kuzmą Medyceuszem* i zawarł z nim przyjaźń, wiele lat potem trwającą. Wierność i przywiązanie nie jest wcale wybitnym rysem charakteru Poggia; Medyceuszom wszelako pozostał wiernym i przychylnym do końca.

W młodości utrzymywał *Kuzma Medyceusz* ważne i obfite w następstwa związki z papieżem *Janem XXIII*; w wieku męskim żył lat kilka w blizkich stosunkach z papieżem *Eugeniuszem IV*. W dniu 10 stycznia 1439 r. przeniósł *Eugeniusz* dla różnych przyczyn sobór, obradujący dotąd w Ferrarze, do Florencyi, kierował tu jego obradami i cztery lata przemieszkował we Florencyi, używając w pełni władzy papieskiej, chociaż został jęj pozbawiony 25 czerwca 1439 r. przez koncylium, zgromadzone w Bazylei. Na papieża zdetronizowanego, jako przedstawiciela władzy kościelnej, spoglądali z odrazą niektórzy kościołowi nieprzychylni, wielu zaś Florenczyków patrzyło na niego niechętnie, jako na Rzymianina. Mimo to przecież przejeżdżał sobie ludność już to przepychem ceremonij, jakim wywierał wpływ zwłaszcza na owe czasy, łatwo zaślepiające się blaskiem zewnętrzny, już to wrażeniem błogosławieństw papieskich, którym wielką przyznawano doniosłość bez względu na wydrwiwanie pa-

piestwa. Wywoływał też ogromne wzruszenie wśród tłumów zbitych, kiedy stanął na wzniesieniu, urządzone w klasztorze S. Maria Novella, aby wygłosić błogosławieństwo i uprosić pomoc Boga dla siebie i ludu. O wiele jednak większym dla niego tryumfem było uroczyste uznanie autorytetu jego, papieża rzymskiego, przez Greków. Bo oto 6 lipca doprowadzono do skutku unię kościołów greckiego i rzymskiego, unię od dawna upragnioną, a zawsze z przyczyny coraz nowych przeciwności odkładaną (jeżeli rzeczywiście można nazwać unię zaniechanie ze strony słabszej uroszczeń, w imię których w ciągu stuleci napróżno walczyła). Chociaż naród grecki umowę tu zawartą zganil; chociaż zagorzalczy zdobycie Konstantynopola przez Turków 1453 r. nazywali karą za zbyt wielką powolność Greków; chociaż wreszcie trzej z pomiędzy wyzutych przez uchwałę florencką ze swęj godności patryarchów potępił uroczyste 1443 r. „rozbojniczy synod” florencki: wszelako papież, Florentyńczykowie i wogóle Włosi, dla Rzymu zawsze dobrze usposobieni, ilekroć przychodziła na stół kwestya Grecyi, powitali radośnie wyznanie Greków jako akt wysoce pożądaný. Akt ów brzmi: „że święta stolica apostołska i papież rzymski posiada władzę najwyższą nad całym światem; że papież rzymski jest następcą *S. Piotra*, księcia apostołów, prawdziwym namiestnikiem Chrystusa, głową całego kościoła, ojcem i nauczycielem wszystkich chrześcijan; że jemu w imieniu Świętego Piotra powierzona przez Pana zupełna władza kierowania, rządzenia i administrowania kościołem powszechnym w taki sposób, jak postanawiają uchwały soborów powszechnych oraz kanony. Wznawiamy zarazem na mocy kanonów stopniowanie godności innych patryarchów tak, aby drugie miejsce po biskupie rzymskim zajmował konstantynopolski, aby po nim następowali aleksandryjski, antyochijski i jerozolimski z zachowaniem wszystkich ich praw i przywilejów.”

Dla historyi renesansu sobór florencki miał znaczenie ważne nie z powodu przeprowadzenia układów powyższych, lecz dlatego, że brali w nim udział Grecy, którzy pojawieniem się swoim i nauką wywarli wpływ olbrzymi na pokolenie następne. Byli nimi: *Gemisthos Plethon* i *Kardynał Bessarion*.

Gemisthos (1355—1450) we Włoszech dopiero przyjął imię *Plethon* dla asonancyi do *Plato*. Początkowo przebywał długo „na dworze barbarzyńców”, t. j. w Adryanopolu, stolicy Osmanów, następnie rozwijał działalność jako polityk, teolog i filozof głównie w Sparcie, narazie 1439 r. przyjechał z cesarzem na sobór do Florencyi, lubo przed jedenastu laty zganil połączenie kościoła greckiego z rzymskim. Zajmował się tu jednak nie tyle pracami około unii, ile raczej nauczaniem filozofii platońskiej i sprawil olbrzymie wrażenie na słuchaczach

i uczniach, do których należeli między innymi sam *Kuzma*, oraz słynny *Pomponiusz Letus*. O rodzaju jego wpływu powiadania nas jeden z jego uczniów następnemi słowy: „W jakież zdumienie wprawiał Rzymian (t. j. Włochów) mąż ten swą mądrością, cnotą i siłą wymowy! Jaśniał wśród nich świetniej niż słońce; jedni poczytywali go za nauczyciela powszechnego i dobroczyńcę, drudzy uazywali go *Platonem* i *Sokratesem*”.

Gemisthos Pletho działał nietylko słowem, ale i pismem. Praca jego oί νόμοι (prawa), ogłoszona przez *Gennadiosa* za kacerską i skazana na spalenie, zachowała się w skutek tego sumarycznego postąpienia w ułamkach jeno; współcześni czytali ją przecież chciwie i nieledwie temu, co głosiła, wierzyli.

Książka *Gemisthosa* wzięła sobie za cel „gruntowne przekształcenie całego życia państwowego, obyczajowego i religijnego”. W poglądach religijnych zawraca do pogaństwa. Zeusa posuwa znowu do godności boga najwyższego, a obok niego i pod nim stawia bogów drugo- i trzeciorzędnych światem rządzących. Człowiek nie stoi wcale na równi z bogami; stara się jeno do nich zbliżyć, a usiłowania te znajdują poparcie w duszy nieśmiertelnej; dusza zaś, jako właściwość czysto ludzka, nigdy wejść nie może do królestwa bogów, ale musi przechodzić z jednego ciała w drugie, ponieważ bezwarunkowo jest związana z ciałem ludzkim. W obronie obu nauk: nieśmiertelności i przechodzenia dusz gromi *Plethon* nadzwyczaj ostro chrześcijan, piętnuje ich mianem sofistów i zwalcza w sposób następujący:

„Tylko w tej nauce (nieśmiertelność i wędrówka dusz) możemy znaleźć czystą szczęśliwość, o ile ona wogóle osiągniętą być może. Zwolennicy innych nauk o tyle są zdala od szczęśliwości, o ile każda z tych nauk ustępuje naszej i w takim samym stosunku zbliżają się do nieszczęścia. Najnieszczęśliwsi więc ludźmi są wyznawcy nauki najbardziej oddalającej się od nauki naszej, ponieważ z braku znajomości rzeczy najwyższych tarzają się w przerażającej ciemności”. . . . „Może jednak ktoś rzecze, iż niektórzy sofisci, których naukę wielu wyznaje ludzi, zwiastują większe swym zwolennikom dobra, aniżeli my przyobiecaliśmy rodowi człowieczemu. Oni twierdzą stanowczo np., że ludzie osiągną nieśmiertelność bezwarunkową, i dlatego nigdy już nie powracają do społeczności ze śmiertelnymi, nasze zaś nauki głoszą, że dusza zawsze odnawiać będzie związek z naturą śmiertelną, kiedy w biegu czasu przyjdzie kolej na każdą. Zdaniem przecież wszystkich zdrowo myślących ludzi należy przedstawiać nie z tymi, co większe rzeczy przyrzekają, ale raczej z wiarogodnymi. Albowiem mylić się w tém, co bogów dotyczy, oraz w pojęciach dla człowieka najważniejszych jest nieszczęściem najstraszliwszém. Dziwić się przeto nie trzeba, kiedy ludzie trafnym obda-

rzeni sądem, poczytują objawienie nasze, dotyczące rodu ludzkiego, za wznioślejsze, aniżeli obiecanki sofistów owych”.

Naukę o państwie nawiązuje do stanu istniejącego i za główne swe zadanie uważa uporządkowanie rozprzężonych stosunków cesarstwa greckiego. Monarchię poczytuje za najlepszą formę rządu, ponieważ kieruje się zdaniem, że państwo winno być odzwierciedleniem boskiego świata idei. Król ma rządzić wspólnie z radą stanu, złożoną z mężów najzdolniejszych, albo prościej: zajmujący się kupiectwem nie mogą piastować urzędów w państwie; ograniczenie władzy królewskiej przez reprezentację stanową nie jest konieczne. Mimo to istnieje dla takiego przedstawicielstwa podział narodu na trzy klasy: rolników, przemysłowców oraz rządzących i wojowników. Do klasy ostatniej należą też księża, ale mnichów zgoła cierpieć nie można; piętnuje ich *Plethon* słowy najgwałtowniejszemi; każda z trzech klas płaci trzecią część podatków. W zakres reform przez *Gemisthosa* proponowanych wchodzi jeszcze utworzenie wojska z krajowców (najemne wojsko uważa za zgubę), oraz zakaz okaleczania ludzi; karę śmierci wszelako dopuszcza. O handlu i przemyśle ma pojęcia osobliwsze. Monetę bitą chce usunąć; podatki i pensye mają być wypłacane produktami natury; pragnie jak najbardziej odosobnić kraj swój od zagranicy; wywóz więc przedmiotów spotrzebowywanych w samym kraju uniemożliwiony całkowicie prawie ciężkimi opłatami, przywóz zaś — od ceł wolny — nie jest wzbroniony, ale takich jeno artykułów, których kraj nie produkuje, a jednak nie może się bez nich obejść.

Drugim uczestnikiem greckim soboru florenckiego był kardynał *Bessarion* (1403—1472). Po śmierci mistrza *Gemisthosa Plethona* wyraził wysoki szacunek i uwielbienie dla niego w liście, który słusznie nazwano „raczej krótką, ale świetną mową pogrzebową, aniżeli listem pocieszającym”. Spoziera nań jakby na zjawisko nadziemskie i ośniela się postawić go obok największych mężów starożytności.

Od roku 1440 mieszkał *Bessarion* stale we Włoszech. Wpływ, wywierany przezeń na Włochów w ciągu niemal całego pokolenia, zapewnia mu stanowisko zaszczytne w historii Odrodzenia włoskiego. Wpływ zaś wywierał głównie dlatego, że był Grekiem; że, bawiąc się niejako, dzieckiem już przyswoił sobie język, którego znajomość zdobywali najznamienitsi Włosi z trudem nadzwyczajnym i który osobistościom mniej wybitnym na zawsze pozostał tajemnicą; dlatego wreszcie, że w obronie *Platona* połączył zapał dla nauki z ambicją narodową. Poczucie narodowe musiało się rozżarzyć właśnie w obronie *Platona*, ponieważ dzieła jego pozostały wyłączną własnością Greków, gdy tymczasem pisma *Arystotelesa*, w językach najrozmaitszych, wprawdzie i pod postaciami najdziwaczniejszymi, na-

dały kierunek kulturze średniowiecznej. Szczególniej żywo odzywa się to poczucie w głównym dziele *Bessariona* „Przeciw oszczercy Platona” (*In calumniatore Platonis libri IV*); chodziło tu bowiem o pokonanie innego Greka, *Grzegorza z Trapezuntu*, który w piśmie „Porównanie *Arystotelesa z Platonem*” (*Comparatio Aristotelis et Platonis*), pierwszego wywyższył kosztem drugiego. Insynuacye *Grzegorza*, że *Plato* pisał niemethodycznie, że prowadził życie bezwstydnę, że pozostaje w ustawicznej sprzeczności z naukami kościoła chrześcijańskiego, odparł *Bessarion* nie obelgami na przeciwnika nowoczesnego, ani też zupełnym odrzuceniem filozofa starożytnego, któremu nawet przyznaje wyższość w fizyce i naukach przyrodniczych. Przeciwnie, odiera je *Bessarion*, roztrząsając rzecz ściśle naukowo, przyczém przeprowadza zasadę, że korzystać trzeba ze źródeł czystych, oryginalnych, a nie z mętnych tłumaczeń lub komentarzów. W zapasach tych mąż nauki wysławiał naturalnie methodyczność swego mistrza, sam człowiek moralnych zasad wychwalał w swym ideale surowego wykonawcę praw obyczajności, ale wysokiemu dostojnikowi kościoła zależało przedewszystkiem na tém, aby dowieść błędności zarzutów przeciwnika, jakoby *Plato* był wrogiem chrześcijaństwa. Chociaż więc nie pochwała autor, a tém mniej podziela idei filozofa pogańskiego o preegzystencyi duszy, o wielobóstwie, o życiu w niebie i na gwiazdach, oraz o innych rzeczach przez kościół potępionych, mimo to przecież widzi w jego pojęciach przeczcucia niejako zasad chrześcijańskich, uważa go jakby za most między pogaństwem a chrześcijaństwem, a zachwyty nad *Platonem* niektórych świętych, np. *Bazylego*, *Grzegorza*, *Cyryla* i *Augustyna* nazywa nie przypadkowym, ale znamieniem świadomości łączącego ich z sobą związku. Dla udowodnienia tego związku uwydatnia mniemanie *Platona*, że Bóg z niczego świat stworzył, chwali go, iż żywił przekonanie o nieśmiertelności duszy i nie zgadza się, iżby miał wierzyć we wpływ gwiazd na losy człowieka.

Jakkolwiek możnaby zakwestyonować słuszność tych oraz innych twierdzeń *Bessariona*, jedno przecież jest i zostanie pewnym i niezaprzeczonem, — że książka jego ugruntowała chwałę *Platona* wobec napaści przeciwników. Zwycięstwo filozofa greckiego było stanowcze, a przynajmniej istniał teraz dokument, na podstawie którego dało się łatwo zbijać dowody adwersarzów; z badań mozolnych, że użyję pięknego wyrzeczenia *Marsyliusza Ficino*, „wypłynął święty skarb naszego *Platona* tak czysty, jak złoto z tygla chemika”.

Rozsławieniem *Platona* położył *Bessarion* wielkie zasługi dla kultury umysłowej Włoch. Znaczną też oddał usługę założeniem biblioteki, która zarówno ilością jak wartością rękopisów, — tak ze względu na treść, jak i opracowanie tekstów, nie miała sobie równej

w Italii. Za jęj świetnością przemawia nietylko ogromny nakład 30,000 dukatów, ale także imiona przepisywaczw, ściąganych ze wszystkich krajów, oraz podróżników, którzy z polecenia kardynała, przebiegając obce ziemie, czyhali na rękopisy, niby sępy na zdobycz swoję. Zgromadził tym sposobem 900 rękopisów, do których przybyło późnięj jeszcze 300 ksiąg drukowanych, pierwszych druków włoskich. Otóż goracęm życzeniem *Bessariona* było uczynić dostępnym i dla innych zbior, z którego sam w swoim czasie czerpał rozkosz i naukę obfitą. Dopóki jednak te skarby zostawały w rękę człowieka prywatnego, choćby najszczodroblivszego, mogła korzystać z nich ostatecznie ograniczona tylko liczba jednostek; dokonał więc rzeczy dla uczonego wielkodusznięj, dla miłośnika ksiąg prawie niepojętęj: oto za życia jeszcze swego pozbył się całej biblioteki i ofiarował ją w darze Wenecyi (31 maja 1468 r.), względem której poczuwał się do różnorakich obowiązków. Książnica ta nie przedzierzgnęła wprawdzie miasta nieliterackiego w literackie, ale wielu ludziom zapewniła możność zdobycia wykształcenia naukowego i przywabiła do Wenecyi *Alda Manuzia*.

Nie mniejszy wpływ od biblioteki wywarła akademia *Bessariona*. Nie stanowiła ona towarzystwa ściśle zamkniętego, przyznającego prawa i przepisującego obowiązki określonej jeno liczbie wybieranych lub mianowanych członków. Przeciwnie. Był to wolny związek wszystkich, którzy zadanie swego życia upatrywali w poświęceniu się naukom. Akademię swą założył *Bessarion* w Rzymie za rządów papieża, dla umiejętności nieprzyjaźnie usposobionego; ze względu więc na takie położenie miała być akademia miejscem swobodnej wymiany myśli, nie tworząc atoli ani towarzystwa wyłącznie męzwów papieżowi nieprzychylnych, ani koła tylko uczonych rzymskich. Mogli tedy jęj uczestnikami być duchowni wyższych stopni, aspirujący do tronu papieskiego, oraz nierzymianie, zarówno obywatele innych miast włoskich, jak i cudzoziemcy, bawiący w Italii, dla wyuczenia się języka greckiego. Panowały w takich stowarzyszeniach naukowych zwyczaje, jakie rzadko późnięj spotkać się zdarzy, mianowicie ton niewymuszony, gorliwość obowiązkowa mimo nieskrępowania żadnymi obowiązkami, ochoza praca nad przedmiotem dobrowolnie obranym, bez cienia myśli o korzyściach osobistych. Członkowie robili wrażenie prawdziwych obywateli rzeczypospolitęj uczonych; najchętnięj tęż sami się tak nazywali i lubili, aby ich tak nazywano. Nawet kiedy chwałę siebie nawzajem lub swego naczelnika, niemasz w tęp marnego przeceniania własnego i nizkiego pochlebstwa, czuć raczęj przekonanie, że tego rodzaju pochwała jest jeno uznaniem ducha, któremu wszyscy służyli, że panegiryki sobie wyglaszane miały na celu tylko uczczenie nieśmiertelnego mistrza *Platona*.

Kult *Platona* uprawiano także we Florency, gdzie właśnie rozpoczęła się błogosławiona dla Italii działalność *Bessariona*. Wskutek napływu Greków do Florency, wskutek szczęśliwego wyniesienia przez nią *Platona* kosztem i na miejsce ubóstwianego niegdyś *Arystotelesa*, powstała akademja platońska. Prywatny, nieurzędowy charakter podobnych stowarzyszeń jest przyczyną, że roku jej założenia i dokładnego spisu członków, podobnie jak akademii *Bessarionowej*, dokładnie oznaczyć nie można. Obie wszelako, zgodne w tendencjach, przypadają mniej więcej na tę samą epokę. Uczestnikami akademii *Bessariana* byli koryfeusze rzymscy, platońskiej zaś najznajmniejsi obywatele florency.

7 listopada, w dniu, w którym obchodzono zarazem dzień urodzin i śmierci mistrza, zbierało się grono mężów (zwykle w liczbie 9 przez aluzję do dziewięciu muz) już to w jakimś pałacu miejskim, już w ogrodach *Medyceuszowej willi Careggi* i zabawiało się czytaniem „Uczyty” *Platona* oraz rozmowami, przez lekturę wywołanemi. W innych niekiedy razach odbywały się posiedzenia dłuższe. Takim, a bynajmniej nie jedynym, był słynny turniej krasomówczy 1468 r. Występował w nim jako mówca główny *Leon Chrzyciel Alberti*. Dnia pierwszego rozprawiano o życiu kontemplacyjnem i czynnem, drugiego o dobru najwyższem, trzeciego i czwartego pouczano, że wszystkie idee platońskie zawierają się w *Eneidzie Wergiliusza*. Mówca naczelny tego zebrania znał i rozumiał wszystko, ale nie był filozofem fachowym; inni członkowie nie byli także uczonymi zawodowymi, lecz dyletantami w najlepszem słowa znaczeniu. W podobnym charakterze występują *Medyceuszowie*, którzy, używając dla zgromadzeń swych ogrodów, uważali sobie za honor, iż brali udział w odpowiedziach na zadane pytania, oraz znakomici Florenczycy. *Naldo Naldi*, *Alamanno Rinuccini* i *Jan Cavalcanti*. *Naldo Naldi*, biograf, wystawił jasno życie *Gianozza Mannetti’ego* w jego rozlicznych stosunkach do polityki i nauki; gorące uwielbienie studyów wykazał w tój właśnie książce i w liście o słynnej bibliotece *Macieja Korwina*, króla węgierskiego. *Alamanno Rinuccini* (1426—1504) jest znawcą greczyzny; aby ulubionych autorów uprzystępnic i nieuczonym, przekładał zyciorysy *Plutarcha* oraz przetłómaczył na język łaciński bardzo rozpowszechnione dzieło greckie, w którym *Filostratus* skreślił naukę i życie głośnego filozofa *Apoloniusza z Tyany*. *Jan Cavalcanti* pozyskał imię jako historyk. Mimo ukształcenia humanistycznego napisał w języku włoskim swoje dzieje florenckie od 1420 do 1454, z których, chociaż długo zostawały w rękopisie, korzystali późniejsi, jak np. *Machiavelli*; mimo wstrętu do tyranii *Medyceuszów*, wychwalał i czei Kuźmę; mimo trafnego pojmowania rozwoju stosunków nowoczesnych — posługuje się antycznym sposobem pisania w mowach

rozwlekłych, częstokroć bombastycznych; mimo wysokiego poważania wolności—jest zawziętym wrogiem „zwierzęcego tłumu”, który wolności szkodzi lub nawet ją niszczy pod pozorem, że jej broni i że ją umacnia; mimo ubóstwa, które z przyczyny niezapłaconia należnych podatków wtrąciło go do więzienia, jest dumny ze swojego szlachectwa. Z jego dzieła historycznego trudno odgadnąć myśliciela filozoficznego, ale z jego wizyj politycznych, tu i owdzie w opowieści wplecionych, łatwo poznać wysoce ukształconego ucznia *Ficina*. Dwaj bo tylko członkowie akademii platońskiej byli rzeczywistymi filozofami z zawodu i platonikami, mianowicie: *Marsyliusz Ficino* i *Krzysztof Landino*.

„Inni ludzie znają ledwie jednego ojca, ja posiadałem i posiadam dwu ojców: cielesnego, któremu winienem urodzenie, oraz *Kuźmę Medyceusza*, któremu zawdzięczam odrodzenie; tamten chciał mię oddać na usługi *Galena*, ten wyświęcił mię na ucznia *Platona*”. W tych słowach oznaczył *Marsyliusz Ficino* swój stosunek do *Platona* i swoje stanowisko względem *Medyceuszów*. *Kuźma* bowiem odebrał staremu *Ficino*’wi syna, mówiąc: „Ty byłeś mi dany do leczenia ciała, ten zaś otrzymał z nieba zdolność leczenia duszy”. *Ficino* ur. 1433 r. w Figline, umarł na początku 1499 we Florencji. Młodzieńcem przygarbiony przez *Kuźmę* żył z nim lat dwanaście, *Wawrzyńcowi* towarzyszył przez cały ciąg jego rządów i kilkoma laty przeżył upadek domu *Medyceuszów*.

Ficino uczył się gorliwie greczyzny i przyswoił sobie gruntowną znajomość tego języka. W 1473 r. został księdzem, starannie i chętnie pilnował swego urzędu duchownego i pozyskał głośną sławę, jako kaznodzieja. Nauka greczyzny zbliżyła go do starożytności pogańskiej, — zawód teologiczny zmuszał go do obrony zasad chrześcijańskich; pociąg do jednego a obowiązkowe wyznawanie drugich zrodziły w nim walki gwałtowne i sprawiły, że spalił napisany przedtém komentarz do *Lukrecjusza*, „gdyż szkodliwszą jest rzeczą rozpowszechniać złe mniemania niż rozsiewać zjadliwą truciznę”. Był to człowiek ubogi i chorowity—sam wydrwiwał swą małość i biedę; mimo prebend i hojności protektorów, cierpiał ustawicznie niedostatek wskutek niesumienności sług i chciwości krewniaków. Nieznużony pracownik znał tylko trzy rodzaje rozrywek, zapewniających chwilę wypoczynku: muzykę, pobyt na wsi i obcowanie z przyjaciółmi. Żył dla przyjaciół, nie dla świata; jeżeli więc wdawał się kiedy w sprawy świeckie, czynił to zawsze w interesie przyjaciół; tak np. postąpił 1478 r., kiedy wystosował list otwarty w imieniu chrześcijaństwa do *Sykstusa IV* (który wyklął *Wawrzyńca Medyceusza*), starając się nakłonić papieża do użycia środków łagodniejszych.

Ficino był filozofem. Umiejętność swoją traktował poważnie, ale

przypisywał jej też wartość niesłychaną. Filozof powinien, według niego, mieć duszę czystą, żyć prawdą, mieć w pogardzie rzeczy światowe, powinien być wielkodusznym i nieustraszonym, umiarkowanym, sprawiedliwym i dla żądzy słów niedostępnym. Wysławiał filozofię w wyrazach gorących: „O, filozofio, tyś zbudowała miasta, zjednoczyłaś rozłączonych ludzi mieszkaniem, małżeństwem, wspólnością mowy i nauk, tyś wynalazła prawa, tyś stworzycielką zwyczajów i karnego ładu”. Swe myśli filozoficzne wyłożył w dwu głównych dziełach: w 38 rozdziałach „O religii chrześcijańskiej” (*De religione christiana*) i w 18 księgach teologii „platońskiej czyli o nieśmiertelności duszy” (*Theologia platonica de immortalitate animarum*).

„We wszystkiem, o czém tu i gdzieindziej mówiłem, pragnę tego tylko dowieść, co uznaje kościół”; z taką dokładnością określa *Ficino* swoje stanowisko, które przystoi raczej teologowi niż platonikowi. Ale słowa owe brał *Ficino* poważnie, zupełnie seryo, a nie jako broń dogodną przeciw kościołowi, skoremu do prześladowania opornych, jak czynił niejeden zaprzaniec religijny czasów późniejszych. Zgodnie z takimi zapatrywaniami uznaje i wyznaje religię chrześcijańską, jako jedynie prawdziwą; wierzy w cuda, potępione przez *Gemisthosa Plethona* jako wymysły sofistów; co więcej, uważa za obowiązek filozofa dowodzić ich prawdziwości; żywi przekonanie, że „religia chrześcijańska nie zaginie, choćby swoi źle nią administrowali, a nieprzyjaciele srodze uciskali”. Wypowiedzeniem takich przekonań nie uczynił jeszcze, sądzi on, zadość swym powinnościom religijnym. Przeciwnie! Wyraża wiarę, iż filozof musi poglądom swych bronić i wobec tych, którzy wedle jego mniemania błądzą; z zapalem też gromi czworakich przeciwników: 1) zaprzeczających bytność Boga; 2) atakujących opatrność boską; 3) krzewiących zdanie, że gniew Boga da się przebłagać podarunkami i ofiarami; 4) czcicieli istot Boga podobnych, ale niższych, tych którzy na nie przenoszą sławę Bogu tylko przynależną.

Ficino jest platonikiem i chrześcijaninem; ale nie dlatego jest chrześcijaninem, że jest platonikiem, t. j. nie z platonizmu czerpie swe przekonania chrześcijańskie, w pismach *Platona* nie myśli zgłębiać dogmatów chrześcijańskich. W przeciwstawieniu do późniejszych neoplatoników chrześcijańskich, w sposób oryginalny stapiających swą naukę filozoficzną z wyznaniem religijnem, twierdzi stanowczo, że nigdzie w pismach *Platona* nie znalazł tajemnicy Trójcy chrześcijańskiej.

Żarliwość względem chrześcijaństwa i zmysł dla nauki poważnej, robią z niego wroga urojeń astrologicznych. W jednym miejscu charakteryzuje astrologów zdaniem, nie dającym się dla gry słów przetłumaczyć na język polski: „o tyle oni kłamią, o ile astronomowie

mierzą” (*Quantum astronomi metiuntur, tantum astrologi mentiuntur*); innym razem pisze przeciw astrologom rozprawę gwałtowną i dość często wykazuje drwiąco lub poważnie w szczegółach ich wyobrażenia spaczne. Mimo żarliwość był *Ficino* dosyć słabego umysłu; widzieliśmy, że cieleśnie przez całe życie niedomagał. Do snów oto przykładał wielką wagę; przyjaciółom z własnego popędu stawiał horoskopy; wierzył w duchy, jako niby twory dalszego działania boskiej energii duszy, wywierającej wpływ na dalsze losy ludzi; znajomym wieszczyl przyszłość, nie jako przyjaciel życzliwy, chętnie im ukazujący szczęście w perspektywie, ale jako znawca, wyższe odślanający wyroki. W przytoczonym powyżej liście gminy chrześcijańskiej do papieża zwiastuje nawet przepowiednią, że następne dwa lata będą nader nieszczęśliwe z przyczyny wojny, zarazy, głodu, śmierci wielu książąt, nowej herezyi i fałszywego proroka; że w ciągu tego czasu fale będą miały łodzią Piotrową a barbarzyńcy spustoszą Italię.

Wróżby się nie sprawdziły; gdyż ani nowa herezya się nie zjawiała, ani barbarzyńcy Włoch nie zniszczyli. Ponieważ jednak nie odznaczały się szczególną przychylnością dla kościoła, przeto mogły źle usposobić papieża, i tak już obrażonego wycieczkami *Ficina*, oraz podawały do ręki przeciwnikom filozofa broń niebezpieczną. Jakoż zaledwie ukazało się pismo *Ficina* „O dostąpieniu życia niebieskiego” (*De vita coelitus comparanda*), oskarżono autora o czarodziejstwo.

Dwojakiego rodzaju są czarownicy: bezbożni i wierzący w Boga. Jedni, zaprzeczając istnienia potęgi wyższej, radziby na jej miejsce postawić siebie; drudzy, dochodząc do szału, mniemają, że zostają w osobliwym do bóstwa stosunku i że posiadają w sobie część siły boskiej. Gdyby *Ficino* był skłonny do czarów, należałby do drugiej kategorii.

Otóż nietylko sobie samemu, lecz ludziom wogóle przypisuje pokrewieństwo wewnętrzne z Bogiem. „Czémże jest duch nasz” — pyta — „jeżeli nie iskrą ducha wyższego”? Nieśmiertelność duszy jest więc najpierwszym i najwyższym aksjomatem jego filozofii. Pewnik ten usiłuje stwierdzić piętnastu dowodami, mającymi wykazać blizkie powinowactwo duszy z Bogiem i jej wyższość nad ciałem. Człowiek obdarzony duszą nieśmiertelną, pamiętny zawsze na swe wyższe pochodzenie, musi dążyć do doskonałości; natura ludzka jest z gruntu dobra; mimo więc skażenie i przewrotności ludzkie wznosi się wiecznym, wyższym polotem ku dobru, jakgdyby ku swój ojczyźnie (*tamquam ad patriam*).

Obok duszy ludzkiej istnieje także dusza ziemi, „wielka rodzicielka”. Do duszy ziemskiej podobne są dusze dwunastu gwiazdozbiorów zwierzyńca niebieskiego, ale to nie jedyne, jakie na świecie egzystują; są one tylko najgłośniejszymi (gdyż świat wszystek za-

pełniony jest gieniuszami, wszechbył ma duszę mieszaną, całość jest pełna „bogów”). Tym sposobem dusza świata zawiera w sobie niby dwanaście dusz głównych, a każda z nich znowu niezliczoną ilość dusz drugorzędnych. W każdej konstelacji mieści się gwiazda, która, podobnie jak dusza w człowieku, warunkuje życie; w Baranie panuje Pallas, w Byku Wenus, w Bliźniętach Apollo i t. d.

Te dwanaście konstelacyj odgrywają też rolę w dziele *Ficina* „O słońcu” (*De Sole*). Odpowiadają tam one tyluż „domom niebieskim”, z których sześć podlega słońcu a sześć księżycowi; każdy z nich na podobieństwo skarbców, posiada swą własną treść, przypadającą w dziale ludzkości przypadkowo lub wedle zasługi; zawartością ową są: życie, bogactwo, zdrowie, pokrewieństwo, godności, religia, przyjaźń i nieprzyjaźń; konstelacje wywierają wpływ na płodność i bezpłodność ludzi i ziemi, położeniem swém stanowią o losach ludzi. Słońce jest sercem nieba, ziemię przewyższa wielkością 160 razy.

Pomimo niedostatecznej wiedzy przyrodniczej, pomimo skłonności do przesądów, pomimo wreszcie fałszywej mądrości filozoficznej jest Ficino myślicielem, dosięga często czystych wyżyn ducha. Przypomina najwznioślejszych myślicieli czasów późniejszych, kiedy definiuje istotę człowieka, opierając ją na duchu bożym, w takich słowach: „Promień boski przenikając wszystko, istnieje już w kamieniu, lecz w nim nie żyje; żyje w roślinach, lecz nie jaśnieje w nich; jaśnieje w zwierzętach, ale się w nich nie odzwierciedla i do swego źródła nie wraca. W człowieku tylko istnieje, żyje, jaśnieje i swój blask odbija”.

Ficino posługuje się swą filozofią nietylko w tym celu, aby wykażać stanowisko człowieka względem tworców niższych i wyższych, oraz stosunek jego do Boga, ale także, by określić obowiązki względem współbliźnich. Podaje więc przepisy o zachowaniu się stanów, płci, młodszych wobec starszych i odwrotnie; mówi o działalności kupca i chłopca, przyczém nakłania do sumiennosci i prostoty; wskazuje na gwiazdy, od których biegu i położenia zależy urodzajność ziemi; prawi o zadaniu poety, zalecając mu wybór przedmiotów moralnych i naturalny sposób obrazowania. W zakres swych roztrząsań wciąga również życie państwowe i administrację kraju. Cnotę obywatelską uważa za główną podstawę życia państwowego i przypuszcza możliwość rozmaitych form rządu, o ile się na tej wspierają podwalinie; nie uprawnia wyłącznie jednej tylko. Dobrą jest monarchia, jeżeli odpowiada ideałowi *Platona*; dobrą arystokracja i demokracja, jeżeli tamta uchroni się błędów oligarchii a ta uniknie ochłokracyi.

Na współczesnych wywarł *Ficino* wpływ ogromny. Nietylko

treść, ale i metoda jego nauki, stanowiła na długie czasy punkta wytyczne. Powodzenie to zadziwia tém bardziej, że *Ficino* publicznie nie nauczał, rozpowszechniając swe poglądy jeno za pośrednictwem dzieł i listów. Korespondencyę prowadził z całym światem (12 ksiąg listów od 1474 do 1494) a zwłaszcza téż z Niemcami; uczonym niemieckim oddaje ścisłą sprawiedliwość i chwali zręczność rzemieślników niemieckich.

Przedstawienie powyższe działalności pisarskiej *Ficina* świadczy o wielkiej jego wielostronności; zdumiewa ona tém więcej, jeśli zważymy, że dokonał nasz filozof olbrzymiego dzieła, mianowicie tłumaczenia pism platońskich (1463 — 1477), że ogłosił jeszcze przekłady niektórych prac *Plotyna*, *Jamblicha* i *Dyonizjusza Areopagity*. Oprócz tego pisał o muzyce, ulubionej swój rozrywce, zachęcając do niej innych. Jako owoc podejmowanych w młodości studyów medycznych, nakreślił mały poradnik domowy przeciw zarazie, niejednokrotnie przedrukowywany. Odświeżając pamięć wielkich mężów przeszłości, ułożył pochwałę *Dante*go, wydał tłumaczenie jego traktatu politycznego „O monarchii”, wyrażając zgodę na wypowiedziane tam myśli, i z wielką radością powitał komentarz *Dante*go, opracowany przez swego ucznia i przyjaciela *Landina*, jako godne mistrza uczczenie jego pamięci.

Dzieła *Krzysztofa Landina* (str. 1434 a nie 1424, zm. 1504) są szczuplejszych rozmiarów i mniejszego znaczenia niż prace jego poprzednika i nauczyciela. Był uczniem *Karola Marsuppini*go; pamięć jego szanował, czego złożył dowód w obszerném piśmie wystosowaném do *Piotra Medyceusza*, lecz poglądów jego religijnych nie podzielał. Ulubieniec *Kuźmy*, składał mu holdy wierszem i prozą, nie zaniębując i innych członków rodu *Medyceuszów*. Nauczał retoryki i poetyki w uniwersytecie florenckim, rozwijając błogą w następstwa działalność dla pokolenia przyszłego; brał téż udział czynny w życiu polityczném, piastując do lat późnych urząd sekretarza tajnego rzeszypospolitej. Na stanowisku tém nietylko starał się o wytworne redagowanie aktów, ale interesował się żywo rozwojem spraw państwa.

Wpływ może zająć politycznych znać na główném dziele filozoficzném *Landina*: cztery księgi „Rozmów kamedulskich”, poświęcone 1472 *Fryderykowi da Urbino* i wkrótce potem ogłoszone drukiem. Praca ta jest swobodném przedstawieniem turnieju krasomówczego z roku 1468 (ob. str. 111), w którym zresztą trudno odróżnić, jaki był udział w turnieju sprawozdawcy, a jaki rozmówców. Rozpoczynając swe pismo od starój nigdy nierozstrzygniętej kwestyi spornej o bierności i działaniu, kontemplacyi i aktywności, walczy autor z upodobaniem w obronie zasady platońskiej, że usunięcie się od spraw

świeckich najskuteczniej prowadzi naturę ludzką do doskonałości. Mimo to jednak nastęrcza mówcy przeciwnemu sposobność do wysławiania obowiązków obywatelskich, których spełnienie żadną miarą pogodzić się nie da ze ścisłą kontemplacyjnością, oraz do zachęty, aby zespolić życie czynne z kontemplacyjnym, bo taki związek jest prawdziwie doskonałym ukształtowaniem bytu ludzkiego.

Ten rys praktyczny, przenikający owe rozprawy, gubiące się częstokroć w zawilościach, ujawnia się wyraźniej i w innych zakresach działalności literackiej *Landina*. Kiedy bowiem przy okazji zwraca się ku starożytności i wybucha np. skargami na zaniedbanie Rzymu dawnego, to już użyciem wyrażeń przesadnych świadczy o wewnętrznej ich nieprawdziwości; podobnież kiedy prawi mowy łacińskie i układa pod napisem *Xandra* zbiór poezyj łacińskich, opiewając w nich istotną czy też zmyśloną miłość dla jakiejś *Aleksandry*, to nie tyle czyni zadość potrzebie rzeczywistej, ile raczej hołduje modzie czasu. Takiemu naśladowaniu mody ulega jeno chwilowo i pomimo pozowania na humanistę jest — Włochem; z tej więc przyczyny tak ulubionemu przez swych towarzyszków odtwarzaniu lub przekładaniu historyków rzymskich przeciwstawia tłumaczenie włoskie (wydane 1490) dziejów *Frańciszka Sforzy*, pióra *Jana Simonetty*, oraz zadaje niejako kłam własnym listom łacińskim, ogłaszając włoski formularz listów. Już tym małym podręcznikiem wprowadza nowość praktyczną, ale energiczniej jeszcze broni swych odrębnych pojęć nowoczesnych przez to, że, stając naprzekór rozpowszechnionej wśród uczonych pogardzie dla poezji włoskiej, miewa od 1460 r. odczyty o *Petrarce*, a 1481 r. publikuje wielki komentarz *Dante*go.

Właśnie te studia nad *Dantem* zapewniają *Landino*'wi imię znakomite po wsze czasy. Ogromne dzieło jego nie zaleca się bystrością krytyczną; nie zaleca poprawkami tekstu błędnego, lubo autor chwali się, że oczyścił go od dodatków barbarzyńskich i przywrócił do stanu pierwotnego; nie zaleca się wreszcie subtelnym wyrozumieniem piękności poetycznych, lubo dość często prawi o boskiem pochodzeniu poezyi: ale ciekawem jest wielce tём, że komentator we wszystkiém widzi allegoryę i z całą ścisłością aż do najdrobniejszych szczegółów tę allegoryę wyjaśnia. Już wyżej z okazji owego turnieju krasomówczego, wspomnieliśmy, że usiłowano odnaleźć w *Eneidzie* idee platońskie; otóż *Landino* próbował objaśniać utwór poety rzymskiego, wolny od wszelkich allegoryj, w sposób następujący. W *Eneasz*u widzi człowieka błędzącego, który po długim błakaniu osiąga zbawienie; w Troi upatruje symbol nciech zmysłowych, wśród których giną nieumocnieni w enocie, niezdolni się wznieść nad poziomy; w Italii natomiast spostrzega symbol cnoty i szczęśliwości, których *Eneasz* ma dostąpić za sprawą i pomocą niebieskiej swię

matki *Wenery*, miłości boskiej. W podobnyż sposób, ale bądź co-bądź odpowiedniejszy pojęciom poety chrześcijańsko-filozoficznego, aniżeli wyobrażeniom epika pogańskiego, komentuje nasz autor Boską Komedię *Dante*go, poczynawszy od błakania po lesie, t. j. uwięzienia duszy przez ciało, aż do spotkania z bóstwem, t. j. „spekulatywnego oglądania dobra najwyższego w postaci Trójcy boskiej”. Sprzeciwiające się temu spotkaniu zwierzęta — są błędy ludzkie: pantera — uciechą zmysłową, wilczyca — chciwością, lew — pychą. *Wergiliusz* oprowadzający poetę wyobraża filozofię moralną i naukę pogańską, a pies gończy, zbawcą zwiastowany, oznacza *Chrystusa*, oswobodziciela Italii i sędziego świata. Nie poprzestaje jednak komentator na tego rodzaju rzeczach ogólnych, ale wyjaśnienia allegoryczne posuwa tak daleko, że w trzech paszczach cerbera rozpoznaje potrzeby fizyczne: jedzenia, picia i spania; w trzech różnobarwnych obliczach *Lucyfera* odgaduje trzy drożności ludzkie: w czerwonym — gniew, w białym — chciwość lub zazdrość, w czarnym — lenistwo; w złocie i srebrze, które Bóg nakazuje wziąć z sobą Izraelitom z Egiptu wychodzącym, widzi złoto mądrości i srebro wymowy. A przecież tenże sam *Landino*, zaprzatając się takimi igraszkami, jakie, zdaje się, mogłyby dojrzeć tylko w mózgu marzyciela, co o świecie zapomniał, posiada swój jasny pogląd na świat i wcale go nie ukrywa. Wbrew *Dantemu* jest gwelfem. Nie sprzyjając cesarstwu, uważa obronę papieżstwa przeciw wszelkiej napaści za prawowitą i niezbędną; bez względu na powagę *Dante*go potępia *cezara* — co panowaniu świeckiemu położył podwalinę i uroszczeniom świeckim — jako tyrana i nazywa go zwierzęciem najokrutniejszym. Co więcej, robi nietylko alluzje do stosunków i nastroju swęj epoki, ale wróży zmiany w przyszłości, pełen wiary w gwiazdy, którą imputuje i *Dantemu*, mówi o mającém nastąpić 25 listopada 1484 r. jednoczesnym pojawieniu Saturna i Jowisza w Skorpionie, oraz zaznacza przepowiedzianą przez nie zmianę religii albo właściwiej „postęp rzeczypospolitej chrześcijańskiej ku lepszemu życiu i rządowi lepszemu”.

Przez „rzeczpospolitą chrześcijańską” rozumiał *Landino* chyba nie idealny związek wiernych, nieprzywiązany do miejsca i czasu, ale miał na myśli państwo bardzo realne, mianowicie Rzym papieski, którego słabe strony widział jasno mimo całego szacunku dla władzy duchownej.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Mecenasostwo papieskie.

Między uczestnikami soboru florenckiego znajdował się także *Tomasz Parentucelli*, syn chirurga z Sarzany, ur. 1398 r. w Pizie. Był on nauczycielem, sekretarzem, bibliotekarzem; ubogi i bez wszelkich pretensyj, jak przystoi prawdziwemu uczonemu, największą rozkosz życia upatrywał w studyach i w gorliwém wspieraniu towarzyszków pracy naukowej. Został księdzem i udał się do Florency w towarzystwie swego protektora, kardynała i arcybiskupa *Mikołaja Albergati'ego*. Tutaj w kole *Medyceuszów* znalazł przyjaciół i rówieśników, współpracowników w dziele podniesienia wymowy, których zdumiewał swą fenomenalną pamięcią. Po śmierci pierwszego protektora (1443 r.) przeniósł się do Rzymu, gdzie doznał istotnego powodzenia i to większego, aniżeli w swęj skromności mógł się spodziewać. Już 1444 r. został kardynałem i arcybiskupem dyecezyi bolońskiej, którą zarządzał jego opiekun, a 1447 r. był obrany papieżem wbrew oczekiwaniu własnemu i tych, co się uważali za dobrze poinformowanych. Przybrał imię *Mikołaja V* (od 18 marca 1447 do 24 marca 1455) przez wdzięczną pamięć na zgasłego niewiele wcześniej patrona.

Z pośród zaskoczonych wyborem *Parentucelli'ego* jedni powiadali, że zawdzięczał powodzenie mowie, wygłoszonej nad zwłokami swego poprzednika, papieża *Eugeniusza*, drudzy poczytywali je radzi za oznakę zwycięstwa kultury humanistycznej. Jeden z wielbicieli nowego papieża nazwał, wedle słów *Platona*, świat szczęśliwym, kiedy

panowanie biorą mędrzy lub królowie zaczynają być mądrymi. To pewna, że po raz pierwszy został papieżem mąż, który życie dotychczasowe poświęcał wyłącznie studjom; teraz zaś osiągnąwszy najwyższe dostojenstwo duchowne, był zdecydowany majątek i powagę obracać na popieranie nauki, której dotąd składał w ofierze tylko czas i zdrowie.

Pontyfikat *Mikołaja V* był wogóle szczęśliwy. Ostatni antypapież, *Feliks V*, zrezygnował; rozwiązał się też sobór bazylejski, ostatni potężny przeciwnik papieża, niebezpieczny samém już istnieniem, a bardziej jeszcze nastrojem. W Rzymie i po-za granicami jego panował pokój i zgotował władzy papieskiej korzyść podwójną; w Rzymie przez to, że wprowadzono administrację porządną, zewnątrz Rzymu dlatego, że łagodną namową skłoniono do uległości panowaniu papieskiemu miasta, które, jak Bolonia, były mu nieprzychylnie. Szczególno go blasku dodała pontyfikatowi *Mikołaja V* wspaniała uroczystość jubileuszowa 1450 r., przypominająca najświetniejsze czasy papiestwa, oraz ostatnia dokonana w Rzymie koronacja cesarska *Fryderyka III*. Koronacja połączona z równoczesnymi zaślubinami *Fryderyka* i *Eleonory*, księżniczki portugalskiej, nastęrczyła okazyę do wielkich festynów i bardzo wzmocniła powagę papieża wobec wystąpienia cesarza małoostkowego i bezsilność jego zdradzającego. Jedynie tylko upadek Konstantynopola, jedne j ze stolic wyznania chrześcijańskiego, która niedawno poddała się papiestwu i miała tēm samém zupełne prawo liczyć na jego opiekę, umniejszyla do pewnego stopnia szacunek dla olbrzymie j potęgi papieskiej. Ale nawet i ta klęska przyniosła pożytek, gdyż była podnie tą do utworzenia ligi w Lodi, gdzie skojarzyla się państwa włoskie dla wspólne j obrony swych posiadłości przeciw Turkom; w związku tym miało papiestwo sposobność podjęcia na nowo swego zadania utrzymania państwa, jednoczenia świata. Tymczasem w Rzymie samym rycerz rzymski, *Stefan Porcario*, uknuł spisek przeciw *Mikołajowi V*, jako doczesnemu posiadaczowi władzy duchowne j. Pokuszenie to było reakcyą uczucia republikańskiego, odżywanego przez starożytność, przeciw wszelkiej opiece, nazywane j tyranią, wyrazem więc uczucia raczej zapożyczonego niż rzeczywiste oryginalnego; nie miało przeto dość siły, iżby zaszkodzić istnieniu a nawet zachwiać choćby na chwilę powagę władzy duchowne j. Powstanie zakończyło się bardzo szybko straceniem *Porcario* (9 stycznia 1453 r.) bez żadnych dalszych następstw. *Mikołaj V* bowiem zadowolił się ukaraniem przywódcy i nie pożądał wyszukiwać, jak opiewa przesadnie pewien poeta ówczesny, „nieskończone j ilości spółwinnych”, ale pragnał za radą tegoż poety „zbudować niezdo bytą twierdzę, miłość obywateli”. Niektórzy, co prawda, czcili *Porcario* jako męczennika a wielu wychwalało go, jako

człowieka zacnego, który miał na oku jedynie dobro ludu. Papież więc, być może, aby mniemania tego rodzaju zniweczyć, a głównie, by we właściwem świetle przedstawić dążenia, w imię których walczył *Porcaro*, polecił jednemu ze swoich, *Piotrowi de Godes*, napisać książkę. Zawiera ona opowiadanie o przebiegu i zakończeniu sprzyśiężenia oraz zdanie z wielkim wyrażone naciskiem, że tylko Rzym może być siedzibą papieża, w końcu, energiczną obronę świeckiej władzy papieżstwa. Ugruntowaniem władzy świeckiej zmusił *Mikołaj V* przeciwników do zupełnego milczenia; rzadko kiedy jaki żartowniś uszczypliwy, zmuszony zaniechać wycieczek gwałtownych, ośmielił się występować po cichu, tłómacząc np. początkowe litery imienia papieskiego N. P. V. nie, jak był powinien, przez: *Nicolaus papa quintus*, lecz przez zelżywe *nihil papa valet* (papież nic nie wart).

W mowie, wygłoszonej przed śmiercią wobec kardynałów, jak powiada *Mannetti*, jego biograf, następnemi słowy charakteryzuje *Mikołaj* rządy swego panowania (według tłómaczenia *Gregoroviusa*): „Święty kościół rzymski, spustoszony wojnami i brzemieniem długów obarczony, tak zreformowałem i umocniłem, iż zniweczyłem schizmę i odzyskałem zamki i miasta. Nietylko oswoodziłem go od długów, ale nadto dla jego obrony wzniosłem pyszne twierdze w Gualdo, Assisi, Fabriano, Civita Castellana w Narni, Orvieto, Spoleto i Viterbo; przyozdobiłem go wspaniałymi gmachami, najpiękniejszymi twórcami sztuki, jaśniejącej od pereł i drogich kamieni; wyposażyłem go arcy hojnie księgami i kobiercami, złotemi i srebrnemi naczyniami, kosztownemi szatami obrządkowemi. A wszystkie te skarby zgromadziłem nie chciwością, nie symonią, nie podarkami, nie skąpstwem; owszem, okazałem wszelkiego rodzaju wspaniałomyślną szcudroblivość w budowlach, w zakupie ksiąg mnogich, w nieustanném kopiowaniu rękopisów łacińskich i greckich, w nagradzaniu mężów uczonych. Wszystkiego tego dokonałem dzięki łasce Boga Najwyższego i ciągłemu pokojowi kościoła za mego pontyfikatu”.

Rzym stał się siedzibą Odrodzenia; przygotowywał się, by zostać jego stolicą. Temi słowy można określić znaczenie rządów *Mikołaja V* nie dla historii papieżstwa, lecz dla dziejów kultury i piśmiennictwa. Pod jego panowaniem Rzym zamienił się w fabrykę budowlaną, w jeden warsztat wielki; równocześnie stał się niby olbrzymią izbą pisarską. Budowanie było rozkoszą papieża, a pisanie, tłómaczenie, gromadzenie w bibliotekach rękopisów i przekładów — jego namiętnością.

Lat osiem zasiadał *Mikołaj V* na stolicy *Piotrowej* — i lat osiem bez przerwy zapelniali dwór jego kopiści, pisarze pospolici i *scrittori* (uczni pisarze, zwłaszcza w piśmie greckim biegli). Towarzyszyli oni papieżowi nawet w podrózach; pracowali ustawicznie nad tem,

aby stare, rzadkie, nieczytelne kodeksy uwiecznić kilkakrotném przepisywaniem lub uprzystępniać je pismem czytelniejszym. Materiał do przepisywania gromadził się w takiej ilości, że *Filelfo* wykrzyknął w zapale: „Nie zginęła Hellada, hojnością tego jednego papieża przywędrowała, bodaj, do Italii, którą niegdyś w starożytności zwano wielką Grecją (magna Graecia)”. Rozporządzenie skarby bibliotek rzymskich i włoskich potrzebom nie wystarczały; uważano się za nieszczęśliwych, dopóki nie wysledzono rękopisów w krajach obcych, dopóki ich nie nabyto. Powszędy więc jeździli ajenci; świętym obdarzeni wężem i o prawie własności uposażeni pojęciem elastycznym, dowodzili bez skrupułu, że rękopisy, będące w posiadaniu nieuków, są własnością uczonych, a nie myśleli nigdy pochwyczonego nabytku ze swych wypuścić szponów. Zbieraczem tego pokroju był *Albert Enoche* z *Ascoli*; podróżował po Niemczech zaopatrzonej w listy papieskie, mające mu otwierać biblioteki i szkatuły klasztorów i duchowieństwa. Ale i on także nie spełnił nieraz już zawiedzionej, a zawsze jednak żywionej nadziei znalezienia zupełnego rękopisu Dekad Liwiuszowych i z małą zdobyczą wrócił do Włoch. Tak przynajmniej donosi *Poggio*, który sam wyruszał niejednokrotnie na poszukiwania rękopisów, oraz *Wespazyan Bisticci* (ob. str. 90), który z zagranicy podrwiwał, a Italię uważał za jedyną ojczyznę dobrych kodeksów. *Bisticci* i *Mikołaj Perotto* byli głównymi pomocnikami w mozolnej, ale owocnej pracy przepisywania. *Perotto* (ur. w Sassoferrato 1430, zm. 1480 arcybiskupem Siponto w Manfredonii), odznaczał się jako pilny kopista i gruntowny znawca starożytności. Napisał ważne dla języka łacińskiego dzieło gramatyczno-egzegietyczne (*Cornucopiae sive Commentariorum linguae latinae liber primus*. Księga druga nie wyszła nigdy jako dodatek do objaśnień *Martialisa*). Znajomość języka greckiego wykazał w różnych tłumaczeniach, np. pierwszych pięciu ksiąg *Polibiusza*, i kilku drobniejszych urywków *Arystotelesa*, *Plutarcha*, *Epikteta* i *Ś. Bazylego*; wielkiego zaś poważania dla mowy i literatury helleńskiej dowiódł biografią kardynała *Bessariona*, gorliwego ich krzewiciela. Zabawiał się też polemiką, jak prawdziwy humanista, a wysoki urząd duchowny, ile się zdaje, nie odrywał go od studyów naukowych.

Wielu przepisywaczów oddawało się tłumaczeniom, ale nie wielu tłumaczów poświęcało się przepisywaniu. Kopiowanie bowiem już w owe czasy uchodziło za robotę podrzędną, przekładanie zaś było pracą literacką, której się nie wstydzili i największe znakomitości. *Mikołaj V* pobudził właśnie swych towarzyszyw do gorączkowej działalności na niwie tłumaczeń, a zachętą i nagrodami coraz bardziej ją rozniecał. Nie zasługuje ona bynajmniej na pogardliwe miano fabryki tłumaczeń, jakim niektórzy radzi byli ją ochrzcić. Bo oto

w szeregu przekładaczy spotykamy najcelniejszych mężów onego czasu; prócz *Perotta* i *Poggia* zdobywają sobie rozgłos w tym kierunku *Guarino*, *Decembrio*, *Valla*, *Filelfo*. Pracując starannie i ze znajomością rzeczy, stworzyli dzieła, które, lubo są dalekie od doskonałości, podziwiali jednak ówcześni miłośnicy nauk, a papież opłacał z hojnością więcej niż królewską. Pomimo to nie zdołał Mikołaj V dojść do całkowitego przekładu *Homera*; za tłumaczenia *Polibiusza* zapłacił 500 dukatów, za *Strabona* 1000 skudów, a za *Homera* ofiarowywał napróżno 1000 sztuk złota. Napróżno, ponieważ *Marsuppini* (ob. str. 79) nie posunął się dalej poza dwie pierwsze księgi, a Rzymianin *Oratius*, tłumacz przez poetów współczesnych bardzo chwalony, dostarczył jeno fragmentów; musiano więc poprzestać na rewizyi wyciągu z *Iliady*, dokonanego przez *Pindara* z *Teb* w pierwszych wiekach naszej ery, oraz na prozaicznej parafrazie pierwszych ksiąg szesnastu, sporządzonej przez *Wawrzyńca Valle* w piątym dziesiątku wieku XV.

Szczęśliwiej powiodło się papieżowi z założeniem biblioteki, niż z popieraniem tłumaczeń. Słusznie bowiem *Mikołaj V* może być uważany za właściwego twórcę tak zwaney *Vaticana*. Za poprzedników jego, papieżów obcych literaturze, skarżono się nieraz, że księżnicom rzymskim nie lepiej się dzieje niż barbarzyńskim, gdyż i one musiały dostarczać malarzom religijnym pięknych kart pergaminowych; ale za *Mikołaja V* położono koniec takiemu kojarzeniu żywiołów świętych ze świeckimi, poczytywanemu przez mężów renesansu za niegodne. On, papież, co niegdyś medycejską urządzał bibliotekę, nie chciał stać niżej od księcia i kupca florenckiego; stworzył też rzeczywiście bibliotekę z 5,000 tomów, która zarówno swą okazałością zewnętrzną, jak i bogatą zawartością zjednała sobie wkrótce sławę.

W założeniu i pomnażaniu tej biblioteki pomagał dużo papieżowi zaprzyjaźniony z nim bibliotekarz, *Jan Tortello* (zm. 1466). Był to uczony bez żadnych pretensyj; żył tylko ze swemi książkami, o życiu innych mało co wiedział i nie miał szczęścia, ilekroć mieszał się do spraw tego rodzaju (np. daremnie się starał poprawić jakiegoś niecnotę kardynała). Pracowity tłumacz i badacz wielostronny, pomimo różnorodnych zajęć urzędowych, znajdował jeszcze tyle czasu, że pisał rozprawy medyczne i teologiczne. Prócz tego ogłosił ważne dzieło, obejmujące zbiór słów przyswojonych z greczyzny, z objaśnieniami lingwistycznymi i rzeczowemi (*De orthographia dictionum e Graecis tractarum*, 1 ed. drukowana 1471), niezmiernie wówczas pożyteczne wydawcom i tłumaczom pisarzy greckich. Nie uniknął jednak *Tortello* oszczerstw pomimo gorliwości i skromności; chociaż, jak nie wielu wówczas, był „znawcą obu języków”, *Filelfo* przecież roz-

głaszał o nim, iż udawał, jakoby znał literaturę grecką i rzymską, w rzeczywistości zaś ujawnił grubą nieznajomość.

„Papież lubi ładne książki i złoczone szaty,” tak charakteryzuje swego poprzednika *Eneasza Silwio*. Obraz ten można uzupełnić dodatkiem: lubił przepych i strojność we wszystkich rzeczach. Pragnął Rzym przekształcić i pobudowaniem wspaniałych gmachów zrobić go pierwszym miastem w świecie. Wyliczenie nowych budynków, wykaz, jakie miał plany, ocenienie artystów, którzy mu pomagali — wchodzi w zakres historii budownictwa i sztuki. Na niektóre tylko rzeczy trzeba tutaj zwrócić uwagę. Oto za rządów *Mikołaja V*, przyjaciela starożytności, obchodzono się z resztkami zabytków antycznych w sposób również nielitościwy, jak i za panowania jego poprzedników, wrogów świata pogańskiego. Wrywano z ruin kamienie (lub dobywano je z kamieniołomów w Tivoli), by użyć ich do nowych budowli; bez skrupułu zburzono starą bazylikę Watykanu, chociaż przy większej opiece mogła się była ostać; zniszczono świątynię *Probusa*. W innych natomiast wypadkach otaczał papież szczególną troskliwością szczątki starożytne. Zachowano więc z mozołem odwieczne bruki i dawne groby chrześcijańskie; wykończenie Kapitolu jest dziełem papieża. Ale tenże sam papież, którego nieraz przedstawiano jako jednostronnego czciciela starożytności, starał się więcej od innych o poprawę i odnowę wielu kościołów, np. św. Celsa, św. Stefano rotondo, św. Euzebiusza, św. Jana Laterańskiego, św. Maria Maggiore, św. Teodora, Panteon; co prawda, co do niektórych zarzucali mu świadomi rzeczy społecznicy, że bardziej popsuł, niż poprawił. Charakterystycznym znamięm osobliwszego kojarzenia starożytności z chrześcijaństwem było upiększenie pracowni papiejskiej; przyozdabiały ją nie postaci allegoryczne poezyi i wymowy, nie sceny z życia antycznego, ale dwa malowidła pędzla *Fra Angelico*, wyobrażające świętego Wawrzyńca i Sebastjana.

Z pośród artystów, którzy *Mikołaja* wspierali radą i do różnych przedsięwzięć zachęcali, odznaczył się przedewszystkiem *Leon Chrzeci-ciel Alberti*; świadczy o tém wielu współczesnych oraz późniejszy *Vasari*, opierający się na żywej, rzadko omylniej tradycyi (dokumenty wszelako milczą o *Alberti*'m). Pewnym jest jedno, że *Alberti* poświęcił papieżowi główne swe dzieło *De re aedificatoria*, dedykacja zaś podobna ze strony umysłu tak wolnego i niepodległego, jakim był *Alberti*, dowodzi powinowactwa duchowego, a nie przypadkowego i zewnętrznego jeno stosunku. Prawdopodobnie architekt ten zbudował z polecenia papieża dach nad mostem św. Anioła. Jeżeli z licznego grona współpracowników wymieniają jego tylko, pochodzi to nie stąd wyłącznie, że jest to jeden z najznakomitszych i niewątpliwie najwzrostronniejszy, i nie stąd także, że przedziwnie umiał zespolić twór-

czegoś artystyczną z pracą pisarską, ale stąd głównie, że działalnością imponującą wymusił na literatach szacunek i cześć dla siebie i artystów wogóle. *Eneasze Silvio*, mówiąc o słynnym *Bernardzie Rosselinie*, powiada poprostu: „jest on między budowniczymi swego czatu szczególnej czci godzien,” mówiąc zaś o *Albertim*, nazywa go „mężem uczonym, najbiegłym badaczem starożytności, antorem pism znamienitych”. Teraz na wyszcigi wysławiają artystów i zestawiają ich z gieniuszami starożytności. *Fra Angelico* porównują z *Apellesem*; *Andrzeja Guazalottiego* zwą współzawodnikiem godnym *Pyrgotelesą*; mistrzowie, co katedrę w Orvieto przyozdobili rzeźbami, nie ustępują w niczem, podług zdania papieża *Piusa*, *Fidyaszowi* i *Praksytelesowi*.

„Cóż temu mężowi jest tajemnym?” pyta *Poliziano*, „jaka umiejętność tak ciemna, jaka wiedza tak odległa, iżby Leon Chrzyciel jej nie posiadał i nie zgłębił?”

Leon Chrzyciel ur. podobno 1404 r. na wygnaniu w Wenecyi, wrócił potem do Florencyi, ojczyzstego miasta swego rodu, którego jest godnym potomkiem. Godzien przez dzieła własne, ale godzien też przez dumę familijną i cześć, jaką okazywał dziełom swych przodków na polu sztuki i literatury, ich bogactwu i zręczności w handlu. Mieszkał długo we Florencyi, bawił później na dworach kilku książąt, których względami się cieszył, ale w dworaka się nie przedzierzgnął; przyjął święcenia kapłańskie, ale księdzem nie został; studiował prawo, ale nie chciał być jurystą; oddawał się naukom humanistycznym, zajmował się praktycznie i teoretycznie każdą gałęzią sztuki. Mąż przedziwnej i doskonałej wszechstronności, rzadkie pod tym względem przedstawiał zjawisko; celował zarówno uzdolnieniem fizycznym: w bieganiu, konnej jeździe, skakaniu, rzucaniu piłką, jak i zaletami umysłu.

Przy takiej wszechstronności nieuniknione też są w nim, co łatwo pojąć, sprzeczności. Ujawnia się to w jego sądach o kobietach. Już to nader żarliwie wychwala piękność, czystość i wierność niewiast, wysławia miłość dla białogłowy jako dobro najcenniejsze i analizuje obowiązki mężczyzn i kobiet w miłości; to znowu z uczoną miną i mnogością dowodów historycznych wygłasza zdanie, że świat na zło sprowadziły niewiasty. Już to radzi uciekać od podwik, ponieważ niosą z sobą oszustwo, chytryść i obłudę, a dzięki tym własnościom zagarniają w swe ręce nieuprawnione panowanie nad mężczyznami; to znowu w końcu jednej noweli obwieszcza myśl piękną: „Kto nie doświadczył miłości, ten nie wie, co melancholia i rozkosz, ten nie zna odwagi i bojaźni, ten nie zna smutku i słodczy życia.”

Inną sprzeczność widzimy w jego poglądach na języki. To okazuje się, jak każdy humanista, jednostronnym, bezwzględny obróćcą języka łacińskiego, który jest jedynym narzeczem właściwym uczo-

nym i wogóle ludziom ukształconym; to użalając się nad zatrąceniem języka wszechświatowego, twierdzi zarazem, że dyalekt tokański nie powinien budzić żadnej odrazy, że raczej zupełnie się nadaje do jasnego i zrozumiałego wyrażania myśli. Posługuje się też obu językami. Po włosku pisze np. dzieło o domu, kreśląc w niem mądrze obraz życia rodzinnego, po łacinie zaś komedię i autobiografię, dzieła o teorii sztuki i inne prace uczone.

Sprzeczne są również zapatrywania *Alberti* na epoki: łacińską i włoską, starożytną i nowoczesną. W biegu czasu zmieniają się i tu przekonania. Początkowo zdawało mu się, „jakoby natura się zestarzała i znużyła, jakoby nie zdolna już wydać umysłów wielkich tak, jak nie wydaje olbrzymów.” Kiedy jednak po dłuższej nieobecności odwiedził znowu Florencję, ujrzał tam mistrzów, którzy gieniuszem nie ustępowali wcale starożytnym.

Ale największa niezgodność uwydatnia się w jego na świat poglądach: pogańsko-humanistycznym i chrześcijańskim. Całą jego istotę przenikają trzy mniemania, znamionujące wychowawca renesansu: 1. że żądza sławy jest motywem podniecającym do dobrego sposobu myślenia i czynów świetnych; 2. że zupełne, bezwzględne wykształcenie własnej osobistości jest dla kroczących naprzód przykazaniem najwyższem; 3. że starożytni są jedynymi źródłami, z których można czerpać dobro, oraz prawdziwymi gwiazdami przewodniami, wiodącemi ku dobru. Lecz to nie przeszkadza mu bynajmniej twierdzić, że chrześcijaństwo — które przecież potępia żądę sławy jako burzycielkę pokory chrześcijańskiej, na wykształcenie indywidualności pozwala o tyle, o ile nie sprzeciwia się ono nakazom kościoła; zamiast starożytnych poleca czcić biblię, jako jedyne lub główne źródło poznania — że chrześcijaństwo wydzwignie świat z pałodu obłędów na wyżyny prawdy; że chrześcijaństwo dopiero mądrość z niemożliwej i bezpłodnej robi możliwą i płodną.

W poglądach tych tkwi owa wielka siła podniecająca, jaką rozczął *Alberti* w swym czasie; spoczywa wysokie znaczenie, do jakiego i dziś jeszcze może rościć prawo. Znaczenie jego dałoby się wyświecić należycie wtedy tylko, gdybyśmy roztrząsali główne jego prace literackie; gdybyśmy opisali jego dzieła architektoniczne, między którymi najprzedniejsze zajmują miejsce kościół św. Franciszka w Rimini i fasada kościoła Sta Maria Novella we Florencji; gdybyśmy odmalowali jego życie uczuciowe, np. jego „gorące umiłowanie przyrody i wszelkiego piękna uzewnętrznionego. Tymczasem przedstawienie tych rzeczy należy całkowicie do historii sztuki, przekracza więc granice naszego zadania.

W ostatnich lat dziesiątkach życia przebywał *Alberti* często w Rzymie jeszcze i po śmierci *Mikołaja V*, umarł dopiero 1477. Kro-

nikarz rzymski zanotował skon jego podczas pamiętnych wypadków miejskich w słowach: „Odszedł od nas mąż pełen powabnej uczoności i miłego umysłu.”

Leon Chrzyciel Alberti jest tak wielostronny, że zasługuje na pamięć nie tylko jako pisarz renesansu; niektórzy inni jego współcześni, ciesząc się również względami *Mikołaja V*, nosili z dumą ten wyłącznie jedyny tytuł do sławy. Są nimi: *Wawrzyniec Valla* (1407—1457), *Mateusz Vegio* (1406—1458), *Flawiusz Biondo* (1388—1463).

Wawrzyniec Valla całym żywotem swym do Rzymu nie należy; tam wszelako się urodził, tam się uczył pod kierunkiem *Leonarda Bruni*ego i *Jana Aurispy*, i tam umarł. Nie otrzymawszy pożądanego urzędu sekretarza papieskiego, 24-letnim młodzieńcem wyjechał do Piacenzy, następnie długo się włóczył po świecie, aż znalazł przyjemne miejsce pobytu na dworze neapolitańskim, skąd na wezwanie *Mikołaja V* udał się 1477 r. do miasta rodzinnego i tu przebywał po śmierci papieża do końca dni swoich.

Zapraszając *Valłę*, przywiązywał papież wielką wagę do uczoności filologicznej i zachęcał go do odczytów; pragnął mieć w nim towarzysza *Tortella*. *Tortello*wi też poświęcił *Wawrzyniec* główne swe dzieło: *Elegantiae linguae latinae*. Książka ta jest skarbcem mowy, poczerpniętym w ostatnich lat dziesiątkach z czystego źródła starożytnych, zawiera wzorowe przykłady do dalszego kształcenia języka na modłę klasyczną. Jestto wyższego rodzaju gramatyka, mająca na celu nie wykład zasadniczych pojęć języka dla niewtajemniczonych weń, lecz przedstawienie subtelności wysłowienia; jestto zbiór zwrotów, właściwości składniowych, prawideł stylistycznych z przytoczeniem niezliczonych wyjątków z pisarzy klasycznych. Tę olbrzymią masę materiału wobec niedostatku ówczesnego wszelkich pomocy gramatyczno-leksykalnych zgromadził autor nie ze słowników, ale brał ją z pierwszej ręki, dzięki rozległej swój wiedzy. Delikatny zmysł językowy, odczucie artystyczności i harmonijności w budowie języka nadają dziełu wartość dziś jeszcze, a w ciągu lat dziesiątków, ba! stuleci może nawet, czyniły zeń niewyczerpaną dla uczonych kopalnię.

Mniej zadawalnia strona metodyczna książki. W układzie brak systematyczności i przejrzystości; prawidła syntaktyczne idą naprzemian z uwagami o użyciu wyrazów i form wyrazowych, z nauką o znaczeniu pewnych końcówek. Nawet przy najpilniejszym zastanowieniu nie można odkryć wewnętrznego związku między dwoma rozdziałami, bezpośrednio po sobie następującymi, z których jeden *de eventu, jussu*, a drugi o przymiotnikach, urobionych przyrostkami *tilis, arilis, silis*. Ważniejszym jednak od bogactwa treści i jej uporządkowania było dla współczesnych uczucie tryumfu, ożywiające

książkę, zwyczajnie pocucie Rzymianina i obywatela nowej epoki. Owo pocucie rzymskości odbija się w dumnym i często przytaczanym zdaniu: „My, Rzymianie utraciliśmy panowanie świeckie, ale wskutek świetnego panowania języka, rządzący dziś jeszcze wielką częścią świata; nasza jest Italia, nasza Francya, Hiszpania, Niemcy i wiele innych narodów, gdyż tam jest państwo rzymskie, gdzie panuje język rzymski.” Owo zaś przeświadczenie, że się należy do nowych czasów, ujawnia się w potężnym poczuciu indywidualności własnej i w gwałtownych wycieczkach przeciw adwersarzom. *Valla* bowiem głosił, że dzieło jego pierwsze dopiero uczy prawdziwej łaciny; bezwstydnym nazywał tego, który nie zna wytworności (*elegantia*) a szaleńcem tego, kto ją lekceważy; walczył przeciw teologom, którzy się chępliwią z tego, że nie znają wartości pisarzy klasycznych, aby „przez to pokazać się wznioślejszymi i świętszymi;” i gromił ostro jurystów dawniejszych, którzy, jako główni przedstawiciele wysłowienia barbarzyńskiego, byli jego i tylu humanistów wrogami zaciętymi. Takie bezwzględne wystąpienie *Valli* było rzuceniem rękawicy przedstawicielom stanów zaatakowanych i zapaśnikom bitnym wogóle; probują więc ochoczo odeprzeć napaści i zarzucają jemu, gramatykowi, błędy gramatyczne. *Valla* z hasła swego: „hańbą jest spory toczyć, ale większą hańbą w walce uleźć” wziął do serca raczej część drugą i odplacił co najmniej w równej mierze moneta, jaką otrzymał, t. j. oskarżeniami i obelgami, gdyż obelgi stanowiły dział główny pism polemicznych onego czasu. Niepowściągliwym wszakże sposobem wyrażania się dokazał tego jeno, że w inwektywach swych przeciw *Poggio'wi*, *Bartłomiejowi Facio* i innym, zapominał wobec złorzeczeń o przedmiocie sporu i własnej tylko osobie palił kadzidła, udając, iż służy nauce.

W szóstej księdze *Elegantiarum* (rozdział 34), gdzie uwagom krytycznym i polemicznym daleko więcej użyto miejsca, niż gramatycznym, objaśnia *Valla* wyraz *persona*; wbrew *Boecyuszowi*, który widzi w nim substancję, określa go *Wawrzyńcic* jako pojęcie jakości, jako przymiot duchowy lub fizyczny, wskutek którego wyróżnia się człowiek od człowieka. Substancya, jakość i akcja, są to trzy kategorie, które *Valla* w dziele swém „O dyalektyce” (*Dialecticarum disputationum libri tres*) stawia w miejsce dziesięciu kategorii Arystotelesowych. Uproszczenie takie terminologii szkolnej nie jest zaiste osobliwszą zasługą, a pod innymi też względami rezultaty pozytywne książki nie są również wielkie; główna jej wartość polega na negacyi, na opozycyi przeciw filozofom dawniejszym, przeciw scholastykom średniowiecznym. Zdanie: „oswobadzam uczących się z sieci i zasadzek sofistów,” pomieszczone w przedmowie do księgi trzeciej, znamionuje tendencję i zawartość istotną dzieła.

Dyalektyka zgodnie z pojęciami ówczesnymi ma nauczać metody myślenia, podawać formuły; myśliciel filozoficzny nie ma przecież zatrzymać się przy tych rusztowaniach. Zanim *Valla* napisał gramatykę i dyalektykę, wyłożył wprzód swój system filozofii w dziele: „O rozkoszy i prawdziwem dobru” (*De voluptate et de vero bono*). Rozpada się ono na trzy dyalogi, w których *Antoni Beccadelli* (Panormitanin) głosi naukę Epikurejczyków, *Leonard Brunni* występuje jako adwokat stoików, a *Mikołaj Niccoli* bierze na siebie obronę gorliwą „prawdziwego dobra.” (Poróżniwszy się z jedną z tych osób, wprowadził *Valla* później do tegoż pisma przerobionego, na ich miejsce innych mężów, którzy mają bronić poglądów częściowo zmienionych; z pomiędzy nich zasługują na pamięć *Mateusz Vegio* i *Kandyd Decembrio*). W dwu zdaniach: „Co przyroda spłodziła i utworzyła, jest chwalebne i święte,” oraz „Przyroda jest właśnie tém, albo prawie tém samém co i Bóg,” odbijających niby echem późniejszego materializmu, zawarł *Beccadelli* (wyrażając juźci mniemania samego *Valli*) zasadnicze myśli filozofa—religijne i moralne. Drugie zdanie—równanie stworzenia ze stwórcy, tworu bezwiednego z świadomą przyczyną wszechbytu — wstrząsa podwalinami chrześcijaństwa; pierwsze znowu burzy podstawy silnie ugruntowanej moralności, gdyż miasto cnoty, „pragnienia dobra lub miłości ku niemu a odrazy do złego” stawia rozkosz, „dobro ze wszech krynic czerpane, polegające na rozweseleniu ducha i ciała.” Wychwala filozof uciechy oka, ucha, podniebienia, rozkoszowanie się pięknnością niewieścią, słodkimi dźwiękami muzyki, winem, które „jest mistrzem i ojcem wszystkich rozkoszy;“ pozwala jednostce na nieokiełznane zaspokojenie chuci i niweczy tym sposobem życie społeczne, zbudowane na zasadzie obyczajności, ponieważ usprawiedliwia cudzołóstwo i domaga się wspólności kobiet. Przedewszystkiem jednak zwraca się przeciw księżom, nie tylko przeciw scholastyce przez nich uznanj i pielęgnowanej, ale także przeciw celibatowi, mnichostwu i mniszkostwu; tamto potępia jako występki przeciw naturze, to zaś zwalcza jako instytucję zabobonną; w końcu dodaje: „Kto wprowadził mniszkostwo, tego z przyczyny tak potwornego przepisu należałoby wygnać na krańce ziemi.”

Valla nie uznaje żadnej powagi. W niczém nie imponował mu ani *Arystoteles*, ani jego wielbiciele i komentatorowie. O nich właśnie wyrzekł: „Więc ja miałżebym się lękać tych ludzi i pozwolić, iżby mi zabraniali cośkolwiek przeciw *Arystotelesowi* wygłosić? miałżebym ścierpieć, iżby przypisywali sobie autorytet, do którego nie może rościć pretensyi nawet ogół filozofów? Niel bez względu na nich wypowiem wszystko przeciw *Arystotelesowi*, co mi leży na sercu, nie dlatego, aby oskarżać człowieka, lecz aby uszanować prawdę.”

Człowiek takiego umysłu brał pod skalpel krytyczny dokumenty i akta, uważane od wieków za święte, lub przynajmniej za prawdziwe. Zwalcza mianowicie tak zwany akt darowizny *Konstantyna*, opiewający, jakoby cesarz ten, przez wdzięczność za otrzymanie chrztu, miał oddać papieżowi *Sylwestrowi* w posiadanie wieczne pałac laterański, Rzym, Italię, ba! cały nawet Zachód. W kwestyi tej zresztą wyprzedził go, podobne głosząc zdania, *Mikołaj Cusa*. *Valla* nie kierował się tu tylko względami naukowymi; działał więcęć może dla dogodzenia *Alfonsovi*, królowi neapolitańskiemu, z którym w blizkich zostawał stosunkach, i jego nieprzyjaźni ku papieżowi *Eugeniuszowi IV*; niejedno więc z gwałtownych wynurzeń Wawrzyńca przeciw papiestwu należy pojmować jako skutek niechęci do jednego papieża. W każdym razie wystąpienie jego jest znaczące i śmiałe.

Nieprawdziwość darowizny *Konstantyna* wykazał na podstawie dowodów rzeczowych, językowych i historycznych. *Valla* posiadał tyle wykształcenia politycznego, że rozumiał, jak trudnem jest otrzymanie wszelkiego nabytku i jak wielką musi być żądza zachowania posiadłości raz pozyskanęj, wydawało mu się więc aż nadto dziwnem, ażeby cesarz jednem pociągnięciem pióra wyzywał się olbrzymiej części swego państwa; to dowód rzeczowy. Językowy zaś wynika z języka dokumentu; łacina bowiem jego pachniała wybornemu nawcy świata klasycznego, zanadto nie klasycznem wysłowieniem wieków średnich. Dowód historyczny wreszcie zasadza na tém, że wyćwiczony historycznie, nie znajduje żadnego świadectwa zewnętrznego dla poparcia wiarogodności. Okoliczność zaś, że tylu papieżów w ciągu wielu wieków wierzyło w autentyczność aktu, nie jest dla niego żadnym dowodem, jest raczej świadectwem ich niezajomości rzeczy i łatwowierności. Gdyby nawet o prawdziwości powątpiewali, to wszelką wątpliwość stłumiliby korzyściom gwoili. *Valla* nie zadawał się jednak wykazaniem nieważności dokumentu darowizny; jemu chodzi jeszcze o to, aby z tego dowodzenia wysnuć daleko sięgające wnioski. Zbija mianowicie prawo papieżów do władzy świeckiej wogóle; zwywa nawet Rzymian, aby się oderwali od znie-nawidzonego przezeń *Eugeniusza IV*. Wezwanie swe uzasadnia sposobem dwojakim. Przedewszystkiem odwołuje się do historii biblijnej i powiada: „Jeżeli wolno było Izraelowi oderwać się od Dawida i Salomona, namaszczonech przez proroków, to czyż my nie mielibyśmy prawa zrzucić tak wielkiego tyraństwa i wyzwolić się od tych, którzy z pasterzy jagniąt stali się złodziejami i rozbójnikami?” Następnie bierze pod uwagę wysokie stanowisko Rzymian, mówiąc: „Jeżeli inne narody, które zostawały pod zwierzchnictwem Rzymu, mogły wybierać sobie króla lub stworzyć rzezpospolitą, to témbar-dziej przystoi to narodowi rzymskiemu, wobec nowego tyraństwa pa-

pieża." Z usunięciem władzy tak nieuzasadnionej, papieństwo bynajmniej zniszczonem nie będzie, ale zachowa się w postaci prawdziwej; „wówczas będzie papież rzeczywiście namiestnikiem Chrystusa, wówczas słusznie zwać się będzie Ojcem świętym, najwyższą głową wszystkich, panem kościoła."

Valla posiada wysoce rozwinięty zmysł krytyczny, ujawniony już w ataku na darowiznę *Konstantyna*. Ostry nóż krytyki zwraca przeciw osobom i rzeczom, przeciw wiekom średnim i starożytności, przeciw rzeczom świeckim i świętym. Z badań nad starożytnością zaznaczyć wypada głównie dotyczące *Liwiusza*, do których podnięta było czytanie i objaśnianie historyka rzymskiego wobec króla neapolitańskiego Alfonsa. Są to badania i poprawki tego rodzaju, że podług zdania jednego z nowszych filologów, dziś jeszcze znajdują po większej części właściwe miejsce w tekście *Liwiusza*: tyle w nich przenikliwości i subtelnej znajomości języka.

Krytyka *Liwiusza* zdała się niesprawiedliwą ślepym jeno ubóstwiczom starożytności, krytyka biblii natomiast, zrównanie jej autorów z dziejopisarzami pogańskimi, była w oczach wielu pobożnych wprost gorsząca. W bardzo ciekawym wstępie do historii króla *Ferdynanda*, ojca *Alfonsa*, traktującym o istocie dziejów, wypowiada Valla, bez względu na opozycję, jaką to musiało wywołać, wielce śmiałe zdanie: „Mojżesza, najpierwszego i najmędrszego pisarza, oraz czcigodnych ewangelistów, musimy nazwać historykami.“ Takimi zapatrywaniami torował sobie drogę do krytyki biblii; napisał mianowicie „Przypiski do Nowego Testamentu“ (*Annotationes in Novum Testamentum*). Wykazał tu znaczne braki tłumaczenia łacińskiego, poczytywanego przez kościół niemal za święte, w stosunku do tekstu greckiego; prócz tego, zdradzał ochotę roztrząsać rękopisy tekstu greckiego w sposób podobny jak dzieła pisarzy świeckich. Co więcej, poszedł dalej jeszcze, Zbijał oto wbrew powszechnemu wówczas mniemaniu autentyczność listu *Abgara* do *Chrystusa* i zaprzeczał, ażeby redakcyja symbolu apostołskiego przez wszystkich apostołów była dokonana. Twierdzeniami tego rodzaju ściągnął na się nienawiść duchowieństwa, a zwłaszcza kaznodziei minorytów, *Fra Antoniego di Bitonto*, który zapamiętałe srożył się nań w mowach publicznych. Skutkiem tego, musiał *Alfons* wziąć krytyka w opiekę. Ale, czy byłby król udzielił mu tej opieki, a jeżeliby udzielił, czy wystarczyłaby ona, gdyby był Valla rzeczywiście, jak, według słów *Pontana*, publicznie się odezwał, ośmielił się miotać strzały przeciwko *Chrystusowi* samemu? Wszakże odezwanie się samo, o wiarogodności którego wątpić nie można, jest już dość znamienne. Jeżeli co pouczyć może, jak zgodnie zespały się najgrubsze sprzeczności w epoce renesansu, to niezawodnie fakt, że filozof, który bronił poglądów epikurejskich

w przeciwstawieniu do chrześcijańskich; że historyk i polityk, który zwalczał świecką władzę papieżstwa i najwyższą głowę duchowną zelżywemi obсыpywał słowy; że teolog wreszcie, który mniemania księży wyśmiewał i gotów był krytykować dogmata kościoła; że człowiek ten mógł mieszkać w Rzymie, nie w jakiejś kryjówce zaparty, ale publicznie nieatakowany, jako protegowany, ba! jako przyjaciel papieża.

Jednym z rozmówców w przerobionym dyalogu *Valli: De voluptate* jest *Mateusz Vegio* urodzony w *Lodi (Laudensis)*. Początkowo był profesorem poezyi i prawa w Pawii, następnie za Eugeniusza IV przybył do Rzymu, został mnichem augustyańskim i aż do śmierci żył w stolicy papieskiej. Śmiałością myśli i bezwzględnością mowy nie dorównywa *Valli*, ale że żył w tej samej atmosferze umysłowej co i *Wawrzyniec*, dowodzi tego widoczne i w nim połączenie starożytności z chrześcijańskością. Jestto tém charakterystyczniejsze, iż był i nie przestał być księdzem. Ten sam człowiek bowiem, co napisał wielkie dzieło (cztery księgi) o życiu *św. Antoniego*, pisze oraz dalszy ciąg *Wergiliusza*, trzynastą księgę *Eneidy*. Biografię *św. Antoniego* poświęca głowie kościoła, uspakaja papieża „świętego, który dziejów świętych godzien,“ że nie znajdzie tu „zmyśleń poetów dawnych,“ i zaczyna swą budującą historję obietnicą, że nie będzie mówił o fałszywych bogach *Jowiszu* i *Febie*, lecz o jedynym prawdziwym *Chrystusie*. Poemat zaś, owa kontynuacja *Wergiliuszowej Eneidy*, jest w swęj osnowie historją „nie świętą“ — ujarzmienie przez *Eneasza* Rutulów po śmierci *Turnusa*, żale *Latynusa* i *Daunusa* nad jego skonem, ożenek *Eneasza* i szczęście, jakie znajduje w małżeństwie; sposób traktowania nawskroś antyczny, z całym aparatem mitologicznym bogów i bogiń, z całym poglądem poety pogańskiego. Podobna sprzeczność i podobna mieszanina ujawnia się i w innych dziełach naszego autora. Lubi on przedmioty mitologiczne, nie tylko podanie o *Eneaszu*, drogie mu jako *Włochowi*, lecz także powieści o bohaterach! Mit o śmierci *Astyanaksa*, nieszczęśliwego syna *Hektorowego*, i o wyprawie *Argonautów (Velleris aurei libri quattuor)* obrobił w dwu samoistnych poematach, w których znowu główną rolę, lubo nie zawsze czysto boską, odgrywają bogowie starożytni z *Palladą* na czele. Ale równocześnie zajmuje się też historją świętą. Sporządza uczony opis staręj katedry *św. Piotra*, tém cenniejszy, że kościół ten wkrótce potem ustąpił miejsca innemu; opowiada życie wielkiego kaznodziei pokutnego, *Bernarda z Sieny*; tłómaczy wierszem łacińskim kilka psalmów, a *św. Monice*, matce *św. Augustyna*, oddaje cześć tkliwą. Poezye nabożne zapewniły mu stanowisko zaszczytne między znakomitościami kościelnemi z końca wieków średnich, ale większy jeszcze rozgłos zjednały mu bogobojne traktaty prozaiczne,

np. o czterech rzeczach ostatecznych żywota ludzkiego: o śmierci, sądzie ostatecznym, piekle i raju, albo o stałości religijnej, gdzie poleca i naucza nosić kary przez Boga ludziom wyznaczone i udręczenia, jakie ludzie ludziom gotują. Z tém wszystkim jest *Vegio* człowiekiem nowoczesnym; sprawy czasu pojmuje jasno. Dowodem tego rozprawa: „O wychowaniu dzieci” (*De liberorum educatione*). Stawia tu wysoko ideał wykształcenia swój epoki, mimo, że często nacisk kładzie na swoją pobożność i nieraz przytacza *św. Monikę*. Oprócz moralnego, domaga się wychowania naukowego i fizycznego (zaleca gimnastykę); odróżnia wychowanie chłopięce od dziewczęcego i wbrew innym teoretykom społecznym odradza uczone wykształcenie kobiety; dla chłopców pragnie ćwiczenia w wymowie i szanowania poezyi; jako lekturę proponuje *Wergiliusza* i żąda wysłowienia klasycznego; ostrzega przed wyrażeniami przestarzałemi i etymologiami fałszywemi; opowiada, by wysztytować nienaukowe traktowanie języka, ucieśzną historyjkę, że pewien gramatyk Bucentaura, nazwę okrętu we-neckiego, przewanego przezeń *bucentorium* wywodził od *buccae* i *centum* (sto pasorzytów), boć przecież książkę musiał mieć zawsze przy sobie orszak liczny.

Chociaż szacunek dla wysłowienia klasycznego jest wspólny wszystkim pisarzom Odrodzenia, jednakże *Flawiusz Biondo* różni się w tym względzie od wielu współczesników. Czyta chętnie łacinę klasyczną i posługuje się nią w piśmie, ale jest przeciwnikiem wyrażen klasycznych, ilekroć miały szkodzić jasności i ścisłości. Z tej więc przyczyny nie nazywa starorzymskim słowem *imperator* dowódcy pierwszego lepszego wojska; opisując w sposób poglądowy broń palną, używa na jej oznaczenie wyrazu wskroś nieklasycznego *bombardae*, zanosząc przytém prośbę do latynistów, aby mianu temu nie okazywali wstrętów z uwagi na jego przydatność. Ten sam sposób myślenia, co w zapatrywaniach filologicznych, przewodniczy mu także w pojmowaniu historyi i skłania go, że, mimo całej czci dla Rzymu starożytnego, podnosi znaczenie Rzymu nowoczesnego. Taka ocena obudzała we współczesnych niezadowolnienie. *Biondo* nie lękał się wszelako wyrzec: „Nie zgadzam się ze zdaniem tych, którzy Rzym terazniejszy lekceważą do tego stopnia, iż zdawaćby się mogło, że wszystko godne pamięci znikło wraz z legionami i konsulami, z senatem oraz ozdobami Kapitolu i Palatynu; jeszcze sława i majestat Rzymu stoją krzepko na własnych nogach i opierają się na podstawie trwalszej” (wedle tłómaczenia Gregoroviusa).

Słowa te mieszczą się na końcu dzieła *Bionda: Roma instaurata* (1447), po którym ukazały się później dwa podobne: *Italia illustrata* (1459), i *Roma triumphans* (około 1460). *Roma instaurata*, wręczona papieżowi *Eugeniuszowi IV*, jest pierwszym naukowym opisem miasta,

obrazem Rzymu, starego i nowego. Nie znajdziesz tu długich wywodów, jakieby wydawały się niezbędnymi uczonemu pedantowi, lub zapalonemu wielbicielowi starożytności, natomiast tu i owdzie wzmianki pochlebne o pomnikach odrestaurowanych przez papieża. Uzupełnienie tej pracy stanowi drugie dzieło, poświęcone wielkiemu protektorowi studyów humanistycznych, *Alfonsovi*, królowi neapolitańskiemu. Pięknie wystylizowaną dedykację ułożył *Franciszek Barbaro*, opiekun *Bionda*; sam bowiem autor nie ufał snąć sobie, iż zdobędzie się na wytworność niennikioną wobec monarchy wysoce ukształconego. W pracy tej zawiera się opis Italii podług 14 starożytnych okręgów kraju, wyliczenie miast oddzielnych oraz wykaz pamiatek z czasów dawniejszych i nowszych; pomieścił też *Flawiusz* alluzye do stosunków współczesnych obok np. rozbioru kwestyi, czy monarchowie powinni miłować nauki, okolicznościową wzmiankę o sobie i swojej rodzinie. Trzecia nareszcie z owych książek obejmuje urzędnia państwowe, religię i obyczaje Rzymian starożytnych. Szczęśliwie się nia zarówno papież *Pius II*, któremu była przypisana, jak i sam autor; nazwał ją *Biondo* dziełem wielu studyów i trudów (*multarum lucubrationum opus*). We wszystkich tych utworach wyowiada chętnie żarliwy badacz cześć dla ruin, przesławnych a zarazem smutnych szczątków starożytności, i wybucha gniewem na gwałcicieli czcigodnych zabytków, przeklina „bezbożną rękę tych, którzy wylamują kamienie i marmury do innych lichych (*sordidissima*) budowli.”

W pracach powyższych zajmował się *Biondo* przeważnie starożytnością rzymską. Głównem wszakże jego dziełem, któremu sławę zawdzięcza, jest praca traktująca ogół dziejów średniowiecznych, pod napisem: *Historiarum decades tres ab inclinatione imperii romani*. Jestto historia cesarstwa rzymskiego, t. j. historia powszechna w znaczeniu, jakie z pojęciem tém owe czasy łączyły,—od 412 r., a więc od zdobycia Rzymu przez Gotów, do roku 1440. Wybór przedmiotu godzien uwagi i nader znamienny, ponieważ uwzględnienie wieków średnich jest zasługą w epoce, kiedy jednostronnie dawano pierwszeństwo starożytności lub zajmowano się żywo wypadkami współczesnymi. W wyborze treści spoczywa też największa zasługa książki, bo co do wartości podanych wiadomości niejedno da się nadmienić; przedstawienie też nie zaleca się wcale świetnością ani języka, pozbawionego wdzięku i wytworności; ani układu, nużącego zbyt niewolniczym trzymaniem się chronologicznego porządku; ani opowiadania, właściwszego raczej referującemu kronikarzowi, niżeli roztrząsającemu dziejopisowi. Krytyka wreszcie słaba. Często, co prawda zarzuca *Biondo* pisarzom opieszałość i niewiarogodność (*deplorata scriptorum ignavia* i t. p.); karci przemilczanie imion ze strony tego lub innego historyka, odkrywa sprzeczność dziejopisarzy jednoczesnych,

np. w historii *Henryka VII*: ale nigdy i nigdzie nie okazuje określonego systemu krytycznego, pozwala swym upodobaniom lub wstrętom rozstrzygać o wyberze źródeł a nie ich zaletom wewnętrznym. Skutkiem tego mimo poczucia sprawiedliwości i zamiłowania prawdy zamieszcza mnóstwo bajek lub wiadomości tendencyjnych. O znakomitych przedstawicielach literatury mówi mało; kilkakrotnie wspomina tylko *Petrarkę*; w szeregu wypadków politycznych wymienia uwięzienie poety, a listów jego używa jako źródeł historycznych. „Wszystkiego tego”—powiada—„nie podawalibyśmy za pewne, gdyby nie potwierdził wyraźnie *Frąciszek Petrarka*, świadek naoczny”.

Flawiusz Biondo urodził się w Forli, mieszkał długo w Medyolanie i Bergamo, jako sekretarz wysoce poważanego *Frąciszka Barbaro*, zajmował stanowisko wcale poważne za *Eugeniusza IV*, zostawał z nim w stosunkach poufnych, towarzyszył mu z tej przyczyny na wygnanie a po jego śmierci Rzym opuścił; nie zdołał jednak, przynajmniej w pierwszych latach pontyfikatu, pozyskać łaski nowego papieża.

Nie zjednał sobie życzliwości papieża *Mikołaja V* może dlatego, że stał zbyt blisko jego poprzednika, a może dlatego, że zupełnie nie lub mało co znał język grecki. Dopiero następnii papież, a zwłaszcza *Pius II*, okazywali uznanie skromnemu i bezpretensjonalnemu uczonemu, wyodrębniającemu się zarówno wzorowem życiem familijnem, jak nauką, zupełnie wolną od wszelkiej żądy błyszczenia.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Enea Silvio Piccolomini i papieństwo do końca wieku XV.

Kaliks III (1455—1458), następca papieża *Mikołaja V*, ma dla historii papieństwa tak małe znaczenie, że nie usprawiedliwia wcale przydomku „wielkodusznego starca“, jakim go udarował *Palmieri* z przyczyny jego zapału do krucjaty, dla historii zaś renesansu nie ma znaczenia zgoła żadnego; łatwo więc zrozumieć wyrzeczenie o nim pewnego humanisty: „był bezużytecznym w szeregu papieżyów.“ Smutną sławę zyskał tém jeno, że popierał krewniaków niezasłużonych, że w nepotyzmie był poprzednikiem *Piusa II* nie tylko co do czasu, że w ciągu kilku dni rozproszył bibliotekę, którą *Mikołaj V* tworzył lat wiele z trudem ogromnym.

Tém większe ma znaczenie *Pius II* (1458—1464), który, nim został papieżem, nazywał się *Eneasze Silvio Piccolomini*. Urodził się 18 października 1405 r. w Corsignano, blisko Sieny, wychowywał się częścią w Sienie, częścią we Florencyi; wcześniej już zajmował stanowiska, zapewniające byt jemu i rodzinie. W charakterze sekretarza biskupa z Fermo uczestniczył w soborze bazylejskim, był żarliwym jego zwolennikiem, zawiązał stosunki z *Feliksem V* i w charakterze posła papieskiego udał się do *Fryderyka III* do Wiednia. Dopiero 1446 r. został księdzem, 1447 biskupem Sieny, następnie legatem papieskim przy *Fryderyku III*, 1456 kardynałem. Wybrany papieżem 1458, poświęcał w równej mierze uwagę sprawom politycznym i kościelnym, ale w obu kierunkach nie miał szczególniejszego powodzenia. Działalność bowiem w dziedzinie kościelnej nie przynosi by-

najmniej jego charakterowi wielkiego zaszczytu. Będąc najwyższą głową kościoła, wydaje bulle gwałtowne i obwieszcza w nich, że każda apellacya do Soboru, skądkolwiekby pochodziła, ma być karana jako obraza majestatu; poprzednio zaś, występując w roli człowieka prywatnego i prostego księdza, pisał zręczne pod względem dyalektycznym dyalogi, rozprawy historyczne i listy, w których stawia zasadę bezwarunkowej wyższości soboru i broni zdania, że sobór tylko za własną zgodą może być rozwiązany lub przeniesiony. Działalność polityczna papieża była rozgłośna, ale niepomyślna. Jego plan wojny tureckiej odpowiadał ideałom owego czasu w tym samym może stopniu, co usiłowanie nawrócenia do chrześcijaństwa sultana Mohammeda za pośrednictwem wyprawianego do niego listu. Atoli jedynym wiadomym rezultatem tych starań był wielki kongres książąt w Mantui (1459) z wielu długimi mowami a z uchwałami nielicznymi. Ze wszystkich mocarstw skoalizowanych sam niemal papież jeno myślał o tém, aby postanowienia przyprowadzić do skutku; udał się więc do Ankony, by stanąć na czele armii europejskiej i tu umarł 15 sierpnia 1464 r.

Pius II jest jednym z najukszałceńszych i najuczeńszych książąt wszystkich czasów. Był przytém najprawdziwszym wychowawcem renesansu. Chociaż nie jest szczęśliwym politykiem praktycznym, miał jednak trzeźwy pogląd na rozwój polityczny epoki: przezuwając, jakie następstwa wydać musi kondotyerstwo owoczesne, pochwała nowo tworzącą się silną władzę królewską, „gdyż szlachetny umysł królewski nagradza wszelką dzielność.“ Nagroda za dzielność, mianowicie téż własną, leży mu bardzo na sercu. Pożąda wielce sławy, słucha więc chętnie poematów sobie poświęcanych, wciąga je nawet do dzieł swoich, pragnie, aby imię i czyny jego żyły w pamięci wiekuistej. Przez czyny rozumie nie fakta nieliczne krótkiego pontyfikatu, ale mnogie prace długiego zawodu pisarskiego. Jest *Pius II* gorącym miłośnikiem starożytności rzymskiej, mówcą i poetą; do greckiej starożytności wszelako podziela odrazę wielu innych humanistów. Poczytywano go „za pierwszego, w którym nowa kultura stulecia wyraźnie się ujawniła“, nie znano „nie wznioślejszego nad polot jego wymowy“. Uwielbiał zaś starożytność nie tylko w języku, ale i w widocznych jego szczątkach. Jako ksiądz prosty pisał na cześć Rzymu wiersze, w których, czytamy: „Cieszę się, Rzymie, kiedy na twe spoglądam ruiny, wyziera z ich murów wielkość starożytna, ale jeżeli lud twój ciągle marmur wypalać będzie na wapno, to przed upływem trzech stuleci nie pozostanie śladu dawnej świetności“. Jako papież postępował zgodnie z tą apostrofą. I rzeczywiście bullą z 28 kwietnia 1462 r. zakazuje każdemu pod ciężką karą burzyć budowle starożytne; mimo to zdaje się nie ulegać

wątpliwości, że w Rzymie, a na pewno w Ostyi i Tivoli on, surowo grożący papież, używał kolumn i kamieni dawnych do nowych budowli. Kreśli *Pius II* wizerunki ludzi i opisuje kraj. Posiada oko artysty dla krajobrazu i serce dziecka, na które piękność przyrody wywiera wrażenie najpowabniejsze i najprzyjemniejsze. Nie zawsze przecież objawia czystość umysłu bez skazy. Przeciwnie! Lubi się zabawiać niedozwolonemi igraszkami miłości, nie jest próżen płochości i sprosności się nie sroma. Poezye młodzieńcze uderzają często w ton bardzo swobodny a listy jego zdradzają nierządno przezrażającą pożądlivość. Między poezyami erotycznymi znajduje się perła literatury opowieściowej, mianowicie: romans *Euryalusa i Lukrecyi*. Jestto mistrzowski obraz miłości (co prawda zakazanej), między młodzieńcem, niemieckim kanclerzem *Kaspresem Schlickiem*, i pewną niewiastą zamężną. Obraz ten kreśli związek uczucia i stopniowy wzrost skłonności aż do gorącej namiętności; trudności i niebezpieczeństwa, które miłość spotyka i które podstępem i przemocą zwycięsko usuwał; uciechy posiadania i błogość rozkoszy; boleść krótkiej rozłąki, trzeźwość zerwania ze strony nasyconego mężczyzny oraz ciągle się odnawiające i z głębi serca płynące cierpienia kobiety porzuconej. Są to nieklamane dźwięki uczucia; wyspiewać je mógł tylko znawca serca, a nie człowiek wyłącznie zmysłowy.

Historya rozegrywa się w Sienie, mieście rodzinném *Eneasza Silvia*; z tój też przyczyny najbardziej je ceni i najwięcej mu sprzyja. Ale miłość ku Sienie poprowadziła go na drogę niesprawiedliwości, gdyż nad miarę wywyższał ziomków. Że przyozdabiał place Sieny, że upiększał kościoły i pałace, to jużcić nikomu szkody nie przynosiło; ale przez nazbyt wielką łaskawość dla Sienczyków stał się winnym nepotyzmu, którym krzywdził Rzymian i z konieczności nasuwał im niekorzystne dla swój osoby porównanie z poprzednikiem *Mikolajem V*. Rzymianom był *Pius II* niemiły z powodu innėj jeszcze właściwości, uważanej jednak przez niektórych za cnotę. Bo oto *Mikolaj* kochał się w sztuce i przepychu, objawiał entuzjazm, którym drugich za sobą porywał, namiętnością do sztuki bardziej niż jój rozumieniem stawał się zarazliwym, budził w innych zamiłowanie. *Pius II* natomiast interesował się wprawdzie sztuką, ale jedynie jako znawca wytworny; znajduje rozkosz w dziele artystyczném, ale nie pała żądzą widzenia go w swém posiadaniu. *Pius II*, umysł krytyczny, któremu entuzjazm dla sztuki, namiętność ze wszystkich najkosztowniejsza, zawsze był obcy, mógł zapewne chwilowemu ulegając impulsowi, znaczne wydawać sumy; szczodrobliwość wszelako nie leżała w jego charakterze. A przecież hojni tylko ludzie są prawdziwymi opiekunami literatury i sztuki. Nadto odznaczał się

Eneasza Silvio do przesady posuntętą prostotą w manierach i zaspakaniu potrzeb. Pijał, ku przerażeniu dworaków, z niezupełnie czystego naczynia, podanego przez pastucha; w Tyburze lub gdzieś indziej podczas wycieczek wiejskich całymi tygodniami kontentował się chałupą, nie dość zabezpieczającą od przykrości powietrza, często ledwie chroniącą od deszczu; sam uciech stołu nie znał, zmuszał więc i towarzyszków do takiej skromności, że na utrzymanie 270 osób wydawał dziennie około siedmiu dukatów.

Bardziej jeszcze niż tymi przymiotami charakteru, niż takim zachowaniem względem sztuki różnił się *Pius II* od swego poprzednika stosunkiem swym do literatury. *Mikołaj V* nie pisał nic, lecz rozkoszował się literaturą dla rozrywki i nauki własnej. *Eneasza Silvio* pisał i publikował nieustannie dla uciechy i nauczania innych. Wyżej była już mowa o *Silviu* jako oratorze i poecie, jako obrońcy praw soboru, dopóki nie zagrażały własnej jego władzy. Listy *Piusa*, zalecające się wystawieniem naturalnym i niewyszukanym, są źródłem obfitych informacji, więcej o innych niż o samym aktorze; jednakże surowi humaniści owego czasu, np. Niemiec *Henryk Bebel*, mało je cenili i nie uważali za wzory godne naśladowania, „ponieważ były dalekie od właściwości i dostojności formy wykwintnej“. Opowiada w nich najchętniej o nowościach politycznych i literackich, rzadziej zastanawia się nad sobą samym. Jako papież a nawet już wcześniej jako wysoki dygnitarz duchowny zapomina tak dalece o bezpretensjonalności humanistycznej i uczuciu równości uczonych, że o sobie nie mówi w liczbie pojedynczej, a do adresatów, towarzyszków jednego szeregu, nie przemawia przez „ty“, lecz postępuje w ten sposób, iż siebie oznacza słówkiem „my“ a tego, do którego się zwraca, tytułuje przez „wy“. Gardzi powabną pogawędką o niczym i nawet w listach pragnie wywierać wpływ raczej treścią niż sztuką pisania. Stąd więc spotykamy w listach obszerne traktaty teologiczne i wszelkiego rodzaju rzeczy, które dzięki jeno zewnętrznej formie listu weszły do zbioru, np. romans o *Euryalusie i Lukrecyi* a głównie rozprawy geograficzne i historyczne.

Prace *Eneasza Silvia* z tój właśnie dziedziny budzą w nas ku sobie daleko większy interes aniżeli wszystkie inne jego pisma. Należą do nich np. Opisy Szkocyi, Bazylei, Wiednia. W opisie ostatniego miasta nie odstrasza od lektury i należytej oceny całości nawet przerażająca etymologia *biennio* (gdyż *Cezar* już w dwa lata po zdobyciu przywrócił Wiedeń do dawnego stanu) lub *Flavianum* przy wymawianiu *Flabien* z odrzuceniem pierwszej zgłoski. Autor bowiem posiada zdolność spostrzegawczą, umie to, co widział, odmalować innym w postaci wykończonój, potrafi stopniowe powstawanie przedmiotu gotowego zaobserwować i rozwinąć. W opowiadaniach historycz-

nych jest więc pragmatyczny a uwagami historycznymi przeplata opisy geograficzne.

Mieszanie tego rodzaju wskazują już tytuły obu głównych dzieł jego, poświęconych geografii: „Kosmografia czyli historia powszechna świata“ (*Cosmographia vel de mundo universo historiarum liber I*) i „Europa czyli historia Europy“ (*Historia Europae*). Nie w zupełności jednak odpowiadają tytułom. Pierwsze, dalekie od opisu świata, zajmuje się wyłącznie prawie Azyą; drugie bardziej krajami wschodnimi Europy niż zachodnimi. W pierwszym opisuje wszystkie części Azji, z pominięciem Palestyny, która przecież słusznie powinna być szczególnie interesować autora; z upodobaniem mówi się o chrześcijaństwie, niesprawiedliwie poszkodowanem skutkiem nieuwzględniania jego ojczyzny; zamieszcza chętnie podania stare, sięgające prawiaków historii narodów, ale żadnej do nich nie przykłada wiary. We wstępie albowiem, którym jest obrona przeciw ewentualnemu zarzutowi, że, będąc papieżem, zatrudnia się tego rodzaju studjami, wygłasza zasadę: „W historii szukamy prawdy, — zabawy w bajkach”. Poszukiwanie prawdy — oto jego zadanie: dla zbadań jej nic mu nie jest za małym ani za drobnym. Ale przedstawienie rzeczywistości nie jest dlań równoznaczne bynajmniej z nużącym wliczaniem przedmiotów; opisy przeplata uwagami ogólnymi natury politycznej, religijnej i moralnej, niekiedy tonem rezygnacyi; z przyczyny zaniku jodeł na górze Ida odzywa się melancholijnie: „I drzewa mają swój koniec; wszystko na ziemi śmiertelne”.

Drugie dzieło *Piusa*, o Europie, mniej posiada charakteru geograficznego niż książka o Azyi; zaczyna się ono bezpośrednio tam, gdzie się pierwsze kończy, mianowicie od Turków. Boć w piśmie ściśle geograficznym nie byłoby na miejscu takie rzeczy np., jak zaprzętanie się Dziewicą Orleańską, która niby przy pomocy boskiej (*divinitus ut credunt*) dokonała swych czynów, jak osobny rozdział o *Zygmuncie Malateście* lub opowiadanie o trzech papieżach poprzednich. Mówiąc o Niemczech wdaje się bardziej w szczegóły geograficzne, ale usprawiedliwia takie postępowanie; uczynił to dlatego „że pisarze starożytni mało zajmują się Niemcami, nowsi zaś, jeżeli rozprawiają o tym kraju, jak gdyby leżącym po za granicami cywilizowanego świata, podają często zmyślenia”. W ustępie o Saksonii wspomina marchię Brandeburską: „provincję tę przerywna rzeka Sprea, Tybrowi podobna; nad jej brzegiem leży miasto Berlin“ (*Sprova fluvius aequandus Tiberi, Berlinum in ejus littore oppidum jacet*). Pisząc te słowa, nie miał zapewne dumny Włoch i mieć nie mógł wcale na myśli porównywania Berlina z Rzymem.

Z pomiędzy historycznych dzieł papieża nie budzą już dzisiaj zająęcia opowiadania, starożytności dotyczące, jakkolwiek bardzo praco-

wite, ani historia Gotów, ani wyciąg z Dekad *Blondusa*, ani rozwlekle poszukiwania o początku Czechów, lecz wyłącznie pisma, traktujące wypadki współczesne, a więc dzieje *Fryderyka III* i pamiętniki z życia własnego.

Oba mają tyle wspólnego, że czerpią z jednakich źródeł a mianowicie z listów i relacyj współczesników oraz z notatek osobistych, zużytkowanych stosownie do nastroju danej chwili; okoliczność ta sprawia, że tenże sam dokument, zredagowany nieraz według wymagań latynisty, może być użyty do wyprowadzenia wniosków rozmaitych. Oba zbliżają się do siebie i tendencją także, pragną albowiem więcej bawić niż nauczać. Różnią się wszelako sposobem opracowania. Historia Niemiec (*De vita et rebus gestis Friderici III, sive historia Austriaca*) zaleca się piękną stylizacją, układem metodycznym i dobrą obrobieniem; pamiętniki natomiast (*Commentarii rerum memorabilium, quae temporibus suis contigerunt*) podają masę materiału nieogładzonego, dostatecznie nieuporządkowanego i do końca niedoprowadzonego. I pierwsze dzieło ma poniekąd charakter pamiętnikowy. Nie jestto, jak łatwo pojąć, dokładna historia *Fryderyka III*, gdyż papież zmarł trzydziestu laty wcześniej od cesarza. Autor zgóry wyrzeka się zobrazowania wszystkich działań rządu, ale raczej stawia sobie zadanie opowiedzieć wyczerpująco te jeno wydarzenia, których był współuczestnikiem czynnym lub świadkiem naocznym np. wojnę książąt i miast (1446—1448), sprawę medyolańską (1447—1450) i podróż *Fryderyka* do Rzymu. Znaczenie i doniosłość własnego udziału częstokroć przesadza. Lubo wyłączną uwagę poświęca *Fryderykowi*, lubo w blizkim do niego zostaje stosunku, jednakże nie kreśli *Silvio* panegiryku. Przeciwnie. W książce, która miała być lekturą cesarza, nie lęka się mówić o nim z ironią wcale przezroczystą. Opisując np. jego koronację, podczas której użyto niby szat koronacyjnych *Karola Wielkiego*, odzywa się w te słowa: „Jeżeli to był strój *Karola Wielkiego*, to można z całą rzec pewnością, że dawniejsi książęta i królowie nie tyle ubiegali się o ozdobność ubrania, ile raczej o sławę imienia swego, że woleli działać świetnie, niż świetnie się przyozdewiać”.

W książce rzeczonyj osobistość historyka występuje na jaw więcej aniżeli słuszna; w pamiętnikach zato pierwsze miejsce najzupełniej się jej słusznie należy. Tylko niechajby wypominanie własnej osoby dokonywało się w sposób naiwniejszy, niechajby wypłynęło drogą naturalną z wypadków samych, ale nigdy nie powinno się wydawać czémś obcém, samowolném, wymuszoném niejako. Gdyby dalej praca ta mogła sobie na prawdę rościć prawo do godności wybornego dzieła historycznego, powinnaby uczynić zadość jednemu z trzech warunków następujących. Albo powinnaby zachować związek we-

wewnętrzny z dziejami społecznymi, przedstawiając się jako niezbędna część całości, albo należało autorowi kreślić pojedyncze, nawet drobne wypadki życia własnego nader wiernie, prawdziwie i z dokładnym oznaczeniem czasu i miejsca, albo wreszcie wypadało mu, zrzekając się pierwszego i drugiego warunku, podać charakterystykę swęj indywidualności zupełnie prawdziwą i z talentem narysowaną. Tymczasem warunków tych nie spełniono. Związek z historią współczesną pominięty. Szczegóły nie są autentyczne, częścią dlatego, że bierze górę tendencya wyszczególnienia swojej osobistości; częścią że *Silvio* nie miał zwyczaju zapisywać wydarzeń wtedy, kiedy się stały, lecz wówczas, gdy przypadkiem się o nich dowiedział; częścią że nie lubił ścisłości chronologicznej, zadawałnając się łataniną taką, jak: „po niejakimś czasie, potem, niebawem, później” i t. p. Wreszcie co do antocharakterystyki widzimy tu ledwie zaczątki. Jakkolwiek więc historyczne prace *Piusa II* nie dościgają ideału dzieł historycznych, są bądź co bądź wysoce interesujące i ważne, ponieważ dają nam obraz męża niepospolitego oraz innych osobistości znakomitych, które żyły z nim lub obok niego.

Niektórzy istotnie uczeni książea onego czasu, np. *Fryderyk z Urbino*, nie utrzymywali dworu literackiego, gdyż nie chcieli być wysławianymi przez pośledniejszych a mieli może uzasadnioną obawę widzieć ciągle wokół siebie przedniejszych. Podobnie i *Pius II* nie pragnął otaczać się poetami i mówcami. W obszerniejszych biografjach doczytać się można, jak małą odznaczał się papież bojnością i jak niechętnie wdawał się ze swymi kolegami, poetami i mówcami. Ci, którzy odeń czegoś żądali, po największej części zawodzili się w nadziejach; przekonawszy się zaś, że nic nie osiągną, z chwalców przedzierzgali się w *lżycieli* niepomiernych. *Filelfo* np., który schlebiał *Piusowi* niemal do końca jego żywota, na ostatek w sposób najniegodniejszy powstawał przeciw niemu a po śmierci papieża zaintonował nawet *gratulatio de morte Pii II*.

Skarcenie zuchwalstwa takich obelg nie daje jeszcze tytułu do nazwy towarzysza i oblubieńca papieża. Ale godzi się do protegowanych *Eneasza Silvia* zaliczyć *Hieronima Agliotti*ego, który ostro wystąpił przeciw napastnikowi a napadniętego wysławiał otwarcie i głośno. *Agliotti* urodził się 1412 w Arezzo, wedle własnych wyznań kolegował z *Eneaszem Silviem* lat pięć w szkole, 1430 został księdzem, mieszkał czas dłuższy w Rzymie, 1445 otrzymał opactwo w Arezzo i na stanowisku tém umarł 1480 r. Nie należy on do szeregu mężów najukształceńszych ani najwybitniejszych w owęj epoce. Listy jego (ksiąg dziewięć od 1433 do 1479, do papieżów, kardynałów a przeważnie do literatów rzymskich), które mogłyby wyjść z pod pióra kogoś innego, przepełnione są żebraniną, pochlebstwami i frazesami

zdawkowej grzeczności. Autor jest przecież ciekawym okazem zespolenia kościelności z wykształceniem humanistycznym. Chociaż bowiem nie żenuje się przemawiać w apostrofach do przyjaciół i znajomych, nie unika wyrażen przyjętych wśród humanistów i uważa to za wielki komplement, kiedy jednego z nich przyrówna w powadze do Platona, w bystrości do *Arystotelesa*, w nauce do *Warrona* a w krasomówstwie do *Cycerona*, nie zapomina nigdy ani na chwilę, że jest duchownym. W listach i rozprawach broni mnichowstwa, ale domaga się zarazem, aby łączyć wykształcenie umysłowe z pobożnością. Nie na wszystko jednak mnichom pozwala. Nazwa *poëta* nie odpowiada według niego osobie duchownej, gdyż chrześcijaninowi nie przystoi zmyślać, ale nie wzbrania bynajmniej zajmować się poetami starożytnymi; co więcej żąda nawet tego od księży i spodziewa się, że takie zeświecczenie podniesie wyżej stan duchowny i sam kościół. Wogóle nie należy *Agliotti* do optymistów; owszem wierzy na podstawie znanj sobie przepowiedni karmelity *Cyryla* w różne nieszczęścia, dotknąć mające „stan kościoła w przyszłości”, i wołałby raczej milość, niż, obwieszczając swą wiadomość, wprowadzać innych na drogę zwątpienia i odbierać im otuchę.

Z *Agliottim* zostaje w stosunkach listowych między innymi *Jan Antoni Campanus*, jedyny poeta nadworny papieża. Był to człowiek odrażająco szpetny, lecz utalentowany i dowcipny. Lubo niskiego pochodzenia, szybko jednak przyswoił sobie ton towarzystwa wykwintnego, a potem nie mógł się już obywać bez uciech stanom wyższym właściwych. Przynajmniej na sejmie w Regensburgu, gdzie znajdował się jako poseł *Pawła II*, nie dostrzegano wcale, że on, syn parobka kampańskiego, owce pasał w dzieciństwie. Poselstwo sprawował 1471 r. Poprzednio, po ukończeniu nauk w Neapolu, był profesorem w Perugii, a za *Piusa II* został biskupem w Teramo. Umarł 1477 r.

Działalność literacka *Campanusa* dotyczy przede wszystkim *Piusa II*. Napisał mianowicie życiorys papieża kilkakrotnie przedrukowywany. Jestto raczej panegiryk aniżeli bezstronna charakterystyka i opowieść, raczej zbiór anegdot niż obraz historyczny epoki tak ważnej pod względem politycznym, literackim i kościelnym. Biografia ta doczekała się sądów wielce różnych. *Voigt* mówi, że „napisana jest z porywającą sztuką”; podług *Gregoroviusa* „brak jej spójności, ciepła i naturalności”. Sam *Campanus* miał o niej zdanie najpochlebniejsze; stawia przeciw na czele literatury historycznej owego czasu swoją biografię *Fortebraccia*, która nie wytrzymuje porównania z życiorysem papieża. Przechylności dla *Piusa II Campanus* ujawnia także w listach (9 ksiąg), których zbiór powstał prawdopodobnie po śmierci papieża, a w każdym razie wtedy dopiero napewno został

ogłoszony. Wiele listów jest bez dat i bez nazwisk adresatów. Znaczenia dla historii współczesnej nie mają. Częste np. pochwały kardynała *Bessariona*, którego autor radby widzieć w tyarze papieskiej, nie przyczyniają się wcale do zindywidualizowania obrazu tego księcia kościoła; odezwa zaś do króla *Ferdynanda*, aby się wyprawił przeciw Turkom, nie zawiera nic charakterystycznego, jest oklepana aż do zbytku i rzeczy w gruncie nie traktuje poważnie. Godzien natomiast uwagi wstręt jego do życia wiejskiego, tak uderzająco sprzeczny z marzeniami ówczesnymi o willach i pobycie na wsi. Urodziłem się — mówi — chłopem i w latach dziecińczych nacieszyłem się do syta rozkoszami sielskimi; obrzydło mi więc to, co innym sprawia przyjemność.

Listy *Campanusa* charakteryzuje wistocie tylko rzecz jedna—nienawiść ku Niemcom, przechodząca niemal w dziecinadę. I inni Włosi uważali Niemców za barbarzyńców, ale są tyle oględni, iż z opinii tej nie tworzą dogmatu; jeżeli zaś ganią, są o tyle sumienni, że naganę uzasadniają jako prawdziwe swe przekonanie. Przeciwnie: *Campanus* w mowie do cesarza wychwala, naturalnie, jego i Niemców także czy to dawniejszych, czy współczesnych; w listach wysławia jednostki, jak np. arcybiskupa mogunckiego, od których spodziewał się może nagród; ale równocześnie w pismach wysyłanych do Italii przeklina Giermanów. Prośba jego do papieża brzmi nieustannie: „Spraw, abym został odwołany”. Skarży się nieraz, że w Niemczech żyć nie można, co najwyżej chyba—oddychać; czuje jednaką odrazę do brudu, chłodu, ubóstwa, złego wina i okropnego jadła; lituje się nad nieszczęśliwym swym nosem, który musi wszystko wachać; uszy nazywa jedynie szczęśliwymi, ponieważ nie rozumieją.

Podobnież i w poezjach (*Carmina*, 7 ksiąg) rozwija ulubiony swój temat; wydobywa zaś z niego, na pozór tak łatwego do wyczerpania, niektóre strony nowe. Jednakże nie samo tylko wśmiewanie Niemców stanowi treść poezyj. Spotykamy w nich nadto pochwały papieża i uczonych rzymskich, wysławianie nauki, a przedewszystkiem poezji. Pochwały przenika często uczucie niezaspokojenia; w chwilach, kiedy *Campanus* z powodu wygórowanych uroszczeń, albo z przyczyny nieużytości jakiego protektora poczytuje się za nieszczęśliwego, uderza w ton skargi „na nędzę poetów”, dźwięczącej melancholijnie, ale i dość praktycznie. Oto przykład: „Malarzowi zapewnia byt wartość obrazu, muzykowi—dźwięki instrumentu, każda sztuka żywi swego adepta; poecie jeno muza nie sprzyja”.

Obok *Campanusa* może stanąć *Bartłomiej Sacchi*, z przydomkiem *Platina*, raz dlatego, że doznawał poniekąd łask *Piusa II*, powtóre—że i on pisał biografie papieżów. *Platina* otrzymał przewisko od rodzinnego miasta Pjadeny, a bynajmniej nie od *Platona*, jak niektórzy

mylnie przypuszczali. Był uczniem *Wiktoryna z Feltrę*; przy poparciu kardynała *Gonzagi* przybył do Rzymu, został mianowany przez *Piusa II* abrewiatorem papieskim i umarł w Rzymie 1481 r. *Sacchi* jest historykiem urzędowym; według instrukcyi *Sykstusa IV* zgromadza dokumenty, dotyczące się świeckich praw stolicy świętej, oraz pisze historię papiestwa. Ow zbiór rękopiśmienny przechowuje się w bibliotece watykańskiej, historię zaś, opiewającą czyny papieży aż do roku 1471, kilkakrotnie przedrukowywano. Do czasów dawniejszych mało posługiwał się źródłami oryginalnemi, lecz ograniczał się na tём, że znane kroniki papieskie różnych autorów latynizował, a historię w pewnej mierze świętą, ześwieccał. Wyrażenia silniejsze, spotykane w oryginałach, łagodził w ten sposób, że np. z papieża „który w stanie nietrzeźwym bije” zrobił papieża, „który w gniewie bije”; zresztą nie unikał bynajmniej zdań dosadnych i nie zawsze sprawiedliwych. Historia papieży pod jego piórem często traci zupełnie charakter duchowny, a nowoczesność ulega całkowitej modernizacji. Bardziej stanowczo, niż to czynił *Biondo*, rości *Platina* prawo sobie i wiekowi swojemu do tworzenia nowych słów łacińskich i wyrażen na oznaczenie rzeczy w starożytności nieznanych. „Nie tylko starożytnym — powiada — może to być dozwolone, ale i czasom naszym”, a „raczej teologii chrześcijańskiej” — dodał, mieszając może myśl poważną z ironią.

Teologiem chrześcijańskim *Platina* nie jest zgoła, jest raczej filozofem wedle rozumienia ówczesnego, t. j. wytwornym stylistą, autorem rozpraw o rzeczach różnorodnych, które bywały wtedy przedmiotem roztrząsań. Poza granice tych ram wykracza nieco traktat „O ucziwój rozkoszy, czyli sztuce kucharskiej” (później poczytywano mu go za plagiat). W ściśle zaś właściwym zakresie pozostają rozprawy: „O dobru prawdziwém i fałszywém”, „Przeciw miłości”, „O prawdziwém szlachectwie”, „O dzielnym obywatelu”. W pierwszej roztrząsa *Platina* często wygłaszane poglądy o wyższości cnoty nad występkiem, a w walce, która wówczas była na porządku dziennym, między moralnością Stoi i niemoralnością epikurejczyków staje po stronie stoików. W drugiej rozróżnia dokładnie miłość dozwoloną, prowadzącą do ołtarza, od zakazanej, pożądającej tylko uciech; do moralnych teoryj odstraszaających przydaje jeszcze w dwójnasób skutecznie działające przykłady historyczne z życia ludzi, którym miłość grzeszna zgotowała zgubę. W trzeciej—zwalcza rozpowszechnione wtedy mniemanie o wyższości szlachty rodowej. W piśmie tём, czysto humanistyczném, śmiało popiera zdania wręcz przeciwne uświęconemu zapatrywaniu *Arystotelesa*, jakoby dzielność przodków uprawniała szlachectwo; zbija również pogląd jednego z rozmówców, że bogactwo jest niezbędnym warunkiem szlachectwa, i broni twier-

dzenia, że ubóstwo może iść ręką w rękę ze szlachectwem. W czwartej wreszcie nie odslania bynajmniej nowej mądrości politycznej; rozprawa „O dzielnym obywatelu” jest nie tyle elementarzem obywatelskim, ile raczej księgą „O księciu”, wezwaniem zachęcającem monarchów do moralności, hojności, wyboru sumiennych doradców, usuwania pochlebców i t. p.

Życia i działalności pisarskiej *Platiny* nie zrozumielibyśmy, gdybyśmy nie wspomnieli o *Pawle II*, jego przeciwniku nie wielkim wprawdzie, ale niebezpiecznym. *Paweł II* jest czwartym z rzędu w pamiętnym szeregu papieży. Otwiera go *Mikołaj V*, pierwszy na stolicy Piotrowej opiekun studyów starożytnych; drugim jest *Kalikszt III*, osobistość mało znacząca; po nim następuje *Pius II*, który, jako sam pisarz niepośledni, nie miał ani czasu, ani ochoty do zabawiania się mecenasostwem; ostatnim jest *Paweł II*, nieprzyjaciel nauk i przesładowca humanistów.

Podczas karnawału 1468 r. uwięziono dwudziestu uczonych, a między nimi i *Platinę*. Wszyscy oni byli uczestnikami jednej z licznych wtedy akademij wolnych; za jej głowę uchodził *Pomponio Leto*. Akademię tę od innych wyróżniało urządzenie, naśladowujące hierarchię duchowną; członkowie nosili miano kapłanów (*sacerdos*), naczelnika swego nazywali ojcem świętym (*pontifex maximus*); podobną nazwę (*pater sanctissimus*) otrzymał raz i *Platina*. W tytułach tego rodzaju lubo nie należy dopatrywać wyszydzenia porządków kościelnych, jednak wyznać trzeba, że nie świadczą też o szczególniejszém dla nich poszanowaniu. Było więc może właściwém, iż papież na działalność tego grona miał baczenie i przywódców ostrzegał, ale na pewno było niesprawiedliwém, iż użył środków gwałtownych. Dla uzasadnienia swego postąpienia oskarżył aresztowanych o przekonania pogańskie i spisek polityczny; użył też przymusu, aby wydobyć z obwinionych zeznania. Tymczasem wyznań nie czynili, lecz próbowali się bronić. *Pomponio Leto*, którego pismo obronne odkrył *Gregorovius*, usiłował oczyścić się od zarzucanych mu niemoralności i dowieść, że o papieżu źle nie mówił, że wygadywał jeno na duchownych, ponieważ mu nie wypłacali pensyi należnej, że zwyczajów kościelnych nigdy nie obrażał, że co wielkanoc się spowiadał, że stawał w obronie nieśmiertelności duszy, że pisał dystychy na cześć świętych. Przełożony akademii dokazał rzeczywiście tego, iż odzyskał wolność, ale *Platina* przesiedział rok cały w więzieniu.

Zemścił się za to straszliwie. Napisał oto biografię papieża, przepelnioną szyderstwami i drwinami, przedstawiając księcia duchownego jako prototyp wszelkiego barbarzyństwa. *Paweł* — twierdzi biograf — powinienby być kupcem; takie zajęcia byłoby dla niego stosowniejsze, niż dostojęństwo monarsze; podłém jeno pochlebstwem

i płaszczaniem się wobec *Mikołaja V* zwrócił na siebie uwagę i zdobywał godności duchowne, a za swego pontyfikatu prześcignął najgorsze obawy swych przeciwników.

Paweł II może i nie był tak złym, jakim go opisuje *Platina*: w każdym razie nie był stanowczo monarchą według myśli mężów renesansu. Jeżeli znosił, iż imię jego *Barbo z Wenecyi* wyprowadzano od rzymskiego *Ahenobarbusa*, pozwalał na to jedynie przez próżność, a nie przez cześć dla starożytności; łaciny bowiem umiał tak mało, że, jak pisze ze zgrozą pewien humanista, musiał podczas uroczystości na przemówienia łacińskie odpowiadać w języku włoskim. Jeżeli za rządów jego humanizm czynił w Rzymie coraz większe postępy (za dowód przytaczają jakiegoś kardynała, który kazał wyklądać swym kucharzom etykę *Arystotelesesa*), to świadczą one nie o współdziałaniu papieża, lecz o żywotnej sile nowej potęgi umysłowej, nie potrzebującej już opieki zwierzchności. Jeżeli za jego pontyfikatu wprowadzono do Rzymu sztukę drukarską, to nie wykazano dostatecznie, czy i o ile wziął w tém papież udział czynny. Jeżeli wreszcie zreorganizowano uniwersytet rzymski, na cześć którego wybito medal z napisem: *laetitia scholastica*, fakt ten miał w danej chwili następstwa nieznaczące i wyszedł co najmniej zarówno na korzyść teologii, jak i naukom świeckim. Można by postęпки takie uważać za niechętnie koncesye dla nowego kierunku umysłowego, któremu papież wprawdzie nie hołdował, ale nie zdołał całkowicie się odeń uchronić. Prawdą jest wszakże (udowodnioną wyborcami badaniami czasów najnowszych), że sztukę starożytną rozumiał i nie był dla niej wcale obojętnym. Jemu zawdzięczamy odnowienie łuków tryumfalnych *Tytusa* i *Septymiusza Sewera*, kolosów na Monte Cavallo i statui konnej *Marka Aureliusza*, wreszcie przeniesienie wielkiego sarkofagu porfirowego na plac Ś. Marka; on też podjął znowu zamiar jednego z poprzedników wzniesienia obelisku na placu Ś. Piotra. Prócz tego był *Paweł II* urodzonym zbieraczem. Wszelkiego rodzaju przedmioty jął gromadzić we wczesnej już młodości; namiętność w tym kierunku pomagał mu zaspokajać wuj, papież *Eugeniusz IV*; a pomocnymi byli mnodzy, po całej Italii rozproszeni towarzysze. Wprzód więc jeszcze, zanim *Paweł* został papieżem, wystąpił do pokojowego współzawodnictwa z *Medyceuszami*, najgorliwszymi zbieraczami owego czasu. Rozwijając działalność taką i za swego pontyfikatu z tym samym zapałem, ale większemi środkami, doprowadził zbiory do niesłychanych rozmiarów. Ogłoszony niedawno wykaz wprawia dziś jeszcze w słuszne zdumienie. Zdumienie ogarnia tém słuszniej, kiedy się przekonano, że *Paweł* był nie tylko zbieraczem, ale i znawcą; że, obdarzony pamięcią nadzwyczajną, nie zapominał nigdy nazwisk osób i rzeczy, których się raz nauczył; że od jednego

spojrzenia na monetę umiał oznaczyć jej pochodzenie, oraz imię monarchy na niej wyobrażonego. Z owemi zbiorami i skarbami wiąże się nawet wieść o śmierci nienaturalnej, mająca objaśnić rychły zgon papieża. Pewien historyk współczesny, przywołując tylko wieści rozpowszechnione wśród ludu, powiada: Został on zaduszony przez dyabłów, których trzymał zamkniętych w drogocennych kamieniach swych pierścieni.

Nie tu miejsce roztrząsać, o ile swém zamiłowaniem do zbiorów przyniósł *Paweł II* pożytku sztuce. W każdym razie dziwném jest z jednej strony, że mimo pewnego rodzaju mecenasostwa, nie był przez artystów rozślawiany, a z drugiej, że przy takim entuzjazmie dla sztuki nie okazywał żadnego poparcia dążeniom literackim. Obojętność dla tej kategorii usiłowań oznacza nie tylko wstręt do marnych poezyj i mów górnołotnych, ale znamionuje brak uznania dla potęgi umysłowej, która stoi obok sztuki co najmniej jako czynnik równorzędny. Jeżeli więc papieża, odpychającego zwolenników nowej umiejętności *Platina* napiętnował mianem „barbarzyńcy”, fakt ten jest nie tylko zemstą literata, lecz i sprawiedliwym sądem historyka.

Straszny *Syktus IV* (1471—1484), następca *Pawła II*, odgrywa daleko ważniejszą rolę w dziejach państwa kościelnego i w rozwoju politycznym Włoch, aniżeli w historii literatury i kultury renesansowej. Jednak i pod tym względem zajmuje miejsce poczesne. *Syktus IV* posiadał już niejedną z przymiotów, które uwydatniły się tak świetnie w jego synowcu, późniejszym papieżu *Juliuszu II*. Nepotyzm zamienił on w system, świadcząc nadmierne łaski synowcom *Piotrowi* i *Hieronimowi Riariom*, lubiącym przepych i żadnym rozkazywania, a dla własnej jego władzy bardzo niebezpiecznym; sprzyjał symonii i przedaży urzędów do tego stopnia, że bogaci, ale niegodni otrzymywali łatwo dostojęństwo; walczył jak wojownik, nie jak papież, lecz tym sposobem zapewnił państwu kościelnemu spokój wewnątrz, a blask nazewnątrz. Pomimo upodobań świeckich i wojowniczych zachcianek, spełniał papież obowiązki duchowne sumiennie i z godnością, interesował się ruchem umysłowym i rozwijał wielką gorliwość w popieraniu sztuki. Umiał zachować godność nawet wtedy, gdy znajdował opór; dowiedziawszy się np., że ojciec *Paweł Toscanella* (ale nie ów słynny tegoż prawie imienia geograf i astronom) gromił z ambony jego i jego krewniaków, uśmiechnął się jeno i nie zdradził żadnej ochoty do ukarania winnego. *Syktus IV* nie był uczonym; nie był ani znawcą pisarzy klasycznych, ani wielbicielem teologów średniowiecznych; nie w prawdziwej więc postaci historycznej przedstawia go obraz *Benozzo Gozzoli'ego* wymieniony przez *Vasari'ego* (V, 198), umieściwszy pomiędzy czcicielami i komentatorami

ojca kościoła, *Tomasza z Akwinu*. Prac naukowych hojnie nie wynagradzał; zawiódł np. *Teodora Gaze*, spodziewającego się znacznej sumy za przekład i objaśnienia jednego z pism Arystotelesowych, wylczywszy mu zaledwie 50 złotych ówczesnych (florenów, = dukatów), co wedle szacowań humanistycznych było zapłatą nader skąpą. Że jednak nie był obojętnym dla prac umysłowych, widać to ze szczególnej jego pieczy o archiwum i bibliotekę. Książnicę przeniósł do czterech sal nowych i zubożył ją zakupem dzieł wielu; pomagali mu w tém uczeni sekretarze. Mianował dla pilnowania i porządkowania nagromadzonych skarbów zdolnych bibliotekarzy, najprzód *Jana Andrzeja de Bussi* (1472—1475), który zasłużył się też w krzewieniu drukarstwa, i nowe druki Niemców *Pannartza* i *Schwoeinheima* (do r. 1475 wydrukowali rozmaitych książek 12,475 egzemplarzy) zapatrywał w dedykacje poświęcane papieżom, później zaś znanego już nam *Platine*; wreszcie dodał urzędnikom bibliotecznym uczonych przepisywaczów, biegłych w różnych językach. W zabudowaniach książnicy pomieścił także archiwum, założone przez dawniejszych papieżów, ale przez niego uporządkowane i zubożone wielu dokumentami; zarządzał niém również *Platina*.

Zasługi dla literatury nie dorównywiają bynajmniej zasługom, jakie zdobył sobie papież *Sykstus* na inném polu. „Zbudował most od jego imienia nazwany, wyrównywał i brukował ulice, wznosił kilka nowych kościołów, stare odnawiał i nie żałował żadnych nakładów dla przyozdobienia miasta”; temi dość ogólnikowemi słowy określa *Pontano* prace jego dla przyozdobienia Rzymu. Można je uzasadnić i rozszerzyć w szczegółach na podstawie gruntownej pracy *Gregoroviusa*. „Epoka Sykstusa IV — mówi ten uczony — znamionuje najwyższy rozkwit w Rzymie działalności artystycznej piętnastego wieku wogóle”. Budował bowiem nie tylko papież, wspierany przeważnie przez znakomitego architekta *Baccio Pontelli*’ego, ale także rozmiłowani w przepychu i okazałej reprezentacji nepoci; budowali liczni dostojnicy duchowni i ludzie prywatni, pociągani zabezpieczeniem prawa własności, które przyrzekł *Sykstus* wszystkim przedsiębiorcom budowlanym. Upiększały więc Rzym olbrzymie gmachy, np. wielki szpital i kaplica Sykstyńska, wstawiona, co prawda, dopiero obrazami *Michała Anioła*. Gmachy te, mówiąc znowu słowami historyka Rzymu, zajmują środek między gotykami a klasycyzmem, podobnie jak dla łacińskiego poczucia formy w rzeźbach onego czasu stanowiło to zawsze jeszcze średniowieczność. Zapamiętałość w budowaniu kazała papieżowi zapominać o poszanowaniu starożytności; pod jego rządami dozwolono ponownie używać marmurów antycznych do nowych budynków. Pomimo to przecież okazywał przychyłność pomnikom dawnym: restauracja brązowego *Marka Aureliusza* jest jego dziełem.

O czynach *Sykstusa IV*, o jego dworze, opowiada w swych dziennikach (1472—1484) *Jakób z Volterry*. Poprzednio sekretarz kardynała *Jakóba Ammanati*, został sekretarzem papieskim dopiero 1479 r., wiedział przecież niejedno, co się w kurii wydarzyło. Pisał nie dla zaspokojenia głębszej potrzeby, lecz, jak mówi sam o sobie, „dlatego, że woli pisać, niż nie robić”; opowiada przecie prosto i zgodnie z prawdą. Prawdy nie obraża mimo życzliwości dla *Sykstusa*: z całą odwagą wygłasza zdanie, że rozwój nauk doszedł już zenitu i że za panowania *Sykstusa* poczyna kłonić się ku upadkowi.

Relacye *Jakóba z Volterry* zostały w dalszym ciągu zastąpione dziennikami *Jana Burkharda* (1483 — 1506), mającemi jednak duże luki.

Jan Burkhard był to Niemiec, rodem ze Strasburga. Prace atoli *Burkharda* niczém nie zdradzają niemieckiego jego pochodzenia. Ów szczególny gatunek specyficznie alzackiego niemiecko-humanistycznego wykształcenia, znamionujący *Jakóba Wimpfelinga* i jego koło, w *Burkhardzie* się nie ujawnia, lubo w rzeczywistości i on do tego grona należy. Niemieckość zatracił a humanizm, zdaje się, przeszedł mimo niego bez śladu. Karyera jego była nadzwyczaj szybka; jeszcze 1479 r. jest księdzem w Strasburgu, a 1483 już mistrzem ceremonii na dworze papieskim; urząd ten piastował aż do śmierci, zaszedł 1506 r. Na stanowisku tém prowadził księgi ceremonij, nacechowane wiernością, sumiennością i brakiem wyższego ukształcenia. Otóż dzięki temu brakowi pisze w sposób prosty i niewymuszony, bez wszelkich ozdób humanistycznych, które z przyczyny zewnętrznej konwencyonalności w myśleniu i mówieniu szkodzą nieraz prawdziwie wewnętrznej. Nie posiadamy jednak ksiąg ceremonij w postaci pierwotnej; autograf leży w archiwum watykańskiem, ale jest niedostępny. Wiadomość o tém dziele czerpiemy oddawna z rękopisów okaleczonych i błędnych, znajdujących się w różnych bibliotekach włoskich i zagranicznych. Z rękopisów tych właśnie pochodzi większa część znanych opowiadań o *Aleksandrze VI* i o tém, co się działo na jego dworze. O osobistości i charakterze *Lukrecyi Borgia* nie mówi *Burkhard* wszelako ani słowa. Okrom relacyj historycznych podaje przeważnie wiadomości o ceremoniach, zachowywanych podczas uroczystości; tamte są dla niego wypadkami podrzędnymi, te—rzeczą główną; najdrobniejsze ich nadwreżenie wprawia go w gniew wielki i wyrывa mu, beznamiętnemu zresztą postrzegaczowi, najgwałtowniejsze z piersi wyrazy. O Niemcach, bawiących naówczas w Rzymie, nie mówi nie prawie, ale i Niemcy milczą o nim także. Jest on jednym z wielu wychodźców, którzy umieją zrzęcznie, szybko i do cna pozbyć się swęj narodowości niemieckiej. Zupełne wydanie dzienników *Burkharda* byłoby niezmiernie ważne; słuszne też wypowiada

zdanie najnowszy biograf mistrza ceremonij: W oryginale nie może zawierać się nic gorszego nad to, co się znajduje w odpisach; jeżeli owe rzeczy gorszące, jak twierdzą ze strony papieskiej, są istotnie wtrętami heretyków, dlaczegóż kurya ociąga się choć chwilę z przed stawianiem dowodu onych interpolacyj?

Wykształcenia humanistycznego nie posiada również *Stefan Infessura*. Zamierzał on napisać historję rzymską od końca XIII do końca wieku XV, w rzeczywistości zaś opowiedział jeno wypadki zaszłe na schyłku XV stulecia. Fakt, że w przeciwieństwie do dawniejszych biografów papieskich nie zostawał w służbie kurji, nadaje dziennikom jego interes szczególniejszy; okoliczność ta ułatwia mu sąd samoistny, ale nie daje mu bynajmniej gruntowniejszj wiedzy, niż mieli jego poprzednicy. Jest republikaninem i wrogiem papiestwa; jest obywatelem rzymskim; chociaż więc o wielkości Rzymu starożytnego ma pojęcia niejasne, wie jednak tyle, że okazuje wstręt ku wszelkiej tyranii, że szczególnież nepotyzm przejmuje go zgrozą.

W chwili, kiedy pisał, nepotyzm i tyrania dosięgły właśnie ostatecznych krańców. *Infessura* oraz historycy tego dziesięciolecia i następnych mieli mówić o *Inocentym VIII* (1484—1492) i *Aleksandrze VI* (1492—1503). Historya papieżów ma spisać akt o rządach tych ludzi: jednego—wyrachowanego i słabego, drugiego—nieokiełznanego zbrodniarza. Ma skreślić niebezpieczeństwa, na jakie narażało się papiestwo w skutek ehciwości nepotów, sekularyzacyjnych zachecianek krewniaków papieskich i napadu obcych narodów; ma opowiedzieć o haniebnych targach z tymi narodami, zarówno Francuzami, jak Turkami; o niegodnych frymarkach godnościami duchownemi; o erze mordów trucicielskich, erze, która nie ograniczyła się do Rzymu tylko i która nabrała rozgłosu w świecie za pośrednictwem pielgrzymów, tłumami napływających do Rzymu na jubileusz 1500 r.; o ckropnościach ohydnych w łonie rodziny papieskiej, która postępkami straszными pragnęła dowieść prawa do swj egzystencyi. *Cezar Borgia* jest szkaradnym zbrodniarzem, a zarazem charakterystyczną głową dla studyów polityka i filozofa. W literaturze Odrodzenia włoskiego nie odgrywa żadnej roli, chociaż zatrudniał jednego artystę i okazywał niejaka życzliwość jednemu poecie. Stosunek jego do *Leonarda da Vinci* wynika na pewno nie z zachwytu i głębszego przejścia się artystyczną gienialnością mistrza. Mówi przecieć o *Cezarze* świadoma rzeczy spółczesniczka: *non se delecta molto de antiquità*, co w ustach jej i w rozumieniu ludzi owoczesnych oznacza daleko więcej, aniżeli to tylko, że nie znajdował szczególnego upodobania w starożytnościach. Nie można również nazwać mężami renesansu włoskiego ani nieokrzesanego *Inocentego*, ani Hiszpana *Aleksandra VI*. Jeżeli za *Aleksandra* rozpoczęto budowę uniwersytetu, nie da się je-

szcze wysnuć stąd wniosku, że sprzyjał naukom; przekształcenie zaś grobowca Hadryanowego na zamek S. Anioła świadczy raczej o karygodnej obojętności względem szczątków starożytnych. Jeżeli Rzym pod *Aleksandrem* stał się istotnie miastem epigramatów, pochodziło to nie z protekcji papieskiej, ale miało swe źródło w żądzy wydrwiwania, zrodzonej skutkiem charakteru i czynów papieża. Rzym nie przestał być mimo papieżów grodem renesansu, lecz utracił już dawno pierwsze miejsce, jakie sobie zdobył pod *Mikolajem V.* Zamiast papieża, uczonym podobnego, występuje *Wawrzyńiec de Medici*, mieszczanin, królom równy.

Musimy tu jeszcze pomówić o jednym wypadku i o jednej osobistości, które należą do dwu ostatnich pontyfikatów wieku XV.

Wypadkiem jest wykopanie trupa rzymskiego (15 kwietnia 1485 r.). Współcześni nadawali mu wysokie bardzo znaczenie; szeroko rozprawiają o nim kronikarze. Dla poznania nastroju dni owych, rzecz ta dziś jeszcze jest nadzwyczaj doniosła, niechże nam więc będzie wolno przytoczyć sprawozdanie świadka naoczego. Jest to list, napisany w dwa dni po znalezieniu zwłok, ale niedawno dopiero ogłoszony drukiem. Oto jego tłómaczenie: „Podczas dobywania marmuru na *via Appia*, przy szóstym kamieniu milowym od Rzymu natrafili robotnicy na trumnę marmurową. Skoro ją otwarto, znaleziono zwłoki niewieście, na twarz leżące, posmarowane esencją prawie dwa palce grubą i mocno pachnącą; po usunięciu powłoki ukazało się oblicze nieco blade, jak gdyby dziewczyna tegoż samego dnia była dopiero pogrzebiona. Wargi były czerwone, trochę rozwarłe, a między nimi jaśniały drobne białe zęby. Uszy małe, czoło niskie, czarne rzęsy i ciemne oczy znamionowały piękność; włosy czarne, związane z tyłu w węzeł, mieściły się w siatce; nos zachował się dobrze, a był tak miękki, że się ugiął za dotknięciem. Policzki, podbródek, szyja, gardło tak wyglądały, iż zdawało się, że patrzysz na osobę oddychającą; rękom, całkowicie wiszącym u ramion, można było nadawać ruchy dowolne. Wszystkie inne części, zupełnie świeże, robiły wrażenie życia kwitnącego. Jednym słowem, zwłoki przedstawiały postać najszlachetniejszej i najpiękniejszej dziewoi z epoki największej świetności miasta Rzymu. Ponieważ cudna, niegdyś na ziemi bawiąca postać niewiasty zmarła przed lat setkami a wiadomości żadnej nie miano o niej, przeto nieznanie jest ani imię, ani rodzina, ani wiek tego nieboszczyka znakomitego i godnego chwały. Z polecenia konserwatorów miasta zaniesiono go przy niesłychanym natłoku ludu na Kapitol w dwa dni po odkryciu, 15 maja 1485 r. ery chrześcijańskiej, w pierwszym roku pontyfikatu *Inocentego VIII*”.

Bartłomiej Fontè, autor przytoczonego powyżej listu, w czasie jego

pisania nie był bynajmniej młodzieńcem entuzjastycznym (gdyż urodził się 1445 r.), nie układał go też z próżności dla uczczenia majestatu rzymskiego (gdyż był Florentczykiem). Zalecał się raczej męż ten powagą, gorliwością w badaniach i żądzą wiedzy, zostawał w stosunkach ze znakomitościami współczesnymi, np. z *Guarinem*, a gdy rozgłos jego uczoności przekroczył po za granice Włoch, został zaproszony do Węgier na dwór królewski. Jeżeli człowiek poważny i naukowo wykształcony z takim pisał zachwytem i przykładał wiarę do rzeczy niewiarogodnej, to nie dziwnego, że tłum, nowości żądny, zbiegał się masami, że artyści natchnieni starali się cud ten uwiecznić w obrazie. „Bo — jak mówi pewien współczesnik — była to postać tak piękna, że nie da się ani wypowiedzieć, ani opisać; gdyby nawet ktoś zdołał wypowiedzieć i opisać, nie wierzyliby ci, którzy nie widzieli”. Papiież *Inocenty VIII* zakończył sprawę doraźnie. Dla kultu piękna nie miał on żadnego zmysiu; kult starożytności stawiał na równi z poganizmem. Aby uniemożliwić takie kultury, kazał pewnej nocy zwłoki tajemnie pochować; sarkofag jeno pozostał w pałacu konserwatorów. „Wzruszającym w tej sprawie — wynurza się *Jakób Burckhard* — jest nie fakt sam, ale przesąd stały, że ciało starożytne, które nakoniec mniemano mieć rzeczywwiście przed oczyma, musi być bezwarunkowo piękniejsze, aniżeli wszystko, co żyje obecnie”.

Ten rozczulający zachwyty dla starożytności jest też znamieniem męża, który mieszkał w Rzymie za czasów *Aleksandra VI* i umarł tamże 1498 r., poniesion do grobu na barkach dworzan papieskich. Jest nim *Juliusz Pomponiusz Leto*, nieprawy potomek książąt *San Severino*. Jednakże, jako uczony niezależny, wolał przybrać sobie imię pożyczone od starożytności, aniżeli w zależności nie-książęcej nosić nazwisko księcia. Krewniakom więc, którzy go nakłaniali, aby do nich wrócił, odpowiedział w słynnym liście odmownym: „Pozdrawiam mych kuzynów. Nie może się stać, czego sobie życzyte. Bądźcie zdrowi”. *Leto* nie zgodziłby się też zapewne z usiłowaniem swego przyjaciela i wielbiela *Piotra Marso*, który w mowie pogrzebowej pragnał oczyścić mistrza ukochanego od hańby nieprawego urodzenia. Odbywał *Leto* dalekie podróże na Wschód, aby poznać widownię dziejów starożytnych, do Sycylii, aby na miejscu sprawdzić pewność i wiarogodność opowiadań *Wergiliusza*, oraz by porównać opisy poety z rzeczywistym stanem kraju; później zwiedził Niemcy, nie dla zaspokojenia żądzy nauki, lecz z polecenia lub przynajmniej za przyzwoleniem papieża *Sykstusa IV*. Najchętniej jednak przebywał w swym Rzymie. Tu był uczniem *Valli*, a później i jego następcą.

Od nauczyciela swego różnił się w rzeczach drobniejszych. *Valla*

lubił obcować ze znakomitościami, spędzać chwile w pysznych salonach towarzystwa. *Leto* usunął się do wiejskiego domku w górach, na wzór słynnych przodków rzymskich sam uprawiał rolę, poprzestawał na małym i nie skarżył się, gdy podczas wojny *Inocentego* z *Colonna'ni* dom jego stał się pastwą rabunku plądrujących oddziałów. W rzeczach wyższego porządku natomiast był podobien mistrzowi; zgadzał się z nim w dążeniach umysłowych i w zapatrywaniach religijnych.

Pomponiusz Laetus umiłował badanie starożytności. Nauczycielem był gorliwym. Odczytami o pisarzach rzymskich budził zapał w młodzieży studyującej; w poszukiwaniach archeologicznych nimbem otaczał zabytki Rzymu starożytnego i niejedno skazane na zniszczenie uratował od zagłady; podjętém przez się i popieraném wystawianiem dramatów rzymskich nie tylko zaspakajał żądzę widowisk i sprawiał rozkosz swym uczniom, ale przyczynił się także do ożywienia poezyi dramatycznej; zbiorami wreszcie monet antycznych rozniecił zapał do badań, lubo nie jest wolen od zarzutu, że w skutek nadmiernej miłości dla świata starożytnego fałszował niekiedy monety i napisy. Pod względem religijnym podzielał zapatrywania mędrców dawnych, a nie chrześcijan pobożnych. Chociażby rzeczywiście, jak opowiada autor mowy na jego pogrzebie, modlił się często wraz z uczniami do obrazu Madonny na wzgórzu kwirynalskiem, a przed śmiercią przyjął w skupieniu ducha komunię, mimo to nie należał do zastępu wierzących. Ale niezbitych dowodów poganizmu *Pomponiusza Laetusa* nie posiadamy wcale. Jeżeli bowiem on i jego towarzysze święcili dzień założenia Rzymu, to nieczynili nic takiego, coby w owych czasach starożytność miłujących było pod jakim bądź względem gorszące; na pewno nie było to większém zgorzeniem, jak obchód uroczysty urodzin *Platona* w akademii florenckiej, ani znowu tak wielkiem, iżby usprawiedliwiało zdanie *Rafaela Volaterranusa*, że święto owo było początkiem zniesienia wiary (*initium abolendae fidei*). W każdym razie nie masz w nim śladu pobożności chrześcijańskiej. W dogmaty nie wierzył, obrządków nie zachowywał; czcił on raczej, jak donosi jeden z oddanych mu uczniów, „gieniusza miasta Rzymu”, a my rzeklibyśmy: ducha starożytności. Jeżeli więc *Paweł II* go prześladował, to ze stanowiska poglądu ściśle chrześcijańskiego postępował słusznie; jeżeli zaś *Aleksander VI* pozwolił orszakowi towarzyszyć zwłokom zmarłego, uczynił to nie dlatego, iżby uznawał jego kierunek religijny, ale dlatego, iż nie mógł przenieść na siebie, aby temu małemu, niepozornemu człowiekowi, albo właściwiej duchowi, któremu służył, nie okazać i po śmierci także szacunku, jaki umiał zjednać sobie za życia u osób nawet najwyżej postawionych.

Dążności umysłowe i przekonania religijne znalazły najprzedniej

szy wyraz w akademii *Pomponiusza Laetusa*. Działalność jej zakłóciły prześladowania *Pawła II*, ale przeszkody te nie trwały dłużej, jak rządy papieża. Po doznanej przerwie zbudziła się do tём rzeźwiejszego życia, ponieważ odpowiadała właśnie nagłym potrzebom owego czasu. O rezultaty prac jej nie bardzo można, co prawda, i pytać; jużeć ani obchody uroczystości nie wypełniają jej prac, ani nazywanie członków imionami starożytnymi nie stanowi jeszcze zwyczajów i obrządków istotnych. W każdym razie o wielkiem jej znaczeniu świadczy dobitnie ten fakt, że historycy, wolni od tendencyj literackich, wcielają do dzieł swych opowiadanie o losach akademii *Pomponiusza*; że uczeni ówczesni, nietylko członkowie, ale także postronni, i ci ostatni z pewnem uczuciem zazdrości mówią o towarzystwie z podziwem. Było to wolne towarzystwo uczone, jakich wówczas istniało wiele; członków łączyły dążności jednakie i podobny sposób myślenia. Ale akademie rzymska prześciga swe siostrzyce godnością i czystością obyczajów nieporównanego swego przewodnika, oraz gruntem wiekuistym, z którego wyrosła i z którym, zdawało się, zrosła. Jest ona w stolicy chrześcijaństwa najwzniolejszą głosicielką starożytności, wpośród zepsucia nieskazitelnym świadectwem ducha uszlachetniającego. Rzuca więc jasne światło w epoce utrapień i usprawiedliwia dumne słowo *Franciszka Filelfa*, wyrzeczone może ze względu na ową akademię: *incredibilis quaedam hic libertas est*: panuje tu zadziwiająca wolność myśli.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Renesans w drobniejszych państwach włoskich (Medyolan, Mantua, Werona, Bolonia).

Mówiąc o *Petrarce*, wspominaliśmy już książąt medyolańskich z domu *Viscontich*. Zpomiedzy książąt włoskich, a tém samém i nowoczesnych wogóle, oni pierwsi popieranie nauki i sztuki uważali za zadanie książąt i woleli utrzymywać koło uczonych mężów ku ozdobie swojego dworu, niż licznych urzędników i marnych dworaków. Nie zawsze, co prawda, spostrzegamy czystą miłość dla literatury zarówno w książętach medyolańskich, jak i w innych władcach, poczuwających się do obowiązku protegowania pisarzy i artystów. W jednych odzywa się jakieś niejasne pragnienie czegoś duchowego, tak niejasne, że często zmieniano koleją żartownisiów, astrologów i uczonych, co więcej poszukiwano i znajdowano nawet uzdolnienia do wszystkich trzech urzędów w jednej osobie; w drugich widzimy jasne pożądanie sławy, którą spodziewano się osiągnąć za pośrednictwem pisarzy. Jak nie zawsze czystymi były pobudki do ściągania na dwory zdolnych mężów, podobnież nie zawsze zbawiennym bywał wpływ łask książęcych na sztukę i literaturę. Żarliwość bowiem humanistów w okazywaniu wdzięczności za wezwanie i protekcję prowadziła do panegiryzmu i pochlebstw, a schlebianie ustawicznie do poniżenia charakteru. Wychwalano bez różnicy książąt dobrych i złych, sławiono tyrana jako dobroczyńcę ludu, tchórza jako wojownika dzielnego,—pod warunkiem naturalnie, aby obaj szanowali nauki i, co było ważniejszém, aby ich przedstawiciele hojnie opłacali.

Po *Janie Visconti'm* (zm. 1354), wielbicielu Petrarcki, nastąpili jego synowcowie *Galeazzo* i *Barnaba*. Mimo głębokiej nieufności wzajemnej, żyli z sobą dość dobrze, ale srogością i okrucieństwem ciężko w równej mierze dali się obaj ludowi we znaki. Miejsce *Galeazza*, zmarłego 1378 r., zajął syn jego *Jan Galeazzo*; zdawało się, że nie odziedziczył po ojcu ani zgodliwości, ani okrucieństwa. Ludzkością bowiem i łagodnością usiłował zacierać surowość stryja, który, gdy z biegiem czasu zanikały zdolności, tém większą rozwijał srogość dla nadania powagi swym rozkazom. Ze współrządcą natomiast nie zdołał *Jan Galeazzo* dojść do porozumienia. Kiedy wreszcie połowicznym pojednaniem otwartą nieprzyjaźń bardziej ukrył niż stłumił, pochwycił *Barnabę* z dwoma jego synami, pomordował ich (1385) i sam zagarnął teraz panowanie nad Medyolanem, nie bacząc na prawa pozostałych dzieci zabitego. Wkrótce potem zmienił nazwę rządu i stanowisko swego domu, ponieważ wyjednał u cesarza *Wacława* przekształcenie hrabstwa w księstwo (1395). Równocześnie zmienił też i charakter, albo raczej teraz dopiero odsłonił istotną swą postać. Odtąd w daleko wyższym stopniu, niż poprzednik, składał dowody ambicyi i żądzy zaborów, okrucieństwa i obłudy. Drobnym tyranem nie chciał pozostać nadal; myślał o królestwie włoskiem, marzył nawet o koronie cesarskiej. Pomysł taki zdradza w nim obok ambicyi niepomiernej pewnego rodzaju usposobienie idealne. Wykonaniu tych planów przeszkodziła śmierć 1402 r. Większe zato, niż w polityce, miał powodzenie na polu sztuki i literatury. On bowiem założył Certosę pod Pawią, wybrałszy ją na miejsce wiecznego dla siebie spoczynku, i na budowę dalszą duże przyczynił sumy. Jakiś współczesnik nazywa gmach ten „najcudowniejszym ze wszystkich klasztorów”. On także wznosił katedrę medyolańską, która podług zdania tegoż samego znawcy „wielkością i przepychem przewyższa wszystkie kościoły chrześcijaństwa”. On również przyozdobił zamek w Pawii rzezbami i malowidłami; założył wreszcie bibliotekę, w której się znajdowali „najcenniejsi Grecy i Rzymianie”. Z podobną gorliwością gromadził i relikwie świętych. Działalność w tym kierunku świadczy, że żądza posiadania rzadkości i osobliwości była w nim nie mniejszą, jak rozumienie znaczenia zbiorów.

Umierając, zostawił synów małoletnich. Jeden z nich, *Jan Marya*, dopuściwszy się w ciągu krótkiego panowania okrucieństw niesłychanych, został zamordowany w kościele 1412 r.; drugi zaś, *Filip Marya*, rządził długo na postrach Medyolanu i szkodę Włoch całych do 1447 r. Olbrzymich swych planów zaborczych, w zakresie których leżało i zdobycie Florencyi, na szczęście nie urzeczywistnił, chociaż dla ich przeprowadzenia utrzymywał w swój służbie jednego z najgieniańszych wojowników owego czasu, *Franciszka Sforzę*. Jemu

właśnie w nagrodę za nadzwyczajne usługi poślubił swą córkę i małżeństwem tém utorował *Kondotyerowi* drogę do tronu. *Filip Marya*, gwałtownik i zaborca nienasycony, niedowierzający i nikczemny, mający jeno na myśli pomnażanie skarbów i potęgowanie miękkich rozkoszy wygodnego życia nie mógł ani rozumieć dążności umysłowych, ani tém samém być ich protektorem. Co najwyżej ma zachcianki literackie, jak miewał fizyczne, ale w środkach do ich zaspokojenia nie przebióra. Czytuje więc autorów starożytnych, znajduje upodobanie w poezjach *Dante*go i *Petrarki*, zabawia się lekturą francuskich romansów rycerskich.

Po śmierci jego panowały czas jakiś zamieszki, ustępując powoli miejsca rządóm republikańskim. Nareszcie 1450 r. objął tron książęcy *Franciszek Sforza* i zachwał władzę do 1466. Był to wódz biegły i szczęśliwy, naczelnik rodziny o jej dobro nader dbały, mąż głębokiego rozumu, wiedział doskonale, kiedy pora cios zadać, kiedy pora wszcząć układy; podbojami i przekonywaniem, gwałtem i wyciekiwaniem cierpliwém zdobył dla siebie i swoich wielkie posiadłości. Na zasadzie charakterystyki, skreślonej przez współczesnego mu papieża *Piusa II*, można go nazwać niemal szczęśliwym. Trapiły go bowiem tylko niesnaski w łonie własnej rodziny, co dla naszych pojęć jest rzeczą straszną, ale bez czego trudno wyobrazić sobie życia familii, zwłaszcza domu książęcego, w onej epoce. „Siedząc na koniu podobien młodzieńcowi, wzrostu wysokiego i postawy wielce imponującej, obejście książęce, rysy poważne; w mowie spokojny i uprzejmy, w boju niezwalczony; ogół jego uzdolnień fizycznych i duchowych nie znajdzie równego w naszych czasach. Małżonka jego piękna była i cnotliwa, dzieci powabne niby aniołowie niebiescy; sam rzadko chorował; spełniały się wszystkie jego życzenia ważniejsze“ (podług przekładu *Burckhardta*). Spokój i szczerą uprzejmość w mowie — oto jedyny przymiot duchowy, który wychwała zarówno papież, mówca zręczny, jak i humaniści nadworni, z całą pożądlivością węszący zdolności godnych uczczenia. „Celował wprawdzie zaletami pięknymi, ale literatura nadobna i Muzy były mu zupełnie obce“; tak sądzi go *Franciszek Filelfo*, który w naganie jest tém wiarogodniejszy, że zresztą nieustannie chwali władcę medyolańskiego. Był jednak *Sforza* o tyle rozumnym, że, znając niedostatki własne, starał się dać wyborne ukształcenie swym dzieciom; córka jego *Hypolita* uchodziła niemal za uczoną. Poezyą się nie delectował, ale, ulegając prądowi czasu, chętnie otaczał się poetami i artystami, którzy za tę uprzejmość odpłacali mu wedle swych uzdolnień. Poeci pisali wielkie poematy: *Sforziady*; żaden z tych utworów nie był wszelako drukowany a zatraty ich nie ma co żalować; *Filelfo* bowiem był rytmotwórcą przedajnym; jego próby poetyczne zdradzają odrazu wy-

sokość sumy wyplaconej; z przyobiecanych 12500 wierszy wykończył tylko 6400; *Decembrio* zaś był uczciwy, ale bez talentu. Artysty ze swęj strony wyzyskiwali osobistość i czyny bohatera dla prac wszelkiego rodzaju; np. *Antoni Filarete*, mistrz niepośledni, przedstawił plan zbudowania na cześć książęcego domu medyolańskiego Sforziady, t. j. miasta, przy którego wznoszeniu miało pracować równocześnie 103200 robotników.

„Gwiazda *Franciszka Sforzy* znamionuje szczęście jednego człowieka a zgubę jego potomstwa“. Wyrok ten astrologów, których nierozsądnemi przepowiedniami pogardzał *Franciszek*, dzięki jasności i przenikliwości umysłu, miał się sprawdzić całkowicie na jego synu i bezpośrednim następcy *Galeazzo Maryi* (1466—1476). Tyranią nowy władca nie przewyższa wielu książąt spółczesnych, ale był to rozpustnik i okrutnik; poddanym wydawał się wstrętnym i niebezpiecznym. Pomiedzy tymi, którzy owych niebezpieczeństw wietrzyli, okazał się najgorliwszym *Cola de' Montani*. Był on albo z przekonania stanowczym wrogiem książąt (gdyż i ku *Medicim* pałał nienawiścią), albo też uważał się za mocno skrzywdzonego przez dawnego swego ucznia *Galeazza*. Cokolwiekbaż było powodem, dość, że wśród Medyolańczyków formalnie werbował młodych ludzi przeciw monarsze i trzech z nich: *Lampugnani'ego*, *Olgiate'ego* i *Visconti'ego* przeznaczył do spełnienia mordu. Wszyscy trzej nie byli ani politykami, ani osobistymi nieprzyjaciółmi księcia; byli raczej, pod wpływem starożytnych, zwolennikami idealnej rzeczypospolitej i występowali w charakterze obrońców zdania, że to nie zbrodnia, lecz czyn szlachetny usunąć z drogi tyrana a śmiercią jego zabezpieczyć wolność ludowi uciemiężonemu. Spiskowcy umierali w przekonaniu, iż dokonali czynu sławnego. Całą epokę charakteryzują wybornie słowa, jakie jeden z nich, będąc już w rękach oprawcy, wyrzekł dla pokrzepienia siebie samego: „Zbierz siły! długo żyć będziesz w pamięci ludzi; śmierć jest gorzka — słowa wiekuiste“!

Zamordowany przez humanistów *Galeazzo Marya* objawiał łączność z renesansem co najwyżej osobliwymi kapryсами artystycznymi i niejaką biegłością w mowach łacińskich, czego się nauczył od swego wychowawcy *Guiniforte'go Barzizy*. Ale nie interesował się bogami starożytnymi i muzami nowemi, których podług słów jednego z poetów spółczesnych miał wzywać w chwili skonu, aby głos swój połączyli z powszechnym okrzykiem skargi na zbrodnię spełnioną. I on także, podobnie jak to się działo ze wszystkimi okrutnikami i ludźmi małej wiary onego czasu, zapewne wierzył w ciemne potęgi fatum i we wpływ ich na losy własne.

Po czteroletnich słabych rządach regencyi i wynikłych stąd zamieszaniach zagarnął władzę *Ludwik Moro*, brat *Galeazza*, z pominię-

ciem synowca, prawowitego następcy tronu. Pomimo że krewniak żył i znajdował stronników, utrzymał *Moro* w swych rękach rządu sam jeden i spełniał je świetnie; władzę zdwoił nawet po stłumieniu sprzysiężenia, jakie uknuli dawniejsi jego przyjaciele polityczni. Powadze i znaczeniu jego we Włoszech nie przyniosły żadnego uszczerbku blizkie związki z monarchami zagranicznymi, francuskim i niemieckim; był bowiem tak dumny, że nie uważał ich za wyższych od siebie ani nawet za sprzymierzeńców, lecz za podwładnych. Nie żenowały go porównania najsilniejsze; lubił słuchać, kiedy we Florencyi śpiewano wiersz nieledwie Bogu bluźniący: *Cristo in cielo e il Moro in terra Solo sa il fine di questa guerra*. Wierzył bo w swą gwiazdę, wierząc w gwiazdy wogóle; radził się téż gwiazd, ilekroć coś przedsiębrał. Zrzadka jeno posiadał tyle dumnej w sobie ufności, aby w działaniu kierować się orzeczeniem, którego raz sam użył za napis: Mędrzec panuje nad gwiazdami (*Vir sapiens dominabitur astris*). Sam był bardzo wykształconym, prawie że uczonym; już przecieć pacholeciem jedenastoletniem wygłosił jednego dnia dwie mowy łacińskie i własną ręką je skopiował (rękopisy ich są obecnie w Paryżu); jednakże uczonych i artystów traktował nie jako równy, ale jako monarcha. W uczonych towarzystwach *Bessariona* i *Pomponiusza Laetusa* znajdowali się wyłącznie mężowie, którzy mimo różnie pod względem znaczenia naukowego stali na stopie równości; we Florencyi przeważał za bardzo duch *Platona*, iżby książę pierwsze miał zajmować miejsce, zwłaszcza, że wysuwanie się naprzód nie leżało bynajmniej w naturze *Kuźmy*. W Medyolanie natomiast akademія była zbiorowiskiem uczonych, zgromadzonych przez księcia; musiała więc, tworząc niejako wzór dla akademii francuskiej, upatrywać główne swe zadanie w wysławianiu monarchy. W podobny sposób, jak akademią miał się opiekować i uniwersytetem w Pawii. Powiadamy miał, — gdyż zamiast świadectw historycznych prawią o tém wiersze wcale niegłośnego poety, opiewające zarazem wielki napływ narodów obcych, które „obwieszczają światu niezwykłą sławę kopuły świętej (budynku uniwersyteckiego) jako chwałę księcia”. Ale mówi o nim inna jeszcze kopuła: w 1490 r. mianował mistrzów dla wzniesienia kopuły katedralnej w Medyolanie „pięknej, świetnej i wiecznej, jeżeli na tym świecie coś wiecznego stworzyć można“. Sztukę i artystów otaczał *Moro* istotnie życzliwością; *Bramante* i *Leonard da Vinci* żyli czas jakiś na jego dworze.

Uczonych właściwie medyolańskich znajduje się stosunkowo ilość drobna. Zadaniem naszym nie jest spisywanie katalogu wszystkich literatów, nawet takich, którzy nieznaczną rozwijali działalność, albo takich, którzy krótko w jakimś mieście bawili, lecz takich tylko, którzy z urodzenia lub pracy długoletniej do grodu danego należą,

Chociaż więc *Valla*, *Beccadelli* i kilku innych znakomitych mężów czas pewien mieszkali w Medyolanie i tam nauczali; chociaż ta lub owa jednostka, której imię ze szczupłymi wzmiankami o miernych jej dziełach z trudnością przedarło się do potomności, zdobywała za życia łatwo zyskiwany w owe czasy rozgłos listami, mowami i poezjami łacińskimi; wystarczy przecież dla scharakteryzowania kółka medyolańskiego, jeżeli pomówimy o *Antonim Loschi*, *Kasprze da Barzizza* i synu jego *Guiniforte*, *Antonim da Rho*, *Piotrze Kandydzie Decembrio* i *Franciszku Filelfo*.

Antonim Loschi urodził się pod koniec wieku XIV, może jeszcze za życia *Petrarki*. Chłopięciami już niepospolitego rokował poecie; poświęcił się więc naukom wyzwolonym mimo nacisku ojca, który chciał go zrobić prawnikiem. Zaledwie doszedłszy lat męskich, prowadził wzorem wielu humanistów żywot wędrowny; po dłuższym pobycie w Medyolanie, zapewne od 1390 do 1406, mieszkał w Weronie, Neapolu i Rzymie, gdzie też umarł w wieku sędziwym, około 1450 r. Zdaje się, że był księdzem i napisał może tragedję świecko-pogańską — istnieją przynajmniej świadectwa rękopiśmienne, przynające mu tragedję *Achilleis*, za której autora uchodził *Mussato* (ob. str. 7). Służył wiernie papieżowi, nie dbając wcale o korzyści osobiste; lubił jednak historyjki, odsłaniające nierozsądek i łatwowierność duchownych, tak dalece, że przelożył na język łaciński złośliwą nowellę *Boccaccia* o *Ser Ciappeletto* (ob. str. 72). Wogóle był to człowiek dowcipny. Wymyślił lub rad opowiadał wesołe powiastki, z których niejedną wcielił *Poggio* do swych facecyj. W rzeczach tego rodzaju szukał jeno rozrywki. Dążenia jego były poważne, poświęcone ojczyźnie i umiejętnościom. Jeżeli ojczyźnie — to Włochom. Kocha on niezależność Italii. Biada więc nad grożącymi napaściami cudzoziemców, uskarża się na poćwiartowanie kraju między państwami. A jednak robił, ile zależało od niego, aby te niezgody utwalić. Mianowicie w interesie Medyolamu pisał wyzwanie do Florencyi, zarzucał jej związki z Francuzami i zaloty do cesarza, nieprzyjaźń dla kościoła i wiarołomność względem Bolonii, wydrwiwał wreszcie obywateli, że uważają się za Rzymian, ponieważ pochodzą z miasta niegdys rzymskiego. Zarzuty takie, w części tylko uzasadnione, nie usprawiedliwiały wcale gwałtownych wycieczek napastnika. Ale skarcił je też dostatecznie w swój odpowiedzi *Colluccio Salutato*, obsypując Medyolańczyków ozdobnymi epitetami, między którymi: bestya, żaba, kupa gnoju, niewolnicy niewolników nie są najszeptniejsze. Obelgi podobne nie były wówczas niczém nadzwyczajném. Dotkliwiéj więc od niej dały się uczuć dworakowi, wysługującemu się różnym książętom dumne słowa republikanina: „Lombardowie nienawidzą wolności — Toskańcykowie ją kochają“, lub wynurzenie

świadomego dostojności swój Florenczyka: „Moich współobywateli, rozproszonych po całej ziemi, znajduje się tak wielu i tak bogatych, że oni sami tylko zdolaliby odbudować i zaludnić Florencję, gdyby kiedykolwiek miała być zburzona“. *Loschi* bowiem był sługą monarchy bez ojczyzny, zaleźnym od przypadku, który go rzucał to tu, to tam, i od pana, którego mu los łaskawy nastęczał. W przeciwnym razie nie napisałby zapewne dla ohydneho *Jana Galeazza* nagrobka tej treści: „Zalety jego ducha były równie piękne jak przymioty ciała. Rozumny, dobroczynny, wielkoduszny był najmądrzejszym z książąt europejskich“. W słowach tych zaznaczył jedną tylko stronę dodatnią, mianowicie, że nie łatwo zmieniał przekonania, że dobroczyńcom swym dochowywał wdzięczności i po ich śmierci.

Jak monarchom, również wiernie służył *Antoni Loschi* naukom. Głównym jego dziełem jest komentarz do jedenastu mów *Cycerona*; *Flawiusz Biondo* nazywa w zachwycie te prace najpierwszym i jedynym swego czasu komentarzem, o którego sławie świadczy wymownie 13 rękopisów i druków. Oprócz tego wymienić należy objaśnienia do *Iliady*, nie upoważniające przecież do twierdzenia, że autor znał język grecki, czego mu też zaprzeczano. Ułożył wreszcie formularz dla korespondencyi dworu papieskiego i oddał nim państwu kościelnemu takie usługi, jakie dawny jego przyjaciel a wróg późniejszy *Colluccio Salutato* wyświadczył państwu świeckiemu (ob. str. 77 i nast.); wprowadził mianowicie przez to używanie języka klasycznego do korespondencyi, która dumnie odpychała potąd język *Cyceronowy*.

Wybornęj łacinie zawdzięcza swe znaczenie i drugi jeszcze pisarz medyolański — *Kasper da Barzizza* (1379—1431), nazwany tak od małej miejsciny w pobliżu Bergamo. Miejsca swego urodzenia *Barzizza* bynajmniej nie rozślawił i nie usławił swą osobą Medyolanu, gdzie przemieszkiwał od 1418 r. po długoletnim wprzód pobycie w Padwie i Wenecyi. Podobnież i syn jego *Guiniforte* (1406—1459) nie był wcale „bosko wzniosłym mężem“, chociaż, jeżeli wierzyć ojcu, nazywali go w swoim czasie wszyscy współczesni *divinissimus puer*, ponieważ umiał świetnie dysputować i dawał trafne odpowiedzi na pytania najrozmaitsze. W każdym razie obaj są ze względu na ową epokę osobistościami charakterystycznymi. Samodzielne ich pisma doniosłości wielkiej nie posiadają. Komentarze do niektórych utworów *Cycerona* zaginęły, rozprawy zaś o ortografii łacińskiej i etymologii nie dają nic więcej nad to, co i używane wówczas a często powtarzane książki szkolne. Jedynymi pomnikami ich sławy pozostały listy i mowy. Mowy, wygłaszane już to we własnym, już w imieniu innych, są pogrzebowe, urzędowe i polityczne. Polityczne, wystosowywane nieraz do głów koronowanych, najeżone pochlebstwami

wami, co zresztą powszechnem było w edy zjawiskiem, wyróżniają się z pośród podobnych wypracowań społecznych wielką zwięzłością oraz pewnym rysem indywidualnym, polegającym na akcentowaniu stosunków między mówcą a osobą, do której przemawia. W przemówieniach tych spotykamy przygodne pochwały sławy i ojczyzny, pogardę jakby wrodzoną humanistom dla jurysprudeneyi i rzadkie u nich wielbienie medycyny. Wiara w astrologię, wyrażona w arcy charakterystycznej mowie do *Filipa Maryi Visconti'ego*, wydaje się autorowi niemal nieodzowną, z naturą zgodną: „wielką potęgą gwiazd“, czytamy tam, „twymi rządzi losami“. Listy zasługują na uwagę nie tyle treścią, ile pod względem formalnym. Obok listów rzeczywistych do mężów wybitniejszych lub jednostek nieznanych nawet z nazwiska więcej zajmują miejsca wzory listów albo mowy i rozprawy o rzeczach najróżnorodniejszych, wcielone do tego zbioru dzięki jedynie zewnętrznemu z listami podobieństwu.

Guiniforte był nauczycielem Galeazza Maryi; mimo zasług położonych przez to dla rodziny książecój, nie otrzymał jednak profesury łacińskiej, o którą się starał. Miejsce zmarłego *Kaspra* zajął nie on, lecz *Antoni da Rho (Raudensis)*. Był to człowiek niskiego urodzenia, wielkiej nauki i bystrego rozumu. Pochodzenia swego wstydził się podobno, przynajmniej *Albert da Sarteano* zwracał jego uwagę, że należenie do familii nie przynosi żadnej hańby. Z polecenia *Filipa Maryi* przetłumaczył to i owo z języka łacińskiego na włoski, z własnego popędu pisał długie rozprawy uszczypliwe przeciw *Hermafrodycie Beccadelli'ego*; zyskał także rozgłos dwoma dziełami samoistnemi, z których mało co przeszło do potomności. Jedno z nich pod napisem: *de imitatione elegantiae* znane jest tylko z inwektyw *Valli*; o ile z wielosłownych, ale mało treściwych napaści jego wnosić można, miało ono ten sam cel na oku, co i *Elegantiae Valli*, ale zostało całkowicie wyparte pracą słynnego gramatyka. Drugie dzieło „Trzy dyalogi o błędach *Laktancyusza*“ (1443, przechowane w rękopisie) uwydatnieniem oratorstwa i niedorzeczności filozoficzno-teologicznych tego pisarza oburzyło zarówno humanistów jak i teologów; jakoż śmiałość autora ostro skarcili: *Filelfo* w liście i mnich *Adam z Genui* w osobnej książce. Twierdzi *Rho*, że znalazł u *Laktancyusza* nie mniej niż 53 błędy moralne, historyczne, religijne, niezgodność z *Platonem* poczytując za występek a wiarę w astrologię potępia jako szaleństwo. Czytając niektóre ze zdań przytaczanych przez *Rho* (tylko wykaz treści tego pisma napastniczego został niedawno wydrukowany), zdawaćby się mogło, że jesteśmy w pełni wieków średnich. Za błędy uważa np. zapatrywania następujące: Bóg sam stworzył siebie, aniołowie nie byli od początku przeznaczeni do opiekowania się ludźmi, szatan stopniowo wiódł aniołów na drogę nieprawości, aniołowie plodzili dzieci

z ziemiankami, nierozsądni są ci, którzy mniemają, że spełniają czynny miły Bogu paleniem świec w kościele.

Życie *Antoniego da Rho* i losy pism jego wymownie stwierdzają: 1) że nawet w epoce renesansu, która zupełnie wzięła rozbrat z wiarą w powagi, wyrobiły się na miejsce starych nowe zapatrywania szkolne i 2) że pisarz, który między obiema drogami torował sobie trzecią, musiał niebawem się przekonać, iż przeszkody z obudwu stron stawiane utrudniały lub nawet uniemożliwiały mu kroczenie samoistne. Uczeni medyolańscy mniej od niego pod względem umysłowym samodzielni (np. *Decembrio*) zajmowali w życiu stanowiska o wiele wyższe, cieszyli się szczęściem spokojniejszém i w przyszłości większój zażywać mieli sławy.

Piotr Kandyd Decembrio (1399—1477), 1447-go r. prezydent rzezypospolitój medyolańskiej, uczczony został podczas tego urzędowania medalem słynnego *Wiktora Pisano*; napis medalu brzmiał: *P. Candidus studiorum humanitatis decus* (ozdoba studyów humanistycznych). Po raz pierwszy użyto tutaj słowa *humanitas* dla oznaczenia studyów renesansu. *Decembrio* pochodził z rodziny uczonej. Już ojciec jego, lubo nie był sławnym, posiadał jednak dużą wiedzę; znał grecką i łacinę i znajomość jęj wykazał w kilku tłumaczeniach; łacinę uważał za język ojezysty, synom dał imiona łacińskie i jednemu z nich *Modestowi* poświęcił pismo *De modestia*, a drugiemu, właśnie naszemu *Kandydowi*, *De candore*. Podróżował po Niemczech (1390) i zostawił wiadomości interesujące o tém, co widział, np. o mieście Pradze. Syn poszedł w ślady ojca i prześcignął go przekładami z greckiego na łacinę i z języka łacińskiego na włoski; napisał mnóstwo listów i moc traktatów o administracyi państwa rzymskiego oraz z dziedziny kosmografii, historii, gramatyki i retoryki. Rozgłos wszelako zdobył sobie głównie trzema biografiami; życiorys *Frańciszka Sforzy* pozostał niedokończony, *Petrarki* jest mierny a *Filipa Maryi* skończony i znakomity. Biografia ta ma duże znaczenie nie tyle z powodu zupełności obrazu, jaki daje, i przedmiotowości sądu, gdyż obok wielu drobiazgów zamilecza niejeden szczegół ważny i z lubością maluje naganne jeno swęj ofiary przymioty a chwalebne całkowicie pomija, ile raczej ze względu na sposób pisania. Daje bowiem jasny, przejrzysty, najsubtelniej wycieniowany i artystycznie wykonany obraz jednego z najosobliwszych monarchów. Jest ona wedle *Burckhardta* „wielkiem rozszerzonym naśladowaniem *Svetoniusza*”. Kreśli skomplikowany charakter *Filipa Maryi*, a biorąc ten charakter za przykład i roztrząsając go takim, jakim był, przedstawia z przedziwną precyzją formy pewnego gatunku tyranii oraz warunki jęj powstania i następstwa politycznych zasad księcia. Bez tęj jedynęj w swoim ro-

dzaju biografii, charakterystycznój w najsubtelniejszych nawet drobnostkach, obraz wteku XV byłby niedokładny.

Decembrio żył długo i przeżył wiele; dla własnej sławy żył może nawet za długo. Zaszczyt przynosi mu rzadka w owych czasach skromność. Ustrzegł się chępliwości i napaści na ludzi jednakich dążeń, ale inaczej myślących. Z większością więc w pokojowych zostawał stosunkach; prowadził polemikę z jednym tylko *Franciszkiem Filelfem*, którego trwała przyjaźnią nikt chyba nie mógł się pochwalić. *Filelfo* jest typem najwstrętniejszego gatunku humanistów, samochwalców, poetów żebraczych i zacierzwionych kłótników. Uczoność jego nie opierała się na badaniach istotnie gruntownych a talent rymotwórczy nie stworzył ani jednego dzieła prawdziwie poetycznego. Posiadał on jednak wiadomości różnostronne, biegłość niezwykłą w posługiwaniu się językiem, zdolność mówienia o wszystkim i każdej chwili oraz łatwość wierszowania. Skutkiem więc tego zaszczerpił w wielu mniemanie, że zna wszystko, a w sobie żywił przekonanie i wypowiadał je bez ogródki, że jest najznakomitszym mężem swego czasu. Najbardziej rażąco występuje samolubstwo jego w pewnym poemacie. Porównywując siebie tu z *Wergiliuszem* i *Cyceronem*, stawia się wyżej od poety rzymskiego, ponieważ umie pisać i prozą, a dzierży prym przed słynnym mówcą, ponieważ ma zdolność składania wierszy, obu zaś prześciga, ponieważ oprócz łacińskiego włada także językiem włoskim. Tę chępliwość bezwstydną kończy niesłychanym pytaniem: Kogoż wogóle możnaby postawić w jednym rzędzie obok mnie? (*Talem quem mihi des alium?*).

Franciszek Filelfo urodził się 1398 r. w Tolentino, studyował w Padwie, był profesorem w Wenecyi, 1420 udał się w charakterze sekretarza poselstwa do Konstantynopola i podczas długiego tamże pobytu przyswoił sobie wyborną znajomość greczyzny; powrócił 1427 i lat kilka (do 1434) mieszkał we Florencyi. Stąd musiał się usunąć, gdyż wszystkim się naraził. W sposób najniegodziwszy najznakomitszych wydrwiwał mężów, jak np. *Karola Aretina*, *Ambrozego Traversari'ego*, *Mikołaja Niccoli'ego*, *Gianozzo Manetti'ego*; rzucał się nawet słownie i czynnie na samego *Kuzmę Medyceusza*. *Aretina* prześladował w satyrach pod pseudonimem *Kodrusa*, *Niccoli'ego* nazywał *Nihilus cognomine Lallus* („Nicość z przydomkiem gaduła“); do *Poggia* odezwał się raz (Sat. II. 3) temi słowy: „Należałoby ci wyrwać język, którym niezmordowany lżysz dobrych“. Ale musiał też wysłuchać odwzajemnień, wygłoszonych przez napadniętego (w mowie pogrzebowej na cześć *Niccoli'ego*): „o *Filelfię* wspominam, dla jego nieczemności; najpotworniejszy to i najbezpieczniejszy z ludzi, występki jego i czyny sromotne skazyły młodzież naszą i gród nasz; o! lepiejby było pozbyć się tego nauczyciela miernego a wielkiego niecnoty aniżeli posiadać

wśród siebie taką szkaradę“. W 1439 r. przybył do Medyolanu, ożenił się powtórnie, następnie po raz trzeci i spłodził w ogóle 24 dzieci legalnych i kilkoro nieprawych. Żył jak pan wielki a żebrał jak mizerny, bezecny chudzina. Czołgał się przed potentatem, czy nim był *Filip Marya*, czy dostojnicy rzeczypospolitej, czy *Franciszek Sforza*. Czasami zdawało się, że ma istotnie napady godności ludzkiej i dumy poety, np. kiedy wynurza się, że poeta może najpotężniejszych nawet pograżać w otchłaniach Acherontu; ale ulegał im wtedy tylko, skoro się dostatecznie przekonał, że żądania jego nie będą spełnione. Dwukrotnie bawił w Rzymie za *Mikołaja V* i *Sykstusa IV*, myślał zostać księdzem (światoło mu nawet w głowie kardynałstwo i papieństwo, boć przeciw *Pius II* był przedtém poetą swawolnym), prosił już o dyspensę z powodu kilkokrotnego małżeństwa, ale nie w Rzymie nie wskórał. W okresie pośrednim, między jednym a drugim pobytem w Rzymie, mieszkał znowu w Medyolanie i pracował nad Sforzadą (ob. str. 158—159), którą poczytywał za najodpowiedniejszy środek do ponownego napełnienia kiesy; w końcu wyjechał do Florencyi, gdzie, człowiek ten za pozór sił niespożytych, umarł 31 lipca 1481 r.

Katalog wszystkich pism jego obejmuje wiele stronic. Przeglądając je, przekonujemy się, że nie masz żadnego rodzaju, którego *Fililefo* byłby twórcą, chociaż w wychwalaniu swych zasług nie ustawał. W myślach nie widać śladu oryginalności. Układał listy i mowy, poezye i rozprawy pedagogiczne, wzory listów i bajki dla młodzieży, gramatykę grecką, dzieła historyczno-biograficzne o papieżu *Mikołaju V* i *Fryderyku z Urbino*, ogłaszając je, o ile mógł, za życia jeszcze opisywanych, aby brzęcząca otrzymać nagrodę; dokonał wielu tłumaczeń z greckiego; jest wreszcie autorem rzekomych badań filozoficznych.

Pisał, naturalnie, po łacinie, gdyż łacinę uważał za jedyny język uczonych: po włosku pisał źle i dlatego wtedy jeno, kiedy musiał, i o takich rzeczach „których pamięć radzibyśmy, aby nie przeszła do potomności“. Był też wielce nierad, kiedy widział się zagnonym miewać odczyty włoskie o *Petrarce*, poecie wulgarnym (często przedrukowywano mierny pod względem językowym i rzeczowym komentarz jego) i zemścił się na swęj ofierze w ten sposób, że jego, człowieka czystości niepokalanęj starał się zrobić erotykiem sprośnym. Chwalił każdego księcia i każdego możnowładcę, kto jeno tytułem, no! i pieniędzmi wyróżniał się od reszty, ale w przystępie przekonani purytańskich wykrzykiwał: „Tylko cnota daje i odbiera szlachectwo oraz zdobi każdego sławą zasłużoną“. Lubił uciechy, dogadzał mianowicie chuciom zmysłowym, przechwalał się rozumniejszą filozofią, nie bez spojrzeń z ukosa na scholastykę; mimo to jednak uzasa-

dniał, niby najprawdziwszy scholastyk, wyższość życia bezżennego nad pożyciem małżeńskim, twierdząc, że liczba nieparzysta jest doskonałością, liczba zaś parzysta znamionuje sprośność. Uczucia pobożności nie miał zgoła; wiara jego była czysto powierzchowna, oparta niemal w równą mierze na naukach filozofów pogańskich jak i na dogmatach kościoła, ale z tém wszystkiém wysławiał kaznodziejów głoszących pokutę i był nietorelantem względem inowierców. Sprzeczności tego rodzaju nie znamionują w nim bynajmniej myśliciela wielostronnego, pracującego nad kształceniem swego umysłu, myśliciela, który, przyjąwszy nieznaną dotąd prawdę, śmiało ją wyznać gotów, jeżeli uważa za lepszą; dowodzą one raczej braku przekonania; *Filelfo* bowiem umiał przebiegle nagiąć swe poglądy stosownie do potrzeb chwili. Bez talentu wyższego i bez charakteru — imponował, co najwyżej, żarliwością dla studyów starożytnych, chociaż i ta żarliwość była, zdaje się, nierar udaną, a także działalnością niestrudzoną, możliwą jeno dla natury herkulesowej, jaką właśnie posiadał. Kreśląc obraz jego, chętnie się historyk z nim rozstaje; blask go opromieniający jest pożyczany i ciemnieje szybko pod badawczém okiem dziejów.

W liczbie książąt, do których się zbliżał *Filelfo* z prośbą na ustach, widzimy także *Ludwika Gonzagę*. *Ludwik*, jego poprzednik *Jan Franciszek I* i następca *Jan Franciszek II* panowali podczas rozkwitu renesansu w Mantui; późniejszy *Fryderyk* (1519—1540) przekracza już po za granice onęj epoki. Ponieważ Mantua była miejscem urodzenia *Wergiliusza*, przeto uprawę nowęj kultury uważała już wcześniej za swoje prawo i swój obowiązek. Jakoż 1257 r. wybili Mantuańczycy monetę z wizerunkiem *Wergiliusza* a następnie wzniesli poecie pomnik, który cieszył się czcżą może przesadną, wynikającą po części z uczuć rodacych a po części z podziwu dla głoszonych przez wieszczka idei. W 1397 r. kazał *Karol Malatesta*, ówczesny władca Mantui, wrzucić statwę do Mincio z pobudek, na które złożyły się jakaś zawiść względem męża starożytności nazbyt szanowanego, oraz bojaźń, aby nie powstał stąd przesąd niebezpieczny dla religii i polityki. Przeciw książęćemu hańbicielowi starożytności rozbudziła się usprawiedliwiona niechęć wśród literatów, ale *Malatesta* mało się troszczył o wrzaski przeciwników; nie myślał zgoła żądaniom ich uczynić zadość — i posag na nowo ustawić. Po upływie stulecia poglądy się zmieniły i to, co niegdyś uchodziło za czyn jeno naganny, uważano teraz za występki arcy grzeszny. Otóż księżna *Izabela*, miłośniczka sztuk pięknych, starała się wtedy pomnik przywrócić, ale, jak się zdaje, bez skutku.

Jan Franciszek I (1407—1448), ożeniony z *Pauliną Malatesta*, był protektorem nauk; świadom braków własnego wykształcenia, pragnął dać staranne wychowanie dzieciom; w tym celu powołał do Mantui najlepszego nauczyciela, *Wiktoryna da Feltre*, przez co zrobił swą rezydencję siedzibą kultury wyższej a sobie zgotował sławę niepopolitą.

Wiktoryn da Feltre, właściwie *Rambaldoni*, wolał nazywać się Mantuańczykiem od miejsca swój działalności głównej, niż Feltreńczykiem od miejsca pochodzenia. Urodził się około 1378 r., studyował w Padwie, ale w nauce zawdzięczał więcej samemu sobie aniżeli mistrzom; nauczał później lat kilka w Wenecyi, skąd 1425, ulegając zaproszeniu margrabiego *Gonzagi*, przeniósł się do Mantui; czynił to zrazu niechętnie, gdyż nie chciał pobytu w rzeczypospolitej zamieniać na mieszkanie w państwie monarchicznem. Niebawem przecież uznał gród ten za prawdziwą swą ojczyznę i pozostawał tu aż do końca żywota (2 lutego 1446 r.).

*Wiktoryn*¹⁾ jest jednym z tych ludzi, co życie całe poświęcają celowi, dla którego uposażeni są doskonale zdolnościami i rozumem. Nie pisał nic prawie; wiersze młodzieńcze, długo przechowywane, zniszczył w końcu; w druku znany jest jedyny list jego do zaufanego przyjaciela *Ambrozego Traversariego*. Nad nauką pracował z wielką usilnością, nie pożywał nigdy tytułów żadnych, nienawistnych mu jak wszystko, co powierzchowne; zostawał w serdecznej przyjaźni z nauczycielami, kolegami i uczniami, a przyjaźń tę utrzymywał stale niezruszoną. Na równi z umysłowemi uprawiał ćwiczenia fizyczne: był wybornym jeźdźcem, tancerzem i szermierzem; ubierał się jednak zimą i latem, podczas najostrzejszych chłódów nosił tylko sandały, a żywot prowadził tak prosty i umiarkowany (wina czystego nigdy nie pił), że aż do wieku sędziwego ani razu nie chorował. Namiętności swe — popęd do rozkoszy zmysłowych i gniewu — zwalczał do tego stopnia, że przez całe życie pozostał dziewiczym a rzadko dotknął kogo ostrym słowem; najchętniej radby widział wszystkich humanistów poświęcających się pracy w pokoju i zgodzie.

¹⁾ Następujący paragraf o *Wiktorynie* w rzeczy głównej przejąłem ze sporządzonej przeze mnie trzeciej edycji często przytaczanego dzieła *Jakóba Burckhardta*, z niektórymi uzupełnieniami przeznaczonemi do wydania czwartego. Kto ma ochotę porównać ustęp niniejszy z dawniejszemi wydaniem tejże książki, znajdzie niektóre nowe dodatki; jeżeli zaś pomieszczać tu również bez żadnej zmiany zdania, będące wyłączną własnością *Burckhardta*, to na usprawiedliwienie swego postępowania mogę tę przywieść uwagę, że pewne rzeczy, raz trafnie wypowiedziane, zdobywają sobie taką powagę kanoniczną, że na ich miejsce z trudnością da się wyrzec coś innego, nie mówiąc już lepszego.
(Przypisek Autora).

Początkowo kształcił jeno synów i córki domu panującego; jedna z księżniczek doszła pod jego kierunkiem do godności niewiasty prawdziwie uczonej. Później wszelako, gdy sława *Wiktoryna* rozeszła się szeroko po Itali a synowie znakomitych rodzin jęli się zgłaszać po naukę zdala i zblizka, nawet z Niemiec, nietylko pozwolił *Gonzaga*, aby jego nauczyciel uczył i młodzież obcą, lecz nawet poczytywał bodaj za honor dla Mantui, że stała się siedzibą wychowawczą osób przedniejszego świata. Nie dość na tém! Przybywał tu jeszcze inny zastęp, na którego wykształceniu zakładał mistrz najwyższy może cel życia. Byli to młodzieńcy ubodzy i utalentowani, niekiedy w liczbie 70. Żywił ich i wychowywał we własnym domu *per l'amore di Dio* obok owych pochodzeniem znakomitych, którzy musieli się przyzwyczajać do mieszkania pod jednym dachem z talentem—bez grosza. Im więcej napływało uczniów, tém więcej potrzeba było profesorów dla udzielania nauki; *Wiktoryn* nią jeno kierował. Wykłady naukowe odznaczały się taką wielostronnością (wykluczono tylko prawo i medycynę), iż przychodziła myśl zamienić szkołę na uniwersytet. Czytano poetów, mówców i historyków greckich i rzymskich, wyuczano się ich na pamięć i tłómaczono, zajmowano się gorliwie filozofią i matematyką, która była ulubionym przedmiotem *Wiktoryna*. Tutaj téż po raz pierwszy obok wykładów umiejętności wprowadzono dla całej szkoły gimnastykę i wszelkie szlachetniejsze ćwiczenia ciała i unormowano je odpowiednio. Przedsiębrano prócz tego wyjazdy i wycieczki dla rozrywki; *Wiktoryn* nigdy nie podróżował sam; największą jego przyjemnością były podróże piesze w towarzystwie całego swego otoczenia.

Gonzaga płacił mu właściwie 240 złotych ówczesnych (=tyłuż dukatom) corocznie; wybudował nadto wspaniały dom *la Giocosa* na pomieszkanie dla mistrza i uczniów, ponosił nawet część kosztów na utrzymanie uczniów biedniejszych. Co się tyczy innych potrzeb, wyjednywał *Wiktoryn* sumy na ich zaspokojenie u książąt i ludzi bogatych, którzy nie zawsze przecież chętny dawali posłuch jego prośbom, zmuszając go nieraz swą zatwardziałością do zaciągania długów. W końcu jednak cieszył się dobrobytem — żywot miał zapewniony: wygodny posiadał domek w mieście i majątek wiejski, gdzie przepędzał z uczniami czas wakacyjny; miał słynną bibliotekę, której rękopismy chętnie pożyczał lub darowywał, ale opanowywał go gniew, jeżeli mu je rabowano. Rankiem czytywał księgi święte, potem biczował się i szedł do kościoła. Uczniowie musieli także nawiedzać świątynię, co miesiąc się spowiadali, tak samo jak mistrz, i posty najściślej obserwowali. Uwielbiali mistrza, ale się bali jego spojżenia; jeżeli w czémś przewinili, ponosili natychmiast po spełnieniu czynu karę surową. Dla wymierzania kar nigdy nie używał

roźgi; najostrzejszém skarceniem było klęczenie lub leżenie na ziemi w obecności współtowarzyszów. Pomimo takiego upokorzenia winni nie umniejszali dla niego szacunku i przychylności. Poważali go wysoce nie tylko uczniowie, lecz i wszyscy współcześnicy; jeźdźono do Mantui po to tylko, aby go odwiedzić. Śmierć jego oplakiwano jako nieszczęście narodowe.

O jednym z jego uczniów książęcych, późniejszym margrabi *Ludwiku III*, mało co da się powiedzieć; tém więcej za to o następcy *Ludwika Janie Franciszku II* (urodził się 1466, wcześniej objął rządy, zmarł 1519) i jego małżonce *Izabeli d'Este* (ur. 1474, zamężnej 1490, zm. 1539). Margrabia lubił grube uciechy życia, znajdował upodobanie w koniach i przekładał pełną rozmaitości wojnę nad jednostajne zatrudnienia pokojowe; był kondotyrem i politykiem, ale jednym i drugim w złym gatunku, odznaczając się często brakiem czci i wiary, co w one czasy było zjawiskiem zwyczajnym, stawał np. w stosunkach przyjaznych z sułtanem tureckim, a przecie sprzeciwiał się przejściu Italii pod panowanie cudzoziemskie i uchodził za gorącego patriotę, zwłaszcza po wzięciu udziału w wojnie z Karolem VIII, kiedy, dowodząc wojskami Wenecyan, walczył w bitwie nad Tano (1491) i odniósł zwycięstwo, przynajmniej według mniemania rodaków.

Margrabia *Jan Franciszek* posiadał wykształcenie, gastował w literaturze włoskiej i sam nawet występował jako pisarz, jeżeli dobrze rozumiemy napomknienie *Ariosta* (*Orlando* 37, 9); znajdował pochlebców, co prawda między ludźmi miernymi, jak *Antoni Averoldo* i *Antoni de Comitibus*, którzy za hołdy domagali się dość otwarcie nagrody przynależnej, miał też nadmiernego wielbiciela w jednym z późniejszych humanistów, który na białcie księcia, umieszczonym między *Wergiliuszem* a poetą *Baptystą Mantovanem*, napisał słowa przesadą tchnące: *Argumentum utriusque ingens si saecula coissent*.

Za *Janem Franciszkiem* przemawiają więcej od onych wierszy wojenne czyny jego, a za *Izabelą d'Este* jej listy. Przedewszystkiém brała ona na seryo stanowisko żony i matki. Małżeństwo nie było dla niej rzeczą konwencyonalną, ale sprawą serca; więc też ślub brata księżnej z *Lukrecją Borgia* wydał się jej „zimnym” mimo roztoczenia całej pompy; krótka rozłąka z mężem i dzieckiem trwała jakby „lat tysiacy”, ponieważ Izabela nie знаła żadnej przyjemności, skoro musiała od ukochanych być zdale. Wysoko też ceniła godność Włoszki. W epoce, kiedy stosownie do potrzeby zawierano sojusze z cudzoziemcami i dla korzyści osobistych poświęcano na ofiarę dobro ogółu, wysławiała stałość mieszkańców Faenzy, którzy „powrócili honor Italii” i pobożnie obchodziła rocznicę poległych w bitwie pod Fornuovo, ponieważ położyli głowy dla szczęścia Italii. Języ-

kiem łacińskim interesowała się nie wiele, wyznawała śmiało, że się nudzi na przedstawieniach sztuk *Plauta*, ale lubiła natomiast i rozumiała literaturę włoską. *Aldo Manuzio*, mający polecenie nadsyłania jej wszystkich dzieł, przez się drukowanych, na pięknym papierze i w wykwinłej oprawie, poświęcał księżnie pisma, do których zrozumienia potrzebowała rozległej wiedzy. *Ariosto* jej najprzód rozwinął plan nieśmiertelnego swego poematu; przysyłałi też często na dwór mantuański utwory swoje *Bembo*, *Bandello* i *Bernard Tasso*. Sztuka zajmowała ją bardziej jeszcze niż literatura. Okazywała zawsze gotowość do popierania przedsięwzięć artystycznych, zachwycała się dziełami wspaniałemi, dowiodła wytwornego smaku przy zbieraniu starych i zamawianiu produkcji nowych; jej sądy o sztuce, jej zachęty dla mistrzów opieszalnych, jej pełne zachwyty wykrzyki, skoro nabyła skarb nowy, dziś jeszcze budzą zajęcie i podziw radosny. Okazywali jej też wdzięczność za doznane względy poeci i artyści. Przechowywały się dotąd niektóre poezye ku jej czci pisane; *Leonard da Vinci* sportretował księżnę, ale malowidło czasów naszych nie doszło; *Tycyan* wykonał dwa jej wizerunki, których kopie jeno pozostały; medal z jej podobizną sporządził *Benvenuto Cellini*.

W Mantui mieszkał i utrzymywał z dworem stosunki, nie będąc wszelako poetą nadwornym, *Baptysta Mantovano* (ur. 17 kwietnia 1448, zm. 20 marca 1516). Weześnie został karmelitą i na parę lat przed śmiercią pozyskał godność gienerała zakonu (1513). Wykształcenie zdobył w podróżach, podejmowanych „z miłości dla cnoty”; owocem ich był zakup „różnych mistrzów mądrości”. Od 1478 r. bawił stale w Mantui, wychowywał *Zygmunta*, syna omawianej dopiero co pary książęcej, i niektóre części swych utworów poetycznych dedykował margrabiemu i jego małżonce.

Zadaniem *Mantovana* nie jest pojednanie chrześcijaństwa z pogaństwem, o co kusiło się tylu poetów i filozofów onego czasu, lecz uzależnienie poganizmu od chrystyanizmu. Dążenia swe charakteryzuje (*Epitome vitae suae*, Dyst. 10 i 11) sam w ten sposób: „Poezyę bujającą uczyniłem poddanką Chrystusa a bogom dałem siły i ducha; mojem staraniem było wszakże zwyczaje nasze podnieść a bogów starożytnych poniżyć”. Stosując się do tego programu, napadał w licznych wierszach na „poetów prawiących bezwstydnie”, w innym zaś wierszu domagał się krucjaty przeciw Turkom, by spotęgować żarliwość chrześcijańską i zwiększyć posiadłości wiernym przeznaczone. Przekonania chrześcijańskie rozwijał jednak przeważnie w dwu dziełach: *Parthenice* i *De sacris diebus*.

Pierwsze jest przedsięwzięciem opiewania chwały niewiast świętych, świadczącym o dobrych chęciach autora, (jest tu mowa i o mężczyznach świętych, ale nie w takiej rozciągłości). Miejsce naczelne

zajmuje Panna Marya, którą poeta uważa też za najwłaściwszą opiekunkę w chorobach niebezpiecznych; następnie idą święte: Katarzyna, Agata, Łucya, Apolonia, Cecylia. Wysławianie tych niewiast dowodzi pobożnego uczucia chrześcijańskiego, lecz sposób opracowania poetycznego świadczy o nieuniknionej nawet w poecie „chrześcijańskim” zawisłości od poetów starożytnych. Albowiem Olimp i tutaj znaczy toż samo co niebo; Bóg-Ojciec musi się zgodzić na nazwę *Jupiter tonans*; wzorem starożytnych wsuwa autor mnóstwo mów, zawierających daleko więcej żywiołów, poczerpniętych z pogańskiej historii rzymskiej, aniżeli ze zwyczajów chrześcijańskich.

Drugie dzieło jest kalendarzem. Zadaniem jego nietylko po szczególe wyliczyć święta i uzasadnić historycznie ich powstanie, ale także wogólności opiewać zwycięstwo chrześcijaństwa nad pogaństwem. Kiedy anioł Gabryel — tak *Mantovano* snuje wątek opowiadania — pozdrowia Maryę w Nazarecie, przybywa za nim Merkury, poseł bogów starożytnych; podsłuchując pode drzwiami, dowiaduje się o wyniesieniu Dziewicy do godności bogini, groźną nowinę zanosí swym mocodawcom, a wiadomością tą podżega ich do postanowień najbardziej krańcowych, lecz bezskutecznych. Nakłania też *Mantovano* do szanowania przepisów chrześcijańskich i ostrzega przed obrządkami pogańskimi. Uskarża się na niektórych „nieponiów”, nie chcących wierzyć w autentyczność krwi świętej w Mantui, odwodzi od wystawiania pokarmów zmarłym dnia 18 lutego, mówiąc: „dawajcie posiłek żywym, zmarłych zaś czcijcie świętymi obrządkami”. Nie lęka się jednak, iżby pomniki sztuki starożytnej zdołały podniecać do czci bogów starożytnych. „Posągi nie grożą nam żadnem niebezpieczeństwem, malarstwo nie ukrywa nic groźnego; są to jeno znaki niewinne”. Tak śpiewa poeta, niezbyt trafnie oceniając ducha czasu swego; bo chociaż ducha tego nie spłodziły wyłącznie twory sztuki starożytnej, przecie przyłożyły się w pewnej części do jego wytworzenia.

Pracę tę z dedykacją wręczył *Baptysta Mantuańczyk Sykstusowi IV*, chwalać papieża za jego „cnotę heroiczną”, ale i przypominając zarazem dwa wielkie oczekujące go zadania: poprawę obyczajów w Rzymie i walkę z Turkami. Mimo pobożności i wysokiego stanowiska duchownego, mimo nawet owęj dedykacji, nie jest nasz poeta bezwarunkowym stronnikiem papieżów. Przygania ostro, że w Rzymie papieskim „świątynia i kapłani, ołtarz i kadzidło, co więcej, niebo i Bóg sam — są na sprzedaż”. Chociaż wzrok swój skierowuje do czasów najdawniejszych, do początków chrześcijaństwa, nie odwraca się przecież od epoki współczesnej; owszem, nie w jednej książce mówi o wypadkach, na które patrzył, o osobach, które znał. Wiele takich aluzji zawiera jego poemat dydaktyczny: *De calamitatibus temporum*. Rozprawia tu o nieszczęściu czasów wogóle, o siedmiu

grzechach głównych ludzkość trapiących, ale również o wydarzeniach dnia, o wojnie tureckiej i o zdrożnościach humanistów, kolegów w zawodzie poetyckim, których przekonań wszakże bynajmniej nie podzielał. Więcej jeszcze wzmianek społecznych obejmują 4 księgi poezji okolicznościowych (*Sylvae*). Wychwala w nich książąt z domu *Gonzagów*, *Fryderyka* z Urbino, niektórych papieży, zwłaszcza *Inocentego VIII*, pozdrawia króla *Alfonsa* z przyczyny odzyskania Otrantu i wypowiada w słowach wymownych nadzieje, jakie pokładać się godzi na młodzieńczym *Maksymilianie*; z pomiędzy przyjaciół opiewa pisarzy, np. *Pontanusa* i młodszego *Beroaldusa*, malarzy i rzeźbiarzy, jak *Andrzeja Mantegna*; z zamilowaniem podaje opisy miejscowości, kąpieli i mieszkań wiejskich, wygłasza napominające odezwy do Rzymu, wojnami skołatanego. Kwestye bieżące traktuje też po części w eklogach, poematach pasterskich. Chodzi mu tu wprawdzie i o opisy życia wiejskiego; wygłasza w nich zresztą autor raczej konwencyonalne pochwały spokoju i szczęścia sielskiego, aniżeli wnika w stosunki rzeczywiste; wyprowadza na scenę spory między chłopami a miastami, stając po stronie pierwszych. Chętniej jednak omawia rzeczy, nie mające żadnego zgoła związku z życiem wieśniaczem. Uskarża się na obojętność książąt względem sławy i na niedostateczność opieki okazywanej przez niektórych naukom i sztukom; gromi astrologów, „głupców liczących gwiazdy i wyobrażających sobie, że rozumieją przeznaczenie”; karcie ostro jurystów, „niepoprawny ród błaznów”, oraz Rzym, który dla ludzi jest tém, „czem puszczyk dla ptaków”.

Pomimo kilku wycieczek satyrycznych, nie został *Mantovano* nigdy satyrykiem i szydercą. Przeciwnie. Był zawsze człowiekiem poważnym, surowym, pobożnym. I w poematach a bardziej jeszcze w pismach prozaicznych i dyalogach: O cierpliwości, O życiu szczęśliwem (*De patientia*, *De vita beata*), zaleca żywot mądry, szanowanie cnoty i cześć świętych (wybrawszy sobie za patrona św. Baptystę, jak *Mateusz Vegio* ś. Augustyna); odwodzi od rozkoszy życia, gdyż są zgubne, a wysławia stan zakonny, w którym jedynie pracować można nad zbawieniem duszy.

Jakże różnym od tego księdza żarliwego, pragnącego żyć i umrzeć w klasztorze, jest *Teofil Folengo*, mnich zbiegły, który, dopóki sił starczy, stara się zwolnić od przymusu i używa życia aż namiętności wyszumia. W pismach swych nazywał siebie *Limerno Pitocco* lub *Merlino Coccajo*. Urodził się 8 listopada 1491 w Mantui, zmarł nieopodal Padwy 9 grudnia 1544 r. W r. 1509 wstąpił do zakonu benedyktyńskiego, ale już 1515 opuścił klasztor, aby się oddać zabawom miłosnym, w których większe znajdował upodobanie niż w ćwiczeniach duchownych. Spędziwszy kęs życia bardzo burzliwie, wró-

cił do klasztoru (1526 r.) i usiłował teraz dawne wyuzdanie odpokutować surowością a pisma swawolne i bezbożne zatrzyć dziełami religijnymi.

Folengo doskonali i wykończył poezję makaroniczną. Istota jej polega na tém, iż autor rzeczy żartobliwe wypowiada w sposób śmieszny dziwną mieszaniną języków łacińskiego i ojczystego. Głównem jego dziełem w tym rodzaju jest *maccaronicum opus*. Opowiada tu dzieje *Baldusa*, Mantuańczyka, pochodzącego z plemienia Franków, syna *Gwidona* i *Baldoviny*. Chłopcem już prześciga *Baldus* wszystkich towarzyszków w zawadyactwie i bijatykach; w związku z trzema kamratami *Falchetusem*, *Eingarem* i *Fracassusem* panuje nad kolegami i z młodzieniaszka swawolnego staje się nicponiem. Żona jego *Berta* stara się dorównać mu w sztuczkach łotrówskich i osiąga ten cel chwalebny w czasie, kiedy małżonek odsiaduje więzienie, pokutując za dowiedzione łotrstwa. Z ciemnicy wyzwalają go przyjaciele; przebrani za księży wdzierają się do gmachu więziennego i szatą świętą ochraniają druha nawskroś nieświętego. Teraz tedy zaczyna się piekielna gospodarka na lądzie i morzu. W bitwie lądowej *Baldus* sam jeden rozbija w puch 2000 ludzi. Awantury morskie rozpoczynają się od tego, że baran prowodyr, kupiony przez jednego z kompanów, i rzucony do morza, pociąga za sobą wszystkie zwierzęta stad cudzych. Rozbicia okrętów przeplatują bitwy nader niebezpieczne. Po walce ze zwierzętami dzikimi przedzierzga się towarzysze w potwory, lecz wkrótce wracają do dawniej postaci; udają się do Libii, zabijają strażnika Nilu i dostają się wreszcie do świata podziemnego. Tu zmuszają Charona, zrazu opornego, że ich przeprowia przez Styks, poznają furye i katusze zmarłych. Filozofowie i poeci, głosiciele zmyślonych historyj i wymyślonej mądrości, ponoszą karę tego rodzaju, że każdemu z nich przydany extra-dyabeł wyrzywa ząb za każdą nieprawdę obwieszoną w życiu.

Już z zakończenia takiego łatwo poznać tendencję poety. Zadaniem tu nie jest wcale opowiadanie przygód dziwnych, ale wyszydzenie złych obyczajów epoki. Wydrwiwa więc *Folengo* rycerstwo, gdyż *Baldus* jest uosobieniem żadnego czynów i sławy, ale zarazem pletliwego i bezecnego bohaterstwa, nie troszczącego się ani o Boga, ani o dyabła (*nil curat mundum, nil coelum nilque diablum*). Przy sposobności wyśmiewa też ewangielię i religię, a przedewszystkiem czarodziejstwo (kamień filozoficzny) i astrologię. Drwiny podobne spotykamy jużci w poezyi i prozie u wielu pisarzy tamtoczesnych, w *Folengu* atoli charakterystycznym jest nastrój względem starożytności, będący mieszaniną zazdrości i podziwu. Chwaląc poetów współczesnych *Mantovana*, *Pontana*, *Sannazara* (i mantuańskim Gonzagom nie szczędzi pochwał, które sobie dobrze zakarbowuje),

dodaje wprawdzie uwagę, że nie mogą dorównać poetom starożytnym, że on sam nie zdolen pozyskać rozgłosu im podobnego; różnicę tę jednak uzasadnia nie niższością zasługi pisarzy nowoczesnych, ale twierdzeniem oryginalnym, że sława starożytnych nowoczesnym często szkodzi (*namque vetusta nocet laus nobis saepe modernis*).

Baldus, bohater poematu makaronicznego, czytał już w młodości *Rolanda* (tak mówi autor na początku księgi wtórej). Drugim dziełem Folenga jest *Orlandino*, parodia poematu Aryostowego, może nawet napisana ku wyszydzeniu domu esteńskiego w przeciwstawieniu do *Gonzagów*. *Orlandino*, poemat włoski w 8 rozdziałach z przymieszką niewielu wierszy łacińskich (VIII, 34, spotykamy całą stanzę łacińską) z tendencyą podobien zupełnie do *macaronicum opus*, a różni się odeń jeno dobitniejszą ostrością satyryczną. Mały *Orlando*, syn *Milona* i *Berty*, rośnie jako niepoń w Sutri, wypełniając życie bójkami i sprawkami niecnemi, graniczącemi ze zbrodnią. Ważniejszymi wszakże nad opowieści, ze znanych źródeł zacerpnięte i dowolnie zmyślone, są wycieczki satyryczne, zwłaszcza przeciw uczoności i religii. Pierwsze poczynają się zaraz na wstępie poematu. Autor udał się, tak opowiada, do czarownicy w *val Camonica* z zapytaniem, czy kronika *Turpina* zawiera dobre informacye, wtedy ujrzał 50000 tomów, między niemi i całego *Turpina*, a teraz zdaje sprawę, co w nim znalazł o młodym *Rolandzie*. Dalej chwali się swą wiedzą: *io son autentico*, i cytuje samego siebie, aby zabłysnąć uczonością, jako *la prima deca del dottore*; pokpiwa z igraszek etymologicznych onego czasu w tym guście: Medyolan winien się właściwie nazywać *Milon* od ojca *Rolandowego*, ale *vulgo insano* imię to zepsował; *Roland* (*orlando*) oznacza tego, na którego wyto, ponieważ wilki wyjąc (*urlando*) biegały naokoło jego obozu. Szyderstwa z religii snują się po całym poemacie. O religii nie chce nie wiedzieć — odzywa się w jednym miejscu—gdyż jest tylko gramatykiem; jeżeli jednak ktoś sobie życzy, „to wierzę w całe credo, a jeśli tego nie dosyć, jeszcze i w *Doctrinale*”; w innym miejscu prześmiewa spowiedź uszną i orędownictwo świętych. Ale takich wynurzeń heretyckich nie można brać bardzo na seryo, gdyż bezpośrednio po nich następują zastrzeżenia autora, że to są grzeszne myśli *Berty*, Niemkini (t. j. luteranki), a potem idzie ściśle katolickie wyznanie wiary innej osoby.

Pozostałe pisma *Folenga* nie wielkie posiadają znaczenie. Są niemi: *Zanitonella*, historia życia *Tonella* i *Zaniny* oraz trzy księgi o muchach (*Moschearum* lub *Moscheidos*) t. j. o wojnie much z mrówkami i o zwycięstwie mrówek. I tu mieszczą się także parodye mniej lub więcej wyraźne. W pierwszym utworze wymierzone są przeciw bukolikom konwencyonalnym i czulościom miłosnym owego czasu, w drugim przeciw Homerowi. Z *Zanitonelli* godzi się przytoczyć wiersze makaroniczne przeciw Niemcom:

Nos Todescorum furiam scapamus,
 Qui greges robant, casamenta brusant
 Foeminas sforzant, vacuant vascellos
 Cuncta ruinant;

— z *Moscheorum* zaś ostry dystych, który, lubo włożony w usta króla bąków *Scannacavallo* i skierowany nibyto przeciw Jowiszowi, zamionuje w rzeczy samej przekonanie religijne autora z czasów dawniejszych:

Jupiter humanum si vellet sternere gentem,
 Sumamus, cur non? proelia contra Jovem.

(Gdyby Zeus groził zgubą rodowi ludzkiemu,
 Przecz nie chwycić za broń przeciw bogu samemu?)

Tak! z czasów dawniejszych; później bowiem stał się *Folengo* pobożnym, ze skruczą opisał własne życie w niejasnym dziele: *Chaos del Triperuno* (=trzej za jednego, z alluzją do trzech nazwisk, pod którymi był znany jako człowiek i pisarz), ułożył *Vita Christi* i skreślił w formie dramatycznej historię stworzenia świata i wcielenia słowa, *atto della Pinta*, nazwaną tak od kościoła *Sta Maria della Pinta*, w którym ją przedstawiono.

„W Medyolanie dają pisarzom wszystko, w Weronie nic“, mówi *Poggio* w *Facecyach*. W ten sposób odzywa się, co prawda, literat zgłodniały, który w Weronie był gościem, a w Medyolanie pragnął coś otrzymać. Chociaż pochwała jego może jest i przesadzona, skarga jednak nie jest zupełnie bezzasadna. Pomimo to należy Weronę do miast renesansu. Gdyby ktoś przeciw temu twierdzeniu przytaczał fakt uderzający, że Weronę nie pałała nieprzyjaźnią ku Niemcom, że już 1407 r. jakiś *Niccoli* za opłatą roczną 100 lirów nauczał języka niemieckiego, powinienby pamiętać, że Weronę dzięki swemu położeniu oraz handlowi ożywionemu z Niemcami, była miastem nawpół międzynarodowym. Natomiast o udziale jej w ruchu Odrodzenia świadczy wyłączne używanie łaciny w świecie uczonym i literackim, a zaniedbanie języka włoskiego oraz osobliwszy patriotyzm miejscowy oparty na starożytności. O uwzględnianiu łaciny a lekceważeniu włoszczyzny świadczy fakt, iż od 1471 do 1489 ani jednego dzieła prozaicznego w języku narodowym nie ogłosił żaden Weronczyk ani w Weronie, ani po-za jej granicami, i że 97 księgom łacińskim wydanym w przeciągu tego czasu w Weronie można prze-

ciwstawić 8 jeno włoskich. Patryotyzmu zaś lokalnego dowodzi zdarzenie następujące. Obaj *Pliniuszowie* aż do końca wieku XV uchodzili za synów miasta Como; tymczasem *Mateusz Rufus* w piśmie polemicznym, opublikowanem przez *Al. de Benedictis* (1496) postawił twierdzenie, że *Pliniusz* starszy urodził się w Weronie; niebawem też w skutek tego wyjaśnienia drukarze *August* i *Jakób Britannicus* w nowej edycyi *Historia naturalis* używaną dotąd nazwę: *Plinius Novocomensis* zmienili na: *Plinius veronensis*, pochlebiającą dumie miasta Werony.

Przydomek *Veronensis* nosi w epoce renesansu z dumą *Baptysto Guarino*. W niektórych gałęziach nauk był uczniem znanego nam już *Wiktoryna da Feltrę*, w innych zaś jego nauczycielem. Obaj oni stanowią dwójcę nauczycieli i mistrzów tak znamienitych, że podobnych im spotykamy rzadko w świecie. *Guarino* urodził się 1370, zmarł 1460 r. Początkowo miał szkołę w Weronie przez lat dziewięć; stąd 1429 r. powołany de Ferrary, uczył i wychowywał zrazu dzieci książęce, potem młodzież przedniejszą a biednych ze szczególniejszym nawet zamilowaniem; w ciągu lat wielu był potem profesorem uniwersytetu. Względami swemi otaczali go książęta *Lionel* i *Borso*. Chociaż uczonymi nie byli, szanowali wykształcenie, opiekowali się uniwersytetem, przyczynili się do wprowadzenia sztuki drukarskiej, wypłacali często wielkie sumy poetom i uczonym. Ale za takie łaski oczekiwali i domagali się nagrody; to też *Borso* przyjął *Borseis*, dedykowany sobie poemat bobaterski, jako daninę słuszną należną; obaj nie wahali się zresztą przyznawać sobie zaszczytów, których im skąpili inni; *Borso* np., naśladowując *Alfonsa* neapolitańskiego (ob. w rozdziale 13), zadekretował dla siebie wjazd tryumfalny do Reggio (1453).

Z Ferrary przeniósł się *Guarino* do Werony z niejakim smutkiem w sercu, jak to pozwala odgadnąć interesujący poemat, poświęcony ziomkom, odwołującym się do jego uczuć patryotycznych (*Guarinus ad Veronenses sub patriae nomine eum vocantes*). Wyjeżdżał, wielbiąc w tęskliwych pochwałach esteński dom książęcy i energicznie napominał, aby i jego ziomkowie czynili coś dla poezyi. Wszędzie, gdzie bawił, rozwijał działalność wychowawczą z taką gorliwością i z takim powodzeniem, że, jak mówi *Enasz Silvio*, „był mistrzem wszystkich tych niemal, którzy w naszych czasach odznaczyli się na niwie studyów humanistycznych”. Uczył języków, ale nie zaniedbywał kształcenia moralnego mimo całego szacunku dla umysłowego. Sam był człowiekiem pobożnym, studyował biblię i zostawał w stosunkach ze współczesnikami świętymi; nie lękał się jednak podejmować obrony pisarzy świeckich przeciw jednostronnym mężom kościoła. Takie skojarzenie dążności humanistycznych z przekonaniem ściśle

kościelnemi, pragnął zaszcześcić i w swych uczniach. Obok nadzwyczajnej pracy w zawodzie pedagogicznym miał *Guarino* tyle jeszcze czasu, iż napisał znaczną liczbę dzieł treści najrozmaitszej. Są to tłumaczenia z greckiego, mowy powitalne, pogrzebowe i obrzędowe, wykłady wstępne do odczytów uniwersyteckich, rozprawy filologiczno-krytyczne o autorach greckich i łacińskich, biografie, pisma okolicznościowe i poezye. Wszystko to są prace, których małą tylko część drukowano; sto przeszło zachowało się w rękopisach a wiele i dziś godnych ogłoszenia. Nie u wszystkich znajdowały uznanie; chwalił je *Bart. Fazio*, potępił zaś *Paweł Cortese* w słowach: lepiejby dla swój sławy uczynił *Guarino*, gdyby, idąc za wzorem wielkiego *Wiktoryna*, nie był nic pisał. *Guarino* i w niektórych innych rzeczach nie był podobien owemu mistrzowi w sprawie wychowania. Nie posiadał ani jego mądrej wstrzeźliwości, ani łagodności dobrotliwej; chociaż lubił powtarzać wyrzeczenie *Ksenokratesa*: nieraz żałowałem, żem mówił, nigdy, żem milczał; jednak chętniej mówił niż milczał a częstokroć i gwałtowniej, aniżeli później tego byłby sobie życzył. Z przyczyny gwałtowności wdawał się w spory o przedmioty naukowe, np. o kwestyę wówczas często rozbieraną, kto większy, *Cezar* czy *Scypio*, albo o drobnostkowe sprawy osobiste; do walk tych przykładał dużą wagę i prowadził je z rozgoryczeniem, jakgdyby chodziło o rzeczy niesłychanej doniosłości; nieraz musiał się publicznie usprawiedliwiać z sądów zbyt pośpiesznie wyrzeczonych, np. z pochwały dla niejednokrotnie napastowanego *Hermofrodyty* pióra *Beccadelli* ego.

Należy się tu jeszcze wzmianka Bolonii, aczkolwiek gród ten pod rządami potężnej rodziny *Bentivoglio*'w, mimo dzielności niektórych jej członków, np. *Jana II*, nie odegrał ważnej roli w polityce Włoch, aczkolwiek i uniwersytet tamtejszy, mimo starożytności, nie zajaśniał blaskiem. Zasluguje na wspomnienie z przyczyn następujących: 1) że Niemcy po wsze czasy a szczególnie w epoce renesansu odbywali tu studia w takiej liczbie, że uniwersytet boloński może być uważany za zaszczepecę ducha włoskiego w Niemczech; 2) że pracowali tu czas pewien profesorowie, którzy zresztą zjednali sobie sławę w innych miastach, np. *Filelfo*, *Guarino* z Werony i głośny znajomością języka greckiego *Jan Aurispa*; 3) że w Bolonii, jako profesor rozwijał główną swą działalność *Kodrus Urceo*, mąż zbyt wybitny, iżby go na tém miejscu pominąć można.

Kodrus Urceo urodził się 1446 w Rubiera, był lat kilka nauczycielem u *Ordelaffi*'ch w Torli, 1482 osiadł w Bolonii i nauczał greczyzny aż do skonu (11 lutego 1500 r.). Zajmując katedrę tego języka, był nadzwyczaj czynny; *Mikołaj Kopernik*, zdaje się, nie należał jednak

do jego uczniów. Sława *Urcea* miała w każdym razie taką doniosłość, że do Bolonii ściągali słuchacze ze wszystkich części Włoch — a także i z Niemiec. Był również świetnym latynistą. Poezye jego łacińskie, częścią pieśni pochwalne dla książąt i uczonych, częścią wiersze okolicznościowe, np. wiersz, który z formy jest poniekąd wzorem *Gaudeamus*, a z treści panegirycznym *Homera*, szczególnie przez *Kodrusa* czczonego, świadczą o talencie i smaku; tłumaczenia i komentarze (zwłaszcza komentarz objaśniający i uzupełniający do *Aulularia Plauta*) dowodzą wielkiej uczoności mowy łacińskiej, zwykle przed wygłoszeniem obmyślane, wyróżniają się spośród podobnych produkcji humanistycznych zwięzłością, unikaniem przepychu w słowach i treścią ściśle rzeczową. Na szczególną uwagę zasługuje *Kodrus* swą indywidualnością w wysokim stopniu charakterystyczną. Ganić nie lubił, nie naśladował w tym większości swych towarzyszków; żył dla siebie, nie troszcząc się o chwały innych, którym wręcz odprawę dawał słowami: *Sibi scire videntur*; w sądach o sobie skromny i dumny razem, pragnął dla siebie napisu grobowego, zawierającego jeno dwa, lecz wymowne słowa: *Codrus eram*; szczodroblivy i łagodny dla uczniów, którzy przez wdzięczność nazywali go, bezdzietnego i samotnego, ojcem, w stosunku do cudzoziemców zaś, dla których, jak sądził, nie miał żadnych obowiązków, był szorstki i skąpy. Pod względem religijnym wolnomysłny, wyszydzał zarówno życie niemoralne jak i nierozsądne dysputy teologiczne księży; wysmiewał naukę o nieśmiertelności duszy, a pewnego razu po pożarze domu własnego odmówił otwarcie czci Pannie Maryi, dodając, że odtąd będzie wiecznie mieszkał z dyabłem. Mimo tej wolnomysłności hołdował jednak przesądowi najgrubszym; rok np. 54 poczytywał za rok nieszczęśliwy, ponieważ jest iloczynem liczb 6 i 9. W skutek właśnie takiego zjednoczenia dodatnich i ujemnych przymiotów ducha i charakteru jest *Kodrus Urceo* godnym uwagi przedstawicielem swój epoki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Wawrzyniec Medyceusz (Lorenzo Medici).

Wawrzyniec Medyceusz był synem *Piotra*, podagryka, ale więcej przymiotów odziedziczył po dziadku *Kuźmie* aniżeli po ojcu. Matka jego *Lukrecya Tornabuoni* nie tylko dała mu życie, lecz urobiła jego indywidualność, „zaszczepiła wesołość umysłu i pociąg do poetyzowania”. Była to niewiasta urodziwa, dobra matka siedmiorga dzieci, dzielna gospodyni; lubiła ciche przyjemności w kole rodzinnem, świętość swego domu, wesołe rozrywki życia; zabawiała się w sposób poważny poezją i literaturą. Sama nawet układała wiersze, laudy, pieśni kościelne ku chwale Panny Maryi i Chrystusa, tworzyła poetyczne przekłady wyjątków z biblii. Nic to nie przeszkadzało jednak, że równocześnie *Pulci* pisał swój poemat rycerski, że do wykonania onego sama zachęcała poetę, a utwór ten obok komicznego przedstawienia czynów rycerskich lubuje się przecież w wynurzeniach nienawiści ziejących przeciw księżom, w szyderstwach z wiary w cuda i w wygłaszaniu zdań antyreligijnych.

Wawrzyniec urodził się 1 stycznia 1449 r. Młodość jego przypadła na czasy ruchliwe. *Piotr*, objawszy po ojcu stanowisko we Florencyi, równe książęcemu, musiał, jak on, toczyć walki z partjami przeciwnemi. *Diotisalvi Nerone*, zalecony synowi przez ojca jako jeden z najwierniejszych, doradził mu pościągać kapitały, wypożyczone przez *Medyceuszów* swym stronnikom bez procentu, i rozbudził tём niechęci i niezadowolnienie; wówczas połączył się z kilku innymi znakomitymi mężami, aby złamać tyranję *Medicich* i *Piotra* zamordować.

Spiskowcy nie kłopotą się o zasady i nie przebiegają w hasłach. W walkach partyjnych po wszystkie czasy i u wszystkich narodów zawsze wielką gra rolę święte słowo wolności, ale częstokroć jest ono pustym dźwiękiem tylko. W r. 1434 wybuchło powstanie na korzyść *Medyceuszów* pod hasłem *popolo*, a 1494 pod témże hasłem ich odstąpiono. Sprzysiężeni prawią o zdeptanych prawach ludu, ale myślą o własnej niezaspokojonej żądzy panowania; prawią o niepodległości, którą trzeba wywalczyć, ale myślą o zdobyciu sobie stanowiska samostnego, którego innym zazdroszczą. Choć wzięc nazwiska: *Medici*, *Soderini*, *Pitti*, *Neroni* są różne, charakter spisku zawsze jednakowy. To było treścią i sprzysiężenia z r. 1466, stłumionego wprzód, nim wybuchnęło. Nie dało ono sposobności ani do układów dyplomatycznych, ani do starć orężnych, lubo oba stronnictwa miały związki z obcymi wojsk dowódcami; godném pamięci czyni je tylko zachowanie się *Wawrzyńca*. *Wawrzyniec* oto pewnego poranku wyruszył z willi *Correggi* do miasta; w drodze spotkał podejrzanych, którzy tyle byli nieostrożni, iż zapytali o ojca; spokojnie pojechał dalej, aby nie wzbudzić podejrzenia, ale wyprawił natychmiast jednego ze służących do wiejskiej majątności rodzica z ostrzeżeniem, iżby nie puszczał się tą samą drogą, którą zwykle jeździł. Tém śmiałem znalezieniem się ocalił mu życie.

Wawrzyniec otrzymał wychowanie nader staranne; dbano o rozwinięcie jego ciała, umysłu i serca. Czasy owe stawały za zasadę harmonijne kształcenie całego człowieka; zwracano przeto baczną uwagę i na ćwiczenie ciała, dotąd zupełnie prawie lekceważone. *Wawrzyniec* był młodzieńcem silnym, wyborym jeźdźcem, celował w owoczesnych igrzyskach i cieszył się pochwałami swej zręczności.

Jeden z takich popisów miał wielkie dla życia jego znaczenie. Przyjaciół *Wawrzyńca*, *Braccio Martelli*, urządził 1467 r. turniej ku uświetnieniu zaślubin swej siostry. *Wawrzyniec* wziął w nim udział i zyskał taką sławę, iż podobny turniej wyprawić sam przyrzekł swym przyjaciółom, a zwłaszcza pewnej damie, *Lukrecyi Donati*, z której ręki otrzymał nagrodę zwycięzcy. Po upływie dwu lat obietnicę spełnił, a turniej roku 1469 był jedną z najwspanialszych uroczystości, jakie Florencyja w swych murach widziała. I w tej zabawie zdobył *Wawrzyniec* palmę pierwszeństwa, a wspaniałością prześcignął wszystkich współwalczących; jednakże uświetnieniem turnieju nie tyle był przepych, ile raczej dama, na cześć której igrzysko było urządzone. *Lukrecyja* albowiem była tą postacią idealną, której *Wawrzyniec* przez całe życie dochowywał wierności. Poświęcił ję cały szereg sonetów pięknych, zalecających się nietylko formą zgrabną, ale i treścią podniosłą. Odślania w nich drobne wydarzenia z epoki miłości, uwydatnia cierpienie, kiedy musiał być od niej zdala, a ra-

dość, gdy mógł się do niej zbliżyć. Niektóre z tych pieśni uczuciem i dykcją przypominają *Petrarkę*. I tu uderza owa rozkosz cierpienia, owo upodobanie w głoszeniu nieszczęścia i rezygnacyi, ale i tu owe cudowne tony, któremi sonety poetów XIV i XV w. tak górują nad sonetami czasów późniejszych. Przytaczamy z nich dwa:

I.

Fijolki barwne — w purpurowej szacie!
 Jój biała dłoń na łące was zerwała...
 Powietrza świeżość skąd, co was ubrała?
 Skąd rosa ta, którą się uśmiechacie?

Co słońcu dało taką siłę czaru?
 Kto znalazł woń, co zmysł nam upieściła,
 Powabu moc, co oko zachwyciła,
 Naturę, co słodsze nie ma daru?!

Fijolki wdzięczne, — ta to dłoń, co w cieniu
 Was odnalazła z pomiędzy tysięcy;
 Cudną wam szatę dała w ubarwieniu;

Jój, co mi serce wzięła... jój, co dała
 W chwil błogich szczęściu myślom wzlot do słońca, —
 Jój nieście dzięki, jój — co was wybrała.

(Przekład Kreczmara).

II.

Co mi przykrość czyni, tego żądam cheiwie,
 Dla lepszego życia pragnę często skonu,
 Wołam śmierć, a błagam, by się odwróciła,
 Szukam wypocznienia, gdzie spokój nie gości.

I podążam k'temu, czego chcę uniknąć,
 I przyjazne dłonie ku wrogowi zwracam,
 I lęku nie czuję wobec strawy gorzkiej,
 I wolności pragnę, lecz niewolę znoszę.

Wśród żaru ziębnę, wśród uciech wąpię,
 Szukam śmierci w życiu, w bojach ciszy błogięj,
 Radbym precz uciekać, ale pęt nie zrzucę.

Tak steruję nawą po burzliwych falach,
 Ni płynąć nie mogę, ni ostoi znaleźć,
 I przed trwogą wreszcie podejrzenie szczęło.

Rok, który zażęł miłość w sereu *Wawrzyńca*, sprowadził mu też towarzyszkę żywota. Przy końcu 1468 r. udała się matka *Wawrzyńca* do Rzymu i tam wyszukała synowi małżonkę. Tego rodzaju pośrednictwo matki bez zapytania o wolę syna było wówczas rzeczą naturalną; przyjął więc *Wawrzyńiec* z rąk ukochanej rodzicielki towarzyszkę i nigdy się z nią nie rozłączył. Żoną jego została *Klara Orsini*, dziewica piękna i bogata; życie swe związała ściśle z losami męża i dotrwała mu wierną do zawarcia powiek (1488). Rzadko o niej mówił *Wawrzyńiec*. W każdym razie cieszył się swem szczęściem, cieszył się trojgiem dzieci, *Piotrem*, *Janem* i *Julianem*, którymi go obdarzyła. Wychowywał je najprzód wspólnie z małżonką, a po jej skonie—według jej rozumienia. O stosunkach domowych i osobistych wywnętrzać się nie lubił. Nigdy też nie wymienił imienia żony w poezyjach, których przeznaczeniem było opiewać wdzięki i zalety *Lukrecyi*, owęj wymarzonej postaci idealnej. W listach natomiast nie mógł o niej zamilczeć; więc wkrótce po ślubie opowiadał o szczęściu swego młodego małżeństwa, i po jej śmierci dał wyraz swojej boleści w akcie dyplomatycznym do *Inocentego VII*. Mówi tam: „Świeży zgon méj ukochanej *Klarysy* przypawił mię z niezliczonych powodów o taką stratę i boleść, że zmógł moję cierpliwość i wytrwałość, w których, zdawało mi się, iż zahartowałem się przeciw wszelkim doświadczeniom i prześladowaniom losu. Pozbawiony przyjacielskiego pożycia i towarzystwa, czuję, że przebrała się miara, że głęboka boleść moja nie znajdzie ukojenia i pociechy”.

Rok 1469, tak pamiętny i doniosły w życiu *Wawrzyńca*, wyrwał go ze stanowiska skromnego i postawił syna książącego u steru państwa. *Piotr* po pięcioletnich rządach umarł 1469 r.; wiele on toczył walk, a mimo to nie zdołał wszystkich wrogów pokonać. *Macchiavelli* przytacza ciekawą mowę, którą *Piotr* nakrótko przed skonem wygłosił wobec możnowładców florenckich, mowę, wybornie charakteryzującą stanowisko *Medyceuszów* i opór magnatów. *Piotr* tak do nich przemawia: „Wyzuwacie sąsiada z majątku, wystawiacie sprawiedliwość na sprzedaż, wyłamujecie się z pod uchwał obywateli, uciskacie spokojnych, wynosicie zuchwalców. Jestem przeświadczony, że w całych Włoszech nie znajdzie się tyle przykładów gwałtu i chciwości, co w mieście naszym. Czy ojczyzna dlatego dała wam żywot, abyście go jej wydzierali? zwycięzcami uczyniła dlatego, abyście ją burzyli, poczesne dała stanowisko, abyście ją ganili?”.

Tak zawikłane stosunki znalazł *Wawrzyńiec*, obejmując władzę w wieku raczej młodzieńczym, niż męskim, i wbrew własnej woli stwierdzając napomnienie ojca: „Pamiętaj, że winienesz zestarzeć się przed czasem”.

Był to mężczyzna wzrostu wysokiego, włosów czarnych, bladęj

cery twarzy, głosu chrapliwego; w obejściu miły, w dyskusji bystry i wymowny. Celował dowcipem, nieraz złośliwym; jego koncepta stanowią znaczną część owych *motti* i *burle*, które zgromadzili Florentyńczycy w ciągu wieku XV jako dowcipy swych spółobywateli. Kiedy pewnego razu jakiś Sieneńczyk rzekł do *Wawrzyńca*, krótkowzrocznego, że powietrze we Florencyi oczom szkodzi, ten odparł: a powietrze w Sienie mózgowi. Nie pomijał drwinami i tego, co inni uważali za święte i czcigodne. Lubił wstawać późno; otóż gdy raz, ledwie się z łoża podniosłszy, spotkał znajomego, który, w rodzaju wymówki chciał go dotknąć, mówiąc o sobie, że odprawił już modły i że wysłuchał mszy śpiewaków u Ś. Jana, *Wawrzyniec* odrzekł: ja dokonałem rzeczy lepszej, bo kiedy ty zajęty byłeś służbą bożą, ja spałem i śniłem. *Wawrzyniec* znajdował upodobanie w uciechach życia, lubił wino, kobiety i pieśni, ale nie przebierał miary; był bowiem tak harmonijnie rozwinięty, że nie umiał nadużyciem jakimkolwiek nadwreżyć sił, lub hańbę ściągnąć na siebie. Zmysły jego prowadziły go czasami dalej, aniżeliby sobie tego był życzył. *Macchiavelli*, surowy sędzia obyczajów, zarzuca mu tylko miłostki nadmierne. Mówił krótko, czynów dokonywał szybko. Przejmował się nawskroś tém, czém był zajęty; „jeżeli umysł mój — wyrzekł — pracuje nad jedną rzeczą, na inne jest obojętny”. Tyranem nie był, ale władzę lubił; pragnął, aby skinienia jego rozumiano. Poseł wenecki powiadał o nim: „zanim usta otworzył, mówiły już oczy jego”. Zalecał się otwartością i naturalnością, za wiele posiadał szlachetności, aby udawać; łatwiej go mogłeś przeniknąć, niż kogobądź ze współczesnych. Odważny i śmiały — stawał do rozprawy z przeciwnikiem świadomy swjej siły — narażał się wielokrotnie na duże niebezpieczeństwa. Dziecko swego czasu, należał do terażniejszości, lecz myślał o przyszłości i starał się przeszłość z terażniejszością sprzęgnąć w związek żywotny. Jedno z jego hasła brzmiało: *Le temps revient* „czas powraca”; — takim hasłem chciał sam siebie omamić, że choć chwila rąco przepływa, za jedną idą inne; drugim zaś: *semper* „zawsze”, przeciwstawia wieczność doczesności, trwałość wewnętrzną — znikomości powierzchownej, stałość — zmienności.

Z takimi zasobami charakteru zaglądał w oczy niebezpieczeństwom swego czasu. Przedewszystkiem miał przekształcić samą Florencyę, odegrać rolę we Włoszech, wreszcie musiał walczyć przeciw zagranicy. Pod każdym z tych trzech względów ściągnął na siebie ciężkie zarzuty. Oskarżano go bowiem, że tyranją uciskał Florencyę, że trzymając w karchach miasto Florencyę, przyniósł szkodę Italii, że zagranicy, czyli cudzoziemcom ułatwił wstęp do Włoch.

Wszystkie te trzy zarzuty są jeno w połowie usprawiedliwione. Florency, rzec można, nie tyranizował; nie próbował ani urządzeń

republikańskich nadwierać, ani o tytuł książęcy się ubiegał. Jak dawniej, tak i po nim, urzędników, we Florencyi urzędujących, wybierano; jak dawniej, tak i teraz zachowali oni nietylko nazwisko, lecz i prawa wszelkie i obowiązki, z temi urzędami związane. Juźcię prawdą jest, że cisnęli się do niego i około niego wszyscy, by otrzymać nagrodę, urząd, pieniądze; cisnęli się łowcy stanowisk i emigranci polityczni, humaniści i mniszki; mniszki np. prosiły poparcia, celem przeprowadzenia kanonizacyi swych zmarłych.

Włoch nie poniżył również. Jeżeli istotnie pod *Wawrzyńcem* zstąpiła Florencya po części z wysokiego szczebla, na którym dotąd stała, to wina nie tyle ciąży na nim, ile raczej na okolicznościach, które przychodziło mu zwalczać, i na osobistościach, z którymi się spotykał. Głównymi jego wrogami byli papież *Syktus IV* i *Ferdynand*, król Neapolu; z nimi-to musiał od 1478 r. groźną toczyć wojnę. Sam *Medyceusz* w sztuce wojennej niedoświadczony, mając przytém armię do służby wojskowej nieprzywykłą, uległ wyćwiczonym pułkom papieża i króla neapolitańskiego. Ale i w tój okazyi dowiódł odwagi. Widząc bowiem, że orężem przeciwnikom nie podola, udał się 1479 r. do Neapolu, aby wyjednać pokój dla pogwałconej ojczyzny. Czyn ten wywarł we Włoszech ówczesnych wrażenie ogromne. Przed laty dziesięciu jeden z najznakomitszych wodzów tój epoki, *Jakób Piccino*, w podobnych okolicznościach wyprawił się do *Ferdynanda*, zaufany w ludzkość jego, ale ufność swą przypłacił śmiercią. Przyjaciele takiz sam los wróżyli *Wawrzyńcowi*. Książę jednak odrzekł, iż woli zapewnić pokój ojczyźnie, aniżeli własny przedłużyć żywot. Zawistnicy obłudne okazywali mu współczucie; *Wawrzyńiec* wówczas zwrócił ich uwagę, że tylekroć był w listach i przez wysłanników zachęcany, aby zawierzył majestatowi królewskiemu, iż ostatecznie zdecydował się, głównie idąc za mądrą ich radą. Przedsięwzięcie jego pożądanym uwieńczył rezultat. Dzięki potężnemu wpływowi osobistemu, dzięki stosunkom, jakie pozawiazywał, osiągnął pokój, zawarty 24 marca 1480 r. Pokój ten nie przyniósł co prawda sławy ani jemu, ani miastu Florencyi. Musiał bowiem podbojów dokonanych się wyrzec, jeńców wypuścić i płacić królowi daninę roczną. Pozostało jeszcze ułagodzić *Syktusa IV*, nieprzyjaciela gorszego niż *Ferdynand*. Długo nie chciał papież ekskomunikowanego *Wawrzyńca* oswobodzić od klątwy. Tymczasem napad Turków i zdobycie przez nich miasta Otranto zmieniły położenie. *Syktus*, przynaglony zwrócić swe siły na wroga większego, zaniedbał mniejszego; co więć, zdjął klątwę z *Wawrzyńca* (czerwiec 1481) i zażądał od bogatego Florentczyka, aby założył bank w samym Rzymie. W sto lat później oskarżano *Wawrzyńca* o czyn okropny sprowadzenia owęj napaści Turków na Italię; jednakże źródła współczesne zwalniają go od takich podejrzeń.

Nie jest też zgola uzasadniony i trzeci zarzut, obciążający pamięć *Wawrzyńca*, jakoby on sprowadził do Włoch Francuzów. Na wiele lat przed *Wawrzyńcem* wchodzili przecież książęta włoscy w konszachty z królami francuskimi; na wiele lat przed nim znał przecież *Ludwik XI* dokładnie tych, na których mógł liczyć we Włoszech. Jużcie nie wiele był *Wawrzyniec* lepszy od swych współczesników. Prawdą jest również, że potrzebował pieniędzy francuskich, i jako władca Florencyi, i jako jeden z najbogatszych kupców europejskich; prawdą jest, że rynek francuski uważał za punkt główny swych operacyj handlowych, lecz nigdy nie poniżył się tak dalece, iżby według życzeń *Ludwika XI* stał się jego niewolnikiem. Przeciwnie. W stosunku do monarchów francuskich zachowywał zawsze swobodę działania. Zaprzeczyć się nie da, że jak inni Włosi zostawał i on w stosunkach przyjaznych z *Ludwikiem*; że na uprzejme wynurzenia *Ludwika*: „pragnę tego, czego sobie życzę mój kuzyn *Lorenzo*” podobnemi odpowiadał grzecznościami; że królowi, przejętemu bigoteryą i w ostatniej zwłaszcza chorobie gromadzącemu aż do zbytku przedmioty kościelne, posłał pierścienie Ś. Zenobiusza i uwierzył w cudowność jego czynów: mimo to przecież, gdy *Ludwik* wyprawił do Florencyi poselstwo, aby się napewno przekonać, czy może istotnie na pomoc *Lorenza* rachować, ten wydalil się z miasta, by nie być zmuszonym do udzielenia odpowiedzi odmownej; i w innych zresztą wypadkach kierował się śmiało własnem widzeniem rzeczy. Słusznie, czy niesłusznie — dowodu wystarczającego niema — przypisano mu słowa: „Nie umiem jeszcze własnych korzyści stawiać wyżej nad niebezpieczeństwa Italii całej! Bodaż Bóg sprawił, aby nigdy nie zechcieli królowie francuscy wypróbować sił swoich w kraju naszym! Gdyby kiedykolwiek przyszło do tego — Italia zginęła”; ale nie ulega kwestyi odezwanie się jego: „Nie podoba mi się, że nasi sąsiedzi zagórscy i barbarzyńcy poczęli się mieszać do spraw włoskich; nie jesteśmy wcale z sobą zgodni, a jesteśmy takimi szalbierzami, że ponosimy stąd szkody i hańbę; niedawne doświadczenie powinno być nam nauką na przyszłość”.

Chociaż *Wawrzyniec* różnił się od *Ludwika*, pod jednym względem wszelako dzielił z nim los wspólny: oto narody ich własne zwróciły się przeciw obu władcom i na czyny ich podejrzliwem spoglądały okiem.

Już dziad *Wawrzyńca* był wygnany i przywołany ponownie, ojciec zaś uniknął szczęśliwie zamachów na swe życie; musiał i *Wawrzyniec* doświadczyć, że podniesiono na niego stal morderczą. Działo się to 26 kwietnia 1479 r. w katedrze florenckiej. Obaj bracia, *Wawrzyniec* i *Julian*, przybyli w świetnem otoczeniu na nabożeństwo. *Julian*, chory jeszcze, siłą niemal był zawleczony do kościoła. Podczas mszy

rozlega się okrzyk, umówione hasło mordu. Jakiś żołnierz uśmiercił słabowitego *Juliana*; dwaj księża, do oręża nieprzywykli, napadli silniejszego *Wawrzyńca*; ten, lekko w kark raniony, napastników odparł i umknął z kościoła. Zabójstwo w miejscu świętym nie należało bynajmniej do rzadkości w czasach, kiedy występ ostentacyjny, w dodatnim czy ujemnym sensie, powszechnym był zwyczajem; ale niesłychanem było to, że dwaj duchowni dali się wciągnąć do zamachu zbrodniczego, którego dokonania odmówił pospolity bandyta.

I rzeczywiście księża mieli czynny udział w spisku, którego pierwszym aktem był ów zamach morderczy; wiedział o nim, może nawet był jego współtwórcą *Sykstus IV* — ale pozostał w cieniu. Imię wszakże sprzysiężeniu dała rodzina *Pazzi'ch*, którzy, przez spowinowacenie ściśle z *Medici'imi* związani, zajęli względem nich stanowisko wrogie z przyczyny współzawodnictwa politycznego i zawiści w sprawach handlowych. Familia *Pazzi'ch*, zawarłszy sojusz ze strasznym *Sykstusem IV* i połączywszy się z jego nepotem, *Hieronimem Riario*, oraz z arcybiskupem pizańskim, zwróciła się przeciw *Medyceuszom*; politykę ich bowiem poczytywała za główną przeszkodę do rozszerzenia swój władzy w Imola. Sądziła, że tylko przez śmierć *Medici'ch* zdobędą sobie swobodę ruchów.

Zamieszki stłumiono nadzwyczaj szybko a spisek, na którym jego autorowie wielkie zakładali nadzieje, spotęgował tylko znaczenie *Wawrzyńca* i umocnił tym sposobem władzę *Medyceuszów* we Florencyi. Po owém jedynem pokuszeniu spokój nie był już zakłócony. Odtąd dopiero mógł książę bez przeszkody poświęcić rozum i bogactwa popieraniu nauki i sztuki. Aby w kierunku tym znaleźć pomocników godnych i opieki wartych, potrzeba było, nietylko głębokiej znajomości sztuki, ale i męskiej stałości; tłoczyli się bowiem wszyscy, śpiewacy i tancerze, artyści i poeci, a każdy w oczach własnych najzasłużeńszy, zaszczyty największe dla siebie zdobyć pragnący.

Od dziada swego nauczył się *Wawrzyńiec* czcić wielkich mężów przeszłości. Przejężdżając 1469 r. przez Spoleto, pragnął u rady miejskiej wyprosić sobie zwłoki zmarłego tamże malarza *Fra Filipa Lippi*, aby je z honorami przewieźć do Florencyi; nie gniewał się jednak, gdy doznał odmowy, lecz uczył malarza pomnikiem, który mu wznosił w Spoleto i przyozdobił wierszami *Poliziana*. Atoli nietylko zmarli żywo go obchodzili, — interesował się zarówno zmarłymi, jak i żyjącymi.

Wówczas właśnie poczęło rozkwitać malarstwo we Florencyi i liczyło już na dworze książęcym cały szereg znakomitych przedstawicieli. *Wawrzyńiec* popierał ich nietylko przez to, że zamawiał u nich roboty, ale pomagał im jeszcze w ten sposób, że swym sądem krytycznym dodawał zachęty, że wskazywał im zadania, przy speł-

nianiu których mogli uwydatnić talent wrodzony. Zpośród malarzów zasługują na wzmiankę: *Antoni Pallajuolo*, twórca Herkulesa i Anteusza; *Baldovinetti*, który wymalował królowę Sabę u Salomona i królowi dał rysy *Wawrzyńca*; *Domiuik Ghirlandajo*, który w obrazie Ś-go Franciszka przedstawił również *Wawrzyńca*. Więcej jednak od malarstwa leżało mu na sercu rzeźbiarstwo. Tu bowiem dopiero mógł dać wyraz umiłowaniu starożytności, tu dopiero wielcy twórcy sztuki greckiej i rzymskiej mogli służyć jemu i przyjaciółom jego za wzory i mistrzów. Na tę też niwie torowali mu już drogę *Kuzma* i *Piotr*. W chwili śmierci ostatniego medycejski zbiór starożytności reprezentował już wartość 28,000 złotych (floreń). Usiłowaniem jego i rozkoszą było zbiory te właśnie pomnażać, upiększać i porządkować. Kto go zawiadamiał o zabytkach starożytnych, kto je dla niego zbierał — ten był jego przyjacielem. Nie było kraju zbyt dalekiego, nie było ceny za wysokiej dla niego; wszystko nabywał, co gdziekolwiek odkryto. Nie zadawał się przecież zgromadzeniem jego dzieł starożytnych; chciał też stworzyć w swęj epoce artystów, którzyby umieli ze znakomitych wzorów skorzystać i, jeżeli im już nie dorównać, to przynajmniej stać się podobnemi. W tym celu założył w ogrodach, pałac jego okalających, akademię, a przełożonym jej mianował słynnego wtedy rzeźbiarza *Bertolda*, ulubionego ucznia *Danatella*; *Bertoldo* potrafił przywabić i wykształcić cały zastęp wybornych uczniów. W akademii tej uczący się młodzieńcy mieszkali w domu *Wawrzyńca*, a książę własnym przykładem pobudzał ich do postępu i zachętami swemi zbliżał do wzniosłego celu — naśladowania starożytnych. Akademia wraz ze swym przewodnikiem i założycielem zjednałaby sobie nieśmiertelność już przez to, choćby nie innego nie dokonała, że przyjęła do swego łona największego rzeźbiarza, *Michała Anioła*, i pozyskała go dla sztuki rzeźbiarskiej. *Michał Anioł* wstąpił do akademii jako uczeń *Bertolda*. *Wawrzyniec* wyznaczył mu miejsce w najbliższém swém otoczeniu, widywał go i rozmawiał z nim często, uwagami swemi poprawiał jego prace młodzieńcze, i znajdował zawsze powolną uległość w chłopcu, dobrze pojmującym, że osiąga wskazówki wysmienite dla swych studyów z krytyki, wywieszonych na długich badaniach utworów rzeźby antycznej. Później pragnął mistrz wdzięczny uświetnić pamięć wielkiego swego opiekuna. Kiedy bowiem po upływie lat dziesiątków otrzymał zlecenie wykonania grobowca *Medyceuszów* we Florencyi, chciał wyrzeźbić tam także wizerunek *Lorenza*, ale ponieważ praca nie mogła być tak skuteczniona, jak sobie życzył, musiał przeto zrzec się urzędowania myśli ulubionej.

Poezyi i naukom okazywał *Wawrzyniec* większą jeszcze opiekę, niż sztukom plastycznym. Artyści więc i poeci wychwalali go na

wyscigi jako mecenasa. Największa ich część, poeci płatni, czyniła to kłamliwie i ze wstrętną przesadą artystów najętych; niektórzy usiłowali z całą sumiennością mówić tylko prawdę; najmniej było takich, co dawali wyraz przyjaźni, łączącej ich z *Wawrzyniec*. Odzwierciedleniem takiej prawdziwej, szczerze odczutej przyjaźni jest poemat *Poliziana*; oto kilka wierszy z niego, według przekładu Renomonta (II, str. 69; *lawro* = wawrzyn = Wawrzyniec = Lorenzo):

Szlachetny wawrzynie, pod twoją osłoną
 Na łąkach kwiecistych spoczął gród florencki,
 Pod tobą nie straszny mu gniew Jowiszowy,
 Nie słabną mu siły śród burz szalejących;
 O, przyjmij mię w wonne konarów twych cienie,
 Krzep słowa lekkie pod osłoną twoją;
 Tyś jest mi przyczyną, tyś celem w dążeniu,
 Ja żyć tylko mogę w ożywczém twém tchnieniu.

Dowodem podobnychże uczuć jest też list *Pico della Mirandola*. Wysławia w nim autor cnotę *Wawrzynca*, chwala jego czyny, głosi jego talent poetycki. *Dante*, czytamy tam, wsławił się potęgą treści, ale nie zdołał nadać językowi formy mistrzowskiej; *Petrarka* zasłużył się tęp, że władał językiem wedle upodobania, ale nie wypowiedział myśli wzniosłych: *Wawrzyniec* więc prześciga obu, gdyż i nad językiem panuje, i nad myślami. Pochwały tej naturalnie w całości przyjąć nie można; na jedno wszelako zgodzić się trzeba, mianowicie, że *Lorenzo* był poetą. Powyżej widzieliśmy, jak wielbił miłość; obok tego poświęca swe pióro i przyjaciółom, kreśląc obrazy życia poważnego, które z nimi prowadzi, uciech towarzyskich, których wraz z nimi zażywa. Został po nim poemat pod napisem „Biesiada”. Opowiada tu, jak stojąc u bram swego miasta, spostrzega towarzyszków, mniej lub więcej pijanych, wracających z uczyt wesołości; każde go przytęp charakteryzuje wedle jego właściwości, do każdego stosuje żart jakiś lub uwagę złośliwą. Jednym jest *Adovardo*, który radby nosił miano *Pragnienia*, „rzeczy najosobliwszój, jaką człowiek otrzymał od Boga”; a oto drugi, *Piovano Arlotto*, który wychodzi na poszukiwanie *Pragnienia* zgubionego.

Ale nietylko w sposób żartobliwy przedstawia przyjaciół. Umie też mówić poważnie o kole, w którym żył; opiewa naturę, wśród której doznawał uczuć błogich; cześci jednostki, które go otaczały. Stanowiska swego nie uważa za tak wysokie, iżby się nie zniżyć do ludu wiejskiego, do życia wiejskiego. W jednym z najpiękniejszych poematów *La Nencia da Barberino* maluje miłość dziewczyny wiejskiej do parobczaka; wplata tu pieśni ludowe i kreśli obrazy życia ludowe-

go mocno realistyczne. W innych pieśniach opisywał samo życie sielskie; uciechy, jakich on i przyjaciele zażywali na łonie przyrody; orzeźwienie, jakiego kosztowali na swobodzie wiejskiej, opuściwszy pył bruku miejskiego; serdeczne uczucie ukojenia na widok piękności natury. Ten polot wyższy spostrzegamy częściej w jego utworach, niż zaprzatanie się przedmiotami komicznymi. W tak zwaną sztukę świętą, *La rappresentazione di S. Giovanni e Paolo*, która najmniej, zdawałoby się, nastęrcza ku temu okazyi, rozwija w sposób zastanowienia godny zasady polityczne, a w wielu innych poematach wygłasza myśli religijne. W sztuce owęj przedstawia cesarza *Konstantyna*, opisuje ostatnie dni jego żywota, zbliżanie się śmierci i pożegnanie, które, w zwięzłych wyrażone słowach, ma być dla syna testamentem politycznym. W słowach tych można dopatrzeć nie tyle mniemań *Konstantyna*, ile raczej poglądów samego *Wawrzyńca*:

Ni dobra własnego ma szukać władca, ni uciech,
 Szczęście li ogółu myśl jego winno zaprzętać;
 Strudzonych powiek jemu sen nie zamknie,
 Bo jego oko czuwa.
 Na równiej szali musi ważyć ściśle,
 Chciwość i rozkosz trzeźwo mieć w pogardzie,
 I ludzkim będzie, łagodnym i wdzięcznym;
 Być sługą sług swych ma być jego dumą.

W hymnach oraz innych poezjach religijnych wynurza pięknym językiem uczucia religijne, silnie wyróżniające się od usposobień większości współczesników. „W hymnach — mówi *Jakób Burckhardt* — wyznaje Wawrzyniec teizm i to w formie poglądu, poczytującego świat za jeden wielki moralny i polityczny kosmos. Kiedy ludzie średniowieczni uważają świat za padół leż, którego papież i cesarz strzedz muszą aż do zjawienia się Antychrysta; kiedy fataliści Odrodzenia okazują kolejno to potężną energię, to głuchą rezygnację lub przesąd: tymczasem tu, w kole umysłów wybranych, przyświeca idea, że świat widomy stworzony przez Boga z miłości, że jest odzwierciedleniem stworzonego w nim preegzystującego wzoru i że Bóg ciągle go w ruch wprawia i nieustannie go tworzy. Dusza człowieka, zajęta poznaniem Boga, może go w swym ciasnym zawrzeć obrębie, a zapalona następnie miłością ku Niemu, może się też rozszerzyć do nieskończoności, — i taki stan staje się wówczas rajem na ziemi”.

Pomiędzy literatami domu i dworu jego najpierwsze i najważniejsze miejsce zajmuje *Anioł Poliziano* (14 lip. 1454 do 24 wrześ. 1494). Mówimy o nim tuż bezpośrednio po *Wawrzyńcu*, ponieważ w nikim nie uwydatnia się lepij istota mecenasostwa Wawrzyńcowego, ponieważ

nikt częściej i rzetelniej od niego nie wychwalał księcia. Przeżył go o dwa lata tylko.

Anioł Poliziano chłopcem przybył do Florencyi z Montepulciano, gdzie się urodził i skąd wziął nazwisko (ojciec jego zwał się *Benedykt Ambrogini*), został przygarnięty przez *Medicich* i zjednał sobie przyjaźń *Wawrzyńcu*. Jest to przyjaźń prawdziwa i czysta, bez pochlebstw z jednej a wyniosłej grzeczności z drugiej strony, związek dusz, który i po śmierci protektora się nie rozerwał. Przeciwnie. Poszedł *Poliziano* niebawem za opiekunem do grobu, a skon przyśpieszyła odnawiana ciągle boleść, gdyż z żalem i smutkiem nieukojonym musiał patrzeć na niszczenie tego, co *Lorenzo* stworzył. Dotrzymywał aż po koniec żywota przysięgi, złożonej przyjacielowi: „Twoim jestem na wieki”, a śmiercią przedwczesną dał rozczulające świadectwo prawdziwości swego zapewnienia: „Przyzwij mię; przyjdę, kiedybądź i dokądbądź zechcesz”. *Wawrzyńiec* wybrał *Poliziana* na wychowawcę swych synów. Na stanowisku tém musiał zaiste nauczyciel stoczyć niejedną walkę z *madonną Clarice*, małżonką *Wawrzyńca*, musiał odpierać jej uroszczenia do wskazywania zasad wychowawczych, musiał stawać okoniem wobec jej żądań, domagających się większego uwzględnienia chrześcijańskości w stosunku do pisarzy pogańskich, którym *Poliziano* dawał pierwszeństwo. Zdarzało się więc, że *Klara* skarżyła się na *mille villanie*, których przyszło jej wysłuchiwać od nauczyciela domowego, że i wychowawcy dali się też nieraz we znaki swemu przewodnikowi; wniosek ten wysnuć można z jego dzieła pedagogicznego p. n. „Gniew w chłopcu jest częstokroć oznaką dobrej natury”, będącego dworacką obroną, wad, które objawiały się zapewne w sposób istotnie nieprzyjemny. Nieporozumienia między żoną a przyjacielem starał się *Wawrzyńiec* zakończyć na pozór przynajmniej, wyprawiając *Poliziana* za urlopem do Fiesole.

Odtąd rozwijał *Poliziano* działalność swą we Florencyi tylko jako nauczyciel publiczny, oraz jako pracowity, wielostronny pisarz. Nauczał łaciny i greczyzny. Z pośród łacinników wybierał autorów tak zwanego wieku srebrnego: *Kwintyliana*, *Stacyusza*, *Persyusza*, a to z tych przyczyn, że uogóle czytano ich mniej i że lekturę ich uważał za stosowną dla uczniów młodszych, jako stopień przygotowawczy do epoki właściwie klasycznej; z Greków zaś objaśniał *Arystotelesa* i filozofów stoickich. Przeciwnikom, zarzucającym mu, iż nigdy filozofią naprawdę się nie zajmował, odpowiadał, że studia te traktuje bardziej w roli gramatyka, niż filozofa. Z tego punktu oceniać też trzeba pracę jego, użyteczną prawnikom, t. j. kollację słynnego pizańskiego Kodeksu Instytucyj. *Poliziano* albowiem przedewszystkiem był filologiem. W takim charakterze tłómaczył i wydawał pisarzy

starożytnych wytwornie i z całym zrozumieniem, bez pedanteryi i skrupulatnej dosłowności. W wydawnictwach okazał wielką bystrość; on-to postawił już zasadę, że w kwestyi ustalenia tekstu rozstrzyga nie mnogość rękopisów, lecz ich wiek i wartość. Szczególniejszą uwagę poświęcił *Homerowi* i *Cyceronowi*. Homera podziwiał wielce, chwalił jego piękności poetyczne, a jednak nie ustrzegł się krótkowidztwa owych czasów: *Wergiliusza* nietylko stawiał z nim na równi, ale ośmielił się nawet postawić go nad nim; przetłómaczył też cztery księgi Iliady. *Cyceronowi* oddawał cześć wysoką, lecz mimo to nie przyznawał mu prawa do wszechwładztwa; samodzielność stylu nawet w stosunku do niego uważał za najważniejszy warunek pisarza sumiennego. „Twarz byka lub lwa”, powiada, „jest dla mnie piękniejszą niż małpy; małpa jest wiewątpliwie podobna do człowieka, ale właśnie podobieństwo to karykaturalne sprawia wrażenie wstrętne. Zupełnie takież same uczucia wywołuje ślepe naśladownictwo. Ci, którzy tylko naśladowują, zamiast tworzyć, podobni są papugom lub srokom, nie rozumiejącym, co mówią, tacy krępują ducha swego okowami. Pływać trzeba bez korków. W biegu nie pośpieszy ten, kto swe stopy wciska w ślady poprzednika. Tak samo dzieje się z autorem: nie pisze dobrze ten, kto nie odważy się przekroczyć za linię kręgu wokół siebie nakreślonego”.

Samoistności, jaką okazał wobec znakomitych pisarzy starożytnych, dowiódł także ze względu na religię. Księży nienawdził a nienawisć swą wypowiadał otwarcie. Do kościoła chodził rzadko a jeśli chodził, to z wyraźnym celem, aby duchownych badać i wydrwiwać ich łacinę barbarzyńską. Mimo to przecież nie godzi się nazwać go heretykiem. Miał on wyrazić się (świadczenia są późne i niepewne), że woli czytać ody *Pindara* niż psalmy Dawidowe, że czytał wprawdzie *horae canonicae*, t. j. modlitwy księżom przepisane, lecz nigdy gorzej czasu nie użył. Gdyby się w rzeczy samej tak odezwał, to juźcić wyrażenia podobne są lekkomyślne i aprobaty nie godne, ale z tém wszystkiém na zarzut ateizmu nie zasługują wcale. Nie zasługują z téj przyczyny zwłaszcza, że owym wynurzeniom przeciwstawić można wręcz od nich różne. *Poliziano* bowiem był człowiekiem dziwnie dwulicowym: juźto wyszydział religię, juźto pożądał wysokiego urzędu kościelnego; juźto cieszył się sławą „Herkulesa w zwalczaniu astrologii”, juźto występował jako jej wyznawca, jako zwolennik wiary w czarownice i przesady owych czasów; wierzył w przepowiednie zwiastujące śmierć Wawrzyńca, i był przeświadczony, że szatan ma wpływ na losy człowieka.

Samodzielny w stosunku do ludzi i poglądów starożytnych, okazał się daleko samodzielniejszym jeszcze wobec współczesnych. Po-

siadał bo świadomość siebie i swego znaczenia. Do króla portugalskiego pisał, że portugalskim sprawozdaniom podróżniczym pragnie swém tłumaczeniem zapewnić nieśmiertelność, a *Maciejowi Korwinowi*, królowi węgierskiemu, powiedział, że od lat tysiąca nikt tyle, co on nie rozpowszechnił znajomości języka greckiego. Tę świadomość swojego ja stwierdził szczególnie w sporach z przeciwnikami. Mniej broni w nich sprawy a więcej wystawia na czoło własną osobę, stara się wykazać swą wyższość, ale niemniej potrafi téż odsłaniać niedo-dziwość adwersarza. Tak postępował przedewszystkiem z *Bartolomejem Scala*, kanclerzem państwa florenckiego, mężem wysoce zasłużonym, oraz z jego zięciem *Michałem Marullusem*, poetą wcale udatnym, którego dawniej *Poliziano* nawet chwalił. *Scala* ściągnął podobno na siebie straszny gniew przeciwnika za to, że dopuścił się kilku błędów przeciw łacinie klasycznej w jakimś akcie urzędowym; *Marullus* zaś jakoby otrzymawszy zwycięstwo w staraniach o względy *Aleksandry Scala*, stracił w oczach odrzuconego wszelką zdolność poetycką. Czy tego rodzaju pobudkami, czy innemi kierował się *Poliziano*, dość, że prześladował obu w listach i poezjach. *Scalę* wystawił jako „potwora złodziejskiego” i wyszydzał niskie jego urodzenie, *Marullusa* (pod imieniem *Mabiliusa*) oskarżał o sprośność, nieobyczajność i niedowiarstwo, prosił go, aby się nie obwiesił, gdyż inaczej pozbawi kata należnej mu zapłaty. Wobec takich obelg niewiele to miało znaczenia, że połączeni przeciwnicy piękne imię *Poliziana* zmienili na szpetne *Pulicianus* (od *pulex* = pchła) i wysmiewali długi nos jego (na to odpowiadał: potrzebuję go do węszenia usterek w pismach nieprzyjaciół).

Na szczęście nie wszystkie swe poezye zbrukał *Poliziano* obelgami. W wierszach łacińskich opiewa tedy miłość, uczucia błogie, jakich doznał na widok pięknych chłopców i dziewcząt, obwieszcza, że miłości zaniechać nie może, chociaż usilnie pragnie wydrzeć ją z serca swego. Głosi pochwały samej poezyi, uwiecznia pamięć poetów zmarłych, wystawia sztukę, np. w ślicznych wierszach na cześć *Giottę*, świadczących, iż pojmował z całą subtelnością odrodzenie sztuki; wielbił swych protektorów, przypominając im w sposób aż nadto zrozumiały, przyrzekane, lecz nieudzielone nagrody. Przypomnień takich nie potrzebował jeden tylko *Wawrzyniec*. *Wawrzyniec* umiał być hojnym i otrzymywał téż wdzięczność przynależną. *Poliziano* bowiem miał wziąć za treść większego poematu jeden z czynów jego (wojnę o *Volterre*) — ale utworu nie wykonał, dedykował mu natomiast wszystkie samoistne swe dzieła: przekład *Iliady*, *Giostra*, *Orfeo*. Pieśń drugą wzmiankowanego już tłumaczenia ofiarował poeta z dołączeniem następujących wierszy (wedle przekładu Reumonta):

Tobie bogowie zwierzyli lwa posąg tuskiego zwieńczony,
 Tobie Syllański gród dali i przodków dojrzałe uchwały;
 Tyś, Wawrzyńcze, mąż z rodu jest meońskiego największy,
 Wokół czoła twojego podwójny wawrzyn się wije.
 Jużto Marsowiś podobien, gdy wodze w biegu szalonym
 On rumakowi rozpuści. Tak w smutnym oto turnieju,
 Kiedy na placu otwartym przed Krzyża Świętego kościołem
 Na huf wsadzałeś rycerzy, pancierzem zbrojnych i tarczą,
 Ciosy zadając za ciosy, jak w bitwy zażartej zamieszce,
 Na cię dumnego radośnie gród patrzył tobie oddany.
 To znów cudnie uderzasz w rytm pieni snutych misternie,
 Lirę pieszcząc u łona przyrodę czarujesz zdumioną,
 Tu drzewo w pieśń zasłuchane, tam ugłaskaną nią lwicę.

Giostra (turniej) lub *stanze*, (strofy), jak nazywają niedokończony poemat, opiewający turniej *Juliana de Medici*, jest zbiorem strof dziwnie pięknie brzmiących, lecz beztreściowych. Właściwej osnowy ledwie poeta dotknął; daje za to w osobliwszym zlepku szerokie miejsce mitologii i allegoryi, chrześcijaństwu i pogaństwu, wystawianiu rodu *Medyceuszów* i pochwałom miasta Florencyi. *Orfeo* — to utwór sceniczny. Zachował się w dwu opracowaniach, krótszém i dłuższém (*favola* i *tragedia*); pierwiastkowo ułożył go *Poliziano* z okazji wjazdu kardynała mantuańskiego do Bolonii (1472), a później przerobił. Melodramat ten dyalogowany ma znaczenie pod względem literacko-historycznym, gdyż, jak zauważył jeden z badaczyw nowszych, „stawia pierwszy krok na drodze do zeświecczenia dramatu”. Treść zaczerpnął poeta z podań starożytnych o *Orfeuszu*; zrozumienie ich ułatwia współczesnikom wpleceniem scen z życia pasterskiego a wprowadzeniem półkonnicznej postaci Satyra przygotowywa i łagodni straszny los bohatera. *Thurydyka* nie odgrywa w sztuce żadnej prawie roli: ucieka a po zniknięciu rozchodzi się dopiero wieść o jej śmierci; nawet w Orku zachowuje się biernie; idzie za postanowieniem bogów, spowodowanych czarującą pieśnią *Orfeusza*, i na mocy tegoż samego postanowienia opuszcza śpiewaka, przekraczającego nakaz boski. Nowej utraty nie zdolen przenieść *Orfeusz* w rozpacz wydaje okrzyk, że miłość kobiety nigdy nie nałoży nań oków; nie skarży się więc na karę, ale poczytuje sobie za dobrodziejstwo, że Menady rzucają się na niego i rozszarpują; w bólach śmiertelnych słucha z rozkoszą przepelnioną dziką uciechą pieśni chóru Menad (według przekładu J. L. Kleina):

Liściem bluszczu, liściem winnym
 Uwienczona każda skroń;

Dla twój służby, dla twój cześci
 Tak hulamy w dzień i w noc.
 Okrzyk wnosim z czarą wina;
 Na wiek wieki pijmyż tak!
 Moja czara dawno próżna.
 Dawaj dzban mi, pełny daj;
 Gór wierzchołki wokół tańczą,
 Mózg wiruje w głowie mój.
 Skacze każda wcięż a wyżej,
 Co ja czynię, czyńcież tak.

Podobnie wesolym nastrojem, lubo nie tak rozkielznanem upojeniem odznaczają się drobniejsze poezyje *Poliziana*, opiewające życie sielskie a mianowicie: łaciński poemat *Rusticus*, w którym zaznaczyć należy szczególniejszy opis jesieni, winobrania i uroczystości tłoczenia jagód winnych, oraz *canzone zingaresca*, pieśń ludową Cygana.

Z *Aniołem Polizianem* w ścisłym zostaje związku *Ludwik Pulci* nie tylko z przyczyny podobieństwa brzmień w nazwisku, lecz z przyczyny pokrewieństwa niektórych właściwości poetyckich.

Luigi Pulci zlatynizował swe imię wedle zwyczaju humanistycznego na *Aloysius Pulcher*. Urodził się 15 sierpnia 1432 r., umarł w listopadzie 1484. Urzędnik i poeta, dobrze widziany na dworze księcia, używany wielokrotnie do różnych urzędów i poselstw, zostawał *Pulci* w przyjaźni z *Wawrzyńcem*, równocześnie wszelako, będąc członkiem rozgałęzionej i bogatej rodziny, musiał czuwać nad interesami swymi i swego domu.

Pulci jest wolnomyśliciel i szyderca. W listach podrwiwa z nie-szczęśliwych przygód, zaszyłych podczas jakiejś uroczystości pogrzebowej; zdaje się przytém, jakgdyby je uważał za nieuniknione następstwo obrządku pobożnego i zarazem nakłania przyjaciela *Wawrzyńca*, aby znówu został przecie chrześcijaninem. Nawet w pozdrowieniu chrześcijańskiem zamieszczonem w końcu jednego listu: *Che Cristo vi guardi* chodzi mu więcej o zwrot żartobliwy albo o formułę powszechnie przyjętą, aniżeli o wynurzenie uczuć własnych. Wygłoszone bowiem gdzieindziej zdanie: „pomóż nam Boże lub szatanie” daje już poznać dostatecznie, że posługuje się tą formułą, nie łącząc z nią wcale pewnego jakiegoś przekonania; zupełnie tak właśnie, jak przy sposobności użył *Salamalech*, popisując się odrobiną zarwaną gdzieś — i to niedokładnie arabszczyzny. Dobitniej jeszcze wyraża się w sonetach, o których dumnie wyrzekł, „że natura udzieliła mu ich w posagu”; w poezyjach tych nie tylko gani arogancję i obłudę mni-chów jałmużniczych — czynili to w owym czasie i prawowierni — ale nadto zbija cuda opowiedziane w biblii i wyśmiewa wierzących w nie-

śmiertelność. „Ludzie”, — powiada — „którzy żywe spory toczą o duszę, którzy pytają, jakim sposobem w nas wstąpiła, jaką drogą nas opuszcza i przy pomocy jakich środków w nas gości, zajmują się nedorzecznosciami dziwaczными i opierając się aż na *Platonie* i *Arystotelesie*, usiłują bałamutnymi frazesami przekonać nas, że dusza kiedyś żyć będzie w spokoju, w wiecznej harmonii wpośród dźwięków chórów niebiańskich. Wobec takich twierdzeń należy trzymać się zdania, iż dusza tkwi w ciele jak rodzynek w placku i że wraz z niemu ginie”. „Kto” — ciągnie rzecz dalej po wypowiedzeniu innych drwin „oczekuje raju z rozkoszami przednimi i niebiańskimi uciechami, ten błądzi; bez dźwięków zejdziemy w dolinę ciemną, ani intonować, ani słyszeć będziemy alleluja”. Częstoż orzec nie umiemy, czy mówi seryo czy żartuje; cały cykl sonetów polemicznych przeciw *Matteuszowi Franco* np. jest tego rodzaju, że poczyna się żartem a, jeśli można dać wiarę wzmiance w korespondencji *Pulci*’ego, kończy się dość poważnie. W dziele *La confessione* poeta odwołuje poniekąd swe poglądy, gdyż pragnie się przedstawić pobożnym chrześcijaninem i błaga Madonnę o przebaczenie zuchwałstw, jakich się względem niej dopuścił.

Ale że jest wolnomyślny i że odstępuje od ścisłej nauki kościelnej, świadczy o tém jego wielki poemat epiczny: *Il Morgante maggiore*. Że i tu nieustannie napada na księży i piętnuje ich obłudę, niewiele to jeszcze znaczy, zwłaszcza, że poemat swój pisał w epoce najzawziętszej walki *Wawrzyńca de Medici* z *Sykstusem IV*. Daleko wymowniejszemi są szyderstwa w tym guście: kto uwierzy, że święci żyli tylko szarańczą? toć Bóg spuściłby im mannę przecie (I, 25); albo: Piotr jest stary, nieraz jest oszukiwany na swym urzędzie odźwiernego niebieskiego, musi więc pracować z takim wysiłkiem, że pot oblewa mu włosy na głowie i brodzie (XXVI, 21). A postaci główne: *Morgante* i jego kamrat *Margutte* azaliż nie są przedrzeźnieniem pobożnych bohaterów chrześcijańskich? Czyż można ostrzej wyśmiać nawracania, aniżeli to czyni *Morgante* pośpiesznem przyjęciem chrześcijaństwa? Przyjmuje je zaś wskutek snu, w którym bogowie pogańscy odmawiają mu pomocy, a przyjmuje z taką nagłością, że przerywa mistrzowi swemu *Orlandowi* przygotowane naukę uwagą: „mędrcomi przecie wystarczy słów kilka”. Czyż znajdzie się wyrzeczenie dosadniejsze i z większym rozmysłem wypowiedziane przeciw chrześcijańskiemu Credo, jak następująca bluźniercza tyrada: „W czarną barwę nie wierzę więcej niż w błękitną, ale wierzę w kapłony, w sztukę mięsa i pieczeń, niekiedy i w masło; wierzę w piwo, a jeśli go brak to w moszcz, wolę jednak wytrawny niż łagodny; przedewszystkiem zaś wierzę w dobre wino; żywię to przekonanie, że kto weń wierzy, będzie zbawiony. Wierzę w babę i pla-

cek — tamta jest matką, ten synem; lecz prawdziwym paternoster jest wątróbka pieczona, a może być trójcą, dwójcą lub jednością. Myślę, iż zakaz *Mahometa* używania wina jest snem lub fantazją”.

Zasługa *Pulci*'ego atoli nie polega zgoła na szyderstwach podobnych, których ilość łatwo pomnożyć; zasadza się ona na myślach poważnych. Spotykamy np. dysputy teologiczne czarodzieja *Malagigi* z wywołanym przezeń duchem *Astarotte* (XXV, 141—161), przypisywane nieraz *Marsyliuszowi Ficino*; znajdujemy tu zdania dużej doniosłości, nieskończenie różne od wiary ściśle kościelnej, np. (XXV, 236—238): „przekonanietylko zbawia lub potępia”, albo: „Kto prawa swojego słuha, otrzyma nagrodę”. Czytamy tu, że religie rozmaite nie są bynajmniej zapatrywaniem sobie wrogami i wręcz sprzecznymi, mającemi udawadniać swą prawdziwość w walkach wzajemnych; przeciwnie są to poglądy, które w pokoju i zgodzie zbliżając się do siebie, prowadzą do prawdy jedynej. Piękna więc poganka *Antea*, w tym duchu postępując, ustala wspólność między sobą i chrześcijanami w przemowie do nich skierowanej (XVI, 6): „Ów Bóg, który stworzył niebo i ziemię, przyrodę i gwiazdy, słońce i księżyc, Bóg, który wedle upodobania rozjaśnia i zachmurza powietrze, który wedle woli rozwiera i zawiera przepaści, który jest samą łagodnością i sprawiedliwością, który nigdy nie błądzi, chociaż każdy czując się niezaspokojonym żąda szczęśliwości, — ten Bóg niechaj wam będzie opieką i strażą”.

Epos komiczny, *il Morgante maggiore*, „Morgante wielki”, z którego przytoczyliśmy wyjątki powyższe, napisał *Pulci* dla kółka *Medyceuszów*. Protektorką utworu była *Lukrecya Turnabuoni*, zmarła jeszcze przed ukończeniem całości. Uczcił ją też *Pulci* wielką pochwałą (XVIII, 132—136) jako dzielną księżnę, dla której mało pochwalnej pieśni poety, nie wystarcza uznanie świata, wypada wezwać aniołów, aby rozgłośnymi tony opiewali jej sławę. Pojedyncze pieśni odczytywano w towarzystwie wykwintném; później rozpoczynano je modłami; czyniono to nie dlatego, aby bluźnić obrzędowi świętemu, ale bądź ze względu na religijny nastrój wysokiej patronki, bądź ze względu na zwyczaj miejscowy, właściwy improwizatorom i prelegentom. Epopeją interesowali się najwybitniejsi mężowie kółka medycejskiego. O *Ficynie* była już mowa, *Pulci* sam wyznaje (XXVIII, 143), że spodziewa się pomocy i rady od przyjaciół swych *Bernarda Bellincioni*'ego i *Antoniego Alamanni*'ego; *Polizianowi* zaś dziękuje za wskazanie niektórych źródeł (XXV, 169). Autor bowiem posiłkował się wielu źródłami; co więcej, szedł może nawet, jak to w nowszych czasach wyświetlił *Rajna* w przyswajaniu cudzej własności dalej, aniżeli było wolno. Oto wzięwszy za podkład pewien poemat rycerski wieku XV, idzie za nim w głównej części dzieła swego krok za krokiem i wrotka

za wrotką. Jednakże pomysł wprowadzenia *Margutte'go* i opis poży-
cia jego z *Morgante'm* jest wyłączną zasługą *Pulci'ego*.

Morgante wielki jest parodią rycerstwa. Florentynowie, bywalcy po świecie, kupcy praktyczni, wytwornie ukształceni i rozwijający żywą działalność umysłową, uczeni i artyści pogardzali rycerstwem z jego fałszywym idealizmem i z nadmiarem brutalnej siły a usiłowanie wskrzeszenia onego uważali za śmieszne. *Pulci* tedy poszedł jeno śladami *Sacchetti'ego* i innych nowellistów wieku XIV, którzy wydrwiwali byli kramarzów i niedzielnych jeźdźców florenckich, pragnących zabłyszczyć rycerskim strojem i małpować turnieje rycerskie. Paroduje poeta nietylko szczegóły, ale całą istotę, przymioty i czyny rycerstwa. Ba! wyszydza wszystko. Kiedy cytuje *Dante'go* i *Petrarkę*, czyni to w sposób śmieszny, zarówno daleki od uwielbiania czasów późniejszych, jak i od nienawistnego nastroju pisarzy renesansu; szydzi np. (XXV, 283) z *Petrarki* za to, że ukradł jeden wiersz *Rinaldowi*. Nie oszczędza nawet starożytności. Pewnego razu (I, 72) chce *Morgante* dźwigać konia zdechłego, którego zgniół na śmierć ciężarem swego ciała; *Roland* ostrzega go, że koń mógłby się zemścić, jak to niegdyś uczynił *Nessus*; „zresztą nie wiem” — dodaje — „czyś tę historję słyszał lub czytał”. Często króć przytacza osoby i rzeczy ze świata starożytnego z głębszą znajomością szczegółów, lecz z uwagami szyderczemi. *Margutte* jest Grek z urodzenia, który nie potrafi wskazać dokładnie swych przodków; pijak i żarłok, który życie swe skałał wszelkiego rodzaju zbrodniami, który przepełniwszy brzuch jadem i trunkiem, pęka wskutek niepohamowanego śmiechu nad małpą strojącą się zabawnie w jego własne buty. Otóż czyż taki *Margutte* nie jest parodią jednego z owych nieboraków, co tłumami ciągnęli z Grecji do Włoch nadęci krztą wiedzy, co swą pychą, rozpustą, nieobyczajnością byli tak nieznośni Florentczykom, a zwłaszcza Polizianowi? Nie jest więc *Pulci* przejęty zbyt szacunkiem dla starożytności. W przeciwnym razie nie stawałby na równi *Turpina* z *Horacym*; w przeciwnym razie nie wyrzekłby (XXVIII, 138, 139): „Nie żądam wcale gałązki wawrzynu jak Grecy i Rzymianie; przyjdą inni z innym stylem, z lepszą cytrą mistrze celniejsi; ja zabawię się w lasku bukowym pośród wieśniaków; pomocy Parnasu nie pożądałem nigdy”.

Pulci nie myślał zamknąć tym sposobem swęj działalności poetyckiej. Przeciwnie. Mówi on (XXVIII, 82): „Pozostawiam na stronie wiele rzeczy i bohaterów wspaniałych i dostojnych; nie mogę biedz za nimi pamięcią, nie mogę towarzyszyć im wszędzie, gdzie odnoszą zwycięstwa. Ale jeżeli śmierć przedwczesna nie przeszkodzi mi wystawić tych historj w świetle prawdziwem, to ukazę je światu całemu w innym stylu, w innym tonie i w wierszach innych”. Miał tu

na myśli zapewne *Ciriffo Calvaneo*, poemat rycerski, którego osnowę stanowią walki z epoki *Ludwika Zamorskiego*, króla francuskiego (921—954), i który niesłusznie uchodzi za dzieło starszego brata *Łukasza* (1431—1470). Dokończył też, być może (*Lettere* p. 86), poemat, rozpoczęty przez rzezonego Łukasza, o wzmiankowanym powyżej turnieju Wawrzyńca (st 181); napewno zaś napisał rzecz podobną do sielskiego poematu Wawrzyńca (str. 189) *Beca da Dicomano*, utwór mający raczej bawić, aniżeli przedstawiać istotny obraz życia wiejskiego.

Wesołość i humor panowały w kółku Wawrzyńca, lecz i zadania poważne nie były skazane na banieczę. W tym kierunku wskazać się godzi na żarliwość księcia dla filozofii platońskiej. Dokoła okrągłego stołu *Lorenza* zasiadali *Ficino* i *Landino*. Obu ich wszelako i niektórych innych dobrze zasłużonych prześcignął młody, lecz wielce sławny *Jan Pico della Mirandola*, ur. 1462, zm. 1494.

Najpierwszy biograf i zarazem synowiec *Mirandoli*, *Jan Franciszek* opowiada, że „kiedy matka jego, piękna *Julia de Sandiano*, siedziała przy robocie, ukazał się u jej głowy płomień, który zgasł niebawem.“ Zjawisko to zapowiada jego istotę i życie: światło jasno promieniejące, lecz szybko gasnące. W młodości lubił *Pico* rozkosze, kochał biogłowy i był przez nie pożądany; później jednak dążenia do mądrości odciągnęły go od uciech ziemskich. „Celował wymową i cnotą, bohater raczej niż człowiek,“ mówi o nim *Poliziano*. *Jan Franciszek* charakteryzuje stryja w sposób następujący: „Byłto młodzieniec piękny, wzrostu wysokiego, postaci smukłej, włosy miał jasne, oczy niebieskie, zęby oślepiającej białości. Cała osobistość jego, przenikniona anielską łagodnością, wstydliwą czystością i życzliwością jakąś przyjemną radowała wzrok i przyciągała serca.“

Jak swą osobą, wywierał *Mirandola* podobneż wrażenie i dziełami swemi, zwłaszcza trzema, któremi są: *Dziewięćset tez* wraz z należąca do nich apologia, *Pismo przeciw astrologom* i *rozprawa O godności człowieka*.

Istota pierwszego zasadza się na tém, iż autor stara się zbadać wzajemne stosunki hellenizmu i judaizmu i obie te wszechświatowe potęgi ze sobą zjednoczyć. *Pico* nie pożałował trudu, by wyuczyć się języka hebrajskiego; stawiał więc śmiało czoło nawet w wolnomysłnej Italii panującym przesądom, głoszącym, iż żydzi nie zdolni są nauczać i niegodni obcowania. W studyach hebrajskich nie poprzestał jeno na rozumieniu biblii i powierzchownej znajomości pism talmudycznych, co mógł osiągnąć przy pomocy każdego napół ukształconego nauczyciela żydowskiego, ale usiłował też zgłębić tajemniczą naukę żydowską, kabałę, której poznanie ułatwił mu znakomity filozof *Eliak del Medigo*. Od niego oraz innych mistrzów żydowskich dowiedział

się różnych szczegółów tajemniczych o wartości i możności zużytkowania sił nadnaturalnych. Wiadomości te skojarzył, bynajmniej nie w duchu swych nauczycieli, lecz wbrew ich przekonaniom, w system tego rodzaju, iż na podstawie kabały i innych ksiąg żydowskich starał się wykazać czystość i prawdziwość nauk chrześcijańskich, np. o jedności trójcy, wcieleniu słowa, o przyjściu Mesjasza, o grzechu pierworodnym.

Od pracy tój, w swym czasie wielce podziwianej i obsypywaniej pochwałami przesadnemi, daleko większą ma doniosłość pod względem historycznym walka jego przeciw astrologii. Wielu już dawniej tę naukę urojoną wydrwiwało, a między nimi niejedyn potajemnie wierzył w to, co zbijał; byli i tacy, którzy występowali z dowodami poważnymi przeciw przesądowi, nieraz zbyt śmiało i silnie podnoszącemu głowę. Nikt jednak nie czynił jeszcze tego w sposób tak wszechstronny, z taką jasnością i stanowczością, jak *Mirandola* właśnie. Głosi on bowiem, że astrologia jest źródłem bezbożności i skażenia obyczajów; ośmiela się dowodzić, że wierzący w gwiazdy unicestwiają wszelkie cnoty w człowieku, wszelką wiarę w pierwiastek wyższy. Obok tego wykazuje szczegółowo kłamliwość meteorologicznych przepowiedni astrologów i wbrew nauce astrologicznej przeciwstawia jej wreszcie teorię chrześcijańskich rządów światem i wolność woli.

Pico zdobyłby sobie był nieśmiertelność, gdyby nie więcej nie napisał jak owe zdania w dziele *De dignitate hominis*, w którym zastanawia się nad pojęciem człowieka i stosunkiem jego do Boga. Zdania te według tłómaczenia *Jakóba Burckhardta* brzmią tak: „Bóg w ostatnim dniu stworzenia powołał do życia człowieka, aby poznał prawa wszechświata, aby ukochał jego piękność i podziwiał jego wielkość. Bóg nie przykuł człowieka zgoła do jakiegś siedziby stałej, nie przywiązał do jakiegś pracy nieokreślonej, do jakiegś konieczności, ale obdarzył go zdolnością ruchu i wolnością woli. Stworzywszy świat, mówi Bóg do Adama, postawiłem cię śród niego, abys wokół tém łatwiej spozierał i widział, co jest w świecie. Stworzyłem cię jako istotę ani niebiańską, ani ziemską, ani śmiertelną, ani nieśmiertelną, abys ty sam swobodnie kształcił siebie i przewycięzał; możesz wyrodzić się w zwierzę, możesz odrodzić się w istotę Bogu podobną. Zwierzęta przynoszą z żywota matki to, co mieć powinny, duchy wyższe od początku samego lub wnet potem są tém, czém pozostaną na wieczność. Ty sam tylko masz w sobie rozwój, wzrost według wolnej woli, masz zarodki życia wszechstronnego.”

Możnaby sądzić, że mężowie kościoła musieli człowieka z tak wzniosłą znajomością Boga uważać za świętego niemal, a już co najmniej za mędrca czei godnego. Tymczasem 900 jego też uznano za

wątpliwe a 13 z nich ogłosili niektórzy wprost heretyckimi. Do rzędu potępionych należą takie np., że Chrystus zstąpił do piekieł nie w rzeczywistości, lecz ze względu na skutek, że grzech śmiertelny, ograniczony ze względu na czas, nie może podlegać karom wiecznym, że słów konsekuracyjnych: oto jest ciało moje i t. d. nie można pojmować w sensie materyalnym, ale w sposób figuralny, Zdania te i kilka innych spowodowały komisję łagodnie nastrojoną do wydania wyroku, że tezy postawione są w formie dysputacyjnej, ale że nie wyrażają bynajmniej przekonań myśliciela chrześcijańskiego. Na podstawie tego wyroku *Inocenty VIII* ogłosił 900 tez jako zakazane, dołączając łaskawe obok uwagi o duchu i charakterze hrabiego. Dopiero *Aleksander VI* zniósł (1494) wyrok potępiający swego poprzednika a postanowieniem takim zdjął przytłaczające brzemień z człowieka pobożnego i stronnika papieskości.

Papieże uwolnili *Mirandolę*, ale wróg papieża, *Hieronim Savonarola*, jego a właściwiej jego pamięci nie zostawił w spokoju. *Savonarola* znał się dobrze z *Mirandolą*, sporządził krótki wyciąg z dzieła jego przeciw astrologom, był obecny spisowaniu przezeń kodycyłu. Ale nie podzielał zapatrywania tych, którzy utrzymywali, że ma jednaki z filozofem przekonania, a z których jeden twierdził, iż we śnie widział i słyszał mówiącego *Mirandolę*, że „Savonarola jest we wszystkich sprawach godnym naśladowcą Chrystusa.“ *Savonarola* nie mógł przebaczyć *Pico'wi*, że nie wstąpił do zakonu. Z tej też przyczyny wnet po śmierci *Pica* wyraził wątpliwość, azali otrzymał zbawienie; później zaś przypuszczał, iż co najwyżej pozostaje w czyście.

Savonarola urodził się w Padwie 1452 r., został mnichem 1475, do Florencji przybył 1482 i tu umarł 1498. Życie i praca jego rozwijały się w dwu kierunkach: moralno religijnym i polityczno-demokratycznym. „Wielka nędza świata, niesprawiedliwości ludzkie, rozpusta i cudzołóstwo, rozboje i pycha, niewiara i bezbożność niesłychana” spowodowały, jak pisał ojcu, że wstąpił do klasztoru. W kazaniach miał na celu poprawę obyczajów i przeobrażenie religijne, pragnął podburzyć lud przeciw tyranom, głosił marzenia o zjednoczeniu Włoch, przepowiadał wyprawę zaborczą najeźdźcy cudzoziemskiego. *Savonarola* wierzył głęboko w swe natchnienia, kochał prawdę a nienawidził fałszu, walczył nieustraszony przeciw osobom na świeczniku stojącym, śmiało i bezwzględnie gromił zepsucie papieżstwa. Żar przekonania i wymowa mistrzowska zrobiły z niego potężnego kierownika i przywódcę tłumów.

Tymczasem sprzeniewierzyły mu się i tłumy nawet. W dniu 8 kwietnia 1492 r. był jeszcze mężem ludu. Wówczas stał przy łożu gasnącego Wawrzyńca, zalecał mu ufność w łaskę boską, wymodlił

i otrzymał zwrot bezprawnie nabytych skarbów, ale nadaremnie skłaniał go do przywrócenia wolności ludowi uciemżonemu. Kiedy zaś wszelkie usiłowania okazały się bezowocne, opuścił śmiertelnie chorego, nie udzieliwszy mu błogosławieństwa. Wówczas miał masę za sobą. Leez cóż? Te masy odbiegają nawet ulubieńca swego, skoro tylko ujrzą go zagrożonego przez jakąś wyższą, jak gdyby niewidomą potęgę. Zaledwie w sześć lat potem (23 maja 1498 r.) zmieniło się do cna położenie rzeczy: *Savonarola* wespół z dwoma towarzyszami skazany na śmierć. Olbrzymia czerń ludzi, złożona w większej części z gapiów, niż ze współczujących, zaległa plac tracenia; wyczekiwano niecierpliwie chwili, w której zamordowanego przez kata miały ogarnąć płomienie, aby pożreć kości jego. Z piersi zbydlęconego pospólstwa wydarł się okrzyk tryumfu i zagłuszył ciche skargi wiernych i wierzących stronników. W porównaniu z tłumem mnogim, który trupa obrzucał kamieniami, tak, iż wedle świadectwa współczesnego krew ciekła i trzewia wypływały, znalazła się gromadka jeno takich, którzy cisnęli się do stosu, aby relikwię uszczknąć.

Sąd dziejów o tym fakcie nie kieruje się zgola wyrokiem ludu jak pogoda ziemnego. Z drugiej jednak strony śmierć *Savonaroli* na stosie, choć mu zjednała sławę męczeństwa, nie nadaje bynajmniej prawa do nazwy reformatora. Ponieważ w gwałtownych kazaniach i pismach występował przeciw papieżowi, protestanci więc, upatrujący w zniszczeniu tej potęgi jedno ze swych zadań, zaliczali go między swoich—ale całkiem niesłusznie. *Savonarola* bowiem tkwi głęboko w scholastyce, którą inowiercy zwalczali jako siłę nie mniej groźną od papieżstwa. Nie jest też *Savonarola* mężem Odrodzenia, mimo, iż władał wybornie językiem łacińskim, pisywał wiersze okolicznościowe i umiał niekiedy mówić o wartości poezyi: Że *Savonarolę* ze zboru humanistów wykluczyć należy, wystarczy za dowód jeden wyjątek tylko z pewnego kazania (wedle przekładu *Jakóba Burckhardta*): „Jedyna rzecz dobra, jakiej dokonali *Platon* i *Arystoteles*, polega na tém, iż wyprowadzili na jaw wiele dowodów, których można użyć przeciw heretykom. Ale wraz z innymi filozofami siedzą oni w piekle. Stara baba lepiej rozumie wiarę niż *Plato*. Byłoby dla wiary korzystnym, gdyby zniszczyć mnóstwo ksiąg na pozór użytecznych. Wiara wzrastała szybciej, kiedy nie było jeszcze tylu książek, tylu dowodów rozumowych i tylu dysput, aniżeli urosła od chwili ich powstania.” Jeżeli chodzi o wykazanie niezgodności *Savonaroli* z duchem renesansu, nie potrzeba nawet zwracać uwagi na jego pojmowanie literatury klasycznej. Sprzeczność ta ujawnia się najwyraźniej we wszystkich jego poglądach i dążeniach.

Savonarola pragnął zdławić indywidualność przykazaniami kościoła; renesans zaś żądał nieograniczonego wykształcenia indywiduum

wedle jego zdolności i usposobień. *Savonarola* pragnął, aby państwo stosowało się do dogmatów kościoła, uważanych za święte; renesans zaś żądał, aby państwo urabiało się wedle zasad nowoczesnych, aby uwzględniało warunki i potrzeby chwili bieżącej. *Savonarola* pragnął, aby kultura opierała się wyłącznie na podstawach moralności i obyczajności, na przepisach religii; renesans natomiast wystawiał jako sztandar zasadę, aby kultura czerpała soki ze starożytności, nie koniecznie dlatego, że jest epoką pogańską, lecz, że jest epoką czysto ludzką, aby przyswajała sobie to, co jest w niej najlepszego i najszlachetniejszego, choćby nawet było może sprzeczne z chrześcijaństwem. *Savonarola* chciał, aby kobieta ulegała mężczyźnie, aby nie korzystała z owoców nauki i sztuki; renesans wbrew temu stawiał kobietę na równi z mężczyzną, domagając się, aby kobieta własną pracą przykładała się do rozwoju sztuk i umiejętności; a nie tylko iżby ją poezya i sztuka sławiły. *Savonarola* chciał, aby człowiek ograniczył się do miasta, do kraju, w którym się urodził, do koła, w którym go postawił przypadek lub obowiązek; renesans głosił zdanie wręcz przeciwne, że człowiek powinien się oderwać od miejsca urodzenia, rozniecał w nim kosmopolityzm, miasto jednostronnej miłości ojczyzny, przynaglał go do wyzwolenia się ze szranek, które, czy sam sobie, czy dawny jeszcze zakreślał obyczaj. *Savonarola* domagał się ujęcia w karby ducha, woli i czynu; renesans zaś żądał i osiągnął wolność myśli, wolność głosu, wolność działania.

Ta sprzeczność systemów wcieliła się też w osobistości dwu głównych przedstawicieli idei sobie wrogich: w *Wawrzyńcu de Medici* i *Savonarole*. Myśląc o *Wawrzyńcu*, uprzytomniamy sobie przede-wszystkiem owe wspaniałe festyny, w których prócz młodzieży lek-komyślniej, brali także udział mężowie poważni, aby, używając w pełni rozkoszy artystycznych, uczynić je źródłem wspomnień trwałych i drogocennych; kiedy zaś przywódczymy na pamięć *Savonarole*, mimo-woli staje przed oczyma naszymi „spalenie marności“ (1497), zgromadzenie przy pomocy dzieci i dorosłych wszystkiego, co służy do zabawy i rozweselenia ludzi, składanie na stosie dzieł sztuki i literatury, ksiąg i obrazów, wszelkiego rodzaju przedmiotów ozdobnych, oddawanie ich wreszcie na pastwę płomieni wśród radosnych pieśni pacholał. *Savonarola* przypomina nam wyrzeczenie się uciech życia; przypomina ponure słowa: „Wiara może wszystko, przewycięża wszystko, gardzi życiem ziemskim, ponieważ jest pewną żywota niebieskiego,“ albo: „prawdziwy chrześcijanin raczej pożąda śmierci, niż się jęć lęka;“ *Wawrzyńiec* zaś budzi w umyśle naszym obraz rozkoszy życiowych, dających życiu to, co się życiu należy, uczestnictwo we wszystkim, co jest dobrem, pięknem i prawdą, ale razem świadomość, że uciecha jest chwilką, a wspaniałość, którą się lubuje-

my, jak ciepłem i blaskiem słonecznym. Pogląd *Wawrzyńca*, prawdziwie ludzki, zawsze wabi i orzeźwia; pogląd *Savonaroli* zaś nadeludzki i zarazem nieludzki może chwilowo porwać, ale przykuć do siebie i podnieść człowieka nie zdoła. Dlatego też z zawsze nową radością wspominamy czasy młodości własnej a myśl o zaniku dni owych przejmuje nas cichą i rzewną tęsknotą; dlatego też przysłuchujemy się z ponowną zawsze uciechą na poły rozkosznym, na poły smutnym dźwiękom karnawałowej pieśni *Wawrzyńca*, którą możnaby uważać za dewizę całej jego epoki: „Jakże piękną jest młodość — a jednak ucieka! Kto więc wesołym być pragnie, niechaj się cieszy, gdyż jutro nie jest pewne.“

Quanto è bella giovinezza,
 Che si fugge tuttavia!
 Chi vuol esser lieto, sia—
 Di doman non c'è certezza.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

U r b i n o .

Po Florencyi zasługuje na szczególniejszą uwagę *Urbino*, po *Wazryńcu de Medici*—*Fryderyk de Montefeltro*.

„Wzniósł się jak orzeł,“ mówi o rodzie *Fryderyka* jeden z dziejopisów nowoczesnych. Po jednorocznych ledwie rządach został zamordowany 1444 r. przyrodni brat jego *Oddantonio*, jedyny z prawego łoża syn księcia *Gwidona*. Partya ludowa, dokonawszy tego czynu, zamierzała ogłosić rzeczpospolitą. Nie urzeczywistniła jednak swych zamysłów z obawy, aby *Zygmunt Malatesta* lub straszny *Piccino*, obaj blizcy sąsiedzi, korzystając z takiego ustroju, nie przywłaszczyli sobie władzy najwyższej. Dobrowolnie więc powołała do steru państwa *Fryderyka*, naturalnego, ale bullą papieską uprawnionego syna przedostatniego księcia. Zanim wszelako objął rządy (23 lipca 1444 r.), musiał *Fryderyk* podpisać kapitulacyę z 21 paragrafów i przysięgą ją stwierdzić. Zobowiązał się tedy: puścić przeszłość w niepamięć, starych swobód bronić, utrzymać wybór priorów wedle zwyczaju dawnego i nowy gmach im wyznaczyć, podatki zmniejszyć, ale nikogo od ciężarów nie zwalniać, trzecią część dochodów obracać na obwarowanie i upiększenie miasta, wybierać dowódców z pośród mieszczan, ustanowić dwu lekarzy miejskich, którzyby bezpłatnie chorych leczyli, powołać wreszcie nauczyciela (*magister scolartorum!*) wraz z doświadczonym i wytrawnym pomocnikiem (*cum uno repetitore optimo et esperto*).

Ujął *Fryderyk* ster rządów, mając lat dwadzieścia dwa. Był on wychowancem wielkiego *Wiktoryna da Feltre*. Mistrz przez ucznia swego zwrócił ojczyźnie to, co własnym odjazdem jej odebrał. By-

strym wzrokiem przejrzał też w nim wielkość późniejszą i ambitnego młodziana uspokajał słowy: *tu quoque Caesarenis*. Młodzieńcem przebywał w Wenecyi jako zakładnik; za powrotem odznaczył się w bojach i rodzicowi ocalił życie. Nie doszedłszy jeszcze lat 15, poślubił bogatą, lecz nie piękną *Gentile Brancaleoni*; małżeństwo było bezdzietne; niekochana małżonka wstąpiła do klasztoru i tamże umarła. W 22 lata (1459) pojął za żonę *Battystę*, córkę *Konstancyi Varano* i *Aleksandra Sforzy*, dziewicę wychodzącą z wieku dziecięcego. Ta obdarzyła go potomstwem. Jednakże już za życia pierwszej żony uznał za własne dzieci z nieprawych związków spłodzone; nie mógł przecież pokrzywdzić owoców miłości nielegalnej, ponieważ swego urodzenia nie uważał zgola za hańbiące.

Z powodu takich postępków, zgodnych z obyczajami epoki, sława jego u współczesnych nie ucierpiała bynajmniej. Przeciwnie. Widzieli oni we *Fryderyku* wzór władcy i sławę jego w górnołotnych głosili mowach. Tak uczynił np. *Dati* zaraz po wyjeździe księcia, stawiając go ponad wszystkich monarchów i wodzów swego czasu. Okoliczność, że był księciem, wystarczała większej części pisarzy owej epoki panegirycznej, aby go obsypywać tego rodzaju pochwałami; mniejszość, pytająca o źródło pochwał, zadawałniał *Fryderyk* swemi talentami wojskowemi i uczonością.

Montefeltro był wojownikiem ze szkoły *Franciszka Sforzy* i *Jakóba Piccinino*. Sforza służył jako wódz wyrachowany, rozważny i przeczorny; nazywano go, używając porównań klasycznych, *Fabiuszem Kunktatore*m. *Piccinino* zyskał rozgłos jako kondotyer odważny, skory do ataków, śmiały, często nieogłędnie zaufany w swe szczęście, zawsze prawie ulubieniec fortuny; nadawano mu miano *Scypiona*. Od każdego z nich wiele się *Fryderyk* nauczył, od obu przyjął to, co posiadali najlepszego. Umiał i armię prowadzić i sam walczyć. Lubił wyzywać na pojedynek, a wyzwania nie odrzucał. Nie stał za wojskiem jako hetman, ale jako wódz szedł na czele szeregów, i nieraz własnym przykładem zatrzymywał uciekających na stanowisku. Żołnierzy kochał i otaczał ich pieczołowitością w swoim kraju, a bardziej jeszcze w ziemiach wroga. Na ich korzyść bywał nawet niesprawiedliwym względem wierzycieli. Jednemu z tych ludzi pisał: „pałasz widocznie żądzą kijów lub śmierci, kiedy w chwili obecnej domagasz się zapłaty.” Wojnę cenil wysoko; lubił walczyć zwoyczajem starożytnych mąż przeciw męża, ale nie gardził środkami nowoczesnymi; zamówił sobie np. w Sienie „mistrza biegłego w miotaniu kul.”

Nie zawsze toczył boje w charakterze władcy kraju i monarchy samoistnego; często jako kondotyer zaciągał się w służbę u innych, np. *Franciszka Sforzy* lub *Piusa II*, którego względami się cieszył, mimo, że przez jego poprzednika *Eugeniusza IV* był wyklęty; walczył

tęż po stroocie *Ferdynanda* Neapolitańskiego w wielkiej „wojnie baronów.“ Najchętniej wszelako dobywał miecza przeciw *Zygmuntowi Malatestie*.

Zygmunt Malatesta, pan Rimini, syn *Pandolfa*, nie słynącego bynajmniej cnotą, jest jednym z najstraszniejszych władców wszystkich czasów. Podobnie jak *Fryderyk* był kondotyerem. Ale kiedy *Fryderyk* sumiennie dotrzymywał swych zobowiązań, *Zygmunt* miał na oku własną jeno korzyść; wiarołomnością naraził się na nieprzyjaźń wszystkich, nawet tych, którym dobrze czynił, od których mógł spodziewać się korzyści. Waleczny i śmiały, w przedsięwzięciach zręczny i szczęśliwy nieraz, kojarzył w sobie właściwości lisa z przymiotami lwa, co *Maachiavelli* uważa za niezbędne do ugruntuwania tyranii; zdobywał sobie niekiedy potęgę groźną, był przez lat dwadzieścia postrachem wielu książąt i papieżów; w końcu jednak (1463 r.) został pokonany przez niewojennego *Piusa II* i utrzymał się w posiadaniu samego tylko Rimini za opłatą daniny. Pompatyczny więc napis na niektórych jego monetach: „Oblęzca grodów, wódz nigdy niezwalczony“—wcale mu nie przystoi.

Malatesta—to zbrodniarz niesłychany; niemasz występku, którego by się nie dopuścił lub do spełnienia którego nie byłby przynajmniej zdolny. Pastwił się nad rodziną własną. Trzy małżonki ślubne, pochodzące z najprzedniejszych domów *Este* i *Sforza*, przez zazdrość i namiętność odepechnął lub zamordował; niegodziwość tę przypomina we wstrętym napisie grobowym: „Noszę rogi, które każdy widzi, ale noszę je tak, że nikt temu nie wierzy;“ córki swe przyprawił o brzemiennność, a syna usiłował zgwałcić. Podobnież i za obrębem rodziny, szalejąc dziką chucią rozpusty i żądzą krwi nienasyconą, najstraszniejsze popełniał czyny. Spodziewano się, że Turków do Italii przywoła, i zgodzano się powszechnie z podpisem, jaki 1461 r. umieścił papież pod wizerunkiem jego, skazanym na spalenie publiczne. Napis zaś brzmiał: „Oto jest *Zygmunt Malatesta*, syn *Pandolfa*, głowa zdrajców, wróg Boga i ludzi, skazany na stos uchwałą kolegium świętego.“ Był to bowiem ateusz, poganin, który wierzył nie w zasady religii, ale co najwyżej w sny i duchy; był to kacerz, który lekko sobie cenil spalenie obrazu własnego i klątwę; który z uśmiechem pytał, azali wyklęci nie tracą smaku do wyborowych potraw i win wysmienitych. Ceremonie kościelne wyszydzał już wcześniej, raz np. kazał kropielnicę napelnić atramentem i cieszył się, że wierni, nie spostrzegłszy figla bezbożnego, mazali się czarną farbą.

Tenże sam człowiek zbudował w Rimini wspaniały kościół (1445—1450) na cześć św. Franciszki. Ale charakter świątyni chrześcijańskiej skaził różnego rodzaju ozdobami antycznymi; wystawił w niej np. grobowiec swęj kochance, mądręj i pięknej *Izocie degli Atti*, z na-

pisem: *Divae Isottae sacrum*, myślał bodaj o nakazie oddawania sobie i tej swojej kochance czci jako świętym; z bogacił atoli przybytek boży i przedmiotem czysto kościelnym, mianowicie obrazem, który wystawiał jego samego, klęczącego przed swym patronem, św. Zygmuntem Burgundzkim, nie tylko w postawie pobożnej, lecz nawet z wyrazem pobożnym na twarzy i pełnym niebiańskiej światłości. Człowiek ten, który wedle mniemania ogólnego zdolen był sprowadzić Turków, w ostatnich latach życia, kiedy utracił, co prawda, wszystkie niemal posiadłości, przedsięwziął na żoździe Wenecyi wyprawę przeciw niewiernym do Morei. Człowiek ten, którego papież wyklął, otrzymał od tegoż papieża świadectwo że: „znał dzieje, zgłębił filozofię i był, zdaje się, urodzony do wszystkiego, czego się imał.“

I w samej rzeczy można *Malatestę* nazwać człowiekiem ukształconym, nieledwie że uczonym. W bojach nie znał co spokój, z jednej wyprawy śpieszył na drugą, zawsze w ruchu, sam wszystkiem rozporządzał, a sprzeciwieństwa innych nie znosił; w dysputach tymczasem słuchał uczonych spokojnie, nie urażał się, kiedy mu kto kontrował, ale okazywał większe jeszcze zadowolenie, kiedy jeden przeciw drugiemu w gwałtownej wybuchnął mowie. Sam z pomocą uczonych, jak mówi *Valturio*, dobywał „z najskrytszych tajników filozofii“ obrazowe formy, do allegoryzowania pojęć w malowidłach swjej świątyni; z wyprawy tureckiej przywiózł z Peloponezu jako zdobycz najszlachetniejszą zwłoki *Gemistusa Plethona* i pochował je w swym kościele, „powodując się niesłychaną ku uczonym miłością“ — tak przynajmniej pisze na grobowcu. Stało się to 1465 r.; szesnastoma laty wcześniej w podobnyż sposób uczcił innego męża: *Iustusa de'Conti* (zmar. 1449), liryka obdarzonego uczuciem nader subtelném. *Conti* opiewał w sonetach tkliwych, melodyjnych, ubogich treścią, lecz mimo ciągłego powtarzania istotnie technących uczuciem surowość kochanki, którą, czy to że zamknięta w murach klasztornych, czy téż, że choć była swobodną, nie dała miłości przystępu do serca swego, nieczułą mienił, okrutną; wysławiał poeta uroczą jej rękę (*la bella mano*) jak również czystość duszy.

Honor taki wyświadczył obu mężom z dobrej woli, czcząc w nich geniusz; lubił jednak *Malatesta*, aby chwalono jego i jego *Izottę*.

Wychwalanie bowiem księcia stanowiło właściwe zadanie nadwornych filologów. *Zygmunt*, jeden z władców najosobliwszych, był zarazem jednym z najpierwszych, którzy utrzymywali uczonych na swych dworach. Za panegiryki dostawali jurgielt, stanowiska poczesne i dary; po śmierci zaś grzebano ich w kościele w pobliżu pomnika „świętej *Izotty*.“ Ciekawy tego mecenasostwa zabytek przechował się w zbiorze „*Trium poetarum opuscula*“ (Paryż 1559). Trzej poeci, albo raczej wierszokleci, zestawili w tém dziele wszystko, co

w dziedzinie pochlebstwa dworskiego dało się miernymi wypowiedzié wierszami. Pierwszym z nich jest *Porcellio*, poeta przedajny, w życiu i pismach niemoralny; tułał się całe lat dziesiątki po dworach książąt rozmaitych; już 1434 r. więziony przez *Eugeniusza IV*, a w szóstym jeszcze dziesiątku opisywał lichymi heksametrami wojny *Frańciszka Sforzy z Piccininem*. Drugim był *Basinius* Parmeńczyk (1425—1452), pisarz pracowity, godny uczeń *Wiktoryna*, miłośnik greczyzny; człowiek skromny zasługiwał zupełnie na względy *Malatesty*, mimo, że wydrwiwał chudopacholków, którzy wałęsali się w Rimini, nie opromienieni słońcem łask książęcych. Trzecim wreszcie jest *Trebanio*, o którym niechyśmy nie wiedzieli, gdyby nie wiersze jego w owym zbiorze. Ci poeci oraz inni, którzy nie przebywali w Rimini, ale holdowali osobliwszej parze, jak np. *Tytus*, *Wespazyjan Strozza*, żywią to przekonanie, że oni właśnie obdarzają książąt sławą. „Imię twoje,“ przemawia któryś z nich do *Zygmunta*, „rość będzie dzięki moim wierszom jako topola wyniosła, kiedy posila ją woda“ a drugi zwraca się do *Izotty*: „pieśń moja uczyni cię nieśmiertelną.“ Przesadzali się w pochlebstwach. *Zygmunt* w ich wierszach ukazuje się jako „bóg poetów“ a *Izotta* jako wybranka *Jowisza*; na *Olimpie* wynika wzburzenie z przyczyny tego wyboru, któremu na zawadzie stoi cnota *Izotty*; bogowie pisują do siebie listy i wyprawiają na ziemię wywiadowców; po długich dopiero układach skłaniają ojca bogów, że śmiertelniczkę, ale nieśmiertelności godną, zostawia potężnemu księciu a sam zadawalnia się wrażeniem estetycznym, jakie nań *Izotta* wywiera. Związek miłosny, zatwierdzony przez bogów, zasługuje téż na pochwałę ludzi. Poeci więc komponują listy miłosne pana do pani, a w nich wysławiają wierność obojga, wszelkim opierającą się pokusom. *Izotta* jest kwiatem czystości, a *Zygmunt* panem potężnym; gdyby nie on, tryumfowałby nad Italią barbarzyniec; słuszna przeto, aby Italia postawiła go na swém czele. Na podobieństwo poetów upamiętniali parę książęcą i artyści także. Żadnej może osobistości wybitnej Włoch ówczesnych nie wyobrażano tak często na medalach jak *Zygmunta* i *Izotę*; wykonywali je zaś artyści nie zawsze na zamówienie, ale z własnego popędu. Same już napisy panegiryczne na nich miały wyrażać hold głęboki. Wszystkie inne charakteryzuje dostatecznie jeden z nich, poświęcony *Izocie*: *forma et virtute Italiae decvri* (pięknością i cnotą ozdobie Włoch).

Nie dziwnego, że niegodziwiec znajdował jurgieltników i panegirystów w wierszokletach lichych; ale uderzającym jest to, że książę, istota jedna z najnikczemniejszych w całym stuleciu, przykuwa do siebie mężów, należących do najszlachetniejszych zjawisk epoki. Człowiekiem zacnym był już przecie *Valturio*, inżynier wojskowy, który, według opisu dworu, skreślonego przez *Porcellia*, układał *leges*

i *jura militiae* t. j. chyba plany bitew i postanowienia dotyczące wojskowości. A cóż mówić dopiero o *L. Ch. Alberti*'m, który bawił 5 lat na dworze *Zygmunta*? Był to wszakże gieniusz, człowiek stanowczy i niepodległy, gotowy, na nic się nie oglądając, w każdej chwili zerwać pęta, gdyby mu zaciażyły. Pobyt więc *Alberti*'ego rzuca blask niejaki na posępny dwór w Rimini, stałe zaś przywiązanie *Zygmunta* do *Izotty*, lubo nie wolne od teatralności, nie płynie wyłącznie z namiętnej żądz rozkoszy i nadaje też wyrodkowi niejaki pozór człowieczeństwa.

Montefeltro i *Malatesta* byli śmiertelnymi wrogami. *Malatesta* był przeciwnikiem *Montefeltra* w pierwszej już bitwie, w której *Fryderyk* skuteczną niósł pomoc ojcu. A jeszcze w lat dwadzieścia potem, stoją znów naprzeciw siebie, jako zawzięci wrogowie *Montefeltro* *Fryderyk* i *Zygmunt Malatesta*. Pośród walk tych wydarzały się sceny osobliwsze! Obaj wyzywali się na rękę, aby pojedynkiem rozstrzygnąć losy wojsk i narodów, później zaś wzajemnie sobie zarzucali, że wyzywający oznaczał czas lub miejsce, kiedy i gdzie wyzwany nie mógł się stawić. Dwukrotnie robili próby zawarcia pokoju. Raz był pośrednikiem *Borso z Ferrary*; pragnął on dziełu swemu przydać więcej mocy przez osobiste spotkanie wrogów, zjechali się; ale miotali na siebie „słowa mniej niż przystojne,“ słowa, które kronikarz, donoszący o tém, przemileczał „z szacunku dla wielkich panów.“ Powtórnie niósł różdżkę oliwną *Pius II*, który doprowadził rzeczy do tego stanu, że nieprzyjaciele podali sobie dłonie i uściśnęli się nawet. Ale te zbliżenia pozorne przyjaźni nie zrodziły bynajmniej. Przeciwnie! Urastała stąd raczej zawziętsza jeszcze nieprzyjaźń i wynikały walki na zabój, podczas których *Fryderyk* gnębił dotkliwie *Zygmunta* i wydarł mu niejedną posiadłość. Wojna była tak niszcząca, że *Zygmunt* twierdził, iż zaraz zostanie kucharzem papieża, a nieza długo *Fryderyk* mulnikiem. Aby więc co rychlej ją ukończyć, zaproponował związek małżeński między swym synem *Robertem* i jedną z córek *Fryderyka*. Nieubłagany *Fryderyk* projekt wszelako odrzucił, a dla ostatecznej zagłady wroga posługiwał się siłą i podstępem, nadużywszy w liście imienia przeciwnika, zdobył najważniejsze z miast jego i straszne zadawał mu cięgi.

W tych właśnie wojnach otoczył *Fryderyk* skroń swą wawrzynem sławy wojennej, podbojami granice państwa rozszerzył, a łupami zagranicznymi ulżył ciężarom poddanych. Ale kraj się wyludnił, a nieustanne wznawianie walki wywoływało niezadowolenie i skargi mieszkańców.

Tenże sam władca, zaliczany w poczet największych wojowników swego wieku, uchodził też i to zupełnie słusznie, za znakomitego uczonego, za rozumnego krzewiciela sztuk i nauk.

Dla zaświadczenia wzmożonej potęgi uczul przedewszystkiem potrzebę pałacu. Pałac powstał a udał się tak świetnie, że wychwalano go jako dzieło cudowne a za budowniczych podawano architektów najslawniejszych, nawet tych, którzy wówczas już w grobach spoczywali, jak *Brunellesco* i *L. Ch. Alberti*. Istotny zaszczyt należy się *Lucyanowi da Laurana* z Illiryi, który długo przy budowie był czynny. Artystę powołał *Fryderyk* 1468 r., jak się w odnośnym wyraża dokumencie, „dla zbudowania domu, któryby pięknoscią odpowiadał stanowisku oraz głośniej sławie przodków naszych i własnemu naszemu stanowi“. Współpracownikami *Laurany* byli nadto: *Frańciszek da Giorgio*, „pożyczony“ ze Sieny na kilka lat tylko i wymieniany w charakterze dozorca fabryk, oraz *Baccio Pintelli* Florentczyk, którego w napisie nagrobnym uczczono „architektem pałacu“. Dworzec podziwiano, zanim został jeszcze skończony. *Fryderyk*, ucieszony pochwałami, ulegając prośbie postronnych, jak np. *Wawrzyńca de Medici*, chętnie posyłał im rysunki i plany. Pałac był widowym znakiem wielkości *Fryderyka*, ale mimo to każdy miał od jednego rzutu oka poznać sławę właściciela; umieszczono więc dwa napisy łacińskie. Jeden mówił: „*Federigo*, książę Urbino, gonfalonier świętego kościoła rzymskiego, naczelnik ligi włoskiej, zbudował ten dom i od fundamentów go wymurował na sławę swoją i swych potomków“; drugi zaś brzmiał: „Ten, co niejednokrotnie w pojedynku walczył, sześć sztandarów zdobył i często wroga gromił, we wszystkich bitwach zwycięzca, kraj swój powiększył a zwycięstwa swe upięknił i uświetnił sprawiedliwością, łaskawością, hojnością i pobożnością, cnotami w czasie pokoju spełnianemi“. Posąg jego przyozdabia od 1606 r. schody pałacu dziś opuszczonego.

W gmachu tym gromadził się dwór z 500 osób. Między niemi znajdowało się nie mniej jak 45 hrabiów z księstwa Urbino i innych państw włoskich. Dla dworu swego wydał przepisy (zachowane dotąd w manuskrypcie), poczynające się od żądania bezwarunkowej uległości i posłuszeństwa, bez których niemożliwa żadna administracya dworu i państwa.

Fryderyk był opiekunem i krzewicielem umiejętności i sztuki. Biskupstwem Urbino obdarował *Lazzara*, który go uczył greczyzny; brzęcząca nagrodą odplacał się uczonym, którzy mu swe dzieła przypisywali lub w swych pismach odzywali się o nim z pochwałami. On sam celował wyższem ukształceniem, uchodził za mówcę pierwszorzędnego i mowami umiał technąć odwagę w żołnierzy. Odznaczał się głęboką znajomością pisarzy chrześcijańskich i pogańskich, greckich i rzymskich, ale od wielu współczesników wyróżniał się tém, że nad poetów przekładał historyków i filozofów, że między filozofami umiłował najbardziej *Arystotelesa*. Pisma *Arystotelesa* oraz innych

autorów greckich kazał tłómaczyć, a z oryginałów robić odpisy; zatrudniał więc stale znaczną liczbę kopistów i wydawał na nich duże sumy. Rzadko bowiem nadarzała się sposobność zakupu rękopisów starożytnych, „wstydił się zaś posiadać książki drukowane“, chociaż z drugiej strony rad korzystał ze wszelkich wynalazków nowych. Zgromadzone przez się rękopisy starożytne i kopie nowe złożył w bibliotece, która zdobyła sobie rozgłos księżnicy, jednej z najbogatszych i uporządkowanych najsystematyczniej. Skatalogował ją *Tomasz de Sarzano*, późniejszy papież *Mikołaj V*, wziąwszy za podstawę spisy innych wielkich bibliotek. Pisarze łacińscy mieli naturalnie pierwszeństwo przed włoskimi, starożytni przed nowoczesnymi. Mimo to przecież terazniejszość i osobę księcia uwzględniano o tyle, że z wielką starannością przechowywano dzieła dedykowane *Fryderykowi* i pilnie zachowano zbiory przywilejów domu *Montefeltro*. Wbrew postępowaniu wielu współczesnych pisma ojców kościoła wysoko cenił, studyował je i pilnie z sobą porównywał; robił to jednak nie z kaprysu, lecz z pobożności. Bo był rzeczywiście pobożnym; toć sułtan *Mohammed* nazwał go „wielkim chrześcijaninem“. Obserwował najściślej przykazania kościoła, każdego poranku słuchał mszy i z powodu właśnie tych wyobrażeń pobożnych przestrzegał skrupulatnie wierności i wiary, czém tak korzystnie wyróżnia się od wielu książąt swego czasu. Dbał również o pobożność kraju, a dla przywrócenia dawno już zatraconej świętobliwości życia zamyślał o reformie klasztorów; to mu się jednak nie powiodło. Dla ludzi lubiących dzikie przekleństwa nie znał litości i łaski. Pobożnych za to, jak np. *Św. Franciszka Ugolino*, przełożoną klasztoru *Św. Agaty* w Urbino, zaszczycał nawiedzinami i lubił z nią rozmawiać. Kochał sztukę a tak żywo interesował się architekturą, że, gdy rozprawiał z artystami, mógłbyś sądzić, iż słuchasz budowniczego. Z Flandryi sprowadzał tkaczy i malarzy — i dawał im ważne zlecenia.

Ale co najgłośniejsza, był *Fryderyk* człowiekiem szlachetnym. Względem każdego przyjacielski, ludzki i uprzejmy; wszyscy go też kochali i czcili. Nie zaiste nie charakteryzuje lepiej jego stosunku prawdziwie ludzkiego do poddanych, jak następująca historyjka zapisana przez *Castiglione'go*. Przybywszy podczas pewnej wyprawy nad brzeg bystrej rzeki, zwrócił się do idącego w tyle trębacza z nakazem: „marsz“; żołnierz zdjął czapkę, oddał pokłon głęboki i pokornie rzecze: „Za tobą, najjaśniejszy panie“. Anegdota nie świadczy zapewne o zbyt surowej karności, ale dowodzi pewnej poufałości między panem i poddanymi, przyjemne robiącej wrażenie; poufałość taka zjednywa poddanych i bynajmniej nie przeszkadza im, ale raczej ich podnieca do poświęceń, gdzie się tego okaże potrzeba.

Dworu literackiego Urbino właściwie nie posiadało; książę bo-

wiem nie potrzebował urzędowych pochlebców; dla kreślenia czynów rzeczywiście znakomitych, zjednał sobie pisarza arcy wymownego w osobie *Wespazjana da Bisticci*. *Bisticci*, księgarz i pisarz, człowiek doświadczony, czytany i wykształcony, zawdzięczał swe ukształcenie nietyle studjom głębokim, ile raczej bystrości umysłu i obcowaniu z wybitnymi w nauce mężami. Pisał po włosku językiem niewyszukanym biografie słynnych współczesników a między nimi niepoślednie miejsce wyznaczył *Fryderykowi*. Życiorysy jego są nader cennym źródłem do poznania epoki. Układał je w latach podeszłych, stąd też przebijają w nich zapatrywania właściwe wiekowi starszemu. Nie rozumie już tedy młodszych, kosztem ich przechwała starszych a skutkiem takich uwielbień nie zna w wysławianiu miary.

W r. 1474 zastąpił *Fryderyk* za pozwoleniem papieża *Syktusa IV* tytuł hrabiego de Montefeltro godnością księcia Urbino. Umarł 10 września 1482 r. Z drugiej małżonki pozostawił osiem córek i syna *Guidobalda*, który objął rządy po ojeu (1482—1508) i był podobnie jak on kondotyrem. Ale kiedy rodzic w skutek zbiegu szczęśliwych okoliczności, mimo swego najemnictwa nie zmieniał skłonności i przyjaźni, syn tymczasem walczył już to za papieża, już przeciw papieżowi, w porozumieniu z Florentczykami lub też jako ich wróg; kiedy rodzic mógł z dumą obwieszczać, że był zawsze zwycięzcą, syn tymczasem raz musiał pójść w niewolę a dwa kroć z kraju własnego uciekać; *Federigo* żył we Włoszech w czasie, kiedy cudzoziemcy tęsknym co najwyżej spoglądali na nie wzrokiem; *Guidobaldo* zaś dożył najazdów Francuzów i wśród burz przez ich napady wzniesionych musiał bronić stanowiska swego. *Guidobaldo* nie był ani artystą w sztuce wojennej, ani znawcą umiejętności wojskowej; stał więc niżej od ojca, który z *Piusem II* potrafił rozprawiać uczenie o taktyce starożytnych; prowadził on wojny bardziej z potrzeby aniżeli z zamiłowania. Nie był też i uczonym. Wychowanie co prawda otrzymał bardzo staranne; kierowali nim *Ludwik Odasio*, znakomity Paduańczyk, który wychowawca uczył jeszcze i mową pogrzebową, oraz krewniak *Oktawian Ubaldini*, miłośnik poezyi i malarstwa, adept magii i mistrz w intrygach dworskich. Ale młody książę mimo podniet ze strony nauczycieli nie przykładał szczególnej wagi do wykształcenia naukowego i, gdyby naukę więcej nawet cenił, nie zdołałby jęj zgłębić z przyczyny niepokojów onego czasu. Ponieważ właśnie nie dorównywał ojcu, przeto ucuwał tém większą konieczność opierania się na innych, dając się im powodować, a głównie swęj małżonce, szlachetnej *Elzbiecie* z domu *Gonzagów*. *Elzbieta* wytrwała w dziewiczej czystości u boku niedołęznego męża; przy jęj współdziałaniu stworzył *Guidobald* na dworze siedzibę wzniosłych obyczajów i kwintnego życia towarzyskiego.

Elżbieta (1475—1526) była ogniskiem tego koła. Posiadała zmysł subtelny w odkrywaniu i przykuwaniu do siebie talentów, miłowała sztukę i okazywała uznanie artystom; chociaż, nie protegując wyłącznie jednego, zdawała się każdemu z osobna tylko sprzyjać, mimo to była wszystkim jednako użyteczną; nie dążąc bynajmniej do władzy, wywierała na otoczenie wpływ potężny, — i wszyscy chętnie jęj ulegali. Wielkość umiała przeczuć; w *Janie Santi'm* np. czciła ojca słynnego *Rafaela*. Imiona znakomite we wdzięcznej chowała pamięci; miłości bowiem i szacunku, jakie żywiła dla *Jędrzeja Mantegna*, nie zgasiła wraz z jego śmiercią, ale uczucia te przeniosła na mniej znaczącego syna *Frańciszka*. Była to postać idealna. Wysławiano ją téż i wystawiano w blaskach niebiańskich. Sława jęj nie zaginęła bynajmniej, jak wielu księżniczek ówczesnych, wraz z jęj skonem. *Elżbieta* pozyskała nieśmiertelność za sprawą pism dwu mężów, którzy dwór jęj długi czas uświetniali: *Piotr Bembo*, na cześć jęj składał poezye pochwalne, *Baltazar Castiglione* sławił ją w swoim *Cortegiano* (Dworzanin).

Baltazar Castiglione (1478—1529) był pisarzem, mężem stanu i wojownikiem. Urodził się w Mantui; wcześniej jednak przeniósł się do Urbino i dla ojczyzny tak zobojętniał, że ksiązę mantuański długo nie chciał przyjąć wiarołomnego poddanego w charakterze posła urbińskiego, ani téż dać mu miejsca w swęj służbie. Pozostał więc *Castiglione* wiernym władcy Urbino, lubo nieraz skarżył się na żoład szczupły; uczestniczył w wojnach *Guidobalda*, jeździł z jego polecenia do Anglii i służył jego następcy *Frańciszkowi Maryi della Rovere*. Na usługach księcia dotknięty chorobą, miał to szczęście, iż go z miłością pielęgnowały w niemocy książęce niewiasty. W końcu wrócił wszelako do ojczyzny i jako poseł mantuański, długo mieszkał w Rzymie; umarł w czasie podróży, którą przedsięwziął w interesach *Klemensa VII* do Hiszpanii.

Castiglione władał świetnie zarówno językiem łacińskim jak i włoskim. Po łacinie pisał wiersze do przyjaciół i krewnych, oraz ważne przyczynki do dziejów współczesnych, po włosku zaś sprawozdania poselskie dla swych ksiąząt, listy do żony i matki swęj; wydał wreszcie *il Cortegiano* (Dworzanin), dzieło, które miało nieśmiertelnie i jego i dwór w Urbino.

W *Cortegiano* skreślił *Baltazar* obraz dworzanina doskonałego, przedstawiony w rozmowach kobiet i mężczyzn, którzy odgrywali rolę na dworze urbińskim. Do szeregu rozmówców należą: *Julian de Medici* (1478—1516), trzeci syn *Wawrzyńca*, rządca Florencyi, wybrany potém władcą Medyolanu i mianowany gienerał-kapitanem papieża; *Cezar Gonzaga* (zmarły 1512), młodzieniec wojowniczy, talentem poetyckim obdarzony, zgasły w kwiecie wieku; bracia *Oktawian*

i *Fryderyk Fregoso*, dwaj Genueńczycy, z których starszy walczył w mieście ojezystem przeciw Francuzom, lecz przez nich pojmany, dokonał życia w więzieniu, młodszy zaś, człek pobożny, piastował wysokie godności duchowne i obszerną celował wiedzą; nakoniec, prócz kilku innych mniej wybitnych osobistości, *Kardynał Bibbiena* i *Piotr Bembo*, o których na właściwych miejscach będzie mowa.

Dworzanin ma być wyrobionym i ukształconym zarówno pod względem fizycznym, jak i duchowym. Ponieważ dwór winien przedstawiać obraz towarzystwa najwytworniejszego i najbardziej wyborowego, jednostka przeto dążyć musi do osiągnięcia najwyższej doskonałości. Doskonałość zaś ta polega na biegłości we wszelkiego rodzaju ćwiczeniach gimnastycznych, w znajomości języków i rozumieniu sztuki; przedewszystkiem jednak polega na ukształceniu etycznem. Niewątpliwie wpływem pośrednim szlacheckiego dworu niewieściego w Urbino przypisać trzeba, że *Castiglione* mówi o umysłowem równouprawnieniu kobiety z mężczyzną, że domaga się przebaczenia dla kobiety w tych wypadkach, w których aż potąd mężczyzna doznawał pobłażliwości, aby całą hańbą obciążyć niewiastę. Ale ostrzega zarazem kobietę przed upodobaniami męskimi, przed popisywaniem się siłą męską i tym podobnemi zabiegami zgola niekobiecami. Na tém jednak kończy się bodaj wpływ dworu na autora Dworzanina. W przepisach, jakie zawiera „*Cortegiano*”, występuje autor bardzo często nie jako obowiązany sługa księcia, ale jako człowiek wolny, który we dworze widzi tylko ideał towarzystwa ludzi jednomyślnych i równouprawnionych. *Castiglione*, dworzanin ówczesny i późniejszy poseł papieski, zgromadziwszy w rozdziale o dowcipie pewną ilość dobrych anegdot, bez trwogi przyłączył do nich i takie, których treść wymierzona przeciw książętom i papieżom. Stawia nam dalej przed oczyma wizerunek księcia i jego otoczenia, ale ze dworu pragnie usunąć pochlebców. W sporze między monarchią a rzesząpospolitą głosuje za monarchią, ponieważ jednostka zdoła łatwiej zdożyć wykształcenie rozumne aniżeli—tłum; żąda zaś monarchii poniekąd ograniczonej, poniekąd jeno, gdyż członków dwu rad, wyższej i niższej, chce widzieć mianowanych przez króla; do izby wyższej mają należeć reprezentanci szlachty a do niższej wyobraźciele ludu. Pragnie, aby książę posiadał uzdolnienie wojskowe i zamiłowanie w przepychu, nie tyle jednak dla uświetnienia imienia własnego, ile raczej dla honoru i sławy ojezyny. Oplakuje położenie Włoch i gotówby zawezwać najpotężniejszych malarzów ziemi dla ugruntowania pokoju wszechświatowego, byle tylko pięknej Italii zapewnien pokój.

Poglądy i życzenia podobnie idealne wygłasza również ku końcowi dzieła, gdzie prowadzi rzecz wzniosłą o miłości duchowej. Mowa

jego musiała nawet wówczas dźwięczeć bardzo dziwnie w uszach niejednego dworzanina.

„Ty kojarzysz“ — brzmi tam jedno miejsce — „żywiły, skłaniasz przyrodę do tworzenia, a twory do życia dalszego. Ty jednoczysz, co rozdzielone; marność czynisz doskonałością, co rozróżnione — jednolitością, co wrogie — przyjacielskiem; ty dajesz płody ziemi, morzu spokój, niebu światło życia. Tyś macierzą uciech prawdziwych, wdzięku, pokoju, łagodności, życzliwości; tyś nieprzyjaciółką dzikości i lenistwa; ty początkiem i końcem wszystkiego dobra. Miłości, popraw kłamliwość zmysłów, po wielu obłędach zaszczerp w nas prawdę, daj nam czuć owę woń duchową, która ożywia cnotę; pozwól słuchać harmonii niebiańskiej, która umarza niezgodę; upajaj nas z niewyczerpanego źródła zadowolenia, które zawsze krzepi a przezroczystą swą wodą udziela pijącemu przedsmak błogości; rozjaśnij światłem własnym oczy naszej ciemnej nieświadomości, iżby nie ceniły tylko piękności znikomiej, iżby nie szanowały nadal tego tylko, co widome, ale iżby raczej czciły to, co przed wzrokiem ukryte; zażegnij dusze nasze owym żarem żywym, który pożera wszystko, co nikiżemnie szpetne. Miłości! spraw, aby dusze nasze od ciał do szczytu oddzielone zespoliły się wiecznym i słodkim węzłem z boską pięknnością; spraw, abysmy jako prawdziwie kochający, wyrzekłszy się siebie samych, przemienili się w przedmiot ukochany; spraw, abysmy, ku aniołom wzniesieni, zjednoczyli się z Bogiem“.

Mowę tę włożył *Castiglione* w usta *Piotrowi Bembo*. *Bembo* nie może być zacieśniony w jedném kole dworu urbińskiego, należy on raczej do całych Włoch; co więcej, uchodzić może śmiało za pisarza uniwersalnego. Urodzony republikanin (ujrzał światło dzienne w Wenecyi 1470 r.), służył długo onej szlachetnej parze książęcej w Urbino i łacińskim panegirkiem złożył jej dań wdzięczności. Po wstąpieniu na tron *Leona X* wybrany urzędnikiem papieskim, zgasł kardynałem w wieku sędziwym (1547). O papieżu tym wyrzekł, że jest z poruczenia bogów nieśmiertelnych, którzy kochaliby Jezusa Chrystusa. Młodość poświęcał miłości, epokę życia męskiego Muzom, starość religii. Mimo godności duchownych, szukał uciech w miłości; w poezjach płonących ogniem zmysłowym wystawiał kochankę, nie żaden twór fantazyi, ale piękną Rzymiankę, z którą troje spłodził dzieci; pisał, téż swawolne elegie w języku łacińskim. Obok tych poezyj erotycznych układał jednak przeniknione tehniem idealném rozmowy o miłości, *gli Asolani*; wypowiada w nich myśli zbliżone do tych, jakie mu włożył w usta jego przyjaciel *Castiglione*. Dyalogi te, nazwane od miasteczka Asolo w Treviso, siedzibie słynnej *Katarzyny Cornaro* cypryjskiej, poświęcił *Lukrecyi Borgia*. Traktuje w nich autor miłość w taki sposób, że dnia pierwszego wysławia miłość jako

źródło najwyższego szczęścia ludzkiego, w dniu drugim potępia ją jako sprawczynię nieszczęść ludzkich a dnia trzeciego wystawia w roli pośredniczącej, jako twórczynię dobra i zła, jako pierwszy stopień do *amor divino*, do miłości boskiej wszystko ubłogosławiającej. Bembo był poetą i prozaikiem, filologiem i historykiem; pisał w języku łacińskim i włoskim. Sporządził krytyczną edycję dzieł *Dante*go (1502), wydał (1522) prawidła o używaniu języka włoskiego, prezydował (1531) na kongresie językoznawczym, który miał zakończyć długoletni spór między Lombardami a Toskańczykami o wyższość ich narzeczy. Chętne posługiwanie się językiem włoskim nie przeszkadzało mu bynajmniej w gorliwej uprawie niwy łacińskiej. Ponieważ nie czuł sił dostatecznych, aby się oprzeć prądowi czasu, został więc bezwarunkowym ciceronianinem; w listach urzędowych i prywatnych, których zbiór sam przygotował, wystawił wzór stylu listowego onęj epoki. W swęj historii weneckiej, napisanej z polecenia oficjalnego, dał wzór owych dzieł historycznych, które wyrażeniami zapożyczonymi z kultu pogańskiego lub z rzymskich urzędów państwowych powierzchownie przypominały mistrzów starożytnych, ale nieskończenie stoją od nich niżej pod względem uporządkowania metodycznego i ekspozycyi historycznej. Sługa kościoła, nie przestał być jednak światowcem; zamiłowany w astrologii, nie był też próżen przymieszek pogańskich. Dostojeństwa kardynalskiego nie chciał więc przyjąć; zgodził się na to wówczas dopiero, kiedy usłyszał w kościele przeczytane z ewangelii słowa Chrystusa: *Pietro seguimi*, Piotrze, pójdz za mną, mniemając, że wyrażają one sprawiedliwą zachęte.

Ze śmiercią *Guidobalda* zniku i Urbino z szeregu księstw, które wywarły wpływ na rozwój Odrodzenia. Samoistność swą utrzymało jeszcze przez wiek cały, zanim na podobieństwo innych kwitnących niegdyś państewek połknęła je wzrastająca potęga papiestwa. Spokrewniony z *Montefeltrami* dom *della Rovere*, z którego pochodzili papieże: *Sykstus IV* i znamienitszy odeń synowiec jego *Juliusz II*, wydawał i władców zdolnych. Odznaczyli się między nimi: *Frańciszek Marya I*, *Guidobaldo* i *Frańciszek Marya II*. Starali się oni snuć dalej wojenne i literackie tradycje przodków, ale czas wymagał innych środków i ludzi innych. Urbino więc, igraszka wysokiej polityki, musiało poprzestać na tém, iż przeżuwało sławę, jaką po za obrębem miasta roznosili: wielka przeszłość, lub żyjący za granicą wielcy synowie, z których największym jest *Rafael Sanzio*.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Ferrara.

Dłużej niż Urbino zażywała sławy, jako głośna siedziba sztuk i nauk — Ferrara.

„Ferrara zawdzięcza wielkość tylko swym książętom”. Zdanie to często przytaczane w części jeno jest uzasadnione. Mężów prawdziwie wielkich dom *Estów* nie wydał zgoła; ale zdolni jego członkowie umieli zręcznie zużytkować prąd czasu, aby próżnię wewnętrzną utaić pod blaskiem zewnętrznym. Mieli to szczęście, iż znajdowali zawsze pisarzy, którzy ochoczo stawali się heroldami ich sławy. Za sprawą panegirystów pozyskali imię książąt pokoju; w rzeczy zaś samėj nie mniej od innych tyranów włoskich splamili swój ród i kraj mordem i okrucieństwem. Za sprawą panegirystów zdobyli sobie sławę mecenasów; w rzeczy zaś samėj poetów i mówców, najgłośniejszych zwiastunów ich zalet, karmili raczej pięknymi słówkami, aniżeli cennymi nagradzali podarunkami.

W epoce rozkwitu Odrodzenia panowali w Ferrarze *Herkules I* (1471—1505) i *Alfons I* (1505—1534). Później nieco żył dręczyciel *Tassa Alfons II*, któremu właśnie męczony przezeń poeta olbrzymią miał zapewnić sławę.

Herkules I jest mężem dzielnym, ruchliwym i czynnym. Był legalnym synem margrabiego *Mikołaja III*, po którym czas jakiś dzierżyli władzę dwaj bękarci. Z użyciem dopiéro przemocy objąwszy ster rządów, przywrócił tron rodowi prawowitemu i poślubił *Herkules-Eleonore Aragońską*, córkę *Alfonsa*, króla neapolitańskiego. Po świe-

tnych festynach (1473), urządzonych za namową kardynała *Piotra Riario*, sprowadził małżonkę do Ferrary z pompą nadzwyczajną. Pożycie małżeńskie nie było jednak zbyt szczęśliwe. *Eleonora* umarła 1493 od zadanėj, jak mówiono, przez Herkulesa trucizny, którą usiłowała sama pono zgubić męża. Mimo to naznaczono urzędową po niej żalobę i opiewano ją w pieśniach; między niemi najgodniejszym uwagi jest wiersz młodocianego *Aryosta*. Herkules sterował nawą państwa wśród różnych niebezpieczeństw. Ponoślił wprawdzie uszczerbki, ale starał się wszelkimi siłami o zachowanie całości jego granic. Odwagę wojskową i zręczność dyplomatyczną wykazał w wielkiej wojnie, którą 1482 r. toczyli przeciw niemu Wenecya i papież. Od tój pory za główne zadanie swój polityki uważał pojednanie z papieństwem oraz utrzymanie dobrych stosunków z Francją, która coraz większy wpływ zdobywała sobie na sprawy włoskie. W skutek takiej polityki musiał ostatecznie zaślubić syna z córką papieża, chociaż papieżem pogardzał, a do córki wstręt uczuwał. Był to postępek przeciwny interesom narodowym; zjednał mu też przezwisko „kramarza” (mercantante), którem go zbezczescił w przystępie złego humoru *Aleksander VI*. W polityce wewnętrznej był tyranem bezwzględny. Co dzień przeglądał listę cudzoziemców Ferrary, monopolizował handel, pozwalał rządzić okrutnie niesprawiedliwemu i samowolnemu dyrektorowi policji *Grzegorzowi Zampante*, który wielkim zbrodniarzom dał się przekupywać, a tępił złoczyńców małych, czém rozjątrzył lud i straszny spowodował wybuch. Sprzedawał książę urzędy i do tego rodzaju frymarków niecnych zmuszał nawet zacnych mężów; jak np. poetę *Tytusa Strozze*, który wprawdzie sam o sobie śpiewał, „że podczas swego urzędowania brudem rąk nie skazil”, ale lud, który skutki tój nieskazitelnosci wysledził, nienawidził go „bardziej niż dyabła”. Każdą rocznicę wstąpienia na tron obchodził procesyami, a kawalerów orderu, którym pewne prawa i dochody zapewnił, związał w kastę zamkniętą z oznaczeniem różnych powinności. Wielokrotnie wręszcie urządzał pokuty publiczne, nakazując procesy i ogłaszając nader surowe edykty pobożne. Działalność *Herkulesa* miała dla Ferrary następstwa doniosłe; miasto zostało rozszerzone i przyozdobione pałacami wspaniałymi; ludność wzrastała tak, że 1496 r. nie można było już mieszkania wynająć; ale pospólstwo jęczało pod uciskiem wielkich ciężarów, a mimo szpiegów i donosicieli objawiało nieraz niezadowolnienie, lubo nie żywiło zgoła ochoty do wymordowania wszystkich urzędników esteńskich, jak to radził uczynić *Ludwik Carbone*, poeta dworowi zresztą przychylny.

Uczonym *Herkules* nie był, lecz ukształcenie posiadał. Interesował się sztuką, a głównie pono muzyką; powiększył uniwersytet i pro-

fesorom podwyższył płace; widział pierwsze w swym kraju drukarnie; cieszył się, że poeci uczeni dwór jego nawiedzali i dodawali mu blasku swą obecnością lub pismami.

Skłonności tych nie podzielał bynajmniej jego następca *Alfons*, który wnet po objęciu rządów musiał tłumić powstanie kilku bękartów domu książęcego. Wykształcenia nie miał żadnego. Jakaż tego przyczyna? Być może, iż nie mógł ścierpieć uczoneści. Nie ucieszył się więc wcale ani kwiatami wymowy, jakie mu sypał *Filolfo* podczas pierwszych zaślubin jego z *Anną Sforza* ani też nie znajdował przyjemności w uroczystych pochodach i przedstawieniach komedyj Plautowskich, którym przypatrywać się musiał w czasie swych wjazdów do Ferrary. Do sztuki nie czuł również żadnego pociągu, co najwyżej zajmowała go może muzyka; mimo to przecież w latach późniejszych zatrudniał na swych zamkach *Belriguardo* i *Belfiore* najlepszych mistrzów ferrarskich, a przy sposobności zamawiał roboty nawet u *Tycyana* i *Rafaela*. Lubił natomiast pracować w warsztacie tokarskim; przedsięwziął też wielką podróż do Francji i Anglii, głównie dla zbadania politycznych i przemysłowych stosunków w krajach obcych. Przedewszystkiém jednakże lubił i znał wojskowość, a okazji do wykazania tych wiadomości nastrecało się dosyć. Związek bowiem z córką *Aleksandra VI* zabezpieczał pokój księżętom ferrarskim dopóty tylko, dopóki ten papież dzierżył klucze Piotrowe. Za następnych papieży wznowila się wojna, na chwilę jeno przerwana. Mimo osobistej waleczności, która rozstrzygnęła np. zwycięstwo pod Rawenną (1512), nie zdołał jednak *Alfons* obronić nieetykalności swego państwa. Wyklęty i od klątwy niechętnie zwolniony przez *Juliusza II*, musiał mu odstąpić *Modenę* i *Reggio*. Obie prowincje odzyskał wówczas dopiero (1528), kiedy udzielił posiłków *Karolowi V* w jego wyprawie przeciw Rzymowi. Ostatecznie przekazał swemu następcy państwo nienaruszone i zwodniczą niekiedy ludzi się nadzieją, że przyczłość krajowi zabezpieczył.

Alfons byłto człowiek prosty, w zachowaniu i odzieży niewykwintny, rozkosznieś wprawdzie, ale bez zgubnych namiętności, raczej surowy dla siebie, aniżeli występny i rozpustny. Nie jest więc dalekim od prawdy nowelista *Giraldi*, gdy wychwala jego wielkoduszność i szlachetność, wstrzemięźliwość i cnotliwość. Z trudnością dał się nakłonić do zaślubienia *Lukrecyi*, księżej córki; to też, złożywszy zaręczynami ciężką ofiarę polityce ojca, z narzeczoną nie korespondował wcale, ale podczas jej wjazdu do Ferrary udał się przebrany na jej spotkanie i powitał ją w *Bentivoglio*. Przyjąwszy *Lukrecyę* za małżonkę, nie odmawiał jej należnego szacunku, na który jako księżna zasługiwała i mężowi się wywzajemniała.

Lukrecya Borgia, zanim się zjawiała w Ferrarze, była grzesznicą,

a nawet bliską tego, by zostać zbrodniarką. Zmysłowość nieokiełznana wiodła ją do wybryków, a gnuśność moralna do czynów strasznych. O ile sama była winną wszystkiego, czem jej imię i pamięć splugawiono, tego w szczegółach nigdy wykazać nie będzie można. Jużcić nie ulega zaprzeczeniu, że brała udział w orgiach dworu papieskiego. Ale któż rzeknie, że wiedziała o morderstwie męża i że je aprobowała? że była wtajemniczona w okropne szkaradzieństwa ojca i brata? że występkami naturze przeciwnymi zasłużyła na ów pręgierz, pod który ją często i z całą surowością stawiano? Gdyby nań zasłużyła, kłamałby każdy rys jej pięknego i słodkiego oblicza, a bezwstyd i przewrotność jej wielbicieli i czcicieli dochodziłyby wymiarów niezmiernych. Jakżeby ona sama, obarczona lotrostwami, jakie na jej głowie spiętrzyli historycy późniejsi, byłaby śmiała wejść do rodziny, jednej z najświetniejszych w całej Italii? Jakżeby mogła, w lat 16 jeszcze po śmierci wszechwładnego ojca, odbyć wjazd z czołem dumnie wyniosłym pośród ogólnej radości ludu, wśród natchnionego okrzyku poetów, wobec wzmagającego się coraz bardziej szacunku męża? W każdym razie to pewna, że dopóki mieszkała w Ferrarze, była *Lukrecya* jedną z niewiast najszanowniejszych, jak jedną z najpiękniejszych była zawsze. Mogła nazywać szczęściem to, iż się uwolniła od straszliwego ojca i straszliwszego jeszcze brata i że dość rzadko wypadki bolesne przypominały jej przeszłość, zgrozy pełną. Żyła więc teraz jako małżonka szczęśliwa, jako matka dzieci, które w następnych lat dziesiątkach imieniu *Estów* przynosiły zaszczyt, jako przewodniczka dworu swobodnego, towarzyskiego, uświetnionego raczej przez mężów znakomitych, aniżeli blaskiem i zbytkami. Z lekkomyślnej damy światowej stała się matroną poważną, a czując się skonu bliską, pisała na dwa dni przed śmiercią, 22 czerwca 1519 r., do papieża *Leona X* list, który przytaczamy według tłumaczenia *Gregoroviusa*:

„Najgłębszém przejęta uszanowaniem, całuję święte stopy Waszej Świętobliwości i polecam się w całej pokorze Waszej świętej życzliwości. Cierpiąc więcej niż dwa miesiące z przyczyny brzemienności ciężkiej, urodziłam, jak się Bogu podobało, 14 go bieżącego miesiąca córeczkę. Cieszyłam się nadzieją, że, odhywszy połów, uwolnię się od cierpień; tymczasem nastąpiło pogorszenie tak znaczne, iż muszę spłacić dług naturze. Stwórca najlaskawszy daje mi jednak tę pociechę, że widzę koniec swego żywota i czuję, iż przyjmawszy wszystkie sakramenta święte, w ciągu godzin niewiele rozstanę się ze światem. Dobięglszy tej mety, pamiętam, że chrześcijanka i jakkolwiek grzesznica, błagam Świętobliwość Waszą, abyś w swęj łasce użyzył mi pomocy ze skarbnicy duchownej, udzielając duszy błogosławieństwa świętego. Błagam Cię więc o to w pokorze

i polecam świętej łasce Waszej mojego pana i męża, oraz dzieci moje; wszyscy oni są sługami Świętobliwości Waszej¹⁾.

Lukrecya zgasała, mając lat 39. Nie była ona bynajmniej uczoną, jak niektóre z jej współczesnych, a od wielu z nich ukształceniem stała nawet niżej; nie można jej też nazwać kobietą utalentowaną. Ale była to niewiasta rozumna, obdarzona bystrością i pojętnością umysłu wielką, władała językiem hiszpańskim, włoskim, a zapewne i francuskim; po hiszpańsku i włosku wyrażała się łatwo i zgrabnie w wierszu i prozie; być może, iż na podobieństwo mnogich dziewic wysokiego rodu, uczyła się i łaciny, nie zdobyła jednakże doskonałej znajomości tego języka. W spisie książek szczupłego jej zbioru, dokonanym 1502 lub 1503 r., znajdują się dzieła hiszpańskie, pisma święte, *Dante*, *Petrarka* i *Donato*. Nie wiele, co prawda! Lecz i tego dosyć, aby wiedzieć, że czytała i rozumiała dzieła nowsze, że była opiekunką dążeń literackich. Ponieważ książkę *Alfons* wykształceniem nie celował zgoła, słusznie więc pozostawił małżonce pieczę nad literaturą na swym dworze. Ale każde mecenasostwo pięknej kobiety wytwarza stosunki bardziej osobiste i serdeczniejsze, aniżeli opieka potężnego władcy mimo całej jego dla uczonych i poetów życzliwości. Księciu można tylko schlebiać, księżnę zaś kochać. Ujawniło się to i na dworze ferrarskim *Lukrecyi Borgia*.

Już podczas wjazdu *Lukrecyi* do stolicy księstwa, witali ją poeci. *Mikołaj Marya Paniciatus* sporządził zbiór epigramatów łacińskich pod napisem: „*Borgias*” i młodzieuchną księżnę stawiał wyżej od słynnej pięknością Heleny, ponieważ z urodą łączy czystość obyczajów. *Celiusz Calcagnini* ogłosił epitalamium, w którym przybywającej pani towarzyszy *Wenus*, a pozdrawia ją *Mnemozyna* z *Muzami*, córami swemi. *Aryosto* napisał także poemat podobny, który, sam jeden, nie zapewniłby mu, co prawda, wysokiej sławy poetycznej; wysławia w nim księżnę jako „dziewicę najpiękniejszą”, nie lęka się porównywać ją z *Lukrecją* starożytną i oplakuje Rzym, iż przez utratę tego klejnotu poniósł szkodę nienagrodzoną. Ale przy tej jednej okazji nie wyczerpali poeci swego uwielbienia. Zrzadka tylko, lecz tém głośniej za to składał hołdy księżnie *Aryosto*. Pochwały zaś są tej treści, że poniżyłyby ubłogosławionego od Boga poetę do roli potwora, gdyby choć poniekąd przynajmniej nie usprawiedliwiła ich zasługa opiewanej damy. Bo oto, co mówi w „*Orlandzie Szalonym*”:

O jej namiestniczce nablížszej co wiedzieć?
Co mam pierwój z strony jej przymiotów powiedzieć?
Lukrecyej-Borgiej, której dobrotliwa
Składność, gładkość i cnota uciwa

¹⁾ Przekład dzieła Gregoroviusa o „*Lukrecyi Borgii*” mają czytelnicy w „*Bibliotece najcenniejszych utworów*” z r. 1877.

I fortuna tak roście, jako roście młody
 Szczep między uprawnemi wsadzony ogrody.
 Jako cyna ku srebru, jako miedź ku złotu,
 Jako mak polny podle różanego płotu,
 Jako wybladła wierzba przeciw cyprysowi,
 Jako szkło malowane ku dyamentowi;
 Tak wszystkie insze panie, co są zawołane,
 Zostaną, gdy z Borgią będą porównane
 W rozumie, w obyczajach, w wielkiej roztropności,
 W dobroci, pobożności i świętobliwości.

(Przekład P. Kochanowskiego).

Z pomiędzy cudzoziemców, czasowo bawiących w Ferrarze, najwięcej wychwalał piękną kobietę *Piotr Bembo*, który, jak świadczą listy obojga, w serdecznych z nią pozostawał stosunkach; z krajowców odznaczyli się w tym względzie najbardziej *Tytus Strozza*, ojciec, i *Herkules Strozza*, syn.

Strozzi poetae, pater et filius, — tak brzmi tytuł zbiorowego wydania poezyj łacińskich (1-a ed. w Wenecyi 1513 r.), mających doniosłe znaczenie dla historii dworu ferrarskiego i literatury Odrodzenia. Znakomity ród *Strozzów* zamieszkiwał Florencję, gdzie w szesnastym jeszcze wieku nader wybitne zajmował stanowisko. Jeden z jego członków, *Nannes*, przesiedlił się w początkach wieku XV do Ferrary, pozyskał tam sobie rozgłos czynami wojennymi i życia dokonał 1424 r. Prawdopodobnie tegoż roku urodził mu się syn, *Tytus Wespazyan*, zmarły 25 stycznia 1505 r. Aż do śmierci pozostał wiernym Ferrarze. Po ojcu odziedziczył upodobania wojskowe, zwłaszcza téż zamiłowanie do myślistwa; obok tego poświęcał się literaturze i uprawę jej zaszczeplił w swęj rodzinie. Pełnił jeden z najwyższych urzędów dworskich, jeździł w różnych poselstwach, był namiestnikiem w Rovigo, a później piastował wysoki urząd sędziego. Raz wszelako musiał Ferrarę opuścić, skazany na wygnanie, jak się zdaje, z przyczyny mów swobodnych (*Poezye*, fol. 1186); w inném miejscu (fol. 1286) wywnętrza się, iż poszedł na banicję wskutek rozkazu swęj kochanki. *Wespazyan* był uczonym i poetą. Począwszy od 13-go roku, przez cały długi przeciąg żywota opiewał przedmioty najrozmaitsze. Chwalił przyjaciół, jak *Guarina*, „boskiego poetę” *Fribrachusa*, *Frañc. Filelfa*, nieprzyjaciół zaś, a między nimi filozofa *Cambio*, bezcześcił; wysławiał książąt Ferrary od *Lionella* i *Borsa* aż do *Aljonsa*, oraz pierwszą jego małżonkę *Annę* i drugą *Lukrecyę*, blagając Muzy, aby swą siedzibę obrały w Ferrarze. Oddawał cześć umiejętnościom, ale potępiał nauki fałszywe i druha swego, *Manzonusa*, odwoził od studyów nad alchemią. Wypadki epoki w poezyach jego nie odbijają się wcale; co najwyżej natchnie go do jakiegoś

wiersza wjazd *Piusa II* do Ferrary. Zajmuje się natomiast samym sobą; opiewa takie np. zdarzenie, jak przesyłkę owoców przez *Zucharyusza Barbo*, ojca *Ermolaa*, i uwiecznia datę tej przesyłki, dzień 23 lipca 1484. Od drobiazgów tych ważniejsze jednak mają dla niego znaczenie sprawy serca własnego; im też poświęca pióro. Zawiadamia więc czytelnika, że jego żona *Domicilla*, córka *Gwidona Rangone'go*, przeżywszy w szczęśliwem małżeństwie całe prawie lat 17, umarła 26 kwietnia 1487 r. w trzydziestej drugiej wiosnie; chętniej wszelako uniesmiertelnia swą miłość do *Anthii* i *Sylwii*. O ile te obrazy miłości opierają się na wypadkach rzeczywistych, o ile zaś są wytworem fantazyi poety, tego dziś rozstrzygnąć niepodobna. W każdym razie rozpowiada stary pan niedwuznacznie o uciechach miłosnych, o śnieżnej białości łonie (*niveus sinus*) kochanki, o sumiennej staruszcze (*conscia anus*), która w umówionej porze wprowadziła go do jego raju. Wynurza radość, widząc świetnie rozwijającego się syna, któremu zapewne przez wdzięczność dla ksiąząt, dał imię *Herkulesa*. Pragnął prowadzić go do celów i zadań wyższych. W wierszu przeto poświęconym synowi wylicza sławnych mężów z domu *Strozzów*, w których szeregu, „gdyby los zechciał”, chętnieby i siebie pomieścić; podnieca go do współzawodnictwa z przodkami, do zajęcia się sprawami umysłowemi, a zaniechania przyjemności światowych, jak np. myślistwa; wkońcu przypomina mu, że „bogowie” omamić się nie dadzą. Napomnień ojcowskich syn posłuchał i poświęcił zmarłemu rodzicowi tren, w którym wielbi jego zasługi jako urzędnika i poety i wita w nim pełnego sławy kontynuatora rodu słynnego.

Herkules, syn *Wespazyana*, urodził się 1471 r., zgasł mając zaledwie 37 wiosen. Był to człowiek utalentowany i poeta niepośledni. Jego spadek literacki jest nader szczupły i nie zdołałby mu zapewnić tak wielkiej sławy poetyckiej, jaką go otaczali współcześni; niejedno wszelako zaginęło, a może i smutny koniec poety przyłożył się do zwiększenia aureoli w oczach współczesników. Pomiędzy tworam *Herkulesa* znajdują się poezye religijne ku czci uroczystości kościelnych, na cześć świętych, a szczególnie Matki Boskiej, poezye, w których wyobrażenia pogańskie waleczą bezustannie o lepszą z chrześcijańskimi; dalej wiersze na cześć *Ludwika Moro* i cesarza *Maksymiliana*; pochwały przyjaciół i głośnych mężów epoki: *Lukasza Ripo*, *A. Teobaldeo*, *Jana Pico*, *Aniolo Poliziano*; poematy żartobliwe oraz skargi miłosne, które dedykuje przyjaciółce (*amica*) pod różnemi imionami, nie podając żadnych zgoła szczegółów pewniejszych o osobach, które swem uczuciem obdarzał, jak również o przygodach miłosnych. Trudno przypuścić, aby posunął się tak daleko, żeby *Lukrecyę Borgia* opiewał właśnie pod imionami *Neery* (nazwisko pewnej hetery greckiej) i *Nape*, od których żąda pocałunków, oraz pod imieniem *Celii*, od której doprasza się wzajemności; jest też bardziej niż wątpliwem, aby

księżna była przyjaciółką, której odjazd jemu samemu zmierzył miasto. Poezye bowiem dedykowane *Lukrecyi*, mimo że niektóre z nich istotną zalecają się pięknnością, nie są niczém inném, jeno wynurzeniami poety dworskiego, utalentowanego i tkliwego, co prawda, ale nie zakochanego. Kiedy maluje potęgę magiczną jęj oczu, co już-to życie wlewa, już w kamień zamienia; kiedy o śpiewie jęj z takim mówi uniesieniem, że większą celuje słodyczą, niż ponętne dźwięki czasów Peryklesa; kiedy wysławia dzieła sztuki, w jęj posiadaniu będące; kiedy jęj synka wita jako twórcę nowęj wielkieęj epoki; kiedy o róży jęj z przejęciem śpiewa, wołając (podług przekładu Gregoroviusa):

Rózo, z ziemi uciech wyrosła, paluszkciem uszezknęta,
 Czemu połysk barw twoich pięknieęj niż przedtęm jaśnieęj?
 Czy Wenus twe odnawia barwy? Czy usta *Lukrecyi*
 Raczeęj tym blaskiem purpury w całusie cię powłoczą?

co więcęj, kiedy nawet przyrównywa ją do bogiń starożytności, kiedy wkońcu, przebierając miarę, nazywa ją „przyczyną wszelkich przyczyn, Jowiszem wszystko stwarzającym i wszystko uszczęśliwiającym” — to i wtedy jeszcze żywi w swém sercu dla władczyni kraju nie inne uczucie, jak tylko hołd marzycielski, oraz nadzieję wynagrodzenia za usługi poetyczne. Ale stanowczo nie może być mowy o stosunku miłosnym między poetą i księżną, — i to tęp bardzieęj, że w maju 1508 r. poślubił *Strozza* piękną *Barbarę Torelli*, młodą wdowę po *Herkulesie Bentivoglio*. A lubo w trzynaście dni potęm, 6 czerwca 1508 r. znaleziono go zamordowanym na ulicy, jednakże na *Lukrecyi* nie ciąży nawet cień podejrzenia; raczeęj zabójstwo to jest dziełem może zazdrości *Alfonsa*, który, nieraz pożądując swych poddanek, znieawidził szczęśliwszego rywala. *Herkules* miał pono przecucie śmierci przedwczesneęj, gwałtowneęj. Raz bowiem, utyskując na swe niepowodzenie w miłości, oznajmia, iż sny smutne fatalny przepowiedziały mu koniec; innym razem, oskarżając się, iż opuścił Muzy, a poświęcił się sprawom państwa, powiada, że zascięgnie go za to skon rychły i zmusi pozostawić dzieła niewykończone i niewygładzone. Azaliżby wynurzenia tego rodzaju miały być tylko igraszką? Los straszny, jakiemu podległ *Herkules Strozza*, powiększył jeszcze sławę jego, żywot jego zapełniły podania rozliczne, a *Aryost* dokładał starań, aby poeta zyskał nieśmiertelność jako herold cnót *Lukrecyi*.

Obaj *Strozzowie* — to poeci; dwaj zaś przyjaciele: *Celiusz Calcagnini* i *Lil. Grzeg. Gyraldus*, chociaż pisali i ogłaszali wiersze, są wielostronnymi uczonymi w duchu Odrodzenia; brali oni żywy udział we

wszystkich kwestyach owoczesnych. *Calcagnini* (1478—1541) został w tak ściślejszej przyjaźni ze *Strozami*, że przez starszego był chwਾਲony jako poeta, a młodszego sam uczył mową pogrzebową. Pod wojowniczymi monarchami *Maksymilianem I* i *Juliezem II* służywał wojskowo, później zamienił miecz na pióro dyplomaty, aż wkońcu zawinął do portu cichęj nauki i pobożności nader surowej. Ba! skłaniał się nawet, jeszcze przed nastaniem rządów *Renata* francuskiego, do luteranizmu. Odwiódł go odeń wprawdzie pewien przyjaciel-teolog, ale *Calcagnini* wrócił później do przekonań dawniejszych; aprobował rozwodowe postępowanie *Henryka VIII*, porzucił całkowicie teologię, oddał się astronomii i, wyprzedzając *Kopernika*, opublikował pismo, w którym chciał dowieść, „że niebo stoi, a ziemia się porusza”. Astronomia wszelako nie stanowiła wyłącznej jego specjalności. Był on raczej *doctor juris* i humanista, zgromadzał stare rękopisy, wielką ich liczbą imponował współczesnym i studjami starożytniczemi zdobył sobie poczesne miejsce w szeregu badaczy. Zapał do ulubionych studyów posuwał tak daleko, że radby widział język włoski skazanym zupełnie na banicyę; z drugiejj jednak strony nietylko nie był bałwochwałę starożytności, ale nawet ośmielił się wstrząsnąć powagą *Cycerona* i przedsięwziął pisać krytykę księgi jego „O powinnościach”. Wolnomysłny i przesądów próżen, patrzył bez zawiści na usiłowania innych narodów, cenil uczonej niemieckich, których Włosi często jeszcze nazywali barbarzyńcami, i sprawił to, że jednego z nich, *Jakóba Zieglera*, powołano do Ferrary; co więćej, posiadał rzadką na owe czasy odwagę, kiedy z okazji doktoryzacyi żyda *Rubena* wykrzyknął: w rzeczach nauki nie odróżniaj żyda od chrześcijanina i nie pytaj, czy ktoś poganin, czy też wtajemniczony w misterya chrześcijańskie.

W pracach naukowych miał *Celusz Calcagnini* godnego towarzysza w *Lil. Grzeg. Gyraldusie* (1479—1552), który jeno dwa ostatnie dziesięciolecia swego żywota spędził w ojczystem mieście Ferrarze, poprzednio zaś pełnił przez długie lata obowiązki apostołskiego prototyparyusza u trzech papieży oraz był czas jakiś cichym klientem książąt *Carpi*. *Gyraldus* zjednał sobie zasłużony rozgłos, jako znawca starożytności oraz jako autor dzieł, ułatwiających bardzo poznanie jego epoki. Badał tedy życie *Herkulesa*, z powodu czego musiał się później bronić od zarzutu kacerstwa i składać dowody, że studia nad rzeczami pogańskimi nie nadwreżyły w niczem jego przekonań chrześcijańskich; w wielkiem dziele (*Syntagmata de diis*) robił poszukiwania na polu mitologii starożytnej, pisał o żeglarstwie starożytnych i grzebaniu zmarłych. Prace te zalecają się nie tyle nowością i bystrością badań, ile raczej bogactwem materiału; w każdym razie długiem cieszyły się powodzeniem jako kompendya, obrobione

starannie i w treść zasobne. Owocem trudów *Gyralda* na niwie nowszej jest dzieło *De poetis suorum temporum*, historia literatury współczesnej, którego część pierwszą napisał za *Leona X*, a druga 1548 r.; są to *Dyalogi*, w których w roli rozmówców występują: sam autor, *Aleksander Rangone* i *Juliusz Sadoletto*, brat słynnego kardynała. Wiarogodne fakta czynią tę księgę skarbnicą ważnych wiadomości, a krytyka dostarcza cennych przyczynków do poznania poglądów estetycznych i traktowania literatury w onój epoce. Temu jasnemu, orzeźwiającemu obrazowi pięknego okresu przeciwstawia *Gyraldus* ponure, pełne zgrozy malowidło w dziele (skończoném już 1533, ale ogłoszoném dopiero 1541 r.) pod napisem *Progymnasmata adversus literas et literatos*. W piśmie tém obarcza autor ciężkimi zarzuty swych współczesników i towarzyszków pracy, oskarżając ich o namiętność i próżność, upór i ateizm, rozpustę i samoubóstwienie. Niejedno z tych obwinień jest słuszne, ale w całości robi książka wrażenie przesady. Rozglądając się wokół przez szkła przykopczone, drobne błędy uczony nasz w zwiększonych widzi rozmiarach, a na cnoty się zaślepia. Być może, iż pierwsze ruchy reakcyi katolickiej nie pozostały bez wpływu na *Gyralda*. Zaledwie ubiegło stulecie od chwili, jak *Guarino* został powołany do Ferrary w jasno wyrażonym celu, aby za sprawą humanizmu nowy rozpocząć okres wykształcenia naukowego, aby stworzyć nową atmosferę duchową. Jakże szybko zmieniły się czasy, jakże prędko nadzieje przeistoczyły się w obawy!

Wszyscy ci mężowie, mimo sławy, jaką ich wówczas otaczano, i mimo dzieł najzupełniej uznania godnych, nie zdołali rozesnuć wokół siebie tych świetnych blasków słonecznych, jakimi dziś jeszcze promienieje Ferrara w oczach wszystkich znawców literatury; blask ten jest właściwie owocem pracy dwu poetów, którymi Ferrara i Italia cała mają prawo się szczycić. Są to: *Matteo Bojardo* i *Ludovico Ariosto*.

Mateusz Marya Bojardo jest zazwyczaj niżej ceniony, aniżeli na to zasługuje; dzieli więc los wielu innych, którzy nowe torowali drogi, ale przez następców zostali prześięgnięci. *Bojardo* jest twórcą kunsztownego eposu rycerskiego we Włoszech. Pochodzi ze znakomitego rodu hrabiów *Scandiano*; urodził się 1434 r., wczesnie wstąpił do służby książąt ferrarskich, zajmował wysokie stanowiska a między innymi namiestnika w Reggio; umarł 1494. Jako urzędnik jest sławiony; sławę u potomnych zawdzięcza wszelako nie urzędowi sędziowskiemu, lecz działalności poetyckiej — i to wielostronnej. Z pod pióra jego wychodziły utwory liryczne, dramatyczne i epiczne. Pieśni miłosne, poświęcone jakiejś Róży, którą *Bojardo* „kochał od lat najmłodszych”, nie są ni lepsze, ni gorsze od tylu sonetów ówczesnych. Grzeszą mianowicie przesadą, gdy autor sprowadza na ziemię anio-

łów, aby podziwiali urodę jego damy; gdy odmawia prawa sądu o wdziękach niewieścich wszystkim, co jej nie widzieli. Przepelnione są nadto porównaniami między Różą a kwiatem, którego imię nosi kochanka. Ale mimo wszelkich igraszek i wynurzeń powierzchownych, przenika je serdeczność, której nie należy uważać za sztuczną, lecz raczej za praktyczne zastosowanie godła, spotykanego na medalach mu poświęconych: *Amor vincit omnia* (miłość zwycięża wszystko).

Dramat *Bojarda: Tymon* godzien jest uwagi częścią z przyczyny nierzadkich a dosłownych pożyczek z *Lucyana* (poeta bowiem, ukształcony pisarz humanistyczny, tłumaczył też i wydawał autorów klasycznych), częścią z przyczyny odrębnego sposobu obrobienia treści, zostającego w zupełnem przeciwieństwie z metodą poetów greckich. U *Bojarda* oto dziwacznem postępowaniem zwraca na siebie *Tymon* uwagę bogów; Jowisz posyła na ziemię Merkurego z poleceniem, aby ponownie zbożać skarjami *Tymona*, z własnej winy zubożalego. *Tymon* tymczasem rozgoryczony, pragnie siać zioła jadowite, lub z niwy swęj zbierać mord i zarazę; w przekonaniach tych utwierdza go Bieda, przypisując sobie zasługę, że ona dopiero uczyniła z niego człowieka prawdziwego. Nie chce więc *Tymon* ani słuchać o posłanniku bogów; przystaje jednak na to, aby się Bieda oddaliła; wreszcie po jej odejściu, utraciwszy dużo z energii odpornej, skłania się do przyjęcia skarbu, który początkowo był odrzucił. Nowe bogactwo nie zbliża go przecież do ludzi, których właśnie zaczął unikać, lecz większym jeszcze napelnia do nich wstrętem. Woła on (podług tłumaczenia J. L. Kleina):

Ze wszelkim człowiekiem targam zażyłość,
 I z obcym, i z druhem, i ze znajomymi;
 Tymon li Tymona niech wiecznie kocha;
 Nie wedle praw ludzkich — wedle słuszności
 Niechaj między nami samotność legnie,
 A węzłem niech będzie przepaść bezdenna!
 Odrazą, i wstrętem, i obmierzłością,
 I dzikością srogą pierś niechaj dyszy!
 Taką li strawą chcę ich teraz żywić.
 Łono me szarpie nienawiść potężna
 I okrutna wściekłość goreje w sercu.
 Nie Tymonem wcale, — niech Tymon zginie —
 W przyszłości pragnę zwać się ludzi wrogiem.

Znalazłszy przy grobowcu *Tymokratesa* dwa dzbany monety złotej, zdobył też możność okazania swych przekonań w czynie. Wieść

bowiem o nowych bogactwach zwabiają pasibrzuchów, a *Tymon* dar-mozjadów na cztery rozgania wiatry. Ale nad grobem zjawia się jeszcze *Parmenion*, stary sługa zmarłego. Człowiek ten na mocy listu, teraz dopiero po latach 10-u odpieczętowanego, wykazuje, że jedynym prawowitym właścicielem skarbu jest *Filokoro*, syn nie-boszczyka. *Tymon* więc, utraciwszy skarb nie z własnej winy, uzna-je, że majątek, nawet przez bogów użyzony, jest zwodniczym, widzi bezcelowość srożenia się przeciw sobie samemu, oraz nienawiści względem ludzi i bogów, postanawia wreszcie żyć w przyszłości sa-motnie, co prawda, lecz pojednany ze światem. Takie rozwiązanie jest wyłączną własnością *Bojarda*; świadczy ono zarówno o uzdolnie-niu jego poetyckim, jak i o znajomości psychologii.

Do dramatu *Bojardo* wziął treść z czasów starożytnych, tymcza-sem do poematu epicznego zaczerpnął osnowę z cyklu podań średnio-wiecznych, mianowicie z powieści poetycznych o bohaterach *Ka-rola W.* Opowiadania te powstały we Francyi, i we Francyi były też najprzód opracowywane. Stąd rozpowszechniły się we Włoszech i znajdowały tam dobre u ogółu przyjęcie, obok poematów klasy cznych. Osobliwsze to pokolenie! Rozkoszuje się bohaterami Ho-mera, a równocześnie zachwyca się dzikiemi walkami średniowiecza reprezentanci tego pokolenia przyswajają sobie wykwintność dwor-ską, roztrząsają najgłębsze kwestye wiedzy ludzkiej, a równocześnie nie lepsi od morderców i rozbójników, pod małoważnym pozorem naj-straszniejszych dokonywają czynów.

Ulubionym bohaterem z cyklu podań karolingowskich jest u Wło-chów *Roland (Orlando)*. Niebawem zrobili go Włochem i wyposażył, przymiotami, jakie współczesnym przypadają do gustu. Tak poj-mowany, nie mógł stać się *Roland* postacią idealną. Przeciwnie: Musiał pozostać człowiekiem ze wszystkimi cnotami ludzkimi i ludz-kiemi słabościami. Celuje więc pobożnością, zdolnością do poświę-ceń, walecznością; ale z drugiej strony jest prostakiem, daje si! łatwo przejrzeć na wylot i oszukać, szybko zapala się gniewem i ró-wnież szybko wybucho miłością. Miłość też właśnie gra rolę naczelną w utworze *Bojarda*, rozpoczętym 1472 r., a w chwili śmierci poety 1494 r., jeszcze nie wykończonym. Stąd-to pochodzi tytuł dzieła-*Orlando innamorato* (Roland zakochany); tém się także tłumaczy okoli-czność, że bohaterowi przeciwstawił autor główną postać niewieścią w osobie *Angeliki*, której *Orlando* ciągle pożąda, a nigdy nie osiąga. Ale i heroina poematu jest z krwi i kości, jest istotą z przywarami i zaletami kobiety. Mylą się tedy z gruntu ci, co przypisują *Bojardo-wi* zamiar, jakoby w osobach dwojga swych bohaterów pragnął uper-sonifikować Europę i Azyę, a w ich miłości stworzyć obraz gorącej tęsknoty Zachodu do Wschodu. Osobistości pierwszoplanowe nie są

naturalnie jedynemi w poemacie. Jak w latarni czarnoksięskiej przewija się szparko przed oczyma naszymi wielka rozmaitość przygód zmyślonych, zjawiają się i znikają osoby, pierwiastki, na pozór luźne, kojarzą się w całość spójną. Zagmatwany kłębek, za pierwszym rzutem oka nie rozplątany, rozstrzuwa się zręcznie i zgrabnie. Obok rycerskiego *Rynalda* olbrzyma, któremu w głowie wojna tylko i czyny bohaterskie, który w boju tylko posiada odwagę, a w obcowaniu spokojnym z mężczyzną czy kobietą okazuje skromność i bojaźliwość dziewczęcą; obok *Astolfa*, który ustawicznie o zuchwałych marzy przedsięwzięciach, który ze wszelkich niebezpieczeństw umie się wywinąć a kłęski swe potrafi chytrze ukrywać; obok dzielnego *Ruggiera*, który, jako praszczur rodu *Estów*, między sławnymi naj-sławniejsze zajmuje stanowisko, obok nieustraszonego *Rodomonta*, którego imię znalazł niegdyś *Bojardo* na polowaniu a uszczęśliwiony swym skarbem wraca do wsi i we wszystkie każe bić dzwony; obok tego bohatera, wiernego królowi, ale zresztą łotrzyka, który wierzy jeno w swego konia bojowego, w swój miecz i w swoją prawicę; obok szczupłego *Brunella*, który mimo swój drobności i bezsilności, zamierza niebu wykraść księżyc, dzwonowi dźwięk, a chrześcijaństwu papieża;—obok tych, oraz wielu innych mężów występują w poemacie niewiasty, będące odzwierciedleniem bohaterów. *Bojardo* albowiem należy do rzędu ludzi, co kobietom swego czasu i wieków minionych przyznają usposobienia męskie i dzielność męską. A więc *Fiordelisa*—młoda, piękna i rozumem boskim wyposażona; *Bradamanta*—dziwaczna mieszanina siły i niewinności; *Marfiza* wreszcie—cierpka, w swą niezwykłość zaufana, chce zdobywać niebo, a raj obrócić w przynę.

Jużci poeta nie wierzy we wszystkie swe postaci i wie dobrze, iż czerpał albo ze źródeł, gdzie bujna panuje fantazyja, albo sam wieje zmyślił. Wybrał jednakże ten przedmiot nie z żądzy szydzenia, lecz przekonany o wysokości jego wartości i przenikniony wiarą, że rycerstwo się odrodzi, że, jak wyrzekł, „świat przyozdobi się ponownie kwieciami enoty”. Być może, roily mu się, jak niejednemu z myślących ludzi onego czasu, idee o wznowieniu walki chrześcijaństwa z niewiernymi. Toć przecie na lat dwadzieścia zaledwie, nim rozpoczął poeta swą pracę, tryumfalny wjazd Turków do Konstantynopola mógł na prawdę stać się groźnym i niebezpiecznym dla Europy, toć przecie podczas składania poematu, Turcy z natarczywością kołatali do Italii. Mógł więc *Bojardo* sądzić, że przypomnieniem śmiałych bojów średniowiecznych rozbudzi w nowém pokoleniu starą wiarę, starą odwagę i rycerskość dawną.

Ze średniowieczności bowiem *Bojardo* niezupełnie się jeszcze otrząsnął; od przesądów nie jest wolen. W poemacie jego dużą od-

grywa rolę: woda czarodziejska, która nienawiść i miłość płodzi; pierścienie, które czynią człowieka niewidzialnym; miecz złoty, co i najdzielniejszego rycerza zdolen wysadzić z siodła; szpik lwa i żyły lwie, co siłą obdarzają; smoki i czarnoksiężnicy, co posiadają moc nadziemską. Natomiast, co na owe czasy godnem jest uwagi, powątpiewa Bojardo o skuteczności astrologii (II, 16, 35), otaczanej opieką i na dworze ferrarskim. Jak wątpliwość tego rodzaju stawia poetę w szeregu umysłów wolnych, podobnież jednoczy go z nimi cześć dla starożytności. Zapewne Cyrce, Sfinks i Polifem nie przystają do poematu, opiewającego podaniowe osobistości średniowieczne, jednakże wprowadzenie ich jest całkiem naturalne.—Bojardo nie jest poetą i artystą bez zarzutu. Jego charakterystyki są niedostateczne, a jego opowieści często się urywają. Ciekawych pragnie bawić bogactwem treści, ale świadomemu rzeczy nie myśli sprawić rozkoszy opracowaniem artystycznym; jest on, jak późniejszy nieco odeń *Teofil Folengo* słusznie wyrzekł: *plus sentimento facili, quam carmine dives*, t. j. bardziej celuje bezwiednem poczuciem poetyckiem, aniżeli zdolnością zgrabnego i lekkiego wysłowienia poetycznego.

Wynika samo z siebie, że *Ruggiero*, proajciec domu esteńskiego, jest jednym z głównych bohaterów eposu i że Bojardo, domowi temu wierny, nie szczędzi mu kadzidel. Ze wszystkich książąt esteńskich jest dlań najslawniejszym jego pan, *Herkules I*. Wszędzie ze czcią go wspominając, śpiewa o nim poeta na jednem miejscu (II, 25, 43 ns. podług przekładu Regisa):

Ruggier powoli, stopniowo wzrastał
 W sławie, doświadczeniu, waleczności,
 Włóczył w igrzyskach rychło wykazał
 Światu całemu serce szlachetne.
 Wojny pożarem ogarnion z laty
 Tryumfy święci w bojach zażartych;
 Gdzie miecza dobył — we wszystkich krajach,
 Wrogowie przed nim pierzebali w trwodze.

Dzieło *Bojarda* zestarzało się wkrótce. Przyczyną tego był z jednej strony język archaistyczny, domagający się nowego opracowania, które dokonane zostało przez satyryka *Frańciszka Berniego* i oryginalną całkowicie wyparło, z drugiej zaś strony przez utwór *Aryosta*, który powszechne budził zainteresowanie.

Ludwik Ariosto należy również jak Bojardo do dworu esteńskiego w Ferrarze; i on także próbował sił swych w liryce, dramacie i eposie, ale pozostaje w takim stosunku do Bojarda, jak mistrz do żaka. Liryka *Aryosta* celuje życiem i prawdą, dramat dowcipem i akcją

szybką, epos zaś formą artystycznie wykończoną i treścią, nawet po upływie wieków się nie starzejącą.

Aryost urodził się 8 września 1474 w Reggio, umarł 6 czerwca 1533 r. w Ferrarze. Znienawidziwszy studia prawne, do których go ojciec zmuszał, przybył wcześniej na dwór ferrarski. Tu dał się poznać trenem na śmierć Eleonory, małżonki Herkulesa I; przytém uczył się, zostając w służbie u kardynała *Hipolita d'Este*, który grał rolę opiekuna uczonych, lecz w rzeczy samej pogardzał nimi; później piastując różne urzędy za rządów księcia *Alfonsa*, zaznał wszelkich zaszczytów i faworów, ale doświadczył też zarazem niedogodności i przykrości życia służebniczo-dworskiego. Za krzywdy i nieprzyjemności wszelakie, wyrządzone przez los lub ludzi, zemścił się w satyrach, równocześnie jednak wychwala w nich prawdziwych swych mecenasów i prawdziwych przyjaciół, z dumą też dziękuje Muzie, że mu wewnętrznego użyczyła zadowolenienia i że go nauczyła gardzić skarby powierzchownymi.

Poezye liryczne świadczą wymownie o życiu urozmaiconém i w przygody bogatém. W poezyach łacińskich widzimy światowca, kosztującego i używającego uciech. Słusznie też pisze o sobie wiersze pod tytułem: *De diversis amoribus* (O miłościach różnorodnych), którym za godło mogą służyć słowa: „Dziś kocham Joannę, a jutro Zuzannę”. Opiewa w nich miłostki jednodniowe, do miłostek tych zapala się, aby je znienawidzić niebawem. Godném jest przecież uwagi, że nawet w takich chwilach przelotnych dba więcej o dobroć, niż o piękność i dowcip kochanki przygodnej. W lirykach włoskich natomiast wystawił poeta obraz stosunku swego do *Aleksandry Strozzi*. Zerwawszy wszelkie inne związki, które nie pozostały bez następstw, żył z Aleksandrą od 1513 r. w małżeństwie tajemném — tajemném, gdyż nie chciał postradać dochodów z posiadanej kanonii. Aleksandra była dlań „portem, w którém wichry i burze morzu wybacza”; była mu podniętą do usilnej pracy, chociaż nie jest prawdą, mimo często powtarzanej anegdoty, jakoby każdego miesiąca wymagała odeń nowej lub przynajmniej wykończenia dawniej pieśni wielkiego jego poematu epicznego. *Aryost* kochał żonę „za jej otwartość i szczerotę, za jej szlachetność, za jej wymowę, tryskającą ze źródła myśli”. Listy, po dziś dzień zachowane a pisane do znakomitych członków jej rodziny, podznacza jako jej „kanclerz” i gotów jest do wszelkich dla niej usług; zwiastując narodziny córki, cieszy się i przechwala swém szczęściem; „gdyby zaś kiedykolwiek tego żałował, niechaj Bóg wydrze mu język i głos odejmie”.

Taki oto nastrój szczęśliwości błogiej przenika jego pieśni miłosne (sonety, elegie, kanzony, madrygały), nie marzycielsko bojaźliwe,

lecz pełne bujnej fantazy i żaru zmysłowego. Nie są one z trudem wymyślone, ale pisane bez mozołu przedstawiają rzeczywistość przeżyta; dolatują z nich głośne oddźwięki szczęścia istotnie doznanego. Doświadczywszy najzupełniej zadowolenia za sprawą jednej kobiety, był Aryost, mimo całej zresztą surowości i okolicznościowych a gwałtownych wycieczek, wogóle łagodnym i wyrozumiałym dla rodu niewieściego; nie chce bynajmniej uczynić kobiety niewolnicą mężczyzny, lecz pragnie ją podźwignąć do stanowiska towarzyski równouprawnionej. Wyrzekł w tej mierze piękne słowa: „Dopóki ci się kobieta podoba, widzisz w niej wszystkie cnoty”.

A jednakże poeta miłości i kobiet nie zawsze jest wesół. Tęskni za wolnością, której nigdy nie osiąga; skarży się na ubóstwo i niedostatek jako swój los nierozłączny; często wypowiada hasło rezygnacyi: *Pro bono malum*: zamiast dobrego, którego się spodziewał, lub dobrego, które sam wyświadczał, spotyka go zło. W satyrach gromi fałszywych przyjaciół, skorych do obietnic, lecz opieszalnych w czynie; w komedjach piorunuje przeciw złym obyczajom, jakie dostrzegł w życiu.

Z czterech komedyj, pozostałych w spadku po Aryoście, zasługują na uwagę dwie: *La Cassaria* oraz *Il negromante* (czarnoksiężnik).

Pierwsza jest utworem młodzieńczym poety; tytuł jej pochodzi od wprowadzonej do sztuki szkatułki (*cassetta*), napelnionej nicią złotą. Za treść autor wziął pono skarcenie, jakie usłyszał niegdyś od ojca, będąc zajęty czémś niestosownem. Jestto nader pocieszna ze znanych zresztą motywów złożona komedia intrygi. Oto puszcza się w podróż *Crisoboto*, otrzymawszy przedtem od przyjaciół szkatułkę na przechowanie. Z podróży tej korzystają syn *Crisobota Crofilo* i sługa jego *Volpino*, do wszelkich figlów sposobny, aby przemocą odebrać szkatułkę *Rebbii*, staremu i wiernemu stróżowi domu. Za sprawą tej szkatułki mają być wykupione z rąk handlarza niewolników *Lucramo* dwie dziewczyny, *Eulalia* i *Corisca*, kochanki *Crofila* i jego przyjaciela, syna wyższego sędziego. Dla dopięcia zamierzonego celu udaje się ze szkatułką do *Lucrama* przebrany za *Crisobota* szubrawiec *Trappola*; *Eulalię* wykupuje wprawdzie, ale musi ją wydać pijanej służbie, która, wiedząc, że dziewczyna jest miłośnicą znanego w mieście panicza, bierze starego jej towarzysza za rabusia dziewcząt i odpowiednio do tego traktuje. W chwili, gdy *Trappola* mocodawcy swemu zdaje jeszcze sprawę ze smutnego rezultatu poselstwa, wraca *Crisoboto*, szuka szkatułki, łatwo się dowiadyje, że *Lucramo* ją ukradł w skutek niedbałości starego *Rebbii*, wreszcie odbiera ją jako prawowitą własność. Wróciwszy z odzyskanym skarbem do domu, znajduje *Trappolę* odzianego w swe szaty, ale nie może ani słowa wydożyć z nicponia, który naraz niemieje; nie daje też posłuchu zezna-

niom Volpina, jakoby stary Rebbia był winnym i tego przebrania; zagrożony więc obu lotrzykom sądem i więzieniem, poznaje nakoniec prawdę rzeczywistą. Cała jednak sprawa kończy się pokojowo. Stary bowiem poprzestaje na tém, iż sługom napędza strachu a płochemu synowi prawi kazanie, w duchu właśnie owego skarcenia, jakim Aryost ojciec zgromił niegdyś swego potomka; co więcej, w dobroci serca wyznacza okup za dziewczyny i poleca je oswobodzić Volpino'wi, który przy tój okazji dobry kęs okupu przelewa do swój kieszeni z uszczerbkiem handlarza. Pomimo kilku mów przydługich, komedia celuje lekkością i wdziękiem; mianowicie téż sceny, w których występuje Trappola, nie zawsze niemy, iskrzą się najzabawniejszym komizmem; całość jest niezaprzeczenie prawdziwym obrazkiem obyczajowym życia towarzyskiego.

Kupcy-lichwiarze, oszukujący słudzy, nader hałaśliwi a łatwo przebaczący ojcowie – są to typy właściwe komedyi wszech czasów. Ale wyprowadzony na scenę astrolog jest na ową porę figurą arcy charakterystyczną; trzeba było bowiem nie lada odwagi, aby astrolog wydrwić, przedstawić go jako oszusta i wygłosić zdanie:

Sztuka, co z natury wzory bierze,
Nie postąpiłaby nigdy szczerze,
Gdyby złych hultajów nieczne czyny
Nie odniosły kary za swe winy.

Odwagi tój dowiódł *Aryost* w komedyi: *Il negromante* w sposób co prawda, trochę szorstki. Występuje tu astrolog, który ma odeczytać urok pewnemu młodzieńcowi i który nie spełnia obowiązków małżeńskich względem niekochanej żony, ponieważ tajemnie zaślubił inną kobietę. Równocześnie pozwala się przekupić młodzieńcowi czarowanemu, jego ojcu i jego rywalowi, przyrzekając każdemu z nich uczynić zadość stawionym żądaniom. Obok tego pragnie on nie tylko grosz od łatwowiernych wyludzić, ale nadto chce jednego z nich okraść; w wykonaniu wszelako ostatniego zamiaru znajduje przeszkody. Tymczasem zawikłana sprawa małżeńska rozwiązuje się, bez przyczynienia z jego strony, za pomocą fortelu ulubionego w komedyi ówczesnej. Oto ojciec adoptowany naszego czarodzieja poznaje w tajemnicy poślubioną jego małżonkę córkę swą, niby z dawna zaginioną i, po otrzymaniu rozvodu z niewiastą zniechędzoną, powierza mu kochankę jako żonę prawowitą. W trakcie tego astrolog, nie spełniwszy obietnic lekkomyślnych, zostaje skazany na wygnanie z miasta i opuszcza je w bardzo lekkiej szacie, na dobitkę jeszcze okradziony doszczętnie przez własnego sługę. Służący ten imieniem *Nibbio*, łotr tak dobry jak i jego pan, wychwalający jego

mądrość i pomagający mu we wszelkich oszustwach nader umiejętnie, — jest figurą wyśmienitą. Nie mniej wybornym jest i sługa głównego bohatera, *Temolo*, który dowcipnem zwalczaniem astrologii rozśmiesza widzów, ale pana swego przekonać nie może. Kiedy pewnego razu pan robi mu uwagę, że astrolog potrafi mężczyzn i kobiety zamieniać w zwierzęta, *Temolo* odpięra, że dzieje się to przecież codziennie bez pomocy astrologii nawet. „Skoro bowiem ktoś zostanie burmistrzem, komisarzem rządowym, poborcą, sędzią, notaryuszem, przedzierzga się odrazu w szanowną bestyę: w wilka, lisa, jastrzębia i t. p. A jeżeli urodzony wisielec otrzyma urząd radycy lub sekretarza, nie przeistaczaż się natychmiast w osła“?

Komedye *Aryosta*, nawet we Włoszech, nie są tyle cenione, ile na to zasługują. *Riccoboni* wprawdzie, wystawiwszy jedną z tych komedyj w Wenecyi, ściągnął do teatru tłumy publiczności, ale jeszcze przed zakończeniem sztuki musiał opuścić kurtynę, gdyż widzowie oczekiwali dramatyzowanego epizodu z *Rolanda*. Sława więc *Orlando furioso* (Roland szalony) szkodziła innym utworom tegoż samego autora.

Kiedy *Aryost* zawiadomił przyjaciela swego *Piotra Bembo*, że pracuje nad bohaterskim poematem włoskim, otrzymał radę, aby dzieło tak wzniosłe pisał nie w ojczystym, lecz w języku łacińskim. Kiedy zaś pierwsze, gotowe już pieśni przesłał swemu panu, kardynałowi *Hipolitowi*, odebrał odpowiedź: „Messer Lodovico, jakim sposobem do takich bzdurstw doszedłeś? — ba! oświecony książę użył nadto wyrażenń mniej jeszcze szlachetnych. Ale *Bembo* zmienił niebawem zdanie; kardynał zaś, nie w jednem miejscu poematu wiele wychwalany, lepiej rozumiał uciechy niższego rzędu, aniżeli rozkosze szlachetne.

„Roland Szalony“ zawierał w wydaniu pierwszym niezupełnem (1516 r.) 40 pieśni, w drugiem zaś znacznie zmienionem i uzupełnionem (1532 r.) obejmuje 46 pieśni. Pozostaje on w ścisłym związku z poematem *Bojarda*, z nim dopiero tworzy całość i bez niego nie może być należycie zrozumianym. Jeżeli okoliczność tę weźmiemy pod uwagę, wówczas okaże się czczym zarzut, iż dzieło *Aryosta* nie ma początku, ni końca. Jego bowiem początek znajduje się w *Bojardzie* właśnie a jego zakończenie stanowi ostateczny tryumf *Ruggiera*, który, jako praojciec domu esteńskiego, jest dla obu nadwornych poetów ferrarskich osobistością główną. Jeżeli zaś kto nazwie *Aryosta* kontynuatorem *Bojarda* — zgoda i na to; jest nim, ale jest tak, jak może nim być artysta genialny. Podejmuje treść, jaką dostał w spadku, wprowadza postaci, jakie znalazł, ale czyni to z całą swobodą, całą samoistością. *Bojardo* trzyma się swych osób z niewolniczą prawie wiernością, *Aryost* stoi ponad nimi w pogodnym spokoju;

wydobywającej się ciągle na wierzch powadze *Bojarda*, który przez nieustanne a mozolne w tym względzie wysiłki staje się niemal komicznym, przeciwstawia *Aryost* i graszkę pełną wdzięku, komizm umyślny. Jak w listach i satyrach, podobnie i tu do opowieści dziwotwornych baśni lubi dołączać uwagę: „nie bacząc na to, czy jest w nich prawda, czy fałsz“; zdaje się, jak gdyby poeta zamierzał stworzyć satyrę na średniowieczne książki rycerskie z ich bajkami błaheimi. Takie przynajmniej robi wrażenie pieśń pierwsza z szalona swą niemal zmianą sceneryi i z przesadnym nagromadzeniem awantur. A mimo to przecież całość nie jest bynajmniej epopeją komiczną. Powiem więcej. Jeżeli ją dokładniej rozpatrzemy, to ze względu na osnowę myśli okaże się nawet poważniejszą, aniżeli dzieło *Bojarda* rozleglejsze i o ciężalsze i mniej przyjemnie brzmiące. W dziele *Bojarda* widzimy całą różnorodność a zmiennych czynów rycerskich, w pieśniach zaś *Aryosta* uderza wyraźnie idea zasadnicza. Historye dwu par głównych: chrześcijanina *Orlanda* i pięknej poganki *Angeliki*, walecznego poganina *Ruggiera* i wojowniczej chrześcijanki *Bradamanty* spletają się dziwnie, ale wynik mają niejednaki. *Orlando*, lubo potęgą szалу ogarnion, nie ulega wszelako przeciwniczce, *Ruggiero* zaś, acz na umyśle zdrów, wyrzeka się przecież dawniej swęj wiary, przyjmuje chrześcijaństwo, zgina kolano przed *Bradamantą*. W walce jednostek uwidocznia się pogląd poety na wielki kontrast panujący w owęj epoce; uwydatnia się pragnienie jego, aby na nowo wybuchł bój między rycerstwem europejskiem i bohaterami Wschodu, ale uwieńczony zwycięstwem chrześcijan; jaśniej nadzieja jego, że ujrzy tryumf ogółu nad błędami poszczególńymi chrześcijan. Oto myśl przewodnia poematu.

Już *Bojardo* czerpał ze świata starożytnego, ale skutkiem wiadomości niedostatecznych skaził niektóre mity do niepoznania; *Aryost* zaś, posiadając gruntowne wykształcenie humanistyczne, potrafił właściwiej i umiejętniej zużytkować materiał antyczny. Posiłkując się nim, nie stara się bynajmniej bohaterów swych przykroić na modłę starożytnych; nie można więc twierdzić, że bohater *Ruggiero* jest czystą kopią walecznego *Achillesa*; ale, mówiąc słowami wybornęj charakterystyki *Leopolda Ranke'go*, „starożytność wywalcza w nim sobie zwycięstwo stanowcze“. „Kobiety—ciągnie dalej *Ranke* — „są tak piękne, jak gdyby wyszły z pod dłuta Fidyaszowego, albo w pracach artystycznych są tak biegle jak *Pallas*, albo ich wiek jest wiekiem *Hekuby* i *Sybilli* kumejskiej. Jeżeli poeta chce pochwalić mężczyznę, to ani *Nereusz* nie był tak pięknym, ani *Achilles* tak dzielnym, ani *Ulisses* tak śmiałym, ani nawet długowieczny i rozumny *Nestor* nie był tak mądrym. „Okrutny wiek“, wydaje okrzyk *Aryosto*, „pełen *Tyestów*, *Tantalów* i *Atreuszów*; wiek, w którym panuje wojenny

obyczaj scytyjski! — Był on młodzieńcem najśmielszym na całej przestrzeni od krańców Indyj do słońca zachodu. U *Polifema* znalazłby łaski, ale ty jesteś gorszy niż Cyklop i Lestrygonowie“. U *Aryosta* zalatuje woń liby od Indów i Sabejczyków; uczta u niego, jakiej nie wyprawił żaden następca *Ninusa*; kochanka *Alcyny* zwie on *Atysem*. Kiedy *Orland* pasuje się tak potężnie z potworem morskim, stary *Proteusz* zapomina swych trzód i za Ocean ucieka; *Neptun* zaprzęga do wozu delfiny i do Etyopii rusza“.

U *Bojarda* średniowiecze odgrywa rolę ważniejszą aniżeli starożytność; u *Aryosta* zgodnie z naturą rzeczy średniowieczność ustępuje starożytności. Z reminiscencyj antycznych przejmował poeta epizody, porównania i nazwy; niektóre jeno postaci i przygody są wytworami jego własnej fantazyi. A więc obok tego musiał czerpać i czerpał istotnie ze źródeł średniowiecznych, ale je obrobił w sposób samodzielny. Pomimo tę samodzielność wprowadza przecież bajeczność i cudowność, odgrywające często w epepejach rycerskich rolę rozstrzygającą. Spotykamy więc i u *Aryosta* dwie krynice, z których jedna roznieca w pijącym nienawiść wieczną a druga rodzi miłość gorącą. Widzimy i u niego zwierzęta zaczarowane; takim jest np. rumak *Bajard*, który, należąc długo do *Rynalda*, nie daje się skutkiem tego użyć przeciw niemu i jako jego towarzysz „z rozumem niemal ludzkim“ pragnie go doprowadzić do urodziwej niewiasty przez bohatera pożądanęj. Występują i u niego wszelkiego rodzaju czary: pierścienie, tarcze i t. d.; występuje czarodziej nawet, który z książki wywabia duchy i rozkazuje im; występują osobliwości najrozmaitsze, a przedewszystkiem księżyc, gdzie się przechowuje buteleczka z rozumem.

W jednym wszelako zgadzają się z sobą *Bojardo* i *Aryost*. Oto w dziełach swych, poświęconych przeszłości, uwzględniają epokę, w której żyli; ale i na tym punkcie stoi *Aryost* wyżej od *Bojarda*. *Aryost* bowiem pisze swe dzieło nie w tym tylko celu, aby książęcom opiekunom w Ferrarze hołdy składać. A kandydatów do pochwał jest cały szereg. W pierwszym zaś rzędzie kardynał *Hipolit*, który ani swą indywidualnością wogóle, ani swém postępowaniem względem poety na hołdy nie zasługiwał, który niesłusznie został nazwany „*Augustem*“, a któremu jednak los „dla cnót jego użyczył *Marona*“; dalej książę *Alfons*; z niewiast wreszcie domu esteńskiego trzy szczególnie, a mianowicie: *Izabella d'Este*, obdarzona pocuciem artystycznym margrabina mantuańska, *Lukrecya Borgia*, oraz *Renata*, córka *Ludwika XII*, króla francuskiego, głośna później ze swych skłonności do protestantyzmu. *Aryost* nie skąpi tedy hołdów, ale przeczuwa zarazem i napomyka, dość cicho co prawda (III, 62, i XLI, 67), że

losy są zmienne, że w przyszłości przesławnego rodu znajduje się niejedno, co, lepiej, iż jeszcze powleczone jest teraz zasłoną.

Aryost nie zamyka oczu na teraźniejszość. Przeciwnie! Bada on uważnie stosunki polityczne swój ojczyzny a nieszczyćście Italii upatruje we Francuzach, cudzoziemcach *par excellence*, oraz w Hiszpanach, o których z gorzkim wspomina szyderstwem w swych satyrach i komedjach. Pociesza się wprawdzie (XXXIII, 10) prorocstwem, w usta *Faramunda* włożonem, że Italia będzie terenem zniszczenia każdej armii francuskiej, albowiem Bóg pozwolić nie może, aby lilia zapuściła korzenie w Italii, lecz wolałby, ażeby i ludzie podnieśli ręce do jej obrony. Zachęca więc żarliwie do wypędzenia Francuzów, jako do czynu najchwalebniejszego, i robi, lubo nadaremnie, przegląd książąt włoskich, aby dla świętej sprawy znaleźć wodza godnego. Ludy włoskie i książęta włoscy — i tu wybucha bolesé patryotyczna *Aryosta* — nie spełniają swego zadania wedle poety w dostatecznej mierze, owszem, „ich zbrodnie przekroczyły raczej miarę“; miasto strzedz swych trzód jako pasterze, pożerają je niby wilki; nie pojmują wielkiego swego zadania — wyprawy przeciw Turkom. „Biada ci, Italio“ — woła *Aryost* — „stałaś się kloaką, rozleniwiona leżysz; nie widzisz, żeś została służebnicą, ba! niewolnicą narodów“!

Z wielkim smutkiem *Aryost* spoglądał na polityczne położenie swój ojczyzny, ale napawał się radością, gdy rzucił okiem na bujny rozkwit umysłowości. Z lubością więc wymienia poetów i pisarzy, co Italii zaszczyt przynoszą; wylicza (XLV, wrot. 3—18) przyjaciół i znajomych, co dzieło jego poklaskiem witali; zestawia całkowity niemal katalog słynnych mężów i kobiet ówczesnych, większość nazywając tylko z imienia, wielu zaś charakteryzując trafnie krótkimi słowy. Do takich należą *Vida*, *Bibbiena*, *Bembo*, *Sannazar* i mnóstwo innych.

Wszelkie tego rodzaju wzmianki i napomknienia są jeno dodatkami okolicznościowymi, mało co dotyczące osnowy głównej. Treść jest wielostronna, poświęcona walkom i przygodom miłosnym paladynów Karola W., obfituje w takie bogactwo powieści, faktów i nazwisk, że pobieżnie nawet zaznaczyć ich nie podobna. *Rolanda*, od którego poemat swe miano bierze, w połowie pieśni nie wymienia autor wcale, lub co najwyżej napomyka o nim jeno. Jego szaleństwo nie stanowi bynajmniej treści całego utworu, lecz wypełnia tylko pieśń 23. Ścigając wroga, przybywa *Roland* na miejsce, gdzie piękna *Angelika*, której ustawicznie pożąda a nigdy nie osiąga, zabawiała się ze swym kochankiem *Medoro*. Widzi on tu powszedy oba nazwiska; początkowo ulega przyjemnemu złudzeniu, że nazwisko mężczyzny jego właśnie oznacza, ale musi wyrzec się téj wiary, kiedy spostrzeża wy-

pisane na grocie, w której spoczywali kochankowie, dwie wrotki (XXIII, oktawa 103 i 109):

Piękne drzewa, zielone mchy, przejrzyste wody!
 I ty piękna jaskini, ciemna z twymi chłody!
 Gdzie króla Galafrona córa zawołana
 Angelika od wielu próżno miłowana
 Naga na moich rękę częstokroć leżała
 Za ten czas, którym tu miał, gdyśwa tu chadzała
 Nie mam wam co, jak Medor ubogi darować,
 Jeno was wiecznie chwalić, jeno wam dziękować.
 I prosię wszystkich, którzy miłości skusili,
 Którzyby się tam kiedy z przygody chwalili
 Lub rycerze, lub biała pleć, lub by się stawil
 Zbliżka, lub zdaleka, aby błogosławił.
 Drzewa, zioly, jaskinią, chłody, wody żywe,
 Mieście słońce i miesiąc i nieba życzliwe,
 Niechaj wam wszystkie Nimfy tych krajów sprzyjają,
 Niech was brody, niechaj was pasterze witają.
 (przekład P. Kochanowskiego).

Napisu tego nie bierze zrazu na seryo, uspakaja się, wmawiając w siebie, że pismo ukochanej ktoś naśladował; wkrótce jednak spokój jego niweczy pewien wieśniak, który mu opowiada znaną w całej okolicy historię miłosną. Kiedy więc teraz *Roland* miał spać na łożu, które dawało niegdyś gościnę kochankom miłością uszczęśliwionym, poczyna szaląć; wypada z domu, śpieszy ku miejscu, gdzie złowrogi napis stał się źródłem cierpień jego, napisy niszczy, burzy wszystko, czego dosięgnie gniew wściekły, leży wreszcie dni trzy, znużony wysiłkiem nadmiernym, w półsennj nieświadomości. Przebudziwszy się dnia czwartego i w półmroku zawiechrzonego umysłu poznawszy czyny własne, wstydzi się sam siebie, rozdziera szaty i precz odrzuca oręż. W takim stanie opuszcza go poeta, ale później, przy okazji wyprowadza znowu na scenę; bohater dokonywa w szaleństwie albo olbrzymich okropności, albo popełnia niedorzeczności dziecinne. Ale jak nie był głównym bohaterem eposu za dni zdrowia, tak nie jest nim ani w czasie obłąkania, ani też następnie po wyzdrowieniu. *Roland* bowiem zostaje wyleczony i to za sprawą swego krewniaka *Astolfo*. *Astolfo* przedsiębierze na hipogryfie podróż cudowną do raju ziemskiego, dowiaduje się od Jana Ewangielisty o szaleństwie *Rolanda*, jako karze za miłość ku pogance *Angelice*, a zarazem otrzymuje zapewnienie, iż obłąkaniec może odzyskać zdrowie. Wyleczy się zaś, jeżeli wypije zawartość fiaszeczki z „rozumem *Ro-*

landa“, która przechowuje się na księżycu wespół z wielu naczyniami, obejmującemi rozумы innych ludzi. *Astolfo* podejmuje się naturalnie osobliwszego zadania i, dokonawszy go szczęśliwie, powraca na ziemię.

Dla czytelnika nowoczesnego, a zwłaszcza téż dla Niemca, ocenienie eposu *Aryostowego* wedle wartości nie jest rzeczą wcale łatwą. Treści w idee bogatej i opowiadania faktów, któreby jego pojęciom i uczuciom odpowiadały i których domaga się od utworu epicznego — tego u *Aryosta* nie znajdzie. Kto dzieło *Aryosta* porównywać zechce z jednej strony z epopejami starożytnymi a z drugiej znowu z poematami *Danteo*, *Miltona* lub *Klopstocka*, — tego *Orlando jurioso* w zupełności nigdy nie zadowolni. Urok *Orlanda* stanowią: nieporównany talent opowieściowy, zdolność gromadzenia przygód różnorodnych oraz, pomimo to natłoczenie, zdolność szczególna utrzymywania czytelnika w ustawicznem naprężeniu, wspaniałość obrazów, czerpanych z przyrody lub starożytności, zmysłowo porywające malowanie miłości, wreszcie, co nie jest zgola drobnostką, „powab pysznie płynących oktaw“. Oto zalety, które w oczach, mianowicie téż Włocha, a zwłaszcza Włocha wieku szesnastego bardziej jeszcze niż dzisiejszego — są najwyższej pochwały godne; ale Niemiec postawi je dopiero w drugim rzędzie. Nigdy téż „*Roland Szalony*“ nie był w Niemczech książką popularną; kilka tłómaczeń, nie zalecających się wielką doskonałością, znajduje szczupłe jeno koło czytelników. A jednakże Niemiec to, *Goethe*, skreślił bodaj czy nie najpiękniejszą ocenę poematu w wierszach następujących (*Tasso*, akt I. sc. 4):

Bo jak natura pierś swą wiecznie młodą
 Odziewa w szatę kwiatów i zieleni,
 Tak on to wszystko, czém się tylko człowiek
 Przedstawia godnym czci i poważania,
 Uroczu umie oblec w czar zmyślenia.
 Zadowolenie, rozum, doświadczenie,
 Potęga myśli, smak i zapal czysty
 Ku wszelkim czynom dobrym tkwią duchowo
 W tle pieśni jego i wcielone razem
 Pod cieniem krzewin zdają się spoczywać
 Osute śniegiem kwiecica, uwieńczone
 Zwojami róż i pustą grą miłości
 W ponętнім zewsząd otoczone kole.
 A obok zdroj obfity wytryskuje
 I różnobarwne w nim pluskają rybki;

Nieznane trzody pasą się po łąkach;
 Z zarośli wyrzły czasem żartobliwość
 I znowu mądrość w złotym się obłoku
 Na ziemię spuszcza, głosząc swe wyroki.
 Tuż obok z lutni dźwięcznie nastrojonej
 Szaleństwo tony ciska niby dzikie,
 A jednak zgodne z sobą i mierzone.
 (przekład L. Jenikego).

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Neapol.

Po burzach za panowania królowej *Joanny* (ob. str. 51) zaczął Neapol przychodzić do siebie pod energicznymi rządami króla *Władysława*. Zaledwie monarcha ten przywrócił pokój wewnątrz, a nazewnątrz tak wzmocnił swą potęgę, że w przyjaciół wpoił nadzieję a zawistników napełnił trwogą, aliści przedsięwziął usiłowania, mające na celu utworzenie królestwa włoskiego. Lecz śmierć nie spodziewana (1414 r.) nabytki niweczy a nadzieje w dal nieokreśloną usuwa. Państwo *Andegawczyków* kloni się ku upadkowi. Przemija jedno jeszcze pokolenie, podczas którego zwyrodniałe ostatnie potomki tego domu są jeno piłką w rękach potężniejszych książąt włoskich i samęj nawet *Joanny II*, rozpustnicy nielada, gdy przywołano *Aragończyków*. Od tój chwili zaczyna się nowa epoka dla Neapolu i renesansu.

Dnia 2 czerwca 1442 przybył do Neapolu *Alfons* aragoński. Już sam wjazd tryumfalny wywarł wielkie wówczas wrażenie i został uwieczniony w obszernym opisie. Zwiastuje on właśnie początek nowęj epoki. Znamieniem zaś jego jest nie zuchwałę sił rozwinięcie przez uzurpatora cudzoziemskiego, ale są nim hołdy, jakie monarcha nie-włoski składa duchowi starożytnemu i alegorycznym upodobaniom Włoch tamtoczesnych. Od chwili objęcia tronu neapolitańskiego nie uchodzi już *Alfons* za cudzoziemca; uważano go raczej za wtajemniczonego w sprawy włoskie, poczytywano za współdziałacza i szanowano. Dwór jego staje się niebawem punktem zbornym, gromadzącym mężów najznakomitszych. Z tego ogniska wyszedł np. papież *Kaliks III*, który za dobrodziejstwa odplacił się niewdzięcznością; w tём ognisku odznaczani są przedewszystkiēm krajowcy nie

tylko pieniędzmi i zaszczytami, lecz rozumem uznaniem ze strony księcia, dla którego popieranie nauk jest bardziej rzeczą honoru i serca — niż mody. *Alfons* nie był uczonym jak *Fryderyk* z Urbino, ale był miłośnikiem nauki; jak *Fryderyk* przy budowie pałacu, tak *Alfons* przy restauracji zamku swego trzymał się przepisów budowniczych starożytnych; podobnie jak tamten — lubił *Alfons* szczególnie dziejopisów klasycznych; podobnie jak tamten — umiał *Alfons* jednoczyć cześć dla poetów pogańskich z wysokim szacunkiem dla pisarzy kościelnych. Zalecał się pobożnością, ale nie dał się otumanić pobożnym oszustwom księży; w jednym z aktów dyplomatycznych użył wyrażenia, „iż na księży lepiej działają kije niż prośby”, co nie znamionuje bynajmniej wychowańca księżowskiego; nienawidził astrologii, mając ją za naukę fałszywą, religii wrogą; biblię znał nieledwie na pamięć, przeczytawszy ją czternaście razy. Względem nauczycieli swych i uczonych nadwornych tyle okazywał szacunku i szczodrobliwości, że w onym wieku do uwłaczań skłonnyemu jednemu tylko *Poggio'wi* zrobił uwagę pogardliwą; poddanych zachęcał do studyów a młodzieńców wysyłał na swój koszt do Paryża. Największe jednak wrażenie wywierał niewymuszonym podziwem dla dzieł wielkich mężów. Opowiadano więc sobie, jak podczas mowy *Gianozzo Manetti'ego* siedział na tronie nieporuszony „niby posąg śpiżowy“, nawet komara nie śmiejąc odpędzić; jak został z choroby uleczony odczytaniem kilku stronie *Kwintusa Kurcyusza*; jak *Kuzma de Medici* zniewolił go do zawarcia pokoju ofiarowaniem pięknego egzemplarza *Liwiusza*. Ale przez to nadmierne uwielbienie dla studyów klasycznych puścił w poniewierkę wszystkie inne sprawy kraju. Ulubieńców zrobił plagą narodu, bogatych i ubogich uciemiał podatkami strasznymi; marnotrawił olbrzymie sumy na budowę, miłośkami dawał zły przykład poddanym. A mimo to był kochany, ponieważ w stosunkach osobistych okazywał się względem każdego uprzejmym, ponieważ często niby ojciec rodziny, zgromadzał u siebie możnowładców z ich krewniakami, ponieważ trzymał się zasady, nikogo nie puszczając od siebie ze smutnym obliczem.

Jego syn naturalny i następca *Ferdynand* (1458—1494) w niczem nie był podobien ojcu, a już najmniej chyba w zamiłowaniu literatury. W ciągu kilku pierwszych lat swego panowania musiał toczyć wojnę z własnymi baronami, wznieconą przez niewdzięcznego papieża *Kaliksta III*. Zakończywszy je zwycięsko, w latach następnych mścił się z niesłychanym i wyszukanym okrucieństwem na przeciwnikach, jeżeli ich żywcem lub martwych w swe ręce pochwylił. Pod koniec rządów (1485 r.) przetrwał jeszcze jedną straszną wojnę z baronami, wojnę daleko niebezpieczniejszą niż poprzednia, wojnę, która wykazała ponownie, że cała jego władza była wymożona, była tylko

bezwzględna energią narzucana drżącym z trwogi poddanym. Tyran, umiał *Ferdynand* napelniać swe kasy pożyczkami przymusowemi. zdzierstwami, monopolami oraz innymi środkami, jakie wynajdywał pomysłowy jego podskarbi *Franciszek Coppola*. Powagę zaś swą we Włoszech i za granicą potrafił utrzymać zręcznemi jeno depeszami ministrów *Antonello Petrucci'ego* i *Jowiana Pontana*, których zawsze zdolał namową skłonić do pozostania, ilekroć razy go opuścić pragnęli. Jednakże pomimo gwałtów i pomimo dzielności swych urzędników nie stworzył nic trwałego. Podobnie, jak jego sekretarz stanu *Pontano*, przewidział król niebezpieczeństwa, grożące Neapolowi ze strony Francuzów, ponurym głosem proroczym wyłożył księżętom włoskim swe obawy, szukał rady i pomocy u samegoż wroga oraz w Hiszpanii, ale nieszczęścia nie mógł odwrócić. Zaledwie *Ferdynand* zamknął oczy, zaledwie najstarszy syn jego *Alfons*, książę Kalabrii, współregent jeszcze za życia ojca, człowiek wstrętny i występny, samoistnie objął władzę, kiedy właśnie *Karol VIII*, rozgromiwszy Neapolitańczyków na lądzie i morzu, wtargnął do Neapolu (22 lutego 1495), *Alfons* uciekł i tegoż jeszcze roku umarł w Sycylii. Syn jego *Ferdynand II*, kilkoma miesiącami później podczas wjazdu do stolicy przyjmowany z zapalem przez tenże sam lud, który nieco przedtém radośnie witał Francuzów, zakończył życie 1496 r., mając lat 27. Młodzieniec — nadmierném używaniem rozkoszy przyspieszył sobie skon przedczesny. Strawił się dom Aragończyków. Nie miało to bowiem wielkiego znaczenia, że stanął u steru rządu *Fryderyk*, wuj *Ferdynanda II*. Monarcha ten odbijał korzystnie od swych poprzedników, ale brakło mu sił do przeprowadzenia zamierzonych planów, do udowodnienia przekonań czynami. Kiedy papież *Aleksander VI* zaprojektował 1498 r. małżeństwo *Cezara Borgia* z *Karoliną*, córką królewską, *Fryderyk* z pogardą propozycyę odrzucił, dodając przytém uwagę, że woli raczej postradać królestwo, dzieci i życie, aniżeli zgodzić się na związek z księdzem, z bękartem księżym; a jednakże w tymże samym roku musiał przystać na ślub swego krewniaka *Alfonsa* z *Lukrecyą Borgia*. Tak oto chwiał się we wszystkich sprawach, kołysany stosunkami, którym nie dorósł. Po kilku latach (1501) wypędzony ponownym napadem Francuzów, przeżył jako wygnaniec ostatek dni we Francyi. Neapol, skutkiem wojen między Hiszpanią i Francyą, przyłączony do monarchii hiszpańskiej, zniknął ostatecznie z rzędu państw włoskich.

Wśród tych okropności, wśród burz skolatanego państwa kwitła przecież literatura. Rozkwit to wcale nie sztuczny, nie stworzony bynajmniej powołaniem na dwór neapolitański mężów wybitnych, ale rozkwit wskroś naturalny, spowodowany działalnością sił miejscowych, zostających w styczności z dworem. W szeregu tych mę-

zów pierwsze miejsce zajmują: *Antoni Beccadelli*, *Jan Pontano*, *Jakób Sannazaro*.

Antoni Beccadelli, znany pod przydomkiem *Panormitanusa*, przybranym od rodzinnego miasta Palermo, (1394—1471), pozyskał osławiony rozgłos głównie książką pod napisem *Hermaphroditus*. W przedmowie do tego dzieła sam zachęca czytelników, aby owocem jego Muzy zabawiali się tylko w samotności, prosi o pobłażliwość, ponieważ zgrzeszył na równi z innymi pierwszjej wody poetami, i zaklina ich, aby z utworu nie wysnuwali wniosków o życiu, gdyż jest ono czyste, nieskazitelne. Inni zapewniają także, iż cnotę uważał autor za gwiazdę najświetniejszą i że z wielką pracował usilnością nad jej przyswojeniem. Jeżeli słyszymy dalej, że dziełko było dedykowane poważnemu i czcigodnemu *Kuźmiej Medyceuszowi*, że je pochwalili głośno *Guarini*, *Poggio* i *Bartolomeo*, biskup medyolański, to w sądach tych ludzi trzeba może upatrywać przeciwwagę wobec walki na śmierć, jaką książce zagrażali kaznodzieje ówczesni, jaką zgótowała jej na pozór potępiająca bulla papieża *Eugeniusza IV*. Zbiór 81 poezyj łacińskich, zawartych w dwu księgach „*Hermafrodyty*”, jest zaprawdę dziełem lekkomyślnym; napisał je autor wśród uczt w upojeniu, współbiesiadnikom i towarzyszym uciech gwoli. Wychwala przyjemności życia i rozkosze zmysłów, ale biczuje surowo występki naturze przeciwne, wyszydza dowcipnie śmiesznych nieuków i mędrków nadętych, wysławia przyjaciół, jak np. *Jana Aurispę* i *Leona Chrzyciela Albertiego*, i broni poezyi; obok tego składa hołd cnocie i czystości, przekazując potomnym w ślicznych wierszach pamięć dwu pięknych dziewcząt ze Sieny, zmarłych w panieństwie śmiercią przedwczesną.

Beccadelli mówił o sobie: „jeżeli nie żywię w duszy czczęj w sobie ufności“, *Hermafrodyta* pogrąży w toni zapomnienia „wierszami, których i czas nawet nie zniweczy“; ale nie napisał nic, co by z ową książką można postawić na równi. W piśmie *De dictis et factis Alphonsi* (o wyrzeczeniach i czynach Alfonsa), bogatym zbiorze anegdot, uświetnił imię króla *Alfonsa*, który autorowi wcale nie skąpił dowodów łaski, i przyłożył się dużo do tego, aby potomność przyznawała mu przydomek Wielkiego, Wspaniałomyślnego. Dzieło to jest wprawdzie pouczające i godne uwagi z tego względu, że stanowi pierwszą w nowszych czasach pracę anegdotyczno-biograficzną, kreślącą obraz jednostki, ale twórcy swemu nieśmiertelności nie zapewnia zgoła. Mowy jego nie górują niczem nad mowami wielu współczesników. Inne zaś prace, jak *tragiedye*, *historja Ferdynanda I* i t. d. zaginęły.

Beccadelli zostawał w stosunkach z pisarzami neapolitańskimi i wspólnie z najcelniejszymi z pomiędzy nich utworzył akademię, która w roku jego śmierci otrzymała od imienia istotnego swego założycie-

ła nazwę *Academia Pontaniana*. Pod mianem tém, lubo częstym ulegała przeobrażeniom, nie tylko oparła się burzom najazdów tamtoczesnych, lecz przetrwała wieki i dziś jeszcze istnieje.

Członkiem téj akademii był *Trystan Caracciolo* (1439—1517), pierwszy biograf *Pontana*, głośny z rozmaitych pism treści dziejowej. W historii *Joanny I* stara się ją rehabilitować z wielu ciężkich zarzutów. Wielkie jego dzieło *De varietate fortunae* (o niestałości fortuny), traktujące dzieje współczesne, ma na celu przedstawić zmienność losu w Neapolu za rządów *Alfonsa Wielkiego* i *Ferdynanda I*. Jestto ze wszystkich prac, powstałych w owe lata tak zresztą bogate, najgodniejsza czytania; „w postaciach“ — mówi *Jakób Burckhardt* — „wyprowadzonych przez autora na jaw dziwnie się płaczą: winą i los; możnaby historyka nazwać tragikiem bezwiednym“.

Jan Jowian Pontano (ur. 1426 w Cereto w Umbryi, zmarł 1503 w Neapolu) był wiernym sługą swoich monarchów. Ich mniemania i zamiary, nadzieje i złudzenia wystawił jasno i żywo w aktach państwowych. Ale spokój i wygody tak miłował, że ani swym panom na wygnanie nie towarzyszył, ani próbował tryumfujących wdzierców zwalczać podstępem lub siłą. Przeciwnie! Wjeżdżającego *Karola VIII* powitał mową życzliwą i gniewał się bardzo, że *malevoli nebulones* (zawistni hultaje) za złe mu to brali; jeżeli zaś odmówił *Ludwikowi XII* przyjęcia urzędu we Francyi, postąpił tak nie tyle z nienawiści do Francuzów, ile raczej dlatego, by nie zmieniać miejsca pobytu. Patriotyzm swój skwitował dziełem historycznym „O wojnie neapolitańskiej“, obejmującym wypadki w latach 1460 i następnych. Książkę tę uważać można za pewien rodzaj usprawiedliwienia osobistego oraz za hołd złożony królowi. Inne jego prace są pisane w tym duchu, że również dobrze mogłyby wyjść z pod pióra Nie-neapolitańczyka. Oskarżono *Pontana* — i słusznie — o obojętność względem ojczyzny. Obwinienia tego nie skruszy zgoła fakt, iż *Alfonsovi* i *Ferdynandowi* niektóre dedykował pisma; dedykując je bowiem, ulegał tylko panującej modzie, i powodował się daleko bardziej indywidualnym uczuciem wdzięczności aniżeli obowiązkiem patriotycznym. Zaznaczyć téż trzeba, że obok pochwały znajduje się zawsze i gorzka przygana, jak np. że Aragończykowie wprowadzili sztylet do Neapolu, który i bez tego igrał sobie z życiem ludzkim. Nie obalą również obwinienia o obojętność skargi, wygłaszane w wielu, dość często zresztą niestosownych, miejscach na spustoszenie Italii, „niegdyś władczyni narodów a dziś niewolnicy“ oraz na wojska najemnicze, które przeciągały po kraju, łupieżąc go nielitościwie. *Pontano* należy do rzędu kosmopolitów onego czasu. Między innymi wywrzekł on zdanie: „we wszystkich większych miastach naszych widzimy mnóstwo ludzi, którzy dobrowolnie opuścili swą ojczyznę; każdy, ucbodząc dokąd-

badź, zabiera z sobą cnotę“; za właściwą ojczyznę uczonego poczytuje tylko naukę, ani z czasem ani z miejscem niezwiązaną wcale.

Nauce służyć — to było główne zadanie *Pontana*. Ale do nauk zaliczał w pierwszym rzędzie astrologię, której zwolennikiem się wyznawał i której nauczał w licznych i wielkich dziełach matematyczno-astronomicznych. Znaczenie ich polega nie tylko na górnobrzmiących pochwałach astrologii, ale na tém, że przedstawiają dość dokładne repertoryum wiedzy owoczesnej. Astronomowie wykazali, że *Pontano* pierwszy wznowił stary pogląd *Demokryta*, iż światło drogi mlecznej pochodzi od niezliczonej ilości gwiazd małych. Astrologię wychwalał atoli przy każdej sposobności. Wierzył w możliwość przepowiadania rzeczy przyszłych; nie przypisywał żadnej winy wróżbicie, jeżeli proroctwo się nie ziściło; żywił mocne przekonanie, że niecnoty i występki, choroby i wszelkie nienormalności są dziełem wpływu gwiazd; nie dał sobie wybić z głowy, że ten tylko może być poetą, przy którego urodzeniu razem stali *Wenus* i *Merkury*. Pragnął też nawrócić przyjaciół do swych zapatrywań, a wyobrażeń ulubionych wyrzekł się po części jeno, kiedy wierze w astrologię zadał *Pico* swymi dowodami cios śmiertelny; jużcie przyganiał odtąd astrologom, lecz nie tyle za to, że zajmowali się sztuką szalbierską, ile raczej za to, że praktykując ją, nie dość przykładali pracy.

Astronomia i matematyka były dla *Pontana* odroślą jeno filozofii, której ze szczególném poświęcał się upodobaniem. W większości pism traktuje przedmioty moralne, ale ze stanowiska nader praktycznego. Waleczność, mądrość, szczodrobliwność, wielkoduszność — tak brzmią tytuły kilku jego większych rozpraw — roztrząsa nie tylko pod względem teoretycznym, lecz równocześnie filozoficzne swe rozumowania popiera wielką mnogością przykładów. Stąd więc prace *Pontana* w tej dziedzinie, zawierając dużo anegdot zapożyczonych ze świata klasycznego, świadczą o jego odczycaniu i uczoności, a podając opowiadania o współczesnikach, stają się zarazem ważnem źródłem historycznym swjej epoki. Żywiołu tego spotykamy najmniej w rozprawie „O monarsze“; w której spodziewalibyśmy się go najwięcej; jestto suche zestawienie przepisów pouczających, co mógłby również dobrze albo i lepiej zrobić człowiek mniej nawet znakomity.

Wszystkimi temi rozprawami zyskałby *Pontano* jedynie rozgłos uczonego męża utalentowanego, nieobdarzonego zdolnościami poetyckimi. A jednak i pod tym względem zapewniają mu imię dyalogi oraz poezye.

Czytając dyalogi, jesteśmy samą ich szatą już mile zdziwieni. Zamiast ociężałego, niekiedy wymuszonego języka rozpraw znajdujemy tu wysłowienie lekkie, naturalne; zamiast ogólnych rozumowań filozoficznych — żywo skreślone obrazy chwili, uroczyści ludowych

i scen miłosnych, deklamacje przeciw wykroczeniom moralnym, przeciw ciemnocie ludu i pedantycznym sporom uczonych. Nie troszcząc się zbyt wiele o spójność rzeczy, wypowiada *Pontano* w dyalogach: *Charon*, *Antonius*, *Asinus* (osieł) myśli i poglądy np. o nieśmiertelności, której bezwarunkowo nie przyjmuje; zwiastuje Italii państwo jednolite, ostrzega ziomków, niestety za późno, przed Francuzami i Niemcami; sławi naukę, wychwala czystość czasów minionych w porównaniu z zepsuciem terażniejszości. Aby chwilę bieżącą uplastycznić, zmyśla podróż po Włoszech, którą przedsięwzięje celem poszukania mędrca i cnotliwca; ale takiego człowieka, kończy z rezygnacją, nie znalazł nigdzie, niejaką nadzieję zaczerpnął tylko w Neapolu i Wenecyi.

Już w dyalogach zamieścił *Pontano* pewną ilość poezyj, daleko więcej przecież zawarł w osobnych zbiorach. Poezje dydaktyczne, w których owa epoka nadzwyczaj się lubowała, mało są zajmujące, tém bardziej za to interesuje liryka, odzwierciedlająca wiernie naturę i życie. Tu bucha świeżość i bezpośredniość uczuć i wystowienia, tu uderza ruchliwość języka, któremu dość nadziewić się nie możemy, boć pamiętajmy, że to język martwy. Spotykamy tu obrazy wypadków i zwyczajów życia neapolitańskiego; czytamy pochwały monarchów, przyjaciół i członków akademii; słyszymy wzruszający tren na cześć zawcześnie zmarłego syna *Lucyusza*; wysławia też poeta zasłużonych mężów, Neapolitańczyków i obcych, obok *Beccadelli* i *Masuccia* — Rzymianina *Pomponiusza Letusa* i mieszkającego w Wenecyi *Antoniego Sabellico*; osobistości zniesławione, jak *Lukrecję Borgia*, dobitnymi piętnuje słowy; zdarzenia chwili, jak zwycięstwo pod Otranto, unieśmiertelnia. Powagi, godności *Pontana*, myślącego o rzeczach wielkich i zajętego sprawami ważnymi, trzeba szukać w prozie. W poezyi natomiast okazuje się zuchwałym i płochym, goni za miłością, opiewa miłość, pogrąża się w naturze i jej pięknościach. Wzorem tego marzycielstwa o przyrodzie i miłości jest poemat *Lepidina*, nazwany tak od niewiasty, która w serdecznej żyje miłości z mężem *Makronem*, a opisuje siedem pochodów istot fantastycznych, przybywających dla uświetnienia wesela. Istoty te wyobrażają miasta i wioski, źródła i pagórki w okolicach Neapolu. Występuje np. *Wezuwiusz*; jest nim starzec, zjeżdżający na osłe truchtem z góry; witają go wszyscy radośnie a on każdemu się przymila drobnym podarkiem. Istnieją nadto zbiory pod napisem: *Amores* i *Bajae*. Są to po większej części poezje szczupłych rozmiarów. Słusznie powiedziano o nich, że dyszą rozkosznym powietrzem ulubionych kąpeli panów neapolitańskich, wychwalają użycie miłości a głoszą tęsknotę do uciech nowych, oplakują srogość kochanek a potępiają zazdrość. Poeta wyprawia kochance serenadę i prosi sąsiadów, aby mu nie

przeszkadzali; przeklina służbę dworską, lękając się, by go nie odwozila od służby miłości; cieszy się chłodem, który z przyczyny blizkiego sąsiedztwa ukochanej jest dlań tęp pożądanzy. Od synogarlic pragnie poznać istotę miłości a Muzy i Charyty radby mieć towarzyszkami. Azali miał rzeczywiście powód do uskarżania się na niewierność lub przynajmniej oziębłość małżonki, jak to nieraz czyni — tego nie wiemy; azali w igraszkach miłosnych, które opisuje, panuje tylko fantazyja, czy też kreśli wydarzenia prawdziwe — to nam obojętne. Bądź co bądź — we wszystkich tych pieśniach podziwiać musimy wytworność słowa, harmonijność dźwięku, bezpośredniość uczuć; rzekłbyś, że słyszysz piosnkę ludową. Czytelnik, nie znający nawet łaciny, znajdzie rozkosz w melodyjności następnych np. wierszy (*Amorum lib.I. ad Fanniam*):

Amabo, mea chara Faniella,
Ocellus Veneris decusque Amoris,
Jube isthaec tibi basiem labella,
Succiplena, tenella, mollicella;
Amabo, mea vita suaviumque
Face istam mihi gratiam patenti

(Kochać cię będę, najdroższa Faniello,
Oczko Wenery, ozdobo Amora,
Żądaj całusów na usteczka twoje,
Słodczy pełne, mięciuche, pulchniuchne;
Kochać cię będę przez życie całuchne,
Uczyń, ach, błagam, tę mi łaskę słodką).

Między poezjami *Pontana* znajduje się wiersz: *Ad Actium Syncerum Sannazarium*, w którym, usiłując przyjaciela zwabić z Sycylii do Bajów, maluje zdradliwie ich powaby i przyjemności. „Tu wolno młodzieńcowi i dziewczęciu bawić się miłością, śpiewać i płasać; tu przystoi starości godzić spory młodości, i spokój zakłócać, śmieszków do płaczu a płaksów do śmiechu pobudzać, w sądzie miłosnym zasiadać i kary dyktować, którym skazani najchętniej ulegną; tu jest miejsce, które o innych zapomnieć każe, miejsce błogości, bo je czezą i bogi i ludzie“.

Jakób Sannazaro (ur. w Neapolu 1458, zm. tamże 1530), do którego tak przemawiał *Pontano*, pozostawał z nim w serdecznych stosunkach zażyłości, podzielał z nim zapał do studyów klasycznych, po śmierci przyjaciela zajął się wydawnictwem pism jego, ale różnił się odeń poświęceniem dla upadającego domu królewskiego. Gdy bowiem *Fryderyk* musiał opuścić kraj ojezysty i przenieść się do Fran-

cyi, *Sannazaro* towarzyszył mu, dowodząc czynem wierności, o której dotąd mówił tylko, i nigdy go nie odstąpił. Oplakawszy wreszcie skon króla, kazał zań odprawiać corocznie kilka mszy w ulubionej swój willi otrzymanej w podarunku od monarchy. Dobrowolne wygnanie wraz z królem zasługuje na tém większe uznanie, że *Sannazaro* zostawił w ojczyźnie kobietę, którą szczerze kochał. Wielu poetów ówczesnych o miłości rozprawiało jeno, *Sannazaro* ją czuł rzeczywistoście. Pono już chłopięciem ośmioletnim, może aby porównać się z *Dantem*, rozgorzał miłością ku pięknej *Karmozynie Bonifacio* i dochował jęj wierności aż do zgonu. Z jęj śmiercią wygasł żarł miłości. Odtąd tkliwa tylko przyjaźń wiązała go z niewiastą starszą *Kasandrą Marchese*. *Karmozyna* jest bohaterką jednego z większych jego poematów (*Arcadia*), *Kasandrę* zaś opiewał w poezjach drobniejszych (*Rime*). W eklogach i elegiach, w sonetach i epigramach mówi o swęj miłości, głosi jęj wieczność w pięknym dwuwierszu:

Tu puero teneris ignis mihi primis ab annis,
Ultima tu tremulo flamma futura seni

(Tyś pacholęciu żarem we wiosny rozkwicie,
Ty płomieniem ostatnim i w siwizny bycie)

i umie swe uczucia we wszystkich wypowiadać formach. A uczucie to jest rzetelne, prawdziwe, mimo że spotykamy niekiedy oddźwięki *Petrarki*, mimo że spostrzegamy niejaką zawisć względem tego, który poezjami unieśmiertelnił siebie i opiewaną przez się kobietę, mimo że czytamy wyrażany często zamiar zdobycia nieśmiertelności za sprawą Muzy. Przysłuchujemy się chętnie skargom poety, ale z większą lubością jego pieniom radosnym: podziwiamy zdolność w traktowaniu tematów dobrze już znanych — tu rączki kochanki, która piękne zakrywa oczy, tam zasłony, która ma szczęście jęj oblicze muskać. Nierównie jednak większe obudza zajęcie, kiedy z wdziękiem kreśli choćby nieznaczne nawet wydarzenia z dziejów miłości swęj własnej, jak np. śmierć przeznaczonęj dla kochanki kuropatwy, którą skradł niewolnik etyopski, pozostawiając dwie inne; skarży się więc, że ta jedna sama poszła do bram Tartaru, gdy tymczasem inne „osiągnęły raj i byt szczęśliwy“. Interesującym jest, kiedy bolejąc nad ciężką chorobą kochanki, zropaczony życzy jęj śmierci, ponieważ wówczas zadaniem jego życia będzie drogie przechowywać popioły i zawodzić żale.

Arcadia (1-e wyd. 1504) obok piękności poetyckich posiada większe jeszcze znaczenie literackie. Wypowiedział to już sam *Sannazaro* w końcowej odezwie do Muzy: „Tyś po raz pierwszy zamarłe

rozbudziła lasy, tyś przypomniiała pasterzom sztukę nucenia zaginionych pieśni⁷. Doniosłość tę stwierdzili głośno współcześni, przyjmując dzieło z niesłychanym zapalem. Dowodem tego 60 wydań w samym wieku szesnastym oraz naśladownictwa poetów późniejszych. *Arcadia* jest poematem pasterskim, albo raczej zbiorem pieśni pasterskich (eklog) spojonych treścią. Posiłkował się w nich poeta, co prawda pracami obcemi — w całości Ametem *Boccaccia*, a w szczegółach między innymi np. dwunastą eklogą *Pontana*, *Meliseus* — ale przeważnie z własnego czerpał uczucia. Utwór bowiem jest trenem na śmierć *Karmozyny*, którą przyszło *Sannazarowi* oplakiwać za swym powrotem z Francyi. Autor sam występuje tu pod imieniem *Ergasta* i *Syncera*. Idzie on do Arkadyi ronić lzy po kochance, wespół z innymi pasterzami zawodzi pieśni, wysławiając urodę i cnoty zmarłej kochanki; szukając pociechy, odbywa nawet podróż w towarzystwie *Najady* do krajów podziemnych; wreszcie po długim, lecz bezowocnym oddaleniu wraca do ojczyzny.

Niezawsze trafia poeta w ton pasterski. Uczony i w sztuce biegły, wygłasza *Sannazaro* zwroty i nuci pieśni właściwe bardziej ludziom ukształconym aniżeli dzieciom natury; ale pomimo to umie rozbudzić w słuchaczu i czytelniku poczucie sielskości wymownemi obrazami przyrody wypływającemi nie z zapachu sztucznego, lecz z wrażliwości istotnej. Z tem życiem przyrody zgadza się i to, kiedy swym pasterzom i pasterkom każe mówić i śpiewać o *Bachusie* i *Panie*, o *Cererze* i o *Najadach*; kiedy, według trafnego wyrażenia jednego z krytyków nowoczesnych, każe im wyznawać religię *Teokryta* i *Wergilego*, ale sam do niej się nie nawraca; kiedy maluje sceny miłosne nie w wytwornym tonie towarzystwa wyższego, lecz w szorstko realistycznym tonie chłopów. Jednakże obrazowaniem tego rodzaju nie rozpala bynajmniej zmysłowości. Przeciwnie! Od wszelkich wzruszeń poziomych, od wszelkich chuci brudnych powściąga go uczucie czyste, jakie żywi dla władczyni swego serca.

W *Arkadyi* nie poprzestaje *Sannazaro* tylko na wysławianiu kochanki. Wychwala też przyjaciół, wielbi tkliwie kochaną a wcześniej zgasłą matkę, odzywa się z tajoną nieco czcią dla wypędzonych monarchów domu aragońskiego. Im bowiem jest zawsze oddany, panowania francusko-hiszpańskiego nienawidzi a nienawiść wyraża w świetnej charakterystyce kraju, na który własnymi patrzył oczyma; „jestto pustynia, nie zdolna rodzić i żywić młodzieńców szlachetnych, sposobna zaledwie na siedzibę zwierząt dzikich⁷”.

Sannazaro nie doznał prawdziwej rozkoszy, jaką mu zgotowała *Arcadia*. „Sława taka” — mniemał on — „nie pewna, ponieważ zasadza się na sądach tłumu”. Wolałby, jak wielu pisarzyw onego czasu, aby imię jego przekazały potomności raczej pisma łacińskie

niż włoskie; wolałby, jak niektórzy z nich, szukać zadowolenia raczej w przedmiotach świętych niż w rzeczach świeckich.

Dowodem takich przekonań jest poemat: *De partu virginis* (O narodzeniu Chrystusa), dojrzały owoc czei autora dla Maryi Dziewicy, której, według orzeczenia Goethego, „jako wzorowi niewieściej piękności i cnoty poświęcił życie i talent”. Nad utworem tym pracował lat dwadzieścia, każdą pieśń jego, ba! każdy wiersz nawet wespół z przyjaciółmi rozbierał. Zdobył nim też sławę olbrzymią i zaszczytny przydomek „Wergiliusza chrześcijańskiego”. Sannazaro pierwszy poetyckim blaskiem uświetniał chrześcijaństwo, gdy tymczasem dawniejsi poeci chrześcijańscy głosili jeno zasady religii bez technienia poetyckiego.

Osnowa poematu trzyma się dość wiernie tradycyi. Bóg przekonany się, że dość już grzechów ludzkich; pragnie więc zesłać światu Zbawiciela i poleca aniołowi *Gabryelowi* zwiastować *Maryi Dziewicy* wysokie jęj powołanie. *Gabryel* schodzi na ziemię i zastaje *Maryę* gotową; Duch św. zstępuje i dokonywa się cudowne poczęcie. Fakt ten porusza całą przyrodę ożywioną i martwą, porusza w świecie podziemnym dusze zmarłych; Dawid w natchnionej mowie głosi bieg życia Jezusowego. *Maryja* udaje się do *Elżbiety* i obie napawają się radością błogą. Ale radość tę zakłócają niebawem wypadki zewnętrzne: nakaz przeprowadzenia popisu w państwie rzymskiem zmusza *Maryę* i *Józefa* do podróży do Betleem; przeludnienie miasta przynagla ich szukać schronienia w grocie; tu rodzi się *Jezus*. Wypadek ten napelnia świat radością: aniołowie i pasterze śpiewają pieśni pochwalne, a Jordan natchnionemi słowy wieszczy sławę *Jezusa*, *Zbawcy* świata.

Zasluga Sannazara polega nie na wynalezieniu treści, ale na wykonaniu, na artystycznie doskonałej, wzorowej formie wiersza. Obrazowanie, wzbijające się do rzeczy najwyższych, do ukazania Boga samego, jest plastyczne; pobożność ujawniająca się w dziele, nie jest bynajmniej sztuczną. Znać wyraźnie, że nie jest to zadanie wybrane przypadkiem, że wypełnia ono raczej właściwą treść życia poety, że wypływa z potrzeby wewnętrznej. Sądu tego obalić nie zdołaż dwne, estetycznie wykształconego czytelnika rażące pomieszanie pogaństwa z chrześcijaństwem, starożytności z nowoczesnością. Czasy, owe bowiem nie w tém nie znajdowały nagannego, że poeta wiersze Wergiliusza z eklogi czwartej wplata do pieśni pasterzów nad żłobem; że Bogu nadaje rysy Jowisza, *Gabryelowi* — Merkurego, a *Maryi* — Dydony, albo że chrzci ich nazwiskami pogańskimi. Ludzi tamtoczesnych nie gorszyło wcale, że podczas śpiewu Dawida, Ereb się burzy, że Megiera zgrzyta, że Cerber wyje, Kocyt drży a Syzyf

jest nieporuszony; że Jordan większej wiarogodności gwoli wygłasza swe proctwa jako wieszczonienie Proteusza.

Ależ życia całego nie da się w świętym przepędzić nastroju. Więc i Sannazaro mimo całą powagę utworu i przekonania własnych z zupełną szczerością kończy swe pieśni wyznaniem, że zrywa ze świętością, gdyż oczekują nań Trytony i Nereidy i jego Mergellina, gdzie zawsze świeże zielenieją wieńce, którymi chce opleść swe skronie.

Mergellina — to nazwa willi, którą otrzymał w darze od króla Fryderyka. Tu najświętszej Pannie zbudował kaplicę, tu rozkoszował się zaciszem wiejskiem i samotnością, tu cenił swego patrona. W poezjach drobniejszych, o ile nie masz w nich mowy o miłości i kulcie Maryi, sławi właśnie Ś. Jakóba wszędzie, czy to przebywając w pięknej swój posiadłości, czy na wygnaniu tęskniąc za ojczyzną; wielbi przyrodę w miłych poematach pasterskich i pełnych wyższego nastroju pieśniach, obrazując plastycznie piękności morza, powaby wiosny. Uwiecznia też wypadki współczesne w krótkich wierszach, nie zawsze tak sownie nagradzanych jak trzy dystychy na cześć Wenecyi, za które rada tego miasta wypłaciła mu sto dukatów. Drobne te wiersze zasługują na uznanie przez swą otwartość i stanowczość. Nie wiele poetów z taką jak on odwagą gromiło papieżów, począwszy od Inocentego VIII, z którego sztydzi, że wycieńczone przez się miasto zaludnił znowu swymi potomkami, a skończywszy na Hadryanie VI, barbarzyńcy, przeciw któremu wzywa Chrystusa na mściciela. Drwi nawet z Leona X, że w godzinie śmierci nie mógł przyjąć komunii, ponieważ i ją sprzedał wraz z innymi skarbami papieskimi. Przedewszystkiem jednak Aleksander VI i cała jego rodzina są przedmiotem zajadłej, lecz zupełnie uzasadnionej nienawiści.

Nienawiść przeciw piastunom władzy duchownej nie doprowadziła go nigdy do wynurzeń antyreligijnych. Pobożność Sannazara była ugruntowana tak silnie, że osłabić jej nie zdołały nawet występki dostojników najwyższych. Lubo człowiek świecki, przestrzega surowo przepisów religijnych i okazuje szacunek dla stanu duchownego. Jakżeż inaczej zachowuje się jego rodak, nieco odeń starszy, *Masuccio*, należący również do kółka *Pontana*.

Od *Pontana* też wyłącznie prawie pochodzą niektóre wiadomości o *Masucciu*. *Masuccio* (imię zdrobniałe z *Tomasz*) tedy, członek znakomitego domu *Guardati*, urodził się w *Salerno* i tamże umarł. Kwitł między 1420 a 1480; był sekretarzem książąt *Sanseverino* i zdaje się, że nie zerwał z kołem uczonych neapolitańskich, chociaż panowie jego przewodzili w wojnie baronów z *Ferdynandem*.

Szczegóły o jego działalności literackiej są na szczęście obfitsze niż informacye o jego życiu. *Masuccio* napisał (prawdopodobnie 1463—1468 r.) mianowicie zbiór nowell, *novellino*, które wyszły z dru-

ku po raz pierwszy 1476 r. a nowe wydania powtarzały się odtąd dość często. *Masuccio* nie jest bynajmniej uczonym, ale obcując długo w gronie uczonych, potrafił ocenić ich wiedzę i przyswoić sobie ich zwyczaje. A więc i on, podobnie jak prawdziwi znawcy starożytności, opiera się na Juwenalu, wzywa bogów nieśmiertelnych, Zeusa najwyższego i promiennego Apolla. Pomimo to jest Włochem nawskroś. O pochodzeniu szlacheckim pamięta o tyle, że afektuje niekiedy język wzniolejszy, aby stan swój wywyższyć a lud poniżyć; jest zaś o tyle przedstawicielem ludu, że nie dał się uwieść ambicyi pisania po łacinie, że w nowellach naśladuje „ozdobny język i styl *Boccaccia*, poety słusznie chwalonego”, że opowieści swe czerpie z wypadków dnia lub z materyałów już znanych. Nie lęka się też z bogacim języka zwrotami neapolitańskimi oraz przedstawić nieubarwiony obraz stosunków kraju a zwłaszcza stolicy. Jeżeli obraz ten miał być wierny, to, chociaż autor dedykował swą książkę młodocianej, wykwintnie ukształconej *Hipolicie Sforzy*, narzeczonej księcia *Alfonsa* (II), musiał jednak mówić i o strasznej niemoralności, powszędy rozpanoszonej, i o rozwielenionej nienawiści ku księżom, co stanowiło szczególniejsze właściwości Neapolu. Charakterystycznym też żywiołem nowell jest właśnie walka przeciw księżom, których rządu *Masuccio* nienawdził już dlatego samego, że był Neapolitańczykiem; samoistności bowiem Neapolu zagrażali ustawicznie papieże. Cała pierwsza księga (10 nowell) poświęcona jest księżom przewrotnym. Z wielkiem życiem i oczywistą prawdą maluje tu poeta występne obcowanie duchownych z kobietami, krzywdy, jakie wyrządzają ich mężom; kary, jakie za to ponoszą; przebiegłość, z jaką umięją siebie lub współwinnych od pokuty uwolnić; dalej ich oszustwa z relikwiami, ich obietnice wskrzeszania zmarłych, ich przyrzeczenia rajy naturalnie za dobrą zapłatę, wreszcie sposoby, jakimi przez chytrłość innych tracą grosz nabyty szalbierstwem. Tu także odgrywa pewną rolę wynalezienie piątego ewangelisty, co w dwieście lat później miał tak uciesznie opowiedzieć *Grimmelshausen*. Kto by zaś mniemał, że *Masuccio* wybrał te opowiadania przypadkowo tylko, albo że chciał dogodzić wymaganiom innych a nie wypowiadał zapatrywań własnych, ten niechaj czyta dedykacye w formie listów (*esordio*), którymi poprzedza swe nowelle, lub przymówienia końcowe, przed którymi kładzie swe nazwisko. Wyraziściej aniżeli w nich nie można doświadczeń swych skreślić, silniej — oburzenia swego wypowiedzieć. „Bodaj się ziemia rozwarła” — wykrzykuje — „bodaj pochłonęła żywcem tych złoczyńców, tych żołdaków dyabła wspólnych z ich opiekunami!”

Tego rodzaju przekonaniem objaśnia się też pewna bezprzesądność względem inowierców, właściwa *Masuccio*’wi; o mahometanach

więc mówi nietylko jako o niewiernych, ale umie coś powiedzieć o ich wdzięczności i szlachetności. Objaśnia się dalej dążenie, aby z przeszłości przytaczać lub nawet zmyślać zdarzenia dla podsycania nienawiści przeciw księżom. Opowiada tedy osobliwszą historię o cesarzu *Barbarosie*. Oto przez zdradę papieża popadł monarcha podczas pielgrzymki w niewolę sułtana, ale złożywszy zastaw, odzyskał wolność; zastaw ten wykupuje tak szybko i sumiennie, że nietylko otrzymał zwrot okupu, lecz w dodatku zjednał sobie w sułtanie przyjaciela i wielbiciela. Papieżowi wszelako nie mógł *Barbarosa* zapomnieć czynu niecnego; ciągnie więc z wojskiem przeciw niemu, wypędza z Rzymu i zamyka w szpitalu w Sienie, gdzie wróg nędznie umiera.

Opowieść ta zawiera się w piątą częśći nowell, malującej czyny podniosłe i rycerskie. Mieszczą się w niej także nader piękne i wzrastające historyjki o wiernej, pełnej zaparcia miłości. Inne zaś części, mianowicie druga: „Fikle płatanie zazdrośnikom” i trzecia: „Szpetne sztuczki kobiet” obejmują rzeczy prostacze i gorszące. W przedmiotach takich szczególne mieli upodobanie nowelliści ówczesni; *Antoni Beccadelli*, któremu autor jedną dedykował nowellę, czyta je z wielką przyjemnością.

Niemasz większej może sprzeczności jak kontrast między dwoma obywatelami tego samego miasta, synami tej samej epoki: między czułym, tklivym i często unikającym rzeczywistości *Sannazarem* a prostaczym, aż nazbyt wiernie malującym życie realne *Masucciem*. We wszystkim niemal różnią się od siebie, zgadzają się co najwyżej w jednym chyba: w nienawiści ku papieżom i wszystkim piastunom władzy duchownej. Sprzeczności takie, jako osobliwsze następstwa renesansu i poglądów chrześcijańskich, zdarzają się w ówczesnych Włoszech niejednokrotnie; w Neapolu zaś przyłącza się jeszcze do tych wpływów żywioł odrębny: wpływ zagranicy. Już Aragończykowie wnieśli do kraju nieco pierwiastków obcych i pielęgowali je mimo całą uległość przemożnej potędze ducha włoskiego, nie zrywając nigdy związków z Hiszpanią, krajem macierzystym. Hiszpanie, naówczas panujący, wskutek swych przekonaniń ściśle kościelnych i silnie odbijającego się ducha narodowego, kulturą włoską się nie przejmowali i zachowywali się wrogo względem literatury noszącej wyraźne ślady pogaństwa. O kulturze i literaturze, wytworzonej pod wpływem hiszpańskim, mówić tu nie możemy, ale jako oznakę ich wcześniejszą przytaczamy dwa dramaty z roku 1492, o których krótką wiadomość podał *Gregorovius*. Jeden z tych utworów, *Historia baetica Karola Verardięgo*, ma za treść upadek Grenady, ostatniej opoki panowania Maurów na półwyspie Pirenejskim, drugi zaś, *Ferdinandus servatus* (Ocalenie Ferdynanda) *Marcelina Verardięgo*, przed-

stawiający ocalenie monarchy hiszpańskiego od skrytobójcy, jest hołdem, złożonym królowi Ferdynandowi przez kardynała Riario. Obie sztuki, jeżeli chodzi o wartość dramatyczną, są nieszczególne, zasługują jedynie na uwagę ze względu na Hiszpanię, która o tej porze zaczyna już oddziaływać.

I w czasach późniejszych znajdowali Hiszpanie—nie tylko Karol V, który będąc cesarzem zapomniał swęj hiszpańskości—chwalców i poetów nadwornych pomiędzy Włochami. Takim jest np. utalentowany *Ludwik Tansillo* (1510—1568), wcale udatny naśladowca powołanej do życia przez Sannazara poezji pasterskiej oraz moralista, wydawniający jasno stan kultury ówczesnej w swych poematach dydaktycznych. Ale w pisarzach tej kategorii nie trudno dopatrzeć się przymusu, jaki im narzucała służba u cudzoziemców, których chętnie chrzczą mianem barbarzyńców; nie rzadko dosłyszeć u nich szyderstwa, jakim się mszczą za przymus oczywisty. Miało się już pod koniec rozkwitowi literatury, tak świetnej w epoce Alfonsa i Ferdynanda.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

Wenecya i Juliusz II.

Wenecya nie zajmuje bynajmniej pierwszego miejsca w rzędzie miast, które położyły zasługi względem literatury Odrodzenia. Co prawda, zapisał *Petrarka* testamentem grodowi temu swą bibliotekę, ale zapisem tym nie zdołał rozniecić zapału do studyów klasycznych, — biblioteka jego poszła nawet w poniewierkę i uległa rozproszeniu; w sto lat później z lepszym nieco skutkiem ofiarował Wenecyi piękną księżnicę *Bessarion* (ob. str. 110). Dary te świadczą zapewne nie tylko o szacunku dla bogatego i potężnego grodu, lecz także o uznaniu dla ducha literackiego, lubo dowodów zewnętrznych naprózno byś szukał. Za popędem niejakim ku rozwojowi umysłowemu przemawia może fakt osobliwszy, którego jednak żadną miarą wyjaśnić nie zdołasz rozległymi stosunkami handlowymi, zaopatrującymi Wenecyę we wszelkie produkty świata. Faktem tym są zbiory przedmiotów starożytności. Nader ważny dokument Oliwierza Forzy, bogatego mieszczanina trewizańskiego, z roku 1335, poucza, że Wenecya była już wówczas miastem, w którym znajdowały się zbiory medalów, monet, bronzów, marmurów, kamieni rżniętych i rękopisów autorów klasycznych. Zaznaczyć przytęm wypada, iż ze zbiorów tych mogły zbiory inne uzupełniać łatwo swe braki. W każdym razie gust, kierujący wyborem, nie był wcale wytrawny; zgromadzano bowiem do kupy wszystko, nie uwzględniając epok i kierunków. Ale bądź co bądź gust istniał a bogate miasto kupieckie stać było na środki, zdolne za spokojie zachcianki najdalej nawet sięgające.

Otóż więc wcześniej rozbudzona skłonność i możność przy niezmiernych bogactwach zadowolenia tój skłonności — sprawiły, że Wenecya stała się wspaniałą siedzibą przedziwnych dzieł sztuki. Dumnie wznosiły się pyszne pałace, świadczące o liczbie i potędze mieszkańców, jak również o wytwornym smaku panów i artystów; kościoły przepelnione były obrazami, dowodzącymi pobożności malarzów i fundatorów; zasłużeni mężowie otrzymywali pomniki na placach miejskich a szanowni możnowładcy uczuwali już za życia pragnienie, aby wspaniałymi grobowcami przekazać potomnym sławę swego żywota i czynów swoich.

Wykaz i opis wszystkich tych dzieł należy do historii sztuki. Wymienimy z nich te tylko, które szczególniejsze mają znaczenie i dla miasta Wenecyi i dla usiłowań renesansu.

Do charakterystycznych gmachów miasta lagun należy Scuola (szkoła) di San Marco, wzniesiona 1485 r. O przepyszną jej fasadzie, która sama niemal z dawnego budynku przechowała się w całości, wyrzekł jeden z najwybitniejszych znawców sztuki, że jestto najważniejszy nieledwie pomnik minionego życia weneckiego, że w nim odmalował się cały wykwint i wesołość tego życia⁷.

W nazwie gmachu zadokumentowali Wenecyanie cześć dla świętego patrona, któremu w mniemaniu swém zawdzięczali wielkość grodu. Ale byli oni zarazem nieodrodnymi dziećmi teraźniejszości, nie mogli więc na nie poświęcać najistotniejszych dzieł sztuki epoce, w której żyli. Pomiędzy produkcjami tego rodzaju najpierwsze miejsce zajmują portrety, odzwierciedlające życie najwierniej; mają one doniosłość tém większą, jeżeli portrecista i portretowany czynny w życiu epoki brali udział. To właśnie przytrafiło się malowidłu Bellini'ego, przedstawiającemu dożę Leonarda Loredano. Albowiem *Jan Bellini* (1426—1516) był jednym z najslynniejszych malarzów ówczesnych, wysoko ceniony w Wenecyi, zatrudniany i czczony przez Izabelę mantuańską, entuzjastycznie chwalony przez Aryosta i Piotra Bembo; *Loredana* zaś musimy upamiętnić jako tego dożę (1501—1521), który szlachetnym umysłem popierał nauki i sztuki w epoce, kiedy Wenecyi wypadło przeżywać ciężkie walki polityczne. Zasługi Loredana uczcił humanista Andrzej Navagero w mowie pogrzebowej, którą współcześni poczytywali za najgodniejszą ofiarę pośmiertną.

Portrecista i portretowany mało co albo zgoła nie myślą o sławie pozgonnej, jakiej mogliby się spodziewać dzięki swemu portretowi. Jednakże żądza sławy była pospolitą i w Wenecyi ówczesnej; polityk i wojownik spodziewali się zasłużyć na nią czynami; uczeni sądzeni, że ją zdobędą i rozszerzą pismami. Niejeden doczekał się tego, że za życia jeszcze chwalono go za czyny świetne a po śmierci uczczono pomnikiem. Za przykład może stanąć grobowiec doży Piotra Mocenigo, zmar-

łego 1476. Jako wódz oddał on wielkie usługi miastu ojczystemu; w roku skonu został obrany dożą a po zgonie uczczony grobowcem arcywspaniałym; innym przykładem jest grobowiec doży Vendramin'a. Pomijając już wartość artystyczną, jest grobowiec Mocenigo godzien uwagi ze względu na skojarzenie w nim pierwiastków pogańskich z chrześcijańskimi i ze względu na przewagę pierwszych. Zamiast aniołów występują rycerscy paziowie, zamiast scen z pisma świętego przedstawione są czyny Herkulesa; tylko na górnej płaskorzeźbie widzimy niewiasty u grobu Chrystusa a w posągach szczytowych dostrzegamy Zbawiciela i dwu aniołów.

Dalszym i o wiele wyrazistszym przykładem tego pragnienia sławy jest posąg konny Colleoni'ego. *Barłomiej Colleoni* urodził się 1400 roku; wczesnie już odznaczył się w zawodzie kondotyerskim, jako istny wyobraziciel swego stanu zostawał w służbie u różnych panów, wreszcie 1448 r. sprzął się na zawsze z Wenecją, która najczęstsze i najzyskowniejsze dawała zajęcie, a w nagrodę za wierność otrzymał posadę dożywotnią w mieście przez się bronionem. Byłto człowiek bogaty i pałał żądzą, aby pamięć czynów jego nie zagięła. Projektował więc dla siebie posąg stojący, który miał go ukazywać potomności w postawie rozkazującej, w jakiej właśnie społecznym bywał nieraz straszny. Ale wykonania nie doczekał. Projekt jego porzucono, a natomiast z polecenia miasta Wenecyi dwaj artyści *Andr. Verrochio* i *A. Leopardi* uskuteczнили dzieło, o którym *Jakób Burekhardt* powiada: „może ono słusznie być nazwane najwspanialszym monumentem konnym w świecie całym. Rumaka i jeźdźca nikt już nie obmyślił tak jednolicie, tak w charakterystycznych osobnikach, a zarazem w takiej potędze. Wielka, gwałtowna epoka Quattrocento, której jedno z najwybitniejszych i najokropniejszych zjawisk stanowią kondotyerowie, nie odżyła w żadnej postaci tak potężnie i tak zwycięsko”.

W Wenecyi znajduje sztuka protekcję znaczną. Pochodzący z Wenecyi papież *Paweł II* już około połowy wieku piętnastego wniósł do Rzymu wenecki entuzjazm dla sztuki. Ale papież ten dowiódł zarazem na własnej osobie, że zamiłowanie do sztuki nie koniecznie zwykło chodzić w parze z uprawą nauk. Wyłączność upodobania w sztuce nie sprzyjała u Wenecyan rozwojowi literatury; innym jeszcze szkopułem był ich zmysł nawskroś praktyczny. Jużćie istniały w Wenecyi szkoły, nawet zakłady, gdzie miano pieczę nad wykształceniem wyższem, odbywały się odczyty o literaturze i filozofii starożytnej, ale myśl przewodnicząca instytucyom tej kategorii ujawnia się w rozporządzeniu z roku 1446; podług niego mają się młodzieńcy takich głównie uczyć rzeczy, któreby znalazły przystosowanie do obyczajów i zwyczajów naszego miasta i naszego państwa”.

Oprócz tego trzeba i tę osobliwość mieć na uwadze. Kiedy w innych miastach i państwach zajmowano się literaturą z miłości do samego przedmiotu, w Wenecyi tymczasem z żądry sławy, kierując się w dodatku mniemaniem, że można za pieniądze nabyć to, co drudzy posiadli; przez zawiść do sławy krasomówców Florentczyków sprowadzili Wenecyanie oratora dla udowodnienia własnych zdolności, tudzież ustanowili posady płatnych historyografów, aby występowali do współzawodnictwa z dziejopisami florenckimi.

Mimo to wszystko istnieje przecież w Wenecyi literatura Odrodzenia. Najpierwszym co do czasu jej przedstawicielem jest *Karol Zeno* (zm. 1418 r.). Zeno nie tyle wiedzę posiada, ile raczej pragnie jej, nie tyle stoi w szeregu humanistów, ile raczej sprzyja im; w każdym razie zasługuje na uwzględnienie jako jeden z pierwszych popieraczy ruchu literackiego. Większe uznanie należy się dwu *Giustinianim Leonard* (1388—1446), ojciec, uczył Karola Zeno mową pogrzebową, był podobnie jak tamten wysokim urzędnikiem; umarł prokuratorem Ś. Marka.—Zenona przewyższał wiedzą humanistyczną, znajomością greczyzny, literatury włoskiej i muzyki, ale stoi oden niżej brakiem stałości i wytrwałości; pod koniec bowiem życia on, człowiek wykształcony humanistycznie, poświęcił się wyłącznie studyum teologicznym.—W tej mierze różni się od ojca syn *Bernard* (1408—1489), gdyż od początku do końca pozostał humanistą jednostronnym. Piastował on wysokie w ojczyźnie urzędy, był również prokuratorem Ś. Marka, jako mówca przyjmował cesarzów i królów, odbywał poselstwa do rzeczypospolitych włoskich i państw zagranicznych. Z tém wszystkiém najchętniej jednak obcował ze starożytnością, uprawiał sztukę krasomówstwa rzymskiego i styl listowy łaciński, czytał szczątki czasów klasycznych, zgłębiał dzieje Rzymu starożytnego, oraz dawniej, sławniej i szacunek budzącej Wenecyi. Zajęcia dyplomatyczne nie osłabiały w nim zamiłowania do studyów humanistycznych, a pobyt za granicą nie przytłumiał miłości ku ojczyźnie. Przeciwnie! Wobec króla francuskiego Bernard ośmielił się twierdzić, że kultura francuska zależną jest od włoskiej; nie lękał się, mimo że witał cesarza, nazywać Niemców barbarzyńcami, ponieważ swemu monarsze nadawali tytuł *imperator*, gdy w łacinie klasycznej słowo to nie oznaczało nigdy naczelnika państwa.

Współczesnikiem starszego *Giustinianiego* jest *Franciszek Barbaro* (około 1398—1454). Bardziej niż ktokolwiek z Wenecyan ówczesnych łączył *Barbaro* z polityką pracą nad literaturą. Jest więc wysokim urzędnikiem, z zadowoleniem ziomek piastuje wiele godności, chętnie widziany na dworach obcych, występuje w roli posła i pośrednika, zamieszcza w listach sprawozdania z placu boju i opowieści o układach dyplomatycznych. Równocześnie zaś poświęca

się z zapalem studjom, pisze uczone traktaty, wygłasza mowy, posiadając niezwykłą bystrość umysłu, z entuzjazmem poświęca się językowi greckiemu i należy do tych niewielu, co, przejęci największą czcią dla Hellady, przyznają zawisłość kultury rzymskiej od greckiej. Jako uczoney, zaleca się skromnością, jako polityk — celuje świadomością siebie; skarży się więc: „W ciągu dziesięciu miesięcy nie otrzymałem od rady miasta żadnej wiadomości, żadnego zaświadczenia, które byłoby dowodem małej nagrody za niewysłowione moje cierpienia i trudy dla państwa”. Na polu polityki rozwija działalność nie mniejszą, jak na niwie umiejętności. Nietylko wojny i traktaty ojczyzny leżą mu na sercu, ale śledzi też z wielkiem zajęciem obrady sejmowe florenckiego i zachęca współczesnych do przedsięwzięcia wyprawy na Turka. Tak charakterystyczne skojarzenie poglądów ujawnia się w tém, że *Barbaro*, daleki od jednostronnego wywyższania nauki, domaga się, aby jednostka kształciła się na obywatela państwa, a nie wyłącznie jeno na członka rzeczypospolitej uczonych. Taki sposób myślenia wypowiedział, odzywając się pewnego razu do przyjaciela: „Czas już nareszcie, abyś filozofię z bezużytecznych cieśni szkolnych wyprowadził na pole otwarte, do walki. Tacy bowiem jeno mężowie są szczęśliwi, którzy wśród narodu wolnego pracują dla powszechnego dobra, którzy z godnością się obraćają wśród spraw wielkich i zażywają sławy z mądrości (politycznej)”. Jeżeli zaś zwywa druha do walki, to ma na myśli walkę życia jedynie, a nie polemikę literacką. Wbrew albowiem usposobieniom wielu współczesników, czuł odrazę do kłótni literackich; nigdy też sam żadnego nie wszczął sporu i zrzadka tylko podnosił głos w zatargach innych pisarzy. Jako prawy syn Odrodzenia, dał się poznać mecenasostwem na dużą skalę, oraz wydaniem jedyne większych rozmiarów pisma. Dzieło to pod napisem: *De re uxoria* (O małżeństwie) nie jest zgoła zbiorem doświadczeń męża, ani rozumowań historyka, polityka i filozofa, lecz zestawieniem zdań pisarzy starożytnych o rzeczach, które młodocianemu autorowi musiały być obce; układając swą książkę, miał *Barbaro* dopiero lat siedemnaście.

Do młodszego pokolenia humanistów weneckich należy *Andrzej Novagero*. Wenecyanin z pochodzenia, czuł się bardziej Rzymianinem. *Bembo* pisze do kogoś, iż z *Novagerem* i kilku innymi udaje się do Rzymu, „aby wszystko widzieć, stare i nowe. Jedziemy tam głównie dla zabawienia pana *Andrzeja*, który, przepędziwszy w Rzymie Wielkanoc, powróci do Wenecyi”. Do koła tego należał i *Rafael*, który wówczas właśnie wymalował portret *Novagera*; oryginał portretu niestety zaginął, przechowała się tylko kopia.

Andrzej Novagero urodził się w Wenecyi 1483 (tegoż roku, co i *Rafael*). Humaniorów uczył się w mieście ojczystém u *M. A. Sabelli*.

ca, greczyzny w Padwie u *M. Musurusa*, od którego przejął uwielbienie dla *Pindara*, swobodnego myślenia u *P. Pomponazza*. Powaga i surowość wychowania młodzieńczego odbiły się też i w wieku późniejszym. Zalecał się otwartością i szczerością, ale bez szorstkości, lubił się podobać, ale był daleki od wszelkiej kokieteryi. *Navagero* jest poetą, lecz takim, który, jak mówi jeden ze współczesnych, „chce mieć swe Kameny czystemi”, który więc, znosząc jeszcze *Katulla*, nienawidzi *Martiala* i corocznie pali egzemplarz jego poezyj. We własnych utworach, zaliczanych do najpiękniejszych kwiatów literatury renesansu, np. w odach do Wenery i nocy, w powitaniu ojezyny, wypowiada myśli nowoczesne w formie antycznej, posługując się skąpo mitologią, zaznaczając silnie pobożność i patryotyzm. Wygłaszał mowy na cześć dożów i uczonych znakomitości onego czasu, gromadził rękopisy i niektóre dzieła wydawał, jak np. *Cycero*na; pisał zasobne wiedzę rozprawy o starożytnościach, które oglądał z rozumnymi i wzniosłego umysłu przyjaciółmi; z zapalem i usilnością kontynuował historję Wenecyi, pracę swego nauczyciela *Sabellica*. Był wreszcie i politykiem. W tym charakterze występując, ofiarował *Juliuszowi II* poemat, aby mu złożył życzenia z powodu zawarcia przymierza z Wenecyą; prawił mowy, aby popierać projektowaną przez *Leona X* wyprawę na Turków; jeździł w poselstwach od miasta rodzinnego do Hiszpanii i Francyi, gdzie umarł (1529 r.), spełniwszy zaledwie swą misję.

Navagero zostawał w ścisłych stosunkach z uczonymi weneckimi, oraz z chwilowo w Wenecyi bawiącymi; głównie z *Sabellikiem*, swym nauczycielem i mistrzem w sztuce dziejopisarskiej, a także poprzednikiem w zarządzie biblioteką wenecką; przedewszystkiem zaś z *Aldem Manuziem*.

Aldus Pius Manutius Romanus albo *Bassianus* (ur. prawdopodobnie 1449, zm. 1515 r.), wziął przydomek *Romanus* od miasta ojczystego Romy, *Bassianus* również od zakątka rodzinnego, *Pius* od książąt *Carpi*, z których jednego był wychowawcą; ale nazwiska *Manutius* (*Manuzio*) dokładnie objaśnić nie umiemy. Nauki pobierał *Aldus* w Rzymie i Ferrarze, podczas wojny 1485 r. mieszkał u przyjaciela swego *Pico de Mirandola*, z którego synowcem, wymienionym powyżej księciem, w blizkich i potem zostawał stosunkach, przesyłając mu cenne swe wydawnictwa, oraz listy, przepełnione maksymami mądrości. Zgłębiał literaturę grecką, mianowicie też filozofję platońską, trzymał się zdala od obłudnej nauki astrologii i, mimo wykształcenie filozoficzne, religii ojców pozostał wierny. Gorącym jego pragnieniem było krzewić znajomość literatury greckiej. Brak książek greckich — gdyż dotąd małą ich tylko liczbę drukowano w Medyolanie, Vicenzy i Florencyi — nietylko tój żądzy nie przytłumił, ale nawet

Manuzia podniecił, iż sam postanowił drukować. Jakoż pracę na tém polu rozpoczął 1490 r. w Wenecyi, odrzuciwszy wprzód zaprosiny księcia *Carpi*, by przybył do Novi. Początkowo ogromne musiał pokonywać trudności, gdyż nie mógł znaleźć zecerów i korektorów; niebawem jednak wszelkie zawady, usunął i w krótkim stosunkowo przeciągu czasu zdobył sobie *Aldus* w zawodzie drukarskim znaczenie wszechświatowe. O zyski wielkie nie dbał wcale, to też umarł w ubóstwie. Nie zaznał i wdzięczności ze strony miasta, w którym i dla którego tak gorliwą rozwijał działalność. Niezadługo nawet imię jego poszło w niepamięć, a z domu jego nie pozostało i śladu.

Aldus — to drukarz nie zwyczajny. Przeciwnie! To kupiec obrotny, to człowiek z gustem, to znawca sztuki i uczony. Jako kupiec, umiał otworzyć drogi handlowe, na które przed nim nikt wkroczyć się nie odważył; jako znawca sztuki urządzał swe nakłady praktycznie i wydawał je ozdobnie, nie dlatego przecież, aby tą nowością zapewniać sobie tylko korzyści, lecz aby innym sprawiać przyjemność; jako uczony miał na baczniu i treść i stronę zewnętrzną swych dzieł nakładowych. Jest także autorem. Pisał po większej części małe podręczniki języka łacińskiego, greckiego i hebrajskiego, albo też pozwalał je ogłaszać pod własnym nazwiskiem, aby głośnym imieniem zapewnić książkom zbyt, któregooby nie znalazły nigdy jako pisma gramatyka nieznanego. Podręczniki te, dzięki zręcznemu rozkładowi bogatej treści, powszechnie cieszyły się uznaniem.

Aldus był humanistą, ale zarazem i chrześcijaninem pobożnym. We wstępie więc do wydanego przez się *Lukrecyusza* zalecał opuszczać wszystko, „coby się sprzeciwiało poglądom teologów naszych”. Był humanistą — i z tej właśnie przyczyny jest wielbicielem starożytnych poetów, filozofów i historyków; jednakże pomimo gorliwości humanistyczną cenil znakomitości krajowe i nigdy ich nie lekceważył, choć to u niejednego w dobrym było tonie. Sporządził więc, co prawda dopiero w dwunastym roku działalności drukarskiej, edycję *Dantego*, zamysłał wydać *Boccaccia* i ogłosił „według autografu poety, a pod nadzorem *Piotra Bembo*” włoskie dzieła *Petrarki* (1-a ed. 1501, druga 1514). Dając pierwszeństwo włoskim pismom *Petrarki* nad łacińskimi, dowiódł tém godnej uznania na owe czasy samodzielności umysłu, a opuszczając sonety nieprzyjazne dworowi papieskiemu, wykazał sposób myślenia wybitnie kościelny. Kroił plany daleko sięgające. Oto nosił się z myślą wydania poliglotty, zawierającej na początek tekst biblii w językach greckim, łacińskim i hebrajskim; byłoby to pierwsze tego rodzaju przedsięwzięcie; obwieścił nawet rychłą publikację, ale zamiar nie przyszedł do skutku.

Aczkolwiek *Manuzio* żadnego dzieła niemieckiego nie drukował, wszelako z uczonymi niemieckimi utrzymywał stosunki kupieckie

i przyjacielskie. Wydał jedną mowę *Reuchlina* i zamysłał być nakładcą *Celtesa*. Wprawdzie pismo tego męża na cześć *Maksymiliana I* odrzucił ze względów politycznych, ale ogłosił inne, zawierające pochwałę tegoż cesarza. Cieszył się też względami *Maksymiliana*, monarchy miłującego naukę i sztukę, i pragnął wejść z nim w bliższe stosunki. *Aldus* chciał utworzyć akademię, a cesarza zaprosić na protektora. Akademia zakładała sobie w myśli projektodawcy cel podwójny: praktyczny, aby prowadzić cenzurę wydawnictw *Aldusa*, oraz idealny, aby pielęgnować i popierać język grecki, którego wyłączne używanie na posiedzeniach akademickich miało być prawem najwyższem. *Reuchlin* wziął na siebie skłonić cesarza do tego kroku. Kiedy jednak usiłowania jego okazały się bezowocne, szukano pośrednictwa u *Jana Cuspiniana* i *Jana Colauriusa*; obaj ci mężowie bowiem żyli w najbliższem otoczeniu *Maksymiliana* i wywierali wpływ niejaki na jego postanowienia. Ale nadzieje wszystkich hellenistów doznały zawodu. Musiał więc *Aldus* wyrzec się swego zamiaru „zrobienia Niemiec drugimi Atenami”; od samego *Reuchlina*, Niemca, otrzymał odpowiedź pełną rezygnacyi: „Znasz nasze Niemcy; nie przestały jeszcze być ciemnymi. Krótko ci powiem, nie jesteśmy ciebie godni”.

Pomimo niepowodzeń, pomimo że Niemiec wyraził się o swym narodzie, iż nie zasługuje na jego szacunek, *Aldus* jednakże nie tracił nadziei co do Niemiec. Jest-to jeden z niewielu Włochów ówczesnych, co, nie żywiąc uprzedzeń narodowych, uznawał i zasługi cudzoziemców, a bez względu na sławę wszechświatową, spoglądał ze czcią na kraj, któremu zawdzięczał swą sztukę, a z nią i sławę swoją.

W początkach wieku szesnastego wypadło Wenecyi ciężkie toczyć boje. Wystąpiła bowiem wrogo przeciw cesarzowi *Maksymilianowi I*, który nienawidził grodu wyspiarskiego, oddawna już stojącego w poprzek jego planom. Ale na szczęście Wenecyan myślał cesarz jednym najazdem z nimi się rozprawić. Nasłuchano się też słów górnołotnych ze strony wodzów cesarskich, lecz czyny widziano—mizerne. Na pyszałkowate wiersze poety cesarskiego, *Huttena*:

Świeżo z bagnisk Wenecyi żaba się wydarła
I na łądzie skrzeczeć zacznie: do mnie łąd należy!
Lecz ptak Zeusowy ją ujrzy z wyniosłej strażnicy,
Chwyta szponami ostremi i w błoto znów rzuca —

mógł gród wysmiewany spokojnie odpowiedzieć, wskazując na swe hetmany i ich zwycięstwa. Mogła żaba bez trwogi oczekiwać szpo-

nów orla. Fatalnie jednakże, na pozór nawet beznadziejnie, ułożyły się dla Wenecyi stosunki, kiedy pod przewodnictwem papieża zawiązała się przeciw niej liga, kiedy wskutek klęsk olbrzymich rozpiezczyły się najemne wojska weneckie, a okrutna sztuka stanu postanowiła wyzyskać bezwzględnie krytyczne położenie miasta. Dopiero po wielkich wysiłkach, oraz dzięki zawikłaniom stosunków europejskich, zdołała rzeczpospolita wybrnąć z niebezpieczeństw groźnych.

Papieżem, co orężem wojennym i duchownym zagroził miastu lagun, był *Juliusz II*, twórca państwa kościelnego. Człowiek-to pełen energii, niezmordowany w gorliwem działaniu celem poprawy zmurszałych stosunków Italii, nie książę pokoju, nie głowa kościoła, ale wojowniczy monarcha świecki, długo i usilnie pracujący, aby swe hasło: „Precz z barbarzyńcami” uczynić doniosłym i prawdziwym. *Juliusz II* nie był jednak bohaterem prawdy, nie był bojownikiem nieugiętego umysłu, nie był charakterem niedostępnym temu, co niskie. Człowiek to raczej gruby, surowy, ujawniający prawdziwą naturę w chwilach uniesienia; gdy zaś nad sobą zapanuje, jest chytry, powściągliwy, nader biegły w przewrotnym języku dyplomacyi swego czasu. Odwagę posiadał niewątpliwie, ale ulegał napadom słabości. Takim się np. okazał w momencie stanowczym, kiedy Francuzi zbliżyli się do Bolonii, gdzie leżał chorobą złożony; gotów już był poddać się haniebnie wrogowi śmiertelnemu, gdyby w ostatniej godzinie nie ocalili go byli sprzymierzeńcy. Chociażby go rozgrzeszyć z zarzutu występków naturze przeciwnych, o które go współczesni oskarżali, był przecież okrutny i krwiożerczy, niemoralny i niesumienny, raczej sługa swęj samowoli i swych zachcianek, aniżeli wykonawca rozkazów niebieskich, aniżeli sługa Boga.

Istnieje portret tego papieża, malowany przez *Rafaela*. Wyobraża on *Juliusza II* w latach podeszłych, ale w pełni jeszcze dawnęj siły. *A. Springer* charakteryzuje go temi słowy: „Siedzi, opierając się lekko rękami o poręczę krzesła, oko osadzone wgłębi badawczo i wnikająco utkwione w widza, wargi szczelnie zwarte, duży silny nos, olbrzymia aż do piersi sięgająca bieluteńka broda, — oto wizerunek, przypominający żywo opisy współczesnych. Pan to potężny, ustawicznie czynny i wielkimi zajęty planami, niczym wpływom nie ulega, sam każdym o władnie Cudzych zdań jużćić słucha, ale decyduje według własnego widzenia, według własnego rozumu. Wszystko przekracza w nim miarę zwyczajną, jego namiętności i jego projekty. Jego gwałtowność, jego porywczosć ranią otoczenie, jednak rozbudza papież nie nienawiść, lecz trwogę. Plany jego wprawiały również w zdumienie, lecz nie rozniecały niewiary, ponieważ daleki od marzeń fantastycznych, miał zawsze w pogotowiu zasobne środki do przeprowadzenia swęj woli”.

Mąż taki musiał potężnie wryć się w kulturę epoki. *Magnarum semper molium avidus* — mówi o nim pewien współczesnik; charakterystykę tę możnaby oddać słowy polskimi: umysł jego był skierowany do rzeczy wielkich, potężnych. Ale jak wielu potężnych, był i on jednostronnym.

„Co mi tu gadasz o książkach, wetknij mi szpadę w rękę; na literaturze się nie znam!” W tych wyrazach miał papież *Juliusz II* odpowiedzieć na pytanie *Michała Anioła*, czy ma go przedstawić z książką w ręce. Postępował też zgodnie z onym wyrzeczeniem. O uczonych nie troskał się zgoła, co najwyżej pozwalał im swoje robić; jeżeli ich wspierał, czynił to nie z miłości do nauk i ich uprawiaczy, lecz albo w tej myśli, aby osobom i kierunkom nie dać zaginać, albo z upodobania osobistych. Pierwszym powodując się motywem, mianował *Scypiona Fortigurre*, uczonego hellenistę, wychowawcą swego synowca, a *Fedra Inghirami*ego dyrektorem biblioteki watykańskiej, ulegając zaś drugiej podniecie, nadał niektóre przywileje *Piotrowi Bembo*.

Z *Bembem* bowiem właśnie podzielał też samą namiętność, namiętność do sztuki. Sztuka, jak mówi jeden z historyków nowoczesnych, była znamieniem epoki i ducha narodowego Włochów. *Juliusz II* kochał sztukę nie jak ten, kto entuzjazmuje się do piękna, lecz jako charakter wielki; w duszy jego tkwił wyraźny pociąg do plastyki. Przyozdobił Rzym wspaniałemi budowlami, miał szczęście pozyskać sobie genialnych współpracowników, żył w epoce, która odkryła świeżo cudowne szczątki starożytności. Do dzieł architektury należą: dziedziniec Ś. Damazego, rozpoczęcie olbrzymiego kościoła Ś. Piotra, oraz pomniki nagrobne *Hieronima Basso* i *Askaniusza Sforzy*, uchodzące po dzień ten za najpiękniejsze ozdoby Rzymu. Ze szczątków starożytności wymienić można tylko grupę *Laokoona* i posąg *Apollina Belwederskiego*. Do rzędu współpracowników zaliczyć wypada oględnego, bogatego negocyanta *Augustyna Chigi*, zarówno wspaniałomyślnego mecenasa, jak i człowieka wytwornie ukształconego, oraz artystów takich, jak *Bramante* i *Michał Anioł*.

Z całego tłumu artystów zajmie nas tu jeden tylko, ale najznakomitszy, *Michelangelo* (*Michał Anioł*). Chociaż wspominaliśmy go już parokrotnie (ob. str. 149 i 188) i wspomnimy później jeszcze, mówimy jednak o nim tutaj dlatego, że swą indywidualnością i pracami należy właściwie do okresu *Juliusza II*.

Nie zamierzamy bynajmniej zastanawiać się w tym miejscu nad jego życiem i sztuką; chcemy jeno rzec słówko o dwu jego dziełach, z których jedno wykonał wprost z polecenia papieża, a drugim miał uwiecznić pamięć tegoż papieża. *Michał Anioł* powołany został w maju 1505 r. do Rzymu. Jeszcze za życia *Juliusza II* powinien był zrobić

wspaniały dla niego nagrobek. Zlecenia tego podjął się z radością. Ale niebawem ujrzał się zawiedzionym w swych nadziejach. Oto nagle powziął papież myśl zbudowania kościoła Ś. Piotra; myśl ta, pielęgnowana z zapalem, kazała zapomnieć o planie dawniejszym; sam papież nigdy już doń nie wrócił, aczkolwiek miał pomnik uświęcić imię jego. Ponieważ zaś artysta w kolosalnym upamiętnieniu potężnego męża upatrywał właśnie zadanie najodpowiedniejsze dla swego ducha artystycznego, zadania tego nie porzucił, pracował nad niem w ciągu żywota, lecz wykończyć nie zdołał. Pomnik bowiem, wykonany w 30 lat później, będący w równej mierze owocem pracy uczniów, jak i mistrza, nie odpowiadał bynajmniej pierwotnym zamiarom *Michała Anioła*. W każdym razie wykończył jedną figurę i ona-to stanowi charakterystyczną daninę, jaką złożył artysta papieżowi i swjej epoce. Jest to figura *Mojżesza*. Estetycy i lekarze robili zarzuty i temu dziełu, które z przyczyny niewłaściwego ustawienia nie wywiera oczekiwanego i pożądanego wrażenia nawet i na nieznawcę; mimo to wszystko, posiada ono przecież olbrzymią zaletę, mianowicie zaletę pierwszorzędnę historyczną i osobistą doniosłości. W utworze tym albowiem ujawnia się bardziej, aniżeli w jakimkolwiek innym wizerunku tego papieża, również jak artysta genialnego, typ nie prawodawcy i nie pasterza duchownego, lecz wodza, co w głębokiej zadumie gotuje zgubę wrogowi. Dlatego artystyczni współcześnicy artyści, oglądając nietylko dzieło, ale w samem dziele dobadując się myśli rzeźbiarza, poznawali w *Mojżeszu* *terribilissimo principe* (monarchę najstraszniejszego) i *capitano* (wodza).

Zamiast wykonać pomnik *Juliusza*, otrzymał artysta od papieża inne zlecenie, które w słowach: „Nie jestem malarzem” dumnie zdawał się odrzucać; jednakże podjął się go i wykonał je w sposób najcudowniejszy. Są to malowidła na suficie w kaplicy Sykstyńskiej. Zgórz lat cztery (1508—1512) za pontyfikatu Juliusza II Michał Anioł pracował nad niemi. Wymalował tu potężne obrazy, przedstawiające historię stworzenia, niektóre opowieści ze starego testamentu, oraz sceny, zwiastujące nową wiarę, która się rozwija i urabia z wiary dawniej, w sposób po części z nią sprzeczny. Tylko człowiek z herkulesową siłą, z talentem tak wszechstronnym, że nawet niemożliwość była dlań igraszką, mógł się odważyć na rzecz tak nadludzką; dzieła takie mogły powstać tylko w epoce, w której dościganego było, co zdało się niedoścignionem. Z pomiędzy tych obrazów najznakomitszym jest Ożywienie Adama. *Jakób Burckhardt* mówi o niem: „Wszechpotężny pan świata, unosząc się w powietrzu, otoczony rzeszą niosących i niesionych istot niebiańskich, zbliża się ku ziemi i ze swego palca wskazującego przelewa iskrę życia we wskazujący palec nawpół już ożywionego pierwszego człowieka. W całej

dziedzinie sztuki niemasz przykładu, aby to, co jest nadnaturalném, było tak genialnie wcielone w moment całkowicie jasny i zupełnie zmysłowy. Postać Adama jest też najszlachetniejszym prawzorem człowieka. Cała sztuka czasów późniejszych zapłodniła się tém wyobrażeniem Boga Ojca, ale osiągnąć go nie zdołała“.

Michelangelo zasługuje na pamięć nie tylko ze względu na stosunki z Juliuszem II; nie tylko ze względu na nieporównane twory artystyczne, które już przez swą wielostronność się wyodrębniają; ale także ze względu na udział czynny w literaturze. W jego sonetach włoskich wzorowa składność i spójność formy zdaje się drwić sobie w gorącego w piersiach poety żaru uczuć, oraz z nadmiernej siły wysłowienia. Złożył w nich autor swe poglądy i swe nadzieje. Poezji tych nie poświęcił bynajmniej chwalebnie papieża, ba! mówi o nim nawet markotny, ponieważ Juliusz II nie okazywał artyście należnego szacunku. Treść ich stanowi natomiast przyjaźń, miłość, a przede wszystkióm religia. Jeżeli jaki z zarzutów czynionych Michałowi Aniołowi jest bezzasadny, to stanowczo zarzut niereligijności. Toć całe jego myślenie przeniknione nawskroś religią; toć cześć dla Jezusa i Maryi wypełnia całą jego istotę! W poezjach występuje nie w roli człowieka świadomego siebie, zaufanego we własne siły, ale w charakterze wąpiącego, który w niepewności chwiejnym podąża krokiem, a w swój bezzaradności wzruszających używa wyrażeń:

Czy ufając lewój, czy też prawej nodze,
 Czy krok w znoju zwolnię, czy mu puszczać wodze,
 Między złem i dobrem bujam się bezwiedny;
 Któż zwątpienia zwalczy mojej duszy biednej?
 Jeśli nieba przestrzeń skryją chmur gromady,
 Czyż wówczas wieść mogą nawet gwiazd mirjady?

Ten, co dziełami sztuki w tysiącach rozniecił wiarę drzemiącą, a mnogim utraconą przywrócił, ten w beznadziejnej tęsknocie stara się, by wiarę posiąść:

O, Panie, skuj mię łańcuchem wiecznym,
 Z którym związana Twoja łaska boska,
 Chcę wiarę zamknąć murem bezpiecznym,
 Lecz posiąść wiary — win nie daje troska.

Trudno zaiste wyobrazić sobie bardziej rażące sprzeczności, jak dwu osobiście zbliżonych do siebie mężów tegoż samego miasta i tej samej epoki. Kontrast ten stanowią: z jednej strony wojowniczy papież, który panowanie swe wypełnia czynami bardzo nieświętymi,

a udaje przecież namiestnika boskiego na ziemi, z drugiej zaś—arty-
sta z łaski bożej, który życie trawi na coraz większém uwielbieniu
mocy boskiej, a jednak nie może zdobyć pewności, że jest godnym
wyznawcą Boga.

Pewien znakomity badacz nowoczesny wyrzekł o Juliuszu II:
„Historyk, mający na oku dzieje polityczne, uważa go za twórcę pań-
stwa kościelnego, historyk sztuki wysławia go jako prawdziwego
papieża Odrodzenia i przywraca mu zarazem tytuł do sławy, niesłu-
sznie wydarty przez jego następcę *Leona X*. Epoka Juliusza II jest
wiekiem bohaterskim sztuki włoskiej”. Na zdanie to zgodzić się mo-
żna o tyle, o ile dotyczy historii sztuki. Jeżeli wszelako na renesans
będziemy się zapatrywali nie jednostronnie tylko, jako na odrodzenie
sztuki, lecz będziemy przezeń pojmowali nowy rozkwit ogólnego ży-
cia umysłowego, to mimo cały szacunek dla wojowniczego a sztukę
miłującego papieża, nie jego przecież nazwiemy istotnym piastunem
i krzewicielem kultury renesansu, ale jego następcę, *Leona X*.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Leon X.

Leon X był trzecim synem *Wawrzyńca Medyceusza*. O trzech swych synach: *Julianie*, *Piotrze* i *Janie* mawiał władca Florencyi: pierwszy jest dobry, drugi głupi, trzeci mądry. Mądrość wykazał *Jan*, podczas swego pontyfikatu.

Jan urodził się 11 grudnia 1475 r. we Florencyi. Pod kierunkiem ojca pobierał nauki u najznakomitszych uczonych florenckich i zdobył świetne wykształcenie. We wczesnej już młodości przeznaczony został do stanu duchownego. Cieszył się więc ojciec, że *Ludwik*, król francuski, ofiarował pacholęciu (maj 1483) opactwo i zapewnił mu nieopróźnione wtedy jeszcze arcybiskupstwo Aix-en-Provence; że papież uznał malca za zdolnego do przyjęcia beneficjów duchownych i że mianował go protonotaryuszem. Przez całe miesiące nastawał prócz tego na papieża, ciągle kluczkującego, aby młodego Jana zrobił kardynałem. Jakoż trzynastoletni chłopiec otrzymał wreszcie 9 marca 1489 r. kapelusz kardynalski, ale nominacya miała być do czasu chowana w tajemnicy. Niebawem udał się do Rzymu, aby tu, kierowany zdala radami ojca, rozpoczął karierę. Dwadzieścia pięć lat przeżył w Rzymie, piastując godność kardynalską, zanim wstąpił na tron papieski. Okres ten czasu, pełen niebezpieczeństw dla młodzieńca, który teraz dopiero uczył się odróżniać dobre od złego, nie był zgoła, mimo świetnych zjawisk w nauce i sztuce, odpowiednim do wyrobienia charakteru. Odbiło się to i na Leonie. W każdym razie wykształcił on umysł swój bardzo wysoko a pontyfikat swój oprómienił blaskiem, jaki przyswiecał całym stuleciom, epoce zaś Leona zjednał nazwę wieku złotego.

W dniu 4 marca 1513 r. otwarto konklawe, z którego wyszedł papieżem pod imieniem *Leona X Jan de Medici*. Nowego papieża znano bardzo niewiele. Wkrótce po objęciu tronu pisał poseł cesarski: „Papież będzie raczej łagodnym jako baranek, niż dzikim jako lew; będzie mężem pokoju“. Inni pokładali na nim również wielkie nadzieje: politycy spodziewali się, że zrobią zeń potulne na rządzie; literaci i poeci, uczeni i artyści upatrywali w nim prawdziwego *Medyceusza*, popieracza dążeń umysłowych, mecenasa szczodrobliwego i wyrozumiałego na ich potrzeby materyalne; teologowie tuszyli sobie, że położy koniec zeświecczeniu papiestwa, że papież usposobień pokojowych łączniej niż wojowniczy przywróci pobożność i zajmie się przeprowadzeniem głębszych a niezbędnych reform kościelnych; światowcy wreszcie cieszyli się, że Rzym będzie i nadal ogniskiem uciech a dwór papieski wyobrażali sobie jako siedzibę rozkoszy zmysłowych. Czyż nadzieje miały się urzeczywistnić?

Osoba żadnego może z papieżów nie była wśród potomnych tak spopularyzowaną, jak postać *Leona X* — a to dzięki portretowi *Rafaela*. *Leon X* nie jest bynajmniej mężczyzną pięknym. Oblicze tłuste z mdłemi, wylupiastemi oczyma wylania się z pod ciasnej czapki, pokrywającej głowę; na cienkich nogach trzyma się niepewnie ociążałe ciało; w ruchach opieszale; na otaczających robił przytém niemiłe wrażenie, bezustannie ocierając pot na rękach i głowie. Ale wrażenie przykre znikало, skoro tylko przemówił lub uśmiechnął się, skoro podniósł piękną, białą dłoń, w której zwykle dzierzył lupe, przyglądając się przez nią ludziom i rzeczom w sposób przyjazny i ujmujący.

„Zakosztujmy papiestwa, kiedy go nam Bóg użyczył“. Temi słowy miał *Leon X* powitać swe wyniesienie na najwyższą godność duchowną. Lubił uciechy, jak lubił życie, które na krótko przed zgonem konwulsyjnie pragnął przedłużyć a pewnego mnicha bolońskiego, który mu śmierć przepowiadał, ciężkimi obłożył karami. Sam był wstrzemięźliwy, ale innym ochocho wyprawiał biesiady, przy których zbytkowano i pito, a jadło i napoje przyprawiano bardzo często żartami prostaczymi. Lubo wygodniś, szukał chętnie rozrywki w polowaniu, odwagą nawet wielu prześcigał, ale bywał markotny, jeżeli zdobycz mu się wyslizgiwała z powodu zbytniej usłużności lub niezręczności towarzyszków. Lubił spokój, ale nie opuścił żadnej procesyi, żadnej walki byków lub wyścigów bawolich, którymi wesół lud rzymski sam się zabawiał, lub które papież dla uciechy wiernych w karnawale albo przy innych okolicznościach urządał. Zawsze był wesół, choćby wśród przeciwności; nawet w chwilach bolesnych nie okazywał smutku, współczesni uważaliby za niestosowne, iżby *semi-deus* (pół-bóg) podlegał cierpieniom. Lubił żartować i rozśmieszał innych, lecz w wyborze żartów nie był wybredny. Delektował się

zarówno dowcipami wykwintnej komedyi, jak swobodną mową swych trefnisiów lub dziwaczniemi minami swych żarłoków koncertowych. Był mistrzem w ośmieszaniu i drwinach. Parazytów raczył niekiedy mięsem zwierząt niejadalnych, np. małp i kruków, udając je za pieczeń wyszukaną; swego improwizatora *Barabelle*, marnego wierszokletę, podszezczał dopóty, aż ten na seryo począł się starać o poetycki wieniec na Kapitolu; kazał go tedy przybrać w złoto i purpurę, posadzić na bogato przystrojonego słonia i tak wystawił na pośmiewisko ludu całego. Był dobroduszny i szczerobliwy; wszystkich chciał widzieć wesółymi, jakim sam bywał zawsze. Nigdy więc nie odmawiał prośbom krewnych, rodaków i wielu innych, którzy o pomoc doń się zwracali, owszem, każdego ośmielał przyjacielskiemi słówkami, giestem pełnym nadziei, nawet wówczas, kiedy nie mógł lub nie chciał żądaniu uczynić zadość. Z hojnością pozostaje w ścisłym związku jego rozrzutność. 500000 dukatów (prawie 4 miliony marek) dochodu rocznego, z których 90000 obracał na stół, znikało z szaloną szybkością; jeden ze współczesnych powiada: „ażeby papież posiadał naraz 1000 dukatów, byłoby taką możliwością, jak to, ażeby kamień własną siłą podniósł się w górę“. W żądzy rozdawania okazywał on istotną wielkość; zdala bowiem odeń był wszelki pozór, wszelkie udawanie wspaniałomyślności. Imponować tak nie lubił, że często zapominał umyślnie ceremoniału zewnętrznego, chodził jeno w komży, bał „co gorsza jeszcze, w butach na nogach“, dodaje ze świętym oburzeniem papieski mistrz ceremonii. Był to człowiek między ludźmi. Innych pragnął zbadać, przeniknąć i dla swych celów użytkować; przy takich okazjach śledził drobne ich słabości, aby z nich korzyść wyciągnąć; ich prostotę i otwartość wyzyskiwał dla celów swęj przebiegłości i zręczności. Ale z miłością zwracał się do niższych, po ludzku przywabiał upośledzonych, energicznie zwalczał niewolnictwo, mające naówczas protektorów nawet wśród wysoce ukształconych; względem zwierząt także okazywał dobroć i litość, ludzi zaś szanował, cenił i podporządkowywał się im, skoro tylko poznał ich wyższość. Dopóki był kardynałem, zawsze, przy pożegnaniu z pełnomocnikami swych kolegów, kazał im komunikować, że kardynał Medici jest panom całą duszą oddany, ale i papieżem zostawszy, nie zaniechał uprzejmości umysłu i grzeczności wyrażań. Podporządkowywał się chętnie, ale z największą wykształcenia posiadał w najwyższym stopniu; w rozkoszach umysłowych po prostu zbyt kował, rozpustował. I dlatego właśnie imię jego jest nieśmiertelne, dlatego wiek jego tak wysławiają, że w tych najszlachetniejszych ucieszach widział potrzebę życia, że w nich obowiązek, wykonywanie swego powołania upatrywał, a nie tylko zapełnienie chwil wolnych. Chociaż

znajdowało się wielu znakomitszych niż on mężów i wielu znakomitszych poetów, aniżeli ci, co w dniach jego żyli; jednakże niemasz może epoki, którąby tak, jak jego „ośniewał słoneczny blask wesolosci“; niemasz może imienia, któreby takim promieniało szczęściem, jak jego. Do sławy, jakiej zażywa u potomnych, do szacunku, jakim się cieszył za życia, najzupełniej przystaje zdanie, jakie o nim wypowiedział *Vettori*, historyk współczesny: „Im więcej popełniał błędów, tem więcej dobrego robiło dlań szczęście“.

Gdyby zapytano *Leona*, kto stanowił szczęście dni jego, wskazałby poetów i artystów go otaczających; gdyby silniej nań nacierano, iżby wymienił jakieś imię, wymieniłby *Bibbiene*.

Bernard Dovizi, który się przezwiał *Bibbiena* od ojczyzno-ścieczka tegoż imienia, urodził się tamże 4 sierpnia 1470 r. a umarł w Rzymie 9 listopada 1520 r. Posłował już od *Piotra Medyceusza* do *Ludwika Moro* i fałszywie powiadał swego pana o przyjacielskim nastroju mniemanego sprzymierzeńca; chętniej jednakże w relacjach swych mówi o wesolych nocach i miłosnych awanturkach księcia; opowiadania zaś o tego rodzaju wydarzeniach kończy naiwnie słowami: „jeżeli byłem nieco swawolny, niechaj mię usprawiedliwia treść, która tego wymagała“. Później bawił długo na dworze urbińskim. Wszędzie, gdzie działalność swą rozwijał, zjednywał sobie przebiegłością miejsca poczesne a dzięki dowcipowi i humorowi stawał się ulubieńcem wszystkich; w Cortegiano *Castiglione*'go on właśnie rozprawa o żartach i dowcipie; w Rzymie był krotochwilnikiem *Leona X* i został przezeń wyniesiony od godności kardynalskiej. Do obowiązków żartownisia należało zapewne tworzenie poezyj wesolych, do powinności kardynała — podróże dyplomatyczne; wierszami zdobywał rozgłos i nagrodę brzęczącą, poselstwa zaś narażały go nieraz na szwank; zdaje się, że ostatnia misja do Francji przyspieszyła zgon jego, ponieważ udał się w zdradzieckie machinacye z *Frańciszkim I*. *Bibbiena* prowadził życie rozkoszne, czuł się zadowolnionym tylko w otoczeniu kobiet; cieszył się też, kiedy wieść nadeszła, że *Julian Medici* z żoną swoją *Filibertą* sabaudzką zjeżdża do Rzymu. „Całe miasto“ — pisał wtedy — „powtarza: chwała Bogu; niczego nam bowiem nie brakło, jeno dworu niewieściego; a ta kobieta tak znakomita, tak utalentowana, tak dobra i tak piękna, właśnie dwór utrzymywać będzie; przez to nada dworowi rzymskiemu ostateczne wykończenie“. Ale nie wyłącznie tylko oddawał się rozkoszom. Dom swój uczynił punktem zbornym uczonych i artystów a między nimi wymienić trzeba przede wszystkim *Rafaela*; *Rafaël* narysował cztery kartony, podług których ozdobiono malowidłami łazienkę kardynała, miał się nawet żenić z jego synowicą. *Bibbiena* zabawiał się rozmowami swych ulubieńców, szczerze pomagał im w pracach

a, udzielając poparcia, przyczyniał się niezawodnie, że wychodziły świat dzieła daleko znakomitsze, aniżeli to, którym osobiście zбогаć literaturę.

Komedia *La Calandra* została przedstawiona 1514 r. w Rzymie wobec *Leona X.* Często ją nazywają pierwszą artystyczną komedią włoską, aczkolwiek rywalizują z nią o tę godność młodzieńcze komedye *Aryosta*; nie wiadomo też na pewno, czy po raz pierwszy pojawiła się na scenie w Urbino, czy też na wszechświatowych deskach Rzymu. Opiéra się ona na Menechmach *Plauta*, z tą wszelako różnicą, że w sztuce nowoczesnej występują nie dwaj bracia, lecz brat i siostra: *Lidio* i *Santilla*; oboje nadzwyczaj do siebie podobni, mieszkając w tém samym miejscu, ale o sobie nie wiedząc, wikłają się w najosobliwsze awantury. *Lidio*, przebrany za dziewczynę, zakochuje się *Fulwii*, żonie prostaka *Calandro*, i szybko zyskuje wzajemność; *Santilla*, w szatach męskich, znajduje względy u pewnego kupca *Perillo* i ma zostać jego zięciem. Tymczasem *Calandro* z upodobaniem zwraca swe oko na pięknego *Iidia*, którego w samej rzeczy bierze za kobietę, *Fulwia* zaś, przechodzącą mimo *Santillę*, utożsamiając ją ze swym *Lidiem*, zwabia do siebie. Skoro się jednak przekonywa, że ma do czynienia z kobietą, wyprawia ją, lękając się demonicznego przedzierzgnięcia, do czarnoksiężnika *Ruffa*; niebawem przecież uspakaja się, kiedy *Santilla* chytrze z sideł się wyplątuje i na swe miejsce wysyła sługę *Fannia*; tego zaś rychło zastępuje rzeczywisty *Lidio*. Wydarzenia nie uszły uwagi *Calandra*; ponieważ we własnych przygodach miłosnych doznaje niepowodzenia z winy sługi, lotrzyka *Fessenia*, tém więc gorliwiej stara się przeszkodzić uciechom innych. Przydybawszy tedy winnych, zwołuje szybko krewniaków swoich i żoninych — i domaga się satysfakcyi za znieważenie honoru domu. Schwytani na gorącym uczynku są jednak odeń przebieglejsi. Brat i siostra poznają się teraz, zmieniają odzież i nawzajem się w swych rolach wyręczają; zaproszeni przeto świadkowie spotykają w zamkniętej komnacie dwie kobiety i zamiast hańby gotują chytręj niewieście tryumf. Rozwiązanie powikłanej sceny następujące. *Santilla* poślubia dorosłego syna małżonków, nie zalecających się bynajmniej czystością obyczajów, *Lidio* zaś mając ochotę spełniać i nadal niezaszczytną rolę przy *Fulwii*, żeni się z córką *Perilla*, przyrzeczoną siostrze, póki ją uważano za mężczyznę.

Sztuka obfituje w rysy drastycznie komiczne, zwłaszcza w scenach, w których występują *Calandro* i *Fessenio*. Sługa mianowicie namawia pana, aby, zamknawszy się w kufrze, udawał martwego i aby kazał się zanieść do domu kochanki; stróżów zaś bramy, nie chcących przepuścić tragarzy z ciężarem, objaśnia, że wewnątrz leży zmarły na zarazę. Rozgniewany tém *Calandro*, wyskakuje ze skrzy-

ni. Ponieważ służący i tragarze drapnęli, musi więc sam dźwigać skrzynię. Ledwie dysząc pod ciężarem brzemienia, przybywa do mieszkania kochanki i — zamiast dobrego przyjęcia, znajduje własną żonę. Małżonka znowu, podejrzewając męża oddawna już o nieładne figle, niespodziewanem jego zjawieniem utwierdza się w tém przekonaniu i zdybanemu porządną dają nauczki.

Zaaczenie sztuki polega przecież nie na sytuacjach komicznych i nie na dowcipach, ale na sposobie myślenia, wspólnym zarówno autorowi, jak i znacznej niewątpliwie części widzów. Znamionami zaś tego sposobu myślenia są poglądy: że przebiegłość jest cenniejszą niż dobre obyczaje i prawa; że małżeństwo jest pozyciem zewnętrznem a nie związkiem wewnętrznym; że w życiu spoczywa właściwa filozofia życia, prawdziwa treść życia. Co mówi tu pewien kardynał: *chi amor non gusta, non sa che sia la dolcezza del mondo* (kto nie kosztuje rozkoszy miłości, ten nie zna słodyczy świata), to nie było bynajmniej odosobnionem zdaniem jednostki, lecz było opinią powszechną Rzymu Leonowego.

Tuż obok *Bibbiena* postawić wypada *Piotra Bembo*, który, jako przyjaciel i sekretarz papieża, należy do najbliższego jego otoczenia. Pod niektórymi względami stanowi on przeciwieństwo z *Bibbiena*, w wielu innych — jest z nim zgodny. Wielostronność wiedzy i zdolności czyni zeń jedno ze zjawisk najgodniejszych uwagi w epoce renesansu (ob. str. 216 i ns.).

Od *Bembo* nie można znowu oddzielać *Jakóba Sadoleta* (1477—1547) nie dlatego tylko, że był biskupem i kardynałem, jak *Bembo* sekretarzem papieskim, ale, i to głównie — dlatego, że, podobnie jak tamten, jednoczy *Sadoleta* w sobie różnorodne kierunki kultury lacińskiej i włoskiej. Stylem listowym władał z takim mistrzostwem, że nawet akta kancelaryjne przyoblekał w szatę klasyczną; talent poetycki posiadał tak wielki, że ogłoszone przezeń wiersze po znalezieniu grupy *Laokoona* (1506) nazwał *Lessing* „godnymi poety starożytnego“; niejeden też żałował, gdy muza jego zamilkła. *Sadoleta* był przytém znakomitym filozofem i pedagogiem. Zarówno w filozofii, jak w stylu jest naśladowcą *Cycerona*. Zaginione pisma myślicielela rzymskiego *De laudibus philosophiae* (Pochwała filozofii) i *De gloria* (o sławie) starał się zastąpić dziełami tój samój treści i pod tymiż tytułami a sławę *Cycerona*, jeżeli nie w zupełności, to przynajmniej do pewnego stopnia przenieść na siebie. Aczkolwiek wysoko poważał wiedzę starożytnych, aczkolwiek wysoko cenił studia antyczne, z tém wszystkim jednak za najgłówniejszy punkt w wychowaniu poczytywał kształcenie charakteru a za najwyższy obowiązek wychowawczy stawiał życie wzorowe, czystość obyczajów i dobroć. Obok tego jest teologiem pobożnym. Żył i umarł według przepisów kościoła. Ale

mimo to, gdy przyjacielowi matka skonała, pociesza druha nie zasadami religii, lecz przykładami stałości i wielkości duszy w cierpieniach, poczerpniętymi ze starożytności. Chociaż naukami tego rodzaju ścierał na się niechęć ortodoksów, był wszelako o tyle wolno-myślnym, że nie został sługą partii ściśle w sobie zasklepionej; wierzył, że swęj prawowierności katolickiej żadnego nie przynosi uszczerbku, jeżeli utrzymuje stosunki przyjacielskie z naczelnikami partii przeciwnęj. Taki sposób myślenia mógł żywić bezkarnie i wyrażać go w czynach, ponieważ uszlachetniony życiem czystem i nieskazitelnem — przez wszystkich był czczony. Co w innych nazwanoby dwuznacznością i potępionoby jako obłudę, to poczytywano jemu za wyraz badań sumiennych i dążeń szlachetnych.

Pewnego razu kazał *Leon X Piotrowi Bembo* czytać książkę, która wielkie wówczas narobiła wrzawy, ale przez prawowiernych źle była widziana; sekretarz papieski nie w niej nie znalazł jednak nagannego. Książką tą było dzieło *Piotra Pomponazza: De immortalitate animae* (O nieśmiertelności duszy).

Pomponazzo urodził się 14 września 1462 w Mantui, uczył się w Padwie, potem w Bolonii, gdzie umarł 1525 r. Był to człowieczek drobnej budowy, niemal karzeł, zawsze chorowity, ale zawsze gotów do badań i nauczania. W dniu 24 września 1516 r. a w czwartym pontyfikatu *Leona X* wykończył słynny traktat. Zamknął go słowy „na chwałę Ś. Trójcy“, poddał swe nauki pod sąd stolicy apostolskiej, protestował, iżby się sprzeciwiały przepisom kościoła. „Prawdziwość owęj tezy (t. j. o nieśmiertelności duszy) przeze mnie nie dozna uszczerbku, ponieważ ją stwierdza Pismo Święte, które, będąc nadane od Boga, góruje nad rozsądkiem i rozumem ludzkim“. A jednak z żadnego może dotąd pisma silniejszy grom nie wypadł. Powierzchnownie tylko jest obrońcą nauki chrześcijańskiej, ucieka się pod opiekunęce skrzydła wielkiego ojca kościoła Ś. *Tomasza z Akwinu* i zwalcza wespół z nim zobopólnego wroga, *Averroesa*, ale z tez swych wyprowadza wnioski najosobliwsze; zbija naukę pitagorejczyków o wędrówce dusz i naukę kościoła katolickiego o zmartwychwstaniu. Główne jego twierdzenie brzmi, że dusza i ciało są złączone nierozdzielnie, a więc dusza musi być materyalną, znikomą, śmiertelną. Do postawienia tęj tezy skłania go nie tylko badanie przyrodoznawcze, lecz także skromne pojmowanie natury ludzkiej. Człowiek bowiem stoi nisko, jeżeli go porównamy z istotami wyższemi; „kto zaś człowieka wysoko podnosi, ten bierze pod uwagę to jeno, co wie i co przed oczyma widzi, ale pomija rzeczy wysokie i niepojęte, co przed nim są ukryte“. Nauką swoją o krótkości bytu człowieczego pragnie służyć cnocie; „nadzieja nagrody“ — mówi, — „i obawa kary świadczą o umyśle niewolniczym, któremn się cnota nie poddaje“.

W inném zaś miejscu powiada: „Śmiercią trzeba gardzić, bez względu na to, czy uważamy duszę za śmiertelną: a cokolwiek bądź po śmierci nastąpi, nie nas nie upoważnia, iżbyśmy z drogi enoty zbaczali“.

Temi obyczajowo czystymi, etycznie wzniosłymi naukami kieruje się, kiedy zbija zdania przeciwne. Nigdy bowiem nie stawia twierdzeń apodyktycznie, lecz słucha zarzutów — co prawda dlatego, aby ich nicosé wykazać. Zarzutów takich przewiduje osiem; w ich liczbie są np. opowiadania *Platona*, twierdzenia *Arystotelesa*, relacye o demonach, które przyjmować każą istnienie świata zaziemskiego. Na zarzut: wszystkie prawa opierają się na wierze w nieśmiertelność duszy, odpowiada zdaniem godném uwagi: „Trzeba się zgodzić, że, jeżeli nie cały świat, to przynajmniej olbrzymia część jego znajduje się w błędzie. Przypuściwszy bowiem, że istnieją tylko trzy prawodawstwa religijne: Mojżesza, Chrystusa i Mahometa, w takim razie albo wszystkie są fałszywe a cały świat jest oszukiwany, albo téż przynajmniej dwie są omylne a wtedy większość ludzkości pozostaje w błędzie“. Zarzuty zaś o charakterze bardziej teologicznym, że trzymając się poglądu znikomości, trzeba by odrzucić szczęście człowieka, trzeba by każdemu odmówić prawa do wybrania śmierci, trzeba by zwątpić o sprawiedliwości boskiej, odpięra temi słowy: szczęście nie polega wcale na bezgraniczném trwaniu życia, lecz na pojmowaniu enoty, którem każdy przejąc się może; poświęcając życie ojczyźnie lub przyjacielom, ze świadomością, że śmiercią życie się kończy, wykonywa się właśnie najwyższy akt enoty; sprawiedliwość boska ujawnia się nie w karach tylko, lecz w zgryzotach sumienia, których doznaje człowiek pozbawiony enoty. Kiedy mu wreszcie ostatni stawiają zarzut, że wrogowie nieśmiertelności byli ludźmi lekkomyślnymi i niemoralnymi, wówczas się zapala i posuwa się do twierdzenia, że nie jeden przyłączył się do jej obrońców, byle małodusznych nie obrażać; wówczas robi przegląd mężów pod tym względem jednomyślnych z sobą i znajduje wśród nich: Senekę, Pliniusza, Homera; woli tedy z nimi błędzić, aniżeli z innymi karmić się mądrością urojoną.

Daléj jeszcze poszedł *Pomponazzo* w drugiem dziele: *De incantationibus* (o Czarach), którego główną dążność dokładniej tłómaczy tytuł dodatkowy: *De naturalium effectuum admirandorum causis* (O przyczynach cudownych wydarzeń w naturze). Tu wziął sobie *Pomponazzo* za zadanie wyjaśnić w sposób naturalny i prawidłowy wszelkie wydarzenia, które wierni uważają za skutki potęgi boskiej a nawet niewierzący za postrachy sił nadprzyrodzonych. Cuda tedy dla niego „nie są to bynajmniej zjawiska, któreby z przyrodą były niezgodne i wyłamywały się z pod prawa odwiecznego, ale są to wypadki rzadkie i niezwykle, które przytrafiają się raz tylko w dłuższych okresach

czasu i nie odpowiadają pospolitemu biegowi rzeczy". Nie poprzestaje wszakże na tém, lecz zastanawiając się nad przyrodzonym rozwojem wszech rzeczy; poddaje téż badaniu religię i zalicza ją jak wszystko inne do zjawisk znikomych. „Widzieliśmy“ — powiada autor — „że kult i cuda bałwochwalstwa były początkowo nieznaczące, z czasem wzrastały i dosięgły szczytu, następnie upadały, aż wreszcie obróciły się w nicosć. Tak téż obecnie wszystko w naszej wierze stygnie; ustają cuda, księża oszukują i mamia, albowiem koniec zdaje się blizkim”.

Odrzucając jeden z głównych dogmatów chrześcijaństwa (o nieśmiertelności duszy), i głosząc znikomość religii, gwoli czemu, zapytalibyśmy, autor i w tej książce oświadcza, że dowodzi swych twierdzeń „na podstawie zbawczej nauki wiary ortodoksyjnej”, że we wszystkiém poddaje się rozsądzeniu pisma świętego i ojców kościoła? Co to pomogło? A cóż *Leon X*? Papież zadowolnił się zdaniem *Piotra Bembo*, który w dziele nie widział nic niebezpiecznego, pozostawił więc w spokoju autora i książkę, chociaż jeden i druga powinni by byli głowie chrześcijaństwa wydać się wysoce zgubnymi; wieść je-no opiewa, jakoby go do odwołania nie tyle zmuszał, ile raczej wzywał.

Pomponazzo prawdopodobnie nigdy w Rzymie nie mieszkał, ale mimo to trzeba go bezwarunkowo zaliczyć do koła *Leona X*. On bowiem najgodniej reprezentuje ducha naukowego i nieustraszony popęd ku prawdzie; reprezentuje pracę poważną, nie obliczoną na powodzenie ani na żadne nagrody w przeciwstawieniu do płochego używania życia i czczych pragnień, aby z każdego, najmniejszego nawet trudu wyciągnąć korzyść.

Do grona, skupiającego się około *Leona X*, oprócz *Bibbiena*, *Bembo* i *Pomponazza* należało jeszcze wielu innych mężów. *Leon X* rozbudził w Rzymie żywy ruch naukowy. Rozporządzeniem z 4 listopada 1513 r. zreformował uniwersytet rzymski, blizki już upadku. Mocą tego postanowienia miały np zaniebane dotąd studia orientalne prawidłową otrzymać uprawę. Papież otaczał téż opieką język grecki; wspierał *Alda Manuzia*, którego piękne i wyborne edycje klasyków greckich znajdowały na dworach książęcych chętnych odbiorców i gorliwych czytelników; wydania weneckie upowszechniły się w Rzymie, mimo, że *Leon* założył tu drukarnię grecką. Grek *Marek Musurus*, przybywszy z innymi ziomkami do Rzymu, doznawał od papieża i jego powierników szacunku i cieszył się zasłużoną sławą.

Mimo wielkiego zamiłowania w języku greckim, nie rozkwitł jednak wiek helleński; językiem uczonych był i pozostał nadal język łaciński. Badania naukowe poświęcano starożytności rzymskiej. Gromadzono i porządkowano zabytki, sporządzano dokładne spisy

pomników i starannie je pielęgnowano; dawne rękopisy i druki pieczołowicie przechowywano w bibliotece watykańskiej a jej wzbogacanie leżało na sercu *Leonowi X*. Bibliotekarzami tej zasobnej księżnicy już z natury swego urzędu bywali najznamienitsi przedstawiciele pracy naukowej. Pomiedzy nimi jednym z najgłośniejszych jest *Fedro Inghirami*. Sława jego polega nie tyle na dziełach uczonych, ile raczej na zdolnościach aktorskich, któremi jaśniał w latach młodszych, oraz na talencie krasomówczym, którym popisywał się ze szczególnem upodobaniem podczas obchodów pogrzebowych. Wy-mownem świadectwem rozmiłowania w życiu, panującego w kole *Leonowem*, jest fakt, że uczeni badali nietylko starożytność, lecz zwracali się i do czasów nowszych. Takim jest np. *Paweł Giovio* (1483 do 1552, od 1516 r. mieszka w Rzymie), który należy właściwie do epoki późniejszej, ale już wówczas rozpoczął dzieło: *Elogia illustrium virorum* (Pochwały sławnych mężów); w obszernych ocenach przekazuje tu potomości imiona głośnych uczonych i wojowników współczesnych. Lubo życiorysy te nie są wolne od ubarwień, nigdy przecież nie uwłaczają prawdzie i sprawiedliwości historycznej. Nad innemi podobnego rodzaju pracami biograficznemi i literacko-historycznemi tę posiadają wyższość, że nie chwają wszystkiego bez wyboru, lecz podają charakterystyki indywidualne; że istotę biografii upatrują nie w wyliczaniu faktów, lecz w kreśleniu rozwoju ducha i charakteru; że nie pomijają rysów twarzy i strony zewnętrznej; że przejęte uczuciem czei dla każdej wielkości, nie sypią pochwał przeszłości jeno, ale umieją znaleźć sławę i we współczesnych.

Ponieważ poezya łacińska stanowi istotne znamię kultury Odrodzenia, nie brak jej więc i na dworze *Leona X*, ba! jest nawet obfitość nadmierna; toć samymi poetami zajmują się aż dwie historye literatury (właściwie katalogi rymowane i nierymowane). Jedną z nich jest orędzie poetyczne *Arsillusa: De poetis urbanis*, wystosowane do *Giovio*. Autor posiada przymioty wręcz przeciwnie zaletom adresata; bez różnicy bowiem gromadzi wszystko, co godne i niegodne uwagi, a w przesadnych panegirykach wysławia tych nawet, których imiona z trudnością przedarły się do czasów naszych. Dzieło *Arsillusa* posiada znaczenie niejaki co najwyżej przez to, iż zaleca się rzadką w ówczesnych Włoszech bezstronnością i sprawiedliwością względem obcych a zwłaszcza téż Niemców.

Drugą historję literatury napisał *Pierius Valerianus*, szanowany przez *Leona* latynista z dobrym smakiem i uczony badacz starożytności. Książka ta, pod napisem *De infelicitate literatorum* (O nieszczęściu pisarzów), zaleca się prawdomównością, ale i tonem nieco płacziwym; mówi w niej autor o nieszczęściu uczonych, głównie należących do koła *Leonowego*, oraz kreśli smutny obraz epoki następującej

bezpośrednio po owym świetnym okresie, którego jest chwałą. Zaznaczyć jeszcze wypada, iż Valerianus, podniecony może starożytnościami rzymskimi próbował objaśnić hieroglify i że już w tém dziele skonstatował zwrot wsteczny w nauce ówczesnej, pewną obojętność dla uprawianych przez się studyów specjalnych i związanych z niemi prac uczonych wogólności. — Inna w tymże rodzaju historia literatury, mianowicie *Gyraldusa: De poetis suorum temporum* nie da się całkowicie wciągnąć do koła rzymskiego (ob. str. 227).

Z pomiędzy poetów owego czasu, szczęśliwym moglibyśmy nazwać *M. A. Flaminius* (1498—1550), nieszczęśliwym zaś *Jana Corycius* (zm. 1527). Flaminius, poeta pełen uczucia, świetnie władał formą i zasłużył na wyrzeczenie Horacyuszowe, którém jeden ze współczesnych przyozdobił jego medal: „Muza udarowała go niebem”. Marzył o Italii zjednoczonej i wzywał papieża do obrony uciśnionej ojczyzny. W poglądach swoich był tak blizkim starożytności, że chcąc zgasłemu przyjacielowi zapewnić pamięć nieśmiertelną, nie zwraca się do religii chrześcijańskiej, lecz maluje jego wejście do nieba pogańskiego. Sprzyjał też reformacyi, a wycieczkami protestanckimi obudził podejrzenie cenzury, której wątpliwości musiał uspakajać. — *Jan Corycius* potrafił także kilka napisać wierszy; właściwe wszakże jego znaczenie polega na tém, iż zebrał w osobnej książce poezye inaych, które wydał współtowarzysz biesiad, *Błażej Palladio*, 1524 r., p. t. *Coryciana*. Jestto „pierwszy almanach Muz”. *Corycius* polecił *Andrzejowi Sansovino* rzeźbiarzowi, w kościele Ś. Augustyna przyozdobić kaplicę, poświęconą Ś. Annie, Maryi i Jezusowi, ich posągami a następnie żądał od przyjaciół-poetów, aby swymi utworami złożyli hołd dziełu sztuki i artyście. Ze wezwani życzeniu chętnie uczynili zadość łatwo pojąć ze względu na stanowisko proszącego oraz zaciekłość humanistów w robieniu wierszy. Ze względu zaś na żądę sławy poetyzującego ludku zrozumieć również łatwo, że sypali pochwały nie tylko świętym i artystom, ale i skromnym poetom (naturalnie każdy sumiennie rozdzielał sławę między siebie i towarzyszków); wychwalali dalej *Leona X*, który w charakterze mecenasa przyklaskiwał zarówno temu dziełu, jak i wszelkim wogóle produkcjom współczesnym; wysławiali wreszcie fundatora posągów, który był zarazem inicjatorem i sprawcą owego almanachu. Dzięki różnaitości osnowy stał się ten zbiorek poezyj zwierciadłem życia umysłowego dni onych, oddźwiękiem świeżego nastroju, przepelniającego poetów w większej części młodocianych jeszcze. Zapewne niejeden wiersz kuleje, niejedna pochwała razi przesadą, niejedna przepowiednia okazała się czczą (wszelkie np. obietnice szczęścia i błogosławieństw dobremu *Coryciusowi* nie zapobiegły zgoła smutnej jego śmierci po zdobyciu Rzymu 1527 r.); — w każdym razie są *Coryciana* produkcją wdzięcz-

na, bez pretensyi, a chwytając za serce, wprowadzają nas do owego grona, w którym było dobrze nawet *Leonowi X*.

Podobnego zbioru w języku włoskim z téj epoki naprózno byś szukał. A przecież język ojczysty doznawał opieki na dworze papiejskim, a poetów i wierszokletów, nim się posługujących, wspierał hojnie *Leon X*. Wielu ogromnej swój sławy potomnym przekazać nie zdołało; inni, którym ich artyzm niedługiej użyteczności, jak np. przechwalany wtedy improwizator *Antoni Tebaldeo*, popadli ze względu na swe utwory w zupełne zapomnienie. Niektórzy tylko nie stracili nic ze swój sławy. Pomiędzy nimi w pierwszym rzędzie stoją: *Trissino* i *Rucellai*; do nich możnaby też zaliczyć *Wiktoryę Colonnę*, chociaż, ściśle rzecz biorąc, nie należy ona do tego okresu.

G. G. Trissino (1478—1550) zasługuje na szacunek i cześć więcej jako człowiek niż jako poeta. Wiersze swe brał tak seryo jak i poselstwa, które odbywał z polecenia papieża Leona, ale w jednych nie był szczęśliwszy niż w drugich. Był on gorącym patryotą. Cieszył się i przeszłością sławną i chwilowo świetnym położeniem ojczyzny; cenił na równi i język włoski, jako wyraz kultury nowoczesnej, i język łaciński jako narzecze przodków. Tę miłość podwójną zadokumentował wielkim eposem: *L'Italia liberata dai Gothi* (Włochy wyzwolone od Gotów, wykończonym 1548 r.); treść zaczerpnął z końca czasów starożytnych lub kto woli z początku wieków średnich. Lecz ani przedmiot ani obrobienie; ani obrzymie walki narodów, ani miłości *Justyniana*; ani grzeczne mowy *Belizaryusza*, ani aluzye i zboczenia mitologiczne — nie rozbudziły ciekawości i nie znalazły poklasku u ogółu. *Trissino* więc, nie łatwo zresztą dostępny uczuciu zawiści, miał z niechęcią wykrzyknąć: „Przeklętym bądź dniu i godzino, kiedyś chwycił za pióro a nie opiewał *Roland!*” Jednakże miłość do świata starożytnego i wrodzona żyłka poetycka umilknąć mu nie pozwoliły. Powstają tedy nowe utwory, pomiędzy nimi zasługuje na wzmiankę tragedya *Sofonisba*. Ma ona znaczenie przez to, że uchodzi za pierwszą tragedyę, która posiada i osnowę antyczną i obrobiona jest w duchu antycznym. Występuje więc i chór, wyrażający uczucia osób działających lub widzów, występuje i posłaniec, opowiadający współdziałaczom to, co się stało, a czego poeta nie rozwija przed oczyma publiczności; nie brakuje też ani dumnie brzmiących słów patryotyzmu, ani napomknień o świecie klasycznym. Nie jestto przecież rzymska tragedya bohatera i nie składa bynajmniej hołdów bogom starożytnym; ma ona raczej charakter sztuki miłosnej i mimo nazwy antycznej jest pod pewnym względem sztuką chrześcijańską. Miłość i przyjaźń *Sofonisby* do *Masynissy* i *Erminii* wyrażone w sposób podniosły; ówczesna literatura włoska poszczyci się nie wielu pieśniami żalobnymi, godnemi téj, którą wygłasza *Erminia* ku czci umiera-

jącej przyjaciółki. Chrześcijański sposób myślenia ujawnia poeta niejednokrotnie. Widać to np. w delikatnym zwrocie, kiedy Masy-nisa chcąc dotknąć zwłok, cofa rękę, aby tém nieczystém dotknięciem nie splamić duszy nieboszczki; widać i w tém, że w pieśniach chórowych nie mówi poeta ani o losie, ani o bogach, lecz o Bogu, kierującym losami ludzi.

Trissino był pobożny. O tój jego zalecie słyszymy w miejscu, co prawda, najmniej spodziewaném, bo w poemacie dydaktycznym *O pszczołach*, po ustępie, gdzie jest mowa o stosunku pszczół do matki i obronie monarchini przez lud; czytamy tam: „Na podstawie tych znamion i pięknych przykładów niektóre umysły światłe przypuszczały, że w pszczołach żyje coś boskiego, co nieustannym ruchem niebieskim wprawia w ruch ciało pszczoły i rządzi niecielesną częścią: niby owa wielka dusza świata, co jak woźnica nim kieruje, a rozplynąwszy się w martwój masie, w ruch wprawia sfery gwiazdziste, odwieczny szlak niebieski, oraz ten szlak, na którym pod ciężkiem kołem starój matki ziemi, rodzi się piorun, deszcz, burza i osobliwy potwór morza. Z niój ludzie i zwierzęta biorą początek, życie, ruch, zmysły i rozum i niejaki przeczucie przyszłości. Do niój wracają dusze nasze i w niój rozplywa się ruch wszelki. Skutkiem tego dusza w ciałach wszystkich istot żyjących jest niebieska i nieśmiertelna i wraca w końcu do swego źródła; jedne do gwiazd błyszczących, inne do słońca. Tę myśl piękną i wzniosłą Tyś pierwszy powołał do życia, Ty, *Trissino*, Twym jasnym i czystym głosem, Tyś pierwszy zniszczył zasadnie straszne kary Acherontu, niweczając nieuctwo śmiertelnych”.

Słowa powyższe są wyjątkiem z dedykacji, przypisanój *Trissino'wi* przez *Rucellai*, autora poematu dydaktycznego *O pszczołach*, wydanego 1539 r. *Jan Rucellai* (1475 — 1526) jest krewniakiem *Leona X*. Utwór jego — to wielkie dzieło poetyczne w rodzaju, w jakim współcześni bardzo gustowali. Świadczy ono o pracowitych studyach, któremi poeta się chwali, a wspominając o nich nie bez dumy dodaje: *che chiama anatomia la lingua greca* (które nazywamy w języku greckim anatomią). Z wielką lubością maluje szczegóły najdrobniejsze a uczuciem nader subtelném zatapia się w uciechy i cierpienia świata zwierzęcego. Dla swych roztrząsań znalazł *Rucellai* wzór w *Wergiliuszu*, którego przy okazji wychwala; mistrza naśladuje i w tém także, iż podobnie jak tamten robi alluzye do wypadków współczesnych, mówi o pociągu Szwajcarów do buntów i o rozbójniczych wyprawach Turków; nowo wybranemu papieżowi *Klemensowi VII* niesłychane prawi pochlebstwa.

Epos dydaktyczny uważał *Rucellai* za wytchnienie od poważnej pracy poetycznej; dzieło swe bowiem zamyka słowami: „a teraz czas,

aby wrócił do smutnego Oresta z wierszem wzniosłym i łzawym, jaki przystoi koturnom tragicznym⁷. Na podobieństwo przyjaciela swego *Trissina* był *Rucellai* i tragikiem. „*Orestes*”, o którym napomyka w zakończeniu „*Pszczoł*”, ukazał się 1524 r., „*Rosmonda*”, której poeta głównie zawdzięcza swą sławę, pojawiła się już 1515 r. i prawdopodobnie była niebawem wystawiona w teatrze urządzonym dla prac tego rodzaju na Kapitolu.

Osnową „*Rosmondy*” jest historia longobardzkiej księżniczki, która zaślubia okrutnego następcę swego ojca, mimo że ten z głowy rodzica kazał zrobić puhar; rozmyśla jednak nad zagładą wrogiego małżona i raduje się, gdy zamiast niej przyjaciel mściwe podnosi ramię na niegodziwego i bezbożnego łotra. „*Rosmonda*” nie jest wcale sztuką świetną, chociaż chóry, a zwłaszcza ich części liryczne, nie są bez melodyjnego wdzięku języka i nie bez polotu myśli. Tragedya nie jest wcale sztuką świetną, ponieważ w historii za treść wziętej, na przekór użytemu źródłu, mianowicie opowiadaniu *Paula Dyakona*, wprowadza zmiany niehistoryczne a przedewszystkiemi niepsychologiczne; ponieważ bohaterka za mało uwydatnia potęgę swęj nienawiści w chwili stanowczej, chociaż dużo o niej się mówi; ponieważ sama akcja, lubo budzi uwagę i wzrusza, nie jest o tyle opracowana, aby prawdziwe rozniecić współczucie; ponieważ pojedyncze charaktery, niezindywidualizowane dostatecznie, nie zdołają czytelnika rozgrzać i zainteresować. Ale o miłości mówi autor pięknie; uczucie poety wyrażane zwykle z pewnym trudem, usiłuje tutaj życiem tryskać.

Gdyby dramaturgowie ówczesni szukali przykładów miłości ofiarnej i okazanej w czynie, znaleźliby ją byli w *Wiktorji Colonne* (1490—1547), poetce wielkiej i pięknej, utalentowanej i wyższym obdarzonej umysłem. Rzadko jaka poetka z taką namiętnością wysławiała miłość, a Włoszka nigdy może z takim uczuciem nie oddawała czci wierności małżeńskiej. Dopóki żył jęj mąż, wojowniczy margrabia *Pescary*, a nawet i po jego starcie (w bitwie pod Pawią 1525), była *Wiktorja* niestrudzoną w zapewnieniach o swęj miłości. Treść całego bytu swego zawarła w słowach: „Tylko w jego życiu znajdowałam życie”. Myśli ona o innych i otwiera serce zarówno przyjaźni jak i miłości. Cieszy się przyrodą a podniętą jęj radości jest nie tyle marzycielstwo lub zmysłowo-naiwne rozkoszowanie się blaskiem barw albo ponętami woni, ile raczej to, że spostrzega w naturze żywe tchnienie boskie. Przejmuje się z zapalem uczuciami religijnymi, wypełniającemi całe jęj istnienie, od chwili gdy uczucia ziemskie w niej zamarły. Bezustannie sławi wszechmoc i mądrość Boga, opiewa chwałę Chrystusa — poeci chętniej czcili Maryę — nie popadając nigdy w ton błogości miłosnej, co jest tak zwyczajnem w zwiastunach i zwiastunkach myśli religijnych; a co jednym i dru-

gim tak mało przystoi. Jest ona świadomą przywar i win ludzkich, ale nie skomli o łaskę i zlitowanie; w śmierci upatruje żywot wyższy, nietylko dlatego, że ma nadzieję znowu połączyć się z małżonkiem, ale dlatego, że spodziewa się oglądać światło czystsze, a jednak życie nie staje się jęj ekliwém. Jeżeli mówi o przyszłości, to ma na myśli żywot wieczny, nie zaś istnienie w pamięci ludzkiej; za swe poezye tak dalece nie żywi uroszczeń do sławy pośmiertnej, iż gotowaby zostawić wiersze niewyglodzonymi, byle je uwolnić od uwielbień potomności.

Mimo pogardę sławy doznawała jednak czci wielkiej; mimo usunięcia się od świata i ludzi, obudzała w kobietach ciekawość a namiętność w mężczyznach; pomimo że, z wyjątkiem wierszy okolicznościowych powitalnych i wyrażających uznanie przyjacielskie, nikomu z żyjących nie składała holdów poetycznych; jak tylko jednemu i to właśnie zmarłemu mężowi, nie mogła jednak przeszkodzić, że wielu jęj holdy oddawało, już to ulegając prądowi czasu, już to powodowani czcią rzetelną a może nawet i żądzą jęj posiadania. O ile poezye ówczesne wystawiają enoty *Leona X* i błagają o jego łaskę, o tyle rozbrzmiewają pochwałami dla piękności i czystej duszy *Wiktoryi Colonna*. A któż ośmieliłby się wyrzec, że uwielbienia dla potężnego monarchy, pochodzące od ludzi biednych i przyzwyczajonych do pochlebstw, są również szczerze, jak pochwały dla poetki, która łaskami rozporządzać, ni darami obsypywać nie mogła? Któżby ośmielił się to wyrzec zwłaszcza jeżeli owe pochwały są tak prawdziwe i serdeczne a powtarzane tak często, jak zająkliwe wygłaszające miłość sonety *Michała Anioła*?

Michelangelo pisał wiersze. *Rafaël* był archeologiem i napisał do i dla *Leona X* ów list, w którym uprasza o opiekę papieską, dla szczytków starożytności i rozprawia o odbudowaniu Rzymu starożytnego — jako uczonej i jako artysta. O to jednak mniejsza. Toć cały świat wie, że obaj nieśmiertelność zawdzięczają nie pismom, lecz dziełom sztuki. Co prawda *Leon X* nie był względem nich ani mecenasem zbyt skorym do szczodrości; ani też zamówieniami wspinałemi ich nie zarzucał, jak to lubi przedstawiać potomność aż nad miarę dlań wdzięczna. Ale prawdą jest, że artyści sami go poszukiwali, ponieważ nie tylko zamówienia robił, ale artystów i utwory sztuki umiał użytkować i pochwalić i pouczyć.

Michał Anioł i *Rafaël* nie są jedynymi artystami, co mieszkali w Rzymie za czasów *Leona*. Tłum cały i to znakomitych Rzym zaludniał. Ale że nie chodzi nam o historję sztuki, więc musimy tu poprzestać na zwięzłej wzmiance tylko o nich obu.

Podczas wyboru *Leona* *Michał Anioł* przebywał w Rzymie. Listy jego świadczą, że usilnie pragnął zniweczyć opinię, jakoby nieprzy-

chylnie odzywał się o Medyceuszach. „Obecnie jestem bez roboty i wyczekuję, aby papież dał mi jakieś zlecenie”. Na zamówieniach nie zbywało wtedy, ale nie miały one charakteru podnioslejszego; na wzmiankę zasługuje polecenie zbudowania marmurowej fasady kościoła S. Wawrzyńca we Florencyi. Przymtem nie były one wykonywane w Rzymie. Michał Anioł bowiem, nie przypisując Leonowi imponujących przymiotów jego poprzednika, nie znajdował przyjemności w kołach towarzyskich papieża, ani w życiu rzymskiem i wrócił do Florencyi. Stąd przecież utrzymywał stosunki z papieżem. Wysoce charakterystycznym jest fakt, że znajduje się w szeregu proszących, aby Dantemu wzniesiono posąg, i że on jeden tylko między piszącymi po łacinie, zamieszcza swój podpis w języku włoskim.

Żadne dzieło Michała Anioła nie pozostaje w bliższym stosunku do Leona X; nie wskazuje żywszej styczności między obu mężami, którzy żyli w tymże samym czasie i, lubo krótko, na témże miejscu. Działalność *Rafaela* natomiast zadzierzga się różnymi węzłami z usiłowaniami papieża. Życie *Rafaela* i zewnątrz i wewnątrz przypada na epokę Leona X.

Na wezwanie Juliusza II przybył *Rafaël* we wrześniu 1508 r. do Rzymu i pozostawał w tém mieście aż do śmierci. Jeszcze przed wstąpieniem na tron Leona X rozwijał działalność dużą i doniosłą, ale stała się ona wszechstronną dopiero pod rządami Leona i za jego przyczynieniem. Nietylko sam malował, rysował i rytował, podług antycznych dzieł sztuki, wykonywał twory rzeźbiarskie i kreślił plany architektoniczne pałaców, ale nadto z polecenia papieża kierował robotami innych a radą swą wspierał zarówno jego, jak i tych, co dlań pracowali. To też już w roku 1518 pisze poseł ferrarski: „Wszystko, co sztuki dotyczy, powierza papież *Rafaelowi*”. Te zajęcia olbrzymie możnaby przedstawić tylko w dziele obszerném; samo jeno wyliczenie i opisanie wszystkich prac jego zapelniloby kilka arkuszy. Ponieważ tu ani jednego, ani drugiego uczynić nie zamierzamy, ograniczymy się więc na scharakteryzowaniu stosunku artysty do mecenasa.

Artysta kochał terażniejszość, cieszył się przyjaźnią wybitnych ludzi i starał się utrwalić obraz tej przyjaźni tak, jak rzecz pojmował okiem artysty. Dlatego to malował portrety; niektóre zaginęły; one jedne wystarczałyby już, aby zrozumieć dokładnie ową epokę. A więc mamy wizerunki: Leona X, z dwoma kardynałami: Juliuszem de Medici i Ludwikiem de Rossi, dwu innych członków domu Medyceuszów, Juliana i Wawrzyńca, oraz sześciu znakomitych mężów, poetów i uczonych, dyplomatów i duchownych; są nimi: kardynał Bibbiena i Castiglione, Inghirami i Tebaldeo, Wenecyanie Na-

vagero i Beazzano; wszystkich niemal poznaliśmy w ciągu opowiadania niniejszego z krótkich wzmianek lub z ocen obszerniejszych. Nawet w takich razach, kiedy dla związku historycznego zdawało się być niebezpiecznym przypominać współczesnych, odważył się *Rafaël* na krok, któryby artyście mniej wielkiemu zgotował upadek. Tak np. gwałcąc jedność czasu, wykonał wielkie malowidło, przedstawiające wypędzenie Heliodora ze świątyni; w jednej bowiem grupie występuje tu papież Juliusz II, jakgdyby osobiście pragnął uczestniczyć w tryumfie kościoła, niesiony przez czterech szambelanów, którzy najprawdopodobniej wyobrażają urzędników dworu papieskiego lub żyjących wtedy artystów; przynajmniej powszechne jest zdanie, że idący na czele posiada rysy miedziorytnika Marcantona.

Ale nietylko terażniejszość go zajmowała. Zwracał się również i do przeszłości. Podniętą dlań w tej mierze były stosunki z Leonem X, który i tradycjami swjej rodziny, i liczbą porządkową przy imieniu a wreszcie i godnością papieską przypominał czasy ubiegłe. Wybierał więc przedmioty z epoki pontyfikatu Leona III i IV, aby równocześnie uświetnić może toż samo imię i późniejszego papieża. Są to malowidła w stanzach znane pod nazwą cyklu Leonowego. Należą doń: zwycięstwo nad Saracenami pod Ostyą, Pożar zamku, Koronacja Karola W. i Przysięga oczyszczalna Leona IV. Fakta te, o ile dotyczą wydarzeń historycznych tylko, nie potrafiły do tego stopnia rozgrzać umysłu i serca artysty, iżby zdołał odtworzyć je po mistrzowsku. W każdym razie obrazy rzeczzone stoją na równi z arcydziełami *Rafaëla*, o ile przedstawiają zjawiska czysto ludzkie: cierpienie i rozpacz, współczucie i pomoc czynną. Dla tych powodów przykuwają zawsze oko widza tłumy walczących i uratowanych, ocalonych od śmierci ogniowej, oraz kobiet witających z radością swe oswobodzenie i życie. Przedewszystkiem zaś pociąga ku sobie grupa, przypominająca poniewolnie Eneasza, Anchizesa i Askaniusza; widzimy tu młodego człowieka, który dzwignając ojca na grzbiecie a syna prowadząc za rękę szparko i bezpiecznie uchodzi przed niebezpieczeństwem i ku nowemu podąża życiu.

Już w tym obrazie dochodzą cię oddźwięki z dwu dziedzin, z których *Rafaël* najchętniej treść czerpał: ze starożytności i dziejów chrześcijańskich, a specjalnie historii świętej. Do tej kategorii należą główne utwory ówczesnej działalności mistrza. Dosyć wymienić ich nazwiska, aby okazać ich doniosłość i przypomnieć olbrzymie wrażenie, jakie wywierały na ludzi zachwycających się sztuką i łatwo dostępnym wzruszeniem potężnym. Oto są: cztery Sybille, Madonna Sykstyńska i Przemienienie Pańskie; obrazy w willi Farnezych: Galatea, Psyche i Amor, Tryumf Psychy. Dla nas potomnych, obrazy z historii biblijnej i życia świętych posiadają wieczną świeżość mło-

dości i wdzięk nieporównany. Bo my, późniejsi, jakakolwiek zresztą wyznajemy wiarę, nie przestajemy krzepić ducha i podnosić serca nieśmiertelnymi wizerunkami przeczystej miłości macierzyńskiej, najserdeczniejszego wylania się na wszystko, co wzniosłe i święte, radosnego z samozaparciem wyrzeczenia się dóbr ziemskich i uciech światowych; bo my, późniejsi, porwani wysokolotną fantazyą artyści, lubimy się przenosić w światy idealne, pozwalamy sobie marzyć o tryumfie dobrego i wszechmocnym panowaniu sprawiedliwości. Ale dla współczesnych *Leona*, ludzi na wskroś światowych, zapominających o przyszłości dla terażniejszości, mimo polotu idealnego obojętnych na właściwą religijność, dla takich ludzi rzeczywiście mistrzowskimi dziełami gieniuszu *Rafaela* były obrazy, przedstawiające starożytność w blaskach czarodziejskich, obrazy ze swą uczoną pożądlivością, z błyskotliwym nieco użyciem igraszek mitologicznych, a przedewszystkiem ze swą niemą a jednak wymowną czcią dla piękna zmysłowego. Wyobrazić sobie nie trudno, że *Leon* przed *Madonną Sykstyńską* nie mógł się opędzić cichemu napadowi szyderstwa, a oglądając *Przemienienie* dał się przeniknąć dreszczom zachwytu nadziemskiego, ale na pewno podziwiał miłość *Amora* i *Psychy*, a przed obrazem *Galatei* szeptał może wiersze *Poliziana*, z których *Rafaël* zapożyczył właśnie główną postać malowidła.

Rafaël umarł 6 kwietnia 1520 r. Przytaczamy piękne o nim zdanie *Vasari'ego*: „*Rafaël* zatrudniał ciągle wielką mnogość artystów; kiedy szedł z domu do *Watykanu*, otaczało go piętnastu malarzów zdolnych i niepospolitych, aby tym sposobem okazać mu cześć. Żył wogóle jak książę, a nie jak artysta”. Czternaście dni pożerała *Rafaela* gorączka, aż go wreszcie zabiła. Codzień przysyłał papież z zapytaniem o stan zdrowia artysty i przyjaciela. Rzewnemi zalał się łzami, gdy otrzymał wieść o śmierci. Cios okrutny zrodził w nim zapewne uczucie, jakiego doznał *Castiglione*, mówiąc: „*Rzym* dla mnie pusty i wymarły, odkąd nie masz *Rafaela*”.

W stosunku do *Rafaela* właśnie uwydatnia się najlepiej rodzaj mecenasostwa papieskiego. Cóż je stanowi? Oto: pełne czulej delikatności obcowanie z mężami wyniosłego umysłu oraz świadomość, że nie istnieje wcale przepaść między biednym a możnym, lecz że szlacheetwo ducha stwarza równość, potężniejszą od różnic stanu i godności.

Leon X wspierał uczonych, znajdował przyjemność w dziełach współczesnych, ale przekładał nad nie pisma przeszłości. Był to dla niego dzień radosny, kiedy wpadła mu w rękę książka z biblioteki *Medycejskiej* rozproszonej zawistnemi losy, książka, którą posiadał jego ojciec *Lorenzo*. Wówczas przeglądał kartę za kartą, sądząc, że takiem przywiązaniem skrupulatnóm zasłuży na poklask

rodzica. Ale radość *Leona* pochodziła nie z samego tylko egzemplarza, nie stąd, że był własnością rodziny, lecz wytryskała z treści książki. Podzielał on ze współczesnikami cześć dla języka łacińskiego, lubił listy włoskie upiększać kwiatkami łacińskimi, co więcej, uwielbienie dla łaciny posuwał tak daleko, że sprowadził z Portugalii matematyka, który umiejętność swą wykładał w wytwornym języku Rzymian. Otaczał pieczę język grecki, nie dlatego że był, lecz pomimo to, że był językiem Nowego Testamentu; opiekował się bowiem edycjami biblii i wydaniem św. Hieronima, głównie z miłości dla języka, a nie dla treści; współczucie zaś dla usiłowań *Augustyna Rifo* było dość powierzchowne. Leon nie był uczonym, nie był też właściwie i artystą; w muzyce tylko celował jako teoretyk i jako wykonawca. Ale rozumiał wysiłki innych, a w pracach ich znajdował rozkosz. A jednakże popieranie jednostek nie jest tak wielkie, jakbyśmy się spodziewali, a przynajmniej nie tak powszechne, jakby tego sobie życzyła zgłodniała rzesza literatów. Stąd pojedyncze przykłady wspaniałomyślności, które w innych monarchach uważano za zwykłe dowody ich usposobień, w Leonie wychwalano jako czyny nadzwyczajne. Sławiono go więc, że *Andrzej Manone* dostał za swe wiersze kanonikat, że lutnista *Giammaria* otrzymał z zamkiem tytuł hrabiowski, że *Bernard Accolti*, który w dumnym poczuciu poetyckim sam się nazwał *l'unico Areтино* (jedynym Aretyńczykiem), został tak hojnie obdarowany, iż kupił sobie tytuł księcia *Nepi*. Obok tego mniej lub wcale nienagrodzeni zgadzali się ze szczerze nagrodzonymi w uwielbieniach dla mecenasa; rozbrzmiewał chór potężny i wszechgłośny, któremu i niezadowolnieni przyspiewywali, że rozpoczął się wiek złoty dla sztuki i literatury. Jak lew jest królem zwierząt, tak Leon uchodził za pana ludzi i władcę świata całego. Był on *słońcem*, co ziemię oświeca; był *Apollinem*, co spragnionym światła — promienne rzuca blaski. Przyznawano mu stanowisko niemal boskie; toć *Gwido Postumo Silvestri* w modlitwie do Chrystusa, Maryi i Świętych mógł prosić, aby *Leona*, to bóstwo (*numen*), zachowali ludzkości, gdyż w niebie jest świętych podostatkiem. Zdawałoby się, że w pochwałach współczesników słyszysz znowu okrzyk, jakim witali Egipcyanie swego króla *Sethosa*: „Ukazujesz się jako rodzic twój, bóg słońca; widok twój daje nam życie”.

Co prawda, nie wszyscy popadali w ten zachwyt okrzyków radośnych. Gdyby głosy ważyć zamiast liczyć, to utajona nagana *Aryosta* zapewneby szaleg przechyliła i miałyby większe znaczenie aniżeli jawne pochwały całego tłumu ludzi mało znanych, którzy zawodzili hymny uwielbienia za otrzymane lub tylko spodziewane dobrodziejstwo. *Aryost* bowiem zaufany w dawne swe stosunki z *Medyceuszami*, a zwłaszcza z *Leonem*, przybył 1513 r. do Rzymu, lecz niebawem

ujrzał swą ufność i swe nadzieje zawiedzionemi. Zniechęcony napił satyrę mniej więcej tój treści: „Pewien pasterz odkrył krynicę; pociągnął więc do niej z żoną, dziećmi i wiernymi, aby zaczerpnąć wody; napił się sam, a następnie pozwolił wszystkim ze swoich zbliżyć się do źródła. Sroka tylko, która dotąd od pasterza i jego rodziny wielkiej doznawała pieczy, stała obok smutna, bo niedostrzeżona, i mówiła do siebie: Biada mi! nie jestem krewniaczką pasterza, nie pracowałam przy źródle, nie zrobiłam teraz dla pasterza nic więcej nad to, com robiła dawniej, dopadnę więc krynicy ostatnia i musiałabym umrzeć z pragnienia, gdybym się w inną nie zwróciła stronę”. Zapewne można dostrzedz w tój satyrze utajoną życzliwość dla Medyceuszów, ale da się też wysledzić i gniew, który wkrótce skądinąd wybuchnął.

Albowiem w wizerunku Leona obok światła nie brak i cieniów. Pamięć jego opromienia blask jasny, kiedy mówimy o nim, jako opiekunie sztuki i nauki, ale blask ten ustępuje grubemu mrokowi, kiedy uprzytomnimy sobie jego działalność polityczną i opieszałość religijną, jego godność marną w wierze i czynach.

Leona X można słusznie nazwać wirtuozem politycznym. Rzadko który z Medyceuszów nawet umiał tak, jak on, zręcznie innych zatrudniać, przykuwać i omamiać. Główną zasadą jego polityki było: stosunki swe z innymi trzymać w tajemnicy, z oświadczeniami czekać póty, dopóki jedna ze stron walczących nie odzierżyła zwycięstwa i łączyć się ze zwycięzcami; równocześnie zaś zawierać związki z dwiema lub więcej partjami i sprzymierzeńca opuścić, skoro tylko grubą złożył zapłatę.

Juliusz II oswoił wprawdzie Italię z rąk Francuzów, ale została ona jeszcze w mocy Szwajcarów i Hiszpanów, ba! stała się nawet za Leona placem harców dla narodów. Wielkie współzawodnictwo, trwające przez całą epokę, między Walezyuszami i Habsburgami, między *Frańciszkim I*, królem francuskim, a *Maksymilianem I* i *Karolem V*, cesarzami niemieckimi, ujawnia się także we Włoszech i warunkuje politykę Leona X.

Wystąpienie *Frańciszka I* we Włoszech podobne ukazaniu się wionny. Już poprzednika jego, *Ludwika XII*, przyjmowali Włosi radośni; i uroczyście, a z niemniejszym ukontentowaniem witali i *Karola VIII*. *Frańciszka I* zaś przyjmowali jako oswoobodziciela, tego *Frańciszka*, który przychodził z głośno wyrażonym zamiarem powetować klęski królów dawniejszych, a Italię w wieczne zakuć jarzmo. „Podpora dobrych, wybrane naczynie sprawiedliwości i honoru, wspaniałe zwierciadło doskonałej dobroci, prawdziwe i czyste światło niezwał-

czonój rycerskości, wzór ziemski wszelkich darów niebieskich, jakich Bóg ludziom użycza”—oto jak nazywa Frańciszka Ludwik Alamanini w poemacie dydaktycznym: *La Coltivazione* (ks. II; uprawa roli). W innym zaś miejscu powiada: „Tyś wzorem pracowitości, Ty nigdy chwili napróżno nie tracisz: to rączy umysł królewski poświęcasz orężowi lub muzom, to znowu mądrze zażywasz prawa, aby, zależnie od czasu i miejsca, kończyć walki długoletnie lub oswabadzać niesprawiedliwie potępionych”.

Frańciszek miał lat 21, kiedy się zjawił we Włoszech; raczej to młodzieniec niż mąż dojrzały. Roił plany też same, co i Ludwik XII, ale prześcigał go siłą woli i szczęściem. Aczkolwiek wielu mu przyklaskiwało, napotykał przecież i wrogów otwartych. I Leon X sprzeniewierzył się zasadom dawniejszym, połączył się z jego nieprzyjaciółmi. Lecz od jednego ciosu zmieniło się położenie, gdy Frańciszek I niebawem po swém wtargnięciu rozgromił Szwajcarów w wielkiej bitwie pod Marignano (13, 14 września 1513 r.) a dzięki temu zwycięstwu stał się panem Italii. W pierwszym dniu walki przypisywano zwycięstwo Szwajcarom; w skutek tej wieści fałszywej palono w Rzymie ognie radosne. Jednakże dnia następnego zjawia się w pałacu poseł wenecki, Marin Zorzi, zwiastuje papieżowi tryumf Francuzów, a klęskę Szwajcarów. Papież zdaje się przerażony i o los swój zatrwożony, ale ambasador uspakaja go słowy: „Pójdzie wszystko dobrze, ponieważ jesteśmy z królem; wasza świętobliwość nie dozna żadnej przykrości”. Leon X szybko przychodzi do siebie i kończy rozmowę charakterystyczném wynurzeniem: „Panie ambasadorze, zobaczymy, co król zrobić zamysła; pragniemy się oddać w jego ręce i prosić litości”. Jakoż rzeczywiście wymodlił sobie łaskę, na zjeździe w Bolonii rzekł się niektórych prerogatyw duchownych i utracił niektóre posiadłości, lecz okupił pokój i bezpieczeństwo.

Uległość silniejszym, surowość, nawet okrucieństwo względem słabszych—oto znamienne właściwości włoskiej polityki Leona. Ujawniają się one w takich faktach, jak: zniszczenie domu Baglionów w Perugii, niespełnienie obietnic uczynionych Alfonsowi, księciu Ferrary, skonfiskowanie księstwa Urbino pod pozorem, że jest niby prywatną własnością Medyceuszów, mściwe i wiarołomne postępowanie względem kardynałów, których oskarżano o sprzysiężenie na życie papieża. O ile w tych oraz innych sprawach szedł Leon za własnym popędem, o ile zaś za podniętą drugich, tego rozstrzygnąć nie podobna. Wielu współczesnych podzielało zdanie posła weneckiego, który mówił o papieżu: „Jest to człowiek dobrego serca; gdyby nie jego krewniacy, unikałby wszystkich błędów”.

Porozumienie osiągnięte w układach bolońskich nie miało być wiecznym. Wkrótce zeszedł z planu pierwszego Frańciszek I, wyparty przez Karola V. Obaj oni, walczyło o panowanie nad światem, dobijali się o pozyskanie papieża, gdyż przymierze z nim znaczyło daleko więcej aniżeli szczupła potęga jego państwa. Przez lat pięć ważyły się losy walki, aż wreszcie rozstrzygnęła się na korzyść cesarza. Zdawało się, że sojusz zawarty przez Karola V z Leonem X (8 maja 1521) odnowi teraz cesarsko papieską monarchię uniwersalną. Przymierze bowiem nie tylko przeciw Francyi było skierowane i nie tylko pomnożenie posiadłości włoskich papieża miało na celu, lecz obejmowało także dumne słowa o najwyższych naczelnikach ludzkości, duchownym i świeckim, którzy mocą swęj władzy uprawnieni są domagać się posłuszeństwa od swych poddanych.

Tegoż samego dnia, w którym doszedł do skutku sojusz Leona z Karolem, wydany został cesarski akt banicyjny przeciw Lutrowi. Leon X bowiem uwikłał się również i w swary religijne, chociaż o rzeczach religijnych mało co wiedział i nie wiedzieć nie chciał. Nie pierwszy to papież z takim sposobem myślenia, ale pierwszy, za którego rządów pogaństwo zdobyło sobie znaczenie urzędowe i powszechne. Czy rzeczywiście odezwał się, jak głoszają, że bajkę o Chrystusie gotów uznać za prawdę, ponieważ może wyciągnąć stąd korzyść; czy rzeczywiście wyrzekł płochy a tani żart, że nauka o nieśmiertelności duszy wydaje mu się istotnie prawdziwą, lecz zaprzeczenie jej uważa za przydatniejsze do powiększenia objętości swego ciała — tego na pewno nie wiadomo: ale jego zapatrywanie się cyniczne na świętości, jego skłonność ku poganizmowi — to są fakta powszechnie znane. Uroczystościom świeckim z całą uwagą poświęcał wiele chwil długich, ale dla spraw religijnych nie miał ni czasu, ni dobrej chęci. Z uśmiechem jeszcze na ustach wracając z komedyi Plautowskiéj, udzielał pośpiesznie błogosławieństwa ludowi; całemi godzinami przysłuchiwał się zgrabnym mowom łacińskim humanistów, ale kapelanom swym nakazał, aby w niedzielę nie prawili wobec niego kazań dłużéj nad kwadrans, i surowo tego przestrzegał, chyba, że kaznodzieja wzywał bogów i bogiń lub wplatał do mowy alluzyje pogańskie; zdarzało się i to bowiem, choć temu co prawda niejeden z szyderstwem przyganiał. Ależ należało wówczas do dobrego tonu chrześcijaństwo wyśmiewać, a religię chrześcijańską nazywać potwornym plodem chytrych oszustów; było wtedy obowiązkiem niemal odnawiać starożytność nawet w poglądach i czynnościach religijnych. Trafiła się więc, że w epoce Leona X składano starym obyczajem byka w ofierze, że podczas jakiegoś obchodu pewien znakomity obywatel ustawił przed swym domem posąg Wenery z napisem: *Mars fuit, est Pallas, Cypria semper ero* (Był Mars, jest Minerwa, ja bogini miłości

zawsze będą), a napis ten dźwięczy niby drwiny z bóstwa i dziewictwa Maryi, którą nieraz nazywano Palladą. Faktem jest, że z okazji urządzenia cysterny na Kapitolu zanoszono modły: „My zbudowaliśmy naczynie; Ty, o Jowiszu, dżdżem je napełnij i użyczaj łaski zarządcom tej skały”. Faktem jest wreszcie, że mówca na pogrzebie Bibbieny ośmielił się wyrzec: „Nie badamy wcale, na jakie miejsce Olimpu dowiezie cię Twa cnota nieśmiertelna na złotym rydwanie czterokonnym, ale objeżdżając światy niebieskie i oglądając herców, nie zapomnij od króla niebieskiego i wszystkich innych bogów wyprosić, aby, jeśli pragną tu na ziemi doznawać czci innej, dołożyli Leonowi te lata, które bezbożna Parka zrabowała Julianowi Medici i Tobie.“

Jestto zaiste wielką ironią dziejów, że tego papieża, za którego rządów a nawet zgodą owe słowa były wypowiedziane, sławili wierni jako najpierwszego władcę, ba! jako jedynie prawdziwego przedstawiciela chrześcijaństwa. Głosili nadto, że jest nierównie wyższym od cesarza, niż złoto od ołowiu; „cesarz” — mówi jeden z pisarzy ówczesnych — „ze wszystkimi prawami, ze wszystkimi narodami chrześcijańskimi nie mógłby postanowić najmniejszej rzeczy wbrew woli papieża”.

Pisarzem tym jest *Sylwester Prieria*, jeden z najpobożniejszych i najfanatyczniejszych bojowników na dworze Leona. Bronił on dwukrotnie powagi papieskiej przeciw napaściom obcym, przeciw Reuchlinowi i Lutrowi, i przynajmniej na pozór, odniósł nad obu nimi zwycięstwa dla siebie i dla tego, kogo bronił.

Ale były-to zwycięstwa Pirrusowel! Spór bowiem Reuchliński zniweczył w oczach ludzi ukształconych powagę papieża i sług jego, a reformacja oderwała Niemcy i znaczną część Europy od kościoła, na którego czele stał papież. Jużcie takiego znaczenia nie mógł Leon przykładać do zdarzeń owych, zwłaszcza że szczegółowo ich nie śledził. Gdyby nawet to uczynił, doniosłości ich byłyby nie poznał; gdyby rzeczywiście wiedział cośkolwiek o napomnieniach i połajankach Huttena—„język barbarzyński” nie pozwalał mu czytać najostrzejszych—zapewne, zrobiwszy grymas i szyderezo wzruszywszy ramionami, odwróciłby się od nich i wolałby słuchać panegiryków, którymi go przyjaciele zasypywali.

Jednakże i ci wytrwali dopóty tylko, dopóki papież potężny cieszył się życiem. Leon X umarł 1 grudnia 1521 r., otrzymawszy radosną nowinę o zwycięstwie cesarza, swego sprzymierzeńca. Umierać nie chciał. „Módlcie się za mną, wszystkich was jeszcze uszczęśliwię”, mówił do otaczających. Wielu uśmiechało się doń jeszcze, ale niejeden spoglądał na chorego pożądliwie, aby się przekonać, czy już pora pochlebny uśmiech zamienić na zgryźliwe drwiny. Istnieje

nawet podanie, że jeden tylko Fra Mariano, trefniś, którym papież tak często się zabawiał, stojąc u łoża, podszeptował konającemu: „Ojcze święty, pamiętaj o Bogu”, poczem trzykroć powtórzył papież: „Dobry Boże”. Zaledwie Leon zamknął oczy, już rozpowszechniać poczęto przeciw niemu pisma obelżywe i wygłaszać mowy szydercze. Zamiast ubóstwiających słów panegirysty, rozbrzmiewał okrzyk bezczeszczący: „Wśliznąłeś się jako lis, rządziłeś jako lew, zmarłeś jako pies”.

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

Upadek odrodzenia włoskiego.

Papież *Hadryan VI*, następca *Leona*, pod każdym względem stanowił z nim kontrast. Miasto zachwytów dla sztuki — okazywał jej pogardę; miasto radosnego obcowania z literaturą — uciekał wstręt do skarbów umysłu; miasto zamiłowania przepychu — ujawniał żądzę prostoty tak wielką, że papież, „któremu Bóg dał najpiękniejszy pałac w Rzymie”, kazał sobie zbudować skromny dom na mieszkanie; miasto narodowych przekonań włoskich — występuje oziębłość dla Włoch a wysokie poważanie cudzoziemskości.

Hadryan albowiem był cudzoziemcem, Holendrem (ur. w Utrechcie 2 marca 1459 r.), a więc w oczach Włochów Niemcem, t. j. barbarzyńcą, „w dodatku Kreatura Jego Cesarskiej Mości”. Pomimo zależności od cesarza starał się zapewnić papiestwu samodzielność. Przejmowała go też boleść głęboka na widok wojsk obcych, które, już dawniej wtargnąwszy do Italii, zalewały kraj coraz bardziej i coraz większem groziły niebezpieczeństwem. Jednakże za dotkliwsze niebezpieczeństwo od pułków niemieckich uważał szerzenie herezy niemieckiej; zwalczać ją, a nawet zniweczyć wziął sobie za cel życia. Ale walka była daremną. Daremną, mimo że papież rozumiał przyczyny złego. Widział je mianowicie: „w niezbędnej potrzebie reformy kościoła i w bezreligijności ludzi. We Włoszech nie zdołał zamienić w czyn starą swą zasadę, wygłoszoną już w Hiszpanii: że pragnie zaopatrywać kościoły w ludzi, a nie ludzi w kościoły. Rozpoczął jednak pracę nad zgnębieniem reformacyi i nad poprawą kościoła.

Świadectwem usiłowań jego w obu tych kierunkach jest instrukcya, udzielona posłowi *Chieregati'emu*, udającemu się do Norymbergi 1522 r. Czytamy tam wyznanie godne pamięci: „Wiemy, że przy stolicy świętej dzieją się od lat wielu rzeczy szpetne; są nadużycia wśród duchowieństwa, bywają przekraczania mandatów, wszystko jest wyracane na opak. Nie dziwota, że choroba idzie od głowy do członków, od papieży do prałatów niższych. My wszyscy i duchowieństwo zбочyliśmy z dróg właściwych; nikt, ani jeden, oddawna nie postępował dobrze. A zatem czas już wielki, abyśmy Bogu cześć oddali, abyśmy dusze nasze przed nim upokorzyli, aby każdy przejrzał, gdzie popadł”. Wyznanie to jest zaiste wspaniałym pomnikiem dziejowym, jednakże musiało pozostać bez skutku u Włochów onego czasu.

Kiedy więc Hadryan umarł (14 września 1523 r.), skon jego powitano jako wypadek radosny. Dom lekarza papieskiego przystrojono napisem: „Oswobodzicielowi Ojczyzny senat i lud rzymski”. Za życia jeszcze papieża nie jakiś literat zgłodniały, ale wysokiej rangi polityk napisał: „Rzym nie jest już Rzymem. Uwolniony od jednej zarazy, wpadł w większą jeszcze. Papież nie zna nikogo; nie widzisz ani jednego daru łaski; wszystko pogrążone w rozpacz”. Po śmierci zaś papieża w podobnym duchu prorokował pewien uczyony: „Gdyby żył był dłużej ten rozjadły wróg Muz, wymowy i piękna wszelkiego, powróciłyby niechybnie czasy barbarzyństwa Gotów”.

Taki był ogólny nastrój humanistów owej epoki. Nie przeto dziwnego, że satyrycy niechętnie wydrwiwali Hadryana. *Franciszek Berni* robił Leonowi wyrzuty, iż podobnego człowieka wyniósł do godności kardynalskiej. Wylicza towarzyszących mu i zażyłych z nim Niemców, szydząc, że przy wymawianiu ich nazwisk trzebaby język wylać. Dodaje wreszcie, że papież wyświadczyłby jedyne a istotne dobrodziejstwo Włochom, gdyby co prędzej wrócił do Flandryi.

Nienawiść ku papieżowi była powszechna; sądy bowiem innych humanistów co do treści zgadzają się zupełnie ze zdaniem Berni'ego. Ściągnął ją na siebie Hadryan nie samą tylko pobożnością. Możeby i zjednął był sobie względy mężów renesansu, chociaż był pobożny, chociaż obowiązki swego urzędu brał na seryo, chociaż prowadził życie świętobliwe, gdyby nie był mówił językiem łacińskim z akcentem barbarzyńskim, gdyby nie był lekcewał pisarzy, których sztuka polegała przedewszystkiem na łacinie wytworniej, gdyby oznak nawet zewnętrznych nie był poczytywał za pogańskie. Zabronił np. zbudowania łuku tryumfalnego podczas swego wjazdu. Tego to rodzaju były wykroczenia, o które go współcześni oskarżali. Ale i późniejsi przyganiiali mu całkowite niezrozumienie ducha czasu, co bezkarnie ujść nie mogło. Nie żywił mianowicie żadnego szacunku, nie mó-

więc już o czci, dla pomników starożytności, zamknął Belvedere a od grupy Laokoona odwrócił się z wykrzykiem pogardliwym: „są to posągi bałwanów pogańskich“. Zdawało się, że nad Rzymem i Włochami zapada znowu barbarzyństwo rzeczywiste, a nie tylko to, którego się tak lękali troskliwi o swą wymowę cyceronianie.

Z *Klemensem VII*, który poprzednio nazywał się *Juliusz Medici*, wstępuje ponownie na tron papieski duch *Medyceuszów*. Jeszcze za życia Leona, którego Juliusz był wpływowym doradcą, nazwał go pewien historyk wenecki „mężem wielkiego umysłu i wielkiego serca“. Podczas zaś pantyfikatu swego okazał się mężem odważnym i wytrwałym w znoszeniu cierpień.

Pod jednym względem był Klemens VII podobien poprzednikowi, mianowicie w stosunku do cesarza. Mógł oto poseł cesarski pisać swemu mocodawcy: „Medici jest Waszą kreaturą; obecnie Wasza władza jest tak potężna, że zdoła głazy przeistaczać w synów posłusznych“. Ale ze względu na oświatę jest Hadryanowi VI wręcz przeciwny. Jeden ze współczesnych, a była to opinia powszechna, wyrzekł: „Mamy nadzieję, że zakwitną znowu nauki wyzwolone, przez dawniejsze barbarzyństwo skazane na wygnanie; albowiem pielęgnowanie nauk stanowi dumę rodu *Medyceuszów*“.

Oboja nadzieja i oboje zapewnienie nie ziściło się w całości. Bo niebawem oto spróbował papież odegrać samoistną rolę polityczną; stworzenie podniosło głowę przeciw twórcy. Ale jedyny ten wysiłek samoistnej działalności Klemensa pociągnął najgorsze za sobą następstwa dla niego, dla losów Rzymu i kultury włoskiej. Cesarz skorzystał z przewagi, jaką zdobył we Włoszech zwycięstwem pod Pawią i ukarał krnąbrnego papieża. Odpowiedzią na jego zachcianki władzy niezależnej było zdobycie i spustoszenie Rzymu (*Sacco di Roma*, 1527). Podczas gdy papież, uciekłszy ze stolicy, przebywał w Orvieto, roztrząsano nawet czas niejaki kwestyę, czy ma nadal istnieć świecka władza papieżstwa. Klemens VII powrócił wprawdzie do Rzymu, ale musiał ponownie uleść cesarzowi a na krótko przed skonem (umarł 25 września 1534 r.) wyznał w liście, że dostojeństwo apostołskie zawdzięcza jedynie cesarzowi.

I dla nauki także nie rozpoczęła się zgoła nowa epoka blasku. Jużć miał Klemens w swém otoczeniu pewną liczbę uczonych, nie usunął ich nawet w chwilach niepowodzenia, co więcj, obłączony w zamku Ś. Anioła, polecił każdemu z nich oddzielnie skreślić projekt prośby do cesarza. Ale już to własna niemoc, już okoliczności wrogie nie pozwoliły mu odegrać tak wspaniałej roli mecenasa, jaką spełniali niegdyś niektórzy członkowie jego rodziny. W roku bowiem 1527 rozproszyli się artyści i uczeni rzymscy i nigdy już potem nie skupili się takim tłumem ani w Rzymie, ani w żadném inném

miejscu. Wobec interwencji siły dzikiej — kończy się rozkwit Odrodzenia.

Zanim wszelako przyjdzie mówić o zupełnem zniweczeniu bogatej epoki cywilizacyjnej, wypada nam jeszcze wprzód zapoznać się z trzema mężami, którzy uzupełniają całość obrazu onego czasu a obok tego zostają w blizkim stosunku do Klemensa VII. Mężami tymi są: *Macchiavelli*, *Aretino* i *Cellini*.

Mikołaj Macchiavelli ur. 1469, um. 1527 r. Aczkolwiek główna działalność *Macchiavelli*'ego przypada na lata wcześniejsze, wolimy jednak choć krótką pomieścić o nim wzmiankę w miejscu niestosownem, aniżeli pominąć całkowicie jednego z najwybitniejszych przedstawicieli renesansu. Mówimy tu o słynnym mężu ze względu na stosunki z Klemensem VII. Po bitwie pod Pawią doradza *Macchiavelli* papieżowi utworzyć milicję narodową, wspierać „Czarne bandy“ *Jana de Medici* i przyspieszyć nowe obwarowania Florencyi. Środki te, mające według planów projektodawcy służyć do odparcia napadów cudzoziemskich, nie znalazły należytego u Klemensa posłuchu. Natomiast okazuje papież, co zresztą już czynił, będąc kardynałem, gotowość wszelką do wspomagania pisarza; wyznacza mu tedy 100 dukatów rocznego zasiłku, aby powoli ciągnął dalej swą pracę nad historją Florencyi, którą rozpoczął w części za czynnem orędownictwem kardynała, a skończywszy dedykował ją słusnie papieżowi.

Dzieło to (*Le istorie fiorentine*) stanowi nową epokę w dziejopisarstwie. W przeciwstawieniu do kroniki, nie mającej uroszczeń artystycznych i literackich, opowiadającej fakta w sposób prosty, oraz w przeciwstawieniu do opowieści historycznej humanistów, wytwornej, ale zacierającej koloryt czasu i miejsca, kreśli *Macchiavelli* natomiast wymowny obraz wieku, poszukując przyczyn wydarzeń, badając charaktery działaczy, przedstawiając rozwój partyj politycznych. Dzieje florenckie miały się rozpocząć od powrotu *Kuźmy de Medici* z wygnania (1434 r.) i snuć przędzę opowieści aż do czasów, które przeżył sam historyk; w rzeczywistości zaś opisuje wypadki florenckie i zagraniczne do roku 1492. We wstępie, — mówi jeden z najznakomitszych historyografów nowoczesnych — „podzielił dzieje Włoch do wieku XV w ten sposób, iż każdy musi odtąd trzymać się torów *Macchiavelli*'ego, inaczej bowiem zdradzi odrazu brak zrozumienia rzeczy“; w części drugiej (księgi 2 — 4) daje wizerunek rozwoju konstytucyi florenckiej, a w trzeciej (księgi 5 — 8) kreśli historję wojen zagranicznych. Przyczyna takiego rozróżnienia dwu ostatnich części wynika stąd, że autor, ograniczając się stale na wewnętrznych dziejach ojczystego miasta, musiałby ustawicznie mówić o *Medyceuszach*, a przede wszystkim naturalnie o naczelnikach rodu; przy podobnem zaś traktowaniu nasuwały się z konieczności rozmaite skrupuły, po-

nieważ dzieło było poświęcone jednemu z téj familii, a Macchiavelli nie należał bynajmniej do bezwarunkowych jéj popleczników. Wartość dzieła naszego historyka nie zależy od zużytkowania dyplomatów i dokumentów nieznanych, wogóle nie zawisła od bogactwa materiału. Przeciwnie. *Villari* właśnie wykazał świeżo, iż autor każdą niemal księgę, nawet opowiadanie wydarzeń co do czasu mu blizkich, opierał na jednem tylko źródle, przenosząc zeń rzeczy nieraz dosłownie, źródłami temi byli przeważnie: *Jan Villani*, *Flawiusz Biondo* i *Jan Cavalcanti*. Dokładność i przejrzysty rozkład treści nie stanowią również zalet *Dziejów Florenckich*. Przeciwnie. Panuje tu niedokładność w szczegółach a zamieszanie w rozkładzie pojedynczych działów. Główna wartość książki polega na stylu wygładzonym, który nie naśladuje żadnego wzoru, lecz wypływa z własnej indywidualności pisarza, wytryska z przyrodzonej mu krasomówczości; polega dalej na tém, że historyk z wielką sztuką podchwytuje powolne stawianie się wypadków, że artystycznie przedstawia ich związek z sobą oraz przyczyny rozwoju; polega wreszcie na właściwym sposobie myślenia. Zasadniczą zaś cechą przekonań Macchiavelli'ego jest entuzjazm dla wolności politycznej i kościelnej. Wolność polityczna nie dopuściła wysławiania Medici'ch nawet w dziele, przypisaném jednemu z Medyceuszów. Wolność kościelna, mimo że papież wspierał autora *Dziejów Florenckich*, ujawnia się dobitnie w opisie walk między cesarzami i papieżami oraz w gwałtownych wykrzykach przeciw ześwieczczonym, egoistycznym planom niektórych papieży i całego wogóle papieństwa. Niezmiernie téż ważnym znamieniem jest wskroś polityczna tendencya książki. Macchiavelli przy świetle dziejów dowodzi, że zbawczém lekarstwem na zło w Italii zakorzenione jest milicya narodowa pod wodzą dzielnego hetmana; ona bowiem tylko zdolna bronić ojczyzny, osłabić potęgę papieżów i zapewnić moc prawom, któremi wolność zabezpieczona być musi.

Dzieje Florenckie są do pewnego stopnia dalszym ciągiem i uzupełnieniem dawniejszych pism politycznych Macchiavelli'ego, a mianowicie: *Principe* (Książę) i *Discorsi* (Rozprawy). Oba dzieła przypadają na rok 1513; Książę został w tym roku wykończony a Mowy i Rozprawy (Rozprawy zadziernięte o Historję *Liviusza*) w onym roku przeważnie opracowane; powracał autor do nich nieraz jeszcze i potem, ale ostatecznie zostawił tylko ułamki. Jedno i drugie zawiera teorye polityczne z wybitnym znaczeniem praktycznym. Pisał je Macchiavelli, mając ciągle wzrok skierowany na każdoczesowe położenie Włoch, ale nie roszcząc pretensyi do rozwiązywania ogólnych zagadnień politycznych.

W trzech księgach *Discorsi* traktuje o zakładaniu i wewnętrznym ustroju państw, t. j. ściśle biorąc rzeczypospolitych, o środkach ich

powiększania, o ich wzroście i upadku, o stopniowych ich zmianach i przekształceniach politycznych. Rozróżnia trzy sposoby zakładania: sposób etruski — prawdziwe jednoczenie gmin odosobnionych; sposób rzymski — wynoszenie podbitych do godności sprzymierzeńców z tém wszakże ograniczeniem, że państwo zdobywcze zatrzymuje w swych rękach władzę najwyższą; sposób ateński — poniżenie zwyciężonych do roli poddanych. Do założenia państwa potrzeba jednostki, któraby z mądrością i wielkością duszy łączyła siłę i władzę nieograniczoną i któraby określiła naturę, istotę przyszłego państwa. Oprócz pojedynczych orzeczeń, dotyczących urzędzenia państwa, zawierają się wyczerpujące przepisy o sztuce wojskowej. Daleko jednak większą doniosłość od przepisów poszczególnych mają zasady ogólne. Wypływają one jużto z republikańskiego sposobu myślenia autora, jużto z jego przekonań humanistycznych. Humanizm sprawia, że Macchiavelli jest naśladowcą starożytnych, ale nie jest bynajmniej, lubo tak mówiono, plagiatorem *Arystotelesa*. Humanizm sprawia, że jest poganinem, t. j. że zaprzecza autorytetu kościelnego i że wątpi o prawdziwości chrześcijaństwa. Co do jednego punktu zdaje się przeciwieństwo zostawać w zgodzie z nauką chrześcijańską; wierzy bowiem w skażenie świata, ale różni się odeń w pojmowaniu moralności i cnoty. Moralność podług niego nie jest powszechną, stałąm prawem obyczajowem, a témbardziej nie jest prawem ustanowionem przepisami religii, lecz jest prawem zmiennem, zależnem od miejsca i czasu. Moralność nie jest téż dlań wcale zasadniczym przykazaniem polityki; zamiast środków świętych występuje raczej powódzenie; cel uprawnia nawet drogi krzywe, chytrność, podstęp i przemoc. Macchiavelli więc nie zna cnoty, t. j. ustawicznego ćwiczenia się w dobrem dla samego dobra; cnota (*virtù*) znaczy u niego: odwagę i energię zarówno w dobrem jak złem, istnieją przeto zbrodnie piękne i sławne. Dwa natomiast pragnienia są dla niego stałe i niezienne: jednem jest osiągnięcie jedności Włoch, drugim zaprowadzenie wolności i równości. Oba przeciwstawia pod pewnym względem przepisom kościoła, ponieważ te sankcjonują różnicę między wolnymi a niewolnikami i nakazują bezwarunkową uległość zwierzchności nawet wtedy, gdy rządzi bezprawnie.

Zupełnie podobny wątek myśli, jak w *Discorsi* snuje się i w *Principe*. I ta książka nie jest rozprawą teoretyczną, lecz pismem okolicznościowem, powołanem do życia chwilowymi stosunkami Włoch; spowodował je mianowicie zamiar utworzenia w Parmie lub Modenie osobnego państwa dla Juliana Medyceusza. Mimo podobieństwa różni się *Principe* w niejednym od *Discorsi*. Rozprawy czerpią przykłady ze starożytności, z historii Greków i Rzymian, Książę zaś — z czasów nowszych, przeważnie z dziejów Francji i Włoch; Rozpra-

wy traktują o rzeczach pospolitych, Książę zaś, wierny swemu tytułowi, zajmuje się państwem monarchicznem. W Księciu mówi autor o nowym monarsze w nowem państwie; zastanawia się więc nad postacią idealną, jak to bywa w traktatach o monarchii u humanistów wieku XV, lecz ma na okaz osobistość, jaka była niezbędną ze względu na zbutwiałe stosunki polityczne, kościelne i obyczajowe Włoch ówczesnych. Osobistości takiej nie potrzebowała stwarzać dopiero fantazyja polityka. Osobistość taka istniała w rzeczywistości. Był nią gwałtowny, nie cofający się przed żadną zbrodnią, o ile okazywała się konieczną dla pożytku osobistego i dla dobra państwa, *Cezar Borgia*. Człowiek ten, zakładając w Romanii szybko powstające, ale również szybko znikające państwa, stworzył wzór państwa nowoczesnego. *Cezar Borgia* jest okrutny i chytry, wilk i lis w jednej skórze; cnoty nie ma żadnej, lecz udaje, jakoby niektóre cnoty posiadał; opiera się na ludzie, za pomocą którego władzę zdobył i spodziewa się ją utrzymać; nowym prądom umysłowym i artystycznym sprzyja, ale ich nie zgłębia i żadnej zgoła nie żywi ochoty składać im jakichbądź ofiar; wróg kościoła żarliwy i zawsze do boju gotów nieprzyjaciel cudzoziemców, gorąco pożąda jedności Włoch i wszelkiemi siłami pragnie dla niej pracować. — Oto typ monarchów z epoki renesansu.

Rozbioru innych pism *Macchavelli'ego* historycznych, biograficznych i t. d., jakkolwiek niektóre z nich są bardzo ważne, musimy tu zaniechać. Wypada wszelako zaznaczyć, że jego sprawozdania puelskie mają duże znaczenie ze względu na rozwój ówczesnych stosunków politycznych oraz ze względu na ugruntowanie sztuki dyplomacyi, że jego prace teoretyczne z zakresu wojskowości nie są bynajmniej marzeniami profana, lecz badaniami podstawowemi jego systemu politycznego. Pomijamy również milczeniem jego stanowisko wobec dążeń renesansu; nie wdajemy się także w rozstrzygnięcie kwestyi niejednokrotnie poruszanej co do jego znawstwa języków starożytnych. Zastanowimy się natomiast chwilkę nad jedną komedią, bądź-co-bądź z poetycznych jego utworów najgodniejszą uwagi.

Komedia *Macchiavellego: La Mandragora* (nazwa rośliny pokrzyku) nie posiada wcale wyższych zalet poetyckich, ale ma znaczenie ze względu na poruszone w niej stosunki onego czasu. Poeta pisał ją na wygnaniu próżen zajęć politycznych, „aby uprzyjemnić chwile smutne“, aby sprawić rozrywkę sobie i przyjaciółom. Akcja jest nader prosta. Małżonkowie *Lukrecya* i *Nicyasz Calfucci*, człek dumny i zrządny, pragną dzieci; obiecuje spełnić ich życzenie zakochany w żonie *Callimaco*, którego wprowadził pewien pasibrzuch do domu w charakterze lekarza. Zaleca on roślinę mandragorę jako środek niezawodny; kobieta, zażywszy tego lekarstwa, będzie zdolną do poczęcia; ale pierwszy mężczyzna, co się do niej zbliży, musi umrzeć, drugi dopiero zbierać będzie owoce. Pełen ufności a lękający się

śmierci *Nicyasz* ustępuje pierwszeństwa mniemanemu lekarzowi; wszelako żona cnotliwa zaspakaja jego namiętność dopiero w skutek natarczywego wstawiennictwa własnej matki i spowiednika. Uwiedziona taką perswazją przyjmuje pomoc kochanka i powoli zostaje miłośnicą. Aczkolwiek dawno już poczuła działanie owęj rośliny, nie przestaje jednak kosztować rozkoszy w poufałym obcowaniu z gachem, a winę swego postępowania składa nie na własną płochość, lecz na zachęty innych. „Boć to twoja przewrotność“, — mówi ona do pasibrzucha — „głupota mego męża, nierozsądek matki i smutek spowiednika doprowadziły mię do tego, czego bym sama z siebie nigdy nie uczyniła. Jestem więc przekonana, że pochodzi to z natchnienia Nieba, które tak chciało, i nie czuję już siły odepchnąć tego, którego mi Niebo przyjąć nakazało“.

Dalej pójść nie można! W „Kalandrze“ *Bibbieny* (ob. str. 274) nienie mężczyźni i kobiety posuwają igraszkę tak daleko, aż przewrotność bierze górę nad dobrym obyczajem; tutaj zaś wystawia się na sztych przez własną głupotę nie człowiek zły, ale śmieszny; cnota czystej kobiety upada, a tryumfy święcą zmysłowość i niegodziwość. Komedya *Bibbieny* przewyższa *Macchiavelli*'ego nie tylko pod względem moralnym, lecz i artystycznym. W Kalandrze mówi każda osoba stosownie do swego charakteru, prostak nie wygłasza bynajmniej maksym mądrości; w „Mandragorze“ natomiast gamoń *Nicyasz* rozprawia wyśmienicie o religii i polityce, o ludności florenckiej i o zgubnym wpływie księży na obyczaje. Kalandra zawiera więcej aluzyj i dowcipów swawolnych, ale Mandragora pojawiła się w lat kilka jeno po Kalandrze, posiada mimo to przecież więcej rysów literatury późniejszej, której arcykaplanem jest *Piotr Aretino*.

Piotr Aretino (1492—1552) pozyskał w literaturze imię rozgłosne nie tyle komedjami, wystawiającemi z nagim realizmem kobiety pospolite i ich gachów, ile raczej nowellami i dyałogami, a przede wszystkim listami.

„Za stanowiskami nie goniąc, dworom nie sługując, ba! nogi nawet nie ruszając z miejsca, uczyniłem służebnikami cnoty panów, książąt i królów; zdobyłem sobie przeto sławę w całym świecie; Indye i Persya znają portret mój i szanują me imię“, Temi słowy charakteryzuje sam *Aretino* swe znaczenie. Mówiąc o służebnictwie możnych tego świata, przesadza nie bardzo; co więcej, mógłby dołączyć jeszcze znakomitości umysłowe: artystów, poetów i uczonych. Ale popełnia zamianę, i to nader niezgrabną a umyślną, kiedy mówi o cnotcie, ponieważ ma na myśli siebie samego tylko i swe upodobania. Zrobić innych zależnymi od siebie — to było zadaniem jego życia; ugiąć przed sobą najpotężniejszych — to było tajemnicą jego pióra. Czém że wytłómaczyć stanowisko takie dla nas niepojęte

a i na ową epokę nawet wielce niezwyčajne? Wyjaśnić je można stylem genialnym wielostronnego pisarza; jego talentem nieporównanym, z jakim przenikał ludzi i wykrywał ich słabostki, jego pracą niezmordowaną, z jaką cisnął się do potentatów i mimo kilku prób chybionych wytrwale ich nie odstępował. Ażeby stanowisko to zrozumieć, trzeba prócz tego mieć na uwadze żądę sławy u współczesników, pragnących upajać się słodką wonią bezgranicznych pochwał i wybierających na panegirystę najchętniej tego, który cały świat znał a opanowany namiętnością robienia prozelitów, starał się nawrócić na swą wiarę każdego, z kim w jakiegokolwiek zostawał stosunkach; trzeba pamiętać wreszcie i o tём, że ci współcześni bojaźń nagany i szyderstwa posuwali aż do śmieszności, że ludzie nawet nieskazitelni, obawą tą przejęci, wielkimi ofiarami okupywali milczenie największego w Europie szkalownika. W skutek takich okoliczności stał się *Aretino* rzeczywiście „biczem monarchów“, lecz bynajmniej nie w tym sensie, jaki nadawał sam onemn wyrażeniu. *Aretino* bowiem poczytywał siebie za narzędzie Boga do karania przekroczeń a nagradzania czynów zacnych. Wistocie zaś on, rozkosznic i zbrodniarz, narzucał się książętom sam, jako różga karząca, aby ich dręczyć według swego upodobania. Człowiek bez zasad politycznych — przybięra pozory, jakoby kierował losami krajów i narodów; człowiek bez moralności — ośmiela się odgrywać rolę sędziego obyczajów wobec ludzi szlacheckich; człowiek miernych zdolności poetyckich — rozstrzyga o wielkości poetów i sławie pisarzy; człowiek, pozbawiony wszelkiego rysu idealnego, bez którego artysta nie stworzyć nie zdoła, — rości sobie prawo do wyznaczania każdemu artyście miejsca mu przynależnego. Za pieniądze wszystko gotów sprzedać. On, co lubił nazywać siebie „boskim“, łasił się niby pies, aby otrzymać nagrodę; potęgował pochwały i tak już bezbrzeżne, kiedy zapłata oczekiwaniom jego czyniła zadość, ale bezwstydnie zmieniał panegiryk na obelgę gminną, kiedy danina nadzieje zawiodła. Iluż to podobnie sponiewieranych, nie mogąc znieść gniewu *Aretynczyka*, poniżało się w sposób najbardziej upokarzający, byle odzyskać łaskę tego, który decydował o dobrej sławie wielkiego mnóstwa bliźnich! Niektórzy przecież posiadali tyle odwagi, że wybuchom wściekłości drażliwego pisarza stawiali czoło, albo byli tak z grosza przezeń ogołoceni, że nie mogli dalej zaspokajać nienasyconej jego chciwości. Tacy odpłacali pięknem za nadobne. To też *Aretino*, popisując się z lubością podarkami i złotymi guldenami swych czcicieli, mógł równocześnie wystawić na oczy wcale ładny zbiór sińców, blizn od pchnięć sztyletowych i satyr, jakimi go obdarowywali wrogowie. Ba! toć w Wenecyi, gdzie przepędził ostatnie trzydzieści lat życia, pokazywał się na ulicach tylko nocą i zewszę uzbrojony.

Najcenniejszym pomnikiem tego stanowiska nadzwyczajnego jest zbiór listów pisanych do *Aretina* i wydanych, z lekkimi jeno zmianami rzeczywistych oryginałów, przez niego samego za życia jeszcze większości tych, co je pisali. Ileż tu nagromadzono pochlebstw dla pyszałkowatego pamphleciisty! Zaiste trudnoby temu uwierzyć! A jednak wszystko jest prawdą! Przytaczamy dwa tylko miejsca, wybrane na chybił trafił, aby dać próbkę przekonania, jakie wielu korespondentów wypowiedało, choć ich w duszy zapewne nie żywili. Oto, co pisze jeden: „Powiadam, że jesteś synem Boga; ale, iżby mi mnichy psalmy marmocące nie przyganiały, dodaję ograniczenie, że Bóg jest najwyższą prawdą na niebie a ty na ziemi. Jedna tylko Wenecya jest godnem Ciebie miejscem pobytu, albowiem Ty jesteś ozdobą ziemi, skarbem morza, sławą nieba. Ty jesteś czarą złotą o kamieniach szlachetnych, którą należałoby złożyć na ołtarzu przenajświętszym kościoła ś. Marka w dzień Wniebowstąpienia Pańskiego“. Lecz nie tylko ludzie świeccy takie głosili zdania; w podobny sposób wyraża się i zakonnik pewien. Prawi on: „Jesteś podporą, jesteś światłem, jesteś pochodnią, jesteś blaskiem kościoła świętego! Gdyby kościół mógł mówić, zapewniłby ci najwspanialsze dochody w tych słowach; dawajcie *Piotrowi*, który mię oświeca, wywyższa i czci, którzy jednoczy w sobie bystrość Augustyna z moralnością Grzegorza, głębookością myśli Hieronima i pięknym stylem Ambrożego. Mówię ja to nie sam tylko, ale wyznaje to świat cały, że jesteś nowym Pawłem, co imię Boga między króle roznosił; nowym Janem Chrzcicielem, co śmiało, chcąc świat poprawić, wytykał mu jego złości, nieprawości i obłudę; nowym Janem Ewangelistą, co dobrych wychwalał, podnosił i oczyszczał“.

Do młodszego towarzystwa na dworze *Klemensa VII* należy także *Benvenuto Cellini* (1500—1571). I on nie jest bynajmniej człowiekiem idealnym. Potężna, niekiedy dzika zmysłowość, gwałtowność pragnąca rozerwać stosunki ustalone, żądza rozkoszy nieraz aż wstrętne, samopoczucie zanadto wybitne, pociąg do przesady, prowadzący go często na tory nieprawdy — oto znamiona charakteryzujące *Cellini'ego*. Ale pomimo takich właściwości jestto człowiek, w którym nurtuje pełnia życia duchowego, jestto człowiek zdolny polotów wyższych. *Goethe*, który przełożył na język niemiecki autobiografię *Cellini'ego*, tak go charakteryzuje: „Przed oczyma bohatera naszego unosi się ciągle obraz doskonałości boskiej, jako coś do osiągnięcia niemożliwego. Jeżeli od innych żądał czci zewnętrznej, to od samego siebie domagał się szacunku wewnętrznego—i to tém silniej, że przez spowiedź nauczył się pobłażliwie sądzić ułomności i występki ludzkie. Nader godną uwagi jest baczność jego, kiedy opisując swe życie usiłuje zupełnie się usprawiedliwić i czyny swoje mierzy skalą obyczaj-

jów, sumienia, praw społecznych i religii. Nauka wiary jego kościoła nie mniej jak epoka pełna życia i oczekiwań czegoś ważnego wytwarza w nim popęd ku cudowności. W ciemnicy zrazu się uspakaja, ponieważ czuje się związany słowem honoru, następnie wyzwala się w sposób najkunsztowniejszy i najśmielszy zarazem; w końcu, kiedy się widzi w więzieniu bez ratunku, zwraca całą działalność ku wnętrzu swój natury. Wrażliwość, namiętność, wspomnienia, wyobraźnia, zmysł artystyczny, obyczajność, religijność pracują dniem i nocą w poruszeniach niecierpliwych, chwiejących się między rozpaczą i nadzieją, i wpośród cierpień fizycznych wydobywają na jaw z głębi duszy zjawiska najdziwaczniejsze. Tu przytrafiają się wizye, zdarzają się widzenia duchowo zmysłowe, jakie w skupieniu ducha mógłby słać święty jeno lub wybraniec onych czasów“.

Tym sposobem myślenia świętobliwym, pobożnym, religijnym, ale od przesądów nie wolnym, stanowi Cellini najostrzejszy kontrast z lekkomyślnym szydereą Aretinem, który miał ułożyć dla siebie napis nagrobny tej treści, że o każdym mówił źle, wyjąwszy Boga, ale milczenie to tłómaczy uwagą, że Boga nie zna. Ale i pod innymi względami mocno się oba różnią od siebie. Aretino pracuje bez natężenia i wytrwałości, pracuje dla chwili, jak chwilą żyje; Cellini zaś jest pracownikiem sumiennym, próbuje sił na rozmaitych polach i na niektórych dochodzi do mistrzostwa już to dzięki zdolnościom gienialnym, już to pilności nadzwyczajnej oraz usilności nie cofającej się przed rzeczami najtrudniejszymi, ani pogardzającą najdrobniejszymi. Aretino odznacza się zuchwalstwem, ale nie odwagą, napada z za płotu, dąsa się i chełpi z bezpiecznej kryjówki, mógłby, jak mówi najnowszy jego biograf, powtórzyć zapewnienie bohatera Rabelais'owskiego: „nie boję się niczego w świecie — okrom niebezpieczeństwa“; Cellini zaś wśród niebezpieczeństw właśnie czuje się sobą, wyszukuje sytuacji najgroźniejszych i zachowuje się w nich po męsku, lubo znowu nie tak bohatersko, jakby sądzili może niektórzy jego czytelnicy, w każdym razie wykazał odwagę i energię podczas oblężenia Rzymu, choćby nawet i nie zabił księcia de Bourbon wystrzałem karabinowym a księcia Oranii armatnim.

Wskutek zburzenia Rzymu, jakie było nieodzowném, ale wysoce smutném następstwem owego oblężenia, musiał opuścić Rzym nie jeden tylko Cellini. Owszem, rozproszyło się na cztery wiatry całe wesołe grono artystów i uczonych, którzy skupiali się wokół *Leona X*, przeżyli *Hadryana*, a pod *Klemensem VII* dawniejszą odzyskali swobodę. „W dniu 6 maja“ — tak pisał w swych notatkach *Scherstin*, jeden z dowódców kup plądrujących — „zdobyliśmy Rzym szturmem, położyliśmy trupem przeszło 6000 ludzi, zabraliśmy wszystko, cośmy znaleźli w kościołach i nad ziemią, a znaczną część

miasta obróciliśmy w perzynę”. Dzikie zóldactwo dopuszczało się okropności najstraszniejszych, nie oszczędzało ni wieku, ni stanu, ni płci. Przedewszystkiem jednak na pośmiewisko i największą poniewierkę ze strony tłumów pospólstwa wystawieni byli duchowni, do których szeregu należało właśnie mnóstwo literatów. Wielu z pomiędzy tych, którzy przez długie lata byli dumą i sławą wiecznego miasta, postradało mienie, wszyscy prawie doznali utrapień i udręczeń, nie mało straciło i życie. Kto ocalał z pośród straszliwej zawieruchy, ten uciekał z widowni czynów zgrozą przejmujących.

Pamięć o scenach mordów przyblakła wprawdzie, ale duch, takim barbarzyństwem unicestwiony, nie wskrzesił już do życia nowego. Ciężkie zawikłania polityczne i panowanie cudzoziemców we Włoszech zatamowały pogodny rozwój kultury; niebawem przyłącza się do tego reakcyja kościelna, dławiąca każde technienie wolności, bez którego ożywecy rozkwit literatury jest niemożliwy. Wrogowie zewnętrzni zniszczyli i zamienili w gruzy wspaniałe gmachy Rzymu; ofiara wrogów wewnętrznych, mniej widocznych, lecz zgubniej działających, padł nowy duch Rzymu ze starego zrodzony.

Ze zburzeniem Rzymu kończy się epoka kwitnięcia renesansu. Upadek Odrodzenia, klęskę powszechną, odczuto daleko boleśniej aniżeli nieszczęście jednego miasta. To oplakiwali głównie obywatele Rzymu, tamto zaś obywatele świata całego. Łatwo więc pojąć *Erazma*, który z głębi duszy wyrzuca skargę (ten wyjątek i następny wedle tłómaczenia *Gregoroviusa*): „Cios przerażający uderzył wszystkie narody, ponieważ Rzym był nie tylko twierdzą religii chrześcijańskiej, żywicielem umysłów wzniosłych i najspokojniejszym Muz przytułkiem, ale był także macierzą narodów wszystkich. Kogoż bowiem, choćby przybył z krańców świata, uważał on za obcego? Ba! iluż to ludziom był Rzym... droższy, słodszy i w błogosławieństwa hojniejszy niż ojczyzna własna? Gdzież istniał umysł tak nieokrzesany, które-goby Rzym, przygarnawszy do swego łona, nie zwrócił łagodniejszym i dojrzałym? Któż, przepędziwszy czas dłuższy w tém mieście, ochoczo się z nim rozstawał? Któż nie korzystał radośnie z nadarzającej się okazji, aby doń powrócić? Kogóż nie wabiła sama okazyja, jeżeli mu się przypadkiem nie nastęrczała? Za prawdę był to upadek nie miasta, lecz świata“.

Dla Rzymian ówczesnych inną jeszcze udręką było przeświadczenie smutne, że nawet bez owego wypadku straszne zbliżało się do końca marzenie o ich wszechświatowém panowaniu duchowém. O ile wielką napawa się radością ojciec, który, posiadając jeszcze pełnią sił, wesoło spogląda na podrastającego spadkobiercę a przy wzmaga-jącej się bezsilności przekazuje dziedzictwo młodszemu następcy, o tyle rozpaczliwém jest uczucie rodzica bezdzietnego, który niby

żywcem zamiera i, gdy mu się zdaje, że mógłby jeszcze rozporządzać całym sił zapasem, widzi natomiast nieuprawnionego, jak dziedzinę jego na swą zabiera własność. Podobnego rodzaju uczucie wynurza właśnie *Paweł Giovio (Jovius, ob. str. 279)*, w zamknięciu swych *elogiów*, dzieła, będącego niejako ostatecznym streszczeniem świetnych czynów literackich onego czasu. Wynurzenie tego uczucia niechaj też będzie zamknięciem badań naszych nad odrodzeniem Włoch. Mówi tedy *Jovius*: „Zdaje się, jakoby skutkiem zmiany gwiazd stał się fakt, iż lodowate północne niebo Niemiec złagodziło się i rozbudziło umysły niegdyś surowe i uśpione. Nie zadawałnają się już dawną sławą wojenną, ostrą dyscypliną i siłą nieprzepartą, za sprawą których wydarli Rzymianom zaszczyty Marsa, ale zabrali nadto spopielałej Grecyi i zgnuszałej Italii ozdoby pokoju, nauki i sztuki. Albowiem z pamięci jeszcze ojców naszych zaczęto do Włoch sprowadzać z Niemiec najprzód budowniczych, potem malarzów, rzeźbiarzy, matematyków, biegłych rzemieślników, studniarzy i geometrów. Nic więc dziwnego, że obdarzyli nas cudownym wynalazkiem druku i straszliwą armatą spiżową. W każdym jednak razie ów wiek wrogi nie był ani dla nich matką tak pieczołowitą, ani dla nas macochą tak nieczułą, iżby nam nic z dawnego dziedzictwa nie pozostało. A jeżeli po doszczętnej niemal zagładzie wolności możemy żyć jeszcze okruciami sławy, to dierzmy przynajmniej Kapitol wiekuistego krasomówstwa, Kapitol, na którym, gdy się Muzom podoba, bronimy przeciw obcym czystego, szczerze rzymskiego szlachectwa ducha. Na tém stanowisku każdy obywatel winien czuwać pilnie, abyśmy pod sztandarem *Bemba* i *Sadoleta* po bohatersku utrzymali w swych rękach wielką spuściznę ojców naszych. Lecz niestety! marna to w naszej nędzy pociecha. Boć nie bez winy naszej zaginęła zmiażdżona wolność nasza a tylko wolność jest żywicielką studyów, które rozniecają i krzewią wszystko, co szlachetne i piękne”!

I w samej rzeczy była to pociecha iście marna, zwłaszcza że opierała się na przypuszczeniach mylnych. Znikła bowiem nawet ozdoba krasomówstwa rzymskiego; pod każdym niemal względem spadkobiercą Włoch stały się „Niemcy barbarzyńskie”.

KSIEGA DRUGA.

NIEMCY.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Wstęp. Zwiastunowie.

Roku 1482 zjawił się w Rzymie w audytorium *Jana Argyropoulosa*, Greka wielce zasłużonego w sprawie odrodzenia kultury helleńskiej we Włoszech, młody Niemiec *Jan Reuchlin*. Został on tam świetne zgromadzenie panów, wiedzy żądnych. W gładkich słowach wyraził życzenie, iż pragnie u mistrza się uczyć. Zapytany oświadczył, że zna nieco język grecki, i bez zwłoki począł czytać i tłumaczyć wskazany przez nauczyciela ustęp Tacydydesa. Kiedy z zadania swego wywiązał się znakomicie i zamiast wstydu, jaki mu z góry prorokowano, zgotował sobie tryumf, wykrzyknął mistrz żalośnie: „O niestety! Nasze wygnanie sprawiło, że Grecya poszybowała za Alpy”!

Kilkudziesięciu latami wcześniej inaczejby brzmiał sąd o Niemczech i Niemcach. Pod owe czasy najpierwszym apostołem humanizmu w Niemczech był *Eneaszy Silvio*. Znużony i rozgoryczony długoletnią a bezowocną propagandą, ostro potępił książąt za ich lekceważenie poezyi. Wyrzekł oto: „jeżeli wolą konie i psy aniżeli poetów, zamrą również bez sławy jako psy i konie”. W szlachecie widział tylko dzikość i opilstwo; wplatał też obficie do swych listów powiastki o pijaństwie Niemców. O mizernych spekulacyach ludzi uczonych i o ich naukowych t. j. czysto teologicznych badaniach odzywał się jeno z uśmiechem, trącącym pogardą.

Zdania tego rodzaju nie są bynajmniej wynurzeniami przypadkowemi; nie wywołało ich ani zdumienie jakiegoś niespodziewane, ani

bezkrzytyczna niezyczliwość, zaostrzona jeszcze poniewoln^{ym} oddaleniem z ojczyzny. Są to raczej spostrzeżenia niemyln^e a ich rezultatem nastrój, jaki o władnął Włochem, badającym stosunki niemieckie; nastrój ten, w sam^{ej} rzeczy sprawiedliwy, odpowiadał w zupełności umysłowemu stanowi Niemiec.

Ale w przeciagu lat czterdziestu dokonano się w Niemczech przeobrażenie ogromne. Jest ono owocem ścisłych związków z Włochami. Do Włoch bowiem ciągnęli z zapalem chciwi nauki młodzieńcy niemieccy, wierząc, że wykształcenie zdobędą wtedy dopiero, kiedy z bogatymi do ojczyzny wrócą skarbami. Mimo tę pokrewność a nawet zależność od kultury włoskiej, jakże wielka różnica między renesansem włoskim a niemieckim humanizmem! We Włoszech był to potężny prąd ducha, który przez dwa niemal wieki bezustannie płynąc i najoporniejsze nawet żywioły unosząc z sobą, znalazł ostatecznie zaporę w siłach fizycznych; w Niemczech zaś widzimy ruch, który, trwając za ledwie połowę stulecia, powstrzymany w pochodzie zwycięskim przez wrogów nie mniej groźnych, został wreszcie skierowany na tory inne poruszeniem bardziej stanowcz^{ym}, porywając^{ym} naród cały. We Włoszech położyły renesansowi koniec najazd cudzoziemców i reakcyja kościelna, w Niemczech zaś miejsce humanizmu zajmuje reformacya.

Całym narodem niemieckim wstrząsnął do głębi dopiero przewrót kościelny; interesa wyłącznie i czysto naukowe były mu całkiem obce. W Niemczech bowiem chociaż ruch nowy nie był zresztą li tylko naukowym, miał jednakże na celu zmianę wykształcenia naukowego, we Włoszech natomiast pociągnął za sobą reformę całkowitego poglądu na życie i samegoż życia. We Włoszech ten sam prąd ogarniał wszystkich, duchownych i świeckich, wielkich i małuczkich — a na czele stali papieże, popierając studia i darząc łaskami ich krzewicieli; w Niemczech zaś obóz humanistów rozpadł się na partye: postępową i wsteczną a to głównie ze względu na kwestye, w których nieprzyjaźnie się spotykały wiedza i wiara. Obok tego naturalnymi wrogami nowych studyów byli duchowni, których piętnowano więcej może, aniżeli na to zasługiwali. Mimo to przecież nie był humanizm w Niemczech ani anty-religijnym, ani swawolnym, podczas gdy we Włoszech oba posiadał odcienie. Jednakże większe pogłębienie, przenikanie do usposobień ludu, objawiające się w religijn^{ym} zabarwieniu humanizmu niemieckiego, nie powołało bynajmniej do życia literatury narodowej. We Włoszech najznakomitsi humaniści, od *Danteo* począwszy aż do końca epoki Odrodzenia, jedni dobrowolnie, drudzy nawspół z musu, posługują się obok łacińskiego i językiem włoskim, tak iż obie literatury mają równocześnie swój okres świetnego rozkwitu; w Niemczech tymczasem, wobec świeżego rozbu-

dzenia się literatury ludowej, ovlada wielu humanistami uczucie niechęci ku temu nowemu ruchowi, nie wolne od zawiści nawet. Inni natomiast, nieprzeto iżby lepszymi byli od tamtych patryotami, boć i tamtym nie brakło zgoła poczucia narodowego, lecz, że, patrząc przenikliwiej, uznawali niedostateczność jedynie tylko kultury uczonej, starali się więc wyrobić językowi niemieckiemu równouprawnienie z łacińskim. Ale wszyscy oni, wygłaszając szumne frazesy o świetności Niemiec i zaprzeczając nieco z pańska wszelkiego pierwszeństwa Włochom, pożąдали czynnej pomocy książąt, pomocy, która tyle dobrego zdziałała dla kultury Odrodzenia we Włoszech. Czuli się zrosłymi z ludem, ale brzydzili się mówić tymiż samymi, co on, dźwiękami; pragnęli opieki i rozumnego poparcia książąt, a musieli jednak zadawałniać się po większej części ozięblém zapewnianiem łaski.

Aczkolwiek niemiecki ruch umysłowy owego czasu zależy w wysokim stopniu od Włoch, nie można przecież uważać humanizmu niemieckiego za importowany tylko, za kulturę pozbawioną wszelkiej samodzielności. Przeciwnie! Budzą się właściwe żywioły niemieckie wprzód jeszcze, zanim doszło do bliższego zetknięcia z Italią. Toć wynalazek niemiecki, *sztuka drukarska*, zaoszczędza jednostkom mozolną i czas pochłaniającą pracę, a pisarzom pozwala, zblizka, czy zdala wywierać niesłychanie szybko wpływ na współczesnych.

Historji drukarstwa kreślić tu nie możemy. Ale przypomnieć wypada, że wynalazek ten nadzwyczaj prędko świat podbił, że w Niemczech rozbudził do nowego życia drzemający popęd ku oświeceniu. Podbił on świat, ponieważ z Niemiec — bez względu na to, Moguncya czy Strasburg jest ojczyzną artystów i macierzą sztuki — rozeszli się pionierowie niemieccy po wszystkich krajach z takim pośpiechem a działali z takim powodzeniem, że jeszcze pod wpływem wieku XV zdobyli Włochy, Francję, Anglię, nawet Hiszpanię i Portugalję ⁴⁾. We wszystkich bowiem krajach rzemieślnicy niemieccy, już to duchem własnej przedsiębiorczości parci, już to przez monarchów zagranicznych powoływani nową zaszczepiali sztukę. Rozbudził on w Niemczech popęd ku oświeceniu, ponieważ skarżącym się na brak materiału kształcącego ten materiał podał właśnie. Drukarze ówczesni nie zajmowali się wyłącznie jeno odbijaniem dzieł literatury starożytnej, owszem, w pierwszych lat dziesiątkach drukowano o wiele więcej książek ludowych, biblij i pism teologicznych aniżeli klasyków. Puszczając w świat wydania, czytelne i w tysiącach

⁴⁾ Autor zapomniał wymienić Polski, gdzie, jak wiadomo, istniała pierwsza drukarnia w Krakowie już w latach 1465—1468. (Przyp. tłóm.)

egzemplarzy, dostarczali czytelnikowi bogatego w treść materiału, który pod każdym względem wyróżniał się korzystnie od dawniejszych rękopisów. Wszyscy więc, duchowni i świeccy, wykazywali zalety sztuki drukarskiej. Miłośnicy nauk, jak np. *Jakób Wimpfeling*, pisali o niej traktaty i przepowiadali jej wpływ na oświatę i moralność; duchowni, jak np. benedyktyń *Bernard Witte*, nazywali ją sztuką najcenniejszą i pochwały najgodniejszą, najpożyteczniejszą i najbardziej boską. Źródłem takich i tym podobnych uwielbień, łatwo popadających w przesadę, jest nie tylko przeczuwanie lub rozumienie dokonywającego się przewrotu, ale także świadomość, że dzięki temu wynalazkowi podniosły się Niemcy w gronie narodów do stanowiska przemożnego. Bo chociaż wtedy jeszcze mógł jakiś Włoch wyrzec pogardliwie: „Nową sztukę wynaleźli świeżo barbarzyńcy”, mieli wszelako Niemcy za sobą słusność, sądząc, że wynalazek ten wyzwoli ich z objęć barbarzyństwa. Co prawda znajdowali się i tacy, którzy, jak np. nieznan autor *Avisamentum salubre quantum ad exercitium artis impressariae literarum*, porównywali markotliwie pożyteczność i szkodliwość nowej sztuki, a przejęci ciasnym duchem arystokratycznym, pragnącym nawet skarby umysłowe drobnej jeno zapewnić mniejszości, mówili zręcząc o zgubnych jej następstwach. Dowodzili, że wiele złego wyrządzić może biblia, skoro stanie się dostępną wykształconym ludziom świeckim a zwłaszcza skoro w tłumaczeniu przejdzie do rąk gminu pospolitego. Ale były to głosy wołających w pustyni. Mężowie prawdziwie pobożni, jak *Jakób Wimpfeling*, przedstawiali korzyści, jakie kościół z drukarstwa odniesie. W traktacie swym mówi on: „My Niemcy z żadnego wynalazku lub innego owocu ducha nie możemy być bardziej dumni jak z drukarstwa; zrobił on nas nowymi krzewicielami nauk chrześcijaństwa, wszelkiej umiejętności boskiej i ziemskiej a tęp samym uczynił nas dobroczyńcami całej ludzkości”. *Henryk Bebel* w utworze poetycznym i *Beatus Rhenanus* w wielkiem dziele historycznym udawadniali, że Niemcy są istotnymi wynalazcami i zbijali nieuzasadnione twierdzenie niektórych Włochów, że Włosi są właśnie oddawna już twórcami tej sztuki i że Niemcy ją tylko rozwinęli i wydoskonalili.

Pilnej uprawie drukarstwa poświęcało się towarzystwo „*Braci wspólnego życia*”. Członkowie onego sławili sztukę drukarską, nazywając ją „nauczycielką wszystkich sztuk dla dobra kościoła” a jej krzewicieli „kapłanami, którzy każą nie słowem, lecz pismem”. Założycielem tego stowarzyszenia kościelnego był *Gerhard Groot* (1340—1384). Stworzywszy je, dał mu nie tylko swe imię, ale wlać weni i ducha swego. Oddany przedtęp światu, usłuchał wezwania przyjaciela, wołającego: „Czemuż tu stoisz, bacząc na rzeczy czcze? powinieneś innym zostać człowiekiem”. Pracował więc odtąd nad

udoskonaleniem umysłu i serca, ale mimo wielkich powodzeń w działalności kaznodziejskiej odmawiał zawsze i stanowczo przyjęcia święceń kapłańskich. „Za wszystkie skarby Arabii“ — wynurzał się — „nawet na jedną noc nie objąłbym pieczy nad duszami“. Pragnął jeno, aby bractwo jego, wierne wzorowi danemu przez mistrza, żyło spokojnie dla siebie i aby lud oświecało kazaniami tylko i nauczaniem. W tym charakterze zatwierdził towarzystwo papież *Eugeniusz IV* (1431 r.), mimo że wielu je napastowało, już to dlatego że wyrzekało się ślubów klasztornych, już to że otwarcie głosiło przekonania antyksiężowskie.

Upoważnione przez papieża, rozwijało odtąd, głównie w Niemczech, nader żywą działalność, poświęcając się przeważnie przepisywaniu ksiąg i nauczaniu młodzieży. Kopiowanie rękopisów prowadzono systematycznie; uważało bowiem bractwo za obowiązek z jednej strony wzbogacać własne biblioteki dziełami przeszłości chrześcijańskiej i pogańskiej, z drugiej zaś przychodzić w pomoc ludziom, żadnym wiedzy, przedaż rękopisów zbywających. Kształcenie młodzi zasadzało się na wychowaniu chrześcijańskim, „na wznoszeniu duchowych kolumn w świątyni Pana“, ale obok całej czci dla pism chrześcijańskich, jako „korzenia nauki“, uwzględniało język niemiecki, kładło główną wagę na autorów łacińskich, nawet poetów, i nie lekceważyło bynajmniej literatury greckiej.

Praca *Braci wspólnego życia* była nader skuteczna i wielkie ogarniała przestrzenie. Nie ograniczała się bowiem na samą Holandję, ale przenikała w głąb Niemiec, miała nawet swych działaczy na dalekim Wschodzie. Wywierała zaś wpływ tak zbawienny i powszechny, że wszyscy przedstawiciele starszej generacji humanistów uznawali się za uczniów *Braci wspólnego życia*. Co więcej, jeżeli wierzyć często powtarzanej anegdocie, w miasteczku Ammersdorfie znali łacinę nawet pośledniejsi rzemieślnicy, pieśni łacińskie śpiewały dziewczęta i wszędzie na ulicach obijała ci się o uszy łacina ozdobna.

Pobożni bracia, uważający pisanie i nauczanie za główne swe zadanie, nie byli przecież jedynymi zwiastunami nowej kultury. Działalność ich nie zależała, jak się zdaje, zgoła od wpływu Włoch. Lecz obok nich zjawiają się mężowie, swém ukształceniem i całą istotą nawskroś od Włoch zawiśli.

Najcenniejszym reprezentantem tej kategorii jest *Piotr Luder*; ur. około 1415 r. w Kislau w obwodzie Kraich, umilkł zaś 1474 r. W młodym wieku przybył klerykiem do Rzymu, zwiedził kawał świata, osiadł w Padwie, gdzie przez studyujących Palatynczyków został polecony władcy Palatynatu. Zjednany łacińską mową humanisty, powołał go książę na profesora języka łacińskiego i komentatora autorów starożytnych do Heidelbergu (1444 r.). Położenie jednak mło-

dego profesora było nader trudne wobec kolegów starszych, którzy nienawidzili i jego, jako nowicyusza, i reprezentowanego przezeń kierunku. Najprzód musiał im przedstawić rękopis z prelekcją wstępną, co do której żywili pewne wątpliwości, następnie nie pozwalali mu lub też przeszkadzali korzystać z biblioteki. Mimo tych usiłowań wrogich, często zresztą bezowocnych, pracował Luder wytrwale, uczył języka łacińskiego i bronił pisarzy starożytnych od zarzutów niemoralności, lecz z przyczyny zarazy musiał opuścić Heidelberg 1460 r. Potém zajmował katedry z kolei w Ulmie, Erfurcie i Lipsku, gdzie pochopna do nauki młodzież, a wśród niej *Hartmann Schedel*, oddawna już tęskniąca do nauczycieli humanistycznych, przyjęła go radośnie. Ale tutaj, napadnięty przez jednego z humanistów włoskich i oskarżony o nieznamość łaciny, niezręczną i słabą obroną wystawił się na ośmieszenie. Unikając szyderstw, porzucił Lipsk, udał się ponownie do Padwy (1462 r.), aby studyować medycynę; od roku 1464 prowadził wykłady raczej w charakterze medyka, niż humanisty, na świeżo założonym uniwersytecie w Bazylei, wreszcie piastuje 1474 r. urząd akademicki w Wiedniu. Luder był to człowiek wesoły, dobry towarzysz przy kieliszku, rozkoszom miłości oddany więcej, niżby przystało; kieszeń miał zawsze pustą, hartu moralnego nie posiadał wcale. W rzeczach religii zachowywał się niedość poważnie. W Heidelbergu, może nie z własnej winy, uwikłał się w zartarg z proboszczem miejskim; w Bazylei, gdzie teologowie z przyczyny powątpiewań o Trójcy Ś. chcieli go kacerzem ogłosić, drwił sobie, mówiąc: zanim dam się spalić, wolę uwierzyć nawet w Czworcę. Braku przejęcia się ważnością i świętością zadania dostrzegano też i w jego pracach naukowych; zasadały się one bowiem bardziej na przejętej od Włochów kulturze formalnej, aniżeli na głębokości myśli i wiedzy. Powierzchowność taką zdradzają mowy, listy i poezye Ludera. Pisma te dają nam poznać człowieka miłego, umięjącego łatwemi i przyjemnemi manierami towarzystwo bawić, ale nie świadczą bynajmniej, iżby był uczonym samodzielny, pracownikiem sumiennym, badaczem ścisłym. Trwałego więc wpływu Luder nie wywarł, mimo że posiadał piękne zdolności, mimo że się zasłużył ugruntowaniem w Niemczech studyów humanistycznych. Przeciwnie. Szybko zatarły się ślady działalności jego nawet w tych miejscowościach, gdzie później wspaniale rozkwitł humanizm.

W tymże samym czasie i w tenże sam sposób, jak Luder, nauczał w różnych punktach Niemiec, ostatecznie 1509 r. w Heidelbergu, *Samuel Karoch von Lichtenberg*. Ukształcony we Włoszech, włóczył się po wszystkich miastach. Kieliszek lubił nad miarę, chęłpił się swemi wiadomościami, które, co prawda, sam jeno uznawał za rzeczywiście niepospolite. Z prac jego przechowały się w rękopisach ułam-

ki mów samochwalecznych, chełpliwe obwieszczania uniwersyteckie, wiersze miłosne, poemat zalecający studia humanistyczne i wychwalający zarazem przyjemności lata, powieści oraz inne poezye po większej części bardzo nieprzyzwoite. Wszystko to świadczy o dobrych chęciach, ale o nader małym talencie. Był to, jak trafnie ktoś wyrzekł, śpiewak podwórzowy, albo, jak się o nim odezwał dobrze go znający współczesnik, człowiek, który „zalecał się niedorzecznościami, krzewił barbarzyzny i uczył złych wierszy”. Późniejsi, o wiele go prześcignawszy, zapomnieli wdzięczności za podjętą do studyów, ale wybrali go za cel drwinek.

Luder i *Karoch* byli wędrownymi lubo niezbyt świętobliwymi kaznodziejami nowego kierunku; inni za to statecznie i poważnie traktowali swój urząd apostołski. Do tego szeregu należy patrycyusz augsburski *Zygmunt Gossembrot*. Przenikniony ważnością nowych studyów, przeszczepionych z Włoch do Niemiec, pragnął we własnej ojczyźnie zapewnić im zwycięstwo. Przeprowadzając swe plany, popadł w spór listowny (1452 r. i nast.) z *Konradem Saldnerem*, profesorem wiedeńskim. Augsburczyk jest bezwzględny zwolennikiem łacinników, posila się ich treścią i formą; Wiedeńczyk zaś utrzymuje, że znaczenia autorów starożytnych nie narusza zgoła, ale nie chce nie wiedzieć o poetach nowo-modnych, jak *Valla*, *Poggio*, *Aretino*, i tego załazi im za skórę. Jednakże w gruncie rzeczy, stawiając takie rozróżnienie, szuka tylko wymówki. Są to właściwie dwa rozmaite systemy, które przeciwstawiając się sobie, w skutek ostrego kontrastu czują wstręt do wszelkiego pojednania. Spór *Gossembrota* z *Saldnerem* jest téj samej natury, co i polemika *Petrarki* z przeciwnikami. Jest to walka o zdobycie prawa, aby mocno zbudowany system zapatrywań na życie i studia złamać a na jego miejsce postawić inny, którego nie broni ani silna powaga długiego istnienia, ani silniejszy jeszcze autorytet kościoła, ale który zaufany w swą siłę wewnętrzną występuje z uroszczeniami do życia. W zatargu tym pociąga nas zarówno a może w wyższym jeszcze stopniu, rzetelna poczciwość *Saldnera*, jak i dobra, lubo nieraz słaba wola *Gossembrota*. Wszelako wyższe prawo dziejów jest po stronie obywatela augsburskiego.

Tymczasem błogosławieństwa nowej kultury nie mogły spłynąć na Niemcy ani za sprawą poetów wędrownych, ani téż dobrych obywateli, którzy z podróży włoskiej przywieźli wprawdzie do ojczyzny chwalebna żarliwość w studyach i przekazali ją czasem późniejszemu, ale w swej wyłączości miejskiej nie otrząsnęli się z filisterstwa. Nie mogły — mówimy — przedewszystkiēm dlatego, że naród niechętnie przyjmuje kulturę naukową od obcych lub krajowców bez ojczyzny. Przeciwnie. Nabywając skarby tego rodzaju, powierza się ochoczo przewodnictwem takich ludzi, których łączy z nim związek

silniejszy aniżeli węzeł wspólności umysłowej. Z tej więc przyczyny dla rozwoju życia umysłowego Niemców daleko większe miała znaczenie działalność trzech innych zwiastunów humanizmu, chociażby ich wiedza specyficznie humanistyczna była szczuplejsza od uczoności mężów wyżej wymienionych. Zwiastunami tymi są: *Feliks Hemmerlin*, *Grzegorz von Heimbürg*, *Mikołaj Cusanus*.

Feliks Hemmerlin (ok. 1398—1460) pochodzi z Zurychu, miasta należącego wówczas do państwa Niemieckiego. Wykształcenie otrzymał we Włoszech, ale mieszkał w Niemczech i pracował dla Niemiec. W zbiorze fraszek *Augustyna Tüngera* z wieku XVI, pisanych po łacinie i po niemiecku, znajduje się o nim następująca anegdota. Hemmerlin obraził ciężko pewnego obywatela; pozwany do sądu musiał z wyroku odwołać słowa obelżywe przed kościołem. Nakazowi uległ, ale do odwołania onego, spoglądając na chromego zakrystyana w tejże chwili przechodzącego, dodał: „Nadaremniebym twierdził, że nasz zakrystyan nie kuleje, ponieważ wszyscy własnymi widzicie oczami, że kuleje”. Z powiastki tej można już poznać charakter i losy Hemmerlina. Lubił zaczepki, upierał się przy oskarżeniach raz wyrzeczonych, nie oszczędzał w zapale osób wysoko postawionych, potężnych a mściwych, i nieugięty ponosił kary za swą śmiałość. Napadał głównie na zepsucie duchowieństwa, gromiąc nadużycia papieżstwa i obłudę zebrzących mnichów i miszek zurychskich (Begardowie i Beginki), którzy pod pozorem usunięcia się od świata i poświęcenia Bogu, prowadzili życie zbyt kowne i niemoralne. Hemmerlin był gorliwcem, ale nie reformatorem; raczej zwolennikiem starego porządku w rzeczach religii i polityki. Ujmował się za przesadną czcią relikwii; niewinniał złodziejstwo, jeżeli przez nie dało się osiąść szczególnież kosztowne skarby; bronił wszelkiego rodzaju przesądów, jak zjawiania się duchów, zaklinania dyabłów, zamawiania pogody; sam nawet odgrywał rolę czarnoksiężnika, jeżeli uważał to za potrzebne lub użyteczne. Jako polityk sprzyjał bardziej cesarstwu niż ludowi szwajcarskiemu. W obszerném dziele „O szlachcie” wypowiedział „gminnemu chłopstwu” (*rudissima rusticitas seu ruralitas*) swoje mniemania o jego pochodzeniu i istocie; o szlachcicach, wychwalając ich, prawi, że są sędziami przez Boga ustanowionymi dla karania niegodziwości chłopskich a przodownictwo ich uzasadnia faktem, że między apostołami było trzech rodu szlacheckiego i że Chrystus dokonywał cudów przeważnie na szlachcie. Mimo taką ciasnotę poglądów, mimo wysłowienie wcale nieklasyczne jest Hemmerlin zwiastunem humanizmu; dumny stopniem naukowym (w Bolonii został doktorem), przekonany silnie, że umysłowe i moralne zdrowie zawisło od odrodzenia starożytności. Godzi się tu zaznaczyć jeszcze szczegół charakterystyczny. Oto w osławionym dyalogu „O szlach-

cie" (rozd. 3) chłop używa w przemówieniu „ty". Obrażonego tém szlachcica poucza autor, że *tibizare* (tykać) jest w przemawianiu zupełnie właściwe, gdyż tak mówi papież do cesarza, Bóg do Mojżesza — i odwrotnie. Na pierwszy rzut oka może się to wydawać drobnostką; w gruncie rzeczy zaś jestto uczucie, które do szczętu zaginęło na świecie, wraz ze zniknięciem owego tak stosownego przemawiania, używanego w czasach minionych.

W walce przeciw zepsuciu dworu rzymskiego wtoruje Hemmerlinowi *Grzegorz von Heimburg* (1410—1472). *Heimburg* rozwija działalność daleko szerszą niż *Hemmerlin*; w początkach zawodu jest odeń śmielszy, ale w końcu okazuje się chwiejnym i zmiennym. *Hemmerlin* bowiem do ostatka wytrwale obstaje przy swych przekonaniach i umiera w więzieniu. *Heimburg* zaś, walcząc przez całe życie przeciw papieskim dekretom karnym, ugina się pod koniec dni w pokorze przed postanowieniami, których powagę uporeczywie zbijał. Dawniej żarliwie zachęcał Niemców do wojny z Turkami, — później zwalczał ostro plan takiej wyprawy przez innych zaprojektowany; przedtém zalecał elektorom niemieckim neutralność w sporze między cesarzem i papieżem, — następnie skłaniał ich do udziału czynnego. Dopóki *Heimburga* ożywia idea dzielna, stoi on niezachwianie na stanowisku antykuryalisty, na stanowisku obrońcy roszczeń i praw monarchów świeckich przeciw wdzierstwu papieża i jego urzędników, pragnie zachować samoistność Niemca wobec zachcianek interwencyjnych cudzoziemca. Szczególném zrządzeniem losu wszystkie polemiki prowadził z tymże samym przeciwnikiem, z *Eneaszem Silviem*; być może, iż właśnie osobistość i umysłowe tendencye tego wroga rozbudzały w walczącym coraz gorętszą żarliwość. *Heimburg* bowiem zwalcza nie tylko polityczno-kościelne zasady papieża, ale także jego zacieśnione dążności humanistyczne. *Heimburg*, nazywany powszechnie przez *Eneasza Silvia* „mistrzem wymowy niemieckiej", nie występuje przeciw humanizmowi jako takiemu, boé humanizm nie polega na krasomówstwie i ozdobności, lecz zwalcza powierzchowność, którą pewni uczeni włoscy i niemieccy brali, lub udawali, że biorą za istotę rzeczy. Miał stąd wiele przyjemności a i dzisiejsi jeszcze panegiryci podziwiają go bardzo, że, gromiąc zbyt gorliwych obrońców klasycyzmu, wygłaszał zdania tego rodzaju, jak następujące: „Znamionuje to przeciw wyższość umysłu, jeżeli nie przyswajamy sobie stylu tego lub innego autora, lecz jeżeli ze studyów nad nimi ten osiągamy rezultat, że właściwego ducha swego zachowujemy dla samych siebie. Najstosowniejszym będzie nie za przykładem pszczoł gromadzić to, co rozproszone, lecz snuć mowę z samego siebie za wzorem owych owadów, z których wnętrzości wysnuwa się nic jedwabiu". Zastrzedz jednak tu wypada, że deklamując w podobny sposób, nie wy-

powiadał nic nowego, lecz wyrażał jeno myśli, które już przed nim lub równocześnie z nim wynurzali *Biondo*, *Poliziano* oraz inni reprezentanci Odrodzenia włoskiego.

Zwalczając uroszczenia papieskie, wystąpił też *Heimburg* z polecenia Zygmunta księcia austriackiego z protestem przeciwko naznaczeniu *Mikołaja Cusanusa* biskupem w Brixen. Wystąpienie to zasługuje na tém większą uwagę, że *Cusa* (1461—1464), Niemiec z pochodzenia, chociaż kształcił się we Włoszech i tam zmarł, był w głębi duszy sprzymierzeńcem swego napastnika i żywił również jak on szczere przekonanie o nieuniknionej konieczności odrodzenia nauk i reformy kościoła. Ale *Heimburg*, jurysta, kładzie na szalę swą znajomość prawa i potęgę swęj osobistości, aby wyznawanym przez się zasadom w gorącym sporze zapewnić zwycięstwo a zniweczyć zasady przeciwnika, tymczasem *Cusa*, kapłan, pracuje cicho i dopiero w przyszłości spodziewa się następstw pomyślnych. *Heimburg* czuje się sobą w walce dwu światem wstrząsających potęg, kościoła i państwa; *Cusa* wysiła umysł nad utopijnym planem usubiecia wszelkich sporów religijnych. *Heimburg* przy końcu żywota lekceważy wiedzę, gdyż dopatruje w niej niebezpieczeństw; *Cusa* nie żałuje trudów dla zdobycia nauki wszechstronnej. Jako filozof jednoczy *Cusa* w rzadkiej wielostronności znajomość filozofów starożytnych i mistyków średniowiecznych; jako matematyk i astronom przeczuł wielkie odkrycia, np. obrót ziemi około osi, projektował i naukowo uzasadniał poprawę kalendarza; jako teolog dowiódł gorliwości o wiarę, marząc i pracując nad jednością całego kościoła zachodniego, oraz mimo owę żarliwość wykazał niezamącony zmysł krytyczny, odrzucając niektóre cieszące się oddawna powagą postanowienia kościelne, np. dekretalia pseudo-izydorskie; jako humanista wreszcie zbadał gruntownie pisa-rzów rzymskich i greckich, użyczał przyjacielom rękopisów przez się nagromadzonych, namową i wsparciem dodawał bodźca towarzyszom i uczniom i zachęcał do wytrwałości w pracy mozolnej, niekiedy tylko uznaniem nagradzanej. Nie dziwota więc, że humaniści w górnobrzmiących słowach chwałę jego obwieszczali, że zawsze wspominali go ze czcią, nawet późniejsi, którzy lubili ośmieszać onych zwiastunów jako partaczów początkujących. Oto co mówi o nim Trithemius w ustępie przytoczonym przez Janssena: „*Mikołaj von Cues* pojawił się w Niemczech niby anioł światła i pokoju wpośród ciemności i zawichrzeń przywrócił kościołowi jedność, umocnił powagę papieża, rzucił piękne nasiona życia nowego. Część ich dzięki zatwardziałości ludzkiej nie wzeszła wcale; inna część wydała kwiaty, które jednak skutkiem lenistwa i opieszałości szybko znikły; ale część znaczna przyniosła owoce, których jeszcze kosztujemy. Był to człowiek, co wierzył i kochał, było apostołem pobożności i nauki. Umysł jego obej-

mował wszystkie dziedziny wiedzy ludzkiej, ale cała ta wiedza pochodziła od Boga i jeden tylko cel miała na oku: wielbienie Boga oraz poprawę ludzi⁷.

Ci to zwiastunowie założyli podwaliny rozwoju zdrowego i wspianego; humanizm niemiecki staje się potęgą umysłową i imponującą. Jednakże od samych niemal pierwocin aż do ostatecznego zniknięcia, mniej więcej od 1470 do 1520 r. (przyczem trzeba pamiętać, że daty w przybliżeniu tylko oznaczają okresy rozwoju umysłowego) ujawnia się zamiast oczekiwanej jedności rozdział głęboki. Rozdział ten przeszkadza skutecznie, co prawda, wytworzeniu się jednostronności, ale z drugiej strony stawia tamę potężnemu rozwinięciu sił zewnętrznych. Obok tego przybiera formy rozmaite, zdaje się ciągle zmieniać a w gruncie jest ciągle jednaki. Istnieją stale dwa kierunki: wsteczny i postępowy. Przeciwnieństwo to okazuje się przede wszystkim pod względem narodowym. Jedni bowiem, czeząc Włochy jako macierz kultury, starają się najbardziej przybliżyć do oświaty i uobyczenia Włochów, albo też przeniknięci ideami kosmopolitycznymi, odrzucają przywiązanie do ojczyzny, uważając je za słabostkę niegodną. Drudzy natomiast stawiając na czele patriotyzm, pragną, często środkami niechwalebny, spotęgować sławę ojczyzny w przeszłości i teraźniejszości; mimo to jednak nie mają odwagi wywalczyć zwycięstwa językowi niemieckiemu, lubo usiłowanie takie zdaje się w ścisłym zostawać związku z dążeniami patryotycznymi.—Uwydatnia się dalej przeciwieństwo pod względem teologicznym. Jedni bowiem, wierni poglądom średniowiecznym, uważają teologię za wyłączną albo co najmniej za najprzedniejszą z nauk i jej się poświęcają; jeżeli zaś przypadkiem uczuwają pociąg do innego fachu, nie teologicznego, to i w takim razie poczytują kościół po dawnemu za władczynię umysłów a jego przepisy uznają za najwyższe prawo i w życiu i w nauce. Inni znowu, niezależni od przykazań kościoła, pragną służyć umiejętnościom jeno, ba! nie cofają się nawet przed jawną, długą i niebezpieczną walką, skoro tylko teologowie się ośmielą kłaść zapory ruchowi swobodnemu.—Uwidocznia się wreszcie antagonizm i na niwie naukowej. Jedni bowiem zamiast formalnej pożądają kultury rzeczowej, usiłują przy pomocy autorów starożytnych ożywić umiejętności przez nich stworzone, a doświadczeniami innych i spostrzeżeniami własnymi je z bogacić; ale tą zużywającą siły działalnością całkowicie zaprzątnięci—odwracają się zupełnie od wymagań życia.—Drudzy zaś, stojąc w wirze życia, podchwytyją uderzenia pulsu nowej epoki, występują śpiesznie, gdzie tego potrzeba, niby jej lekarze, aby choroby usunąć, a ich receptami są nie grube księgi, lecz pisma ulotne; i oni również przekonani są, że służą nauce, jużć służą, ale raczej wysławianiem idei, ośmieszaniem przeciwni-

ków, aniżeli pracą poważną. — Tego rodzaju przeciwieństwa między starymi i młodymi, między gderliwymi zrzedami i wesółymi miłośnikami życia, między rozważnymi i niebacznie śmiałymi, powtarzają się po wszystkie czasy. W historii humanizmu niemieckiego ukazują się one dość wyraźnie w trzech kolejnych okresach, chociaż nie można tych okresów odgraniczyć latami ściśle oznaczonemi.

Pierwszy okres — *teologiczny*. Aczkolwiek okres ten ze względu na czas i treść należy do humanizmu właściwego, zostaje przecież w powinowactwie z jego zwiastunami. Pokrewieństwo nie polega tylko na czci, jaką wyobraziciele obu kierunków otaczają religię i instytucye kościelne — gdyż podobny szacunek ujawniają i późniejsi — ale na osobliwszém przywiązaniu do kościoła, co znamionuje ludzi słabych i potrzebujących oparcia. Osobnikom tego pokroju użyczają kościół darów serca, hojnych pociech w strapieniu i wyższego polotu w chwilach radości, ale zanadto odmierza im również skarby umysłu. Poświęcając się przeto studjom humanistycznym, do których wyobrażenie pogaństwa zawsze w pewnym stopniu przywiera, uczuwają często niepokój sumienia, zapytują siebie trwożliwie, czy bogactw umysł nie szkodzą duszy, i by zapewnić sobie zbawienie, gotowi zarzucić studia. Co więc, idą dalej jeszcze; znając niebezpieczeństwa życia światowego a nie czując sił dostatecznych, aby się oprzęd ponętom jego, usuwają się od pokus świata w zacisze klasztorne lub przyjmują urząd kapłański. Przypadłości tego rodzaju w ludziach słabych nigdy zadziwiać nie powinny; w pierwszych czasach humanizmu spotykamy je nawet u rycerzów ducha; nie są one szczególnymi właściwościami jednostki, ale wspólném znamieniem epoki całej. O niektórych mężach z takimi właściwościami umysłu, zawodowych i zdolnych pedagogach, pomówimy później; na teraz wystarczy nam za wszystkich obraz jednego z nich — i to najdzielniejszego; *Rudolfa Agrikoli*.

Rudolf Agrikola (1443—1485) należy do szeregu mężów, o których sąd zasadza się nie tyle na rzeczywistych ich czynach, na pismach potomności przekazanych, ile raczej na zeznaniach współczesników. Jeżeli ich zapytamy, otrzymamy zarówno od Włochów, chwilowych kolegów *Agrikoli* w uniwersytecie ferrarskim, jak i od humanistów niemieckich odpowiedź jednozgodną, że był jednym z najprzedniejszych reprezentantów humanizmu i jednym z twórców nowego życia umysłowego w Niemczech. Taki sąd wydaje szlachetny *Aleksander Hegius*, który chociaż był starszym, lubił słuchać nauk młodszego; podobnie i wielki *Erazm*, aczkolwiek z przychylny żądy pochwał wzajemnych nie okazywał pochopności do wysławiania zmarłych. Jeden z humanistów taki o nim formuluje wyrok: „mógł być pierwszym we Włoszech, wyżej jednak postawił

Niemcy⁷. Jeżeli natomiast zechcemy sami wyrobić sobie zdanie o tak rozslawionym na podstawie jego listów, poezyj i pism innych, powiedzielibyśmy tyle tylko: listy mimo nieharmonijnego brzmienia zwrotów zdradzają życie indywidualne; poezye są kazaniem bogatemi w słowa, lecz ubogimi w treść; obszerne zaś dzieła filozoficzne i pedagogiczne świadczą o sumiennych studiach nad autorami starożytnymi, ale z trudnością opanowują przedmiot, ostrożnie i lękliwie macają po omacku, zamiast przedstawiać wykład śmiało i samodzielnie. Najobszerniejsze jego dzieło, ale mimo rozmiarów mało późniejszego, *De inventione dialectica* (o wynalezieniu dyalektycznym) traktuje rozwlekłe o różnych sposobach badania przedmiotu, a chociaż ostro napada nieraz na dawniejszą metodę studyów, samo jednak nie składa dowodów ważniejszej jakiejś reformy. Mniejsza praca *Agrikoli*, w przeciwstawieniu do głównego dzieła wielce chwalona, pod napisem *De formando studio* (O kształceniu) obejmuje zestawienie pedagogicznych zasad humanizmu, nie wnikając bynajmniej głęboko w kwestye wówczas poruszane. Zamiast wielkimi rysami skreślić obraz nowych studyów i przeciwstawić mu smutny wizerunek nauk w epoce dawniejszej, zaleca tu jeno Agrikola filozofię, włączając do niej i fizykę, jako umiejętność, która duchowo człowieka podnosi i prowadzi do szczęśliwości doskonałej; mówi nadto o języku łacińskim, który wedle rad jego trzeba nieustannie objaśniać za pomocą niemieczyzny. Wreszcie obok tych wskazówek ogólnych stawia trzy zadania szczegółowe, podając zarazem środki, jakimi im zadość uczynić można. Domaga się tedy: 1) aby nabytą naukę zrozumieć, przykładając pracy; 2) aby to, co się zrozumiało, zachować przy pomocy pamięci; 3) aby z nabytej wiedzy wyciągnąć korzyść—ćwiczeniem, praktyką. Wszelako nie wyluszcza zgola zasad takich, któreby znamionowały w nim reformatora pedagogiki. Wygłaszając zasady wychowania, nie chciał jednak nigdy przyjąć urzędu szkolnego i pracować nad zastosowaniem w praktyce swych teoryj. Drwił z tych, co nazywali szkołę rozrywką i zahawą (*ludus literarius* i *σχολή*), gdy w gruncie rzeczy jest siedzibą niepokojów i utrapień (*Curarum sedes* i *φροντιστήριον*). Pod względem przekonań patryotycznych stawiał siebie na równi z najgłośniejszymi i najzarliwsiymi, ale z upodobaniem przebywał długo we Włoszech i czuł się tam szczęśliwym; całe życie pracował z powodzeniem nad naukami świeckimi, ale koniec dni zapragnął uświęcić studyami teologicznymi. O tym zamiarze powiadamia w liście charakterystycznym do swego przyjaciela Reuchlina. Aczkolwiek Reuchlin mu to odradzał, Agrikola jednak odpowiada, że czas wolny chce obrócić na poznanie języka, który przyjaciel mimo zajęć licznych sobie przyswoił; że dotąd uczył się dla innych, aby przynieść pożytek rzeczywospolitej uczonych i w oczach ludzi większą zdobyć sławę, teraz

zaś, myśląc nad zbawieniem duszy, chce pracować dla siebie, chce zagłębić się w teologię, by zbadać tajemnice święte.

Znamieniem drugiego okresu w humanizmie niemieckim jest — *naukowość*. Upada teraz przesąd, że uczoney powinien należeć do stanu duchownego, a występuje natomiast przekonanie, że „i człowiek świecki może gruntować subtelności teologiczne”, że nieskrępowany węzłami zewnętrznymi, jest nawet zdolniejszy do bezstronnej oceny najgłębszych kwestyj teologicznych. Teraz rozszerza się zakres studyów. Język grecki, potąd zaniedbywany, dochodzi do równouprawnienia z panującą niepodzielnie łaciną; obok tych dwu języków starożytności klasycznej poczyna też zwracać na się uwagę badaczy i hebrajszczyzna. Zaszczytne przydomki: *utriusquae linguae peritus* (biegły w dwu językach) przeistacza się w dumnie brzmiący: *trium linguarum peritus* (biegły w trzech językach). Odkrycie nowych krajów, o których wiadomości szybko przekraczają granice Niemiec, pobudza do ogłaszania świeżo zdobytych faktów i zmusza do ponownego zajęcia się ziemiami od wieków znanymi, aby zbadać, o ile mniemania dotychczasowe są dokładne i uzasadnione. Ożywiony duch badawczy nie pomijając też historii, przedsiębiorze poszukiwania, aby sprawdzić to, co bez krytyki opowiadano i co na wiarę przyjmowano; z drugiej zaś strony pragnie w jaśniejszym świetle przedstawić przeszłość Niemiec. Dążenie takie wypływa ze wzrastającego uczucia patriotycznego. Uczucie to, wzmocnione i podniecane pociągającą indywidualnością i odwagą rycerską Maksymiliana I, króla niemieckiego, oddziaływa zbawiennie na nowe ukształtowanie stosunków niemieckich. Ono albowiem sprawia, że książęta i uczeni współzawodniczą w zakładaniu uniwersytetów i szkół nowych, że dawniejsze świetnie reorganizują, aby tym sposobem unicestwić czyniony Niemcom zarzut barbarzyństwa oraz wymusić na innych narodach uznanie równości umysłowej. Walce z cudzoziemcami towarzyszy też walka z rodakami. Wyobraziciele pierwszego okresu toczą walkę jeno między sobą o zwycięstwo nowych zdobyczy umysłowych nad kierunkiem w życiu utartym i często klęsk doznają; tymczasem reprezentanci drugiego peryodu, tryumfując w sporach wewnętrznych występują do boju z przeciwnikami zewnętrznymi, którzy, zagrożeni we własnych posiadłościach, chcą gwałtownymi zamachami uprzędzić spodziewane natarcie wrogów.

Konieczność chwycenia za oręż wytwarza w bojowniku nierzadko żądzę walki. Miejsce drugiego okresu, oddanego pokojowemu krzewieniu nauk, zajmuje okres trzeci — *polemiczny*. Teraz nie dość już napaści odpierać, ale uważa się za rzecz niezbędną wrogo atakować i z zajętego stanowiska spędzić. Odtąd toczy się walka zawzięta, ponieważ chodzi w niej nie o rzecz powierzchowną, lecz o zasady na-

der ważne, od których zależy szybszy rozwój umysłowy; jeżeli więc jedna partya zasady owe odrzuca, z tém głębszém przekonaniem broni ich druga. Walka trwa krótko i niebawem się zwyrodniał Zasady idą w zapomnienie — a tylko ich przedstawiciele wystawieni są na pioruny. Święty zapał przekonania ustępuje przed żądzą szyderczego wyśmiewania; zdobyta świadomość potęgi dąży do zwycięstwa i tryumfu, pragnie wroga powalić u nóg swoich! W okresie trzecim wzmacnia się silnie myśl narodowa, uczucie patryotyczne kojarzy się i splata z uczuciem religijném. Coraz bardziej potęguje się niechęć ku Włochom i Rzymowi; krzywém spoglądają okiem na Rzym — duchową stolicę Włoch i siedzibę papieństwa. Teraz uroszczenia papieństwa, do panowania nad światem, do tłumienia ducha, poczytywano za zbrodnię. W Rzymie bowiem zamiast czystości obyczajów, uważanej za konieczne znamię wyniosłego urzędu, spotykano na dworze papieskim płochość i zepsucie; zamiast cnoty — przedajność i nierzetelność. We własnej zaś ojczyźnie ogrzewano się szczytnymi promieniami, bijącymi od osoby *Maksymiliana*, sławiono majestat i potęgę cesarza, tego światła ziemi, téj sławy wszechświata. Z większą jeszcze niechęcią niż na dwór papieski, gdyż ten był przynajmniej daleko, patrzeli humaniści na bliższych a zawsze widomych jego przedstawicieli — na duchowieństwo niemieckie, ono bowiem nie posiadało tego, co zdobyło dwór rzymski, t. j. kultury włoskiej, często wprawdzie powierzchownej, ale zawsze ponętnej. Otaczano więc wzgardą duchowieństwo lekceważące nowo rodzącą się oświatę, ponieważ ciągle jeszcze pyszniło się drobnouchnymi i śmiesznymi szczątkami starożytności, jakie w biegu wieków średnich przechowywało, ponieważ domagało się stanowiska wyższego, a odrzucało jednak środki, które woneczas jedynie tylko mogły zabezpieczyć stanowisko tak wysokie. Oprócz przeciwieństwa natury politycznej i religijnej ujawnia się teraz w humanistach niemieckich i świadomość równości umysłowej; świadomość ta, dość już żywa w starszych i spokojniejszych reprezentantach drugiej generacji, wybucha gwałtownie w młodzieńcych burzycielach okresu trzeciego. Humanisci téj kategorii kierują się przekonaniem, że i oni mówią językiem *Cycerona*, że i oni potrafią również piękne wyśpiewać wiersze jak *Horacyusz* i *Wergili*; szczycą się, że nie potrzebują jeździć do Grecji ani wzywać nauczycieli greckich, aby się nauczyć języka Hellenów, że własną pracą przyswoili sobie *Platona* i *Arystotelesa*, że uwolnili ich od plugawstw komentatorów scholastycznych i zgrai tłumaczy niedołącznych. Z ukontentowaniem mogli więc wyrzec, że jeżeli w dziedzinie języków klasycznych kroczą po drogach już utworowanych, ale kroczą bądź co bądź samodzielnie, to na niwie hebrajszczyzny są istotnymi nowatorami, że oni napelnili ożywcem tchnieniem książki hebrajskie

drukowane we Włoszech, ale wyglądające początkowo niby sprzęt martwy. Rozpatrując wreszcie cały obszar umiejętności i spostrzegając wszędzie ścieżki, które albo sami wydeptali, wyrównali i rozszerzyli, mogli mówić o pięknym kwiecie życia umysłowego i piastować w duszy uczucie dumne, że oni dopiero swą działalnością stworzyli prawdziwą i wyższą rozkosz życia.

Okres trzeci humanizmu pod względem treści uchodzi słusznie z przyczyny świeżości młodzieńczej za epokę rozkwitu prądu humanistycznego; trwał jednak krócej niż każdy z dwu poprzednich okresów! Ściśle nie podobna oznaczyć, ani jego początku, ani końca; jego związki zadzierżgają się i splatają aż do niepoznania z ostatnimi wyrosłami okresu drugiego; jego granica końcowa jeszcze mniej wyraźna, chyba, że ktoś zechce przyjąć za ostateczne zamknięcie śmierć głównego przywódcy *Huttena*. Humanizm zastępuje reformacya a jego następstwa częściowo nawet unicestwia.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Cesarz i książęta.

W epoce humanizmu zasiadali na tronie cesarskim dwaj władcy niemieccy: *Fryderyk III* (1440—1492) i *Maksymilian I* (1493—1519). Chociaż pierwsze lata rządów *Karola V* przypadają na koniec humanizmu niemieckiego, monarchy tego nie bierzemy jednak w rachubę raz dlatego, że jako cudzoziemiec interesom Niemiec był obcy a nawet nieprzyjazny, powtóre, że nie posiadał żadnego zmysłu dla istotnych spraw oświaty. Podług relacji *Bartłomieja Sastrouwa* kazał jednemu poecie, który mu utwór swój wręczył, dać taką odpowiedź: „Poemat cesarzowi się podoba; autor może wyrazić swe żądanie i być pewnym przychyłności; może dostać tytuł szlachecki, może osiągnąć wieniec poetycki, ale pieniędzy niechaj się nie domaga, gdyż ich nie otrzyma”. Kto tak mówił, ten dowiódł dostatecznie, że jego popisywanie się pieczęią nad studjami jest powierzchowne, do żadnych ofiar nie zdolne.

Natomiast cesarzowie przed *Fryderykiem* panujący dla dążeń umysłowych nie byli obojętni. Oto już *Karol IV* pozostaje w stosunkach z *Petrarką* a ideom jego okazuje tolerancję, jeżeli nie współczucie. Od téj pory dla cesarzów niemieckich, zwłaszcza dla tych, którzy Włochy nawiedzali, zetknięcie z humanistami włoskimi staje się nieuniknioném, dla wielu pożądaném nawet. Do szeregu drugiego należy cesarz *Zygmunt* (1411—1437). Monarcha ten, wrażliwy i łatwo ulegający wzruszeniom podczas dwukrotnego (1414 i 1432) we Włoszech pobytu prowadził politykę oplakaną, ale poetom i uczonym

umiał przypaść do gustu osobistą uprzejmością i łaskawością cesarską. Łaski zaś świadczył nie udzielaniem wsparcia — gdyż sam wolał odbierać hołdy w monecie brzęczącej — ale okazywał je w ten sposób, że rozdawał wieńce poetyckie, przysłuchiwał się cierpliwie i z przejęciem mowom łacińskim, rozmawiał z humanistami po przyjacielsku nietylko o rzeczach uczonych. Tą drogą poznawali go i polubili celniejsi poeci i uczeni, jak *Beccadelli* i *Cyryak z Ankony*. Cyryak na żądanie cesarza pokazywał mu i objaśniał starożytności Rzymu w czasach, kiedy oglądanie przedmiotów podobnych nie było jeszcze modą powszechną. W bliższych stosunkach zostawał z uczonym i wielostronnym humanistą *P. P. Vergerio*, którego poznał na soborze konstancyjskim; wziął go ze sobą na Wschód, zatrudniał sprawami teologicznymi, polecił mu nawet przetłumaczyć *Arryana* historię Aleksandra Wielkiego w języku prostym, gdyż ozdobnego Zygmunt nie rozumiał. — Następca jego *Albrecht* nie zrobił nie dla rozwoju studyów klasycznych.

Za rządów *Fryderyka III* przybył do Niemiec *Eneasze Silvio* jako apostoł humanizmu. Przybył jednak apostoł nie dla Fryderyka samego. Albowiem cesarz — jak mówi o nim trafnie, choć ostro *Jerzy Voigt*, był „flegmą uosobioną; z całkowitym spokojem zajmował się ogrodnictwem i hodowlą zwierząt domowych, złotem i kamieniami szlachetnymi, rachunkami ekonomicznymi i żydami-finansistami, astrologią i alchemią. Z tej obojętności flegmatycznej nie go wyrwać nie potrafiło. Do przyjęcia czegoś nowego zupełnie był niezdolny, zmysłu dla nauk nigdy nie miał żadnego”. Nie był z tém wszystkiém bynajmniej głupi; celował przebiegłością w stosunkach z jednostkami i w prowadzeniu wielkich interesów, posiadał nawet dowcip, tak iż potomni jeszcze przypominali jego żarty wcale udatne, ale częstokroć nader grube. Lubiał, aby go wystawnie i z przepychem przyjmowano; podczas uroczystości takich nieuniknione bywały wedle zwyczajów ówczesnych mowy godwalne; cesarz dzielnymi mówcami się nudził, ale uśmiechnął się, gdy jakiś nieboraczek magister, najęty za grube pieniądze przez *Reinfeldczyków*, ani ruszył dalej za początkowe słowa: *bene veneritis Domine rex*. Był wstrzemięźliwy i cierpliwy, umiarkowany i czystych obyczajów. Zalecał się też pobożnością; sądził, że najlepiej ją udowodni, wchodząc do kościoła z nadzwyczajną paradą; osobliwsze miał nabożeństwo do świętego Jerzego, głównego swego patrona; lubił się też nazywać jego kapłanem. Otrzymał państwo po poprzednikach w stanie zgoła nie świetnym, ponieważ niejedyn z cesarzów dawniejszych był bezsilny albo też korzyści postronne stawiał wyżej nad dobro ogólne; Fryderyk zaś jest pierwszym, co powagi cesarskiej i cesarskiej władzy używa dla pomnożenia posiadłości i wzmocnienia wpływu domu swego, domu habsburskiego. Ale gdzie

się tylko zjawił, wszędzie uszczuplał powagę imienia cesarskiego, wyglądał niby karykatura wielkości minionej. Niegdyś oczekiwano i przyjmowano cesarza we Włoszech jak gdyby zesańca boskiego, spodziewano się odeń zatwierdzenia swych praw, darów i poparcia; Fryderyk przybywał teraz ubożuchny, aby pustą kasę napęlić pieniędzmi, które chcieli odznaczyć Włosi płacili za szumnie brzmiące tytuły. Niegdyś sławili cesarza humaniści z zapalem serdecznym, który, co prawda, bywał najczęściej odbiciem idealnych wspomnień o starożytniej świetności cesarstwa rzymskiego, ale niekiedy wywoływało go jednak wrażenie osobistości niepospolitej; teraz chwałą go w mowach konwencyonalnych; ale mówią o nim z pogardą, już-to dlatego, że silnie wzrosłe uczucie antymonarchiczne wyradzało wstręt ogólny do cesarstwa, już-to, że politowania godne zachowanie się Fryderyka wyplaszowało wszelką sympatyę indywidualną. Jeżeli we Włoszech, kraju tradycyjnym blasku cesarskiego, chodziło tylko o sprawy idealne, to w ziemiach innych chodziło o rzeczy realne; o władzę i posiadłości. Fryderyk zaprzepścił jedno i drugie. Szleswig-Holsztyn przeszedł w moc Danii, Prusy—w ręce Polski, Czechy, zdobywszy sobie samoistność polityczną i religijną, oderwały się od cesarstwa niemieckiego. Na zachodzie potężna Burgundya była współzawodniczką poważną, a ze strony coraz bardziej krzepiącego się cesarstwa francuskiego należało lękać się bez przerwy niebezpieczeństw groźnych. Na Wschodzie, Turcy, stawszy się z gości europejskich gospodarzami, są teraz sąsiadami nader niewygodnymi; od roku 1463 corocznie prawie, pładrując i niszcząc, łupiąc skarby i zabierając ludzi, przeciągają po krajach należących do cesarstwa — dla uciśnionych miano tymczasem piękne jeno słówka, ale brak było odwagi i siły do czynów śmiałych. Obok tego istnieją wewnątrz powikłania srogie. Na sejmach niezliczonych traktują się kwestye reformy politycznej i religijnej, ukazują się ruchy rewolucyjne, zwiastuny wojen chłopskich stulecia następnego, władza książąt podnosi się do wielkiego znaczenia obok królewskiej i przeciw królewskiej.

Wobec takiego cesarza, wobec takich zewnętrznych i wewnętrznych stosunków cesarstwa, nie mogło być mowy o prawdziwem kwitnięciu studyów klasycznych. *Eneas Silvio*, przybywszy (1442) do Niemiec i na dwór cesarza, którego historycę później napisał (ob. str. 141), wyobrażał sobie cesarza na podobieństwo wielkich mecenasów między książętami włoskimi. Niebawem jednak spostrzegł, że jest w błędzie, i okazał tyle roztropności, że nie próbował nawet go nawracać. Nieznaczne też powodzenie uwieńczyło jego starania, mające na celu nakłonić do humanizmu książąt młodszych i mniej napozór studyom niechętnych. *Zygmuntowi, księciu tyrolskiemu*, spra-

wił przyjemność tylko swawolnym listem miłosnym, a *Albrechta, księcia austriackiego* przywiódł do czytania bajek ezopowych, czego wkrótce żałował. Bezowocniejsze jeszcze były usiłowania *Silvia* wśród otoczenia najbliższego, wśród szlachty i uczonych. Między nimi nie znalazł wcale zwolenników; „są to ludzie dobrzy, prostoduszni, ale nie lubią nauk na mój sposób; ich uciechy nie są tęp, czém są moje”. Szlachta znajdowała przyjemność w polowaniu, w grubych awanturach miłosnych i nieokrzesanych ucztach pijackich; nie zaznała wcale smaku w wykwintnych, nieco wybujałych umysłowych i zmysłowych rozkoszach Włocha. Uczeni uniwersytetu wiedeńskiego, wykładający logikę i dyalektykę ciągle jeszcze na podstawie podręczników średniowiecznych, byli zupełnie pozbawieni zmysłu dla poezji starożytnych i gustu dla wytworności ludzi nowoczesnych, albo też lękali się, jak wzmiankowany powyżej (ob. str. 315) *Konrad Saldner*, aby kult piękna formalnego nie zaszkodził czci nauk chrześcijańskich. Jeżeli zjawiał się rzeczywisty humanista, jak *Grzegorz von Heimburg* (ob. str. 317), to przeciwstawiał niemieckość włoskości; jeżeli się znalazł naśladowca *Silvia*, jak *Jan Tröster*, lub tłumacz pism *Silvia*, jak *Mikołaj von Wyle* (ob. niżej str. 337), to tych znowu pociągały jego utwory erotyczne. Istotnym uczniem *Silvia* był tylko *Jan Hinderbach*, mówca i dziejopis. W kontynuacji historii austriackiej swego mistrza nazwał go „boskim historykiem i boskim poetą”, a w mowie, wygłoszonej 1459 r. na cześć jego, wówczas już papieża, wyrzekł: „Naród niemiecki zawdzięcza ci dużo; Tyś nauką i przykładem doprowadził go do starożytnego blasku wymowy rzymskiej i studyów humanistycznych. Będą one z dnia na dzień wzrastać i potężnieć”. A słowa tak górnolotne nie trącą bynajmniej przesadą. Wpływ *Silvia* bezpośredni jest bardzo nieznaczny, ale pośredni był wielki i trwały. Pozostał on zawsze drogą wytyczną dla humanistów niemieckich, bez względu na pobudki inne i to najrozmaitsze. Podobnie rzecz się ma i z książką O wychowaniu, napisaną niegdyś przez *Silvia* dla młodego *Władysława, króla węgierskiego*, a teraz ponownie sporządzoną. Oddziałała ona podniecająco nie tylko na niewrażliwego *Fryderyka*, ale i na wrażliwego jego następcę, *Maksymiliana*, i stała się owocodajną, bez względu na rozmaite inne środki pedagogiczne i innych nauczycieli.

Cesarzem właściwie humanistycznym, monarchą wedle serca humanistów jest *Maksymilian*. Niemiec ten, z temperamentem zawsze młodzieńczym, zjawia się im, niby postać idealna, jak gdyby dla *Dantego* i *Petrarki* obraz wymarzonego imperatora; dla humanistów nie jest to rzeczą przypadku, że wcielony ich cesarz żyje w epoce Leona X. Gdyby patrzeli bystrzej, dostrzegliby łatwo różnicę między monarchą niemieckim a papieżem włoskim. Papież był spadko-

biercą oświaty kilkuwiekowej i potomkiem rodu literackiego, który kultury renesansowej potrzebował jakby pierwiastku życiowego; dla kultury tej zapominał o obowiązkach monarchy i głowy kościoła; był to człowiek, co mocą własnych zdolności mógłby był sam zostać pisarzem lub artystą, gdyby zrzadzeniem losu nie był papieżem. Cesarz pierwszy ze swego rodu, bez żywych tradycyji wielkiej przeszłości, wkracza w świat nowej cywilizacyi, pośród której, mimo chwalebnych chęci, pozostaje zawsze przecież obcym. Pochodzi to raz stąd, że nie posiadał zdolności, aby się w nią wżyć całkowicie, a powtórę stąd, że skutkiem wypraw wojennych i przeróżnych rozrywek życia dworskiego i myśliwskiego, brakło mu należytego skupienia, nieodbicie potrzebnego do prawidłowego działania na niwie umysłowej.

Polityczna działalność Maksymiliana jest niestrudzona, gorączkowa. Ma ona na celu wewnętrzny ustrój Niemiec, oraz umocnienie lub utrwalenie ich stanowiska na zewnątrz. Pierwszy cel pragnął cesarz osiągnąć trzema nadzwyczajnej doniosłości instytucyami. Ustanowił tedy sąd najwyższy i nowy, w części dla łatwiejszego wykonywania wyroków sądowych, podzielił Niemiec na dziesięć okręgów; zamierzał przez to uregulować wymiar sprawiedliwości i ugruntować porządek społeczny. Zaprowadził powszechny wieczny pokój ziemski; za jego pomocą pragnął usunąć odosobnione rozejmy, obowiązujące poszczególne jeno dzielnice i na czas krótki, oraz położyć koniec niezliczonym walkom, częstym wojnom terytoryalnym, a zwłaszcza rujnującym i bezprawnym wyprawom rycerzów rozbójniczych. Zorganizował rząd Rzeszy w ten sposób, że umożliwił zastępstwo cesarza podczas swęj nieobecności, a prócz tego na czas swęj obecności utworzył radę książąt, która miała stać u jego boku dla załatwiania spraw ważnych. Ale cóż z tego, kiedy dobrym zamiarom nie odpowiedział skutek! Ostatnie zarządzenie, o ile wogóle weszło w życie, przyczyniło się tylko do osłabienia powagi cesarskiej. Pokój ziemski dzielił losy swych poprzedników — nie stał się ani powszechnym, ani wieknistym; łupiestwo rycerzów, mimo rzetelnych usiłowań cesarza, do szczytu wyplenić się nie dało, ba! znalazło nawet podniecię w ustawicznych jego wojnach, znalazło gorszych jeszcze od rozbójniczego rycerstwa rabusiów w piechurach, którymi posługiwał się Maksymilian chętnie w swych wyprawach. Sąd najwyższy był jeno karykaturą najwyższęj powagi sędziowskiej, popadł niebawem w manię przewlekania i stał się urągowiskiem wszystkich, co szukali sprawiedliwości. Podobnież małe miały powodzenie lub wywoływały skutek wprost przeciwny temu, czego oczekiwano, inne także instytucye, które projektowano lub wprowadzono dla poprawy ustroju wewnątrz-

nego. „*Der gemeine Pfennig*”, t. j. powszechny podatek Rzeszy, ¹⁾ którym spodziewano się stale zapelniać kasy, przynosił dochodu mało i bynajmniej nie uwolnił cesarza od nieodstępnego a nieprzyjemnego towarzysza: braku pieniędzy. Niedostatek grosza uniezdolniał cesarza do przeprowadzenia licznych przedsięwzięć wojennych, a także przygnębiał jego umysł niecierpliwy i niespokojny, sposobny bardziej do rozpoczynania, niż zupełnego dokonywania; przy tém wszystkiém spotykał zawadę w daleko większej zręczności politycznej swych wrogów. Wskutek takich okoliczności polityczne czyny Maksymiliana, bez względu na wysiłki pochwały godne, są nader nieznaczne. Nie potrafił utrzymać w swęj mocy krajów, pozyskanych przez małżeństwo z *Maryą, księżniczką burgundzką*, nie umiał przeszkodzić odcieraniu się Szwajcaryi od Niemiec, nie zdziałał nic przeciw Francyi, która go ciężko skrzywdziła, chociaż żywił w duszy rzetelne oburzenie patriotyczne, spudłował téż haniebnie w kilkakrotnie podejmowanych próbach odgrywania we Włoszech i nadal dawnęj roli imperatora, pomimo albo może dlatego właśnie, że wiązał się już-to z papieżem, już z Wenecyą, a po krótkiej przerwie zwalczał dotychczasowego sprzymierzeńca, niby wroga śmiertelnego. ²⁾

Pomimo niepowodzeń w życiu polityczném, pomimo stanowiska wcale niebohaterskiego, jest Maksymilian niezmiennie ulubieńcem poetów i uczonych. Życzliwość ich zjednał sobie nie podarunkami, ponieważ pusta kasa cesarza nie mogła napelnąć próżnej kiesy poetów, a udzielane przezeń tytuły falgrafa lub poety uwieńczonego pochlebially próżności chwilowo tylko; nie pozyskał téż życzliwości świetnym dworem, ponieważ nigdzie nie miał rezydencyi stałej i często zmieniał miejsce pobytu. Ci, co rozporządzają sławą pośmiertną ludzi, okazywali mu cześć przeważnie z téj przyczyny, że, nie znając manowców jego polityki, cieszyli się niezmordowaną działalnością energicznego męża i śmiałym, nawet pod starość nie starzejącym się zapalem młodzieńczym. Czcili Maksymiliana, ponieważ mimo, albo właśnie z powodu całego respektu dla godności monarszj, byli oczarowani prostotą i ludzkością w obejściu, ponieważ łagodną uprzejmość względem niższych brali za dowód prawdziwéj dobroci charakteru, a nie za oznakę łaskawéj grzeczności.

¹⁾ Pod nazwą: *Der gemeine Pfennig* ustanowiony na sejmie wormackim 1495 r. podatek powszechny był skojarzeniem podatku pogłównego i od majątku. (Przyp. tłóm.)

²⁾ Obraz politycznej działalności Mksymiliana I, jak go skreślił Autor, grzeszy niedokładnością. Geiger nie wspomina ni słowem o jego stosunkach z Polską, o jego przewrotności względem nas, o kongresie wiedeńskim i nabytciu praw do koron czeskiej i węgierskiej, zdobytych przebiegłością na Jagiellonach, niedaleko widzących. (Przyp. tłóm.)

Grzmia więc pochwały dla cesarza wszędzie i we wszystkich językach. Przedewszystkiém w ludowej pieśni niemieckiej. Rzadko który monarcha był tak widocznym ulubieńcem wszystkich partyj bez różnicy, jak Maksymilian. Pieśń gminna nie pytało bohaterstwo i zasługi literackie; nie zdaje sobie sprawy z przyczyn swęj miłości i nie da się od niej odwieść dowodami przeciwnemi. Chwali, bo chwalić musi. W tym wypadku chwali zapewne dlatego, że osobistość chwalonego była sympatyczną zarówno jednostkom z ludu, jak i mężom wykształconym, a może i dlatego, że jedni i drudzy upatrywali w Maksymilianie jak gdyby przez Opatrzność wybranego wojownika w walce z dziedzicznymi wrogami Niemców, Turkami i Francuzami. Powtarzano też nieustannie zachęty do wydobycia miecza przeciw Osmanom, a obok tego, mimo niepomyślnych wysiłków w pierwszych chwilach, żywiono ciągle nadzieję zwyciężenia Franków. Choć żadnego nie można zaznaczyć nad Francuzami zwycięstwa, toć można przecie opiewać obelgę przez nich wyrządzoną, jako czyn bezecny, podniecający do zemsty. Więc też pieśń „O dziewicy Brytańskiej”, t. j. o narzeczonej Maksymiliana, porwanej przez Ludwika XII, rozbrzmiewała tak często, że jej melodya przez lat dziesiątki była panującą w pieśni ludowej. Ponieważ rachuba na przyszłość jest bądź co bądź niepewna, woła przeto poeci ludowi zabawiać się radosnemi wypadkami terażniejszości. Opiewają tedy wojnę ze Szwajcarami (1499), wojnę bawarsko-palatyńską (1504), rozmaite wyprawy przeciw Wenecyi (ob. str. 264), wysławiają zwycięstwa cesarza, albo też jego waleczność i odwagę, jeżeli już żadnych powodzeń do wychwalania nie mają. Wreszcie cesarz umiera. Jest to chwila brzemenna niebezpieczeństw, daleko groźniejszemi, niż przedtém. Trwoga przed Turkami doszła krańców ostatecznych, we Francuzach wzrosło niepomiernie uczucie potęgi wskutek znacznych zwycięstw i świetnego występu młodego ich króla, Włochy, o które się tak ubiegano, wzgardziły ręką Niemiec. Otóż nawet w momencie tak krytycznym poczucie, o ile się ono wogóle uświadomiło, że usiłowania cesarza były bezowocne, ustępuje bolesiści z powodu jego zgonu, milknie wobec chwały jego męskiej dzielności:

Oto cesarz jest wybrany,
 Cesarz wielce szanowany,
 Z rodu dawno szlchetnego;
 Nigdzie niemasz mu równego
 W szlchetności i zarządzie,
 Co sprawował dobrze wszędzie
 Aż do chwili skonu swego.
 Jego chwala w dużęj cenie

U wszech książąt w całym świecie;
 Toż szlachetny cesarz mądrze
 A nawet i z wielką sławą
 Świadczył zawsze sprawiedliwość
 I ubogim i bogatym
 Także i samemu Bogu.
 Bóg więc za to postanowił,
 Bóg przedwieczny i wspaniały,
 Uczcić cesarza naszego
 Tuż u tronu niebieskiego;
 Jakoż rychło zszedł ze świata,
 Po koronę oną wieczną,
 Którą Bóg mu przygotował.

Poezya uczona różni się od ludowej; głównie większą ogólnikowością, że pomija wydarzenia pojedyncze, że chwalać osobę, pozbawioną jest znamion charakterystycznych. Nawet wówczas, kiedy humaniści mówią o pewnej bitwie lub o czynie, doniosłym i dla życia cesarza i dla dziejów Niemiec, wyrażają się w ten sposób, że sławiąc bitwę czeską, mógłbyś sądzić, iż sławią Termopile, a wychwalając cesarza jako mecenasa, mógłbyś myśleć, iż chwałą *Augusta*. Poetyzowanie i panegiryzowanie dochodzi takich rozmiarów, że objęłoby poważny foliał in quarto, ale pod względem osnowy małą posiada wartość. Właściwa treść poetycka tych utworów, z wyjątkiem niektórych wierszy *Celtesa* i *Huttena*, jest marna. Prócz Niemców, pieli też pochwały Włosi, i to nie najpośledniejsi wcale, jak np. *Ermolao Barbaro*, *Pandulf Collenuccio*. Cokolwiekbądź, chór ten, nad miarę głośny współzawodniczących pieśni różnych narodów świadczy niezbitcie, jak wysokie stanowisko zajmował Maksymilian w sercu i myślach ludzi ówczesnych. Z całego tłumu jednogłośnych chwalców zasługuje na uwagę Włoch, *Ludwik Ticiano*; panegiryk jego, dotąd niedrukowany, nie był zapewne i wspominany nawet. W piśmie swém „O chwale cesarza i Niemców”, robiąc alluzję do wyrażenia Homerycznego, nazywa Ticiano Maksymiliana królem królów, księciem książąt, ale nie w rozumieniu zaiste, w jakim sam cesarz używał tych słów, by nimi oznaczyć bezsilność własną i małą potulność książąt. Dalej charakteryzuje go pisarz włoski w sposób następujący: „W wojnie i pokoju dzielny, wszelkiej sławy wojennej godzien, nie tylko rozumem i umysłem, lecz również siłą fizyczną celujący, do rządów w pokoju i dowództwa w wojnie tak uzdolniony, że rozstrzygnąć trudno, czy jest droższy obywatelowi, czy też żołnierzowi. Żołnierz bowiem żadnemu wodzowi nie może więcej zaufać, pod żadnym bardziej się narażać, od żadnego wymagać więcej śmiałości w niebezpieczeństwach

i więcej roztropności w ich pokonywaniu; obywatel zaś nie może życzyć sobie monarchy sprawiedliwszego i łagodniejszego — i to takiego, w którym sprawiedliwość i łagodność się równoważą”. Następnie chwali autor prostotę cesarza, uprzejmość, czystość obyczajów, a przede wszystkim trwale przywiązanie do ludzi i niewzruszoną miłość religii. Nie zapomina wprawdzie dodać, iż mu zarzucają leniwość, okupywanie pokoju pieniędzmi i ubóstwo, ale dwa pierwsze zarzuty zbija jako nieuzasadnione, a co się tyczy ostatniego, pociesza cesarza ogólnikiem moralnym, że ubóstwo nie jest wcale hańbą, oraz wzmianką, poczerpniętą ze starożytności, że *Cyrus* i *Aleksander* byli biedni.

Być może, iż hołdy uczonych i poetów mają poniekąd swe źródło w pokrewieństwie duchowém. Wiadomo bowiem, że Maksymilian uczuwał popędy literackie i że lubił sam próbować sił w poezyi. Prace pisarskie cesarza, między którymi znajdują się książki o myślistwie, oraz inne zapiski, wynikające z dzikich skłonności autora, należą do historii literatury niemieckiej, a nie do dziejów humanizmu. Jednakże większych rozmiarów dzieła niemieckie zawierają tyle przyczynków do poznania istoty monarszego autora, że ich tu pominąć nie możemy. Utworami temi są: *Weisskunig* i *Teuerdank*.

Pomysł obu jest własnością Maksymiliana; wykonante zaś, ponieważ sam nie czuł w sobie dość wytrwałości i uzdolnienia poetyckiego, powierzył sekretarzom prywatnym; Teuerdanka *Melchiorowi Pfinzing'owi* (1484—1535), a Weisskuniga *Marksowi Treitzsauerwein'owi* (1470—1527). Teuerdank ukazał się już 1517 r. w przepysznój i stąd bardzo chwalonej edycji. Treść jego stanowi allegoryczne przedstawienie trudności, jakie napotyka związek walecznego Teuerdanka (*Maksymiliana*) z Erenreichą (*Maryą Burgundzką*), córką Romreicha (*Karola Zuchwałego*). Bohater występuje zawsze w towarzystwie wiernego druha, Erenholda. Dyabeł zdradliwie mu radzi, aby szedł tylko za popędami natury, aby nie unikał żadnej przygody, aby podbił pod swą władzę wszystkie kraje, nawet pokojowo usposobione. Teuerdank, uważając te rady za przeciwne cnocie, odrzuca je i z tej przyczyny naraża się na ustawiczne kuszenia sług Czarta: Fürwittig, Unfalo i Neidelharda. Fürwittig — to niewczesne pragnienie młodzieńca, aby, bez żadnej potrzeby, lecz tylko z junactwa, popisywać się obrotnością i siłą, zręcznością i lekkością ruchów. Unfalo oznacza ponętę, jaką młodzieniec znakomitego rodu upatruje w niebezpieczeństwach i awanturach na lądzie i wodzie, na polowaniach i w podróżach morskich; oznacza także ciężkie położenie, do którego doprowadza chorych mniemana mądrość lekarzy, a którego uniknąć można „rozsądném baczeniem na własną naturę”. Neidelhard wreszcie — to uosobienie zawiści, która młodego a wojen żą-

dnego syna książęcego stawia w sytuacjach najtrudniejszych podczas wypraw, nie zawsze podejmowanych dla obrony koniecznej. Ze wszystkich bied i niebezpieczeństw przez dyabła zgotowanych, ocala młodzieńczego bohatera wrodzona dzielność i gieniusz miłości. Mimo ocalenia, dużo jeszcze upływa czasu, zanim osiąga cel upragniony. Na dworze kochanki mile wprowadzie został przyjęty, ale liczne igrzyska, zaspakajając chęci wielu, usuwają życzenia jednostki na plan dalszy; odbyły się nawet zaręczyny i udzielone błogosławieństwo kapłańskie, lecz małżeństwo odłożono aż do tej chwili, co na owe czasy zupełnie jest właściwem, kiedy bohater wróci zwyciężąc z wyprawy na Turka.

Nadzieja wojny tureckiej odgrywa też główną rolę i w „Weisskunigu”, który musiał pozostać niewykończonym, gdyż i wojna turecka nie doszła do skutku. W utworze tym samodzielność autorska Maksymiliana przybiera większe rozmiary, niż w poprzedzającym; sekretarz bowiem uporządkował jeno dyktaty cesarza. Tak się rzecz ma przynajmniej z historią wojen Maksymiliana od 1478 do 1513 r., które stanowią dalszy ciąg czynów, opowiedzianych w Teuerdanku. W mniejszym stopniu są owocem samoistnej pracy cesarza dwie pierwsze części. Pierwsza przedstawia wyprawę po narzeczoną i małżeństwo *Fryderyka III*, oraz szczęśliwą chwilę pojednania papieża z cesarzem, druga zaś kreśli dzieje młodości i wychowania Maksymiliana. Aczkolwiek obie części nie w zupełności wyszły z pod pióra samego Maksymiliana, interesują jednak bardziej, niż trzecia. Część trzecia albowiem, płacząc zmyślenie z prawdą, mówi tak niejasno lub nawet przeinacza fakty historyczne, że ich nie rozznasz, choćby z pomocą komentarzy; tymczasem dwie pierwsze, lubo pozbawione oryginalności, opowiadają przecież wypadki łatwe do poznania i mające duże znaczenie ze względu na umysłowość Maksymiliana. Tu właśnie mamy obraz wychowania i kształcenia młodego księcia. Zawiera się on już-to w tekście prozaicznym i częstokroć arcyplaskim, już-to w pięknych drzeworytach *Hansa Burgkmaiera*, ogłoszonych dopiero 1775 r. Dowiadujemy się stąd, że Maksymilian studiował najrozsławniejsze jawne i tajemnicze umiejętności i sztuki (uczył się i czarnoksięstwa), że kształcił się w zawodach technicznych i w każdej gałęzi sztuki wojennej, aż wreszcie zdobył wiedzę i znawstwo na wszystkich tych polach. Nie zaniedbano też i nauk specjalnych, dotyczących przyszłej jego działalności jako rządcy państwa. Następnie zdaje egzamin ze swych wiadomości w rozmowie z ojcem, starym Weisskunigiem, wykładając mu zarys tajemniczej swjej mądrości, swego pojęcia o sztuce rządzenia państwem. Zawarł ją w pięciu zasadniczych punktach: w naukach o wszechmocy Boga, o wpływie planet na losy człowieka, o rozumie ludzkim, o zbyt wielkiej

łagodności w rządzeniu, o nadmiernie wielkiej surowości władzy. Wyłożywszy takie przekonania, wyciągnięte z nauki, zasłużył na poklask ojca i podziw biografy.

W pracach tych przebija się wyraźnie chętność. Nie wolne są też od niej i zlecenia artystyczne, które na żądanie cesarza wykonał *Albrecht Dürer* i cenniejsi jego towarzysze. „Brama tryumfalna” i „Pochód tryumfalny” są dziełami, mającemi wszczepić w widza podobne wyobrażenie o blasku i potędze cesarza, jak w czytelnika jego utwory historyczno-poetyczne; oba te dzieła mogą zarazem uchodzić za produkcje nawskroś właściwe epoce renesansu. O bramie tryumfalnej poucza *Jan Stabius*, uczony doradca cesarza, geograf i historyograf, że „Brama tryumfalna cesarza Maksymiliana wzniesiona została przez w tym kształcie, w jakim za czasów starożytnych budowano *Arcus triumphales* (łuki tryumfalne) cesarzom rzymskim w mieście Rzymie; niektóre z nich uległy zniszczeniu, niektóre dziś jeszcze są widoczne”. *Wilibald Pirckheimer* zaś daje uczone objaśnienia o Pochodzie tryumfalnym, przedstawiającym zaszczyt, którego książęta włoscy z czasów Odrodzenia równie gorąco pożąдали, jak i lubili artystyczne jego odtwarzanie. Powiada tedy *Pirckheimer*, że w tym Pochodzie tryumfalnym niesiono wawrzynowy wieniec chwały; na każdym liście lauru była wypisana jakaś zaleta, tak iż wieniec zawierał niby spis alfabetyczny wszystkich cnót głównych, zakończony słowami *victoria* (zwycięstwo) i *virtus* (cnota), wieńczącemi poniekąd cały budynek zwycięstwa i cnoty.

Już w tych pracach posługiwał się Maksymilian pomocą uczonych. Ale i wogóle umiał korzystać z działalności uczonych i wspierał ją, wierny swemu wyrzeczeniu, iż „uczeni są ludźmi, którzy rządzić, a nie poddanymi być winni, że należy się im cześć najwyższa, ponieważ Bóg i natura wynieśli ich ponad innych”. W każdym razie upodobania jego były jednostronne. Dla poezji łacińskiej żadnego nie miał zmysłu, chociaż narobił wielu poetów uwieńczonych. Zapatrując się na rzeczy poważniej, interesował się wyłącznie naukami, a przedewszystkiém badaniami geograficznymi, mianowicie też dotyczącymi jego domu i jego państwa. Z rozkazu cesarza przedsiębrano podróże i poszukiwania, układano tablice genealogiczne, sporządzano spisy monet. Nie była mu też obcą idea zbioru pomników do historyi średniowiecznej Niemiec, co wykonano dopiero w parę wieków później. Patrzymy ze wzruszeniem na żarliwość, jaką w tym kierunku rozwija cesarz; charakterystyczną jest przytém rzeczą, iż nie zapomina, że piastuje godność monarchy i że pochodzi z rodu Habsburgów. Pamięta o swój familii, gdyż w instrukcyach, udzielanych swym posłom, powtarza z naciskiem, aby przepisywali kroniki „wszystkich hrabiów rodu szwabskiego i tych, którzy przed wiekami

byli spokrewnieni z hrabiami habsburskimi"; zaleca im zwłaszcza, aby zapisywali imiona „hrabiów na Habsburgu już zmarłych, a należących do szczeputu, z którego wyszedł król Rudolf". Pamięta, „że jest monarchą, gdyż zarówno w badaniach własnych, jak i innych uczonych ma jedynie na oku wysoko urodzonych, ich pochodzenie i rozgałęzienie." Lecz któżby mu robił zarzut, iż pojmował przez historję opowiadanie o walkach i pokojowych układach królów? Toć tak przecież rozumieli dzieje wówczas wszyscy, dostojnicy i chudopachoły, a rozumienie takie pozostało jeszcze na długo.

Książęta niemieccy onego czasu posiadali taką pod względem politycznym niezależność, iż nieraz wystawiali na sztych byt i całość państwa; jeżeli zaś jednoczyli się, to chyba w oporze władzy cesarskiej. O kulturze humanistycznej nie wiedzieli nic zgoła, a jeśli ją cierpieli, to się uśmiechali, słuchając pochwalnych wierszy poetów nadwornych, lub ognistych deklamacyj mówców. Jużci znajdowały się i między nimi jednostki przychylnie oświacie i nauce. Takim był np. elektor brandeburski, który utrzymywał stosunki z *Janem Trithemiusem*, na założony przez się uniwersytet spoglądał okiem kochającego ojca i z bacznością znawcy; podobnież *Filip, elektor palatynski*, przenikniony niejakiem uczuciem samodzielności, lubo do antypapistów nie należał, opiekował się naukami, których uprawa musiała pociągnąć za sobą oswobodzenie ducha. Większość jednakże na przebudzenie się nowych studyów żadnej nie zwracała uwagi, albo też lękała się, zwłaszcza bystrzejsi, aby nie przyniosły szkody władzy duchownej i powadze książęcjej. A ponieważ łaskawość książąt i wierność literatów nawzajem się warunkują, humaniści więc byli wstrzemięźliwi w pochwałach dla książąt, nie okazujących im szacunku. Z całego tłumu władców niemieckich trzej tylko zasługiwali na pochwały ogólne, ponieważ i ofiary lożyé umieli — a mianowicie: *Eberhard würtemberski, Fryderyk Mądry saski i Albrecht moguncki*.

„Jest-to książę, z którym pod względem rozumu i sztuki nikogo w całym cesarstwie rzymskiem nie mogę porównać". W tych słowach miał Maksymilian głosić przy trumnie *Eberharda* zalety zmarłego. Ale i za życia okazywał mu cesarz uznanie, udzielając godność książęcą (w Wormacyi 1495). *Eberhard Brodaty* (1445—1498) zasługiwał istotnie na pochwały swego zwierzchnika, oraz humanistów niemieckich, a nawet i włoskich. Toć *Marsyliusz Ficino* przesłał mu swe dzieło „O słońcu" (ob. str. 115) z dedykacją pełną wytwornego pochlebstwa: „jak słońce między gwiazdami, tak Ty promieniejesz wśród książąt niemieckich". Włochom dał się poznać podróżą rzymską (1482 r.), podczas której zawadził o Florencję i powitał *Lorenza*,

Niemcom zaś mądrością polityczną i gorliwością o oświatę. Tamtéj dowiódł przez to, że krajowi swemu zapewnił za pomocą układów jednosc i niepodzielność, na zewnątrz bezpieczeństwo utworzeniem związku szwabskiego, a na wewnątrz pokój i sprawiedliwosc wybor-nem urzadzaniem państwa; tę zaś okazał zalozeniem uniwersytetu w Tubingen, oraz dobrocią i szczodrobliwoscią względem uczonych i poetów. Uczonym, co prawda, nie był *Eberhard*; „łacinnikiem go zrobić nie mogłem” — pisze wychowawca księcia — „ponieważ opiekunowie sądzili, że wystarczy tyle, aby umiał czytać i pisać po niemiecku”. Sam wszakże uważał tę odrobinę wiedzy za niedostateczną. Ponieważ grzechu młodości, pochodzącego z zaniedbania, w wieku późniejszym naprawić już nie zdołał, starał się przynajmniej za pośrednictwem tłumaczeń zbadać krainy, dotąd przed sobą zaparte. Przy pilnej pracy został gruntownym znawcą biblii i wtajemniczył się w nauki starożytnych. Zapoznał się z gospodarstwem wiejskiem *Kolumelli*, z medycyną *Piotra Argellaty*, czytał księgi z maksymami mądrości siedmiu mędrców starożytnych, dzieła historyczne *Liwiusza*, *Sallustjusza*, *Józefa*, mowy *Cycerona* i *Demostenesa*. Poci tylko byli mu obcymi; nie dlatego przecież, iżby żywił ku nim wstręt, bo zresztą, zwłaszcza w młodości, nie czuł wcale odrazy do uciech życia, ale dlatego, że nie znalazł człowieka, coby tak trudne zadania potrafił rozwiązać. Nie pogardzał też dobrą lekturą lżejszej treści, którą lubiła również matka jego *Mechtylda*, „Dziewica Austriacka”. Świadczą o tém tłumaczenia bajek *Ezopa* i nowell *Boccaccia*, dokonane przez Szwaba *Henryka Steinhövela*, oraz przekłady *Mikołaja von Wyle*, niektóre wyraźnie są zwrócone do *Eberharda*. Pomijdzy nimi obok rozpraw poważnych, traktujących czasowe kwestye polityczne i religijne, znajduje się także wzruszająca i wyśmienicie opowiedziana historia miłosna *Euryalusa* i *Lukrecyi* pióra *Eneasza Silvia*. Spotykamy też dzieło przeznaczone, zdaje się, dla samego *Eberharda*, które powstało na dworze hrabiego i gorąco go chwali, lubo oświadcza, że hrabia pochwał nie lubi; jest niem świezo po raz pierwszy ogłoszony drukiem zbiór fraszek *Augustyna Tungera*. Zbieracz, człowiek z wykształceniem humanistycznym, w chwili układania książki miał lat 31. Nie zamierzał on bynajmniej księcia pouczać, ale chciał go zabawić i sprawić mu przyjemność figlami, które się wydarzyły na terytorjum hrabiego, lub w najbliższem jego otoczeniu. Idąc torami opowiadaczów tego rodzaju historyjek, mówi o chłopach, kobietach i księżach. Najczęściej wyśmiewa głupotę chłopów, chwali jednak niekiedy, może nie bez ubocznych tendencyj demokratycznych, tryumfy ich przebiegłości, albo też z upodobaniem przedstawia zwycięstwo złego człowieka, co to mądrze wykrywa słabostki przeciwnika i umie z nich korzystać nad dobrodusznym gamoniem. Gromi niewierność

i strojnisiostwo kobiet, oraz ich żądę rozkoszy miłosnych; chociaż udaje, iż robi ścisłą różnicę między niewiastami dobrimi a złemi, wiernymi a wiarołomnemi, w całym przecież szeregu powiastek, traktujących o uciechach zmysłowych, ledwie tu i owdzie podaje jaką mówiącą o miłości prawdziwą, i to nie bez przymieszek fluterności. Książę i ich niemoralność przedstawia w powiastkach nader dosadnych; duchownych tu wystrychują na dudków, podczas gdy oni pragną innych wywieść w pole i pokrzywdzić. Chłoszcze też inne ich przywary; wytyka więc nieuctwo tak wielkie, że zakrystyan czytać nieumiejący wskazuje kapłanowi we mszale miejsca, które ma wygłosić; odsłania pychę wyniosłą, sprawiającą, że na penitentów nakładają księży kary surowe, ale własnym zachciankom puszczają wodze bezkarnie; uwydatnia obłudną skromność, trwającą dopóty, dopóki ksiądz nie otrzyma wyższego stanowiska, ale po uzyskaniu urzędów i godności przechodzącą w dumę i lekceważenie przyjaciół dawniejszych; karci skupianie prebend w jednych rękach, co pociąga za sobą koniecznie złą administrację probostw. Występując przeciw duchowieństwu, staje *Tünger* w szeregach licznego tłumu moralistów humanistycznych. Ale podobien im jeszcze i z tego względu, że na równi z nimi zwalcza niemoralność onego czasu, ostrzega przed pieńactwem, wydrwiwa tłumaczenie snów i zabobony; roznieca wreszcie patryotyzm nie przez to tylko, iż wierność Niemców przeciwstawia wiarołomstwu Włochów, ale i tém także, iż Niemcom poleca gorąco używanie języka ojczystego, zupełnie równouprawnionego z językami cudzoziemskimi. Pod tym względem wypowiada bodaj przekonanie i hrabiego *Eberharda*, który kochał nauki, nie znając wcale języka łaćnińskiego.

Czém była Tübinga dla Niemiec południowo-zachodnich, tém dla środkowych była Wittenberga z uniwersytetem, założonym podczas rozkwitu humanizmu. Jak tam *Eberhard*, tak tutaj reprezentował godnie interesa swego kraju *Fryderyk Mądry* (1463—1526), elektor saski, zaufany przyjaciel cesarza i przezeń zawsze szanowany. Fryderyk, książę mądry, jeden z najpotężniejszych w owe czasy, był człowiekiem, który po śmierci Maksymiliana miał widoki pozyskania korony cesarskiej; jakoż otrzymał na wyborach kilka głosów, lubo się o nie wcale nie ubiegał. Miłował pokój i cieszył się, że imię jego „*Friedreich*” objaśniano przez „*reich an Fried*”; granic kraju więc nie rozszerzył, ale dziedzictwo zachował w całości. Roztropny w radzie, nawet wśród trudnych okoliczności bystro właściwe znajdował wyjście; to było powodem, że jakiś naiwny wielbiciel elektora wyrzekł: „gdyby Fryderyk nie urodził się był księciem, byłby conajmniej sołtysem we wsi”. W działaniu powolny i tak oględny, że dziesięć do dwudziestu razy zmieniał pisma, zanim je wyprawił. To też refor-

macyę, chociaż w jego kraju wzięła początek, przyjął nie z gwałtowną porywcznością, lecz „ostrożnie i z konieczności“. Z tej więc przyczyny został aż do końca życia poniekąd wierny praktykom kościoła dawnego; spowiadał się i nie opuścił żadnej mszy, nawet na polowaniu lub w podróży. Przestrzegał nie tylko obrządków, ale posiadał umysł prawdziwie pobożny, łagodny i czysty. Nie kłął nigdy, do otoczenia przemawiał w słowach niemal tkliwych: „moje kochane, pobożne dzieci“; nawet względem wrogów, których miał zresztą mało, nie używał wyrazów ostrych, co najwyżej mawiał: „Niechaj im Bóg wybaczy“. Dobrotliwy dla ludzi, wołał darowywać, niż pożyczać, ponieważ sprawiała mu mękę pamięć o dłużnikach, do których należał i Maksymilian; od swoich żądał też postępowania podobnego a nieużytych potępiał. Jakiegoś szlachcica scharakteryzował „wbrew swemu zwyczajowi słowami przykreimi“: „zaprawdę jestto człowiek zły, bo na biednych nie łaskaw“.

Uczonym nie był *Fryderyk*. W młodości nauczył się łaciny, nauczycielowi aż do śmierci okazywał czułą życzliwość, przechowywał w wiernej pamięci nabyte wiadomości, ale po łacinie mówić nie lubił, co najwyżej cytował sentencye, które sobie przyswoił z *Katona* i *Tercencyusza*, lub przystrajał mowę okruciami łacińskimi, które zdradzały raczej zamiłowanie języka, aniżeli jego znajomość. Z uczonymi jednak przestawał chętnie. „Wszystkich uczonych i znających sztukę, biegłych w piśmie i rzemiosłach, niezawodnie najmiłościwiej lubił i cenil, świadczył im łaski i dobrodziejstwa różnymi sposoby, niektórych powoływał łaskawie do rady, i do stołu, i do spraw wielkich, i łaskawie ich chował w poczciwości“. Tak mówi zaufany jego historyograf i, aby sąd swój uzasadnić, wymienia wcale pokazną liczbę tych, co doznawali względów księcia. Przytoczenie tej listy byłoby jeno niepotrzebnem nagromadzeniem imion. Zamiast więc przywodzić nazwiska wielu mężów mało znaczących lub też głośnych na innych polach działania, ale nie w zakresie humanizmu, uważamy za właściwsze scharakteryzować jedną tylko znakomitość, którą autor powyższej cytaty pomija; a jest nią właśnie sam historyograf, *Jerzy Spalatin*.

Jerzy Spalatin (właściwie *Burkhard* ze *Spalt*, stąd *Spalatin*, 1484—1545) jest politykiem i historykiem, teologiem i humanistą. Pod rządami dwu książąt, *Fryderyka Mądrego* i *Jana Stałego*, kierował sprawami elektorstwa. Skreślił też życie ich obu i dzieje współczesne z talentem godnym uznania i niepoślednią sztuką w charakteryzowaniu; pracę jego wspierała pamięć wyborna, moc szacownych materyałów i miłość prawdy. Zamianuje ją przytém ten niekiedy suchy, kancelaryjny, oraz wymuszony, rocznikarski sposób opowiadania, nie pozwalający mu zgłębić przyczyn wypadków, powiazać faktów i wy-

prowadzić następstw dalszych. Już w tém dziele ukazuje się Spalatin żarliwym luteraninem. Wspominając oto dwa wydarzenia współczesne, spalenie męczennika luterńskiego w Wiedniu (1524) i zaszły w kilka dni potem pożar, którego ofiarą padło 800 domów murowanych, stara się wykazać związek obu tych faktów, mówiąc: „jak gdyby Bóg pragnął wyrzec: palicie wy mi moich ludzi, niewinnych i bez przyczyny, to i ja spuszczę na was ogień i palić będę”. Najbardziej jednak pociąga ku sobie, kiedy występuje w charakterze humanisty, badacza i uczonego. Pociąga zaś rozległą korespondencją, utrzymując stosunki literackie z towarzyszami w całych Niemczech; zjednywa nas gorliwością nieznużoną o język grecki, rozczulającą w pierwszych mianowicie czasach, kiedy sprowadzanie ksiąg greckich z za Alp połączone było z wielkimi trudnościami; wabi nas przez swój stosunek z *Mutianem*, utalentowanym głosicielem wielkich idei humanistycznych, który w obcowaniu z tym młodzieńcem bez trosk a zapалу pełnym zapomina o biedzie i małostkowej nędzy życia. Temu usposobieniu młodzieńczemu pozostaje Spalatin wierny, przechowuje w duszy cześć dla mistrza, a wraz z nią zamiłowanie do studyów stażożytnych, które wszczepił weń nauczyciel.

Trzeci z książąt niemieckich, *Albrecht*, elektor, kardynał i arcybiskup moguncki, rozwijał podczas długiego żywota (1480—1545) działalność nie zawsze chwalebna i pomyślną. Albrecht nie jest patryotą, coby we wszelkich czynnościach miał sprawy ojezyczny przedewszystkiēm na oku; nie jest też religiantem, coby wyłącznie lub przeważnie brał sumienie za wytyczną wskazówkę postępowania. Umie zręcznie lawirować i zawsze utrzymać stanowisko zagrożone. Przyjmuje tedy dedykację dzieła, wymierzonego przeciw świeckiej władzy papieża, i okazuje się bardzo niełaskaw na tych, którzy w głównym sporze humanistycznym wydają się za obrońców napastowanej religii; takim postępkim utracą powagę kościelną, ale odzyskuje ją niebawem surowem prześladowaniem przeciwników religijnych, których nazywa gotowymi kacerzami, oraz kornēm poddaniem się rozkazom papieskim. W sprawach politycznych i kościelnych stałością się nie zaleca — to prawda, ale przez całe życie interesuje się ustawicznie literaturą i sztuką; on jeden może z pośród książąt niemieckich utrzymuje rodzaj dworu literackiego. *Reuchlin* przesyłając (1518 r.) Albrechtowi dedykację, wychwała w niej bogaty umysł księcia, naukę, czystość obyczajów i wspomaganie potrzebujących; nagle pochwałę przerywa, bojąc się, aby nie wyglądała na pochlebstwo, i mówi dalej: „Pocóż mi wyliczać Twe cnoty? Przecie é głośno mówią o Tobie mężowie Cię otaczający, *Ulrych von Hutten*, *Henryk Stromer*, *Wawrzyniec Truchsess*”. *Truchsess*, dziekan kościoła mogunckiego, przejęty dążnościami naukowemi, był teologiem szlachetnie myślącym

i zupełnie oddanym nowemu kierunkowi. *Stromer*, lekarz z wielostronnem wykształceniem, prócz autorów medycznych znał dokładnie klasyków i zwalczał wrogów humanizmu z energią często dla nich niepożądaną. O *Huttenie* pomówimy obszernie później, gdyż działalność jego jako urzędnika dworu mogunckiego (jeździł raz w poselstwie do Francji) była jeno chwilową. Wspominając jednak *Huttena*, nie możemy zamilczeć męża, który go do służby mogunckiej nakłonił, i dwu dzieł, które sam napisał o dworze mogunckim. Mężem tym jest *Eitelwolf von Stein* (ok. 1450 — 1515), nie zaliczony przez *Reuchlina* do ozdób dworu arcybiskupiego z powodu wczesnej śmierci, ale figurowałby między nimi napewno, gdyby żył dłużej; był bowiem przyjacielem *Reuchlina*, a wrogów jego nazywał szorstko: wszami *Kapniana*. *Eitelwolf* jest jednym z pierwszych rycerzów, co poważnym studyum się poświęcili; wykształcenie odebrał we Włoszech; mimo że rycerzem pozostał i wysoki urząd piastował, całą duszą należał do koła uczonych. Opowiadają, że gdy jakiś rycerz prawił mu „o ludziach naszego stanu“, zagadnął go: „jakiego stanu? Stanu rycerskiego czy uczonych? albowiem my należymy do obu“. *Eitelwolf* nie pisał nic, gdyż wszystkie czas pochłaniały mu liczne zajęcia urzędowe; — był też, że użyję wyrażenia dzisiejszego, deputowanym sejm brandeburskiego i pierwszym ministrem. Żarliwie popierał za to wszelkie dążenia umysłowe; pomagał do założenia uniwersytetu frankfurckiego, pragnął uczynić go siedzibą humanizmu, starał się uniwersytet moguncki, będący dotąd właściwie szkołą teologii, przekształcić na wzorowy i, ściągając doń znakomitszych młodzieńców, stworzyć wyborową akademię nauk.

Z pomiędzy młodzieńców liczył głównie na *Huttena*. Nakłonił go więc do napisania panegiryku dla *Albrechta*, co też było bezpośrednią pobudką powołania *Huttena* do *Moguncyi*. W wierszu tym nie żałuje *Hutten* słów górnołotnych: każe minionym już pokoleniom zwiastować wielkość opiewanego, wzywa *Ren* i wszystkich bogów rzecznych, aby witali nowowybranego władcę zasiadającego tron nadreński, porównywa go z *Herkulesem*, wybierającym na rozstajnych drogach cnotę, wychwala go, z wyraźną alluzją do mniej dzielnych kolegów księcia, jako wzór umiarkowania i obyczajności, dobroczynności i miłości dla sztuki i nauki. Z tém wszystkiem umiał *Hutten*, co było zresztą jego zwyczajem, przemawiać bez ogródek i do opiekuna. Dowiódł tego w dwu wypadkach. Raz, wydając dzieło *Valli* o darowiznie *Konstantyna*, zaopatrzył je w przedmowę, zabarwioną tendencjami silnie antypapieskimi, a skierowaną właśnie do *Albrechta*; powtóre dyalogiem o życiu dworskiem, któremu dał tytuł: *Misaulus, nieprzyjaciel dworów książęcych*, doskonale malującym sposób myślenia autora. W dyalogu swym (rozmowa między *Misaulusem* i *Kastusem*,

naśladowującym zresztą dzieła dawniejsze, przedstawia dwór nietylko jako siedzibę niewoli, widocznej dla każdego wroga służebnictwa, ale nadto jako gniazdo chorób i występków. Zaznaczyć tu trzeba, iż rozprawia w nim autor o życiu dworskiem wogólności. Niektóre bowiem wynurzenia, jak np. wzmianka o żonie i córce księcia, których szczególniejsz strzedz się wypada, niby skał podmorskich w żywocie dworskim, wykluczają mniemanie, jakoby Hutten miał na myśli Moguncję jeno. W każdym razie niewątpliwą jest rzeczą, iż dwór moguncki, jedyny lepiej znany Huttenowi, był podniętą i dostarczył materiału do gwałtownego dyalogu. „Książęta niemieccy po większej części“ — naucza Hutten, wedle zdania *D. F. Straussa* — „są obecnie ubodzy wskutek marnotrawstwa, zbytków i udawania wielkopańskości; dworzaninowi przychodzi nędzne swe utrzymanie, lichą ową płacę wymuszać na nich, przychodzi nieraz, zamiast w służbie coś zarobić, własnym nadstawić workiem. Toż w wyborze i ocenie swych służebników okazują książęta wiele nierozsądku. Pragną mieć w swém otoczeniu postaci atletyczne, tak je przynajmniej w swych mózgownicach wyobrażają; odrzucają natomiast precz ludzi drobnych, niepozornych, choćby byli najmądrzejszymi i najzdolniejszymi”.

Gdyby wówczas zapytano Huttена, czego by, niezadowolniony z dworów książęcych, życzył sobie, odpowiedziałby: żyć jako wolny rycerz we własnym zamku, później, kiedy się pozbył jednostronności rycerskiej i przenikliwiej zaczął patrzeć, wybrałby miasto. W końcu bowiem i on się przekonał, że miasta, jak mawiał, musiały pomódz „do zaoszczędzenia narodowi niemieckiemu krzywd, drwin i szyderstw“, albo że, jak my rzekli byśmy, są miasta prawdziwemi ogniskami kultury umysłowej.

ROZDZIAŁ TRZECI.

M i a s t a n i e m i e c k i e .

Polityczny i umysłowy rozwój miast i mieszczaństwa jest jednym z najważniejszych momentów w okresie przejściowym od wieków średnich do nowych. Silne mury oparły się napadom rycerstwa. Mieszczanie zapewniwszy sobie bezpieczeństwo, użyli chwil pokoju nie tylko do rozszerzenia handlu, ale do rozwinięcia życia konstytucyjnego, do zaprowadzenia nowych praw i nowej oświaty.

Gdyby ktoś pisał historię miast niemieckich w XV i XVI wieku, przytoczyłby wcale okazały spis takich grodów, które swym dobrobytem dawały rękojmię siły i zdrowia życia niemieckiego; pomiędzy nimi zaszczytne zająłby miejsce Frankfurt, który już wówczas imponował cudzoziemcom; znalazłyby się prócz tego inne jeszcze, o których będzie mowa później, jako o siedzibach szkoły lub uniwersytetu. Ktoby zaś chciał wymienić główne ogniska działalności humanistycznej, mógłby poprzestać na Strasburgu, Augsburgu, Norymberdze.

W pewnej komedyi, pochodzącej z ostatniej ćwierci wieku XV, występują wskrzeszeni pisarze rzymscy *Cyceron* i *Cezar*. Podróżując po Niemczech, rozmawiają o dziwach, jakie spotykają w tym kraju, niegdyś barbarzyńskim. Oto wydaje się im Strasburg, „najpiękniejszem z miast niemieckich, podporą i ozdobą Ojczyzny“; o Augsburgu twierdzą, „że Rzym ze starożytnymi Kwirytami tam przywędrował“. O Norymberdze zaś, „że jest Koryntem Niemiec, jeżeli zwrócisz uwagę na cudowne dzieła artystów, a jeżeli spojrzysz na mury i baszty, żaden Mummiusz tak łatwo ich nie zdobędzie“.

Z miast tych należy się pierwszeństwo Strasburgowi. Tu w sąsiedztwie Francyi i wobec nieustannych grózb z jej strony rozwinęło się właściwe niemieckie życie umysłowe, tu zapuściła najwcześnieją korzenie idea humanistyczna. Wyobrazicielem nowego kierunku jest *Jakób Wimpheling*. On i jego towarzysze pod niektórymi względami różnią się od mężów sobie współczesnych, reprezentujących podobnież dążenia w pozostałych Niemczech. Listy ciemnych mężów nazywają go połowicznym reuchlinistą (*medius Reuchlinista*). To znaczy najprzód, że nawpół tylko stoi po stronie Reuchlina w słynnej jego walce z Kolończykami, a w dalszym ciągu znaczy jeszcze, że do połowy jeno wtajemniczył się w istotę humanizmu i w idee humanistyczne. Mówi bowiem łaciną niezupełnie czystą, gdyż nie odróżnia epoki augustowskiej od czasów późniejszych nieklasycznych, chrześcijańskich, nie zna wcale greczyzny, nie może nigdy w badaniach starożytności oswobodzić się od myśli, że bierze pod rozwagę czasy pogańskie, a stąd nie może się nigdy opędzić skrupułem teologicznym, chrześcijańskim. Nietolerantny względem innych i do ustępstw wcale niesklonny, wściekał się z gniewu, jeśli spotykał zdania swoim twierdzeniom przeciwne; przytém upór teologiczny potęgował jego humanistyczną żądzę sporów. W gruncie bowiem jest teologiem; ale jako ksiądz świecki napada na mnichów za ich nieobyczajność i lekceważenie nauk. Swemi napaściami wywołał nawet walkę. Oto w dziele *De integritate* (o czystości obyczajów) chłoszcząc mnichów, odważył się na zdanie, które dziś jest zupełnie naturalne, lecz wówczas musiało ogromne zrobić wrażenie, że *Św. Augustyn* zakonnikiem zgola nie był, i że nie jest autorem pisma, na podstawie którego Augustyanie chcieli dowieść, iż należał do stanu zakonnego. W témże samém dziele pragnąc wykazać wyższość duchowieństwa świeckiego, ułożył listę księży niezakonnych; na czele paradowali Mojżesz i Chrystus, a ci wielkich przecieź dokonali czynów. Spis ten zadał przeciwnikom cios daleko dotkliwszy, aniżeli twierdzenie o *Św. Augustynie*; mnisi jednak podjęli tę ostatnią kwestyę, ponieważ czuli, że tamtęj nie podolają, acz na seryo nie można brać wiadomości o kazaniu *Murnera*, dowodzącego, jakoby Chrystus rzeczywiście był mnichem. Stąd wszczął się długi i gwałtowny spór o znaczenie duchowieństwa klasztornego. Z jednéj i drugiéj strony silne padały gromy. Rozjątrzeni zakonnicy przedstawili sprawę papieżowi i dopiero potężne słowo głowy kościoła spór odroczyło, ale nie rozstrzygnęło. Tę utarczkę literacką nazwano przygrywką do sporu reuchlińskiego. I tu okazało się znowu, że *Wimpheling* był jeno *medius Reuchlinista*, gdyż zwalczał co najwyżej habity i uroszczenia ich nadmierne, ale nie występował bynajmniej przeciw duchowieństwu wogóle lub istocie stanu duchownego.

Jużci stanu duchownego wogóle zwalczać nie mógł, boć sam należał do niego i formalnie i z przekonania. Musiał to jak najwyraźniej zaakcentować w innej walce literackiej, do której mógłby był wcale się nie mieszać, gdyby był mniej próżny i kłótlivy. Z *Wimphelingiem* pozostawał w stosunkach Locher. *Jakób Locher* (1471—1528) już swym przydomkiem *Philomusus* ujawniał zamiłowanie do studyów klasycznych, a usprawiedliwił je kilku wybornymi pracami, jak np. pierwszém w Niemczech wydaniem *Horacyusza*. Gorliwy humanista nieprzyjaźnie był usposobiony względem kolegi, *Jerzego Zingela*, profesora w Ingolstadzie. Zingel nazywał teologię jedynie prawdziwą umiejętnością, każdą zaś inną, mianowicie też humanistyczną a przedewszystkiém poezycę, uważał za bezpożyteczną, nawet szkodliwą, o ile nie uznawała teologii za macierz wszech nauk. Locher natomiast utrzymywał, że uprawiana przez Zingela teologia jest niedorzecznością scholastyczną, że prawdziwa teologia, teologia biblii i ojców kościoła, którą sam poważa, musi traktować poezycę, jako towarzyszkę równorzędną, a nie jako służebnicę poddaną, że obie dopiero tworzą całość harmonijną, stanowią umiejętność istotną. Przeciwnictwo to zaostrzył jeszcze odmienny pogląd na życie: wesóły, pogodny, lekkomyślny ze strony humanisty a poważny i surowy ze strony teologa. Locher wystąpił z dwoma gwałtownymi paszkwilami 1503 i 1505 r., mieszając obyczajem polemistów niewłaściwie osobę przeciwnika z rzeczą oraz wymierzając cięcia z boku, które mogły ranić innych, nie zaś wroga głównego. Otóż *Wimpheling* czuł się głównie dotknięty napaścią, skierowaną przeciw spółwyznawcy zasad i osobitemu przyjacielowi. Zagrzewał więc napadniętego do obrony i popierał go w skardze przedstawionej uniwersytetowi. Wówczas Locher już to, by interwencją nieproszoną i niepożądaną odeprzeć, już to, by toczyć dalej walkę przeciw poglądom przestarzałym, ogłosił *Comparatio Mulae et Musae* (Porównanie mulicy z Muzą). Biczuje tu nielitościwie poszukiwaniami nader subtelnymi „mulę teologię” scholastyczną, broni zaś poezyi, boskiego daru Muz, sztuki uprawianej przez tylu poetów utalentowanych; dowodzi przytém, że poezya nie sprzeciwia się bynajmniej teologii, i że ją pielęgnowali zawsze, wiele nauczyciele kościoła czasów dawniejszych. Pismo to wśród własnych sprzymierzeńców nie rozbudziło takiego zajęcia, na jakie zasługiwało, i uiebowem poszło w zapomnienie; nawet imię Lochera rzadko wspominają późniejsi. Zaniedbanie podobnego rodzaju jest po części rezultatem odosobnienia, w jakim pod koniec dui żył Locher. W gruncie jednak tłumaczy je ta okoliczność, że autor, wczorajszy demagog, dzisiaj staroliberal, a jutro konserwatysta, był wrogiem zarówno dążeń humanistów późniejszego okresu, jak i poglądów teologów dawniejszych. W oczach historyka jednakże zasłu-

gują zapatrywania Lochera na uznanie najwyższe. Dlaczego? Oto są one z jednej strony poglądami estetycznymi, gdyż wytworzyło je rozkoszowanie się formą piękną, z drugiej zaś pośrednicząco-historycznymi, ponieważ oceniając rozumnie wymagania terażniejszości, z przeszłością nie zrywają, ale czerpiąc z niej soki pożywne, torują powolne przejście do tworców nowych.

W one czasy znalazła książka Lochera mało przyjaciół a wielu przeciwników. Nawet *Murner*, który i z Wimpelingiem nie stał zresztą na dobrej stopie, przyłączył się do ich szeregu; tłumnie też ciągnęli do nich Wimpelingianieści, aby bronić swego mistrza; sam wreszcie Wimpeling zabrał głos w sierzdziej odpowiedzi pod napisem: „Obrona teologii przeciw wstrętnej książce Lochera” (*Contra turpem libellum Philomusi defensionis theologiae*). Usiłuje tu spotwarzyć i przeciwnik i osobę nieprzyjaciela. Spotwarza osobę, twierdząc, że przeciwnik nie godzien wieńca poetyckiego, że stara się wykryć sprzeczności niemożliwe do pogodzenia we wcześniejszych i terażniejszych pismach wroga, że radby wreszcie podjudzić przeciw niemu inkwizytora i zagrozić mu wygnaniem a już co najmniej pęgiem. Spotwarza rzecz samą, ponieważ potępiając teorię użyteczności, głoszoną już dawniej przez przeciwnika, utrzymuje, że poezya jest nieużyteczną, ba! że jest szkodliwą, boć przecie nie nadaje się ani do rozstrzygnięcia procesu, ani uleczenia choroby; ponieważ odmawia poezyi imienia umiejętności, — pocziwina Wimpeling nie chciał jęj nazwać sztuką, uważając to raczej za obelgę, niż za tytuł zaszczytny; ponieważ wreszcie z wielkiem uczuciem tryumfu, ale i z również wielką zarazem nieznanomością historii, przywodzi fakt, że większość poetów zginęła śmiercią haniebną. Jedną tylko klasę poetów wyłącza od potępienia — poetów chrześcijańskich, a mówiąc właściwiej teologów, którzy pobożne rozprawy pisali nie mową wiązaną, lecz prozą. Tak daleko zapędził się humanista niemiecki! Doprowadził go do tego częścią zapał polemiczny, rzucający pociski po za cel, częścią błoga przyjemność w dalszém snuciu poglądów ciasnych i lekceważeniu skarbów, które stanowiły prawdziwą rozkosz i istotną treść życia humanistów wszech krajów.

Gdyby ta myśl była okolicznościowem tylko wynurzeniem jednostki, zasługiwałyby ledwie na wzmiankę przelotną. Tymczasem należało ją podnieść z naciskiem, ponieważ jest programem stronnictwa całego. Zespalając się ze zdaniem Wimpelinga, dowodzi oto *Zasius* w osobnej rozprawie, że duchowni nie powinni czytywać poetów świeckich. *Konrad Wimpina* zaś naciera wprost na wywody Lochera swoją „Apologią teologii przeciwko tym, którzy uważają poezyę za jęj głowę, jęj źródło i szaniec”; stara się tu udowodnić nie tylko bezpożyteczność, ale i szkodliwość nawet poetów. A jak mądrze dowo-

dzi owęj bezpożyteczności, świadczy między innymi zwrot tak drastyczny: spróbuj przy pomocy wszystkich poetów greckiej i rzymskiej starożytności rozstrzygnąć ważną kwestyę teologiczną: *sacramentalia a sacramentis distincta*.

Również ciasnym jest Wimpheing i w polemice patryotycznój. Jest on wyłącznie Niemcem. Stąd uczuwa jeno pogardę dla Szwajcarów i ich walki o niepodległość, nie uznaje działalności innych narodów, lecz radby w swęj „Historji niemieckiej” wszystko, co doskonałe, przypisać tylko Niemcom. Jednostronność jego patryotyzmu nderza szczególnie w nienawiści do Francuzów. Wypowiada ją już to w mizernych wierszach niemieckich, wymierzonych przeciw *Robertowi Gaguin*, który pochwalił uprowadzenie *Anny de Bretagne*, narzeczonej *Maksymiliana*, przez *Karola VIII*, króla francuskiego; wypowiada ją wreszcie w dziele napisaném po niemiecku i po łacinie pod tytułem: *Germania* (Niemcy), któremu dał odprawę *Tomasz Murner*.

Wymiana pism obu tych autorów ma znaczenie nietylko dla nich samych, ale i dla alzackiego koła uczonych, ba! jest nawet tak charakterystyczném znamieniem w historii całego humanizmu niemieckiego, że nieco więcej miejsca poświęcić jęj musimy.

Książka Wimpheinga p. n. *Germania* wyszła z druku w języku łacińskim 1501 r., redakcyja zaś niemiecka była ofiarowana tylko członkom rady strasburskiej. Rozpada się ona na dwie części, ściśle biorąc, niezupełnie ze sobą związane. W jednej, przeznaczonęj właśnie dla mieszczanstwa, traktuje autor o konstytucyi miejskiej, w drugiej zaś usiłuje wykazać, że Alzacya nigdy nie należała do Francyi. Zdanie uzasadnia domysłami prawdopodobnemi, przedniejszemi świadectwami i pisarzami wiarogodnymi. Na czele swego wykładu stawia twierdzenie: „Nigdy żaden król rzymski nie pochodził ze szczepu galijskiego. Przeciwnie! Jeżeli nie z Italii, to pochodzili królowie z innych prowincyj, z Tracyi, Arabii, Pannonii, Illiryi aż do *Karola Wielkiego*. Ten zaś monarcha był Niemcem i cesarstwo rzymskie przekazał w spadku Niemcom, którzy nieprzerwaną koleją w rękach je swoich dzierżyli! Cezar myli się, kiedy mówi, że Ren stanowi granicę Galii. Boć przecie między Gallią właściwą a Renem leży cały kraj austrazyjski i Wogezy, tworzące wyborną ścianę graniczną .

To główne twierdzenie popiera Wimpheing kilku domysłami. W rzędzie ich figuruje pamięć o *Pipinie* Austrazyjczku, która przeniknęła nawskroś świadomość ludu niemieckiego, przeszła nawet w przysłowia. Dalej niemieckość *Karola Wielkiego*, który dzieciom i mieszkańcom niemieckie ponadawał nazwy, w Niemczech najchętniej przemieszkiwał i tam najwięcej zakładał miast i klasztorów. Wreszcie bohaterstwo Niemców starożytnych, którzy nie pozwolili się nigdy

podbić władcom świata *Cesarowi* i *Augustowi*; nie ścierpieli więc nigdy i jarzma królów francuskich, którzy obu Rzymianom przecież nie dorównywali.

Domniemania atoli nie wystarczają, jeszcze do odparcia wszelkich wątpliwości. Ucieka się tedy autor do świadectw i dowodów, czerpanych z dokumentów i pisarzy. Przywodzi świadectwo *Tacyta*, który Kolonię, Spirę, Wormacyę i Strasburg wymienia w szeregu miast niemieckich; *Ammiana Marcellina* i *Corpus juris*, którzy idą za *Tacytem*; *Eneasza Silvia* i *M. A. Sabellica*, którzy Karola Wielkiego nazywają „Niemcem”; przytacza wyrażenie papieża *Inocentego III*, użyte w pewnym dokumencie, że cesarstwo rzymskie przeszło od Greków do Niemców, naczątek przypomina zdanie *Petrarki*, że cała dolina nadreńska jest piękną częścią Niemiec.

Wykazawszy następnie, że tożsamość herbu (lilie) Francyi i Strasburga jest czysto przypadkową, i oświadczywszy, że wysnuwanie dalszych następstw z takiego bądź-co bądź osobliwszego trafu jest niedopuszczalne, kończy z dumą patriotyczną: „Jesteśmy Niemcami, nie Francuzami; więc kraj nasz, zamieszkiwany przez Niemców, musi nosić nazwę Niemiec, nie Francyi. Fakt uznali już Rzymianie. Kiedy bowiem, ujarzmiwszy nas, Alemanów nad Renem, pociągnęli za Ren i zobaczyli, że mieszkańcy prawego brzegu podobni są nam z dzielnej odwagi, silnej budowy ciała, jasnych włosów, a także z obyczajów i trybu życia, nazwali nas Germanami, t. j. braćmi. Ale z drugiej strony niezawodną jest rzeczą, że my, ci Germanowie, nie podobniśmy Gallom ani z koloru włosów, języka, rysów twarzy, ani z charakteru i obyczajów. Sprawiedliwie przeto miasto nasze i cała Alzacya zachowuje wolność cesarstwa rzymskiego i zachowają na przyszłość pomimo wszelkich usiłowań namowy i podboju ze strony Francyi”.

Swoi wynosili *Wimphelinga* pod niebiosa z powodu tego dzieła. Najbardziej odznaczył się porwany zapalem pewien młody poeta. W wierszach pochwalnych nazywa go *Kamillusem*, ponieważ na nowo założył Alzacyę; *Likurgiem*, ponieważ zalecał swemu grodowi przepisy prawa; *Numą*, ponieważ stosunki istniejące uświęcił, jakgdyby wyrokiem boskim. Tém więc boleśniej dotknęły *Wimphelinga*, rozpieszczonego pochwałami, drwiny i nagana ze strony *Murnera*, który jego „Niemcom” przeciwstawił swoje „Nowe Niemcy”. W piśmie tém przywodzi twierdzenie przeciw twierdzeniu. Powiada, że w samej rzeczy niektórzy królowie rzymscy byli wybierani ze szczerpu galijskiego, że i *Karol Wielki* był Gallem, chociaż później lubił wydawać się za Niemca, że Ren jest granicą Niemiec, lecz nie rzeką niemiecką, że Austrazya, jak tego dowodzi panowanie *Chlodwiga* i innych, należała do Gallii. Zbija dalej domniemania *Wimphelinga*

i odrzuca jego świadectwa. Z przysłowia wysnuł Wimpeling niemieckość *Pipina*. Na to Murner: więc i *Salomon* powinienby być Niemcem, ponieważ często się mawia: „I Salomon z próżnego nie naleje“. Karol Wielki miał być Niemcem, ponieważ mówił po niemiecku, więc *Maksymilian* powinienby z urodzenia być Francuzem, ponieważ wybornie mówi po francusku; niezależność Niemców istniała dopóty, dopóki się utrzymywało ich pogaństwo; skoro zaś przyjęli jarzmo chrześcijaństwa, okazywali gotowość do znoszenia wszelkiego jarzma.

Z dowodami Wimpelinga załatwia się Murner nader prosto. Autor wyprowadza do boju siedmiu pisarzów; przeciwnik robi uwagę: „Kto o siedmiu mówi, ten lubi kłamać“. Autor dużą przypisuje doniosłość nazwie „Germanów“ u Tacyta; przeciwnik na to: tak, Germanowie, t. j. bracia Rzymian w waleczności, odwadze i szlachetnym sposobie myślenia. Pocił się Wimpeling, aby dowieść, że tożsamość herbu francuskiego i strasburskiego nie oznacza bynajmniej pochodzenia wspólnego, ani zależności politycznej; Murner z lubością zabawia się tym przedmiotem, ale wyniknąć mogące z wykładu autora obawy rozprasza słowami: „Niewolnikami Gallów nie byliśmy nigdy i nie jesteśmy, albowiem wolnością udarował nas Karol Wielki“.

Zapyta ktoś teraz, biorąc pod uwagę te wolności i niemieckość, tehnące wynurzenia, w jakim celu zbija Murner historyczne wywody Wimpelinga? I na to daje sam odpowiedź: „Abyśmy z przyczyny nieznamomości dziejów nie stali się pośmiewiskiem świata; abyśmy nie obrażali świętych obowiązków wdzięczności dla Francuzów, którym winniśmy chrześcijaństwo i wiele urzędzeń dobroczynnych; abyśmy lekceważeniem Francuzów ukołysani do śpiączki nie popadli tém łatwiej w ich sidła“.

Naturalnie pismo Murnera zniesławili wszyscy dobrze myślący humaniści. Jednakże mimo powierzchowność i lekkie traktowanie rzeczy poważnych na zelżenie nie zasługuje ono wcale. Przeciwnie! Godne jest uwagi, ponieważ znamionuje rozsądne usiłowanie, by powściągnąć wybujałe fantazyowanie patryotyczne. Gdyby nawet Murnera książka trafiła więcej w myśl owych dzielnych Alzatezyków, to i w takim razie nie znalazłaby głośnego poklasku. Chociaż bowiem humaniści nie tworzyli prawem opisaną korporacyi, stanowili przecież cech istotny i sypali pochwały tylko członkom swego koła. Murner zaś nie był humanistą; w łacińskim języku wydał jedyne pismo, to właśnie, o którym mowa. Nie był i uczonym, chociaż przy sposobności uczonego udawał. Był właściwie popularyzatorem wiedzy naukowej. Na tém polu działania leży główna zasługa Murnera, mimo że krzywo nań patrzeli humaniści. Drugą zaś jego zasługą jest pokazna liczba niemieckich utworów poetycznych: satyr przeciw zepsuciu

obyczajów duchowieństwa i smutnym moralnym stosunkom epoki. W utworach tych, jak i we wszystkich zresztą pracach, samodzielnością się nie zaleca. Jest Murner naśladowcą Sebastyana Branta, ale przewyższa go talentem i dowcipem.

Sebastyan Brant (1457—1521), strasburezyk rodem, profesor w Bazylei, od 1500 r. pisarz miejski w grodzie ojczystym, jest humanistą zupełnie wedle serca Wimphelंगा. Podobny do niego z ciasnoty zapatrywań patryotycznych, dzieli z nim do pewnego stopnia poglądy na poetów starożytnych, lubo w młodości sporządził wydanie Terencyusza; zwalcząca również tychże samych wrogów, jak np. Lochera; Lochera zwłaszcza gromi w gwałtownych, niemal brudnych wierszach, szkaluje tego Lochera, któremu jako tłumaczowi „Okreću głupców“ zawdzięcza dobry kęs swęj sławy. Pod niektórymi względami różni się jednak od Wimphelंगा. Posługuje się częściej niż tamten mową wiązaną, pisze wiersze w kwestyach politycznych i religijnych, nowinki miejskie i bajki cudowne, wyśpiewuje pochwały na cześć przyjaciół i mężów przeszłości. W poezyach swych mimo błyszczenia metrami antycznymi jest często niepoetyczny, czego przyczyną już to trzeźwy, prozaiczny sposób myślenia, już to ubieganie się za allegoryami; niekiedy wszelako zdradza wdzięk w opisach i filuterność w opowiadaniach. Czuje się poetą tak silnie, że mimo zajęć urzędowych, mimo badań prawniczych i historycznych, nigdy, jak sam się wyraża, nie może przewieść na sobie, aby nie zaczerpnąć wody ze źródła Hipokreny. Latynistą jest tak żarliwym, iż własne nazwisko Brant zamienił na miłej brzmiące *Ticio*. Humanizmowi oddaje się z takim zapalem, że pod kierunkiem *Reuchlina* przyswaja sobie język grecki, a czego się raz nauczył, pielęgnuje następnie z miłością. Reuchlinistą nie jest przecież, choć mistrz i przyjaciel usilnie prosił, aby się ujął za jego sprawą. Jeżeli zaś czytamy jego nazwisko w Listach ciemnych mężów, to jedynie dlatego, że występował przeciw makulistom.

Cóż to za sprawa? Oto przez makulistów—nazwę miał wymyślić sam Brant—rozumiano tych teologów, którzy odrzucali dogmat o niepokalaném poczęciu (*immaculata conceptio*) Maryi; stąd ich samych uważano za katujących Najświętszą Pannę. Dogmat ten, ogłoszony na soborze bazylejskim, w końcu stulecia przyjęty przez niektóre fakultety teologiczne, znalazł gorliwych obrońców szczególnie w kole strasburskiem, a poetyckich czcicieli w Brancie i Wimphelingu. Brant wysławiał dogmat może z tęg głównie przyczyny, że go obwieszono w Bazylei, mieście, w którym od lat wielu przemieszkiwał; obok tego czerpał podniecie w pobożności i szczególnej czci dla Maryi Panny. Dowodów, celem poparcia swego twierdzenia, nie przytacza żadnych. Zasada je jedynie na swęj pobożności, która nie dopusz-

cza, ażeby Marya miała być pochodzenia mniej szlachtetnego niż Jéj Syn, oraz na wszechmocy boskiej, która potrafi dokonać rzeczy najosobliwszych i najcudowniejszych. Otóż dominikanie, nie mogąc z dogmatem się pogodzić a nie chcąc występować wprost przeciw powadze kościelnej, podjęli walkę ze świeckimi, mianowicie z poetyckimi obrońcami owéj nauki. Brant nie zwlekał z odpowiedzią. Tymczasem spór zaognił się mocno, kiedy zakon franciszkański, i bez tego już dominikanom nieprzyjazny, stanowisko przez Branta zajmowane uznał za słuszne, aby w ten sposób sobie zgotować tryumf. Wybuchła więc walka między obu zakonami. *Jan Sprenger*, franciszkanin, i *Wigand Wirth*, dominikanin, ścierali się w kazaniach i dysputach publicznych. Ponieważ zaś spór w tych turniejach krasomówczych zaostriął się bardziej jeszcze, wezwali zapaśnicy pośredników; imakuliści Branta a makuliści *Tomasza Wolffa*. Wyrok wydany w Strasburgu nie zadowolnił dominikanów. Obie więc strony apelowały do Rzymu. Decyzya papieska, ogłoszona 1502 r., była połowiczna. Jądra sporu nie dotykała wcale. Natomiast opierając się na bulli wydanej przez jednego z dawniejszych papieży, zabrania stronom lżyć się nazwą kacerzy. Dominikanie, biorąc takie odroczenie za zwycięstwo niemal, zaczerpnęli zeń nowéj otuchy i ogłosili gwałtowne pismo przeciw Brantowi, który im się wydawał wrogiem najgroźniejszym. W publikacyi téj pozyskali sobie sprzymierzeńca w osobie *Adama Wernera* z Themar, mniej zresztą znakomitego humanisty, i denuncyowali Branta, że chce być mędrszym od papieża, ba! że pragnie nawet zostać papieżem, gdy tymczasem za swe przestępstwa zasługuje na stos i potępienie wieczne. Na obelgi chwilowo Brant nie odpowiedział. Toć on sam w podobny sposób apostrofował przeciwnika swego, nazywając go osłem i hultajem, życząc mu trądu i wyrażając nadzieję, iż oglądać będzie język jego poszarpany ostem i pokrzywą. Oczekiwał tryumfu — i doczekał się téj pociechy.

Dominikanie oto, pragnąc opozycyę swą przeciw dogmatowi o niepokalaném poczęciu wzmocnić jakimś świadectwem lub wydarzeniem, nakłonili braci zakonnych w Bernie do oszustwa, które pod nazwą „berneńskiej zbrodni” (*Bernense scelus* 1509) sprawiło wówczas niesłychane wrażenie. Głupkowaty nieco braciszek *Jan Jetzer* miał nocą lub podczas mszy widzenia. Zjawiali mu się święci, naturalnie — przebrani zakonnicy, widywał hostye zakrwawione, słyszał Maryę płaczącą, otrzymał od niéj wyznanie, że jest poczęta w grzechu (*concepta in peccato*); pozwolił wreszcie wypalić sobie na ciele bliżny ran Chrystusa, ponieważ i dominikanie chcieli mieć swoich stygmatyzowanych. Takie męczarnie zanadto w końcu dokuczyły dobroduszniemu Jetzerowi, który niegdyś jako uczciwy krawiec marzył o spokojném życiu klasztorném. Uciekł więc i wskazał swych

dręczycieli. Czterech mnichów, fabrykantów tego oszustwa, spalono. Dominikanie skandalu wyprzeć się nie mogli i dotkliwą ponieśli klęskę. Aby porażkę rozgłosić w świecie, wystąpili do boju wrogowie dominikanów. Roztrząsano sprawę w listach i poematach, w obszernych dziełach łacińskich i niemieckich. Później, kiedy w szeregach nieprzyjaciół *Reuchlina* znaleźli się po większej części także dominikanie, *bernense scelus* było ulubionym tematem w wycieczkach humanistów przeciw mnichom.

Ale i dla Branta nie skończyła się jeszcze sprawa klęską mnichów. Co prawda nie wiadomo na pewno, czy brał udział w walce piśmiennej roku 1509, aczkolwiek zakonnicy niezawodnie domyślali się jego uczestnictwa; w każdym razie faktem jest, że 1512 r. napisał dyalog, ale go drukiem nie ogłosił; opowiada w nim Wulkan Ś. Franciszkowi wypadek berneński z dołączeniem wydarzeń poprzedzających go i później zaszłych, w końcu otrzymuje od wielkiego założyciela zakonu dodatkowe potwierdzenie kary na złoczyńcach wymierzonej. Być może, iż dyalog miał być odpowiedzią na oszczerze wiersze, rozpowszechnione przez wrogów przeciw Brantowi. Pozostał zaś w rękopisie dlatego, że z rozporządzenia papieża strony nieprzyjazne się pojednały, a *Wirth* odwołał publicznie obelgi na Branta i innych miotane.

Nastrój pobożny, przenikający spory, których uczestnikami w duchu Branta byli także inni humaniści, jak np. *Jan Trithemius*, znamionuje również wielkie dzieło Branta, „Okręt głupców”. Utworem tym zyskał on sobie imię nieśmiertelne. Snuje tu autor dwie zasadnicze myśli: utrzymanie czystości kościoła katolickiego i ocalenie cesarstwa od najazdu Turków. Stąd też ciągle i usilnie głosi, że głową kościoła jest Chrystus, którego każdy w życiu gorliwie naśladować winien, oraz naucza ufności w Boga, która ma większą wartość niż zaufanie w ludziach; z drugiej znów strony domaga się szacunku dla cesarza i nawołuje wszystkich członków państwa do popierania planów cesarskich, dobro ogólne mających na celu. Ostremi zaś słowy gromi tych, co nie chcą współdziałać w urzeczywistnieniu planów zbawiennych. A więc piorunuje na książy, którzy, zamiast cesarza słuchać i pomagać mu w dokonaniu zamierzonych przedsięwzięć, dążą jedynie do zaspokojenia swęj ambicji i żądają od niego zadośćuczynienia interesem osobistym. Chłoszcze duchownych, którzy zamiast być pomocnikami, są przeciwnikami Chrystusa; to też gdy Chrystus się zjawi ponownie, aby wszystkie grzechy wypędzić ze świątyni, „zacznie od proboszcza a skończy na zakrystykanie”. Prócz księży lubią satyrycy ówczesni ganić szczególnie kobiety i chłopów. Tej metody trzyma się i Brant. Przygania tedy niewiastom, że żądzą strojów i przekroczeniami moralnemi utraciły cześć, ozdobę płci

slabiej, kobiety zaś zacne wychwała w pięknych i pełnych uznania wyrazach. W chłopach nie widzi prostoty i sławionej niegdyś obyczajności, ale nie wątpi, że szanowny stan dawny powróci. Chętniej wszelako biczuje możnych niż upośledzonych, panów niż poddanych. Zamiast więc chłopów występuje szlachta. Wystawia jej na oczy przedewszystkiem znikomość rzeczy ziemskich, wyśmiewa jej dufanie w tarczę herbowną, szczylenie się starożytnością i opieranie na niej zacności rodu; wszystko to próżne i głupie, bo:

Kto bez enoty, wstydu i czei kroczy,
Kogo łańcuch sromot ciągle tłoczy,
Ten szlachectwa do ena starł zarodek,
Choćby księciem był też jego przodek.

Wielkim poetą nie jest Brant wcale. W pomysły własne nader ubogi, wyszukuje ich raczej skrętnie w pisarzach starożytnych i biblii; materiału artystycznie opracować nie umie, szczęśliwą myśl „Okrętu głupców“ nader często całkowicie spuszcza z oka, zestawia w długich szeregach różne kategorye głupców, nie mówiąc zgoła o przedziałach okrętu. Nie ma ani horyzontów rozległych, ani zdolien podpatrzeć drobnych rysów życia. Jestto płaski moralista, wygłaszający ogólniki w wierszach bez technienia poezyi, ale niezle zbudowanych. Nie jest też Brant i artystą pierwszorzędnym, chociaż sam wykonywał rysunki do licznych drzeworytów, którymi przyozdabiał swe dzieła a głównie „Okręt głupców; i w rysunkach bowiem nie znać talentu a nieraz brak nawet biegłości technicznej. Mimo to wszystko „Okręt głupców“ redakcyą oryginalną wśród całego narodu niemieckiego a tłumaczeniem łacińskiem Lochera w czepozospolitéj uczonych sprawił wrażenie niesłychane i niezmierne zjednał sobie pochwały. Czémże to objaśnić? Oto poklask jednogodny zawdzięcza on nie tyle swym zaletom artystycznym, ile raczej temu, że jest dziełem powszechnie zrozumiałem, że łączy szczęśliwie słowo z obrazem, że jest zręcznem skojarzeniem myśli, które nie należąc do jednego wieku i kraju, są przez to samo własnością wszystkich wieków i krajów, że wreszcie porusza takie kwestye, które zajmowały umysły i wstrząsały sercami owego czasu.

Wimpheling, Brant i większość humanistów alzackich nie wyjrzeli po za granice Niemiec; toć Brant wyszydzał śmiałych żeglarzów i podróżników wogóle, twierdząc, że nie może służyć Bogu człowiek, „którego umysł rwie się do włóczęgi“. Tymczasem inaczej się dzieje z Augsburgiem. Mieszkańcy jego z samej natury rzeczy musieli mieć

związki z Włochami. Nie jest więc przypadkiem bynajmniej, że ten gród patrycyuszów, lubo już w wiekach średnich niepośledni, zdobywa sobie jednak prawdziwe znaczenie dopiero w epoce Odrodzenia, że należy do rzędu miast, gdzie nowa kultura znalazła najwcześniej zwolenników i reprezentantów. Od chwili kiedy *Zygmunt Gossembrot* (ob. str. 315) we Włoszech przenikał się zapalem dla studyów klasycznych i nową naukę odważnie a żarliwie zaszczerpił w ojczyźnie, interesował się Augsburg odtąd bardzo żywo literaturą starożytności. Zakwitający wówczas na nowo klasztor benedyktynów w St. Afra z założoną 1472 r. drukarnią poruszył i duchowieństwo nawet. *Konrad Peutinger* nauczał i podniecał ludzi świeckich: dom jego stał się ogniskiem zajęć uczonych.

Konrad Peutinger (1465—1547) otrzymał wykształcenie we Włoszech; skąd wrócił do kraju 1485 r. znawcą starożytności i doktorem praw. Już ten fakt charakteryzuje go dostatecznie. Albowiem inni humaniści we Włoszech pogardzali tak zwanymi studyami dla chleba, a tytuł i urząd uważali za ścieśnienie swobodnych przekonań naukowych. Peutinger tymczasem był urzędnikiem nie z potrzeby, ale z natury i powołania, uczonym ze skłonności, dyplomata, którego listy, już ci niecyconiańskie, trącą suchością kancelaryjną, lecz pozbawione frazeologii są przez to w treść zasobniejsze. Był uczonym wreszcie, który w czynnościach ujawniał umysł szlachetny, przez starożytność oczyszczony, a w pismach, zwłaszcza w ulubionych pracach historycznych, okazywał bystry wzrok praktyka.

Przedewszystkiemi był Peutinger politykiem. O działalności jego politycznej wiemy niestety mało, ponieważ bogate archiwium augsburskie nie wiele ze swych skarbów dostarczyło danych. Od 1490 r. służy miastu rodzinnemu a niebawem zostaje równocześnie i urzędnikiem króla *Maksymiliana*. Ponieważ Maksymilian utrzymywał ścisłe związki z Augsburgiem a w ciągu trzech dziesięcioleci (1491—1518) niemal co rok, często wiele nawet tygodni, tam spędzał; przeto musiał mieć urzędnika zaufanego, wtajemniczonego w bieg i naturę spraw, biegłego w Piśmie i celującego krasomówstwem. Wymagały tego zarówno stosunki monarchy z miastem, jak i rozmaite a zawiślane interesy zagraniczne. W takich rzeczach nieocenionym był Peutinger. Sprawuje więc urząd cesarskiego sekretarza, mówcy i posła do Węgier, Włoch, Anglii i Niderlandów. Załatwia nie tylko kwestye polityczne, ale spełnia zarazem i zadania humanistyczne, przysłuchując się pięknej mowie powitalnej i wywzajemniając się podobną odpowiedzią, lub też dzięki znajomości języka łacińskiego zawiązując wogóle stosunki z narodami obcymi. W jaki zaś sposób i z jakim powodzeniem dokonywał swych misyj polityczno-dyplomatycznych, niewiele powiedzieć możemy. To jednak pewna, że ożywia go

zawsze myśl patriotyczna, że w układach z cudzoziemcami wysoko trzyma sztandar honoru imienia niemieckiego. Potrafił też Peutinger podwójne swe stanowisko radcy cesarskiego i urzędnika miejskiego zużytkować w tym duchu, iż niesnaski łatwo wynikające między cesarzem i miastem usuwał, iż umiał dla grodu ojczystego wyjednywać swobody. Dla siebie zaś nawskroś bezinteresowny, co najwyżej zdradzając chciwość uczonego, wypraszał z wojennych wypraw cesarskich stare rękopisy, „niby fenigi zdobyczne”; krewniakom jednak, naczelnikom bogatego domu handlowego *Welserów*, wystarał się o niektóre przywileje. Jeżeli widział ich prawa pokrzywdzonymi, gniewał się i skarżył; nieraz nawet przemawiał do cesarza bez ogródek, przypominając mu, nie zawsze wypłatnemu dłużnikowi, spełnienie zobowiązań. Z drugiej znów strony umie się cesarzowi przypodobać komplementem wytwornym, np. tego rodzaju, iż w liście bezpieczeństwa dla domu *Welserów* wtrąca słowa, że król „w imieniu swoim wysłał tych pierwszych Niemców, co Indyj poszukują“. Doradcą Maksymiliana był Peutinger również w sprawach literackich i artystycznych. Występował więc to w roli cenzora, aby śmiało wynurzenia Szwajcarów przeciw domowi Habsburgów wykreślać lub łagodzić nadmierne dla cesarza chwalby; to znowu wypisuje imiona starożytni, któremi Maksymilian miał zamiar chrzcić armaty; to zaspakaja wreszcie artystyczne popędy monarchy, wynajdując i zagrzewając artystów, którzy mieli pracować nad grobowcem w Innsbruku lub nad ilustrowaniem dzieł cesarskich (ob. wyżej str. 333 ns.).

Podobnie jak Maksymilian miał i Peutinger w dziedzinie badań naukowych osobliwszy pociąg do historii. On pierwszy wydał kilku historyków niemieckich średniowiecznych. Główną jednak baczność zwrócił na monety, starożytności i dokumenty, pochodzące z epoki chrześcijańskiej lub też dawniejszych czasów rzymskich, o ile się w Niemczech przechowały; w r. 1505 ogłosił zbiór zabytków rzymskich, dotyczących Augsburga, a drugi ogólniejszy pozostawił w rękopisie. Zbiór a może i opracowanie wszystkich tych skarbów wzięł sobie za cel życia, zamierzając je wydać w wielkiej „księdze cesarskiej” (*liber augustalis seu de Caesaribus*), którą pragnął przytęm zbogacić owocami wielu podróży i rozległej korespondencji. Dzieła jednak nie wykończył; o ile ze skąpych wiadomości wnosić można, miała to być w rodzaju regiestów bogata historia Niemiec średniowiecznych. W zbiorach swych posiadał on klejnot drogocenny, mianowicie mapę cesarstwa rzymskiego z wieku czwartego, znalezioną przez *Celtesa* w Spirze i ofiarowaną przyjacielowi augsburskiemu. Wydawano ją później niejednokrotnie pod napisem: *Tabula Peutingeri* (Tablica Peutingera). Właściwą pracą historyczną Peutingera są rozmowy biesiadne (*sermones convivales*), odtwarzające prawdopo-

dobnie rozprawy rzeczywiście z druhami toczone i rzucające pewne światło na zatrudnienia i sposób myślenia owego koła. Obok rzeczy odległych, jak np. małżeństwo apostoła *Pawła*, traktuje tu autor kwestye na czasie, żywo ogół obchodzące, jak podróże Portugalczyków do Indyj, ale przedewszystkiem zajmuje się sprawą patryotyczno-historyczną, poruszaną już przez *Wimphelinga* i jego przyjaciół strasburskich, azali miasta nadreńskie od Kolonii do Strasburga należały od czasów *Cezara* do Francuzów, czy téż ulegały królom niemiecko-rzymskim. W tych kwestyach spornych niechaj nikt nie spodziewa się dyskusyi z obu stron równomiernéj; zwycięstwo było rozstrzygnięte, zanim się spór jeszcze rozpoczął. Obrońca niemieckości ma słuszość za sobą nie tylko dlatego, że ją wykazał dowodami, ale już dlatego samego, że bronił sprawy niemieckiej. Dla poparcia swych mniemań przywodzi Peutinger często pisarzy rzymskich, a także nowoczesnych włoskich i niemieckich, i to w ten sposób, jak gdyby ci, a zwłaszcza towarzysze Peutingera rzeczywiście byli świadkami w sporze, który ich samych tak mocno interesował, bezkrytycznie cytuje również *Berosusa*, lubo już wówczas zaczynało powątpiewać o jego autentyczności. Przy okazji wspomina i zbija jeszcze twierdzenia, dla patryoty obraźliwe, jak np. że sztuka drukarska znana była dawniej we Włoszech i że Niemcy ją tylko na nowo wynaleźli. Z bagatelnych prac historycznych, drukiem ogłoszonych, trudno wywnioskować, co Peutinger zdolen był zdziałać; zdaje się, iż jest raczej zbieraczem niż krytykiem i opowiadaczem. W każdym razie bogaty zbiór, planowany przezeń, byłby zdumiewającym przyczynkiem do historyografii wieku XVI.

I na działalność teologiczną Peutingera nie były bez wpływu stosunki z cesarzem. Albowiem augsburski pisarz miejski należy do rzędu mężów, których opinii zasięgał cesarz w ważnej kwestyi. Chodziło mianowicie o to, czy stosowną jest rzeczą wydawać książki, w których roztrząsano by tajemnice religii chrześcijańskiej w sposób i prostakowi dostępny (1517 r.). Opinii Peutingera dotąd nie znaleziono; można jeno przypuszczać, że na pytanie dał odpowiedź twierdzącą. Wówczas bowiem sprzyjał ruchowi reformatorskiemu. Powstawał z zapalem na przemożne duchowieństwo, utrzymujące lud w ciemnocie; dość przezroczyście, ale z lekka, występował przeciw celibatowi, usiłując dowieść, że apostoł Paweł miał żonę; wreszcie przyjmował w swym domu po przyjacielsku *Lutra*, jak gdyby człowieka jednych przekonań (1518 r.) Protestantem wszelako nie został; już w r. 1521 znajdował się w liczbie tych, co doradzali Lutrowi odwołanie rozpowszechnianych dotąd nauk. Jeżeli zaś 1524 r. przetłumaczył rzeczywiście pismo *Oekolampada* o rozdawaniu jałmużny, to nie wynika stąd bynajmniej, iżby podzielał inne zapatrywania re-

formatora. Podobnie nie może uchodzić za zwolennika *Lutra*, choćby w niedrukowanej książce O wieczery Pańskiej zajął stanowisko pośredniczące między *Oekolampadem* a *Pirckheimerem*; tém bardziej, że przytacza aprobację swego zdania, pochodzącą od zaprzyjżnionego z nim opata *Konrada*, i z naciskiem zaznacza, „iż nie twierdzi nic, co byłoby przeciwném szacunkowi i wierze kościoła katolickiego”. A więc pozostał katolikiem. W każdym razie reformy spokojnej jużcię pragnął i w niektórych kwestyach sąd swobodniejszy zachował, ale zupełnemu przekształceniu stosunków religijnych nawskroś był nieprzychylny.

Okolo *Peutinger*a gromadziło się w Augsburgu liczne grono humanistów. Są między nimi ludzie zdolni, ale wszyscy stają niżej od swego przewodcy. Na wzmiankę zasługują dwaj: *Ottoman Luscinus* i *Bernard Adelman*n. *Ottoman Luscinus* (Nachtigall, 1487—1537 r.), przejąwszy się specyficznie alzackimi poglądami swego mistrza i rodaka, *Wimpheling*a, bronił ich także w Augsburgu z talentem i wytwornie. Dobry łacinnik i dzielny grek, wykształcony wielostronnie, autor dowcipnych powiastek, jest zarazem muzykiem, jurystą i teologiem. Jakkolwiek ksiądz, nie należał wyraźnie do żadnej partyi. Ganił więc duchownych a bronił humanistów, potępiał scholastykę, zachęcał do czytania biblii, ale występował przeciw Lutrowi. Mąż to wysoce uzdolniony, lecz bez stałości przekonań. W skutek tój wady nie wywarł tóż na swój czas wpływu widocznego. *Bernard Adelman*n z *Adelmannsfelden* (1457—1523 r.), stanowczy stronnik humanizmu i reformacyi, za sposób myślenia humanistyczny zyskiwał pochwały moząych a za sprzyjanie nowinkom religijnym narażał się na pioruny papistów. Mąż ten mimo stanowczości charakteru nie miał pociągu do wystąpień publicznych a mimo uczoność nie uczuwał popędu do użytkowania jój na polu literackim; zadowolnienie wewnętrzne znajdował nie w załatwianiu spraw publicznych, chociaż i w tym względzie dowiódł zręczności i obowiązkowości, ale w spokojnej pracy nad studjami ulubionemi lub w niefrasobliwém obcowaniu z towarzyszami.

Milém świadectwem zajęć owych literatów jest zbiorek poezyi, dedykowany radcy cesarskiemu, *Błazejowi Hölzeliusowi*. *Hölzelius*, urzędnik bardzo wpływowy, przemieszkiwał niejednokrotnie w Augsburgu i w ścisłych zostawał stosunkach z *Peutingerem*, który „*Hölzeliana*” zbogacił listem, oraz z jego córką *Julianną*, która wielki zyskała rozgłos przez to, iż dzieckiem wyrecytowała cesarzowi wiersz łaciński. Poeci i to nie tylko augsburscy, gdyż zbiorek obejmuje przeważnie utwory wierszopisów pochodzących z innych miast niemieckich, uważali *Hölzeliusa* za „mecenasa przedniego”. Ubiegali się więc na wyprzódki o jego względy, sławili jego zręczność diploma-

tyczną i zamięłowanie nauk, ale nie zapominają też wychwalać jego darów i uwieczniają jego pamięć za to, iż on jeden umiał urządzać *convivales epulas et pocula laeta* (uczty gościnne i wesołe pijatyki).

Zbiorek wyszedł z druku 1518 r. podczas sejmu. Augsburg ogłądał tedy w swych murach nie tylko zgromadzenie dostojników świeckich i duchownych, ale także kongres humanistów. Humanisci zjechali się tu nie dlatego, aby mieć szybkie i dokładne wiadomości *Lutra* z kardynałem *Cajetanem* (sprawę tę uważali wonezas za cześć kłótnię mnisza), lecz aby cesarza i państwo nakłonić do podjęcia wojny tureckiej, która była przedmiotem marzeń humanistycznych. Wszystkim przodował *Hutten*. „Najpiękniejsze widowisko” — pisze on do przyjaciela — „uderza tu oczy nasze. Tylu książąt celujących młodością i urodą, taki tłum hrabiów i rycerzów, kwiat szlachty niemieckiej! Kto na nich spoziera, nie może brać Turków za nader strasznych. Gdyby dziś Niemcy posiadali tyle mózgu co siły, zagroziłbym światu podbojem. Spraw Boże, iżby naradzali się mądrze ci, od których rady wszystko zawisło. Życzyć sobie możemy tego jeno, aby Niemcy przyszły teraz do samoświadomości”. W swój turcyce zgadza się zupełnie na projekt papieski powszechnego opodatkowania, chociaż dawniej okazywał silną nieufność do podobnych zamysłów kuryi; zagrzewa książąt do jedności i posłuszeństwa cesarzowi, spodziewa się pomyślnego rezultatu swych usiłowań. Myśli tego rodzaju wypowiadają i niektórzy inni humanisci. Mniejszość bowiem jeno, w imieniu której występuje anonim, prawdopodobnie *Fryderyk Fischer*, przyjaciel *Huttena*, żywi jeszcze stare obawy, że dziesięcina kosztem omanionych znowu Niemiec posłuży do z bogacenia papieża; większość natomiast poczytuje niebezpieczeństwo ze strony Turków dla całej Europy za tak groźne, że nie powątpiewa wcale o dobrych zamiarach papieża, mających ogólnemu zapobiedz nieszczęściu. Istnieją mowy *Tranquillusa Partheniusa Andronikusa*, *Erazma Vitteliusa* i *Ryszarda Bartholinusa*, którzy je rzeczywiście wypowiedzieli, lub też udają, że je wygłosili wobec Boga, wobec narodu niemieckiego, wobec książąt. Wszystkie obracają się w tym samym kręgu myśli. Są to nie tyle rozprawy polityczno-historyczne, ile raczej wielosłowne deklamacyje, a znamionują bardziej studia nad pisarzami rzymskimi, opowiadającymi o najazdach i okrucieństwach barbarzyńców, aniżeli dowodzą znajomości Turcyi i Europy Wschodniej.

Mówiąc o Augsburgu, nie wolno nam pominąć wielkiego syna tego grodu, *Hansa Holbeina*. Nie jest *Holbein* humanistą w tym rozumieniu, iżby żarliwie zajmował się językami i literaturą starożytności, ale jest nim w znaczeniu wyższém; kulturę nową albowiem pojmuje doskonale, przenika się nią, interesuje i swego zainteresowania składa dowody. Świadczą o tym jego portrety *Erazma*, z którym nazwi-

sko *Holbeina* nierozdzielnie związane, portret *Bonifacego Amerbacha*, ilustracye dzieł humanistycznych, a mianowicie: Pochwały Głupoty *Erazma* i tłumaczonych przezeń dyalogów *Lucyana*, *Utopii Tomasza Morusa* i pism *Murnera*; świadczą dalej artystyczne winiety tytułowe, którymi drukarze humanistyczni różne zdobili książki, monogramy drukarzy oraz inicjały, wykonywane głównie dla *Jana Frobena* w Bazylei. Wszystkie te prace, nie wykluczając i ostatnich, chociażby je ktoś łatwo wziąć mógł za roboty rzemieślnicze, znamionują upodobanie w dziełach humanistycznych i przedmiotach przez nie traktowanych; ujawniają gienialną satyrę, która nie oszczędzała ani uczonych, ani duchowieństwa, ani religii nawet; ukazują świadome szyderstwo lub uznanie serdeczne. Jednym słowem odsłaniają zawsze, cokolwiekbądź przedstawiając, samoistne pojmowanie i samodzielną ocenę rzeczy starożytnych.

Z Augsburgiem w ścisłym pozostaje związku gród siostrzany, No rymberga, ze starożytną *Augusta Vindelicorum* starożytna *Augusta Praetoria*, jak na podstawie „Tablicy Peutingera” ukochaną Norymbergę nazwał *Celtes* przez niewiedomość lub też umyślnie fałszując historję. Podobnie jak Augsburg utrzymuje i Norymberga z Włoch dość wczesnie zarodki kultury humanistycznej; jak tam *Gossembrot*, tak tutaj, nieco tylko później, pracuje *Hartmann Schedel* nad odrodzeniem studyów klasycznych. *Schedel* (1440—1514) był w Lipsku uczniem *Judera*; osiągnąwszy z mozołem stopień bakałarza i magistra, zaczął studyować jurysprudence, ale od mistrza przejął wstręt do „różnorakiego przeinaczania prawa i wielosłowności przepisów prawnych”. Oddał się więc „świętej medycynie”, odbył studia we Włoszech i 1480 r. wrócił do miasta rodzinnego dobrze zaleconym lekarzem. Owocem jego pobytu we Włoszech był nie tylko bilet doktorski, lecz także żywe zainteresowanie się starożytnością, wyciągi z autorów starych i nowszych lub ich odpisy (a do kopiowania istną miał namiętność), zamierzone przezeń dzieło o osobliwościach Włoch, napisy a może i odlewy antyków, wreszcie talent, lubo nie wielki, w przedstawianiu tego, co widział, lub stworzył fantazją. Dużych rozmiarów jego „Nowa kronika świata” wyszła z pod pras drukarskich 1493 r. w języku łacińskim i niemieckim z 2000 drzeworytów, zjednała sobie wielki rozgłos w Niemczech i za granicą i nadzwyczaj się rozpowszechniła. W historyografii szczególniejszego postępu nie zrobiła, ale ułożona jest zrećźnie; historykom późniejszym bywała poradnikiem a niektórzy posługiwali się nią nawet jako źródłem. Samo już powstanie takiego dzieła, pierwszej książki historycznej świeckiego pióra, i wydane go tak ozdobnie świadczy o szacunku dla

wiedzy i uczoneści; fakt ten potwierdzają zresztą inne świadectwa z tejże epoki. Przez cały wiek XV panuje w Norymberdze wyłącznie nauka świecka. Tu mieszkał *Jan Königsberg (Regiomontanus)*, najslynniejszy astronom niemiecki a może i europejski, badacz w niektórych krajach znany, przez wiele nader pożądanym, dobrowolnie wracał zawsze do Norymbergi, gdyż, jak mawiał, nigdzie nie może znaleźć miasta dla prac swych odpowiedniejszego. Osobą swoją sprawił to, że Norymberga stała się ogniskiem nauk matematyczno-astronomicznych. W Norymberdze przebywał także *Zygmunt Meisterlin*, kronikarz z wykształceniem humanistycznym.

Meisterlin, mnich augsburski, pełnił urząd kaznodziei w rozmaitych miastach południowych Niemiec; napisawszy to i owo o starożytnościach i osobliwościach Augsburga, wezwany został 1488 r. przez dwu najwyższych dostojników Norymbergi od początku wojen rzymskich w Niemczech aż do roku 1418, wiążąc ją ściśle z dziejami cesarstwa. W traktowaniu przedmiotu oparł się na dawniejszych kronikach norymberskich. Krytykiem *Meisterlin* nie jest; wciąga do kroniki wszelkie podania i historyjki, nadając im, jak np. opowiadaniu o *Schweppermannie*, formę, którą późniejsi lubili naśladować. Posiada wykształcenie humanistyczne, aczkolwiek nie zna greczyzny; w łacińskiej redakey dzieła, starszej niż niemiecka, przytacza chętnie klasyków rzymskich i humanistów włoskich; z pośród ostatnich głównie *Eneasza Silvia* i *Flaviusa Bionda*, którzy mu służyli za źródła. Odnacza się pobożnością; opowiada więc nie tylko o życiu kościelnym i urządzeniach kościelnych, ale uwydatnia także wpływ boski na losy człowieka. Mimo pobożności nie zdołał uniknąć zarzutów ze strony teologów lub ze strony tych, co uważali siebie za bardziej duchownych aniżeli sami duchowni. Największą przykrość sprawiała mu wymówka, „iż człowiek duchowny opisuje wydarzenia minione”. W gruncie rzeczy wymówka ta jest starym zarzutem anty-humanistycznym, iż teolog powinien się zajmować tylko rzeczami teologicznymi a stronić od rzeczy nieświętych, choćby nawet zabrał się do nich z uczuciem świętym.

Właściwym wszelako reprezentantem humanizmu jest *Wilibald Pirckheimer*, jeden z najznakomitszych humanistów niemieckich w ogólności. Urodził się 1470, umarł 1528 r. Ojciec jego *Jan*, człowiek bogaty i poważany, opiekował się już nowymi studjami. Syn tedy otrzymał świetne wykształcenie naukowe i artystyczne, w wieku młodocianym poznał rzemiosło wojskowe a następnie, towarzysząc ojcu w podrózach handlowych, wtajemniczył się wcześniej w zabieg świata. Ojciec radby był skierować syna na drogę praktyczną, niechętnym więc okiem spoglądał na to, że młodzieniec podczas pobytu w Padwie i Pawii (1490—1497) obok prawa z większym jeszcze za-

miłowaniem poświęcał się studjom humanistycznym. Za powrotem z Włoch został *Wilibald* radcą miejskim i urząd ten z kilku przerwami piastował do roku 1522. Z polecenia miasta odbywał poselstwa, dowodził wojskami miejskimi, np. w wojnie *Maksymiliana* ze Szwajcarami. Przy tej oraz innych okazjach zjednał sobie szczególne zaufanie cesarza. Bogaty, używał bogactw ku upiększeniu domu i życia; wspierał też bliźnich. Jeżeli zamek *Sickingena* nazywano ostoją sprawiedliwości, to dom *Pirckheimera* śmiało można było nazwać punktem zbornym ludzi dobrych i ambitnych.

Pod niektórymi względami zbliża się *Pirckheimer* do swego sąsiada i towarzysza *Peutingera*. Podobnie jak *Peutinger* posiada i *Pirckheimer* zaufanie cesarza *Maksymiliana*, jest dyplomata, historykiem i teologiem; podobnie jak tamten zaprzęga historję w służbę patriotyzmu, jak tamten, po krótkotrwałych reformatorskich zapędach zostaje w końcu na łonie kościoła starego; podobnie jak tamten, ale w wyższym jeszcze stopniu, gromadzi wokół siebie zwolenników nowego kierunku, a będąc umysłu niepodległego i rozporządzając bogactwami, zamienia dom swój w ognisko świeżego i zdrowego życia. Lecz są i różnice między obu mężami. Augsbureczyk jest jednostronny, przywiązuje się w ciągu całego życia do pewnych skłonności ulubionych i z tej przyczyny zamyka żywot, nie doprowadziwszy prac literackich do pożądanego końca; Norymbereczyk zaś jest wielostronny, ale mimo wielostronności umie się ograniczyć i zamiast foliantów niedokończonych pozostawia niejedną książeczkę zupełnie gotową. U Augsbureczyka treść rozsadza formę, stąd pisma jego nie celują wytwornością a nawet i w życiu, acz posiadał wiele przedmiotów cennych, brak mu rzetelnego poczucia artystycznego; Norymbereczyk na wpół artysta, uszlachetniony obcowaniem z prawdziwymi artystami, wyposaża swe pisma zaletami piękna a ich wdziękiem możesz zachwycać się również dobrze jak i wspaniałością twórców starzej i nowszej sztuki, którymi lubił się otaczać. Augsbureczyk zna przyjaźń i niektórych przyjaciół szanuje wysoko, lecz różni się od Norymbereczyka tćm, że nie żąda przyjaźni jako żywiołu, czyniącego byt znośnym i rozkoszy pełnym. Augsbureczyk utrzymuje stosunki z cudzoziemcami i ludźmi obojętnymi, byle zdobyć jakiś dokument lub numizmat; Norymbereczyk żyje z przyjaciółmi w atmosferze czystszej, wyższej, duchowej, albowiem jeśli co w tej atmosferze wyrasta, to, jak pięknie wyрекł jeden z dziejopisów nowszych: badanie człowieka — człowieka ze względu na jego powierchowność i ze względu na zdolności umysłu. Ten przemieszkuje najchętniej w pysznym domu miejskim i podczas skąpych chwil wczasu, wolnych od zajęć urzędowych, zagłębia się w poszukiwania mozolne i drobnostkowe; tamten wyrywa się z wygod miejskich na wieś, gdzie przebywać lubi,

gdzie mimo braku przyjaciół i podniet duchowych, czuje się szczęśliwym w obcowaniu z przyrodą i umie odtworzyć błogość takiego życia, niby poeta prawdziwy, chociaż wierszy nie pisał wcale. Ten jest poważny i surowy, już w młodych latach stary; tamten wesół i dowcipny, czy to dobrodusznie się przekomarza, czy złośliwie szydzi, nawet w wieku sędziwym, pomimo niedomagań fizycznych, pełen jeszcze młodzieńczej świeżości. Portret *Peutingera*, malowany przez *Krzysztofa Ambergera*, dzielnego rywala młodszego *Holbeina*, przedstawia opasłego, dobrodusznego, rozumnego starego pana, wyglądającego jak łagodny spowiednik, któremu swe tajemnice powierzyć możesz; wizerunek zaś *Pirckheimera*, skreślony kilku pociągami pędzla *Dürera*, odtwarza wedle słów najnowszego biografy *Dürera* „wesołego mędrca norymberskiego, kiedy za dni najszczęśliwszych ugaszcział uczonych towarzyszków jadłem i napojem i żartami grubymi, z których jeden zarówno w dobrój jak swawolnej greczyźnie zapewne własną na portrecie wypisał ręką”.

Stary wydawca dzieł *Pirckheimera*, ciężko uczony ale porządnie ciasnej głowy altorfski profesor *Rittershaus*, podzielił pismo swego bohatera na cztery kategorie: *Historica*, *Politica*, *Philologica*, *Epistolica*, sądząc zapewne, że tym podziałem ułatwi poznanie jego indywidualności. Jednakże z tego podziału jak również z zamieszczonej przez *Rittershaus* biografii trudno ci przyszło odtworzyć sobie całkowity obraz osobistości *Pirckheimera*. Boć polityka możnaby ocenić tylko, zbadawszy gruntownie źródła archiwalne, a nie na podstawie znanych dotąd okolicznościowych wierszy, wystosowanych do cesarza *Maksymiliana* i miasta Norymbergi, oraz niektórych mów i listów treści politycznej. Na polu historii jest on patriotą, który, wyszukuje i gromadzi nowe przyczynki do wyjątków zebranych już przez innych z pisarzy starożytnych, o sławie Niemców, to znów autorem ponętnej w czytaniu książki o wojnie szwajcarskiej, książki zalecającej się wielką prawdziwością i oczywistością, szczególnie w ustępach, w których opisuje czyny innych z własnej znajomości wydarzeń a nie tylko z zasłyszanych wieści. Jako filolog pisze wyborną łaciną, greczyznę zna lepiej niż większość współczesnych, tłumaczy więc dzieła greckie, nie bez przyczyny zapewne wybierając głównie *Lucyana*. Jako autor listów stwarza rzeczy doskonale; zna wszystkich i dla każdego odpowiednio znajdzie słowo; umie gawędzić, umie i poważnie rozprawiać; potrafi poważne i żartobliwe snuć rozmowy; udziela wiadomości o sobie i wyciąga wyznania z innych.

Nie bez zasady przekładał *Pirckheimer* dyalogi *Lucyana*; sam bowiem ma w sobie żyłkę *Lucyanową*. Za dowód może służyć jego dyalog: *Eccius dedolatus* (Eck ociosany), jedno z najostrzejszych i najbardziej szorstkich pism polemicznych owjej epoki, lubiącej napaści

ostre i szorstkie. Jestto cios wymierzony przeciw *Janowi Eckowi*, teologowi ingolstadtzkemu, który obroną lichwy ściągnął na się oburzenie powszechne a nienawidzony był przez luteran za stanowisko, jakie zajął po dyspacie lipskiej, i przez humanistów za to, że pogardzał nowym kierunkiem nankowym. Stąd więc mówi *Eck* tutaj barbarzyńską niemiecką łaciną i wyraża szczerą życzliwość sofistom, śmiertelnym wrogom humanistów. *Eck* leży chory i opuszczony, jedynym jego przyjacielem jest dzban wina, który pilnujący go chłopiec nieustannie napełnia a podczas chwilowej nieobecności wykonywa tę czynność zastępcą. Chłopiec oddalił się, aby sprowadzić przyjaciół. Przyszło kilku tylko i to niechętnie. Radzą oni wezwać lekarza, ale chory nie wszystkim ufa, a już najmniej norymbeskim i augsburskim, gdyż podżęgnięci przez humanistów gotowiby go otruć. Postanowiono więc śpiesznie wyprawić gońca zaufanego do Lipska. Wybrano w tym celu czarownicę, która na kozle ma pojechać do Lipska, wręczyć list *Ecka* teologowi *Ruteusowi* i za jego pośrednictwem wyprosić lekarza u teologów lipskich, szczególnie *Eckowi* przychylnych. Na lekarza zgodzono się; on i *Ruteus*, chcąc być przyjacielem oddalonego pociechą duchowną, gotowi są do podróży. Czarownica ofiaruje się szybko ich przewieść. Mimo początkowej odrzy zgadzają się obaj na osobliwszy wehikuł, jakim poselkiny rozporządza. Otrzymawszy od niej ośmielające zapewnienie, że kozieł jest wujem kozła emseryjskiego, czepiają się jego ogona i ruszają w drogę. Wprzód jednak wygłosiła czarownica formułę zaklęcia: *Suregnut, Tartshoch, Nekrokre, Pfepf* (czytano na wspak nazwiska głównych nieprzyjaciół humanistów: *Tungerus* t. j. *Arnold von Tungern, Hochstraten, Pfeferkorn*). Niebawem przybywają podróżnicy do Ingolstadu i zjawiają się u chorego. Lekarz rozpoczyna badanie od tego, iż kreśli obraz działalności pacyenta niezbyt go uspakajający, a uznawszy za przyczynę niemocy hultajskie życie *Ecka*, konstatuje gorączkę i puls powolny. Ponieważ zaś grozi niebezpieczeństwo poważne, żąda więc, aby chory odbył konferencję ze spowiednikiem, zanim rozpocznie się operacya. Spowiednik przychodzi, ale zamiast skruszonego wyznaia grzechów słucha chępliwiej opowieści o czynach penitenta. Potrafił jednak zręcznie wyciągnąć zeń zwierzenie, że źródłem przedsięwzięć jego nie jest miłość prawdy, lecz pobudki nędzne a mianowicie: żądza zysków i sławy oraz nienawiść względem możnych. Penitent podejrzywa w spowiedniku zakapturzonego luteranina i wyraża obawę, iżby nie rozgłosił jego tajemnic. Spowiednik uspakaja go mówiąc: „Nie jestem ani luteraninem, ani eckianinem, lecz chrześcijaninem; nie odsłonię nigdy tego, co zamłczenia godne, prawda bowiem, która, lubo chwilowo przytłoczona, nigdy stłumić się nie da, w końcu sama się objawi”. Potem lekarz duszy ustępuje miejsca lekarzowi

ciała, który rozpoczyna też wkrótce energiczną kurację. Nakazuje on siedmiu chłopom, uzbrojonym w potężne kije, dopóty chorego okładać, dopóki nie zostały zrównane wszystkie kąty, rogi i kanty. Następnie poleca go ogolić i uwolnić głowę od wszelakiej scholastyeczności: od sofizmów, sylogizmów, propozycyi, korollaryów. Naostatek daje mu napój, będący równocześnie lekarstwem na wymioty i na sen, przez co sprawia, że takie rzeczy jak komentarze dyalektyczne, kanoniczny biret doktorski i t. p. znikają dobrowolnie, przywary zaś pacyenta: pychę, zawiść, obłudę i rozpustę podczas snu tęgiego usuwa siłą. Po przebudzeniu czuje się *Eck* wesołym i swobodnym. Skoro się przekonał o wynikach operacyi, zanosi jedną tylko prośbę, aby o zaszłym wypadku nie powiadomiono *Huttena* i „przekłętego poety wittenberskiego”.

Z satyrą tą, będącą dowcipnym, zjadliwym, częstokroć cynicznym wyrazem wstrętu osobistego i przekonań humanistycznych, wiąże się gienialna autoironia, nie ukrywająca zarazem błędów i przywar wieku. Jest nią „Pochwała podagry” (*Laus podagrae*). Poczciwina *Rittershaus*, nie wiadomo dlaczego, uważał za właściwe umieścić ją między pismami politycznymi. Dręczony cierpieniami fizycznymi, starzejący się mąż, który nie był człowiekiem zmysłowym, ale nie był też i wrogiem uciech, widzi się zmuszonym do spokojnego życia i zaniechania wszelkich rozkoszy materyalnych. W tak szczególném położeniu rezygnuje się wysławiać swą udrękę, przeciw której mógłby co najwyżej wściekać się bezsilnie, jako dawcę umysłowych i serdecznych uciech. I rzeczywiście czyni to w mowie, którą podagra wygłasza wobec zmyślonemu grona sędziów. Choroba spodziewa się nie tylko rozgrzeszenia, ale nawet chwały za swe czyny.

Utwór powyższy nie treścią wprawdzie, ale całym swym krojem w wychwalaniu rzeczy szkodliwych — igraszka dowcipu była bowiem wówczas ulubioną — oraz nagromadzeniem nazwisk i świadectw literackich ze starożytności, świadczy wymownie, iż jest płodem ducha humanistycznego. Trzecie zaś dzieło wprowadza nas wprost w wir epoki. Stanowi je obrona *Reuchlina* a więc przez to samo i obrona studyów humanistycznych, napisana w liście apologetycznym i umieszczona na czele przekładu dyalogów *Lucyana* (1517). Jestto pismo śmiałe, przekonaniom niezłomie wierne, przeniknione szlachetnym zapalem dla pracy wypełniającej i upiększającej życie, przejęte gniewem męskim na wrogów, którzy według mniemania autora lekkomyślnie powstrzymują rozwój umysłowego życia narodu.

W obronie tej wysoce charakterystyczną rzeczą jest nowy zwrot, jaki nadaje autor starą walce między teologią a humanizmem. Teologia mianowicie, jaką *Pirckheimer* zna, nie jest przeciwniczką, lecz stałą kształcicielką humanizmu; teologiem przeto, wedle jego zdania,

może być ten tylko nazwany, kto z poważną, moralnie czystą dążnością łączy gruntowną we wszystkich fachach wiedzę; ale kiedy chce zestawieć wykaz godnych teologów, podaje w rzeczywistości katalog humanistów. Z tegoż samego punktu zapatruje się także i na reformację. Jest jej zwolennikiem dopóty, dopóki spodziewa się od niej umysłowego i moralnego odrodzenia ludu (lud bynajmniej nie w znaczeniu: klasy niższe); staje się zaś jej przeciwnikiem, skoro tylko spostrzeża w niej nowinkę teologiczną, która nie w jednym miejscu przyspieszyła upadek nauk i zamiast polepszenia spowodowała jeno pogorszenie stosunków moralnych. „Wielu będzie mnie lżyć niby zdrającą prawdę ewangeliczną”, — skarżył się — „ponieważ żadnego nie znajduję upodobania nie w ewangelicznej, ale dyabelskiej prawdzie tylu odstępców, zarówno mężczyzn jak kobiet, aby już zamilczeć o niezliczonych innych wykroczeniach, które zniweczyły wszelką niemal miłość i pobożność”. Te i tym podobne wynurzenia, trafiające się często w pismach jego z doby późniejszej, nie są wypływem rozgoryczenia bezzasadnego, lecz bolesnymi wykrzykami uczucia słusznego. Pirckheimer jest świadkiem wiarogodnym; nie jest wstecznikiem, ani zbiegiem. Nie był on naturą religijną, nie mógł więc poznać dostatecznie głębokości uczucia religijnego, jakie się objawiło w reformacyi, ale był zanadto przenikliwym, iżby nie dojrzeć złych następstw, ukazujących się w pierwszych zwłaszcza chwilach. Należał on do szeregu tych wolnomyślicieli, których wśród humanistów znajdowało się dosyć, którzy marzyli o związku ludzi oświeconych, mogącym istnieć obok kościoła a nie po za nim; marzyli o związku, któryby, żywiąc najczystsze pragnienia umysłowe, wziął sobie za zadanie zbliżyć świat do ideału moralności. Należał do szeregu tych, co roili, iż w nową gminie ewangeliczną znajdą związek taki, ale, w nadziejach zawiedzeni, wrócili do starego kościoła, do którego zdawna przywykli, a z przyczyny tego zawodu właśnie wypowiadali swą boleść ostro, często nawet bardzo silnie. Jeżeli zaś Pirckheimer wyraża się w sposób podobny, czyni to nie z żądzy łajania i walczenia, lecz stąd, że jest strapiony i pogrążony w głuchem beznadziejnym przygnębieniu.

Sily *Pirckheimera* zostały złamane, znikło uczucie radosne, znikło zadowolenie z epoki. Ten, co życiem się rozkoszował, co lekko-myślność młodzieńczą i w wieku męskim przechowywał, co uciechy zmysłowe lubił więcej aniżeli przystoi i tęp nastręczał nieraz szyderczemu *Dürerowi* sposobność do żartów dowcipnych, — zapragnął kosztować tylko rozkoszy umysłowych a wszystko inne skazał na śmierć (*vivere ingenio, caetera mortis*); ten, co w obcowaniu z przyjacielmi żył dopiero życiem rzeczywistym — ujrzał się teraz osamotnionym i pozbawionym towarzystwa druhów najlepszych. Nastrój jego duszy

nwydatnia się najwyraźniej w odzie żałobnej, w której zwraca głos do Dürera, przyjaciela zmarłego 6 kwietnia 1528 r., na krótko przed jego zgonem: „Ty byłeś mi długo druhem najserdeczniejszym, Ty najlepsza cząstko duszy mojej, z Tobą jam najpoufniejsze toczył rozmowy, Ty przechowujesz me słowa w wiernej piersi! Przech-żeś, Ty nieszczęsny, porzucił tak nagle żałobnego przyjaciela? przez żeś umknął krokiem rączym, niepowrotnym? Zawistne losy nie dozwolily mi drogiej dotknąć głowy, uściskać prawicy, ostatniego wyrzec pożegnania! Boś zaledwie znużone członki łożu powierzył, aliści śmierć skwapliwa Cię porwała”.

Pirckheimer napisał także obronę klarysek, zakonnie Ś. Klary w Norymberdze. Napisał ją zaś z tej przyczyny, że w klasztorze żyły jego siostry, *Charytas* i *Klara*, i że w pierwszych chwilach wrogięj dla klasztorów reformacyi wystawione były na napaści partyi gwałtownej, często niesprawiedliwej. Starsza z sióstr *Charytas* (ur. 1466, wstąpiła do zakonu 1478, została ksienią 1503, um. 1532) zasługuje na pamięć nie tylko z powodu słynnego brata, ale i dla zalet własnych. Podziwiano córeczkę *Peutingera*, że w zaraniu życia deklamowała wiersz łaciński. O ileż więcj podziwiać należy siostrę *Pirckheimera*, która nie tylko czytała prozaików i poetów rzymskich, lecz w języku łacińskim prowadziła korespondencję z przyjaciółmi. Pisywała listy do brata i do *Celtesa*. Są one wymownymi dowodami, że językiem władała wybornie, chociaż z całą ostrożnością mówi o nierównościach swego stylu. Od brata otrzymała dedykowany sobie przekład *Plutarcha*: „O nierychliwej zemście bóstwa” oraz dzieła Ś. *Fulgencyusza*, od *Celtesa* zaś utwory poetyczne mniszki *Hrotsuithy* i panegiryk poetyczny Norymbergi. Brat i przyjaciel, pomieściwszy na czele tych darów listy i wiersze dedykacyjne, współubiegają się w pochwałach dla *Charyty*. Brat uważa ją za godnego członka rodu zdawna sławnego; *Celtes* nazywa ją: „jaśniejącą gwiazdą i koroną niewiast; rzadką jesteś ozdobą ziem niemieckich, jesteś, o dziewico, córom Rzymian podobna”. *Charytas* tymczasem, aczkolwiek sprawiedliwie może być dumną z pochwał takich mężów, hołdy odrzuca. Brata podziwia, że on, tak wysoce uczony, przyznaje tyle zaszczytu mniej uczonym; przyjacielowi, który z wykwińtém pochlebstwem liścik świeżo otrzymany nazywa balsamem gojącym cierpienia ciała i łagodzącym utratę majątku, przemawia poważnie, wprost do sumienia. Ponieważ sama jest chrześcijanką i lekturę biblii oraz pism mężów świętych stawia wyżej nad czytanie dzieł świeckich, radaby więcj, pragnąc zbawienia duszy przyjaciela, odwieść go „od wysławiania nieprzystojnych podań o Jowiszu, Wenerze, Dyanie i innych stworzeniach pogańskich”, a natomiast radaby go doprowadzić do uznania jedynęj mądrości, prawdziwie uszczęśliwiającej, tęg, co za-

wiera się w Piśmie Świętém. „Tam drogocenne znajdujemy perły; na owęj bowiem niwie Pana nauka Boga z łupiny dobywa jądra z liter ducha, ze skał oliwę, kwiat z cierniów”. Ale Charytas nie jest tylko mniszką, która obok wysokiego wykształcenia literackiego żywi uczucia pobożne i umie je wypowiedzieć; nie tylko ksienią, co swym siostróm i podwładnym troskliwą, przyjacielską, kochaną, czcigodną zastępuje matkę, ale jest także niewiastą, co broni czci kobiecęj i mówi o równouprawieniu płci białogłowskieję na polu umysłowém. Cieszy się więc tworam *Hrotswithy* nie dlatego jeno, że są ważnym pomnikiem literackim i świadectwem myśli budujących, lecz dlatego, że są dziełem kobiety; życzy nadto wydawcy tego szacunku, jaki okazał poezjom „biednej mniszki”. „Zaiste” — ciągnie dalej — „wyznać muszę, iż uczyniłeś to wbrew zwyczajom wielu uczonych albo raczej pyszałków, którzy niesłusznie zabiegają, aby wszelkie słowa, czyny i mowy kobiet tak lekce cenić, jak gdyby płeć niewieścia nie miała tegożsamego Stwórcy, Odkupiciela i Zbawcy; którzy nie pomną, iż ręka najwyższego Mistrza bynajmniej jeszcze się nie skurczyła. On dzierży klucz sztuki i wydziela każdemu według swęj woli, bez względu na osobę”.

Przyjaźń *Charyty* dla *Celtesa* była tylko przyjaźnią i niczém więcęj. A jednak znaleźli się niegodziwcy, co wazyli się pokalać ten stosunek przeczysty. Podobne związki łączyły wysoce uzdolnioną niewiastę z niejednym dzielnym humanistą. Z pomiędzy Norymberczyków najzaufanszyszymi jęj przyjaciółmi byli: *Krzysztof Scheurl* i *Albrecht Dürer*.

„Chelpliwy, zuchwały i nierozsądny ból obojga praw” (*utriusque juris dolor* zamiast *doctor*). Tymi słowy ośmiesza *Pirckheimer* swego rodaka, *Krzysztofa Scheurla*, z którym mimo wspólnych pod niejednym względem dążeń żyć się nie potrafił. *Scheurl* (1481—1542), prawnik, wykształcony we Włoszech i tam bardzo poważany, w ostatnich dziesiątkach lat swego życia jeden z najznakomitszych urzędników miasta rodzinnego, jest zjawiskiem nader osobliwszém. Wszyscy wybitniejsi ludzie onego czasu należeli do trzech wielkich obozów. Jeden stanowią *humanisci*, którzy mimo całego zapалу dla polityki i religii, oddają się wyłącznie walce umysłowęj, pielęgnują jednostronnie język i literaturę starożytności. Drugą klasę tworzą *reformatorowie*, pierwsi bojownicy w kwestyi poprawy i oczyszczenia kościoła, czciciele biblii i chwalcę języka niemieckiego. Trzecią wreszcie partę składają *zwolennicy starego porządku*, którzy humanistów i reformatorów uważają za wtrętów w życiu umysłowém i kościelném, szczyptę wiedzy i myślenie mętne poczytują za zbawienie niższe aniżeli uczoneść i jasność pojęć. Otóż *Scheurl* do żadnego

z tych obozów zaliczonym być nie może. Dumny, zaślepion, pochwałami przedwczesnymi, drobne swe sprawy stawia wyżej od rzeczy świata, umysł leniwy pomimo całą działalność umysłową, próżen wszelkiego ciepła i wszelkiego entuzjazmu. Jest więc objęty na walki humanistyczne, które towarzyszą do żarliwości podlegały; nie utrzymuje żadnych stosunków z przywódcami; kwestyami nie interesuje się do tego stopnia, że nie zna nawet pism polemicznych najżywsze wrażenie wywołujących; zachowując niedozwoloną w tak burzliwych czasach obiektywność, jednym ciągiem mówi o tryumfie *Reuchlina* i jednego z głównych jego przeciwników poddzwania; radby wreszcie położyć tamę ruchowi reformatorskiemu przywróceniem zgody między *Lutrem* i *Eckiem*. Ponieważ jednak ani ruchu umysłowego, ani religijnego na tory pożądanę przez siebie zwrócić nie zdolen, usuwa się obrażony i przeciw obu prądom rozgorzyczony. Takiem postępowaniem odsłania *Scheurl* ujemne strony bogatego mieszczaństwa, podczas gdy *Pirckheimer* ujawnia dodatnie. W *Pirckheimerze* widzisz najgorętsze zainteresowanie się tém, co najnowsze i najlepsze, rozległe objęcie, wielostronne pożycie z ludźmi, rączność w czynach; w *Scheurlu* zaś arystokratyzm bez arystokratyczności wewnętrznej, wyniosłe pomijanie tego, co dla innych wzniosłe i święte.

Czém dla Augsburga *Holbein*, natchniony humanizmem reprezentant odrodzenia sztuki, tém dla Norymbergi jest *Dürer*. Ba! jest *Dürer* nawet czémś więcej. Kiedy bowiem *Holbein* większą część życia spędza za granicą w Szwajcaryi lub Anglii, *Dürer* tymczasem, wykluczając podróże dla studyów i interesów, mieszka bez przerwy w Norymberdze. Z humanizmem łączą go też węzły ściślejsze niż *Holbeina*. Jużć nie jest *Dürer* uczonym, chociaż rozumie badania innych, wywiaduje się o książki greckie dla przyjaciela i w pracach naukowych powołuje się na dzieła innych. Pragnienie wiedzy, jedyną nienasyconą żądzą człowieka, charakteryzuje w słowach następujących: „Wszystkie pożądlive i czynne władze umysłu można w każdej rzeczy, choćby najpożyteczniejszej i najprzyjemniejszej, codziennem ćwiczeniem, częstém i zbytecznem używaniem zaspokoić, zadowolnić a w końcu znieawidzić; tylko żądza wielkiej wiedzy każdemu przez naturę zaszczipiona nigdy nie jest nasycona i nigdy się nie uprzykrzy”. Już taki sposób myślenia, *Holbeinowi* niemal obcy, robi zeń humanistę. Nadto *Dürer* w bliższych niż *Holbein* zostaje stosunkach z pisarzami najcelniejszymi. Ściślej czuje się też związany z Italią; opuszczając bowiem ten kraj, mówi z rezygnacją: „O, jakże bez tego słońca ziębnać będę! Tu jestem panem, w domu pasibrzuchem”. Przenikniony jest silnem uczuciem religijnem, czci *Lutra*,

wybucho wzruszającymi skargami, gdy się wieść rozeszła o jego uwięzieniu, błaga Erazma, aby teraz „jako rycerz Chrystusa stanął w pierwszym szeregu obok Pana Jezusa, aby bronił prawdy i osiągnął koronę męczeńską⁷”. Dürer jest nie tylko artystą, ale i pisarzem. Jednakże o głównych jego dziełach, o pracach z dziedziny teorii sztuki, o różnorodnych poszukiwaniach naukowych—mówić tu nie będziemy. Toć przecie najnowszy uczony biograf Dürera zaniechał wyczerpującego ich rozbioru, robiąc uwagę: „z badać dokładnie tak wielostronną działalność umysłową — przechodzi może siły i zakres wiedzy jednostki⁷”. Zaznaczamy jeno, że Dürer prostą bezpretensjonalną niemczyzną pisał dzienniki, listy, wiersze, świadczące dowodnie o jego uzdolnieniu umysłowem i wewnętrznem życiu duchowem. Dzienniki jego nie zawierają genialnych spostrzeżeń, lecz obejmują proste a przez swą prostotę właśnie powabne i pouczające wiadomości o drobnych wypadkach dnia, o osobliwościach, jakie widział w podróżach, o ważnych wydarzeniach chwili. Listy Dürera — to pełne świeżości obrazy nastroju ducha, świadectwo żywego, nawet przeciwnościami niezwalzonego humoru, dowody niesamolubnej, lecz gotowej do ofiar przyjaźni i radosnego uzależnienia się od wyżej stojących, wynurzenie wreszcie pobożności zawsze gorącej a nie rozplamniającej się dopiero pod ciężkimi ciosami losu. Wiersze nakoniec wielkiego artysty odtwarzają w stosownej formie albo myśli rozumne, i tu częstokroć religijne, albo też ośmieszają w sposób filuterny poetę samego lub towarzyszków bliższych. Opowiada raz z dużym wdziękiem o swych usiłowaniach rymotwórczych, a drugi raz odpowiada z wielkim humorem na poemat żartobliwy, jaki przeciw niemu napisał poprawiacz jego rymów *Lazarz Spengler*. We wszystkich tych utworach literackich oddziaływa na nas orzeźwiająco nie tyle doskonałość artystyczna, ile raczej bijąca z nich nieskazitelnosc i dobroć człowieka, szlachetna skromność, nie opuszczająca nawet jego, męża tak sławionego. Właściwość tę uważać można za owoc kultury renesansowej. Wywołała ją bowiem zapewne wyrażana przez Dürera powielekroć świadomość, że sztuka nowoczesna jak również kultura umysłowa zależy od starożytnych, że ich książki i dzieła sztuki założyły podwalinę wspaniałego rozwoju; zatrata zaś lub lekceważenie tych twórców spowodowały ciemnotę średniowieczną a ich odrodzenie w krainie Włochów („Welschland⁷”) zwiastowało początek czasów nowożytnych.

Strasburg, Norymberga i Augsburg są trzema miastami, w których nie tylko zakwitło nowe życie umysłowe dzięki dziełom znakomitych uczonych i artystów oraz osobistym ich podniętom, ale są te

grody zarazem ogniskami drukarstwa i księgarstwa; z pod pras ich ustawicznie czynnych wychodzą małe podręczniki i olbrzymie folianty, obwieszczając przebudzenie się ducha starożytnego. Grody te są wreszcie siedzibą rozumnego mieszczaństwa, które rządząc się mądrą myślą, że rękojmia pomyślniej przyszłości zasadza się jeno na wyborném kształceniu pokolenia nowego, nie żałowało hojnego grosza, aby najlepszych przywoływać nauczycieli i doskonałe dla młodzieży zakładać szkoły.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

S z k o ł y.

Dzielna odezwa *Lutra* do zwierzchników miast niemieckich (1524 r.), aby otwierali i utrzymywali szkoły, podziałała na wielu w sposób twórczy, powołując do życia mnóstwo nowych zakładów. Odezwa bierze też pod uwagę urządzenia dotychczasowe. Szkoły niższe i wyższe istniały wszędzie. Napomnienie teologa z roku 1470: „aby dzieci we wczesnych latach posyłać do szkół szanownych mistrzów”, świadczy o poważnej myśli przewodników duchownych, a różnorodne dokumenty potwierdzają, że młodzież pilnie nawiedzała szkoły i że stan nauczycielski wysokiem cieszył się poważaniem. Przez większą część wieku piętnastego nauczanie było czysto elementarne a główny nacisk kładziono na kształcenie religijne. Dopiero przy końcu stulecia przenika do szkoły pod wpływem humanizmu kierunek uczony.

Nie możemy tu wliczać wszystkich tych szkół, z których kilka wkrótce pięknie zakwitło. Ograniczymy się jeno na szkołach w *Schlettstadt*, *Deventer* i *Münster*. Są one bowiem typowymi szkołami humanistycznymi, mogą się pochwalić najznakomitszymi nauczycielami i uczniami najzdolniejszymi.

Pierwszeństwo należy się szkole w *Schlettstadt* i jej mistrzowi, *Ludwikowi Dringenbergowi*. Szkołę tę porównywano do konia trojańskiego; jak z jego czeluści wynurzyli się orężni bohaterowie greccy, tak ze szkoły *schlettstadzkiej* wyszli humaniści uzbrojeni do walki literackiej. Porównanie zaiste trafne. Z tém wszystkiem nie był

Dringenberg ani torownikiem dróg nowych, ani bojownikiem statecznym. Starał się on usilnie, aby prawidła gramatyczne języka łacińskiego gruntownie wbić w pamięć uczniów, starał się wyrugować roz-wlekłe komentarze, mające myśl odsłonić, ale łacina jego była daleką od łaciny klasycznej. Oto dowód. Ulubiona jego maksyma: „Alt aff, jung pfaff, darzu wild bären, sol nieman in sin hus begeren” (stariej małpy, młodego popa, dzikiego niedźwiedzia nikt w dom nie pożą-daj) przetłómaczył jeden z najzdolniejszych uczniów w ten sposób:

Inveterata pati non simia debet in aedes,
Ursus silvestris, presbiter et juvenis.

Ponieważ *Dringenberg* z przekładu był zadowolniony, nie może przeto szczególnie wielkich pretensyj rościć sobie do wzorowej łaciny. Jeżeli sam wreszcie na zgon *Karola Zuchwałego*, księcia burgundzkiego, na-pisał, zamieszczony przez *Wimphelinga* w jego *Historii niemieckiej*, wiersz taki

—†
Oppida trina tibi, dux Carole, dura fuere,
In rebus Gransen, grege Murthen, corpore Nanse,

to dowiódł nim, iż z niezbyt dużym powodzeniem czytał poetów łacińskich. Ale gorszym było to, że właśnie wskutek miernych stu-dyów humanistycznych, czując zgryzoty sumienia, chciał całkowicie ze starożytnymi poganami zerwać i oddać się wyłącznie pobożnym kontemplacyom i ćwiczeniom. Z postanowieniem tym zwierzył się *Zygmuntowi Gossembrotowi*, patrycyuszowi augsburskiemu. Co prawda, nie tego się wybrał! *Gossembrot* przecieć, jak wiadomo, już dawniej w walce z *Saldnerem*, zostawszy zbawcą humanizmu, cieszył się, że może na nowo podjąć dzieło zbawienia i nawrócenia ze względu na *Dringenberga*. Być może, iż *Dringenberg* argumentów przyjaciela do-słuchał (list otrzymał 1466 r.), gdyż nie przestał być czynnym aż do śmierci 1490 r., może nawet i od owych zgryzot się uwolnił. W ka-żdym razie pozornym swém odstępstwem nie działał ani mniej, ani więcej, aniżeli niejeden, co pod starość odprzysięga się swobodniej-szych przekonań młodości; aniżeli niejeden humanista dawniejszej gienieracyi, co nie zdołał pogodzić autorów pogańskich z chrześcijań-skim sposobem myślenia, wzmagającym się mocno szczególniej w wieku poważniejszym.

Jednym z najcenniejszych uczniów *Dringenberga* jest *Piotr Schott* (ur. 9 lipca 1458, um. 12 września 1490 r.), mąż zasługujący na tém większą uwagę, że należy do pierwszych z pośród bogatych mieszczan, co się starali nową przyswoić sobie naukę, a zarazem jest jednym

z pierwszych, co dla studyów przedsiębrali do Włoch podróże. Aczkolwiek doznał w Italii wrażeń nadspodziewanie silnych, posiadał jednak tyle samodzielności, że poznał to, co było w renesansie włoskim powierzchownego, i umiał z przyciskiem zaznaczyć właściwości kultury niemieckiej, niższej wprawdzie od włoskiej, ale bądź co bądź nie barbarzyńskiej przecie. Włochy zresztą zbadał gruntownie, nie w przelocie tylko; cztery lata bawił w Bolonii, studyując prawo, które później nazywał „głupią sztuką”, zwiedził nadto Rzym oraz inne miasta. Za powrotem do Strasburga był w mieście rodzinném jedynym znawcą języka greckiego. Został teologiem, ale nie przestał być humanistą. Będąc księdzem, zwalczał nieobyčajność, gromił kumulację prebend, starał się przyjaciela swego wielkiego, *Bogusława von Hassenstein*, z którym się zbliżył we Włoszech, nakłonić do przytlumienia husytyzmu lub pojednania go z katolicyzmem, pracował żarliwie nad zgłębieniem łaciny i nad podniesieniem oświaty. W sumiennej gorliwości przekraczał nawet granice celu, posługując się pieśniami śpiewanemi przez dzieci podczas obchodów uroczystych, aby uczyć wysokiego szacunku dla studyów, „gdyż Muzę *Wergilego*” — mówił — „można kupić za szyling a togę *Cycerona* za śledzia”. Ale chwycił byka za rogi, występując z energicznym protestem (1480 r.) przeciw dekretowi papieża *Sykstusa V*, wykluczającemu mieszczan t. j. uczonych pochodzenia nieszlacheckiego z kapituł katedralnych. Protestując opierał się na słusznej zasadzie, iż wyobraziciele nowego kierunku powinni mieć byt zabezpieczony i stanowisko zaszczytne. Sądził również, że ci sami wyobraziciele mogliby działać daleko skuteczniej, gdyby walczyli kupą zamiast pojedynkiem. Temi pobudkami da się wytłómaczyć żądę zawiązywania stosunków z każdym pisarzem, którego nazwisko było mu znane. Nie robił tego bynajmniej z próżności. Zalecał się bowiem skromnością i prostotą a zarazem taką chciwością wiedzy i chęcią uczenia się, że w listach upraszał o objaśnienia wyrażen gramatycznych i tłómaczenia słów właściwych. Obok nauki kochał miasto rodzinne i ojczyznę. W poezyach, posiłkując się nabytą u Włochów mitologią rzymską, ale unikając zwykłej we Włoszech swawolności, wychwalał Strasburg, gród srebrem błyszczący (*Argentoratum*), który dzięki mądrym rządóm cieszy się wolnością; wielbił *Maksymiliana*, króla młodocianego, który swymi bojami chce wznowić sławę Niemców starożytnych. Drobne pisma *Schotta* (*Lucubrationes*, 1498) nie są to dzieła wcale genialne, ale świadczą wymownie o świetnych zaletach autora. Rozumiała też dobrze generacja późniejsza, że wydaniem prac jego wzniosła swemu poprzednikowi, a przez to i sobie, pomnik zaszczytny.

Następcy Dringenberga kroczyli jego torem. Byli reformatorami, ale nie rewolucjonistami; woleli iść krokiem wolnym, lecz pewnym,

aniżeli burzliwie rzucić się naprzód a potem ustępować szybko z łatwo zdobytego stanowiska. W roku 1490 stanął na czele szkoły *Crato Hoffman von Udenheim*, nauczyciel zdolny, obyczajny i wesół w porze właściwej, jak to wybornie charakteryzują jego uczniowie: *festive severus et severe festivus* (przyjemnie surowy i surowo przyjemny). Człowiek z nauką, rozumiał dobrze treść rzeczy i piękność formy w pisarzach starożytnych, ale nie posiadał dostatecznej samodzielności umysłu. Trzymał się poglądów *Wimphelinga* tak niewolniczo, że powstało w jego kole rubaszno satyryczne pismo o niedozwolonym pożytku obu płci (*De fide meretricum*, o wierności miłośnic), zawierające nawet dla dorosłych dosyć rzeczy pieprznych, uważał za lekturę odpowiednią dla swych uczniów i w tym celu ją wydał. Jego miejsce zajął 1501 r. *Hieronim Gebwyler* (1473 — 1545 r.), później nauczyciel w Strasburgu a następnie w Hagenau. Działalność jego przenika prąd nowoczesny. Częściej aniżeli inni zajmuje się autorami współczesnymi, za podstawę nauczania bierze gramatykę *Cochläusa*, każe uczniom czytać poezye *Baptysty Mantovana* lub swego towarzysza *Gresmundta* i wydaje wstęp do etyki *Arystoteles*a pióra *Leffèvre'a d'Etaples*. Ten pociąg do rzeczy nowszych sprawił, że Gebwyler nie spuszczał z oka wypadków bieżących. Dla wykazania niemieckości Alzacyi napisał rozprawę: *Libertas Germaniae* (Wolność Niemiec, 1519), w której z przyczyny nadmiernej żarliwości patryotycznej przepisuje łatwowiernie starą bajkę o pochodzeniu Niemców od Trojan; ku czci zaś *Karola V* ogłosił *Panegyris Carolina* (1521), w której nie brak jednak i napomnień polityczno kościelnych. Nęciły go także studia historyczne; owocem ich są poszukiwania to nad życiem świętych, to nad genealogią Habsburgów, pracowite, ale niekrytyczne i często nie wolne świadomej stronniczości. Z prac filologicznych zasługuje na wzmiankę wydanie komedyi *Plauta*, którego stawiał wyżej od *Terencyusza*. Istnieją wreszcie rozmyślenia religijne i polemiki z przeciwnikami. Gebwyler bowiem był katolikiem gorliwym; apostołów nowej religii nie cierpiał i to tém bardziej, że sam widział jasno przywary starego kościoła i zarówno przed jak i po rozdrożeniu ganił otwarcie złe obyczaje duchowieństwa i nadużycia dworu rzymskiego. Szkołą schlettstadzką kierował do r. 1509; młodzieńców przyjmował też na mieszkanie; jeden z nich sposób nauczania mistrza opisuje w słowach następujących: „Rankiem przechodzi z nami *Doctrinale* (gramatykę *Aleksandra de Villa Dei*), o godzinie 9 ustępy z autorów starożytnych, *Horacego*, *Owidyusza* i innych, po południu pisma *Baptysty Mantovana*; co poniedziałek piszemy wiersze metryczne. O godzinie 4 musimy powtarzać wszystko, czegośmy się w ciągu dnia nauczyli”. Objaśnienia nauczyciela, jak to widać z prób przechowanych, są na wskroś antykwarskie, formalne; znaczenia zaś, myśli nie uwzględniają wcale. Jeżeli jest np. mowa o lwie

lub tygrysie, cytuje przewodnik wyjątki z *Wergilego* i *Aulusa Gelliusza*, a zamiast dać objaśnienie pantery, przytacza zdanie klasyczne: *pardus animal, cuius femina pardalis nuncupatur*.

Następcą *Gebwylera* po krótkim bezkrólewiu był *Jan Sapidus* (1511—1525 r.). „Mam ja mnogie *barbara nomina*, muszę niektóre z nich na łacinę przełożyć”. Tak mówiąc, wstąpił do uczniów swoich ten, co z niemieckiego swego nazwiska: *Witz* (dowcip) sam sobie zrobił nazwę łacińską (*Sapidus*). Opowiada o tém zachwycony nim jego uczeń *Tomasz Platter*, który o szkole schlettstadzkiej pod kierunkiem *Sapidusa* tak mówi: „Pierwsza to była szkoła, gdzie, według mego rozumienia, dobrze się działo”. *Platter* zaś mógł o szkołach opowiadać, ponieważ wiele ich zwiedził, niczego się porządnie nie ucząc. Pamiętał czasy, kiedy „*graeca lingua* nigdzie jeszcze nie była w kraju znana” i kiedy prócz nauczyciela nikt nie posiadał książki drukowanój. Musiano wtedy to, co czytano, „najprzód dyktować, potem dystyngwować, następnie konstruować, w końcu dopiero eksponować”; uczniowie więc przynosili do domu moc bazgraniny. We Wrocławiu bywało 9 *baccalaurii* na jednej lekcyi w tej samej izbie; w Schlettstademie liczyła wówczas szkoła 900 uczniów, a jednak porządek, zdaje się, panował tam najzupełniejszy; nauczycielowi wolno było pobierać od każdego ucznia po 10 ówczesnych grubych fenigów ¹⁾ rocznie. Zarzucono również starą metodę: zamiast *Doctrinale* wprowadzono *Donata*: zabijające kucie na pamięć zastąpiono nauczaniem odpowiedniejszém; język łaciński przestał być wyłącznym przedmiotem nauki, uczono także i greczyzny; w traktowaniu uczniów wreszcie znikła surowość dawniejsza.

Sapidus (1490—1561), uczeń *Gebwylera*, podobnie jak on był gorliwym zwolennikiem blizkiego swego krewniaka *Wimpfelinga*, za którego przykładem wysoce poważał chrześcijańskiego poetę *Mantovana*; pocieszał też powinowatego wobec napaści mnichów a może nawet dedykował mu humorystyczno satyryczny opis, pomieszczony w Listach ciemnych mężów. Ale zależność od mistrza nie była całkowita. Przekonania religijne nie dały się wszczepić, jak opinie naukowe. *Sapidus* przeszedł do obozu reformatorów, od *Gebwylera* doczekał się groźb, że go oskarży przed inkwizycją, w końcu rzekł się urzędu szkolnego 1525 r., ponieważ *Schlettstadt* pozostał wierny katolicyzmowi. W ruchu reformacyjnym zajmuje miejsce zaszczytne, lubo reformatorem nie jest; okazują mu szacunek *Luter* i *Zwingli*; uważano go nawet za przyszłego biskupa. Od r. 1538 poświęcał się znowu pracy nauczycielskiej w Strasburgu. Pracowitym pisarzem nie jest *Sapidus*; ale ta trocha, co napisał, godna uwagi. Żarliwy stronnik *Erazma*,

¹⁾ Schilling-Pfennige (Solidi denarii), w przeciwstawieniu do „hohle Pfennige” (brakteaty) — (?). (przyt. tłum.)

w dziele swém „Spór Galii i Giermanii o Niemcy” nazywa go synem Niemiec. Jego zbiór epigramatów (1520), zawierający poezye żartobliwe i pochwalne oraz sentencye, zasługuje na wzmiankę. Wymienia tu bowiem lub chwali wiele osobistości charakterystycznych, kreśli niektóre rysy stosunków moralnych, wysmiewa kobiety, nieuków skotystów, nieprzyjaciół studyów greckich, zbyt gorliwych chrześcijan, którzy, zmuszając żyda do skosztowania mięsa wieprzowego, narażają się na postawione przezeń pytanie, czy ich religja zasadza się na jedzeniu takiego mięsa; wykazuje wreszcie doniosłość prawdziwego chrześcijaństwa i prawdziwej teologii, która polega nie na ceremoniach i formach zewnętrznych, lecz na miłości i cnocie.

Co dla południa i zachodu *Schlettstadt*, to dla półnoocy Niemiec zrobiła szkoła w *Deventer*, dopóki zostawała pod zarządem *Aleksandra Hegiusa*. *Hegius* (1433—1498) przybył do *Deventer* 1474 r. i mieszkał tam aż do śmierci. Rozwijał tu działalność na usługach humanizmu tak wielką, że znakomici mężowie następnych dziesięcioleci przechwalali się, choć często niesłusznie, że byli uczniami *Hegiusa*. W każdym razie z pośród najwybitniejszych uczyli się w jego szkole istotnie: *Erazm*, *Hermann von Busch*, *Jan Caesarius*, *G. Listrius*, *Murmellius*, *Mutian* i inni, a zasługi nauczyciela uznawali z wdzięcznością. *Hegius* nie był uczonym uniwersalnym, ale człowiekiem zawsze w pracy gorliwym i wiedzy żądnym. Krąży o nim anegdota, że nawet nocą nie pozwalał sobie na spoczynek, zmuszając się do pracy w ten sposób, że trzymał w ręku zapalony ogarek, aby na wypadek zaśnięcia dogorywająca świeca go budziła i przynaglała do roboty. Pisma jego, wydane po skonie mistrza przez jednego z uczniów, zawierają poezye, rozprawy filozoficzne, rozproszone spostrzeżenia gramatyczne, niemieckie przekłady wyrażen łacińskich oraz nieco listów. Świadczą one o dużej, już w zaraniu humanizmu, znajomości języka łacińskiego, o zręczności wysłowienia, ale zarazem i o dziwaczném upodobaniu w igraszkę wyrazów, wreszcie o powierzchowném jeno obeznaniu się z językiem greckim. Jednakże korzyści z posiadania greczyzny płynące chwali w poezyach, uzasadniając osobliwemi zdaniami jej potrzebę dla zrozumienia różnych wyrażen łacińskich i słów pojedynczych, używanych w służbie bożej; „dopiero z greczyzny” — powiada — „wiemy, że jesteśmy *baptizati* (ochrzczeni)”. Książki hebrajskie są mu *prorsus ignoti* (zupełnie nieznanne). Dwa komentarze *Hegiusa*, o których *Butzbach* wspomina, do *Doctrinale Aleksandra* i do ulubionych wówczas poezyj *Baptysty Mantovana*, zdaje się, że zaginęły; wybór *Mantovana* dowodzi pobożności autora. Uczucie to widnieje również w poezyach, opiewających przedewszystkiém Najświętszą Pannę a nadto narodzenie, mękę i zmartwychwstanie Jezusa oraz niektórych świętych, jak np. Andrzeja i Agatę. Aby godnie uczcić te i tym po-

dobne przedmioty, posługuje się autor metrami starożytnymi i nie omieszkuje poznać z nimi czytelnika. W pieśniach głosi też chwałę niektórych współczesników i miasta *Deventer*, któremu sam wielkiej uzyczzył sławy; cieszy się, że jego towarzysze, zwłaszcza szlachcice, *Hermann v. Busch* i *Rudolf von Langen*, wypędzają z Niemiec barbarzyństwo. Polemizuje natomiast z tymi, co pisują „prognostyki” i przyznają sobie zdolność przepowiadania innym przyszłości. Skarżąc się na rozmaite nieszczęścia, ludzkość nawiedzające, obok chorób i wojny zaznacza szczególniej fałszowanie monety, zwalczając lenistwo i zawiść, chwali zaś sprawiedliwość i zaleca pielęgnowanie studyów jako zajęcie najgodniejsze.

Główna wszelako zasługa *Hegiusa* polega nie na pracach literackich, lecz na działalności pedagogicznej, na tém, że potępia energicznie średniowieczne książki szkolne, że nieustannie każe baczyc na klasyków, jako jedyne źródło stylu prawdziwie łacińskiego, „*Hegius*” — mówi *Otto Jahn* — „był jedną z owych urodzonych indywidualności nauczycielskich, co to mimowiednie swoją istotą, swemi przypadłościami, swém postępowaniem, co życiem całem uczą, kształcą i wychowują, co w najróżnorodniejszych uczniach obudzają i krzepią siły umysłowe i moralne; co na każdego, stosownie do jego natury, wywierają wpływ i w trudach takich najzupełniejsze znajdują zadowolenie”. Uczniom przyświecał wzorem surowej moralności; nie wychowawców też miał na myśli, wygłaszając maksymę: „Usługi wielu ludzi podobne śmierci najstraszniejszej”. Pierwotnie kierował się weselszym na życie poglądem, poczytując uciechy za požądane; później zaś im bardziej się starzał, stawał się tém poważniejszym i surowszym, oddawał się tylko literaturze, wytwarzając pobożny sposób myślenia a w ostatnich latach wędrówki doczesnej przywdział szatę kapłańską. Przyjacieli opiekun uczniów, pochopny do wspomagania biednych, znaczny majątek rozdzielił między potrzebujących; w chwili śmierci zostawił tylko odzież i książki.

„Tak, to był mąż wszelkiej chwały godzien! Sławili go też sprawiedliwie uczeni ludzie i za życia i po skonie. Jako słońce jaśniejące promieniał prawością wśród ludu, a wiedzą rozległą i uzdolnieniem wielkiem wśród chóru uczonych”. Temi słowy chwalił zgasłego wdzięczny uczeń, *Jan Butzbach* (1477—1526 r.), który, w roku śmierci mistrza przybywszy do *Deventer*, niedługo wprawdzie uczył się pod jego kierunkiem, ale nauczanie jego całe życie chował w pamięci. Uczeń, człowiek pobożny i uczony, zrzekając się sławy literackiej, pisał jeno traktaty religijne ku zbudowaniu i nauce towarzyszków oraz gromadził wiadomości o uczonych współczesnych. Ważniejszą przecież od tych wywodów rozwlekłych i zbieraniń bezpożytecznej jest jego książka podróżna (*Hodoeporicon*), w której prosto a z wdzię-

kiem opisuje losy życia własnego, dostarczając niebagatelnych przyczynków do poznania szkół i życia uczniów w dobie humanizmu.

Jan Butzbach ur. 1477 w Miltenberg (=milder Berg), skąd przezwiał się *Piemontanus*. Ojciec jego, ubogi tkacz, obarczony liczną rodziną, cieszył się, że najstarszego syna wzięła za własne dziecko bogata, pobożna a bezdzietna krewniaczka. Obchodziła się z nim czule, ale ta czułość nie przeszkadzała bynajmniej, że wkładała na chłopca okrutny dłań obowiązek odwiedzania szkoły; do spełnienia tego obowiązku zachęcała *Jasia* nie tylko słowami, ale obwarzankami i różgą. Ciotka umarła wkrótce; chłopiec uczył jej stratę boleśnie, lecz radował się nadzieją, że z nieznośną szkołą weźmie wreszcie rozbrat. Tymczasem nadzieje go zawiodły. Z woli rodziców musiał dalej chodzić do szkoły; aby więc uniknąć męki, jaką mu zgotować chciano, ukrywał się podczas godzin szkolnych, oszukując rodziców i nauczycieli. Skoro jednak poznano wybiegi, siłą zaprowadzono go do szkoły. Tu powitaany był tak straszną chłostą, że ojciec syna odebrał, ale zarazem postarał się, aby nauczycielowi, wielkiemu amatorowi kija, odpowiedniejszy powierzyć urząd, mianowicie—oprawcy miejskiego. Chłopiec tryumfował, jak gdyby go z więzienia wyrwano, myślał nawet, że życzenia jego cel osiągnęły. Tymczasem ojciec zdecydował się oddać chłopca wędrownemu uczniowi (*bacchant*), bawiącemu właśnie w Miltenbergu, w charakterze towarzysza (*Schütz*). *Janek* w dziecięcej płochości z radością niemal porzucił dom rodziców, którzy puszczaali go w świat z boleścią i żalem.

Przekonany, że ze starszym towarzyszem będzie prowadził życie wesołe i przyjemne, doznał niebawem zawodu i zapoznał się z nędzą życia. *Bachant* bowiem miał jeno ciało na baczeniu a o wykształcenie umysłu dbał tyle, co i o pomyślność pupila, t. j. nie; używał go tylko do starania się o żywność i pieniądze. W tej roli służącego musiał *Butzbach*, jak w ogóle pupile (*Schützen*) ówczesni, znosić srogie traktowanie ze strony pana, szyderstwa uczniów, gniewne odmowy gospodyń, nieraz czynem poparte, wreszcie dotkliwie częstokroć spotkanie z psami i sługami sprawiedliwości. Że nie wszyscy chłopcy, powierzani w młodocianym wieku przewodnikom dzikim i zepsutym, fizycznie i moralnie upadli, to chyba za cud uważać trzeba; że niektórzy, z tego wstrętnego położenia się wyrwawszy, zasłużyli swą działalnością na uznanie, to jest znamieniem niespożytej siły moralnej. Między ludźmi z tak spędzoną młodością zaszczytne miejsce zajmuje *Butzbach*.

Przebiegł chłopiec z dozorcą wiele miast i wiosek południowo-wschodnich Niemiec; im szedł dalej, tem więcej cierpiał. Ponieważ dochody z żebrania nie wystarczały, był więc *Jan* zniewalany mimo niechęci i oporu do kradzieży; pewnego razu miał nawet poszukiwać

w ziemi skarbów ukrytych, ale wykręcił się od tej roboty z wielką jeno trudnością. Tak podróżując przybył przez Norymbergę, Bamberg, Ratysbonę do Czech, zatrzymał się dłużej nieco w Eger, gdzie bachant postanowił wreszcie regularnie chodzić do szkoły. Tu też przywiódł do skutku oddawna żywiony zamiar ucieczki. Pierwsza próba była nieszczęśliwa, a pochwycony zbieg ciężką poniósł karę; za drugim razem udało mu się nazawsze opuścić dręczyciela.

Wolny i dość szczęśliwy stanął *Butzbach* w pobliskim zakładzie kąpielowym, dzisiejszym Karlsbadzie. Tutaj nie mając środków do leczenia ran i pokrzepienia sił, przyjął w miejscowym hotelu służbę kelnera. Zajęcie to, podobnie jak i włóczęga dotychczasowa nie sprzyjały bynajmniej kształceniu umysłu. Porzucił więc Karlsbad i w charakterze służącego wyjechał z jakimś szlachcicem czeskim. Odstępowany lub przedawany niby towar przez jednego właściciela drugiemu, służywał u różnych panów; musiał przytęm sam wiele niecnych czynów spełniać lub na nie patrzeć. Podczas tułaczki poznał obyczaje czeskie i nauczył się języka czeskiego. Dostał się do Pragi i zachwycał się jej wspaniałością, ale oburzał się z całej duszy na „kacerstwo” husyckie, panujące wówczas w stolicy i kraju. Przebywszy w Czechach na różnych stanowiskach lat trzy, uczuł tak silną tęsknotę za ojczyzną, że postanowił umknąć. Przejętemu tą myślą nawinęła się czarownica, obiecując w półtora dnia przewieść go do miasta rodzinnego. Aczkolwiek wierzył młodzian w czarnoksiężstwo, pomoc więdźmy jednak odrzucił i, własnym ufając siłom, opuścił ostatniego pana.

Zanim wrócił do Miltenberga, niejednej jeszcze doznał przygody. W pewnym mieście pracował u rzeźnika, jakiemś kupcowi opowiadał bajkę o wysokim swém pochodzeniu, aby przysporzyć grosza na dalszą podróż. Dosięgłszy nakoniec miasta ojczystego, dowiedział się, że ojca dawno już utracił i że ma natomiast ojczyma. Ojczym przyjął go dobrze i po jakimś czasie umieścił w Aschaffenburgu dla wyuczenia się krawiectwa. Przetrzywał *Jan* termin, doznając znowu nędry i udręceń. Następnie udał się do Moguncyi, gdzie w rzemiośle swém pilnie pracował. Tu przypatrując się licznym klasztorom, uczuwał stopniowo coraz silniejszą tęsknotę do ciszy życia klasztorowego; sądził, że pożądany spokój będzie dlań dobrodziejstwem po burzliwej młodości. Ulegając temu pociągowi, osiadł jako krawiec klasztorny w Johannisbergu.

W Johannisbergu rozbudziło się w nim potężnie długo tłumione pragnienie nauki. Dobiegł już 21 roku, a posiadał zaledwie początki we wszystkich przedmiotach wiedzy; mocno jednak ufał sobie, że wszelkie przeszkody zwycięży. Zjawił się w Deventer. Tu musiał z małemi dziećmi na jednej siadywać ławce. Żarliwością wszelako

i uśpionemi dotąd zdolnościami pokonał niesłychane trudności z taką łatwością, że w ciągu lat dwu przeszedł kursa od klasy ósmej do do trzeciej. Nie tylko nauka ale i życie sprawiało mu męki. Znosił bowiem biedę materyalną, której zapobiegał rzemiosłem; podlegał chorobom, wpływającym z klimatu, do którego nie przywykł; zwyciężał pokusy kolegów mniej wytrwałych, którzy usiłowali do szkoły go zniechęcić. Przecierpiał wszystko. Wreszcie nakłoniony przez opata z Laach wstąpił wspólnie z jednym towarzyszem do klasztoru. Na schyłku więc stulecia (w Grudniu 1500 r.) porzucił Jan szkołę i stanął w miejscu nowego zawodu, przebiegłszy piękne nawet zimą okolice nadreńskie. Wszedł do klasztoru jako nowicusz i po krótkiej próbie przyjął śluby zakonne, uszczęśliwiony powołaniem, które uważał za najszczytniejsze, uradowany cnotami i pracą braci, zachwycony cudowną naturą i wspaniałemi budowlami, w których miał odtąd dni pędzić.

Deventer pozostał mu nazawsze miłym i drogim; wolał przecież Deventer stary, kwitnący pod zwierzchnictwem *Hegiusa*, aniżeli nowy, przekształcony przez następców odpowiednio do zmienionych poglądów. Znaczenie Deventeru zniknęło szybko już to w skutek śmierci dzielnego przewodnika, już to w skutek tego, że rozwinęły się świetnie szkoły w Emmerichu na południu, w Münster na wschodzie i w Alkmaar na północy zachodzie.

Obszerniej nieco zastanowimy się tylko nad szkołą münsterską, a to z przyczyny dwu mężów: *Rudolfa von Langen* i *Jana Murrmeliusa*, którzy wielkie dla niej położyli zasługi. Obaj nie są bynajmniej ludźmi znakomitymi, ale w ciągu całego pracowitego żywota działając stale w jednym kierunku, dla tej właśnie jednostajności wywierali wpływ zbawienny:

Rudolf von Langen ur. 1438, um. 1519 r. Jest on mniej ruchliwy od swych współczesników uczonych; do włości specyficznie humanistycznej żadnego, zdaje się, nie miał pociągu. Zwały go jednak Włochy, gdzie przebywał czas dłuższy i zaczerpnął z dążeń i prac znanych podniety do własnej działalności, ale nie przejął się zgoła antykościelnym sposobem myślenia humanistów włoskich, ani też nie naśladował płochego ich życia. Jestto starzec, który sądzi, że zachowa w otoczeniu młodzieży usposobienie młodzieńcze, zacny opiekun biednych, dzielny kapłan, ale mierny poeta i historyk, historyk, któremu zbywało na wszystkich przymiotach niezbędnych dziejopisowi. Przedewszystkiem zaś jestto mąż energiczny i celów świadom; podjąwszy ważny plan reorganizacji szkolnictwa münsterskiego, trzyma się go niezłomnie i ostatecznie przeprowadza bez względu na trudności, jakie mu stawiali Münster i teologowie kolońscy. Co prawda wcześniej już ujawniają się na tém polu zabiegi humanistów, czego dowodem ogło-

szona 1485 r. komedia łacińska Kerckmeistera, nazywającego siebie *gymnasiarcha monasteriensis*, ale bądź co bądź dziełem jest Langena założenie szkoły katedralnej oraz powołanie *Aleksandra Hegiusa*, który zaproszenia wszakże nie przyjął. Zakład otwarto 1500 r. na początek z czterema klasami, do których w lat dziewięć dodano dwie dalsze. Ponieważ szkoła zostaje w rękach księży, nie więc dziwnego, że zwracano uwagę głównie na wykład religii; obok tego uczono przecież łaciny a od 1512 r. nawet greczyzny, filozofii, poetyki, retoryki i dyalektyki. Duch humanistyczny szkoły uwydatnił się niebawem w nadaniu pierwszeństwa językowi łacińskiemu i w metodzie nauczania; później wprowadzono także zamiast średniowiecznych nowe, odpowiedniejsze środki pomocnicze i podręczniki. W reformie tej brali udział trzej mężowie, zasługujący na wspomnienie w historii humanizmu niemieckiego. Jednym z nich jest *Timan Kemner*, pierwszy rektor münsterski (od 1500, ur. 1470, um. 1535), zasłużony nauczyciel i pisarz pracowity. Zdolności pedagogiczne Kemnera są niezaprzeczone, ale jego prace literackie, które lubił nazywać kompendyami, a mianowicie: kompendya logiki, retoryki, dyalektyki, filozofii natury, ochrzcił jeden z przeciwników „dyspendyami (strata czasu) uczniów”. W początkach swego zawodu pisał komentarze do podręczników średniowiecznych, pod koniec zaś życia mocno też podręczniki sromocąc, pragnął w powszechną puścić niepamięć własne trudy niegdyś im poświęcane. Wogóle umiał dzieła swe przechwalać a zasługi swoje wynosić kosztem innych.

Drugim jest *Antoni Tunnicius* (1481—1544). Zasługa jego polega na tém, iż wydał pierwszy zbiór przysłów niemieckich, zawierający oprócz rozumnie wybranych przysłów swojskich także i przekłady w heksametrach łacińskich. Ze zbioru podobnego trudno wysnuć wnioski stanowcze o przekonaniach zbieracza; zanadto bowiem trzyma się treści, a więc rzadko trafiamy na wybór wedle upodobania; mimo to przecież nie omylimy się, przypisując Tunniciusowi sposób myślenia pobożny, poglądy kościelne, ale antyksiężowskie, a co zatem idzie, i skłonności humanistyczne. Widać to nie tylko stąd, że do przysłów niemieckich dołączył autor tłumaczenia łacińskie, ale również stąd, że pomieścił niektóre maksymy wyjęte z pisarzów rzymskich i że często zaleca język łaciński.

Trzecim a zarazem i najznakomitszym z owiej trójcy jest *Jan Murellius* (1480—1517). W skutek zatargu z *Kemnerem* opuściwszy szkołę katedralną, był rektorem szkoły Ludgera z Münster, następnie przełożonym szkoły w Alkmaar, którą do świetnego doprowadził stanu. Murellius jest filologiem, pedagogiem i poetą. Odnacza się myślą poważną i żywy bierze udział w kwestyach bieżących; kłótlivy, śmiały i bezwzględny w napaściach do tego stopnia, iż prawdopo-

dobnie śmierć przedwczesną przyspieszyła mu podła zemsta przeciwnika. Z dzieł jego najważniejsze — pedagogiczne. Pedagog pobożny, nie wynosi wiedzy ponad wiarę i moralność; przekonania swe uwydatnia wyraźnie w zdaniach: „nie masz nic zgubniejszego jak uczyć a przytém zły człowiek”, oraz „nie wiedzieć jest lepiej, aniżeli się uczyć, grzesząc”. Żarliwie broni teologii choćby przeciw teologom i wyznaje otwarcie, że w pismach swych nie zgadza się na nie, „coby przez kościół rzymski nie było postanowione i przyjęte”. Jego prace pedagogiczne, ogółem 25, miały wielkie powodzenie; toć jedna z nich wyszła jeszcze pod koniec minionego stulecia w 77 edycyi. Trzy zasługują na bliższą uwagę.

W jednej z nich, *Enchiridion scholasticorum* (Podręcznik szkolny), zastanawiając się nad tém, czy stawiać wyżej nauczanie publiczne, czy prywatne, oświadcza się za pierwszym, zaznacza niezbędność nauki nawet dla książąt, sławi błogosławiony wynalazek sztuki drukarskiej, przyznaje Italii z niechęcią supremacyę duchowną, podaje przepisy o obowiązkach nauczycieli i uczniów, przywiązując wielką wagę do wychowania fizycznego i moralnego i kreśli zarys metodyki nauczania. Przedewszystkiém żąda, iżby uczyć gramatyki a następnie zajmować się wielostronnie poetami; dyalektyka powinna mieć na celu wyrabianie bystrości rozumu i być przygotowaniem jeno do filozofii; nauka szkolna niechaj będzie wstępem do studyów naukowych; w rędzie umiejętności wyznacza teologii miejsce honorowe. W książce tej wypowiada piękną myśl: wiek dziecienny (*pueritia*) przemija szybko, ale dzieciństwo (*puerilitas*) pozostanie, jeśli jój nie wypędzisz nauką.—Drugie dzieło: *Pappa puerorum* (Wychowawca chłopców) jest książką początkową dla chłopców niemieckich do nauki języka łacińskiego; obejmuje w sobie słownik łacińsko-niemiecki, zbiór przysłów najużywanych, zasadnicze prawidła przyzwoitego i moralnego postępowania, wreszcie szereg rozmów między uczniami, ułożonych w języku łacińskim i niemieckim. Charakterystyczném znamięm naiwności onych czasów jest to, że rozmawiający chłopcy ćwiczą się w używaniu obelg i zwrotów właściwych mowom pijackim; osobliwszy sprawia powab słyszeć, kiedy nauczyciel objaśnia, że *nebulo*, *veterator*, *carnifex*, ma uczeń przetłumaczyć przez „hultaj, frant, kat”, albo że ma przemówić do kamrata, który przepijającym natychmiast spełnieniem czasu nie odpowiada, po niemiecku: „Ich sal dit kruysken dich voer den kop werpen” lub też zdaniem klasyczném: *Nisi tantundem potaris, hunc calicem in os tibi impingam* (jeżeli pułara do dna nie wychylnisz, o łeb go twój rozbij): — Trzecie dzieło: *Scoparius* (Miotła) „przeciw obrońcom barbarzyństwa i lźycielom humanizmu” pragnie: wyrugować dawne podręczniki gramatyki i dyalektyki, zastąpić je bardziej naukowymi pióra humanistów, zaimponować przeciwnikom

pokaźnym spisem ogłoszonych w ostatnich dziesięcioleciach wydań i komentarzy autorów klasycznych. Oprócz tego domaga się, aby do szeregów autorów, zwykle w szkole czytanych, wprowadzić i *Terenyusza* bez względu na tych, co swą moralnością w oczy bryzgają; w końcu żąda z naciskiem lektury pism świętobliwych.

Gramatyką powszechnie używaną aż do początku wieku XVI-go było *Doctrinale Aleksandra de Villedieu (de Villa Dei)* z roku 1199. Zawierało ono prawidła o odmianie wyrazów, składni i wierszowania, ujęte w wierszach arcy nędznych i tak napisanych, że samo ich zrozumienie wymagało już studyów. *Doctrinale* miało być nie tyle podręcznikiem dla uczniów, ile raczej książką pomocniczą dla nauczycieli. Otóż daleko więcej niż autor, zawiniли nauczyciele bezmyślni — a takich we wszystkich krajach europejskich w ciągu kilku stuleci naliczysz tysiące — że dzieło to w połączeniu z gorszymi jeszcze glosatorami było jedyną niemal podstawą w nauczaniu języka. Ale i autor ciężko zgrzeszył. Przedewszystkiem brak podziałowi książki rozumnej zasady. Albowiem dwanaście rozdziałów w następującym idąc porządku, podają prawidła: o deklinacji foremnej i nieforemnej, stopniowaniu przymiotników, rodzaju, czasach przeszłych i supinach, czasownikach nieforemnych; dalej o niektórych gatunkach czasowników np. częstotliwych; o użyciu przypadków; o składni, zarówno czasowników jak przymiotników i spójników; wreszcie o metryce, akcentach i figurach gramatycznych. Podział taki jest nielogiczny i niemethodyczny; nie może więc dać uczniowi należytego pojęcia o języku. Najfatalniejszą jednak wadą dzieła jest samodzielność umysłu, stanowiąca zwykle chwalebna zaletę autorów; tu nie jest ona bynajmniej znamieniem myślenia oryginalnego, lecz wytworem głowy ciasnej i głupiej nianawiści ku klasykom rzymskim.

Od gramatyk haniebniejsze jeszcze sporządzano słowniki. Wyższość słowników polega chyba na tém, że większa ich głupota i niezdarność ułatwiły walkę i przyspieszyły zwycięstwo powszechne. Jednym z najgorszych był leksykon *Hugutia* z wieku VIII, zasadzający niby swą wartość szczególną na etymologii. Autor dostatecznie już wykazuje swe nieuctwo, kiedy słowa łacińskie wyprowadza z łacińskich, np. *auscultare* = *aures sono culcare* albo *licitor* = *legis ictor*; ale staje się arcy komicznym, kiedy pochodzenie słów greckich objaśnia łacińskimi, np. *anachoretus* wywodzi z *cor agentes* mianowicie *jejunio*, albo *presbyter* z *praebet suis iter*. Składa przytém dowody najśmieszniejszej beczelności, usiłując wykazać znajomość greczyzny objaśnieniami tego rodzaju, jak: *arimetica (arithm.)* = *ares quod est virtus et richimus quod est numerus*, albo *kataklysmos* = *kata quod est universale et clysmo quod est pars* = *omnes partes*.

A jednakże, wbrew oczekiwaniom, nie wszyscy humaniści starszój

gieneracyi rozumieli, że przy podobnych pomocach naukowych nie da się osiągnąć znajomość języków starożytnych. Upłynęło jeszcze dużo czasu, zanim zrobiono pierwsze bojaźliwe próby wypędzenia ze szkół tych książek; humanizm dobiegł nawet końca, nie zdoławszy zastąpić dawnych, bezużytecznych podręczników nowymi, odpowiedniejszymi. Rozpoczęło reformę dopiero wielkie dzieło *Reuchlina* p. n. *Vocabularius breuiloquus* (Słownik zwięzły) przedrukowywany w ciągu jednej ćwierci wieku (1478—1504) 25 razy. Nie jest on wprawdzie pracą doskonałą, ale bądź co bądź zrobił przełom i wielki znamionuje postęp. Reuchlin bowiem zwraca się wprost do autorów i zamiast czynić swój słownik konkordancją do łacińskiego tłumaczenia biblii, Wulgaty, stara się przynajmniej zebrać i uporządkować zasób wyrazów z klasyków rzymskich.

Gramatyki i słowniki, układane przez humanistów i mające zastąpić książki przestarzałe, są trojaki. Jedne opierają się bezpośrednio na pojedynczych pisarzach starożytności, a więc bywają słownikami specjalnymi do oddzielnych autorów; drugie są encyklopedyami rzeczowemi starożytności klasycznej, nie zalecające się ani treścią, ani objętością; inne wreszcie zostają w ścisłym ze sobą związku w ten sposób, że słownik stanowi jeno uzupełnienie gramatyki. Takim jest właśnie słownik *Jana Altensteiga*, od 1508 r. jeden z najulubieńszych podręczników nowego kierunku. O porządku alfabetycznym nie masz tu mowy; skarbiec wyrazów ułożony według ośmiu części mowy; ale nawet i takie uszeregowanie w działach poszczególnych, nie zawsze ściśle zachowane. Obok tego grzeszy słownik i niedokładnością; w rzędzie liczebników zamieścił autor tylko pierwsze, dołączając przytém uwagę: Kto chce poznać resztę, znajdzie je u *Warwryńca Valli*. Powoływanie się na autorów nowoczesnych zachodzi często; nie mniej często zdarza się i posługiwanie greczyzną, nie dlatego jednak, aby dać niezbędne objaśnienie, ale raczej, by się popisać nowo nabytą wiedzą; rzadko także bywa uwzględniany język niemiecki, ponieważ idzie o to, by użytkujący stał się łacinnikiem.

Gramatyki, do których *Altensteig* sporządził słownik objaśniający, napisali: *Jan Heinrichmann* i *Jan Brassikan*, dwaj profesorowie tübingenscy. Główną wadę tych książek stanowi podział błędny oraz niedostateczne uwzględnienie strony zewnętrznej, typograficznej, nie pozwalającej już na oko odróżnić rzeczy ważnych od mniej ważnych. W szczegółach nie są wolne od pewnych osobliwości. Ustanawiają np. 8 przypadków, uważając za 7 i 8 Ablativus bez przyimka i Dativus, który zastępuje miejsce Accusativu, rządzonego przez przyimek; do przysłówków zaliczają: *Romae* i *Tubingae*. Przytoczenie *Tubingae* ma przypominać miasto, w którym autorowie mieszkali; natomiast zdania przywodzone w charakterze przykładów, jak np. *Maksymikian* i *Maryja*

są zupełnie na miejscu: Konstancya, miasto na granicy Szwajcaryi, nigdy od cesarstwa nie odpadnie; mówią, że Bazylea oderwała się od Niemiec i t. p., mają znamionować epokę oraz świadczyć o przekonaniach twórców gramatyk. W gruncie rzeczy jednak mniej im leżą na sercu stosunki cesarstwa, aniżeli sprawa nauki; co najwyżej wysłał strzeliste westchnienie przeciw wrogom Niemiec, ale ostrzegają tém usilniej przed nieprzyjaciółmi wiedzy. Jeżeli w deklinacyi stawiają przed rzeczownikiem *hic* zamiast przedimka, nie zapominają dodać, że, kiedy wyraz ten stoi sam, wówczas jest zaimkiem a nie przedimkiem, jak sądzą ludzie nieukształceni; najgwałtowniej potępiają „wrażenia używane przez barbarzyńców; zaznaczają, że jak olów od żelaza, tak różni się prawdziwa łacina od łaciny sofistów. Nauczając tego języka, wierzą, iż oddają Niemcom usługę; obsypywano ich też rozgłośniami pochwałami; *Henryk Bebel* np. stawia obu w jednym rzędzie z bohaterami rzymskimi, porównywa z *Manliuszen* i *Kamillusem*.

Wobec zmiany podręczników musiała nastąpić i reforma szkolnictwa. Wśród jednakże należało zniweczyć wstręt do szkoły, panujący w rozmaitych kołach. Rycerstwo uważało naukę za pohańbienie honoru swego stanu; biedniejsi poczytywali ją za rzecz zbyteczną i za marnotrawstwo czasu; duchowieństwo potępiało ją jako środek ku obudzaniu lub wzmacnianiu bezreligijności. Walka przeciw duchowieństwu jest też jednem z głównych zadań humanizmu; uboższych mogła przywabić nadzieja lepszych stanowisk, jakie się uśmiechały ludziom wykształconym; rycerstwo zmieniało swe zapatrywania dzięki lepszemu duchowi, jaki w szlachetniejsze wstępował jednostki. Jeden z najzacniejszych pomiędzy szlachtą, *Zygmunt von Herberstein* (1486–1566), zasłużony podróżnik, historyk i dyplomata, pisze w autobiografii pod rokiem 1497: „Z przyczyny szkoły musiałem się nasłuchać wielu przycinków ze strony ludzi nieokrzesanych. Nazywali mię doktorem, bakałarzem, fuksem, pismakiem, uczniakiem. Tym, co mię doktorem przezywali, odpowiadałem: jest mi przykro, że nim nie jestem; jeżeli zaś czegoś nauczyłem się, jeżeli umiem pisać a nawet i coś więcej niż wy, to zdaje mi się, że stałem się przez to o wiele lepszym. Takie zajścia przysporzyły mi u rozumnych dużo sławy”. Na podobieństwo *Herbersteina* zaczęło niebawem myśleć wielu z pośród jego stanu; w pierwszych dziesięcioleciach wieku XVI niektórzy panowie zdobyli się tytułem: *doctor* i *miles* (rycerz i uczony).

Starano się także poprawić t. j. złagodzić karność szkolną. W początkach epoki humanistycznej, panowała jeszcze metoda różgi (ob. str. 378). *Luter* opowiada, że był przez nauczyciela piętnaście razy ochłostany. *Erazm* zaś donosi, że pewien nauczyciel po wspólnym obiedzie wybierał zawsze jednego ucznia i oddawał go dla ukarania w ręce srogiego kalefaktora; ten, bezmyślnie spełniając swój

urząd, wypuszczał z garści słabowitego chłopca wtedy dopiero, kiedy sam potem ociekał a dziecko leżało u stóp jego napół martwe; nauczyciel, kilkakrotném lecz daremném wołaniem „dość już” próbując nakłonić oprawcę do zaprzestania egzekucyi, zwracał się ze spokojną miną ku uczniom i mawiał: „chłopiec nic wprawdzie nie zbroił, ale należało go upokorzyć”. I pod tym względem zaszła wkrótce zba wienna zmiana. O innym nauczycielu *Lutra, Treboniuszu* w Eisenach, do poprzedniego wszakże niepodobnym, opowiadają, że wszedłszy do klasy, zdejmował kapelusz i odzywał się do pomocnika: „Tu siedzą chłopcy, których Bóg uczyni burmistrzami, kanclerzami i doktorami”. — Zródłem barbarzyńskiego obchodzenia się nauczycieli z uczniami, bywało nieraz nader dziwne postępowanie uczniów. Znajdowało się między nimi dużo złego żywiołu. Bachantowie bywali tak zuchwałymi patronami, że ich zuchwałość przechodziła często po za granicę wieku uczniowskiego; pupile byli zepsuci już w dzieciństwie, a z przy czyny obowiązkowych i uciążliwych innych zajęć, małą posiadali ochotę i zdolność do nauki. Wobec takiego usposobienia uczniów, przytrafiały się zdarzenia najosobliwsze. Jedno z nich opisuje w sposób następujący świeżo ogłoszona kronika norymberska. Dnia 17 lipca 1500 r. uczniowie szkoły św. Sebalda zabronili nauczycielom wstępu do zakładu; ponieważ żadne perswazye nie skutkowały, mieli więc ich oblegać pachółkowie miejscy. Ci początkowo do roboty wziąć się nie chcieli, ponieważ poprzednio ubliżył im przełożony szkoły oświadczeniem: „Waszym obowiązkiem rządzić złodziejami na szubienicach, ze swymi uczniami sam sobie poradzę”. Później jednak na rozkaz władzy przypuścili szturm do szkoły; obleżeni odpierali napaść pikami, ale obrońców znalazło się niewiele, gdyż większość szukała ocalenia w ucieczce przez okna. Przeciw buntownikom rada miejska wydała wyrok, mocą którego mieli na cały rok opuścić miasto, lub też poddać się karze, jaką wymierzy przełożony, „ponieważ przystojniejszém będzie ukaranie przez tego księdza, który jest przewodnikiem szkoły”. Zawichrzenia wszelako nie ustawały; zdaje się, iż humanizm w tej sprawie nieco zawinił. Bo oto mamy relacye z roku 1503, że poeci t. j. uczniowie dojrzali, studujący humaniora, popadli w zatarg z kantorem, nauczycielem niższym, który chciał uczniów użyć do śpiewania w chórze. Zatarg przybrał rozmiary rozleglejsze, wskutek czego niektórzy nauczyciele zostali uwolnieni, a uczniowie przez czas jakiś wcale do szkoły nie chodzili. Fakt ten, opowiedziany przez kronikarza, wyrwał mu z ust uwagę: „coś podobnego nie zdarzyło się w ciągu lat stu a może i tysiąca”.

Ze pod tym i pod innymi względami reformę upragnioną przeprowadzono, jest to zasługą *Jakóba Wimphelinga*, nauczyciela Niemiec (1450—1528). Działalność autorska Wimphelinga, której próbki po-

znaliśmy już wyżej, jest nawskroś pedagogiczną. Wimpheing stara się nie tylko przekształcić i podnieść poziom nauki szkolnej, ale stawia sobie jeszcze zadanie donioślejsze, ogólniejsze. Młodzieży szkolnej chce zapewnić obszerniejszy zakres wiadomości oraz ułatwić ich nabywanie w sposób zrozumialszy i szybszy, a w młodzieży uniwersytecką wszczepić ducha przeniknionego dążeniami ku rzeczom wyższym (Mowy heidelberskie). Dla przedstawicieli oddzielnych fachów układa kodeks moralnego i naukowego postępowania: dla jurystów w *Apologia pro republica christiana* (obrona rzeszypospolitej chrześcijańskiej) a dla teologów w piśmie *De integritate* (o nieskazitelności); synom książęcym wystawia (*Agatharchia* wystosowana do Ludwika, syna palatyna Filipa) wzniosłość, ale zarazem trudność ich powołania, samych zaś książąt ukrzepia w ich dążeniach i zachęca (*Philippica*) do spełniania zadań wysokich. Obok książąt nie pomija i narodu. W każdym niemal piśmie zwraca się do ludu niemieckiego z napomnieniami, aby się otrząsł z nieuctwa i aby dowiódł, że zarzuty barbarzyństwa, czynione przez narody postronne, nie są uzasadnione. W tym duchu napisał *Epitome rerum Germanicarum* (zwięzła historia niemiecka), pierwszą powszechną historję Niemiec, usiłując za pomocą dziejów wykształcić patriotyzm w narodzie niemieckim.

Swe zasady specjalnie pedagogiczne Wimpheing wyłożył głównie w dwu dziełach: *Isidoneus* i *Adolescentia*. Uderzają w nich przede wszystkim dwie rzeczy. Oto nieustannie uwydatnia autor z naciśkiem niemieckość, zarówno właściwości charakteru niemieckiego jak i język niemiecki, oraz zaznacza ścisły związek ukształcenia z wychowaniem, kojarzenia niezbędnych i pożytecznych wiadomości z umocnieniem moralności i religijności. Na czele pierwszego z dzieł powyżej przytoczonych stawia twierdzenie, że staranne i mądre wychowanie dzieci jest jedynie prawdziwą podwaliną religii, podporą życia obyczajowego, ozdobą każdego stanu, szczęściem państwa; że od niego zawisło rozumne pojmowanie teologii oraz innych umiejętności i sztuk, że od niego zależy zwycięstwo nad zdrożnościami i występkami. *Isidoneus* (Drogowskaz) zaczyna się od przepisów dotyczących nauki języka łacińskiego. Zalecają one usilnie to tylko, co jest konieczne, a więc usuwają na bok rozwałkę i do rzeczy nieprzynależne komentarze; przywiązują za to wielką wagę do praktycznego zużytkowania wiedzy w pisaniu listów, mów i powitań gości. Po nauce gramatyki ma następować czytanie klasyków. Nieprzyjaciół poetów starożytnych zaszczyca różnorakimi tytułami. „Dwunożnymi osłami, kretami, leniwemi bestyami” i t. p. nazywa tych, co przypuszczają możliwość wykształcenia bez studyów klasycznych, oraz tych, co sądzą, że czytanie poetów pogańskich wyrządza krzywdę moralności i religijności. Ale nie na wszystkich

zezwała; zakazuje *Juvenalisa*, *Martialisa* i elegików, wyklucza też ze szkoły *Persyusza* i *Owidyusza*, z komików poleca *Plauta*. Nauka języka łacińskiego powinna być podstawą a nie celem. Celem bowiem jest wykształcenie w umiejętnościach i uszlachetnienie strony moralnej. „Jeżeli kiedykolwiek“ — powiada Wimpheling — „dawna świetność życia chrześcijańskiego i prawdziwe odrodzenie naszego kościoła będą przywrócone, to muszą mieć swe źródło w doskonałym wychowaniu”. Nauczyciel przeto winien być uczniom wzorem nie tylko pod względem wiedzy, ale i w postępowaniu moralnym; winien uczyć i napominać, ale nie karać i chłostać; nigdy nie powinien palcem dotknąć głowy chłopca.

Drugie dzieło: *Adolescentia* (Młodość), obejmujące dział prozy i poezyi, jest poświęcone nie nauczaniu, lecz głównie wychowaniu. Mieszczą się w niem wyjątki z innych autorów, zarówno starożytnych jak i nowoczesnych, mniej więcej w równej mierze, okolicznościowe alluzye polityczne, zachęty do wojny tureckiej, oraz gwałtowne wycieczki przeciw nieuległości Szwajcarów. Bada tu autor zdolności dzieci i pragnie ustalić cel wychowania. Odróżnia przymioty dodatnie i ujemne; tamte każe rozwijać, te zaś, np. niestałość, gwałtowność, kłamstwo—zwalczać. Za cel wychowania uważa prawdziwą moralność i gorącą religijność. Dla osiągnięcia tego celu niezbędnym jest szacunek dla wiary i kapłanów, srom, czystość, oszczędność, umiarkowanie w mowie i czynach, i t. p.

Wimpheling nie jest ani pedagogiem praktycznym, ani filozofem. Nigdy bowiem nie zajmował żadnego publicznego urzędu szkolnego, ani też nie stworzył samodzielnego systemu filozoficznego; w dodatku zbywa mu na gruntownych wiadomościach psychologicznych a może nie posiada i umysłu istotnie filozoficznego. Pomimo to przecież jest on klasykiem humanizmu dawniejszego i zasługuje na stanowisko zaszczytne już to dlatego, że pracę życia całego poświęcał jednej sprawie, już dlatego, że zapal własny umiał przelewać w innych. W każdym razie dwie ważne przywary tkwią w jego systemie kształcenia: brak wykształcenia realnego i wyrugowanie języka niemieckiego. Obie te wady ugruntowane silniej jeszcze przez *Jana Sturma* ze Strasburga, najznakomitszego pedagoga w wieku szesnastym, utrwaliły się na długo dzięki olbrzymiemu wpływowi tych mężów. Sturm, filolog jednostronny, zaszczerpił jeszcze trzecią wadę, która, jak również dwie poprzednie, są wykroczeniami humanizmu. Sturm mianowicie puścił w ruch wszystkie czynniki, nauczanie teoretyczne, zdobycze lektury, ćwiczenia ustne i piśmienne, aby ze swych uczniów zrobić mówców, którzyby, o ile by grunt moralny pozwalał, rywalizowali z Cynceronem; Sturm stawiał po nad wszystko naśladowanie (*imitatio*) języka zamarłego, który do pra-

wdziwego odrodzenia ani mógł dojść, ani powinien. Wyłącznie uwzględnienie krasomówstwa osiągnęło za sobą w dalszym ciągu to zgubne następstwo, że poetów traktowano powierzchownie, mając jedynie na oku ich znaczenie dla wymowy. Mniej więc ceniono lub rozmyślnie usuwano na bok wszystko to, co można było poczerpnąć z poetów, celem wyrobienia smaku, podniesienia umysłu, uszlachetnienia serca. Mimo tego rodzaju usiłowań, gdyż w podobnym duchu prócz Sturma w Strashurgu działali także *Walenty Trotsendorf* w Goldbergu, *Michał Neander* w Ilfeldzie i inni, Niemcy nie przeistoczyły się przecież w drugie Lacyum. Przechwalali się humaniści czasów późniejszych, że dorównali Rzymowi, ba! że go nawet prześcignęli, jak to np. czyni *Frischlin* w komedyi *Julius redivivus* (Juliusz zmartwychwstały), kiedy Cyceronowi zapytanemu, co sądzi o poetach nowoczesnych, taką w usta kładzie odpowiedź:

Co ja myślę?

Oto mógłbym śmiało przysiąc,
 Że niemieckie wszystkie góry —
 To Parnasy, Helikony,
 Źródła zasię — Hipokreny,
 Że wskrósł łany naszych Niemiec
 (Co wieść robi z Aretuzą)
 W głębi Permes nurty toczy
 Przez czeluści w Ren niemiecki.

Jednakże ludzie przenikliwsi pojowali, że przy takiem pielęgnowaniu kultury zewnętrznej wykształcenie musi być jednostronnem, że niemieckość poważnemi jest zagrożona niebezpieczeństwami. Sprawcą tych niebezpieczeństw nie był przecież Wimpeling i jego zwolennicy, lecz Sturm z towarzyszami. Tamci, podobni dzieciom, w rzecz niewidzianą ciekawie wrazili oczy, skwapliwie ją pochwytili i uparcie się jęj trzymali; ci zaś powinni byli postąpić jako mężowie, którzy przedmiot istniejący badają stosownie do jego trwałej wartości dla epoki i narodu. Wimpelilinga od Sturma oddziela prawie pół wieku. Tamten rósł w chwilach rozbudzenia się starożytności, ten (urodzony 1507 r.) nasłuchiwał się już w dzieciństwie o odzyciu ducha niemieckiego i języka niemieckiego. Nie jest więc winą humanizmu, ale jednostronnych uczonych, co w epokę zmienioną przenosili niezmienione dążności kierunku dawniejszego, że szkoły nie popierały należyte rozwoju narodowego, że spłodziły zło, z krórego przyczyny jeszcze czasy dzisiejsze po części chromają.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Uniwersytety.

W chwilach potężnego podniecenia narodowego, kiedy młodzież akademicka, wierna swemu powołaniu, okazuje się piastunką dóbr idealnych, jest zwyczajem zawsze ponawiać zdanie, że uniwersytety niemieckie stały niezmienione na czele ruchu umysłowego. Zdanie to jest wszelako całkiem z historią niezgodne. O niehistoryczności jego możemy się przekonać, rzucając wzrok na rozwój kultury w wieku poprzedzającym, podczas którego uniwersytety żadnego prawie nie brały udziału w podziwii godnym poruszeniu umysłów. Podobnie w stuleciu siedemnastém uniwersytety właśnie niezłomny stawiały opór rozumnemu żądaniu wprowadzenia języka niemieckiego i wbrew oświeconym dążeniom postępów, wytrwale broniły niektórych wyobrażeń i instytucyj przeżytych. W epoce humanizmu prąd umysłowy nie płynie również z uniwersytetów, ale go do uniwersytetów wprowadzają uczeni niecechowi, młodszy, którzy powadze starszych stając okuniem, odrzucają do nowego lgnęli kierunku. Starsi natomiast, lubiąc się trzymać swych poglądów i przyzwyczajęń, stopniowo dopiero, częstokroć po długim i gwałtownym oporze, przyjmują nowe zwyczaje i przekonania.

Od czasu założenia uniwersytetu praskiego (1348 r.) powstają przy końcu wieków średnich nowe: w Wiedniu (1365), Heidelbergu (1385), Kolonii (1388), Erfurcie (1392), Lipsku (1409), Rostocku (1409); do epoki humanizmu należą uniwersytety: w Greifswaldzie (1456), Freiburgu i Bazylei (1460), Ingolstadzie (1472), Moguncyi i Tübingen (1476), Wittenberdze (1502), Frankfurcie nad Odrą (1506);

do nich możnaby zaliczyć i uniwersytet w Marburgu (1527), aczkolwiek powstał w czasach reformacji. Wszechnice z pierwszego okresu wszystkie, z drugiego zaś większość, są istotnymi zakładami kościelnymi. Są zaś nimi nie tylko dlatego, że na ich utrzymanie były przeznaczony majątki kościelne, ale i dlatego także, iż do ich utworzenia dawali podniętę duchowni i że papież zatwierdził nową fundację bullą; bulla nie była bynajmniej czerzą formalnością, ponieważ niekiedy wyjednywano ją aż po kilku podróżyach do Rzymu i po zapłaceniu sporęj sumy pieniędzy. Dopiero w czasach późniejszych, kiedy miasta okazały gotowość utrzymywania uniwersytetów, zakładają je książęta i uzyskują zatwierdzenie. *Maksymilian I* jest pierwszym z cesarzów, co mocą własnej władzy potwierdza uniwersytet; zaleca on też usilnie elektorom, aby każdy posiadał w swém księstwie uniwersytet; Maksymilian jest pierwszym, co bez koronacji papieskiej nazywa się cesarzem. A więc dopiero ze wzrostem poczucia samoistności wśród świeckich, poczyna się zewnętrzne i wewnętrzne oswabdzanie uniwersytetów od kościoła.

O liczbie studujących dowiadujemy się z ksiąg immatrykulacyjnych, starannie prowadzonych i od niedawna ogłaszanych drukiem; zapisywano w nich każdego, kto z uniwersytetem jakkolwiek miał styczność, a zatem i profesorów, nawet rzemieślników. Zaznaczyć tu wszelako trzeba, że mocno są przesadzone olbrzymie cyfry, przytaczane często na dowód, jak żywy był wówczas popęd ku nauce. *Paulsen* obliczył, że w Bazylei podczas pierwszych lat dwudziestu uczęszczało przecięciowo 280 uczniów, a w następnym dwudziestoleciu 179; w Tübindze 233, w Erfurcie w chwilach największego rozkwitu (1450—1479 r.) 852, — bądź co bądź liczba bardzo poważna.

Wiek studentów bywał bardzo rozmaity. Zdarzało się często, że nawiedzali wszechnicę uczniowie jeszcze w latach chłopięcych; nie należą bynajmniej do rzadkości wypadki takie jak z *Melanchtonem*, który w 12 roku, lub *Reuchlinem*, który w 15 roku wstąpił do szkoły najwyższej; ale trafiało się również często, że zasiadali na ławkach szkolnych mężczyźni starsi, żonaci i ojcowie rodzin. Nieraz odpuszczano lub zmniejszano karę studentom ze względu na ich dzielne żony albo prośby dzieci; z drugiej zaś strony musiał niejeden powędrować na 4 tygodnie do kozy za to, że obił małżonkę.

Wiek młodociany większości studentów da się objaśnić faktem, że fakultet artystów, najniższy i najludniejszy, odpowiadał naszym szkołom średnim i dawał niezbędne filologiczne i filozoficzne wykształcenie przygotowawcze do innych studyów. Stąd też pochodzi, że uczniowie częstokroć w ciągu nauki opuszczali uniwersytety; biedniejsi w nadziei może, iż przerwane studia podejmą na nowo

z polepszeniem stosunków materyalnych, zamożniejsi zaś, aby się poświęcić życiu praktycznemu, podobnie jak i dzisiaj synowie rodzin ukształconych po skończeniu połowy kursu gimnazyalnego zwracają się do handlu lub przemysłu. Inni nie zaprzestając nauk, otrzymywali po 3 latach stopień bakałarza, po 3½ godność magistra i po większej części zostawali nauczycielami przy tej samej wszechnicy, której byli uczniami. Od fakultetu artystów stały wyżej inne wydziały, ale miały szczuplejszą liczbę studentów. Najnieliczniejszy był wydział medyczny, ponieważ wielkie tylko miasta utrzymywały uczonego lekarza. Również słabo był nawiedzany fakultet teologiczny, gdyż klerycy mimo zalecania i protegowania nauk uniwersyteckich ze strony kościoła, wogóle studiom się nie oddawali, albo też, jeżeli już uczęszczali do wszechnicy, poprzestawali na kursie prawa kanonicznego lub przygotowawczym wydziale artystów. Najludniejszym był fakultet prawny, mianowicie, kiedy skutkiem wprowadzenia do Niemiec prawa rzymskiego oraz utworzenia sądu najwyższego i wielu sądów prowincjonalnych, wzmożło się znacznie zapotrzebowanie sędziów uczonego.

Obok podziału na fakultety, istniał też podział według narodowości; oboje przejęto od dawniej już egzystujących uniwersytetów zagranicznych. Rozróżnianie według narodowości posiadało w uniwersytetach postronnych znaczenie istotne, w niemieckich zaś, co najwyżej prowincjonalne; w Niemczech miały narodowości także prawo uczestniczenia w wyborach oraz inne, zdawna utracone, które we wszechnicach obcych stanowiły rzeczywistą część przywilejów odrębnych narodowości.

Studenci byli właściwie uczniami. Mieszkali wespół z profesorami, którzy są niekiedy mało czem więcej, jak starszymi uczniami. Kwestyę tę ładnie rozjaśnia Paulsen, mówiąc: „Zaczynano kurs ucząc się i nauczając, kończono go wreszcie nauczając jeno, ostatecznie zaś według zwyczaju na urzędzie duchownym poświęcano się życiu praktycznemu.” Pożycie wspólne uczniów z nauczycielami umożliwiała ta okoliczność, że profesorowie aż do połowy wieku piętnastego byli niezonaci, celibat bowiem nakazywały statuta wszystkich prawie uniwersytetów. O kimś, co żonę pojął, zapisała matrykuła wiedeńska wyrok w słowach potępiających: *uorem duxit versus in dementia* (ożenił się, popadłszy w obłąkanie). W epoce humanizmu i pod jego wpływem wybijający się na wierzch element świecki sprawił, że od przepisów robiono czasem wyjątki, ale sam przepis zniósł dopiero reformacya. Magister mieszkał ze studentami w domach uniwersyteckich lub fundowanych przez osoby prywatne; nazywały się one bursami (stąd niemieckie słowo *Bursch*). Uczniów miał magister około dwunastu, do których przybierał nadto kilku biedniej-

szych. Jako *regens* lub *rector* (zarządca) żywił ich, odziewał, zaopatrywał w pomoce naukowe i uczył. *Scholares* (uczniowie) towarzyszyli magistrowi na przechadzkach i stanowili jego orszak służebny. Życie poświęcali wspólnej pracy i ćwiczeniom pobożnym; uciechy były pod karą zakazane. Postępowano wszędzie zgodnie z postanowieniami, jakie dla swego *domus sapientiae* (dom mądrości) założonego 1496 r. uczynił obowiązującymi pewien profesor freiburski. Mówi on: „Ponieważ w domach tych, którzy pędzą życie w rozkoszach, mądrość nie istnieje, przeto z naszego domu mądrości będą wygnane uczty wykwintne i wszelkie potrawy smakowite, niby syreny złośliwe”. Przepis ten ilustruje jadłospis dwu posiłków dziennych w jednej z burs lipskich, zamieszczony w Listach Ciemnych Mężów a zapewne nie zmyślony. Oto menu. *Primum dicitur semper i. e. teutonice*: grutz—*semper*—zawsze, gdyż figurowała w każdym obiedzie); *secundum continue i. e. sop* (zupa—*continue*—nieustannie, kontynuowaną może do nieskończoności przez dolewanie wody), *tertium cottidie i. e. muss* (powidła—*cottidie*—codziennie), *quartum frequenter i. e. magerfleisch* (mięso chude—*frequenter*—często); *quintum raro i. e. gebröttes* (pieczeń—*raro*—rzadko), *sextum nunquam i. e. kesse* (ser—*nunquam*—nigdy), *septimum aliquando i. e. epfel und birn* (jabłka i gruszki—*aliquando*—niekiedy).

Taki stan istniał bez zmiany przez całą epokę humanizmu. Jednakże przymus, ograniczający wolność w kursach, bywał młodzieńcom nieznośny. Jedni bowiem, żądni uciech światowych, musieli się pożegnać z życiem swobodniejszem, drudzy zaś, wyższymi przejęci aspiracyami, nie zadawali się przedmiotami i metodą nauczania, nie różniącymi się wistocie od trybu szkolnego. Ośmieszali więc i wyszydzała urzędnia bursowe, kierowników konwiktowych i podobnych im profesorów uniwersyteckich; a chociaż byli w mniejszości, wszelako głośnemi i gwałtownemi deklamacyami przelewali swe zapatrywania stronnice w innych.

Tymczasem reforma uniwersytetów, dokonana przez humanistów, nie tykając organizacyi zewnętrznej, rozciągała się do oceny ważności studyów, czego owocem było ustopniowanie fakultetów. Dawniejszy fakultet artystów, nazywany szumnie „życielem wszystkich innych studyów”, chociaż obejmował jeno kurs przygotowawczy do nauk wyższych, ma być odtąd, wobec rozumnej i żarliwej sprawy studyów klasycznych, właściwem ogniskiem uniwersytetów. Jakoż pogląd ten zyskał szybko uznanie powszechne. Wywalczała mu zwycięstwo wszyscy, co poświęcali się studyom humanistycznym. A więc nietylko młodszy, zaprzysiężeni wrogowie staroświecczyzny, lecz także umiarkowańsi, którzy nie byli wcale bezwzględni zwolennikami „mówców” a po części nawet „poetów” nienawidzili. Za

przykład może posłużyć *Jakób Wimpheling*, najznakomitszy ze stronnictwa umiarkowanych. W mowie heidelberskiej, wygłoszonej 1499 r. p. n. „Przyczynek do zgody między dyalektykami a mówcami”, domaga się on natarczywie ustąpienia nauki humaniorów w uniwersytetach. Żądanie to usprawiedliwiały szczególniejsze stosunki Heidelberga. Wszechnica bowiem tamtejsza dawała mało co albo nie uczniom humanistycznym. *Celtes*, przybywszy do Heidelberga 1484 r., skarży się temi słowy: „Nikt nie uczy się tu gramatyki łacińskiej, ani się nie oddaje wytwornym studjom mówców. Matematyka jest rzeczą nieznaną, a o astronomię nikt nie dba, z poetów starożytnych się śmieją, a na widok ksiąg *Wergilego* i *Cycerona* uczuwają trwogę”. Skonstatowano zatem konieczność reformy, ale uzasadniano ją w sposób oryginalny. „Z przyczyn tych studyów — sądzi mówca — wielu młodzieńców niemieckich śpieszy do uniwersytetów włoskich. Czyż nie byłoby zaszczytniej i pożyteczniej dla naszej ojczyzny, gdyby się tu uczyli i tu przejadali swe pieniądze?” Następnie powołuje się na uniwersytety w Bazylei, Freiburgu, Tübindze, Ingolstadtzie i Wiedniu, gdzie owe studia uprawiają, i kończy wymownym ale niehistorycznym zwrotem, że Heidelberg, najstarszy uniwersytet niemiecki, nie powinien przecież ustępować młodszemu.

Wprowadzenie umiejętności humanistycznej pociągnęło za sobą w przyszłości jednostronność najopłakańszą, ponieważ wykształceniu filologicznemu zapewniło przewagę nad realnem. Zaznaczyć jednak wypada, że jednostronność owa, w następstwach najgorsza, żadnych pierwotnie nie budziła wątpliwości, gdyż, przy panującej wówczas niedokładnej obserwacji natury, nawet nauki przyrodnicze i medycyna potężną znalazły podniecie w badaniu wydartych zapomnieniu pisarzów starożytnych.

Polecznicy nowego kierunku, potępiając naukę i metodę nauczania wszechnic dawnych, nie zadawali się również ich stopniami i godnościami akademickimi. Cóż bo za interes mieć mogli w odznaczeniu, udzielanem przez takich, którzy im samym nie dorównywali? Zresztą godność akademicką uważano za warunek niezbędny do otrzymania urzędu w radzie miejskiej lub na dworze książęcym. Tymczasem prawdziwy humanista, zwłaszcza młody, co nie zaznał jeszcze nędzy życia, mając nadzieję przy pomocy ojca lub znakomitego mecenasa uwolnić się od troski o byt materialny, poczytywał piastowanie urzędu za niezgodne z uprawą nauk wyzwolonych. Stąd więc walka przeciwko stopniom akademickim występuje na jaw we wszystkich okresach Odrodzenia i we wszystkich krajach, gdzie tylko w powszechnem były użyciu. Pomijamy milczeniem dobrze znane postąpienie *Petrarki*. Ale oto Anglik *Wiclif* (zmarły 1384 r.) stara się wykazać, że ze stanowiska biblijnego ma prawo, a ze stano-

wiska kościelnego może głosić ewangelię nawet ten, co nie posiada stopnia naukowego; podobnież Niderlandczyk *Vives* (zm. 1540), lubo godności całkowicie nie potępia, usiłuje przecież częste nadawanie stopni ludziom niegodnym „kucharzom, krawcom, cieślom, ba! nawet rozbójnikom“ objaśnić faktem, że egzaminatorowie biorą pieniądze. W Niemczech zawrzała walka namiętna; wzniecił ją, zdaje się, *Eneasze Silvio*, potępiając gwałtownie profesorów uniwersyteckich. Już *Feliks Hemmerlin*, ośmieszając zarówno tych, co stopnie udzielali, jak i tych, co je przyjmowali, proponował mianować doktorów głupoty; projekt jego znalazł poklask, jak o tem świadczy stary żart etymologiczny (*doctor*—*Doc Thor*). *Bartłomiej z Kolonii* twierdził, że tytuł jest pustem słowem i nie znamionuje żadnej wiedzy. Radykalniejszym od nich obu jest *Andrzej Carlstadt*; nazywał się on nowym człowiekiem świeckim, nie tytułował się ani magistrem ani doktorem, ponieważ nie chciał przyjąć cześć godności, której Chrystus uczniom zabraniał. Wielką nienawiścią ku fałszywej ozdobie pałał szczególnież Erfurt. „Gdzie rozum przoduje, tam nie potrzeba doktorów“; w tych słowach zawarł swe niezadowolone *Mutian*, mistrz młodego pokolenia i odradzał uczniom starać się o tytuły. Jeżeli zaś komu radził, to dorzucał zaraz: „abyś pod tą maską przestraszał małoletnich“ lub też polecał, zamiast uczyć się rzeczy koniecznych, przekupywać jeno nauczycieli, nabywać za pieniądze ich głosy, gdyż nie warto badać poważnie tego, „co o młodzieży naszego koła sądzą kłótlivi sofiści“.

Erfurt natchnął też *Huttena*, który w dwu dziełach: *Nemo* i *Listy ciemnych mężów* zwycięskim orężem szyderstwa zwalczał manię godności akademickich.

Hutten nie ubiegał się nigdy o stopień uniwersytecki. Z Włoch powrócił bez doktorskiego kapelusza jurystycznego. Raz nazwał *Huttena* w nominacyi doktorem arcybiskup moguncki, ale uraczył go niezasłużonym tytułem prawdopodobnie dlatego, aby posła swego przedstawić w świetle najokazalszém. Lekceważeniem zakorzenionych zwyczajów *Hutten* powiększył ku sobie niechęć towarzyszków, którzy wogóle ze studyów młodego rycerza nie byli kontenci i pragnęli widzieć zewnętrzną ich oznakę; nieraz więc dochodziły jego uszu zdania zarówno stronników jak i przeciwników nowego kierunku, że bez tytułu właściwie nic nie znaczy. Otóż zarzut ten skłonił go do opracowania dawniejszego wiersza żartobliwego, w którym o owym *Nemo* (Nikt) opowiada wszystko, co może być najgorszego i najlepszego. „Dowcip w tym utworze — mówi *Strauss* — polega na dwuznaczności, zrazu bowiem występuje *Nemo* jako osoba rzeczywista, o której słyszymy rzeczy niestworzone, aż wreszcie rozplywa się w całkowite przeczenie“. Pogląd istotny, poważny, o któ-

ry pocie chodziło więcej aniżeli o spostrzeżenia żartobliwe, wyraża w dedykacji *Crotusowi*, kończąc ją słowy: „Tak! my, umysły dzielne i niezależne, wolimy raczej wszystko, niż ulegać opiniom tłumu, wolimy być *niczém*, ponieważ chcemy być dobrymi; wolimy nie nie umieć, ponieważ niejedno dobrze umiemy. Jeżeli zapatrywanie moje podzielasz, to niedorzecznemi sądy gardźmy a ośmieszając głupotę ludzką, pozostañmy wiecznie *niczém*; niechaj inni będą sobie doktorami, niechaj się czczém puszą nazwiskiem, ponieważ istoty rzeczy osiągnąć niezdolni”.

Listy ciemnych mężów wydrwiwają żądę tytułów, wyszydżają wiekuisie długi przeciąg czasu (8 do 18 lat), jakiego wymaga otrzymanie doktoratu. Stare mamuty skarżą się na młodych paniczów, którzy wzorem apostołów nie pożądamy wcale godności magistra. Manię godności akademickich ośmieszają właśnie list pierwszy p. n. „Uczta magistrowska” (*prandium magistrale*). Spotykamy tu poszukiwania uczone, czy należy mówić *magister nostrandus*, czy *magistrandus*; kwestye, czy uczonego, będącego członkiem dziesięciu uniwersytetów, nazywać trzeba w l. p. *membrum*, czy też w l. m. *membra*; wreszcie wątpliwości, czy słowo *magister* wyprowadzać od *magis* (więcej) i *ter* (trzykroć), boć nauczyciel powinien trzy razy więcej umieć od ucznia, czy też od *magis* i *terreo* (przestraszam), gdyż swą powagą powinien uczniom napędzać strachu.

Szyderstwo z dojrzałych, którzy studia poniekąd już ukończyli, nie jest bynajmniej jedynem znamieniem oporu młodzieży uniwersyteckiej. Okrom tego przyznaje się ona otwarciu do nowych studyów, prowadzonych po za właściwymi fakultetami; widać to z wyrażeń natrafianych już w księgach matrykułowych, jak np. *ad studium humanitatis juravit* (zaprzyściągł studia humanistyczne), a wyrzeczenia podobne brzmią jako protest jawny przeciw dawniejszemu wykluczeniu wszystkiego, co nie odpowiadało wymaganiom fakultetów.

Młodzież akademicka po wsze czasy korzystała z przywileju, pozwalającego obok studyów poważnych oddawać się też uciechom życia. Co prawda, określały prawa ściśle granice przyjemności i zabaw, ale właśnie z przyczyny ścieśnień przekraczano je również łatwo, jak wszelkie inne prawa. W Tübindze np. nakazywał przepis, aby bursacy uczęszczali pilnie na kazania i prelekeye, aby utrzymywali nauczycieli prywatnych; zabraniano natomiast używać obelg słownych i czynnych, hałasować nocą po ulicach, pić nadmiernie, nosić odzieży niezwyczajnej lub nieprzyzwoitej. Tymczasem grzeszono na każdym z tych punktów. Pilność bywała tak niedostateczna, że władze wzywały często rodziców, aby synów zabierali z uniwersytetu; pijatyki urządzano tak obfite, że pewnego razu czterech studentów pochłonęło trzydzieści miar wina. Zamiast sukien skro-

mnych przywdziewano szaty kosztowne, któremi lubili się pysznić studenci mieszczańscy na równi z wojownikami i szlachtą; przebie-rano się dziwacznie, drwiąc ze zwierzchności; wkładano nieraz prosty płaszcz kapielowy, albo nawet strój jeszcze prostszy. Zamiast spokoju panowały dniem i nocą niesłychane hałasy, od których cierpieli najwięcej trzej wiekuiści wrogowie studentów: stróże nocni, pudle (bedele) i filistrzy (mieszczanie). Dwie pierwsze kategorye służby, czuwającej nad porządkiem publicznym, doznawały nieraz tak dotkli-wych udręczeń, że z nastaniem wakacyj trudno było znaleźć człowieka, coby zechciał zająć urząd bardzo niebezpieczny. Zatargi z mie-szczaństwem lub wieśniakami okolicznymi zachodziły tak daleko, że formalne staczano bitwy, a władze musiały pośredniczyć w zawieraniu pokoju; zdarzało się przytém, iż mieszczanie otrzymywali dwa eimery wina za trwozę, jakiej ich nabawiały „rozrywki studentów”.

Wymowny obraz zabaw i uciech studenckich, upowszechnionych od czasów hamanizmu, ale nacechowanych większém zdzieczeniem następnych dziesięcioleci, przedstawiają ulubione w ciągu całego wieku XVI utwory dramatyczne o synu marnotrawnym, oraz komedye studenckie. W sztukach o synu marnotrawnym, opartych na przypowieści biblijnej i pisanych głównie po niemiecku, występuje rozpieszczony mamin synek, którym nader często bywa właśnie student. Z przyczyny nieokiełznanj rozpusty porzuca dom ojcowski, w nikczemném towarzystwie trwoni majątek, aż wreszeie, przyciśniony głodem lub żalem przejęty, wraca na łono rodziny i radosnego doznaje przyjęcia jako syn marnotrawny i nawrócony. Ukazują się tu studenci nieraz przywódcami lub uczestnikami szalonych hulatyk po gospodarach, tracąc majątek, zdrowie i honor. W sztukach tych odzwierciedla się całe życie akademickie i wychodzą na jaw przeróżne typy studenteryi. Obok ucznia sumiennego i pilnego widzimy zawadyakę, który w grze rozpoczyna kłótnię, rani kolegę i popada w zatarg z policją; w takiej potrzebie stają po jego stronie kommilitonowie nawet mu nieżyczliwi. Inną figurą jest bohater knajpy i zaprzysiężony wróg małżeństwa, w stanie nietrzeźwym szukający zakazanych uciech miłosnych; a oto znów młodzieniec sentymentalny ugania się za każdą spódniczką i nie tyle z prawdziwój miłości, ile raczej z poczucia przyzwoitości żeni się z córunią oberżysty, kokietką niezbyt wybredną, przełamawszy wprzód silny pozornie upór obojga jej rodziców. Nierzadko téż kreślą autorowie obrazki uroczystego przyjmowania ucznia nowego (*depositio beani*) czyli fuksa; jest to zwyczaj dziwi, ale wielce charakterystyczny. Względem beanusa wszystko dozwolone. Nazwę beanus wysnuwano w sposób komiczno-anagramatyczny z wyrażień mocno dlań niepoehlebnych, jak np. *bestia amata nusquam* (zwierzę nigdzie nie lubiane), albo *bestia equalis*

asino nihil vere sciens (zwierzę równe osłowi, nie prawdziwie nie umiejące); mówiono też o nim: *beamus est animal nesciens vitam studiosorum* (fuks jest zwierzę, nie znające życia studentów). Samo przyjęcie było połączone z poniewieraniem i udręczeniami wszelkiego rodzaju, aby tym sposobem wycisnąć z nowicyusza wszystkie soki złe, przytrzeć fuksovi rogów i traktowaniem takim przysposobić godnie do społeczności studenckiej. Zaznaczone powyżej komedye pochodzą wprawdzie z 1550 r., ale ze względu na treść odbija się w nich na wskroś epoka humanistyczna. W zbiorze poezyj *Wawrzyńca Korwina*, przeznaczonych dla studentów krakowskich, lecz i w Niemczech bardzo upowszechnionych, znajduje się wiersz: *De beano*, w którym czytamy: „Z oczu podobien do wilka, z włosów do kozła, z długich uszu do osła; kreatura taka nie jest godna mieszkania ludzkiego, winna żyć jako dzik w norze”.

Grubijaństwa tego rodzaju, nierozdzielnie związane ze świeżo nabytą swobodą akademicką, są naturalnym odwetem za przymus, jakiemu młodzież podlegała w bursach. Nie można stąd jednak wnioskować, iżby życie studenckie onego czasu było na wylot zdziczałe. Przeciwnie! Panowała i tu przeważnie wesołość bez troski i świeżość uciech życiowych. Wzbierająca po za brzegi wybujałość młodzieńcza znajduje ujście raczej w pijatykach hałaśliwych, aniżeli w rozpustach wstrętnych. Za tortury gramatyki łacińskiej mściła się młodzież pieśniami pijackimi, przeplatając zabawnie niemieckimi wiersze łacińskie. Przytaczamy tu jedną z nich, podaną dopiero przez *Fischarta*, ale pochodzącą niewątpliwie z czasów dawniejszych; wzmianka o *bursie* (Bursch) świadczy dowodnie o epoce wcześniejszej:

Wolauf ir brüder allzumal
 Quos sitis vexat plurima!
 ich weiss ein wirt, klug überal
 quod vina spectat optima.

Sein wein mischt er nicht mit dem saft
 e puteo qui sumitur
 ein jeder bleibt in seiner kraft
 e botris ut exprimitur.

Herr wirt bringt uns ein guten Wein
 in cella quod est optimum!
 die brüder wollen fröhlich sein
 ad noctis usque terminum.

Wer greinen oder morren will,
 ut canes decet rabidos,

der mag wol bleiben aus dem spil
ad porcos eat sordidos!

Frisch auf! die bursch will fröhlich sein,
levate sursum pocula,
Got geseegn uns den und andern wein
in sempiterna secula.

Toć pijatyka i śpiew szły zawsze ręka w rękę ze studjami. Pracowano jednak dużo. Studya fakultetu artystów — bo ten tylko mamy na oku — stanowiły odczyty, ćwiczenia i dysputacye. Prelekcye bywały zwyczajne lub nadzwyczajne. Zwyczajne miewali, jak się zdaje, profesorowie płatni, zajmujący istotnie posadę; odpowiadały one dzisiejszym lekcjom prywatnym i zaczynały się w początkach semestru. Odczyty zaś nadzwyczajne, konkursowe, przeznaczone dla zacofanych lub dla kandydatów do egzaminu, miewali magistrowie dopiero w środku półrocza, zaczynając na krótko przed terminem; możnaby je przyrównać do dzisiejszych *privatissima* lub kursów egzaminacyjnych. Ćwiczenia i dysputacye urządzali magistrowie, w stroju właściwym, co tydzień w ciągu trzech godzin. Za odczyty i ćwiczenia otrzymywano czesne. Osnowę odczytów i ćwiczeń wypełniają też same przedmioty. Uczono tedy gramatyki, a wykład stosowano do stopnia przygotowania uczniów i prowadzono go podług *Aleksandra* i *Donata*, a więc według metody nowej lub przestarzałej; uczono dalej logiki, dyalektyki i retoryki częścią podług średniowiecznych łacińskich przekładów *Arystotelesa*, częścią podług nędznych podręczników tak zwanego *Piotra Hiszpana*, ułożonych na podstawie książek nie mniej nędznych; a zatem i tu znowu zgubna mieszanina oryginału z kompilacją, postępowości ze wstecznością; wykładano wreszcie fizykę i astronomię. Magistrujących się obowiązywała nadto etyka i psychologia, metafizyka i geometrya, a także arytmetyka i muzyka *si legantur* (jeśli je czytano). Uwaga ta, zamieszczana nawet w planach lekcyj, albo dowodzi, że brakło nieraz sił nauczycielskich, a tём samém niektóre katedry były osieroczone, albo tём świadczy, że niektóre przedmioty uważano nie za obowiązkowe, lecz dowolne. Ćwiczenia od odczytów różniły się jeno formą. W odczytach wykladał i objaśniał nauczyciel; pierwiastek wyjaśniający przeważał nad wykładem, ponieważ prelekcyja przywiązywała się do jakiegoś podręcznika tak dalece, że wykład ciągły był zbyteczny, a często nawet niemożliwy. W ćwiczeniach brali udział uczniowie. Ale praca uczniów nie jest bynajmniej swobodną, samoistną, podobnie jak działalność profesorów nie wyzwała się wcale z więzów staroświeczyny. Przeciwnie! W dysputach przepisywano ściśle ilość twierdzeń, pytań i zarzutów, odpowiedzi dokła-

dnie formułowano, a więc najdoskonalsza tresura egzaminacyjna nie tylko była dozwolona, lecz nakazywana. Musiał przyszedź bakałarż, stosownie do uznania kierownika, uczestniczyć czynnie lub biernie w sześćdziesięciu takich dysputacjach, toczonych przez magistrów lub bakałarżów starszych; w trzydziestu dalszych uczestniczył przyszedź magister.

Mówiąc o uniwersytetach średniowiecznych, których organizację i samą istotę humanizm stopniowo przeistaczał, nie można pominąć milczeniem walki nominalizmu z realizmem; dla wieków średnich bowiem ma ona takie znaczenie, jak dla czasów późniejszych walka humanizmu ze scholastycezmem. Pomiędzy obu walkami jest nieco podobieństwa, ponieważ i tamci zapaśnicy nazywają się lub przez innych są nazywani mianem młodych i starych, tak, iż na jednym i tym samym uniwersytecie spotykamy odróżnienia: *via antiqua* (stare tory) i *via moderna* (nowe tory); z drugiej wszelako strony istnieje i różnica, ponieważ humanizm i scholastyka są dwoma kierunkami wręcz przeciwnymi, gdy tymczasem nominalizm i realizm są dwoma odrębnymi poglądami w dziedzinie samej jeno scholastyki. Realizm jest tym na świat poglądem, który ogólność bierze za rzeczywistość, właściwą rzeczywistość i byt upatruje tylko w gatunku, osobniki zaś uważa jeno za zjawiska przemienne i za przymioty gatunku. Nominalizm natomiast tylko przedmioty indywidualne, jednostkowe poczytuje za rzeczywiste, ogólność zaś jest dlań jeno pojęciem i abstrakcją, istniejącą li w umyśle naszym. Realizm tedy, pogląd dawniejszy, nie uznaje prawowitości nominalizmu, zapatrywania późniejszego, i prześladuje go jako wdziercę, a w prześladowaniach znajduje niekiedy poparcie u władzy publicznej, jak np. w Paryżu, gdzie 1473 r. księgi nominalistów okuto w kajdany. Jednakże mimo prześladowań nominalizm się utrzymał i nabrał sił żywotnych, ponieważ głosił właśnie nową zasadę badania, iż ogólność istnieje tylko jako abstrakcja, drogą doświadczenia nabyta, że natomiast własności tego, co jest rzeczywistym, widzialnym, jednostkowym, muszą być badane i wykazane, że dopiero poznanie wielu szczegółów może doprowadzić do zrozumienia ogólności. Bez względu na taki stosunek nominalizmu do umiejętności, nie jest on nigdy, lub jest rzadko sprzymierzeńcem studyów humanistycznych; niektórzy znów twierdzą przeciwko nominalizmowi, gdzieby przyjaciele światła powinni znaleźć schronienie bezpieczne, stały się przytułkami obskurantów.

Przedstawione powyżej urządzenie studyów istniało w uniwersytecie bazylejskim; podobny ład panował mniej-więcej na wszystkich

uniwersytetach. Walka nominalizmu z realizmem nigdzie może z większą nie toczyła się żywością, jak w Bazylei; stąd więc uniwersytet tutejszy, lubo jeden z najmłodszych, w roztrząsaniu naszym musi naczelnie zająć miejsce. Należy mu się ono i z innych jeszcze względów. Bo oto bez opłaty należności przyjął w poczet obywateli uniwersyteckich niejednego, dlatego, że był „poetą i mówcą”, i niejednemu z wędrownych humanistów pozwolił czas jakiś w murach swych przebywać i nauczać. Wreszcie 1474 r. ustanowił w osobie *Jana Macieja von Gengenbach* profesora, który miewał codziennie jednogodzinny wykład z dziedziny sztuk wyzwolonych i poezyi. Jest przeto Bazylea pierwszą może w Niemczech wszechnicą, gdzie humanizm urzędownie poniekąd został uznany.

Założenie uniwersytetu bazylejskiego przypada na rok 1460. Zatwierdził go papież humanistyczny *Pius II*. Był on zależny od Włoch o tyle, że powołano tu znakomitych uczonych włoskich. Główne miejsce zajął fakultet prawny, ponieważ otrzymał taką samą liczbę katedr, jaką trzy pozostałe wydziały razem wzięte. Tymczasem mimo sławy profesorów zagranicznych i mimo przeważnego uwzględniania studyów praktycznych, zaprzestano wbrew przewidywaniom zapraszać cudzoziemców, a fakultetom innym przyznano też same prawa, co i jurystycznemu. Piękny rozkwit zawdzięcza Bazylea w rzeczywistości nie prawnikom obcym, lecz humanistom swojskim. Właściwe jej znaczenie polega na tem, że jest dzielnym zapaśnikiem w walce nowego kierunku przeciw staremu.

Przez długi przeciąg czasu gwiazdą Bazylei był *Jan Heynlin a Lapide (von Stein)*, biorący swą nazwę od miejsca urodzenia, 1425—1496), przywódca realizmu, ale nie obcy i humanizmowi. Był członkiem uniwersytetu, lub przynajmniej mieszkańcem Bazylei w latach 1464 i 1465, następnie od 1474 do 1478, wreszcie od 1487 aż do śmierci. Do świetnego rozwoju wszechnicy przyczynił się niezmiernie. Pod koniec żywota, podobnie jak wielu innych współczesników, usunął się do klasztoru i przywdział habit kartuski w Bazylei. Pożądanego spokoju zewnętrznego nie zapewnił sobie jednak, ponieważ bez względu na wiek i stanowisko, doznawał udręczeń ze strony opata; ale znalazł natomiast spokój wewnętrzny. Kiedy ci, co wpływowi jego ongi ulegali i sądzili, że ma dość siły, aby wpływ ten wywierać dalej, upraszali, iżby przerwana działalność publiczną podjął nanowo, odpowiedział: „Gdybym posiadał dwie dusze, chętniebym jedną dobrym towarzyszom gwoli na szwank ęnaraził”. Dawniej pracował z powodzeniem w Bazylei na niwie kaznodziejskiej; zarówno tu, jak i wszędzie, dokąd kroki skierował, poprawiał obyczaje, przywracał stare zwyczaje kościelne, orędownał energicznie nauce. Przedewszystkiem jednak odznaczył się na polu filozofii. Kiedy we Włoszech

prawdziwy *Platon* odniósł tryumf nad prawdziwym *Arystotelesem*, *Heynlin* bronił jeszcze nieautentycznego *Arystotelesa*, oraz fałszywego idealizmu, opartego na jego wyrzeczeniach. Jako teolog oddawał Pannie Maryi cześć fanatyczną. Podobnie dominikanom nie uznawał niepokalanego poczęcia Maryi. Sądził, że daleko lepiej utwierdzi cześć dla Najświętszej Panny, przyjmując narodzenie jej czysto ludzkie. W tym bowiem razie wybór Maryi przez Ducha Świętego okaże się o wiele cudowniejszym i bardziej boskim. Od przekonania swego nie dał się odwieść nawet świętym, którzy głosili zapatrywanie wręcz przeciwne. Zwalcza je zaś nieco wykrętnie, mówiąc: „choćby możnaby wielką przytoczyć liczbę doktorów świętych, co odmienną bronili nauki, jednakże nie zgromadzili się oni nigdy dla rozstrzygnięcia tej kwestyi, a więc i decydować o tém rozstrzygająco nie mogą”. O prawdzie swego mniemania jest przekonany tak silnie, że, nie poprzestając na zdaniu powyższém, lecz zarzucając błąd świętym nawet, śmiało wypowiada twierdzenie: „Gdyby żyli obecnie, to albowy poglądy swe cofnęli, albo zgoła nie byli świętymi”. Oświadczeniami tego rodzaju nie zdobył sobie *Heynlin* miejsca w szeregu reformatorów, ale ma również jak *Sebastyan Brant* uzasadnione prawo do zaszczytnej czy szyderczej nazwy makulisty. Z *Brantem* i jego zwolennikami pozostaje teolog bazylejski w ścisłych stosunkach; nie uważają go oni wprawdzie za jednomyślnego z sobą, lecz okazują mu szacunek za życzliwość i opiekę dla humanizmu.

Uczniem *Heynlina von Stein* jest *Jan Amerbach* (1444—1514), słynny drukarz, który wspólnie z *Janem Frobenem*, uczonym przyjacielem i doradcą, nowemu kierunkowi całkowicie oddanym, wspierał humanizm i humanistów. Humanizmowi wyświadczyli usługi, wypuszczając z pod pras dzieła starożytnych, wielotomowe edycje biblii i ojców kościoła, oraz drobne ulotne pisma humanistyczne. Humanistom zaś pomagali, używając ich w wielkich drukarniach jako uczonych współpracowników, jako korektorów. Młodszym zapewniał przez to byt podczas studyów, a starszym stanowisko niezależne i mimo wszelkich utrapień dla nauk pożyteczne. Od *Jana Amerbacha* znamienitsi są wszelako trzej jego synowie: *Bazyli*, *Brunon* i *Bonifacy*. Otrzymali wszyscy wysokie wykształcenie i przynieśli mu zaszczyt.

Najzasłużeńszym z nich jest najmłodszy, *Bonifacy* (ur. 1495, um. 1562), niepospolity prawoznawca, od 1525 r. profesor w Bazylei. U współczesnych cieszył się tak wielką sławą, że książęta zagraniczni, jak n. *Krzysztof książę wurtemberski*, zasięgali jego rady przy wypracowywaniu praw nowych. Potrafił też urzeczywistnić marzenia przodków, aby Bazyleę uczynić ogniskiem studyów prawniczych. *Amerbach* nie jest wcale jurystą jednostronnym. Nietylko synowi,

studującemu również prawo, wskazał konieczność wykształcenia filozoficznego i zaszepełił w nim zamiłowanie greczyzny, ale wcześniej jeszcze sam w sobie pojednał oba wrogie kierunki: jurystyczny i humanistyczny. Sprawił to swym wpływem *Erazm*, długoletni przyjaciel i doradca domu Amerbachów, potężny czynnik w umysłowym życiu Bazylei. Z natchnienia Erazma pochodzi też stanowisko Amerbacha względem reformacji. Podobnie jak mistrz zajął pozycję wyczekującą, a poważnym swym głosem przyczynił się, że rada bazylejska wydała uchwały powściągliwe. Z *Holbeinem* żył także w przyjaźni; Holbein malował jego portret; wiele rysunków holbeinowskich dzięki jego zabiegliwości przechowało się do naszych czasów. Amerbach bowiem, niby drugi *Pirckheimer*, gromadził w swym domu uczonych i artystów, dzieła literatury i sztuki. Dziś jeszcze zbiory jego są ozdobą bibliotek i muzeów bazylejskich. Obszerne foliały jego korespondencji, przepełnione listami uczonych niemieckich, którzy zwracali się do bogatego i ukształconego męża w sprawach najrozmaitszych, zawierają nadzwyczaj cenny a dotąd w części nieużytkowany materiał do historii humanizmu i reformacji.

W szeregu młodszych humanistów bazylejskich, najznamienszym jest bez zaprzeczenia *Henricus Glareanus*, *Henryk Loriti* z Glarus (1488—1563). Dwakroć po lat kilka (1514—1517, 1522—1529) przemieszkował i nauczał w Bazylei, ale nie zawsze żył w zgodzie z innymi członkami uniwersytetu. Ściągnął albowiem na się ich niechęć urządzeniem własnej bursy, w której skupiał około siebie ściślejszych swych ziomeków; sam zaś gniewał się słusznie na urzędowych przedstawicieli wszechnicy, ponieważ przyznawali mu tylko prawa zwyczajnego magistra, a odmawiali praw szczególnych, do których rościł pretensję jako „poeta uwieczony”. Panowie uniwersyteccy zemścili się w ten sposób, iż zdarli jego obwieszczenia z drzewi kościelnych i zabronili mu miewać niektórych kolegów. Glareanus drwił z nich na wszelkie sposoby; raz np. dla dysputy wjechał do auli na osle, ponieważ nie miał miejsca do siedzenia. Ostatecznie jednak zwyciężył nie tyle uroszczeniami osobistymi, ile raczej rzeczowemi. Zniesiono mianowicie dysputy logiczne i ustanowiono katedrę historii; tamto oznaczało odstępianie od stariej metody scholastycznej, to zaś było przyznaniem praw humanizmowi. Podczas pierwszej bytności w Bazylei spotkał się tam z *Erazmem*. Osobisty stosunek obu mężów chwiał się między gorącym przywiązaniem a zimną obojętnością; wkońcu zamienił się w nienawiść. *Glareanus* oskarżył *Erazma* o kradzież literacką, a mianowicie, że ogłosił jego uwagi o prawidłowym wymawianiu greckim; *Erazm* zaś nie zapisał *Glareanowi* w testamencie najdrobniejszego nawet podarunku. Stosu-

nek taki wynikał z niezgodności obu charakterów. Próżność *Erazma* nie znosiła żadnego oporu, żadnej samodzielności; *Glareanus* znowu był porywczy i do gniewu skory. Ztémwszystkiem cały kierunek umysłowy *Glareana* wyrobił się pod wpływem *Erazma*. *Erazmowi* zawdzięcza zwrot do jednostronnej uprawy studyów humanistycznych, oraz wstręt do tendencyj reformatorskich, które wystawiały na szwank rozwój nauk, a uczonego wyrzywały z zaciszy gabinetu na pole walki z kłótliwym ludem. Odrazę do reformacyi ujawnił w szyderstwach z nowinkarzów, w zerwaniu wszystkich przyjacielskich stosunków nawet z długoletnimi i zaufanymi towarzyszami. Gorliwość w pielegnowaniu studyów udowodnił odczytami i nauczaniem prywatnem, wszędy bowiem, gdzie się tylko znalazł, uczył chętnie, a zwłaszcza rodaków; udowodnił ją dalej listami łacińskimi i poezjami, edycjami autorów rzymskich i greckich, oraz uwagami do nich, a przedewszystkiem pracami krytycznemi nad *Liwiuszem*, któremi posiłkują się nowsi nawet wydawcy.

Ze względu na swą działalność i przekonania humanistyczne różni się *Glareanus* od towarzyszków trzema rzeczami: 1) patriotyzmem specyficznie szwajcarskim; 2) naukowem opracowaniem geografii; 3) badaniami nad muzyką. W przeciwstawieniu do praniemieckiego patriotyzmu innych humanistów nie zapiera się *Glareanus* swęj szwajcarskości nawet w panegiryku na cześć *Maksymiliana* (z okazji pobytu cesarza w Kolonii 1512 r.); owszem, winszuje cesarzowi zawarcia świeżego właśnie przymierza ze Szwajcarami. Podczas gdy towarzysze marzyli o powiększeniu Niemiec, *Glarean* żywi nadzieję, iż prawy brzeg Renu ze Schwarzwaldem przypadnie znowu Szwajcaryi. Już w roku 1510 rozpoczął on poemat bohaterski o jednym z największych tryumfów Szwajcarów, mianowicie o ich zwycięstwie pod Nöfels, ale utworu tego ani wykończył, ani drukiem nie ogłosił.

Patriotyzm zrobił też *Glareana* geografem. Najprzód bowiem sporządził na wzór *Strabona* opis Szwajcaryi (1512 r.), do którego dołączył panegiryk ku czci Szwajcarów z okolicznościową wzmianką o strzale *Tella* (*sagitta Gulielmi*); w jednem miejscu porównywa go do *Brutusa*. Później wydał księgę o geografii (*De geographia liber unus*, 1521 r.), z której Szwajcaryę usunął zupełnie ze względu na pracę poprzednią. Pierwsza, obszerniejsza część dzieła obejmuje zarys geografii matematycznój, oparty na bardzo niedokładnej wiedzy onego czasu; wykład grzeszy przytęm często niejasnością; część szczuplejsza zawiera opis Europy, Azji i Afryki, ułożony nie na podstawie własnych spostrzeżeń lub badań nowszych, lecz na zasadzie prac *Ptolemeusza* i *Strabona*; czyni tu autor od siebie drobne dodatki o miastach niemieckich i osobistościach współczesnych, np. o wpływie *Henryka VIII* na kulturę kraju. Ostatni rozdział *De regionibus*

extra Ptolemaeum (o krajach Ptolemeuszowi nieznanych), w którym spodziewalibyśmy się wiadomości o odkryciach nowych, zawodzi całkowicie oczekiwania nasze; o Ameryce wspomina jednem zaledwie słowem. Bardziej aniżeli same odkrycia zdaje się interesować uczonego geografa kwestya, czy nie o tych ziemiach napomyka *Wergiliusz* w kilku wierszach Eneidy (ks. VI); widać i w tém żyłkę filologiczną.

Największą pracą *Glareana* jest okazały foliant dzieła muzycznego p. n. *Dodekachordon* (Bazylea 1547). Współcześni i późniejsi wiele zeń korzystali, tłómaczyli je i niejednokrotnie ogłaszali w wyciągach. Już przed 30 laty napisał był „wstęp do muzyki”, teraz zaś dokonał zupełnego opracowania. Stara się tu autor przede wszystkim zbić mniemanie upowszechnione, że jest tylko 8 tonów, a dowiesć, że istnieje 12 i że odpowiadają one tonom starożytnej muzyki greckiej. Wskutek dążności zadziernięcia nowoczesności o starożytność staje się i to dzieło płodem czysto humanistycznym. Ma ono jednak duże znaczenie dla historii muzyki owych czasów, ponieważ podaje próby kompozycy z XV i XVI wieku, między którymi znajduje się także kilka kompozycy *Glareana*. Muzyka jest dlań zresztą sztuką świętą; zaleca jeno pieśń poważną, Bogu poświęconą, a potępia natomiast lekkomyślną, swawolną.

Ponad całymi tuzinami ludzi w epoce humanistycznej góruje *Glareanus*, indywidualnością wysoce ukształconą. Był gwałtowny, popędliwy, do sporów pochopny i w polemice zręczny, dowcipny i rzadkim obdarzony humorem; jego żarty nie tylko opowiadano, ale i drukiem ogłaszano; mimo wielkiego wykształcenia — przesądny; mimo rzeczywiście głębokiej i rozległej nauki — skromny (mierność uważał sam za wybitny swój przymiot); mimo patriotyzmu niemieckiego — umiłował wyłącznie język łaciński a pogardzał niemieckim. Nawet w tój pogardzie, nie stojąc osamotnionym, prześciga innych. Niektórzy bowiem tylko na równi z nim uważali język niemiecki za sposobny jedynie do obelg. O *Tyberjuszu* powiada, że z trudnością możnaby dlań znaleźć nazwę stosowną (*quod viz latine dixeris*), ale po niemiecku można go nazwać zupełnie trafnie: „ein abgefemter, ehrloser, znichtiger Bösewicht” (wytrawny, obrany z czci, nikczemnym łotrem).

Po Bazylei zajmiemy się Tübingą. Tam, opuściwszy Bazyleę skierował swe kroki *Heynlin von Stein*, tam niemal w sto lat później wyprawiał na studia *Bonifacy Amerbach* swego syna *Bazylego*.

W jednę tak zwaną komedyi (*De optimo studio Scholasticorum*) występuje chłop, życzący sobie, aby syn poświęcił się studjom. Jako dzieło dramatyczne, jeżeli je wogóle tak nazwać wolno, jest komedia

utworem zupełnie chybionym. ale zasługuje na uwzględnienie, ponieważ odzwierciedla sposób myślenia silnego stronnictwa. Otóż syn przesiedział lat dwanaście na ławach szkolnych w Ulmie (ośmieszony jego nauczyciel wabi się *Jakobutius Schnaltzhaff*) i nie słyszał o niczym innym, jak tylko o Doctrinale i jego komentarzach. Teraz wstąpił do uniwersytetu. Tu nieprzyjaciel poezyi — a wiemy już, co przez poezyę wówczas rozumiano — ostrzega przed nią młodzieńca. Uczeń szdydzi z ostrzeżenia; niebawem wszczynają przeciwnicy spór, ulubioną walkę onego czasu, czy poezya ma wyższość nad teologią, czy odwrotnie. Aby zbić zarzut, iż poezya jest niemoralną, przypomina student wszystkie wszeteczne ustępy i opowiadania z biblii, i kończy gorącą pochwałą swych wybrańców: „Inne rzeczy nie są bynajmniej właściwe każdej epoce, każdemu wiekowi i miejscu; jedynie tylko studia poetyckie uszlachetniają młodość, rozweselają starość, zwiększają szczęście, pocieszają w nieszczęściu, są wiecznymi towarzyszami w domu i podróży”.

Miastem, gdzie zuch student wessał studia tak dzielnie przez się bronione, jest Tübinga; autorem zaś komedyi a prawdopodobnie i nauczycielem młodzieńca — jest *Henryk Bebel*.

Uniwersytet tübingeński powstał w epoce humanizmu; jego założycielem jest *hrabia Eberhard*; bulla papieska, wydana przez straszne go *Sykstusa IV*, nosi datę 9 listopada 1476 r. Jednakże organizacya wewnętrzna nie różni się niczem od urzędzeń dawniejszych. Twórcą wszechnicy jest władca kraju, ale z własnej kasy bytu jej nie zabezpieczył. Koszt utrzymania pokrywają instytucye duchowne, a mianowicie dochody z 5 kościołów parafialnych i 8 prebend klasztoru kanoników regularnych w Sindelfingen. Niema też mowy o nadaniu humanizmowi pierwszeństwa, a tém mniej o jego wyłącznem uprzywilejowaniu. Owszem, fakultet artystów, do którego należeli humaniści, zajmuje miejsce najpośledniejsze ze względu na stanowisko i płacę profesorów; zdaje się stanowić przejście do wydziałów wyższych. Przedewszystkiém wśród artystów ujawnia się wpływ humanizmu. Z pomiędzy nich właśnie zasługują na pamięć dwaj mężowie; jeden reprezentuje zespolenie starego kierunku z nowym, drugi — zwycięstwo nowego prądu.

Konrad Summerhart (ur. około 1450, um. 1501) jest przedstawicielem partyi starych. Nie jest to cyceronianin, ani poeta, ani filozof popularny, ani pisarz wytworny; ociężyły w myśli i słowie, jest, co więcej waży, myślicielem samodzielnym. Odznaczył się jako filozof i teolog, fizyk i ekonomista. Co się tyczy filozofii, stoi *Summerhart* całkowicie jeszcze na gruncie dawniej metody uczenia. Mistrzem jego jest *Arystoteles*; wszelako nie ten *Arystoteles*, którego dawali poznać humaniści z badań oryginału, ale ten, którego przekazały wieki śred-

nie w tłumaczeniach zepsutych. Zasada autorytetu szkolnego pozostaje nienaruszona. Jako teolog doradza studyowanie biblii, miłuje spokój i odwodzi towarzyszków nawet od wszelkich sporów. Raz miał pono wyrzec: „Któż mię nieszczęsnego oswobodzi od teologii kłótliwęj?”! Uznawał konieczność reformy kościelnej w głowie i członkach i wypowiadał gorące jej pragnienie. Odróżniał nader ściśle władzę papieską, wypływającą z prawa ewangelicznego, od władzy, wzrosłej wbrew temu prawu; skarżył się głośno na zeświecczenie i skażenie kościoła chrześcijańskiego, w skutek wzmożenia się władzy papieża. Łękliwy i przezorny, we wszelkich wynurzeniach przeciw panującemu systemowi kościelnemu, np. przeciw dziesięcinom, nie zaniedbywał dodawać, że nie ośmiela się twierdzić nie sprzecznego z wiarą prawowitą; mimo to przecież, nie unosząc się gniewem, na wzór współczesnych zapaleńców humanistycznych, gromi mnichów, potępia ich zbytki, żądę posiadania majątków prywatnych, nieuctwo i nieustanną pochopność do spraw świeckich. W dziedzinie fizyki okazuje taką łatwowierność, że przyjmuje niedorzeczne baśni, uważając zjawienie się komety na przykład za niechybną oznakę czterech rzeczy: upału, wiatru, wojny i śmierci monarchy. Umiał jednak wyzbyć się przesądów; trzyma się więc zdala od obłudnej nauki astrologii i wszelakich związanych z nią oszustw. Co więcej, jako obserwator natury albo raczej jako zwolennik i krzewiciel scholastyczno-arystotelesowskiej umiejętności przyrodniczej, zwiastuje poniekąd teorię rozwoju, „podług której istoty wyższej organizacyi powstają z niżej norganizowanych skutkiem działania wpływów meteorycznych i syderecznych. Na polu ekonomii politycznej nie wygłasza myśli reformatorskich, ale odtwarza wiernie zapatrywania współczesnych. Rozprawia nie bez zapалу o wspólności majątku w epoce rajszych stosunków świata, ale poczytuje tę wspólność za niepowrotnie straconą, z przyczyny skażenia rodu ludzkiego. O lichwie i procentach mówi w ten sposób, że, idąc częścią za mniemaniami współczesników, częścią zaś wypowiadając własne zdania, robi różnicę między istotnym procederem lichwiarskim, t. j. wyzyskiwaniem bliźniego, dotkniętego biedą chwilową a dążeniem innych, do rozwinięcia przepychu lub rozszerzenia interesów zawodowych. Traktuje też o zbytku, a przy tej sposobności podaje nader ciekawy spis przedmiotów zbytkowych, używanych przez mężczyzn i kobiety; nie zabrania ich bynajmniej, ale je potępia, jeżeli ich noszenie odsłania cele niemoralne. Wykład tych i wielu innych teoryj zawiera autor w rozwlekłych rozprawach, pozbawionych wszelkiej ozdobności w wysłowieniu; natomiast bogactwo spostrzeżeń i sumienna pracowitość badacza wynagradzają całkowity brak pięknej formy.

W przeciwieństwie do *Summerharta* jest *Bebel* fanatycznym kapłanem kultu formy pięknej.

Henryk Bebel (ur. 1472, zm. 1518), syn niezamożnego chłopca, zachował w ciągu życia niejaki pociąg do ludu, z którego pochodził, i czuł się swobodnym w otoczeniu z chłopami. Nawet w działalności literackiej, lubo posługiwał się wyłącznie językiem łacińskim, zdradzał dążności popularne; żywił bowiem sympatyę dla pieśni gminnych, zbierał przysłowia niemieckie i wydał je, ale niestety, w tłumaczeniu łacińskim.

Od roku 1497 był profesorem uniwersytetu w Tübindze, i pracował nieznużony ku pożytkowi licznego grona uczniów, którzy z miłością i zapalem lgnęli do mistrza. Należał *Bebel* do rzędu filologów jednostronnych, i właśnie z przyczyny téj jednostronności nader żarliwych, uważających się za stróżów czystości języka łacińskiego. Był fanatycznym obrońcą klasycznej doskonałości. W swoich wykazach wzorów prozy i poezji łacińskiej, polecał więc wystrzegać się zarówno przedklasycznego *Enniusza*, jako téż *Apollinarisa* i jego współczesników, poetów chrześcijańskich, ponieważ są autorami poklasycznymi; potępiał pisarzy średniowiecznych, a z nowszych przyzwał na *Petrarkę*, *Filelfa*, *Mantovana*, *Panormię*, *Karola Aretina*, o tyle tylko, o ile naśladują starożytnych lub trzymają się ściśle prawideł Rzymian i Greków; *Eneasza Silvia* odradzał nawet całkowicie. Z jednaką bezstronnością sądzi włoskich swych współwyznawców i Niemców. O rodakach własnych twierdzi, że dotąd żaden z nich jeszcze nie odtworzył wymowy w czystości starożytnej; zdaniem takim ściągnał na się niechęć tych, co przypisywali sobie zasługę przywrócenia owęj czystości. Aby ułatwić uczniom orientowanie się w labiryncie języka łacińskiego, ułożył dla ich użytku spis najlepszych zwrotów; aby zaś umożliwić im pisanie wierszy i listów, co było pierwszą potrzebą młodego humanisty, wydał podręczniki metryki i epistolografii. Oprócz tego pisał objaśnienia do autorów łacińskich, ogłosił drukiem kilku pisarzy, którymi się zajmował w odczytach, wreszcie w drobnych poezjach i polemikach, w listach i mowach wychwalał naukę — t. j. w jego rozumieniu dokładną znajomość łaciny — a przeciwników nauki gromił.

Bebel lubił spory. W walkach jednak rzadko kiedy wysuwał na czoło swą osobę; starał się zwykle przedmiotowi służyć. Przedmiotem tém był humanizm. Przeciwnicy humanizmu, z jednej strony Niemcy bez ojczyzny i cudzoziemcy Niemcom niechętni, a z drugiej pyszni teologowie i przyjaciele nauki, byli jego wrogami. Patryota, który nie znał nic wyższego nad swe Niemcy i swego cesarza, który różne wypadki z epoki rządów *Maksymiliana* we wzniosłych opiewał wierszach, wydał dwa pisma przeciw pierwszej kategorii wrogów: jedno

„O pierwobytności Niemców” a drugie „O chwale, starożytności i czynach Niemców”. Tamto należy do szeregu prac historyczno-patryotycznych, które jeśli prawdy wprost nie fałszują, to ją przynajmniej ubarwiają. Wykazuje więc autor niezawisłość Niemców od Rzymian, a uwydatnia za to wpływ Niemców na cesarstwo rzymskie oraz gorące przywiązanie Germanów do ojczyzny, istotnej swęj ziemi macierzystęj. Ale nie dość tego. Dowodzi nadto, że Niemcy nie pochodzą od żadnego innego narodu, nawet od Trojan, a wyprowadza natomiast od Niemców inne narody, nie tylko Franków i Burgundów, lecz także — proszę uważać! — Normandów i Szkotów. W drugim z owych dwu dzieł, występuje przeciw cudzoziemcom. Chodzi tu głównie o znaczenie nazwy *imperator*, którą zdobili się cesarzowie niemieccy. Wenecyanin *Leonard Giustiniani* twierdził, że *imperator* w łacinie rzeczywiście klasycznej nie oznacza bynajmniej najwyższej godności państwowej, i że władcy rzymscy nigdy się nie koronowali koroną cesarską. Otóż *Bebel*, rozjątrzony nie tyle może różnicą rzeczową, ile raczej obelżywem mianem „barbarzyńców”, miotanem na Niemców przez nieprzyjaciół, zwalcza to zdanie bardziej gniewem patryotycznym, aniżeli dowodami filologiczno-historycznymi.

Właściwą podniętę do polemiki z teologami znalazł *Bebel* w ich nieżyczliwości dla studyów nowych; boć wyłącznie tylko ich sprawki miłosne nie mogły skłonić do walki jego, człowieka zmysłowego i lubiącego rozweselać się winem. Co prawda, w swym „Tryumfie miłości” (*Triumphus Veneris*) robi minę, jakoby chciał być jeno obrońcą czystości wobec nieduchownych chuci księży. W utworze tym, napisanym dobrze zbudowanymi i pięknie brzmiącymi heksametrami, występuje bogini miłości, której ulegają wszyscy ludzie bez względu na wiek i stan. Dla udowodnienia tęj władzy, zwłaszcza że królowa o swęj wszechmocy zdaje się wątpić, zjawiają się przed nią całe tłumy jęj poddanych. Najprzód stają zwierzęta, potem ludzie a wśród nich na czele duchowni w wielkiej mnogości, zarówno świeccy jak zakonni, począcwszy od papieża do prostych mnichów i mniszek; następnie ukazują się ludzie świeccy, i oni także od króla aż do pacholka; w końcu przybывают liczną kupą niewiasty. Wszyscy wyznają się wiernymi stronnikami Wenery, pragną jęj służyć, bał cisną się na wyprzódki, by pierwsze zająć miejsce w jęj orszaku. Od samego początku zostało ono wyznaczone mnichom zebrzącym. Wszystkie wysiłki, aby je wydrzec im, są bezowocne. Teraz przeciw armii Wenery chce wystawić zbrojne swe pułki—Cnota. Ale niestety, zdołała zgromadzić zaledwie garść wiernych. Przy pierwszym starciu z wojskiem nieprzyjacielskiem idą w rozsypkę i pozostawiają plac boju tryumfującym zwolennikom Wenery.

Po części przeciw duchowieństwu zwraca się także najcelniejsze

dzieło *Bebela*, *Facetiae* czyli fraszki („geschwenek”). Choć autor przy sposobności wymienia i nieuje wszystkie klasy, żaden stan wszelako nie odbiera tyle ciężów, co duchowny. Gromi tu *Bebel* niemoralne życie księży, którym się szczyłą jeszcze, zamiast srom ucuwać; wydrwiwa grube ich nieuctwo, przedajność, żądę uciech oraz zuchwałność, z jaką głoszą ludowi bajki niedorzeczne. Do baśni takich zalicza nierozsądne opowiadanie o wypadkach cudownych, bezecne przechwałki z relikwii udanych oraz harde zadufanie we wstawienictwo świętych, w odpusty, w skuteczność dobrych uczynków; zdaje się nawet dotykać wiary w zmartwychwstanie. Opowiada bowiem o pewnym chłopie, który nie chce wierzyć w zmartwychwstanie i wobec usilnych perswazyj kapłana oświadcza, że uwierzy, jeżeli będzie zmuszony, lecz ojciec wielebny przekona się, że sobie nie poradzi; w tym razie nie tylko narrator dowcipkuje, przedstawiając, jak wątpiciel pragnie za sobą utrzymać słuszność, ale nadto stara się samą wiarę obrócić w śmieszność. Obok tego biczuje łatwowierność popóstwa i oszustwa różnych klas społecznych, mianowicie też młynarzów, krytykowanych z rażąca nieżyczliwością w satyrach, zagadkach i pieśniach; ośmiesza żydów i pychę szlachty; wyszydza laneknechtów, co prawda nie bez odcienia sympatyj dla ich zuchwałego i ucieśnego postępowania, którym zjednywają sobie nawet ofiary własnych wybryków; smaga także książąt, „którzy straszniemi przekleństwami kłają zabraniają”; przedewszystkiem jednak chłoszcze nieobyczajność mężczyzn i kobiet. W ostatnim wypadku porzuca mimowolnie rolę sędziego obyczajów, która istotnie jest tylko rolą wyuczona, i występuje we własnej, przyrodzonej skórze jako opowiadacz ślizki. W tym charakterze jest uczniem *Poggia* i czerpie dużo z jego fraszek (ob. wyżej str. 102). Różni się jednak od mistrza nie tylko tem, że nie poświęca pióra tak wyłącznie, jak tamten, sprawom płciowym, ale i pewną dążnością, którą z wielkimi ograniczeniami możnaby nazwać patryotyczną. Oto zamiast historyjek włoskich lub ogólnych, do żadnego nie przywiązanych miejsca, zmyśla niemieckie lub ze swojskich zapożycza źródła; okrom tego wprowadza do swych fraszek, baśni i powiastki ludowe. Charakterystycznem znamieniem *Bebela* jest tendencya ludowa, przebijająca nawet we fraszkach, aczkolwiek pisał je po łacinie, przeznaczył dla uczonych i dedykował opatowi; ależ i *Hutten* dedykował książki antymonarchiczne monarchom a antypapieskie papieżowi.

Niezgodność obu kierunków, przez cały okres humanizmu wrogo usposobionych, zajadle walczących i ożywionych pragnieniem, aby nawzajem sobie zgotować zagładę, nigdzie może nie ujawnia się tak dobitnie jak w *Kolonii*, a to w osobach *Ortwinia Gratiusa* i *Hermannia von Busch*.

Uniwersytet koloński w przeciwieństwie do bazylejskiego i tübingerńskiego powstał w pierwszej dobie zakładania wszechnic niemieckich. Po uzyskaniu bulli papieskiej 1388 roku, powołano do życia w roku 1389 wyższy zakład naukowy przy współdziałaniu rady miejskiej i władzy duchownej. Katedry zajmowali przeważnie kanonicy kolońscy, a fundusze na utrzymanie płynęły z kasy założycieli duchownych. Nie była to właściwie nowa fundacya, lecz zjednoczenie oddzielnych szkół, po większej części teologicznych, które, zewnętrznie i wewnętrznie urządzone na wzór uniwersytetu paryskiego, istniały już podczas wieków średnich. Boć tu przecie rozwijali swą działalność trzej wielcy mistrze scholastyki: *Albert Wielki*, *Tomasz z Akwinu* i *Duns Skot*; stąd przecie wyszły w świat szeroki nazwy tomistów i skotystów, jużto zaszczytne, już obelżywe. Wskutek takiej genezy swego powstania zachował uniwersytet koloński przeważnie, jeśli nie wyłącznie, charakter teologiczny. Na mocy zaś blizkiego pokrewieństwa z macierzą paryską rościł sobie pretensye do autorytetu w Niemczech i niechętnie spoglądał okiem na tworzenie się nowych zakładów, które uroszczeń owych nie uznawały, lecz domagały się nawet zupełnego równouprawnienia. Tymczasem cięższą jeszcze doświadczyli zniewagi teologowie kolońscy, kiedy spostrzegli, że na własnym ich uniwersytecie wyrasta szkoła humanistyczna, a szkoła ta, zerwawszy otwarcie z Kolończykami i z tradycjami średniowiecznymi wogóle, stanęła po stronie poezyi i wywalczyła jej zwycięstwo nad teologią.

Hermann von Busch (ur. 1468, um. 1534) lubił się nazywać *Pastophilus* a imieniem tem chciał zastąpić twardo brzmiące *Westphalus* lub też pragnął dać poznać, że wszystkim jest miłym. Rycerz i poeta, chociaż rzadko lub nigdy nie ujawnia ducha rycerskiego, jest *Busch* klasykiem niemieckiego humanizmu. Uczeń *Rudolfa Agrykoli* i wychowanek *Rudolfa von Langen*, lecz zwolennik zarazem kultury własnej, długo musiał walczyć, zanim przemógł pobożny, do antyhumanizmu łatwo wiodący kierunek obu tych mężów, zanim znalazł drogę pośrednią między ich poglądem a swawolnością włoską. Była to walka dlań trudna, zwłaszcza przy wielkiej giętkości jego charakteru. Dopóki, porwany prądem wędrowek humanistycznych, zwiedzał rozmaite części Niemiec a w uniwersytetach i miastach handlowych znajdował wielu żarliwych humanistów, lecz nie wielu i to słabych przeciwników, dopóty kroczył na pozór śmiało po torach humanistycznych. Skoro jednak w Kolonii osamotnionemu lub w połączeniu z niewielu towarzyszami przyszło walczyć z wielu wrogami, wówczas okazywał się słabym. Zrazu pozostał wiernym swym przekonaniom. Kiedy bowiem według swego zwyczaju ogłosił panegiryk ku czci miasta i uniwersytetu, wypowiedział

równocześnie mowę przeciw teologom. Napiętnował w niej lekceważenie ze strony teologów znajomości pisma świętego i umysłowego wykształcenia wogóle oraz gromił ich dążenie do bogactw jako bezecne, własne zaś życie zewnętrznie skromne, ale błyszczące nagromadzonymi przezń i przez uczniów jego skarbami umysłowymi, przedstawiał jako prawdziwie piękne i zacne. Mowa ta dla przesadzonych przeciwności wywarła przeciw wpływu stosunkowo nieznanemu. Dotkliwiej więc dał się przeciwnikom we znaki edycją gramatyki *Donata* i powtórzonem w niej kilkakroć zdaniem, że studia gramatyczne pozostają nie tylko chłopcom, ale i ludziom dorosłym, przypuszczając naturalnie, iż będą je uprawiać w sposób naukowy a nie barbarzyński. Otóż teraz, ściągawszy na się temi uwagami gniew nieprzyjaciół i otrzymawszy od nich odpowiedź, że niechaj poeta niedojrzałą mądrość zachowa dla siebie samego, cofnął się z placu boju. Nie dość na tém! W następnem bowiem wydaniu swęj książki nie tylko skarcony ustęp wypuścił, ale zamieścił jeszcze poemat przywódcy obozu przeciwnego, właśnie owego *Ortwina Gratiusa* a i potem nawet dołączał wiersze polecające do niektórych dzieł nie odpowiadających zgoła rzeczywistym jego przekonaniom. Późno, niemal za późno dla swęj sławy uznał przeciw bezcharakterności takiego postępowania. Zwrócił się tedy do dawnych współwyznawców, których zresztą nigdy w duszy nie porzucił, i był odtąd niezmiennym i gorącym krzewicielem idei humanistycznych. Wszyscy prawie humaniści poprzestawali zwykle na tém, że przy okazji jeno zaznaczali swe stanowisko, ponieważ całą działalnością składali dostateczne wyznanie wiary. *Busch* tymczasem, chcąc niby zatrzeć chwilowe odstępstwo, postanowił ułożyć w system poglądy swego stronnictwa. Jakoż dokonał tego w swęj obronie: *Vallum humanitatis* (Szaniec humanizmu). Z samęj formy już widać, że dzieło to dydaktyczne miało na celu inaczej myślących nawrócić, a towarzysów ukrzepić. Na czele każdęj z ośmiu ksiąg stoi teza, której następnie należało dowieść wiadomościami historycznymi i argumentami logicznymi. Całą książkę przenika myśl przewodnia, że studia humanistyczne dla młodzieży wogóle a wszczególności dla młodzieńców poświęcających się teologii szkodliwemi bynajmniej nie są, że, przeciwnie, pomagają wielce do wykształcenia umysłu i serca, że to znaczenie ich oddawna już zostało uznane, że więc uprawa studyów klasycznych nie może być nazwana ani obłudem, ani występkiem. Dla wykazania ich korzyści i konieczności posilkuje się *Busch* historją, biblią i pismami ojców kościoła. Na podstawie dziejów wyjaśnia, w jakiej czci miały poezję i wymowę wszystkie narody starożytności, jak wysoko je cenili w XV wieku Włosi. Wymienia przytęm oprócz świeckich i osoby duchowne, np. przyjaznych nauce papieżów

Mikołaja V i *Leona X* oraz wielu innych znamienitych przedstawicieli Odrodzenia. Przy pomocy źródeł drugiej kategorii dowodzi, że prorocy przedchrześcijańscy, tudzież mężowie święci doby chrześcijańskiej przy wszelkich okazjach uroczystych posługiwali się wzniosłą mową niewiązaną lub ozdobną wiązaną, aby tém większy osiągnąć skutek i wykazuje, że ojcowie kościoła po większej części gorąco zalecali studia nad pisarzami starożytnymi, że te wypadki, kiedy przeciw nim zdają się powstawać, wynikają ze szczególnych pobudek, mianowicie z chwilowego silnego oburzenia na pogan. Bierze tu autor poezję nie w znaczeniu ówczesném studyów klasycznych, lecz rozumie przez nią sztukę poetycką i stawia ją wyżej od prozy. Toć przecie poetami byli *Mojżesz* i *Jeremiasz*, *Hiob* i *Salomon*. Toć właśnie w chwilach najpodnioślejszych wytryska z mężów natchnionych słowo poetyckie. Dzieło *Buscha* nie jest bynajmniej deklamacją jeno, jak wiele pism onęj epoki, ale polemiką utrzymaną nawskroś w duchu naukowym. A dla wielu przytoczeń z autorów starszych i nowszych, stanowiących wielką część całości, jest obficie zaopatrzoną zbrojownią, z której towarzysze wybierali oręż przeciw napaściom wrogów.

Zupełnie odmienny obraz przedstawia przeciwnik *Buscha* *Ortwin Gratius* (1491—1545), przez długi przeciąg czasu przywódca partyi antyreuchlińskiej a więc antyhumanistycznej, ale mimo to sam holdujący mocno upodobaniom humanistycznym. Toż za pierwszorzędnego poetę uważali go właśni stronnicy, którzy chętnie znosili w swym obozie „poetów” współwyznawczych, aby tém silniej zwalczać karygodnych pogan. Zamiast słabém jaśnieć światłem w kole humanistów, wołał być wielką gwiazdą wśród ich nieprzyjaciół. Trudno rozstrzygnąć, azali krok ten spowodowała próżność i udane wyrzeczenie się istotnego sposobu myślenia, czy też rzeczywista zmiana przekonań. Późniejsza działalność *Gratiusa* podaje sumiennosc jego w wątpliwosc poniekąd. Humanisci traktowali go powszechnie jako odstępcę i obypywali szyderstwami obstalowanego latynistę wrogów, on zaś, do czego miał prawo, bronił się marnym dowcipem, ale niezwykłym za to grubijaństwem. Chcąc zbadać właściwość jego umysłu, nie dość roztrząsańc tylko obelgi przeciw niemu miotane i przezeń w odpowiedzi rzucane, ale trzeba wziąć także pod rozwagę jego mowy treści mieszanej (*Orationes quodlibeticæ*, 1508) oraz zbiór pism historycznych (*Fasciculus rerum expetendarum ac fugiendarum*, Kolonia 1535). Mowy w liczbie dziewięciu, może ze względu na dziewięć Muz, mają na celu uwydatnienie zalet tyluż sztuk i nauk. Niektórym współczesnym pono się podobały, na nas zaś, mimo że dodany do tytułu przymiotnik to obiecuje, „bardzo przyjemnego” wrażenia nie robią, ponieważ treść ich płytka a forma rozwlekła i napuszona. Postąpiły je-

dnak niesprawiedliwie, ktoby je niby produkt scholastyczny przeciwstawiał plodom humanistycznym owego czasu. Mowy bowiem Gratiusa mogą walczyć o lepszą z podobnymi tworamii humanistów zarówno gorliwością w zestawianiu cytat dowodowych z pisarzy klasycznych (przytoczenie greckie podaje autor w tłumaczeniu łacińskim), jak nienawiścią względem nieprzyjaciół nauki i chwałą filozofii, przez którą rozumie umiejętność wogóle. Okrom siedmiu sztuk wyzwolonych, które stanowiły sumę wykształcenia średniowiecznego, uważa też poezję za niezbędną i kreśli jej definicyę podług *Boccaccia*. Mówiąc o gramatyce, domaga się wysłowienia wzorowego i zamiast dawniejszych podręczników barbarzyńskich zaleca dzieła gramatyków nowszych. W dziedzinie filozofii przyznaje wprawdzie pierwszeństwo *Albertowi Wielkiemu* nad znakomitymi mężami starożytności; czyni to jednak nie ze szczególnego doń upodobania, ani z chęci umyślnego poniżenia starożytności w stosunku do średniowiecza, lecz wyższość uzasadnia słowami *Henryka Bebela*, którego honoruje pochwalnymi przymiotnikami. Podobnie i pisma historyczne (autorstwa ich odmawiają mu niektórzy nowsi badacze niesłusznie), przynajmniej w większej części, nie są wcale antyhumanistyczne. Zbiór ich zaczyna się od rozprawy *Eneasza Silvia* o soborze bazylejskim a oprócz niej zawiera przeszło 60 prac drobniejszych. Jedne traktują rzeczy dotyczące historyi oraz prawodawstwa państwa niemieckiego i kościoła, inne zaś odnoszą się do walk między obu temi potęgami. Rzecz godna uwagi, że podaje tu Gratius daleko większy zasób przedmiotów, których pobożni katolicy „unikają”, anizeli tych, których „pożądają”. Albowiem okrom dziełka *Wawrzyńca Valli*, zaprzeczającego darowiźnie Konstantyna, przedrukował artykuły wiary Waldensów i *Wiclefa*, list *Poggio* o męczeńskiej śmierci *Hieronima z Pragi* oraz setkę skarg Niemiec na stolicę papieską. W tych i niektórych innych jego pismach rozbrzmiewają głośne użalania się na brak jedności i zepsucie kościoła, dają się słyszeć pragnienia reformy. Wrażenia skarg i życzeń takich nie mogły zagłuszyć lub choćby osłabić ani przedmowy i domówienia wydawcy, ani mnogie jego uwagi, ani dołączona w końcu długa rozprawa. Dzieło dodało otuchy nieprzyjaciółom kościoła a sprawiało kłopot jego stronnikom. Zarówno więc tonem ogólnym jak i szczegółami świadczy ono, że Gratius pod koniec życia musiał poglądy swe zmienić, chwali *Reuchlina*, którego wprzód potępiał, przedrukowywa jedno z pism *Huttena*, które dawniej z największą ochotąby spalił.

Ortwin Gratius przeto, jak również jego współwyznawcy i koledzy fakultetowi, między którymi najwybitniejsze zajmował miejsce *Arnold von Tungern*, nie jest barbarzyńcą, lubo go za takiego poczytywali przeciwnicy współcześni; nie jest też obłudnikiem, aczkolwiek lubią

go tak nazywać gorliwcy nowocześni. Jest Gracjus tylko człowiekiem słabym, który z zapatrywaniem otoczenia zerwać nie zdołał, choćby nawet pragnął; jest krótkowidzem, który uznaje w humanizmie stronę jeno zewnętrzną, przestrzega klasycyzacji języka, ale nie rozumie ducha humanizmu, nie domyśla się tętniącej w nim swobody myśli.

Gracjus i jego przyjaciele nie są jedynymi i głównymi przedstawicielami całości uniwersytetu, są oni jeno członkami fakultetu teologicznego. Ale bez ustanku wysuwając się na czoło, upowszechnili nazewnątrz uniwersytetu mniemanie, że ich tylko przekonania w Kolonii panują, że są nawet jedyne; stąd więc urosło twierdzenie, jakoby uniwersytet tamtejszy był siedzibą obskurantyzmu. Tymczasem zdanie to jest bezzasadne. W matrykule bowiem kolońskiej spotykamy właśnie studentów, co *humanitas* nazywają swém studyum; bywali nimi młodzieńcy, na których wyrzekali starzy, iż uciekają do poetów, t. j. humanistów, zostających w mniej lub więcej ścisłym stosunku z uniwersytetem. Z pośród takich humanistów wsławił się głównie trzej, nie tyle swemi pismami, ile raczej działalnością nauczycielską. Przez osobistości w Kolonii rej wodzące byli źle zapełnieni, ponieważ już za ich życia krążyły wieści, że doznają od Kolończyków przykrości a nawet i prześladowań. Jednym z tych mężów, jest *Jan Rhagius Aesticampianus* (właściwie *Rack* ze Sommerfeldu, 1460—1520), wędrowny nauczyciel humanizmu. Z Włoch czerpie on podniety, od Włochów przejmuje pełen wesołej świeżości ton zaczepny. Jeden z niewielu humanistów, co do reformacji przyłączył stanowczo i na zawsze pozostał jej wiernym. W licznych podróżach przebiegał kraje od Bazylei do Krakowa, od Freiburga do Frankfurtu; wypędzony z Lipska—skończył na Wittenberdze. W Kolonii, gdzie prawdopodobnie miał w liczbie uczniów i *Huttena*, żywił to przekonanie, że, czytając klasyków łacińskich, nie tylko przelewa w młode pokolenie znajomość języka martwego, ale że spełnia zarazem misję wyższą. Cieszył się też niemałym rozgłosem *Jan Caesarius* (1460—1551), teolog, filolog, przyrodoznawca i lekarz. Całe życie ubogi, uważał wszechstronną swą wiedzę za środek zarobku dla opędzenia potrzeb najniezbędniejszych. Jest on apostołem greczyzny; gdzie tylko przebywał, szerzył gorliwie nową gałąź nauki. To też wdzięczni przedstawiciele następnej generacji nazywali czcigodnego starca „naszym starym ojcem”. Kolończykowie rzeczywiście mu dokuczali. Świadczy o tém wystosowany doń list pocieszający *Agryppy von Nettesheim* (1520) albo raczej, mówiąc słowy korespondenta, list gratulacyjny, „nienawiść bowiem magistrów kolońskich jest Twoją chwałą, ich prześladowania — Twoją sławą, ich krzywdy — Twoją wygraną”. W tymże liście oskarża autor Kolończyków, iż

sromotne potwarze miotali z za płotu na hrabiego *Hermann von Neuenaar*. Jeżeli *Aesticampiana* i *Caesariusa* chrzczą mianem naukowych męczenników humanizmu, to *Neuenaar* można nazwać fanatykiem popularnym. Pan z panów, posiadając stanowisko zaszczytne i majątek znaczny, nie włości się po kraju, by innych uczyć, lecz przyjmuje odwiedziny współwyznawców we własnym zamożnym domu. Nie objucza się ciężkimi sakwami uczoności filologicznej, lecz walczy lekką bronią dowcipu i satyry. Nie objaśnianiem naukowym pisarzy starożytnych podnosi w milczeniu protest przeciw nieuctwu nowożytnych, co najwyżej chyba przy sposobności wybucha okrzykiem zgrozy, ale działalność literacką, wogóle okolicznościową tylko, czerpie ze źródła chwilowych wydarzeń życia umysłowego, zostającego w bezpośrednim związku z zawikłaniami kolońskimi. *Neuenaar* — to herold walki. Własną odwagą i wytrwałością gromadzi towarzyszy, chwali wiernych, umacnia chwiejnych. Dzięki fanatycznej jednostronności jest wiecznym zgorzeniem wrogów a niezłomną tarczą przyjaciół.

Istotą swęj indywidualności zbliża się *Neuenaar* do Erfurtezyków. Jeżeli jakie miasto, to Erfurt właśnie jest siedzibą ruchliwej partii humanistów, potężniejszej liczbą niż działalnością. Ale i pod innym względem jest Erfurt niby krewniakiem Kolonii. Oto uniwersytet erfurcki powstał w sposób podobny do kolońskiego. Rada miejska wystarała się o przywileje papieskie, ufundowała wszechnicę na prebendach dwu kolegiat i otworzyła Wyższą Szkołę 1392 r. Odtąd pozostawał uniwersytet z miastem w stosunkach ścisłych, acz nie zawsze przyjacielskich. W żadnym bowiem mieście uniwersyteckim nie ścierali się tak jawnie synowie Muz z „filistrami”, jak w Erfurcie; toć walki ich unieśmiertelniali poeci humanistyczni.

Początkowy rozwój uniwersytetu erfurckiego jest w gruncie ten sam, co i innych wszechnic niemieckich. Jedyna różnica polega na tém tylko, że humanizm otrzymał tu wcześniej niż gdzie indziej, bo już za sprawą *Piotra Ludera* 1460 r., reprezentację nieoficyalną, po której nastąpiła niebawem i urzędowa. W Erfurcie rozpada się również obóz humanistów na dwa stronnictwa: bojaźliwych, skłonnych do pojednania z osobami i systemem szkół dawniejszych, oraz radykalnych, bezwzględnych i do walki skorych, którzy unicestwienie średniowiecznego systemu szkolnego i ośmieszanie jego podręczników uważali za swe zadanie. Czém *Heynlin von Stein* w Bazylei a towarzysze jego w Kolonii i Tübindze, tém w Erfurcie jest głównie *Jodocus Trutfetter*; *Glareanowi* zaś i rozproszonym powszędę młodym przyjaciółom odpowiada tutaj *Konrad Mutian*, słońce Erfurtu, gwiazda humanizmu, olśniewająca swym blaskiem wszystkich.

Jodocus Trutfetter z Eisenach (*Isenacensis doctor*), nauczyciel Lutra, (1460—1519), zajmował katedrę od 1476 w Erfurcie, 1506—1510 w Wittenbergu, od 1510 znowu w Erfurcie. Opiewał go *Eoban Hesse*, nazywając „wielkim heroldem przymiotów boskich, jaśniejącym wśród mówców, jak Febus między gwiazdami”. Na taką sławę bądź co bądź *Trutfetter* nie zasługuje. Nie był to umysł nadzwyczajny, nie stworzył nic nowego, ale jako żarliwy pisarz i nauczyciel sumien-ny, przelewał umiejętnie skarby wiedzy w podrastające pokolenia. Poświęcał się filozofii i teologii. W ciągu lat trzech napisał sześć dzieł z zakresu logiki; między kilka prac drobniejszych oraz foliant w ćwiartce o 68 arkuszach a mimo to usprawiedliwia się jeszcze z powodu wielu opuszczeń; są to podręczniki przeznaczone dla młodzieży erfurckiej; później ułożył obszerną książkę o fizyce. We wszystkich tych pismach wyłącznie prawie korzystał z *Arystotelesa* i *Piotra Hiszpana* lub ich komentował, ale idąc za duchem czasu przywodzi też długą listę przewodników, między którymi obok filozofów i teologów dawniejszych i nowszych figurują historycy i poeci. Jest on uczonym nowszego pokroju, t. j. nominalistą (ob. str. 400), lecz nie ugania się, jak to czynili jego współtowarzysze, za pozyskaniem prozelitów i nie pożąda gwałtownych sporów z przeciwnikami. Na polu teologii rozwijał tylko działalność kaznodziejską i pedagogiczną; dzieł właściwie teologicznych nie pisał, ponieważ podręczniki scholastyczne uważał za zupełnie dla duchownych wystarczające. Sposobem wykładu bardziej niż treścią dokazał tyle, że nie zrywali z nim zażyłych stosunków i ci uczniowie, którzy metodą jego się zniechęcali a scholastyczny tryb nauczania i treść nauk scholastycznych poczytywali za bezpożyteczne, ba! nawet za szkodliwe. *Trutfetter* był prawdziwie pobożnym, z wiarą oddawał cześć relikwiom, do życia ucuwał odrazę taką, że nawet od ludzi świeckich otrzymywał przyrzeczenia bezżeństwa. Jednakże w kwestyach religii i filozofii nie pałał żądzą nawracania, lecz zostawiał każdemu swobodę własnych opinij. Tolerancją zjednał sobie miłość starszych i szacunek młodszych a uznania tego nie postradał i wówczas, kiedy nie z własnego zapewne popędu i nie z lekkim sercem występował przeciw *Reuchlinowi* w imieniu swego fakultetu. Humanistą całkowitym nie był on oczywiście, ale był badaczem, który rozumiał nowy prąd umysłowy, który, jak mówi o nim jeden z towarzyszy, „złagodził nieokrzesaność starego języka szkolnego“, który lubił widzieć skupiającą się około swjej osoby młodzież pracowitą, którego zawsze wysoko cenili poeci, przyozdabiając swymi wierszami dzieła jego.

Rzeczywistym wszelako przywódcą młodzieży, ubóstwianym nauczelnikiem koła erfurckiego, podziwianym i przez dalszych jako arcykapłan nowego kościoła był *Konrad Mutianus Rufus* (ur. 1471, um.

1526). Bardziej aniżeli którykolwiek z humanistów niemieckich przypomina on swém postępowaniem i myśleniem dobrze znane postaci włoskie. Gdyby był bogatym florentczykiem a nie ubogim kanonikiem turyngskim, dorównałby *Mikołajowi Niccoliemu* i w stosunkach zewnętrznych, jak nie ustępował mu w niczem duchowo; ale posiada téż przynioty wspólne z *Wawrzyńcem Vallą* i *Kodrusem Arceo*: pociąg do nauczania i skłonność polemiczną, wstręt do produkowania i żądę sztydzenia, wolnomyślność religijną i uwielbienie dla starożytności.

Bo téż istotnie wykształcenie swe zawdzięcza *Mutian* Włochom. Aczkolwiek przed wyjazdem do Italii (1493) uczył się i nauczał w szkole dewenterskiej i uniwersytecie erfurckim, jednakże dopiero podczas pobytu we Włoszech założył podwaliny rozległej erudycji. Studyował prawo, uzyskał w Bolonii stopień doktora; z własnego więc doświadczenia pręstrzegał później przed godnościami akademickimi. Oddawał się z zapalem studjom humanistycznym, uwzględniając w jednakięj mierze formę i treść pisarzy klasycznych, zespalając szczęśliwie gruntowność z wytwornością. Poświęcał się także teologii. Na téj niwie baczniem okiem obserwował moralne przewiny duchowieństwa i waśnie towarzystw religijnych, które zdaniem jego wyrządzały kościołowi tyleż szkody, co i napaści zewnętrzne; z drugiej zaś strony sprzyjał osobliwшему kierunkowi religijno-filozoficznemu, utrwalonemu we Włoszech przez *Pico de Mirandola* a przeszczepionemu do Niemiec przez *Reuchlina* jeszcze podczas pobytu *Mutiana* w Italii. Od 1503 r. aż do śmierci mieszkał stale jako kanonik w Gotha, ale z kolegami na urzędzie w nieszczególnych żył stosunkach, ponieważ ich nienawidził za lenistwo i wrogie usposobienie względem nauki. Nader ściśle utrzymywał natomiast związki ze studentami erfurckimi, którzy jego a nie profesorów uniwersyteckich czcili jako ojca duchownego. Porozumiewał się z nimi, jużto robiąc wycieczki do Erfurtu, jużto przyjmując u siebie młodzież, pielgrzymującą ochoczo do Gothy, już wreszcie, i to przeważnie, za pośrednictwem ożywionęj korespondencyi. A korespondencya ta jest najpiękniejszém świadectwem wzniosłych wyobrażeń *Mutiana* o swém powołaniu nauczyciela i wychowawcy.

Mutian więc młodzież uczył. Sam, ukochawszy książki, uważał czas nad niemi przez się spędzony za najlepięj użyty; ronił lży radości, kiedy odbierał okazałą książkę przesyłkę; ożywał się już wykazem tytułów, jeżeli dzieł nie mógł otrzymać. Podobnież pragnął i w uczniach rozniecać zamiłowanie do książki, jako prawdziwego źródła nauki, a zapal rozżarzony podsycać. Przez książki rozumiał zaś nie grube podręczniki i kompendya, będące podstawą właściwych studyów uniwersyteckich, ale pisma autorów rzymskich i greckich.

One to powinny stanowić umysłową karm młodzieńców, one powinny ludziom być tak znane, iżby we wszelkich warunkach życia rady u nich zasięgali i wyrokom ich ulegali. Ponieważ, jak wiemy, sam płakał z radości, wysnuł więc zaraz z ukochanych klasyków uzasadnienie, że i mąż z radości płakać może. Chociaż lubi podawać uczniom informacye antykwarskie, gramatyczne i ortograficzne, chociaż usilnie przynagla do stylu czystego i dźwięcznego, nie chce jednak nic wiedzieć o bezduszném, zewnętrzném naśladowaniu poetów starożytnych. Pisarków tego rodzaju porównywa z upiorami, które tylko soki wysysają z ciała, a krew zdrową zostawiają. Żartuje nawet z wysoce poważanego Reuchlina, który w uczenie brzmiającej i graszce utożsamiał Sasów, Miśnięczyków i Turyngów ze starożytnymi Aksenami, Myzami i Tyrygetami, mówiąc, że Aksenowie byli zapewne takim właśnie dymnym ludkiem, jak Kapnobatowie, zwolennicy Reuchlina.

Mutianus wychowuje także młodzież. Surowy sędzia, czyni uczniów częściej gani niż chwali, a najsurowszym okazuje się względem tych, po których najwięcej dobrego się spodziewa; „gdybym cię nie kochał—powiada—nie byłbym cię ukarał”. Zachęca młodzieńców do moralności, mając na oku nie tylko osnowę ich poezyi, „gdyż poeta musi być czystym”, ale także postęпки w życiu, ponieważ swobodę moralną uważa za najpiękniejszy kwiat wywalczonęj właśnie wolności umysłowęj.

W nakreślonym przez się pewnego razu żartobliwym planie nauk uniwersyteckich domaga się dla każdęj wszechnicy jednego sofistę, dwu matematyków, trzech teologów, czterech jurystów, pięciu lekarzy, sześciu mówców, siedmiu hebraistów, ośmiu greków, dziewięciu gramatyków (t. j. nauczycieli łaciny) i „dziesięciu głęboko-myślnych filozofów, niby szczyty i głowy całego życia umysłowego”. Myślenie poczytuje za rzecz wyższą od wiedzy. Stąd tęcz własne jego wyznaczenie wiary filozoficzno religijnęj jest ważniejsze, niż jego pogląd na naukę. Waznania tego nie wyjawiał bynajmniej wszystkim uczniom, lecz zwierzał się z nim najzaufanšszemu jeno, nie omieszkując nigdy odbiorcy tajnych listów uprzedzać, aby je palił. Ostrożność podobnego rodzaju znamionuje nie tylko wstręt do jawności, arystokratyczne wyodrębnianie się od tłumu, ale także pewną słabość charakteru. A że jęj rzeczywiście podlegał, okazał to swą chwiejnością podczas sporu *reuchlińskiego*, kiedy zdawało się, że cesarz go rozstrzygnie na niekorzyść humanistów; dowiódł tego lawirowaniem w początkach reformacyi i cofaniem się wobec nadchodzącej śmierci.

Jednakże ze względu na swój system religijny ujawnia zupełną stanowczość, dopóki czuje w sobie siły żywotne. Nie jestto lekkomyślny rozkosznis, co drwinami zdobywa wolność. Przeciwnie! Jest-

to myśliciel poważny, co przestrzega pozorów, może dlatego, by słabym dawać przykład, głównie jednak dlatego, aby z tém większą słusnością nie dbać o nie w duszy. Jak w nauce stawia myśl ponad formę, tak w religii treść wieczno-trwałą ponad uzewnętrznienie przypadkowe. Religiją nie są dlań formy. Rzadko kiedy sam mszę odprawia, odrzuca spowiedź uszną, wyśmiewa potrawy postne, gardzi baśniami księży, jak pogardza i księżmi samymi; śmiało wygłasza zdanie: „Nie czeżę ja szaty, brody i obrzezka Chrystusowego; ja czeżę Boga żywego, który ani brody ani sukni nie nosi, ani obrzezka na ziemi nie pozostawił”. Biblia nie jest dlań autentycznym dokumentem religii. Krytykę, której się nauczył od pisarzy starożytnych, stosuje do ksiąg Starego i Nowego Testamentu. Naturalnie, krytyki jego nie należy rozumieć w ten sposób, iżby rozwiązywał kwestyę co do powstania ksiąg oddzielnych, ale że powątpiewał o wiarogodności niektórych opowiadań, że wyszydzał dziwaczności, że zaprzeczał cuda. Chrześcijaństwo jest dlań zawsze jedyną religiją prawdziwą. „Chrześcijaństwo poczęło się nie od wcielenia Chrystusa, lecz na wiele wieków wcześniej; albowiem Chrystusem rzeczywistym, prawdziwym synem Boga, jest mądrość boska, która dostała się w udziale zarówno Żydom, jak Grekom i Giermanom. Innym razem powiada: „Prawdziwym Chrystusem nie jest człowiek, ale duch i dusza, których nie widzisz, których ręką nie dotkniesz i nie pochwycisz”. A więc religiją jego nie jest objawione prawo boskie, lecz moralność najwyższa, wzajemna miłość ludzi, spokój umysłu i spokój duszy. „Przykazanie boskie” — w tych słowach ujmuje swą naukę — „oświecające duszę, zawiera dwa artykuły: kochaj Boga i ludzi jak siebie samego. Prawo to czyni nas uczestnikami nieba. Jestto prawo naturalne, nie wykute w kamieniu, jak Mojżeszowe, nie wryte na miedzi, jak rzymskie, nie wypisane na pergaminie lub papierze, ale wpojone w serca nasze przez nauczyciela najwyższego. Kto pobożnie przyjmuje tę eucharystyę zbawczą i pamięci godną, ten dokonywa coś boskiego. Bo prawdziwem ciałem Chrystusa jest pokój i zgoda; nie może istnieć hostya świętsza nad miłość wzajemną”.

Gdybyśmy chcieli wymienić wszystkich członków koła *Mutianowe-go*, musielibyśmy długą wypisać listę. O jednych była już mowa, o innych powiemy niżej (np. *Hermann von Busch*, *Hutten*, *Eoban Hesse*). Są i tacy, którzy, nie będąc nigdy uczestnikami onego związku, przechwalali się później, iż do niego należeli; poczytywali to bowiem za taki honor, jak przed laty uważano za zaszczyt być uczniem szkoły schlettstadzkiej. Z towarzystwa tego zasługują na wyróżnienie przede wszystkim trzej mężowie: *Henryk Urban*, *Petrejus Aperbach*, *Crotus Rubeanus*.

Henryk Urban, niemal rówieśnik *Mutiana*, zaprzyjaźniony z nim

od 1492 r., był członkiem zakonu cystersów, mieszkał w klasztorze Georghenthal niedaleko Gothy, przyjaciele widywał często i ożywioną prowadził z nim korespondencję. Ze w listach do Urbana znajdowały się scharakteryzowane powyżej religijne wyznania Mutiana, świadczy o tём zgodność przekonań i dążeń naukowych obu mężów. Urban z trudem zaoszczędzony grosz, cztery złote guldeny, wyprawa do Wenecyi *Aldowi Manuzio'wi*, prosząc, aby im, „mieszkającym opodal *Fuggerów*”, przysłał za te pieniądze książki nowe (pisma *Bessariona* i *Meruli*) i starożytne (*Ksenofonta* i i.); robi przytём uwagę, iż spodziewa się zadowolnić go bardziej, niż przesłaną sumką, tą wiadomością, że w kole swém nie zapominają czić modlitwą cichą gorliwego i uczonego drukarza. Był on, jak charakteryzuje Mutian, „szczególniejszym opiekunem dobrych towarzyszków, żarliwym krzewicielem łaciny”; z dążeniami jego zaznajamia nas następujący list Mutiana: „O, Urbanie, droga nasza prosta, wązka, wyboista, pagórkowata, stroma i uciążliwa; zaparta albo dzikimi zarosłami ciernia albo skałami; kroczymy z wielkim nader trudem i wysiłkiem a zawsze w obawie, by nie upaść. Prosta jest droga nasza, ponieważ wiedzie do studyów języka łacińskiego. Prawdziwe dobro umysłowe nie wielu zdobywa bez wysiłków”.

Petrejus Aperbach (1480 — 1532) należy do szeregu humanistów młodszych najczęściej wymienianych a najmniej znanych. Imię jego spotykamy we wszelkich korespondencyach, niby herolda w walce. Mutian lubi go nazywać „drugim Mutianem” lub „wodzem hufca łacińskiego“, a *Henryk Stromer* w liście niedrukowanym (do *Jana Lange'go* 22 czerwca 1522) mianuje go „szydercą bogów i ludzi” (*derisor deorum et hominum*). Oba wyrzeczenia charakteryzują Aperbacha, lecz indywidualności jego nie wyczerpują. Stanowi ją młodzieńczość wiekuista nawet w wieku dojrzałym, zdolność do zachwyków i potrzeba zachwyków, piekająca nienawisć ku teologom, których chrzeci szyderczą nazwą sofistów lub wyrażeniami dobitniejszymi jeszcze, ku jurystom, których zwie *jurisperditi* zamiast *jurisperiti*; cebuje ją wreszcie wyrzucie się z własnego ja wobec spraw ogólnych i żarliwość patryotyczna. Ubodło go wprawdzie wyrzeczenie *Leona X*: „nie sądziłem, iżby wszyscy Niemcy razem wzięci umieli tyle, co *Reuchlin* jeden”, ponieważ obrażało innych Niemców, ale przyjmuje je przecież z radością, jako zdanie pochodzące z obozu nieprzyjacielskiego a tём samém będące holdem uznania dla olbrzymiej wiedzy męża, którego obronie i sławie całe poświęcił życie.

W dążeniach tych towarzyszem Aperbacha był *Jan Crotus Rubeanus* [właściwie *Jäger* z *Dornheim* (*Jäger*—strzelec, gwiazdozbiór—*Crotus*, *Dorne*—jeżyna—*rubeus*, stąd *Rubeanus*), ur. ok. 1480, um. 1540].

Kilkakrotnie, a za każdym razem czas dłuższy bawił Crotus w Erfurcie; nawet wówczas, gdy był zdala, utrzymywał najściślejsze z Erfurtecznikami stosunki. Literat to czynny, nauczyciel i kapłan w Fuldzie, następnie w Prusach, naostatek w Halli; chociaż (w niedrukowanym liście do Jana Lange'go) zwiastuje pracę naukową nad gramatyką grecką, uczonym wszakże pisarzem nie jest, leez satyrykiem; talent satyryczny wykazał w mnogich listach, wyszydając i łącząc *philosophastros* i *theologastros*; oprócz tego gorliwy brał udział jako współpracownik bezimienny w kilku większych dziełach satyrycznych onego czasu, np. w Listach ciemnych mężów. Aczkolwiek ksiądz, teologiem z powołania nie był jednakże. Z *Lutrem* w serdecznej zostawał przyjaźni i sprawie jego początkowo gorąco sprzyjał. Cofnął się przecież bardziej stanowczo, niż drudzy, a i przyczyny tego cofnięcia są jaśniejsze aniżeli odwrotu wielu innych. Protestanci nazywali zwykle wstecznikiem i apostatą każdego, co do kościoła dawnego wracał lub dochowywał mu wierności, większość bowiem z kościoła w rzeczywistości nie występowała; albo też powątpiewając o wewnętrznem przeobrażeniu inaczéj myślących, przypisywali ich krokom pobudki samolubne. Musiał i Crotus nasłuchać się od reformatorów przykrości. Szorstki Luter nazywał go *Dr. Kröte* (ropucha); zawzięci luteranie twierdzili, iż został ponownie katolikiem, aby pielęgnować brzuszek; łagodniejsi zaś utrzymywali, że znudzony walką, zatęsknił do czasów naukowych. W licznych pismach — już sama ilość znamionuje doniosłość wypadku — przeciwstawiali dawnego humanistę, który z tytułu musiał być wrogiem Rzymolubców, nowemu katolikowi, a sądząc, że wykazali niezgodliwość humanizmu z katolicyzmem, uważali brak charakteru w neoficie za dowiedziony. Crotus tymczasem uczynił tylko to, co uczynili wszysey niemal najwybitniejsi humaniści; wyznał on publicznie, że rozwój reformacyi nie odpowiada jego ideałowi, że nawet szkody przynieść może. Dlaczego? Częścią dlatego, że zamiast reformy uradzonej i przyjętej przez ogół przeprowadza zmianę jednostka, a przez to daje pozorcie innym jednostkom prawo do przekształceń samowolnych; częścią zaś dlatego, że za przedmiot sporu wybrano głównie formę zewnętrzną, a wartość wewnętrzną człowieka, moralność, żadnemu nie uległa przeistoczeniu. Przeciw takim rozumowaniom historyczno-filozoficznym i moralnym łatwo było spiętrzyć krzykliwe deklamacye. Więc też przeciwstawiano w nich zepsuciu dawnego kościoła „wolność człowieka chrześcijańskiego”, wywoływano z grobu cienie Huttana, aby „żwawo i ogniste jako zaprzysiężony wróg wszelkiej hipokryzyi zeromocilił zuchwałego obłudnika w chwili właśnie, gdy podczas sumy poruszając kadzielnicą ze śpiewakami kolana zginać będzie”. Ale było rzeczą niehistoryczną wyzywać Huttana, który, gdyby żył dłużej, zape-

wne, zgodnie z całym swym rozwojem, nie sprawiłyby skostniałym protestantom wielkiej pociechy; było przytém rzeczą nieszlachetną oskarżać o hipokryzję, ponieważ stał się przeciwnikiem, męża, którego sprzymierzeństwo bardzo ceniono i najczystszemi objaśniano pobudkami.

W chwili, kiedy ukazał się paszkwil na Crotusa, napisany przez Erfurteczyka lub osobę do Erfurteczyków zbliżoną (wszystko jedno czy autorem był *Justus Jonas* czy *Menius*) a wymierzony przeciw dzielnemu Erfurteczykowi, koło erfurckie już dawno się rozproszyło. Hutten nie żył; Mutian przeniósł się również do lepszego świata; inni opuścili Erfurt, a ci, co pozostali, byli jeno szczątkami pięknej przeszłości, w smutku i niemocy oplakiwali tylko minioną świetność.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Towarzystwa naukowe. Rozpowszechnienie się humanizmu.

Kreśląc obraz uniwersytetów, zwłaszcza erfurckiego, widzieliśmy fakt, że obok towarzystwa zamkniętego, dawniej silnie zorganizowanej korporacji nauczycielskiej, istnieje związek swobodny, złożony po większej części z ludzi młodszych, i rozwija działalność w tym duchu, aby „starą drogę” porzucić a utorować nową. Te związki luźne, *Sodalitates literariae* nie ograniczały się ani do uniwersytetów, ani wogóle do żadnego jakiegoś miasta, lecz miały swych członków rozproszonych po całych Niemczech. Z towarzystw takich zasługują na pamięć szczególnie dwa: Towarzystwo nadreńskie i naddunajskie (*Sodalitas Rhenana* i *Danubiana*).

Towarzystwo naddunajskie pozostaje w nader ścisłej łączności z uniwersytetem wiedeńskim, drugim co do czasu w Niemczech, założonym 1365 r. Ponieważ był on latoroślą wszechnicy paryskiej, przede najpierwsze miejsce zajmował w nim fakultet teologiczny. Jednakże mimo oporu teologów—jednym z nich był znany nam już *Konrad Saldner* (ob. str. 328)—wcześnie przedarł się tu humanizm. Pożądana przez humanizm uprawa języka łacińskiego rozwijała się tak pomyślnie, że już 1499 r. rektorowie uniwersytetu wymagali od studentów, aby zaprzestali parać się utworami języka pospolitego, ponieważ z nich źródeł wiedzy zaczerpnąć nie można. Pomimo to wszystko jeszcze *M. Jan Heckmann*, rektor 1510 r., nawet przez *Jana Ecka* ochrzczony mianem sofisty i głupca, a nielubiony przez wszystkich uczonych z nad

Renu, Dunaju i Nekar, zabronił pewnemu poecie wykładów metryki i zagroził mu karcerem, po części za to, że okazywał rektorowi nieposłuszeństwo, po części, że się ośmielił rektorowi „urządzać szopki” i odważył się, nie będąc bakalarzem, tykać jego, magistra! (*Quod simplex socius deberes tibi sare unum rectorem universitatis qui est magister noster*, jak mówią Listy ciemnych mężów; zwolennicy łaciny średnio-wiecznej długo nie mogli się rozstać z nieklasycznem *vos*, a zdecydować się na przyjęcie klasycznego *tu*).

Towarzystwo naddunajskie posiada pewnego rodzaju dokument urzędowy i rozwija działalność poniekąd urzędową. Dokument stanowi sporządzona przez towarzystwo edycja kosmografii *Lucyusza Apulejusza* (1497 r.), do której osiemnastu członków związku dołączyło wiersze dedykacyjne. Nie jest to ogół uczestników, ale bądź co bądź liczba poważna. Przeglądając listę członków, uderza nas szczególne zjawisko, dające się objaśnić jedynie ścisłą łącznością towarzystwa z dworem cesarskim. Oto poetami nie są bynajmniej młodzieńcy, ale mężowie piastujący urzędy i godności. A co ważniejsza, wbrew powszechnemu zwyczajowi humanistów zdobią się całkowitymi tytułami, np. „sekretarza cesarskiego, przybocznego lekarza królewskiego, doktora praw”; obok urzędu przywodzą i kwalifikacje naukowe, nazywając się np. matematykami, teologami lub przynajmniej pedagogami, jeżeli nic innego nie umieją o sobie powiedzieć.

Działalność zaś urzędowa ujawnia się w towarzystwie szczuplejszém, które z łona tego związku wyrosło i dzięki *Maksymilianowi* w ścisłej pozostawało z uniwersytetem łączności. Jest nim utworzone przez cesarza 1501 r. kolegium poetów i matematyków. Składało się ono z czterech profesorów wszechniczy, podlegało kierownictwu przedstawiciela poezyi, miało za zadanie „przywrócić wymowę czasów dawniejszych” i posiadało przywilej nadawania wieńca poetyckiego, po zdaniu surowego egzaminu, tym, co w uniwersytecie wiedeńskim studyowali poezyę i krasomówstwo.

Z pomiędzy członków towarzystwa naddunajskiego wymienimy trzech: poetę, mówcę i matematyka. Matematykiem jest *Jerzy Tannstetten* z *Rain* (*Collimitius*, *Rain*—miedza, granica—*limes*; 1482—1535 r., maż wysoce poważany, zaszczycony najwyższemi godnościami zarówno na fakultecie artystów jak i lekarskim, do którego później należał; cieszył się wielką wziętością jako lekarz przyboczny kilku cesarzów, spełniał misye polityczne i dla zasług otrzymał klejnot szlachecki. Zajmował się także astronomią, ale, według zwyczaju ówczesnego i astrologią. W charakterze astronoma poleony Leonowi X do zaprojektowanej przezeń poprawy kalendarza wyraził w tej kwestyi swą opinię i wydawał rozmaite kalendarze (efemerydy). Naukę jego ceniono tak dalece, że na grobowcu nawet uwydatniono zdolność

„przepowiadania przyszłości ze znaków niebieskich”. Wróżby tego astrologa powszechniej zażywały powagi od chwili, gdy co do dnia wyprorokował śmierć Maksymiliana. Kiedy w 1523 r. rozeszła się wieść, iż konstelacyi planet, mającej się ukazać w roku następnym, wywieszczył upadek Wiednia, musiał to mniemanie zwalczać publicznie i obawy rozpraszać. Dla nauki położył zasługi jużćie nie przepowiedniami, ale tём, że pomagał cesarzowi w jego przedsięwzięciach geograficzno-historycznych, oraz, że pracował nad kartografią i geografią fizyczną, co w owe czasy było rzadkością.

Poetą jest *Jan Crachenberger*, od 1499 do 1508 prezes towarzystwa; żył jeszcze w 1511 r. Uważając swe nazwisko niemieckie za barbarzyńskie, przybrał miliej brzmiące imię *Pieriusa Graccusa*. Pisywał wiersze łacińskie i zajmował się głównie autorami rzymskimi. Jednakże pomimo zamilowania starożytności i pomimo humanistycznej przemiany nazwiska zdołał uchronić się od jednostronności humanistycznej; zamierzał bowiem ułożyć gramatykę niemiecką.

Donosi o tём mówca towarzystwa *Jan Spiesshaimer* (*Cuspinian*, 1473—1529 r.), od 1496 *lector ordinarius artis oratoriae* (profesor zwyczajny sztuki krasomówczój) w uniwersytecie wiedeńskim. Zostając w najbliższém otoczeniu cesarza, pełnił tём inne urzędy. Maksymilian go lubił i powierzał mu załatwianie spraw różnych. Wyprawiał go w poselstwach do Węgier i Polski, celem zawiazania i utrwalenia stosunków przyjacielskich za pośrednictwem małżeństw między członkami domów Jagiellońskiego i Habsburskiego; mianował go także prefektem cesarskim Wiednia, aby w niespokojném mieście pilnował interesów monarszych. *Cuspinian* odwzajemniał się cesarzowi miłością nie tylko w sposób błyskotliwy, dla popisu, jak to czynili inni humaniści, ale z prawdziwego przywiązania żywił ją w głębi serca. Dowiódł tego swym dziennikiem, w którym, zaznaczając pokrótce daty z życia Maksymiliana, przedstawia rok śmierci jego, jako rok nieszczęścia i żaloby. W dzienniku oprócz uczuć wierności dla cesarza pomieszcza tём wynurzenia religijne. *Cuspinian* bowiem był pobożny i katolicyzmowi szczerze oddany; czas niejaki skłaniał się wprawdzie do nowinek protestanckich, ale pod koniec żywota okazywał zdwojone do dawnój wiary przywiązanie. Dziennik nie jest przecież jedynym owocem pracy autorskiej *Cuspiniana*. Przeciwnie. Wyrazem jego wiedzy wielostronnej jest i wielostronna działalność literacka. Nie tylko był mówcą, lecz i dyplomatą a zawód ten wymagał wiadomości z dziedziny prawa i nauk państwowych; oddawał się nadto filologii, poezji i medycynie, ale na tych polach nie stworzył nic, coby przechodziło miarę średniej wartości plodów humanistycznych. Jest sumiennym wydawcą pisarzy rzymskich, wyuczył się od łacinników używania metrów klasycznych, zgromadził

starannie szczegóły, jakie przekazali starożytni o znamienitych swych lekarzach. Właściwie znaczenie Cuspiniana polega na pracach historycznych. Są to po części edycje rękopiśmiennych i mało komu znanych dzieł historyków średniowiecznych, po części zaś roboty samoistne, dotyczące w równej mierze starożytności, średniowiecza i czasów nowszych. Epoce współczesnej, oprócz wymienionego już dziennika, poświęcił opis kongresu wiedeńskiego 1515 r., t. j. zjazdu we Wiedniu cesarza z królami polskim i węgiersko-czeskim. Wiekami średnimi zajmuje się w głównem dziele: *Austria*, obejmującym dzieje austriackie od margrabiów babenberskich aż do Maksymiliana wraz z obszernym opisem geograficznym. Według pierwotnego zamiaru autora miało być zbogacone mapami i planami. Zawiera ono z nadzwyczajną pilnością zebrany materiał bogaty i, lubo zalet krytycznych nie posiada, znamionuje wszelako popęd ku krytyce. Zaprzecza więc autor bajecznej starożytności rodu habsburskiego i zbija upowszechnioną wtedy jeszcze wiarę w mniemane przywileje, udzielone jakoby Austrii przez Cezara i Nerona. Czém „Austria” dla średniowiecza niemieckiego, tém dla starożytności i dziejów powszechnych Europy miały być dwa pisma: *De consulibus* i *De caesaribus*. Pierwsze jest właściwie zestawieniem ważnych i rzadkich dzieł z rozległym komentarzem wydawcy. Drugie ma na oku poniekąd cele pedagogiczne. Winno ono bowiem dla czasów przyszłych a zwłaszcza dla przyszłych monarchów być zwierciadłem cnót, zdołałych władzę, oraz występków go hańbiących. W każdym razie oba dowodzą wielkiej pracy, z jaką gromadził autor zewsząd wiadomości przy pomocy przyjaciół uczonych, świadczą zaszczytnie o jego zmyśle naukowym, o jego czci dla starożytności i o miłości dla ojczyzny.

Pomiędzy nielicznymi zresztą poezjami Cuspiniana znajduje się wiersz na cześć „znakomitego, względem nauk wielce zasłużonego sekretarza cesarskiego, opiekuna Muz, Jana Fuchsmaga”. *Fuchsmag* (*Fusmanus*, ur. około 1450, um. 1510 roku), filolog i historyk, dyplomata w służbie Zygmunta, księcia tyrolskiego, a później dwu cesarzów, odznaczył się nieraz na sejmach i w poselstwach, wspierał swą pracą naukowe przedsięwzięcia Maksymiliana. Interesuje nas nie tyle produkcjami samodzielnymi, mianowicie rozprawami chronologicznymi i numizmatycznymi, oraz pozostałą w rękopisie historią Karola Zuchwałego, ile raczej tém, że umiał innych do pracy podniecać. Dla téj właśnie zdolności a zapewne dlatego, że przez bliskie stosunki z cesarzem bywał lub przynajmniej mógł być użytecznym, uważali go członkowie Towarzystwa naddunajskiego za szczególniejszego swego mecenasa. Jemu więc dedykowali wydaną wspólnem staraniem książkę: *Epitoma de mundo* Lucyusza Apulejusza z napisem mocno trącącym przesadą. Czytamy tam bowiem: „Któż z pośród

słynnych mężów Niemiec jest w badaniu obu sfer nieba i ziemi pilniejszy i gorliwszy nad Ciebie? Któż lepiej zna ilość i wymiary ciał ziemskich i wielkich światel na firmamencie? Któż potrafi z większą znajomością rzeczy mówić o narodach i państwach, o miastach, mo rzach i rzekach? Któż zdoła lepsze podać wiadomości o rozmaitych gatunkach zwierząt i ludzi, o ich różnorodności ze względu na różne strefy i warunki klimatyczne, wśród których żyją?”

Istotny wszelako pomnik wznosił Fuchsmag sam sobie. Idąc za wzorem *Coryciusa* (ob. str. 280), wyprosił i otrzymał od przyjaciół i współtowarzyszów utwory poetyczne, które w jednym wydał zbiorze. W książce Włocha głównym przedmiotem jest cześć świętych, w książce zaś Niemca przeważne miejsce zajmują pochwały studyów humanistycznych; entuzjastycznój chwalebnie papieża odpowiada tutaj nie mniej gorąca chwalba cesarza; obu zbiorom wspólny jest aż nadto głośny okrzyk tryumfu dla zasług zbieracza i wydawcy. Miłość, wiekuisty temat innych poezyj łacińskich, mało tu uwzględniona; opiewają natomiast poeci rzeczy święte—jeden z nich nazywa się nawet *monachus*—i świeckie, historyę i politykę; w przeciwstawieniu do obcyznych uwydatniają silnie uczucie niemiecko-narodowe; zamieszczają rozmaitego gatunku poezye okolicznościowe, „powinszowania różnorodne”, jakby się wyraził poeta wieku siedemnastego i wiersze żalobne; biorą wreszcie za treść przedmioty niepoetyczne, jak np. długoletni post Szwajcara *Clausiusa*, a niejeden bardzo prozaicznie prosi wprost o pieniądze. Nie można przecież stąd wnioskować, iżby występowali tylko biedni poeci żebrzący—są między nimi i mężowie dzielni, np. *Jan Reuchlin*; oni też nadają zbiorowi właściwy charakter, odtwarzają mianowicie pełen świeżości nastrój wiedeńskiego cechu poetów ówczesnych.

Co prawda nie należy Reuchlin do koła wiedeńskiego. Wiersz swój, odę na śmierć cesarza *Fryderyka III*, napisał jeno z okazji poselstwa; ojczyzną jego bowiem jest Szwabia. Ponieważ mieszka bliżej Renu niż Dunaju, przeto w ściślejszych zostaje stosunkach z *sodalitas literaria Rhenana* aniżeli z Towarzystwem naddunajskiem. Siedzibą Towarzystwa nadreńskiego jest Heidelberg. Ale nie było wyłącznie z tém tylko miastem związane. Promieniami swymi sięgało okolice bliższych ogniska—jak Worms, oraz w głąb Niemiec, do Szwabii i Frankonii. Norymbergę, Regensburg, Freiburg reprezentowali gorliwi, lubo nie nader głośni członkowie. Augsburg miał swego przedstawiciela w osobie zasłużonego *Konrada Peutinger*a; nie odznaczał się on wprawdzie wielką twórczością, ale udział jego w towarzystwie miał znaczenie doniosłe, ponieważ kolegów zachęcał do badań, zgromadzał ich u siebie i chętnie pokazywał im swe zbiory. Jak Towarzystwo naddunajskie posiadało opiekuna w cesarzu, tak nadreńskie

znowu w palatynie *Filipie*; cesarz wszelako należał do związku sercem i duszą, Filip zaś stał bardziej na zewnątrz. Towarzystwo nadunajskie liczyło także w swém łonie matematyków i poetów, pedagogów i urzędników; podejmowało również prace wspólne, sporządziło naprzykład wydanie znalezionych w Norymberdze dzieł mniszki *Hrotsuithy*, którą członkowie zajmowali się długo i która była ulubionym przedmiotem wieloletniej korespondencji. Szanowanym powszechnie naczelnikiem związku był *Jan Dalburg*, biskup wormacki (1445—1503)

„Między filozofami był Platonem, między muzykami Tymoteuszem, między mówcami Demostenesem, między astronomami Firmikiem, między matematykami Archimedesem, między poetami Wergilim, między kosmografami Strabonem, między kapłanami Augustynem, między pobożnymi Numą Pompiliuszem”. Temi słowy wychwala *Jan Trithemius* prezesa i cenzora Towarzystwa nadreńskiego. Inni znowu, jak np. *Celtes*, wysławiają jego przymioty zewnętrzne: piękną, wysmukłą postać, starodawną chwałę rodu, dzielnych w zawodzie wojskowym przodków, świetne dla potomnych wzory.

Jan von Dalburg rozpoczął studia w Erfurcie, ciągnął je dalej we Włoszech, gdzie otrzymał stopień doktora praw, zawiązał stosunki osobiste różnego rodzaju z mężami znamienitymi i miał sposobność poznać rozmaite odcienie życia umysłowego. Za powrotem do Niemiec został biskupem w Wormacyi (1482 r.), załatwiał dość nieraz trudne sprawy duchowne i polityczne, był jednym z najulubieńszych i najwplywowszych doradców księcia palatyna, z jego polecenia oraz w imieniu cesarza Maksymiliana odbywał poselstwa do Szwajcaryi, Rzymu i Paryża. Dyplomatycznej działalności, lubo oddawał się jej z całą sumiennością, nie uważał jednak za główny cel życia. Przeciwnie! Pragnął on na wzór podziwianych przez się duchownych i świeckich książąt włoskich być raczej Mecenasem niż Augustem. Istotne zadanie życia upatrywał w uprawie i krzewieniu nauk. Zakładał więc i pomnażał swe biblioteki — posiadał ich bowiem kilka, mianowicie w Ladenburgu i Heidelbergu; — utrzymywał ciągle stosunki z uczonymi, zwłaszcza z *Rudolfem Agrykolą* i *Janem Reuchlinem*, a z wysokiego rodu i stanowiska korzystał w ten sposób, że przyjaciółom świadczył laski; poświęcał się wreszcie wielostronnym studjom naukowym. Pracował także i na niwie literackiej. Z dzieł jego prócz nieenniknionych mów, wierszy i listów przytacza *Trithemius* cztery. Same ich tytuły, gdyż nie więdź o nich nie wiemy, znamionują dobitnie umysłowy rozwój *Dalburga*. Jedno, „księga o monecie”, nie było zapewne rozprawą treści ekonomicznej, lecz badaniem nad monetą rzymską, odpowiedniem duchowi czasu; drugie „O początku szlachty”, spowodowane może wolnomyślnymi poglądami teoretyków

włoskich, podwójne ma znaczenie, gdyż zabiera tu głos nie mieszczanin o stanie przez się znienawidzonym, ale członek domu starszlacheckiego o własnej kaście; trzecie „o tajemniczych misteryach liczb”, niewątpliwie igraszka mistyczna, wywołana kabalistyczno-neoplatońskimi igraszkami *Reuchlina*, o którym wiadomo, że wywierał wpływ wielki na *Dalburga*. Czwarte dzieło, „Zbiór kilku tysięcy słów greckich i niemieckich, mających w obu językach toż samo znaczenie”, nie było prawdopodobnie tak zasobne, jak się przedstawia według przesadnej informacji *Tritheima*; i tę pracę uważać trzeba za wynik zachęcających ze strony *Reuchlina* usiłowań, skierowanych ku greczyźnie; była ona niezawodnie przedsięwzięciem pożytecznym bez względu na igraszki etymologiczne, świadczące o niezajomości rozwoju językowego, i bez względu na chępliwość narodową, czyniącą w nią zapewne swe korowody.

W bardzo ścisłych stosunkach z Towarzystwem nadreńskim pozostawał mag południa, *Jan Trithemius*, jedna z najcharakterystyczniejszych postaci odrodzenia, fałszerz dziejów i alchemista, astronom i polityk, teolog i humanista.

Urodził się 1462, umarł 1516 r. W 1482 r. wstąpił do klasztoru w Sponheim, w następnym roku mnich został już opatem, ale ustawicznymi studjami ściągnął na się niechęć zakonników nauce nieprzyjaznych i 1507 r. zrezygnował; pomimo dłuższej podróży nie zdołałszy zmienić wrogiego nastroju, mieszkał aż do śmierci w Würzburgu jako opat szkockiego klasztoru Ś. Jana.

Podróż ową, podczas której spodziewał się nadaremnie załagodzenia rozterek klasztornych, przedsięwziął do Berlina, dla zapoznania się z margrabią *Joachimem*, protektorem humanistów. Podróż była bezowocna, gdyż marchia wydała mu się bezpłodną i pod względem fizycznym, i umysłowym. Wracając, spotkał się z Faustem, czarodziejem. *Tritheim* nazywa go *Jerzym Sabellikusem Faustusem*. Do rozmowy między nimi nie przyszło, gdyż, jak tryumfująco opowiada, Faust przed nim uciekał. Tryumfująco, albowiem w onym nekromantyku i astrologu widział *Tritheim* konkurenta. Sam siebie uważał za czarnoksiężnika i takim był w mniemaniu współczesnych i późniejszych. Obiegały rozmaite powiastki o jego zdolnościach nadprzyrodzonych. Jedna, dość jeszcze niewinna, głosi, jakoby *Wilhelmowi von Grumbach* przepowiedział, iż własnej ojczyźnie albo wyrządzi wielką krzywdę, albo wielką przyniesie korzyść i że w pierwszym wypadku przypłaci swe niegodziwości straszną śmiercią. Druga, o wiele już cudowniejsza, brzmi, że w pewnej gospodzie, nie znalazłszy nic do jedzenia, stuka jeno w okno i otrzymuje wnet suto zastawioną ucztę, jak gdyby rękami duchów z zewnątrz podaną. Inna wreszcie przypomina faustowskie historie wywoływania duchów; oto przy pomocy

czarów miał cesarzowi *Maksymilianowi* stawić przed oczyma zmarłą jego małżonkę *Maryę* i to tak podobną, że nie brakło nawet czarnego znamienia na szyi. Powody do wieści tego rodzaju dawał sam *Tritheim* pismami, poświęconemi nauce tajemniczej, a zwłaszcza swą steganografią (sztuka tajemniczego pisania). Postać dzieła, wydane-go 1606 r., nie zupełnie odpowiadała programowi, skreślonemu przez autora w r. 1499. Jednakże niezgodność ta nie upoważnia bynajmniej do podawania w wątpliwość autentyczności książki drukowanej, lecz pozwala nam jeno uważać ów program za niewątpliwe życzenie autora. W pierwszej księdze usiłował przedstawić sto gatunków pism tajemniczych, znanych tylko obu korespondentom, ale całkowicie obcych niewtajemniczonym. W drugiej poucza o sztuce przesyłania wiadomości na wielkie odległości za pośrednictwem posłańca, o treści nie wiedzącego, albo nawet bez użycia posłańca. W trzeciej dowodzi, że osobę nie znającą łaciny można w ciągu dwu godzin obeznąć dokładnie z tym językiem. W czwartej wreszcie miał wyświecić sztukę przelewania własnej woli we wtajemniczonego w przytomności innych, nie posługując się ani słowami, ani gestami, mając nawet oczy zamknięte, byle tylko zachować absolutny spokój podczas czynności, wykonywanej przez mistrza samego, lub przez kogoś innego. Wszystkie te sposoby osobliwszych i do wiary niepodobnych działań miał *Tritheim* nabyć mocą objawienia, w którego boskość zapewne wierzył.

Mimo tych wyobrażeń zabobonnych był *Tritheim* człowiekiem gorącej wiary. Więc w kazaniach pokutnych prawil wymownie o nędzach życia ludzkiego, jako moralista żarliwy z nieubłaganą surowością gromił nieobyczajność zakonników i księży świeckich, ale jako prawdziwy katolik stawał w obronie nietykalności papieża, opierając się na słowach biblii: „bogom się nie sprzeciwiaj”. Z drugiej strony oszalamiający polot jego myśli nie przeszkadzał mu zgoła obserwować starannie rzeczy tego świata, obok życia duchów nie przeszkadzał studyować życia duchowego, lubić książek i zajmować się jałową nauką filologiczno-historyczną, w której ów wiek celował. Ogłosił tedy katalog autorów kościelnych, wykaz słynnych pisarzy niemieckich, oraz uczonych karmelitów i benedyktynów. Jednakże i w tych pracach nie umiał się wyzbyć właściwego sobie szalbierstwa; był albowiem raczej oszustem, niż ofiarą oszustwa. Książki te, jako słowniki literatury, i to pierwsze nowsze próby tego rodzaju, jako informacye współczesnika rzeczy świadomego, wreszcie jako owoc skrzętnych poszukiwań pilnego zbieracza — są niewątpliwie pożyteczne, ale i one zawierają moc bałamuctw i omamień. *Tritheim* nie jest bynajmniej historykiem, któremu chodzi o zbadanie prawdy; on szuka tylko dowodów dla swych idei ulubionych, bez względu na

to, czy odpowiadają prawdzie. Wychwala zatem swoją epokę kosztem minionej, wysławia Niemcy w przeciwstawieniu do obczyzny, uwielbia stan duchowny z uszczerbkiem dla ludzi świeckich. W takiej dążności spoczywają już zarodki rzeczywistego fałszowania dziejów.

A fałszowanie ujawnia się wyraźnie w jego dziełach historycznych. Trzy z nich zasługują na uwagę. Historya opactwa sponheimskiego opowiada jego losy od założenia aż do końca urzędowania *Tritheima* wraz z przytoczeniem najważniejszych wypadków współczesnych z dziejów niemieckich. Wielka kronika klasztoru w Hirschau (*Annales Hirsaugienses*) od 830 do 1513 r. niesłusznie nosi w tytule nazwisko klasztoru, ponieważ wistocie jest historią powszechną, zakrojoną na duże rozmiary. Kronika frankońska miała w 3-ch tomach przedstawić czyny Franków od 440 r. przed Chr. do 1514 po Chr., w rzeczywistości zaś jest krótkim kompendyum, obejmującym historię pierwszego tylko tysiąclecia. Wszystkie trzy dzieła są właściwie kompilacjami ze źródeł znanych, o ile nie odnoszą się do własnego życia autora, który wiele podróżował i dobre posiadał informacje; w tych częściach opierają się właśnie na doświadczeniach i wypadkach z żywota samegoż historyka. Ze źródeł wszakże korzysta w ten sposób, że nie jest ani obiektywnym, ani żadnego nie budzi ku sobie zaufania. Nawet posiłkując się źródłami rękopiśmiennymi, np. Kodeksem hirschauskim (*Codex Hirsaugiensis*), ogarniającym zbiór dokumentów średniowiecznych, dopuszcza się osobliwszych wyrzutni, dodatków i przeistoczeń. Traktuje też swe źródła z tendencją zgóry powziętą; pragnie bowiem towarzyszków klasztornych zbudować, usiłuje zaprzyjaźnionych z sobą dominikanów bronić od wszelkich zarzutów. Zapamiętały wróg żydów, obwinia ich o mordowanie dzieci chrześcijańskich, aczkolwiek w źródle swém znalazł wiadomość, że śledztwo z polecenia cesarza przeprowadzone nie wykryło bynajmniej nic pewnego co do owych oskarżeń; aczkolwiek sam na inném miejscu wspomina, że prześladowania żydów wszczęły się nie tyle z żarliwości religijnej i sprawiedliwości, ile raczej z chciwości na pieniądze żydowskie. Jako ksiądz, sądzi zawsze naczelników kościoła w duchu życzliwym, a opisując walki cesarzów z papieżami, staje po stronie ostatnich. Co więcej, powodowany przedewszystkiem pobudkami kościelnymi, a nadto jednostronnością narodową, jest przeciwnikiem kojarzenia królestwa niemieckiego z cesarstwem rzymskim i krasomówczo wykazuje szkody, jakie z tego łączenia wypłynęły. Podobnego rodzaju dążności prowadzą go wprost do fałszerstw. Chcąc udowodnić, że w klasztorze hirschauskim kwitły nauki i że był on niegdyś zjednoczony z Fuldą, wynajduje fuldajskiego kronikarza *Meginfrieda*, który miał umrzeć

1010 r. Aby uwiarogodnić starą baśń o trojańskiem pochodzeniu Franków; aby stwierdzić, że bajeczne czyny Franków w pierwszych wiekach naszej ery są rzeczywistością, że mogą stanąć godnie obok bohaterstwa Rzymian i że w pięknym świetle przedstawiają sławę Niemców od pierwszych chwil ich wystąpienia: zmyśla historyk *Hunibald*, który, żyjąc w epoce króla *Chlodwiga* i czerpiąc z dawnych zaginionych źródeł, miał napisać historię królestwa frankońskiego w czasach starożytnych. *Meginfried* i *Hunibald* są tylko płodami wyobraźni *Tritheima*. Oprócz niego nikt ich rękopisów nie widział. O kodeksie *Hunibalda*, który jakoby znajdował się w Sponheim, zwierza się dopiero w Würzburgu *Maksymilianowi I*; kiedy zaś cesarz pragnie gorąco poznać tak czcigodnego świadka starobylej sławy niemieckiej, daje wiadomości wymijające i nędznie się wykręca. Oszustwo było tak niezdarne, iż sam *Tritheim* musiał się salwować kwiatkami w tym guście, że rękopis nieczytelny, że uległ może interpolacji; było nadto tak łatwem do ujawnienia, że nawet w onym niekrytycznym wieku zostało odkryte przez kilku uczonych, między innymi przez *Hermana von Neuenaar*; zresztą wcześniej jeszcze ostrzegał *Beatus Rhenanus* przed niedorzecznymi rojeniami o mniemanym pisarzu frankońskim, a *Wimpheling* posądzał *Tritheima* o niedokładność i powierzchowność.

Tenże sam *Trithemius*, szarlatan i oszust zdemaskowany, jest erudytem, polihistorem wielostronnym, biegłym we wszystkich gałęziach wiedzy przez humanizm cenionych. Wierszowanie tylko uważał za robotę chłopięcą; treny i nagrobki były według jego zdania jedyną zabawą poetycką, mężów godną. Jakkolwiek różnił się tęp stanowczo od innych humanistów, mimo to przecież zostaje w ścisłych stosunkach z przedstawicielami nowej partyi; jest uczniem jednych, nauczycielem drugich; należąc do Towarzystwa reńskiego, był w bliskiej zażyłości z wielu jego członkami i kierował się zasadą, aby wszystkim być przyjacielem.

Szczuplejsze koła humanistów istniały w wielu miejscach. Różnica między nimi a dwoma głównymi towarzystwami polega głównie na tęp, że są one zawsze przywiązane do jakiegoś miasta. Punkta zaś styczne widnieją w tęp, że z nie mniejszą od tamtych gorliwością poświęcają się uprawie studyów humanistycznych, że skupiają się około głośnego imienia i że uczestników jednoczy cześć dla mistrza. Związki drobne tworzą się niekoniecznie w miastach, posiadających szkoły i uniwersytety; najczęściej jednakże w takich grodach powstają. Istnieje tedy towarzystwo w Ingolstadzie pod przewodnictwem historyka *Jana Aventina*, o którym niżej będzie mowa; naczelnikiem koła bazylejskiego był wzmiankowany powyżej *Bonifacy Amerbach*, który oddziaływał na kolegów uwielbieniem dla

Erazma, aż nazbyt trącącym przesadą; na czele towarzystw w Schlettstadt i Strasburgu stał *Jakób Wimpfeling*, a należeli do nich dobrze nam znani uczeni obu tych miast humanistycznych.

Jeżeli zechcemy pójść dalej, możemy, jak to uczynił *K. Hagen*, puścić się w podróż po Niemczech ówczesnych, a przekonamy się, że w każdym mieście niemieckim nowy kierunek ma swych przedstawicieli. Są nimi ludzie wszelkiego wieku i stanu. Wszyscy oni tworzą jak gdyby jeden wielki związek tajny, zjednoczony silnie nie oznakami, statutami lub osobliwymi ceremoniami, ale nierozzerwanym węzłem cichego porozumienia i wspólnych wzniosłych celów. Ożywiona korespondencja, zastępując innego rodzaju rozrywki, łączyła rozproszonych, a wrodzony Niemcom pociąg do wędrówek, mimo uciążliwości podróżyowania bujnie wówczas rozwinięty, zbliżał oddalonych.

Nawet najlepszy znawca epoki humanistycznej nie potrafiłby przedstawić dokładnego spisu tych mężów. Zresztą wykaz podobny miałby znaczenie tylko statystyczne, a natłoczenie imion raczejby czytelnika obalamuciło, niż oświeciło. Aby więc wykazać szerokie rozpowszechnienie się humanizmu, poprzestanę na opowiedzeniu jednej anegdoty i skreśleniu jednego zyciorysu.

Treść powtarzanej często anegdoty następująca. W Boppard nad Renem mieszkał urzędnik celny *Eschenfelder*. Już zlatynizowaniem swego nazwiska (*Cincampianus*) świadczył, że należy do związku humanistów. Miał on szczęście poznać w miejscu swego zamieszkania *Erazma*, odbywającego podróż Renem. Uszczęśliwiony tём wydarzeniem, nie zadowolnił się widzeniem jeno męża czczonego, ale prośbami dokazał tyle, że wprowadził go do swego domu, oraz przedstawił krewnym i przyjaciółom. Flisaków, natarczywie do odjazdu nawołujących, ułagodził winem i przyobiecał za powrotem uwolnić ich od cla za to, że mu takiego przywieźli gościa. *Erazm*, opowiadając tę historyjkę nie bez samozadowolenia, dodaje ulubioną maksymę: „Jakże niepoprawni są mnisi, kiedy nawet celnicy oddają się naukom wyzwolonym”.

Ze maksyma *Erazma* nie zupełnie była trafna, dowodem tego życie człowieka, który, acz mieszka w klasztorze odległym, pragnie osobiście zbliżyć się do humanistów, podziela poglądy humanistyczne i krzewi je wśród innych. Mężem tym jest *Mikołaj Ellenbog*, mnich w Ottobeuern (1481—1543). Powołanie zakonników w szerczeniu nauk pojmował wzniosłej; chciał bowiem uczynić duchownych krzewicielami kultury umysłowej. Tą powodując się myślą, założył w klasztorze drukarnię i szkołę wyższą z wyraźnie wypowiedzianym celem, aby z uczniów zrobić *homines trilingues*. On sam był właśnie takim „człowiekiem trójjęzycznym”. Książki i listy pisał po łacinie

biegle i zręcznie, ale bez klasycznej wytworności; z upodobaniem wtrącał do zwrotów łacińskich kwiatki greckie i hebrajskie, które sobie przyswoił po długoletnich i mozolnych studiach; zanim otrzymał biblię hebrajską, doszedł do znajomości liter hebrajskich tylko za pomocą pewnego rodzaju kombinacyi. Studya nad hebrajszczyzną rozpoczął może w nadziei, że urzeczywistni swe marzenia astrologiczno-kabalistyczne, gdyż silnie i niezłomnie wierzył w rojenia astrologiczne. Wogóle nie był to umysł wyższy: widnokrag jego nie przekraczał po za mury klasztorne. Teolog prawowierny i mnich surowych obyczajów, oburzony zarówno na niemoralnych wrogów życia klasztornego, jak i na protestantów nowinki siejących, pisał przeciw *Lutrowi* i jego zwolennikom rozwlekłe traktaty, w których gwałtowność i nawał słów zastępowały wymowę i dobór argumentów. Zajmował się także historją, ale prace w tój dziedzinie są jeno gromadzeniem wiadomości i zabytków, a co najwyżej, sięgają ledwie prób kronikarskich. Na różnych niwach chadzał po omacku, ale celu nie dopinał i często nie trafiał nawet na drogę właściwą. Mimo to przecież jest z całej duszy humanistą. Przeciw braciom własnego klasztoru oraz innym mnichom walczy mężnie za sprawę *Reuchlina*, nie daje się w błąd wprowadzić nawet wyrokowi paryskiemu i żywi gorące pragnienie — jak pisze do ubóstwianego — „aby zatkało nieprzyjazne gęby Twych wrogów”, nie tylko dlatego, że przeciwnicy zakłócają duchowy spokój mistrza, ale i dlatego, że tamują swobodny rozwój nauk. W życiu mało doznał zaszczytów. Kiedy list swój do *Reuchlina* ujrzał przedrukowany w wydanym przezeń zbiorze p. n. „Listy słynnych mężów”, nie posiadał się z radości, wyczytując słowo *Cubitus* (Łokieć), którem zlatynizowano niemieckie jego nazwisko *Ellenbog*; promieniejąc radością, zrobił nieczytelną ręką (widać to w rękopiśmiennym zbiorze jego listów) po grecku i hebrajsku uwagę na brulionie jednego ze swych listów: „Do rąk mego kochanka”.

Towarzystwa niemieckie w porównaniu do akademij włoskich stoją od nich niżej. Ponieważ członkowie nie przebywają w tém samym miejscu, więc brak im przedewszystkiem osobistego zetknięcia, a stąd i wzajemnego oddziaływania; brak im dalej mężów, których przewodnictwo nie byłoby zakwestyonowane, boć nawet *Dalburg* nie może stanąć obok *Kuzmy Medyceusza*, *Bessariona* i *Pomponiusza Leto*; brak im wreszcie myśli kierowniczej, pewnej określonej dążności, czém odróżniają się między sobą akademie włoskie. Kiedy bowiem akademie medycejska pielęgnuje filozofię platońską, *bessarionowa* studya hellenistyczne a *pomponiuszowa* starożytności rzymskie, tymczasem towarzystwa niemieckie są bez wyjątku ogniskami poezyi i erudycyi, nie stawiając sobie bynajmniej zadań oddzielnych. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że ich zadaniem powszechnem i jedynem

było wzajemne wychwalanie swych członków. Przeciwnie! Członkowie uważają się za dążących do udoskonalenia, ale nie za doskonałości. Jużcie panegiryków słuchać lubią. Mimo to jednak, przynajmniej rozumniejsi z pośród nich, naganę uzasadnioną przyjmują, obsyłają się pracami, zanim je powierzą prasom drukarskim, i proszą o sąd bezstronny; projektują także wspólne przedsięwzięcia, chociaż ich urzeczywistnieniu stoi na zawadzie rozproszenie członków. Przedsięwzięcia tego rodzaju mają niekiedy na widoku starożytność klasyczną, która była elementem życia zarówno towarzystw, jak i jednostek; głównie wszelako, ze względu na ożywiające wszystkich uczestników uczucia patryotyczne, zwracają się do średniowiecza niemieckiego i dobywają na jaw dzieła historyczne i poetyczne Niemców, pisane co prawda w języku łacińskim, a żeby dowieść, że nawet w czasach barbarzyńskich nie byli Niemcy barbarzyńcami całkowitymi. Niejedno z tych usiłowań było niezawodnie chybnym. Ależ pamiętajmy, że nowicyusze są podobni dzieciom, które chwytają rzecz pierwszą-lepszą, a najchętniej to, co się pstry i błyszczy. Bądź-co-bądź, tendencję owych mężów możemy nazwać szlachetną, po części nawet wzniosłą. Lekceważąc niesprawiedliwości dopuszcza się względem nich ten, — a robiono to przecie — kto obwinia ich o zachcianki fałszerstwa i bezzasadnym oskarżeniem dobrze zasłużoną sławę przeistacza w niezasłużoną hańbę.

Siłą poruszającą, pierwiastkiem ożywym obu głównych towarzystw jest jeden z najśmielszych i najbardziej niezmordowanych apostołów humanizmu, żarliwy kaznodzieja wędrowny, mąż, przy całej powadze pracy technący zawsze wesołym humorem i zawsze świeżą zdolnością używania życia — poeta *Konrad Celtes*.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Poezya i poeci.

Gdy się rozglądamy w literaturze włoskiej z epoki Odrodzenia, uderza nas fakt osobiwy. Oto mimo zupełnego wydoskonalenia języka włoskiego, mimo zachwycającej ucho dźwięczności, tylu jednak męźów posługiwało się w swych utworach poetycznych łaciną, odrzucając język ojezysty podziwiany przez cały naród, nie uważając go za godny nieśmiertelności. Podobny sposób postępowania mniejby nas dziwił w Niemczech. Język bowiem niemiecki, niedostatecznie wówczas jeszcze wyrobiony, odstręczał od traktowania poetyckiego, publiczność zaś, choćby i przyklasnęła pieśniom niemieckim, była tego rodzaju, iż poeci nie nazbyt jej pożąдали. Pomimo zrozumiałegoociągu Niemców do języka Rzymian, poezya ich stoi przecież niżej od poezyi Włochów. Stosunkowo bardzo nie wiele plodów Muzy niemieckiej może stanąć na równi obok mnogich i znamienitych nowolacińskich utworów poetycznych gieniuszu włoskiego. Źródła tej niższości nie należy szukać w braku uzdolnień poetyckich ani też w krótkotrwałości humanizmu niemieckiego, boć i tak szczerpły przeciąg czasu mógł wystarczyć zupełnie na stworzenie dzieła doskonałego. Przyczyna tego zjawiska tkwi raczej w mało rozwiniętym zmyśle dla piękności formy oraz w wadliwem pojmowaniu istoty poezyi. Toć już *Wimpheling*, biorąc za punkt wyjścia zasadę użyteczności i moralności, upośledził poetów w porównaniu z prozaikami. Idąc zaś za ulubionym swym autorem, *Baptystą Mantovanem*, definiuje poezyę, jako „rodzaj mowy wtłoczonej w określoną miarę i wyróżnio-

nęj szczególnymi ozdobami", a sama istota poezji według niego polega na przedstawianiu prawdy pod pewnymi obłonami. Jego towarzysz, *Sebastian Brant*, wystawia poetę w znanym drzeworycie pod postacią męża podstarzałego, siedzącego przed pulpitem, na którym leży gruby foliant. Wśród humanistów panuje pogląd, w duchu którego charakteryzuje Brant w przedmowie do głównej swęj produkcji poetycznej działalność poety jako zbieranie „nader pilne, poważne i pracowite”. Teoretycy lubią porównywać poetę do pszczoły, która, po wszystkich latając kwiatach, wysysa do woli z ich kielichów miód i znosi go do komórek. Zapomniano, zdaje się, starożytnego orzeczenia, że poeta się rodzi, lecz nie staje się nim; podług pojęć ówczesnych bowiem każdy może zostać poetą a zrobi go zręczność, ćwiczenie i naśladownictwo (*ars, exercitatio, imitatio*).

Podług takich reguł każdy humanista niemiecki kuł wiersze wielu sądziło, że są poetami. Niektórzy byli rzeczywiście biegłym wierszokletami; płynność ich rytmów nie pozwala dostrzedz mozołów na jakie się poeci narażali. Nie wielu jeno zasługuje na miano poetów prawdziwych.

Istotnym poetą jest *Konrad Celtes*. Z większą może dumą niż słusnością historyczną nazywał się „pierwszym w Niemczech uwieńczonym poetą”, ale w każdym razie mógł się zwać sprawiedliwie *poeta laureatus*.

Konrad Celtes Protucius (właściwie Pickel = dluto, łacińsk = *Caelites, Celtes*; Protucius z greczyzny = $\pi\rho\upsilon\delta$ i $\tau\acute{o}\lambda\omicron\varsigma$ = dluto) urodził się 1 lutego 1459 r. we frankońskiej wiosce Wipfeld. Wykształcenie naukowe zdobywał najprzód w Kolonii, następnie w Heidelbergu. Bez względu na wiek młodzieńczy i wiedzę niedostateczną uczył w uniwersytetach: erfurckim, rostockim i lipskim. Udał się potem do Włoch i w ciągu ośmiomiesięcznego zaledwie pobytu główne zwiedził miasta, uzupełniając znajomość greczyzny, zakupując rękopisy i zawierając różnorodne stosunki osobiste. Za powrotem dostąpił niebawem (18 kwietnia 1487 r.) w Norymberdze zaszczytu uwieńczenia poetyckiego. Zaszczyt ten uważał do końca życia za najzupełniej zasłużone uznanie swego talentu poetyckiego. Ale mimo uwieńczenia nie przestał pracować nad dalszém ukształceniem. Wyjechał tedy do Krakowa dla zaokrąglenia wiadomości z dziedziny matematyki i astronomii. Tu rozpoczął właśnie działalność apostolską na niwie humanistycznej. Gdziekolwiek zresztą się znajdował, wszędy łączył jednako myślących w towarzystwa i za pomocą dotychczasowych członków starał się przyciągać nowych. Jest więc właściwie inicjatorem nie tylko znanych nam już dwu wielkich towarzystw nadreńskiego i naddunajskiego, ale i dwu mniejszych związków w Ofen

i Krakowie ¹⁾. Piąte towarzystwo (*Sodalitas albina* czyli *Baltica*) nie doszło do skutku; miało ono dla północy Niemiec posiadać to samo znaczenie, co tamte dla zachodu, południa i wschodu. Z Krakowa, gdzie przebył dwa lata, puścił się na wielką wędrowkę, przebiegając Niemcy wzdłuż i wszerz; nigdzie długo nie zabawił; podczas krótkiego w różnych miastach pobytu nauczał i pisał wiersze. Ani razu nie dał się przykuć do Norymbergi, grodu bogatego i sprzyjającego humanizmowi. Z uniwersytetu ingolstadzkiego, gdzie dwukrotnie (1492 i 1494) zajmował katedrę poezyi i wymowy, wyгнаła go żądza podróży, niepewność stanowiska i nieprzychylność kolegów; kiedy wreszcie po raz trzeci (1497 r.) wznowił przerwana na uniwersytecie bawarskim działalność, był przyjęty również niezyczliwie, jak niechętnie sam tu przybywał. Zgodził się więc z ukontentowaniem na zdawna pożądane zaproszenie do Wiednia. Tam, w mieście sobie znaném, znalazł pole dobrze dla swęj pracy przygotowane. Był duszą Towarzystwa naddunajskiego, kierownikiem kolegium poetów i matematyków, sprężyną uniwersytetu. Nosił się z wielkimi projektami, wykończył poezye, wydawał klasyków starożytnych i historyków średniowiecznych, porządkował bibliotekę królewską, ale przede wszystkim zaprzętała go myśl ulubiona opracowania wielkiego opisu geograficzno historycznego Niemiec p. n. *Germania Illustrata*. Plan ten nie został jednak urzeczywistniony a inne w części tylko. Przyczyną niepowodzenia jest przede wszystkim ta okoliczność, że *Celtes* umiał być bodźcem, ale nie był pracownikiem, a powtóre i to, że nieporządnym, rozwiązałem życiem zaprzepaścił resztki sił uzdolniających do roboty. Nie doszedł jeszcze lat pięćdziesięciu a był już starcem zgrzybiałym. Na rok przed zgonem napisał sobie wiersz nagrobny. Umarł 4 lutego 1508 r. i pogrzebion z wielkimi honorami. Nakrótko przed śmiercią zrobił testament. Legował w nim fakultetowi artystycznemu wszechnicy wiedeńskiej książki oraz to, co uważał za największą kosztowność, mianowicie udzielony sobie przez cesarza przywilej poety uwieńczonego wraz ze srebrnym wieńcem wawrzynowym.

Celtes jest wielce dumny i świadom siebie. Ma się za pierwszego łacińskiego poetę w Niemczech, zachęca młodzież, aby szła za jego wzorem i aby go prześcignęła; stawia siebie obok *Horacego* i pragnie, aby własne jego poezye miały w Niemczech takie powodzenie i taką nieśmiertelność, jak twory poety rzymskiego w Italii. *Horacego* na-

¹⁾ Towarzystwo, założone przez *Celtesa* w Krakowie, nosi nazwę *Sodalitas literaria Vistulana* i jest pierwszym z rzędu wśród owych czterech, wymienionych przez autora. Geiger zalicza je oczywiście do niemieckich. Dłaczego? Trudno wiedzieć. (Przyp. tłum.)

śląduje Celtes aż nazbyt wyraźnie. Używa tych samych metrów, co i poeta starożytny, wydaje także cztery księgi ód, przyłącza do nich jedną księgę epodów i zamyka je wierszem jubileuszowym (*Carmen saeculare*). Podobien w zaczepkach i śmiałości, podziela niektóre jego poglądy i przekonania. Jest on nawskroś lirykiem. Rzadko kiedy wplata w utwory liryczne żywioł opowieściowy, jak np. we wdzięcznym wierszu, przypominającym *Goethego* „Wirkung in die Ferne“. Właściwe jego dzieła epiczne i dramatyczne są nader słabe i przeciążone reminiscencyami starożytnymi. I tak w *Ludus Dianae*, dramacie wystawionym na cześć cesarza, kiedy ten powołał do życia kolegium poetów i matematyków, występują boginie i bogowie pogańscy; w rapsodyi zaś, poświęconej cesarzowi po odniesieniu zwycięstwa w sukcesyjnej wojnie bawarskiej, wysławiają zasługi tryumfatora Apollo z dziewięciu Muzami, Merkury, Bachus z Faunami i Satyrami.

Celtes jest poetą miłości. Miłość nazywa jedyną swą chorobą chroniczną. Cztery księgi *Amores* jeżeli nie wyłącznie, to przeważnie mają za przedmiot miłość, również między odami i epigramatami znajdują się wiersze erotyczne, lubo w epigramatach stara się autor niekiedy przybierać minę posępną. Muza poety nie jest dziewiczą i wstydliwą, lecz rozpasaną i swawolną. Pożąda poeta rozkoszy, lubuje się w dzikich upojeniach, opisuje z upodobaniem zewnętrzne zalety swych kochanek, kreśli doświadczane uciechy miłości tak dobitnie, że wprawia w zdumienie czytelnika nowoczesnego. W miłości nie jest wierny i stały. Rzadko który poeta stosował w praktyce, jak on, zasadę: „codzień nowe sitko na plotek“. Cztery księgi *Amores* poświęca czterem różnym damom: *Hasilinie* ¹⁾, *Elsuli*, *Gretuli*, *Barbarze*; napisał wiersz do Wenery, w którym wspomina najmniej o *tres amores*; oprócz nich występują inne jeszcze bohaterki jego miłostek przelotnych. Sam niewierny — nie domaga się też wierności od kochanek. Zwodząc niewiasty, które mu się oddają, nie liczy także na stałość z ich strony. Pewnego razu wśród słodkich uścisków spłoszony przez męża przyjaciołki czy też faworyzowanego rywala — ucieka w nader skromnej odzieży przez okno, ale długo się nie gniewa i wraca do niewiernej z lekkim jeno na ustach wyrzutem. A więc poezye miłosne Celtesa nie są wynurzeniami uczuć czystych i wzniosłych, nie są wylewami moralności i wybuchami enoty, ale są to obrazy o barwach przepysznych, zmysłowe wizerunki potężnie podniecające, niby błyszczące, lecz robaczywe owoce, dojrzałe pod płomien-

¹⁾ *Hasilina* lub *Hasa* jest kochanką *Celtesa* z czasów jego pobytu w Krakowie. Czy była Polką — nie wiadomo; w każdym razie list z wymówkami napisała do *Celtesa* po czesku; była pono zamężna. Jej imieniem przyzdobił poeta I ks. *Amorum*. (Przyp. tłóm.)

nym żarem słońca południowego. Są one oryginalne, ponieważ zaczerpnięte z własnych doświadczeń i uczuć poety. Niekiedy wszelako zdają się brzmieć tu oddźwięki wzorów obcych, mianowicie *Petrarki*; spotykamy bowiem i u Celtesa myśl, powtarzaną często przez poetę włoskiego; oto głosi wierszem sławę kochanki, przekazuje imię jej wiekom potomnym, robi ją przedmiotem zazdrości ludzi późniejszych.

Celtes jest ptakiem przelotnym. Jak w uczuciach zmienny — motylkuje, podobnież przebiega rączo kraje, rzadko gdzie zatrzymując się dłużej, nigdzie stałej nie mając siedziby. Podróżowanie jest jego potrzebą. Do wędrówek zachęca przyjaciół, w wędrówkach widzi kęs natury własnej. Podróżuje, ponieważ pała żądzą oglądania rzeczy nowych, ponieważ pragnie uciech natury, ponieważ w najrozmaitszych miejscach spodziewa się pomnożyć swą sławę, ponieważ wreszcie niby prawdziwy apostoł krzepi się nadzieją krzewienia idei humanistycznych. Jednakże na śpiewaka przyrody brak mu wrażliwości i naiwności właściwych dziecku natury. Więc pisząc pieśni na pochwałę wiosny i t. p., zdradza bezbarwną i ogólnikową chwałbą, że nie wypływa ona z bezpośredniego na duszę wrażenia, lecz że jest plodem refleksyi mozolnej; obok tego częstemi przytaczaniami bóstw starożytnych dowodzi, że ze starożytności przejmując coś więcej jeszcze niż wyrażenia same. Nieodrodny syn renesansu — pożąda sławy. „*Śmierć* — mówi poeta — „słodycz najwyższa, odżyje wespół ze sławą u potomności”. Sława, do której tęskni, nie jestto częste wymienianie jego nazwiska przez ludzi pospolitych lub nawet tytułami świecących, ale przez prawdziwie uczonych. Tytułami gardzi. Wezwany pewnego razu, aby powitać doktora nieuczonego, odrzekł: „Doktorów mamy do zbytku, potrzebujemy uczonych” (*doctos quaerimus, doctores plures habemus*). Któż jest tedy uczonym? I na to pytanie otrzymujemy odpowiedź: „Dzielnym umysłem jest ten, kto pisma innych objaśnia, dzielniejszym — kto z obcych języków tłumaczy, najdzielniejszym — kto nowe tworzy rzeczy”.

Nowe wielkie idee głosi, według niego, poeta tylko. W przecudnych wierszach wysławia godność poezyi i wzniosłe, nieporównane posłannictwo poetów. Rozumie dobrze, iż dla poetów niemasz odpowiedniego miejsca, gdyż przestrzeń zacieśniają lekarze i adwokaci; że dla poezyi niemasz godnego szacunku, gdyż „kość, wino i Wenus“ władają światem. Ale nie pozwala sobie zaimponować tej opinii świata; wysmiewa radę, aby porzucić „bezowocne Muzy“, ponieważ istotną nagrodę za studia upatruje nie w zapłacie brzęczącej, lecz w „słodkiej wolności“ ducha i umysłu.

Poważne zadania, jakim żywot poświęca, nie przeszkadzają mu bynajmniej używać życia. „Chcemy się życiem nacieszyć, ponieważ to, co było niegdyś niczém, wraca do nicości“, tak brzmi jedna z ma-

ksym poety, a myśl ta powtarza się w wielu jego utworach, nawet bez owego rezygnacyjną trącającego uzasadnienia, że trzeba używać darów ziemi. „Sen, wino, przyjaźń i filozofię” nazywa dobrami, którymi się rozkoszuje i niektóre z nich żarliwie opiewa. Właściwych pieśni na pochwałę wina stworzył nie wiele, aczkolwiek Bachus odgrywa pokaźną rolę między bóstwami starożytności przezeń wzywaniemi. Przyjaźń natomiast wysławia często i z zapalem; przyjaźń też uświetnia i upiększa żywot jego. Przyjaciołmi są mu ci, co uciech dostarczają, a także i ci, co byt zabezpieczają. Nie mierzi sobie często i natarczywie się im przypominać, albowiem sądzi, że poetom mecenasi są niezbędni. Toż przy pewnej okazji wypowiedział zdanie, że dlatego jeno pisał drobiazgi i nie wznosił się do stworzenia znakomitego dzieła sztuki (*legitimum poema*), ponieważ zbywało mu na proktorach. Za każdy dar jest wdzięczen a wdzięczność wyraża żywo w wierszach serdecznych. Uczuciem przyjaźni rozbrzmiewa nie tylko względem tych, co hojnością szafują; ale względem wszystkich, co połączeni są z nim jednomyślnością przekonań i rozmaitymi stosunkami życia. Okazuje więc przyjaźń członkom Towarzystw naddunajskiego i nadreńskiego, dzielnym patrycyuszom Norymbergi oraz niektórym uczonym, cichym i osamotnionym, ale wywierającym mimo to wpływ potężny na tłumy, jak *Reuchlin* i *Tritheim*. Związek wspólności jednoczy poetę nie tylko z żywymi, lecz i z martwymi; wysławia przeto *Alberta Wielkiego*, szczyci się pokrewieństwem z *Grzegorzem von Heimburg* i opiewa w natchnieniu chwałę wynalazcy druku.

Pochwała ta wynika u niego z myśli o korzyściach, jakie przyniosła sztuka drukarska rozwojowi nauk a także z rozkosznego uczucia, że wynalazcą jest Niemiec. Dla Niemiec i dla Niemców bowiem tętni miłością serce poety. Odbywa podróże, aby się ojczyzny napańczyć; poświęca cesarzowi przegląd całych Niemiec, jako wstęp do zamierzonego wielkiego poetyckiego opisu krainy niemieckiej; marzy o eposie p. n. „Teodoryk” głównie dlatego, aby się w nim wypowiedzieć z uczuć patryotycznych. Niby zwiastun patryotów późniejszych nawołuje ziomków do wojny przeciw Turkom, śpiewa pieśń o boju między Wenecją a Niemcami i mimo przewagi i patrona świętego Wenecyan przepowiada zwycięstwo rodakom, odstręcza Niemców od studyów w Italii i zaprasza do Niemiec Włochów, żądnych nauki, zwłaszcza jurystów, boć cesarz jest przecie dzierżycielem i stróżem wszelkiego prawa. Żywi nadzieję i, wyrażając ją, zwraca wzrok na samego siebie, ale w sposób, którego opacznie rozumieć nie należy, że i w państwie poezji Niemcy dorównają niebawem Włochom, że ich nawet prześcigną.

Na przekór większości humanistów niemieckich nie jest Celtcs

w skutek zbyt gorliwego patriotyzmu czcicielem Rzymu. Kiedy wjeżdża do Rzymu, nadzwyczajna wielkość wiecznego miasta nie budzi w nim entuzjazmu, lecz raczej uczucie zgrozy z przyczyny ogromnego zaniedbania. Na widok opuszczonych ruin woła: „Tylko cnota i dzieła piśmienne trwać będą wieczyście”. Wykrzyk ten dowodzi, że poeta całkowicie próżen ówczesnych uwielbień i zachwyków dla ruin. Ba! posuwa się dalej jeszcze. Donosząc o znalezieniu zwłok rzymskich (ob. wyż. str. 152), nie sądzi, jak zapalający się ła-two Rzymianie, iżby fakt ten miał być świadectwem wiekuistości imienia rzymskiego, świadectwem cielesnego zmartwychwstania piękności antycznej. Do suchego referatu dodaje nawet złośliwą uwagę, że, gdyby odkrycie to zrobiono za lat sto, możeby nie słyszano już i imienia rzymskiego. Od innych humanistów różni się i pod tym względem, że porównując Greków z Rzymianami, przyznaje pierwszeństwo Hellenom i uzasadnia swe zdanie twierdzeniem, iż Rzymianie celowali większym bogactwem słów, Hellenowie zaś większym bogactwem myśli. Pracuje też usilnie nad rozpowszechnieniem języka greckiego i wzrusza nas, kiedy przy końcu jednego z swych dzieł zamieszcza alfabet grecki, aby obeznac przynajmniej z literami greckimi tych, co języka samego nie znają.

Antyrzymski sposób myślenia wyrobił w sobie Celtes prawdopodobnie pod wpływem niechęci do Rzymu jako stolicy duchowieństwa. Księżę bowiem nienawidzi, ponieważ trzymają Niemców w pętach, ponieważ stan swój bezczeszczą pijaństwem, ponieważ nieuctwem tamują rozwój życia umysłowego. Źródłem tej nienawiści nie jest bynajmniej bezreligijność. Owszem, poeta miewa często napady pobożności. Odbywa pielgrzymki, co prawda, dla uwolnienia się od chorób, opiewa cześć Boga i świętych w długich poematach, którym mimo kunsztownej lub nawet sztucznej budowy nie można odmówić uczucia rzeczywistego, głosi wreszcie z wielką żywością słowa niektóre dogmaty kościoła. Jednakże prawdziwym katolikiem nazwać go trudno. O jego religijności powątpiewali już współcześni. Nie dowierzali mu pobożni teologowie, sądząc, że ścisła prawowierność nie godzi się z tak jaskrawymi przekonaniami humanistycznymi. Protestanci przypuszczali, że, gdyby żył był dłużej, wieliby w nim sprzymierzeńca, ponieważ wyśmiewał księży. Indeks papieski potępił jego pisma, ale przyczyną potępienia była nie tyle ich bezreligijność, ile raczej nieobyczajność poezji. Nasze powątpiewanie nie opiera się zgoła na podstawie tych świadectw stroniczych, lecz na fakcie następującym. Chociaż Celtes często wyszydzał husytyzm, jednakże pewnego razu zestawia ze sobą spalenie *Husa* tudzież rozpowszechnienie jego nauki w Czechach i wielką dlań miłość narodu, w taki sposób, iż nie można opędzić się myśli, że i on tak-

że nie umiał zaspakajającej dać odpowiedzi, gdzie właściwie leży prawda.

Ale jedno rozumie jasno, mianowicie, że przesady szkodzą religii. Piorunuje więc przeciw astrologom i ich kłamstwu, lubo posługując się licencyą poetycką, prawi o zjawiskach wróżebnych, jakie poprzedziły śmierć *Macieja*, króla węgierskiego. Przywodzi astrologom dowodnie fakta, jak często ich przepowiednie się nie sprawdzają, i gromi ich pychę, że chcą przejrzeć losy państw i królów. Przyszłość jest i będzie zawsze ludziom tajną, zna ją tylko Bóg jeden.

Poglądy tego rodzaju czynią *Celtesa* znakomitym przedstawicielem idei humanistycznych. Jestto niepospolity erudyta i myśliciel samodzielny, człowiek pobożny i ojczyznę miłujący; kocha wszystko, co dobre i piękne, włada językiem po mistrzowsku. *Celtes* jest poetą rzeczywistym.

Miał on wielu naśladowców; ale najmniej w poezji miłosnej, w której celował przedewszystkiem. Fakt ten dziwny pozostaje może w związku z pewnym rysem duchowym, przynoszącym zaszczyt umysłowi niemieckiemu. Poezya miłosna wytryska z serca, jeżeli nie ma być zabawką zwyczajną. Język uczucia nie może być językiem wyuczonym, choćbyśmy go lubili używać, choćbyśmy najartystyczniej nim władali, ale musi być językiem, w którym pierwsze szczebiojemy dźwięki, w którym przywykliśmy omawiać najpospolitsze i najświętsze sprawy życia. Stąd więc łacińskie erotyczne pieśni humanistów, jeżeli je porównamy ze współczesnymi ludowymi pieśniami niemieckimi poświęconymi miłości, są liche i ubogie. Bezpłodny kwiat łacińskiej pieśni wędnieje, — barwny kwiat pieśni narodowej wydaje woń i obiecuje owoc. Obok tego istnieje względnie jeszcze inny. Poezya miłosna jest wogóle swobodna a w ową epokę naiwno-zmysłowej odznaczała się swobodą większą jeszcze niż dzisiaj; zanadto wyrazista w wysłowieniu, nadto realna w wymaganiach, — mogła łatwo przeistoczyć poetę w człowieka zmysłowego a czytelnikowi zaszcześcić płochosć. Jeżeli zaś to robiła, przyczyniała się wówczas sama przez się do uzasadnienia owych dawnych zarzutów, jakie przeciwnicy humanizmu stawiali poezji, a mając na oku stronę zewnętrzną, narażała na szwank skuteczność i doniosłość całego kierunku. Aby takim niebezpieczeństwem zapobiedz, humaniści niemieccy, jakkolwiek lubili naśladować wzory włoskie, pozostawili Włochom ślizkość plugawą (*spurcitiem Italis linguito*), do czego ich zachęcał stary *Piotr Schott* w wierszu, wymierzonym przeciw Niemcom italizującym, a sami na inne wkroczyli pola i inne wybierali przedmioty.

Ale najwyższego stopnia doskonałości nie osiągnęła i poezja religijna, pozostająca zresztą w ściślejszym związku, aniżeli często są-

dzimy, z poezją miłosną; boć i w niej kochający marzyciele opiewają kobietę, ale bóstwo, Maryę. Otóż poezya religina onego czasu nie posiada ani owęj tklivej serdeczności niektórych duchownych śpiewów średniowiecznych, ani owęj męskiej lub poruszającej siły pieśni kościelnych Lutra i jego towarzyszków. I ona także nie domaga na chorobę, właściwą wielu produkcyom epoki humanistyczej, znajduje mianowicie upodobanie w czczych słów nawale; widać aż nadto jasno, że hołduje modzie, że nie wypływa bynajmniej z potrzeby wewnętrznej. Nie wielu było tak sumiennych jak *Hermann von Busch*, autor 300 wierszy na cześć Maryi oraz poezyj na chwałę różnych męczenników, który wyznaje otwarcie, że pisze podobne utwory dlatego, że toż samo robili także inni poeci. Wynurzenie to bardziej niż lekkomyślne. Lecz jakież wobec niego mogą mieć znaczenie wiersze pobożnie brzmiące? Brak przekonań i wynikające stąd gadulstwo obniżają wartość moralną poezyj religijnych; wartość zaś estetyczną umniejsza mieszanie rzeczy świętych z pospolitemi, bóstw pogańskich z pojęciami chrześcijańskimi. *Jakób Canter* „Fryzyczyk”, jak sam się nazywa, członek znakomitej rodziny literackiej, spokrewnionej i zaprzyjaźnionej z *Agrykolą*, pisząc na cześć Maryi Panny ody sańiczne, używa miary wierszowej, która z powodu kunsztowności najmniej się nadaje do wyrażenia rzeczywistych uczuć religijnych. Ale staje się już wprost niesmacznym, kiedy Bogarodzicę nazywa „Matką gromowładcy” (*genitrix tonantis*), kiedy Boga Ojca chrzci mianem *princeps superum* a światłu niebieskiemu przeciwstawia ciemności Tartaru.

Jakób Locher, chociaż oskarżony przez *Wimphelinga* o poganizm, pisał także wiersze chrześcijańskie. Nazywa on wyraźnie szaleńcami tych, którzy lubują się bardziej w starożytnych baśniach pogan, aniżeli w opowiadaniach o przodkach Chrystusa. W wierszach swych wysławia Boga Ojca, Syna i Ducha świętego, Maryę, Chór aniołów, patryarchów i proroków, apostołów i ewangelistów; wychwala wszystkich tych, co w dawnych i nowszych czasach pracowali i cierpieli dla wiary chrześcijańskiej, a więc męczenników i pustelników, mnichów i mniszki, kapłanów i wdowy czcigodne. Ale ze względu na jego sposób myślenia jest to znamiennem, że przedmowę, wzbrawną uczuciem pobożności, kończy starożytną formułą powitalną: *Dū bene vortant*. W domówieniu zaś poetycznym, zwróconem do czytelnika, mówi bez obwijania w bawetnę: teraz przecie pokazałem, że i takie poezye tworzyć umiem; mam więc nadzieję, że umilknie narzeczcie ninawistna przeciw mnie zawiść.

Jednym z najpłodniejszych i najszczerzej czujących poetów duchownych jest *Sebastyan Brant* (ob. wyż. str. 350 ns.). Uczucie religijne *Branta* było niezawodnie wyższe aniżeli jego talent poetycki. Jego

poezye łacińskie rozpadają się widocznie na dwa działy: duchowny i świecki, odgradzone od siebie niewłaściwie tu przedrukowaną komedią *Reuchlina*, o której będzie mowa niżej. Czezą one wszystkich niemal świętych po większej części w dystychach rytmem saficznym. Na czele występuje naturalnie Najświętsza Panna, otoczona glorią niepokalanego poczęcia; następnie dość miejsca zajmują święci *Sebastian* i *Onufry*, według zwyczaju ówczesnego obdarzani szczególną czcią patronowie *Branta* i jego syna; z innych świętych uwzględnieni są przeważnie ci, których adoracya upowszechniona głównie w Alzacyi i Niemczech południowych. I tu zdarzają się częste osobliwości. Porównywa np. poeta dzieła Ś. Onufrego z pracami Herkulesa, przy czém pochlebniej przedstawia świętego, ponieważ zdobywa żywot niebiański, gdy tymczasem bohater mitologiczny zadawałniam się musi sławą tylko. Spotykają się też rzeczy niesmaczne, jak np. kiedy autor zachęca Maryę, aby Synowi pokazała piersi i tym widokiem skłoniła Go do łagodności, lub wymuszone sztuczki, jak np. ta, że w odzie na pochwałę kartuzów każda wrotka kończy się słowem *Carthusianus*. Wogóle jednak uderza polot i uczucie rzetelne. Uwydatnia *Brant* grzeszność natury ludzkiej i pewność łaski Nieba, silną wiarę w sprawiedliwość boską i w zanik surowego rozdziału na biednych i bogatych, wywołującego tyle niesprawiedliwości w życiu doczesném; oraz przekonanie wewnętrzne o ścisłym związku między ludzkością a Bogiem. Wierzymy poecie najzupełniej, kiedy zaleca życie odosobnione, samozaparcie i ówieczenia pobożne; wierzymy, że z głębi serca wydziera mu się prośba do Boga o zmiłowanie; wierzymy, że nie jest to ozdoba krasomówczą, kiedy błagając źródła łask wszelkich, woła: „Spraw, abym żył dla Ciebie”.

Na równi z *Celtesem* bywa nieraz stawiany *Helius Eobanus Hessus*, ale niesłusznie, gdyż tak świetnym poetą, jak tamten, nie jest wcale. *Hessus* urodził się 1488, umarł 1540 r. Od lat wczesnych członek koła erfurckiego, największych przyjemności doświadczał wśród niego, z oddaleunia za nim tęsknił, a gdy zostało rozproszone i zniszczone, we wdzięcznej pamięci jego obraz chował. Tylko w tém gronie wywierał wpływ i doznawał podniet, ale chromieje zaraz, skoro się znajdzie w inném otoczeniu, np. rozwijając działalność nauczycielską w Prusach krzyżackich, w Norymherdze lub Marburgu. Skutkiem ożenku, licznego potomstwa zrodzonego w stadle małżeńskim, pociągu do pijaństwa i życia nieporządnego popadł w nędzę, z której pragnał się wydobyć żebraną, naprzykrzając się ustawicznie przyjaciółom i opiekunom. Pracy stałej, regularnej nie cierpiał, ponieważ lękał się, by nie osłabiła polotu fantazyi. Mawiał, że radby posiadać jakiś urząd, póki był bez

zajęcia, ale obowiązki spełniał niesumienne, skoro urząd otrzymał. *Hessus* był reuchlinistą i erasmianinem, lecz nawet w charakterze człowieka partyi nie poświęcał się sprawie, jak przystało; zawsze bowiem miał na oku swoje ukochane ja a najłżejsza jego obraza rozluźniała silne przywiązanie i zachwiewała mniemaną wierność.

Eoban Hesse celował dużym talentem metrycznym. Wszystko łatwo układało mu się w wiersz a tą łatwością zjednywał sobie większą sławę niż treścią utworów. Jego poezye okolicznościowe są nader liczne, zgrabne i powabne, ale często beztreściwe i pełne frazeologii. Pisze na obstalunek i w nadziei zapłaty; stąd szwankuje prawda. Jego poematy opisowe i opowieściowe, mianowicie opowiadania drobnych lokalnych wydarzeń erfurckich, opisy Prus, Norymbergi i wojny hesko-würtemberskiej, rozważane ze stanowiska historyczno-geograficznego grzeszą niedokładnością, a rozpatrywane pod względem poetyckim, przeładowane są aż do zbytku faktami. Jego przekłady poetyckie, między którymi naczelne zajmują miejsce Iliada i Psalmy, zalecają się swobodą i dobrym smakiem, zdradzają przedziwne zawładnięcie językiem łacińskim i subtelne zrozumienie oryginału. Natomiast inne prace, które w mnogich ukazywały się edycjach i które wynoszono pod niebiosą niby dzieła cudowne, mają dla nas czcigodną jeno wartość antykwarską. Uwydatniają one co najwyżej zewnętrzne uzdolnienie poety, ale nie wewnętrzne; nie znajdziesz tam ani pomysłów nowych, samoistnych, ani artystycznego obrobienia przedmiotów zapożyczonych. Jedynym większym rozmiarów oryginalnym dziełem poetyckim są „Heroidy”, t. j. listy świętych poczynając ad Bogarodzicy a kończąc na Kune Gundzie, małżonce Henryka II, uznanej za świętą. Osnowa ich zaczerpnięta z biblii lub legend. Mają na celu głównie zobrazowanie pobożności chrześcijańskiej w szacie antycznej. I wartość „Heroid” jest w gruncie również literacko-historyczna tylko. Nikt się niemi dzisiaj budować nie będzie; można jeno podziwiać łatwość wierszowania i śmiałość, z jaką w czasach, hołdujących starożytności, wybierał i opiewał rzeczy chrześcijańskie.—Talent *Eoban* posiadał, lecz charakteru ani krzty. W używaniu wesołych uciech życia górował nad wszystkimi, w okazaniu czynem swych przekonań stał niżej od każdego prawie. Z wielu wybitnymi humanistami zostawał w bliskich stosunkach osobistych, lecz zrywał z nimi, skoro poczuł zadrąsnięcie miłości własnej lub obawę o zakłócenie spokoju swego. Odsunął się np. od *Erazma*, do którego niegdyś pietystyczną odbył pielgrzymkę i przeciw któremu następnie powziął nienawiść, gdy przyjaciel pozwolił sobie względem niego na żart wytworny i jawną przyganę. Wypierał się nawet takich przyjaciół jak *Hutten*; skoro spostrzegł, że dalsza zażyłość z *Huttenem* jest niebezpieczną, testamentu jego nie wyegzekwo-

wał i pamięci nie uczył. *Lutrowi* sprzyjał, ale o dyspucie lipskiej i wyklinającej bulli papieskiej nie wyrzekł słówka ani uznania, ani nagany; oświadczył się za reformatorem wówczas dopiero, kiedy Erfurczycy ławą stanęli po jego stronie. I wtedy nawet nie chcąc się żadnej narazić partyi, w zgodzie z protestantami w napół katolickim później Erfurcie a w całkowicie protestanckiej Norymberdze unikał wprawdzie styczności z wrogami ewangelii, lecz nie znalazł słowa pochwały dla protestantyzmu norymberskiego. Pod względem politycznym i narodowym odznaczał się oziębłością. Z wyjątkiem jedynego liściku — żadnego dzieła nie napisał po niemiecku; jego poezye na cześć cesarza są ćwiczeniami szkolnemi; jego wiersze patriotyczne, rozsiane wśród poezyj okolicznościowych, są przepelnione uczuciami pożyczonemi. Za dowód fałszywości i niestałości *Hessego* niechaj posłuży fakt, że przedtém opiewał chwałę *Sickingena*, a po jego upadku gotów wysławiać zwycięstwo landgraфа heskiego, otrzymane nad obrońcą rycerstwa. Bawi się jak dziecko godnością króla poezyi, nadaną mu żartem; poniża się nawet w oczach litościwego sędziego ustawiczną zebraniną, wychwalając w natrętnych prośbach obecnego protektora kosztem poprzednika lub też kłamliwemi opisami szczęścia minionego stara się unaocznic swą nędzę terazniejszą. Łatwym talentem i miłym humorem zjednał sobie duże uznanie za życia a po śmierci podziw wielki; ale krytyka trzeźwa musi to uwielbienie sprawdzić do miary właściwej.

Eoban Hesse jest jednym z głównych przedstawicieli bezbarwnej i wyzutej z godności poezyi panegirycznej, rozkrzewionej nader bujnie w epoce humanizmu. Nie pyta ona o zasługi chwalonego, lecz wysławia reprezentantów nowego kierunku umysłowego albo z mody, albo ze względów partyjnych, albo z pobudek nikczemnych. Wiersze pochwalne pisali przy sposobności wszyscy humaniści. Każde niemal dzieło ówczesne, czy to praca samodzielna, czy wydanie pisarza starożytnego, zawiera na początku lub przy końcu, lub i tu i tam, górnolotne słowa ku chwale danego autora, wydawcy albo też przedmiotu w książce traktowanego. Ponieważ zaś przedmiot sam panegiryscie jest nieznanym a osoba czczona obojętną, pochwała przeto wieje często chłodem i rozplywa się w konwencyonalnych formułkach chwalczych. Nie dość na tém. Jeżeli ten, co żądał pochwały później, jest przeciwnikiem dawniejszego mocodawcy, wypowiada panegirysta nieraz zdania wręcz sprzeczne z opiniami, które niegdyś wygłaszał. Ponieważ dalej humaniści nie znają w pochwałach i naganach granicy, więc zdarza się, że kogo dziś sławią jako bohatera, jutro go biczują jako marnego nicponia; zdarza się, że w dodatku do dzieła występują w roli żarliwych rzeczników sprawy, którą przedtém namiętnie zwalczali. Tak zachował się np. *Adam Werner*. Brał

udział w polemice przeciw bronionemu przez *Branta* niepokalanemu poczęciu Najświętszej Panny, zapominając całkowiecie, że w dniach ubiegłych stał po stronie *Brantu* i jego poglądów. Podobnież *Hermann von Busch* bezmyślnie lub z braku przekonania dołączał do pism Kolończyków, naturalnie treści antyhumanistycznej, wiersze przyklaskujące, niepomny, że uwłacza przez to swęj partyi i samemu sobie.

Pod względem treści wszystka ta poezya bardzo mało warta, ale pod względem formalnym jest wzorowa i posiada wysokie znaczenie dla charakterystyki całego humanizmu. Niechże mi więc będzie wolno wskazać na jednym przykładzie zakres i rodzaj tęg poezyi panegirycznej i okolicznościowej. Wybieram *Opuscula Henryka Bebela* w wydaniu z r. 1508. Korowód rozpoczyna *Tomasz Wolf* wierszem bezpretensjonalnym, że epoka sprzyja nauczaniu, że sztuka drukarska ułatwia zadanie pedagogom. Następnie *Wolfgang Bebel*, brat autora, przeklina zawistnych jego wrogów i nakłania młodzieź, aby tłumnie śpieszyła do nowo otwartych źródeł. W imieniu młodzieży składa dzięki za nowe dzieło *Wolfgang Richard*, widzi w niem nową pochodnię, która rozproszy do szczytu mrok barbarzyństwa; uznawszy zaś wdzięczność *Wolfganga Bebela* niby za własną, powtarza na innem miejscu myśl swoję, że mowa rzymska za sprawą *Bebela* odzyskała blask starożytny. Czworthy z kolei śpiewak, ksiądz *Ulrich*, chociaż posługuje się językiem rzymskim, nie chce zostać Rzymianinem, owszem — cieszy się swą niemieckością; Rzymianom i Grekom pozostawia wychwalanie własnych poetów, a sam jako Niemiec pragnie swego wielbić bohatera. W tęg surmę dmie i *Heinrichmann*, stale wierny giermek *Bebela*; wynosi pod niebiosa mistrza, „zaszczyt ojczyzny, ozdobę naszą i naszą sławę”. Wie on, że światło przyjaciela promienieje tęg jaśniej, im grubszą jest ciemność, otaczająca wroga; więc laje barbarzyńców, zagrzewa Niemców do walki przeciw wrogom i błaga Boga: „zmiądź szaleńców, najwyższy władco nieba”. Kiedy potem sam autor wygłosił zdanie o jakimś Zoilu w sposób dosadny, humanistom właściwy, łączą się natychmiast *Heinrichmann* i *Wolfgang Bebel*, aby przeciwnikowi tęg wygarbować skóre; przytém nadmienia pierwszy, iż nieprzyjaciel będzie zawsze w takięj odległości od mistrza, jak rak od szybkobiega. Ale napadając na innych, nie zapominają o chwalcie mistrza. Więc *Jerzy Hermann* sławi go jako poetę i nauczyciela; *Michał Coccinius* zachęca młodzieź do naśladowania wzniesłego przykładu, bo wówczas całe państwo łacińskie głosić będzie jego chwałę; zabiera wreszcie głos *Leonard Clemens*, proboszcz z Ulmu; w marnych wierszach skarży się na barbarzyństwo i twierdzi dość naiwnie, że sam pisałby lepszą łaciną, gdyby mąż wielbiony zjawił się był wcześnięj.

Ze względu na *Bebela*, człowieka znakomitego, mogą podobne dy-

tyramby poniekąd być usprawiedliwione, ale stają się śmiesznymi, kiedy z równą napuszoną otarąją sławę ludzi średniej miary. Od takiego postępowania uchroniło się bardzo nie wielu, np. *Reuchlin*; nie lubił on przyjmować od współczesników pochwał przynajmniej poetycznych, to też dzieła jego, prócz komedyj jednakże, są wolne od panegiryków wierszowanych innych autorów. Wogóle dawała się postrzegać niejaka reakcja przeciw chwalbie nadmiernej. Mianowicie starsi i znamienitsi, a więc ci, co mieli prawo do uznania, zachęcali młodzież do powściągliwości, ale napominania ich mały odnosiły skutek, gdyż sami je przy okazji niebacznie obrażali.

Okrom osób, między którymi spotkaliśmy już wyżej uczonych i książąt gromko opiewanych, wychwalano ze szczególnem upodobaniem miasta.

Rzeczą to wieszczów zwyczaję i mury miast ojczystych sławić
I chwałą opromienić niwę, gdzie pierwszy brzask światła ujrzeli;

tak śpiewa *Jan Murrnellius* w pieśni ułożonej ku czci grodu rodzinnego, Roermundu. Holenderskie to miasteczko, nie mające dziś jeszcze 10,000 mieszkańców a i wówczas wcale nie duże, cieszy się w oczach poety sławą niesłychaną. Imię jego obiega świat cały; przed niem ustępuje Partya mimo zmiążdżenia *Krassusa*, ustępuje Hellorda mimo zwycięstwa nad *Kserksesem*; łącząc prostotę z przepychem, góruje nad Miletem i Tarentem.

W podobnym tonie brzmią pochwały wielu miast i miasteczek. Nie dość bowiem poetom wysławiać miasto rodzinne; niektórzy robią z panegiryzmu sport formalny, składając hołdy każdemu grodowi, w którego murach krócej lub dłużej bawili. Stąd poezya tego rodzaju nosi znamię roboty rzemieślniczej; spostrzegamy szybko, że pochwałom brak słusznej podstawy. Poeta nie wynurza wdzięczności miejscu rodzinnemu, nie miejscowości, gdzie długo przebywał i dobrodziejstw zażył, ale przypomina się w sposób ujmujący radzie lub moźnym ojcom miasta. Chwaląc zaś miasto, pragnie zgotować w niem sobie żywot wygodny i przyjemny. Obok bezcharakterności i braku przekonau występuje nadto brak zlokalizowania i zindywidualizowania danej miejscowości; na tym punkcie chromają także listy i mowy humanistów. Nie znajdziesz żywej opowieści historycznej, wytryskającej z prawdziwej znajomości dziejów i istotnego zapalu; nie znajdziesz w sposób naturalny skreślonego obrazu wybitnych mieszczan, wypływającego z szacunku i zażyłości osobistej. Ale spotkasz się natomiast z poezją konwencyonalną, której nie dostaje rzetelnego opisu, której nie dostaje życia historycznego i osobistego. Poezya ta, pozbawiona uczucia a obrachowana jeno na powodzenie, na zysk,

nie może też i w czytelniku rozniecić uczucia prawdziwego. Takich grzechów poetyckich dopuszcza się każdy poeta z epoki humanistycznej; nawet najcelniejsi, jak *Celtes*, nie są bez winy. Niektórych można by nazwać arcy poetami, mianowicie tych, co każdy gród musieli uczcić pieśnią.

Chociaż wielkie panegiryki prozaiczne ze względu na treść i dążności posiadają też same cechy, pomijamy je tutaj jednak z przyczyny formy, zaznaczając tylko, że takim jest np. obszerny panegiryk *Celtesa* dla Norymbergi i dyalog *Meinharda* o Wittenberdze, ważny zresztą ze stanowiska kulturowo-historycznego. Ograniczymy się więc na poetach. Z pomiędzy nich zaś nasuwa się pod pióro przede wszystkim *Hermann Busch*. Przekonań wogóle niezbyt silnych, chwalił *Busch* zawsze to miasto, od którego rady pragnął otrzymać nagrodę. Weźmy pod uwagę jego poemat na cześć Lipska a w związku z nim i inne wiersze, poświęcone temuż grodowi.

Busch wręczył poemat radzie miejskiej 1504 r. z dedykacją, w której przytoczył ze starożytności przykłady szczodrości monarchów i miast względem swych historyków, zalecając je niejako grodowi nowoczesnemu do naśladowania. Heksametry płyną bez zarzutu, ale cały utwór jest tak bezbarwny, że można by go odnieść do każdego miasta, gdyby nie powtarzające się wielokrotnie *Lips* i raz użyte słowo *Plesa* (Pleisse). Chwali autor urodzajność miasta, uważając je za dar Cerery; zaledwie Apulia i Sycylia na tym punkcie mu dorównywiają; poblizkie jezioro przypomina starożytny *Benacus* a lasy z Dryadami i Faunami podobne lesistym grzbiecom górskim Alburnu. Widok owiec nasuwa poecie myśl, iż znajduje się w Arkadyi a przepych kwiatów i owoców przywodzi na pamięć ogrody Hesperyd. Nigdzie nie dojrzysz jednak rzeczywistego rysu indywidualnego, nigdzie nie spotkasz uwzględnienia osób żyjących lub wypadków współczesnych, jednem słowem nie dostrzeżesz nigdzie pierwiastku, któryby w mdły poemat tełnał życie i dodał mu świeżości.

Prawie na lat dwadzieścia przed *Buschem*, prawdopodobnie 1483 r., ofiarował *Konrad Wimpina* wiersze pochwalne *burgimagistris* tegoż grodu (*Busch* pisał klasycyzniój: konsulom i senatowi). Zadaniu swemu nakreślił poeta granice ciaśniejsze. Albowiem nie o mieście wogólności, lecz pragnie mówić o początku książęcego domu miśniskiego i o powstaniu uniwersytetu; przytém w opisie miasta powściągając się od czelej gadaniny, wymienia rozmaite punkta i zmusza się do wzmianki o różnych wydarzeniach. Opisuje przeto mniej lub więcej wyraziście pojedyncze domy, zegar, klasztor i trzy bramy a w „opisie religii lipskiej” mówi o zabiegach mieszczanstwa celem zbudowania szkoły św. Tomasza. Dowiadujemy się, że na czele miasta stoi trzech burmistrzów i 34 rajców. W historii uniwersytetu,

podawszy zarys dziejów czeskich i obsypawszy pochwałami *Karola IV*, mówi o wszechnicy praskiej, o przesiedleniu się wielu nauczycieli i uczniów z Pragi do Lipska, o kolegiach i bursach różnych fakultetów, o narodowościach, o audytoryach i bibliotekach (gdzie pisze np. że medycy i teologowie mieli książki w tój samėj komnacie). Zamyka wreszcie dzieło pochwałą Ś. Krzyża i napomnieniem, aby studenci oddawali się pilnie studyom. Nie brak naturalnie i przesady. Gdzie tylko może, zarówno w ciągu osnowy jak i we wstępach wplata reminiscencye ze starożytności. Wogóle jednak maluje dość plastyczny obraz miasta i uniwersytetu w dobie humanizmu i reformacyi.

Z poezją penegiryczną — gdyż taki charakter nosi liryka ówczesna — wiąże się poezja karcąca, a przedewszystkiē komedia. Pod wpływem humanizmu odrodził się i dramat a zwłaszcza komedia. Utwory *Terencyusza* i *Plauta* czytano cheiwie i tłómaczono. Przekłady były jednak wadliwe, nie oddawały bowiem należycie subtelności i piękności oryginału. Dzieła starożytnych naśladowano. Dramat łaciński, który podczas wieku XVI miał tak wspaniale w Niemczech rozkwitnąć, posiada jeno zwiastunów w epoce humanistycznėj; okazują oni większe doń upodobanie aniżeli w tworzeniu uzdolnienie. O niektórych pracach musimy wspomnieć choćby szkiecowo tylko, ponieważ zawierają w sobie zarodki różnych gatunków komedyi nowoczesnej. Spotykamy w nich tedy żywioł komedyi chłoszczącėj złe obyczaje, ośmieszającėj wroga przez zemstę za obrazę osobistą i kuszącėj się o skreślenie karykatury jego osoby i działania; widzimy dalej pierwiastki komedyi, która, zostając na usługach humanizmu, wystawia ten kierunek umysłowy; wreszcie komedyi, która, bez względu na kwestye czasowe i sporne, żartuje i śmieszy.

Przedstawicielem obu pierwszych rodzajów jest *Reuchlin*. *Celtes* i *Hutten*, mijając się nieco z prawdą historyczną, nazywają go twórcą komedyi nowoczesnej i oddają mu, jako takiemu, wielkie pochwały. Niektóre złe obyczaje swego czasu biczował *Reuchlin* w *Scenica progymnasmata*, których tytuł podrzędny *Henno* znamionuje głównego bohatera sztuki. Treść zaczerpnął z francuskiej farsy o *maitre Pathelin*. Jestto historia o lotrostwach sługi, okradającego mających w nim zaufanie panów. Sprawki się wykrywają. Niegodziwiec, pozwany przed sąd, udaje za radą adwokata niemowę, na wszystkie pytania odpowiada słówkiem *Ble* i zostaje uniewinniony; ostatecznie obrońca swemu odplaca w sposób, jakiego się odeń nauczył. Mimo osnowy zapożyczonėj umiał jednak *Reuchlin* wydobyc z niēj sytuacye nowe i wprowadził aluzye do stosunków czasowych. Alluzyami temi są już to gwałtowne, już dowcipne wycieczki przeciwko pie-niactwu niższych klas, mianowicie chłopów; przeciw sędziom, którzy

wyrokują nie według słuszności sprawy, lecz według otrzymanej zapłaty; przeciw astrologom wreszcie, którzy, korzystając z łatwowności ciekawych, karmią pytających ogólnikami tajemniczymi, ale nie mającymi żadnego znaczenia. Częste przedruki dowodzą, że komedia ta była wówczas sztuką ulubioną. Dyalog dowcipny, chóry pełne żywości. Jedno z wyrzeczeń: „Goły nie boi się rozboju” stało się przysłowiem.

Zemstę osobistą i to przeciw augustyańskiemu mnichowi *Holzingerowi*, złemu doradcy *Eberharda Młodszego*, księcia würtemburskiego, ma za przedmiot druga sztuka *Reuchlina: Sergius* albo *Capitis caput*, głowa głowy, t. j. pusta głowa, do człowieka już nie należąca, bez mózgu. Głową jest czaszka jakiegoś nędznika, który, będąc najprzód chrześcijaninem a potem mahometaninem, w obu wyznaniach dopuszcza się wykroczeń. Spekulant obnosi ją po kraju niby głowę świętego, wysławiając przed ludem jej wszechmoc i wpływ arcy skuteczny. Tłum długo bałamucony odkrywa wreszcie prawdę i uczucie czci rzeczywistej przeistacza w energiczną odrazę.

Komedia, pozostając na usługach idei humanistycznych, zagrzewa do uprawy studyów klasycznych a lekkim szydem lub w sposób poważny odsłania zgubne następstwa życia bezdusznego, lenistwa i umysłowego nieuctwa. Myśli w takich komediach są zawsze świętne, ale forma niekiedy nadzwyczaj słaba, jak np. w omawianej już poprzednio (str. 405) komedii *Bebela*, czasami zaś powabna i zręczna, jak w *Stylphonie Wimphelinga*. Bohater, nadający miano sztuce, powrócił z Rzymu do Niemiec kortezanem, zaopatrzony w papieskie ekspektatywy na cztery probostwa; dwa z nich ma otrzymać natychmiast, a drugie dwa nieco później. Przybysza umacnia w nadziei pleban wiejski, zajmujący stanowisko również nie w skutek zasług, lecz mocą podobnych zaleceń. Kortezan, pewny wygranej, udaje się tedy do biskupa, chociaż odradza mu ten krok Wincenty, ubogi student, który, bez protektora, przebojem toruje sobie drogę przez życie. Biskup odsyła petenta do rektora szkoły, aby przyniósł odeń świadectwo swego wykształcenia. Ewentualny posiadacz czterech beneficjów uzyskać go jednak nie zdołał. Wymawia bowiem źle a jego wiadomości gramatyczne są tak nizerne, że do *dixit* tworzy formy *dixo*, *dixis*, a *narraverunt* wprowadza od *narvo*, *narvas*, *narvare*. Na pytanie egzaminatora: *Es tu de legitimo thoro*, nie wiedząc, o co chodzi, odpowiada: *Non, sed sum de Laudenburga* (Czy jesteś z prawego łóża? — Nie, jestem z Laudenburga); mając w końcu wytłómaczyć znaczenie *sacramentum*, daje objaśnienie klasyczne: *est nobilissimum ydeoma ex fontibus Graecorum ortum habens* (Jestto najprzedniejszy sposób mówienia zaczerpnięty ze źródeł greckich). Na zasadzie świadectwa, odpowiedniego swym wiadomościom, został przez biskupa wypędzony; w końcu, nie mogąc otrzymać innego miejsca, przyjął obowiązek

świnopasa. Poeta kończy epilogiem pouczającym: „Jakże dziwna zmiana losu! Z dworaka — skotarz! Zaufanie kardynałów zostaje parobkiem chłopów, pasterz dusz — pastuchem świń! Nadęty doznaje poniżenia! Tak oplakany koniec nieuctwa! Wincenty zaś, wsparty przez rodziców, wraca do uniwersytetu, studjuje gorliwie prawo, otrzymuje najpród urząd kanclerza książęcego, potem przy pomocy księcia godność kanonika aż wreszcie wybrany został jednomyślnie biskupem. Urząd sprawował szczęśliwie i mądrze”.

W przeciwstawieniu do tych dramatów z dążnością dydyktyczną istnieją komedye, mające na celu żart jedynie, zbliżają się one do poezyi lirycznej o tyle, o ile wchodzi w nie pierwiastek erotyczny. Za mistrza w tym rodzaju uchodzi *Krzysztof Hegendorffinus* (1500—1540). Mówiąc o uciechach miłosnych, bywa niewybredny i swawolny. W komedyi *De sene amatore* ośmiesza starca kochliwego, który chce być młodym, chociaż czuje aż nadto dobrze zanik sił młodzieńczych. W *Comedia nova* przedstawia szaleństwa miłosne młodzieży. Pewien lekkomyślny młodzian ma z kochanką dziecko; owoc miłości sprowadza do domu ojca, który surowymi odznacza się obyczajami i niczego się nie domyśla; równocześnie donosi, że rodzicem dziecięcia jest brat jego, nadzwyczaj doń podobny. Kłamstwo znajduje wiarę tém łatwiej, że mamka, nie znając wcale brata, dokładnie opisuje ojca rzeczywistego, by skreślić postać oskarżonego, który wobec niesłychanych obwinień jest tak zmieszany, iż go na prawdę uważają za hańbiiciela honoru rodzinnego. Ojciec zaklina następnie rzeczywistego winowajcę, którego w duszy uznaje niewinnym, aby poślubił pannę zbezczeszczoną i małżeństwem zmył z niej sromotę. Wówczas istotny sprawca złego przystaje na to z radością, gdyż nie pragnął nic innego, jak takiej właśnie pokuty. Poeta zaś, broniąc się nieraz przeciw zarzutowi, jakoby psuł młodzież, kończy sztukę chórem, którym zarzut ten stwierdza jeno; mówi bowiem: „Teraz pora na szaleństwo, później będzie po niewczasie; jeżeli nie pijecie i nie śpiewacie, zostaniecie filistrami, wy słodkiej miłości rycerze”.

O tragiedyi w dobie humanizmu niemasz nawet mowy. Pisze wprawdzie *Jakób Locher*, śmiały torownik dróg nowych, tragiedyę „O Turkach i sułtanie” i, rozwodząc się szeroko, sławi własną zasługę, że pokazał „Szwabom nieznaną dotąd rodzaj literacki”, lub też według zwyczaju wybucha gniewem przeciw wrogom, ale z pracy swęj czyni raczej zbiornik deklamacyj patriotycznych i religijnych, aniżeli dzieło dramatyczne. Pięć części tego utworu nazywa aktami a przy końcu oddziałów jużto prozaicznych, już poetycznych, zamieszcza chóry. Pieśni chórowe zdradzają w *Locherze* poetę humanistycznie wykształconego i przenikniętego pięknnością formy. Próba ta w każdym razie poucza nas, co rozumiano wtedy przez tragiedyę

i zaznajomi z opiniami owego czasu. W pierwszym akcie postać niewieścia, uosabiająca wiarę, kreśli w długiej mowie klęski wyrządzone przez Turków religii chrześcijańskiej oraz narodom chrześcijańskim i wzywa do walki przeciw potężnemu wrogowi władców wszechświata, cesarza i papieża. Tymczasem dobra wola mocarzów, a zwłaszcza niezbędna do tego rodzaju przedsięwzięcia ich jednomyślność, okazuje się wątpliwą. W drugim więc akcie, zanosi naród chrześcijański prośbę do Boga, by przyprowadził umysły do upragnionej zgody. Prośba, zdaje się, wydała owoce. Albowiem w akcie trzecim cesarz i papież umawiają się co do środków, mających być użytymi, otrzymują od monarchów zawiadomienia o ich gotowości i z naradami załatwiają się tak szybko, że już w końcu aktu może posel zawieźć Turkom wypowiedzenie wojny ze strony sprzymierzeńców. W akcie czwartym poznajemy urzędowy manifest cesarza i papieża; po jego obwieszczeniu władcy Turcyi europejskiej i azyatyckiej radzą nad środkami obrony i wzywają poddanych do oręża. Bój się toczy w akcie piątym. Przynajmniej Fama, po wojskowej przemowie wodza chrześcijańskiego, głosi zwycięstwo chrześcijan. Na ostatek opiewa poeta pochód tryumfalny cesarza.

Rzeczywistej tragedyi sztuka w sobie nie zawiera. Jest ona raczej poetycznym opowiadaniem wypadków zasłanych lub spodziewanych z wielu ustępami lirycznymi, ujętymi w trudne i rzadkie miary wierszowe. Posel i chór są osobami głównie działającymi. Z miejscem i czasem postępuje autor w sposób najsamowolniejszy. Całość nie jest bynajmniej akcją dramatyczną, ale fikcją w duchu wybitnych przekonań cesarskich. Sztukę przedstawiono na scenie i to wobecności cesarza. Ten sam zaszczyt spotkał i dwa późniejsze dramaty. Jeden z nich miał za przedmiot również wojnę turecką, z przyczyny której odbył się kongres monarchów, osnowę zaś drugiego stanowiła opowieść, wiernie naśladowująca baśń mitologiczną, o sądzie Parysa. Oba przeładowane są także żywiołem lirycznym. Na rozwój sztuki dramatycznej nie wpłynęły nic, lub bardzo mało.

Obok poezyi dramatycznej można postawić to, co literatura humanistyczna wydała na polu epiki. Rzeczywistego eposu nie stworzyła. Większych rozmiarów dzieła opowieściowe pisane są w języku narodowym. Historyczne poematy humanistów są właściwie albo panegyrykami, upamiętniającymi czyny znakomitszych współczesników, i od utworów istotnie historycznych są tak dalekie, jak panegyryk od sprawozdania wiernego prawdziemu, albo też są prośbami metrycznymi, które formą tylko różnią się od zwyczajnych relacyj prozaicznych. Jedynymi utworami z dziedziny poezyi epicznej są uprawiane wówczas facecye, fraszki, którym *Poggio* zapewnił prawo obywatelstwa w literaturze humanistycznej. Mistrza włoskiego naśladowali *Augu-*

styn Tünger i *Henryk Bebel* a prace ich oceniliśmy już wyżej (ob. str. 337 ns. i 408 ns.). Oprócz nich zasługuje też na uwagę *Ottoman Luscinus* (ob. str. 357 ns.). We fraszkach swych jest *Luscinus* nie tyle satyrykiem, ile raczej opowiadaczem. Pragnie jeno dostarczyć lektury przyjemnej, odtwarzając rozmowy prowadzone w ówczesnych kołach towarzyskich. Koła te, jedyne zresztą, jakie zna, składają się wyłącznie z uczonych. Nie umiał więc utrafić w ton ludowy, co w wysokim stopniu posiada *Bebel*, ani też nie nadał facecyom barwy lokalnej. Nie opowiada tedy historyjek, zebranych w podróżach lub poznanych w miejscu urodzenia, ale kreśli rozmowy i dysputy, wśród których między uczonymi sam jest najuczęńszym a między dowcipnymi najdowcipniejszym. Ponieważ pisze głównie dla uczonych, czerpie przeto materiał do powiastek najczęściej z pism greckich i rzymskich, patryotycznych i biblijnych, rzadziej zaś nierównie z facecyj autorów nowoczesnych. Ostatnia okoliczność wyszła mu na dobre, w sztuce bowiem opowiadania stoi od poprzedników znacznie niżej. Źródła, z których zaciągał pożyczki, czei, ale nie okazuje im szacunku wewnętrznego; nawet wobec świętych jest brudny, co wpływa może nie tyle z rzeczywistej jego płochości, ile raczej z obojętności na wielkie zagadnienia, poruszające umysłami onego czasu. Uczoność prowadzi go do igraszek etymologicznych a filisterstwo do moralizowania. Jako prawdziwy humanista wplata do powiastek wiersze, popisuje się swemi znajomościami i schlebia protektorom; przy okazji gromi nieuctwo sofistów a niekiedy pychę i pedanterję uczonych; opowiada nie bez upodobania o wszetecznych postępkach księży, polemizuje przeciw astrologii i cudom.

W bliżkiej łączności z komedią pozostaje satyra. Tamta wesolo ośmiesza pewne niedorzeczności chwili, ta zaś, powodując się myślą poważną, ma karcieć przewrotność i zepsucie ludzi. Oba kierunki widoczne w owęj epoce. Wzorem klasycznym satyry przedmiotowej, ale z silną przymieszką żywiołu osobistego, są *Listy ciemnych mężów*, o których pomówimy później, satyra zaś osobista występuje w niezliczonych sporach humanistów między sobą lub ze wspólnym wrogiem; przytém świadczy ona często bardziej o bezbrzeżnej gwałtowności, niż o ich zdolnościach poetyckich.

Za przykład satyry artystycznej mogą służyć poezye *Euriciusa Cordusa* (1486—1535). *Cordus* jest filologiem ze skłonności, lekarzem i pisarzem medycznym dla chleba, teologiem z entuzjazmu dla *Lutra*, w którym ceni więcej dzielność osobistą, aniżeli stosowność jego nauki; ale z powołania jest satyrykiem. W jednym z pism charakteryzuje siebie jako „umysł szczery, otwarty i prosty, który nie umie nigdy kłamać, oszukiwać, ani udawać”. W pewnym epigramie mówi do siebie: „Nie potrafisz pochlebiać, nie zdołasz prawdy za-

milcząc, a jednak dziwisz się, że twoje książki się nie podobają”. W wyrzeczeniach tych odzwierciedla się jego dusza. Cordus jest poważny i surowy. Rzekłbyś, iż z obyczajów złych śmieje się tylko, gdy w rzeczy samej ubolewa nad nimi i płacze. Karci wykroczenia małe i zdrożności wielkie. Wydrwiwa świętoszków, którzy przyganiają chuciom poetów starożytnych, a mimo swego „oświeconego chrześcijaństwa” nie sromają się popełniać tego, co tamci opisywali; chłoszczą bogatych skąpców, nierządne kobiety, ciemnych i pedantycznych erudytów, marnych poetów i adwokatów szalbierczych. Złości się i sroży w gwałtownych słowach przeciw astrologii, której akuszerką jest obłąd a matką zuchwalstwo; przeciwko zepsuciu duchowieństwa i grzeszności papieżów; przeciw Rzymowi jako kałuży występków, przeciw nadużywaniu religii dla zysków bezwstydnym; przeciw uciemnianiu Niemiec przez potęgę obcą, zwłaszcza duchowną; przeciw żadnemu panowaniu możnowładztwu i jego bezecnemu nad chłopami tyranstwu, szcząc się zarazem, iż sam pochodzi z ludu. Ten rys indywidualny nadaje epigramatom jego powab i znamię właściwe. Rozprawia on o stosunkach świata nie ze stanowiska ogólnego i nie w taki sposób, jak gdyby im był zupełnie obcy, ale mówi o nich szczegółowo na podstawie własnego doświadczenia, mówi o stosunkach własnych lub wypowiada o stanie ogólnym poglądy własne. Gromi wrogów a chwali przyjaciół; wielbi żonę, która mimo ubóstwa, walk i cierpień umiała dom jego uczynić siedzibą szczęścia niezamąconego. Wdzięczne i barwne kreśli obrazy miast przyjemnych, jak np. Erfurtu, gdzie żył zadowolniony i gdzie należał do kół pełnych życia i rzeźkości. Nieprzychylnie zaś maluje grody, których ludność i usposobienie były mu nieznośne. Takim jest dlań Brunświk, „gdzie niebo tak posępne a powietrze tak gęste, że, chociaż na całej ziemi promienie słońca jaśnieją, tam jednak wiekuista panuje ciemność”; „mieszkańcom Brunświku nie możnaby ewangelii zaszcześcić inaczej, jak tylko mieszając ją z ulubionym ich napojem, mummą” (gatunek mocnego piwa). Ewangelia stawała się coraz bardziej wielką sprawą jego życia; — humanizm przed nią się cofał. *Mutian*, bóg Erfurteczyków, musiał ustąpić; *Erazm*, niegdyś wielce sławiony, pozostał w cieniu z przyczyny nieprzyjaznego względem reformacyi stanowiska; bohaterem wieku jest dlań tylko *Luter*, ten bojownik odważny, który, pomimo niebezpieczne wysiłki przeciwników, sprowadził ostatecznie z pomyślnym skutkiem nową epokę oczyszczenia światła i usamowolnienie ducha.

Od satyrycznej nie podobna oddzielić poezyi dydaktycznej. Przynajmniej w literaturze niemieckiej, współczesnej humanizmowi, oba rodzaje przenikają się do tego stopnia, że główny utwór *Sebastya-*

na *Branta*, znany nam już „Okręt głupców”, możnaby zaliczyć i do jednego i do drugiego. Poezyę dydaktyczną Niemcy już od czasów dawniejszych lubili bardzo. Zamiłowanie to wzrosło więcej jeszcze skutkiem upodobania, jakie cała epoka Odrodzenia znajdowała w tym gatunku, dla nas tak niepoetycznym. Najrozmaitsi więc autorowie współzawodniczyli ze sobą na niwie poezji dydaktycznej. Poeci zawodowi układali tak zwane *artes metrificandi*, rodzaj przewodników dla pozyskania nowych adeptów swjej sztuki; nawet przedstawiciele nauki ścisłej uważali za stosowne rozprawiać wierszami ozdobnymi o przedmiotach swego fachu. Co dzisiaj ku zabawie czynią chyba humoryści, to wówczas bywało pracą mężów poważnych. *Eoban Hesse* i *Euricius Cordus*, że wymienimy jeno dwu najbogiejszych wierszopisów z całej czeredy tego pokroju poetów, sądzili niezawodnie, że dokonywają dzieła niepospolitego, skupiając w poetycznych podręcznikach z mozołem nabytą wiedzę lekarską.

Usiłowania podobne są dość liczne, ale na szczegółowe rozpatrzenie zgoła nie zasługują. Za ich pośrednictwem wchodzą poezya w tak blizkie stosunki z nauką, że skreśliwszy obraz poezji, poczytujemy za właściwe rzucić okiem na rozwój umiejętności.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Rzut oka na rozwój umiejętności.

Wszędy, gdzie dokonał się zwrot ku starożytności, uprawiano z zapalem filologię klasyczną. Ale zapalowi temu, przynajmniej w Niemczech, nie odpowiada ani uzdolnienie, ani wiedza. Stąd więc badania języka *łacińskiego* wydały w gruncie rzeczy rezultat ograniczony, lubo ze względu na czasy minione, bądź co bądź, poważny. Oto wyłoniły one rzeczywiste zabytki starożytności klasycznej z obsłon, w jakich je samowolnie i opacznie uwięziły wieki średnie, a skutkiem tego ukazały je w prawdziwej ich postaci. Samodzielne zaś prace humanistów niemieckich, jakieśmy wykazywali wyżej (str. 384—389), są liche i powierzchowne. Pochodzi to stąd, że badacze nie znali praw językowych i nie rozumieli języków, że zakładali sobie cel omylny i do osiągnięcia niemożliwy.

W łączności z łacińskim pozostawał język *grecki*. Grecyznę wielbiono nie mniej jak łacinę, ale praca nad nią a przeto i znajomość jej była nieporównanie szczuplejszą. W Niemczech upadła wprawdzie przyczyna, która we Włoszech tamowała studia nad językiem greckim, mianowicie zazdrośna niechęć ku hellenizmowi, ale inne natomiast okoliczności stawały na zawodzie szybkiemu jego rozszerzeniu. Jakież to okoliczności? Oto: większa trudność samegoż języka, brak wiekowej tradycyi, która wyszła na dobre łacinie, rzadkość środków pomocniczych i nauczycieli. We Włoszech tłum uzdolbionych Greków, przybyłych z ojczyzny, odsłaniał tajemnice rodzinnej swęj mowy, w Niemczech zaś znajdowało się bardzo mało mistrzów i na-

uczycieli, którzy w pielgrzymce do Italii zachwycili niejaką znajomość greczyzny.

Między mężami starszego pokolenia *Reuchlin* i *Celtes* byli niemal jedynymi gruntuwnymi znawcami języka Hellenów. Obaj starali się nauczaniem i pismami przelewać w innych swą wiedzę. Układali podręczniki, tłumaczyli i zarazem objaśniali autorów greckich, wydawali niektóre dzieła greckie. Pracami temi, jakkolwiek były niedostateczne, wzbudzali podziw i wprawiali w zdumienie. Wszystkie te usiłowania przynosiły pożytek młodszym tylko. Starsi bowiem nie przez niechęć i lekceważenie, ale skutkiem uznania swęj nieudolności, trzymali się zdala od tęg „sztuki cudzoziemskiej”. Wielu ze znanych nam już mężów spowiadało się szczerze ze swęj niewiadomości. *Wimpfeling* mówi: „O greczyźnie nie mam należytego pojęcia, ponieważ w wieku młodym języka tego się nie nauczyłem; teraz znalazłbym, co prawda, nauczycieli odpowiednich, gdybym, jak Marek Kato, posiadał zdolność zostania uczniem w starości”. *Ulrich Zasius* należy do szeregu niewielu uczonych niemieckich, którzy popisują się odrazą do języka greckiego; z dumą nazywa się *Zasius* łacinnikiem, ale broń Boże grekiem. *Bebel*, wyliczając w pewnym dziele wzory starożytnych godne naśladowania, wstrzymuje się od wypowiedzenia sądu o Grekach, ponieważ języka ich nie zna, a *Peutinger*, pisząc do *Reuchlina*, wstydem płonie, że greczyzny nie rozumie wcale. Jeżeli w pierwszych chwilach wprowadzono do któregoś uniwersytetu język grecki, kto nie obeszło się bez walki przeciw sofistom, t. j. zwolennikom starożyteczyzny. Doświadczył tego *Dyonizius Reuchlin*, pierwszy profesor greczyzny w Heidelbergu.

Ale i w następnych lat dziesiątkach niewiele położenie się poprawiło. Kiedy 1509 r. *Jan Amerbach*, drukarz bazylejski, przygotował wydanie pism *S. Hieronima* i potrzebował człowieka, któryby umiał odczytywać rękopisy greckie, zwrócił się do *Reuchlina* o pomoc a prośbę swą uzasadniał w słowach: „Gdybyś mię opuścił, nie znam w Niemczech nikogo, coby mi dopomógł.” Ba! jeszcze w roku 1528 opowiada *Tomasz Platter*, że, pobierając nauki u *Mykoniusa* w Zurychu, nie odważył się na greczyznę, ponieważ język grecki był jeszcze osobliwością i mało kto go używał.

Żaden z bohaterów studyów greckich nie napisał gramatyki greckiej, gdyż o podobnej pracy *Reuchlina* są wiadomości niepewne. Posługiwano się więc w nauczaniu podręcznikami, używanymi we Włoszech. Drukarze niemieccy do końca wieku piętnastego nie mieli nawet czionek greckich. Dla wyjątków greckich, które przytaczać chciano, pozostawiano miejsce puste. Jeszcze w początkach wieku szesnastego spotykamy w dziełach drukowanych potwornie zszpeczone kształty liter greckich. Pierwszą książką grecką w Niemczech

jest podług mniemania powszechnego gramatyka *Priscianusa*, wydana 1501 r. przez nakładcę erfureckiego, *Wolfganga Schenka*, nazywającego się w pół po grecku, w pół po łacinie *Lupambulus Ganymedes*. Za nią poszły inne, w których znajdują się albo pojedyncze wyrazy greckie, albo też obszerniejsze cytaty z pisarzy greckich. Pierwszymi tekstami greckimi są, zdaje się, sporządzone przez Reuchlina 1522 r. wydania polemicznych mów *Eschinesa* i *Demostenesa*. Jedną z najulubieńszych a zarazem i najdawniejszych gramatyk jest praca *Oekolampada* (*Graecae literaturae dragmata*), powstała z odczytów uniwersyteckich i tylko na prośby przyjaciół podana do druku. Świadczy ona o studiach pilnych, ale też i o wiedzy ograniczonej i niemethodycznej. Rozpada się na trzy części. Pierwsza i trzecia traktują zwięźle o wymawianiu i składni, druga zaś bardzo obszernie o deklinacjach i konjugacjach. *Oekolampad* rozróżnia 5 deklinacyj i 13 konjugacji, opiera się często na poprzednikach, przywodzi mało przykładów z autorów greckich, jest dość wstrzemięźliwy w uczonej manii popisywania się znajomością łaciny i hebrajszczyzny, ale, idąc za wzorem współczesnych gramatyków łacińskich, robi alluzje do wybitnych osobistości onej epoki; w przykładach wymienia raz *Capniona* (Reuchlina).

Słowniki, jak np. spis wyrazów greckich, drukowanych czcionkami łacińskimi, dodany 1518 r. do *Elucidarius Hermana Torrentinusa*, są również nader elementarne i przepelnione rojami błędów. Od gramatyk i słowników ważniejsze są przekłady. Tłómacze posługiwali się albo językiem niemieckim, albo, i to najczęściej, łacińskim. Nie byli to bynajmniej rzemieślnicy, lecz rzeczywiście uczeni; nawet najcelniejsi humaniści parali się chętnie tą robotą. Nie myśleli przez to wyprzeć autorów greckich, ale pragnęli wprowadzić ziomków na pole dotąd im nie znane. Nie zamierzali nigdy tłómaczeniem usunąć oryginału lub go zastąpić. Przeciwnie! Jeden z pierwszych przekładaczy wygłosił zdanie a wielu je zapewne podzielało, że „książka w tym języku, którym została napisana, posiada dźwięk piękniejszy i że podobna jest winu, które traci smak dobry, jeżeli je przelewamy z beczki do beczki”. Niejedno z tłómaczeń było niezdarne, niejedno, mianowicie łacińskie, grzeszyło nadmiernem uganianiem się za wytwornością. Najmniej spotykamy takich, coby zachowały środek między niewolniczym trzymaniem się oryginału a wiernym odtwarzaniem myśli przy zupełnej swobodzie w doborze wyrazów.

Rzeczywisty rozkwit studyów greckich w Niemczech przyspieszyła dopiero reformacya. Rosnąca coraz bardziej powaga biblii oraz rozbudzenie i ożywienie zmysłu krytycznego sprawiły, iż baczniejszą niż dotąd zwracano uwagę na oryginał ksiąg świętych. Podobnie dzieje się i ze studyami *hebrajskimi*. Tekst pierwotny wysle-

dził *Reuchlin*, a redakcyę pierwotną ewangelii przywrócił *Erazm*; im więc bezsprzecznie należy się zasługa torowania ścieżek, oni pierwsi zrobili śmiały krok naprzód. Jednakże rzeczywiste rozwinięcie studyów jest dziełem epoki reformacyjnej. Spotężnienie ducha religijnego, większa obfitość przydatnych środków pomocniczych, wprowadzenie hebrajszczyzny jako przedmiotu nauki do uniwersytetów, a nawet lubo w niższym stopniu do szkół wyższych, oto są momenta, co rozpowszechnienie tych studyów ułatwiły, ba! dopiero je umożliwiły.

Już humaniści ubiegali się, co prawda, o górnobrzmiącą nazwę *trium linguarum peritus*. Uważano to za tryumf idei humanistycznej, że 1518 roku, głównie za wpływem *Erazma*, utworzono w Lowanium *collegium Buslidianum*, którego głównem zadaniem było nauczanie trzech języków. Sam *Erazm* nie znał wszelako języka hebrajskiego. Inni humaniści mienili się szczęśliwymi, iż mogli go sobie przyswoić choć niedokładnie z dużego podręcznika *Reuchlina*.

Reuchlin miał poprzedników. Najgruntowniejszym z pośród nich znawcą hebrajszczyzny, lubo nie wolnym od grubych błędów, jest *Konrad Pellikan*. Napisał on 1501 r. mały podręcznik o sposobie czytania i wyuczenia się języka hebrajskiego; w ciekawej zaś autobiografii określił metodę, podług której postępował, studując bez nauczyciela ten trudny język. Oto w nieprzyjemnej żydom książce *Piotra Nigra* „Gwiazda Mesjasza” czytał pojedyncze zwroty hebrajskie (drukowane czcionkami hebrajskimi), do których przyłączone było tłumaczenie dosłowne. Dodatek dzieła zawierał w formie elementarza alfabet hebrajski, samogłoski i punkty, oraz dla przykładu pewną liczbę wyrazów. To stanowiło materyał do dalszych studyów. Dane słowa zapisywał, szukał pokrewnych, a znaczenia ich dochodził na podstawie wyrazów już zbadanych; starał się także ze związku myśli wyświeślać formy i słowa nieznane. Popelniał przytém najosobliwsze błędy. Przez długi przeciąg czasu sądził, że głoska oznaczająca przedimek jest częstką osnowy, i żalił się, że w czasowniku hebrajskim osoba trzecia zdarza się tak często, jak w łacińskim pierwsza. Jednakże mimo pomyłek i mimo to, że dla pracy pozostawała mu noc tylko, robił tak szybkie postępy, iż uczeń został wkrótce mistrzem.

Z pomiędzy nauczycieli hebrajszczyzny najbogiejszymi, acz nie najbardziej szanowanymi, byli żydzi, oraz przechrztowie. Wierni staremu zakonowi, przewyższali innych głębszą znajomością przedmiotu. Ale nie znając języka łacińskiego, bywali mało dostępnymi nauczycielami nawet dla tych uczniów chrześcijańskich, którzy pokonali przesąd obarczający żydów i utrudniający z nimi obcowanie. Na przechrztach zaś, którzy w dłuższem towarzystwie z uczonymi przyswoili

sobie łacinę, nie można było polegać; często nie posiadali téż wiedzy dostatecznej. Między wychrztami jednym z głośniejszych jest *Mateusz Adrianus*, urodzony w Hiszpanii, z zawodu lekarz. W drugim dziesiątku wieku szesnastego uczył hebrajszczyzny w Tübindze, Bazylei, Wittenberdze, Lowanium; wszędzie radośnie witany, ale równieź szybko porzucany. Posiadał wielostronną naukę, nader wybitną samoświadomość i wolnomysłne poglądy na życie i wiarę, lecz w pożyciu był przykry i nieznośny. Jak wysokie miał o sobie rozumienie, wypowiedział w liście do *Jana Amerbacha*. Jest to dokument interesujący i pocieszny; przepelniony tak strasznymi błędami przeciw najprostszym prawidłom języka łacińskiego, że coś podobnego byłoby wstydem dla najmłodszego ucznia szkoły łacińskiej. Donosi tam uczonemu księgarzowi, że gotów przyjąć obowiązki korektora przytoczeń hebrajskich w wydawnictwie dzieł ś. Hieronima, gdyż oprócz niego nikt tego w Niemczech zrobić nie potrafi; chwali swe pisma, których kruszyna zaledwie nam znana, oraz sztukę lekarską, której żadnych śladów nie posiadamy. Umiał jednak śmiało mówić i pięknie rozwijać myśli, o czém świadczy mowa „na pochwałę języków”; wzorowa łacina nie wyszła zapewne z pod pióra *Adriana*, ale wątek idei niewątpliwie jego jest własnością. Jako hebraista, w mowie téj wielkie i nader przesadne oddaje pochwały językowi hebrajskiemu, „językowi niepokalanéj jeszcze natury, językowi istniejącemu od początku świata”. Hołdując naukowym poglądom epoki, nie uważa tłumaczeń za wystarczające, lecz domaga się zgłębiania źródeł oryginalnych. Mówiąc o ś. Hieronimie, windykuje dla siebie i swych towarzyszków te same prawa, których żądał ojciec kościoła, a uroszczenia takie uzasadnia zdaniem: „*Hieronim* był człowiekiem, wielu rzeczy nie umiał, niejedno przeoczył, często dopuszczał się niedbalstwa”; wyrzeczenie to jest dowodem śmiałych zapatrywań, przynoszących mu zaszczyt. Napastowany z powodu tego zdania, musiał porzucić Lowanium.

Różne zaczepki, jakich *Adrianus* doznawał, przypisać zapewne trzeba jego pochodzeniu; starozakonni nie mogli bowiem zapomnieć, że urodził się żydem; brali mu téż za złe, iż zajmował się językiem hebrajskim. Podobnego rodzaju zarzuty spotykały równieź innych, poświęcających się studjom ulubionym. Świadczy o tém życie hebraisty *Jana Böschensteina* (1472—1532). *Böschenstein*, niezawodnie jeden z najuczestniejszych, urodzony chrześcijaninem, zalecający się surową religijnością, ściągnął na siebie właśnie z przyczyny owych studjów oskarżenie o rozmaite przewiny i musiał się nasłuchać obelg, że jest żydem. Nic mu nie pomogło, że wymieniał powszechnie znanych chrześcijańskich członków swéj rodziny. Oskarżenie tak silnie doń przywarło, że powtarzali je nietylko współcześni, ale i późniejsi,

opierając się na szorstkiem wyrażeniu *Lutra*: „*Böschenstein* jest z imienia chrześcijaninem, w rzeczy zaś samój jesto żyd nad wszystkie żydy”. Szkalowany, przesądów onego czasu zupełnie był próżen. Toć raz wyrzekł: nie uważałbym się za odrzutka, choćbym i był żydem, „ponieważ wiem, że Bóg nikogo nie wyróżnia”. Zresztą rozumiał dobrze istotne wyrzutów źródło i wyraził je otwarcie, mówiąc: „musimy znosić przykrości za święty język hebrajski”.

Badanie języka *niemieckiego* nie miało wprawdzie dla uczonych następstw tak pożałowania godnych, ale przeciw studjom nad niemieczyzną panowało nie mniej silne uprzedzenie ze stanowiska ówczesnych wyobrażeń naukowych, jak przeciw hebrajszczyźnie ze względów religijnych. Pisać po niemiecku—znaczyło to dla większości humanistów poniżyć godność własną. Jak swe „barbarzyńskie” nazwiska niemieckie ukrywali w mile brzmiących łacińskich, podobnież zamiast mówić językiem ojczystym, używali języka Rzymian. Znajdowali się wszelako i tacy, co posługiwali się mową rodzinną. Przedewszystkiem w przekładach, a nadto w traktowaniu przedmiotów, które szły przed sąd narodu. Klasycznym twórcą literatury tłumaczeń jest scharakteryzowany już wyżej *Mikołaj v. Wyle*. Liczy ona wielką mnogość książek. Niektórzy borykali się często z wysłowieniem tak niedołążnie, iż, dla zrozumienia przekładu, trzeba go porównywać z oryginałem. Mimo to przecież tłumaczenia posiadają dużą doniosłość, ponieważ otwierały nowe światy ludziom nie znającym łaciny. Pomyślmy tylko, że tak płodny i utalentowany poeta, jak *Hans Sachs*, wszystkie niemal pomysły zawdzięcza przekładom. Pisarze, poruszający kwestye znaczenia ogólnego, do zrozumienia których wykształcenie klasyczne nie było koniecznem, posługiwali się w ważnych wypadkach językiem ojczystym, czem dowiedli subtelnego taktu. Nie jest to bowiem rzeczą przypadku, że *Reuchlin* napisał w języku macierzystym swój „*Augenspiegel*”, tę wymowną obronę zapatrywań swobodnych, od wpływu autorytetu kościelnego wolnych, ten śmiały dowód twierdzenia, że „i człowiek świecki może dociekać subtelności teologicznych”. Wynika to również z głębszego rozmysłu, że *Hutten* swe pisma łacińskie tłumaczył i zaczyna pisać wyłącznie po niemiecku, skoro tylko się przekonał, iż zainteresowanie sprawami, którym się oddawał, sięga daleko po za granice szczupłego koła uczonych.

Obok tego sam język niemiecki staje się przedmiotem traktowania naukowego. *Jan Müller* w wyborném dziele, poświęconém téj kwestyi, odróżnia trzy stadya w rozwoju pracy nad mową rodzinną. Początkowo jest niemieczyzna środkiem do wykrycia istotnego znaczenia słów łacińskich, następnie używają niemieczyzny za środek do zdobycia rzeczowój jasności w nauczaniu łaciny, nakoniec widzimy uśilo-

wania celem wyświecenia naukowego systemu języka niemieckiego. Pierwsza i trzecia faza przypadają na czasy przed i po humanizmie, druga zaś na epokę humanizmu. Posługiwano się naówczas niemieczyzną w sposób dwojaki. Albo używano jej jako języka wykładowego, aby ułatwić nauczanie elementarnej gramatyki łacińskiej, nie robiąc przytém żadnych uwag nad mową ojczystą; świadczy o tém traktat, drukowany 1480 r., podający przypadki i czasy w tłumaczeniu niemieckiem. Albo téż czyniono spostrzeżenia samoistne nad językiem niemieckim; w tym razie postępowano zaś tak, że już to w osobnym rozdziale porównywano oba języki, aby ulżyć uczniom pracę tłumaczenia z jednego na drugi, już to w całym ciągu badań uwzględniano niemieczyznę, jako język pomocniczy. Obie te metody są zadokumentowane dziełami klasycznymi. Jedną przedstawia *Exercitium puerorum* (ćwiczenia chłopięce), opracowane przez jakiegoś Holendra, być może humanistę holenderskiego, zostającego pod wpływem *Rudolfa Agrykoli*; od roku 1485 do 1506 miało *Exercitium* najmniej 13 wydań. Drugą metodę widzimy w dwu gramatykach *Jana Aventina* (1512 i 1517 r.). Podręcznik autora holenderskiego jest pierwszą próbą porównania łaciny i niemieczyzny; z tego właśnie względu ma dużą wartość i zasługuje na szczególną uwagę, ponieważ świadczy, że język niemiecki stanowił istotną część wykładu gramatyki łacińskiej. Obiedwie gramatyki *Aventina* zalecają się tém, że wszystkim formom łacińskim przydają odpowiednie formy niemieckie i że nadto zestawiają z sobą wyrażenia niemieckie i greckie, aby wykazać wielkie pokrewieństwo obu języków. Dokładnej gramatyki niemieckiej natomiast ani w języku narodowym, ani w łacińskim wiek humanizmu nie wydał. Wzmiankowany powyżej (str. 426) plan *Crachenbergera*, jeżeli wogóle przybrał kształt uchwytniejszy, pozostał w dziedzinie marzeń. Przytém robi *Müller* trafną uwagę, że, jeśli idzie o jego genezę, to wyniknął on bardziej z potrzeby praktycznej, aniżeli z myśli humanistycznej; wypłynął nie z rozmów autora z członkami Towarzystwa naddunajskiego, chociażby owe dyskusye były nawet mocno zabarwione uczuciem niemieckości, ale pozostaje w ścisłym związku ze stanowiskiem, jakie *Crachenberger* zajmował w kancelaryi cesarskiej.

Lubo wykształcenie onego czasu wielką przywiązywało wagę do znajomości języków, nie było mimo to przecieź wyłącznie filologiczne. Toć nawet studia nad niemieczyzną są nietylko oznaką zamiłowania językowego, lecz także skutkiem idei patriotycznych. Miłość ojczyzny stwarza lub podsyca upodobanie we własnym języku.

Myśl patriotyczna sprawia, że humaniści zwracają się doabytków przeszłości, że badają i piszą dzieje Niemiec. Niejednokrotnie już wspominaliśmy o pracach historycznych. *Tritheim* i *Wimpheling*,

Bebel, *Peutinger*, *Cuspinian* robią poszukiwania nad dziejami rzymskimi i średniowiecznymi, sporządzają zbiory dokumentów i nowe wydania historyków przedniejszych, głoszą deklamacje bardziej patryotyczne niż historyczne i dopuszczają się falszerystwa wcale niehistorycznych. Istnieją też dzieła teoretyczne, jak np. *Pirckheimera* przekład dyalogu Lucyanowego: O sposobie pisania historii.

Pogląd patryotyczny na dzieje z jego zaletami i wadami ujawniają najbardziej *Frańciszek Irenikus* (1495—1547) w *Rerum Germanicarum libri tres* (Trzy księgi dziejów niemieckich), oraz *Jan Aventinus* w wielkich dziełach historycznych.

Irenikus zwał się właściwie *Friedlieb*, ale postępowaniem swém nie wykazał bynajmniej zamilowania spokoju. Owszem, był to człowiek kłótlivy, skory zarówno do walk religijnych, jak i umysłowych. Toż jego dzieło historyczne jest w gruncie żywym jeno protestem przeciw zarzutom, stawianym przez cudzoziemców Niemcom, jest wysławianiem dzielności Niemców w czasach minionych i obecnych. *Irenikus* wychwala czystość obyczajów narodu niemieckiego, wielkość umysłu Niemców i ich uzdolnienie artystyczne, wynosi pod niebiosa wspaniałość ich dziejów i wygrzewa się przy słonecznych blaskach świetności cesarskiej. Jego praca w dwunastu księgach nie daje spójnego obrazu historycznego, ani nie przedstawia treści jednolicie uporządkowanej. Trzy pierwsze księgi zawierają przegląd starożytności giermańskich, cztery następne zarys dziejów niemieckich pierwszych tylko stuleci średniowiecza, a pięć ostatnich—opis geograficzny. Ale autor lubi zbaczać od przedmiotu. Więc opowiada z lubością o swych przyjaciółach, wcielając zarazem ich listy i wiersze; zabawia się dłużej, niżby na to pozwalała ekonomia książki, historią i genealogią palatynów, na których terytorium przebywa; sławi uniwersytet heidelberski, któremu radby poświęcić swe dzieło, niby dar ofiarny; czuje się jak w niebie, kiedy może prawić o ukochanych mężach starożytności. Stylistą wzorowym nie jest wcale. W roztrząsaniach antykwarskich, a zwłaszcza w zakusach etymologicznych popełnia błędy, których źródłem nie tyle brak wiedzy, ile raczej śmiesznie przesadne uczucie niemieckości. Nie celuje też bynajmniej w krytyce; chociaż bowiem rozumie dobrze, iż prawdziwe informacje czerpać można tylko ze źródeł, często jednak chodzi po omacku i nie zawsze jest szczęśliwy w wyborze przewodników. Wartość dzieła nadaje nie erudycya, choćby nawet bez zarzutu, ale świeżość i młodzieńczość całą książkę przenikająca, ale zadowolenie z pracy nad przedmiotem narodowym, ale przejęcie się sławną przeszłością narodu niemieckiego.

Pod tym względem praca *Irenika* jest jedyną. Przewyższa nawet napisane pod jej wpływem dzieła *Rhenana*, bardzo poważanego człon-

ka alzackiego koła humanistów; *Rhenanus* natomiast zaleca się większą gruntownością, krytycznością, jednolitością wykładu. *Irenikus* zajmuje się przeważnie starożytnością niemiecką, *Rhenanus* zaś wyłącznie prawie średniowieczem niemieckim. Całokształtu historycznego danej epoki nie przedstawia, ale w szeregu rozpraw składa owoc poszukiwań nad geografiją i dziejami, nad stosunkami sądowniczymi, nad językiem. Wykazuje wszędzie głęboką znajomość rzeczy, celuje jasnością. W pierwszym rzędzie jest badaczem starożytności, w drugim dopiero patriotą. Miłość więc ojczyzny nie zamyka mu zmysłu krytycznego. Na przekór rodakom samolubnym przyznaje fakt, że Gallowie panowali niegdyś nad krainą niemiecką, wysmiewa nienaukowe wyprowadzanie nazwisk niemieckich ze słów cudzoziemskich, lubo sam znowu w wywodach niemieckich imion własnych z wyrazów niemieckich idzie za daleko; odrzuca wreszcie upowszechnioną wówczas hipotezę o pochodzeniu Franków od Trojan. Uprawia on krytykę konjekturalną, t. j. na podstawie znajomości języków starożytnych prostuje rękopisy i druki pisarzy klasycznych, którymi się posiłkował. Ale uprawia także i krytykę historyczną. Wykazał mianowicie, że tak zwany fałszywy *Berosus*, t. j. pod imieniem *Berosusa* wydane 1498 r. przez *Jana Nanni'ego* dzieło historyczne jest wymysłem późniejszym; dowiódł zaś tego, roztrząsnawszy podane tam fakta przez porównanie z tekstem greckim *Józefa*. *Rhenanus* okazuje się prawdziwym humanistą w swych porывach patriotycznych, owładających nim często wśród szperań najsuchszych. Uwielbienie dla pisarzy klasycznych posuwa do tego stopnia, że, choćby dla jego celów byli w danej chwili zbyt cni, cytuje ich przecie, byle tylko, nawet w miejscach niestosownych, nacieszyć się obcowaniem z ukochanymi nieboszczykami. Z nienawiścią piętnuje wreszcie mnichów, których uważa za reprezentantów nieuctwa, za zwolenników czczych rojeń, a tём samém za wrogów prawdziwej history.

Te właściwości, charakteryzujące humanistów, posiada również najznakomitszy historyk humanistyczny, *Jan Aventinus* (1477—1534), mistrz i książę dziejopisarstwa niemieckiego, jak go nazwali przejęci podziwem wdzięczni następcy. „Kto zna serce ludzkie i bieg kształcenia jednostki, ten nie zaprzeczy, że możnaby wybornie dzielnego urobić człowieka, nie używając innėj książki, jedno szwajcarskiej history *Tschudi'ego*, lub bawarskiej *Aventina*” — wyrzekł *Goethe*. Jakkolwiek zdanie poety nie jest wolne od przesady, niemniej przeto zawiera w sobie wielką prawdę, mianowicie tę, że w historycznych dziełach *Aventina* ukazuje się cały człowiek z czysto ludzkimi uczuciami, cierpieniami i rozkoszami.

Oba wielkie dzieła *Aventina* — prace drobniejsze pomijamy —

„Kronika bawarska”, napisana po niemiecku, i *Annales Bojorum*, po łacinie, nie imponują ani bogactwem i nowością treści, ani układem artystycznym. Materiał bowiem, mianowicie też zużytkowany w partjach dotyczących doby przedchrześcijańskiej i początków średniowiecza, znamy również dobrze z innych opracowań. Kompozytorka zaś mocno nieraz szwankuje; sprzęga autor częstokroć rzeczy będące bez żadnego z sobą związku, łącząc np. opowiadanie o potędze Wenecyi z urodzeniem jakiegoś potwornej dziewczyny; niemniej też często przerywa wątek spokojnej opowieści zboczeniami wcale niestosownymi. Doniosłość obu dzieł polega na tém, w jaki sposób *Aventin* pojmuje historję i jak spełnia wysokie swe posłannictwo.

Dziejopisarstwo jest dlań zadaniem poważnem i świętym, jest „szczególną łaską i darem wszechmocnego, dobrotliwego, niebieskiego ojca”: do wykonania tego zadania czuje powołanie wewnętrzne i przysposabia się studjami pilnemi i głębszemi. Cel historii jest moralno-polityczny, mianowicie: zbadanie potrzeb i obowiązków człowieka w terażniejszości i przyszłości. Jeżeli historia cel ten osiągnąć pragnie, musi służyć prawdzie, prawda zaś nie oszczędza ani rzeczy, ani osób. Żywi więc *Aventin* w sercu uczucia nienawiści i uczucia te wyznaje otwarcie. Nienawidzi księży i radzi strzedz się ich na równi z wilkami, uważając ich za zdolnych do wszelkich występków. Ale zna także miłość i wynurza ją głośno. Kocha Niemcy nie dlatego tylko że są jego ojczyzną, ale że są spadkobiercami władzy wszechświatowej, że są „czwartą i ostatnią monarchią proroctwa Danielowego, monarchią, z której istnieniem wiąże się istnienie świata”. Ponieważ Niemcy kocha, więc gani złe zwyczaje i obyczaje niemieckie, wady cesarzów i niezgodność książąt.

Do poprzedników i towarzyszków humanistycznych podobien *Aventin* przez to, że, unosząc się często zbyt im patryotyzmem, zarówno czasy pierwotne, jak historję i współczesny stan Niemiec w promiennych wystawia blaskach.

Pod niektórymi względami stoi od humanistów niżej. Nie dorównywa im ani erudycją, ani zdolnością krytyczną. Co tamci zwalczali (bajkę o pochodzeniu Niemców od Trojan, o fałszywym *Berosusie*), to on, nie znając zapewne całkiem dzieła *Rhenana*, przyjmuje za prawdę; nie żenuje się osobom starożytnym lub średniowiecznym wkładać w usta mowy wskroś niekrytyczne, pełne aluzyj do epoki sobie współczesnej. W przeciwieństwie z pogodnym optymizmem, ożywiającym wesółych, po większej części młodzieńczych przedstawicieli humanizmu, jest *Aventin* ponurym pesymistą; od własnego życia spodziewa się mało uciech i rozkoszy, a rozwój ogółu widzi nie w różowych bynajmniej barwach.

Na jednym punkcie przewyższa humanistów. Oto, chociaż posia-

da wykształcenie klasyczne i stara się w niewłaściwych nawet miejscach roztaczać blask erudycyi, — pisze jednak po niemiecku. Pragnie przytém zachować czystość i charakter narodowy języka niemieckiego, aby każdemu być zrozumiałym. „Och, bo też mówcy i pisarze nasi, przedewszystkiem znający łacinę, paczą i wykrzywiają język nasz w mowach i pismach, zanieczyszczają go i fałszują strzępami łacińskimi, rozwlekłą gadaniną czynią go niezrozumiałym, piszą i mówią nie w duchu narodowym, ale na ład rzymski; a przecież tak być nie powinno”. Już w tém zdaniu wyznaje, że jest częścią ludu; dążność tę uwydatnia silniej jeszeze, kiedy z całą otwartością odpowiedzialność za smutny stan kraju: składa na przedstawicieli stanów wyższych. Z pogardą mówi o nich, że „potem i krwią biednych, pobożnych i niewinnych ludzi zdobywają bogactwa, władzę i zaszczyty. Za wszystkie bowiem czyny i grzechy panów możnych ubogi człowiek musi pokutować i mienie przynosić w ofierze. Zaprawdę, o ile panowie stroją się w złote łańcuchy i pierścienie, aksamity i jedwabie, o tyle poddani giną”. *Aventin* jest człowiekiem ludu i człowiekiem miłującym wolność. A wolność tę windykuje nie dla siebie, lecz dla wszystkich. Żąda, aby „wolnemu ludowi przysługiwała nie tylko wolność myśli, ale i wolność mowy; co komu leży na sercu, powinien mieć prawo to wypowiedzieć”.

Z dziejopisarstwem pozostawała wówczas w nierozzerwanym związku geografia. Na rozwój tej umiejętności oddziałało skutecznie również uczucie patriotyczne; pragnęli bowiem uczeni poznać i opisać piękności krajiny niemieckiej, jej urodzajność i bogactwa. Z drugiej zaś strony wywarły na nią wpływ odkrycia współczesne. Historycy są po większej części i geografami zarazem, jak np. *Irenikus* w dziele powyżej (str. 466) ocenioném, albo *Joachim Watt (Vadianus)*, jeden z najwielostronniejszych między wielostronnymi humanistami owéj doby, humanista, filolog, teolog, historyk, lekarz i polityk. W pracach swych historyczno-geograficznych brał zwykle za punkt wyjścia rodzinne miasto St. Gallen; podczas studyów długo żył w oddaleniu, potem przemieszkował w grodzie ojczystym aż do śmierci. Opisał go też żywo i plastycznie, z miłością patrioty, ale i z wiernością nieuprzedzonego postrzegacza. Powyżej (str. 403) mówiliśmy o dziele geograficzném *Henryka Loriti*, który, kierując się usprawiedliwionym patriotyzmem lokalnym, zaczyna opis także od Szwajcaryi, ale badania swe rozciąga na cały świat wówczas znany.

Loriti wspomina już Amerykę. Ważne w następstwach odkrycie nowéj części świata nie sprawia na humanistach niemieckich tak potężnego wrażenia, jak na uczonych innych krajów, np. Włoch lub Hiszpanii. Przyczyna tego osobliwszego zjawiska tłómaczy się z jednej strony okolicznością, że Niemcy w onych epokowych podróżach

nieznaczny jeno brali udział; z drugiej zaś strony da się objaśnić faktem, że humaniści niemieccy, przebywając w świecie uczonym, nie interesowali się zgoła handlem i stosunkami narodu z krajami cudzoziemskimi, a więc i znaczenia odkryć geograficznych należycie ocenić nie umieją. *Tritheim* w jednym liście (1504 r.) powiada, że nie ma tyle pieniędzy, aby kupić mapę świata za czterdzieści guldarów, ale nie dał się téż zresztą nigdy przekonać, że karta świata warta taką sumę. Wynurzeniem tém zdradza ciasnotę pojęć humanistycznych, które z zalem lub gniewem spoglądały na niweczenie starożytnego na świat poglądu. Jednakże reakcja przeciw zapatrywaniom podobnym wypłynęła z kół humanistycznych. Odnosi więc tryumf nauka, kiedy *Vadianus* (1518) woła: „W mniemaniach o położeniu świata bardziej niż wiadomościom starożytnych zawierać trzeba pisarzom nowszym, którzy śmiałem okiem robią spostrzeżenia”.

Więcej niż na lat dziesięć przed *Vadianem* wyszły z druku relacye podróżników w języku łacińskim (1503) i niemieckim (1506); one-to rozpowszechniły w Niemczech sławę *Christoffela Dawbera* (Kolumba). Równocześnie zaś, poczerpnawszy materyał z listów, ogłosił *Marcin Waldseemüller* (*Hylacomilus*) w formie również listów książkę, mimo całej w traktowaniu powierzchowności interesującej, a pod względem historycznym ważną, ponieważ właśnie była pierwszą. Książka ta wyrzeczeniem zdania: „Czwartą część świata można słusznie nazwać Ameryką, niby krajem *Ameriga* (*Vespucci*), gdyż on ją odkrył”, — zaprojektowała nazwę bezzasadnie przez potomność uwiecznioną, a tém samém ściągnęła winę niewdzięczności na siebie i na swą epokę.

Otóż Niemcy, nie będąc sami narodem odkrywców, zdziałali przy najmniej tyle, że zaznajamiali współczesnych z rezultatami odkryć, dokonanych przez inne ludy. Niektórzy wywarli wpływ podniecający na odkrywców hiszpańskich i portugalskich, jak np. Norymberczyk *Marcin Behaim* (1459—1506); posiada on do dziś dnia sławę usłużnego pomocnika ludzi znakomitych, ale zrzec się musi sławy większej współpracownika im równego, lubo dawniej chętnie mu ją przyznawano. *Behaim*, oraz inni Niemcy swemi mapami i globusami torowali drogę na tém polu różnym pracownikom, lub téż, co już było uskutecznioném, sumiennie rysowali i z całą wiernością ogłaszali.

W czasach humanizmu nie rozumiano należycie, że geografia jest nauką przyrodniczą. Jednakże blizki w samej rzeczy związek geografii z naukami przyrodniczymi upoważnia nas, abysmy tu właśnie rzucili z kolei wzrokiem na rozwój badań natury.

Zbogacenie umiejętności przyrodniczych wpływało nie wyłącznie tylko ze źródła zdrowej, rozumnej obserwacji, lecz przeważnie z dokładniejszego rozpatrzenia się w pisarzach starożytnych, których uważano za jedynych, lub przynajmniej za głównych doradców.

Aczkolwiek nie mamy tu zamiaru kreślić historii nauk, wszelako, że tak było, pouczy nas choćby przelotny rzut oka na botanikę i mineralogię.

Ermolao Barbaro, humanista włoski, oddał wielkie usługi naukom przyrodniczym, a w szczególności botanice, sprostowaniem tekstu *Pliniusza*, oraz przekładem greckiego botanika *Dyoskorydesa*; do tłumaczenia przydał 5 ksiąg korolaryów, t. j. zebrał z innych pisarzy starożytnych objaśnienia do roślin, przez *Dyoskorydesa* opisanych. Metoda ta przyjęła się i w Niemczech. Temuż samemu autorowi greckiemu poświęcił hrabia *von Neuenaar* pióro krytyczne i komentatorskie, a znany satyryk *Euricius Cordus* stworzył w sposób genialniodowcipny nazwy dla wszystkich roślin *Dyoskorydesa*. Mając pod ręką botanikę starożytnych już opracowaną, inni z wiadomościami od nich nabytymi łączą spostrzeżenia samoistne, aż wreszcie obserwacyę uznają za jedyne źródło nauki. I tak *Otton Brunfels* wydał 229 rysunków roślin, które sam zaobserwował, starając się przytém wykazać, że znajdują się i u *Dyoskorydesa*. *Hieronim Bock* zaś pierwszy opisywał wyczerpująco zioła i rośliny, oznaczał dokładnie miejsca, gdzie pojedyncze okazy rosną i, zarzucawszy uszeregowanie alfabetyczne, a więc bez żadnego systemu, starał się sporządzić układ roślin systematyczny na podstawie ich pokrewieństwa.

Uczonych tych, oraz niektórych późniejszych, zachęconych pracami poprzedników, możemy nazwać ojcami botaniki niemieckiej. Natomiast inny humanista, *Jerzy Agrykola* (1490—1555), przerzuciwszy się od studyów klasycznych do nauk przyrodniczych, został twórcą nowszej mineralogii europejskiej... W ciągu pierwszych trzydziestu lat życia zajmował się filologią; później, za powrotem z Włoch, które i dla niego były prawdziwym krajem kultury, poświęcił się mineralogii. Nie zaniedbując nigdy w zupełności studyów krytyczno filologicznych, badał wiadomości mineralogiczne starożytnych, porównywając je z wiedzą współczesną. Z pism jego najważniejsze są dwa dzieła. W jednym złożył zasady geologii fizycznej; w drugim zamieścił systematyczny i dokładny opis kruszców; podzielił je na rozmaite klasy podług koloru, przezroczystości, smaku, zapachu, twardości, ciężkości i kształtni; wyjaśnił ich zastosowanie w życiu praktycznym i wskazał miejscowości, gdzie je wydobywają. Ponieważ wiedzę zawdzięczał przeważnie spostrzeżeniom własnym, przeto, chcąc innym także umożliwić obserwacyę, główną pracę przyozdobił wybornymi drzeworytami. *Agrykola* nie był bynajmniej uczonym gabinetowym. W żywotnych sprawach onęj doby czynny brał udział. Wobec gwałtownie rozżarzonych sporów religijnych pozostał wierny kościołowi staremu i, trzymając się niezmiennie wiary, przez większość rodaków porzuconej, ściągnął na siebie wiele przykrości.

Zaznaczywszy poszukiwania nad historią naturalną, musimy dotknąć słówkiem matematyki i medycyny. Jeden z nowszych historyków nauki lekarskiej twierdzi, że i ze względu na medycynę „oczyszczenie tekstów źródeł starożytnych dało początek lepszej znajomości przyrody”. Mimo to przecież zbawienna podnieta nie wywołała dzieł doniosłych. Być może, iż zwrot ku źródłom starożytnym zaszkodził nawet zdrowemu rozwojowi umiejętności lekarskich, o ile mianowicie uznana powaga uczonych starożytnych tamowała obserwację samodzielną ze strony badaczy nowszych, lub przynajmniej usuwała ją na plan dalszy. W studiach medycznych owego czasu uderzają szczególnie dwa fakty. Oto: 1) studyum uniwersyteckie medyków zachowało w gruncie charakter filologiczny; 2) humaniści, trzymający się zdala od medycyny podczas pobytu w uniwersytecie, później dopiero dla zarobku oddawali się tej nauce i temu powołaniu. Nic więc dziwnego, że wobec takich przygotowań rezultaty musiały być arcy-niedostateczne. To też specjaliści podnoszą głośno skargi przeciw nieuctwu wielu lekarzy. Dziekan fakultetu wiedeńskiego utyskuje, iż *doctores medicinae* nędzne miewają odczyty, że brak im znajomości przedmiotu, że są próżni i kłótlivi; inny znowu twierdzi, że koledzy jego zasługują na wypędzenie. Oskarżycielami zaś nie są bynajmniej popędliwi młodzieńcy, lecz mężowie poważni i spokojni, zajmujący w nauce stanowiska godne szacunku.

Daleko znaczniejsze postępy niż medycyna robi w wieku humanizmu matematyka i astronomia, głównie pod wpływem epokowych prac *Jana Müllera* z Królewca (*Regiomontanus*, 1436—1476). Według zdania *Giovii* jest *Müller* najznamienszym ze wszystkich do onej pory astronomów. Czczony powszechnie, w oczach humanistów był już przez to wzorem godnym chwały i naśladowania, że cenił studia filologiczne i żarliwie je uprawiał; patriotom sprawiał ukontentowanie, ponieważ jako Niemiec pomagał do unicestwienia przesądów ciężących na imieniu niemieckim; moralisci cieszyli się nim, ponieważ, jego biorąc za przykład, dowiesć pragnęli, że moralność i nauka nierozdzielnie są z sobą związane.

Wszyscy niemal matematycy i medycy ówczesni hołowali urojęną nauce astrologii. Z przyczyny właśnie takiej popularności musimy zastanowić się chwilę i nad astrologią, lubo charakteru umiejętności nie posiada zgoła.

Głową astrologów tamtoczesnych jest niewątpliwie *Jan Stoffler* z Justingen (1452 — 1531). W duchu dążeń owej doby ku wielostronności był *Stoffler* naucezycielem i lekarzem ludowym, matematykiem i astronomem, kosmografem i mechanikiem, teologiem i humanistą. Kształcił się w Ingolstadzie, „świećnej szkole głównej, która w sztukach wyzwolonych była słodką moją macierzą”; odbywszy stu-

dya wszechstronne, został plebanem w Justingen; „ponieważ nie pragnął nic więcej nad to dobre probostwo”, więc po długich dopiero naleganiach *Ulryka*, księcia würtemburskiego, zdecydował się przyjąć katedrę matematyki i astronomii w Tübindze (1511 r.). Udał się tam „żądny nauczać i uczyć się”. Posiadał bowiem istotną naturę uczonogo; nigdy nie uważał się za skończonego, ale gotów był zawsze dzielić się z innymi tém, co umiał. Uczył i pisał, robił zegary i układał kalendarze, starał się uzasadnić przeszłość, a przejrzyć przyszłość. W pracach swych kierował się pobożnością prawdziwą, lubił się nawet mianować „rycerzem kościoła Jezusa Chrystusa”; w odczytach z największą pokorą mawiał o Opatrzności boskiej, modlił się o jej wpływ na młodzież studującą i wpływu tego był pewien. Pobożny sposób myślenia nie opuszcza go i w szperaniach astrologicznych, boć gwiazdami przeciw rządzi również wola boża. Od gwiazd zależy zdrowie i umysłowy rozwój ludzi. Wie on dobrze, iż, twierdząc tak, wywołuje na usta niektórych lekarzy uśmiech a teologów złości. Sądzi jednak, że teologów udobrucha pobożnością, do lekarzy zaś odzywa się w sposób pojednawczy: „niechaj nikt nie rozumie, że swym sierpem zachodzę na cudzą skibę, przeznaczoną nie mnie, ale moim panom lekarzom, którym oddaję to ku poprawie i skarceniu. Mimo to zamieszcza przepisy medyczne, wskazuje czas, kiedy przyjmować lekarstwa lub rozpoczynać pewne kuracye. Uwagi tego rodzaju wyowiada nie dla uczonych, lecz głosi je dla ludzi pospolitych w prozajicznych rozprawach niemieckich i w wierszach niemieckich. Wiersze Stofflera, jak np. następujący:

Kein Blut will ich von mir nit lon,
Denn es nit gsund in diesem Mon.

(Nie upuszczę sobie ani krwi kropelki,
Bo w tym miesiącu zdrowiu uszczerbek wielki).

świadczą nieszczęśliwie o jego zdolnościach poetyckich. Konstelacya gwiazd wywiera wpływ i na zdrowie jednostki i na losy ogółu. Zadaniem więc astrologów jest stanowisko konstelacyi wyrachować a jednostki i narody przygotować do rzeczy przyszłych. Kiedy astrolog stawia przyjacielom horoskop przyszłości z położenia gwiazd w chwili ich urodzenia, staje się poniekąd prorokiem. W kierunku tym rozwijał Stoffler działalność szeroką i bardzo wielu znajdował klientów. Największy rozgłos zdobył przepowiednią, dotyczącą roku 1524, którą pomieścił w efemerydach wydanych 1499 r. Mówi tam: „W roku tym nie będzie ani zaćmienia słońca, ani księżyca; natomiast dadzą się widzieć nader osobliwe położenia planet. W miesią-

cu lutym nastąpi 20 połączeń najmniejszych, małych i wielkich; szesnacie z nich posiadają znak wody; znamionują one niezawodne zmiany i przewroty w całym wszechświecie, w klimacie, w państwach, prowincjach, pojedynczych miastach, wśród zwierząt ziemnych i wodnych, ba! wśród wszystkich stworzeń ziemskich. Zmian i przewrotów podobnych ani starcy w życiu nie widzieli, ani od wieków nie opisywali historycy. Ku niebu więc głowy, mężowie chrześcijańscy". Przepowiednia, wygłoszona z taką pewnością w słowach brzmiących na poły naukowo, na poły proroczo, sprawiła na łatwowiernych współczesnikach wrażenie niesłychane. Dzień 25 lutego 1524 r., mający być dniem ciężkiej klęski, siał zgóry postrach powszechny; jedni uważali go w lęku za dzień sądu ostatecznego, inni za początek drugiego potopu. Wobec tego pobożni teologowie dowodzili, że wtrącanie się boskie w rządy światem jest nie dozwolone, konkurenci zaś astrologiczni wyszydza!i stanowczość twierdzeń. Astrologom odpowiadał Stoffler z zupełną słusnością, iż nie mówił zgoła ani o powodziach, ani o zatracie świata; iż nie wymienia! ani jednostek, ani jakichś krajów. Teologom znowu wyjaśniał, że odróżnia pierwszą i drugą przyczynę; pierwsza pochodzi od Boga i przed okiem ludzkim zakryta, druga zaś obwieszcza rzeczy, przez które Bóg moc swą objawia; o drugiej przyczynie człowiek mówić może i może ją badać. Nie potrzebujemy naturalnie dodawać, że rok 1524 przeminął, nie sprowadziwszy bynajmniej wieszczonych przewrotów. Godnym jest wszelako uwagi, iż, mimo omyłki wystawiającej prorocstwo na śmieszność, powaga Stofflera nic nie ucierpiała. Owszem, znajdowało się dosyć ludzi, co przepowiednię astrologa upatrywali w wielkiej wojnie chłopskiej 1525 r., albowiem zwiastuny jęj ujawniały się właśnie w roku poprzedzającym.

Astrologowie, jak poucza przykład Stofflera, nie są bynajmniej zawsze głupcami naukowymi; częstokroć są to szperacze filozoficzni, którzy w myśleniu błąkają się po manowcach, sądząc, że w gwiazdach znajdują drogowskaz nieomylny. Są więc astrologowie bliżej z filozofami spowinowaceni, niżby się na pierwszy rzut oka zdawało.

Znakomitych filozofów nie posiadają Niemcy w epoce humanizmu. Aczkolwiek dużo miejsca zajmowało na uniwersytetach studyum filozofii, z tém wszystkiem małe robi postępy w stosunku do wieków średnich. Owszem, pozostaje ciągle na stanowisku nienaukowego komentowania podręczników starych, zatrzymuje po dawnemu gadałiwe, schematyczne, powierzchowne wyjaśnienia pojęć filozoficznych. Jedynym owocem, dojrzałym w dobie humanistycznej, jest nawrót ku pisarzom starożytnym, a stąd nader widoczne uwzględnianie Cycerona i Kwintyliana, oraz wywyższenie Platona kosztem Arystotelesa, osiągnięte bez wysiłku przy dość niesamoistnem oparciu się na Wło-

chach. Jak na polu gramatyki toczono bój przeciw *Aleksandrowi de Villa Dei*, tak w dziedzinie logiki i dyalektyki zwalczano *Piotra Hiszpana*. Jednakże walka z tak zwanymi przez żarliwych humanistów „barbarzyńcami” nie przybrała ani rozmiarów ogólniejszych, ani też powodzeniem większym poszczycić się nie może. Juźcić piszą humaniści, np. *Agrykola*, podręczniki, ale nie są o tyle szczęśliwi, iżby się doczekać ich wprowadzenia do uniwersytetów. Toż przecie w lat dwadzieścia po śmierci *Agrykoli* wzięto za podstawę do wykładu filozofii w nowo założonym uniwersytecie wittenberskim podręcznik średniowieczny, *Tartaretus*.

Z całego zastępu filozofów ograniczymy się na jednym tylko, *Grzegorzcu Reysch'u*, i to nie dlatego, iżby był najznakomitszym, lecz dlatego, iż napisał najobszerniejsze może dzieło, „pierwszą encyklopedyę filozoficzną”. Jestto foliant ćwiartkowy o 600 stronicach; mimo takiej objętości nazywa go autor *quantitate quidem parvum* (ze względu na ilość szczupły), ale, dodaje, *continentia immensum* (co do zawartości wielki). Książka ta, *Margarita philosophica* (Perła filozoficzna) odsłania najdosadniej osobliwszy rodzaj panujących wówczas rozumiań filozoficznych. Filozofia jest skarbcem nauki wogóle. Stanowią ją więc i w pracy *Reyscha* są traktowane: gramatyka łacińska, sztuka pisania listów, arytmetyka, muzyka, geometrya, astronomia, z nauk zaś specjalnie filozoficznych: logika, retoryka, filozofia natury, przez którą rozumiano głównie ogólny zarys historii naturalnej i filozofię moralną. Do filozofii moralnej wcielano zasadniczą część teologii. O duszy rozprawia autor w długich roztrząsaniach i „potępia szalone mniemanie manichejczyków, jakoby dusza była częstką substancji boskiej”. Na przekór Grekom wykazuje istnienie czysca, czerpiąc dowody z pisma świętego. Taki sposób traktowania jest nawskroś średniowieczny, ale równocześnie przebija się i duch humanistyczny. Oto w jednym rozdziale naukę o nieśmiertelności duszy popiera *Reysch* słowami *Platona* a w następnym świadectwami z *Pisma świętego*. W dowodzeniu podobnego rodzaju, zdaje ci się, że biblia, jakgdyby tylko w charakterze wojska posiłkowego została przyłączona do armii głównej. Obok scholastyki występuje humanizm równorzędnie w całym dziele. Ujawnia się to w treści; ujawnia w stylu, gdzie zachcianki klasyczne pasują się widocznie z żądzą zachowania dawnej formy; ujawnia się nareszcie w licznych ilustracjach, rozrzuconych w książce i mających na celu przedewszystkiem uzmysłowienie materiału naukowego; uszlachetniony smak podejmuje tu oczywiście ciężką walkę z dziecinnym trybem myślenia. We właściwej filozofii mistrzem niemal wyłącznym jest *Arystoteles*; żadnego pisarza nie przytacz *Reysch* tak często jak jego; cytaty robi naturalnie w języku łacińskim, chociaż w wydaniach później-

szych spotykają się gdzie niedzie i greckie, ale nader nieczytelne. Z ojców kościoła najbardziej, zdaje się, lubi św. Augustyna. O różnorodności treści trudno rzeczywiste powziąć wyobrażenie: tu rozbiera kwestye pedagogiczne, tam podaje zarys fizjologii; szerokie rozprawy z dziedziny rojeń astrologicznych przeplata krótkimi uwagami z zakresu prawoznawstwa. Całość, podzielona na rozmowy nauczyciela z uczniem, kończy się pochwałą wiedzy prawdziwej w przeciwstawieniu do wiedzy fałszywej, do szperaniny bezużytecznej. Tamtę oznacza wiele obiecująca, lubo nie klasyczną nazwą *studiositas*, tę zaś mianem *curiositas*.

W uniwersytecie frejburskim, gdzie uczył Reysch, pracował także *Ulryk Zasius*, reformator prawoznawstwa (ur. 1461, um. 1535).

Przyjęcie prawa rzymskiego przez trybunały i wprowadzenie go do uniwersytetów, ułatwiało w one czasy działalność jurysty z wykształceniem humanistycznym, utrudniało ją zaś wrogię usposobienie humanistów względem juryspudencyi oraz jej przedstawicieli. Nieawiszę przejęli Niemcy bezkrytycznie od Włochów, jak o tém świadczy następujący wypadek bardzo charakterystyczny. *Bebel* odzywał się pogardliwie o księdze praw *Justyniana*, za co pociągnął go *Zasius* do odpowiedzialności. Zaczepiony usprawiedliwiał się jedynie uwagą, że nie widzi potrzeby szukać dowodów, gdyż podobne napaści czynił już był *Wawrzyniec Valla*. Jednakże i rozmyślenia samodzielne tudzież losy osobiste humanistów niemieckich podsycaly wstręt do prawoznawstwa. Pochodziła niechęć z pobudek osobistych, ponieważ wielu wbrew własnym skłonnościom, lecz ulegając tylko woli ojców, musiało poświęcać się studjom prawnym; rozmyślenia zaś nieprzyjazne wypływały po części z zamilowania humanistów w piękności formy a po części z rozważania nadużyć istniejących. Ulubionym więc przedmiotem napaści bywała barbarzyńska łacina jurystów, jak również ich łapczywość i kręctwa. Dla humanistów, których umysł się wzył w szerokie idee świata starożytnego, głównym skrupulem odstręczającym od nauki samęj było to, że jest materialną i powierzchowną, że się styka z tysiącem drobnostek życia powszedniego i zależną jest od widzimi się poszczególnych osób, sędziów i adwokatów. Nie wielkie miały znaczenie wystąpienia nieprzychylne takich ludzi, jak *Wimpheling*, który po wierchu zaledwie liczył prawa, ale nabierają doniosłości, kiedy gromy poczną miotać tacy mężowie, jak *Reuchlin*, którzy przez całe życie byli jurystami praktycznymi. Pod względem treści zaczepki obu są mniej więcej do siebie zbliżone. Są to protesty idealistów przeciw rzeczywistości. *Wimpheling* tłómaczy się, dlaczego po krótkich studiach porzucił prawoznawstwo, w sposób następujący: bo „w tekście i głosach znalazłem za mało wiadomości o Bogu, o aniołach, o duszy ludzkiej i jej

zdolnościach, o cnotach, o życiu i śmierci, o cierpieniach Zbawiciela naszego, ale nie równie więcej natomiast o prebendach i godnościach urzędowych, o procesach, sędziach, skargach, bezdennych utrapieniach w razie zatargów i przewlekłościach procesowych—jednym słowem mówi się tam o rzeczach, które dostarczają, co prawda, bardzo wiele pieniędzy, ale są wręcz sprzeczne z wewnętrzną istotą mojej natury". Wimpelingowi wtóruje Reuchlin, szydząc z płytkości sztuki prawniczej. Toć strony płacą za nią wielkie sumy, adwokaci uważają ją za bardziej niż boską, a w gruncie jest ona nikczemniejszą od jakiegobądź rzemiosła w oczach człowieka, który myślą sięga w sfery wyższe, który drobiazgowością i przypadkowością gardzi. Bo cóż za powab, co za godność posiadać może studjum, czepiające się pojedynczych punktów i liter? Jak można szanować naukę, w której każdy znajdzie uzasadnienie swych praw i uroszczeń, z której starają się obfite wyciągnąć zyski? Czyż jest coś wzniosłego—znać każdy paragraf i stosować go do wszelkich wypadków? Czyż na równe uznanie nie zasługuje i aptekarz, który na różne choroby zgotuje maści i lekarstwa, albo szewc, który do każdej nogi dopasuje obuwie? Za prawo bowiem uchodzi to, czego ludzie sobie życzą; sędziowie, ludzie marni, wydają wyroki, ludzie, od których kupisz wyrok pomyślny pochlebstwem, pieniędzmi, krasomówstwem".

Nie mniej ostro piorunowali i satyrycy, *Brant*, *Erazm* i inni. *Erazm* wyrzekł, iż trzykroć łatwiej zdać egzamin prawniczy aniżeli gramatyczny. *Euricius Cordus* młodemu przyjacielowi, który chciał zostać jurystą, zalecał nie uczyć się nic innego, tylko paplać, kłamać i oszukiwać. *Ulryk von Hutten* nie mógł odżalować, że cząstkę młodości poświęcił studjom prawnym; skarżył się, że musiał pić „gorycz akkursyańską”¹⁾; skarżył się na ciemności cymmeryjskie, wśród których usychał; nazywając kupców, lekarzy a zwłaszcza prawników rabusiami, którzy Niemcy ubożą i pustoszą, poczytywał Sasów nad Bałtykiem za szczęśliwych, „ponieważ zdrowi na ciele i umyśle, żyjąc w starych obyczajach i prostocie, nie potrzebują lekarzy, a prawników nie znoszą”.

Nawet *Ulryk Zasius* w sądach o prawoznawstwie nie różni się od swych kolegów, humanistów. Albowiem i on jest humanistą. Mianowany 1492 r. pisarzem miejskim we Freiburgu, kierował tamże lat kilka szkołą łacińską, a w samym końcu stulecia został profesorem prawa. Ale i w tym charakterze ganił stan nauk prawnych i właściwości prawników, potępiał bezkrytyczne i zbyt życzliwe przyjęcie

¹⁾ *Frañciszek Accursius* (Accorso), ur. około 1180, zm. 1260, profesor prawa w Bolonii, autor *Gloss (Accursianae glossae)*, które adeptów niechętnych goryczą napawały. (Przyp. tłóm.)

komentatorów średniowiecznych, gromił ślepe trzymanie się bezzasadnej tradycji, jaka się wyrobiła w ciągu wieków. Aby zmienić takie położenie, domaga się badania źródeł. Postawienie i przeprowadzenie tego żądania stanowi główną jego zasługę. On jest pierwszym Niemcem, co ośmiela się atakować cudzoziemców, mianowicie Włochów i Francuzów, w ich własnej siedzibie, w komentowaniu ksiąg prawa rzymskiego; on jest jednym z pierwszych humanistów, co studiami starożytniczemi posiłkują się, celem wyjaśnienia źródeł. Tak sobie poczynając, bezpośrednio lub pośrednio dokazał tyle, że *G. Holander*, przy znacznem poparciu norymberskiej rady miejskiej, ogłosił drukiem (1529 — 1531) w Norymberdze wielki zbiór praw, Instytucyj, Pandektów i t. d. A jednak nie jest Zasius zgoła bezwzględny zwolennikiem prawa rzymskiego; pragnie nauczać tego tylko, „co pożyteczne, zbawienne i obyczajom Niemiec odpowiednie”. Stąd więc dokonana przezeń reforma prawa miejskiego freiburskiego a także, lubo w mniejszym stopniu, kodeks praw dla margrafstwa Badeńskiego świadczą, że ochrania prawo niemieckie i zachowuje zwyczaje niemieckie wszędzie, gdzie mocno się wśród ludu zakorzeniły. Charakter uczonego i humanisty ujawnia przedewszystkiem w wystąpieniu przeciw zakusom popularyzowania prawa rzymskiego, oburza się na *Murnera* za niemiecki przekład Instytucyj i twierdzi, „że zasługują na skarcenie ci, co sami za ledwie po łebkach znając umiejętność prawa cywilnego, tłómaczą ją na język ojczysty i stosują do wszelkiego rodzaju igraszek (alluzya do jurystycznej gry w karty *Murnera*); nie dość bowiem, że sami są nieukami kompletnymi, ale innych jeszcze robią głupcami!”

Zasius był humanistą, pozostawał w ścisłych związkach z humanistami z nad górnego Renu i podobnie jak oni był połowicznym reuchlinistą. Choć bowiem zbyt czynnego udziału w sporze reuchlińskim nie brał, uchodził wszelako za stronnika głowy humanistów. Widać to z poetycznego opisu podróży po Niemczech, włożonego w usta jednemu z Ciemnych mężów. Powiedziano tam, że Zasius jest równie niebezpieczny, jak „zbrojna i straszna szlachta” miasta Freiburga, która z nieboraka stroi żarty, ba! grozi mu nawet śmiercią.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Jan Reuchlin.

Jan Reuchlin, sławiony „feniks Germanii”, wspólnie z *Erazmem* nazywany „Oczyma Niemiec”, celował we wszystkich gałęziach wiedzy, jakie po raz pierwszy lub ponownie uprawiano w epoce humanizmu. Z powołania prawnik, nazywał się przez całe życie *legum doctor* (doktor praw), był wiele lat adwokatem w Stutgardzie oraz przeszło lat dziesięć jednym z trzech wyższych sędziów związku szwabskiego. Według zapewnienia dobrze poinformowanych współczesników miał nawet pisać traktaty prawne. Niwy przyrodniczo-lekarskiej dotknął kilku tłumaczeniami z pisarzy greckich. W greczyźnie bowiem był mistrzem. Jest on jednym z niewielu, co język ten upowszechniali, w części pismami drobnymi, w części nauczaniem prywatnym i publicznym. Wielu też mianowało się jego uczniami, zanim jeszcze zaczął uczyć publicznie. Kiedy zaś rzeczywiście starym już objął katedrę uniwersytecką w Ingolstadzie i Tübindze, fakt ten obwieszczano i witano jako wypadek epokowy. Więc i przezwisko przybrał greckie: *Capnion* (=dymek=kleiner Rauch, Reuchlin); użył go jednak w kilku jeno listach oraz w jednym dziele naukowym; przyjaciele i zwolennicy natomiast lubili się niemię posługiwać. Był także znakomitym latynistą, stylistą nie wytworny, ale gruntowny znawca pisarzy rzymskich. W młodości ułożył słownik (*Vocabularius brevilocus*), którym nie stworzył wprawdzie epoki w językoznawstwie, lecz wyrugował z łaciny średniowiecznej rozmaite dziwactwa, a co najważniejsza, powrót do niesfałszowanych źródeł

starożytności postawił jako najwyższą i niezbitą zasadę. W wieku męskim pisał dzieła naukowe i listy w języku łacińskim; nie zasłużył jednak na miano cyceronianina, do czego zresztą i pretensyi nie rościł. Należy on do szeregu tych humanistów, którzy używali zawsze nazwiska niemieckiego, nie dodając mu nawet końcówki łacińskiej. Miłował również język niemiecki, władał nim dość dzielnie i zręcznie w kilku tłumaczeniach dla książąt nieuczonych oraz dziełach, radach, opiniach i obronach; jedno z nich wystosowywał do swego mocodawcy cesarza, w innych zaś, traktujących sprawy natury ogólniejszej, przemawiał do narodu. Zajmował się i historią; w okresie heidelberskim zredagował kronikę ułożoną podług czterech epok świata, którą poczytywano za pierwszą humanistyczną książkę historyczną; oprócz tego w rodzaju wstępu do wielkiej kroniki swego rodaka *Jana Nauklera* napisał entuzjastyczną pochwałę dziejów i dziejopisarstwa. Był wreszcie poetą także, jeżeli poezję mierzyć będziemy wedle skromnej skali, wedle jakiej zwykli ją mierzyć humaniści. Nie trawił jednak czasu na wierszach panegirycznych, w których celowała większość jego towarzyszków, lecz wypracował wzmiankowane już wyżej dwie komedye; jako dzieła sztuki nie wielką mają wartość, ale są nader interesujące jako przyczynki do historii czasu.

Główna wszelako sława Reuchlina polega na pracach filozoficznych i hebraistycznych. W obu rodzajach studyów korzystał z pomocy uczonych żydów; utrzymuje bezpośrednie stosunki z Włochem *Pico della Mirandola*, którego wdzięcznym umysłem nazywa „mądrym hrabią, najuczestszym mężem epoki”.

Owoc swych studyów złożył w dwu wielkich dziełach. Jedno nosi napis: *De verbo mirifico* (o słowie cudotwórczym, 1494), drugie: *De arte cabbalistica* (o sztuce kabalistycznej, 1517). Pierwsze jest przygotowaniem jeno do drugiego. Źródłami obu są filozofowie greccy neopitagorejscy oraz hebrajsko-kabalistyczna literatura średniowieczna. Kabała, w którą Reuchlin za wzorem humanistów włoskich się zagłębia, jest tajemniczą nauką żydowską, powstałą w czasach pobiblijnych. Początkowo krzewiła się ustnie, od 12 wieku zostaje ujęta w pismo i dosyć wczesnie znajduje wstęp u chrześcijan. Usiłowała ona rozwiązać dwa głównie zagadnienia, na które biblia umysłowi badawczemu całkowicie zaspokajającej odpowiedzi nie udzieliła. Jednym jest istota bóstwa, drugim historia stworzenia. Podług wywodów Reuchlina z kabałą blisko jest spokrewniona nauka neopitagorejska, a to dlatego, że Pitagoras był uczniem mędrców żydowskich. Cel obu nauk nie jest bynajmniej ten sam, co magii i astrologii lub wogóle jakiegokolwiek cudownej sztuki tajemniczej; celem ich jest tylko wzniesienie ducha ludzkiego ku Bogu, udoskonalenie życia ziemskiego i przygotowanie do szczęśliwości niebieskiej.

Wykazanie siły słowa cudotwórczego ma stanowić osnowę pierwszego dzieła. Słowo cudotwórcze jest tetragramatem, t. j. czterogłoskową niemożliwą do wymówienia nazwą Boga *Jhvh*; jestto „owo nieporównane miano, nie wymyślone, lecz im przez Boga powierzone; imię święte i najwyższej czci godne, które Bóg nosi w praeligii, imię Wszechmocne, które uwielbiają istoty nadziemskie, którego się lękają stworzenia podziemne, które natura wszechświata całuje.” Słowo to stanowi łącznik między człowiekiem doczesnym a Bogiem wiekuistym, jednoczy sprzeczne wyobrażenia rozmówców, występujących w książce, poganina *Sydoniusza* i żyda *Baruchiasza*. Dla pierwszego jedynym źródłem doświadczenia jest postrzeganie zmysłowe, dla drugiego zaś — myślenie; tymczasem *Capnion*, trzeci rozmówca, przyznaje ważność obu źródłom. Taka doniosłość cudotwórczego słowa pochodzi stąd, że każda jego głoska ma znaczenie tajemnicze. Pierwsza głoska Jod ze względu na kształt oznacza punkt a ze względu na wartość liczebną — dziesięć; wyraża przytém początek i koniec wszech rzeczy. Druga He, jako cyfra równa pięciu, oznacza zjednoczenie Boga (Trójca) z naturą (dwoistość według Platona i Pitagorasa). Trzecia głoska Vav, jako cyfra równa sześciu, znamionuje produkt jedności, dwoistości i troistości. Czwarta głoska równa drugiej, ale w tém miejscu oznacza coś innego, mianowicie duszę, która tworzy środek między niebem a ziemią, podobnie jak pięć jest środkiem między jednością a świętą liczbą dziesięć. Już w objaśnieniu nazwiska widnieje skojarzenie nauki chrześcijańskiej z żydowską, tajemnicze wcielenie misteryów chrześcijańskich w żydowską nazwę Boga; dalsza zaś spekulacya ma dowieść, że imię Jezus (*Jhsh*) jest tylko powiększeniem tetragramatu o jedną głoskę, t. j. dźwiękiem s, który w hebrajszczyźnie służy do utworzenia wyrażen: „ogień święty”, „imię święte”, „oliwa poświęcona”. A więc imię Jezus i, co stąd wynika samo przez się, nauka chrześcijańska jest szczytem filozoficznego ukształtowania świata.

Drugie dzieło ma na celu wykazać, że komentatorowie żydowscy nie zrozumieli należycie nauki mesyanicznej, chociaż ją głoszą biblia i talmud. Stanowi ona właściwy przedmiot kabały. Nauka ta jest także kamieniem węgielnym filozofii pitagorejskiej. Filozofia pitagorejska znowu ma mnóstwo wspólnych punktów stycznych z kierunkiem żydowsko-filozoficznym w wielkich zasadach moralności i na tajemniczych ścieżkach poznania. Znaczną część książki poświęca autor rozbirowi tych tajemnic, mianowicie wyjaśnieniu znaczenia 50 bram poznania, 32 ścieżek prowadzących do prawdy i 72 aniołów, odgrywających rolę pośredników między Bogiem a ludzkością. Nie mniej miejsca zajmuje i kabała formalna, właściwa sztuka kabalistyczna, której istota polega na tém, ażeby ze słów wysnuć

znaczenie głębsze od zwyczajnego. Osiągnąć zaś to można: 1. przedstawieniem głosek w środku wyrazu (gimatria); 2. rozrzuceniem głosek wyrazu w taki sposób, iżby każda była nagłosem nowego słowa (notarikon); 3. zamianą głosek tak, iżby w alfabecie miejsce pierwszej głoski zastępowała ostatnia, miejsce drugiej przedostatnia, idąc tym trybem aż do końca.

Nad badaniami tego rodzaju przechodzimy dziś z uśmiechem lub goryczą do porządku i pomieszczamy je w krainie urojeń marnych. Doszedłszy do poznania jasnego, spoglądamy wyniosłe na dreptanie po ciemku, na bezcelowe macanie po omacku naszych poprzedników. Tymczasem nie zapominajmy, że owo zagłębianie się w problematy zawile i ciemne świadczy w każdym razie o sumiennych lub obłądnych wysiłkach badaczy, ale co ważniejsza pamiętajmy, że otworzyło zupełnie zaniedbaną dziedzinę literatury i doprowadziło do studyów nad językiem, szanowanym jako język święty. Zaslugę tę uwiecznił *Wieland* w pięknym zdaniu: „*Reuchlin* wyrzekł (do literatury wschodniej) potężne słowo: „Powstań, wyjdź, nieboszczyku!” Nieboszczyk zjawił się, jak był, owinięty w całun rabiniczny, z przepoconą wokół głowy chustą kabały; drugie słowo było i jest nierównie łatwiejsze: „Rozbierzcie go i puście go swobodnym”. To właśnie stanowi chwałę godną w przyszłości zasługę *Reuchlina*”.

Studia kabalistyczne pozostają w najściślejszym związku ze studyami hebraistycznymi. W przekonaniu *Reuchlina* te oznaczały przygotowanie jeno, tamte — wykończenie; potomność uniewinni pierwsze, ponieważ przyspieszyły rozwój drugich. Nawet współczesnicy *Reuchlina* nie wierzą bezwzględnie w naukę kabalistyczną. Niektórzy, mianowicie kapłani mistycyzmem owionięci przyznają sobie owe tajemnice i posuwają się tak daleko, że jeden miewa o nich odczyty a drugi pisze apologię. Inni, należący, co prawda, do obozu antyhumanistycznego a specjalnie antyreuchlińskiego, występują jako otwarci wrogowie, jużto odrzucając spekulacje bezużyteczne, jużto wietrząc w kabale faworyzowanie żydów a poniżanie chrześcijaństwa. Większość poprzestaje na zdaniu *Erazma*, że nie podoba się mu ani talmud, ani kabała; zdanie to aprobując lub pochwalając, wyrażają przytęm gorące uznanie dla niesłychanej erudycji *Reuchlina*.

Rozbudzenie studyów nad językiem hebrajskim jest niezaprzeczoną i wielką *Reuchlina* zasługą. Uczy się języka u żydów niemieckich i włoskich; zbliża się do nich bez odrazy, okazuje im nawet jako mistrzom swym cześć i wdzięczność. We Włoszech zaopatruje się w książki hebrajskie i chaldejskie, zapisuje sumiennie czas i miejsce zakupu, aby, przeglądając później swe skarby, uprzytomnić sobie piękne chwile pierwszej z nimi znajomości. Uczy pismem i żywem słowem najprzód prywatnie, potem publicznie młodzież tłumnie na-

plywającą. Nie leni się mozolnych robót rzemieślniczych; sporządza tedy tłumaczenia interlinearne, przygotowuje edycye tekstów drobniejszych. Głównemi wszelako jego pracami są: *Rudimenta hebraica* (Początki języka hebrajskiego, 1506) i *De accentibus et orthographia linguae hebraicae* (o akcentuacyi i pisowni języka hebrajskiego, 1518).

Pierwsze z tych dwu dzieł obejmuje gramatykę i słownik. W obu częściach opiera się *Reuchlin* na *Dawidzie Kimchi*, najznamienitszym gramatyku i leksykografie żydowskim we wiekach średnich; początkowo cytuje go z rzadka, ale w ciągu dzieła przytacza sumiennie jako głównego przewodnika. Od niego zapożyczył metodę, porządkując wyrazy według pierwiastków a pochodniki zestawiając, nie w kolei abecadłowej, lecz pod słowami pierwotnemi. Od niego przejął cały materyał, nie pomnażając nic prawie zasobu wyrazów. Jego naśladuje, przywołując wyjątki z biblii dla łatwiejszego zrozumienia słów, ale postępuje niedorzecznie, podając cytaty w redakcyi łacińskiej; wprowadza natomiast pożądaną nowość, oznaczając księgę i rozdział, czego nie robił *Kimchi* dla żydów dobrze świadomych biblii. Za jego też pośrednictwem poznał się z pewną liczbą autorów rabinicznych i talmudycznych, lecz mimo właściwej sobie zresztą rzetelności, przytacza ich niekiedy w ten sposób, jak gdyby chciał okazać, że zna ich z pierwszej ręki. Tego rodzaju przyswojenia, dokonane na rozległą skalę, potępiłibyśmy jako plagiat; *Reuchlin* jednak zasługuje na zupełne uniewinnienie, jeśli zważymy, iż w braku innych pomocy obrobienie samodzielne było wówczas prawie niemożliwe. Trzeba jeszcze wiedzieć i to, że *Kimchi* pisał nader zwięźle dla czytelników wyłącznie takich, którzy od wczesnego już dzieciństwa byli z hebrajszczyzną otrzaskani; że tekst był niepunktowany i bez wszelkich objaśnień, niby księga siedmiu pieczęciami zapieczętowana. Jeżeli więc *Reuchlin* takiego przewodnika zrozumiał, dowodzi to przedziwnych zdolności, wtajemniczenia się w przedmiot całkowicie obcy. *Reuchlin* pisał nie dla znawców, pisał przytém dla chrześcijan; musiał tedy zarówno w wykładzie gramatyki jak i w objaśnieniach słownikowych być elementarnym, musiał uwzględniać nie tylko wiedzę, ale i wiarę swych czytelników. Jeżeli lubi wydatniać głęboką znajomość pisarzy klasycznych a przy sposobności odwołuje się do języka niemieckiego nawet, to niekiedy zaznacza również swe stanowisko chrześcijańskie; do czytania wybiera przeto genealogię Najświętszej Panny i zmienia niektóre miejsca w biblii — jedynie ewangelii gwoli.

Drugie dzieło ma za treść rzeczy bardzo specjalne, mianowicie akcentuację, miarę krasomówczą, znaki muzyczne. Od pierwszego jest nierównie ucieńsze. Dwunastoletni okres, zapelniający przestrzeń czasu między obu książkami, wystarczał, aby z terminatora

zostać czeladnikiem. *Reuchlin* dość swobodnie rozporządza materiałem, acz nie zupełnie jeszcze nad nim panuje. W pracy tej nie jest tak bezwzględnie zależny od autorów rabinicznych, chociaż całkiem obyć się bez nich nie może; częstokroć i tutaj czerpie z *Dawida Kimchi*, lubo wyraźnie go nie wymienia.

Wartość prac owych nie polega bynajmniej na szczegółach. A więc wartości ich żadnej nie przyniesie ujmy okoliczność, że mnogie szczegóły są fałszywe, a prawdziwe, zamiast wypływać z badań samoistnych, pochodzą z dzieł obcych. Ogromną doniosłość prac tych stanowi odkrycie nowego źródła wiedzy i wielkie dla niej uwielbienie. Znajomość języka hebrajskiego otwiera na nowo biblię, tekst całkowicie niemal zaniedbany do pierwotnej przywraca czystości a Wulgatę uwalnia od skażeń umyślnych lub też przez niewiedzę jeno spowodowanych. „Nasz tekst brzmi tak, ale prawda hebrajska dźwięczy inaczej”; „nie wiem, o czem nasi tłumacze marzyli, co wygadują”. W takich i tym podobnych wyrażeniach łaje *Reuchlin* wszystkich dawnych przekładaczy, zwłaszcza też Wulgatę. To wystąpienie śmiało przeciw tłumaczeniu, uważanemu w ciągu wieków niemal za święte, jest znamię wspaniałej wartości hebrajskich studyów *Reuchlina*. Tu nie człek świecki ośmiela się badać subtelności teologiczne, ale tu myśliciel beztrwożny stawia naukę zamiast wiary.

Mało kto ze współczesnych pojmował znaczenie pracy *Reuchlina*. Uczeni go sławili a niektórzy, lecz nie tak wielu, jakby się zdawać mogło, starali się kroczyć jego torami; publiczność zaś, kupująca książki, okazała się dość obojętną. Aby tylko opłacić drukarza, musiał *Reuchlin* jeszcze w 1510 r. z edycji pierwszego wielkiego dzieła, wytłoczonej w 1500 egzemplarzach, sprzedać pewnemu księgarzowi bazylejskiemu 600 tomów po $\frac{1}{3}$ guldenu za sztukę; musiał przytém użyć wszelkich wysiłków, aby go do kupna skłonić. W liście pisanym doń 1512 r. chce go przekonać, że nabycia nie pożałuje, że za książki zbierze nawet dużo pieniędzy. Mimo niepowodzeń wytrwał *Reuchlin* w studyach rozpoczętych, stawiając je sobie jako zadanie życia. W liście pomienionym wyraża bardzo pięknie konieczność wytrwania na raz obranej drodze. „Ponieważ mam żyć, więc muszę pracować dalej nad językiem hebrajskim; jeżeli zaś umrę, tom zrobił przynajmniej początek, który nie tak łatwo zmarnieje”. Rozumiał on, że na tej drodze jest pierwszym; posiadał też dumę, wynikającą snadnie z poczucia, że nowe toruje ścieżki. Uczucie to wypowiedział w zakończeniu swych Rudimentów słowy wyniośle brzmiącemi: *Exegi monumentum aere perennius*, zbudowałem pomnik od spżu trwalszy.

Dotychczasowemi pracami fundamentalnemi i ponad zwykłą miarę wybiegającemi zdobył sobie *Reuchlin* sławę w narodzie, mimo że, pracując w zaciszy gabinetu, stronił od wrzaskliwego zgiełku życia. Tymczasem przynaglony osobliwszém wydarzeniem, musiał 1509 r. błogi porzucić spokój. Jego sprawa osobista splata się ze sprawą ogólną, uważaną słusznie za szczyt ruchu humanistycznego.

Dźwigał już szósty krzyżyk, gdy do drzwi jego domu w Stutgardzie zapukał człowiek nieznany. Przedstawił on gospodarzowi nakaz cesarski z upoważnieniem do konfiskowania wszystkich ksiąg żydowskich, zażądał przytém, aby uczony hebraista asystował mu w podróży konfiskacyjnej. *Reuchlin* przyjął gościa uprzejmie, ale spełnieniu prośby wręcz odmówił, wyrażając nadto pewne wątpliwości co do pisma cesarskiego i co do prawowierności przybysza.

Był nim *Jan Pfefferkorn* (1469—1522), żyd z urodzenia, przechrzta od 1505 r. Wkrótce po przyjęciu chrześcijaństwa okazał tak gwałtowną nieprzyjaźń względem dawniejszych współwyznawców, że wielu poczytywało ją nie za objaw przekonań prawdziwych, lecz za skutek jego związków z dominikanami kolońskimi. Czy rzeczywiście był przeniknion fanatyzmem neofity, czy w nowej służbie, dla przypodobania się chlebobdawcom, przesadzał gorliwością, czy wreszcie, co najmniej prawdopodobne, używał swego nazwiska produkeyom towarzyszów — nie wiadomo. Dość na tém, że od 1507 do 1509 r. ogłosił cztery namiętne pisma, żydom wrogie. W pierwszym p. n. „*Judenspiegel*” (zwierciadło żydowskie) pragnie żydów odwieść od ich wiary skażonej oraz przekonać, że religii swjej trzymają się wiernie nie tyle z przeświadczenia, ile raczej z przyzwyczajenia odwiecznego. W dwu drugich „*Judenbeichte*” (spowiedź żydowska) i „*Osternbuch*” (księga wielkanocna) stroi sobie żarty z religijnych obrządków żydowskich wogóle tudzież z ceremonij przywiązanych do pewnych dni świątecznych. W czwartém, „*Judenfeind*” (wróg żydów), usiłuje odstonić nikczemności względem chrześcijan spełniane przez żydów codziennie i zalecane nawet przez ich religię. We wszystkich zaś doradza jako niezbędną a skuteczną środek przeciw uporowi, nauce obłudnej i nieprzyjaźni, zakaz lichwy, przymusowe nawiedzanie kazań chrześcijańskich a głównie konfiskatę ksiąg żydowskich.

Aby wyjednać możność przeprowadzenia tych wniosków, zwrócił się do cesarza i przy poparciu duchownych i świeckich panów uzyskał rzeczony nakaz konfiskowania ksiąg żydowskich. Żydzi remonstrowali; arcybiskup moguncki, może z niechęci ku kolończykom, nie pozwolił, iżby w jego dyecezyi załatwiano sprawę duchowną samowolnie, bez jego udziału. Protestacye sprowadziły nowy rozkaz cesarski. Monarcha mianował kierownikiem całej sprawy arcybiskupa mogunckiego i polecił mu powołać dla narady uczonych uniwersy-

teckich z Moguncyi, Kolonii, Erfurtu i Heidelberga oraz *Reuchlina*, *Wiktora von Carben* i *Jakóba von Hochstraten*.

Wiktor von Carben (1422—1515), ubogi kapłan koloński, w czasach jeszcze młodości, kiedy był żydem, zdobył sobie znajomość hebrajszczyzny i szczupłe wiadomości z talmudu; później zaś kiedy został chrześcijaninem, zużytkowywał tę wiedzę w duchu nieprzyjaznym dla dawniejszych współwyznawców. W piśmie łacińskim: *De vita et moribus Judaeorum* (o życiu i obyczajach żydów), lubo redakcja łacińska nie jest pono jego własnością, zadawał żydom rozmaite występki a talmud nazwał głównym źródłem wrogiego ich usposobienia względem chrześcijan.

Jakób von Hochstraten (1460—1527) był mistrzem inkwizycyi w Kolonii. Człowiek to kłótlivy, bezwzględny i śmiały w napaściach, „tak iż nie lękał się żadnego księcia i żadnym słowem pokonać się nie dał”, niezmiernie wrażliwy i nie bez wykształcenia klasycznego. Obdarzony umysłem przenikliwszym niż większość kolegów, wcześniej i jaśniej od nich widział niebezpieczeństwa, zagrażające duchownym i kościelnym poglądom średniowiecznym ze strony humanizmu; od samego więc początku gwałtownie i dość zręcznie go zwalczał.

Nakazane zwołanie uczonych nie doszło do skutku. Ale *Pfefferkorn* nie zaprzestał bynajmniej judofobskiej działalności literackiej. Wystosował wtedy dłuższe pismo do cesarza a drugie krótsze „do wszystkich duchownych i świeckich”; w obu pragnał wykazać uczciwość swych przekonań oraz pożyteczność i niezbędność swych wystąpień. Pomimo tych pism chwilowo nic nie dopiął. Przeciwnie! Nowy rozkaz cesarski pozwolił nawet tymczasowo żydom książki zwrócić a nakaz dalszy polecił arcybiskupowi zażądać od rzeczonych powyżej uczonych opinii piśmienniej.

Opinie nadeszły. Obaj teologowie kolońscy oraz przedstawiciele uniwersytetów kolońskiego i mogunckiego najzupełniej aprobowali żądania *Pfefferkorna* a nawet je prześcigali. Erfurteczycy i hejdelberczycy zaś twierdzili, że sprawa nie dojrzała tyle, aby wyrok wydać, albo domagali się śledztwa wedle porządku prawnego. Jedyny tylko *Reuchlin* stara się rzecz zgłębić i załatwić ją na drodze naukowej. Potępia kilka tylko „książek osławionych”, będących u samych żydów w obrzydzeniu, i dowodzi, że wszystkie inne w wysokim stopniu są godne zachowania. Krótko zabawia się obroną głoś i komentarzów biblii, zbiorów kazań i śpiewników, pism filozoficznych i przyrodniczych, poetycznych i satyrycznych; dłużej zatrzymuje się nad kabałą a najdłużej nad talmudem. Talmud, który z niewiadomości lub ze złej woli spotwarzają, ocalić trzeba poczęści dlatego, że kwalifikuje się jako właściwy przedmiot walki, do wypróbowania sił teologów chrześcijańskich, po części dlatego, że niektóre w nim miej-

sca mogą posłużyć do udowodnienia wiary chrześcijańskiej. Gdyby nawet wszystkie te książki zawierały coś niebezpiecznego, to i w takim razie nie ma kościół chrześcijański żadnego prawa do nich się wtrącać, ponieważ nauka kościoła uważa żydów za inowierców, lecz nie za heretyków, a prawo świeckie za współobywateli państwa niemieckiego. Przedsięwzięcie gwałtownych kroków przeciw księgom żydowskim nigdy całej literatury w rzeczywistości nie wyniszczy; do bezprawności postępowania przyłączy się jeszcze bezskuteczność tylko. Walczyć przeciw jakim bądź mniemaniom fałszywym lub przeciw wierze żydów wogólności można tylko na drodze naukowej; do tego potrzeba specjalnych wiadomości, które dadzą się osiągnąć gruntownem jeno zbadaniem pism żydowskich.

Opinie uczonych nie miały następstw bezpośrednich. Z dołączeniem innych pism wyprawiono je do cesarza, który na ich podstawie żadnego tymczasem wyroku nie wydał, lecz, jak pewna relacya przypuszczać każe, ustanowił nową komisję, która wespół z żydami miała obradować. Zresztą, co z ogłoszonego wówczas rozkazu wynikać się zdaje, zastrzegł monarcha istotne rozstrzygnięcie najbliższemu sejmowi.

Z odroczeniem wyroku zakończył się spór o zakaz lub dozwole nie ksiąg żydowskich. Natomiast wszczął się spór inny, nie między protektorami i wrogami żydów, ale między humanistami i obskurantami, dawna walka między teologią a nauką, między żądaniem swobody głosu a zachciankami prześladowczemi inkwizycyi.

Opinia *Reuchlina*, przeznaczona jedynie dla arcybiskupa moguncyjskiego, doszła go zapieczętowana. Tymczasem niewiadomo, czy za zgodą arcybiskupa, czy też bez niej, wpadła w ręce *Pfefferkorna*. *Pfefferkorn*, nie poczuwając się do dyskrecyi, którą jako człowiek prywatny powinien był zachować wobec aktu urzędowego, ogłosił na opinię *Reuchlina* odpowiedź „*Handspiegel*” (zwierciadło ręczne, 1511 r.). Odmawia w niej *Reuchlinowi* wszelkiej nauki i, aby na szczególniej drastycznym przykładzie wykazać jego nienetwo, kreśli przerażający obraz ohydnej i chrześcijanom wrogiej treści talmudu; posługując się dalej zwykłym u polemistów, ale nie wiele przekonywującym fortem, zarzuca przeciwnikowi sprzeczności między obecną jego opinią a pismem, wydanem o kilka lat wcześniej; miota nań wreszcie obelgi, nazywając go opiekunem żydów, „zausznikiem, domatorem smrodliwym, pustym gadułą, rzezimieszkiem, człowiekiem co strzela z za plotu i podstępnie w bok sztyletem godzi”.

Oburzony gwałtownością napaści oraz bezprawnem wyjawieniem swjej opinii, zażądał *Reuchlin* postępowania sądowego przeciwko napaśnikowi. Przyrzeczono mu je wprawdzie, ale kazano czekać zbyt długo. Zniecierpliwiony więc — sam chwycił za pióro i podczas jar-

marku wielkanocnego 1511 r. wydrukował obronę p. n. „Augenspiegel” (zwierciadło oczne), przypominającym tytuł pamfletu *Pfefferkornowego*. Pomieścił w niej swą opinię, skreślił dotychczasową historię sprawy na podstawie aktów do niej przynależnych i tu wydrukowanych; usprawiedliwiał swe postępowanie; odparł energicznie oskarżenia przeciwnika, jakoby dzieł pod swem imieniem wydanych nie był autorem i jakoby przekupiony od żydów został ich protektorem; wreszcie na obelgi wroga odpowiedział w słowach nie mniej ostrych. Mimo żywości protestu i gwałtowności wyrażen stoi „Augenspiegel” o wiele niżej od opinii, napisanej beznamiętnie, traktowanej spokojnie i obiektywnie. W opinii przemawia jedynie i wyłącznie badacz poważny, który, nie bacząc na żadne następstwa, zwraca się do cesarza, swego najwyższego sędziego świeckiego, z taką samą otwartością i czcią jak i do Boga. W „Augenspiegel” zaś, mówiąc do tłumu, zbijając oskarżenia, lękając się, aby nie był źle zrozumianym, cofnął się Reuchlin trwożliwie, osłabił śmiałe wynurzenia i dopuszczał się nawet wykrętnego wykładu zdań własnych.

U przeciwników takim odwrotem pozornym nie nie wskórał. Połowiczne cofnięcie obchodziło ich mało. Mieli więc na uwadze i dalej cały system poprzednio wyłożony, a jeżeli napadali na „Augenspiegel”, robili to jedynie z przyczyny opinii, którą sam autor do powszechnej podał wiadomości.

Pfefferkorn nie zaspął sprawy. We Frankfurcie za pozwoleniem miejscowego proboszcza prawił przeciw książce kazania; proboszcza skłonił nadto do przeszkodzenia sprzedaży dzieła, a Kolończyków namówił, aby zażądali od fakultetu teologicznego zbadania pisma. Fakultet okazał gotowość w rzecz wniknąć. *Reuchlin*, dowiedziawszy się o tém dość wczesnie, pragnął burzę zażegnać, ponieważ śledztwo znaczyło to samo, co potępienie, zawiązał więc z Kolonią korespondencję przyjacielską i urzędową. Listy poufne pisał do dawnego znajomego *Konrada Kollina*, oficjalne zaś do głowy fakulteta *Arnolda von Tungern*. Ton listów zrazu skromny, niemal pokorny, staje się śmiałym, bezwzględnym, w miarę tego jak Kolończycy w swych odpowiedziach poczynają przybierać rolę sędziów inkwizycyjnych. Występuje *Reuchlin* przeciw Kolończykom nie w charakterze suplikanta proszącego o łaskę, ale w charakterze człowieka dumnego, zafanego w swe prawo. Odpierał zarzuty, jakoby pokrzyżował plan cesarza; zbijał twierdzenie, jakoby teolog jeno mógł odpowiadać na pytania, które jemu przedłożono; utrzymywał, że jest uprawnionym pisać po niemiecku i że korzystał z przywileju pisarza napadniętego. Już wówczas przeczuwał, że walka jego nie jest bojem jednostki, lecz że cios przeciw niemu wymierzony godzi właściwie w cały obóz jednomyślnych towarzyszy. Z *Kollinem* zerwał *Reuchlin* stosunki w li-

ście doń adresowanym, ale przeznaczonym dla całego fakultetu. List kończy słowami: „Jakież to wzburzenie wybuchłoby pośród wojowników szlacheckich, pośród tych nawet, których pierś nie opancerzona, ale blizn pełna, gdyby mówca z siłą Demostenesa skręślił im początek, środek i koniec tej sprawy, gdyby im wykazał, komu tu chodziło o Chrystusa, a komu o mieszek. I wierzaj mi, do tłumu walecznych przyłączyliby się poeci i historycy, których w epoce naszej mamy wielu i którzy, jak przystoi, czczą mnie, swego dawnego nauczyciela. Oni tak wielką krzywdę, wyrządzoną mi przez wrogów moich, wiekuiściej przekazałiby pamięci i niezasłużone cierpienia moje opowiedzieliby ku niezatartej nigdy hańbie wszechnicy waszj”.

Potomność przekonała, że prawdziwą była przepowiednia. Juźcie Kolończyków groźba nie przeraziła. Pod różnemi więc nazwiskami puszczali w świat pisma przeciw Reuchlinowi. Starali się zestawić w nich niereligijne wynurzenia jego opinii, tudzież objaśnienia wypowiedziane po łacinie w „*Augenspiegel*” a po niemiecku w pewnym piśmie późniejszén. W końcu przedsięwzięli kroki sądowe. Najprzód dowodzili tyle, że „*Augenspiegel*” został przez cesarza zakazany. Wskutek tego napisał Reuchlin przeciw Kolończykom ostry pamflet, a osobistém wstawianietwem wyjednał u cesarza, iż przeciwnikom, ale zarazem i jemu, nałożono na usta kaganiec. Następnie sporządziwszy odpowiednio do swych celów tekst reuchlinowego „*Augenspiegel*”, zawezwali do wyrażenia o nim opinii fakultety teologiczne uniwersytetów w Erfurcie, Moguncyi, Kolonii, Lowanium (ten zamiast heidelberskiego, który się okazał nie dość pewnym) i Paryżu. Większość wydała upragniony przez Kolończyków wyrok zupełnie potępiający; tylko Erfurt żądał, aby nie tykano czei autora. Użyto wreszcie środka stanowczego, oto *Hochstraten*, opierając się na decyzjach fakultetów, pozwał Reuchlina przed sąd inkwizycyi. Reuchlin apelował do papieża. Papież powierzył rozstrzygnięcie sprawy biskupowi spirskiemu. Wyrok spirski (29 marca 1514 r.) wypadł na korzyść Reuchlina. Aby osnowę wyroku zmienić, zwrócił się *Hochstraten* do Rzymu. Sprawa ciągnęła się tam dwa lata. *Hochstraten* musiał stawić się osobiście, w imieniu zaś Reuchlina występował adwokat. Zresztą i sam Reuchlin był niez mordowanie czynny. Pisał listy do papieża, kardynałów i wszystkich wpływowych w Rzymie mężów. Ujmowali się za nim cesarz i królowie, świeccy i duchowni wszystkich krajów; teologowie zaś wszelkich odcieni wzięli stronę Kolończyków. Nakoniec wyznaczona przez papieża komisya sądowa ogłosiła 2 lipca 1516 r. postanowienie dla Reuchlina pomyślne. Mimo to przecież ani jego papież nie uniewinnił, ani przeciwników nie potępił, lecz wydał *mandatum de supersedendo* (nakaz odraczający). Sprawa więc nie była rozstrzygnięta, jeno odroczone. Ciche zabiegi

o względy możnych trwały więc dalej, a głośnie wrzaski polemistów nie umilkły także.

Upłynęło lat kilka. Niespodziewanie wmieszał się do sporu i *Franciszek von Sickingen*, jeden z owych wojowników szlacheckich, na których się Reuchlin powoływał już 1512 r., a zarazem jeden z tych, co się przechwalali być uczniami Reuchlina. Rozstrzygnął on orężem niejedną już zatarg z dominikanami i to nie tylko kolońskimi; widział więc, że szybciej z nimi się załatwić czynami energicznymi, niż głośnemi mowami. Zagroził im tedy najazdem (1519 r.), jeżeli nie zgodzą się natychmiast zapłacić Reuchlinowi kosztów procesu, do czego byli zobowiązani wyrokiem spirskim. Chociaż koszt, jak na owe czasy, wynosiły sumę dość znaczną, nie wystarczyły jednak, by zapewnić uczonemu starość od trosk wolną. Mniej więc chodziło Sickingenowi o pieniądze. Przedewszystkiem pragnął on zagwarantować sędziwemu mężowi spokój i bezpieczeństwo mocą stwierdzonego czynem przyznania przeciwników, że postępowali niesprawiedliwie i że poddali się wyrokowi. Dokazał przynajmniej tyle, iż dominikanie, nie uważając się za pokonanych, ponieważ ich papież nie potępił, okazali gotowość do układów pokojowych. Ale gotowość to pozorna! W chwili bowiem właśnie, kiedy bez szczególnego przymusu ją objawili, znali już prawdopodobnie rezultat zabiegów cichych, humanistom prawie obcych, ale tém żarliwiej prowadzonych przez Hochstratena i sprzymierzeńców. Rezultatem tym było uzyskane przez nich od papieża unieważnienie wyroku spirskiego. Nie zawierało ono wprawdzie potępienia Reuchlina, lecz oznaczało jeno niaby odesłanie sprawy znowu do pierwszej instancji. W każdym jednak razie przebija zeń jasno zmiana usposobień, jakie zapanowały teraz w Rzymie głównie w skutek wzrastającego coraz silniejszego ruchu reformatorskiego, poczytywanego za ciąg dalszy i następstwo działalności humanistycznej. Mimo to, dominikanie słowa dotrzymali. Podczas zjazdu mnichów we Frankfurcie (1520)—*Sickingen* stał prawie u bram miasta—zebrał więc sąd polubowny i wydał uchwałę, zalecającą dominikanom wyprawienie do Rzymu pisma, w którym mieli uprosić zaniechanie sporu, zniesienie unieważnienia wyroku milczenia. Oprócz tego zobowiązali się dominikanie nigdy ponownie walki nie wszczynać. Pismo takie, czy to wypływające z istotnych przekonań zgromadzenia, czy też podyktowane tylko obawą i koniecznością, rzeczywiście poszło do Rzymu. Reuchlin ze swjej strony zawiadomił o jego istnieniu i treści starych, wypróbowanych protektorów rzymskich i zagrzewał ich do ostatniego już, jak się spodziewał, nieznanego, ale zwycięskiego sił wyciężenia.

Jednakże nadzieje go zawiodły! W tymże samym Rzymie, gdzie miasto religii chrześcijańskiej urzędowem niemal uznaniem cieszył

się poganizm; gdzie język i literatura hebrajska takież doznawały życzliwości, iż w uniwersytecie rzymskim ustanowiono katedrę tych przedmiotów, a papież ogłosił odezwę zapraszającą do drukowania talmudu; gdzie humanizm nie był jeno rzeczą amatorstwa kółek pojedynczych, lecz uchodził za element życia ludzi ukształconych; gdzie specjalnie Reuchlin, jak się wyraził pewien zapalony młody humanista niemiecki, „żył na ustach i w sercu wszystkich”: w tymże samym Rzymie religia żydowska została potępiona, literatura hebrajska uznana za zgubną, humanizm zagrożony, a Reuchlin winnym osądzony. Rzeczywiście bowiem edykt papieski z dnia 23 czerwca 1520 r. ponawia unieważnienie wyroku spirskiego; „Augenspiegel” jako książkę gorszącą, pobożnym chrześcijanom wstrętną, a żydom nadmiernie przychylną, wciąga do spisu dzieł wzbronionych i niszczy; Reuchlina zaś skazuje na wieczne milczenie i zapłacenie wszystkich kosztów procesu.

Podobne, wbrew wszelkim oczekiwaniom rozstrzygnięcie kwestyi wywarło na humanistów niemieckich tak małe wrażenie, iż zaledwie jeden wspomina o niém współczesnik. Dopiero w najnowszych czasach wydobyły wyrok na światło dzienne badania archiwalne. Gdzież źródło tego osobliwszego lekceważenia? Tkwi ono nie tylko w obojętności na edykty papieskie, ale i w świadomości, że owa decyzja ujawnia jeno ponownie sprawę oddawna już, lecz w inném rozumieniu, rozstrzygniętą. Humanisci niemieccy mało pytają o wyrok spirski lub nakaz rzymski, o opinię Reuchlina lub o talmud; patrzą niby obojętnie, że przywódcę ich zaatakowali mężowie, którzy już dla swego powołania a bardziej jeszcze dla swych przekonań są przez nich znienawidzeni. Zachowują się w ten sposób, ponieważ z wyrokiem wrogów załatwili się dawno i trybunału rzymskiego nie potrzebowali. Trybunałem humanistów była opinia publiczna, ich oskarżeniami i obronami były satyry i poezye. Walkę przeciw nieprzyjaciółom, których zdolności umysłowe dobrze znali, a ich krecie machinacye tajemne lekce cenili, rozpoczynali z zupełną pewnością zwycięstwa; kończyli zaś z przeświadczeniem, że wróg ze wszystkich szanów wyparty i na wsze czasy zmiądzony.

Równocześnie prawie z wytoczeniem procesu w Moguncyi, zaczęła się druga edycja walki literackiej. W pierwszej jedynymi zapaśnikami byli Reuchlin i Pfefferkorn; w drugiej stanęli obaj poza szeregiem swych sprzymierzeńców; tamten ma ich w humanistach niemieckich, ten w dominikanach kolońskich.

Sam Reuchlin rzadko chwycił za pióro. W 1513 r. wydał gwałtowną „Obronę przeciw kolońskim potwarcom” (*calumniatores*; odtąd wyrazu tego w formach pochodnych używano nieraz do obelżywej gry słów, np. *calumnienses* przez asonancyę do *Colonienses*). Przedmo-

wy i dedykacje późniejszych prac naukowych poświęcał obronie honoru własnego oraz prośbom do przyjaciół możliwych. Ogłosił także dwa zbiory listów, pisanych przez różnych ludzi: *Epistolae clarorum virorum* (1514) i *Epistolae illustrium virorum* (1519); rzeka się tu samoobrony, ponieważ świadectwa sławnych mężów dostatecznie za nim przemawiały.

Ruchliwszym był *Pfefferkorn*. Wziąwszy całą sprawę za zadanie życia, bronił jej od 1514 do 1521 r. w czterech pismach niemieckich, łacińskie bowiem wydane pod jego imieniem, są cudzego pióra. Jeżeli prace te: „Dzwon alarmowy, Obrona, Książeczka polemiczna, Skarga miłosierna”, porównamy z publikacjami dawniejszemi, spostrzeżemy różnicę charakterystyczną. Gromienie żydów, wyłączny dotąd temat pism jego, słabnie teraz jeśli nie znika całkowicie. Na pierwszym planie stoi obecnie walka przeciw *Reuchlinowi*. W prozie, wierszu i pieśni ośmiesza go i zożydza jako człowieka bez nauki, potwarcę i dwujęzycznego; epitetem dwujęzyczności obdarza przeciwnika, już to robiąc aluzje do sławy zdobytej przezeń znajomością dwu (właściwie trzech) języków, już to oznaczając sprzeczności, w jakich się miał uwickać. Główne jednak miejsce we wszystkich tych broszurach zajmuje żywioł osobisty; mówi autor dużo o sobie i pragnie się oczyścić od wszelkich zarzutów. Jedna z nich dzwoni wprawdzie na trwozę przeciw *Reuchlinowi*, grzesznikowi i zbrodniarzowi, a druga użala się nad nim, jak gdyby oddawna już był stracony, i po zmarłym roni łzy krokodyle, ale dwie inne, i to główne, pomimo tonu namiętnego tudzież min oskarżycielskich są poświęcone samoobronie, rehabilitacji honoru, niesłusznie, jak mówi, dotkniętego i ciężko znieważonego. Nas mało obchodzi, czy wojowniczy nieprzyjaciel humanistów był w Dachau rzeźnikiem i czy wskutek oskarżenia o kradzież został pozbawiony praw obywatelstwa. Nie możemy jednak pominąć faktu, że posądzenia tego rodzaju pragnie rozproszyć, że komunikuje pochwałę otrzymaną od miasta Norymbergi, listy żelazne i pisma rekomendacyjne cesarza oraz książąt świeckich i duchownych. Wszystko to wybornie przecie charakteryzuje człowieka, który wysoce zasłużonemu mężowi zatruł goryczą ostatni lat dziesiętek, który wraz z jednomyślnymi sojusznikami żywił niedorzeczną nadzieję, iż zniweczy taką potęgę duchową, jaką był humanizm.

O ile obaj główni zapaśnicy pisali mało, o tyle każdy z nich ma liczny zastęp sprzymierzeńców, wojujących piórem. Stronnicy *Reuchlina*, znani przedtęm pod ogólném mianem uprawiaczów sztuk lub studyów humanistycznych (*artes, studium humanitatis*), nazywają się teraz reuchlinistami. Obok armii złożonej z wojowników najprzedniejszych istnieją hufce drobne, do których się cisną poządliwie rycerze mniej głośni, aby i ich nazwiska uderzały oko w szeregach imion waleczni-

ków najcelniejszych. Przeciwnicy nazywani są powszechnie *obscuri viri*, dosłownie: nieznan, ciemni mężowie. Ochrzcili ich tak humaniści w przeciwstawieniu do *clari viri*, jaśni, sławni mężowie, których listy zebrał *Reuchlin*. Potomność zaś nazywa i piętnuje ten obóz mianem „Dunkelmänner” (ciemni mężowie)¹⁾. Nazwę tę nosiła klasyczna satyra humanistów: *Epistolae obscurorum virorum* zawdzięczająca byt swój przeważnie *Huttenowi* i *Crotusowi Rubeanowi*. Obaj oni wpośród reuchlinistów, górujących liczbą i umysłem, są z ruchliwych najruchliwsi. Partya Kolończyków mniej liczna a przedewszystkiem mniej zasobna w siły literackie, zajmuje stanowisko raczej obronne niż zaczepne. Na czele ich stoją *Hochstraten* i *Ortwin Gratius*; tamten ponury kaznodzieja, ten poeta stronnictwa.

Listy ciemnych mężów ukazały się w dwu częściach (1517 i 1519 r.) bez nazwiska autora z fałszywem oznaczeniem miejsca druku, z dodaniem śmiałego zmyślenia, jakoby przyjaźnie je przyjął *Leon X*. Wszystkie te ostrożności na nic się nie przydały. Humanisci i antyhumanisci w błąd się wprowadzić nie pozwolili. Jedni i drudzy odrazu się domyślili lub niebawem spostrzegli, że dzieło pochodzi z obozu reuchlinistów i że wcale nie ma na celu wysławiać papieżstwa i duchowieństwa. Autorstwo przypisują słusznie obu powyż wymienionym. Jużci wzięli niejaki udział w pracy inni także humanisci, którzy chcieli wywalczyć sobie zwycięstwo w swarach prywatnych lub dawne uwiecznić zatargi, jak np. *Busch*, przypominając zacieklego swego wroga *Tillemanna Heuerlinga*. Zakończenie tomu pierwszego nosi znamię specyficznie alzackie.

Listy ciemnych mężów udają, iż są listami zwolenników partyi kolońskiej, zamieszkałych w różnych miejscowościach; piszą je oni niby do *Ortwina Gratiusa*. *Gratius* jest ich bogiem; *Gratius* — teolog, prawnik, lekarz, przedewszystkiem poeta; *Gratius* — mistrz we wszystkich sztukach wyzwolonych. Do niego właśnie zwracają się „rurawaci i uciech żądni, przejęci głupim podziwem i nienawiścią fanatyczną ograniczeni popi niemieccy”. Już nazwiskami swemi sprawiają wrażenie komiczne. A oto one: *Langschneiderius*, *Hafenmuisius*, *Straussfederius*, *Scheerschleiferius*, *Buntemantellus*, *Eitelnarabianus*, *Dollkopffius* i *Tillemann Lumplin*. Jak w nazwiskach, podobnież i w listach samych posługują się autorowie najzabawniejszą mieszaniną niemieczyzny i łaciny. Przedimek nieokreślny oddają słowem *unus* a określny — zaimkiem *hic*. Zdaje się, że każdy frazes pomysłany jest naprzód w najpospolitszej niemieczyźnie a następnie przetłómaczony na język łaciński z prawdziwie artystycznym znieważaniem

¹⁾ U nas utarła się nazwa „obskurantów”. (przyp. tłóm.).

jako tako znośnej łaciny. Obrazy i porównania, adresy i podpisy, kojarzenie rzeczy poważnych z niedorzecznościami, sposób wyrażania grzeczności i formuły pozdrowień świadczą, że autorowie listów zupełnie pozbawieni są gustu. Pozdrowienie następujące nie należy jeszcze do najgorszych:

Ile kropel woda oceanu liczy,
Ile Beginek w Kolonii się włóczy,
Ile włosów ma skóra osła w sobie,
Tyle pozdrowień głośno składam Tobie.

Trzymają się wytrwale starych zwyczajów, pyszną się tytułami magistra i doktora a w przeciwnikach godności akademickich widzą najgorszych swych wrogów. Nie posiadają wykształcenia, nie znają nic wyższego nad przestarzałe i zmurszałe swe podręczniki, zadowoleni są całkowicie ze swęj działalności nienaukowej, z bezużytecznego i bezowocnego ćwiczenia częzłej bystrości rozumu; z dumą pogardą patrzą na poetów i mówców nowomodnych, hołdujących pięknej formie, a z zajądłością inkwizytorską spozierają na miłośników starożytności, wielbiących bóstwa pogańskie. Gburowaci i nieobyczajni, hulają i rozpustują, prostacy lub cynicy uganiają się za miłosniami awanturkami, spowiadają się z nich napóły poządliwi, na póły skruszeni; wiedzą przecieć, że mistrz *Ortwin* ma kochankę w żonce *Pfefferkorna* i że będzie pobłażliwym sędzią wykroczeń płciowych. Poczytują siebie za prawdziwych kapłanów, ponieważ odprawiają mszę i wszelkich przestrzegają ceremonij; srożą się na kaznodziejów, którzy mówią prosto i bez sztuczek, którzy utyskują na koleżeństwo, piorunują przeciw kumulacyi beneficjów, gromią złe obyczaje duchowieństwa a ewangelię stawiają wyżej nad wyrok papieski. Ale przede wszystkim są antyreuchlinistami. Roztrząsają gorliwie każdy pamflet Kolończyków i budują się nim, potępiają pisma humanistów, nie czytając ich nawet, wikłają się w ciężkie zatargi z dzielnymi przedstawicielami nowej partyi.

Czytelnikowi niemieckiemu [a tém bardziej polskiemu], któremu łacina jest obca, o Listach ciemnych mężów nie podobna prawie dać wyobrażenia głównie dlatego, że w tłómaczeniu (polskiem) znika powab, spoczywający właśnie w cudackiej pstrokaciznie niemiecko-łacińskiej. W każdym razie ośmielamy się przytoczyć w przekładzie ułamek najprzedniejszej części całego zbioru. Jestto list magistra *Filipa Schlauraffa* opisującego podróż po miastach niemieckich oraz nieprzyjemności, jakich doznał od reuchlinistów. Opowiadanie toczy się w niesłychanie lichych rymowanych wierszach łacińskich. Niektóre miejsca w opisie podróży oddajemy, zgodnie z oryginałem, w wierszach umyślnie zbudowanych źle i nieprawidłowo:

Wielki Boże, Chryste Panie, W Tobie całe me ufanie,
 Tyś mię bronił w łaskawości, Przeciw wrogów wszelkiej złości!
 Ześlij czarta życzliwie, Co powlecze na hak skwapliwie
 Poetę i prawnika, Od których mnie ucisk dotyka...
 We wszech miastach wiele złego, Nigdy życia wesolego.
 Do Wiedniam skierował kroki, Złe mię wiodły tam wyroki.
 Rektorem był *Collimitius*, Niech błogosławi mu święty Antonius,
 Zdrajca mię imionował, W karczer nieledwie wpakował,
 Lecz mnie uratował *Heckman*. Jednak tego praży *Vadian*;
 Ten wziął mnie sobie na cel, Bo *Pfefferkorn* nieprzyjaciel
 W polemice mu ubliżył, Więc się na mnie za to szurzył.
 Niewinnie krzywdę znosiłem, Toż z płaczem go prosiłem,
 By puścił mię swobodnie, Lecz pojmać mnie radził niegodnie
 Rządca liliowój bursy, Który przybył mu w sukursy.
 Potem rzekł *Cuspinianus*, co go lubi *Marimilianus*,
 Magistry sztuk wyzwolonych, Bądźcie doktormi bojowisk szalo-
 [nych....

Przed jego gniewem — ja w nogi, Do Norymbergi szukam drogi.
 Tam mieszka *Pirckheimer*, Wiecie, ten co zgoła nie magister,
 Pisze on dyalogi, I gromi nas teologi,
 A dalej, co nie bez ale, *Pro Capnione* stoi całe,
 Związany z jego sojuszniki, Gotuje nam psikusiki...
 Nie lepiej mi i w Erfurcie, Tu profesory tną po kurcie.
Aperbach rozpoczął tan, Dręczył mię *Hesse Eoban*,
 Krzyknął, by mię na ulicy, Zbitego porzucić w krwawicy,
 I rzekł, synkowie mili, Byście mu wsze zęby wybili,
 Toć to teologikus, Reuchlinowi wielki wisus;
 Potem wrzasnął *Crot Rubeanus*: A cóż to za beanus
 Nikomu nie znany w świecie? Więc rzeknę i jam doktor przecie...
 Złe w Tübindze całkowicie, Reuchlinistów tłum widzicie,
 Piszą tam liczne arkusze, Dla teologów katusze.
 Najgorszym jest *Melanchton*, Uderza w najszpetniejszy ton
 Aby mózł go ujrzyć w grobie, Ślubuję Maryo, Tobie
 Odbyć pielgrzymkę daleką, Uczynię ją z chęcią wielką.
 Mistrz *Bebel* też się znajduje, *Brassikana* czyż znać potrzebuję?
 I *Vereandr* wie dzie życie, Wszyscy przysięgli się skrycie
 Skórę dobrze mi zgarbować, Gdybym chciał się pokazać;
 Pewnobym się nie salwował, Gdyby frater mię nie zratował.

W chwili ukazania się, Listy ciemnych mężów sprawiły wrażenie, jakgdyby istotnie były płodem wojowniczej partyi mnichów. W Anglii mnisi zakonów zebrzących cieszyli się, że wyszła książka dla nich pochlebna. W Brabancie jakiś przeor dominikański zakupił pewną

liczbę egzemplarzy, aby obdarować nimi przełożonych. Nawet w Niemczech wielu ludziło się czas jakiś i nie od razu przejrżeli tendencyę, chociaż stosunki znali zblizka. W każdym razie list końcowy części drugiej wszelką usuwał wątpliwość. W liście tym albowiem magister *Malleolus* „z raję” niemilosiernie chłoszcze *Ortuina*, że przesładuje pobożnych mężów niby heretyków, że broni barbarzyńców, że spotwarza poetów i łacinników. Zamyka wreszcie potępiające pismo gniewnym okrzykiem: „Idź do dyabła z całą twą kliką!” Gwałt, jaki podnieśli teraz Kolończycy, dowodził najwyraźniej, że cios nieprzyjacielski trafił w sedno.

Głównym przedmiotem napaści w Listach ciemnych mężów jest *Ortwin Gratius*. To też odpowiedział na nie w pamfletach gwałtownych, lecz wielce niedowcipnych. Jego *Lamentationes obscurorum virorum* są tēm mniej dowcipne, że autor użył, w znaczeniu, rozumie się, wręcz przeciwném, fikcyi wrogów. W innych pismach humanistów wyłącznym niemal celem satyry jest *Hochstraten*. *Hochstraten*, sędzia inkwizycyjny, usilne czynił w Rzymie zabiegi, krętami chadzając drogami; pieniędzmi i podstępem wpływowych zjednywał mężów. On był duszą partyi, on był sprawcą wyroku rzymskiego. W dwu apologiach odpierał ataki humanistów, a w jedném piśmie zaczepném starał się zniszczyć Kabałę i zmiażdżyć cały obóz humanistyczny. Jak wielkie przypisywano *Hochstratenowi* znaczenie, dość powiedzieć, że nawet przezorny i spokojny *Erazm* zdecydował się wyprawić doń pismo z przestrogami, lubo osobiście go nie znał wcale. W liście swym nie występuje jako przedstawiciel stronnictwa, lecz raczej w charakterze pośrednika. Nakłania więc inkwizytora, podobnie jak dawniej upominał humanistów, do umiarkowania w walce, do przyspieszenia pokoju. „Tobie to przystoi” — woła *Erazm* — „zaniechać obelg, przystoi to twemu honorowi, sławie stanu, do którego należysz, sławie studyów, które tak godnie uprawiasz. Oddziel osobę od rzeczy. Człowiek może błędzić, więc należy jego błędy gromić, lecz czci nie tykać; jego naukę należy szanować, ponieważ teologii nie zaciemnia, lecz ją rozjaśnia, nie zwalcza, lecz posuwa ją naprzód”. Inni humaniści nie zgadzali się bynajmniej ze zdaniem *Erasma*, że *Hochstraten* zajmuje się studyami w sposób godny szacunku. Przeciwnie! Wyszydzali jego żądę błyszczenia uczoneością, przy braku wszelkich kwalifikacyj na uczonego. Kilka pism ten właśnie przedmiot obrabiało. Najostrzejszēm z nich, i to tēm ostrzejszēm, że wymierzone przeciw wrogowi, który pozornie odniósł zwycięstwo, jest *Hochstratus ovans*, 1521 (*Hochstraten* tryumfujący). Występuje tu na scenę sam *Hochstraten* i jego działania. Czytamy więc, jak opowiada o swych wykrętach i intrygach; jak się chełpi swém nieuctwem i swą błyskotliwą półuczoneością; jak obraduje z sojusznikami nad dalszymi

planami walki; jak podczas narad zapala się do tego stopnia, że go-tów z własnymi pomocnikami bój rozpocząć; jak wreszcie zawodzi pieśń tryumfalną na cześć odzierzonego zwycięstwa.

Faktycznie otrzymał zwycięstwo na drodze prawnej. Ale huma-niści silnie żywili przekonanie, że wygrana, bez wyroku nawet sądo-wego, po ich jest stronie. Najwyraźniejszym takich usposobień świa-ductwem jest „Tryumf Reuchlina” (*Triumphus Capnionis*), ogłoszony na trzy lata przed ostatecznym wyrokiem; przedstawiono tu *Hochstratena* pokonanego i upokorzonego. *Dürer* rozpoczął 1512 r. malować wielki obraz, przedstawiający tryumfalny wjazd Cesarza. Wspaniałe dzieło zainteresowało mocno koła humanistyczne, którym podobało się tego rodzaju uświetnienie chwały, zwłaszcza że przypominało zwyczaje starożytne. Otóż nieznany artysta, podniecony pracą *Dürera*, narysował Tryumf *Reuchlina*. Z rysownikiem sprzymierzył się poeta—również dokładnie niewiadomy. Jest nim, co najprawdopodobniejsza, albo *Hutten*, występujący pod przybraném imieniem *Eleutheriusa By-zenusa*, albo też *Busch*, który, pod pseudonimem *Acciusa Neobiusa*, miał także napisać Tryumf *Reuchlina*. Obraz i poemat w ścisłym ze sobą pozostają związku. Oba wystawiają wjazd tryumfalny sławionego męża, jaki mu zgotowali za powrotem do rodzinnego miasta, Pforz-heimu, ziomkowie i wielbicielce niemieccy.

Pochód ¹⁾ przeciąga po ulicach, usypanych liśćmi i kwieciami, wśród domów uroczyście przystrojonych. Na czele niosą oręż i bożyszcza zwyciężonych. Orężem są wyobrażone w figurach: wnioski i dowody sofistyczne, kupione tytuły, zakrwawione sztylety, stopy i t. p., boży-szczami zaś cztery potwory: przesąd, barbarzyństwo, nieuctwo i za-zdrość, których przerażający opis skreślił poeta w guście allegorycz-nym. Dalej kroczą wrogowie pokonani, a więc: *Hochstraten*, oraz ognisty, ogień chłonący i ogniem ziejący, powtarzający co drugie słowo: „w ogień”, pijani i zawistny *Ortwin Gratius*; ambitny świętoszek *Arnold von Tungern*; Judasz *Pfefferkorn*, którego każe poeta katowi okaleczyć i za nogi wlec po ziemi; wreszcie nieprzyjaciele *Reuchlina* z Moguncyi i Frankfurtu, dwaj proboszcze żarliwi, którzy przywódcę humanistów z ambony nawet głosili kacerzem. Za jeńcami postępują byki ofiarne, opodal muzyka i śpiewacy, zawodzący pieśń pochwalną na cześć *Capniona*. W końcu ukazuje się czcigodna postać tryumfatora na rydwanie, ozdobionym wszelkiego rodzaju szlachetną zielenią i kwieciami; osiwiłał jego skroń otacza bluszczy i wawrzyn; w ręce prawej dzierży „Augenspiegel” a w lewej gałązkę oliwną. Pochód

¹⁾ Opis pochodu wyjęty ze Straussa: „Ulrich v. Hutten”, str. 171. (Przyp. Autora).

zamyka z uwiecznionymi wrogami tłum prawników i poetów, których zwycięzca ocalił od zguby, przeznaczonęj i im także przez obskurantów.

O wiele ważniejszym niż pomysł wjazdu tryumfalnego jest nastrój, który mu dał życie. Wszystkich przenika oto gorejąca nienawiść względem przeciwników, wrogów nauki, wrogów rzeczywistej moralności i prawdziwój wiary, wrogów, co i w czasach dawniejszych dopuszczali się różnych występków; wszystkich ożywia uwielbienie entuzjastyczne dla *Reuchlina*: w tym przecież wypadku jestto entuzjazm dla sprawy wolności i nauki, wcielonych w osobę przywódcy a zagrożonych wysiłkami nieprzyjaciół.

Zresztą, gdzie tylko okiem rzucić, wszędy w obozie humanistów panuje nastrój jednaki i jedno życzenie, aby nastrój ten uzewnętrznić. Nie przesadzimy, mówiąc, że w ciągu lat kilku, mniej więcej od 1512 do 1517, sprawa Reuchlina ujarzmiła całkowicie umysły i serca Niemców. W licznych książkach — Böcking znalazł ich od 1505 do 1521 roku 44 — w tysiącach listów ją obrabiają, każde wydarzenie opowiadają i komentują. Powtarzają się nieustannie te same myśli, często te same słowa; ale ludzie zawsze z nową słuchają ciekawością tego, co umysł zajmuje. W sporze niemieckim bierze nawet udział zagranica. Anglia, pozyskana dla humanizmu przez Erazma; Francya, bez względu na wyrok paryski, Kolończykom miły a dla Reuchlina nieprzychylny; Włochy, pomimo gorliwych wysiłków humanistów, pomimo udaną czy rzeczywistą obojętność dla spraw niemieckich — wszystkie te kraje mają swych reuchlinistów, którzy w listach i broszurach mistrzowi przyklaskują i cześć wyrażają. W Niemczech ogniskiem partyi reuchlińskiej jest Erfurt. Stąd wychodzi na świat mnóstwo pism bezimiennych, po większej części satyrycznych; obskurantom szkodzą one bardziej niż folianty najuczeńsze. Tam głosi z zapalem chwałę Reuchlina Mutian z towarzyszami; z zupełnem uznaniem, bez krzty zawiści, schyla czoło przed wyższym od siebie. Dla scharakteryzowania powszechnych holdów, tętniących nieraz przesadą, wystarczy wyjątek z listu *Euriciusa Cordusa*: „Bądź mi pozdrowion, po raz wtóry i po raz trzeci, bądź pozdrowion, najlepszy, najuczeńszy, najnieśkazitelniejszy Reuchlinie. Na przekór tyłu szkaradnym poczwarom, wyłaniającym się ze starych brudów barbarzyństwa, wołam ponownie: bądź pozdrowion, Ty, Herkulesie niezwalczony; Ty, obrońco uczonych; Ty, najśodszy Muz klejnocie. Kocham Cię bardziej niż przyjaciel twój najlepszy; najwyższem mojem pragnieniem ujrzeć oblicze twoje. Sam pośpieszyć do Ciebie nie mogę, cieszę się więc wiadomościami, które druhowie o tobie przynoszą. Napawam się radością, gdy zwiastują rzeczy pomyślne; ale ty zwyciężyć musisz: zwyciężaj co rychlęj, nie zostawiaj nas w oczekiwaniu trwożném”.

Wynurzeniami podobnemi, częstokroć bujniejszymi jeszcze, a jednak niekłamiwemi bynajmniej, roi się korespondencya Reuchlina. Dowodzą one wysokiej czci dla jego osoby, świadczą o niesłychanym entuzjazmie dla sprawy przezeń bronionej, która w ciągu lat kilku do tego stopnia górowała nad umysłowymi sprawami narodu, iż mógłbyś sądzić, że ona jedynie całą pochłaniała uwagę. Od roku 1518 zmienia się położenie. Obok humanizmu staje reformacya, a niebawem weźmie nad nim przewagę i ostatecznie sama jeno umysłami narodu owładnie.

Reformatorem nie jest Reuchlin wcale. Wobec kościoła starego okazuje śmiałość niezwykłą — ale nie przestaje być nigdy wiernym jego synem. Chociaż przyjęte tłumaczenie biblii gani i daje nadeń pierwszeństwo „prawdzie hebrajskiej”; chociaż komentatorów średniowiecznych łaje, i zamiast ich przewodnictwem, woli własnej ufać wiedzy: z témwszystkiem przecież szczegółowe swe poglądy i cały swój system poddaje sądowi kościoła. Wypowiadał nieraz zdania swobodniejsze o papieństwie i duchowieństwie; gromił, przy sposobności, handel relikwiami; odkrywał, — z polecenia innych, co prawda — przed papieżem wykryty sług jego; z męską odwagą domagał się odeń praw, których papież nie chciał przyznać: ale pomimo to uważa papieństwo za autorytet najwyższy i nietykalny. Potępia więc wszystkich, co ten autorytet papieski podrywali i ponieśli też za to karę. Pochwala stos *Savonaroli*, nie przeto, iżby poczytywał słynnego Włocha za przeciwnika humanistów, ale że ma go za heretyka; uczuwa wstręt do zabiegów Hansa Böhmeo, prostego chłopca, który, na pół wieku niemal przed Lutrem, głosił zasady reformatorskie i rewolucyjne, a rojenia swe przypłacił śmiercią.

Wysoki szacunek dla kościoła, przekonanie, iż niewiernymi i heretykami są ci, co zwalczali powagę duchowną i nauki kościoła, lękliwość wreszcie męża, starzejącego się i mocno losami doświadczonego — zakreśliły jego stanowisko względem reformacyi. Upatrywał w niej Reuchlin gwałtowne łamanie porządku silnie ustalonego, niewłaściwość wystąpienia jednostki przeciw woli ogólnej, bał się, znając wybiegi księży, nieprzyjemności dla własnej osoby. Aczkolwiek tedy cenił bardzo naukę Lutra, aczkolwiek przez Melanchtona, swego wnuka stryjecznego, zostawał w blizkich stosunkach z kołami reformatorskimi, odpierał jednak wszelkie łączenie sprawy Lutra ze swoją i zerwał z krewniakiem, gdy ten niczém odciągnąć się nie dał od reformacyi. Ani jedno wynurzenie, ani jeden czyn w życiu jego nie upoważnia do przypisywania mu sposobu myślenia reformatorskiego. Powtarzana często opowieść, jakoby przyjaciela, gościnnego Jana Ecka, odwiódł od spalenia ksiąg Lutra w Ingolstadzie, dowodzi jeno, że sam odczuwał za bardzo nienawiść gorliwców, że na własnym

przykładzie poznał aż zanadto dobrze bezowocność prześladowań literackich. Reformację ganił bezwarunkowo i oświadczał wyraźnie, że żyje i umrze według przepisów kościoła dawnego. Uczynił to, zdaje się, po ogłoszeniu przeciw Lutrowi bulli papieskiej, w orędziu do książąt bawarskich. Pisma tego nie znamy, ale znamy rozgoryczony list Huttena do mistrza, niegdyś wielce czczonego (22 lutego 1521 r.). List Huttena—to stanowcze zerwanie przyjaźni, to wyzwanie do walki starych ze strony młodych, to nieprzeparaty wybuch wrzającej namiętności przeciw ostrożnej rozwadze, to zarazem szyderstwo znawcy świata i ludzi wobec prostactwa i łatwowierności. Oto, co pisze Hutten: „Gdybyś nawet potępieniem nauk Lutra uwolnił się od klątwy Rzymu, ja i w takim razie uważałbym ci za hańbę, iż zwalczasz partję tych, których powinien-byś sojusznikiem być w każdej sprawie zaszczytnj... Ale nie: spróbuj więc i, jeśli ci wiek sędziwy pozwala, ruszaj do Rzymu, dokąd się rwiesz tak gorąco, ucałuj stopę papieża Leona, ale pisz przeciw nam, ile dusza pragnie”.

Reuchlin do Rzymu nie pojechał. Nie wiadomo, azali się poddał papieżowi. Przeciw protestantom zapewne nic nie pisał, ale do końca dni żył ze swemi nadziejami i ze swoją samotnością. Terazniejszość go nie cieszyła, a przyszłość posępną napępiała trwogą.

Reuchlin dokonał sławnego i pracowitego żywota 30 czerwca 1522 r., znużony życiem, ale nie pracą. Toż do ostatniego tchnienia pałał żądzą nauczania. Jest zaiste coś rozczulającego, kiedy patrzymy, jak ten starzec zgrzybiały, złamany wiekiem, skolatany ciężkimi doświadczeniami życia, ochoczo i radośnie obejmuje katedrę uniwersytecką; jak wobec uznania możnych i natłoku chciwych wiedzy uczniów nowe zdaje się odzyskiwać siły. *Reuchlin* nie należy do rzędu umysłów twórczych, co w dziełach swych wnoszą nieśmiertelne pomniki, pełne wiekuistej świeżości, dostarczające wszystkim pokoleniom rozkoszy wielkich i wzniosłych; boć *Reuchlin* nie jest artystą, nie jest też i myślicielem, któryby miał odwagę ostateczne wysnuć konsekwencye. Ale jest badaczem niestrudzonym, uczonym wielostronnym, śmiałym w nieznanych krajach wiedzy pionierem, nieustraszonym przyjacielem prawdy. Prawdą zaś nie jest dlań ani pogląd tradycyjny, ani dogmat nakazany, — jest nią jeno przekonanie samodzielniem dociekaniem zdobyte. Dążenie do prawdy kreśli sam w pięknym słowach: „Kocham św. Hieronima, pochylał głowę przed *Mikolajem de Lyra*, ale prawdę tylko czcę jako Boga”.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Dezyderyusz Erazm.

W szeregu holdów ku uczczeniu Reuchlina jedno z najprzedniejszych miejsc zajmuje „Apoteoza Reuchlina”, rodzaj wizyi, jaką miał pono pewien franciszkan w chwili śmierci słynnego męża.

Poza mostem przez strumień wiodącym ujrzał jasnowidz wspinałą łąkę. Ku mostowi zbliżał się Reuchlin w białą przyobleczoną szatę; za nim postępował piękny chłopiec skrzydlaty, dobry jego gieniusz. Wielkie czarne ptaki ścigały go, kracząc; Reuchlin odwrócił się, zrobił krzyż w powietrzu, a znakiem tym i słowem swoim odpędził je od siebie. U mostu przyjął go znawca języków, Hieronim święty, powitał jako kolegę, i podał mu suknię obszytą językami trójbarwnymi, na znak trzech języków obu im znanych. łąkę i powietrze zapelniali aniołowie. Na pagórek, wśród łąki sterczący, spuścił się z otwartego nieba słup ognisty. W nim obaj błogosławieni, ściskając się, wznoszą się ku niebu przy dźwiękach pieśni chórów anielskich ⁴⁾.

Autorem „Apoteozy *Reuchlina*” jest *Desiderius Erasmus*. Pisząc ją, nie był on młodzieńcem entuzjastycznym, lecz mężem w pełni sił i na szczycie sławy. Dawniej nie zawsze oceniał bezstronnie swego współczesnika i współnika sławy, aczkolwiek umiał przytłumić każde

⁴⁾ Podług analizy *D. Fr. Straussa: Ulrich von Hutten*, str. 484. (przyp. Autora).

uczucie zazdrości względem niego. Posiadał bowiem zalety, jakie i tamtego zdobyły, mianowicie: naukę wielostronną i nieukojoną żądę badań, ale celował zarazem zdolnościami, jakich tamtemu niedostawało, t. j. wytwornością stylu i dowcipem, tryskającym z każdego niemal słowa. Mógł się przytém poszczycić daleko większym niż *Reuchlin* wpływem bezpośrednim na bliźnich oraz uczestnictwem w doniosłych sprawach owoczesnych.

Dezyderyusz Erazm urodził się 28 października 1467 w Rotterdamie, umarł 13 lipca 1536 r. w Bazylei. Był nieprawym synem *Gerharda de Praet*, który przez niewczesne wotum udaremnił możność zaślubienia matki dziecięcia. W latach pierwszej młodości utracił ojca i matkę, którzy, zbiegiem wrogich okoliczności, nie mogli zapewnić chłopcu życia prawdziwie rodzinnego. Początkowo kształcił się w Deventer, następnie pragnął poświęcić się studjom uniwersyteckim. Ale, jużto ulegając naciskowi opiekunów, którzy radziby od niego się uwolnić, jużto pociągnięty entuzjastycznymi opisami przyjaciela, *Korneliusza Werdemusa*, wstąpił do klasztoru w Stein (Emmaus) pod Gouda. Pozorne zerwanie ze światem ani nie rozbudziło w nim skłonności klasztornych, ani też nie zniweczyło zamiłowania do studyów. Chociaż bowiem napisał książkę „O pogardzie świata”, w której wyłożył przyczyny, jakie zniewoliły pewnego młodzieńca do życia zakonnego, uczynił to bardziej dla dogodzenia życzeniom pewnego mnicha i gwoli gustowi tamtoczesnemu, aniżeli dla wyrażenia własnego sposobu myślenia. Owszem, w klasztorze dopiero nabrał przekonania antyklasztornych i w habicie zakonnym dopiero przejął się duchem silniej jeszcze antyzakonnym. Usposobienie wrogie ujawniał nie tylko cichą i głośną walką przeciw przepisom klasztornym, lecz także szeregiem broszur, w których wypowiadał entuzjastyczny zapal dla wykształcenia humanistycznego oraz nienawiść przeciw zawodowi duchownemu, kojarzającemu się nader często z nienctwem.

Pomimo wstępu takiego udało mu się opuścić mury klasztorne dopiero w roku 1491. Krok ten, oddawna upragniony, spowodowało wezwanie biskupa kambrejskiego, który, w zamierzonej do Rzymu podróży, szukając za towarzysza jakiego młodego uczonego, wybrał właśnie Erazma. Co prawda, nie wyjechał Erazm wtedy do Rzymu, ale pożegnał się na wieki z klasztorem. W Cambrai znalazł przyjaciół, którzy i pomocy materialnej mu udzielili i zawarli z nim trwale serdeczne stosunki. Mimo to przecież życzył sobie gorąco zamieszkać w ognisku nauki i wywierać wpływ na koła szersze. Udał się więc 1496 r. do Kolonii a stamtąd, po krótkim pobycie, do Paryża.

Przez lat dziesięć on, Niderlandczyk, należał do Francji i Anglii, przebywając w Paryżu, Londynie i Oxfordzie. Z tém wszystkiém nie został ani Francuzem, ani Anglikiem. Nawet języki obu narodów,

odobnie jak i niemiecki, były mu zupełnie prawie obcymi. Francuzi i Anglicy, lubo goście okazywali i okazują cześć niezwykłą, nie uważali go jednak za swego współobywatela. Niemcy natomiast już w owęj porze zaczęli go poczytywać za swego współziomka, chociaż sam Erazm o narodowości swęj milczał. Pochodziło to w części z pewnego rodzaju uczucia kosmopolitycznego, w części zaś z pychy, której pochlebiali to, że o jego osobę toczą spór narody. Żądania humanistów niemieckich, tętnące nadmierną niemieckością, aby otwarcie uznał się za Niemca, przyjmował długo z najzupełniejszą oziębłością; bardzo już późno zdecydował się wreszcie mówić o *nostra Germania* (o naszych Niemczech). W każdym razie Niemcy mają prawo nazywać go rodakiem. Nie tylko bowiem historia i zależność polityczna jego ojczyzny zbliża go do Niemców, lecz nadto jeszcze wieloletni pobyt w Niemczech i nierozzerwany związek z umysłowem życiem niemieckim czynią go poniekąd Niemcem. W Niemczech jeno w równęj niemal mierze zasobami ducha obdziela i ze źródeł miejscowych je czerpie; we wszystkich innych krajach czyni tylko bądź jedno bądź drugie. W Italii zaciąga chętnie pożyczki z bogactw kultury krajowej, w Anglii i Francji rozdaje tylko ze swęj skarbnicy, lub, co najwyżej, zagrzewa do wytrwania na raz obranej drodze.

We Francji i Anglii uczył się u Włochów, którzy przypadkowo tamże osiedli i względem których do należnej zresztą nie poczuwał się wdzięczności, nauczał zaś młodych szlachciców, których ochoczo jego pieczy powierzano. O działalności nauczycielskiej, o stosunkach z przyjaciółmi, o ludzie i arystokracji, o wydarzeniach drobnych życia codziennego i ważnych sprawach umysłowych, o zabiegach literackich i politycznych — podaje wiadomości w niezliczonych listach. Listy te, a bardziej jeszcze listy do przyjaciół niżeli również liczne do protektorów, są wieczystymi pomnikami jego wysokiego talentu, jego stylu oryginalnego, tryskającego dowcipem i życiem, pomimo że posługiwał się językiem zamarłym. W listach przypomina *Voltaire'a*, z którym i na innych punktach ma wiele powinowactwa — podobien mu wielostronnością, zamiłowaniem podróży, kosmopolityzmem, wykuintnością, blaskiem zewnętrznym i słabością charakteru. Listy *Erazma* należą do szczupłego szeregu zabytków tych literatury humanistycznej, które pociągają nie tylko formą łatwego, pięknego a jednak nie kunsztownie zdobnego wysłowienia, ale także treścią nieprzestarzałą z powodu ponętnych obrazów życia, pełnych świeżości i w wypadki bogatych.

Przedstawienie wpływu, jaki Erazm wywierał na uczącą się młodzież i na mężów dojrzałych we Francji i Anglii, należy do historii kultury krajów rzeczonych. Tu możemy jeno pokrótce zaznaczyć, że przeistoczenie uniwersytetu paryskiego z twierdzy scholastycyzmu

w ognisko nauki humanistycznej jest po części dziełem Erazma i że Anglia w rzeczy samej jemu zawdzięcza zaznajomienie się z literaturą klasyczną. Węzeł najserdeczniejszej przyjaźni łączył go z *Tomaszem Morusem*, celującym niezłomnością charakteru, uczonym, pełnym wytwornego gustu i subtelnego poczucia moralnego kanclerzem Anglii. I zapewne w życiu Erazma nie masz chwil pod względem ludzkim bardziej ponętnych nad te tygodnie i miesiące, które spędził w bezpośredniemu obcowaniu z tym mężem czcigodnym oraz jego rodziną, zalecającą się siłą ducha i tkliwością serca. Za pośrednictwem Morusa zbliżył się do rodziny królewskiej, poznał późniejszego *Henryka VIII* młodym jeszcze księciem i ofiarował mu poemat. W utworze tym wychwala autor Anglię, jej mieszkańców i jej króla „patriotyczniejszego niż *Dakowie*, bogobojniejszego niż *Numa*, wymowniejszego niż *Nestor*, zręczniejszego dyplomatę niż *Cezar*, szcudroblivszego niż *Mecenas*—ale za mało oszczędnego w szafowaniu krwią poddanych”.

Z Anglii udał się *Erazm* do Włoch (1506 r.), nie w charakterze ucznia, lecz jako mąż rozgłośnego już nazwiska. Kardynałowie i papież, towarzystwa i uniwersytety obsypywały go wysokimi zaszczytami; Erazm przyjmował je niby hołd sobie należny. Po wstąpieniu na tron opiewanego przez się księcia angielskiego, wrócił do Anglii, ale nierychliwa gotowość króla do spełnienia przyrzeczeń oraz objęcie rządów przez *Leona X* sprawiły, iż żałował pośpiesznego z Włoch odjazdu. Bądź co bądź ani Włochy, ani Anglia nie mogły się poszczycić w następnych czasach jego posiadaniem; Niemcy natomiast wybrał za miejsce pobytu i za ojczyznę. Od 1513 r. zamieszkuje w Bazylei, złączony najściślejszą zażyłością z drukarzami miejscowymi, tudzież z kołami literackimi Bazylei i miast sąsiednich. Do Bazylei i Lowanium odprawiają pielgrzymki humaniści niemieccy, pragnąc poznać osobiście słynnego męża i ciesząc się nadzieją, że słowem zachęty lub listem pochlebnym pasować ich będzie na rycerzów myśli. Z Bazylei robi Erazm wycieczki do Anglii i Niderlandów, dokąd go zwabił młody król *Karol*, przyszedł cesarz niemiecki; czas dłuższy zabawiał w Niderlandach, mianowicie w Lowanium, gdzie wspomniany już wyżej trójjęzyczny zakład naukowy zdawał się rokować wspaniały rozwój humanizmowi. Ale spokojna Bazylea, wraz ze swymi ludźmi czynnymi i drukarniami ruchliwymi, ciągnie zawsze uczonego podróżnika do siebie. Dzięki zdumiewającej działalności literackiej i olbrzymiej korespondencji staje się Erazm coraz widoczniejszą wyrocznią Europy, sędzią polubownym w sprawach umysłowych, religijnych i politycznych. Zwracają się doń z prośbą o radę monarchowie i stronnictwa walczące; szanują go jako umysłową potęgę pierwszego rzędu nawet ci, co na jego wyroki zgodzić się

nie mogli. Przeżywszy panowanie humanizmu, wkracza *Erazm* w epokę reformacyi. Jednakże niepodobieństwem mu żyć tam, gdzie reformacya górą. Skoro więc odniosła tryumf w Bazylei, porzuca mędrzec gród ulubiony i przenosi się do Freiburga w Bryzgowii. Tu przebywa, aż do śmierci, utrzymując bliskie stosunki z innymi humanistami, którzy, również jak on, nie mogli swych poglądów religijnych godzić z protestantyzmem.

Na kilka lat przedtém (1534 r.) pojawiła się sztuka satyryczna pod napisem „Widowisko w Paryżu”, napisana prawdopodobnie przez osobistego nieprzyjaciela Erazmowego. Autor scharakteryzował wybornie główne osobistości, żyjące w dobie wielkiego ruchu umysłowego i religijnego. Treść sztuki następująca. W sali królewskiej w Paryżu zasiada zgromadzenie, przedstawiające papieża i kardynałów. Przed nimi goreje ogień, przykryty warstwą popiołu. Wtém ukazuje się mąż, nazwany *Janem Reuchlinem*, który kreśli zebranym smutny stan kościoła, zachęca do usunięcia złego i, aby to, co mówi, objaśnić poglądowo, odgarnia drążkiem popiół, wskutek czego wybucha płomień. Wówczas *Hutten*, piętnując papieża imieniem Antychrysta, a zgromadzenie obsypując obelgami, zbliża się do ognia, rozżarza go i zamienia w pożar straszny, pracą tak nadmierną, że z wysiłku pada trupem. W końcu przybywa *Luter* z pękiem drzewa; po kilku głośnych słowach rzuca brzemień w ogień i wzniesca pożogę, zagrażającą zniszczeniem całej ziemi. Między *Reuchlinem* i *Huttenem* stanął Erazm. Zaprzyjaźniony z dostojnikami duchownymi i na tej samej stopie chcąc pozostać nadal, żadnych nie doradza środków, przypatruje się pożarowi, nie stłumia go i, przysiadając się do kardynałów, odbiera od nich z lubością dowody szacunku. Wśród przywódców partyj przeciwnych występuje jako człowiek neutralny, wśród działaczy gorliwych—jako widz wyczekujący.

„Erazm jest mężem dla siebie”. — Temi słowy związła a trafiała nazywają go Listy ciemnych mężów, nie wdając się w bliższą charakterystykę. W rozumieniu autorów listów nie jest to bynajmniej zaszczytem. W ich bowiem pojęciu wyrzeczenie to znaczy, że człowiek tak scharakteryzowany zajmuje w obrębie humanizmu stanowisko odrębne; nie należy wprawdzie do zastępu obskurantów, ale i w szeregach humanistów nie chce być prostym żołnierzem. My natomiast owo wyrażenie charakterystyczne uważamy za odznaczenie zaszczytne dla Erazma. Jeżeli bowiem w każdym czasie nie łatwo zdobyć się na samoistność, od tłumu się wyróżnić, tém trudniej osiągnąć to w epoce, kiedy umysły ogarnia idea wielka i kiedy ogół żąda kategorycznie, aby ideę tę przyjąć bezwarunkowo i nad jęj urzeczywistnieniem pracować. Kto wówczas własną kroczy drogą, staje się łatwo przedmiotem napaści obu stronnictw, które daremnie usiłują

w swoim widzieć go obozie, i naraża się na to niebezpieczeństwo, że potomność weźmie go za człowieka połowicznego i obrzuci połajankami.

W twarzy *Erazma* uderza przedewszystkiē wijący się wokół ust rys humorystyczno-satyryczny, nadający obliczu wyraz właściwy. Znamionuje to, że posiadacz takich rysów lubi posługiwać się żartem i dowcipem, aby nedorzeczności ludzkie wysmiewać dla siebie i na śmiech innym podawać. W ryszunku bojowym nie mógł przeciw nim występować; uderzać pięściami nie leżało w jego naturze. Jużciż przesadzał niezawodnie, kiedy pragnącym go nawiedzić, maluje siebie nby straszidło, mówiąc, że ujrzą tylko cień człowieka; przesadza, kiedy w wieku podeszłym nazywa się cieniem cienia. W każdym razie *Herkulesem* nie był. Owszem, jest drobny i słabowity. „Osiwiały, czcigodny starzec — a człowiek wąty i wzrostu małego” — tak go opisuje współczesny *Kessler*. Od wczesnej już młodości, w skutek wadliwego wychowania, ale nie w skutek własnej winy, skłonny do pewnych cierpień; wrażliwy na każdą różnicę klimatu, na każdą zmianę powietrza; skrępowany najdokuczliwszą regularnością w przyjmowaniu jada i napoju — mimo najsurowsze środki ostrożności, podlega w sędziwych latach chorobom przykrym i nader bolesnym.

Erazm był człowiekiem chorym. Dla utrzymania słabej iskrzy życia musiał mieć wielkie na siebie baczenie, lub przynajmniej sądził, że mieć powinien; podobnej oględności wymagał i od innych. Dla uchronienia się od następstw szkodliwych, nie pozwalał sobie na żadną nieprawidłowość; więc też surowo gromił u drugich każdy nieokielznany i gwałtowny krok naprzód. Mimo chorowitość i konieczność oszczędzania siebie, innych wszelako nie oszczędzał zgoła. Skoro tylko dojrzał w bliżnim śmieszność, lub czuł się przezeń w miłości własnej zdraśniętym, nie powściągał się od słów ostrych; ale unikał zawsze krańcowości i ustępował, powodowany lekliwością, którą częstokroć brano za tchórzostwo. „Podobien on” — powiada *Kessler* — „matkom, które dzieci biją; skoro się płaczem i bólem rozrzewnią, zaczynają przemawiać tkliwie: no! cicho, cicho, synku! przecież ja ciebie kocham”. Zmieniał szybko uczucia miłości i nienawiści, jak to czynią zawsze natury bardzo wrażliwe. Nowemu przyjacielowi otwierał odrazu głąb serca, przy pierwszym już widzeniu spowiadał mu się z tego, co przeżył i myślał, zwierzał się ze swych opinii, surowo sądząc i potępiając innych. Ale nie mniej łatwo, za najlżejszēm tchnieniem podejrzenia, obrażając się, zrywał stosunki zażyłości i przyjaźń gorącą zastępował nieżyczliwą złośliwością.

Mężem dla siebie był również w pracy umysłowej. Po zwyczajnych i ubitych szlakach nie kroczył; nie, cudzym kierując się rozu-

mem, dochodził celu: torował drogi na polu nauki wbrew życzeniom naturalnych swych doradców; pogardzając wskazówkami nierozumnych, lub wysoce zresztą cenionych mistrzów, umiał sam wszystko wy badać i, choćby kosztem dużych wysiłen, poszybował dalej, dobiegł tam, dokądby go przewodnicy nie zdołali doprowadzić nigdy. Pomyślnie więc powodzenie przy takim trybie postępowania sprawiło, że posiadał nadzwyczajne, acz usprawiedliwione, zaufanie w siłę własnej woli i w potęgę własnego umysłu. A tę wartość swoją cenil tem wyżej, że w młodym już wieku entuzjastyczni zwolennicy wynosili go pod niebiosa, a później obwołali go nawet mistrzem i królem. Im bardziej się starzał, tem większą zdobywał sławę. Doszło do tego, — powiada *Kessler* — „iż imię mędrca stało się przysłowiem, o wszystkiem howie, co było napisane artystycznie, ostrożnie, uczenie i mądrze, mówiono, że jest *erazmijskie*, t. j. nieomyłne i doskonałe”. Któżby nie uległ takim hymnom pochwalnym? Natury słabe, omamione urojeniem, iż rzeczywiście są doskonałe, pograżają się w pysze bezczynnej; natury zaś silne nie przestają wprawdzie świetnemi dzieły utrwalac zasłużonej sławy, ale równocześnie traktują po monarszemu prace innych, nie znoszą zdań sprzecznych z własnymi sądami, rozgoryczają się wszelką naganą, jaka spotyka ich dzieła, odpierają z nienawiścią, zazwyczaj nieproporcjonalną do siły ataku, każde słowo przeciwnika, niby zbrodnicze wdzierstwo w ich prawa królewskie.

Ze względu na zewnętrzne stosunki życia był *Erazm* także mężem dla siebie. Humanisci bywali zwykle urzędnikami, profesorami uniwersyteckimi, lub nauczycielami prywatnymi, prawnikami lub księżmi. Często związek między urzędem a działalnością literacką jest czysto powierzchowny, niekiedy jedno i drugie w całkowitej ze sobą zostają sprzeczności. *Erazm* należy do szczupłej garstki pisarzy owoczesnych, którzy urzędu nie pożądata, a ofiarowany przyjmują z niechęcią, ponieważ pragną żyć tylko dla nauki. Tymczasem pisarz nawet tak płodny, jak on, z pióra wyżyć nie zdołał. Nakładcy płacili mało lub nic, gdyż lękali się, aby rychły przedruk ze strony innego księgarza nie pozbawił ich dochodu z wydania książki istotnie poczytnej. Musiał więc autor mieć znakomitych przyjaciół i opiekunów, którzy, w nagrodę za dedykacje płacili i obdzielali podarunkami; nie zawsze jednak szukał poparcia z biedy, ale rad pokazywał odwiedzającym drogocenne podarunki, złote i srebrne puchary, kosztowne numizmaty i t. p. Między mecenasami znajdowało się istotnie wielu, którzy z rzeczywistego upodobania w krzewieniu nauk nie żalowali grosza i zadawalniali się tem, iż umieli zobowiązać sobie męża takiego, jak *Erazm*; inni natomiast wymagali za swą hojność różnorodnych dla siebie względów. Skutkiem więc

tego Erazm, pogardzając urzędem, ponieważ jarzmo służby uważał za zbyt uciążliwe, musiał znosić uciążliwszą jeszcze zależność od zmiennej łaski protektorów: nie chcąc służyć jednemu, musiał służyć wielu.

Działalność literacka *Erazma* jest nader rozległa i wielostronna. Nie masz prawie dziedziny umysłu, którejby nie dotknął, niema zaś ani jednej, po której krocząc, nie okazałby się artystą. Występuje w formach najrozmaitszych. Jużto w lekkim rynsztunku, już objucony ciężkimi sakwami uczoności klasycznej; jużto celuje w prozie, już w poezyi, ale z wiekiem przekłada pierwszą, odpowiedniejszą swjej naturze, nad drugą; pisze jużto wielkie, szeroko zakrojone dzieła naukowe, to znowu krótkie dyalogi z zacięciem epigramatycznem; jako mówca jużto chwali rzeczy, które zna mało z własnego doświadczenia, np. małżeństwo, sztukę lekarską, o których wszelako, w duchu manieri humanistycznej, wcale nie źle umie mówić, to znowu gani usterki i ułomności moralne; wydaje jużto folianty, już świstki ulotne, jedne i drugie ozdobione nieraz winietami znakomitych artystów, tytułowemi obwódkami i rysunkami *Holbeina* lub innych. Wszędzie zaś, o cokolwiek potrafi, reprezentuje ogół wiedzy spólczesnej, naukę starą pogłębia, nową zapładnia.

Przedewszystkiem jest *Erazm* filologiem. Jest mistrzem stylu łacińskiego i jednym z najprzedniejszych między odrodzicielami języka greckiego. Na *Erazma* żadnego zgoła nie wywarły wpływu okoliczności, które każyły uowę łacińską wielu, i to najbardziej utalentowanych, pisarzów onego czasu. Mianowicie: używanie języka ojczystego w obcowaniu codziennem, oraz, umiarkowane zresztą, posługiwanie się nim w pracach piśmiennych; stosowanie języka łacińskiego do badań naukowych specjalnych, po części duchowi języka przeciwnych; wreszcie żądza naśladowania *Cycerona*, mistrza klasycyzmu, a stąd tamowanie samodzielnego wyrobienia języka i rozwinięcia umysłu — wszystko to *Erazmowi* jest zupełnie obce. Przebywa on albowiem przeważnie wśród narodów cudzoziemskich, których języków prawie nie zna; pracuje głównie nad przedmiotami, które do traktowania w języku łacińskim raczej zniewalają, niż odeń odstręczają; nakoniec trzyma się zdala od *Cycerona*, ponieważ żywi przekonanie, że myśliciel samoistny powinien i język także urobić w sposób sobie właściwy.

Z tych przyczyn uważa się za uprawnionego do pociągnięcia jednostronnych latynistów przed sąd karny w dyalogu *Ciceronianus*. Czuje też względem nich urazę osobistą, gdyż nazywali go „błądzącym” (przekręcając szyderczo nazwisko *Erasmus* na *Errasmus*) tudzież „odżuwaczem” (*Porrophagus*), z powodu, iż używał często wyrazu *porro*. Otóż w dyalogu rzeczonym kreśli obraz ciceronianina *Nosopo-*

nusa, który siedm lat strawił wyłącznie na czytaniu Cyncerona, wygotował sobie trzy słowniki, sporządził spis wyrazów i zwrotów, oraz wykaz akcentuacyj i modulacyj, spotykanych na początku i na końcu frazesów. Dokonawszy takiej pracy, postanawia posługiwać się tymi tylko słownikami, jako źródłami łaciny, i używać nawet form, przypadkowo przez mistrza wypowiedzianych. A więc stawia rodzaj żeński przymiotnika lub dopełniacz rzeczownika wówczas jedynie, kiedy przykład tej formy znajduje u Cyncerona. Może pracować tylko w ciszy nocy szczególnie dobranej, kiedy nie przeszkadza ni szelest, ni luna światła postronnego, z czczym żołądkiem i w świętym nastroju. Noc wystarcza zaledwie na zbudowanie jednego zdania; w dodatku trzeba je wielokrotnie jeszcze przerabiać, zanim wejdzie w skład całości godnej uznania. *Bulephorus*, przywódca antycyceronianów, okrywa śmiesznością taką przesadę; wykazuje, że Cynceron posiadał wiele własności w pośledniejszym gatunku, niż inni pisarze rzymscy, ustępując im np. pod względem humoru, zwięzłości, jasności i wiarogodności; dowodzi, że nie o wszystkim pisał, że zakres jego myśli nie ogarnia bynajmniej wielu wyobrażeń, właściwych czasom naszym, że życie państwowe i religia stawiają autorowi nowoczesnemu wymagania zupełne inne—jednym słowem: twierdzi, że bezwzględne, ślepe trzymanie się Cyncerona, jest znamieniem głupiej i bezpłodnej niewolniczości umysłu.

Językowi greckiemu oddał *Erazm* usługi nie mniej ważne, niż łacinie. Poświęca mu się z zapalem, opracowuje teksty greckie ze znajomością subtelną i bystrą krytyką, tłómaczy i parafrazuje autorów klasycznych i patrystycznych, panując całkowicie uad językiem i przedmiotem; w komentarzach do dzieł greckich wolen, zarówno od drobiazgowości filologicznej, jak i od ogólnikowej gadaniny estetycznej. Ustalił sposób wymawiania greckiego w niewielkiej książce (*De recta latini graecique sermonis pronuntiatione*), ożywionej dowcipnymi i trafnymi uwagami. Uzasadnił tu wymawianie, które się upowszechniło i dotąd wszędy panuje. Dźwiękowi *v*, zachodzącemu w dyftongach, odejmuje znaczenie spółgłoskowe, a dźwięk *j* ogranicza tylko do samogłosek szeregu *e*. Reformę przeprowadził *Erazm*, jak wyznaje, biorąc pochop z wiadomości podanych przez kilku Greków, *Henryk Loriti* zaś utrzymuje, że sam był mu podniętą. Zmiany tej dokonał, nie ulegając żadnej tradycyi i występując arbitralnie przeciwko tak zwaney metodzie reuchlińskiej, opierającej się na dzisiejszem wymawianiu nowogreckiem. Powaga, jaką *Erazm* wtedy się cieszył, sprawiła, że reformę jego przyjęto bez żadnych korowodów.

Z filozofią pozostawała naonczas w ścisłym związku pedagogika. Przedmiot nauki szkolnej stanowiły głównie języki klasyczne (ob. str. 382 nst.). Wskutek takiego zacieśnienia musiał filolog nieraz wbrew

swój woli zajmować się kwestyami pedagogicznymi. *Erazm* miał do nich pociąg przyrodzony. Nauczycielem właściwie nie był, a jednakże napisał najulubieńszą może w owój epoce książkę szkolną p. t. *Colloquia familiaria* (Rozmowy poufne), oraz wielkie dzieło: *Adagiorum opus* (Zbiór przysłów), które można nazwać wyborną książką wychowawczą narodu.

Colloquia familiaria wyszły po raz pierwszy 1519 r., stopniowo były pomnażane i rozszerzane, aż nareszcie w 1530 r. przybrały postać dzisiejszą. Są to rozmowy o przedmiotach najrozmaitszych. Styl lekki i płynny; wysłowienie jasne i wytworne; uwagi satyryczne i dowcipne. Naszém zdaniem, wybór materiału i sposób opracowania nie zawsze odpowiednie dla młodzieży. Ale czasy owe, pobłażliwsze i naiwniejsze, nie wahały się podawać uczniom tego, co nam wydaje się zdradnem, a nawet nieprzyzwoitem. Rozprawia np. autor o kobietach czcigodnych i bezecnych. W jednym miejscu opisuje sejm niewieści (*gynaekosynedrion*), gdzie uczestniczki toczą spory w sprawie dopuszczenia dziewic, określają stopień godności i stanowiska swego w zgromadzeniu według liczby dzieci, w końcu wydają uchwałę, aby uzyskać dla białychgłów przywilej wychowywania dzieci, gdzie się da, na zmianę z mężczyznami, tudzież prawo piastowania urzędów publicznych, przy czém noszenie oręża nie jest koniecznem. Następnie otrzymują ciągi gramatycy. Na pewnem zebraniu prowadzą debaty nad zepsutem słowem *Anticomarita*, wygłaszając najosobliwsze i najniedorzeczniejsze objaśnienia; jednemu z nich, postanowieniem ogółu, nadano ważność powszechnie obowiązującą. W innych rozmowach roztrząsa nasz uczonego przymioty moralne, umiarkowanie, przyjaźń, hulaszczosć; chłoszcze zabobonne wyobrażenia kół różnych, zwłaszcza żeglarzów; przedstawia brudy i nędzę gospód niemieckich; zastanawia się nad wojną, pokojem i stosunkami politycznymi epoki; nie brak przytém uroczystych zapewnień o erazmijskiej miłości pokoju. Wypowiada też często idee humanistyczne. Oddaje należną cześć Cynceronowi w przeciwstawieniu do cynceronianizmu fałszywego, wynurzając zdanie: „ilekroć czytam jakieś dzieło Cyncerona, całuję księgę i błogosławię jego ducha świętego, napełnionego technieniem boskiem”; w przeciwstawieniu do hellenizmu zewnętrznego, upajającego się pięknoscią formy, wielbi hellenizm wewnętrzny, zasady mądrości filozofów greckich, a wsłuchując się w głębokie i poważne treścią nauki, wybucha słowem: „Święty Sokratesie, módl się za nami”. Wszystko to są rzeczy podrzędne, ale z pośród nich wybija się element właściwie pedagogiczny. Prębstrogi pedagogiczne widać się przez całą książkę; obok różnych formuł pozdrowień i dziękczynień występuje kwestya chodzenia do szkoły, przepisy dotyczące drobnych wydarzeń życia codziennego, oraz wielkich zagadnień żywota pocziwego.

Drugie dzieło, Zbiór przysłów, podobnie jak dopiero-co omówione, z książećki urosło w foliant. Pierwsze wydanie (1504 r.) było gołym spisem kilkuset przysłów, *opus jejunum atque inops*, jak je scharakteryzował sam zbieracz; każda z edycji ostatecznych, od 1515 r. poczynając, jest potężnym tomem in folio, obejmującym przeszło cztery tysiące przysłów z objaśnieniami. W zbiorze *Erazma* mieści się szczupła jeno garstka przysłów narodów nowoczesnych, naturalnie, w przekładzie łacińskim; całą zaś masę stanowi mądrość narodów starożytnych, zawarta w krótkich zdaniach, zebranych nader pracowicie z autorów greckich i rzymskich. „Są to — powiada Erazm — słynne wyrzeczenia, których treść znana, ale wysłowienie osobliwsze i nowe”. Objasnienia bywają dwójakiego rodzaju. Jedne polegają na wykazaniu znaczenia słownego i rzeczowego, oraz na przytaczaniu licznych ze starożytności przykładów, podobnie brzmiących i osnową pokrewnych. Toć nakładca wydania z 1508 r. mówi pochlebnie, że znajduje się w dziele więcej niż 10,000 gatunów z Homera, Eurypidesa i innych poetów greckich. Drugi gatunek objaśnień zasadza się na długich epizodach, opowieściach, które, wiążąc się z przysłowiami, wyświełtają najrozmaitsze stosunki życia. Z bogatego, ruchliwego żywota przywodzi autor, w arcy-miłym tonie gawędziarskim, setki historyjek, popuszczając cugle upodobaniom narratorskim tém ochotniej, że wszystkie powiastki służą tylko do illustrowania maksym. Historyjki nie zawsze tchną spokojem i niefrasobliwością, przeciwnie, zawierają często namiętne wycieczki przeciw kobietom, prawnikom i szlachcie, przeciw próżności rozmaitych stanów i narodów. Umieją przytém zarówno chwalić, jak ganić: głowy koronowane, możnych protektorów, dzielnych uczonych. O *Aldusie Manutiusie* np. czytamy: „Biblioteka *Ptolemeusza* była ograniczona ścianami domu, książnica zaś *Aldusa* uznaje tylko granice świata”. I to bowiem dzieło, odznaczające się objętością i wążkiem myśli, pozostaje całkowicie na usługach idei humanistycznych: jest żywym protestem przeciw nieuctwu i nienaukowości, jest wzniosłą, to znowu satyryczną, obroną wiedzy i nauki. Ustępę tej kategorii, wespół z powiastkami, dowcipnie i powabnie opowiedzianemi, nadają dziełu, lubo całość już przestarzała, dziś jeszcze wdzięk własciwy. W owe czasy treść interesowała bardziej, niż obecnie. Imponowały tysiące maksym mądrych, zdawały się nowemi niby odkryciami niezliczone wyjątki z pisarzy starożytnych, teraz, przy ułatwionj lekturze, dobrze nam znane, ale wtedy zupełnie nowe. Uchodziło więc dzieło, wedle wyrażenia jednego ze współczesników, za skarbnicę mądrości, do której się uciekano jakby do ksiąg sybillińskich; podług zaś trafego zdania któregoś z pisarzy nowszych wykazywało ono blizki związek między kulturą starożytną a nowoczesną i usprawiedliwiało

stuszość twierdzenia, że literatura jest punktem zbornym ludzkiego rozsądku i ludzkiego rozumu.

W obu pomienionych pracach z upodobaniem dotyka *Erazm* spraw z religią związanych. Nie rozwódzi się bynajmniej nad samą religią lub teologią, ale, jak przystało pismom humanistyczno-pedagogicznym, biczuje wrogów humanizmu, mnichów i teologów. W „Rozmowach” tedy piorunuje przeciw mnichom zebrzącym, którzy z powołaniem duchowném jednoczą beziecznie frymarki kupieckie; gromi ich nieznamość biblii i nieuctwo wogóle; chłoszcze ich zbytki i nieobyczajność; potępia nadmierne przestrzeganie ceremonij a zaniedbywanie istotnej treści przepisów religijnych; wysmiewa wreszcie tych, którzy w chwili skonu pożądają szaty duchownej, jak gdyby chcieli przez to śmierć odpędzić lub uczynić ją lżejszą. Nie mniej ostro występuje w „Przysłowia” przeciw świeckiej władzy papieżów i ziemskim zabiegom duchowieństwa. „Niechaj księża rządzą — mówi autor — nie w zakresie spraw ziemskich, lecz niebieskich; niechaj tryumfują, lecz nie z orężem wojennym w ręku; niechaj walczą, ale przeciw wrogom Chrystusa, uzbrojeni tarczą wiary; niechaj się bogacą, ale perłami modlitwy”.

W skutek takich i tym podobnych wycieczek stają się oba wielkie dzieła humanistyczno-pedagogiczne bronią przeciw teologom i stanowią przejście do pism satyrycznych, w czém *Erazm* był mistrzem. Najważniejszém z pośród nich jest „Pochwała głupoty”, *Laus stultitiae*, wydana po raz pierwszy 1509 r.

„Pochwała głupoty” jest genialném dziełem satyryczném. Że przypało ono do gustu społeczeństwu i pokoleniom następnym, dowodzą tego liczne wydania, tłómaczenia na różne języki, objaśnienia ze strony uczonych filologów, ilustracje *Holbeina*, rysowane początkowo dla przyjemności własnej na marginesach egzemplarza artysty, ale odtąd niejednokrotnie odtwarzane. Idea książki nie jest bynajmniej nową. Przeciwnie! Humanisci przesadzili na grunt swój igraszkę starożytnych i za ich przykładem chwalili rzeczy śmieszne lub szkodliwe, wkładając pochwałę danego przymiotu w usta przedstawicielowi danego przymiotu. Nie brak więc w one czasy pism wychwalających lenistwo i opilstwo, rozkosze miłości i rozpustę, choroby, jak np. podagrę i t. p. Różnica pomiędzy temi dziełami a *erazmowém* polega głównie na tém, że, kiedy inni pisarze biorą za przedmiot stan pewien lub pojedyncze klasy społeczne, satyra naszego autora ma tymczasem charakter ogólniejszy; zdaje się ogarniać świat cały, aczkolwiek ze szczególném upodobaniem zwraca się do humanistów i ich przeciwników. Stanowisko ogólniejsze jest pod pewnym względem zaletą, ale zarazem i wadą. Jest wadą naprzód dlatego, że stojąc na niem, pisze autor rozwlekle i szeroko, a następnie dlate-

go, że traktując rzecz ogólniej, usuwa na plan dalszy szczegóły, dotyczące osobistości lub wydarzeń chwili.

Głupota występuje sama i przechwala się swą potęgą. Mieni się władczynią świata, ponieważ wie, że wszystkie ulegają jej narody. Każdy z osobna, uwikłany w odrębnej swój głupocie narodowej, pyszni się urojonem pierwszeństwem. „Niemcy chępią się wielkim wzrostem ciała i znajomością magii”; przynajmniej nie Holendrzy, których *Erazm* nazwał „moimi Holendrami”. Żadna epoka, żadne pokolenie przed nią się nie ostoi. Stary i młody, mąż i niewiasta—ciągną za jej rydwanem zwycięskim. Najgorliwsze są białogłowy, gdyż „kobieta jest głupia, ale głupieje w dwójnasób, kiedy usiłuje być mądrą”. Miłość i wino — to wierni pomocnicy głupoty; one płodzą gniew, żądzę, oraz inne przywary, które głupota za swój uznaje owoc. Ułomności moralne i umysłowe są świadkami jej potęgi. Z tryumfem wskazuje samolubstwo ludzi, wojny, sztuki, których uprawę zawdzięczamy najeczęściej próżności, uganiającej się za sławą, pragnienie skarbów, polowanie i zabawy, astrologię i wszelkie rodzaje przesądów, pychę szlachty i wyprowadzanie rodu z zamierzchłej przeszłości. Wiernymi jej sojusznikami są gramatycy, niewolnicy litery, w ustawicznych ze sobą poswarkach, dumni, że nauczyli malca A B C; znalazłszy stary kamień lub szpargał, przejmują się takim uczuciem tryumfu, jak gdyby ujarzmili Afrykę lub zdobyli Babilon; podobni owemu starcowi sześćdziesięcioletniemu, co lat dwadzieścia przesłęczał nad gramatyką, jedyne żywią pragnienie, aby żyć tak długo, iżby zdołali rozróżnić dokładnie osiem części mowy. Gorsci jeszcze od nich filozofowie, „z brody i płaszcza na cześć zasługujący”; oni jedni mają się tylko za mędrców, za tajnych „radców natury”, wszystkich zaś innych podają na pośmiewisko, niby ludzi uganiających się za mrzonkami.

Ale główny hufiec w armii głupoty tworzą teologowie. Wymieniwszy ich, ociąga się mówczyni rzecz dalej prowadzić i tak rozmyśla: „Nie wiem, azali nie lepiej świętych teologów pominąć milczeniem, nie poruszać tego żabieńca zapowietrzonego, nie dotykać tego ziela cuchnącego; ludzie to bowiem nader wyniosli i drażliwi; mogą w gromadzie uderzać na mnie tysiącem wniosków i konkluzyj, zmusić do odwołania albo, gdy nie ustąpię, ogłosić mię heretykiem”. Lecz zbiera się w końcu na odwagę i mówi o nich jako o synach najukochańszych i sprzymierzeńcach najgorliwszych. Głupotę swą ujawniają w poszukiwaniach tego rodzaju: jakimi kanałami grzech spłynął na świat, ile Chrystus potrzebował czasu, aby się rozwinąć w żywocie Najświętszej Panny; czy Bóg mógłby przybrać postać kobiety, dyni lub krzemienia; czy Jezus w chwili, gdy wisiał na krzyżu, mógł być jeszcze nazywany człowiekiem; oraz czy po zmartwychwstaniu

jadł i pił jeszcze? Objawiają nadto głupotę w kazaniach. Zamiast bowiem nakłaniać do życia chrześcijańskiego, rozwodzą się nad kwestyami teologicznymi; rozjaśniają np. tajemnice imienia Jezus, dowodząc, że ma ono trzy tylko końcówki *s, m, u*¹⁾ i że w tych końcówkach ukrywa się tajemnica niewysłowiona (Któż nie domyśli się tu paradyi kabalistycznych idei Reuchlina? Ob. str. 480—482). Ukazują głupotę wreszcie całym trybem życia. Pod tym względem pragnienia wszystkich teologów, a zwłaszcza mnichów, są nader umiarkowane. „Poczytują oni za wielką pobożność uczyć się tak mało, iż często czytać nie umieją. Rycząc w kościele oślimi głosami psalmy, których zgoła nie rozumieją, sądzą, że przyjemnie lechcą uszy świętych. Wszędzie zebrzą rykiem bezwstydnym i odpędzają w ten sposób innych żebraków. A jednak — prawią — chcą być apostołom podobni”. Ze względu na to uroszczenie ocenia głupota zasługi, życie i działalność wszystkich duchownych, od najwyższych do najniższych. Uwydatnia, że nawet papież, a on może w najwyższym stopniu, są poddańczuchami jęj, głupoty, że muszą poczuwać się dla niej do wdzięczności, jeżeli nie życzą sobie utracić wszystkich przywilejów, wszystkich uciech i rozkoszy świeckich, ponieważ wszystkie te skarby, którymi się tak pysznia papież i kardynałowie, winni są jęj, głupocie, jęj istnieniu; uwydatnia, że daleko im do posiadania mądrości, którą dawne czasy znały i której się domagały od swych uczniów. „Ale teraz w oczach księży jest przestarzałem i nie na czasie — robienie cudów, uciążliwość — nauczanie ludu, scholastycyzm — objaśnianie pisma świętego. Modlitwa nazywa się próżnowaniem, płacz — rzeczą kobiecą i nizekzenną, głód — właściwością chłopca, pokora — sromotą i niegodną tego, który najpotężniejszemu zaledwie władcy pozwala całować zaledwie nogi świętych. Zamiast tęsknić za śmiercią, radziby, aby precz poszła, a skonać na krzyżu, pomimo wzoru Zbawiciela — uważają za najgorsze ze wszystkiego”.

„Pochwała głupoty”, nie oszczędzając żadnego stanu, najbardziej rozgniewała teologów. A do gniewu słuszny mieli powód, ponieważ walka w pierwszym rządzie ich właśnie dotyczyła. Książka powstała za powrotem *Erazma* z Włoch. Pobyt we Włoszech wywarł i na niego, lubo w niższym stopniu, aniżeli na *Huttena* i *Lutra*, wpływ tego rodzaju, że dał mu poznać zdrożności kuryi rzymskiej i gorący wywołał protest. Erazm, cofający się zwykle po każdym śmiałym kroku, usiłował i teraz złagodzić gwałtowność napaści. Usprawiedliwił się więc piśmiennie, że w owym utworze też same miał na oku cele, tylko w innej wypowiedział je formie, co i w swęj „Książeczce”, w książce

¹⁾ Naturalnie, w języku łacińskim.

(Przyp. tłóm.)

„O wychowaniu książąt” i w panegiryku na cześć *Karola V*, „że chciał mianowicie upominać, ale nie łajać; być pożytecznym — nie zaś szkodliwym; obyczaje ludzi poprawiać — a nie psować”.

Ale co się tyczy *Erazma*, to krytyk i historyk może bez trwogi mienić się świadomszym rzeczy; odsłania bowiem motywy, o których zdawało się autorowi stosownem zamilczeć. Wiemy więc, nie bacząc na protest jego, że większość rozpatrzonych dotąd książek, zwłaszcza téż ostatnia, jest w wysokim stopniu antyklerykalną, ba! nawet poniekąd antyreligijną. Kurya, której najwplywowski przedstawiciele obsypywali *Erazma* honorami i podarunkami, wiedziała bardzo dobrze, co czyni, umieszczając niektóre z dzieł wzmiankowanych na indeksie.

Erazma przedstawiano często jako naturę religijną, a specyficznie nawet jako chrześcijańsko-katolicką. Tymczasem nie jest on ani jedną, ani drugą. Fakta, które mają być dowodami obu twierdzeń, t. j. prace jego nad Nowym Testamentem i ojcami kościoła, oraz polemika z Lutrem, nie dowodzą niczego; albowiem pierwsze są pracami filologa, lecz nie teologa, drugie zaś są z jednej strony wysilkami władcy w państwie ducha — władcy, który prymat swój widzi zagrożonym i lęka się go utracić, — a z innej znowu strony są wywodami filozofa, który myślenia swego nie chce oddać na usługi jednostronne, lecz nie wywodami katolika żarliwego. Gdyby były istotnie ściśle katolickimi, nie siedziałby *Erazm* z założeniami rękoma wobec strasznych napaści reformatorów na świecką władzę papieża, na niezmierną potęgę duchowieństwa i na tyle dogmatów kościoła katolickiego: a zerwał się jednak dopiero przeciw Lutrowi z okazji kwestyi wolnej woli, której rozstrzygnięcie przypada w pierwszym rzędzie filozofii. Niezgodność między *Lutrem* a *Erazmem* jest więc przeciwieństwem, nie protestanta i katolika, lecz teologa i filozofa. Podobnie różnica między *Erazmem* a *Reuchlinem* nie jest odmiennością egzegiety nowotestamentowego i starotestamentowego, ale polega na odrębnych stanowiskach, z jednej strony filologa i estetyka, a z drugiej badacza językoznawczego, o nastroju religijnym. Olbrzymie, zaiste, położył *Erazm* zasługi wydaniem tekstu greckiego ksiąg Nowego Testamentu, oraz jasnymi i wdzięcznymi parafrazami ustępów biblijnych, przez co podniósł szacunek dla biblii i wprowadził ją do kół uczonych. Zasług jego nie uszczupli bynajmniej twierdzenie, że prace te podejmował, nie z popędu religijnego, lecz z jakiegś potrzeby historyczno-krytycznej i polemicznej. Podczas kiedy żarliwie i starannie badano i wydawano piśmienne zabytki starożytności klasycznej, widział on w zupełnem zaniedbaniu pogrążone świadectwa najpierwszych czasów chrześcijaństwa. Odkrywszy źródła nauki starożytności, pragnął może wystawić na oczy własnej epoki porówna-

nie między świetnością owych dni a zepsuciem chwili współczesnej. Nie wymowniej nie charakteryzuje filologicznych dążeń Erazma, nad połączenie biblii z ojcami kościoła. Do ojców kościoła nie wabi go uczucie prawowierności, boć sumienie krytyczne dało mu poznać, jak wielki jest przeskok do nich od biblii; z równą świadomością robił i *Reuchlin* różnicę między ś. *Hieronimem* a „prawdą hebrajską”. Jeżeli co Erazma pociąga, to językowo-filologiczne upodobanie w pomnikach starożytności.

Wyłożyć teologię Erazma wcale nie łatwo. Można w niej odróżnić wyraźnie trzy okresy: przedreformacyjny, reformacyjny, i poreformacyjny. W pierwszym obstaje Erazm za potrzebą reformy wogólności, nie mając na względzie żadnych pokuszeń praktycznych; w drugim zachowuje stanowisko wyczekujące podczas i wobec zamieszki luterskiej; w trzecim odpięra reklamacye i napaści, zarówno protestantów, jak i katolików. W rozmaitych wynurzeniach, różnych już co do czasu, nie brak także sprzeczności. Skutkiem tego wszystkie cztery partye, t. j. protestanci, katolicy, indyferentyści i radykalni, mogą przytaczać zdania, na mocy których zaliczają Erazma, z niejaką słusnością, do swego obozu. Jednakże pomimo tych sprzeczności istnieje i panuje jeden pogląd zasadniczy, mianowicie pogląd humanistycznego radykalizmu. Tkwi on tylko w przekonaniach; w szatę czynu nie przyobleka się nigdy, ponieważ Erazm nie śmiał wysnuć konsekwencyj ze swego myślenia; ale przekonanie pozostaje zawsze niezienne. Ono to właśnie sprawia, że naczelnicy protestantów daleko żarliwiej zwalczają jego niż innych przywódców kościoła katolickiego i że gromią go nie tylko jako członka przeciwniej partyi religijnej, lecz nadto jako poganina i epikurejczyka; ono sprawia wreszcie, że członkowie stronnictwa zewnątrznie z nim związanego niechętnie go także znoszą jako sprzymierzeńca.

Przekonania religijne *Erazma* z okresu przedreformacyjnego najdobitniej występują na jaw, jak bardzo trafnie wykazał *K. Hagen*, w „Książeczce bojownika chrześcijańskiego”. Jestto książka napisana ku zbudowaniu czytelnika; tchnie wielką pobożnością i nienawiścią do życia światowego; pod tym względem powinowaci się z wielu rozprawami humanistycznymi „O pogardzie świata”, będącemi w ostatecznym rezultacie szyderstwem z wesołych na świat poglądów humanizmu. Równocześnie walczy też „Książeczka” przeciw poglądom i zwyczajom kościoła katolickiego. Zbija upowszechnione pojmowanie biblii i panujące poglądy na ceremonie.

Biblia jest dla *Erazma* księgą świętą, ale zarazem i świecką. Jest świętą, ponieważ stanowi czyste źródło religii i wymaga wiary bezwarunkowej; jest świecką, ponieważ należy ją czytać i rozumieć w podobny sposób jak pisma pogan starożytnych, t. j. w sensie alle-

gorycznym. Allegoryczność nadaje wielu opowieściom Starożytnych znaczenie głębsze. A więc np. baśń o gigantach poucza, że trzeba unikać walki z potentatami a obcować z równymi sobie; historia o pucharze Cyrcy zawiera prawdę, że ludzie skutkiem rozkoszy nadmiernych wyradzają się w zwierzęta. Otóż powinno się opowiadania biblijne traktować również jako allegorye. „Jeżeli czytasz bez allegoryi, że dzieci już w łonie matki się swarzyły, że pierworództwo zostało sprzedane za miskę soczewicy a błogosławieństwo ojcowskie wyludzone podstępnie, że Goliat poległ z procy Dawida, że Samsonowi obcięto włosy, to nie znaczy nawet tyle, co czytanie zmyśleń poetyckich. Jakaż to będzie różnica między księgami królów i sędziów a historią *Liwiusza*, kiedy uwzględnisz allegoryę! Przy pomocy allegoryi bowiem pojmujemy wiele rzeczy w znaczeniu podnioslejszem; bez niej byłyby one podejrzane i gorszące, jak np. wykrety Dawida, cudzołóstwo okupione morderstwem podstępem, zgubna miłość Samsona, zbrodnicze wszeteczeństwo Lota z własnymi córkami“. Jak zaś w sposób allegoryczny pojmować te oraz inne powieści, nie mówi Erazm ani słowa, a i my też myśli jego nie odgadniemy. Wogólności tyle można jeno powiedzieć: cały ten tryb pojmowania zdradza silny popęd do krytyki, daje do zrozumienia, że biblia powstała w sposób ludzki, przedewszystkiem zaś oznacza, że należy wnikać w ducha słowa biblijnego zamiast brać je literalnie.

Takim poglądem rządzi się też w rozważaniu ceremonij. Ceremonie same w sobie małą posiadają wartość; wyższą doniosłość nadaje im dopiero uduchowanie i pogłębienie. Powierzchowne ich wykonywanie, nie uświęca, lecz upadła, ponieważ, zamiast czcić istotę rzeczy, wysuwa na czoło to, co jest powierzchowne, zewnętrzne, a wyznawców wiedzie, albo wprost do mimowolności, albo przynajmniej do poglądów pozbawionych ducha. Ze świętém więc oburzeniem gani Erazm tych, co sądzą, że przestrzeganiem przepisów zewnętrznych czynią zadość wymaganiom pobożności, a po wykonaniu obrządków wracają znowu do życia występnego; ba! roją sobie nawet, że, stosując się ściśle do prawideł, otrzymują list żelazny na grzeszenie. Z wielkim zapalem gromi również i tych, co, nie będąc grzesznikami, zaniedbują jednak stronę duchową na korzyść zewnętrznej i krzywdzą przeto istotę religii. „Zanosisz modły do kości Ś. Pawła a nie do jego ducha; wysoko cenisz cząstkę jego ciała, którą za szkłem widzisz, a nie wielbisz całego ducha Pawłowego, który jasnym blaskiem z pism jego tryska! Czczysz obraz Chrystusa malowany albo wycięty w kamieniu i drzewie; byłbyś o wiele pobożniejszym, gdybyś czcił obraz jego ducha złożony w ewangelii! Żaden Apelles nie zdoła prawdziwego Chrystusa odmalować tak, jak go odzwierciedla ewangelia. A ty obrazu tego nie podziwiasz, do niego

się nie modlisz, umysłem swym go nie ogarniasz! Posiadasz relikwie swego Pana święte, skuteczne; ale, zamiast cześć im dawać, poszukujesz jakichś obcych. W zachwycie spoglądasz na mniemaną szatę lub przepoconą chustkę Chrystusa, a życie Chrystusa czytasz śpiący! Szanujesz rzecz wielką jak gdyby największą, kiedy masz w domu choćby najdrobniejszy kąsek krzyża Chrystusowego, lecz to nie przeszkadza, abys we własnej twój piersi nosił tajemnicę krzyża“.

Dziejopisowie protestanccy popełniają błąd zasadniczy, kiedy bez ceregielów zaciągają do szeregu reformatorów każdego humanistę, który o ceremoniach wolnomyślnie wynurzał zdanie, gromił nieduchowność duchowieństwa lub zachęcał do czytania biblii; piętnują go zaś mianem zbiega z pod chorągwi, kiedy do protestantyzmu się nie przyłączył. Tymczasem owe poglądy polemiczne mogą istnieć same dla siebie, nie wymagając bynajmniej przystąpienia do nowej party religijnej. Właśnie ta party nowa przejmuje zgorzeniem i odstręcza humanistów, a Erazma przedewszystkiem, ponieważ w obrębie dawniej wiary powszechnej pragną oni reformować całość, w utworzeniu zaś nowej sekty widzą groźbę i niebezpieczeństwo dla kościoła powszechnego i dla wiary samój. Z tego więc powodu miały obelgi na założycieli nowej religii i wykazują szydlerczo niezaprzeczone wady w jej wyznawcach, zupełnie tak samo, jak przedtém smagali złe obyczaje epoki dawniejszej. Wiele obelg zawierają w sobie niewątpliwie listy i książki Erazma, poczynając od r. 1522, t. j. od chwili, kiedy się przekonał, że jego wysiłki pośredniczenia są bezowocne a party luterska posiada sił dosyć, aby się dalej rozwijać samoistnie. Jednakże nie te obelgi bynajmniej stanowią istotę jego przekonań antyreformatorskich. Wypowiada je Erazm jaśniej i lepiej w swych pismach filozoficzno-teologicznych: *De libero arbitrio* 1526 r. (o wolnej woli) i w *Hyperaspistes* 1527 r. W obu dziełach przychodzi mu zwalczać—jak trafnie zauważono—pięć zasad, które wprowadził Luter na plac boju dla obrony braku wolności woli. Trzy z nich możnaby nazwać ogólnie teologicznymi, a mianowicie: niemożność pogodzenia wolnej woli z przeznaczeniem boskiem, z władzą szatana nad ludźmi, z potęgą grzechu pierworodnego, zmuszającego do złych postępków. Czwarta zasada, którąby można oznaczyć mianem historycznej, polega na tém, że żydzi, pomimo dążeń do sprawiedliwości, wpadli w niesprawiedliwość, poganie zaś jak gdyby bez usiłowań otrzymali łaskę. Piąta wreszcie, specyficznie chrześcijańska, twierdzi, że śmierć ofiarna Chrystusa byłaby niepotrzebną, gdyby człowiek własną pracą mógł się wznieść do wyżyn doskonałości. Zasady te zbija Erazm, opierając się na wewnętrznej dobroci

ludzkiej, na możności stanowienia o samym sobie, pomimo opatrności boskiej, na optymistycznym poglądzie humanistów na świat wobec pesymistycznego zapatrywania się reformatorów,—nietylko od-piera je ze stanowiska filozoficznego, ale ucieka się i do wywodów religijnych. *Luter* bezskuteczność dążenia żydów do sprawiedliwości przytacza jako dowód niewolności woli; *Erazm* zgadza się, że zbawienia nie dostąpili, ale za istotną przyczynę uważa to, że prawdziwego pojęcia o religii nie mieli, że spełniali jeno ceremonie a wewnętrzznego uświęcenia zaniedbali.

Swobodniejszy pogląd na religię zachował *Erazm* i w okresie po-reformacyjnym. Aczkolwiek trudna to rzecz przewijać się między dwoma obozami przeciwników, umiał jednak utrzymać się na stanowisku samodzielnem. Głoszoną dawniej wątpliwość co do Trójcy Ś., wynurzał i później jeszcze, chociaż nieco łagodniej, odwołując się przytém do swych przekonań szczerze katolickich. Nie wyrzekł się także sceptycznych poglądów na autentyczność i świętość ksiąg biblijnych. Ewangelistom zarzucał nieuctwo, niezajomość prawideł gramatycznych oraz błędy, każące w wielu razach tekst biblii; twierdził i dalej, że biblia, pojmowana bez allegoryi, jest często czeza i zimna. Ceremonie uważał, podobnie jak przedtém, za beztreściowe, co najwyżej za oznaki religijności zewnętrznej. Chrzest cenił nisko; wierny swym poglądom domagał się, aby ten sakrament przeniknion był pierwiastkiem duchowym; oprócz chrztu z wody żądał nadto oczyszczenia i uświęcenia wewnętrznego.

Erazm był mężem dla siebie. Jest nim nie tylko w skutek poglądów samodzielných; ale i w skutek samoistnego stanowiska wobec osobistości ton nadających. Okrom niego właściwymi przywódcami humanizmu są: *Mutian*, *Reuchlin* i *Hutten*. Pomiędzy nim a *Mutianem* panowała stale serdeczna zgodność, ponieważ *Mutian* niczego nie pragnął dla siebie. *Reuchlinowi* okazywał uznanie ozięble, od zawiści nie wolne mimo że oddał mu hołd pośmiertny. Z *Huttenem* przyszło do otwartej walki.

W „Rozmowach poufnych” wspomina *Erazm* przeciwnika po dwa-kroć. W rozmowie: „Żołnierz i kartuz” opowiada z ironią Heinowską, nie ogłosiwszy jednak zapadłego w dyspacie wyroku, o sporze mnicha z żołnierzem; obaj walczący zarzucają sobie czyny bezecne. W rozmowie zaś „Nierówne małżeństwo” mówi o zamążpójściu pięknej młodej dziewczoi za lichego, chorobą strawionego męża, którego jedyną zaletą jest nazwisko rycerskie. Aczkolwiek w obu „Rozmowach” ośmieszył *Erazm* pochodzenie rycerskie nieprzyjaciela, jednakże w za-targach między obu mężami nie chodzi tylko o przeciwieństwo sta-

nów, do których należą. Są oni raczej przedstawicielami dwu różnych poglądów, przedzielnymi od siebie otchłanią szeroką.

Erazm był człowiekiem delikatnym, bez zarostu, głos miał cichy, ułożenie łekliwe; *Hutten* to rycerz szorstki, z głosem grubym, brodą najeżoną, zawsze z ostrogami u butów. *Hutten* czuł się najszcześliwszym, kiedy przeciągał gościńcem, bez grosza w kieszeni, z paru książkami na plecach, nie troszcząc się o dach i strawę, pewien gościnności przyjaciół; *Erazm* podróżował jako pan wielki, odbierał holdy od przyjaciół i czcicieli niby daninę należną, tęsknił za domem i urządził wygodne mieszkanie dla siebie jednego: najprzód w Bazylei, potem we Freiburgu. *Hutten* pogardzał protektorami i przyjaciółmi możnymi, na służbie zostawał krótko i z największym wstrętem, ponieważ niezależność uważał za dobro najcenniejsze; *Erazm* zbliżał się chętnie do potentatów, oglądał się na nich, chociaż im nawet nie służył; przybyszom nawiedzającym pokazywał z ukontentowaniem puzderka, natłoczone listami przyjaciół i wielbicieli, szafy wypełnione puharami złotymi i srebrnymi oraz innymi podarunkami opiekunów bogatych. *Erazm* pisał wielkie dzieła naukowe, owoc szczęśliwych czasów, zadziwiające świadectwa głęboko przenikliwej bystrości umysłu i usilnej pracy badacza; *Hutten*, rycerz wielce ruchliwy, wydawał za ledwie pisma drobne, nie kłopotąc się o erudycję, mając jedynie na widoku osiągnięcie pewnych celów. *Erazm* był kosmopolitą, który lata chłopięce spędził w Holandyi, młodość we Francyi i Anglii, a wiek męski w Niemczech; nie znał on innej ojczyzny oprócz rzeczywospolitej uczonych, nie pisał innym językiem, prócz łaciny; *Hutten* zaś był nawskroś Niemcem, który na obczyźnie nawet nie zapominał swęj niemieckości, największą hańbą mienił to, że cudzoziemcy zawsze jeszcze nazywają Niemcy krajem barbarzyńskim, a jął zaraz pisać po niemiecku, skoro się tylko przekonał, że dla Niemiec nowa już świta epoka. *Erazm* miał się za króla w państwie ducha i, aczkolwiek bardzo miłował naukę i do jęj rozkwitu mocno się przyłożył, pracował przedewszystkiem dla siebie; *Hutten* natomiast, ciągle na usługach mężów celniejszych, zużywał najlepsze swe siły dla rycerza *Sickingena* i rycerstwa, dla uczonego *Reuchlina* i humanizmu, dla teologicznego bojownika *Lutra* i dla reformacyi.

Sympatya więc nasza przechyła się ku osobie rycerskiego zapaśnika. W dodatku, lubo on wszczyna walkę, jest wszelako stroną obrażoną. Uciekając z Niemiec, udał się do Bazylei ubogim i śmierci blizkim, łudząc się nadzieją, że w Bazylei znajdzie schronienie bezpieczne a u *Erasmu* przyjęcie życzliwe. Tymczasem obie nadzieje go zawiodły. *Erazm* z pogardą odepchnął współtowarzysza myśli, nie chciał przez obcowanie z człowiekiem niekzecznie spotwarzonym narażać się na złe języki i na żadne niebezpieczeństwa.

Oburzony tak niespodziewanem obejściem, napisał *Hutten*: *Expostulatio cum Erasmo* (Obwinienie Erazma). Na wyzwanie odpowiedział *Erazm* dopiero po śmierci rycerza w książce: *Spongia adversus aspergines Hutteni* (Gąbka do otarcia obryzgnięć Huttenowskich). W równoczesnem prawie tłómaczeniu niemieckiem nosi zaczepka *Huttena* tytuł podrzędny: „Handlung, allermeist die lutherische Sache betreffend” (Akeya, dotycząca przedewszystkiem sprawy luterskiej). I słusznie. *Hutten* bowiem, oprócz nieporozumień osobistych z przeciwnikiem, bierze w polemice pod uwagę głównie stanowisko *Erazma* wobec sporu reuchlińskiego i wobec reformacyi. Stara się więc wykryć sprzeczności w jego postępowaniu i z lubością się nad nimi rozwodzi; zarzuca mu niesprawiedliwy sąd o humanistach; oskarża go, że w przeszłości był zdecydowanym luteraninem; upomina, aby się strzegł stronników Rzymu, gdyż ci będą go traktowali raczej jako podbitego i jeńca, aniżeli jako przyjaciela i nawróconego; opisuje wreszcie oplakaną rolę, jaką gra teraz, w przeciwstawieniu do świetnej, jaką odegrywał niegdyś.

Wykazać nicosi takich sprzeczności — było dla *Erazma* zabawką. *Hutten* scharakteryzował był dawniej znaczenie obecnego wroga w ten sposób: „On jest pracowitym i bystrym komentatorem biblii, on przywraca prawdziwą pobożność, on wypłasza przesady, on odkrywa oszustwa papieżów rzymskich, on odnawia dobre stare czasy zniweczone ambycją i chciwością, naleciałości późniejszych, on głosi wolność i broni jej przeciw tyrańskim ciemżycielom chrześcijaństwa!” Jeżeli tak, to mógł *Erazm* z dumą do onych tytułów sławy rościć prawo nawet i w epoce późniejszej. Że w rzeczy samej czyni to z całą świadomością i z zupełnem rozumieniem doniosłości swych zasług, nikt mu za złe brać nie może. Ale przytém wyznać trzeba, że przeciw zarzutom dwujęzyczności broni się potokiem słów a ubóstwem dowodów, i że gwałtowną wrzawą dopuścił się niegodziwości względem *Huttena*, o którym musiał wiedzieć, iż wówczas pasował się ze śmiercią. Etyczna wartość pisma Erazmowego, zaiste, jest niska. Z tém wszystkiem budzi ono duży interes wynurzeniami autora o stanowisku jego względem humanizmu i reformacyi. Nie bez słuszności skarży się, że napastnicy namiętną polemiką rozplomienili przeciw niemu „pobożnych nienawistników nauki” i zaszkodzili tém sprawie wspólnej. Oddziela sprawę ewangelii, uważając ją bezwarunkowo za swoją, od sprawy *Lutra*. Rozumie dobrze i wykazuje subtelnie różnicę między dążeniem *Lutra* a kierunkiem *Huttena*. Wygłasza stary swój dogmat ulubiony, że reformy przeprowadzać należy siłą mądrego przekonywania, a nie druzgocącą przemocą. Cały swój program zawiera w słowach: „Protectorowie partyi ewan-

gielickiej niechaj swą życzliwość objawiają prosto i mądrze, tajnych sprzysiężeń niechaj nie knują, niechaj pism obelżywych przeciw papieżowi i książętom nie wydają, gdyż w ten sposób napadniętym przyczyniają chwały a bronionym szkody. Niechaj więc uczeni, których wiedzy hałaśliwe zgiefki przynoszą uszczerbek, porozumieją się między sobą, aby rozdrożeniu świata położyli koniec; niechaj dla dobra chrześcijaństwa i chwały Chrystusa mniemania swe przedstawiają w listach tajnych cesarzowi i papieżowi, występując sumiennie i szczerze jakby przed Bogiem.“

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Ulryk von Hutten.

Ulryk von Hutten urodził się na zamku Steckelberg we Frankonii, 21 kwietnia 1488 r. Pochodzi z dzielnej, lecz zubożałej rodziny rycerskiej. Ojciec, pragnąc może wyrwać pierworodnego *Ulryka* z objęć błyszczącej nędzy rycerstwa, przeznaczył go do stanu duchownego i jedenastoletniego malca wyprawił do klasztoru w Fuldzie, aby już wcześniej nałożyć nań zobowiązania nierozzerwalne. Syn jednak nie dał się spętać. Po kilku latach nauki klasztornej, ale przed wykonaniem ślubów, umknął z Fuldy i wraz ze swym oswobodzicielem, znanym nam *Crotusem Rubeanem*, udał się do Kolonii (1505), a stąd do Erfurtu. Nie mając od rodziny żadnej pomocy, musiał zarabiać na utrzymanie życia. Tą okolicznością zniewolony oraz party humanistycznym pociągami do włóczęgi, zwiedził najrozmaitsze uniwersytety niemieckie. We Frankfurcie i Lipsku, w Greifswaldzie i Rostocku, czterech wszechnicach, gdzie humanizm pasował się jeszcze ze scholastyką, poświęcał się przeważnie studjom klasycznym; niekiedy pracował jako nauczyciel; dał się też poznać z utworów poetycznych. Następnie starał się bezskutecznie znaleźć miejsce stałe w Wittenberdze i Wiedniu.

Już wtedy objawia się w nim przeobrażenie humanisty w polityka. Aby zmiany tej dokonać całkowicie, puszcza się za Alpy. Na podróż włoską wpłynęła także chęć wydoskonalenia się w języku greckim, oraz zamiar rozpoczęcia studyów prawnych, w czem chciał dogodzić życzeniom ojca, z którym prawdopodobnie znowu na dobrą

stanął stopie. Przedsięwzięcie w części jeno pożądaný uwieńczył rezultat. Stwierdza wprawdzie *Hutten* patriotyczny sposób myślenia poezjami i okolicznościową służbą wojskową w armii cesarskiej, ale do studyów podjętych wbrew własnej woli nabiera wstrętu i wraca do ojczyzny z nienawiścią ku naukom prawnym, z pogardą dla godności akademickich, z nieprzyjaźnią względem władzy duchownej i papieskiej, którą poznał z blizka.

Po powrocie wziął natychmiast czynny udział w walkach umysłowych, jakie naonczas wielką wrzawą kraj napelniały. Oglądał się przytém za jakimś miejscem spokojnem a stałem, ponieważ dolegliwe cierpienia, nie bez własnej winy nabyte i w ówczesnym stanie medycyny nieuleczalne, uniemożliwiały mu prowadzenie żywota czysto rycerskiego. Ale znaleźć takie miejsce było nader trudno. Chociaż otrzymał wieniec poetycki (12 lipca 1517 r.), uprawniający go do wykładania po uniwersytetach sztuk wyzwolonych, unikał jednak wszechnie, rozumiejąc dobrze, iż na profesora akademickiego jest nieprzydatny. Więc on, człowiek wolny, przyjął służbę dworską w Moguncyi i początkowo tak sobie w niej upodobał, że myślał nawet o ożenku. Wyżej już (str. 341 nst. i 358) poznaliśmy go w charakterze dworzanina niezadowolnionego i towarzysza arcybiskupa mogunckiego. Wiadomo także, iż jeździł w poselstwie do Francyi.

Zrazu nie skrępowany ściśle określonym stosunkiem do dworu mogunckiego, potém od wszelkich obowiązków służbowych wolen, poświęcał się literaturze, polityce i wojaczce. Walczył w wyprawie związku szwabskiego przeciw *Ulrykowi würtensberskiemu*, mszcząc się za urazę prywatną dawniejszej daty. Podczas tej wojny zaprzyjaźnił się bliżej z *Franciszkiem von Sickingen*, w którym spodziewał się znaleźć sprzymierzeńca dla swych planów umysłowych, politycznych i religijnych. Takiego sojusznika potrzebował tém więcej, że nie mógł liczyć na pomoc ani *Karola V*, do którego entuzjastyczne pisał odezwy, ani *Ferdynanda*, którego osobistą chciał pozyskać namową. Od jesieni 1520 r. mieszkał w zamkach *Sickingena*, *Landstuhlu* i *Ebernburgu*, nie spuszczając z oka planów ogólnych. Przedewszystkiém jednak pracował nad tłómaczeniem niemieckim swych pism łacińskich, aby za ich pośrednictwem wywierać wpływ na przyjaciela. Przez bardzo krótki przeciąg czasu służy też cesarzowi, na kilka miesięcy znika zupełnie z widowni, następnie zjawia się znowu u *Sickingena*. Współ z nim myśli o reformach stanu rycerskiego i przekształceniach ustroju państwa; współ z nim wreszcie zaprzępaszcza siły i powagę w małosłownych waśniach lub niegodnych zamachach. Kiedy wyprawa *Sickingena* na Trewir fatalny wzięła obrót, nie mógł już *Hutten* rachować na powodzenie planów politycznych. Ścigany przez cesarza i książąt, nienawidzony przez duchowieństwo,

musiał Niemcy opuścić. Udał się do Szwajcaryi, krótko bawił w Bazylei i po dłuższym pobycie w Mühlhausen ostateczny przytułek znalazł w Zurychu. Opodal tego miasta, na wyspie Ufenau, umarł w końcu sierpnia 1533 r., w nędzy i opuszczeniu, po ciężkiej, dolegliwej chorobie, w końcu jeszcze boleśnie i niezasłużenie skrzywdzony bezecnemi posądzeniami *Erazma*.

W ostatnim liście, jaki *Hutten* w życiu napisał (15 sierpnia 1533 r.) „Do burmistrza i rady miasta Zurychu”, zabezpieczając się przed oskarżeniami *Erazma*, wystosowanemi do tychże samych adresatów, powiada: „Radbym tedy, aby o mnie zawsze panowało przekonanie, iż po wszystkie czasy, od chwili, kiedym z lat dziecięcych wyrósł, postępowałem i działałem tak, jak przystoi zacnemu, pobożnemu i rycerskiemu szlachcicowi, jak wymaga powiuność”.

Temi słowy charakteryzuje najlepiej zasadniczy rys swój indywidualności. *Hutten* był rycerzem. Nie zapominał sam nigdy, co winien swemu stanowi, i żądał téż od innych szacunku dla swego stanu, oraz dla jego praw politycznych i społecznych. Oprócz przytoczonego powyżej zdania, zasługują jeszcze na uwagę dwa wyrzeczenia, niby godła tarczy herbowej; lubił nimi kończyć listy i książki. Jedno, dawniejsze, brzmi: „*Sinceriter citra pompam*” (Rzetelnie a bez wystawności), drugie zaś, późniejsze, głosi: *Jacta est alea* (Odważyłem się). Wynurzenia te razem wzięte, odzwierciedlają obraz rycerskiego, prawdomównego, wojowniczego męża, któremu przypadło odegrać w historii humanizmu rolę odrębną a sobie właściwą.

Niejeden z humanistów chwycił pióro do ręki, chociaż nie przejmował się do głębi sprawami, o których pisał. *Hutten* pisał wtedy tylko, kiedy go sprawa porywała. „Akuszerką umysłu *Huttenowego* był gniew” — powiada *D. F. Strauss* — „Dzieła jego nabierają tém większego znaczenia, im donioślejsze są przedmioty jego gniewu a gniew sam staje się czystszy”.

Po raz pierwszy wybuchnął gniewem przeciw *Lötzym*. *Henning Lötze*, profesor prawa w Greifswaldzie, oraz ojciec jego, *Wedeg*, przycięli do swego domu młodego przybysza, przyodziali i nakarmili. Postąpili nader uprzedzająco, powodując się, czy to uczuciem ogólnoludzkim, czy téż względami na imię i pochodzenie młodzieńca. Być może, iż animusz rycerski i wiedza humanistyczna gościa, zjednawszy sobie na razie gościnnego patrycyusza miejskiego, zwolennika starego kierunku nauk, stały się niebawem źródłem nieporozumień. Bądź co bądź po krótkim pobycie otrzymał *Hutten* od swych opiekunów wezwanie, aby opuścić dom i miasto. Jeżeli wierzyć własnemu jego opowiadaniu, jedynę zresztą o tych wypadkach relacyi, został przez służbę domową napadnięty na ulicy, z odzieży i książek odarty, nasłuchawszy się przytém szyderstw i pogroźek.

Wpół nagi przybył do Rostocku. Miłosierni ludzie ulitowali się jego nędzy, humaniści okazali pomoc koledze. Za ledwie się tu ustalił, chwycił za pióro, aby w jaskrawych barwach przedstawić wyrządzoną sobie obelgę. Napisał dystychami w dwu księgach „Skargi na *Lötzych*” (*Querelarum libri duo*), 20 dużych utworów, i dedykował je nowym przyjaciółom i protektorom rostockim. Kto inny poprzestałby na odwołaniu się do sądów i władzy, aczkolwiek z wątpliwym skutkiem, ponieważ obwinieni byli ludźmi bardzo poważnymi i wpływowymi. *Hutten* jednakże, lubo zwraca się z prośbą, ale bez zbytecznej uległości, do księcia pomorskiego i jego doradców, zanosí swe skargi do rycerstwa i poetów. Tym sposobem kwestyę osobistą czyni sprawą wspólną wszystkich mężów swego stanu i swego powołania. Wzywa więc rycerzów a między nimi w pierwszym rzędzie krewniaków i współnazwisków, aby starego *Lötze*’go, gdy przybędzie na jarmark do Frankfurtu, pojмали i więzili dopóty, dopóki on, obrażony, nie wymierzy mu kary. Poetów zaś, zwłaszcza przyjaznych sobie *Eobana Hessego* i *Crotusa Rubeamusa*, którzy nieraz kruszyli już kopie z antyhumanistami, uprasza, aby dobyli oręża i przeciw nowym wrogom. Wysłała tedy mużę w podróż okolną po Niemczech, głównie środkowych i północnych, aby zrobić przegląd rozporządzalnych sił humanistycznych. Rozpoczyna, naturalnie, od Rostocku, z lubością bawi we Frankfurcie, gdzie książka jego była pono drukowana, dłużej nieco, z wdzięcznym umysłem, zatrzymuje się na Erfurcie, z miłością wspomina matkę, o ojcu zaś napomyka pokrótce, i kończy, zapewne nie bez celu, na *Reuchlinie*, który rozmaitemi pracami uniesmiertelnił imię miasta rodzinnego. Odwołał się *Hutten* do wszystkich poetów niemieckich dlatego, że zajadły wróg *Lötze* mógł tak dobrze szkodzić im, jak i jemu; w odezwie zaś miał na widoku nieprzyjaciela zaskarżyć, postępek swój usprawiedliwić i sprawcę dotkliwych przykrości podać w nienawiść.

Nieprzyjaciele, obrzuceni kłutwą, nie nie ucierpieli; owszem, coraz większego doznawali poważania. Apellacya *Huttena* do przyjaciół przebrzmiała również bez wrażenia. Przynajmniej nie wiadomo, czy choćby jeden z towarzyszków ujął się za nim; podobnież żaden rycerz nie chciał w tój sprawie odgrywać roli napastnika przydrożnego. W listach spółczesników spotykamy za ledwie napomknienie o całym zajściu. Ów zbiór poezyj, czy to, że zaczępieni go wykupywali, czy że przypadkowo uległ zniszczeniu, stał się tak rzadkim, iż ogłoszenie onego w początkach bieżącego stulecia równało się odkryciu.

Loetzowie byli oskarżeni przez *Huttena* jako nieprzyjaciele poezyi i poetów wobec całych Niemiec, a więc wydani na łup nienawiści powszechnej. Poezya też, t. j. nauka starożytności, stanowi przedmiot studyów jego życia. Zna on autorów starożytnych i lubi przyta-

czać z nich wyjątki; pisze jasno łąciną, nieraz wytworną, w skutek oryginalności myśli dosadną i sobie właściwą. Biegły w technice poetycznej, idąc za przykładem wielu humanistów, ułożył podręcznik sztuki wierszowania. Mistrzem jest w prozie. Celuje w trzech rodzajach prozy, w których najsilniej uwydatnia się pierwiastek indywidualny, oratorski: a więc nie w długich rozprawach pouczających, lecz w listach, mowach i dyalogach. Ma tyle samopoznania, iż wybiera formy literackie talentowi swemu najodpowiedniejsze.

Żywiół osobisty występuje także na jaw w dziełach *Huttena*, specjalnie humanistycznych. Nie kroczy tedy torami wielu z kolegów i nie pisze panegiryków ogólnych na cześć humanizmu, lecz staje w obronie tego, co w danej chwili doznaje napaści, nie bacząc wcale, czy przedmiotem zaczepki jest on sam, czy szczerze przezeń wielbiony przywódca partii humanistycznej. Powyżej daliśmy czytelnikowi już poznać cztery takie turnieje: pismo p. t. „Nikt”, zawierające gorącą obronę niecości autora, oraz potężny atak przeciw posiadaczom godności akademickich i wrogom studyów humanistycznych (str. 395 nst.); „Listy ciemnych mężów”, w których redakcyi nader czynny bierze udział; „Tryumf Reuchlina”, którego najprawdopodobniej jest autorem (str. 396, 497); wreszcie łabędzi śpiew rycerza, owa ostra polemika z *Erazmem* (str. 521—522), wypływa także z szacunku dla studyów, którym najlepsze poświęcił siły.

We wszystkich tych pismach wre gniew rycerza, wywołany napaściami przeciwników. W inném natomiast, mianowicie w liście do *Pirckheimera* (25 października 1518 r.), płynie uczucie spokojne, entuzjizm powściągliwy dla rozwoju nauk. Treścią listu jest pogląd *Huttena* na życie. Patrycyusz norymberski, doświadczony znawca ludzi, nie podzielał mniemań *Ulryka*, wypowiedzianych w dyalogu o życiu dworskiem (str. 341 nst.), jak również nie zgadzał się z autorem, kiedy ten postanowił spróbować życia na dworze pańskim. Uwagi te były właśnie powodem, że *Hutten* w obszerniejszym zarysie skreślił swój sposób pojmowania życia. Bogaty filozof norymberski rozkoszował się życiem. Kiedy chciał, służył miastu; ale najczęściej usuwał się do błogosławionego zacisza. Otóż biedny rycerz, wbrew twierdzeniom *Pirckheimera*, stara się wykazać, najprzód ze względu na siebie, a potem ze względu na ludzi wogóle, słuszność, ba! nawet konieczność łączenia nauki z życiem, wszczęgólności z życiem dworskiem. Nie bardzo obchodzi nas to, co rozpowiada o życiu dworskiem, aczkolwiek i tutaj gra rolę pierwiastek indywidualny. Mianowicie mówi wyraźnie rycerz o rycerstwie, potrzebującym oparcia o możnych, w przeciwstawieniu do poczucia siły świadomego siebie mieszczačina, który książąt unika, lubo z drugiej strony potrzeba łączności z potentatami jest jednem ze znamion humanizmu. Jeżeli co

w tym liście dzisiaj jeszcze żywo nas zajmuje, to gorące uwielbienie dla studyów. Nie brak i tu żywiołu rycerskiego; nie brak drwin z głupców, którzy sądzą, że zajęcia naukowe pozostają w sprzeczności z dostojnością rycerską; nie brak ognistych pochwał dla dzielnych mężów, którzy najwcześniej pouczali, że rycerskość można pogodzić z pracą umysłową. Przedewszystkiemi jednak rozprawia autor listu o samym sobie, o swym entuzjazmie dla sprawy reuchlińskiej, o swęj odwadze, która śmiało podejmuje bój z wrogiem i nie lęka się ani otwartych, ani skrytych jego podjazdów,—o swych nadziejach różowych, że umysłowość pomyślnie rozwijać się będzie. Nie bez samowiedzy mówi o swęj pracowitości, że wszędy bierze z sobą małą bibliotekę, aby każdą chwilę wolną poświęcić studyum; „jeżeli zamiłowanie w studyach stanowi uczonego, w takim razie nikomu w Niemczech pod tym względem nie ustępuję”. W końcu przyjdzie do tego, „że lepsze nauki odżyją, że znajomość obu języków ozdobi nas w równęj mierze jak Greków i Włochów, że w Niemczech kultura się zakorzeni a barbarzyństwo będzie wygnane poza góry Hiperborejskie i do brzegów Bałtyku. My tymczasem naśladowujemy drzewo palmowe: im silniej nas wrogowie gaitą, dźwigajmy się tém wytrwalej i uciążliwym ciemężycielom stawiajmy opór tém bardziej nieugięty”.

Już w pierwszej zwadzie, podczas której wybuchnął gniewem, pragnął interes prywatny przeistoczyć w sprawę ogólną. Toż samo stało się w innym wypadku, kiedy humanista przedzierzgał się w polityka.

Hans Hutten, syn *Ludwika*, a brat stryjeczny naszego *Ulryka*, był koniuszym *Ulryka*, księcia würtemburskiego, cieszył się wielkimi względami władcy aż do chwili swego ożenku. Dama bowiem przenień wybrana nie była przedtém księciu obojętną. Księżę więc, licząc na rozwiazle obyczaje epoki i folgując chuciom własnym, miał nadzieję utrzymywać i nadal stosunki z kobietą zameżną; aby je zaś umożliwić, padł do nóg młodemu żonkosiovi, zaręczając uroczyscie o swęj namiętności nieugaszonęj. *Hans*, jużto lubiąc opowiadać zdarzenia osobliwsze, jużto pragnąc w ciężkiem położeniu zasięgnąć rady, zwierzył się z wypadku tak niezwycajnego przyjaciolom swoim i ksiązęcym. Ponieważ towarzysze nie umieli dochować tajemnicy, został tedy pociągnięty przez księcia do odpowiedzialności. Chcąc uniknąć przykrości na dworze, prosił o przeniesienie na inny urząd lub o pozwolenie odwiedzenia krewniaków. Ksiązę odmówił. Ale niebawem wezwał go po przyjacielsku na przejażdżkę z sobą do Böblingen (7 maja 1515 r.) i w lesie haniebnie zamordował, oddaliwszy wprzód, pod różnymi pozorami, dworzan i służbę.

Czyn tak straszny domagał się zemsty. Wszysey członkowie ro-

dziny zabitego zebrali się na naradę, i oburzeni gniewem zanieśli skargę do stanów würtemberskich i rzeszy niemieckiej. Zjazd rodzinny przyprowadził do skutku *Ulryk Hutten*; on także rozgłaszał po całych Niemczech i za granicą wiadomość o wydarzeniu okropnym, on wreszcie występował z namiętnymi mowami dopraszając się kary. W pięciu mowach (od 1515 do 1519 r.) umiał zainteresować czynem sromotnym najszersze koła, mordercę przedstawiał jako potwora, a zamordowanego jako wcielenie cnót wszelakich; skreślił świetlany obraz małżonki księżęcej, która uciekła od męża, bez względu zresztą na ów postępek. Wzywał do zemsty książąt bawarskich, krewniaków zbiegłej żony; Szwabów, poddanych zabójcy; wzywał wreszcie cesarza. Cesarz powołał rzeczywiście księcia przed sąd swój i skazał go na wywołanie z kraju; zbrodniarz zaś nie przybył osobiście, lecz bronił się piśmiennie beczelnymi kłamstwami. Wkrótce jednak zawarł książę z cesarzem układ, mocą którego po wypłaceniu poszkodowanym oznaczonej sumy i ustanowieniu na lat sześć rządów zastępczych, banicya miała być zniesioną; warunków umowy wszelako nie dotrzymał. Dopiero po spełnieniu nowych zbrodni przedsięwziął związek szwabski wyprawę przeciw burzycielowi pokoju w kraju, zakończoną wypędzeniem księcia.

W wojnie tej brał udział i *Ulryk Hutten*. Skuteczniej przecież aniżeli orężem działał przeciw księciu śmiałymi mowami. W każdym razie dopuszczał się w nich przesady. Ani bowiem książę nie jest takim potworem, ani jego żona i ofiara mordu nie są postaciami tak świetlanymi, jakimi mówca ich przedstawia; ale w mowach tych złożył świadectwa najśmielszej otwartości i tak wielkiego zapału, że porwał gwałtownie nawet słuchaczy i czytelników. Widzimy tu wyraźnie, jak rodzi się gniew z krzywdy wyrządzonej rodzinie; lecz widzimy także, jak oczyszczony wybucha bólem na widok smutnego stanu Niemiec, zamienia się w skargę na cierpienia ogółu.

Już w tych mowach ukazuje się cesarz jako ucieczka prawa i wolności. „Daj nam posłuch” — woła w jednej z nich orator — „obronco niewinności, orędowniku sprawiedliwości, stróżu wolności, lubownika pobożności. Daj nam posłuch, ty następcu Augusta, miłośniku Trajana, władco świata, kierowniku rodu ludzkiego. Usun trwożę powszechną. Ocal, co jeszcze z Niemiec się ostaje”. Dla cesarza dużą miała wagę miłość i entuzjazm *Huttena* oraz wszystkich humanistów; dla szydzców zaś i wrogów cesarskich — jego nienawiść i gniew jego.

Sposobności do gniewu dostarczały rządy *Maksymiliana* pod dostatkiem. Powaga monarchy w Niemczech była niewielką, a słabość woli, ze względu na zaprowadzenie porządku, ujawniła się dobitnie w zamieszkach würtemberskich. Zagranica nie gięła już kolan przed

imieniem cesarskiem. Turcy kolatali aż nazbyt głośno do wrót Rzeszy, a Włosi wspominali z odrazą o dawnym związku Italii z Niemcami. Przeciwno Osmanom, a zarazem i przeciw książętom, odmawiającym cesarzowi poparcia i spełniającym najniecierpliwiej swe powinności, napisał *Hutten* Tureykę, o której mówiliśmy już wyżej (ob. str. 358). Przeciw Włochom zaś tworzył ostre epigramaty (ob. str. 264), mając głównie na oku Wenecyan, którzy, dufając w swą potęgę i stanowisko odosobnione, szczególną okazywali niechęć władzy cesarskiej. I w tych i w innych pismach stara się *Hutten* uwydatnić nietylko wstręt do cudzoziemców, ale przywieść też na pamięć słynną i świetną przeszłość niemiecką oraz wykazać, że Niemcy nie wyrodniają, lecz godni są sławy dawno minioniej; mówi dalej w słowach podniosłych o potędze cesarza i przypomina mu jego względem Włoch obowiązki. Poemat, napisany przezeń gwoli tej sprawie w imieniu Włoch dla cesarza, czyta się tak, jak częste napomnienia *Petrarki*, z tą, naturalnie, różnicą, że w ustach Niemca apellacya Włoch o pomoc proszących brzmi nie tak skutecznie, jak w ustach Włocha, który sam bolał nad cierpieniami, szarpany niezgodą ojezyny.

Owładzał gniew rycerzem wrażliwym nietylko na widok bezsilności cesarskiej; zrażał się również *Hutten* na widok smutnego położenia rycerstwa. Jako zabytek średniowieczny zabrnęli rycerze w czasy nowożytnie i nie umieli się zorientować wśród warunków odmiennych. W skutek przeobrażenia sztuki wojennej okazali się w armiach już niemożliwymi lub przynajmniej zbyt słabymi; wobec nowych prądów umysłowych zachowywali całkowitą obojętność; w stosunku do wzmocnionej władzy książęcej nie nauczyli się jeszcze odgrywać roli politycznej. Wyznaczyć ją — to właśnie pragnienie *Huttena*. Zadanie to przedsięwzięte, party smutnym stanem rycerstwa, samoświadomością, którą wyrobił sobie, rozważając własne położenie, oraz ideałem rycerskości, jaki upatrywał w przyjacielu swym, *Franciszku von Sickingen*.

Odnowienie władzy cesarskiej jest pierwszym punktem programu *Huttenowego*. Władzę cesarza ogranicza wdzierstwo papieża w stosunki niemieckie: osłabienie więc władzy papieskiej zapewni siłę władzy cesarskiej. Aby zaś osłabić powagę papieską, nie dość jest unicestwić wymagania olbrzymich sum pieniężnych ze strony kuryi, ale trzeba znakomicie zmniejszyć liczbę i poprawić jakość sług duchownych. Urzędy duchowne powinni piastować ludzie godni i uczeni. Kwestya praktyczna: kto je ma obsadzać, papież czy cesarz? — za ledwie potraconą; o urządach wakujących wcale nie masz mowy. To tylko uważa nasz reformator za rzecz niezawodną, że już cię nie książęta mianować będą duchownych, i że nie będzie im dozwolone powiększaniem armii urzędniczej wzmacniać znaczenia swego; boć oni przecież są najgorszymi przeciwnikami władzy cesarskiej. Niechęć

do potęgi książąt stanowi rys negatywny wszystkich politycznych wynurzeń Huttena; myśl pozytywna jest mniej jasną. Jedno jest tylko pewnym: że w swęj reorganizacyi Rzeszy zamierza rycerzom przyznać stanowisko przedniejsze. W rozwinięciu jego pomysłów politycznych możnaby odróżnić trzy stopnie. Pierwszy uwydatnia się w żądaniu, aby rycerze i piechota tworzyli wielką armię cesarską, czyli armię Rzeszy; zadaniem jęj utrwalić spokój wewnątrz i podnieść potęgę państwa na zewnątrz. Wojsko ma być opłacane ze „skarbu publicznego”, zapelnianego mnogimi sumami, jakie zostaną do rozporządzenia po zmniejszeniu liczby duchowieństwa, zasoby skarbu wystarczą nietylko na zaspokojenie potrzeb militarynych, ale powinny tęż służyć dla ogólnych celów kultury. Drugim stopniem jest związek rycerstwa z miastami. Jeżeli opowiadanie Huttena w dyalogu „Rozbójnicy” jest zgodne z rzeczywistością, to i na tym punkcie rozwijał *Sickingen* działalność skuteczną celem rozjaśnienia i złagodzenia poglądów namiętnego przyjaciela. Kiedy bowiem Hutten nie umie powściągnąć nienawiści ku mieszczanom i wypowiada ją nawet w sposób gwałtowny, *Sickingen* tymczasem stara się rozpalic gniew prawych rycerzów i prawych mieszczan przeciw wyrodkom obu stanów, rozbijającym po drogach i kupcom szalbierzczym oraz przeciw innym rozbójnikom: jurystom i księżom; stara się nadto przejętych gniewem zjednoczyć dla wspólnej sprawy, dla walki przeciw niewoli, a za wolność. Co się tyczy wreszcie trzeciego stopnia, nie rozwinął Hutten swych myśli w piśmie oddzielném, przynajmniej takiego nie znamy. Wyrozumić jednak możemy, iż pragnął z mieszczanami i rycerzami połączyć chłopów, aby toczyć bój za cesarza przeciw księżom i duchowieństwu. W późniejszych bowiem dziełach Huttena nie chodzi już o reformę, ale o taką właśnie walkę, o rewolucję. Obwieszczą ją często w gromkich słowach, ale za słowami nigdy nie idzie czyn, coby je usprawiedliwiało. Sprzymierzeńcy, których rycerz powoływał, zgadzali się z nim w jedném tylko: chcieli wzmocnić władzę cesarską; drugi zaś cel, odrodzenie rycerstwa, zupełnie im był obcy. Nowy cesarz, Karol V, czuł się znowu o tyle silnym, że nie potrzebował pomocników; ci, coby nimi być mogli, z góry ogłosili, iż bez wynagrodzenia służyć mu nie będą.

Plany politycznych reform Huttena, jak trafnie zauważył *Ulmann*, opierają się nietylko na jego nadziejach wzmocnienia władzy cesarskiej, ale zostają tęż pod wpływem idei luterskich o wolności chrześcijan i anty-chrześcijańskim tyranstwie papieżów.

Opozycya przeciw władzy papieskiej występuje na jaw równocześnie z działalnością literacką Huttena wogóle. Początkowo uważa ją rycerz za zadanie podrzędne, stopniowo za sprawę główną, w końcu za jedyny cel życia i myślenia. Pobudki humanistyczne, poli-

tyczne i religijne w różnych czasach, o różnej sile natężenia, oddziałują nań w sposób odpowiednio modyfikujący: humanistyczne rodzą w nim nienawiść przeciw duchowieństwu, jako wrogowi nauki; polityczne zwracają jego uwagę na oplakane wysysanie Niemiec, na ich bezbronność wobec bezprawi kościoła; religijne wiodą go do karzenia skazanych obyczajów dworu papieskiego.

Gniewem przeciw Rzymowi wybucha Hutten, kiedy się przyjrzał we Włoszech nie-papieskim postępkiem *Juliusza II*. Od innych ówczesnych humanistycznych wrogów papieżstwa różni się tęp głównie, że nie gubi się nigdy w wywodach ogólnych, lecz za punkt wyjścia bierze pewne zdarzenia szczegółowe. Jak zrazu zabiegi *Juliusza II*, tak później dają mu pochop do rozmyślań czyny niektórych kardynałów w Augsburgu i Wormacyi, albo wypadki pojedyncze, np. biskupstwa wakujące. Roztrząsa dalej wnioski praktyczne, mające np. zatamować odpływ pielgrzymów niemieckich do Rzymu, lub zdemaskować wybiegi (budowa kościoła św. Piotra, podatek na wojnę turecką), pod pozorem których domagała się kurya składek. Wysnuwa wreszcie nauki z dziejów. W rozprawce p. t. „Jak papieże zachowywali się ciągle względem cesarzów” dostarcza z historii dowodów, że nigdy jeszcze żaden papież nie postępował sumiennie w stosunku do cesarza. Wydaje także dzieła antykościelne dawniejszej doby, np. *Wawrzyńca Valli* o darowiznie Konstantyna W., zbiór pism polemicznych i naukowych p. t. Przyczynek do usunięcia schizmy z wieku XIV, i opatruje je ognistemi przedmowami.

Myśli we wszystkich pismach antypapieskich Huttena są w gruncie zawsze też same; wysłowienie tylko staje się coraz silniejszym, coraz namiętniejszym. W dyalogu Febra I zaczyna od igraszki, wysyłając dokuczliwą febrę do opasłych kanoników i hulaszczycy kardynałów; w następnym: Febra II udała się febra, za radą autora, do pewnego księdza i opowiada szeroko o zbytkach, a zwłaszcza o życiu nieobyczajnym duchowieństwa, — o próżniactwie i bogactwach, jako przyczynach takiego żywota, — o zepsuciu Rzymu, który, zamiast niecnoty tłumić, otacza je opieką. Przeciw Rzymowi samemu piorunuje w *Vadiscus* czyli trójca rzymska; wylicza tu na podstawie wiadomości, otrzymanych niby od rzymskiego konsula *Vadiscusa*, tryady, mające odmalować ujemne strony Rzymu i dworu papieskiego. Trzema rzeczami — czytamy tam — prowadzą Rzymianie handel: Chrystusem, lennościami duchownemi i kobietami; trzy rzeczy wynoszą cudzoziemcy z Rzymu: sumienie zbrukane, żołądek zepsuty i pustą kiesę; trzy rzeczy mogłyby Rzym poprawić: zgoda książąt, zmądrzenie ludu i najazd Turków. Czwarty dyalog, *Widzowie*, wiedzie czytelnika do Niemiec, specyalnie do Augsburga 1518 r.; rozmawiają tutaj *Sol* (słońce) i *Faeton* o wrzącym u ich stóp zgiełku, głównie zaś

o panoszącym się kardynale; wygłaszają ciężkie oskarżenia, czém ściągają na się jego niezadowolnienie; w końcu, wyklęci przezeń, wracają z pogardliwym uśmiechem do swych siedzib niebieskich.

Utwory rzeczone, oraz inne niektóre, im podobne, pisał *Hutten* po łacinie, przystrajając je rozmaitemi przyborami humanistycznymi, zwłaszcza licznymi cytatami z autorów rzymskich i greckich. Tymczasem im dalej brnie w walce przeciw Rzymowi, tém ochotniej zmienia ryszunek bojowy; wyjątki z pisarzy klasycznych zastępuje wyrzeczeniami biblii, a zamiast łacińskim, posługuje się nadal językiem niemieckim. Zamiana taka nie jest bynajmniej powierzchowna, ale pozostaje u niego w ścisłym związku z rozwojem przekonań. Dawniej pisał po łacinie, częścią dlatego, że używanie tego języka przystało członkowi kół uczonych, częścią dlatego, że miał nadzieję, postępując poniekąd w sposób prywatny, przetworzyć mniemania swych przeciwników. Teraz pisze po niemiecku, ponieważ odwołuje się do publiczności, ponieważ rozbrzmiewa skargami wobec ogółu, nie znającego łaciny, ponieważ chce od narodu uzyskać przyznanie sobie słuszności. Sam w tej sprawie wypowiada zdanie:

Niegdyś łaciną pisałem potrosze:
 Nie każdy świadom języka obcego;
 Dziś ku ojczyźnie wołanie podnoszę,
 Pośród zastępów ludu niemieckiego
 I jego mową zemstę złemu głoszę.

Otóż więc nietylko tłumaczy na niemiecki swe dyalogi łacińskie, ale pisze jeszcze w języku ojczystym nowe książki prozą i wierszem. Sprawiają one na nas wrażenie, że autor znalazł raczój narzędzie dla swego talentu odpowiednie, aniżeli, iżby mu było obce i niestosowne. Mniej natomiast wydaje się właściwem przytaczanie urywków z biblii; wojowniczem bowiem rycerzowi wcale nie do twarzy w szacie pobożnej. Wdziewa przecież kapię duchowną nie dlatego bynajmniej, żeby się nie czuł zdolnym do noszenia miecza, lecz aby złożyć świadectwo nawet zewnętrzne, iż poprzez humanizm wkroczył na pole reformacyi.

Po raz ostatni bowiem zawrzał *Hutten* gniewem w sprawie reformacyi. Dał go uczuć tym samym stronnikom Rzymu, których zwalczał już przedtém jako wrogów pod względem narodowym i umysłowym. A jednakże nie był on protestantem według myśli *Lutra* i jego zwolenników. Co prawda, w znaném wyzwanie *Erazma* główny mu uczynił zarzut, że nie dość gorąco bierze do serca sprawę *Lutra*; co prawda, oznaczał siebie i protestantów słówkiem „my” jako przedstawicieli nowój kultury: ale mimo to wszystko doczekał się,

iz ludzie, których poczytywał za swych sojuszników, nazwali owo pismo niedogodnym, nazwali marnym płodem marnego umysłu. Ale i *Erazm*, ze zwykłą sobie bystrością, rzecz nawskroś przeniknął i w odpowiedzi na zaczepkę przeciwnika wydał sąd sprawiedliwy: luteraninem jest Hutten najmniej.

Początkowo ośmieszał Hutten spór Lutra z teologami rzymskimi niby pospolite swary mnisze; następnie uważał go za łagodny środek pomocniczy przeciw władzy papieskiej; wreszcie dopiero podczas spotkania z *Crotusem* (w Bambergu 1520) zrozumiał lepiej istotę zatargu. Teraz więc zwraca się piśmiennie do Lutra, ofiaruje mu swe przymierze, czyta jego pisma, do czytania ich zachęca innych, werbuje dlań stronników, zapewne w tym samym sensie, w jakim powoływał dawniej humanistów i towarzyszków swego stanu do walk umysłowych i rycerskich. W tym samym — mówię — sensie, ponieważ właśnie sprawa reformacji nie jest mu zgola celem, lecz tylko nowym etapem we współczesnym wielkim sporze umysłowo politycznym. Z pomocą Lutra i jego zwolenników pragnie Rzym rozgrzeszyć, papieństwo oczyścić, jeżeli wprost nie zniszczyć nawet, Niemcy zaś od duchownego i duchowego jarzma Rzymu oswobodzić a przede wszystkim doprowadzić do skutku plany reform politycznych: wzmocnić władzę cesarską i przetworzyć stosunki stanowe. Przez wpienie przeciąg czasu wywierał wpływ na Lutra. Odbija się to mianowicie z chwilą rzeczonyj schadzki bamburgkiej w listach i dziełach Lutra; prześwieca w nich silnie żywioł narodowy, że nie powiem polityczny. Niebawem wpływ ustaje całkowicie, ustaje nie dlatego tylko, że książęta, których Hutten uważał za zgubnych intruzów między rycerstwem a cesarzem, okazali się najsilniejszą podporą sprawy luterskiej, a więc przez Lutra, potrzebującego takiej opieki, byli wychwalani, ale głównie dlatego, że głębokich uczuć religijnych, ożywiających mnicha wittenberskiego i im dalej, tém bardziej wykreślających całą działalność jego, błędny rycerz nie podzielał, ba! kwestya nawet, czy je rozumiał należycie. Listów Lutra do Huttana nie znamy. Jednakże dawniejsze wynurzenia Lutra wskazują dostatecznie, że reformator nie zgadzał się ze środkami i celami rycerza. Im Hutten bardziej posuwał się naprzód, tém większa otwierała się przepaść między nim a reformatorami. Dowodem tego lodowate milczenie od 1521 r. ze strony Wittenberga i zupełna obojętność na wieść o śmierci Huttana.

Tymczasem dyalogi oraz inne pisma reformatorskie Huttana oddają się całkiem na usługi Lutra. Ośmiesza w nich rycerz bullę wyklinającą Lutra, skarży się na spalenie dzieł jego, wysławia jego myśli i czyny. Co prawda, Hutten umyślnie lub nieumyślnie źle rozumie niektóre idee luterskie; ruchowi husyckiemu, ponieważ nosił znamię narodowe,

objawia uznanie zbyt gorące; w dyalogach: „Warner I i II” nie Lutrowi każe nawracać Warnera, lecz *Sickingenowi*, jak gdyby namowie praktyczno-rycerskiej przypisywał moc większą, aniżeli teoretyczno-teologiczną. Wszystko to — prawda! A jednakże gotów był zawsze walczyć za Lutra i pod jego sztandarem. Aż do ostatniej chwili pozostał wierny zapewnieniom, które wypowiedział w pierwszym niemal swém piśmie reformatorskiem, w skardze z powodu spalenia ksiąg luterskich w Moguncyi. Zaręczenia te brzmią:

Kiedy widzę, bracie drogi,
 Jak Cię krzywdzą takie wrogi,
 Wielki smutek serce gniecie;
 Jednak wierzę zmianom w świecie
 I w Twój pomstę niewinności.
 Sługo boży, cierpliwości!
 Jeśli radzić w tój potrzebie,
 Jeśli godnie wspomódz Ciebie,
 Oddam mienie moje całe,
 Oddam krew mu na Twą chwałę.

Że się Lutrowi nigdy nie przენiewierzył, świadczy także ostatnia jego praca, wyzwanie *Erazma*, o której rzecz można, iż pisał ją krwią serdeczną. Tu przecieć oskarża dawnego mistrza o to głównie, że odpadł od Lutra, a reformatora w pięknych czei wyrazach jako bohatera słowa,—jako proroka, który gromadzi wokoło siebie, albo raczej wokoło Chrystusa, wielkie hufy najdzielniejszych,—jako kapłana, który stanowi jedność ze słowem przez się głoszoném. W kilka miesięcy po ukończeniu tój pracy *Hutten* umarł, „nie nie pozostawiając w spuściznie” — jak mówi pewien współczesnik — ani ksiąg, ani sprzętów domowych — prócz jednego pióra”.

Ze skonem *Huttena* kończą się i dzieje humanizmu niemieckiego. Odrodzenie włoskie zastąpił humanizm niemiecki, a humanizm niemiecki zastąpiła reformacja. Nie znaczy to bynajmniej, iżby czasy późniejsze ze zjawieniem się nowego kierunku nie oglądały dzieł świetnych. Jednakże charakter tych dzieł, jak również istota mężów, w duchu humanistycznym pracujących, zmienia się po reformacyi zasadniczo. Żywioł czysto-uczony przeważa niewątpliwie, ale współczucie dla spraw narodowych, dla wielkich spraw umysłowych ludu znika. Starsze pokolenie zstępuje tedy do grobu. *Erazm* wprawdzie przeżył swego przeciwnika więcéj aniżeli o lat

dziesięć, ale *Reuchlin* umarł, a *Mutian* zażywał wypoczynku, lubo nie tak błogiego, jak sobie marzył. Ci zaś, których żywot latami i lat dziesiątkami w nową sięga dobę, tracą energię i obojętnieją w tej epoce niezwykłej. Jakże olbrzymią spostrzeżemy różnicę między dziełami *Wimphelinga*, *Pirckheimera*, *Buscha*, *Crotusa*, że wymienię najprzedniejszych tylko, z przed roku 1523, a tём, co stworzyli później! Nie wiek wszelako w dalszych przeszkadzał im pracach, ale oziębłość publiczności. Ogółowi podobały się wyłącznie ulotne pisma niemieckie i traktaty teologiczne. Rozkwit języka niemieckiego i świeży rozwój literatury ludowej przytłumia pociąg do wykształcenia humanistycznego. Juźcié historyk z radością powitać musi takie przeobrażenie upodobań, lecz dla humanistów był to cios dotkliwy, ponieważ w owęj zmianie nie mogli żadnego dojrzyć polepszenia. Przeciwnie! Humanisci, zwłaszcza ci, co pozostali wiernymi staremu kościołowi, z rozrzewnieniem rzucali wzrok tęskliwy w czasy ubiegłe, kreślili świetlany obraz dni minionych a karykaturę chwili bieżącej i jęj reformistów. Ale i protestanci nawet, o ile należeli dawniej do szeregów humanistów, spoglądając z ukosa chmurném okiem na współczesników, przypominali sobie, jak to pięknie było niegdyś. Wspomnień podobnych nie potrzeba szperaczém okiem szukać w tajnych zapiskach mrukliwych lub upośledzonych mężów; dostarczają ich obficie publiczne wyznania ludzi najznakomitszych. Klasycznym tego dowodem jest *Joachim Camerarius*. Gromadzi on w trzech zbiorach listów i dwu biografjach (jedna *Eobana Hessego*) materyał dla poznania epoki humanistycznęj i równocześnie stara się materyał ten opracować. Zarówno owe biografie, jak i listy, są jasnym oddźwiękiem czasów humanistycznych, zwłaszcza wesółych i pełnych dziarskości czasów erfureckich, onych czasów, kiedy to wśród mężów żarliwych a zawsze wesółych, odważnych a niestrudzonych był *Ulryk von Hutten* jednym z najprzedniejszych i najdzielniejszych.

W najnowszych czasach ktoś nazwał *Lessinga* drugim *Huttenem*. Porównanie takie historyk humanizmu przyjmie z wdzięcznością. Przyznamy bowiem *Huttenowi* wielki, lecz zasłużony honor, jeżeli go zestawimy z najodważniejszym i najśmielszym bohaterem umysłowości niemieckięj. Aczkołwiek obaj mają wiele przymiotów wspólnych, dwa jednak głównie zaznaczyć trzeba. Oba one zapewniają *Huttenowi* wyższość nad *Lessingiem* i oba zarazem charakteryzują wysmienicie humanizm niemiecki. Są nimi: wesóły optymizm i młodzieńczość dążeń. Kiedy *Lessing*, widząc zawiedzione nadzieje, zagrzebuje się w księgach i urzeczywistnienia ukochanych idei nie wy-

głąda ani od terażniejszości, ani od przyszłości, *Hutten*, a wraz z nim humanizm niemiecki, przeciwuie, niewzruszone żywi przekonanie, że dobro zwycięży, że epoka mu współczesna jest drogocenna; żywi przekonanie, które w znanych wypowiedział słowach: „nauki kwitną, umysły wrą, to rozkosz żyć!” Kiedy *Lessing*, w sędziwych latach mruk i zrzęda, odwraca się od dążeń i idei, głośno i śmiało wyznawanych przez młodzież, — ba! radby je nawet stłumić, *Hutten*, a wraz z nim legion humanistów, jest wcieleniem usiłowań nowej epoki. *Hutten* — to młodzieniec wiekuisty; nieznużenie pasuje się i walczy; wśród działalności ożywionej, wśród wrzawy wojennej dokonywa żywota, marząc o blizkiem zwycięstwie. Mimowolnie przypomina Euforyona *Goethego*. Dewiza *Huttena* jest bowiem dewizą Euforyona:

Coraz wyżej czołem sięgać,
Coraz dalej okiem ściagać.

Jak Euforyon, podobnież i *Hutten* woła na ospalca i bojaźliwca, zrażającego się trudnościami i niebezpieczeństwami:

Więc marzycie dni pokoju?
Żyj, kto możesz, w tym nastroju!
Walka — oto hasło dzielne;
Zwycięż! — słowo nieśmiertelne.



NOTATKA BIBLIOGRAFICZNA.

Przytoczony poniżej spis źródeł i opracowań, dotyczących się historii literatury odrodzenia włoskiego i humanizmu niemieckiego, nie rości bynajmniej pretensyi do dokładności bibliograficznej. Ma on jeno zastąpić uwagi z rozmysłem w tekście opuszczone oraz zaznajomić czytelnika z pisarzami, którymi się autor posiłkował w swęj pracy. Ze względu na odrodzenie włoskie wogóle—pierwsze miejsce zajmuje dzieło Jakóba Burckhardta: *Die Cultur der Renaissance in Italien* (wyd. 3 sporządzone przez L. Geigera, 2 t. Lipsk 1877 i 1878). W równym rzędzie obok niego postawić należy prace Voigta i Gregoroviusa: G. Voigta *Die Wiederbelebung des classischen Alterthums oder das erste Jahrhundert des Humanismus*. (Berlin 1859. 2 wyd. 2 t. 1880 i 1881). Gregoroviusa *Geschichte der Stadt Rom im Alterthum* (8 t wyd. 3 Stuttgart 1880). Małej wagi jest: J. A. Symonda: *Renaissance in Italy*. T. I: *The age of the despots*. Lond. 1875. 2 t.: *The revival of learning*. Lond. 1877. 3 t.: *The fins arts*. Lond. 1877; w najnowszych czasach wyszły jeszcze dwa niemniej grube tomy, zamykające całość, p. t. *The italian literature*; podobnie jak dawniejsze nie zasługują wcale na tak wielkie pochwały, jakiemi je niektórzy krytycy obsypywali. Niewiele posuwa naprzód przedmiot badań opracowane starannie, ale zbyt rozwlekłe, dzieło G. Körtinga: *Geschichte der Literatur Italiens im Zeitalter der Renaissance*. T. I: Petrarca. Lipsk 1878. T. II: Boccaccio, Lipsk 1880. Część również jeno traktowanego tu okresu obejmuje na rozległą skalę zamierzone dzieło Jozyasza Invernizziego: *Storia letteraria d'Italia. Il Risorgimento*. Parte I: *Il secolo XV*, Medyol. 1878; dalszy ciąg jego stanowi praca U. A. Canello: *Storia della letteratura italiana nel secolo XVI*, Medyol. 1880, zajmująca się, nie tyle czasami odrodzenia, ile raczej

literaturą włoską wogólności. Szczegóły można znaleźć w książce A. de Tréverreta *L'Italie au 16-e siècle, Etudes littéraires, morales et politiques*, 2 t. Paryż 1877 i 1879, zawierającej 5 studyj nad Machiavelli'm, Castiglione'm, Sannazarem, Aryostem i Guicciardinim. Bez wartości natomiast, zarówno pod względem naukowym, jak artystycznym jest hrabięgo de Gobineau: *La Renaissance. Scènes historiques*. Paryż 1877. Wyborny przegląd daje P. Pillari we wstępie do swego dzieła: *Niccolò Machiavelli e i suoi tempi*, Florenc. 1877, t. 1; zasługują też na uwagę osobne rozdziały w tomie II i III, Florenc. 1881 i 1882. Niektóre kwestye wyjaśnia Hub. Janitschek: *Die Gesellschaft der Renaissance in Italien und die Kunst. Vier Vorträge*. Stuttg. 1879 i H. Hettner: *Italienische Studien. Zur Geschichte der Renaissance*. Brunśw. 1879. Zaznaczyć jeszcze trzeba prace, przedstawiające całokształt historyi literatury włoskiej, między którymi najcenniejszą, ale i najpowierzchnowiejszą zarazem, jest H. Tiraboschi'ego *Storia della letteratura italiana* (cytuję według edycji florenckiej, 9 t. 1805—1812). Nader gruntowne i z wielkim napisane talentem są L. Settembriniego: *Lezioni di letteratura italiana detatte nell'università di Napoli*. wyd. 2, 3 t., Neapol 1869. Historyę sztuki napisał Vasari: *Vite de' più eccellenti pittori, scultori e architetti* (cytuję podług wydania medyolańskiego w 16 tomach, 1807—1811). Krytyczny przegląd prac nowszych skreślił L. Geiger p. n.: *Neue Schriften zur Geschichte des Humanismus w Historische Zeitschrift*, T. XXXIII (1874), str. 49—125.

KSIEGA PIERWSZA.

Rozdział 2. Albertino Mussato, *Opera*, Wenec. 1636. Muratori. *Scriptores rerum italicarum t. X*. Porównać T. A. Wicherta *Beiträge zur Kritik der Quellen für die Geschichte Kaiser Ludwig des Baiern*. IV: *Albertini Mussati, Ludovicus Barbarus. Forschungen zur deutschen Geschichte XVI*. (1871), 1871—1882. J. Wychgram: *A. M. Ein Beitrag zur italienischen Geschichte des 14 Jahrhunderts*. Lipsk 1880 r. J. L. Klein: *Geschichte des Dramas*. Tom IV—VII, Lipsk 1866—1874; dzieło nadmiernie przeładowane materyalami; traktuje historyę literatury dramatycznęj i z czasów późniejszych. Cicurgo Capelleti: *A. Mussato e la sua tragedia Eccerinis*. Parma 1882.

Latini. Fauriel: *Histoire littéraire de la France XX*, 276—304; Schück: *Dantes classisches Studium und Brunetto Latini w Jahrbücher*

für *Philologie und Pädagogik*. 1865, 265—289. Fil. Villani: *Liber de civitatis Florentiae famosis civibus*. Wyd. Galettięo 1847. *Il sesoretto*. Wyd. Zanzoniego. Florenc. 1824. *Li livres dou tresor*. Wyd. Chabailles. Paryż 1863.

Dante. F. X. Wegele: *Dante Alighieris Leben und Werke*. ed. 3 Jena 1879. J. A. Scartizzini: *Dante A., seine Zeit, sein Leben und seine Werke*. Frankf. n. M. 1880. Tenze: *Abhandlungen über Dante A.*, tamże. Wyjątki z Boskiej Komedyi przytaczał autor według tłumaczenia Philalethesa. 3 t. Lipsk. 1871. Drobniejsze pisma P. Fraticelli'ęo: *Opere minori di Dante*. 3 t. Florenc. 1856, 1857; przekład niemiecki L. Kannegiessera i K. Förstera w *Bibliothek italienischer Classiker*. 23, 26, 27. (Do str. 21—23) Alfred Stern: *Milton*. Lipsk 1879, tom IV, 102). Nadto dzieła o dawniejszych czasach Odrodzenia wogóle: Adolfa Bartoli'ęo: *I due primi secoli della letteratura italiana*. 2 t. Medyol. 1880; E. Gebharta: *Les origines de la renaissance en Italie*. Paryż 1879.

Rozdział 3. Petrarka. Opera, 1494; przydatniejsze są oba wydania bazylejskie, 1554 i 1581. Błędy w nich wytknął nader ostro Attilio Hortis, który w *Scritti inediti di F. P.* Tryest 1874, wydał niektóre rzeczy niedrukowane. Wydawnictwa te nie obejmują wielkiego dzieła *De viris illustribus*, którego oryginał, wraz z dawnym tłumaczeniem łacińskim (Donata degli Albanzani), ogłosił po raz pierwszy dopiero Razzolini, Bolonia 1874. Wydanie krytyczne poematu *Africa* sporządził F. Corradini 1874, przełożył zaś na język włoski L. B. Gaudo, Oneglia 1874 i Aug. Palesa, Padwa 1874. *Epistolae rerum familiarium*. 2 t. Florenc. 1859—1863; *Lettere senili*. 2 t. Florenc. 1869—1870. *Poemata minora quae extant omnia* ed. G. Rossetti. Tryest 1828—1834; 3 t. *Rime*: ed. 1 Wenec. 1470; jedna z najpiękniejszych Marsanda, 2 t. 1819 i 1820. Przypisywane Petraręe *Monumenta saecularia Monacensia* wydał Thomas, Monach. 1859. Nowsze wydania i zbiory przygotowali Carbone i Ferrato. Florenc. i Padwa 1874. (O tych wydawnictwach oraz wielu innych pismach jubileuszowych ogłoszonych 1874 zdał sprawę L. Geiger w artykule: *Italienische Schriften z. Petrarcafeier* w: *Allg. Ztg.* 1875, Nr 38, 57, 58). Z pomiędzy tego rodzaju dzieł okolicznościowych zasługuje na szczególne wyróżnienie praca zbiorowa: *Petrarca e Venezia*, Wenec. 1874. Godne jest zalecenia wydanie G. Carduccięo: *Rime di F. P. sopra argomenti storici, morali e diversi*. Livorno 1876, zaopatrzone w uwagi krytyczne i objaśniające. *Rime* tłumaczyli na język niemiecki: K. Förster, Ottenburg 1818, ed. 3 Lipsk 1851; K. Kekulé i L. von Biegeleben, 2 t. Stuttg. i Tübingen 1844; W. Kriger ed. 2 Hannover 1866. J. Hübner, 100 *ausgewählte Sonette*. Berl. 1868. Bibliografie: Marsanda: *Biblioteca petrarchesca*, Medyol. 1826; Att. Hortis: *Catalogo*

delle opere di F. P., esistenti nella *Petrarchesca Rossettiana*, Tryest 1874 (wyborne); Ferrazzi: *Bibl. petrarch.* Bassano 1878 (małej wagi). Wykazy rękopisów Petrarki w publicznych bibliotekach włoskich i rzymskich (wykaz rzymskich C. Narducciego, Rzym 1874). Biografie najdawniejsze z wieku XV przedrukował Tommasini w *Petrarca redivivus*. ed. 2 Padwa 1650; nowsze—de Sade w *Mémoires sur la vie de Petr.* 3 t. Amsterd. 1764—1767, przekład niemiecki 3 t. Lemgo 1775—98; Baldelli *Vita di F. P.* ed. 1 1797; Blanc *Petrarca* w Erscha i Grubera *Realencyklop.* ser. III, t. 19, str. 204—254; Mézières: *Pétrarque*. Paryż 1868, 2 ed. 1873; L. Geiger: *Petrarca*, Lipsk 1874. Rozmaitości. Zumbini: *Studi sul Petrarca*, Neapol 1878. A. Kiertel: *Die Auffindung von Ciceros Briefen durch P.*, Królewiec 1879; porów. G. Voigt w *Berichte der sächs. Akad. der Wiss.*, lipiec 1879.

Rozdział 4. *Boscaccio. Opere volgari* wyd. Moutier, 17 t. Florenc. 1827—1834. Brak zbiorowego wydania pism łacińskich, jak również nowój edycyi dzieł poszczególnych. Wyborne wskazówki o rękopisach i drukach pism oddzielnych, wraz z bogatemi w treść i uczonemi uwagami, zawiera obszerna praca Att. Hortisa *Studi sulle opere latine di B.* Tryest 1879. Porów. nadto: *Bibliografia Boccacesca* albo *Serie delle edizioni delle opere di G. B. latine, volgari, tradotte e trasformate*, wyd. Fr. Zambrini'ego, Bolonia 1875. *Le Lettere edite e inedite*, wyd. w tłumaczeniu z objaśnieniami przez Frańc. Corraggini'ego, Florenc. 1877. W języku niemieckim istnieją tłumaczenia samego tylko prawie *Dekameronu*: z nich najbardziej rozpowszechnione D. W. Soltau'a, 3 ed. Augsb. Berlin 1874. Biografie: Baldelli *Vita di G. B.* Florenc. 1806; M. Landau: *G. B. sein Leben und seine Werke*, Stuttg. 1877. Porów. też Schuck: *Zur Charakteristik der italienischen Humanisten des XIV und XV Jahrh.* Wroclaw 1857.

Rozdział 5. *Lini Collucci Salutati epistolae edd. a Jos. Rigaccio*, 2 t. Florenc. 1741—42. Z zamierzonego przez Mebus'a zbiorowego wydania listów, obliczonego na 5 tomów, wyszedł tylko tom jeden (1741), zawierający 31 listów. Co się tyczy Marsigli'ego jest kilka listów Petrarki do niego pisanych; ob. tamże Fracassetti'ego *Lettere senili*, II, 246 sq; tegoż: *Commento a una canzone di Fr. Petrarca*, Bolonia 1863; tegoż: *Lettera contro i vizi delle corte del papa* w *Rivista contemp.* 1872. Istnieje kilka listów *Salutata* i Petrarki do Jana de Ravenna; inne odkrył Voigt w pewnym rękopisie lipskim; (Voigt *Chronologische Untersuchung, Wiederbelebung* I, str. 216, uwaga 1.) *Il Paradiso degli Alberti ritrovi e ragionamenti del 1389 a cura di Alessandro Wesselofsky*, 3 t. Bolonia 1867. Dwa pierwsze tomy obejmują wstęp, trzeci zaś — tekst. Sachetti'ego *Nowelle* 1 ed. Florenc. 1724; dzieła wydał O. Gigli, 5 t. Florenc. 1857—1861. O nowellistach wogóle ważną jest praca M. Landau'a: *Beiträge zur Geschichte der*

italienischen Novelle, Wied. 1875. Liczne wydania dziejów Villani'ego wymienia Potthasta *Bibliotheca hist. medii aevi*, str. 562 sq., tom dodatkowy str. 117 sq. Porów. Gervinusa *Geschichte der florentinischen Historiographie* w *Historische Schriften*, Frankf. n. M. 1833. Biografia Fil. Villani'ego mieszczą się w kilkakrotnych tłumaczeniach włoskich po części apokryficznych; tekst łaciński wydał dopiero Galletti we Florencyi 1847 p. n.: *Liber de civitatis Florentiae famosis civibus*. O Zan. da Strada ob. Fracassetti'ego: *Lett. fam. del Petrarca* III, str. 126—130. *Il Dittamondo*, Vicenza 1474, Wenec. 1501; najnowsze znane mi wydanie — Wenec. 1836.

Rozdział 6. Co się tyczy Kuźmy Medyceusza ob. pod rozdz. 10 dzieła o Medyceuszach wogóle. Współczesne panegiryki i paszkwile, po części rękopiśmienne, po części nie skończone, w J. Mar. Filelfa: *Cosmiades sive de laud. Cosmi Med. libri II*. Amerigo Corsini: *De vita C. M. patris patriae* i Fran. Filelfo: *Commentationum florentinarum libri III ad Vitatianum Borrhomaeum* (było zamierzonych 10 ksiąg). Główną pracą po dziś dzień jeszcze: Ang. Fabroni: *Magni Cosmi Medicei vita*, Piza 1789. Ze względu na literaturę pierwszego koła medyceuszowskiego i pisarzy wieku XV wogóle nader ważne źródło: *Vite dei uomini illustri del secolo XV scritte da Vespasiano da Bisticci stampate la prima volta da Angelo Mai* (w *Spicilegium Romanum* 1839, z osobnym tytułem łacińskim) *e nuovamente da Adolfo Bartoli*, Florenc. 1859. Dalej obszerny wstęp Mehus'a do jego wydania *Epistolae Ambrosii Traversarii*, Florenc. 1740. Listy te, lubo nie w takiej obfitości, były drukowane już dawniej w Martenego i Duranda *Vett. script. amplia. collectio* t. III, str. 6—728. Ambr. Traversari'ego *Hodoeporicon* wydał również Mehus, Florenc. 1680; o nim także C. Meiners: *Lebensbeschreibungen berühmter Männer aus der Zeit der Wiederherstellung der Wissenschaften*, Zurych 1796. II, str. 222—307. *Vespasiano Bisticci Commentario della vita di Messer Gianozzo Menetto*, wyd. P. Fanfani, Turyn 1862, tom 2 zbioru p. n. *Collezione di opere inedite e rare*. (Biografia w: *Vite* jest tylko wyciągiem z *Commentario*). Naldius Naldi: *Vita Gian. Man.*, u Muratori'ego XX, col. 532 sq. *Leonardi Bruni Aretini epistola ed. Mehus*, Florenc. 1742, 2 tomy, z obszernym wstępem o życiu, przedrukowanym świeżo w Civilla Monzano: *Archivio Storico, nova serie* vol. V, p. I, 29—59, p. II, 3—34; *Historiarum florentini populi libri XII*, Argent. 1610; *Rerum in Italia suo tempore gestarum Commentarius seu libellus de temporibus suis libri 2*, u Muratori'ego, vol. XIX oraz w kilku wydaniach osobnych; dzieło greckie περί πολιτείας Φλωρεντινων wyd. L. W. Hasper.; Shepherd'a *Life of Poggio*; opracował w języku włoskim w rozmiarach obszerniejszych Tonelli, 2 t. Florenc. 1825; *Opera Franc. Poggii*, Bazylea 1513 i częścię; *Epistolae Poggii Florentini* wyd., Tonelli, t. 1. Florenc. 1832,

t. 2 1859, t. 3. 1861, dwa ostatnie niezmiernie rzadkie; Historję Florencyi mamy w wydaniu nowszem; dzieło: *De balneis prope Thuregum sitis descriptio* w języku łacińskim i francuskim p. n.: *Les bains de Bade* wyd. A. Méray, Paryż 1876; niektóre szczegóły w Reifferscheid'a: *Quintilianhandschrift* Poggios w *Rhein. Museum f. Philologie*, nowa serya, t. 23 (1866), oraz we wstęпах do nowych wydań krytycznych autorów łacińskich. Zupełnie niedorzeczną jest praca Rossa: *Tacitus and Bracciolini. The annals forged in the XV-th century*, Lond. 1878. O uniwersytecie florenckim i o studyach florenckich wogóle: Prezzi-ner: *Storia del pubblico studio di Firenze*, 2 t., Florenc. 1788 sq.

Sobór florencki: Pichler: *Geschichte der kirchlichen Trennung zwischen Orient und Occident von den ersten Anfängen bis zur jüngsten Gegenwart*, 2 t., Monach. 1864 i 1865, t. 1, str. 380 sq.; Frommann: *Kritische Beiträge zur Geschichte der Florentiner Kircheneinigung*, Halla 1872. Fritz Schultze: *Geschichte der Philosophie der Renaissance*, t. 1. *Ge. Gem. Plethon und seine reformatorischen Bestrebungen*, Jena 1874. C. Alexandre: *Traité des lois ou recueil des fragments*, Paryż 1858. Wolfgang von Goethe: *Studien und Forschungen über das Leben und die Zeit des Cardinals Bessarion 1395 — 1472* — rozprawy, regesta i kollektanea; drukowane z rękopisu (Weimar) 1871. Henryk Vast: *Le cardinal Bessarion (1403—1472), étude sur la chrétienté et la renaissance vers le milieu du 15 siècle*, Paryż 1878. *Bassarionis Opera omnia* w Migne'a *Patrologie grecque*, t. 161, Paryż 1868. Sieveking: *Geschichte der platonischen Akademie* Getynga 1812, książka drobnych rozmiarów często przytaczana, lubo nader małej wartości.—O Janie Cavalcantim: Gervinus: *Historische Schriften*, 1833, str. 73—80). *Istorie Fiorentine* wyd. F. Polidori, 2 t. Florenc. 1838, 1839. *Marsilii Ficini Fiorentini insignis philosophi Platonici Opera*, t. 1. fol. Bazyl. 1561. Leopold Galeotti: *Saggio intorno alla vita et agli scritti di Mars. Fic. w: Arch. stor. ital. Nuova Serie*, vol. IX, 25—91, vol. X, 4—55.—O Landino: A. M. Bordini: *Specimen lit. Flor. saec. 15*, 2 t. Florenc. 1748 i 1751. *Commento di Chr. Land. sopra la comedia di Dante*, Florenc. 1481; o nim też C. Hegel: *Ueber den historischen Werth der altern Dantecommentare*, Lipsk 1879, str. 71—84.

Rozdziały 7 i 8. Gregorovius: *Geschichte der Stadt Rom* (t. VII); Voigt: *Eneo Silvio Piccolomini als Papst Pius II*, 3 t. Berlin 1856—1863. Stef. Porcaro: *Petri de Godes Vicentini Dyalogon de conjuratione Porcaria* wyd. M. Perlbach, Greifswald 1879. O Mik. Perotto: Zeno: *Dissertationes Vassianae* I, 256—274. Sztuki piękne: E. Muntz: *Les arts à la cour des papes*, 2 t. Paryż 1878 i 1879, praca wyśmienita, zawiera ważne przyczynki i do historyi literatury, chociaż tytuł opiewa tylko historję sztuki. L. B. Alberti: *Opere volgari* wyd. Bonucci, 5 t. Florenc. 1844 sq.; *Vita* (prawdopodobnie autobiografia)

w Muratori'ego *Script. rer. Italic.* XXV, 295 sq.; A. Springer: *Bilder aus der neueren Kunstgeschichte*, Bonn 1867, str. 69—102. Wiele wiadomości podaje Jakób Burckhardt w *Geschichte der Renaissance* (ed. 2 Stuttg. 1878) passim. *Laurentii Vallae Opera omnia*, Bazylea 1543 (dzieł historycznych nie obejmują); dalej: *Laur. Val. opuscula tria* ed. J. Vahlen, Wiedeń 1860, 3 zeszyty; tegoż: *Lor. Val.* 2 ed. Berlin 1870; Zumpt: *Leben und Verdienste des L. V.* w A. Schmidta: *Zeitschrift für Geschichtswissenschaft*, t. IV; oryginalnością poglądu zaleca się Janitschek (*Gesellschaft der Ren.* str. 16 sq.); pouczającym bardzo jest Invernizzi (str. 105—143).—Pisma Mateusza Vegio mieszczą się przeważnie w *Bibliotheca maxima veterum patrum*, Lejda 1677, str. 632—787; Ces. Vignati—*Elogio di Maf. Veg. di Lodi*, 1855. Zbiorowego wydania dzieł Bionda Flavia nie posiadamy; *Roma instaurata* wraz z *Italia illustrata* wyszły razem w Rzymie 1474; *Roma triumphans*, 1 ed. Brixen 1462; Dekady, 1 ed. Wenec. 1483. Zamiast przywozić liczne cytaty o dziełach Eneasza Silviusa, odsyłamy do wybornego wykazu w przytoczonej powyżej pracy G. Voigta. Z pism E. S. przedrukowane jedynie: *De viris illustribus* wydanie sztutgardzkiego towarzystwa literackiego, I, 1839); z nowszych rozpraw zaznaczamy G. Voigta o listach w *Archiv für Oesterr. Gesch.* t. XVI, oraz Wikt. Bayera: *Die historia Friederici III imperatoris des En. Silv. eine kritische Studie zur Geschichte des Kaisers Friedrich III*, Praga 1872. *Hieronymi Aliotti Aretini Epistolae et opuscula* ed. Gabr. Mar. Scarmalli, 2 t., Arezzo 1769. *Jo. Ant. Campani Opera*, Rzym 1502, ed. Mich. Fernus. *J. A. Camp. Epistolae et poemata una cum vita auctoris rec. Joh. Burch. Menke*, Lipsk 1707. *Platinae Opera*. Kolon. 1529; *Vitae pontificum*, tamże 1574; Daniel Moller: *Disputatio de Platina* Altorf 1694. O Pawle II: wymienione powyżej dzieło Muntza, t. 2. O Sykstusie IV: Gregorovius VII, 527 sq., 646 sq. *Jac. Volaterrani Diarium Romanum* u Muratori'ego XXIII. O nim i jego następcach uwagi Rankego w dziele: *Zur Kritik neuerer Geschichtsschreiber*, 2 ed. 1874. *Burchardi diarium* albo *Hist. arcana sive de vita Alexandri VI papae* ed. Leibnitz Hannover 1697, ed. Genarelli. Florenc. 1855 — O Burchardzie: H. Heidenheimer: *Ein deutscher Ceremonienmeister am päpstlichen Hofe*, Grenzboten III, 1879, str. 178—190. *Steph. Infessura*, ed. Eccard w *Corpus hist.* II; następnie u Muratori'ego III, 2, str. 1109 sq. Trup rzymski, ob. list ogłoszony przez Janitscheka str. 120: *Bartolomaeus Fontinus Francisco Saretto*, Rzym 17 kwiet. 1485. Pomponio Leto: *Sabellicus: Vita Pomponii* w *Epistolae Sabellicusa liber XI*, oraz wydanie oddzielne Strasburg 1510; *Elogium Michaelis Ferni* w Fabricius'a: *Bibl. med. et infim. latininitatis* tom VI, append. ed. Mansi, oraz *Petri Marsi funebris oratio habita Romae in obitu Pomponii Leti*, Rzym b. r. (porów. Tiraboschi VI, 645).

Rozdział 9. *Medyolan: Corio: Storia di Milano*, Medyol. 1503; de Gingins: *Dépêches des ambassadeurs milanais* 2 t. Paryż i Genewa 1858; Jan Simoneta: *De rebus gestis Francisci I Sfortiae* w Muratori'ego *Scriptores* tom. XXI. — Uniwersytet w Pawii: świeżo wydane *Memorie e Documenti per la storia di università di Pavia*; Literatura: Saxius: *hist. lit. typ. Mediol.*; Biblioteka: *Indagini storiche, artistiche e bibliografiche sulla libreria Viscontea Sforzescha del Castello di Pavia*, Medyol. 1875. — Antonii de Luschi *Carmina quae supersunt fere omnia*, Patavii 1858; porów. Giov. da Schio: *Sulla vita e sugli scritti di Antonio Loschi* Padwa 1858. — Gasparoni *Barzizii e Guiniforti filii opera* ed. J. A. Furiettus, 2 t. Rzym 1723. G. F. H. Beck: *Dissert. inaug. de Orosii fontibus et alia de Antonii Raudensis aliquo opere inedito*, Marburg. 1832.

P. Cand. Decembrio. Co się tyczy medali Decembria oraz późniejszych, jak Izotty z Rimini, Bojarda, M. A. Flaminia, porów A. Annanda: *Les médailleurs italiens des 15 et 16 siècles. Essais d'un classement chronologique de ces artistes et d'un catalogue de leurs oeuvres*, Paryż 1879. O tym samym przedmiocie wyborne są prace nowsze: Juliusza Friedländer'a: *Die Vaticanischen Schaumünzen des 15 Jahrhunderts*, Berlin 1881, 1882, i Aloizego Heiss'a: *Les médailleurs de la Renaissance*, 3 zeszyty in fol., Par. 1881—1883. O ojcu, Hubercie Decembrio ob. L. Geigera *Beziehungen zwischen Deutschland und Italien zur Zeit des Humanismus* w *Zeitschrift für Deutsche Culturgeschichte* 1875, str. 104—109.

P. C. Decembria: *Vitae Filippi Marie e Franc. Sfortiae* u Muratori'ego *Script* XX. — C. Rosmini *Vita di Franc. Filelfo*, 3 t, Medyol. 1808; *Epistolae Filelphi*, Wenec. 1502 in fol.; *Satirae seu Hecatostichon Decades II*, Medyol. 1476. — Mantua: *Ant. Possevini jun, Gonzaga*, Mantua 1628; Bettineli: *Delle lettere e delle arti mantovane*, Mantua 1774; Ch. N. Arco: *Delle arti e degli artifici di Mantova*, Mantua 1857—58, 2 tomy; listy Izabelli wydał d'Arco w *Arch. storico*, Appendice II, 206—326. — Davari: *Notizie stor. intorno a studio pubbl. ed ai maestri... che tennero scuola in Mantova*, Mantua 1876; F. Prendilacque: *Vita Victorini Feltrensis*, wydanie łacińskie sporządził N. della Laste, Padwa 1774, włoskie zaś Arambilla, Como 1871 (inne źródła u Voigta I, 537 uwaga 1). C. Rosmini: *Idea dell' ottimo precettore nella vita e disciplina di Vittorino de Feltre e de' suoi discepoli*, Bassano 1801. — *Battistae Mantuavi Opera Omnia*, 4. t., Antwerpia 1556; *Vita pióra Florid. Ambrosio*, Turyn 1784. — Angelo Dalmistro: *Elogio di Teofilo Folengo* 2 ed. 1803. *Maccaronicum opus* 1 ed. Wenec. 1517 (F. W. Genthe: *Geschichte der maccaronischen Poesie und ihrer vorzüglichsten Denkmale*, Halla i Lipsk 1829). *Orlandino*, 1 ed. Wenec. 1426. *Atto della Pinta* ob. *Drammatiche rappresentazioni di Sicilia* (Palermo 1875) t. I, 39—261. *Della vita e delle opere di Antonio Urceo detto Cudro*, *Studj*

e ricerche di Carlo Malagola. Bologna 1878.—Verona: Giuliani: *Della letteratura Veronese al cadere del secolo XV e delle sue opere a stampa*, Bologna 1876. C. Rosmini: *Vita e disciplina di Guarino Veronese e de' suoi discepoli*, Brescia 1805—1806, 3 tomy.

Rozdział 10. Biografia współczesna Wawrzyńca Medyceusza, pióra Mik. Valori, wyszła w języku włoskim 1568, w języku łacińskim zaś wydał Mehus 1749. Biografie późniejsze: Fabroni: *Laurentii Medicei magnifici vita*, Piza 1734, 2 tomy; Roscoe: *Life of Lor. de Medici called the Magnificent*, Lond. 1795, 10 ed. Lond. 1851, przełożona na wszystkie niemal języki, na niemiecki już 1797; tegoż *Illustrations, historical and critical, of the life of. L. d. M.* 1833; z przeciwnego stanowiska: Sismondi: *Histoire des républiques italiennes*, t. II i Gino Capponi: *Arch. Storico I.* mianowicie: *Storia della repubblica di Firenze*, 2 t. Florenc. 1875, Alfred von Reumont: *Lorenzo de' Medici il Magnifico*, 2 t., Lipsk 1874; B. Buser: *Die Beziehungen der Mediceer zu Frankreich während der Jahre 1434—1494 in ihrem Zusammenhang mit den allgemeinen Verhältnissen Italiens*, Lipsk 1879; tegoż: *Lorenzo di Medici als italienischer Staatsmann Eine Skizze nach handschriftlichen Quellen*, Lipsk 1879; Albert Castelnau: *Les Médicis*, 2 t. Paryż 1879 (ważne również ze względu na Kuźmę i Leona X). Niektóre listy Lukrecyi Tornabuoni wyd. Cezar Guasti, Florenc. 1857, jej poezye zaś Laude, Florenc. 1863. Dzieła Wawrzyńca Medyceusza przedrukowywano wielokrotnie (porów. Gamba: *Testi di lingua*, str. 648—660); wymienić należy przedewszystkiem wyd. zbytkowne: *Opere*, 4 t., Florenc., 1825 oraz piękną edycyę Carducci'ego: *Poesie*, Florenc. 1859. — *Ang. Politiani opera*, Bazylea 1553; *De conjuratione Pactiana Commentarius*, Florenc. 1473, przedruk tamże 1769; *Prose volgari inedite poesie latine e greche edite e inedite*, wyd. Izydor del Lungo, Florenc. 1668; *Stanze, Ottave, Rime*, wyd. Carducci, Florenc. 1863; *Praelectio in priora Aristotelis analytica cui titulus Lamia* (1482), tłumaczenie włoskie Izydora del Lungo, Florenc. 1875; tegoż rozprawy o *A. P.* w *Arch. stor. ital.* ser. III, t. II, oraz w *Nuova antologia* t. X; Mencken: *Historia vitae A. P.*, Lipsk 1736; J. Mahly: *A. P.*, Lipsk 1864. — *Lettere di Luigi Pulci a Lorenzo il magnifico e ad altri*. Lukka 1868 (wyd. Salvatore Bonghi); *Sonnetti di Matteo Franco e L. P.*, Wenec. 1520; *Il Morgante maggiore*, 1 ed. Wenec. 1487, wyd. najnowsze *con note filologiche* Piotra Sermolli, Florenc. 1855; *La materia del Morgante in un ignoto poema cavalleresco del secolo XV per Rio Rajna*, Bolon. 1869; *Ciriffo Calvaneo*, Florenc. 1490, nowa ed. S. L. G. E. Audin'a, Florenc. 1854; o sądach rycerskich Pulci'ego, Bojarda i Aryosta nezone i genialne uwagi u Leopolda Rankego: *Zur Geschichte der italienischen Poesie*, Berlin 1837. — *Joh. Pici Mirandulensis Opera omnia*, 1 ed. Wenec. 1498, potem Bazylea 1572, 2 t. (poprzedza je *Vita* autora, którą

skreślił jego synowiec J. Fr. Picus); biografię, lubo nieświeatną, napisał Meiners w *Lebensbeschreibungen berühmter Männer*, t. II (tamże większych rozmiarów, lecz również niedostateczna praca, o Ang. Poliziano). — Dokładny wykaz pism Savonaroli, oraz traktującej o nim literatury biograficznej, zawiera się w cenném dziele Paskala Villarego: *La storia di Girolamo Savonarola*, 2 t., Florenc. 1859 i 1861; dalej Perrens: *Jérôme Savonarola*, Paryż, 1852 i Ranke: *S. und die florentinische Republik gegen Ende des 15 Jahrhunderts* w jego *Historisch-biographische Studien*, Lipsk 1878, str. 181—358.

Rozdział 11. Urbino. Dennistoun: *History of the Dukes of Urbino*, 3 t., Lond. 1853—54; Fil. Ugolino: *Storia di conti e duchi d' Urbino*, 2 t. Florenc. 1859.

O Zyg. Malatesta Symonds: *Sketches of Italy and Greece*, Lond. 1872; głównie zaś Ch. Yriarte: *Rimini. Un condottiere au 15 siècle, études sur les lettres et les arts à la cour des Malatesta*, Paryż 1852 ¹⁾. P. Bembo: *De Guidobaldo et Elisabeta Gonzaga ducibus*, Wenec. 1530, także w ceunych *Opera Bembi*, Bazylea 1556; co się tyczy samego Bemba, liczne wydania jego listów włoskich. — Balt. Castiglione: *Il cortegiano* (wyd. klasyków), 2 t., Medyol. 1803; *Opera latina ed. Serassi*, Bergamo 1773; o nim: A. de Tréverret: *L' Italie au 16 siècle*, 2 t., Paryż 1877 i 1879, książka, traktująca również o Arjoście, Sannazarze i Machiavelli'm.

Rozdział 12. Ferrara. *Annales estenses* w Muratori'ego *Script. rer. Ital.* XX; *Diario Ferrarese*, tamże XXIV. Paweł Jovius: *Vita Alfonso ducis* (Florenc. 1550), przekład włoski G. B. Gelli'ego, Florenc. 1555. — Gregorovius: *Lucrezia Borgia*, 2 t. Stuttg. 3 ed. 1874. — Borsetti: *Historia almi Ferrariae gymnasii*, 2 t., Ferrara 1792. — Barrotti: *Memoris storiche di Letterati Ferraresi*, 2 t. Ferrara 1792 i 1793. — *Strozzi poetae pater, et filius*, Wenec. 1513. — *Coelii Calcagnini Opera*, Bazylea 1544; *Gyraldi Opera*, Bazylea 1580, Lejda 1696. — Bojardo: *Orlando innamorato*, 1 ed. Wenec. 1486, pierwsze wyd. zupełne Scandiano 1495, najnowsze Antoniego Panizzi: *Orl. innam. di Bojardo* (według edycyi z 1513) *ed Orlando fur. di Ariosto with an essay on the romantic narrative poetry of the Italians; memoirs and notes*, 9 t., Lond. 1800 sq.

Dzieło Bojarda dali jednak poznać głównie swemi przeróbkami Domenichi i Berni. Tłómaczenia niemieckie: J. D. Gries'a, Stuttg. 1835—39, 4 tomy, i G. Regis'a, Berlin 1840. — Ariosto: G. A. Barrotti: *Vita di L. A.*, Ferrara 1773; Fernow: *Leben L. A. des Göttlichen, nach den letzten Quellen bearbeitet*, Zurych 1809; najnowszą biografię

¹⁾ O Gwidobaldzie i Elźbiecie.

dał Pipoli, Ferrara 1875; *Opere minori ed. Fil. L. Polidari*, 2 t., Florenc. 1857; *Le satire autografe publ. dal comitato ferrarese*, Bolon. 1875 (wydanie niemieckie Ahlwardta, Berlin 1794); *Lettere di L. A. tratto dal archivio di stato in Modena*, wyd. Ant. Capelli'ego. 2 ed. Bologna 1866; *Orlando furioso*, 1 ed. 1516, zawierająca tylko 40 pieśni, przedrukowana przez Krescentyna Giannino, 2 t., Ferrara 1875; pierwsza ed. zupełna (46 pieśni) 1532; jedna z najnowszych *con note e discorso proemiale di Giacomo Casella*, Florenc. 1877, 2 tomy. Tłumaczenia niemieckie: najpierwsze Dietr. v. Werder 1636; najlepsze: J. D. Gries'a, 4 części, Jena 1804—1808, i Streckfuss'a, 6 t., Halla 1819—1825; najnowsze tłumaczenie illustrowane H. Kurz'a ze wstępem P. Heyse'go 1882 i Gildmeistera 1882. Pisma objaśniające: U. Guidi: *Annali delle edizioni e delle versioni dell' Orland. fur. e d'altri lavori al poema relativi*, Bolon. 1861; *Manuele Ariostesco del dott. G. B. Bolza*, Wenec. 1866; Raini: *Fonti dell' Orland. fur.* Florenc. 1876.

Rozdział 13. Neapol. Panormita: *De dictis et factis Alphonsi*; Trist. Caracciolo: *De Fernando qui postea rex Aragonum fuit ejusque posteris* u Muratori'ego XXII; Cam. Porzio: *Congiura de'Baroni del regno di Napoli contra il re Ferdinando I*, nowa ed. Neap. 1859; *Regis Ferdinandi primi instructionum liber 1486—1487*, wyd. Scypiona Volpicella, Neap. 1861. — *Ant. Panormitani Hermaphroditus. Primus in Germania edidit et apophoreta adjecit F. C. Forbergius*, Koburg 1824; *Epistolae A. P.*, Wenec. 1533. — *Pontani Opera*, 4 t., Bazylea 1556; Porów. C. M. Tallariego: *Giovanni Pontano e i suoi tempi*, 2 t., Neap. 1874. — Sannazaro: *Opere volgari*, Padwa 1723; *Opera omnia*, Wenec. 1535, Amsterdam 1689 i częściéj. Marne tłumaczenie poematu: *De partu virginis* w Tom. A. Fastnacht'a: *Drei Perlen der neulateinischen Poesie*, Leutkirch i Lipsk 1875.

Rozdział 14. Ze względu na treść rozdziału objętą napisem i co do historyi wogóle: Ranke *Geschichte der romanischen und germanischen Völker von 1494—1514*, 2 ed. str. 207—266; Brosch: *Papst Julius II und die Gründung des Kirchenstaats*, Gotha 1878; tenże: *Geschichte des Kirchenstaats*, 1 t. Gotha 1880; Romanin: *Storia documentata di Venezia*, Wenec. 1855 sq., t. 3—5. Świeża praca źródłowa: *Dispacci di Ant. Giustiniani*, wyd. Paskala Villari'ego, 3 t., Florenc. 1876 (obejmuje lata 1502—1505); nadto Bembus: *Hist. Venet.* oprócz tego źródła: *Chronicum venetum* u Moratori'ego, t. XXIV; Malipiero: *Annali veneti*, t. VII; *Joh. Bapt. Egnatii de exemplis illustr. virorum Venetae civitatis atque aliarum gentium*, Paryż 1554; Sansovino: *Venezia citta nobilissima e singolare, descritta in 14 libri*, Wenec. 1581. — *Vita Bernardi Justiniani ed. Antonio Stella*, Wenec. 1533. — *Franc. Barbari et aliorum ad ipsum epistolae 1425—1453 ed. Quirini*, Brescia 1741; tenże: *Diatriba praeliminaris in duas partes divisa ad F. B. epistolae*, Brescia 1741. —

Andreae Naugerii orationes duae carminaque aliquot, Wenec. 1530; A. N. Opera ed. Gianantoni Volpi, Padwa 1718. — Jul. Schück: *Aldus Manutius und seine Zeitgenossen in Italien und Deutschland*, Berlin 1862; A. F. Didot: *Alde Manuce et hellénisme en Venise*, Paryż 1875; L. Geiger: *Aldus Manutius und die deutschen Humanisten w Zeitschrift f. deutsche Culturgeschichte*, 1875, str. 112—124. — O Michale Aniele: A. Springer: *Rafaël und Michelangelo*, Lipsk 1876; H. Grimm: *Leben Michelangelos*, 5 ed. Brunświk 1881; tenże: *Fiorenza* (przyczynek do poezyi Dantego i Michała Anioła) w *Preuss. Jahrb.* 1881. Co tyczy poezyi, na które Grimm zwrócił uwagę, ob. Guasti: *Casate degli autografi*, Florenc. 1863, przekład niemiecki Zofii Hasenclever, Lipsk 1872.

Rozdział 15. Roscoe: *The life of Leo X*, wiele wydań, tłómaczenie włoskie Bossi'ego, 7 t., kilkakrotnie tłómaczone i na język niemiecki; Audin: *Histoire de Léon X*, 3 t. Źródła: Paweł Jowiusz: *Vita Leonis X*; *Jovii Vitae*. — Dawniejsza praca Fabroni'ego: *Vita*, Piza 1797; Ranke: *Päpste. Deutsche Geschichte im Reformationszeitalter*, t. 1.; oraz cytowane dzieła Gregoroviusa, Castelnau'a, Brosch'a. — Bandini: *Il Bibbiena ossia il ministro di stato*, Liworno 1758. Pierwsze wydanie komedyi *Calandra*, Siena 1521, nowa ed. Tryest 1858. — *Opera Sadoleti*, 3 t., Werona 1737, z dołączeniem *Vita* pióra Antoniego Fiordibello; *Sadoleti epistolae quotquot extant*. 5 t. Rzym 1760. — O Piotrze Pomponazzo można zasięgnąć wiadomości w historyach filozofii, np. Rittera. Dzieła jego: *Tractatus de immortalitate animae*, skończony 1516, 1 ed. 1534; *De naturalium effectuum admirandorum causis seu de incantationibus liber*, wydane wespół z pozostałymi pismami w *Petri Pomponatii opera*, Bazylea 1567. — Paweł Jovius: *Elogia virorum literis illustrium quotquot vel nostra vel avorum memoria vivere*, Bazylea 1572. — Arsillus: *De poetis urbanis*, przedrukowane w *Coryciana*, o których niżej, i u Tiraboschi'ego. — Pierius Valerianus: *Poemata*, Ferrara 1550; *De literatorum infelicitate*, Wenec. 1620, także w Menckena: *Analecta de calamitate literatorum*, Lipsk 1707. — M. A. Flaminius: *Carminum libri VIII*, Patavii 1727. O jego religii pisał Sehelnorn: *Amoenit. hist. eccl. et liter.* II, 30 sq. — *Coryciana* wydał Blossius Palladius 1524. Porów. téż P. Schönfelda: *Andrea Sansovino und seine Schule*, Stuttg. 1881. — Trissino: *Sofonisba*, 1 ed. Rzym 1524, nowe wyd. 1864; Morsolin: *G. G. Trissino: Monografia di un letterato del secolo XVI*, Wincenza 1878. — *Opere di Gioy. Rucellai*, Padwa 1772; 1 ed. *Rosmondy* 1515, *Api* 1539. — Vittoria Colonna: *Rime*, 1 ed. 1538; jedno z najlepszych wydań sporządził P. Ere. Visconti, Rzym 1840; przekład niemiecki K. L. Kannegiessera, Berlin 1854; *Lettere*, wydawane po większej części wespół z *Rime*, np. ed. Henr. Saltini'ego, Florenc., 1860, niektóre listy tłómaczył A. v. Reumont: *Briefve heiliger und*

Gottesfürchtiger Italiener, Freiburg w Bryzg. 1877; o Wiktorji C. pisaf E. Wackerbagen, Halla 1861. — Co się tyczy Rafaela odsyłamy do Springera oraz do wybornój pracy Muntza: *Rafael*, Paryż 1881. — L. Alamanni: *Versi e prose* wyd. Piotr Raffaelli, 2 t., Florenc. 1859.

Rozdział 16. O Hadryanie VI dzieło Höflera, Praga 1879; o pontyfikacie Hadryana i Klemensa VI cytowana już niejednokrotnie praca Gregoroviusa. — G. Mazuchetti: *La vita di Pietro Aretino*, Padwa 1741, 2 ed. Breşcia 1763; S. Samoschi. *P. A. und andere italienische Charakterköpfe*, Berlin 1881; *Opere di P. A. ordinate ed annotate da Massimo Fabi*, Medyol. 1863; *Lettere scritte al S. P. A.*, 1 ed. Augsburg — Wenecya 1551, nowe wyd. Teodoryka Landoni, 2 t., Bolonia 1873, 1874. — O Machiavelli'm najcelniejsza praca Paskala Villari'ego *N. M. e i suoi tempi illustrati con nuovi documenti*, 3 t. Florenc. 1877, 1881 i 1882, przekład niemiecki W. Mangolda, Lipsk 1877 ns.; Villari opracował téż starannie i krytycznie bibliografię literatury dawniejszój; wydanie krytyczne *Opere*, wzbogacone materiałem dotąd niedrukowanym, lecz nieskończone, wygotowali: Passerini, Faufani, Milanese, 6 t., Florenc. 1873—1877; można się także posługiwać wyd. medyolańskiem *Opere*, 11 tomów 1810—1811, tłómaczenie niemieckie J. Zieglera, 8 t., Karlsruhe 1832—1841; oprócz tego Grützmacher przełożył *Principe*, Berlin 1870, a Historję Florencyi A. v. Reumont, Lipsk 1846, 2 części.

KSIĘGA DRUGA.

Z dzieł ogólniejszych, oprócz przestarzałej i w części jeno poświęconej Niemcom, książki Meiners'a: *Lebensbeschreibungen berühmter Männer aus der Zeit der Wiederherstellung der Wissenschaften*, 3 t., Zurych 1795—1797, zaznaczamy: Erhard'a: *Geschichte des Wiederaufblühens wissenschaftlicher Bildung vornehmlich in Teutschland* 3 t., Magdeb., 1827—1832 (robotą płytka i powierzchowna); K Hagen'a *Deutschlands religiöse und literarische Verhältnisse im Reformationszeitalter*, 3 t., Erlangen 1843—1845 (zaleca się nauką i sposobem pojmwania). Zupełnie małą wartość posiada Schrödera: *Das Wiederaufblühen der classischen Studien in Deutschland im 15 und zu Anfang des 16 Jahrhunderts und welche Männer es befördert haben*, Halla 1864. — Natomiast dzieło Jansen'a: *Geschichte des deutschen Volkes*, 1 t., Freiburg, w Bryzgow. 1878, także pod osobnym tytułem: *Die allgemeine Zustände des deutschen Volkes beim Ausgange des Mittelalters* zawiera w niektórych częściach wyborny obraz historii kultury w epoce przejściowej od wieków średnich do czasów nowożytnych.

Rozdział 1. Delprat. G. H. M., *Die Bruderschaft des gemeinsamen Lebens*, opracowanie niemieckie G. Mohnike'go, Lipsk 1840. — *J. Briefe des. Gerh. Groot* pomieszczone przez Nolte'go w *Tübinger theologische Quartalschrift* 1852, str. 280—305. — W. Wattenbach: *Petrus Luder, der erste humanistische Lehrer in Heidelberg*. Erfurt, Lipsk, Bazylea, Karlsruhe 1869, odbitka z *Zeitschrift für Geschichte des Ober-rheins*, t. XXII; tamże XXIII: *Nachträgliches über Petrus Luder*; tamże t. XXVIII tenże: *Samuel Karoch von Lichtenberg, ein Heidelberger Humanist*; tamże t. XXV tenże *Sigismund Gossenbrot als Vorkämpfer der Humanisten und seine Gegner*. — Feliksa Hemmerlina *Opuscula* wyd. Sebastyan Brant 1496; Reber: *F. H.*, Zurych 1846; H. H. Vögeli: *Zum Verständniss von Meister Hämmerlins Schriften*, Zurych 1873, porów. *Tüngers Facetien*, wyd. A. v. Keller, Tübingen 1874. — Klemens Brockhaus: *Gregor von Heimburg*, Lipsk 1851; zbiorowa ed. pism 1608 (prawdopodobnie sporządzona przez M. Goldasta). — Z bogatęj literatury o *Kuzie* (Cusa) najcenniejsze prace są: F. A. Scharpff'a: *Der Cardinal und Bischof Nicolaus von Cusa als Reformator in Kirche, Reich und Philosophie im 15 Jahrh.*, Tübingen 1871; Scharpff przetłómaczył téż najgłówniejsze pisma M. v. C., tamże 1862. — *Rudolphi Agricolae Opera*, Kolon. 1653, 2 tomy; Tresling: *Vita et merita R. A.*, Groningen 1830; Bossert, *De R. A. Frisio, literarum in Germania restitutore*, Paryż 1865; *Allg. deutsche Biogr.* t. I, str. 151—156, oraz korespondencya Reuchlina, wyd. Geigera, str. 8 (9 list, 1483).

Rozdział 2. Literatury o historii cesarzów niemieckich nie podajemy. Ze źródeł zaznaczamy tylko: Grünbeck: *Historia Friderici III et Maximiliani I*, wydał Chmel w. *Oesterr. Geschichtsforsch I.* (1838) str. 65—97. O umysłowych dążeniach Maksymiliana: Böhme: *De insigni favore M. erga poetas*, 1767. Horowitz: *Kaiser M. und die Geschichtswissenschaft* w *Oesterreichische Wochenschrift*, 1872, str. 545—553. Dzieła Maksymiliana: *Weisskunig*, 1 ed. 1775, o nim R. v. Liliencron w *Raumer'a Histor. Taschenbuch*, ser. 5, rocznik 3, str 321—358; *Teurdank*, 1 ed. 1517, nowe wydania: K. Haltaus'a, Quedlinburg 1836, K. Goedeke'go, Lipsk 1878; o wjeździe tryumfalnym Maksymiliana ob. Thausing'a: *Dürer* str. 382 sq. Świeżo (Berlin 1882) wyszedł nakładem Nicolai'ego: *Der Triumphwagen des Kaiser Max.*, trzy arkusze światłodrukowe. Pieśń (str. 345) w Liliencron'a: *Histor. Volkslieder der Deutschen*. — O Eberhardzie Stälin: *Württembergische Geschichte*, 3 t., Stuttg. 1856; *A. Tüngers Facetien*, wyd. A. v. Keller, Tübing. 1874. — Historyczną spuściznę Jerzego Spalatin'a i listy wydali G. Nendecker i L. Preller., 1 t.: *Das Leben und die Zeitgeschichte Friedrichs des Weisen*, Jena 1851. — May: *Kurfürst und Erzbischof Albrecht von Mainz*, 2 t., Regensburg 1874 i 1878.

Rozdział 3. O całym kole strasburskiem i alzackiem porów. K. Schmidta: *Histoire littéraire de l'Alsace à le fin du XV et au commencement du XVI siècle.*, 2 tomy, Paryż 1879, dzieło wyśmienite, jedno z najznakomitszych o historyi humanizmu niemieckiego; tegoż: *Zur Geschichte der ältesten Bibliotheken und der ersten Buchdrucker zu Strassburg*, Strassburg 1882. O Wimpheingu wogóle ob. niżej rozdz. 4; tu zaznaczamy: *Wimpelings Germania und Murners Nova Germania* przedruk, Strassburg 1874; L. Geiger, *Wimpeling als deutscher Schriftsteller* (Archiv für Literaturgeschichte VII, 164—175). — Hehle: *Der schwäbische Humanist Jakob Locher Philomusus*, w Programie gimnazjum w Echingen 1873, 74, 75. Brani: *Varia carmina*, Bazyl. 1498; Okręt głupców wydał Zarneke, Lipsk 1854, edycya wzorowa, książka do historyi humanizmu pierwszorzędna; godne też zalecenia wydanie K. Goedeke'go, Lipsk 1872. *Bernense scelus* ob. Böcking, *Opp. Hutt.* t. VII, str. 308—314. O Brancie jako prawniku Stinzing: *Geschichte der populären Literatur des römischen kanonischen Rechts in Deutschland*, Lipsk 1867. Augsburg: *Chroniken der deutschen Städte*, t. V—VIII; A. H. Lier: *Der Augsbürgische Humanistenkreis mit besonderer Berücksichtigung Bernhard Adelmans von Adelmansfelden*, Augsb. 1880. F. A. Veith: *Historia vitae atque meritum C. Peutingeri*, Augsb. 175; G. W. Zapf: *C. P. sermones convivales de mirandis Germaniae antiquitatibus*, Augsb. 1781; A. Th. Herberger: *C. P. in seinem Verhältniss zu Kaiser Maximilian I*, Augsb. 1851. *Complurium eruditorum vatum carmina ad magnificum virum D. Blasium Holzcelium, sacri Caesaris Maximiliani consiliarium, Maecenatem eorum praecipuum Augustae Vindelicorum in celeberrimo principum conventu impressa*, Augsb. 1851. Pisma humanistyczne, odnoszące się do sejmu augsburskiego z 1518 r., zawierają się w Böcking'a: *Hutteni Opera*, V, 97—30). Woltman: *H. Holbein und seine Zeit*, 2 ed., 2 t., Lipsk 1872—74. Norymberga: *Chroniken*, t. I—IV. W. Wattenbach: *Hartmann Schedel als Humanist* w *Forschungen zur deutschen Geschichte*. T. X. Thausing: *Dürer, Geschichte seines Lebens und seiner Kunst*, Lipsk 1876; tenże: *Dürers Briefe, Tagebücher und Reime*, Wied. 1872. — *Bil. Pirckheimeri Opera*, wyd. Goldast, 1610. *Eccius dedolatus* w Böcking'a: *Hutteni opera*, IV.; F. Binder: *Charitas Pirckheimer, Aebtissin zu St. Clara in Nürnberg*, 2 ed. Freib. w Bryzg. 1878. O. Hase: *Die Koburger Buchhändlerfamilie zu Nürnberg*, Lipsk 1869. Ch. Scherl: *Listy* wyd. Soden i Knaake, 2 t., Potsdam 1872.

Rozdział 4. O Schlettstadzie kilka rozdziałów w K. Schmidta: *Hist. litt. de l'Alsace*; Röhrich: w *Zeitschrift für hist. Theologie*, wydaw. przez Ilgena, 1834; tenże: *Mittheilungen aus der Geschichte der evangelischen Kirche des Elsasses*, Strassb. 1855, I. str. 78—109; Strüver: *Die Schule zu Schlettstadt 1450—1560. Ein Beitrag zur Culturgeschichte des*

Mittelalters, Lipsk 1880. *Jo. Sapidi Epigrammata*, Strassb. 1521; tegoż. *Lazarus sive Anabion* 1532.

Aleks. Hegius: *Opuscula*, Daventriae 1503. Z prac nowszych: Molhuysen w: *Overasselscher Almanak*, Deventer 1853, str. 37—66; Krafft i Erecelius; *Mittheilungen über Alex. Hegius und seine Schüler* w *Ztschr. des berg. Geschichtsvereins*, VII (1871) str. 213—286; ciż: *Beiträge zur Geschichte des Humanismus*, Elberfeld 1875, str. 1—14; Dillenburg: *Alex. Hegius und Rudolph von Langen* w *Zeitschr. f. d. Gymn.-Wesen*, nowa ser. IV, str. 481—502. *Allg. D. Biogr.*, t. XI, str. 238—285.

Autobiografia Butzbacha z wykazem pism jego mieści się w Böcking'a *Opp. Hutteni*, supplem. vol. II, 437—442; O. Jahn: *Populäre Aufsätze aus der Alterthumswissenschaft*, Bonn 1868; *Chronika eines fahrenden Schülers oder Wanderbüchlein des Joh. Butzbach*, übersetzt von D. J. Becker, Regensburg 1869. A. Parmet: *Rudolph v. Langen. Leben und gesammelte Gedichte des ersten münsterischen Humanisten. Ein Beitrag zur Geschichte des Humanismus in Deutschland*, Münster 1869. D. Reichling: *Joh. Mummellius, sein Leben und seine Werke*, Freiburg w Bryzgowii 1880. O słownikach: Haase: *De studiis philologicis mediæ ævi*, w Breslauer Universitätschrift 1856; Ch. Thurot: *De Alexandri de Villa Dei doctrina*, Paryż 1850. Riegger'a *Amoenitates Friburgenses*, 2 tomy, 1775 sq. (Zbiór źródeł i bibliografię Wimphelinga wydał Wiskowatoff: *Jak. Wimpheling, sein Leben und seine Schriften*, Berlin 1867; Bernhardt Schwarz: *J. W. der Altvater des deutschen Schulwesens*, Gotha 1875. L. Kückelhahn: *Joh. Sturm, Strassburgs erster Schulrektor, besonders in seiner Bedeutung für die Geschichte der Pädagogik*, Lipsk 1872. Z przeciwnego stanowiska E. Laas. *Die Pädagogik des Johannes Sturm, historisch beleuchtet*, Berlin 1872. Książka Kämmela: *Geschichte des Schulwesens in dem Uebergange vom Mittelalter zur Neuzeit*, Lipsk 1882, ukazała się już po wydrukowaniu tego rozdziału.

Rozdział 5. Paulsen: *Die Gründung der deutschen Universitäten im Mittelalter* oraz *Organisation und Lebensordnungen der deutschen Universitäten im Mittelalter*; w *Sybel's historische Zeitschrift*, nowa serya t. IV, 251—311, 386—440; dwie wyborne prace, wyświetlające po raz pierwszy ze stanowiska historycznego przedmiot błędnie często pojmowany. — Walka przeciw godnościom akademickim: Wielif: *De graduationibus scholasticis*, rękopis wiedeński 3929; Lechler, *Wiclif*, I, 425; L. Vives: *De causis corr. scientiae* u Böckinga, *Hutt. opp.* VII, 520 sq; *Opera Hemmerlina* fol. 115—119; Butzbach: *Wanderbüchlein*, str. 160; Jäger: *Carlstadt* str. 137. — *Nemo Huttena* u Böcking'a I, 175—187, III, 107—118. — Robert v. Mohl: *Geschichtliche Nachweisungen über die Sitten und das Betragen der Tübinger Studirenden während des 16 Jahrhunderts*, Tübingen 1871; Eryk Schmidt: *Komödien vom Stu-*

dentenleben aus dem 16 und 17 Jahrhundert, Lipsk 1880; wiersz na str. 414 z Goedeke'go i Tittmann'a: *Liederbuch aus dem 16 Jahrh.*, Lipsk 1867, st. 140. — Zarncke: *Die deutschen Universitäten im Mittelalter*, I. Beitrag. Lipsk 1857. — Vischer: *Geschichte der Universität Basel. Von der Gründung 1460 bis zur Reformation 1529*, Bazylea 1860. F. Fischer: *Johann Heynlin genannt a Lapide*, Bazylea 1851. Szczegóły w kronikach Basler'a wyd. przez W. Vischer'a i A. Stern'a, I t., Lipsk 1872. — O Bonif. Amerbachu: Fechter w *Beiträge z. vaterländ. Geschichte*, Bazylea 1843, t. 2; *A. D. B.* I, 397 sq.; *Bonifacii Basilique Amerbachiorum et Varnbucleri epistolae mutuae*, wydał L. Sieber, Bazylea 1877. — O Glareanie ob. *A. D. B.* IX, 210—213; H. Schreiber: *H. Loriti Gl., seine Freunde und seine Zeit*, Freiburg 1837. — Komedia Bebela w jego *Opuscula* 1509; niektóre jej ustępy zapożyczone z mowy Cycerona *pro Archia*. — O Tübingen główne dzieło (Roth): *Urkunden zur Geschichte der Universität Tübingen aus den Jahren 1476—1550*, Tübingen 1872. Natomiast historia uniwersytetu Becka i Klüpfela odnośnie do czasów dawniejszych nie zadawalna. Co się tyczy wielu pism, wydanych z okazji obchodu jubileuszu czterechsetletniego, ob. *Sybel's hist. Zeitschrift* 1877, str. 350—354. — H. Bebel: *A. D. B.* II, str. 195—199 — przytoczona tam literatura; Zapf: *H. Bebel nach seinem Leben und seinen Schriften*, Augsb. 1802. Niektóre wiadomości o nim i jego towarzyszach podaje Horawitz: *Analekten zur Geschichte des Humanismus in Schwaben*, 2 zeszyty, Wiedeń 1877 i 1878. Kolonia: Bianco: *Versuch einer Geschichte der alten Universitätsorganisation in Köln*, 1833; także: *Die alte Universität Köln und die späteren Gelehrten-Schulen dieser Stadt*, 1850; C. Krafft: *Aus der Kölner Universitätsmatrikel w Zeitsch. für preussische Geschichte*, t. V (1868); tenże: *Aufzeichnungen des schweizerischen Reformators Heinr. Bullinger und sein Studium zu Emmerich und Köln*, Elberfeld 1870; tenże i Cornelius: *Beiträge zur Geschichte des Humanismus am Niederrhein und in Westphalen*. 2 zeszyty, Eberfeld 1870 i 1875; tenże i W. Krafft: *Briefe und Dokumente aus der Zeit der Reformation im 16 Jahrh. nebst Mittheilungen über Kölnische Gelehrte und Studien im 15 und 16 Jahrhundert*, Elberfeld 1875. — Liessem: *De Hermannii Buschii vita et scriptis*, Bonn 1866; *A. D. B.* III, str. 637—640. O Ortwinie Gratiusie: Cremans w *Annalen des hist. Vereins für den Niederrhein XXIII*, str. 192—224 i *A. D. B.* IX, str. 600—602. — Plitt: *Jod. Trutvetter von Eisenach, der Lehrer Luthers, in seinem Wirken geschildert*, Erlang. 1876; Kampfschulte: *Die Universität Erfurt in ihrem Verhältnisse zu dem Humanismus und der Reformation*, 2 tomy, Trewir 1858, 1860; główne dzieło do historii humanizmu niemieckiego, zalecające się i obrobieniem źródłowym i opowiadaniem. Wyciąg z listów Mutiana w Tentzela: *Supplementum historiae Gothanae* 1708; W. Heinzelmann: *Aus der Blüthezeit der Er-*

furter Universität. *Die Anfänge des Humanismus*, Erfurt 1876, powtarza rzeczy znane, książka małej wartości. Bardzo ważny materiał, np. matrykulę studentów od 1392—1492 r. zawiera praca J. C. H. Wessenborna: *Akten der Erfurter Universität (Geschichtsquellen der Provinz Sachsen*, t. VIII) Halla 1881. — O Piotrze Aperbachu: *A. D. B.* I, 504; wspomniane wyżej listy rękopiśmienne w bibliotece w Gotha; O Crotusie Rubeanie: *A. D. B.* IV, 610—612; Kampf-schulte: *De J. Cr. Rub. commentatio*, Bonn 1862.

Rozdział 6. O towarzystwie naddunajskim ob. w rozdz. 7 pod Celtesem oraz dzieła, dotyczące historii uniwersytetu wiedeńskiego: Kink'a, 2 tomy, Wiedeń 1854, a zwłaszcza Aschbacha: *Die Wiener Universität und ihre Humanisten im Zeitalter Kaiser Maximilians I* (T. II dz. *Geschichte der Wiener Univ.*, Wiedeń 1877); Sebast. Ruf: *Joh. Fuchsmagen* w *Zeitschrift des Ferdinandeums für Tirol und Vorarlberg*, Innsbruck 1877, str. 93—119. Wiersze do Fuchsmagena ogłosił po raz pierwszy A. Zingerle: *De carminibus latinis saeculi XV et XVI ineditis*, Innsbruck 1880. — Towarzystwo nadreńskie: Aschbach: *Roswitha und Celtis* 1868 (postawił hipotezę o podrobieniu dramatów Roswithy przez Celtesa i jego towarzyszy; hipotezę tę zbili niezwłocznie Köpke, Waitz i inni); Wiener: *De soc. lit. Rhenana circa finem saeculi XV et aliquanto post celeberrima*, Worms 1776; Häusser: *Die Anfänge der classischen Studien in Heidelberg* 1844; O Dalburgu: Horawitz i Eltester w *A. D. B.* IV, 701—703; przydatna jest dawna biografia pióra Zapfa, Augsb. 1789, dodatek Zurych 1796; nie wiele warta Ulmanna: *Memoria Joh. Dalburgii* 1840; byłaby pożądaną nowa monografia. — *Trithemii Opera* wyd. Freher, 2 t., Frankfurt 1601; ed. Busaeus Mogunc. 1605. Dobrą monografię napisał Silbernagel, Landsbut 1868, rozwlekłą natomiast i małej wartości W. Schneegans: *Abt J. Tr. und Kloster Sponheim*, Kreuznach 1882; specjalnie o fałszowaniu historii: Karol Wolff w *Württembergische Jahrbücher für Statistik*, 1863, str. 229—281. — Porów. Neuenaar: *De origine et gentibus Francorum* u Schard'a *Scriptores rer. Germ.*; Rhenanus: *Rerum Germ. libri tres* (Strassb. 1610, str. 50) i Wimpfeling: *De integritate* w Bücking'a *Opp. Hutt.* VII, 763. — L. Geiger: *Nikolaus Ellenbog, ein Theologe und Humanist des 16 Jahrh.* w *Oesterr. Vierteljahrsschrift für kath. Theologie*, Wiedeń 1870 i 1871.

Rozdział 7. Klüpfel: *De vita et scriptis Conradi Celtis*, wyd. Rueff i Zell, 2 tomy, Freiburg w Bryzg. 1827; Huemer w *A. D. B.* IV, 82 — 88 i Aschbach: *Geschichte der Wiener Universität* II, 189 — 270; tenże: *Roswitha und Conrad Celtis*, Wied. 1867 oraz: *Die früheren Wanderjahre des C. C.*, Wied. 1869. *C. C. quatuor libri amorum secundum quatuor latera Germaniae*, Norymb. 1502; *Libri odarum quatuor cum epodo et saeculari carmine*, wydawane wielokrotnie, między innymi

w Strassburgu 1513; *C. C. 5 Bücher Epigramme*, wyd. K. Hartfelden (według rękopisu norymberskiego), Berlin 1881; tenże pomieścił rozprawę o C. i uniwersytecie heidelberskim w: *Sybel's histor. Zeitschr.* 1881. Wiadomości o przyjacielskiem kole C. podaje Bezold w *Anzeiger zur Kunde der deutschen Vorzeit*, 1882, № 2.—*Jacobi Canter sapphicatorum endecasyllaborum primiciae, dicitur Marie Virgini ex voto dicatae*, oraz jegoż *Carmen sapphicum de beata Virgine* pozostają w rękop. w *Cod. lat.* 4408 fol. 49—52 (Monachium); tamże *Cod.* 4417 d fol. 1 — 34 dyalog prozą *De solitudine* napisany w duchu religijnym, wypowieda zdania o innych humanistach ze stanowiska również religijnego. *Rosarium Celestis curie et patrie triumphantis. A Jacobo Locher confectum*, wydawane wielokrotnie, np. w Norymberdze 1517, ale dedykacya pochodzi jeszcze z roku 1499. Religijne wiersze Branta we wzmiankowanych już wyżej *Varia Sebastiani Brant carmina*, Strassb. 1498. Celtis: *Urbis Noribergae descriptio* w dawnych wydaniach *Amorum* np. 1502 r.; A. Meinhard: *Dialogus illustrate et augustissime urbis Albiorene vulgo Vittenberg dicte situm amenitatem ac illustrationem dicens tirocinia nobilium artium jacentibus editus*, Lipsk 1508. C. *Wimpinae almae universitatis studii Lipsiensis et urbis Lipsiae descriptiones poeticae* razem z wierszem Buscha wydał C. F. Eberhard, Lipsk 1802. Reuchlina: *Henno vel scenica progymnasmata*, po raz pierwszy 1497, *Sergius vel capitis caput* 1 ed. 1498. Wimpelinga *Stylpho* 1494, (o utworze tym ob. Goedeke w *Arch. f. Litgesch.* VII, 157 — 163; O Krzysz. Hegendorffinusie *A. D. B.* XI, str. 274. Tragedya Lochera w zbiorze: *Libri Philomusi. Panegyrici ad Regem, Tragedia de Turcis et Suldano. Dyalogus de heresiarchis*, Strassburg 1497. *Euricii Cordi opera poetica* ed. Meibom, Helmstedt 1616; pisał o nim Krause, Hanau 1863, i Horawitz w: *A. D. B.* t. IV, 476—479.

Rozdział 8. Nie masz dotąd dzieła wyczerpującego o studyum języka greckiego; oddawna przyobiecana praca Horawitza. Wimpeling: *Isidoneus caput XXV*; *Zassii epistolae*, ed. Riegger I, 111; *Bebelii opuscula* 1504 fol. et 4o; List Peutingera do Reuchlina 12 grud. 1512 r. Najdawniejszy podręcznik: *Elementale introductorium in nomenclum et verborum declinationes graecas. Graecae literaturae dragmata Jo. Oecolampadio auctore* (przedmowa 31 sierp. 1518) kilka wydań, między innemi bazylejskie 1518. L. Geiger: *Das Studium der hebr. Sprache in Deutschland vom Ende des 15 bis zur Mitte des 16 Jahrh.* Wrocław 1870; tenże w: *Jahrbücher für deutsche Theologie*, t. XXI, str. 191 — 228, oraz w *Gött. gelehr. Anz.* 1878, str. 257—282; *Conradi Pellicani de modo legendi et intelligendi hebraeum*, wyd. E. Nestle, Tübingen 1877, oraz *Chronikon des Conr. Pellikan* wyd. B. Riegenbach, Bazyl. 1877. Jan Müller: *Quellenschriften und*

Geschichte des deutschsprachlichen Unterrichts bis zur Mitte des 16 Jahrhunderts, Gotha 1882, dzieło pierwszorzędne zarówno ze względu na zgromadzenie materiału nieznanego, jak i na krytyczne jego zużytkowanie. O Ireniku Ad. Horawitz: *Nationale Geschichtsschreibung im 16 Jahrh.* w *Sybel's historische Zeitschrift* 1871; tenże: *Deutsche Geschichtschreiber im Reformationszeitalter w Im neuen Reich*, 1872, t. 1, str. 361—376;—tenże: *Beatus Rhenanus. Eine Biographie*, Wiedeń 1872; *B. Rh. literarische Thätigkeit in den Jahren 1508—1531*, Wied. 1872, i *B. Rh. lit. Thät. 1530—42*, Wied. 1873. Tenże: *Die Bibliothek und die Correspondenz des B. Rh. zu Schlettstadt*, Wied. 1874. Biografie Jana Aventina dali Th. Wiedemann, Freisingen 1858, i W. Dittmar, Nördlingen 1862. Döllinger mową swą: *Aventin und seine Zeit*, Monach. 1877, zachęcił do zbiorowego wydania pism jego, co téż uskuteczniłi: K. v. Halm, F. Muncker, W. Voigt. S. Riezler, M. Lexer p. n.: *Joh. Turmairs, genannt Aventinus, sämtliche Schriften*; wyszły: t. I, obejmuje drobniejsze prace historyczne i filologiczne; t. II część 1 i 2, t. IV część 1 zawierają *Annales ducum Bojoariae*, ks. 1—4, i kronikę bawarską, ks. 1. Co się tyczy geografii ob. Sophus Ruge: *Zeitalter der Entdeckungen*, Berlin 1881, str. 105, 233, 261 sq. Ernest Meyer: *Geschichte der Botanik*; tom IV, Królewiec 1855. O Jerzym Agrykoli pisał Gumbel w *A. D. B. I*, 143—145; tamże przytoczona literatura medycyny; wskazówki podaje Rosa: *Geschichte der Wiener Hochschule und der medicinischen Fakultät derselben insbesondere*, Wiedeń 1843. — J. C. A. Moll: *Johannes Stöffler von Justingen. Ein Charakterbild aus dem ersten Halbjahrhundert der Universität Tübingen*, Lindau 1877. *Margarita philosophica* Reich'a, Strassburg 1503, odtąd często drukowana. Stintzing: *Ulrich Zasius*, Bazylea 1857; tenże: *Geschichte der Rechtswissenschaft in Deutschland*, Monach. 1880, I, 155—172; *Zassii Epistolae* ed. Riegger. Ulm 1774; Horawitz: *Briefe des U. Z. und des Claudius Catiuncula*, Wied. 1879.

Rozdział 9. L. Geiger: *Johannes Reuchlin, sein Leben und seine Werke*, Lipsk 1871; tamże uwzględniona literatura dawniejsza, co do której ob. Mayerhoff, Berlin 1830, i Lamey. Pforzheim 1855. Tenże: *Joh. Reuchlins Briefwechsel*, Tübingen 1875 (wydawnictwo szutgardzkiego towarzystwa literackiego, t. 26); uzupełnieniem pracy Geigera jest książka A. Horawitza: *Zur Bibliothek und Correspondenz Joh. Reuchlins*, Wied. 1872, wydana z rękopisu monachijskiego. E. Gothein: *Das Bild Reuchlins* w *Sybel's histor. Zeitschr.* 1881, dowodzi, że portret Reuchlina, wydany przez Lamey'a i Böcking'a, jest właściwie kopią pewnego rysunku Rembrandtowego, zmienionego przez dodanie brody i innych szczegółów. *Listy Ciemnych mężów* i *Defensio Pfefferkorna* przedrukował Böcking w *Ope-*

ra *Hutteni* VI i VII, zaopatrzywszy je w obszerny komentarz filologiczno-historyczny oraz w wykaz bibliograficzny pism, dotyczących sporu reuchlińskiego.

Rozdział 10. *Des. Erasmi Opera, ed. Lugd. Batavorum*, 10 t. fol., 1703 — 1706; wydanie to niepełne i niekrytyczne; ze względu na krytykę i opis życia Erazma pozostaje jeszcze wiele do zrobienia. Nowego materiału dostarczyli: W. Vischer i A. Horawitz w dziełach p. n. *Erasmiana*, pierwszy Bazylea 1879, drugi 2 zeszyty, Wied. 1886 i 1881; Horawitz ogłosił nadto: *Erasmus von Rotterdam und Martinus Lipsius*, Wied. 1882. Praca Woltmanna o Holbeinie podaje ważne wiadomości o Erazmie. Z dawniejszych biografij zasługują na przytoczenie prace Burigny'ego i Hess'a—a także Müllera (Hamburg 1828); z nowszych dzieła: Feugère'a: *Erasme, étude sur sa vie et ses oeuvres*, Paryż 1874; Durand de Laur: *Erasme précurseur et initiateur de l'esprit moderne*, 2 t., Paryż 1872, robota pracowita, ale zbyt nieskładna i zanadto panegiryczna (porów. *Gött. Gel. Anz.* 1872, str. 49 i 50); Nisard: *Renaissance et réforme*, t. 1, Paryż 1877; najlepszą jest Drummond'a: *Erasmus, his life and character, as shown in his correspondence and works*, 2 t., Lond. 1873. — Porów. także Stichart: *E. von R. Seine Stellung zu der Kirche und zu den kirchlichen Bewegungen seiner Zeit*, Lipsk 1872; Stäbelin: *E. Stellung zur Reformation, hauptsächlich von seinen Beziehungen zu Basel aus beleuchtet*, Bazylea 1873. Suringar: *Erasmus over nederlandsche spreekwoorden*, Utrecht 1873.

Rozdział 11. O Huttenie czyt. doskonały artykuł Ulmanna w *A. D. B.*, t. XIII, 464 — 475, oraz jego: *Franz Sickingen*, Lipsk 1873. Hutten znalazł w A. D. Straussie znamienitego biografa, a w Edw. Böcking'u wzorowego wydawcę. Biografia wyszła w 2 tomach w Lipsku 1858—59; dodatkowy tom 3-ci (1860) zawiera przekład rozmów, powtór. w ed. lipskiej 1871; bez rozmów mieści się także w zbiorowém wydaniu dzieł Straussa. Zbiorowe wydanie pism Huttena ukazało się p. t. *Ulrichi Hutteni equitis Germani opera quae reperiri potuerunt omnia* w 5 tomach, Lipsk 1859 — 64; tomy 6 i 7 (1864 — 1870) obejmują, jak już powiedziano (rozd. 9), tekst i opracowanie Listów ciemnych mężów. Zawartość t. 1 i 2 stanowią *Epistolae*, 3. *poemata*, 4. *dialogi item pseudohuttenici nonnulli*, 5. *orationes et scripta didascalica*. Do całości należy także sporządzony przez Böckinga: *Index bibliographicus Huttenianus*, Lipsk 1858. Edycja ta, obejmująca wszystek materiał Huttena i o Huttenie, zestawiony podług oryginałów z pracowitem uwzględnieniem szczegółów bibliograficznych, jest wspaniałym pomnikiem zarówno rycerza, jak i wydawcy, oraz wysoce cennem źródłem do poznania historii humanizmu niemieckiego.

TREŚĆ DZIEŁA.

Wiadomość o autorze, przez <i>P. Ch.</i>	<i>Str.</i> v
--	------------------

KSIĘGA PIERWSZA.

Włochy.

ROZDZIAŁ PIERWSZY. Wstęp	3
ROZDZIAŁ DRUGI. Dante	7
ROZDZIAŁ TRZECI. Franciszek Petrarka	23
ROZDZIAŁ CZWARTY. Jan Boccaccio	49
ROZDZIAŁ PIĄTY. Współcześnicy Petrarki i Boccaccia	76
ROZDZIAŁ SZÓSTY. Kuźma de Medici	88
ROZDZIAŁ SIÓDMY. Mecenasostwo papieskie	119
ROZDZIAŁ ÓSMY. Eneasze Silvio Piceolomini i papieństwo do końca wieku piętnastego	136
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY. Renesans w drobniejszych państwach włoskich (Medyolan, Mantua, Werona, Bolonia)	156
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY. Wawrzyniec de Medici	180
ROZDZIAŁ JEDENASTY. Urbino	205
ROZDZIAŁ DWUNASTY. Ferrara	218
ROZDZIAŁ TRZYNASTY. Neapol	242
ROZDZIAŁ CZTERNASTY. Wenecya i Juliusz II.	257
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY. Leon X.	270
ROZDZIAŁ SZESNASTY. Upadek Odrodzenia włoskiego	294

KSIĘGA DRUGA.

Niemcy.

	<i>Str.</i>
ROZDZIAŁ PIERWSZY. Wstęp. Zwiastunowie	309
ROZDZIAŁ DRUGI. Cesarz i książęta	325
ROZDZIAŁ TRZECI. Miasta niemieckie	343
ROZDZIAŁ CZWARTY. Szkoły	371
ROZDZIAŁ PIĄTY. Uniwersytety	390
ROZDZIAŁ SZÓSTY. Towarzystwa naukowe. Rozpowszechnienie się humanizmu	424
ROZDZIAŁ SIÓDMY. Poezya i poeci	437
ROZDZIAŁ ÓSMY. Rzut oka na rozwój umiejętności	459
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY. Jan Reuchlin	479
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY. Dezyderyusz Erazm	501
ROZDZIAŁ JEDENASTY. Ulryk von Hutten	523
Notatka bibliograficzna	536

TOWARZYSTWO
 PODHALAŃSKIEGO UNIwersYTETU LUDOWEGO
 w Nowym Targu

d. 161

90

28 5/8

34 1/2

C

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

109968

L-H 821

Biblioteka WSP Kielce



0235663